4767/75

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1859.

Tom trzeci.

NOWÉJ SERYI TOM VII.

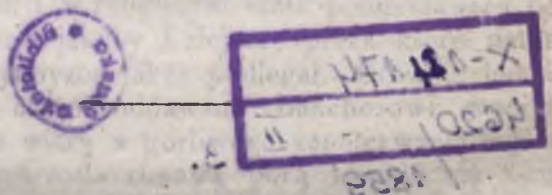

WARSZAWA.

W DRUKARNI GAZETY CODZIENNEJ,
przy ulicy Daniłowiczowskiéj Nr. 610.

1859.

4620. /1859. 3
II

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby egzemplarzy.

Warszawa, dnia $^{11}/_{23}$ czerwca 1859 r.

Cenzor, RADCA KOLLEGIALNY
Stanisławski.

Biblioteka Sejmu Stanowego
30.090.
X-1 174
4620/ II 3.
1859
Biblioteka

HISTORYA TRAGEDYI GRECKIÉJ.

PRZEZ

Z. Węclewskiego.

Dramat u Hellenów wziął początek z zajmowania się namiętnego naturą; rozwinął się i dojrzał śród wrzawy i ochoty uroczystości Dyonizyjskich. Cześć oddawana innym bogom, niezaprzeczenie mieściła w sobie wiele żywiołów dramatycznych i dawała pochop do mimiki; atoli święta Dyonizyjskie dla szczególnego, właściwego im tylko przymiotu łacniéj i wcześniéj od innych mogły być kolebką dramatu a głównie tragedyi.

Należał Dyonyzos do składu bóstw najstarszych wyobrażających rozliczne siły tajemniczo działającéj natury. Ztąd poczęła się wiara, że bożek ten a natura jedno i to samo; i w religijnym szale pomieszawszy pojęcia, rozumiano jakoby kolejom, przez które natura przechodzi, Dyonyzos także podlegał. Głównie jednak uwielbienie i cześć oddawana Bakchosowi wynikły z natchnionego wiarą a gorliwego zapatrywania się na walkę, jaką przyroda zimową porą staczać się zdaje tym celem, aby we wiośnie na nowo zakwitnąć. Grecy pobożni na uroczystościach, z tego powodu w miesiącach dniom najkrótszym najbliższych obchodzonych, kiedy szał i religijny zapał ich umysły ogarnął, wyobrażali sobie, że Dyonyzos wraz z naturą w zimie prze-

chodzi męki konania i umiera, a z powrotem wiosny wybawia się z niebezpieczeństwa, zmartwychpowstaje, powraca, zwycięża i panować poczyna na nowo. Smutne lub radosne w życiu bożka zdarzenia, nadto sami tak silnie czuli i tak żywo brali do serca, jak gdyby one ich osobiście dotykały lub im samym zagrażały. Wiara ta wprawdzie z postępem wzmagającéj się oświaty ostygała; wszakże spóludział i spółczucie, że tak powiem, z losami Dyonyzosa przechowywały się niezmiennie. „A że tłumny orszak, jak powiada Ottfried Müller, podrzędnych istot otaczających bożka: Satyrowie, Pany, Nimfy, nie przestawał uprzytomniać się wyobraźni greckiéj, i że nie potrzebowano prawie wcale przekraczać zwykłych granic pojęcia, aby na własne oczy widzieć w samotnéj lasu ciszy lub w skalistych parowach pląsy wdzięcznych Nimf z swawolnymi Satyrami, a nawet wyobraźnią wmieszać się do ich koła tanecznego; przeto po tych istotach łatwiéj było Grekom podnieść i zbliżyć się myślą do samego Dyonyzosa(1)".

Ztąd najprzód nastał zwyczaj podczas uroczystości Dyonyzyjskich kłaść na się odzienie Satyrów, aby pod niém tém bezpieczniéj pozwalać sobie wszelkiéj swawoli, a powtóre wśród szalu towarzyszącego uroczystości, począł się dramat jako część nabożeństwa na cześć bożka obchodzonego.

Jakkolwiek dramat śród gwaru owych uroczystości, niby niedojrzały płód, jeszcze niepostrzeżony w dytyrambie spoczywał i nie wynurzywszy się z obsłony liryczno-epicznéj nie zdobył sobie miejsca samodzielnego w dziedzinie poezyi, to przecie, gdy nie wiedzieć kiedy wraz z swawolném nabożeństwem Bakchosowém z międzymorza Isthmu do Aten miasta przeniesionym został, kilka zmian zaprowadzonych przez ludzi wyższym obdarzonych geniuszem, zbliżyło go w niezbyt długim czasie do owéj wytworności i wykończenia w formie, jaką podziwiamy w utworach Eschylosa i Sofoklesa, i do owéj wzniosłości ducha, jaki wieje z tragedyi tychże dwóch mistrzów w sztuce dramatycznéj.

(1) Ottfried Müller, Griech. Literat.

Tragedyą i komedyą zatém stanowiły początkowo li śpiewy wykonywane przez chór czyli lud, i liryczny jest ich pierwiastek (1). Jakaż była treść owych pieśni dytyrambicznych? Oto czynów, losu i przygód bożka dorozumiewano się lub symbolicznie one przedstawiano w ofiarach; a chór przytomny temu, uczucia tym sposobem wywoływane w stosownych wynurzał pieśniach. Nadto twierdzić można, że w dytyrambach pełnych uwielbienia dla bożka, jedynie cierpienia jego opiewano i nad niemi ubolewano, że zatém dytyramb dał głównie początek tragedyi. Nazwisko nawet tego dowodem.

Tragedyą bowiem utwór nowy nazwano z tego powodu, że w uroczystość winobrania z kozła (τράγος) poświęconego ofiarę czyniąc, wtórujące temu obrzędowi chóry dytyrambiczne (τραγικοὶ χοροι) śpiewano. Zwolna śpiew ten gładząc i kształcąc się, nabierał oraz wiele żywiołów nowych, z których zręcznego zespolenia i zlania się powstał ostatecznie nowy zupełnie rodzaj poezyi.

Opowiedzmyż obecnie, o ile się da, historycznego trzymając się następstwa, jak stopniowo dojrzewając dytyramb rozrósł się w poezyi kwiat najpowabniejszy.

W drugiéj połowie VI wieku przed Chr. *Łazos* podobno nadał dytyrambowi charakter mimiczny za pomocą muzyki (2). Zczasem w chórach już nietylko Dyonyzosa ale i wielkich bohatérów wielkie cierpienia i nieszczęścia opiewano. Dalszy znowu postęp zrobiono, kiedy chórowód oprócz przypadającéj nań roli drugą jeszcze podejmować zaczął: albo samego Dyonyzosa przedstawiając, albo jako poseł niby z orszaku tegoż bożka wysłany, niebezpieczeństwa i przygody, jakich tenże w podróży zażył, a daléj ich ostateczne odwrócenie lub pokonanie opowiadając. Tym sposobem jakiś przynajmniéj rodzaj dyalogu się zawięzywał, gdyż chór niewątpliwie do opowiadania owego uczucia swoje nastrajał. Że zaś tak rzecz się miała i że na tym stopniu rozwoju zostawała przez czas niejakiś tragedya, dowodzi Ary-

(1) Athenaeus XIV, p. 630 powiada: Składała się satyryczna poezya (p. niżéj) pierwotnie z chórów, podobnie jak ówczesna tragedya; dlatego aktorów wcale nie było. (2) Bernhardy, Griech. Liter. II, 465.

stoteles, wyprowadzając jéj początek od przywódzców chóru. Tak dalece dytyrambiczne śpiewy z właściwym sobie poetyckim i muzycznym układem rozwinęły się u Doryjczyków. Zwano je téż *dorycką tragedyą*; a możnaby je z powodu ich istoty i pierwiastku głównego nazywać słusznie także *tragedyą liryczną*. Z podobnemi utworami występowano w okolicach *Sikyonu i Koryntu*; a w *Epigenesie* przekazała nam historya najznakomitszego reprezentanta onych, z którym niby w sposób genealogiczny jako rozkrzewiciel dalszy łączy się *Thespis*, Ateńczyk (1).

W Atenach przed wystąpieniem Thespisa, według wszelkiego prawdopodobieństwa podobnie wydoskonalał i rozszerzał się *dytyramb*, czyli przez podobne koleje i stopnie przechodziła tragedya. I tam w świątyni *Leneon* zwanéj uroczystość Leneów obchodzono właśnie w tym czasie, kiedy w innych stolicach Grecyi opłakiwano cierpienia Dyonyzosa. I tam w czasach przedtespisowych z grona chóru ustawionego wokoło oltarza Bakchosa, jedna osoba występowała i ze stołu ofiarnego (ἐλεός) (2), stojącego obok oltarza, odpowiadała chórowi albo raczéj udzielała to (może w śpiewie), co miało uczuciami jego kierować lub one wywołać.

Dopiéro przez Thespisa tragedya staje się dramatem i to bardzo prostym. Thespis (r. 536 prz. Chr.) z chórem połączył opowiadanie, od mowy potocznéj jedynie metryczném powiązaniem i wyższym stylem się różniące (3). Tym końcem dodał do chóru jednę jeszcze osobę, czyli piérwszego aktora (4), który rozmaite z kolei i według

(1) Tamże. Swidas pod wyrazem Θέσπις powiada o nim, że jest 16 tragikiem po piérwszym autorze tragedyi, Epigenesie, Sikyończyku; albo jak inni utrzymują, drugi po nim. Porówn. Herodot. V, 67. Themistius Or. XXVII, p. 337 donosi, że wynalazcami tragedyi byli sikyońscy, dokonawcami attyccy poeci.

(2) Pollux IV, 123 pisze: Eleos byłto stół dawnemi czasy, z którego przed Thespisem ktoś chórowi dawał odpowiedzi. Byłto niezawodnie tak zwany późniéj koryfajos, chórowód; a stół na scenie późniejszéj wyobraża Thymele.

(3) Tamże: Thespis prolog i dyalog wynalazł.

(4) Diog. Laert. III, 34, 56 powiada: Z początku w tragedyi staréj sam chór akcyą dramatyczną rozwijał aż do końca; późniéj Thespis jednego aktora wynalazł, aby chór mógł wypocząć.

potrzeby role odgrywając wynalezionych przez Thespisa masek płóciennych używał (1). Z aktorem chór zawięzywał rozmowę za pomocą chórowodu: zaczém akcya dramatyczna mogła wszcząć się i rozwinąć.

Zdaniem niektórych niemieckich badaczy, mianowicie Bernhardego jeszcze w Thespisowych dramatach o dyalogu mowy być nie może (2). Twierdzą, że ów mniemany piérwszy aktor w stosownych porach (pauzach) jedynie mytyczne dzieje ze starego wzięte eposu deklamował i one bez związku z pieśnią Dyonizyjską wysnuwał do końca. Przechylamy się jednak do zdania uczonego Ottfrieda Müllera, który aktorowi przez nas oznaczone miejsce i znaczenie w dramacie Thespisowym przeznacza. Na cóż bowiem piérwszemu aktorowi masek byłoby potrzeba? Powiada Bernhardy: „że z mytów zaczęto czynić wybór, zdobić one mimiką za pomocą masek i podobnych środków, wynosić je po nad zwykły poziom, i że domieszano coś umysłowego do zmysłowéj dotąd uroczystości Bakchosa, aby w nadzbyt ciasném kole się obracające i monotonne pieśni urozmaicić i nadać im prawdziwie poetyckiego ducha". Jakże tedy mogły się urozmaicać pieśni, gdy treść mytyczna opowiadana przez pierwszego aktora w żadnym związku nie zostawała z niemi? gdy chór swoje śpiewał, aktor prawił swoje? Tudzież myli się i nie zgadza się z samym sobą tenże uczony, twierdząc, że o formie i rytmicznéj budowie tego epicznego dodatku nic nie wiemy; sam nawet w uwagach swoich zauważał i z pozostałości prawie żadnych bystry wyprowadził wniosek, że trochaicki wiersz przeważał (3).

Ile współczesny Thespisa lecz młodszy od niego *Chojrilos* (od r. 524 prz. Chr.) do wydoskonalenia tra-

(1) Swidas donosi, że Thespis wprzód blejwasem czyli bielonym ołowiem, potém portulaki czyli tłustoszu zielem się farbował, i że maski płócienne wprowadził.

(2) Bernhardy II, 567, gdzie zbija zdanie Hermanna utrzymującego, że dyalog w dramacie zaprowadził Thespis, „quos inter chori ducem et unicum histrionem instituisset".

(3) Bernh. II, 562 i 728. Pollux VII, 45. Fragmenta te są podobno z pism Heraclides'a Ponticus.

gedyi się przyczynił, trudno oznaczyć z dokładnością. Był wprawdzie płodnym i nie złym poetą, czego dowodzi wziętość aż do czasów Sofoklesa (lubo i w tém nie ma historycznéj pewności, gdyż niektórzy badacze starożytności mówią o dwóch w owym czasie dramatycznych poetach tego samego nazwiska) (1); ale *satyrą* podobno gorliwie się zajmował i z onéj słynął. Z tego wypada, że tragedya podówczas już od satyrycznego dramatu była się odłączyła.

Powiedziało się wyżéj, że w święta Dyonizyjskie, aby módz śmiało większéj dopuszczać się swawoli, przebierano się za Satyrów. Tym sposobem oraz zadosyć czyniono wierze, która owe niższe pomiędzy ludźmi a bogami umieszczone stworzenia bożkowi za towarzyszów przeznaczała; i na scenie, kędy opiewano lub opowiadano przygody Dyonizyjskie, wcale stosownie chór, jedyny wówczas aktor, występował w szacie pstrokatéj Satyrów. Kiedy zaś zamiast Dyonyzowego zaczęto opracowywać myty inne, głównie czasów Grecyi bohaterskich sięgające, chór Satyrów już nie był tam na swojém miejscu. Lecz, że rzeczy raz zaprowadzonéj nie chciano zaniechać, obok tragedyi rozwijać się począł dramat satyryczny, który z tragedyą może do pewnego czasu w jakiémś wewnętrznem zostawał połączeniu.

Dramat satyryczny nie był komedyą, ale raczéj żartobliwą tragedyą (*παίζουσα τραγῳδία*) i osnowano ją z podań o awanturniczych przygodach Dyonyzosa, a późniéj nawet z wypadków w życiu bohatérów, któremi zwykła była zasilać się tragedya. Wszakże zaprawiano opowiadanie gminną rubasznością, tak, że przytomność leśnych i swawolnych Satyrów wcale stosowną być się wydawała. W ten sposób np. opracowano myt Heraklesowy; a jako twórca satyrycznych dramatów głównie bywa wspominany *Pratinas z Phliuntu* i syn jego *Aristias*.

(1) Welcker: Die Aeschyl. Trilogie. Swidas pod wyrazem: Chojriłos powiada, że był Ateńczykiem, poetą tragicznym i że w 64 Olimpiadzie wystąpił pierwszy raz. Napisał 150 dramatów, zwyciężył 13 razy. Według doniesień dodaje, miał używać masek i szat teatralnych. U Pauzaniasza I, 14, 2 wzmianka o jego dramacie Alope.

Rzecz w satyrach zwykle działa się pod gołém niebem, w zaciszu wiejskiém, na publicznych gościńcach. Założenie było lekkie i luźne. Chór Satyrów zostawał w niejakiémś oddaleniu. Swawolny taniec *Sikinnis*, powabnych rytmów, wyrażał zmysłowość. Wysłowienie było pospolite; nawet niepoprawności uchodziły. Wkrótce i tu treści zabrakło. Eurypides przeto w Alcestis i może w innych dramatach chciał tym sposobem daléj rozwinąć satyrę, że utworzył gatunek tragedyi bez chóru Satyrów z takich mitów, co kończąc się wesoło, pasmo śmiesznych przeciwieństw i sprzeczności w charakterach odsłaniały (1).

Daleko więcéj zasługi około uprawy tragedyi ma *Phrynichos*, syn Polyfradmona. Występował w Atenach od r. 512—476 prz. Chr. Jakkolwiek w utworach jego jeszcze przeważał pierwiastek liryczny, przecie pojął on piérwszy czyli raczéj przeczuł szczytny cel dramatu. On piérwszy stosownie i przyzwoicie wyposażył teatr i poetyczną treścią, jako téż zręcznem założeniem nadał tragedyi stanowisko, jednające jéj powszechne poważanie (2). Odtąd zaczęli puszczać się tragicy w zawody, z czego wnioskować wolno, że rząd nad tym nowym poezyi kształtem już był rozciągnął swoję opiekę. Tytuły dramatów Phrynichosowych dowodzą wielkiéj rozmaitości w osnowie; pomijając jednak trojańską wojnę, poeta nawet w przedstawieniu wielkich wypadków historycznych sił swoich doświadczał (np. zdobycie Miletu; Fenicyanki). Wprowadził nadto role niewiast i ustanowił dyalog w tetrametrze trochaickim, toczący się

(1) Czy późniejsze satyry pod względem istoty starszym odpowiadały, niepewna. O Pratinasie Swidas powiada, że był synem Pyrrhonidesa lub (symbolicznie) Enkomiosa piérwszego autora satyrów. Pomiędzy jego 50 dramatami miało być 18 tragedyj a 32 dramatów satyrycznych. R. 497 prz. Chr. występował z Eschylosem i Chojrylosem. Raz tylko zwycięztwo odniósł. Pauzanijasz II, 13, 5 chwali dramata jego, zowiąc je najprzedniejszemi po Eschylosowych. Arystyasza niektórych dramatów nazwiska przytaczają: Pollux, Athenaeus, Swidas. Z Sofoklesem głównie puszczał się w zawody.

(2) Aristot. tak się wyraża: „Jak Phrynichos i Eschylos tragedyą na bohatérskich dziejach (μῦθοι) osnować i walkę namiętności Πάθη w niéj przedstawiać zaczęli, powiedziało się.

tylko między aktorem a chórowodem (1). Ułamki niektóre, jak twierdzi Bernhardy, dowodzą wielkiéj siły i pełności w wysłowieniu. Pomimo to wszystko jednak orchestyka, muzyka i liryka piérwsze zajmowały miejsca; wielkiego rozmiaru wypadków i dokładnie opracowanych charakterów spodziewać się nie można (2).

Prawie równocześnie z Phrynichosem wystąpił Eschylos. Ze słabych i luźnych pierwiastków zaczętą przez poprzedników swoich budowę o własnych siłach przez wytrwałość niezmęczoną i pracę więcéj niż trzydziestoletnią rozszerzył i dźwignąwszy wykończony niemal ze wszech względów gmach sztuki tragicznéj dokonał dzieła, które z najszczytniejszemi wynalazkami i utworami w dziedzinie starożytnéj poezyi mierzyć się może.

Wszakże chwałę, jaką przez ukończenie tego arcydzieła sobie zgotował, Eschylos dzieli z wiekiem swoim. Attyckie społeczeństwo, obfitość kwestyj umysłowych, poruszonych w owym wieku pełnym energii i natchnienia i skłonnym do najwznioślejszych porywów duchowych, tak dzielnie i tak skutecznie na wieszcza wpływały. Inaczéj pomimo talent i gieniusz niezaprzeczony nie byłby zdołał nigdy wzbić się do téj wysokości, na jakiéj blaskiem promiennym wiekuistéj sławy otoczony potomnym okazuje się wiekom. Wraz z początkiem wojen perskich, w których Eschylos, mąż w sile wieku, laurowym przez waleczność ozdobił się wieńcem, narody helleńskie przyszły do poznania się w swojém jestestwie. Silnie i zbawiennie zaczęło się w nich budzić uczucie jednoplemiennéj narodowości. Zaczęto z rozwagą zastanawiać się nad przeznaczeniem ludów, nad stosunkiem bóstwa względem istoty ludzkiéj; zajaśniało świetne

(1) Aristot. poet. 4, 18. Rytm z tetrametru przeszedł w jamby. „Najprzód bowiem tetrametru używano dlatego, że poezya była satyryczna i więcéj pantomimiczna". Swidas zaś powiada: „Niewieścią rolę wprowadził na scenę i był wynalazcą tetrametru", Porówn. Bernh. II, 569, gdzie nadto tytuły rozmaitych dramatów przytoczono.

(2) Athenaeus I, p. 22 pisze: „Powiadają także, że piérwsi (dramatyczni) poeci, jakoto: Thespis, Pratinas, Kratinos, Phrynichos zwali się tancmistrzami".

grono myślicieli i mężów stanu; wzięła początek polityka na wielkie rozmiary; podniosła się duma narodowa i upowszechniła się moralność, tłumiąca drobne, codzienne skłonności i zachcenia.

Na świeczniku w téj światłéj epoce stanęła Attyka. Tam gromadziły i skupiały się skarby życia i ruchu narodowego. Dla uzdolnionego poety przeto już to samo było szczęściem niezwykłém, należéć w owym czasie wielkich wypadków do najpotężniejszego i najwytrawniejszéj mądrości szczepu; a dramatyczny poeta tę nadto odnosił korzyść wielką, że w ziomkach swoich miał wzory bystréj i różnostronnéj dyalektyki, ludzi zdolnych do prawdziwego dyalogu i umiejących ocenić formalne wykształcenie.

Dyalog, dyalektyka i forma zasię, oto główne podobno warunki dobréj tragedyi.

Zapał wieku udzielił się sprężystemu duchowi Eschylosa. Chętnym i płodnym był rozkrzewicielem myśli w duszy narodu drzémiących. Gorejąc ochotą wojenną, owiany tchnieniem ożywczém świąt Dyonizyjskich i przejęty nieskazitelnością religijnego wierzenia, nadał dramat świętością, o jakiéj Phrynichos, pomny li na układ zewnętrzny i dla podeszłego wieku nie rozgrzany wcale ogniem ani porwany wirem rewolucyjnych owych czasów, ani myślał ani jéj nie przeczuwał.

Eschylos zaś dokonał na tragedyi zupełnego prawodawstwa. Scenę stosownie do wzniosłego celu utworu wyposażył i wszystkie czynniki tragiczne do najczystszéj i najdźwięczniejszéj skojarzył całości. Harmonia, za którą tęsknił nieustannie, wymagała przedewszystkiém wzajemnego oddziaływania na się chóru i aktorów, a zatém stosownego podziału ich zobopólnego zadania. Tym końcem dwóch wprowadził aktorów. Zatém poszło, że foremny rozwijać się zaczął dyalog, uzupełniany przez zręczne wprowadzanie posłów, sług i innych ról pomocniczych; i że akcya na i poza sceną nieprzerwaném wysnuwała się pasmem. Daléj śpiew chóru już nie rozwlekał się w bezmiernéj rozciągłości niby hymn uroczysty; nie przecinał wątku dramatu, jeno w rzecz wcho-

dząc myśl w niéj roztrząsaną stosownie do zmian na scenie zaszłych na swój sposób objaśniał i przyozdabiał. Podrzędniejsze niż przedtém zaczął przeto chór zajmować stanowisko i akcya całym swym ciężarem oparła się na dyalogu (1).

To przejmowanie się chóru myślą i sytuacyą każdorazową na scenie, wywołując rozmaite uczucia, zmusiło do wyrażenia ich stosownego, t. j. zmusiło do użycia dobranych i odpowiednich rytmów muzycznych. Ztąd daléj urosła nowa potrzeba zmiany języka czyli nowego stylu. Nowy system językowy dał początek słabo zrazu odzywającemu się attycyzmowi. Największym jednak wynalazkiem Eschylosa była tetralogia. W tetralogii wyróżnić należy naprzód jądro tragiczne czyli trylogią, w któréj obszerny zakres mytów ojczystych w historyczném następstwie i związku za podstawę wziąwszy stosownie do potrzeb i usposobienia wieku one z jak największą sumiennością Eschylos opracowywał. Pojął bowiem bardzo dobrze, jak obfite i niewyczerpane prawie skarby zręczny sztukmistrz z łona mitologii ojczystéj wydobyć zdoła tym celem, aby za ich pośrednictwem przedstawić dokładnie idee współczesne; i przeczuł, że głębokie znaczenie i wewnętrzna sprzeczność tychże ideów tém lepiéj się okaże i uwydatni, im stosowniéj dobrane myty będą tłem i podstawą dramatu. Tak więc trylogia była wyrazem dyalektycznego myślenia. W niéj za pomocą mytów ruch, przeciwieństwo i nieskończona harmonia duchowego świata odzwierciedlały i wcieliły się w obraz idealnego życia.

Z trylogią, niby dodatek wesoły przeznaczony na wytchnienie i wypoczynek po wytężeniu poprzedniém umysłu, łączył się dramat satyryczny. Osnową swoją będąc w połączeniu z trylogią, czwarte przedstawia ogniwo łańcucha tetralogicznego. Zaprowadzenie tetralogii miało wpływ na organizacyą liczebną chóru. Chór bowiem składający się poprzednio z 50 osób, podzielono na 4 oddziały po 12 do 15 osób dla każdego z 4 aktów. Każdy z tych oddziałów według natury sztuki i potrzeby

(1) Arist. poet. 4, 15.

każdorazowéj wykonywał przypadającą nań część śpiewu, muzykalnéj kompozycyi i orchestyki. Krok ten zwolnił chór ze służby religii i oddał na usługi sztuce; a tragedya przez ten krok stanowczy i ogromnego wpływu samodzielność i niezawisłe zdobyła sobie stanowisko i poczęła być nadal swobodném dziełem ducha (1). Tego wszystkiego dokonał Eschylos. Następcy jego mało co zmienili stosownie do zmienionego ducha czasu. I jakież to zmiany? Oto wzniosły, wspaniały styl zamienia się na łagodny, słodki. Według potrzeby sztuka udelikatnia i uduchownia się.

Z czasem, kiedy chór i osoby dramatu nie w równéj części rzecz rozwijały, do jéj założenia i uzasadnienia, tudzież do zaprowadzenia zwięzłości trzeba było chwycić się najstosowniejszych środków— i pomnożono liczbę aktorów. *Sofokles* piérwszy trzech wprowadził na scenę. Tenże technikę aktorów sztuką oddzielną być mieniąc, po ścieśnieniu żywiołu lirycznego uwolnił poetę dramatycznego a najprzód siebie od zajmowania się przedstawianiem sztuki czyli dydaskalią (2). Zrazu rzadko, późniéj już wcale nie odgrywał ról; a odstąpiwszy od nawyknienia mianującego raz na zawsze poetę chórowodem, swobodne i niezależne względem teatru i religii zajął stanowisko. Piérwszą mu do tego pobudką była słabość głosu (3). Organizm i budowę tetralogii nadto zmienił znacznie Sofokles. Czasy, w których prostota i abstrakcya popłacały, już były minęły. Naród dojrzał wcześnie przez wpływ polityki i już nie podobał sobie w objektywném zapatrywaniu się na bieg natury; wolał zgłębiać za pomocą krytyki refleksyjnéj sprzeczności w istocie ludzkiéj. Do rozwoju więc duchowego Attyki zastosował się Sofokles. Ścieśnił ogromne rozmiary tragedyi i uczynił ją zwierciadłem odbijającém dzieje namiętnościami wzburzonego serca. Nadto zerwał nić

(1) O zmianach przez Eschylosa w dramacie zaprowadzonych p. Vita Aeschyli; Suidas pod Eschylos; Vita Sophoclis; Hor, ars. poet. 278, Bernhardy, Griech. Liter. Aktorami Eschylosa byli: Kleander, Myniskos, Oagros; genialnym orchestą Telestes, a malarzem scenicznym Agatharchos.

(2) Zmiany przez Sofoklesa zaprowadzone, p. Vita Sophoclis.

(3) Tamże.

wiążącą dotąd w tetralogii pojedyncze akty czyli dramata, aby na téj ciaśniejszéj przestrzeni uczucia i namiętności silniéj poruszyć i wytężyć się i z sobą bój stoczyć mogły (1).

Im więcéj tragedya zatrudniała się wewnętrznemi sprzecznościami i walkami w sercu ludzkiém zwodzonemi, im znaczniejsze i wykształceńsze było grono publiczności, do któréj się odzywała i któréj oczekiwanego z niecierpliwością dostarczała posiłku, tém bardziéj oddalała się od religii: i przyszło ostatecznie do tego, że jak w eposie tak i tu zewnętrzne światowe zaczęto przedstawiać życie, przyczyn i pobudek do czynów i następstw szukając w duszy. Bogowie skazani jedynie na posługi ekonomii teatralnéj, nie wyjaśniali odtąd wypadków. Tém samém tragedya coraz więcéj cech swobodnego utworu sztuki sobie przyswajała i zaczęła wzbudzać interes ogólny.

Eurypides ostatecznie daléj jeszcze posunął się i użył tragedyi do rozwikłania zagadnień idealizmu albo filozofującego rozumu. Taką drogą rodzaj ten poezyi doszedł do szczytu i samodzielności zupełnéj. Odtąd zmiany doznał chyba pod względem celu lub wewnętrznego urządzenia. Wszakże gdy kwiat sztuki tragicznéj najpiękniejsze był wydał owoce i one owoce dojrzałością czerstwą cudnie zawoniały, z wypadkiem tym połączyła się niestety! niechybna konieczność blizkiego upadku.

Z zupełnym rozwojem tragedyi namnożyło się w Atenach poetów tragicznych czyli raczéj tragedyokletów, oraz gatunków tego rodzaju poezyi. Była bowiem odtąd tragedya poniekąd wyrazem poetyckim attyckiego społeczeństwa. Liczba pisarzy wzrastała z każdym lat dziesiątkiem, mianowicie odkąd sofiści grono młodzieży, skłonnych do uniesienia i zapalonych miłośników sztuki, byli około siebie zebrali i zaopatrzyli w środki stylistyczne. Tudzież blask i wzrost państewka, ruchliwość społeczeństwa, rozmaitość charakterów, liczne pobudki do badania i zgłębiania życia ludzkiego,

(1) Swidas powiada: „Zaczął walczyć, stawiając dramat przeciw dramatowi, ale nie w kształcie tetralogicznym.

obszerniejszy widnokręg umiejętny, a wreszcie wzmagające się upodobanie do sceny, żądające raczéj odmiany, rozmaitości i śmiałości niż siły twórczéj i głębokości rzeczy, wywołały mnóstwo nieprzeliczone autorów, których wraz za piérwszém wystąpieniem częstokroć, niestety! zasłużone zapomnienie lub potępienie czekało i pochłonęło.

Następstwem tego naturalném było wyczerpnięcie mytów i podań. Zaczęto je przeto zmieniać lub od nich odstępować. Rosła liczba tragedyj do niesłychanéj liczby. Aż po czasy upadku Grecyi liczono podobno do 1200 utworów. Ale duch z nich wiał karłowaty. Z téj téż przyczyny nie utrzymawszy się na scenie, ani pilnie czytane bez wpływu pozostały na wewnętrzny rozwój tragedyi. Zapomniano je wkrótce i nam ledwie są znane z tytułu albo z jakiego ułamku lub wreszcie pojedynczego wyrazu, zachowanego dla przyczyn formalnych lub dla zawartéj w nich myśli przypowieściowéj od antologicznego zbieracza lub grammatyka.

W zewnętrznem urządzeniu sceny może poczynił jakie zmiany na korzyść całości *Aristarchos z Tegei*; ale już najbliżsi czasem Eurypidesa odznaczali się wysłowieniem sztuczném i przesadną i szumną wystawnością. Oprócz *Aristarcha*, o którym Swidas powiada, że z pomiędzy jego 70 tragedyj dwom tylko palmę przyznano (1), wspominamy *Kalliasza* twórcę tak zwanéj grammatycznéj tragedyi (γραμματικὴ τρ) trzymającéj się zapewnie ślepo przepisów retoryki (2); nadto *Jona z Chios*, poetę elegiów, dytyrambów, hymnów, epigrammatów i nareszcie tragedyj, który nawet raz Eurypidesa pokonał, (za co winem wyborném z Chios odwdzięczył się Ateńczykom) i odznaczał się przynajmniéj poprawnością i gładkością stylu jeżeli nie oryginalnością, jakkolwiek zdrowe podobno sentencye i maksymy po dzie-

(1) T. s. Tenże Arystarch był współczesnym Eurypidesa; on piérwszy nadał dramatom obszerność większą; i przedstawiwszy 70 dramatów z dwoma zwyciężył. Żył lat 100.

(2) Athen. X, p. 483. Antystroficzne zaprowadził odpowiedzi. Żył około Ol. 81, 2. Enniusz miał z dzieł jego korzystać w Achillesie.

łach swoich hojnie porozsiewał (1). Tudzież do rzędu lepszych tragików liczą *Achajosa* wyszukanego i zagadkowego pisarza podobno satyrycznych dramatów (2). Ostatecznie z tłumu wielkiego kaleczących tragedyą poetów wychyła się *Neofron z Sikyonu*, na którym najwidoczniéj pokazało się, ile pisarze piérwszego rzędu przyczyniają się do łatwego zapominania i umniejszenia zasługi pisarzy słabszych. Zgasł bowiem Neofron, niby gwiazda niższorzędna w blasku Eurypidesowego słońca, i napisawszy więcéj stu dramatów, li z powodu Medei Eurypidesa przypadkowo wspomniony został, jakkolwiek ułamki z jego własnéj Medei nie małych każą się domniemywać zalet (3).

Do utrwalenia przekazanego przez trzech naczelnych tragedyj mistrzów układu i organizmu nie mało przyczynili się krewni tychże i spadkobiercy, bądź że względów u życzliwéj im publiczności dobijali się przez pisanie samodzielnych dramatów, bądź że też z pozostałości po pokrewnym poecie korzystali. Dzieci bowiem lub wnukowie tychże mistrzów znaleźli w puściznie dosyć materyałów, aby niemi jeszcze przez dłuższy czas odświeżać pamięć i uświetniać imię zgasłych koryfeów. Tak syn Eschylosa *Euforion* podobno z 4 dramatami ojca wystąpił (4). Syn Sofoklesa *Jofon* więcéj nam znany z powodu procesu wytoczonego ojcu już w podeszłym wieku będącemu, niż ze zdolności dramatycznych; natomiast wnuk *Sofokles młodszy* wystąpił z Edypem kolonejskim dziada (5). Przypuścić należy,

(1) Urodz. około Ol. 70, umarł okoł. 89, 3. W Atenach zwykle bawił i był stronnikiem Cymona. Zdarzenie wyżéj opisane opowiedziane w Schol. do Arystof Oprócz 12—40 tragedyj napisał jakiś satyr. dramat Omfale i jakieś Mega drama.

(2) Z Eretryi, syn Pythoridasa, młodszy od Sofoklesa, od Ol. 83, współzawodnikiem Eurypidesa, napisał 24—44 dramatów. Sąd o nim u Athenaeusa.

(3) Z Neofrona Medei podobno sam Eurypides korzystał, jak donosi Swidas. On, powiada tenże, piérwszy wprowadził na scenę dozorców młodzieży (pedagogów) i tortury niewolników. Napisał 120 tragedyj.

(4) Ol. 87, 2. Tudzież z własnemi dramatami występował.

(5) Jofon podobno za życia jeszcze ojca plagiaty miał popełnić z tegoż dzieł. Arist. Schol. Ran. 73. Sofokles młodszy do 40 dramatów samodzielnych napisał.

że ci spadkobiercy stosowne do ducha czasu poczynili recenzye, dodawali nowe sceny lub opracowywali niedokończone. Najwięcéj dramatycznych zdolności przechowało się jednak w rodzinie Eschylosowéj, którego siostrzeniec *Philokles*, tudzież syn, wnuk i prawnuk *Philoklesa (Morsimos, Astydamas, Philokles młodszy)* występowali z dramatami samodzielnemi. Starszy *Philokles* raz nawet zwycięztwo odniósł nad Sofoklesem występującym z Edypem królem. Wszakże nie musiał on być szczególnym poetą, kiedy szydem i przekąsem prześladowali go komicy; i zwycięztwo zawdzięcza zapewnie więcéj stronniczości ubiegających się za nowościami Ateńczyków, niż tęgości i dobroci utworu (1). Niemniéj naśmiewali i natrząsali się komicy z *Morsimosa* i tegoż brata *Melanthiosa*, nazywając ich niesmacznemi poetami, pasożytnemi smakoszami i t. p. (2).

Za nastaniem gminowładztwa w Atenach tragedya inne zajęła stanowisko i zmieniła cele i dążność. Pospólstwo przypuszczone do rządu, przytłumiło zmysł do poezyi idealnéj. Do tego przeistoczenia się narodu wypadało zastosować się tragikom. Tragedya nabrała barwy ochlokratycznéj. Podmiotowość, refleksya rozumu, oto jéj cechy. Dążności jéj przeczącéj natury, obalają to, co dotąd prawem było, kreśląc obraz sprzeczności namiętnościami szarpanego lub rozdartego życia ludzkiego i zdobywając i podbijając sobie serca i uwagę słuchaczy i widzów śmiałą i bystrą spekulatywnością. Język daleki od plastycznego obrazowania i symetryczności stylu, systematycznemi prawidłami retoryki związany, lekkiém, potocznéj mowie właściwém odznaczał się wysłowieniem.

Dowcip i obrotność szermierska jego cechą i bronią; na zwięzłości wprawdzie nie zbywało, lecz nie była na-

(1) Philokles starszy między 100 dramatami napisał także tetralogią Pandionis.

(2) Morsymos był poetą i lekarzem (Hesych. pod Klymenos). Melanthyos znany z dowcipów, a głównie z tego, którym wyszydził garbatego demagoga Archippa (*οὐ προεστάναι ἀλλὰ προκεκυφέναι τῆς πόλεως*). Plut. Symp. II. p. 633. Tudzież Medeę jakąś napisał. (Aristoph. Pa. x. 1010).

maszczona godnością ani wytrawnością poważną. Ta zmiana pociągnęła dalsze za sobą: budowę wierszy zaniedbano; rytm się ulotnił; nie trzymając się prawideł sztuki osłabiono go głównie przez upodobanie w igrających lub nadzbyt uczuciowych miarach. Z tego powodu i muzyka stara, poważna, popsuła się, zmiękła i bez wpływu przebrzmiała. Myt zasię tragiczny największéj podobno doznał odmiany. Osoby podań bohaterskich pojmowano li symbolicznie jako przypadkowe formy poetyckiéj refleksyi i przetwarzano je arbitralnie. Jużto wszystko zdradza upadek tragedyi; ale objawia się on jeszcze wyraźniéj w chórowych śpiewach. One zamieniły się z czasem w oderwane intermedya, nie powiązane myślą z rzeczą. W ogóle od 430 do 416 przed Chr. tragedyą zupełnie przeobrażono pod względem celu, wewnętrznego układu, stylu i metryki.

Eurypides był pierwszy, co na drodze podmiotowości chciał się podobać, a zręczność artystyczna, świadomość gruntowna serc ludzkich i stylistycznéj techniki uchroniła go od upadku i poniżenia. Zdołał wpływ wywrzeć nie mały, i czyniąc zadosyć żądaniom i zachciankom ochlokracyi, pospólstwo podźwignął, wyniósł do swéj wysokości i otworzył mu wstęp do świata dramatycznego; o czém Eschylos ani Sofokles nigdy nie pomyśleli. Pomimo zaburzeń czasu umiał zachować powagę poety i tém głównie różni się od *Agathona*, który za modną o ten czas ubiegając się sofistyką, jedynie wyższym owych czasów warstwom społeczeńskim starał się dogadzać i pochlebiać.

Agathon, syn Tyzamenosa, niewieściuch delikatny, bogacz wygody i wykwintne lubiący biesiady, czego dowiódł ostatecznie przeniesieniem się na dwór wystawny Archelaosa, króla macedońskiego, kilkanaście napisał tragedyj, z których siedm z tytułu znamy. O życiu jego bliższych niema wiadomości, jakkolwiek mnóstwo anegdotek przyczepiono do téj osobistości. Tragedye jego, pisane podobno stylem lekkim i zaprawione dowcipem, miały założenie dobre, ale głębszych nie rozwiązywały idei i zagadnień. Muzyka była melodyjna, lecz upstrzona

dziwacznie; a chóry nie powiązane z rzeczą, przecinały nie miło akcyą (1).

Baczono zresztą w ogóle więcéj na obrotną dykcyą i pilne przestrzeganie szkolniczych prawideł retoryki, niż na to, aby siłą i powagą rzeczy zająć i na umysły zrobić wrażenie. Zaspokajano chwilowo lud ciekawy nowości, ale w literaturze utwory i ich autorowie nie znaleźli miejsca obok dawniejszych mistrzów. Nie miłosiernie siekli ich téż komedyopisarze. Arystofanes całą tę zgrają ochlokratycznych tragików charakteryzuje w Żabach (2). Do rzędu tych nędznych dramaturgów oprócz już wspomnianych (3) należeli *Morychos*, obżercą i rozpustnikiem zwany; *Akestos*, *Gnezyppos* i t. d. Z najzabawniejszych jednakże figur składała się rodzina *Karkinów*. Ojciec, czyli starszy *Karkinos* z Agrygentu, miasta na wyspie Sycylii, przybył do Aten i jako poeta sceniczny bez najmniejszego powodzenia występował (4). Jego synowie po nim kolejno poszli w ślady ojca. a nareszcie młodszy Karkinos t. j. wnuk, bawiący zwykle na dworze tyrana Dyonyzyosa młodszego. Najlepsze świadectwo niedołężności jego wystawia Swidas, gdy donosi, że 160 dramatów napisawszy raz zwyciężył, i to w owych czasach (5). Zawsze przecie i ci tragicy tę mają zasługę, że pisząc pilnie zmysł i zamiłowanie do sztuki rozbudzali i odświeżali.

Od starszych poetów tragicznych wyróżniano całą tę ciżbę, o któréj szczegółów bliższych doczytać się

(1) Zwano tego rodzaju muzykę: *μυρμηκων αιρεσοί*. Ar. Thesmoph. 100. *Μυρμηκίαι ενεργάπελοι* Platona oznacza trylery, rulady, w ogóle koloryt w muzyce i porównane to niby z rojeniem się mrówek i niemiłosiernem świdrowaniem uszu. W tém samém znaczeniu mówi się piérwsze o poetycznych figlach i floresach wierszoklety.

(2) Arist. Ran. 89, sqq. powiada, że to chłopięta gryzmolący więcéj niż 10,000 tragedyów; wybierki same, szczebiotliwe, niby jaskółki na swych schadzkach, niszczyciele sztuki, którzy ledwie wystąpiwszy i tragedyi gwałt zadawszy, wcześnie znikają.

(3) Morsymos, Melanthios.

(4) Arist. Pax. 784.

(5) Plut. de glor. Athen. p. 449 E przytacza jednak, że jego tragedya Aërope miała powodzenie (*ευημερεῖν*).

można w Welkerze i Bernhardym, ową charakterystyczną nazwą *καινοί*, nowi (1). Ogniwem, łączącém ich ze starymi, jest Eurypides, do którego lekkim stylem i słabą zbliżali się charakterystyką. Z pomiędzy nieprzeliczonego mnóstwa poetów i dyletantów tego okresu przytaczamy jeszcze *Krytyasa*, tyrana (2), jednego z pierwszych po Eurypidesie i stanowiącego wyraźnie przejście do zepsutéj szkoły tragików; tudzież *Dyonyzyosa* starszego (3), wyszydzanego od komików, daléj *Theodektesa* (4), który może dał początek tak zwanym tragedyom *ἀναγνωστικοῖς* t. j. czytanym w gronie dobranych przyjaciół, a w których nie tyle chodziło o poezyą i dążność utworu, ile o świetne obrazowanie, zaprawienie rzeczy zdaniami moralnemi lub filozoficznemi, o sztuczne wierszowanie i sztuczniejszy jeszcze język (5). Nadto wspominany bywa jeszcze *Chaeremon* (współczesny lub starszy od Arystotelesa) jako twórca dramatyzowanych pieśni (6).

Wreszcie na saméj granicy pomiędzy tym i następnym okresem stoi tragedya *Rhesos*, od wielu uczonych badaczy przypisana Eurypidesowi. Pomnik to zacierającéj się i gasnącéj oświaty; mógł wyjść na jaw tylko w czasach, gdzie ciężka erudycya i technika dowolna zastąpiły siłę twórczą. Zewnętrzna poprawność i powab

(1) Tym sposobem nazywano uroczystości świetne Dyonyzyjskie (p. niżéj), na których lud zebrany *nowym utworom* się przysłuchiwał.

(2) Bernhardy II, 602 i § 106, I.

(3) Tamże i Welcker.

(4) T. s.

(5) Naczelnik tak zwanych *ἀναγνωστικοί*. Malowniczy styl, *γεαφικὴ λεξίς*, główną ich jest cechą.

(6) Styl Chaeremona ma być wytworny, pełen zwrotów retorycznych i wonieje malowniczą barwą. Z pomiędzy jego utworów przytaczają grammatycy nazwiska następnych: Alfexiboja, Achilles (*θερσιτοκτόνος*), Dyonyzos, Thyestes, Io, Minyoevie, Odyssej (*τραυματίας*), Ojneus, Centaurus. O ostatnim powiada Aryst. Poet. I, 12. *καιπερ χαιρημων* i t. d., wspomina nadto o budowie wiersza i donosi, że napisał Centaura, którego dramatu budowa wierszy jest niby mozaika z metrów najrozmaitszych.

nie zupełnie pokrywaja niedostatek myśli i nieświadomość praw sztuki.

Tak więc tragedya wraz z upadkiem Grecyi zupełnie mechaniczną stała się zabawką w ręku dyletantów, dziełem żakowskiego ćwiczenia. Mimo braku siły, głębokich myśli i charakterów, sztuczne zaplątanie wypadków, odurzające założenie i delikatne cieniowanie charakterów dodawały jéj jakiegoś uroku. Eurypides u wszystkich tragików tego okresu był w największéj poszanie i w jego ślady każdy mniéj więcéj z większą lub mniejszą wstępował pomyślnością.

Jeszcze po upadku Grecyi tragedya dawała znaki życia. Przedstawiano nieustannie stare tragedye, przekazane z poprzednich stuleciów, i one zachęcały więcéj uzdolnionych literatów do naśladownictwa lub prób samodzielnych. Alexander Wielki najlepszych ściągnął na dwór swój aktorów (*τραγῳδούς*), aby w święta i w dni uroczyste, prace dawne lub dramata współczesne przedstawiali; a jego następcy z dwojakich względów, z literackiego i książęcego, czuli potrzebę stawiania wielkich teatrów, pozyskania dobrych aktorów i przynęcania świeżych talentów celem obudzenia emulacyi w kompozycyach dramatycznych.

Jak daleko wpływ helleńskiéj sięgał oświaty, a znać go od III^go^ stulecia przed Chr. aż do ustalenia się i uznania chrześciaństwa czyli do upadku państwa rzymskiego, nie było stolicy w Azyi, nie było zakątka przystępnego dla nauk i oświaty, któryby prędzéj— późniéj z powodu cześci bogom oddawanéj i świątecznych zgromadzeń nie był wzniósł świątyni sztuce dramatycznéj. Nawyknienie do helleńskiéj oświaty wymagało tego, a liczne nadto pobudki parły książąt i bogate rodziny do utrzymania i pielęgnowania sztuki scenicznéj, i do poszukiwania środków skutecznych ku technicznemu wykształceniu. Sztukmistrze ci teatralni (*οἱ περὶ Διόνυσον τεχνῖται, οἱ ἀτὸ σκηνῆς, οἱ ἀτὸ θυμέλης*) łączyli się w zbory i cechy (*σύνοδοι*) i ulegali osobnym prawom karnym, zażywając oraz świetnych przywilejów, (*ασυλία, ασφάλεια, ἀτέλεια*) t. j. znajdywali przytułek, byli pod opieką rządów i wolni od podatków.

Tym sposobem stać się mogło, że stare dramata tak długo się utrzymywały na scenie. Dramata głównie trzech najprzedniejszych mistrzów i utwory późniejsze czytano pilnie lub grywano, i tém samém zachowano w pamięci. Przynajmniéj o publiczności oświeceńszéj powiedzieć to można z pewnością, która tym sposobem odświeżała nieustannie smak swój, i pokarm posilny dostarczała duchowi. Wszakże z tego wynikło równocześnie, że Grecy po upadku ojczyzny raczéj uczonemi badaniami i krytyką, niż samodzielnémi utworami słynęli.

Mnóstwo teatrów przytém wszystkiém szkodliwy oraz wpływ wywarło na rozwój sztuki dramatycznéj. Każdy autor bowiem był skazany tylko na rodzinne lub jedno miasto, i nie mógł spodziewać się dalszego rozpowszechnienia utworów. Dlatego i owo grono aleksandryjskich tragików za rządów Ptolomeusza Philadelpha, wielkiego miłośnika i opiekuna nauk, pozostało bez wpływu na nauki i scenę. Znakomitszych z tegoż grona poetów wspominają grammatycy pod nazwiskiem Plejady (*πλειάς τραγική*) i do niéj należą: Lykophron, Alexander Etolczyk, Philiskos, Sosythenes, Sosiphanes i t. d.

Najstarszy z nich *Sosiphanes z Syrakuzy*, współczesny Alexandra Wielkiego, z kilku tylko ułamków pozostałych po 73 dobrze według doniesień napisanych tragedyi jest znany. Był on kapłanem Dyonyzosa za rządów Ptolemeusza II. Tudzież mało pozostało się po Alexandrze Etolczyku i Lykophronie, który sił swoich doświadczał także w satyrycznym dramacie. Ułamek z Sosythenesowego pasterskiego dramatu Lytyerses, dowodzi podobno wielkiéj biegłości w wysłowieniu; tudzież satyryczne tegoż dramata miały odznaczać się stylem lekkim i nie wymuszonym. Można tu jeszcze pobieżnie wspomnieć o młodszym Homerze, autorze 45 nigdzie nie nazwanych tragedyj; podobnie o mało znanych *Kleantydesie i Dyonyzyadesie z Tarsos* i nareszcie o jakiéjś dyalogizowanéj *exagoge*, utworze żyda Ezzechiela, odznaczającym się płaskością i niepoprawnością języka (1).

(1) P. Bernhardy, który ich wszystkich przytacza.

Tak więc po rozlaniu się helleńskiéj oświaty z mody i dla wystawności w stolicach i po dworach książąt (nawet Partów), tragedya przechowała się niby sprzęt ku wygodzie służący, bez literackiego znaczenia i odgrywaną była w święta i uroczystości Dyonyzosa i innych bożków. Należało do tonu dobrego i potrzeb życia, nią się zajmować; a przedstawianie nieustanne starszych prac zachęcało do naśladownictwa i gorliwości licznych dyletantów. Grywano zwykle dramata Eurypidesa, rzadziéj Sofoklesa. Atoli kiedy Pantomineos czyli udoskonalona orchestyka wzięła górę i obyczaje znarowiły się, nawet na dworze bizantyńskim, i ten poważny znak zatarł się; a bawiąc się jedynie odczytywaniem dyalogów, wydano tragedyą na pastwę uczonym badaczom: tak że od początku IV^go^ stulecia po Chr. nie pojawili się owi poeci, ani téż tytuły sławnych tragedyi z tych wieków nie doszły do naszéj wiadomości.

GLADYATOR RAWEŃSKI,

TRAGEDYA W 5 AKTACH FRYDERYKA HALMA.

PRZEŁOŻYŁ

Bolesław Wiktor.

(Dokończenie).

AKT III.

SCENA PIĘRWSZA.

GLABRIO *wprowadza* LICYSKĘ, *mającą wieniec z róż na głowie, mnóstwo wieńców na ramieniu i koszyk w ręku.*

GLABRIO.

O! nie na forum, tutaj pójdziesz ze mną!

LICYSKA.

Ledwiem przybyła, zaraz się jak pszczoły
Tłumy dla kupna roją i zbiegają;
Po co z wesołą rozdzielasz mnie zgrają,
I tu prowadzisz w tę budowlę ciemną?

GLABRIO.

Po co? Bo jestem jak chory na-poły,
Takem się dzisiaj zmordował okrutnie!
Bom zbił tych łotrów; ty musisz tę kłótnię
Wnet uspokoić! Ja sam nie dam rady!

LICYSKA
(*stawiając obok siebie koszyk i kładąc nań wieńce*).

Cóżto?

GLABRIO.

Keixa z Tumelikiem zwady!
Tumelik znalazł tutaj uwięzioną
Matkę swą własną, która była żoną
Księcia Germanii.

LICYSKA.

A więc i on księciem!
A myśmy z nim się tak spoufalili;
By przodki jego to nam przebaczyli!

GLABRIO.

Ten tytuł właśnie kłótni był poczęciem.
Tak jak ty cała ma krzyczy drużyna:
„*Mój książę, królu!*" z ust do ust przechodzi,
Wtém nazwą: „niedźwiedź, dzik!" tłum weń ugodzi,
I każdy innym żartem mu docina.

LICYSKA.

Cóż on?

GLABRIO.

Bił pięścią na lewo, na prawo,
A oni wzajem! Więc tę bójkę krwawą
Musiałem tęgo batem uspokajać,
Lecz trzeba było zmęczyć się i zziajać;
I właśnie ciebie na to z sobą wiodę,
Byś między niemi przywróciła zgodę.
Jutro igrzysko, a wiesz że przed bojem
Umysłu niczém drażnić nie należy.
Cezar mijając dziś tłumy szermierzy,
Na Tumelika raczył okiem swojem
Rzucić, i kazał, bym starań nie skąpił,
Żeby on mężnie w igrzysku wystąpił.

LICYSKA.

Próżne staranie! Jak lew gniewem wrzący
On tak odważny, biegłość ma nie małą.

GLABRIO.

Ba, biegłość! Piasek cyrku jest gorący;
Przytém kto pierwszy raz ma na broń białą,
A nie drewnianym mieczem lub patykiem,

Spotkać się z takim groźnym przeciwnikiem
Jak Djodor.....

LICYSKA.

Djodor, co ma wzrost olbrzyma,
Co zawsze w walce zwycięztwo otrzyma,
I ztąd *zwycięztwa synem* go nazwali?

GLABRIO.

Tak, z nim się właśnie ma Tumelik zmierzyć.

LICYSKA.

Cezar go wskazał; i cóż go ocali?
Któż z takim wrogiem walkę może przeżyć?

GLABRIO.

Pleciesz! kto padnie o tém los rozstrzyga;
Niechaj z krwią zimną mężnie wroga ściga,
Niechaj przytomność swą całą wysili,
A kto wie, gdzie się zwycięztwo przechyli!.
Lecz ty pamiętaj: przyłożyć starania,
Jak się należy w głowie mu naprawić,
I żeby gniewem roztężone żyły
Na czole jego znów się wygładziły;
Niech złość mu jutro wzroku nie przesłania,
Popieść go, żartem staraj się zabawić.

LICYSKA.

Wpierw go rozłoszczę; gdy gniew swój wyzionie
Na mnie, to żal go odda w moje dłonie.

GLABRIO.

Zgoda! Nie będę się do tego mieszać.
Powiédz,—wszak lubi strojne szaty wieszać,—
Że on w germańskim walczyć będzie stroju;
Powiédz, że Keix stanie z nim do boju;
Lecz nie wspominaj nic o Diodorze.

LICYSKA.

Ale ten straszny Djodor go zabije?

GLABRIO.

Do stu piorunów! Któż wié? to być może.

LICYSKA.

Ha! wszak on szermierz! na to go tu wzięli.
By w hańbie zginął jak ja w hańbie żyję;
Wszak mniejsza o nas, gdy Rzym się weseli.

GLABRIO.

Cóżto za mowa, szalona głupoto!
Precz z tém współczuciem! przestań się frasować,
Jeżeli nie chcesz bata zakosztować!
Patrz gdzie uciecha, twa korzyść i złoto;
Bo reszta wszystko jest głupstwo wierutne.
Cicho! ot idzie! patrz jakie okrutne,
Dzikie spojrzenie! patrz, jaki wzburzony,
Do siebie gada jak gdyby szalony!
Na wszystkie bogi! to pięknie wygląda
Ten, co go Cezar jutro widzieć żąda
W cyrku. Do dzieła! szukaj na to rady,
Użyj twéj sztuki, uśmierz te napady.

SCENA DRUGA.

Wchodzi TUMELIK *z prawéj strony, nie widząc* LICYSKI *i* GLABRIONA, *który usuwa się w głąb na lewo.*

TUMELIK.

Przeklęty losie! Ja w wieku dziecięcia
O matce nawet nie miałem pojęcia;
Gdy niepotrzebna, teraz ją znachodzę!
I cóż że ze krwi książąt się wywodzę?
Piękną mam korzyść, bo księciem niedźwiedzi
Mnie nazywają i królem żebraków;
O! doczekacie się méj odpowiedzi,
Ja wam zapłacę, nauczę łajdaków.

LICYSKA

(która dotąd była w głębi, wyrzucając kwiaty i wieńce, jak gdyby jéj z kosza wypadły).

O! moje kwiaty!

TUMELIK.

Co? czy mnie wzrok myli?
Zkądżeś się wzięła, tu w Rzymie, Licyska?

LICYSKA

(klęcząc, zajęta kwiatami).

I to już wszystko? Nawet się nie schyli,
I moim kwiatkom nie przypatrzy zblizka.

TUMELIK

(spostrzegając koszyk i kwiaty).

Kwiaty! Zaledwie do Rzymu się wniosła,
Do obrzydłego bierze się rzemiosła,
I kram ze swoim towarem rozstawia;
Bo mnie dokuczać, to ciebie zabawia.

LICYSKA.

Kwiaty obrzydłe? Coś tak oburzony?
Patrz, jakie róże, jakie anemony!

TUMELIK.

Precz! tu na handel nie miejsce, nie pora,
Gdzieindziéj kwiatów szukaj amatora.

LICYSKA

(która tymczasem znów napełniła koszyk kwiatami i położyła na nie wieńce).

A to mi piękne przyjęcie od zrzędy!
Złośniku! lepsze okazał mi względy
Mąż konsularny, starzec, głowa siwa,
Co mnie napotkał: zaraz mnie przenika
Wzrokiem, co zda się do rozkoszy wzywa,
Głaszcze po twarzy, i wtém do koszyka
Wrzuca tabliczkę.

(wstając i podając mu ją).

Patrz!.... nie umiesz czytać!

TUMELIK.

Nie chcę nic wiedzieć i o nic się pytać.

LICYSKA

(czyta).

„Z różami w koszyku, różą się wydajesz,
Czy róże, czy siebie, czy wszystko sprzedajesz".

TUMELIK.

To zwiesz grzecznością! A! na wszystkie bogi,
Więc i ten grzeczny kto daje batogi!

LICYSKA

(łasząc się do niego).

Za lada żarcik zaraz cię złość bierze,
Pójdź do mnie dziczku, zawrzyjmy przymierze.
Co nas do licha ten stary obchodzi!
Spojrzyj się na mnie, uśmiech nas pogodzi.
Co to u boku twego się kołysze?
To nóż rzeźniczy?

TUMELIK.

A co ci do tego?

LICYSKA.

Proszę cię, powiedz.

TUMELIK.

To miecz ojca mego.

LICYSKA.

Co mówisz, ojciec? kim był, niech usłyszę?

TUMELIK.

Księciem Germanii, Arminem nazwany,
Odniósł zwycięztwo sławne nad Rzymiany.

LICYSKA.

To i tyś księciem!

TUMELIK.

Więc i ty chcesz szydzić,
We mnie niedźwiedzia, dzika tylko widzieć!
Ty śmiesz....

LICYSKA.

Coś znowu sobie wyobraził?
Ja, szydzić z ciebie? Takeś mnie przeraził,
Że aż kolana zadrżały podemną.
O byle słowo wpadasz w złość daremną.
Chociaż Germanką nie chciałabym zostać,
Jednak to tylko.....

TUMELIK.

Jest traf nieszczęśliwy.
Ale wystawiać jako towar żywy
Wyróżowaną śmiejącą swą postać,
Zerkać i z każdym chychotać z ochotą,
I podlą łaskę dać za podłe złoto,
To—tylko hańba!

LICYSKA
(ze łkaniem).

Taką mam nagrodę,
Że mimo trudy, mimo niewygodę,
Z Rawenny tutaj za tobą-m spieszyła,
I zaraz z rynku dążyłam co siła,
By tylko ciebie czemprędzéj zobaczyć!

TUMELIK.

Porzuć te szlochy!

LICYSKA.

Tak, możesz mnie raczyć
Wzgardą, szyderstwem, kiedy cię szalenie
Kocham; rozdziału samo przypuszczenie....

TUMELIK.

Przestańże płakać, bo mnie wściekłość dzika,
Kiedy ty płaczesz całego przenika!
Ot widzisz, z matką dziwaczna rozmowa,
Keix, szydercze towarzyszy słowa,
Wszystko to burzy, do wściekłości gniewa!
A ty przychodzisz jak na żar oliwa.

LICYSKA.

Co ja? Przeciwnie, jam się radowała
Tą myślą: jaka będzie rzecz wspaniała.
Gdy książę German germańskie ubranie
I zbroję wdziawszy, pośród cyrku stanie.

TUMELIK.

W germańskiéj zbroi?

LICYSKA.

Gdy włoży na czoło
Przyłbicę, skrzydły ubraną sępiemi,
I skórę zwierza z bark zwiesi do ziemi.
Widzę, to wszystko obojętném tobie;
Wszak tyś się w zbroi lubował ozdobie.

TUMELIK
(*popędliwie*).

Za nic w germańskiéj nie chcę walczyć zbroi.

LICYSKA.

Chybaś oszalał!
(*Naśmiewając się*).
Ał mamy się boi!
Matka nie każe!

TUMELIK.

Nawet nie wie wcale....

LICYSKA.

Żeś ty szermierzem! Więc cóż jest przeszkodą?

TUMELIK.

Nie chcę, by ze mnie szydzili zuchwale,
W niedźwiedziéj skórze gdy do cyrku wwiodą.

LICYSKA.

A jam myślała, że ty ich ukarzesz,
Słowa zelżywe ich krwią własną zmażesz.

TUMELIK.

Jakim sposobem?

LICYSKA.

Gdy na złość szydercom
Staniesz do walki, śmierć niosąc oszczercom,
Bo ty zwyciężysz!

TUMELIK.

W germańskiéj odzieży!

LICYSKA.

Gdy twój przeciwnik...

TUMELIK.

Keix!

LICYSKA.

Powalony,
Ledwie że z tobą na chwilę się zmierzy,
I rozszarpany niedźwiedziemi szpony,
Krwawiąc się w pyle przy twych padnie nogach,
Czyż to nie kara, nie zemsta na wrogach?

TUMELIK.

Więc się z Keixem mam jutro rozprawić.
Gdyby już teraz w krwi jego się plawić,
Zdusić i wyrwać ten język potwarczy!
Czy mi do jutra cierpliwości starczy?

LICYSKA.

A więc chcesz walki?

TUMELIK.

Niech uschnie ta ręka,
Gdy się w krwi Keixa jutro nie zanurzy!

LICYSKA.

Więc o ubranie nie spierasz się dłużéj?

TUMELIK.

Już mnie szyderstwo żadne nie ulęka,
Chętnie się nawet w suknie błazna skryję,
A tego łotra Keixa zabiję!

LICYSKA.

Twe oko błyska, oblicze twe świeci:
Teraz tyś moim pięknym gladyatorem,
Którego widok radość we mnie nieci.
A więc cię za to... nie, lepiéj wieczorem,
Gdy będziesz rzeźwy i wesół, jak wrócę,
Dam pocałunek, w objęcia się rzucę.

TUMELIK
(*przytrzymując wyrywającą się*).

Czemuż nie teraz?

LICYSKA
(*wymykając się*).

No! Puść mnie, idź sobie!

TUMELIK
(*goniąc za nią*).

Musisz!

LICYSKA
(*znów się wyrywając*).

Nie! otóż ja na złość ci zrobię.

TUMELIK
(*obejmując ją*).

Właśnie że teraz.

SCENA TRZECIA.

CIŻ *i* TUSNELDA, *która wchodzi z prawéj strony z boku.*

TUSNELDA.

Drogie me dziecię!
(*Tumelik puszcza Licyskę, Tusnelda o krok naprzód postępuje*).
Kto ta kobieta?

LICYSKA
(*do Tumelika*).

Czy to twoja matka?

TUSNELDA.

A ty kto jesteś?

LICYSKA

(*włożywszy wieńce na ramię i uchwyciwszy koszyk*).

Nie widzisz, że przecie
Jam też kobietą? żem hoża i gładka;
Wprawdzie nie księżna, lecz jestem Rzymianka;
Kwiaciarka, niby róża z tego wianka,
Jak róża kwitnę, lecz i ukłuć skora.
Teraz wiesz księżno!

(*Przesyłając Tumelikowi pocałunek*).

A więc do wieczora.

(*Odchodzi w głąb*).

SCENA CZWARTA.

TUSNELDA, TUMELIK.

TUSNELDA.

Wiem, moje dziecię, że dusza pozioma
Szydzi z niedoli, współczucia się sroma;
Więc się nie dziwię, że i ta dziewczyna,
Jak jéj podobni, tak ze mną poczyna;
Lecz tego sobie nie mogę wystawić,
Byś mógł ją kochać.

TUMELIK.

Cóż? ładne stworzenie;
Przytém wesoła, więc ją za to cenię.

TUSNELDA.

Więc na igraszkach lubisz z nią czas trawić,
Choć jéj nie kochasz i nie masz czci dla niéj?
Inaczéj w twojéj ojczyźnie Germanii:
Najdzikszy rycerz czci w każdéj kobiécie
Tę, co w swém łonie dała jemu życie,
I z wiarą chwyta prorocze wyrazy
Z ust nieskalanych dziewicy bez zmazy!

TUMELIK.

Tak jest w Germanii, my—między Rzymiany.

TUSNELDA.

O! i zbyt długo! Dość! Jam dotąd żyła
Radością szczęścia, żeś ty odzyskany,

O czemś ważniejszém będę ci mówiła:
Bo wielka przyszłość dla twego imienia,
I wstrząsające wszem światem zdarzenia
Na twojéj głowie, synu, spoczywają!

TUMELIK.

Co mówisz? Jaką myśl twe słowa mają?

TUSNELDA.

Wkrótce się dowiesz! Żeś Armina synem,
To ci wiadomo i dowiedziesz czynem.
Teraz Zygmarze, niech się o tém dowiem,
Co z ciebie zrobił Rzym, mój wróg śmiertelny?

TUMELIK.

Widzisz, żem wyrosł, żem silny i dzielny.

TUSNELDA.

O dzięki bogom, że się cieszysz zdrowiem
I męzką siłą! To dziedzictwo męża.
Lecz jakże twoje Rzym rozwijał siły?
Czy się w zajęciach służalczych kształciły?
Pług czy rzemiosło podłe je natęża?

TUMELIK.

Ja tylko miecza dotykałem dłonią,
Bo mém rzemiosłem jest władanie bronią.

TUSNELDA.

Na wojownika kształcą ciebie sami!
O wielkie bogi! wy jesteście z nami!
Gdy kto ma zginąć, wpierw go oślepicie;
I gdy zuchwale ku celowi kroczy,
Żeby się potknął, źdźbło piasku rzucicie:
Zaledwie ciężkość własna go popchnęła,
Niepowstrzymanie w przepaść się potoczy,
Którą sam wyrył, by go pochłonęła!
Na własne plecy sami kręcą bicze,
Sami nóż ostrzą na ciosy zbrodnicze,
Co się w ich własnéj piersi zarumieni;
Przeciw nim bogi: więc już zatraceni!

SCENA PIĄTA.

CIŻ *i* FLAWIUSZ ARMINIUSZ, *który ukazuje się w głębi.*

FLAWIUSZ.

Tusneldo!

TUSNELDA
(z przerażeniem).

Przebóg!

TUMELIK.

Co to ci się stało?

TUSNELDA.

Raz go słyszałam, ale nie przebrzmiało
Dla mnie zdradnego tego głosu brzmienie.

FLAWIUSZ
(zbliżając się).

Słuchaj Tusneldo!

TUSNELDA
(zwolna ku niemu odwracając się).

Więc to nie złudzenie!
Czego chcesz, synu ojczyzny wyrodny,
Coś splamił gniazdo swe, zdrajco niegodny,
Co w swém imieniu Romę i Germanię,
Wolność z niewolą, zdradę i wytrwanie,
W niesfornym dźwięku haniebnie kojarzysz;
Co chcesz, zkąd do mnie przybliżać się ważysz?

FLAWIUSZ.

Ty się mną brzydzisz! Wiem, bo gdy przed laty
Tu chciałem ciebie zbawić od zatraty,
Tyś mnie od siebie z gniewem odepchnęła,
Precz iść kazała i jeszcze przeklęła.

TUSNELDA.

Jak na Wezerze tyś Armina słowy
Wzgardził, i włócznię w nim utkwić gotowy!
Tak jam ci wzgardę i klątwę rzuciła:
Jakaż cię znowu ku mnie zwraca siła?

FLAWIUSZ.

Nie ten, co dawniéj z gniewem cię porzucił,
Jam łagodniejszy, starszy dziś powrócił;
I w tobiem myślał, że dziś zawiść mniejsza,
Żeś sprawiedliwsza, żeś ty łagodniejsza,
I żeś nietylko bardziéj grobu bliska,
Ale i prawdy wiecznego ogniska!
Bo nie jam zgodę braterską zamącił,
Tylko prąd losu nas obu roztrącił,
Każdego w inną odrzuciwszy stronę;
A i duch jego, gdyby z téj wyżyny,
Gdzie pokój z prawdą wiecznie zjednoczone,
Zestąpił ku nam, zbliżyłbym się k'niemu
Z takąż ufnością, jak ku sercu twemu.

TUSNELDA.

Gdyby spojrzenia jego na cię padły,
Ukryłbyś twarz twą drżący i wybladły.
Smiesz przeczyć temu?
(*Pokazując mu Tumelika, który, dotąd stojąc na boku, nagle ku Flawiuszowi się zwrócił*).
Patrz! ot masz Armina,
Czy się ośmielisz nań okiem twém rzucić?

FLAWIUSZ
(*kryjąc twarz w dłonie*).

Armin, o bogi!

TUMELIK.

Zaprzestań go smucić:
Biédnego człeka żal mnie brać poczyna.

TUSNELDA.

Bądź wszystkim łaskaw jako jasność słońca,
Miéj litość nawet dla dzikiego zwierza,
Dla wroga, gdy w nich cios twój się wymierza;
Ale dla zdrajcy—nienawiść bez końca.

FLAWIUSZ.

Więc gdy twe serce tak nieubłagane...

TUSNELDA.

Taką dla ciebie do grobu zostanę.

FLAWIUSZ.

Niech już méj duszy żal i wstyd nie gniecie!
Nienawiść, kiedy miłości nie chcecie.

Słuchajże teraz co ci rozkazano:
Z woli Cezara, ty masz, jutro rano,
W książęcéj szacie, w koronie dębowéj,
Być świadkiem walki w arenie cyrkowéj.

TUSNELDA.

W książęcéj szacie? w cyrku? Czy dla wzgardy,
Czy co gorszego gotuje los twardy?

FLAWIUSZ.

Zadrżałaś dumna córko Segestowa?
Słuchaj, Cezara takie dalsze słowa:
Piérwszy raz syn twój, tam, w twéj obecności
Złoży dowody sztuki i zręczności.

TUSNELDA.

Jakiéjto sztuki? Śmiej się, lecz mów przecie;
Cóż mi zagraża, co czeka me dziecię?

FLAWIUSZ.

Więc nie wiesz o tém, że twojego syna
Rzym zaoszczędził jak innych tysiące,
Aby krew jego i zgonu godzina,
Dały ludowi zabawy drażniące?
I nie znasz ludzi, co wedle prawidła
Walcząc, na siebie zastawiają sidła,
I wedle reguł mordują się wzajem?
My gladyatorów nazwisko im dajem.
(*Wskazując na Tumelika*).
Oto z nich jeden, co w germańskim stroju
Na śmierć i życie stawi się do boju.

TUSNELDA.

Na śmierć! W germańskiéj odzieży się stawi!
(*Do Tumelika*).
Czyś ty jest takim, jako on tu prawi?

TUMELIK.

On prawdę mówi!

TUSNELDA.

Ty jesteś szermierzem?

TUMELIK.

W każdym rodzaju walki jestem panem:
Konno, na wozie, kosą czy arkanem. -

TUSNELDA.

To syn Armina!
(*Zasłania twarz rękoma; po chwili, nagle zbliżając się do Flawiusza*).
Nie dość wam pozbawić
Życia, lecz jeszcze zbezcześcić, zniesławić!
Wymyślni, dają ojców szatę, zbroję,
Żebym, ginące widząc dziecię moje,
Na hańbę rodu, Germanii patrzała;
Lecz próżno wasza złość się wysilała,
Napróżno Cezar groźne śle rozkazy:
Tak, z woli bogów chwila nie daleka,
Gdzie nas wznioślejszy daleko los czeka,
I będzie koniec nasz świetnym, bez skazy.

FLAWIUSZ.

Czyś ty bez zmysłów? Gdy Cezar *tak!* powié,
Któż śmie powiedzieć *nie!* wbrew Cezarowi?

TUSNELDA.

Ja!.... Świątecznego nie wezmę odzienia,
Żeby być świadkiem Germanii shańbienia,
I nigdy syna mego nie ujrzycie,
By w cyrku walczyć miał o śmierć i życie,
Jak na szyderstwo nosząc miecz rodzica;
Mój syn tą walką nie będzie się kalał.

TUMELIK
(*z gwałtownością*).

Ja nie mam walczyć! Chcesz żebym oszalał?

TUSNELDA.

Wielcy bogowie!

TUMELIK.

Cezar mnie zaszczyca
Łaską i z Keixem walczyć mi pozwala,
I nie mam walczyć, mówisz że to kala?
Skryć się nikczemnie, kiedy towarzysze
Radosnym krzykiem przerwą cyrku ciszę,
Śląc pozdrowienie śmierci Cezarowi.
Maż Keix, szydząc, palcem mnie wskazywać,
Zajęczém sercem i tchórzem nazywać?
Nie walczyć, wolałbym paść tu nie żywy!

FLAWIUSZ
(*do siebie*).

Nie czuje hańby swojéj! On szczęśliwy!

TUSNELDA.

Zygmarze, męztwo przystoi mężowi:
Ty jesteś mężny i wnet dasz dowody,
Gdy z dumną Romą pójdziemy w zawody;
Lecz tu winieneś sił twoich żałować,
I na kuglarstwo podłe nie marnować.

TUMELIK.

To się nikczemném kuglarstwem nazywał
Gdy Rzym świąteczne szaty przyodziewa,
Kiedy do cyrku z orszakiem rycerzy
Cezar pospiesza; gdy lud cały bieży,
Gdzie jak ocean, burzą rozhukany,
Z szelestem piętrzą się tłumów bałwany;
I ot, na jedno Cezara skinienie
Otwarto szranki, i nagłe milczenie
Jak gdyby nigdy nie istniał głos człeka.
Już znak podany: zblizka i zdaleka
Grady pocisków. Jeden już umyka,
Arkanem chwyta za hełm przeciwnika,
Wyrwał się; znowu pętlica rzucona,
Wikła się, walczy, wtém cios go rozkrwawia:
Chwieje się, pada, pierś wrogom nadstawia,
I cios przyjmuje i spokojnie kona.
A jako piorun, gdy łono chmur trzaska,
Wstrząsając ziemią wszystko w okół klaska,
Nad pijanego zwycięztwem grzmi głową,
Rzuca rózami, koroną laurową;
Na znak Cezara wnet tysiączne głosy
„Chwała zwycięzcy" już huczą w niebiosy.
Więc to kuglarstwo i podła zabawa?
Nie, to zwycięztwo, to życie i sława!

TUSNELDA.

Marzysz o laurach, synu, tyś w obłędzie;
Nie wiesz, że zgon twój pociechą tym będzie,
Co twego ojca zwycięztw mścić się chciwi;
I ty....

TUMELIK.

Chcę walczyć, to mnie uszczęśliwi.

TUSNELDA.

I pamięć ojca, ojczyznę splugawisz,
I serce matki świętokradzko skrwawisz,
Gdy jéj nadzieja w żalu się zagrzebie!
Więc nic świętego już nie ma dla ciebie?

Zwą cię szermierzem, więc już na rzeź bieżysz?
Tyś syn Armina, ty do nas należysz!

TUMELIK.

Jam jest szermierzem: gdy się tego wstydzisz,
Dla twéj Germanii sztukę moją chydzisz,
To wiedz, że ja się Germanem być wstydzę,
I barbarzyńcy nazwy nienawidzę:
Na wieki mego wyrzekam się rodu:
W Rzymie-m się rodził, wychował od młodu,
A więc ja jestem....

TUSNELDA.

Zamilcz, nieszczęśliwy!

TUMELIK.

Jam jest Rzymianin, Rzymianin prawdziwy!
Pośle Cezara, idź do twego pana,
Z tém, że się jutro w cyrku stawię z rana,
Żeby: zwyciężyć, gdy pozwolą bogi;
Zginąć, jeżeli ich wyrok tak srogi,
(*Odchodzi na lewo*).

FLAWIUSZ
(*po chwili do Tusneldy, stojącéj w osłupieniu, z twarzą ukrytą w dłoniach*).

Chociaż w twym gniewie tak jesteś zawzięta,
Już moje serce zniewag nie pamięta;
Ja mścić się nie chcę i na ciebie godzić,
Ni twym zamiarom tajemnym przeszkodzić:
Przebaczam krzywdy od ciebie doznane,
O, serce matki biedne i znękane!
(*Odchodzi głównem wejściem*).

TUSNELDA
(*sama*).

Hańbę, słabości owoc będę zbierać,
Kiedym nie miała odwagi umierać.
Gdy syn mój pragnie do wrogów się zwrócić,
W szale na chwałę ojca plamę rzucić:
To moje dzieło! Nie troszcz się Arminie,
Nie dam cię shańbić: twój syn tak nie zginie.

AKT IV.

(Scena jak w akcie III).

SCENA PIERWSZA.

MEROWIG *i* RAMIS *wchodzą przez główne wejście,* TUSNELDA *idzie ku nim odedrzwi z prawéj strony.*

TUSNELDA.

Bądź pozdrowiony, dotrzymałeś słowa;
Obyś tu przybył w szczęśliwą godzinę!

MEROWIG.

Właśnie radosną przynoszę nowinę:
Pani, dzisiejszéj nocy bądź gotowa,
Gdy do tych murów wejdę z mym orszakiem;
Straże zyskane, przelecimy ptakiem
Oddzielające nas od gór równiny:
A gdy dostaniem się już w Apeniny....

TUSNELDA.

Dosyć już tego! Ty myślisz o zbiorze,
A ja się jeszcze o sam zasiew trwożę.

MEROWIG.

Coś taka smutna? Powiedz, jako żywo!
A więc mi Ramis rzekła rzecz prawdziwą:
Że nie poradzić nic z jego uporem,
Że on chce zostać w Rzymie gladyatorem?

RAMIS.

On w ręku Rzymian stał się Rzymianinem.

TUSNELDA.

A ja wam mówię, mylicie się wielce:
On w każdém drgnięciu serca Germaninem,
On Germaninem w każdéj krwi kropelce,
Z German wiernością on przy Romie stoi,
Z German odwagą do walki się zbroi,
Z szałem germańskim wszystko woli raczéj,
Niż to co swoje. Nie można inaczéj...

TUMELIK
(*za sceną*).

Io, Bachusie! trącajmy Licyska!

TUSNELDA
(wstrząsnąwszy się).

To on!

MEROWIG.

Pijany i kubkami ciska.

RAMIS.

Tak się Armina syn hucznie weseli,
Hałasną ucztę z rozpustnicą dzieli,
Z puharem, wsparty na miękkie wezgłowie,
Buja u łona i pije jéj zdrowie.

TUSNELDA.

Pozwólcie, niechaj ten prąd młodociany
Pędzi jak morskie na brzegi bałwany;
Niech ta gwałtowność, dzika, szalejąca,
Odrazu z drzewa życia kwiat postrąca;
Niech świeża młodość bąblami wystrzeli:
Z mętów się wino szlachetne oddzieli.

MEROWIG.

Niechby nim tylko swawola nie władła,
I niechaj tylko siła zeń wybucha,
Nie zaś, lgnącego w błoto, niemoc ducha:
Bo gdzie mrze dzielność, nadzieja przepadła!

TUSNELDA.

Wy potępiacie go za to oboje,
Że on tak ostro przyjął słowa moje;
On—szermierz, pragnie walki i zwycięztwa;
Więc mnie nie dziwi gniew blizki szaleństwa:
Bo czyliż mógł on tego się wyrzekać,
Od czego z hańbą musiałby uciekać?
Lecz gdy ty przed nim, posłańcze swobody,
Staniesz i wskażesz naród nad narody,
Który na jego chorągiew przysięgnie,
I gdy on tylko myślą w przyszłość sięgnie,—
Nieśmiertelnością, co jemu zaświeci,—
Wtedy już z oczu przepaska mu zleci;
Wszakże los wielki podnosi człowieka:
Więc i on pozna czem jest, co go czeka.

LICYSKA
(śpiewa za sceną, przygrywając na lutni).

„Pocałunek, wrzące wino,
Pić z ust twoich purpurowych,
To znów z jagód lazurowych!

Pocałunek, wrzące wino,
Zdwają szczęście me, dziewczyno!"

TUMELIK
(*za sceną wtórując*).

„Zdwaja szczęście me, dziewczyno!"
Io, Bachusie!

TUSNELDA
(*do siebie*).

O biada mi, biada!
Gdy śpiew ten słyszę, nadzieja upada:
Skoro ta Roma zawzięta, fałszywa,
Zupełnie skrzydła ducha mu podcięła.
I jego serce jadem swym przejęła....
Nie! Bo cokolwiek naszem przeznaczeniem,
Syn mój nie będzie ojczyzny shańbieniem.

MEROWIG
(*po chwili*).

Tusneldo! spiesz się, czas drogi upływa.

TUSNELDA
(*do Ramis*).

Zawołaj syna; niech twe oko śledzi,
Czy gdzie w ukryciu szpieg jaki nie siedzi.
(*Ramis odchodzi bocznemi drzwiami*).

MEROWIG.

Trza było,—chwila działania już bliska,—
Dawniej go w całą wtajemniczyć sprawę!
Jutro mu grozi walka śród igrzyska.
Zbawiem go, zaraz gdy zechce uciekać;
Lecz jeśli będzie wahać się i zwlekać.....

TUSNELDA.

Niebo, spodziewam się, będzie łaskawe.

MEROWIG.

Kto się spodziewa, ten pewno się lęka;
Bo gdy nadzieja całkiem go odbieży,
Wtedy z modłami przed niebem uklęka.
Gdybyś ufała w syna twego szczerzéj....

TUSNELDA.

Ja ufam w bogów; a co bądź nam dano,
Germanii sprawy nie mam za przegraną!
O tak! Idź na bok!

SCENA DRUGA.

CIŻ *i* TUMELIK, *który wchodzi z Ramis.*

TUMELIK
(*do Ramis*).

Al niech cię licho! Szepczesz z taką trwogą!
Co, czarownico? gdzie mam iść, do kogo?

RAMIS.

Tu, do twéj matki.

(*Oddala się w głąb*).

TUSNELDA.

Przybliż się, Zygmarze.

TUMELIK.

Na co to wszystko! A! to mnie już złości!
No, tylko prędzéj! Mam u siebie gości;
Nie, to mnie raczą. Niech mnie niebo skaże!
Nie wiem, co chcecie. Daléj, czas ucieka!

TUSNELDA.

Słuchaj, mój synu, spojrz na tego człeka.

TUMELIK.

Proszę! to widok nie taki obrzydły:
Skóra niedźwiedzia, hełm z sępiemi skrzydły!
(*Oglądając i obchodząc Merowiga*).
Ani myślałem! to wcale niezgorzy,
Gdy strój ten, chociaż germański, się włoży.

TUSNELDA.

A wiesz ty kto to?—Co się z tobą dzieje?

TUMELIK.

Ten człek, Cezara pełniąc rozkazanie,
Przyszedł pokazać mi owe ubranie,
Jakie ja jutro do cyrku przywdzieję.

TUSNELDA.

To błąd hańbiący jak i twoje życie,
Na które wskazał ciebie Rzym, me dziécię;
Wiédz, że twój ojciec, tego oto męża
Miał towarzyszem dozgonnym oręża.
By mógł do ciebie łatwiéj być zbliżony,
On wszedł niedawno w germańskie legiony;

I tu z Germanii do nas jest przysłany,
By naszych więzów pokruszyć kajdany:
A więc w nim uznaj oswobodziciela.

RAMIS.

Wiernego jak i ojcu przyjaciela.

MEROWIG.

Książę!—bo tak nam Cheruskom przystoi,
Ciebie, po śmierci rodzica nazywać,—
Jam jest przysłany od ojczyzny twojéj,
Co błaga: Nie daj jéj dłużéj okrywać
Hańbą, co w twojéj doznaje rodzinie;
Żeś bohaterów syn, dowiedź to w czynie:
Schwyć miecz ojcowski, niechaj grozę szerzy,
Pomści i karę wrogowi wymierzy.

TUSNELDA.

Czy słyszysz, synu? Ludy w całym kraju,
Od brzegów Renu do brzegów Dunaju,
Od rzeki Sali po same Karpaty,
Wzywają ciebie Germanii powiaty.
„Powstań!" ten okrzyk rozlega się grzmotem,
Szeleszczą miecze i śród gór z łoskotem
Zagrały rogi. Więc synu Armina
Powstań! bo zemsty zbliża się godzina.

MEROWIG.

Wszyscy czekają na skinienie twoje:
Ledwie cię ujrzą schwycą miecz i zbroję;
A więc do dzieła! Uciekniem téj nocy.

TUMELIK.

Czym ja od wina w przywidzeń jest mocy?
Czy-ście szaleni? Mam się ztąd ratować,
Ludy Germanii do wojny gotować?

TUSNELDA.

Rozpaczasz? walka wszak twojém rzemiosłem;
Pokaż co umiesz! Rzym z czołem wyniosłem,—
Co pośród kości słoniowéj i złota,
Tylko zgnilizną jest i kupą błota,
Pan świata, w ręce szaleńca oddany,
Co już w swych bogów ni w siebie nie wierzy,
Który nam ukuł niewoli kajdany,
A ciebie wtrącił pomiędzy szermierzy,
Co chce twéj śmierci,—Rzym zwyciężyć musisz:
Tak, ty go zdepczesz, jak gadzinę zdusisz!

TUMELIK.

Powiedzcie prawdę, może wam potrzeba,
Żebym wam ręką ściągnął księżyc z nieba?
Któż Rzym zwyciężył?

MEROWIG.

Myśmy zwyciężyli!

TUSNELDA.

Lud nasz potężnym kiedy się wysili!
O, pójdź za nami w te puszcze i gaje,
Ucz się być wolnym, gdzie lud cześć oddaje
Wolności, prawu, które śród nas włada,
Gdy tu swawola wszędzie się rozsiada;
Gdzie prawda w radzie i w ustroniu cichem,
Gdy tu obłuda i fałsz świecą szychem!
Dojrzej na męża pomiędzy mężami.
My dziś *jesteśmy* tém, czém *byli* oni;
Zwalcz ich, a cały świat ci się pokłoni.

TUMELIK.

Czemuż mam zemsty chcieć nad Rzymianami?
Czém dla mnie Niemcy i co mi Rzym zdziałał,
Żebym dla Niemiec gniewem k'niemu pałał?
Co mnie do Niemiec, bym ich los podzielał?

TUSNELDA.

Co ci do kraju, gdzie ojciec krew przelał,
Gdzie oczekuje cię władza książęca?
Więc do ojczyzny nic cię nie przynęca:
Chcesz się jéj zaprzeć?

MEROWIG.

Na głos twojéj ziemi
Głuchy, prośbami wzgardzić matczynemi?
Nie, ty nie możesz.....

TUMELIK.

Czemu? Gdy ni trochy
Niemcy przez tyle lat nie przypomniały
Ni mnie, ni oto téj, Armina żony,
Na wszystkie bogi! więc mi prawo dały,
Bym i ja takiéj zapomniał macochy.
Ja nie chcę Niemiec, Cheruskόw korony;
Czém byłem, jestem i zawsze zostanę,
Tak, Tumelikiem, szermierzem z Rawenny.

TUSNELDA
(po chwili zwracając się do Merowiga).

Przemów do niego, o! to niesłychane!
Nie wiem co począć!

MEROWIG.

O! gdybym ja ceny
Do słów niż rzeczy więcéj przywiązywał,
To na młot Tora! chwilibym nie bawił,
I z szermierzami ciebie pozostawił;
Lecz tyś Armina syn, tyś jest jedyny,
Co może kraj nasz zbawić od ruiny!
A więc cię będę zaklinał i wzywał,
Chciéj to dla siebie, co nam nie chcesz zrobić:
Bo my purpurą pragniem cię ozdobić,
Którą z rzymskiego zedrzemy Cezara.
W tobie potęga, w tobie nasza wiara!
O! nie odrzucaj tego, co nie wróci;
Rzym zdepcz, a świat ci wnet do stóp się rzuci.

TUMELIK.

Purpura, władza, potęga nad światem!
Miło to słuchać; lecz teraz dość na tém:
Zobaczę, późniéj rzecz bliżéj rozbierzem;
Jutro....

MEROWIG.

Do walki wystąpisz z szermierzem.
A jeśli....

TUMELIK.

Zginę? O nie! ja zwyciężę.

MEROWIG.

Szalony! myślisz że Germanii męże
W ręce takiego władzęby złożyli,
Co jak służalce lub spodlone jeńce
Walczył, z motłochu rąk chwytając wieńce?
Dzisiaj lub nigdy! rozstrzygaj w téj chwili!

TUMELIK
(z największym wybuchem gniewu).

Więc jam spodlony, że jestem szermierzem!
Więc dla was,—coście patrzeli z oddali
Z obojętnością, gdy mnie tu chowali
Na to, czém jestem,—czyż rzymskim rycerzem
Nie jest Aurelian? czyż nie był piastunem
Godności Walens, gdy został trybunem?

A przecież obaj są gladyatorowie.
Słuchajcież teraz co wam szermierz powié:
Nigdy Germanom nie będę przewodzić,
Choćbyście dla mnie cały świat zdobyli,
Choć się Germania do stóp mych nachyli!

TUSNELDA

(wstrzymując gestem Merowiga, który z gwałtownem wzruszeniem przybliża się).

Stój! nikt, kto żyje lub kto ma się zrodzić,
Germanii u nóg swoich nie zobaczy:
Ona do prośby niezdolna żebraczéj.
Lecz ja,—com ciebie w boleści zrodziła,
Com cię w żałobie samotnéj karmiła,
Tuląc sierotę do mojego łona,
Potém utratą ciebie zrozpaczona,—
Błagam, niech powrót twój, niech dzień dzisiejszy,
Od dnia twéj straty nie będzie straszniejszy!
Niech cios nie spadnie srogi na mą głowę,
I méj nadziei niechaj nie zabije,
Gdy ja me dziecię jedyne przeżyję!
Bo gdyby jutro wrzeciądze cyrkowe
Tobie dla walki marnéj się otwarły,
To wtedyś w sercu mojém już umarły;
Bo wolę patrzéć na krwi twéj potoki,
Na rozszarpane, zimne twoje zwłoki,
Niż żebyś, hańbą zwycięztwa okryty,
Wieniec szermierza wdział z lauru uwity.

(Po chwili zbliżając się do odwróconego od siebie Tumelika).

Synu mój, na mnie gniewać się nie godzi!
Żyłam dla ciebie, chociażem widziała,
Że tylko w śmierci jest wolność i chwała;
Niech mi syn teraz ofiarę nagrodzi.
Kto jak ty pięknym, niechaj pięknie czuje;
Ty jesteś mężem, a nie gladyatorem!
Pójdź, gdzie cię ród twój, ziemia powołuje;
A więc bądź naszym, nie dręcz mnie uporem!

(Biorąc go za rękę).

Nie mogłam kroków prowadzić dzieciny,
Męzkiego wieku niech ci wskażę czyny.
Pójdź!

TUMELIK

(odtrącając z gniewem jéj rękę).

Nie, nie pójdę!

TUSNELDA
(*cofając się i kładąc rękę na sercu*).

To idź!

TUMELIK.

O! nie zdołasz
Nic już uzyskać; próżno tu zawołasz,
Bo ja niezmiennie przy swojém zostanę.
Com rzekł, na zawsze to już powiedziane.
(*Odchodzi*).

SCENA TRZECIA.

MEROWIG *i* TUSNELDA.

TUSNELDA.

O! i ty odejdź!

MEROWIG.

Ale nie bez ciebie.
On, gdy chce, w losie swym niech się zagrzebie:
W brzęku swych kajdan on muzykę słyszy;
Ale twa dusza wolności jest chciwa,
Pójdź, niech ojczyzna bolu jéj ulżywa.

TUSNELDA.

Ja już nic nie chcę, tylko w grobie ciszy!
Lecz syna ratuj; śród osłony nocy
Wpadnij z twojemi, wyrwij go z przemocy.

MEROWIG.

Czyliż gwałt może komu wolność wrócić?
Musi wolności chcieć kto ma być wolny:
Służalec nigdy do tego nie zdolny!
Niech ginie w więzach, gdy nie chce ich rzucić!

TUSNELDA.

On syn Armina!

MEROWIG.

Nie! on jest szermierzem!
Jego wziąć z sobą, to znaczy truciznę,
Zamiast ratunku, zionąć na ojczyznę;
To, zamiast węzła co zgodą jednoczy,
Wziąść nóż, co blizny otwiera i broczy.
Lecz pozwól, ciebie że z sobą zabierzem;

Bo sam twój widok tych wszystkich ośmieli,
Co w niepewności trwożnéj utonęli.

TUSNELDA.

Spełń obowiązek, ja pójdę za moim:
Ja tu zostanę! A ty powiedz twoim,
Że—kiedy oni w bezczynności radzą,
Gdy się wahają i występnie wadzą,—
Że dusza wzniosła, co nad niemi boli,
Ginie zgnieciona łańcuchem niewoli;
Niech nie zwlekają i działają śmiało,
Żeby „*zapóźno*" wieczną się nie stało
Klątwą dla Niemiec. Idź!

MEROWIG.

Spełnię rozkazy.
(*Odchodzi*).

SCENA CZWARTA.

TUSNELDA *potém* LICYSKA.

TUSNELDA
(*po chwili milczenia*).

Krok jego cichnie, przebrzmiały wyrazy:
Wszystko skończone! A on, jutro rano
Ma bić się w cyrku; gdy zwalczony zginie,
To wieczna hańba jego nieominie:
Skala ojczyznę plamą niezmazaną!
Czemuż spokojnie końca jego czekam,
Do ostatecznych środków nie uciekam?
Lecz cóż mam robić? Czy Flawiusza prosić?
Czyż zdrada może ratunek przynosić?
Wy mnie ocalcie, o przedwieczne bogi!
Bo noc zaległa pośród mojéj drogi,
Źrenice moje gruba mgła okrywa;
Nie wiem co począć matka nieszczęśliwa!
Jedno mi tylko w głębi duszy błyska:
Syn mój z ojczyzny nie da pośmiewiska!

LICYSKA
(*śpiewa za sceną przygrywając na lutni*).

„Pocałunek, wrzące wino,
Pić z ust twoich purpurowych,
To znów z jagód lazurowych,

Pocałunek, wrzące wino,
Zdwaja szczęście me, dziewczyno!

TUMELIK
(*za sceną wtorując*).

„Zdwaja szczęście me, dziewczyno!"
Io, Bachusie!

TUSNELDA.

Bogowie łaskawi!
Wola się wasza w dźwiękach tych wykłada:
Miłość go pęta, niech miłość go zbawi;
Z nią się połączę.... z Licyską? O! biada!
Pyszny mój duchu, wstrząsasz się i srożysz,
Ty co się ledwie przed bogami korzysz,
Nie chcesz?..... O głowę syna wszak tu idzie!
Naucz się błagać, padać na kolana;
Żeś dotąd zwlekał, pogrąż się we wstydzie.

LICYSKA
(*wchodzi z bocznych drzwi i mówi po za siebie*).

Dosyć już tego, przyjdę jutro z rana;
Nie wychodź za mną!

TUSNELDA
(*zastępując jéj drogę*).

Pozwól, jedno słowo!

LICYSKA.

Co? ty chcesz mówić z kwiaciarką targową?

TUSNELDA.

Błagać na klęczkach jak jakiéj bogini!

LICYSKA.

Tybyś błagała, German monarchini?

TUSNELDA.

Jeżeli duma moja cię dotknęła,
Pomszczonaś! Obyś ze mnie przykład wzięła!
Przybliż się do mnie, bądź czuła i tkliwa;
Bo czyż nie miałabyś się ulitować,
Gdy serce matki zrozpaczone wzywa:
Ratuj mi syna!

LICYSKA.

Ja mam go ratować?

TUSNELDA.

Jutro zapóźno, walka mu zagraża;
Spraw, niech się w piasku cyrkowym nie tarza.
Wszak on się twoim łzom oprzeć nie zdoła,
Więc niechaj jeszcze téj nocy ucieka,
Gdzie pełen sławy los wielki go czeka;
Gdzie doń ojczyzna śród niedoli wzdycha,
Do macierzyńskich objęć swoich woła;
Niech ocalenia swego nie odpycha,
Naucz go szczęście chwytać i pojmować:
Pokaż, że nad nim potrafisz panować.

LICYSKA.

Więc jego czeka wielki los i chwała?

TUSNELDA.

Uciekaj, los nasz będziesz podzielała,
Rządząc jak księżna, a tuś jest w ohydzie:
O jego życie, o twą wolność idzie!
Ratuj go, jeśli on tobie jest miły!

LICYSKA
(z gwałtownem wzruszeniem półgłosem do siebie).

Jest droga, coby mnie wyprowadziła
Z głębin méj nędzy? Ja mam rozkazywać?
Purpurą władców ja mam się okrywać?
Hańby zapomnieć i me życie dawne
Odtrącić? Czyliż zapomnę co było,
Czy świat zapomni co było tak jawne?
O nie! to nigdyby się nie ukryło!

TUSNELDA.

Czemu się wahasz? na wszystkie świętości
Błagam cię, przyzwól, daj dowód litości.

LICYSKA.

Żal mi, bo gorzką będzie ci odmowa,
Chociaż w najsłodsze ubiorę ją słowa;
Próżno błagalnie tak na mnie spoglądasz,
Bo niemożliwem co odemnie żądasz:
Nadzieje twoje, to czcze przywidzenia,
Dla mnie, dla niego nie ma ocalenia!

TUSNELDA.

Nie ma ratunku, gdy czekają chwili
Rodacy, by nas ztąd uprowadzili?
Nie, ja nie marzę, lecz tyś zrozpaczona.

Gdy chce kobiéta wszystkiego dokona
Przez miłość, a mąż, jeśli chce niezłomnie.

LICYSKA.

Oto téż idzie; lecz tyś zaślepiona,
Wyobrażenia wcale nie masz o mnie:
Jam nie kobiétą, ja jestem kwiaciarką!
Miłość wspólnego nic nie ma z handlarką:
My nie kochamy i nas nie kochają.
A on? Czyż mężem, kto z szermierzy zgrają
Wzrosł pod swym mistrzem jedynym, pod batem?
Choć mu uśmiecha się władztwo nad światem,
Gdy tylko słuchać, ale chcieć nie może,
Gdy nie ma oka ni sądu w wyborze,
Ducha, co rwie się i przyszłość odsłania,
Odwagi w dziele, ni siły wytrwania.....
A ja.... lecz dosyć! Kogo los tak zgnębi,
Ten tylko chyba zdoła upaść głębiéj.

TUSNELDA.

Hańba cię gniecie, masz w twém życiu plamy,
To je obmyjem, w krwi Rzymian spłukamy;
Na twój znak, tu się tłum wiernych mi rzuci:
Pójdź, ratuj syna, niech się nie zatraci,
Cierpienia twoje niech Rzym ci zapłaci.

LICYSKA.

Czyliż mi zemsta straconą cześć wróci?
Wy barbarzyńce, powiedz jednak, czyli
Mniéj jak Rzymianiebyście mną gardzili?
Jeśli mnie spotkać ma w losów kolei
Władztwo, to w Rzymie, nie śród waszych kniei;
A mam żyć w hańbie, to w końcu Rzym każe
Pić gorzki napój, lecz w złotym puharze.

TUSNELDA.

Ty jedna możesz syna mi ocalić:
Niech cię rozczuli ból mój i błaganie!
(*Padając jéj do nóg*).
Oto twe stopy biédna matka ściska!
Zlituj się, nie rób nadziejom zawodu,
I latorośli szlachetnego rodu
Nie daj jak zwierza zabić śród igrzyska!

LICYSKA.

Nie klęcz przedemną! To ci nie przystoi,
A mnie nie wzruszy. Lecz się zdrady mojéj

Nie bój: zachowam wszystko w tajemnicy,
Uwieź go nawet do ojców ziemicy;
Lecz méj pomocy nie wymagaj wcale.
Jeśli was szorstką dłonią los uściśnie
I w błoto nędzy napowrót was ciśnie,
Że się wydacie zrodzonemi w kale,
To zguby z ręki méj się nie lękajcie;
Lecz téż bynajmniéj nie będę kłaść tamy,
Wszak towarzyszy śród nędzy szukamy:
Więc gdy mam zginąć, i wy przepadajcie.

(Odchodzi).

SCENA PIĄTA.

TUSNELDA *sama.*

Wszystko stracone, nie ma ocalenia!
Romo, wilczyco! tryumfuj nad nami;
Duch, nie zgnieciony twojemi więzami,
Pod twojém jarzmem w truciznę się zmienia;
Kto nie służalec, ten jest za siepacza,
I tak się władztwo twe wszędzie roztacza!
Biadaż mnie biednéj, kobiecie przeklętéj,
Co płód na hańbę Germanii poczęty,
W łonie nosiła i na świat wydała!
O gdyby losów tajemniczą siłą
Koło się czasu nazad obróciło
Do téj godziny, aż do tego mgnienia,
Gdym na kolana upadła struchlała,
U Germanika prosząc przebaczenia,
Bom w sobie miała aż podwójne życie!
Losy, godziny téj czyż nie wrócicie?

SCENA SZÓSTA.

RAMIS, TUSNELDA. RAMIS *wchodzi z wieńcem dębowym w jedném i płaszczem purpurowym w drugiém ręku, i staje przed* TUSNELDĄ.

TUSNELDA

(budząc się z zamyślenia).

Co chcesz?

RAMIS.

Purpurę i wieniec dębowy
Teraz posłaniec dał mi Cezarowy,
Mówiąc, że wolą Cezara i pana,
Byś jutro w cyrku była w to odziana,
A zwłaszcza głowę przybrała koroną,
Byś przedstawiła Germanię wcieloną.

TUSNELDA.

Gdybym naprawdę ja Germanią była,
Dzielność jéj gdyby we mnie się skupiła,
I całych Niemiec gniew w mojém spojrzeniu,
I ich olbrzymia siła w tém ramieniu;
Wtedybyś Rzymie wstrząsł się do dna ziemi,
Która cię dźwiga barkami swojemi.
Słyszysz te głosy, co krążą koło mnie?
O niel to we mnie coś przemawia do mnie:
„Wstań, włóż na głowę Germanii koronę,
Czyń co Germania samaby zrobiła;
Strzeż, by jéj liście nie były skażone.
Ty koło czasu chętniebyś zwróciła?
Więc dzień ten gwoli twéj chęci najszczerszéj
Wraca, lecz użyj go lepiéj niż piérwszy".
(*Po chwili sięgając nagle po wieniec*).
Chcę być Germanią! daj wieniec dębowy.
(*Cofając*)
Skrwawiony! Nie chcę!

RAMIS.

Wszak to purpurowéj
Szaty jest odblask? Cóżeś przywidziała?
Przyjdźże do siebie.

TUSNELDA.

Duszo ma zbolała,
Serce znękane, zbierzcie wasze siły!
Jakiż zrobiłam ślub tu w owéj chwili,
Gdyby wyroki przeznaczeń zrządziły,
By bogi wielki los mnie powierzyli?
„Oto wyciągam do was moje ręce
Bogi wszechmocne, bo dziś wam ślub święcę,
Że jeśli burzy srogiéj nie przesilę,
To jak dąb padnę, lecz się nie nachylę!"
Taka z bogami była ma rozmowa.
(*Chwytając wieniec i wkładając go na głowę*).
Pójdź wieńcu Niemiec, niech szemrze i dzwoni
Las Teutoburski wkoło moich skroni!

RAMIS.

Co chcesz Tusneldo?

TUSNELDA.

Chcę dotrzymać słowa!

AKT V.

(Widownia jak w poprzednim akcie. Na przodzie po prawéj łoże, wezgłowiem ku scenie obrócone, tak, że leżący na niém, może widzieć tylko głąb sceny; przy drugim końcu łoża porzucone zielone okrycie i wbity słup, na którym kilku niewolników pod kierunkiem Glabryona zawiesza uzbrojenie, jakoto: przyłbicę z sępiemi skrzydłami, tarczę guzami nabijaną, miecz, skórę niedźwiedzią i t. d.)

SCENA PIERWSZA.

GLABRIO, *kilku niewolników, późniéj* LICYSKA.

GLABRIO.

Tu hełm nad tarczą, tam miejsce mieczowi!
No, teraz dobrze, jużeśmy gotowi!
Idźcie, a strzedz się śród gmachu hałasu,
By gladyatorom nie kłócić wywczasu.
(*Niewolnicy odchodzą. Glabrio wpatrując się w trofea*).
To uzbrojenie—prawdziwa ozdoba!
Ciężka broń wprawdzie, ale osobliwa,
A ręczę, pewno jemu się podoba:
W cudactwa młodzież chętnie się odziewa.
Ale czas płynie, niedługo igrzysko;
Gdzież więc mój chłopiec przedemną się chowa.
(*Spostrzegając wchodzącą Licyskę*).
A właśnie dobrze, żeś przyszła, Licysko.
Powiedz, różyczko moja purpurowa,
Cóż on od chwili gdyśmy się widzieli?

LICYSKA.

Zjadłszy śniadanie zaraz po kąpieli,
Teraz namaszcza i trefi swe włosy.

GLABRIO.

Lecz jakież jego jest usposobienie,
Jaki głos jego, postawa, spojrzenie?

LICYSKA.

Jakby do pląsów szedł, a nie na ciosy.

GLABRIO.

O, dzielny chłopiec! Żal mi go najszczerzéj.

LICYSKA.

Że z Diodorem, olbrzymem, się zmierzy.

GLABRIO.

Gorzéj: bo Djodor ma sobie zleconem,
By go nie szczędził.

LICYSKA.

To grozi mu zgonem:
Śmierć jego pewna?

GLABRIO.

Któż wie?

LICYSKA.

Ty najlepiéj.

GLABRIO.

Niechaj nadzieja w tobie się ukrzepi!
Nie smuć się próżno!

LICYSKA.

Nie myślę się smucić,
Leczbym na siebie chciała cios ten zwrócić.

GLABRIO.

Więc mu zazdrościsz? To mi prawi brednie!
Tyś pewno chora: wzrok mętny, twarz bledniel

LICYSKA.

Co mi jest, nie wiem; nie pojmuję wcale!
Po dniach uciechy, po rozkoszy szale,
W tęsknocie tonie myśl ma od wieczora,
Chce dziś to schwytać, co rzuciła wczora!
To przywidzenia!

GLABRIO.

Ten napad żałoby,
To z krwi zgęszczonéj, ze spiekłéj wątroby.
Trzeba, by przyszedł lekarz Symon Juda,
Może się jemu dopomódz ci uda.

Lecz chłopiec idzie: nie możesz tu bawić,
Żeby humoru jego nie pozbawić.
Idź moje dziecię, idź moja Licysko
Do twoich kwiatków, na twe targowisko.

LICYSKA.

Do kwiatków! Słusznie! Czyż może się przydać
Płynąć, gdzie brzegu już wcale nie widać;
Nie, lepiéj tonąć, i stracić w zamęcie
Świadomość bytu i wszelkie pojęcie!
(*Odchodzi*).

GLABRIO.

A! nie pojmuję, co to się z nią stało?
Więcby jéj serce doń się przywiązało?
Ona ma serce? To młodość szalona,
Fraszką się smuci, fraszką pocieszona:
Wieczorem znowu będzie po dawnemu.

SCENA DRUGA.

GLABRIO *i* TUMELIK *w krótkiéj tunice, z obnażonemi ramionami po same barki, z mieczem Armina do boku przypasanym.*

TUMELIK.

Otom jest, Glabrio!

GLABRIO.

Bo też czas potemu!
Lecz pierw spoczynek daj siłom i głowie,
Bo znasz zapewne to stare przysłowie:
„Gdy przed walką snu użyje,
Szermierz trzykroć dzielniéj bije".

TUMELIK.

O, znam!

GLABRIO.

Więc trzeba, byś doń się stosował!
Twoja stancyjka trochę zagorąca;
Dlatego tam ci łoże przygotował,
Tu chłód przyjemny: by zaś promień słońca
Nie śćmił ci wzroku, dałem tę zasłonę.

TUMELIK.

Jakiś ty dobry!

GLABRIO.

A tu rozwieszone
Twoje ubranie; i cóż powiesz na to?
Patrz na tę skórę niedźwiedzią, kudłatą,
Na hełm błyszczący z skrzydłami sępiemi:
Wydasz się jakby bóg wojny na ziemi.

TUMELIK.

Zbroja germańska! Szyderce, junaki,
Brońcie się wilki niedźwiedzim pazurom.

GLABRIO.

O, tak! mój chłopcze, daj im się we znaki,
Za każde słowo ciosem zapłać ciurom;
Ależ odpocznij, zdejm pas co cię ściska.
Wleczesz ten kawał żelaztwa podłego,
Na cóż? Nie wezmiesz przecie do igrzyska.

TUMELIK.

Matka....

GLABRIO.

E! ostrze krótkie do niczego!
(*Odpasuje mu miecz i kładzie na łoże*).
Precz z tém! Spoczywaj, zbudzę gdy czas będzie,
Gdy oni przyjdą.

TUMELIK.

Kto?

GLABRIO.

Kto tu przybędzie?
Cezar z orszakiem wejdzie w te podwoje
Śród uroczystéj muzyki odgłosu,
Ciebie i matkę zabierze oboje,
I w cyrku będzie świadkiem twego losu.

TUMELIK.

Jakto, sam Cezar?

GLABRIO.

Żadnego z szermierzy
Tak wielki zaszczyt nie stał się udziałem:
Okaż się godnym tego, jak należy.

TUMELIK.

O! bądź spokojny!

GLABRIO.

Wszak nie żałowałem
Dla ciebie razów, ni dobrego słowa;
Więc zrób mi zaszczyt zręczności i męztwa!
Pomnij, kto w walce zimną krew zachowa,
Pewny, że zwalczy: ten ma pół zwycięztwa.
Niech wzrok twój śledzi oko przeciwnika,
I niech myśl jego przed ruchem przenika.

TUMELIK.

Wiem!

GLABRIO.

Jeszcze jedno!

TUMELIK.

Cóż?

GLABRIO.

Gdyby, nie mogę
Jednak przypuszczać, ciężką ci zadano
Ranę, na lewe opuść się kolano;
Potém wyciągniesz naprzód prawą nogę,
(Przedstawiając ruchami to co mówi).
Potém się oprzesz na prawém ramieniu:
W tak malowniczém, wdzięczném położeniu
Spokojnie ciosu ostatniego czekać.

TUMELIK.

I to wiem dobrze.

GLABRIO.

Śpij! Muszę uciekać,
Zobaczyć innych; spoczywaj w spokoju!

TUMELIK
(wołając za odchodzącym).

Gdy ujrzysz Keixa, z którym mam do boju
Stanąć....

GLABRIO
(odchodząc).

Wiesz o tém?

TUMELIK.

Powiedzże łotrowi,
Niech gracko zwija się w pocisków matni,
Bo dzień dzisiejszy będzie dlań ostatni!

GLABRIO

(który doszedł już w głąb sceny, zapuszczając zasłonę u głównego wejścia).

I owszem, zgoda; to się jemu powié.
Kładź się! ja zbudzę cię w sam czas do dzieła.
(Znika za fałdami spuszczonéj zasłony).

SCENA TRZECIA.

TUMELIK, *potém* TUSNELDA.

TUMELIK.

Chwileczkę spocząć, wszakże to nie szkodzi,
A przytém sen się téj nocy nagrodzi,
Który chęć walki gorąca odjęła.
(Siada na łożu, opierając głowę na dłoni).
Jak jednostajnie płynęło me życie!
Szkoła szermierska, łajanie i bicie,
Trochę pochwały, kawał baraniny:
Tak lata przeszły śród ustronnéj ciszy.
A dziś nieliczne cóż niosą godziny?
Kłamstwo Keixa, żarty towarzyszy,
Cyrk, poseł z Niemiec, co uciekać radzi,
Cezar do walki sam mnie poprowadzi!
Myśl mi się plącze, czuję zawrót głowy;
Ztąd jam dla matki był szorstki, surowy!
Lecz trzeba spocząć: dzień taki gorący,
A od myślenia zaraz człowiek śpiący.
(Spostrzegłszy Tusneldę, która przed chwilą z bocznych drzwi na prawo weszła w białéj szacie, w purpurowym płaszczu, z wieńcem dębowym na głowie, zrywa się i biegnie do niéj).
Witaj! Tak weszłaś tu niedostrzeżenie,
To dla mnie szczęścia jest przepowiedzenie;
Bo pieśń brzmi: „Radość pocichu przybywa,
Powiewnie chwila wzlata szczęśliwa".

TUSNELDA.

Tak, szczęście od nas zbyt łatwo ulata.

TUMELIK.

Jakżeś ty piękna! jak cudnie oplata
Wieniec skroń twoją! jak z purpury twojéj
W okół blask bije! Tak ci też przystoi:
Bo Cezar łaski swéj pragnąc mi dowieść,
Sam nas z orszakiem chce do cyrku powieść;
A więc nie możem jemu wstydu zrobić.

TUSNELDA.

Ni sobie!

TUMELIK
(*wskazując na uzbrojenie*).

Patrzaj, co będzie mnie zdobić.

TUSNELDA.

Nie mów o przyszłéj jak o przeszłéj doli,
Bo przyszłość nasza leży w bogów woli.

TUMELIK.

Teraz przed walką na spoczynek pora,
Lecz pierw chcę byśmy się porozumieli:
Tyś zagniewana jest na mnie od wczora,
Że różna droga żywota nas dzieli;
Ale czém jestem, tém już pozostanę.
Może twe rady mądrze obmyślane,
Może ty lepszą wskazujesz mi drogę;
Lecz czém nie jestem, czyliż stać się mogę?
Gdybym był godzien spełnić wielkie plany,
Żądzą ziszczenia ich byłbym władany;
A ja jéj nie mam! Pierwszym między swemi,
Szermierzem sławnym chcę być w rzymskiéj ziemi;
A więc mi przebacz, żem gniewem wybuchał,
I nie znienawidź, żem cię nie usłuchał.

TUSNELDA.

To serce może w boleści się strawić,
Może rozpaczać, żądzą mordu bawić;
Lecz nienawidzieć ciebie moje, dziecię:
Przedwieczne bogi, o! wy o tém wiecie!

TUMELIK.

Więc nie broń szczęścia szukać śród méj drogi;
Co jest, to jest już: tak zrządziły bogi.

TUSNELDA
(*załamując ręce*).

I dziś masz walczyć, więc już nie ma środka?

TUMELIK.

Tak, dziś się ze mną Keix w cyrku spotka.

TUSNELDA.

Przyszłość jest bogów!

TUMELIK.

Ulegnij losowi,
Nie daj się unieść przeciw mnie gniewowi.
Daj rękę, żeby zgodnie rzecz zakończyć,
Czyż w zawziętości mamy się rozłączyć?

TUSNELDA.

O nie! ja za tym samym celem gonię,
Jak towarzyszka podaję ci dłonie;
Jak przewodniczka ucałuję czule,
Do serca mego serdecznie przytulę.
Jeżeli można łzą pobłogosławić,
W błogosławieństwie obyś mógł się pławić!
Bogowie, czemuż musiałam go stracić,
A odzyskanie tak drogo opłacić?
(*Odpychając go od siebie*).
Dość tego!

TUMELIK.

Nie wiem wcale co ją smuci.
Trzeba odpocząć, wkrótce Glabrio wróci.
(*Rzuca się na łoże*).
Popilnuj miecza jeśli tu zostajesz.

TUSNELDA.

Miecza Armina! Sam mi go podajesz?

TUMELIK.

Schować go trzeba, bo Glabrio powiada
Że ciężki; więc go użyć nie wypada
Do walki.

TUSNELDA.

O tak! do walki nie będzie
Przydatny!

TUMELIK
(*stawiając miecz przy łożu*).

Teraz jestem jak w obłędzie!
(*Opuszczając głowę*).

TUSNELDA
(*odwracając się*).

Tak, śpij!

TUMELIK.

Pozostań! Gdybyś piosnkę znała,
Tobyś mi może do snu zaśpiewała!

TUSNELDA.

Nie umiem żadnéj!

TUMELIK

(*śpiący mówi przerywanemi słowy*).

Powieki.... ołowiem!
Jakto Licysko? Zacznij... ja odpowiem.
Pocałunek, wrzące wino,
Pić z ust twoich... lazurowych!
Pocałunek... zdwaja szczęście!
(*Zasypia*).

TUSNELDA.

Czas jest po temu, więc niech się dokona,
Co stać się musi!
W jak słodkim śnie tonie!
O! ileż razy dziecina uśpiona
Tu spoczywała wdzięcznie na mém łonie!
Jam go bujała i kryła w osłonie,
Gdy oddech nocy powietrze oziębił;
Jam go budziła, gdy zły sen go gnębił.
Dziś, tchnieniem śmierci ma pierś go owiewa,
Podnoszę rękę z myślą grozą zdjętą,
W pełni młodości by od życia drzewa
Jego tak odciąć jak gałąź zeschniętą!
Zwierz dziki walczy by młode ratować,
Kolce ubodą, gdy chcesz im wziąć różę,
A ja śpiącego, ja chcę wbrew naturze,
Matka me własne dziecię zamordować!
(*Wbiegając ku przodowi sceny*).
O nie! nie mogę; bogi sprawiedliwe,
Zwróćcie mi słowo, to słowo straszliwe:
Życia, com dała nie mogę odbierać!
Kogo mam kochać, maż z mych rąk umierać?
(*Po chwili zbliżając się do śpiącego Tumelika*).
Zbłąkany duchu za czémże chcesz gonić?
Synu, od chłodu życia chcę cię chronić,
Zbudzić z mrocznego snu twego istnienia,
Jak od much bronić od cierpień brzęczenia,
Których nie ujdzie nawet najszczęśliwszy!
Chcę, by cię dotknął cios z ręki cnotliwszéj,
Niżeli z niecnych rąk podłych siepaczy.
O nie, Zygmarze! Jeśli drżąc, me dłonie
(*Chwytając miecz oparty o łoże*).

Miecz ten zatopią w bezbronném twém łonie,
To nie nienawiść, nie! to miłość znaczy,
Co na lekarstwa gorycz mało dbała,
Byleby przez nie ocalenie dała.
A więc....

(*Zamierza się mieczem na Tumelika, lecz wtém chwieje się i miecz upuszcza*).

Nie! siły nie mam do spełnienia!

(*Pada na kolana, wtém daje się słyszéć w dali za sceną coraz głośniej dźwięk wesołéj muzyki, towarzyszącéj pochodowi orszaku*).

Przedwieczne bogi, jeżeli to życie
Wy chcecie zabrać dla Niemiec zbawienia,
Czemuż powietrza w jad nie przemienicie?
Wstrząśnijcie ziemią, niechaj gród ten runie,
I nas zagrzebie jak w grobu całunie:
Zniszczcie nas gniewu swojego gromami.
Wszak moc jest przy was! Więc spełnijcie sami!
Lecz losu jego nie kładźcie w me ręce,
Niech wam z krwi własnéj ofiary nie święcę!

(*Przysłuchuje się i nagle potém się zrywa*).

Coto ja słyszę, czy ucho nie myli?
Nie! coraz głośniéj, już się przybliżyli.
To Kaligula po niego przybywa,
Dźwięk mu wesołéj muzyki przygrywa.
Tłum kipi w cyrku, już do walki pora,
Już Roma woła swego gladyatora!
Lecz ja go nie dam! Bezsilnéj kobiecie,
Sprobujcie tylko, czyli go wydrzecie.

(*Chwytając miecz*).

Kiedyście bogi gromu żałowali,
To cześć Germanii kobieta ocali!
Tak, grajcie sobie zwycięztwem pijani!
Szemrze u skroni méj wieniec dębowy,
Jam wolną córą pierw była Germanii,
Niżeli matką! Do walki cyrkowéj
Wy Tumelika poprowadzić chcecie:
Tumelik szermierz; a syn mój, czy wiecie,
Że się zwie Zygmar?

(*Rzucając się ku Tumelikowi*).

Nie będzie wam dany:
Tym ciosem jego pokruszę kajdany!

(*Przebija go*).

TUMELIK

(*zrywając się*).

Och! Keix, matka!

(*Pada i umiera*).

TUSNELDA.

O moje dziecię!

(Kryje twarz lewą ręką w płaszczu, w prawéj opuszczonéj trzyma miecz. Chwila milczenia).

SCENA PIĄTA.

TUSNELDA, GLABRIO, GLADYATOROWIE, FLAWIUSZ, ARMINIUSZ, KASSYUSZ, KORNELIUSZ, SENATOROWIE.

GLABRIO

(za sceną).

Wstań, Tumeliku!

(Rozsuwając zasłonę, która pozostaje otwartą).

Wstawaj! czas już przecie!

(Przybliża się i zdejmuje szyszak z trofeów, znajdujących się przy łożu).

Prędzéj! już idą! Przywdziewaj twą zbroję!
Hej! ty kobiéto, słuchaj, trza go zbudzić!

(Tusnelda pozostaje nieruchomie w postawie jak poprzednio).

Cóż to się znaczy? czy zgłuchli oboje?
Ha! nie ma rady, sam się będę trudzić.

(Zbliża się do łoża z prawéj strony i wpatruje się w Tumelika).

Wstawaj! Co widzę!

(Upuszczając szyszak).

We krwi broczy ciało.

(Zbliżając się do głównego wejścia woła).

Ratujcie!

(Wraca i schyla się nad zwłokami; wtém gladyatorowie, straż i niewolnicy wpadają i ukazują się w głębi sceny).

GNIFO.

Ty nas wołałeś?

KEIX

(do Glabria).

Powiedz, co się stało?

GLABRIO

(wpatrując się we zwłoki).

Próżno! już po nim!

FLAWIUSZ

(za którym zbliżają się Kassyusz i inni senatorowie).

Kto pomocy wzywał?

KASSYUSZ.

(*W téj chwili muzyka nagle ustaje*).

Co to?

GLABRIO.

Jam tyle po nim się spodziewał!
Patrzcie! mój piękny gladyator nieżywy!

FLAWIUSZ.

Zygmar! Armina syn!
(*Do siebie*).
Jakże szczęśliwy!

GLABRIO.

Zdradnie zabity!

KASSYUSZ.

Przez kogo? mów, kara
Go spotka....

MARCYUSZ

(*w głębi z Gallusem ukazują się, poprzedzając Kaligulę*).

Na bok!

GALLUS.

Miejsce dla Cezara!

SCENA SZÓSTA.

KALIGULA *w uroczystym stroju, z wieńcem róż na głowie, prowadząc* CEZONIĘ, *szybko wchodzi w towarzystwie* PIZONA, WALERYUSZA, *oraz innych senatorów i rycerstwa.*

KALIGULA.

Czy w dom szalonych Rzym już się zamienia,
Coto za powód takiego skupienia?
Lud wstrzymał pochód, i nie się odzywa
Muzyka. Coto za młodzian spoczywa?
Na gniew mój, mówcie!

GLABRIO

Ten, co w krwi swéj leży,
Jestto Tumelik, pierwszy z mych szermierzy!

CEZONIA.

Jakto? Tumelik?

KALIGULA.

Mego podniebienia
Na dziś przyprawa! Tego co najsłodsze,
Najmilsze dla mnie, tak pilnujesz łotrze?

GLABRIO.

Jam jest niewinny: błagam przebaczenia!

KALIGULA.

Więc któż go zabił?

TUSNELDA
(*która dotąd osłonięta stała nieruchomie, zrzucając płaszcz*).

Jam jego zabiła!

FLAWIUSZ.

O! me przeczucia!

KALIGULA.

Co? własnego syn
Tusneldo, zabić tyś się odważyła!
Dlaczego?

TUSNELDA.

Nie wiesz więc jaka przyczyna?
O! ty pragnąłeś z bezpiecznéj oddali
Moją ojczyznę i ród mój zniesławić.
Z dwóch biednych jeńców triumfem się bawić.
Tyś chciał, żebyśmy widowisko grali,
Bym w jękach na zgon syna spoglądała;
Lecz ja choć trwogą, grozą zdjęta cała,
Wolałam spełnić mych poświęceń miarę:
Kapłańską ręką jak świętą ofiarę
Jam młodość syna mego bogom dała,
By cześć Germanii i rodu ocalić.
Słaba kobiéta, dźwigając kajdany,
Niweczę rozkaz przez ciebie wydany.

KALIGULA
(*w téj chwili Flawiusz, dotąd niemy świadek tego co zaszło, nagle scenę opuszcza*).

Więc marny prochu, takiś plan osnuła,
Nędzna, mnieś święto dzisiejsze zatruła;
Drżyj! bo ja muszę wyprawić igrzysko:
Więc zamiast syna, ty dasz widowisko!

TUSNELDA.

Niech drży, kto na cię z przestrachem spoziera,
Bo strach mój razem z mym synem umiera!
Ty drżyj, że ciebie niewiasta zwycięża,
Drzyj! woń téj zacnéj krwi góry przeleci,
I wkrotce żądzę zemsty w tych roznieci,
Których już Warrus poznał moc oręża.
Jeśli twa pycha, zuchwałość bez miary,
Śmieje się z zemsty, doznasz bogów kary.
Na głowę syna oto ręce wkładam
I tych zaklinam, co w światłości błogiéj,
Na łonie mroku królują, me bogi,
Żeby z tych wyżyn litośnie spojrzeli,
Pod jakich ciosów brzemieniem upadam!
Ażeby pomstę krwi niewinnéj wzięli
Nad dzikim gwałtem, co me własne dziecię
Zabić mi każe. Niech ich gniew cię zgniecie
Romo! niech w ciągu stuleci tysiąca
Ściga cię klątwa, pomsty wołająca.

KALIGULA.

Szalona! Żaden bóg ciebie nie słyszy.

TUSNELDA.

O nie! tu płynie głos z odległéj ciszy,
Wieje koło mnie zaledwie słyszany;
Widzę obrazy z mgieł się wynurzają,
Już grzmią i huczą jak wrzące bałwany,
Ludy co groźną spieszą na Rzym zgrają;
Grom pali niebo, padły mury, wały,
I rzeki krwią się już zafarbowały.
Idą się pomścić, kara was nie minie,
Roma się krwawa zagrzebie w ruinie,
Brzmi pieśń zwycięztwa, już wróg pokonany,
Już wszystko nasze: ziemia, oceany!
Nas łaska bogów zwycięztwem obdarza,
I już się w prochu nasz ciemięzca tarza;
Myśmy go w więzy stóleci wtrącili,
Naprożno łaski błagać się ośmieli,
Zębami zgrzyta i do stóp się chyli:
Próżno się zbroi....

KALIGULA

(*z wściekłością*).

Precz mi z tą szaloną!
Jéj słowa kłamią! Coście oslupieli?

TUSNELDA.

O! mowa moja tak święcie prawdziwa,
Jak że ostatniém tchnieniem piersi zioną,
Jak to, że miecz ten pasmo mąk przerywa.
(*Przebija się mieczem i chwieje się*).
I rwąc twe więzy, Romo, kacie świata,
Duch mój swobodnie do ojców ulata.
(*Upada na łoże i umiera. Powszechne przerażenie i chwila milczenia*).

KALIGULA.

A więc i po niéj!
(*Do Cezonii*).
Zgasły wzrok, a grozi
Tak jak ten stary! Zakryjcie, aż mrozi!
(*Niewolnicy okrywają zwłoki*).
Co? jabym kiedy miał uledz kobiecie!
Sprawię igrzysko! Ha! jest edyl przecie,
Który tych dwojga śmiał strzedz tak niedbale.
Gdzie Flawiusz Armin? A! to doskonale!
Musi z pieskami memi się rozprawić.
Daléj! Flawiusza natychmiast dostawić!

KASSYUSZ.

Szukać czémprędzéj!

KORNELIUSZ
(*wchodząc do oddalających się*).

Napróżno szukacie!

KALIGULA.

Czemuż napróżno?

KORNELIUSZ.

Po tych dwojga stracie
Przebił się, mówiąc, że już żyć się wstydzi,
Kiedy z rąk matki zgon jéj syna widzi.

KALIGULA.

Więc i ten zginął, więc wszystko daremne,
Nie powstrzymali, o tchórze nikczemne!
O! gdyby rzymski lud miał jednę głowę,
To sambym sprawił igrzysko cyrkowe.
(*Z wściekłością*).
Chcę widowiska, widzieć krwi bluzganie,
Chcę się w śmiertelne wsłuchiwać chrapanie!
Wszak Judejczyków niedawno schwytano,
Z téj sekty, która chrześcian nosi miano;

Niech ci się z memi pieskami rozprawią:
Daléj, niech wszyscy w orszak się ustawią!
Muzyka milczy przy Cezara święcie?
(*Muzyka grać poczyna*).
Więc na tryumfu mego rozpoczęcie,
Bom ja zwycięzcą, chcę tryumf odnosić!
Daléj! Cezara cześć i chwałę głosić!

WSZYSCY.

Cześć Cezarowi!
(*Kaligula z Cezonią odchodzi, za niemi ciśnie się cały tłum śród dźwięków wesołéj muzyki. Kassyusz bierze Korneliusza za rękę i zbliża się z nim ku przodowi sceny*).

SCENA SIÓDMA.

KASSYUSZ *i* KORNELIUSZ.

KASSYUSZ.

Widzisz, czas nagli położyć kres męce,
Bo któż bezpieczny w tygrysa paszczęce?
Czyś porozumiał się z pretoryanami?

KORNELIUSZ.

Co do jednego złączyli się z nami!

KASSYUSZ.

I senat także chce skończyć z tyranem.

KORNELIUSZ.

Więc myślisz jutro...

KASSYUSZ
(*ujmując podaną sobie dłoń*).

Tak, jutro nad ranem!

STUDYA

NAD

PODANIAMI LUDU NASZEGO.

PRZEZ

Józefa Grajnert.

(Dokończenie).

Wracając do przerwanego toku pierwotnych wyobrażeń Słowian o świecie, przytoczyć należy, że mianowicie u Polaków dobę dzielono tylko na *wschód słońca, południe, zachód, na pianie kura,* na *zmiany stróży do świtu* (1); we dnie miarkowano się głównie po cieniu, w nocy po gwiazdach, jak: *kośnikach, babkach, gwieździe zwierzęcéj* najpierw się pokazującéj, gdy zwierzęta dzikie na żer wychodzą. Podział więc doby na 24 godzin do późniejszych czasów należy tak u nas jak i Litwinów, którzy liczyli czas *metami* tojest porami, każda zaś pora liczyła u nich godzin czyli *waułund* 16, tojest: *szarzenie, zorza, świtanie, wschód słońca, światło, dzień, przed-pół-dzień, południe, popołudnie, przedwieczór, wieczór, pierwonoc, północ, kogutów-pianie i przebudzenie* (2). *Siedem* obiegów słońca, tojest dob tak u Litwinów jak i u nas stanowiły *tydzień*, który

(1) Zob. Starożytności Polskie pod wyrazem: *Godziny.*
(2) Zob. Litwa, Ludwika z Pokiewia.

u nas zaczynał się od niedzieli zwanéj *Perun-dan* (dzień Peruna), a u Litwinów od piątku poświęconego *Perkunowi*. U nas dzień poprzedzający święto *Perundan*, niby teraz wilia do świąt, był także półświętem, bo wnosząc z pieśni ludu, w sobotę bawiono się i spoczywano, jakby dla przygotowania się na dzień następny. W sobotę też od południa nie pracują i teraz jeszcze w niektórych domach polskich, na Szlązku i Wielkopolsce szczególniéj, a przedewszystkiém nie szyją i nie przędą. Z tygodni składały się *miesiące* zaczynające się od *młodzika* do *młodzika*; niektóre z nich dawniéj inaczéj się zwały, i tak: Styczeń — Ledzień, Luty—Stypacz, Kwiecień—Lszykwiat, Czerwień, Lipień, Sierpień—Stojan, Listopad — Pającznik, Grudzień—Prosiniec. Rok u Litwinów zaczynał się w kwietniu, u Prusaków od lutego a u nas od 23 na 24 czerwca. Słowianie bowiem dwa główne słońcu naznaczali okresy, tojest zwrot *letni i zimowy*, początek zaś roku od *letniego* zwrotu słońca oznaczali; ztąd rok Polacy i Rusini zawsze *latem* nazywali, a u ostatnich jeszcze dotąd ta nazwa żyje w języku. Gdy zaś u nas ważniejsze sprawy każdego ziemstwa rozpoczynały się w dniu poczęcia nowego słonecznego okresu, na zebraniach gmin zwanych *rokami*, i gdy przyjęty późniéj kalendarz rzymski początek słonecznego okresu, a zatém i roku w zimowéj oznaczył porze, więc zamiast lata wzięto *rok* na oznaczenie słonecznego peryodu w pojedynczéj, a *lata* w mnogiéj liczbie. Że zaś dzień stały owych zebrań gminnych zwał się *god* czyli *hod*, bowiem kmiecie nie mając koni, *hodzili* na tę uroczystość, podczas któréj *godzono* się zazwyczaj, t. j. zawierano umowy; więc po upadku tych zebrań ludowych i po pomieszaniu wyrażeń i pojęć, zostały ślady pierwotnego znaczenia i wyraz *god* u Rossyan dotąd przetrwał, lecz ze znaczeniem już całego roku nie zaś dnia stałego zebrań (1). Pierwotnie obchodzono takie *gody* świetnemi obrzędami; dlatego też po dziśdzień ważniejsze zabawy ludowe *godami* się zowią, a nawet święta Bożego Narodzenia tę samę w ustach ludu mają nazwę; były także, jak wyżéj wspomniano, znane Słowianom przesilenia pór roku.

(1) Zob. *Polska*. Morzyckiego. Str 45 i t. d.

Dwa wspomnione słoneczne okresy obchodzono u Słowian tak jak i u innych narodów, wielkiemi świętami. U Polaków początek letniego zwrotu słońca święcono religijnym obrządkiem pod imieniem *Sobótek*, w czasie których słońce się *kąpało* pod wieczór w wodzie, i cała się cieszyła natura: od wyrazu też słowiańskiego *kupatsia* Rusini nazwali tę uroczystość *Kupałą*, tojest świętem bogini *Kupały*. Bogini ta nazywa się u Polaków *Sobotą;* jest to wielka bogini w szeregu dwunastu niebieskich pań przedostatnia, z przydomkiem *Pani zielnéj* czyli znającéj się na uzdrawiającéj mocy trawek i roślinek. Wnoc czci jéj poświęconą, tojest z dnia 23 na 24 czerwca, palono zioła święte, jak łopian, rutę, roschodnik, rosiczkę, dziewannę, macierzankę, boże drzewko, okadzano niemi powietrze, przepędzano przez zapalone na wzgórzach stosy drew trzody: oddalać to miało grady, choroby i pomór; bowiem bogini ta była opiekunką płodów ziemskich, zdrowia zwierząt i ludzi, których też wtedy tak jako i całą okolicę ziołami świętemi okadzano. Do obrzędów téj nocy liczyły się przeskakiwania przez ogień, śpiewy i tany, jakie chłopcy i dziewczęta postrojeni w wianki i przepasani odprawiali około ogni ująwszy się za ręce. Przytém w to święto radosne dziewczęta czyniły wróżby, rzucając wianki na wodę: gdy wianek utonął, było to złą wróżbą; któréj zaś dziewczynie lekko płynął po wodzie, ta najdaléj za rok mogła się spodziewać pójścia za mąż. Te to obrzędy do dziś dnia śród ludu naszego przetrwałe upoważniają nas zarazem do wydania sądu o pierwotnych ich kształtach. Na Białorusi, dnia 23 czerwca po zachodzie słonca wbijają kół w ziemię, okładają słomą i paździerzami konopnemi, a na wierzchu pęk słomy uwiązują, który się zwał *Kupała* (1). Lud białoruski mniema, że w noc tę drzewa nawet z miejsca na miejsce przechodzić się mogą, ciche jeziora igrają falami, a słońce *gra* cudnemi kolorami tęczy (2). W Warszawie nawet słyszałem kobiétę utrzymującą, że rano, w dzień 24 czerwca widziała jak słońce *drgało*, czy *igrało*. W Warszawie obchód *wianków* w wilią św. Jana

(1) Zob. Starożytności Polskie i Słownik Polski, w Wilnie pod wyrazem *Kupała*.

(2) Zob. Dzieło: *Szlachcic Zawalnia*. Barszczewskiego.

Chrzciciela jest także czystą pozostałością owéj przedchrześciańskiéj uroczystości. Wspominam tu mimochodem, że wywód nazwy *Kupała* od wyrazu *kupa* (stos), w Słowniku Polskim w Wilnie wychodzącym zawarty, jest niewłaściwy, ale raczéj od słowa *kąpać się*, tém więcéj, że lud białoruski dotąd śpiewa piosnkę téj treści: Iwan i Marya! na górze Kupalnia! Gdzie się Jan *kąpie*, tam się trawa nie rusza i t. d. (1). Z bogini *Kupały* powstał późniéj bóg męzki *Kupało*, który także wydział leczenia ludzi miał sobie przyznany; pierwiastkowo zaś tylko płeć biała trudniła się lekami.

Drugim religijnym obrzędem na cześć zimowego zwrotu słońca obchodzonym, było święto *kolady* czyli *kolędy* przypadające w dniu 24 grudnia; przeszło więc we zwyczaje Bożego Narodzenia, i w pieśni zwane *kolędami*, które niewłaściwie starano się od łacińskiego *calendae* (początek miesiąca) wywodzić, jakbyto Słowianie pogańscy już umieli połacinie. Kolada czyli popolsku kolęda, był to bóg słowiański uważany, niby rzymski Janus, za otwieracza czasu odpowiadający litewskiéj Okkapirmie; że zaś był całemu stworzeniu wielce miłym bogiem, więc i święto jego obchodzić musiano niegdyś bardzo uroczyście i szumnie, gdy ślady jego dotąd między ludem są widoczne. O *kolędowym turze* już wyżéj wspomniałem, przy wymienianiu zwierząt niegdyś u Słowian czczonych. Prócz 2^óch^ półrocznych okresów naznaczano jeszcze u nas słońcu codziennie dwa główne stanowiska, tojest wschód i zachód; budowano też świątynie ku tym dwom punktom nieba, bo wszystko lubiło ożywcze słońce, oprócz upiorów.

Mówiąc o pierwotnym podziale u nas czasu, dodać należy, że Polacy *tygodnie* uważali za sprawę bogini *Łady* siostry i żony *Ładona*, która rej wiodła w walce *Nocny* z *Semerglą*, tojest światła z ciemnością, która rozlała czar wdzięków po przyrodzeniu i nadała wszystkiemu pewien kres, a wogóle wygładzała i upiększała ten *ład*, który sporządził jéj małżonek na niebie i na ziemi, i wypuściła z rąk jako *ładne*. Pokonawszy Semerglą, odziewała ona Nocenę w płaszcz swój opiekuńczy podczas nowiu. Wzywano ją

(1) Zob. Dzieło: *Szlachcic Zawalnia*, Barszczewskiego.

podczas wesel, ażeby *uładziła* nowożeńcom ich żywot. Na cześć jéj odprawiano wspomniane wyżéj święto *Stado*.

Pory roku i miesiące, których oddawna już liczono u Słowian i Litwinów *dwanaście*, prócz Łotwy, która ich 13 miała, uszykował bóg Ładon piérwszy z 12 bogów, wsłużbie Hama będący nim jeszcze Perunowi najwyższéj czci nie przyznano. Ponieważ zaś kierował walką *Światowita* z *Chworzem* (czyli z *Czarnym bogiem* inaczéj *smokiem*), i tworzył równowagę z ich nienawiści; przeto zabezpieczył i słońcu stateczny obchód, na ziemi zaś rozdzielił góry od równin i wądołów, kruszec i kamienie od glinek i rędziny (1). Jego także w tym celu jak boginię Ładę podczas gód weselnych wzywano.

Z *rachubą* czasu wiąże się poniekąd i rachuba innych przedmiotów, oraz liczby najwięcéj mające znaczenia. Liczba *siedem* zwyczajem wielu starożytnych ludów była u nas uważana za błogosławioną, za świętą w pogańskich czasach; było bowiem w naszéj mitologii *siedem* pierwotnie *słupów niebieskich* czyli pomocniczych bogów *Hama*, który świat stworzył; daléj *siedem krynic* czczonych za bóstwa *siedm łbów smoczych*; *klechdy* i podania nasze opiewają o *siedmiu pacholętach*, *siedmiu kochankach*, o *wieży siedmiu wodzów*, *siedmiorakiém zielu* i t. p. Liczba ta, jak wiadomo i w Historyi świętéj ważną gra rolę, np. *siedem dni stworzenia świata*, *siedem lat urodzaju* i *głodu*, *siedem krów chudych* i *tyleż tłustych*; daléj za chrześciaństwa, *siedem mieczy* w łonie Najśw. Panny, co téż stało się powodem, iż lud nasz chcąc odrazę ku czemuś okazać, mówi: „To od siedmiu boleści"!

Zniża się téż liczba ta do *trzech*, jużto ogólnie biorąc dla *troistości* Boga Wszechmocnego, już téż względnie do nas uważając, że za pogaństwa naszego zrazu *trzy* były główne *bóstwa*: *Ham*, *Biełboh* i *Czernoboh*, z *Trygłowa* powstałe, a potém *Jesse*, *Radagost* i *Ładо* (raz męzki, drugi raz żeński), skupiające się w jednym bogu *Światowicie*, a następnie *Perunie*; niemniéj, że liczono u nas *trzy* rzędy bóstw, t. j. *ubóstwiane przedmioty*, *bogów* i *duchy*, lub, że były *trzy światy mitologiczne*. Wiemy także z mitologii,

(1) Zob. w Słowniku Polskim w Wilnie, wyraz *Ład*.

że bogini *Dziedzilia* trzymała w prawéj ręce *trzy* złote jabłka, które może były symbolem trzech cnót największych: *wiary*, *nadziei i miłości*. W każdym razie mitologii naszéj tę wyższość nad inne przyznać należy, iż idea *Trójcy Boskiéj*, jakkolwiek zrazu niewyraźna, lecz zawsze widoczną była; dlatego też nie zmuszano ludu naszego do przyjęcia chrześciańskiéj wiary ostrzem żelaża.

Z wyrazu *trzy* powstało u nas słowo *ztroić; ztroiło się* znaczy: dobrze, pięknie się zrobiło; po rusku i po rossyjsku *stroit'*, znaczy budować; a w ogóle słowo to oznacza: coś tak zrobić, aby była myśl, forma i całość. Pokazuje się więc, że główna zasada filozofii już prostaczym naszym praojcom dobrze znaną była, kiedy na jéj odmalowanie tak dokładne mieli wyrażenie, chociaż wbrew temu słyszéć się dają przechwałki niektórych mających sie dzisiaj za nowatorów wielkiéj *troistości* zasady. *Nihil novi sub sole!* (1).

Ma więc liczba *trzy* i w mowie i w życiu nie małe u nas znaczenie: *do trzeciego razu* często się u nas przebacza. Niemcy zaś mówią tylko: „Ein mal, ist kein mal! (2)"; daléj: do *trzeciego razu* próba uchodzi; po *trzech latach* najstalsze kochanki o niewidzianych lubych często zapominały, ale to w dawnych piosenkach, bo dziś na to dosyć i trzech miesięcy.

Wreszcie liczba *dwanaście* uważa się także w klechdach naszych za uprzywilejowaną rachubę; wieleż bowiem razy nie słyszymy w nich o *dwunastu* zbójcach, o białéj klaczy wieszczéj z *dwunastu* źrebiętami i t. p. Częste wzmianki o *dwunastu zbójcach* zdają się być parodyą za chrześciaństwa powstałą z owych *dwunastu* bogów otaczających Peruna. Zresztą liczba dwanaście i w dziejach świętych niemałe ma znaczenie; co jest widocznem w 12 pokoleniach izraelskich, w dwunastu apostołach. Przekleństwa dawne także do *dwunastego pokolenia* sięgały.

Dla lepszego zrozumienia podań w ogóle, a w szczególe klechd naszych, oraz dla wykazania, że *klechdy* nasze z mitologicznego płyną źródła, bo o *baśniach* tu jeszcze nie ma mowy, należy przejść w krótkości dalsze wyobrażenia i zasady pierwotnéj wiary.

(1) Nic nowego pod słońcem! (2) Raz, jest niczém!

Pogańska Słowian religia zasadzała się głównie na *modłach*, *ofiarach* (1), *wróżbach*, *pieśniach*, *zaklęciach i przemowach*. Pełnienie tych obrzędów było obowiązkiem duchownych, których nie kapłanami, ale raczéj *wieszczami* lub *księżmi* zwać należy. Wyraz bowiem *kapłan* powstał już za chrześciaństwa od wyrazu *capa*, tojest *pokrycia* relikwij jakiegoś z świętych patronów. W wschodnich kościołach *kapłan* oznaczał zrazu duchownego, który wojsku towarzyszył i niósł święte relikwie patrona wojska; potém kapłan, a raczéj *kapelan* (od *capella* kaplica) rozszerzył swe obowiązki i pełnił służbę bożą przy wojsku.

Wieszczowie nasi, o ile z badań wiadomo, nie odznaczali się wykwintnym ubiorem od reszty narodu, żyli zaś po większéj części w lasach i gajach świętych przy bożnicach i gontynach, których znaczenie już się poprzednio objaśniło, a przytém rządzili okolicznym ludem przez swoje powinności i obrzędy.

Ofiary rolniczych Słowian po większéj części zbożowe, oddawane dla bogów żywiły sługi ówczesnego ołtarza; ofiarami temi były *bochenki* i *korowaje*. O bochenkach mających swój źródłosłów w wyrazie *boh* i wypiekanych z żyta była już mowa; o korowajach pszenicznych to jeszcze dodamy, że jak nam wiadomo z zaświadczeń kronikarza Helmolda żyjącego w XII wieku, składano je w ofierze Światowitowi w Arkonie na wyspie Rugii i Radagostowi w Retrze. Korowaje niemniéj są uprzywilejowanemi ciastami do obrzędów weselnych, szczególniéj na Litwie i Rusi; mają one kształt okrągławy na podobieństwo wielkich *kołaczy*, z wielu przyprawami i ozdobione szyszkami u zamożniejszych wyzłacanemi. Tkwiły przytém w nich chorągiewki i różczki jodłowe; podczas wesela najstarszy drużba (czyli starosta) obdziela obecnych po kawałku, za co pieniądze na półmisek dla nowożeńców zsypują. Na Litwie dotąd państwo młodzi cały korowaj przynoszą w darze do dworu. Na Podlasiu miejsce jego zastępuje podobnyż z wielą przyprawami, ale już bez chorągiewek,

(1) Właściwie na *żertwach*, bo ofiara jest niemiecki wyraz (od opfern), i bywała zwykle krwawą, u nas zaś tylko chleb i potrawy niektóre składano na ołtarz dla jedzenia (żeru) bogom, a raczéj kapłanom.

pszeniczny placek jak stół duży, zwany dlatego *stólnem*. Co czynił duchowny przy ofiarowaniu korowaja po *dożynkach* Światowitowi, już wyżéj powiedziano. Do odprawowania ofiar, jak niemniéj i odbywania obrad publicznych tojest roków i wieców, stawiano pierwotnie tak zwane *grodziszcza* (ogrodzenia okopane) i *uroczyska*, których ślady dotąd przetrwały w krajach słowiańskich. Górki ręką bożą usypane zwane *objatnicami* służyły także do czynienia ofiar i *objat* (objetnic, wotów) bóstwom; późniéj tracono na objatnicach złoczyńców.

Duchowni słowiańscy przybierali jeszcze nazwisko *guślarzy*, gdy się wyłącznie zajmowali śpiewami na cześć bogów, przygrywając na *gęśli* czyli *huśli*, najdawniejszym u Słowian instrumencie muzycznym; gęśla miała pospolicie trzy struny druciane, które pałeczkami drewnianemi uderzane różny dźwięk wydawały (1). Serbska gęśla jednę tylko strunę miała i ma do dziś dnia; gra się na niéj smyczkiem jak na basach. Gęślarze zrazu jako wieszczowie uważani, używali niemałéj powagi w narodzie; lecz potém gdy najwięcéj wędrowali z Czech, gdzie gęśl *huślą* się nazywa i prócz muzyki mieli zwyczaj bawić lud nasz wróżbami i doradami na odpędzenie chorób, więc oświeceńsi przez pogardę nazywali *gusłami* wszelkie uprzedzenia, jakie lud powziął od takowych guślarzy. Za czasów jednak pogańskich muzycy ci u nas mieli oddzielnego swego boga *Belina* (2) mistrza gęślarzy i sprawcę natchnienia i pieśni. Złotowłosy ten rymotwórczy młodzian boski, niby grecki Apollo, a skandynawski Braga zapalał pierś młodzianów ziemskich do śpiewu, podawał im gęślę do ręki i tchnął prześliczne pieśni o bogach używane na igrzyskach i uczłach świętych. Otaczały go *Piewalice*, nasze muzy, których był królem; zwany on jest także *Chason*, *Jazon*; a ptakiem mu poświęconym był słowik.

U Litwinów i Prusaków, o których duchowieństwie więcéj szczegółów wiemy z przyczyny bliższéj nam ich pogańskiej epoki, *krywe-krywejto* czyli arcykapłan był naczelnikiem *wajdelotów*, tojest podrzędnych duchownych. Wajdeloci odprawiali pomniejsze ofiary, oświecali lud w re-

(1) Zob. Starożytności Polskie: *Gęślą*.

(2) Zob. Słownik Polski, w Wilnie, pod wyrazem: *Belin*.

ligii, wskazywali drogę życia według zasad boskich i modlili się, aby bogowie do rozmów nocnych z niemi przybywali. Obowiązkiem jeszcze ich było ludowi błogosławić, wróżby czynić, dni świąteczne, dni żniwa i cały kalendarzowy podział czasu ogłaszać. Przytém umierających dysponowali na śmierć utwierdzaniem w nich wiary, że na drugim świecie większych rozkoszy doznawać będą; na żądanie familii ciężko schorzałych powinni byli zaduszać, co ma styczność z posądzaniem żydów o ten heroizm z dodatkiem z ust ludu płynącym, iż dlatego to czynią, aby umierający nie przeszedł na chrześciańską wiarę przez przyjęcie chrztu świętego, którego wtedy ma pragnąć. U Litwinów dęby przez swą wysokość wystawione na bicie piorunów były przybytkiem bogów, którzy według nich objawiali się pod postacią *smoków*, *wężów* i *ognia*; w razie uderzenia piorunu w dąb, arcykapłan temu podczas obrzędów przytomny, czynił pocieszające wróżby, myśląc, że *Perkunos* upodobał sobie to miejse (1).

Wróżby tak u Słowian jak i u Litwinów były główną częścią nabożeństwa w świątyniach. Miejsca zebrania do wróżb były oznaczane u nas *wiechami*, a wieść o tém udzielano przez rozsyłanie *wieci* czyli wici, które nosili posłańcy (2). Płeć biała głównie zajmowała się u nas wróżbiarstwem w sprawach narodu, bo ona uważaną była za bieglejszą od mężczyzn w przeczuwaniu rzeczy przyszłych; więcéj też u nas było bogiń niż bogów niższego rzędu, to jest duchów żeńskich, jak to niżéj będzie i wiekszą cześć odbierały, bo dla nich było święto Rusałek, a Karły go nie miały. Jednakże wróżby te nie robiły z naszych wieszczek *Dziewic* świętych, jak to u Litwinów miało miejsce. Nasi wieszczy gęślarze nigdy także do ubóstwiania nie byli podnoszeni; używali tylko od innych większego szacunku. Widocznem jest jeszcze to pierwszeństwo płci żeńskiéj w tym punkcie ze sposobu odbywania u nas roków i wieców, przy których *dziewice* sprawowały rodzaj kapłaństwa, a nawet jak wiadomo w sądzie Lubusy, trzymały deski prawa i miecz, oraz w rządach Wandy przewodniczyły sprawom całego narodu. Z płci żeńskiéj tylko dziewice mogły być

(1) Zob. Starożytności Polskie pod: *Duchowieństwo*. Str. 223 i t. d.
(2) Zob. Polska. A. Morzyckiego.

do wróżb i wieszczenia używane; polubiwszy niepokalaność miały one opiekunkę w bogini *Dziewannie*, której też i Wanda się oddała i która głównie w Polsce była czczoną, opiekując się zarazem lasami i wszelkiemi zwierzętami leśnemi; kwiatem poświęconym téj bogini i zarazem kwiatem panieńskim była roślina *dziewanna*. *Kobieta* zaś skojarzona już *objatą* czyli obietnicą uroczystą w węzeł małżeński, która już następnie wydała na świat owoc miłości *dziecię* (pierwotnie dziedzię) na ofiarę dla bogini *Dziedzilii*, do której obrzędy zapłodniające czyniła, nie mogła już być do wróżb używaną. Stawała się więc *niewiastą* czyli kobietą niewiestną; niezdolną na wieszczkę do *zwiastowania* z powodu zatlenia w jéj *żywocie* iskry życia przez boginię *Żywie* czyli Dziewę, do której się w tym celu modliła; dzisiejsze *nowenny* mężatek zdają się być dalszym ciągiem owych przedwiekowych obrzędów, z różnicą jednak taką, jakiéj istota naszéj świętéj religii wymaga. *Kobieta* jakkolwiek z zawodu spraw publicznych przechodziła w domową zagrodę, nie traciła jednak na dostojeństwie. Szacunek też kobiety cechuje dotąd wydatnie nasze obyczaje; najwięcéj jednak odznaczali się w tym względzie niegdyś nasi Lechowie, którzy zostawali zawsze w jednożeństwie i w spójności rodu. Przeciwnie kmiecie żyli w wielożeństwie; samo nazwisko *nie-wiasty* dowodzi pewnéj bierności w ich stanie; dziewice tylko miały równy z mężczyznami udział w życiu publicznem przy obrzędach gminnych i religijnych, mianowicie przy wróżbach. Zawód niewiasty ograniczał się zatrudnieniami gospodarskiemi; dzieci w różnych spłodzone łożach nie łączyły się z sobą ściśle w spójność pokrewną; a w kmiecéj familii Piastów nawet po epoce pogaństwa widzimy dowody wielożeństwa. Przy całym jednak tym szacunku ze strony pokrewnych kmieciom Lechów, nie cierpiano u nas zwierzchnictwa żon nad mężami; sąd Libusy już przyznaje, że: *ręka dziewki władać nam niezdatna;* a i lud sobie wyrobił przysłowie: *biada temu domowi, gdzie dobodzie krowa wołowi!*

Pochopność Słowian do wróżb ma swoje źródło w ich politycznym niegdyś bycie: im bowiem kto nieszczęśliwszy, tém jest ciekawszy dowiedzenia się o kresie swych cierpień; a pokój lubiący Słowianie wiele cierpieli od nieprzyjaznych sąsiadów.

Obecnie trwające jeszcze między ludem wróżby o urodzajach, ciężkich latach, wojnie i innych nieszczęściach, z wycia psów, z lotu, piersi i kości niektórych ptaków, *np.* gęsi zabitéj na święty Marcin i t. p., bez wątpienia sięgają wróżb pogańskich wieszczów prorokujących z jelit, kości ofiarnych zwierząt i przelotu ptaków; lud bowiem nasz wytrwałym jest w dochowaniu pierwotnych obyczajów, a choć gorliwie wypełnia obowiązki nowéj świętéj wiary, jednakże nie zdołał się jeszcze otrząsnąć z wielu wyobrażeń dawnéj wiary i miesza je chociaż bezmyślnie z najświętszemi przedmiotami, jak to w przebiegu tych badań było widocznem. Wróżenie zaś z rąk jest obcym wtrętem; rzadko też da się widzieć, aby nasze tak nazwane czarownice pod tym względem chleb cygankom odbierały; wyraz nawet *cyganić* czyli kłamać pochodzi od bredni, jakie prawią te przechodnie kobiety, zapatrując się na marszczki dłoni łatwowiernie im podanéj.

Przytoczona przy ustępie o dziewicach wróżkach, bogini *Dziedzilia* (inaczéj *Zczylia*, *Kraśnica*) mająca w swém towarzystwie *Miłosteńki* czyli *Lublinki* nasze Gracye, była to wielka w szeregu dwunastu niebieskich pań ósma bogini słowiańska: przedstawiała miłość niewieścią uosobioną, a była tyle ubóstwianą, co niepokalana grecka Wenus; jako patronka dzieci czuwała nad szkolnemi zakładami ku dobremu wychowaniu dziewcząt przy świątyniach umieszczanemi. Cudny jéj posąg przedstawiał prześliczną panią wyniosłego wzrostu, w oczach jéj jaśniały dobroć i przymilenie; włosy rozpuszczone, na głowie wieniec z myrtu różami czerwonemi przeplecionego, które to kwiaty pozostały i dotąd symbolem młodości, niewinności i miłości. W ustach miała pączek róży; bok jéj lewy tak był otwarty, że przezeń serce nieskażone niczém widzieć się dało; w lewéj ręce trzymała kulę świata, a w prawéj *trzy* złote jabłka. Do złotego dwukolnego jéj rydwanu zaprzężona była para gołębi i para łabędzi (1). Piękny ten symboliczny obraz daje jeszcze jeden pewnik o estetycznem usposobieniu i pojmowaniu piękna naszych przodków, nawet w czasach odległéj przeszłości. Na Litwie

(1) Zob. Słown. Pol., w Wilnie, pod wyrazem *Dziedzilia*.

dziewice święte czyli prorokinie trudniły się przepowiadaniem przyszłości: kapłanki tego rodzaju *wajdelotkami* się zwały. W pogaństwie słowiańskiém nie było tych świętych dziewic, wyjąwszy tych Słowian, którzy z Germanami i Litwinami styczność mieli, jak między innemi Pomorzan, którym Oton ś. zakazał udawać się do prorokiń i radzić się wróżby. Nazwa łagodnych wajdelotek ma źródłosłów w słowie *Weleda*, jako nazwisku prorokini, która durząc lud, z wysokiéj mu prorokowała wieży; u Gotów także była prorokini *Valada-marca*, a Goci jak wiadomo, żyli długo wespół z Litwinami i Słowianami. U Skandynawów proroczą kapłankę zwano *Wela*, a u Semnonów będących szczepem Swewów żyła w I wieku po nar. Chr. prorokini *Ganna; gannati* zaś po starosłowiańsku a po litewsku *giemi* znaczy prorokować, śpiewać (1). Jest więc i tu dowód wspólności wiary litewskiéj w niektórych punktach z germańską.

Zaklęcia jako potęga słów, sięgają najodleglejszéj starożytności i były wspólne tak, jak wróżby Grekom i Rzymianom, gdzie zabobon ten bardzo był rozgałęziony, zgoła wszystkim pierwotnym ludom był nieobcy, zkąd go i Słowianie nabyli. U Skandynawów *runy* czyli tajemnicze znaki i słowa, rolę zaklęć naszych odgrywały; mitologiczna ich księga *Edda* wiele kart poświęca ich przytoczeniom; u nas zebranie tych tajemniczych formułek zaklinania ze znanych nam zbiorów podań wyjętych lub jeszcze od ludu niespisanych, byłoby bardzo pożądaném, boby nas więcéj objaśniło w zasadach pierwotnéj wiary. Przy końcu mych studyj w części II będę chciał to uskutecznić o ile siły dozwolą.

Zaklęcia te zależały na wymówieniu szczególnych zwięzłych słów najczęściéj rymowanych, co jest dowodem, że one są układane z pracą i stanowią część mitologicznych u nas przepisów do dziś dnia jeszcze tu i owdzie w opowiadaniach ludu rozstrzelonych. Słów tych pierwotnie uczyć miały, oczywiście według twierdzeń ówczesnych duchownych, nadziemskie istoty ludzi godnych tego, a potém w koniecznéj kolei czarodzieje i czarownicy przekazy-

(1) Zob. Pierw. Dz. W. A. Maciejowskiego.

wali je najstarszym dzieciom w swoim rodzie. Wyrzeczenie ich sprawiało przenoszenie się ludzi z miejsca na miejsce lotem błyskawicy; umiejący je otrzymywali co chcieli, przywołując ku swéj pomocy gęśle-samograje, miecze-samosiecze, siwki-złotogrzywki i t. p.: zgoła wstrząsali całą naturą. Gdy bogi z zenitu swojéj potęgi zepchnięte zostały, władza ta stała się udziałem *jędz* a późniéj bab czarownic, jak to po dziś dzień jeszcze gdzieniegdzie lud utrzymuje; przyznawano nawet tę moc świętym mężom, np. ś. Wojciechowi, który miał przekląć węże około m. Wielunia w kamienie z ich kształtami za to, że mu się naprzykrzały i często aż do kielicha sięgały na ołtarzu, gdy mszę ś. odprawiał w dawnym kościele w mieście Rudzie a teraz we wsi tegoż nazwiska istniejącym (1). Podobnież w Górnym Szlązku przypisał lud ś. Jackowi czyny zaklęcia; a wyrażenie: o! *święty Jacku z paciorkami!* odnosi się do legendy opiewającéj, że gdy tego świętego ścigali poganie i rozwiązał mu się na drodze różaniec bardzo długi, wtedy *paciorki* z niego przemieniły się w białe kamyki z dziurkami na wylot, którą to osobliwość dotąd tam lud pokazuje szczególniéj w zwirze wodnym (2).

Wypada jeszcze zastanowić się nad naturą bogów i bogiń naszych, bo to się bardzo wiąże z klechdami w szczególe i w ogóle z podaniami naszemi.

U Słowian bóstwa zrodzone ze krwi najwyższego boga były zacniejsze i pośledniejsze; do ostatnich należą *duchy*, o których wiele mówią polskiego ludu opowieści: duchy te były płci *męzkiéj* i *żeńskiéj*, *dobre* i *złe*, mieszkały na ziemi i w wodzie, niosąc ludziom przysługi lub szkody, pomagając lub trapiąc śmiertelnych. W ogóle te dwa rodzaje duchów, tojest dobre i złe zwano *białemi* i *czarnemi*; do białych należały *Wiły* czyli *Biły*, tak nazywane od wyrazu starosłowiańskiego *biłyj* biały; do czarnych liczyły się *Biesy*, a z nich *Strachy*, do których należał bożek piekielny *Dziw* lub *Dziwo*, przybierający na siebie różne potworne, nigdy niewidziane postacie na ziemi, np. ptaków i zwierząt i wieszczący temu nieszczęście, komu się pokaże. O niuto mówi

(1) Tak mieszkańcy w Wieluniu opowiadają.
(2) Legendę tę słyszałem w Górnym Szlązku około m. Gliwice.

owa *pieśń o Igorze* wychodzącym do nieszczęśliwej walki z Połowcami:

„Psy, wilki wyją, huczy puszcz złowieszczy,
A z wierzchu drzewa straszne dziwo wrzeszczy."

Z tego więc wyrazu czerpią swe źródła owe *dziwy* często w podaniach ludu wspominane.

Nadłabańscy Słowianie prócz tego czcili wzorem stykających się z niemi Niemców *Białego* i *Czarnego boga*, uważając, że od pierwszego wszystko dobre, a od drugiego wszystko złe pochodziło. Także Morawianie i Rusini czcili wraz z Białym Czarnego boga, oraz jego sługę Chworza; Włodzimierz Wiel. oddawawał mu cześć na górze kijowskiéj, według Nestora. Chworz ten miał postać smoka walczącego na niebie z Światowitem i sprawiającego zaćmienie słońca. U nas wierzono także do czasu w dualizm najwyższego bóstwa, lecz, jakto już wyżéj przy mowie o *smokach* staraliśmy się dowieść, cześć ta z czasem upadła; mamy bowiem ślady w podaniach o zabijaniu smoków i potwornego *pająka*, co w VI wieku najpewniéj stać się mogło za Krakusa, gdy wpływ religii władnących nami niegdyś przybyszów niweczono. Prócz tego z zaświadczeń Prokopiusza i Helmolda przekonaliśmy się, że Słowianie a szczególniéj Polacy ostatecznie uznawali tylko jednego najwyższego boga Peruna, dodając mu do pomocy podrzędne bóstwa; sam zaś bóg najwyższy nie był ani dobrym ani złym ale sprawiedliwym. Lecz za to dualizm bóstw drugorzędnych, tojest duchów przetrwał w naszéj pierwotnéj religii do końca i dzisiaj nawet ślady jego są widoczne w tysiącznych podaniach.

Bóstwa drugorzędne dobre czyli duchy białe, ogólném słowem *Wiły* zowiące się, w pierwotnych wyobrażeniach miały postać *kobiecą* i *męzką*. Duchy żeńskie dla ich pokrewieństwa z bogami zwano także *Bogunkami;* od koloru zaś *rusego* czyli płowego, w którym je wyobrażano, przybierały nazwisko *Rusałek*, czarujących prześlicznych istot; te z nich znowu, które się w gajach świętych ukrywały i straszliwie wyły przed burzą, która się podobno po starosłowiańsku *hają* nazywała (1), mianowano *Gałkami*. Daléj

(1) Zob. w Słowniku Pols. *hałki*.

towarzyszki boga gęślarzy Belina, znane były w naszéj mitologii pod imieniem *Piewalic*; otaczające zaś boginię Dziedzilię zwały się *Miłosteńkami* lub *Lublinkami*. Wogóle postać ich była ludzka według ówczesnych wyobrażeń, naturę téż ludzką po części im przyznawano z władzą czynienia nadprzyrodzonych rzeczy, nibyto greckie Fauny, Nimfy, Gracye i Muzy; jedne z nich oznaczały zdrowie, choroby, inne mór czyli zaraźliwe powietrze, sen, drzemotę i t. p. W serbskich pieśniach *sen* chodzi po ulicy i rozmawia z dziećmi, w ruskich snuje się około okien, a *drzemota* koło płota; czczono także te bóstwa w postaci dziewic *łabędziego śpiewu*, które w rzekach lub nad rzekami mieszkając, kąpały się w wodzie, były wieszczym obdarzone duchem, znały tajemnice natury, wspomagały lub trapiły ród ludzki (1).

Według więc przyznawania im złych przymiotów, zwały się jeszcze duchy żeńskie czarne *Dziwożonami*, *Topielicami*, *Morowémi dziewicami*, *Przypołudnicami*, *Babami-Jagami* inaczéj *Babami* czyli Jędzami, niby greckie Harpie, Dryady i Oready; umieszczano je zawsze na ziemi i odróżniano od *mar* czyli duchów podziemnych, nieswojskich, bo przyjętych od Saksonów, gdzie *marha* potwór oznacza (2). Późniéj, gdy na nas germanizm i litwanizm wpłynęły, przez ciągłe ocieranie się z niemi do mar zaliczono także *biesów* i *czartów*.

Dziwożony, tojest żony bożka Dziwa są to osobliwe istoty w klechdzie słowiańskiéj. Mieszkają zazwyczaj w górach, w ciemnych borach, niedostępnych rozdołach, pieczarach i wydrążeniach skał. Kształt ich karłowaty, twarz bardzo szpetna, włos długi, rozpuszczony i pokudłany, a piersi tak ogromne, iż piorą i maglują na nich własne gizełka (koszule dziecinne). Najulubieńszém ich pożywieniem jest ziółko *słodyczka*. Dokuczają nierządnym niewiastom, wykradają im ładne dzieci, podsuwając własne, szkaradne, garbate, w pięcioro skrzywione, a złe i straszliwe. Trapią nawet i mężów niedotrzymujących małżeńskiéj wiary; trudno je odpędzić, bo się nawet czarów nie boją; jednak kwiat *dzwonki* ma moc nad niemi. Ponieważ zaś

(1) Zob. Pierwot. Dz. W. A. Maciejowskiego, *O Wiłach*.
(2) Zob. Pierw. Dz. W. A. Maciejowskiego.

u Słowian wolno było mieć po kilka żon razem, więc i bóg Dziwo tém więcéj się od tego wyłączyć nie mógł i miał ich podostatkiem. Takie wyobrażenia o Dziwożonach żyją jeszcze dotąd między prostaczymi mieszkańcami Karpat i na Podhalu, gdzie lud wierzy w nie tak, jak na Rusi i Ukrainie wierzą w Rusałki, zupełnie różne od Dziwożon, bo są istotami zachwycającemi i czarującemi swojemi wdziękami.

Topielice odpowiadają litewskim Undinom, te i tamte były niższemi boginiami, z natury swojéj czyhającemi na ludzi, i nęcącemi ich na głębie. Postać ich była zawsze piękną tak jak Rusałek: białe ciało, włosy złote, a na ustach pieśń czarująca.

O *Morowéj dziewicy*, u nas, na Litwie i Rusi o *Kani* i *Cisze*, oraz o *Homenie* już była mowa przy czci żywiołów, mianowicie przy *powietrzu*. O śmierci, którą przedstawiała wielka bogini Marzanna istnieje piosenka, że się wije po płocie; mogła się zaś wić w pojęciach ludu, gdyż miała kształt i przymioty natury ludzkiéj. Dotąd śmierć widzi lud w Kaliskiém w postaci wysokiéj *białéj pani* (ubiór naszych bogiń), która przed skonaniem człowieka w *czarnéj godzinie* przy łożu konania siada. Wyrażenie więc: „zajrzała mu śmieć w oczy," jest usprawiedliwione przez pierwotne jéj upostaciowanie.

Jędza po starosłowiańsku Jęza czyli Jęga, była to zła bogini w naszéj mitologii, wyobrażająca chorobę, gniew. Na Rusi zwą ją Baba-Jaga, na Podlasiu Baba-Jędza. Późniéj, za chrześciaństwa zrobiono z niéj złośliwą czarownicę, a od jéj mniemanego kształtu, kobiety gniewliwe, wychudłe i nie miłéj postaci jędzami zwano. Istnieje o niéj u ludu wyrażenie, szczególniéj na Rusi powtarzające się w baśniach: „Baba-Jędza, w stępie jedzie, stęporem się pogania, pomiotłem ślad zamiata."

Klechdy nasze i innych Słowian, wiele nam mówią o Jędzach. Według nich Jędza mieszka zwykle w lasach, śród martwéj ciszy, w domku obracającym się wiecznie wkoło na kurzych nóżkach, który na słowa zaklęcia: „domku! domku! na kurzéj stopie, otwórz się!" przystawał z drzwiami otwartémi na rozcież. Gospodyni téj chatki jest

to kobieta „jak świat stara,“ siwa, zgrzybiała, z twarzą całą w marszczkach; przędąc wciąż kądziel (niby Parki) piosenki nuci i w myśli sobie coś układa.“ Gdy się rozgniewa i krwawemi spójrzy oczyma „odbija się od nich krwawa łuna na niebie.“ Ma *dwanaście* prześlicznych cór, a pole w około chaty makiem zasiewa, który w las drzemiący *matecznik* zwany wyrasta i natrętnych przybyszów nieprzespanym snem morzy. Kto się zaś do niéj za pomocą wyżéj przytoczonego zaklęcia dostanie i zasłuży na jéj łaskę, ten otrzyma *gęśle-samograje*, lub kłębek *wskazidrożek*, który go zaprowadzi do miejsca pożądanego; prócz tego wisi u niéj miecz samosiecz i inne cudowne rzeczy (1). Własność owych gęśli-samograjek była taka, że: „skoro się rozlegnie cudowne ich granie, chory z niemocy powstanie, smutny wesołym się stanie, szpetny pięknym się staje, urok skutkować przestaje, a umarły zmartwychwstaje.“ Te podania o Babie-Jędzy niczém inném nie są, jak tylko ustępem z mitologii naszéj, do dziś dnia w ustach ludu żyjącym.

Z klechd téż najwięcéj o postaci i własnościach drugorzędnych bóstw czyli duchów dowiedzieć się możemy.

Owe pierwotne Wiły, czyli duchy białe, lud sobie różnie wystawiał: jużto z cudzoziemska pod postacią *Syren-Różolic*, tojest pół-cudnéj, czarującéj dziewicy i pół-ryby; już téż po swojsku, jako *Krasawice*, *Cuddziewice*, *Krasnorody*, co pewnie powstało z mitologicznéj postaci bogini Dziedzilii inaczéj Krasopanią zwanéj; lub zwano je także *morskiemi pannami*, a zawsze prześlicznemi czarodziejskiemi istotami z ogólném mianem Rusałek. Mieszkańcy lasów i smętnych równin widzieli Rusałki, (uosobienie swojéj poezyi) w postaci uroczych dziewoi z kwitnącemi różami na licach białych, z modremi oczyma, kołyszące się na gałęziach brzóz z rozpuszczonemi włosami ku ziemi podczas płowiejącego (rusego) zboża w piękną pogodę i wabiące młodzieńców czarującym śpiewem ku sobie; lub téż pląsające po błoniach, dąbrowach i nad żytami, mogąc się zarazem według upodobania zamienić w ptaszka pięknego lub świecącą muszkę.

(1) Zob. Klechdy w Bajarzu Glińskiego.

Tak one są w klechdach białoruskich i skazkach małorossyjskich przedstawione. Czarują one tam wdzięczną swą mową z ust koralowych płynącą, urzekają jasném dużém okiem, a od ich wdzięku wiatr kona zaklęty; „patrząc na nie nie patrzysz się, słuchając ich nie nasłuchasz się.“ Pokazują się też na głębiach rzek i jezior i wabią swemi wdziękami młodzieńców.

Mamy także w *Bajarzu* Glińskiego przecudną mytologiczną postać dziewicy *Swiatłowidy* „jakiéj ani oko widziało, ani ucho słyszało,“ która „promieniami słońca patrzyła, wonią róż oddychała.“ Do usług miała *siedem* pięknych dziewic, które na jéj wezwanie po promieniach słońca się opuszczały, i nadprzyrodzone rzeczy przy ich pomocy dokazywała, jak to nam przedstawia klechda o *królewnie zaklętéj w żabę*, w Bajarzu umieszczona. Późniéj została ona przez królewicza wyzwoloną z zaklęcia, pokochana i za żonę pojęta; co się stało przy pomocy czarodziejskiéj *Baby-Jagi*, u któréj po pierwszéj przemianie w postaci kaczki zostawała; do ojca zaś na zamek powraca z królewiczem, *dyamentowym* mostem ze złotemi gałkami, a „był to most nie most, cudo mostów.“

Nadmorskie słowiańskie i litewskie ludy przymieszawszy obce wyobrażenia lub też na wzór ich tworząc swoje, wystawiali sobie jeszcze Rusałki, Cuddziewice, że „za trzydziesiątém królestwem, w trzydziesiątém państwie za morzem, oceanem, stojąc w srebrzystym okręcie, cudzeokrętów lub w takiémże czółenku ze szczerozłotym masztem, z jedwabnemi linami, aksamitnemi żaglami, pływają po szklistéj wód przestrzeni. Jedną ręką trzymają złote wioselko, a drugą złoty warkocz przebierają; witając zaś wschodzące słońce tak ślicznie nucą, że zasłyszawszy je gdybyś uszu prędko nie zasłonił (niby Ulisses), wpadłbyś w rozkoszne marzenie i zasnął na wieki.“ Jeśli łowią rybki, to jeno „dyamentową wędką z srebrném włosieniem, złotym pływakiem i wędziskiem bursztynowém; złowione zaś rybki błyszczą „srebrną łuską ze złotemi skrzelami,“ i robią to, co każą cuddziewice Rusałki. Cuddziewicę „ten tylko posiędzie, kto trzykrotnie młodym będzie: młody sercem, młody duszą i młody ciałem.“ Są one córkami Baby-Jagi, która je często z zazdrości przed światem i czarodziej-

ską potęgą chowa w okrętach zewsząd zakratowanych, na morzu.

Czém są u Polaków Topielice, a u innych Słowian Rusałki, tém są u Litwinów *Undiny* i *Świtezianki*. Undiny, czyli w narzeczu żmudzko-litewskiém *Ondiny*, były to boginie wodne, a szczególniéj rzeczne. Nazwa ich zdaje się mieć źródłosłów w wyrazie łacińskim *unda* (woda, głębina). Lud dziewice te wyobraża sobie jako istoty idealnéj piękności, mieszkające na dnie rzeki, i wypływające w noc miesięczną na powierzchnią wody wabiąc pląsami i śpiewami młodych chłopców, których naprzód pozbawiają rozumu, a potém pogrążają w przepaściach wodnych.

Liczne są o tych czarodziejskich istotach na Litwie podania, pochodzące z dawnéj wiary; istnieje piosenka o *Ondynach* rzeki *Jury:* ostrzegająca pięknych chłopców, aby się nie zbliżali do rzeki, bo o zachodzie słońca burzą się wody rzeki Jury, roztwiera się jéj łono, a z niego wychodzą dziewice urocze i zdradne swoim śpiewem, który nieostróżnego o utratę rozumu przywiedzie, a za jedno ich spojrzenie grób na dnie rzeki znajdzie. Undiny lud zowie tam często *narzeczonemi wód* (Upiu Marteles), co zapewne pochodzi z dawnego mniemania, że kochanki topiące się z rozpaczy bogowie litościwi przemieniali w Undiny, aby się mściły na mężczyznach swojéj śmierci i były opiekunkami wód, o czém także istnieją ludowe piosenki (1).

Te same dziewice przebywające w rzece Świtezi, zwą Litwini Świteziankami, o których nasz wieszcz Adam napisał *Świteziankę i Rybkę*, polegające na podaniu.

Ciągnąc rzecz daléj o Wiłach, przytoczymy tutaj, że lud serbski mniema dotąd, iż matka mogła swoją córkę przekląć na Wiłę; to mniemanie sięga mitologicznych czasów, jako téż i to, że te duchy i od istot nieżywotnych brały życie: rodziły je bowiem góry, powijały listki zielone, ranna karmiła rosa, a wiatr kołysał. Żyjąc z ludźmi czyniły im dobrze, leczyły ich jako biegłe lekarki, wlewały pociechę w serca smutnych dziewcząt; jednak przy nadprzyrodzonéj swéj władzy podlegały i ludzkim słabościom i dawały się łapać w lasach urodziwym młodzianom, a piękny

(1) Zob. Litwa. Przez Ludwika z Pokiewia. Str. 32, 33, 34 i 35.

chłopiec puściwszy strzałę pozbawiał ich życia. Zwodziły też śród gór a nawet i po śniegu tany z młodzieńcami chcącymi je za żony; tak nabawiwszy się na ziemi unosiły się w obłoki, zkąd znowu ku ludziom dla śpiewania cudnych piosenek schodziły. Obok tych pierwotnych mniemań, sądzą jeszcze Rusini: że dziewice, które bez chrztu świętego umarły, stawają się Rusałkami i żyją w lasach tak jak Wiły, to kołysząc się na brzozkach, to błyszczące czesząc włosy i czyhając na młodzieńców; oraz że przebywają w wodzie i na polu (1). Mniemanie to powstało widocznie za chrześciaństwa mając tło mitologicznéj wiary.

W takich to prześlicznych, pełnych poezyi obrazach przedstawiają nam klechdy nasze boginie; sam wyrób tak przecudnéj wyobraźni w tym tylko punkcie naszéj mitologii, przekonywa nas, że lud nasz tak samo czuł przed wiekami, co jest pięknem i wzniosłem, jak owi Grecy i Rzymianie, których mytyczność, z zasłoniętémi oczyma na swojską, bałwochwalczo jeden za drugim wysławiamy. Lud jednak nasz mniemał inaczéj od nas szczycących się obecną oświatą, bo dawno już powiedział: „Poco nam szukać obcych bogów, kiedy mamy swoje?“ a jabym dodał: że piękniejsze jeszcze i szlachetniejsze niż cudze!

Pierwotne wyobrażenia o Wiłach i Rusałkach w kolei czasów znacznéj uległy przemianie: zrodziły się bowiem z nich złe *czarownice* z własnościami i wadami, jakie dotąd śród ludu są znane, a czego już starałem się dowieść w rozprawie o *czarodziejstwie* w roku bieżącym w Gazecie Codziennéj ogłoszonéj.

Pierwotne te czarodziejki były, jak widzieliśmy, pięknemi, żyły zgodnie z ludźmi i pląsały z młodzianami po lasach, dąbrowach i niwach; późniéj zaś, mianowicie przy wpływie chrześciańskich wyobrażeń cisnących się ku nam z Niemiec, gdzie czarownice zawsze szpetnemi były, przeistoczyły się i u nas na *złe czarownice*, istoty ludzkie, będące w zmowie z czartami, zwodzące tany nie po kwiatach i murawie lecz po *Łysych-górach*, a czarując nabiał, zadawały zarazem i ludziom choroby rzadko im czyniąc przysługi. Odtąd też nietylko same dobre ale i złe bóstwa cho-

(1) Zob. Pierwot. Dz. Maciejowskiego, o Wiłach.

dziły w bieli, bo kolor *biały* przestał już być symbolem dobroci bóstw i tylko pozostał jakoby wspomnieniem dawniejszych wyobrażeń. W takim też kolorze widzimy w klechdach złe bóstwa: *Powietrze i Morową Dziewicę*. W takiéj przemianie z owych czarujących, pięknych, dziewiczych bogiń powstały, wzorem niemieckim, szpetne *baby*; ich wiedza przyrody przemieniła się teraz w *gusła* i stała się własnością li starych bab, *zababonem* czyli zabobonem teraz zwaną, która w dziedzictwie spadała na najstarsze dziecko czarownika lub czarownicy (1). W powietrzu zaś, nie jak dawniéj, mocą boską ale szatańską latały, a zamiast *wieszczego siwka złotogrzywka* przybywały im w pomoc stępy, miotły lub ożogi. Jak więc u Greków Dryady i Oready, latające duchy się snuły, tak teraz latały czarownice śród słonecznego skwaru zwane *Południcami*, lub z djabłami tany (licho-plesy) zwodziły. W postaci bab szpetnych wystawiają sobie Górale karpaccy i Rusini z nad Buga dawne Bogunki, z tą jednak różnicą, że pierwsi widzą je w łachmanach, drudzy zaś z zielonym wiankiem na głowie, ową jedyną dawniejszych czasów spuścizną.

Jedném słowem Wiły i Rusałki przeszły w jednych stronach, na Jędze czyli Baby-jędze, w drugich na Dziwożony, szczególniéj w Galicyi, i Ksenie na Ukrainie, czyli straszliwe upiory. Stały się nieprzyjaznemi ludziom, porywały im dzieci i żywiły się niemi, mieszkając w *domkach piernikowych* śród lasów, jak nam baśnie wielkopolskie prawią. Wszystkie te ujemne wyobrażenia, o dawnych dobrych bóstwach w podaniach naszych żyjące, powstały, jak to już wspomnieliśmy, z przyczyn bardzo jasnych, bo z wpływu chrześciaństwa i obcych przesądów, mianowicie sąsiednich nam Niemców. Swięta nasza wiara dawszy nam przeczystych i bielszych duchów, Aniołów, Serafów i Cherubów, a przedewszystkiém skierowawszy myśl ku Jedynemu, Wszechmocnemu Bogu i miłości braterskiéj objawionéj w poświęceniu i mękach, słusznie ohydziła i strąciła dawne bóstwa nasze; poezyi jednak ludowéj i niewinnych jego marzeń zniweczyć nie miała na celu. Nie miała i na celu zastępować nam dawnych bogiń i wieszczych dziewic ohy-

(1) Badacze utrzymują, że zabobon od słowa indyjskiego *boboon* pochodzi.

dnemi czarownicami brzemiennemi w przesądy; wyobrażenia te przylgnęły do wyobraźni ludu przez wpływ szczególnych okoliczności i sąsiednich nam Niemców, żyjących długo z przesądami w obec świętéj wiary, któréj wcześniéj od nas zostali wyznawcami.

Przypada teraz z kolei zastanowić się nad *męzkiemi duchami* czyli niższemi bogami. Duchy płci męzkiéj mają ogólną u nas nazwę *Karłów*, tojest istot wzrostem i siłą pośredniczących między bóstwem a człowiekiem, tak jak u Niemców Elfy, zwane Alfami u Skandynawów. Gościły także w wyobraźni naszego ludu *Olbrzymy*; a do złych duchów liczono *Biesy* czyli *Strachy* i z nich powstałe późniéj *Upiory*, *Strzygi*. Karły odznaczały się wiedzą przyszłości i niezwykłą zmyślnością, czém często brały górę nad Olbrzymami strasznémi mocą fizyczną i ogromem ciała. Pojęcie o Olbrzymach, znanych w niemieckiéj i skandynawskiéj klechdzie pod imieniem Trollów, jest zaklimatyzowanym u nas napływem obcym: słowiański sposób myślenia i życia nie ma rycerzy w znaczeniu niemieckich bohaterów; u nas wojny były li odporne, a gminowładztwo z razu jedyną władzą. Bohaterowie nasi bylito ojcowie familii, dbający o dobro swojego rodu i obowiązki religii; ucisk tylko sąsiada wyrobił z nich dzielnych *bojanów*. Byliśmy więc mężnymi w walce, lecz oręż nosili tylko dla odparcia wroga, a ztąd nie było sposobności do wydania u nas takich bohaterów, aby ich ród wywodzono od bogów i ubóstwiano po śmierci. U Niemców działo się przeciwnie, bo tam *Wuotan*, bóg najwyższy, był bogiem wojny, więc i bohaterowie figurowali jako nadludzcy olbrzymi.

Idąc w ślad badań p. W. A. Maciejowskiego (1), godzimy się na to, że Niemcy swoim zwyczajem Słowian i innych nieprzyjaciół, a ci znowu na ich wzór Awarów czyli *Obrów* olbrzymami zwali; wyraz téż *Obr* jest źródłosłowem Olbrzyma, tak, jak sądzę, niemieckiego Trolla *Tyrol*.

Lecz Słowianie zapomnieli już prawie o przechodnich *Wielkoludach*, któryto wyraz jak widzimy, jest złożonym, i nie mieli oddzielnego swojego na te istoty wyrazu, tak w mitologii jak i w wyobraźni swojéj; Niemcy zaś osobny

(1) Pierw. Dz. Polski i Litwy o *Olbrzymach* i *karłach*.

utworzyli na to wyraz *Riese*, który też dotąd w ich mowie żyje.

U Litwinów, jako zlewków powiększéj części germańskich plemion, istniały w mitologii i wyobraźni Olbrzymy, jak np. bajeczny bohater-olbrzym *Alcys*. Wyrywał on dęby z korzeniami i używał ich za laski czyli kosztury; wywracał zamki i grody jak kopy siana. Bił się ze smokiem pod pewną górą (zapewne *Anafielas*) i skarb mu odebrał. Ożenił się z dziewicą uroczą, która choć ująwszy wołu za rogi przerzucała go za siebie, ale podle swojego oblubieńca widziała się dzieckiem. Trefiła ona mu brodę grzebieniem dużym jak wiatrakowe skrzydło. Alcys ciągle wędrował i szukał przygód; przypomina zaś imieniem greckiego Alcyda, a czynami i znaczeniem germańskiego Sygurda znanego z pieśni „Nibelungi", który zabija smoka Tofnera, zabiera mu skarb i żeni się z Gudrunarą, mającą szczególne upodobanie wieszania kochanków na kółkach.

Olbrzymy żyły także w pamięci tych Słowian, którzy najwięcéj z Niemcami styczności mieli, lub też sąsiadowali z Litwinami. I tak naprzykład istnieje podanie w okolicy Ostrołęki nad Narwią, iż nad tą rzeką miały mieszkać niegdyś wielkoludy tak ogromne, że kochanek kochance podawał z ręki do ręki jabłko przez wodę. Gdy się zaś ci olbrzymi mieszkańcy bili z sobą, stali jedni na prawym, drudzy na lewym brzegu rzeki, i rzucali na się kamieniami wielkości kół młyńskich; w czasie bójki jeden z takich kamieni padł w rzekę i leży dotąd śród łożyska rzeki. Przed kilkudziesięcią laty wykopano tam nad brzegami kości ogromne przedpotopowych zwierząt i te wielkoludowemi nazwano (1). W mieście znowu Wieluniu o dwie mile od Szlązka leżącém, zawieszona jest połowa zęba, a przynajmniéj była przed okropnym pożarem tego miasta, jakiego może mastadona lub mamuta na łańcuchu u sufitu w kruchcie kościoła farnego; druga zaś połowa wielkości pięści leży na futrynie okna. Na ścianie jest napis czerwonemi literami oznajmiający, że tojest ząb wielkoluda. Mieszkańcy powtarzają przyczepione do niego podanie, że co rok ukrusza się z niego cząsteczka wielkości ziarnka makowego, gdy zaś cały w ten sposób odpadnie, wtedy koniec świata nastąpi. Dla poró-

(1) Zob. Podania, R. Zmorskiego, str. 161.

wnania i wyprowadzenia może jakiegoś ztąd wniosku nie odrzeczy będzie przytoczyć, że skandynawska mitologia głosi coś podobnego o końcu świata, utrzymując, iż z paznokci nieboszczyków tworzy się okręt, który jeżeli całkiem skończony będzie, stanie się hasłem końca świata; dlatego zaleca owa mitologia, aby ludzie starali się obcinać za życia paznokcie.

Ruskie i rossyjskie klechdy wiele także o Wielkoludach czyli Wielikanach prawią; lecz to jest nabytek od Normanów, w których mitologii Olbrzymi ważne, obywatelskie miejsce mają, zabijają smoków i dziwacznych doznają przygód.

Dlatych przyczyn klechdy polskie prawiące o Wielkoludach i im podobnych bohaterach, która to nazwa jest obcą, noszą na sobie cechę nie swojską, pod co się podciągają owe znane powszechnie klechdy o *Wali*— czyli *Obali-górze*, *Wyrwidębie*, jako olbrzymach karmionych w dzieciństwie przez wilczycę, niby Romulus i Remus, i walczących ze smokami,—oraz wiele baśni w *Bajarzu* Glińskiego i *Szlachcicu Zawalni* Barszczewskiego zawartych, o których przy przeglądzie zbiorów podań więcéj się powie. W Górnym-Szlązku dodają jeszcze do powyższych dwóch bohaterów jakiegoś *Wyćpi*—czy *Wyśpi-laskę*, który *siedem* lat ssąc urosł tak mocnym, iż kazał sobie zrobić niesłychanéj ciężkości drąg żelazny, którym rzucał jak piłką, a podpierał się jak laską i cudów waleczności dokazywał po świecie.

Nasi rodzimi klechdowi bohaterowie, są to kmiotkowie dokazujący na ojczystéj roli cudów waleczności, którzy orali sochą o dwunastu narogach i dwunastu jarzmach na dwanaście silnych wołów, którzy kosili kosą dwunastosążniową z dwudziestosążniową rękojeścią, grabili zaś dwunastosążniowemi grabiami z sążnistemi zębami (1). Jeździli przytém na wieszczych siwkach złotogrzywkach nad borami, pod chmurami, na górę *Wiecznego żywota*, po *odmartwiającą wodę* lub gęśle samograje i stawali się w końcu rycerzami, jakich oko nie widziało. Późniéj zaś za chrześciaństwa dodano, że djabłów swoim chłopskim rozumem przemagali i z ziemi spędzali, a w nagrodę otrzymywali prześliczne królewny za żony i połowy królestwa za wiano.

(1) W Bajarzu: *Rycerz Nieeginek.*

Bohaterami czyli według dawnego wyrażenia bohaterzami naszémi są także owi z pozoru *Głuptasowie*, którzy swoim prostaczym rozumem więcéj dokazywali niż inni zamorską nauką, a dokazywali dlatego, że się rządzili sercem, szanowali starszych mądrością i wiekiem, i ojców obyczaje. Klechdy te ustrojone fantazyą cudowną, płyną widocznie z pierwotnych mitologicznych wyobrażeń; bo dopomaganie tym bohaterom przez owych *siwych* cudownych dziadków, Russałki, lub Baby-Jędze, aż nadto nam o tém mówi. Tło téż klechd podobnych zastosowane do naszéj mitologii mogłoby być ważnym ustępem do narodowego mitologicznego poematu.

Tyle o olbrzymach i bohaterach.

Karły zaś były parodyą. Wił, tojest karzeł był Wiłą męzkiego rodzaju. Jak zaś pojęcie o Olbrzymach niemieckich do Słowian, tak o karłach słowiańskich przeszło do Niemców; u nich bowiem swojskie podobnéj natury Duchy są *Elfi* (czyli Elbi, *Albi*) tojest *Białe*; z tą różnicą, że mieszkanie ich naznaczano w niebie, zkąd na ziemię chwilowo schodziły. O Karłach niemieckich (Zwerg) i naszych jedne prawie istnieją powiastki, z małemi tylko przemianami, stosownie do miejscowości i charakteru ludu. Czytamy na potwierdzenie tego „w Pamiętnikach Paska“ baśń, którą opowiedział Rejowi posłowi w Sztokcholmie ulubiony jego stangret widzący niby w chorobie wesele Karłów, jak z pod podłogi wychodziło i częstowało go weselnym plackiem czyli kołaczem. Szwedzi opowiadali Rejowi, że oni lilipucie te istoty, wielkości palca, uważali za opiekunów domowych i bardzo je szanowali (podobnie jak u nas); o weselu Karłów i u nas istnieją opowiadania, w których jakaś szlachcianka główną gra rolę. Karły u nas miały króla swojego, tak, jak i u Niemców i Skandynawów; lecz kraj ich był pod ziemią, zkąd na świat wychodziły, aby się z ludźmi mieszać, i lubiły jak Wiły muzykę i tany. Jak one téż przedstawiają się w podaniach polskich z razu dobre i piękne, a późniéj złe i szpetne, stosownie do powziętego wyobrażenia o sąsiednim nie miłym naszemu ludowi narodzie; od czasu téż nieprzyjaznych stosunków z Niemcami, Karzeł był to *Niemczyk*, któryto przydomek i dotąd djabłu u nas przydają, bo wszystkie męzkie bogi i duchy pogańskie przeszły za chrześcian-

stwa w czarty. Gdy więc karzeł miał później naturę nieprzyjaznych nam sąsiadów, uważany był w ogóle za szkodnika mieszającego się z ludem i posiadającego tajemnicze sztuki, któremi czasem przysługi czynił, co się i czartowi zdarzało. Choć Olbrzymom nie dorównywał siłą i ogromem ciała, lecz często *przemyślnością* swoją dawał im się we znaki.

Z razu jednak te męzkie lilipucie duchy nie Karłami u nas zwane były; nazwisko *Karzeł* pochodzi od niemieckiego *Karl* (Karol), a Karłem zwano jeszcze Karola i w XVI wieku (1). U nas te duchy zwano pierwotnie jużto Niziołkami już *Skratymi* czyli ukrytémi duchami w domu, już też *Kołkami* czyli Kołtunami z przyczyny téj chorobliwości ciała lud nasz trapiącéj; już wreszcie *Kudłatymi* czyli Wilkolkami, *Wilkołakami*; nad Prutem i Gopłem zwano je także *Topielcami*. Te ostatnie miały białe ciało ze złotym włosem nakształt Wił żeńskich i pływały śród skwarnego południa po wodzie wabiąc ludzi ku głębinie.

W Wielkopolsce, mianowicie w Kaliskiém daje się słyszéć wiele gawęd ludowych o *Utopkach*, które wychylając głowę z czerwoną czapeczką nad wodę lub tylko zostawiając na powierzchni jéj samą czapeczkę, tak samo jak Topielce nęcą nieostróżnych w przepaści. Lud uważa ich za widma utoniętych ludzi, tak samo jak na Mazowszu myślą i o Topielcach uważając je za *upiory* nęcące ku odmętowi; wyobrażenie to jednak, niezgodne z pierwotnemi pojęciami o śmierci, powstało za późniejszych czasów.

Na morzu Baltyckiem i u Czechów na wodach także się pokazują Topielce; broda ich i włosy zielone tak jak u bóstw morskich skandynawskich; śpiewają oni urocze piosnki, by zwabić krasne dziewczęta: w klechdach białoruskich w podobnéj postaci z zielonemi oczyma pokazują się także karły wodne.

Wszystkie więc te wyobrażenia i nazwy tych duchów ściągają się do pierwotnych pojęć o drugorzędnych męzkich bóstwach naszych czyli Wiłach płci męzkiéj, które najogólniéj później karłami zwano.

Jest jeszcze jedna nazwa szczegółowa tych duchów, mianowicie na Rusi, gdzie zwą ich *Didkami*, które miały tę

(1) Zob. Dz. W. A. Maciejowskiego, o *Karłach*.

samą, co karły naturę, czyniąc posługi ludziom, lecz nazwa ta jest urobiona ze słowiańskiego *Dyd, Dytko.* Były bowiem w naszéj mitologii pod tém imieniem Duchy piekielne, które nie kusiły do złego ale ludzi za złe życie karciły tak na ziemi jak i w piekle. Ogromna moc była Dydków, przyjmowały na siebie postać psa, kota, lub innego zwierza *czerwonéj* lub *rudéj* maści. Byli to w ogóle podziemni aniołowie Jessy, poczciwe paroby Rugewita (1). Dydki za chrześciaństwa stały się straszydłami nocnemi, czyli marami; choć także i pamiętano o ich dawnéj naturze, uważając je za pomocników ludu w pracy. Czytamy w „Pamiętnikach Gołębiowskiego", iż lud ukraiński, ujrzawszy Mazepę przywiązanego na rozhukanym koniu, myślał, że *Didko* jedzie i dlatego ze strachem od niego uciekał.

Tak więc w następstwie czasów ta sama koléj spotkała męzkie Wiły czyli Karły co i Żeńskie Duchy czyli Rusałki, Bogunki i t. d. Zrazu Karły, jak się powiedziało, niosły ludziom pomoc i stawały się opiekuńczémi domów Duchami; lecz gdy djabeł niemiecki znarodowił się u nas, zatém przyjął on rolę Karłów i czynił ludziom dobrze lub źle, według tego, jak go kto umiał *zakląć* czyli *zażyć*, tak samo, jak niegdyś Karłów, i jak go nam liczne baśnie przedstawiają. Ten wpływ obcy i oddziałanie idei chrześciaństwa sprawiły, że Karły razem z innemi bóstwami musiały iść w poniewierkę i pogardę, i stały się wraz z niemi *czartami* czyli *czarnemi* złemi duchami, robiąc mniéj więcéj to samo co dawne bóstwa. I tak, że bożek Radagost lubił niegdyś konie potrzebne mu do objazdu pogańskiego ludu, aby się przekonać o ich wykonywaniu zasad wiary, lub téż używając tych zwierząt do boju, więc późniéj i czarci upodobali je sobie. Na Białéj Rusi *Domowoj* (złych duch domowy) polubiwszy konia pielęgnuje go, i przeciwnie, znienawidziwszy go, nęka. W Wielkpolsce toż samo czyni *plonek* czyli djablik w postaci czarnego kogutka, który sprzymierzonemu z sobą fornalowi dostarcza plonu dla koni, aby lepiéj od innych wyglądały. Te przemiany djabłów w różne zwierzęta wiążą się z dawnemi przeobrażeniami mitologicznego *Dyda*, o którym już wyżéj była mowa. Lud moskiewski czarta zwie tak-

(1) Zob. Słown. Pols. w Litwie pod: *Dyd.*

że *Ledem*, jako złego ducha mieszkającego na lodach, bo intruz ten nie mógł przemieszkiwać wespół z ludźmi, jak dawne bóstwa. U nas czartów także wypędzają w odludne miejsca na moczary, kępy, i t. p., o czém mamy wiele dowodów w opowiadaniach i wyrażeniach, np. „śmieje się jak Jasiek (djabeł) na kępie", a Jasiek taki, jako zły duch zswojszczony zawsze się pokazuje w rogatéj chłopskiéj czapce i w spancerku.

Co spotkało Wiły płci obojéj, to samo się stało i z pogańskiemi *Wieszczami*. Zrazu mniemano, że nietylko duchy czyli drugorzędne bóstwa z natury swojéj świadomemi były tajemnic przyrody, lecz że i ludzie przez starania mogli dochodzić sposobu działania nadprzyrodzonych rzeczy, do czego dopomagały im bóstwa, które upodobawszy sobie niektórych śmiertelników, przypuszczały ich do wspólnictwa z swojemi wieszczémi wiadomościami. Oczywiście, że ci przedewszystkiém tego zaszczytu dostępowali, którzy się zajmowali boskiemi sprawami, a więc duchowni płci obojéj czyli kapłani i kapłanki, jak ich późniéj nazwano. Tacy ludzie według owczesnych sądów wieszczym obdarzeni duchem, pozyskiwali szacunek narodu jako ulubieńcy bóstwa, w rzeczy zaś saméj była to kasta narodu od innych współrodaków oswieceńsza, silniejszym obdarzona duchem i wrząca większą potęgą uczucia, a zatém jedynie zdolna do prowadzenia tłumów na drodze religii i moralności. Tacy też kapłani są bez wątpienia kształcicielami pierwotnéj wiary i twórcami wielu fantastyczno-mitologicznych pieśni i wyobrażeń, które dotąd tak niezrozumiałe dla ogółu w klechdach przetrwały, a które kiedyś potrzebne były jako kodex moralności, jako środek władania ludem; bo rzeczywiście cel najbujniejszéj i na pozór niedorzecznéj, pełnéj mistycyzmu klechdy naszéj, zawsze jest pięknym i porywającym, i mógł w swoim czasie wpływ najlepszy na lud nasz pobożny wywierać. O samych jednak wieszczach mało mamy w podaniach naszych rozgłosu; przytaczamy zaś ustęp o nich jedynie dla lepszego wyjaśnienia i zrozumienia celu naszych podań.

Gdy za czasów chrześciaństwa upowszechniło się między ludem wyobrażenie o *Upadku aniołów* zamienionych

w czartów, powstało więc mniemanie, że bóstwa dawniéj czczone a późniéj pogardzone, nie były to prawdziwe bogi, ale źli aniołowie z nieba strąceni, ale czarci, tojest *czarni* bogowie. W skutek takich mniemań o sprawach wieszczego natchnienia i wieszczowie dawni poszli w pogardę. Mniemanie to bardzo przystało do umysłu Słowian mających styczność z niemieckiemi ludami, a późniéj i z Litwinami, u których do samego upadku pogaństwa przetrwał dualizm w wierze, tojest pojęcie o *dobrém* i *złém* najwyższém bóstwie.

Dawniéj jednak wieszcz nasz doznając opieki bóstwa dwoistego przymiotu, był poważanym jako mędrzec, jako człowiek z nadludzką wiedzą, umiejący za pomocą ziół zachowywać zdrowie. Środki te zachowawcze *lekami* zwano, który to wyraz ma źródło słowiańskie nie niemieckie, jak zagraniczni utrzymują badacze, bo w jedném z najdawniejszych polskich pomników dziejowych, mianowicie u Mikloszica, jest przytaczany wyraz *ljekowanie* (1). Za wpływem przecież chrześciańskich wyobrażeń o potępionym duchu został i taki lekarz wieszczy uznanym za wspólnika czarnego ducha. U wschodnich téż Słowian nazwano go *towarzyszem djabła*, u zachodnich *czarownikiem* a potém *czarnoksiężnikiem*, czyli człowiekiem biorącym wiadomość z ksiąg djabelskich *czarnych*, mianowicie za czasów, gdy znajomość czytania i pisania upowszechniła się więcéj w narodzie, tojest między XIII i XIV wiekami. O źródłosłowie i powstaniu czarnoksięstwa starałem się już obszerniéj w poprzedniéj mojéj pracy „O czarodziejstwie" powiedzieć (2). Tu dodać jeszcze można, że w IV wieku rozpowszechniło się mniemanie u nas, iż aniołowie w księgach *czarnych* grzechy ludzkie spisują, a w X wieku dano téj wieści wiarę, że był człowiek, który zaparłszy się Boga, zaprzedał djabłu swą duszę, lecz za łaską Bogarodzicy został uwolnionym z jego przemocy. Podanie to przyczepiono nieco zmienione do *Madeja*, a potém do *Twardowskiego*, mianowicie przy wzmiance o *godzinkach* przez niego w djabelskiém objęciu śpiewanych.

(1) Zob. Dzieje Pierw. Maciejowskiego.
(2) W Gazecie Codz. z roku b.

Zwichnęły się więc pojęcia pierwotne o wieszczach i lekach, a zastąpiły je mniemania o *czarach*, czarownicach i czarnoksiężnikach; kto też posiadał wiadomości o tajemnicach przyrody, ten za czarowinka lub czarownicę był uważany. Niepodobna jednak sądzić, aby dopiéro za przyjęciem u nas chrześciańskiéj wiary miał powstać o naturze czarownic zabobon, jaki dotąd między ludem się ukrywa; powód tego zabobonu ma najpierwszy zaród w polityce, jakiéj się sąsiadujący z nami Niemcy chwycili (1), pociągnął zaś za sobą okropne skutki, bo *prześladowanie za czary*. Niemcy bowiem nie lubili z natury łączyć się przez małżeństwa z ludami obcemi (co godném jest pochwały), lecz oprócz surowych prawnych zakazów co do małżeństw mieszanych, przeciwnych ich polityce, chwycili się jeszcze podstępnych środków dla odstraszenia swych rodaków od związków w tym względzie ze Słowianami. Tém więcéj zaś przy tém obstawali, gdy Słowianie jako ujarzmieni nienawidzili swych ciemiężców i opierali się uporczywie przeciwko chrześciańskiéj wierze już dawno przez Niemców przyjętéj, a co się stało powodem do utworzenia przysłowia; „Ślepy Hess" na Słowian zatwardziałych długo w bałwochalstwie w Turyngii i Hessyi, i innego późniejszego wyrażenia na wzór tamtego: „Ślepy Mazur", bo jak wiadomo jeszcze za Władysława Hermana silném było pogaństwo. Urodzonych w bałwochwalstwie do czasu przyjęcia chrztu świętego kroniki także *ślepymi* zowią.

Mimo jednak zabiegów politycznych Słowianki zawsze były powabne dla Niemców; wbrew też surowych zakazów łączyli się małżeństwami z niemi, a nawet cesarz Henryk I miał brankę Słowiankę za żonę. Gdy tak szły rzeczy, mniemano albo raczéj polityka niemiecka owczesna tak wymyśliła, że się to dzieje przez czary, których wielkimi zwolennikami przedstawiali im się Słowianie, i że słowiańska bogini piękności Łado daje środki swoim czcicielom do nęcenia Niemców ku sobie. Dla odstraszenia więc od tych związków starano się ohydzić tę boginię Niemcom, i z wesołéj, oddanéj miłości i zabawie bogini utworzono poważną i posępną istotę, staranną gospodynią i prządkę nakształt

(1) Obszerniéj w *Pierw. Dz.* Maciejowskiego.

swojéj bogini Holdy czyli Oldy, a potém i wszystkie przymioty czarownic jéj przypisali. Tak samo też przekształcali i nasze Wiły, bo choć je biało stroili, ale za to przyprawili im ogony bydlęce i na *Łyse góry*, których jest dosyć także nad Łabą i w Pomorzu, w postaci starych czarownic na *djabelskie szabasy* iść kazali; że zaś bankiety te w końcu kwietnia się odbywały, więc dowod, że z naszego święta Rusałek przeinaczone były.

Od Niemców téż, którzy u siebie z podobném przeznaczeniem góry mieli (1), zabobony te przeszły do wszystkich Słowian, bo nietylko pod Krakowem ale jeszcze pod Kijowem i jak powiedzieliśmy nad Łabą i w Pomorzu znajdują się Łyse góry, i jedne o nich krążą baśnie, a nawet za Pragą Warszawską piasczyste wzgórza lud dotąd *łysemi górami* zowie.

Piérwszy ślad tych obcych wtrętów ukazał się w księgach drukowanych w XVI stuleciu; ale bez wątpienia na kilka wieków wprzód już pośród gminu istniały one, a mianowicie około X wieku w czasie przyjęcia u nas chrześciaństwa, potępiającego dawne fałszywe bóstwa i wyobrażenia z niemi wiążące się, już upowszechniać się musiały. Skutki téj zabobonnéj u nas a wspólnéj niegdyś wszystkim ludom wiary w moc czarów wybuchnęły ostatni raz we wsi Doruchowie; dziś w powiecie ostrzeszowskim w W. Księstwie Poznańskiém, roku 1775, gdzie 14 kobiét niewinnie na stosie stracono, i co spowodowało niedługo uchwałę sejmową zakazującą prześladowania i kary śmierci za czary, jako za rzecz niegodną uwagi.

Kończąc przegląd mitologii naszéj ze zwrotem na Litewską i w zastosowaniu do podań naszych, wspomnimy ogólnie, iż z zabytków pogaństwa w pieśniach, klechdach i zabobonach naszego ludu zachowanych nie pokazuje się, aby pogaństwo czysto słowiańskie dwie ostateczności: pokój i wojnę czyli dualizm bóstw jednejże potęgi cechował; aby duchowieństwo pogańskie było żarliwie fanatyczne, równe lub większe od królewskiéj władzy miało znaczenie, wykwintniejszy nosiło ubiór, lub, aby służba boża z wielką odbywała się okazałością a bóstwa straszliwe miały posta-

(1) O Czarodziejstwie, w Gazecie Cod. r. b.

cie. Wszystko to jednak miało miejsce nad Łabą, gdzie dzisiejsze Północne Niemcy były punktem zetknięcia się różnéj narodowości, która wpływ wywarła na władnących tu Swewów i oddzieliła ich od reszty Niemców, a późniéj i na Saxonów po Swewach tu przewodniczących Słowianom, i którzy to Saxonowie także się odstrychnęli od swoich jednoplemienników.

Narodowość Litwinów przemieszkujących także niegdyś, jako *Leti, Liti*, nad Łabą, głównie się skupiała w religii; Słowianie z nią jednoczyli i własną, aby się od natarczywości chrześcian wspólnémi bronić siłami: ztąd też wiele podań naszych podobnych jest do litewskich i nawzajem, a litewskich znowu do skandynawskich, z któremi niegdyś zmieszani byli, gdy jeszcze ci ostatni z Germanami jednę stanowili całość (1).

Na Litwie pogaństwo w ogóle innym niż u nas rozwijało się torem; początek jednak litewskiéj wiary był wspólny z naszą; czcili bowiem przyrodę, ubóstwiali ciała niebieskie i żywioły, ogień szczególniéj, i uznawali jak my zrazu, że świat rządzony jest przez czarnych i białych bogów. Lecz gdy Słowianin postąpiwszy w oświacie i rozmiłowawszy się w czci przyrody, wcielił w nią *jedyne najwyższe* swe *bóstwo*, które się rozrodziło nieskończenie i mieszkało w powietrzu, na ziemi, w wodzie, Litwin pozostał przy *wielobóstwie*, dał mu obce wyobrażenia i uznał dwoistość najwyższego boga: *białego* (słońce) i *czarnego* (ziemia); w ogóle zaś podzielił swoich bogów na dwa rzędy: *górne* i *dolne*. Z témi też wyobrażeniami i skonał w pogaństwie, odróżniając się jeszcze tém od Słowian, że z przedmiotów przyrody czcił najwyżéj *węże* i *ropuchy*, czego nie ma u Słowian nie przyznawających także, jak Litwini, ubóstwienia *psu*. U nas jednakże tak jak u Litwinów było wyobrażenie o psie, jako przedstawicielu złego ducha, co się dotąd przebija w zabobonie, polecającym wypędzania psów podczas burzy i piorunów, gdyż jak lud mniema, djabeł w nie wchodzi i ściąga na siebie pioruny (może z przyczyny elektryczności w sobie ukrytéj). O przesądzie w tym punkcie Litwinów uczy nas piosenka żmudzka (przy czci żywiołów po-

(1) Zob. Pierw. Dz. Maciejowskiego.

wyżéj przytoczona), według któréj prosili Perkuna bożka, by nie bił Żmudzina lecz poganina t. j. wroga, jak *psa rudego*. Kolor rudy, znać, był ogólnie nielubiany tak u Słowian jak i Litwinów; co do Słowian, to zapewne ten wstręt pochodzi od mniemania, że piekielny bożek *Diw*, *Dziw* miał własność przedzierżgania się w psów, kotów i innych zwierząt *czerwonéj* maści. U Polaków kolor *biały* szczególną miał wartość, bo stroili w niego wszystkie swoje bóstwa i mitologiczne postacie, jak np. wieszcze *siwki; biały* gołąb' przedstawiał u nas duszę dobrego człowieka, a i *biały orzeł* stał się godłem całego państwa. U Rusinów i Litwinów kolor czarny czyli *wrony* jest ulubionym.

Wspomniawszy tu o czci wężów na Litwie, dodać należy, że w polskich podaniach rzadko gdzie cześć ta sąsiednie ku płazom się odbiła; jest u nas jednak żyjące wyrażenie: „przeklnę cię jak węża", lecz to tyczy się zabobonu *zażegnywania*, czyli zaklęcia tego płazu, aby nie szkodził; samo zaś *zażegnywanie* polegające na szeptaniu słów i robieniu *krzyżyków*, wskazuje, iż zabobon ten przypisywany czarownikom pochodzi z chrześciańskich czasów. Wyraz *żegnać* widocznie za chrześciaństwa dopiéro powstał, gdy według zwyczaju, udającego się w podróż krzyżem św. żegnano lub *dawano krzyżyk* na drogę; w słowiańskim języku na to jest wyraz *prostit'* (pożegnać), którego i dodziś dnia Rossyanie używają.

Słowianie w tém jeszcze nie zgadzali się z Litwinami, że tych obyczajem nie dawali bóstwom ludzi na ofiarę; wesołość cechowała ich religią, nasze bóstwa łagodne były poezyą żywéj wyobraźni: zgoła mitologia nasza była samoistną. Przez przypadek tylko albo raczéj przez ślady pierwiastkowéj wspólności, pogaństwo nasze zdaje się podobném do indyjskiego, bo po opuszczeniu przez przodków naszych Azyi tysiące lat upłynęło, nie mogło więc być wówczas to rozwiniętém, co się przez wieki u nas kształciło i rozwijało; a choć wprawdzie z czasów poprzedzających nasze przesiedlenie się do Europy istnieje w zabobonach naszego ludu ślad indyjskiéj religijności, lecz dziś już ta wspólność pierwiastkowa, przez tyle wieków przenarodowiona, stała się swojską naszą własnością. Ta wspólność pierwiastkowa to jeszcze sprawia, że i do dziś dnia między niektoremi ludami Europy, jak w Bretonii, w obrzędach pewnych

np. Sobótkach i puszczaniu wianków w celu wróżby, ogólne, zbliżone do siebie, spostrzegać się dają rysy; choć rozwój pogańskiéj ich wiary całkiem się inaczéj od naszego przedstawia.

Klassa oświeceńsza naszego obywatelstwa prędzéj do czystszych o religii wyobrażeń przychodziła niż lud ciemny, gdzie obok czci bogów była cześć przyrody, i druga przetrwała pierwszą stanowiąc zarazem wielki rys charakteru naszego. To nam tłumaczy, że w tak nazwanéj literaturze ludowéj mamy częste wzmianki o czci przyrody, a bardzo rzadko o czci bóstw; nic téż tak nie maluje rozkochania się ludu naszego w ojczystéj ziemi, jak owa przechowana dotąd w podaniach żywa wiara w cudowną siłę przyrody, jak owe przeplatania piosnek wiejskich urywkowemi zwrotami ku przedmiotom natury, śród których się kołysze, wzrasta i umiera. Gdzież bowiem nie słyszymy w piosenkach opiewających miłość, szczęście lub niedolę owych aforyzmów do pięknéj drzewiny, szumiącego lasu, do złotych kłosów zboża, brzęczącéj po kamieniach wody, malowanych ptaszków i t. p.? Szczególniéj krakowiaki celują w tym względzie nad innemi pieśniami. Bo i jakżeż niekochać tych drzewin, tych kwiatów i ziół, kiedy one według tradycyjnéj, przedwiekowéj wiary mieszczą w sobie duchy ojców i braci? Jak nie kochać tych wód niegdyś świętych, w których bieluchne opiekuńcze bóstwa mieszkały, tych lasów i dąbrow, które jako przybytki bogów ręką boską stawiane były? Prócz tego obcowanie ciągłe naszego ludu z naturą, z polem, które go żywi, i drzewinami, które go rozweselają, musiało go natchnąć czystą nieprzeżytą miłością wszystkiego, co go otacza, musiało serce jego przysposobić do powtórzenia śpiewu, jaki się naokół w naturze rozlega. Nasz chłopek w usposobieniu uczuciowém jest tenże sam jak przed wiekami, nie zna jeszcze korzyści z przemysłu i sztuki, poezya jego *in crudo*, podania i pieśni, to złoto, z którego cudne można wyciągać błyskotki. Żaden téż naród nie może się poszczycić tak żywą poezyą najuboższych swoich dzieci i takiém pokochaniem wszystkiego, co je otacza. Znałem szlachciankę zagonową na Podlasiu, która, przeżywszy już lata Jezusowe, pierwszy raz w życiu oddaliła się na 3 mile od domu, dążąc na missyą do m. Sterdyni; wróciw-

szy, opowiadała, że nigdy takiéj tęsknoty i płaczu nie doznała, jak w téj podróży, porzuciwszy progi rodzinne. Takich przykładów przywiązania do swojéj strzechy i okolicy więcéj naliczyć można. Widzimy w nich spadkową miłość po przodkach ku swojemu kawałkowi roli. Dawni nasi kmiecie zabiegami rolnictwa z ziemią związani, otoczeni sąsiadami i współbraćmi, jedynie dążąc na *gody*, opuszczali swój kąt domowy. U nich kupno krowy lub wołu było ważną czynnością, któréj towarzyszyły uświęcone obrzędy lania wody *let'kupem* od słowa *let'* (lać) i *kupna* zwane, co teraz na litkup inaczej *oblewiny* gorzałczane przeistoczono. W skutek takiego sposobu życia nie znali téż handlu i przedmiotu jego *towaru*, wywodzącego swą nazwę od *towarzystwa*, a to znowu od *obwarowania* czyli umocowania pewnéj umowy; bowiem handel dawniéj nie mógł się odbywać w podróżach dla niebezpieczeństwa bez *towarzystwa* pod pewnémi warunkami zawiązanego (1).

Tak przeszedłszy po krótce dzieje umysłowości ludu naszego, potwierdzić należy między innémi jeszcze jedno miłe przekonanie, że strona uczuciowa naszego ludu była i jest zawsze piękną i niespożytą, niby krzemień polny, z którego się wiecznie iskry krzesać będą. Nie dążyć więc należy wyrafinowaną cywilizacyą zbudzić lud z przedwiekowych rozkosznych marzeń, ani zrywać mu jego strun sercowych. Działajmy na głowę, a serce zostawmy w pokoju, działajmy na umysł jego tak, aby nie pogardzał tém, w co dotąd z silném uczuciem wierzył; niech tylko z wątku dawnego, rdzą przesądów już pokrytego wysnuwa czystsze, piękniejsze jeszcze nici, i niech stosuje swoją przędzę duchową do wymagań, jakich duch nowéj świętéj Chrystusa wiary i rozszerzony widokrąg umysłowéj działalności wymagają. Już nikną lasy, walą się stare lipy, odwieczne dęby i omszałe grusze, a zgarbione chaty niby sznury niewdzięcznych żórawi wymykają się hyżo z sąsiadów koła i spójni wiekowéj; niechże choć książki w ręce ludu dawane nie rozprzęgają téj spójności, i nie kształcą serc sielskich mieszkańców na sposób obcy, fabryczny. Niech raczéj tak ich usposabiają,

(1) Poszedłem w tym punkcie za śladem wywodów A. Morzyckiego w dziele: *Polska jako naród i jako państwo.*

aby huk przemysłowego młota nie głuszył w polu jego rzewnych, tęsknych i poczciwych piosenek; niech chmury dymu z długich kominów płynące i zapach kamiennych węgli, nie przytłumią wonnych powiewów przetrzebionych już lasów, i nie zaciemnią nam tego pięknego łzawego nieba naszego, pod którém się uchował lud z przymiotami dobrego i powolnego dziecka.

KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Wystawa Ary Scheffera.—Wieczór na tamtym świecie, Gozlan'a.—Literatura.—Teatra.—Akademia.

Prześliczna wystawa obrazów Ary Scheffera z wielkim kosztem zgromadzona i urządzona na bulwarach włoskich, jest w téj chwili rzeczą najgodniejszą widzenia w Paryżu. Trzy sale udrapowane szkarłatnym aksamitem, mieszczą sto obrazów wybornych, których większa połowa jest arcydziełami.

Tłok ogromny od rana do nocy zapełnia tę wystawę, bo ze wszystkich malarzy francuzkich Ary Scheffer najpowszechniéj jest lubiony. Często mylne przysłowie *vox populi vox dei*, tą razą sprawdziło się zupełnie: nic słuszniejszego, jak to uwielbienie płodów idealnego twórcy *Franceski*. Dzieła niektórych malarzy szkoły nowoczesnéj sprawiają może większe wrażenie, ale żadne większéj nie budzi sympatyi. Każdy obraz Scheffera jest aktem wiary, zapału i uczucia; artysta ten zanim został malarzem, był poetą. Wahanie charakteryzujące jego talent, ta niespokojna ruchliwość, która w ciągu lat pięćdziesięciu przeprowadziła go przez wszystkie szkoły, wiodąc na przemiany od Delacroix do Ingra, od Rembrandta do Overbeck'a, pochodzi właśnie z téj szczytnéj niepewności, która myślą jego miotała. Nie byłto skeptycyzm nie mogącego się zdecydować naśladownictwa, ale niepokój wielkiego myśliciela, co probuje wszelkiego stylu dla lepszego wyrażenia swego ideału.

Scheffer urodził się kolorystą; piérwsze jego dzieła dowodzą, iż żaden malarz nowoczesny nie był od niego bieglejszy w doborze kolorów, tym malarskim generałbasie. Wpływ Ingra zwrócił Scheffera z drogi powołania: z mistrza stał się uczniem, porzucił ciało dla ducha, kolor dla rysunku i nie zyskał nic przez to. Ołówek jego coraz to wiotsze kreślił formy; eleganckie pod farbami kontury, wychudły, skoro je pozbawił tęczowego welonu życia. Inny, mniéj szczytny malarz, byłby przepadł na téj drodze; utworom Scheffera została piękność moralna, pełna wzniosłéj intuicyi i świetlanych natchnień, która wszelkie ubliżenia wymogom sztuki sowicie nagradza.

Wystawa Ary Scheffera dzieli się tedy na dwie zupełnie różne połowy, zaledwie powiązane nieokreśloną ścieżką przejścia: po jednéj stronie widzimy wielkiego kolorystę tryskającego życiem przez ciała pełne krwi i ziemskich powabów; po drugiéj filozofa wyrażającego pędzlem, jak piórem, czystą myśl tylko.

Przeglądając dział piérwszy, na piérwszém stawiamy mejscu *Suliotki*, ogromny obraz z muzeum Luwru, godny *pendant* do *Rzezi w Scio* Eugeniusza Delacroix. Po zdobyciu *Suli*, przez Alego, paszę Janiny, Greczynki, żeby nie wpaść w ręce zwycięzców rzucały się w przepaść: tę chwilę przedstawił Scheffer.

Splątana grupa kobiét klęczących, pomdlałych, stojących i leżących nad chłonącą je przepaścią, tworzy snop ciał w katuszy, pod którym Michał Anioł mógłby imię swoje podpisać. Blondynka leżąca na kolanach matki, jest cudem kolorytu; profil niewiasty odwracającéj głowę ku skale, płonie gorączkowém życiem. Przepych ubiorów tych kobiét, podnosi ich tragiczną piękność: rzekłbyś, ustrojone na śmierć ofiary. Ironiczne słońce Wschodu ciska brylanty na tę straszną scenę, i swym blaskiem uwydatnia ponurą rozpacz tych, co mają umrzéć.

Bitwa pod Morat, epizod z historyi książąt Burgundyi, także do rzędu kolorowych arcydzieł Scheffera należy. Jestto modlitwa przed potyczką. W górze obrazu widać klęczące na skale bataliony szwajcarskie oświecone złotym promieniem słońca; na dole defiluje wą-

wozem wojsko burgundzkie, wspaniała mieszanina złotych i stalowych ludzi, niesionych na grzbietach spinających się rumaków: obraz ten ma blask najpyszniejszéj witryny, a razem kamienną stałość mozaiki.

Powyższe dwa obrazy wydały nam się najpiękniejsze w dziale piérwszym. Wiele innych jeszcze na uwagę zesługuje: *Wdowa żołnierza* z sierotą na ręku, boleścią swą głazy przenika; *Chrzest*, w którym znać tradycye szkoły flamandzkiéj, obrazek przedstawiający wieśniaków niosących dziécię do kościoła, wykończony starannie, wydaje się jak miniatura przez mikroskop widziana.

Illustracye *Fausta* już bledsze i wiotsze od wymienionych płócien, stanowią znaczną część dzieł Scheffera. Przez lat wiele zamknął on się wyłącznie w tym poemacie Goethego i czcił madonę północy, Małgorzatę, z melancholiczną dewocyą idealnéj miłości. *Faust w swoim gabinecie* otwiera tę galeryą: filozof siedzi przy stole założonym księgami; światło księżyca, czy lampy, nie pewne jak myśl jego, smutne jak jego zwątpienie, opromienia twarz mędrca pooraną ciężko zmarszczkami bezpłodnéj pracy; przed nim stoi czara trucizny, którą mu wnet głos dzwonu Zmartwychwstania z ręki wytrąci: w głębi rysuje się niepewne widmo nadchodzącego szatana.

Drugie płótno, tychże rozmiarów, przedstawia Fausta, kiedy już odmłodzony pożąda Małgorzaty: twarz jego w téj metamorfozie jest śliczna.

Małgorzata przy kołowrotku tworzy *pendant* do tego obrazu. Niewinnością jasna dziewczyna błyszczy jak łza w słońcu: blado-złote jéj włosy odbijają cudownie od czerwonego fotelu, na którym ją malarz posadził; oczki jéj modre, jak dwie niezabudki, wołają „nie zapomnij mnie"... szyjka wiotka, jak szypułka kwiatka, trzyma tę przezroczystą główkę; rączki opadły na kolana...—nie widziałem obrazu, któryby tkliwiéj słabość i ból wyrażał. Cały powab dziewczyny stanowi expressya: jestto zaledwie wcielona dusza... westchnienie, nie dające się podciągnąć pod żadną malarską analizę.

Daléj widzimy *Małgorzatę wychodzącą z kościoła*, obraz niezmiernie sztychem rozpowszechniony. Tutaj

przyszła kochanka Fausta, prosta i czysta, w białéj sukni, stąpa lekko jak anioł po schodach kościoła, cisnąc do piersi książkę pobożną; Faust oparty na ramieniu Mefista, zwraca ku niéj piękną swą głowę i oczy pełne namiętnego niepokoju; ale wejrzenie to jeszcze nie dosięga dziewicy: góruje ona nad tłumem, obojętna jak dym kadzidła i jak on ku niebu się wzbija. Wszystkie figury wychodzące z kościoła zachwycającéj są prawdy; widzisz tu jakby wskrzeszony świat Holbeina: surowych mieszczan, spokojne matrony, skromne dziewczęta i rozkoszne dziatki. Cały obraz wykonany jest z ową delikatną czystością cechującą utwory starożytnych mistrzów niemieckich.

Małgorzata kuszona przez Martę, która przed jéj oczyma przesuwa podarki szatana, ze wszystkich najmniéj nadobna. *Małgorzata w kościele* niepokojona przez złego ducha, czyni wrażenie, chociaż nie może się równać z *Małgorzatą u studni*, która najwięcéj do serca przemawia. Obraz ten jest malowany wedle ostatniéj maniery Scheffera. Rzeźba już tu prawie zupełnie zatarta, kolor zblakły: ale przez tę przezroczystą zasłonę dusza tém jest widniejsza. Małgorzata z twarzą podobną do opłatka, przez któryby światło lampy przezierało, stoi obok dwóch towarzyszek, które coś szepcąc sobie do ucha, spoglądają na nią z ukosa: ona odwraca szafirowe oczy, mnąc biały fartuszek zasłania łono i niecierpliwie czeka, aż woda dzbanek napełni.

W wystawionym zbiorze brakuje jeszcze *Małgorzaty w ogrodzie* i *Fausta na sabacie*. Wszystkie te sceny oddane są poetyczno-mistycznym sposobem, który tak im jest właściwy i tak nieodzownym był przymiotem malarza, który miał pędzlem arcydzieło Goethego uplastycznić.

Z drugiego, mniéj wzniosłego utworu Goethego, Wilhelm Meistera, Scheffer trzy genialne wyciągnął kreacye, które dziś są najpopularniejsze z jego utworów. Któż nie zna ze sztychu *Miniony tęskniącéj za ojczyzną*, *Miniony wzdychającéj do nieba i Miniony z lirnikiem*, tych trzech inkarnacyj ziemskiéj i niebiańskiéj tęsknoty? W piérwszym dusza dzieweczki zapędzona w mgliste kraje Północy, wraz z jaskółkami ma ulecieć napowrót

ku złotemu Południowi; gotując się do podróży, cała już stanęła w czarnych oczach i pyta przechodnia:

„Znasz-li ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa?"

W drugim obrazie, oparta na skale, utkwionym w obłoki wzrokiem zda się przebijać chmury...

„Jak pszczółka topiąc żądło i serce z niém grzebie,
Tak ona z myślą duszę utopiła w niebie."

Na trzeciém płótnie, Miniona, jak opiekuńczy aniołek, stoi obok starego lirnika i zwraca nań oczy pełne niewysłowionéj litości i przywiązania. Obraz ten, własność królowéj angielskiéj, jest przecudny. Patrząc na wyrazistą twarz tego dziada, posępnym wzrokiem czepiającego się strun swojéj lutni, zdawało nam się, iż widzimy owego lirnika, Niemca czy Litwina, co śpiewał na uczcie Wallenroda, i obiło nam się o uszy, jakby echo ognistéj strofy podrażnionego wspomnieniem Aldony Konrada:

„Znam ja was, każda piosna wajdeloty
Nieszczęście wróży, jak nocnych psów wycie;
Mordy, pożogi wy śpiewać lubicie,
Nam zostawiacie chwałę i zgryzoty.
Jeszcze w kolebce, wasza pieśń zdradziecka
Nakształt gadziny obwija pierś dziecka,
I wlewa w duszę najsroższe trucizny,
Głupią chęć sławy i miłość ojczyzny!"

Tak zwany *Larmoyeur*, jeden z najpiękniejszych obrazów galeryi Luwru, jest uplastycznieniem następującego wiersza z ballady Schillera: „Hrabia samotny pod namiotem siedzi, przed nim leży trup syna, a w jego oku stoi łza boleści". Pod namiotem, na pobojowisku, siedzi stary hrabia Eberhard i wzrokiem niemej rozpaczy patrzy na umarłego syna, co w stalowéj zbroi leży rozciągnięty na futrze niedźwiedziém. Znawcy uważają ten obraz za najwyższe dzieło Ary Scheffera; nieznawców zdumiewa on wymownością swoją. Potężna głowa ojca nacechowana boleścią Ugolina, oświecona jakby gromniczném światłem, tworzy uderzający kontrast z bladą twarzą syna, co raczéj do dziewicy niż do rycerza podobny, przypomina zabitą w pojedynku Kloryndę Torquatta.

Leonora, Burgera, natchnęła Schefferowi bardzo piękne dwa obrazy. W pierwszym defiluje wojsko Krzyżowców; Leonora nie znajdując w szeregach swego kochanka, zwiesza na ramię matki omdlałą głowę. Dokoła, szczęśliwe i nieszczęśliwe widać powitania: siostry ściskają braci, żony mężów; jeden z rycerzy płacze postrzegłszy babkę wiodącą mu dzieci w żałobie po matce; inny wojak biegnie do domu ująwszy żonę pod ramię, inny wstrzymał konia i patrzy z współczuciem na omdlałą Leonorę. Liryczną tę scenę opromienia blask bijący od złotych rynsztunków i od tarcz herbownych.

Na fantastycznym szkicu tychże samych rozmiarów, widzimy nawpół nagą Leonorę szamocącą się w objęciach zbrojnego widma, które na szybkim unosi ją rumaku. Dziwaczna awangarda roztapiająca się na czarném tle nocy, pędzi naprzód: z podziemi, dokoła wytryskają rozmaitéj formy djabełki, i przypatrują się orszakowi; czarownice kłaniają mu się szydersko; w głębi, w ciemnościach miga szubienica: wszystko narysowane z odpowiednim mistycyzmem, a odmalowane pędzlem, co zmaczany w buréj farbie, jak widmo skakał po płótnie. Świat fantastyczny nie podlega prawom zwykłego malarstwa; nie ma tu ni księżyca ni słońca, ani perspektywy, ani gammy kolorów; świat téż, w którym Leonora wystawiona, wymknąwszy się z pod wszelkiéj reguły, bieży w przestworze jak zbłąkana planeta nie określonym manowcem komet i meteorów. Tylko poeci mogą wypatrzeć te ciała błędne w podróży i zdjąć ich dagerotyp w przelocie.

Scheffer celował w tego rodzaju widokach. Czemże jest jeżeli nie wizyą, jego najcudniejszy obraz: „*Francesca i Paolo*" wyobrażający kochanków parę, sunącą jak gwiazda przelotnica w mlecznym obłoku draperyi na czarném tle piekieł. Z jakąż łabędzią gracyą ciało Franceski płynie za wolą wiatru w ciemném powietrzu podziemnego państwa; jakaż wieczysta ufność w uścisku dwojga kochanków... spojrzawszy na młodzieńca, czujesz, że to ten, który nigdy z nią się nie rozłączy „*Questi che mai da me non fia dèvise*", a jakaż litość w twarzy Danta, któréj orli profil rysuje się na boku, jaka siła na tém pooranem zmarszczkami czole, jaka tajemniczość w tych ustach,

które, bolem ściągnięte, wydają się być zamkiem od przepaści.

Autor *Irydiona* zachwycony pięknością tego obrazu, polecił Schefferowi zrobienie drugiego egzemplarza téj wizyi Dantejskiéj; są więc dwa takie same obrazy: jeden w Warszawie w pałacu Krasińskich, drugi w Paryżu, w domu córki Scheffera, pani Marjolin.

Bajronowskie typy Scheffera, także zdumiewającéj są potęgi. Cóż pyszniejszego, jak ów namiętny mizantrop zrzucający z burzliwéj głowy kaptur mniszy, ten *Giaur*, w dumy napadzie gniotący pięścią wyniosłe czoło. Głowa ta wężami bolu najeżona, jak głowa Gorgony Danta, przykuła nas na miejscu i zadzwoniła w ucho tą strofą, którą Adam spowiedź Giaura tłumaczy:

„Moje dni krótkie na płaczu padole,
Obfite w rozkosz, lecz płodniejsze w bole;
Przecież pomiędzy rozkosze i trudy,
Przeszedłem życie nie doznawszy nudy;
Na ucztach, w bojach, z kielichem, z kindżałem,
Zawsze spokojność gnuśną pogardzałem.
Dziś nic nie kocham ani nienawidzę.
Pychy nie czuję, nadziei nie widzę;
A dzisiaj jeszcze wolałbym być gadem,
I pod klasztorem pełzać strasząc jadem,
Niż być wskazany w cichym mniszym stanie
Na modlenie się i na rozmyślanie".

Scheffer talent swój dzielił pomiędzy poetów a Biblią; porzucając wieszczów zagłębiał się w Pismo święte i jego malował ustępy: na wystawie naliczyliśmy dwadzieścia obrazów wyjętych ze Starego i Nowego Testamentu. Chrystus jest przedstawiony prawie we wszystkich ważniejszych chwilach życia i męczeństwa, ale zawsze obleczony w abstrakcyjną szatę symbolu, zawsze raczéj z filozoficznego niż religijnego pojmowany stanowiska. Chociaż pomiędzy temi obrazami wiele jest pięknych, wyznajemy, iż jako illustrator poetów, Scheffer wyższy nam się wydaje.

Ogromny obraz przedstawiający *Chrystusa kuszonego przez szatana*, zdaniem naszém zbyt skeptycznie oddany: na twarzy Chrystusa nie widać wiary Ukrzyżowanego, a szatan zbyt prozaicznie wygląda. Zapewne

byłoby śmiesznością chcieć dziś wskrzeszać rogate djabły wieków średnich. Złe, potępienie, upadek, dziś przerażają, nie śmieszą ludzi; nie o to więc chodzi, ale o to, że w tym szatanie nie widzimy jego natury. Grzechem jego była pycha, przeznaczeniem kuszenie; więc twarz jego powinna być harda, bo pycha z góry patrzy; pokusa zaś, ażeby spełnić dzieło swoje, musi zachować na spioruno-waném czole błyskawicę piękności. Szatan Scheffera jest trywialnie szpetny, dlatego wydaje nam się nie trafiony. Śmieszna brzydota w najlepszym razie ujść może pół-djabełkom brudzącym maluczkie dusze; ale *anioł strącony*, kuszący *Zbawiciela*, nie powinien Wolteryańskim uśmiechem ust wykrzywiać, jakby wątpił o wszystkiém, a przedewszystkiém o sobie.

Poczucie religijne Scheffera, swobodnieje w miarę jak od chrześciańskich dogmatów się oddala, a przechodzi do chrześciańskiéj poezyi. *Matka Bolesna; Święte Niewiasty wracające z Kalwaryi*, *Magdalena*; tchną egzaltacyą najwyższego stylu.

Portretów Scheffer malował bardzo wiele; na wystawie zgromadzono ich trzydzieści ośm. Rozmaitość maniery tu widoczniejsza niż gdziekolwiek. Artysta przechodzi kolejno od elegancyi Lawrenca do suchości Gerarda, od Byzantyzmu Ingra, do giętkości Greuza. Arcydziełem téj Galeryi jest portret matki Guizota, na którym Rembrandt chętnieby się podpisał.

Przez lat pięćdziesiąt, od 1810 do 1859, Scheffer wymalował sto sześćdziesiąt obrazów; sześćdziesięciu więc na wystawie brakowało. Te, któreśmy oglądali, wielki przynoszą zaszczyt pamięci Scheffera. Widz wynosi z téj expozycyi prawie religijną cześć dla artysty, który tak wysoko swoją nadzieję i swój ideał postawił. Scheffer nie używał pędzla jak Dawid harfy swojéj, wyłącznie na pochwały i modlitwę; on malował dla rozstawienia wielkich myśli i wielkich uczuć: błędy jego nawet, są skrupułami myśliciela wyczerpującego do dna formę, ażeby ją zmusić do oddania tego, co się *nie widzi i nie wysławia*. Scheffer włożył całą duszę w swoje obrazy, a dusza ta była tak czysta i tak prawa, że tam, gdzie sztuku mdleje nie mogąc

się już wyanielić więcéj, ona staje się jéj wzniosłém złudzeniem. Talent Scheffera był cnotą, i w tém leży tajemnica uroku jego obrazów: oczy mogą tam krytykować, ale serce protestuje i całe roztapia się w zachwycie.

Z powodu głębokiéj ciszy i nudów, a poczęści z powodu kołyszącéj higieny, na jąką Francya przez dwa lata poprzedzające wojnę włoską była skazana, zagęścił się tu niezmiernie tak zwany spirytualizm realny, rodzaj niebezpiecznéj choroby mózgu, która podobno i w Polsce mocno grasowała. Zeszłéj zimy mianowicie, wywoływanie duchów stało się w Paryżu powszednią zabawką próżniaków; a tak zwani *medium*, czyli pośrednicy pomiędzy tym a tamtym światem, używali bałwochwalczéj estymy. Magnetyzm zwierzęcy zastąpiły wirujące stoły; a te znów porzucono dla duchów najdostojniejszych mężów z historyi ludzkości, którzy po śmierci, na zawołanie piérwszego lepszego półgłówka, z tamtego świata przybywały na pogadankę.

Duchomania poczęła się w Paryżu, i ztąd, jak cholera z Azyi, po całym rozeszła się globie. Że jednak Francuz najlepiéj miarę we wszystkiém utrzymać umié, i najprędzéj do równowagi powraca—najpierwéj się téż tu pomiarkowano i zajęto leczeniem téj manii. Od roku już zdrowa rada i smagły biczyk dowcipu pracuje nad zdarciem maski z durzących świat szarlatanów; a chociaż ludzie rozsądni nie mało mają pracy nad wyrugowaniem z głów słabych, mianowicie kobiécych, tego nowego gatunku waryacyi, którąby można nazwać obłąkaniem bezpłodnéj imaginacyi, to jednak kilka poważnych książek świeżo w tym przedmiocie wydanych, mocno podcięły wiarę w absurda i niedorzeczności.

Pan Mabru ogłosił naprzód ukoronowane przez akademią dzieło, gdzie zbija naukowemi argumentami wszystkie fenomena tak zwanego jasnowidzenia *mediów*.

Po nim anatom Schiff wydrukował *Tajemnice stukających duchów*, w któréjto książce pomiędzy innemi dowodzi, że owe przerażające słuchaczy nadzwyczajne stuki, oznajmiające przybycie ducha, nie pochodzą zkąd-

inąd, jeno z pewnego sposobu wyłamywania stawów, które duchowi *pośrednicy* na nogach własnych wykonywują.

Obecnie Leon Gozlan wydał wyborną powiastkę, pod tytułem *Wieczór na tamtym świecie*, któréj dowcipna werwa może najwięcéj do uleczenia duchomanii w Paryżu się przyczyni. Jestto nieco ukolorowany opis prawdziwego zdarzenia.

Autor będąc téj wiosny w Anglii, był świadkiem jednego z takich spirytualnych posiedzeń w mieście Bringhton. Z jego relacyi pokazuje się, że najpozytywniejszy naród na świecie, dozwala także do pewnego stopnia drwić z siebie duchownym szarlatanom, i mimo wrodzonego rozsądku, exploatowany jest przez nich na wielką skalę.

Powiada Gozlan, iż zapędzony do Bringhton jakimś interesem handlowym, załatwiwszy go przed siódmą wieczorem, usiadł melancholicznie w gościnnéj izbie pod piecem żelaznym, arcydziełem kuźnic Manchestru, i zaczął rozmyślać, co tu począć aż do północy. Rozpacz Paryżanina zamkniętego w bringhtońskim hotelu, tak była wymowna, że ją nawet syn hotelisty, dobrze wyhodowany dwudziesto-letni Anglik, nazwiskiem Hobbinol, zrozumiał, i przybliżywszy się do cudzoziemca zapytał, czy dla rozrywki nie chciałby uczestniczyć w wielkiéj sessyi spirytualnéj, właśnie mającéj się rozpocząć w klubie młodych Fran-masonów.

Francuz usłyszawszy propozycyą Hobbinola, zerwał się na równe nogi i wziąwszy go za rękę już chciał wychodzić uradowany, iż długi wieczór zabije; kiedy Anglik wstrzymał go, zwracając uwagę, że podróżny ubiór jego jest *seoking*, że więc, jeżeli chce wejść w tak dobrane zgromadzenie, jakie w klubie znajdą, musi wdziać frak i biały krawat.

Uwaga była bez repliki. Wiadomo, że w Anglii, mianowicie w małych miastach, konwencyonalne wymogi doszły do śmieszności: że idąc zjeść talerz jałowych kartofli do niecnéj gargoty, trzeba wdziać frak i biały krawat; ażeby się przyzwoicie utopić w Tamizie lub w łeb sobie wypalić w Hide-parku, należy także wziąć frak i białą chustkę na szyję: nawet złodzieja wieszają w An-

glii w czarnym fraku, a kat zakładając stryczek, zdejmuje mu biały krawat.

Poddawszy się tedy bez szemrania tyranii miejscowego zwyczaju, wykwintny elegant i wykwintny autor paryzkich fraszek, wziął pod rękę pana Hobbinol, ubranego *strykte* wedle przepisu bringhtońskiéj mody, i poszedł z nim do klubu młodych Fran-masonów.

W drodze syn oberżysty spytał Gozlana, czy wié, co to jest spirytualizm? a skoro ten odpowiedział mu, że nie, ubolewał niezmiernie nad ciemnotą Francyi i cieszył się zarazem, że aby jednego sprzymierzeńca ucywilizuje prowadząc go do miejsca, gdzie zobaczy duchów wszelkich wieków, krajów i godności, które na zawołanie sławnego *medium* pana Ralf de Ralf, przychodzą jak posłuszne pieski. „Ten Ralf de Ralf, dodał młodzieniec, jest królem *mediów* całego świata. Wyobraź sobie pan, iż jest zawsze usposobiony do *komunikacyi:* czy jé, czy pije, stoi czy leży, ręka jego opatrzona w ołówek, zawsze gotowa spisywać zwierzenia duchów.“

Gozlan zdziwiony spirytualizmem młodego Hobbinola, który jako syn oberżysty mieszkającego nad morzem, wychował się pomiędzy marynarzami, ludźmi jak wiadomo, najmniéj duchowymi na świecie, począł delikatnie szukać przyczyny tak wielkiéj łatwowierności w tak *czerwonym* człowieku, i w końcu doszedł, że zacny Hobbinol był pod wiosennym wpływem pierwszéj miłości, czyli w peryodzie żywota, w którym człowiek wierzy wszystkiemu i wszystko różowo widzi.

Przybywszy do sali spirytualnych posiedzeń, zastali ją napełnioną w sposób przynoszący prawdziwy zaszczyt wierze mieszkańców Bringhtonu. Były tylko dwa miejsca próżne: jasno-niebieski fotel prezesa, i ognisto-czerwone krzesło *pośrednika.* Sala oświecona *à giorno*, pałała jak słońce „jeszcze trochę więcéj gazu, powiada Gozlan, a możnaby widzieć uszami.“ Po Amerykanach Anglicy najwięcéj gazem szafują; tutaj oświecenie tém było jaskrawsze, iż gaz, skoro posiedzenie otwarto, stał się także aktorem, i brał dowcipny udział w wypadkach wieczoru: to ciemniał, to skrzył się, to łagodniał, czerwieniał lub bledniał, wedle charakteru wywoływanych duchów.

Przeszło dwa tysiące ciekawych zasiadło ławki. Po krążących w ich ręku kartkach, poznać było można, że mieszkańcy Bringhtonu, zanim tu przyszli, musieli pamięć swoją na uciążliwą wsadzić gimnastykę; na każdéj bowiem widać było kilkanaście imion historycznych, starych i nowych: jak Ariost, Teofrast, Archimedes, Pliniusz, Katylina, Machiavel, Szekspir, Gibbon, Blackston, i t. d. i t. d. „Słysząc te wszystkie nazwiska, powtarzane wkoło siebie, mówi Gozlan, zdawało mi się, że biografia powszechna potknąwszy się, wysypała na ziemię wszystkie imiona własne ze swych abecadłowym porządkiem ułożonych kolumn. Płeć piękna i płeć brzydka zarówno była zajęta repetycyą historyi. Znana jest przestraszająca erudycya Angielek, ich wściekłość wiedzenia wszystkiego, i ich niedyskretna, że tak powiem, medyczna ciekawość wszech-rzeczy. Widząc tyle ciekawych, litość mnie brała nad tamtym światem i nad kłopotem, jaki mu sprawi miasto Bringhton przywoływaniem tak wielkiéj ilości duchów. W obec takiego nadużycia, z natury dyskretny, zrzekłem się ewokacyi, którą sobie w kąciku ułożyłem; przynajmniéj, pomyślałem, niebo nie obwini o niegrzeczność Francuza.“

Wejście prezesa i pośrednika, uciszyło szelest kartek i hałas rozmów.

Pan Artur Daniel, tak się zwał prezes, mógł mieć około lat czterdziestu. Ogromna szopa rudych włosów sterczała mu nad czołem, i okrążała policzki przystrzyżonym szpalerem jeszcze czerwieńszego jak czupryna koloru. W téj amarantowéj oprawie, twarz prezesa uderzająco przypominała fizyonomią lwa. „Gdybym go był spotkał na ulicy w Bringhton, powiada Gozlan, byłbym go wziął za kapitana okrętu; koło jatek, myślałbym że rzeźnik: tu doprawdy, nie wiedziałem, jaką mu dać professyą.“

Hobbinol zapytany, jaka jest pozycya socyalna prezesa, odpowiedział, że nie ma żadnéj; że żyje z dochodów ojca, bogatego ślusarza, furnisera księcia Galli; że jest bezżenny i uważany przez wszystkie damy Bringhtonu za najpiękniejszego mężczyznę na świecie. Mimo jednak tak pochlebnéj opinii, pan Artur Daniel wkrótce opuszcza

Bringhton i przenosi się do Ameryki północnéj, ulubionéj przez duchy części świata, gdzie zamierza założyć miasto wyłącznie spirytualizmowi poświęcone. Dwa tysiące spirytualistów, których pan Daniel zwerbował w Europie, utworzą pierwszy zawiązek tego grodu, który, od rana do nocy, zajmować się będzie wywoływaniem duchów wszystkich wielkich mężów, począwszy od Adama, aż do Welingtona. Szanowny naczelnik, dlatego tylko nie opuścił jeszcze Bringhtonu, że duchy, których rady zasięga, dotąd nie powiedziały mu, gdzie ma założyć *Spiritville*.

Dowiedziawszy się powyższych szczegółów o prezesie, Gozlan zwrócił uwagę na *medium*, którego powierzchowność, a mianowicie cera, dość z tajemniczym jego urzędem harmonizowała.

Byłto człowiek już prawie siwy; twarz jego bladozieloną oświecały nie jasno, oczy podobne do dwóch lamp gasnących; szerokie czoło stwierdzało nadziemskie preokupacye mózgu; nos tylko jeden, nie ludzkiéj długości, nie odpowiadał charakterowi *pośrednika*, daleko więcéj bowiem ku prawemu niż ku lewemu nachylał się uchu; co twarzy pana Ralf de Ralf nadawało pewne podobieństwo do miotanéj burzą łodzi. Jak się pokazało, nos ten zdradzał stan duszy swego właściciela. Wedle objaśnień syna hotelisty, pan Ralf de Ralf chylił się na przemiany to na stronę Ameryki, do któréj go ciągnął z sobą Daniel, to na stronę bogatéj wdowy, która właśnie w pierwszéj siedziała ławce i dość słodko spoglądała na pośrednika, ale dotąd nie raczyła wyrzec oczekiwanego „zostań.“

Jakim sposobem to pożądane słowo w ciągu tego posiedzenia pan Ralf z ust nadobnéj Augusty Morris wycisnął, czytelnik dowié się w dalszym ciągu niniejszego opowiadania.

Z uderzeniem godziny siódméj, dzwonek prezesa przywołał wszystkich do porządku. Szanowny Daniel oznajmiwszy zgromadzeniu, iż dla ułatwienia dyskussyi i uniknienia wszelkich podejrzeń, on sam będzie zabierał głos, i czytał odpowiedzi podyktowane przez duchy pośrednikowi, wezwał słuchaczy, żeby z nim odmówili in-

wokacyą Najwyższéj Istoty. Zgromadzenie powstało jak jeden człowiek, i powtórzyło za prezesem prośbę do Najwyższego, ażeby swą wszechmocną prawicą odsuwał duchy ciemności, a na sessyą dopuścił tylko same słodkie i przychylne cienie.

Modlitwa bardzo dobry wpływ wywarła na słuchaczy, i całe zgromadzenie na ton mistyczny nastroiła.

Przystąpiono do wywoływania, którego forma jest następująca: Prezes pyta najprzód ducha, czy chce przyjść na posiedzenie; ten, choćby był na gwiaździe, albo na saturnowym pierścieniu, zawsze prawie odpowiada przez pośrednika, że przyjdzie: odpowiedź duchów spisuje *medium* ciągle trzymanym w palcach ołówkiem, którego ostry koniec dotyka białego papieru. Skoro prezes zapyta o co ducha, ręka pośrednika *sama* pisze odpowiedź, poczém prezes ją odczytuje głośno, i cud skończony.

Skoro wszyscy ucichli, prezes zagaił temi słowy: „panowie, bierzemy za patrona dzisiejszego wieczoru, Sokratesa."

— Czemu nie Platona? czemu nie Hezyoda? Konfuciusza? Kromwella? Cycerona? Canninga? — zawołało naraz kilkadziesiąt głosów; każdy słuchacz chciał przeprowadzić swego kandydata.

— Obstaję przy Sokratesie,—odrzekł stanowczo prezes, i nie zważając na powszechne szemranie, zapytał głośno:—Sokratesie! czy jesteś między nami?

Wzruszone zgromadzenie wstrzymało oddech... Medium z wyciągniętą nad papierem ręką, czekał chwilę, nareszcie nakreślił słowo „Jestem."

Pierwsze pytanie publiczności było:

„Czy Anglicy zburzą Cherbourg?"

Na to pytanie, zadane sobie przez publicystów Bringhtonu, grecki filozof odpowiedział z godną Machiavella przezornością:

„Duchy nie odpowiadają nigdy na pytania, zadawane im w widocznym celu wypróbowania ich nieomylności."

Powszechne nieukontentowanie objawiło się głośném sarkaniem: mówiono, poczęści słusznie, że jeżeli

duchy nie zechcą odpowiadać na pytania dotyczące przyszłości, po cóż ich pytać?

Upłynęło z pół godziny, zanim prezes ukoił zgromadzenie i przekonał, że powinno zadawać mniéj palące kwestye, jak ta, która ledwie nie rozgniewała Sokratesa. Po walnéj naradzie filozof usłyszał następujące pytanie:

„Sokratesie! czy możesz nam wyjawić wszystkie tajemnice, stracone dla ludzkości przez spalenie wielkiéj biblioteki alexandryjskiéj?"

— Mogę — odpowiedział natychmiast Sokrates. Sala zatrzęsła się od oklasków.—Powiedzże, powiedz—wołano zewsząd.

Skoro nastała cisza, poważny Ateńczyk odrzekł złośliwie:

— Znam te tajemnice, wszystko wiem.... ale nie powiem.

— Czemu!!—wrzasnęło dwa tysiące głosów.

— Bo missya duchów nie jest pracować za ludzi, których Bóg na to na ziemi postawił, i kazał im w pocie czoła zdobywać wiedzę. Nauka jest dobrodziejstwem, a dobrodziejstwo nagrodą: każda nagroda powinna być kupiona poświęceniem lub pracą.

Tą razą jezuickie wykręty Sokratesa oburzyły nań wszystkich. Osądzono, iż Anitus bardzo słusznie skazał na otrucie takiego szalbierza.

Wtedy prezes oświadczył, że jeżeli szanowna publiczność tak brutalnie traktować będzie duchy, naraża się na to, iż żaden przyjść nie zechce. Tym sposobem ułagodziwszy gniewnych, zapytał, czy ma spytać Sokratesa o Szekspira? a skoro wniosek został przyjęty,—Sokratesie—rzekł—czy jesteś z nami?

— Czekam na rozkazy—odparł filozof.

— Powiédz nam, proszę, czy Szekspir jest w téj chwili gotów rozmawiać z rodakami, którzy go wielbią i kochają?

— Chętnie na to się zgadza—odrzekł Ateńczyk.

„W téj solennéj chwili, powiada Gozlan, udzieliła mi się radość powszechna, upoiłem się zachwytem krążącym po sali, uwierzyłem w spirytualizm, w Daniela, w jego czerwone faworyty, w samego *medium* nawet,

i w miłość jego. Skeptycyzm mój skonał, Wolteryanizm poszedł jak kamień do dna".

— O co chce zapytać Szekspira, dostojne zgromadzenie, któremu mam zaszczyt prezydować?—zagadnął Daniel.

— Niech powié, które z dzieł swoich najwyżéj ceni.

Ręka pośrednika nakreśliła wnet następującą odpowiedź:

„Tu, gdzie teraz przebywam, nie cenimy wcale wszelkich dzieł dokonanych na ziemi; ale jeżeli mam wyznać słabość moję, ten z dramatów moich, z którego najmniéj jestem nie kontent, nosi tytuł: *Hamlet, królewic duński*."

Tłum przyklasnął zdaniu wielkiego dramaturga i wnet zadał drugie pytanie:

— Szekspirze! czy wiele twoich dramatów przedstawiają dziś tak, jak je napisałeś?

— Żadnego. (Szepty zadziwienia pomiędzy wielbicielami Szekspira).

— Szekspirze! czy przyznajesz za swoje wszystkie przypisane ci utwory?

— Co nie, to nie!! (Ogólne rozczarowanie).

— Ileż jest, do których się nie przyznajesz?

— Najmniéj ośm. (Niedowierzanie powszechne; publiczność mniema, że chyba *medium* nie zapisuje wiernie znaków telegraficznych z tamtego świata).

Pytanie. — Któż napisał dramata, których się wypierasz?

— Aktorowie, dyrektorowie teatrów, późniéj księgarze. (Zniechęcenie Anglików tak wielkie, jakby im kto całego ukradł Szekspira).

Pytanie. — Szekspirze! powiédz nam, czemu Wielka Brytania nie ma już po tobie sławnych dramaturgów?

— Bo ma krytyków.

— Przecież za twoich czasów także byli krytycy?

— Za moich czasów była tylko krytyka poważna: opinia.

Po tych kwestyach czysto literackich, zgromadzenie niezadowolone z wycieczki w kraje duchów, zamilkło;

zanim jednak rozstało się ze swym ulubionym poetą, zadało mu jeszcze następujące pytanie:

— Czy kochałeś kogo, Szekspirze? (Milczenie).

Nie otrzymawszy odpowiedzi powtórzono pytanie, ale to jak poprzednie zostało bez repliki.

— Czy kochałeś kogo, Szekspirze?—spytano po raz trzeci.

Odpowiedź. — Dajcie mi pokój, już nie gadam z wami!

Anglicy zawstydzeni tą odpowiedzią, która widocznie dowodziła, iż ich nie delikatne pytanie obraziło poetę, przyrzekli sobie na przyszłość obchodzić się grzeczniéj z duchami. Widocznem bowiem było, że za najmniejsze uchybienie gniewają się i z ludźmi wdawać się nie chcą.

Skonfundowane upartém milczeniem Szekspira, spirytualne posiedzenie ledwie w pół godziny dalsze rozpoczęło czynności. Zaczęto wzywać Sokratesa, ale Sokrates gdzieś zniknął i dowołać go się nie było można; nareszcie rzekł przez ołówek pośrednika:

— Przepraszam cię, kochany prezesie, żeś na mnie czekał, ale wezwano mnie do Nowego Yorku; musiałem tam odpowiadać na rozmaite pytania. Teraz znów jestem na twoje rozkazy.

Tą razą pan Daniel z własnego natchnienia zadał Ateńczykowi pytanie, dotyczące interesów familijnych.

— Mógłbyś mi powiedzieć, dostojny Sokratesie, czy okręt, który ma powieźć pana Ralf de Ralf do Ameryki, skoro Daniel miasto swoje założy, dopłynie szczęśliwie?

Czytelnik przypomina sobie, iż tenże Ralf zagiął parol na bogatą wdowę, panią Augustę Morris, ale celem podwyższenia w jéj oczach swéj osobistéj godności, udawał, iż się waha pomiędzy nią a swą duchową missyą w Ameryce. To przypomniawszy, podajemy odpowiedź Sokratesa:

— Podróż będzie szczęśliwa dla wszystkich, wyjąwszy dla pana Ralfa. Ten, zrzucony z pomostu przez bałwan, zginie w morzu.

Ta replika odczytana rozczulonym głosem prezesa, żywo poruszyła zgromadzenie. Poczęto zaklinać *pośrednika*, żeby nie jechał. Pan Ralf de Ralf odpowiedział

stanowczo, że jakiekolwiek będzie zrządzenie losu, pojedzie.... dopiéro kiedy miłosierna wdowa, chcąc uchronić człowieka od niechybnéj śmierci, przyłączyła swe prośby do próśb publiczności, i w czułém spojrzeniu swą rękę mu ofiarowała.... *medium* rozpaliwszy zagasłe oczy, oświadczył, patrząc na Augustę, iż chce żyć i umrzéć w kochanym Bringhtonie!

Po téj rozczulającéj scenie praktycznéj, wrócono do abstrakcyj i nowych wywoływań, które dla braku miejsca pomijamy. W końcu tyle podano nazwisk, że prezes nie wiedząc komu dogodzić, kazał, żeby każdy napisał na karteczce nazwisko osoby, któréj ducha widzieć pragnie, a on z tych kartek będzie wybierał losem. Skoro projekt został przyjęty i wykonany, prezes sięgnął ręką do kapelusza, wyciągnął kartkę, przeczytał, pobladł... i nie śmiał głośno przeczytać nazwiska.

— Jakieżto? jakie?—wołano—gadaj prędzéj!

— Mam więc powiedzieć?...

— Mów! mów!

— Imię napisane na téj kartce jest... szatan!

Przestrach, jak iskra elektryczna, przebiegł salą...

— Czy mam go wołać?—spytał prezes.

— Nie! — krzyczeli jedni. — Wołaj!—krzyczeli drudzy.—Wołaj! Nie wołaj!

Prezes widząc takie rozdzielenie zdań, uciekł się do form parlamentarnych.— Ci, co chcą, żebym wzywał złego ducha, niech podniosą rękę! —zawołał: mnóstwo rąk się podniosło.—Teraz ci, co nie chcą, niech toż samo uczynią:—ledwie kilka osób podniosło ręce.

— Panowie— rzekł prezes, blady jak śmierć—głosujcie na djabła, będę go wzywał!

Ci i owi zaczęli niby wychodzić, ale Gozlan zaręcza, że nikt nie wyszedł, bo każdy miał ochotę poznać szatana.

— Sokratesie!—spytał prezes—czy możesz nas skomunikować z djabłem?

— Sprobuję —rzekł Ateńczyk. W chwili milczenia, kiedy zdawało się, iż Sokrates szuka nici wiążącéj z piekłem spirytualne zgromadzenie, nieopisane wzruszenie opanowało salę: ziewano, przeciągano się, płakano: gaz to przygasał, to iskrzył, powietrze było ciężkie, siarczane,

upał okropny. Podbudzona imaginacya, oraz wzrok Ralfa, dziwnie mocno działał na ciała; nerwowe drgania i spazmy napadły nawet najsilniejszych; elektryczność o mało sama nie tryskała z najeżonych włosów słuchaczy.

— Jest rzeczą pewną, panowie—rzekł prezes bardzo wzruszony—że duch ciemności już nie daleko. O co go mam pytać, skoro przyjdzie?

— Spytaj go, gdzie jest i co robi.

Prezes niespokojny powtórzył kwestyą. Ręka pośrednika jakby konwulsyjnym rzutem pchnięta, pobiegła horyzontalnie po papierze... milczenie było takie, iż słyszano szelest piszącego ołówka. Tu i owdzie szeptano: „Medium pisze, więc djabeł jest między nami".

Dosłowna odpowiedź szatana była:

— Gdzie jestem? W Indyach. Co robię? Zabijam.

Łatwo zgadnąć wrażenie, jakie te słowa sprawiły na Bringhtończykach: wszyscy drżeli od strachu. Wolni myśliciele tylko zawołali: „Pytaj go o Nana-Saiba!"

— Szatanie! gdzie jest teraz Nana-Saib?

— Jest tu! ja nim jestem: Szatanem w piekle, w Indyach zwę się Nana-Saibem. Pilno mi! Muszę wracać; czyście już skończyli?

Najodważniejsi zawołali jeszcze: „Prezesie! pytaj go, kiedy się skończy wojna w Indyach."

— Szatanie! kiedy koniec wojny?—powtórzył omdlewający prezes.

— Nigdy!

Odpowiedź złego ducha wpadła w tłum jak kula działowa. Ktoś jeszcze chciał pytać....—O nic już pytać nie będę—rzekł Daniel—nie chcę skonać pod nadludzkiém wysileniem, jakie czynić muszę, ażeby rozmowę z szatanem prowadzić.

. . . . Scena, która zakończyła spirytualne posiedzenie w Bringhton, bezczelnością swoją przechodzi wszystko, czego się dotąd szarlatanizm magnetyczny na swych krótkowidzących klientach dopuścił.

Publiczność wywoławszy mnóstwo rozmaitych duchów, zapragnęła wiedzieć, co się dzieje z Messaliną. Posłano tedy Sokratesa (który przez cały wieczór pełnił urząd komissyonera), ażeby odszukał w państwie duchów

sławną nierządnicę i sprowadził ją do sali Fran-masonów. Filozof przyrzekł natychmiast uczynić zadość życzeniu publiczności, ale przeszła godzina i nie było go z powrotem. Czy się spotkał na drodze i zagadał z Platonem, czy z Teofrastem, nie wiadomo; dość, że dopiéro w półtory godziny powrócił i oświadczył, że w królestwie cieniów Messaliny nie spotkał; że daremnie kilka razy przebiegł ten świat, parę milionów razy większy od naszego, pytał się tych i owych, nikt nie umiał mu powiedzieć, w jakim zaułku piekieł ukrywać się może bezwstydna małżonka cesarza Klaudyusza.

A jednak Messalina była zbyt ważną figurą, żeby jéj potężna indywidualność mogła zniknąć w wiecznosci. Zapytany, jakto być może; mędrzec grecki odpowiedział, że w takich razach widoczną jest rzeczą, że nieznaleziona dusza zamieszkała jakieś nowe ciało, że więc Messalina musi żyć obecnie albo na ziemi, albo na jakiéj innéj planecie.

— Jeżeli tak jest — rzekł do prezesa w piérwszéj ławce siedzący obok żony mężczyzna, jeden z dygnitarzy powincyonalnych, którego nieubłagana logika od dawna ambarasowała jasnowidzących kuglarzy—jeżeli tak jest, czemuż panie prezesie nie prosisz Sokratesa, żeby się przekonał, czy Messalina powróciła na ziemię: wszyscy bylibyśmy bardzo ciekawi dowiedzieć się, jaką nową rolę ta okrutna nierządnica odgrywa teraz w naszym świecie.

Piękna wymowa i niepospolite obejście mówcy, zjednały mu natychmiast sympatyą całego zgromadzenia: zaczęto się domagać chórem, ażeby Sokrates wywiedział się, gdzie jest obecnie Messalina. Tą razą Ateńczyk nie bawił długo; w minutę odpowiedział, iż nietylko wie, że Messalina przybrała napowrót ciało i powróciła na ziemię, ale że znajduje się w tém oto dostojném zgromadzeniu.

— Pomiędzy nami!—krzyknęli wszyscy. Jakto! Messalina miałaby siedzieć w rzędzie kobiét naszych, w rzędzie żon i matek nieposzlakowanéj cnoty!.... Na to przypuszczenie, cały Bringhton zdławiony oburzeniem, zamilkł, nie ośmielając się nawet nalegać na Sokratesa, żeby

wskazał tę z obecnych kobiét, któréj ciało ożywia dusza rzymskiéj rozpusty. Jeden tylko gentleman, mąż pięknéj obok siedzącéj lady, który piérwszy domagał się szukania Messaliny, zwrócił uwagę, że w takich razach salonowa grzeczność powinna ustąpić wyższym względom, że podejrzenie zbyt jest ubliżające, ażeby miało ciążyć na każdéj wychodzącéj z tąd kobiécie: że więc w imieniu płci pięknéj damaga się, żeby nierządnica była wskazana palcem.

— Wskaż ją, wskaż!— wołały kobiéty.

Wtedy *medium* powstał i oświadczył, że jeżeli zgromadzenie chce koniecznie poznać tę z obecnych kobiét, któréj ciało posiada Messalina, uprzedza, iż przerażający zobaczą fenomen: duch Messaliny wywołany mocą *pośrednika*, opuści ciało i wróci do państwa abstrakcyi: z tamtąd będzie odpowiadał na pytania. Ale przez cały czas śledztwa, ciało opuszczone przez ducha. pozostanie martwe; po sledztwie dopiéro duch wejdzie napowrót w omdlałą formę, a kobiéta obudziwszy się nie będzie wcale wiedziała o tém, co się z nią działo.

Dawszy to objaśnienie, *medium* jeszcze raz spytał, czy zgromadzenie chce dowiedzieć się, kto jest Messaliną; poczém na powszechne żądanie kazał Sokratesowi, żeby wywołał z ciała, ducha klassycznéj złośnicy.

Co się w téj chwili dziać musiało w sercach tych kobiét, śledzonych czterema tysiącami ócz męzkich, to łatwo pojąć: męczarnie ich zakończył widok niesłychany, na który patrzył także paryzki niedowiarek Gozlan. Młoda lady, żona nie dyskretnego badacza, domagającego się koniecznie odkrycia zabłąkanéj w dostojne grono Messaliny, uderzona palącemi oczyma Ralfa, pochyliła się, jakby snem zdjęta; głowa jéj opadała coraz bardziéj, aż broda oparła się na piersiach i głowa w téj pozyci pozostała; a skoro Sokrates zawołał: „Duch Messaliny wydobyty z ciała, czeka na pytania" kobiéta jak martwa bryła padła na ramię męża. Ten porwał się, jakby żmiję nadeptał, i trzęsąc się od gniewu, krzyknął na prezesa: „Łotrze! skończ swoje figle."

— Precz z oszustem!—wrzasnęło tysiąc głosów.

Prezes widząc, że zadeleko żarty posunął, oddał natychmiast duszę milady, która ocknęła się, nie wiedząc o niczem. Mąż nie dając jéj czasu rozpatrzeć się w sali, gdzie wszystkie oczy nań były zwrócone, wyprowadził ją spiesznie. Szczęście, że niecny zarzut padł na dobrze znaną i powszechnie cenioną kobiétę; nieznajoma byłaby pewnie padła ofiarą kuglarskiéj złości.

Powiedzieć trzeba na pochwałę Anglików, że po takim afroncie, wyrządzonym publicznie za pomocą zwierzęcego magnetyzmu poważanéj obywatelce, rozeszli się oburzeni, a nazajutrz rano konstable wyprowadzili z miasta, prezesa Daniela i pana .Ralf de Ralf, który zapewne na zawsze łaski pięknéj Augusty utracił.

Tak się skończyło to sławne posiedzenie spirytualne w Bringhton, które Gozlan, mimo bardzo wyraźnéj narodowéj nienawiści, za przykład spirytualnemu Paryżowi postawił.

W literaturze stagnacya zupełna. Buletyny z teatru wojny stanowią jedyną lekturę mieszkańców Paryża; autorowie, prawdopodobnie przekładają je także nad własne rękopisy; od czasu bowiem rozpoczęcia kampanii włoskiéj żadna ważniejsza książka nie wyszła. Zapowiadają dopiéro dzieło, któremu pewne powodzenie rokować można. Jestto *„Historya żołnierzy niepodległości włoskiéj"*, napisana przez pana Pontson du Terrail.

A propos téj, przychodzi na myśl jeszcze jedna tego rodzaju publikacya. Znany literat i żołnierz, autor mnóstwa dzieł historycznych, współpracownik *Historyi króla Jana Sobieskiego* i adjutant Lafayetta, pan Leonard Chodźko, wydał *Żywot Kościuszki*, pełen nowych szczegółów, których w czasie swego długiego we Francyi i za granicą pobytu, miał sposobność dowiedzić się od osób wiarogodnych. Książka ta jest jednym tomem obszernego dzieła, które mieścić będzie życiorysy sławnych w ciągu ostatnich lat stu, Polaków.

— Teatra, którym niepokój powszechny sprzyja, przedstawiły w tych czasach kilka sztuk nowych. *La seconde Jeunesse*, komedya autora Fiamminy, Uchar-

da, ściąga licznych słuchaczy do *Vaudevilla*; *Gymnase* ciągle przedstawia ostatni utwor pani Sand: *Marguerite de Saint-Gemme; Odeon*, pięcio aktową drammę Rollanda: *l'Usurier de Village*; *Teatr Francuzki*, eleganckąkomedyą: *Souvent homme varie*, napisaną wieszem przez pana Augusta Vacquerie. Pan Vacquerie jest romantykiem, nawet zaciętym; mimo to, najklassyczniejsi wyznawcy tragedyi, zapomniawszy się, przyklasnęli temu jego utworowi.

Dwu aktowa komedyjka, dowodząca arcy-dowcipnie, że nietylko kobiéta ale i mężczyzna, i wszystko zmienia się na tym świecie; i za to winić nikogo nie należy, bo jak słusznie mówi filozof: *„l'être absurde est celui qui ne change jamais"*—mieszka we włoskim ogrodzie, gdzie pośród kwiatów i posągów snują się miłosne intrygi.

Beppo kocha Fidelinę; Fidelina nie kocha Beppa. „Stara to historya, powiada Heine, ale ten, komu się zdarzy, ma zawsze strzaskane serce." Na to Troppa, przyjaciel Beppa, panicz wypieszczony białemi rękami kobiét, radzi mu, żeby udał inną miłość dla przywabienia téj, która od niego ucieka. Jak na to, Troppa znalazł gdzieś, jak zgubiony dyament, śliczną dziewczynę, którą, żeby zobowiązać przyjaciela, pożyczy mu na dzień jeden. Skoro tylko sroga piękność zobaczy go z piękną Lidyą, wnet przyjdzie żebrać o serce, którem dziś pogardza.

Tak radzi Troppa. Beppo idzie za jego radą; Fidelina ujrzawszy z balkonu śliczną parę, płonie gniewem i zamyka okno. Beppo szczęśliwy ogląda się na tę, która takich cudów dokazała, patrzy i znajduje, że Lidya sto razy od Fideliny piękniejsza. Wnet nowa miłość wschodzi w sercu jego i zaćmiewa dawną. Kiedy Fidelina chce powrócić do tego serca, które niegdyś wyłącznie do niéj należało, Beppo powtarza jéj owe straszne w rozmaitych okolicznościach powtarzane słowa: „już za późno!" A kiedy Troppa przychodzi po swoją kochankę, Beppo zamiast niéj, daje mu zręczne cięcie szpadą.

Cała ta komedyjka obraca się jak chorągiewka na dachu, ale ta chorągiewka prześlicznie jest zrobiona: dowcipne słówka przeplatają miłosne wyznania, łzy błyszczą pomiędzy skrami, wiersze płyną strojne w rymy,

jak w rzadkie kwiaty lub klejnoty. Rzecz cała podobna do serenady odegranéj jednego wieczora pod dwoma balkonami, nie budująca, ale harmonijna i prawdziwa: *Souvent homme varie.*

Przyjęcie pana Jules Sandeau do Akademii odbyło się ze zwykłą ceremonią. Nowego członka przyjmował pan Vitet. Przez rok cały troszczono się tutaj, jak autor *panny La Seigliere* wywiąże się z ciężkiego zadania, skreślenia apoteozy swego poprzednika pana Brifaut, który był niczém, w całém znaczeniu tego słowa. Otóż... bodajto miéć bujną imaginacyą! pan Sandeau o *niczem* potrafił napisać sześć łokciowych kolumn mowy, która do najlepszych jego romansów policzona będzie.

WSPOMNIENIE Z ALP I SALZBURGA.

We wrześniu 1857 r. *Eugeniusza Rönne* (Monachium).

Któryż artysta odda, opisze, wyśpiewa,
W jakie się kształty, barwy, ziemia przyodziewa
W krajach, gdzie na gór szczytach wieczne łeżą śniegi,
A jezior w głębi dolin umajone brzegi,
Czarującą sprzecznością zachwycają oko?
Tu opoki swe czoła podnoszą wysoko,
Barki ich w eteryczne owinięte chmury,
A niżéj, w oddaleniu, błękitnieją góry,
A bliżéj, szmaragdowe, nie zgłębione wody
Odzwierciadlają wdzięki wspaniałéj przyrody!
Gdzieniegdzie w skał rozłamie pieni się kaskada,
Tłucze o twarde głazy— i w otchłań przepada;
A drzewa, nad przepaścią pochylone ciemną,
Zdają się śledzić kaskad rozmowę podziemną:
Lub do granitnych wrębów szponami wszczepione,
Z włosem rozwianym, w bezdeń patrzą zatrwożone.
Tu ruiny zamczyska wznoszą się na skale,
W nocy, głosem puszczyka wywodzą swe żale;
We dnie, z strzelnic w nieładzie zwieszają powoje
I mówią do żyjących: „znikły czasy moje"....
Świadki ohydnych mordów i sprosnych bankietów,
Dziś puste, do zbutwiałych podobne szkieletów,
W próchnie mosty zwodzone, a więc niedostępne,
I tak przetrwają wieki— samotne, posępne.

O Salzburgu! w rozkosznéj leżący dolinie,
Na którą patrzą zdala śnieżyste Watsmany;
Piérwszy przytułku wiary w Germanów krainie,
Z ciebie trysnęło światło pomiędzy pogany.
Tutaj święty Maxymiusz w podziemnéj kaplicy,
Skrycie, z wierną swą trzódką odprawiał ofiary,
I liczni w ślady mistrza poszli męczennicy,

O czém świadczą grobowe marmury téj fary.
Do dziś dnia z stron dalekich przybyli pielgrzymi,
Cześć niosą tym pamiątkom tak drogim dla ludu,
Modlą się prostoduszni.... ach! westchnijmy z niemi,
By nam w sercach zakwitła tajemnica cudu.

Witaj mi, dzikie Gastejn! pośród Alp ukryte,
Którego zewsząd strzegą giganty kamienne;
Niegdyś do ciebie wiodły drogi nie przebyte,
Dziś po mostach przechodzim przepaście bezdenne.
Piękna Rzymian Gastuno! tak obfita w czary,
W źródle któréj kwiat zwiędły powraca do życia,
Zima ciebie otacza, w łonie kipią wary,
Chorym wracają siły z tych kąpiel użycia.
Nieraz starzec, kaleka, co o szczudłach chodził,
Tutaj znalazł dawniejszą krzepkość utraconą,
A wesół, jakby na świat znowu się narodził,
Podziwiał te doliny, jako we mgłach toną,
Albo nad mgłą powyżéj odsłania się łąka,
Albo po górach bydło dzwoneczkami brząka;
I polubił to miejsce, gdzie kaskada wściekła,
We dnie i w nocy ryczy odgłosami piekła.

Strony, które tak hojnie Stwórca uposażył
W niespodziane widoki i dziwy natury,
Błądząc wśród waszych dolin, jam nie o was marzył;
Myśl moja ulatała daléj niż te góry,
Niż te bogate kraje i wspaniałe grody,
I dziedziny, po których krążą parochody. ..
Tam, w sąsiedztwie Baltyku, w dalekiéj północy,
Gdzie wiosny prawie nie ma, długo leżą śniegi,
Jest kraj w ostrych klimatów trzymany przemocy,
A kępin nieużytych kryją go szeregi....
Ten kraj drogim jest dla mnie, z niego woń rodzinna,
Wszędzie jak lube widmo wiecznie za mną goni;
Choć barw świetnych tam braknie, twarz przyrody inna,
Alem w mojéj ojczyznie, jak górale oni!....

ROMANS OBYCZAJOWY

W HISZPANII.

FERNAN CABALLERO I JEGO OPOWIEŚCI.

1. La Gaviota. — 2. Elia czyli Hiszpania przed trzydziestą laty.— 3. Clementia.— 4. Rodzina Alvareda.— 5. Cuadros z Castumbres. — 6. Opowiadania. Madryt 1857—1858.

Przed kilkoma laty pojawiały się od czasu do czasu w Hiszpanii powieści, pełne oryginalnéj prostoty i barwy czysto narodowéj, a obok tego nacechowane wysoką moralnością, uczuciem poetycznem, głęboką znajomością serc ludzkich. Pierwsze z nich ukazały się w jednym z dzienników, następne w osobnych książeczkach, a wszystkie miały w sobie siłę żywotną i wdzięk pociągający. Te powieści, niespodziewane płody nowego talentu, odtwarzały cudownie charakter, piękność, barwy i niebo całéj części Hiszpanii, zwanej Andaluzyą. Nie opisywały one tylko strony zewnętrznéj, krajobrazu widomego i dotykalnego téj okolicy, naznaczonéj osobném zupełnie piętnem, ale co więcéj, ożywiały ten obraz wybornem skreśleniem wszystkich odcieni moralnych, i w pasmie poetycznych zmyśleń oddały wiernie narodowe typy, obyczaje, podania i legendy téj starożytnéj części kraju. Czyje były te powieści zjawiające się naprzemian to w Kadyksie, to w Sewilli, to w Jerez a nigdy w Madrycie? Nikt o tém zrazu nie wiedział; znano tylko zmyślony podpis Fernan Caballero,

umieszczony na pierwszych stronnicach pod tym pseudonimem, daremnie usiłowano odkryć nazwisko, którego z dzisiejszych hiszpańskich pisarzy: Fernan Caballero pozostał długo pełnym wdzięku nieznajomym.

Zachodziło ważne pytanie: czyli nowy romansopisarz był mężczyzną, czy kobietą? — W niektórych ustępach znać było męzką prawdziwie siłę pióra, a wreszcie autor wyraził się stanowczo w jednem miejscu, że kobieta pisząca książkę, przypomina mężczyznę, któryby niańczył dziecko. Mimo takiego zdania czuć było natchnienie kobiety tak w dodatniéj jak i ujemnéj stronie tych utworów, a zwłaszcza w dokładnéj znajomości wszystkich odcieni serca niewieściego, które autor ze szczególném malował upodobaniem. Jakoż Fernan Caballero był rzeczywiście kobietą, jak się późniéj o tém przekonano, kobietą wysokiego rodu, znającą świat i ludzi, przywiązaną serdecznie do swéj kolebki, pięknéj Andaluzyi i obdarzoną prawdziwie twórczym talentem. Ta kobieta złączona przez pierwsze małżeństwo z wysoką szlachtą sewilską, była córką bankiera niemieckiego pana Bohl Faber, który z Hamburga przeniósł się do Kadyksu i tam więcéj niż handlem zajmował się bibliografią i literaturą, jako znany autor poezyj kastylskich. Matka jéj rodowita Hiszpanka mieszała się także w polemikę literacką w początkach tego wieku. Powieści z podpisem Fernan Caballero, takie wreszcie zjednały sobie powodzenie, że niedawno królowa Izabella rozkazała wydać je na nowo własnym kosztem, autorkę zaś powołała na ochmistrzynią infantów Kastylii. Romanse nacechowane prawdą i samodzielnością, a do tego pisane przez kobietę, były rzeczą zupełnie nową w literaturze hiszpańskiéj. Hiszpania miała poetów dramatycznych, historyków, liryków, moralistów i mistyków, ale mało romansopisarzy. Sam don Quichot nie tyle jest romansem jak raczéj wielką epopeją, w któréj autor przyodział typy ludzkie w marzenia własnéj duszy, gdzie rzeczywistość ukazuje się przybrana w świetne barwy ideału. Powieść obyczajowa zachowała charakter wyłączny i nie wyrobiony poza Pirenejami. Powód do tego bardzo prosty. Jakimże sposobem rozwija się romantyczne natchnienie? Przez uwagę bacznie zwróconą na wypadki życia społecznego i na wewnętrzne

objawy duszy, przez dokładne badanie świata i przez analizę moralną każdéj jednostki. Tam, gdzie życie społeczne rozbudza się potężnie i coraz nowemi żywiołami podsyca uwagę badacza, tam, gdzie indywidualna osobistość człowieka objawia się w pełnéj czynności, z tajemniczym swym dramatem wewnętrzną walką—tam romans rodzi się nagle, bo ma usprawiedliwiony powód bytu. We Francyi naprzykład, gdzie duch towarzyski panuje i odbija nawet w dziełach intelligencyi, powieść stała się szczególniéj odszkicowaniem świata. W Anglii zrodziła się z silnego uczucia rzeczywistości, połączonej z upodobaniem w analizie moralnéj, rozwiniętéj przez wpływ protestantyzmu.

Tymto sposobem romans stał się tém, czém go widziano, historyą idealną rzeczy, które nigdy nie istniały, ale które mogły istnieć historyą zmyśloną, a jednak prawdziwą, albowiem wprowadza w grę, namiętności, wrażenia, charaktery, skłonności ludzkie, ktore są żywotnym pierwiastkiem samychże wypadków rzeczywistych. Romans o księżnie Kliwic jest prostém zmyśleniem; lecz to zmyślenie oprawne w ramy XVII wieku daje nam poznać tę zamarłą epokę, lepiéj, niż wszystkie ówczesne autentyczne dokumenta. Bohatérowie Fieldinga, nie mają nic historycznego, a jednak te osoby, dzieci wyobraźni, są niezaprzeczenie obywatelami społeczeństwa angielskiego w zeszłym wieku. Dlategoto romans jest w pewnym względzie historyą, szczególniéj przypadającą do smaku ludom, które pragną zbadać własny charakter, własne gusta, skłonności i wady; a potrzeba szczególnych warunków, aby romans mógł zrodzić się i zakwitnąć.

W atmosferze, w jakiéj żyła Hiszpania, literatura romantyczna nie mogła się utrzymać: analiza bowiem nie przystaje wcale do geniuszu zapirenejskich ludów. Zawarta sama w sobie Hiszpania wcześnie obwinęła się płaszczem dumy narodowéj, i oparła na niewzruszonéj samoistności domowych obyczajów. Żaden może naród nie dbał mniéj oto, aby się poznać, opisać, a zwłaszcza dać się poznać innym ludom. Gdybyśmy chcieli jedném słowem określić to społeczeństwo, powiedzielibyśmy, że wszystko było w niém tajemnicą, milczeniem. Ludzie następują jedni po drugich nic nie mówiąc o sobie, ani o świe-

cie, który ich otacza: nie piszą pamiętników i nie dają pisać ich w swém imieniu. Filip II i książę Alby występują wyraźnie w dziejach, a jednak nikt ich nie zna poza obrębem historycznéj roli, jaką odegrali w swojéj epoce. Czasy Filipa III i IV Oliwaresa ciekawe byłyby do zbadania; widać to z kilku oderwanych słów, napomkniętych przez ówczesnych pisarzów satyrycznych. Śmiało powiedzieć można, że nie znano w Hiszpanii tego, co się zowie życiem społeczném, co nie jest ani życiem prywatném, ani też politycznem, ale w czém najwięcéj zawiera się żywiołów literackiego natchnienia. Nie myślmy, aby pod tą nieprzedartą zasłoną nie kryły się namiętności, walki i dramata. Życie hiszpańskie ma zapewne wyłączny swój charakter i głęboką samoistność, ale wszystko to kryje się pod nieprzedartą zasłoną tajemnicy. Rzekłby kto, że Arabowie przekazali Hiszpanom ową milczącą tajemniczość, tak wydatną w obyczajach wschodnich. Kobiety hiszpańskie są i dziś jeszcze wielowładne w rzeczywistości, równie jak i wszędzie, gdzie namiętność jest powszechnym bodźcem; wywierają one wpływ na dom i na życie praktyczne, ale nie odgrywają żadnéj społecznéj roli, nie rozwijają działania na zewnątrz, a zatém w dziejach literatury żadnego prawie nie zostawiły śladu. Kilka Hiszpanek było autorkami pomimo wiedzy i woli, a co więcéj bez literackiego ukształcenia. Obyczaje nie zgadzały się z tym rodzajem niewieściéj edukacyi i niewieściego wpływu. Romans nie odszkicował tego świata wystarczającego sobie samemu i strzegącego się oczu ludzkich; nie mógł go nawet odszkicować, brakło mu bowiem właściwych do tego żywiołów: brakło mu ducha badawczego, jak niemniéj ducha analizy moralnéj i filozoficznéj. Geniusz hiszpański czerpie w katolicyzmie rozwiązanie wszelkich wątpliwości i uspokojenie wszelkich burz wewnętrznych; światło wiary rozprasza tu owe subtelności metafizyczne i uwalnia duszę z ciężaru zwątpienia, pod którym upadali bohatérowie tylu poetycznych zmyśleń. Wszyscy też wielcy poeci hiszpańscy, byli mistykami; romans oparty na dokładnéj znajomości społeczeństwa i na analizie psychologicznéj, nie mógł się rozwinąć za Pirenejami. Literatura

romansowa chwilę tylko kwitła w Hiszpanii; wyraziła się w Cervantesie i z nim razem zstąpiła do grobu.

Obecne wpływy, działając zwolna na Hiszpanią, wyraźnie objawiły się w jéj duchu i obyczajach. Hiszpania stała się podobną do innych narodów, które skutkiem wieku i przewrotów politycznych, pozbywają się dawnéj prostoty, zarzucają odwieczne uprzedzenia i z ciekawością biorą się do naukowych badań. Hiszpania chciałaby usłyszéć własną historyą z ust powieściopisarza, któryby umiał otoczyć prawdę całym urokiem ułudy. Dziś zatém romans może być prawdziwym i samodzielnym w Hiszpanii, jeżeli porzucając obce wzory, skąpie się w źródle obyczajów i podań narodowych, które czas zaciera już pomału.

W jednéj z powieści Fernana Caballero jest scena, w któréj kilka zebranych osób zaczyna wspólnie tworzyć romans. W tym romansie nie ma być ani występnych uczuć, ani samobójstwa, ani przekręcania ewangelii, ani przygód nadzwyczajnych: nie będzie to także historya fantastyczna, ani sentymentalna. I cóż więc pozostanie? W moich oczach, mówi jedna z osób, dwa są odpowiednie nam rodzaje: romans historyczny lub romans obyczajowy. Tu ostatnie ma przed innemi pierwszeństwo: każdy naród powinienby mieć swoje powieści w tym rodzaju; pisane wiernie, z prawdziwym duchem badawczym, wielceby dopomogły do poznania pewnéj danéj epoki, pod względem moralnym i historycznym. „Gdybym była królową, rozkazałabym napisać romans obyczajowy, w każdéj prowincyi, o ile można najdokładniéj.“ „Tak jest, odrzekł ktoś drugi, byłbyto nowy rodzaj geografii“... Fernan Caballero jest właśnie tym powieściopisarzem życia domowego i popularnego, tym geografem moralnym Hiszpanii, wiernym i sympatycznym objawicielem nowego całkiem świata.

Są chwile, w których ukryty geniusz plemion szuka właściwego wyrazu i oczekuje historyka, któryby go zbadał, zrozumiał i wytłumaczył. Szkocya miała Walter-Scotta. Od chwili, kiedy autor Wawerleja pojawił się w początkach tego wieku, romans historyczny znalazł w świecie wielkie powodzenie. Nie spotrzeżono, że ten rodzaj może być łatwo skrzywionym, zwłaszcza przechodząc przez ręce niewierne lub pospolite; że oryginalność pisarza

nie zależy tu bynajmniéj od formy jaką przyjął. Romanse Walter-Scotta zajęły i dotąd zajmują przez prawdziwą moc natchnienia, przez barwę żywotną, tak silnie przemawiającą do wyobrażeń. Jeniusz domowy staréj Szkocyi pojawia się w tych sympatycznych obrazach. Fernan Caballero nie posiada zapewne owéj męzkiéj mocy i cierpliwości w oddaniu najdrobniejszych szczegółów z całą prawdą, jaką posiadał szkocki powieściopisarz; ale równie jak Walter-Scott ma głęboką miłość domowych tradycyj: czuje z całym urokiem miejscową barwę tych okolic, których jest historykiem i poetą. Fernan Caballero kocha Hiszpanią, ta miłość daje mu natchnienie: kocha on Hiszpanią w jéj krajobrazach, obyczajach, przeszłości, w jéj legendach, a mianowicie w jéj niedoli! Kochając Hiszpanią, odgaduje ją potęgą natchnienia; w obrazach i w osobach, które wprowadza na widownią, nie znać ani cieniu naśladownictwa, ale bierze je wszystkie prosto z serca narodu. Utwory jego nacechowane są głębokiém poznaniem rzeczywistości i uczuciem poezyi przedmiotowéj: temi dwoma zaletami, które tworzą wielkich i samoistnych powieścio-pisarzy.

Wydatną cechą tego prawdziwego talentu (w czém najwięcéj odbija wyobraźnia niewieścia) jest wielka prostota w zawiązaniu węzła dramatycznego. Fernan Caballero posiada szczególny dar w oddaniu szczegółów, które wybornie umié ożywić. Rozróżnia on dokładnie tysiączne odcienia, niedostępne zwyczajnemu oku, a ktore i miejscowości i osobom nadają odrębną postać. Równie jak Walter-Scott wprowadza z upodobaniem rozmowy, szkicuje obrazy pełne wdzięku, i hojną ręką rzuca światło na charaktery i obyczaje; zbiera legendy z ust ślepców andaluzyjskich i przechodzi swobodnie z wymysłów życia światowego, do skromnych scen ludowych: Fernan Caballero bowiem jest tak dobrze historykiem ludu, jak i najwyższego społeczeństwa hiszpańskiego. Wszystkie więc typy odwiecznéj Sewilli, i stary generał z czasów wojen amerykańskich lub wojny o niepodległość, i bogaty właściciel ziemski, i uboga wieśniaczka, i mnich zbiegły z klasztoru, i rybak z morskich nadbrzeży, występują i grupują się w powieściach: *Gaviota*, *Clemencia*, *Rodzina Alvareda*, *Elia* i innych, których Hiszpania jest jedyną bohaterką.

Tak, powtarzamy, Hiszpania, a raczéj Andaluzya, jest bohaterką Fernana Caballero. Gdy przybywamy z Francyi do Hiszpanii, minąwszy kraj Basków, tę Szwajcaryą pirenejską, a następnie nagie płaszczyzny Castylii i la Manchii, gdzie już nie błądzi Don-Quichot, dobry rycerz, dostajemy się do pasma stromych gór i dzikiego wąwozu Despenna-Perros. Droga wije się jak wąż około góry. Nigdzie nie dojrzéć śladu ludzkich siedzib; gdzieniegdzie tylko rośnie drzewo, a w rozpadlinach skał huczą z szumem potoki. Gdyśmy przebyli wąwóz i stanęli na przeciwnéj pochyłości góry, wszystko zmienia się w oczach naszych: błękit nieba staje się nagle jaśniejszym i przezroczystszym; aloesy i różowe oleandry zapowiadają nową strefę, obejmującą Kordubę, Sewillę i Kadyks: zawsze to Hiszpania, lecz Hiszpania na wpół oryentalna.

Miejscami, ziemia naga, spalona od palących promieni, miejscami znów podobna do najpiękniejszego ogrodu: płowe gór wierzcholki sterczą na tle widnokręgu; poniżéj rozciągają się niziny, pokryte bujném zbożem; szerokie błonia, po których trzody pasą się swobodnie, przypominają amerykańskie sawanny lub tajemnicze stepy Wschodu. Ta część Hiszpanii, zwana Niższą Andaluzyą, oblana jest oceanem; na jéj powierzchni, zwłaszcza w bliskości brzegu, widać rozrzucone miasta, szczególném nacechowane piętnem; Kadyx wkracza w głąb morskich fal, jakby szedł na powitanie swéj floty. O milę od brzegu, leży wspaniała i handlowna Jerez de la Frontera w pośród rozkosznych winnic i płowych łanów zboża. Daléj występuje starożytna Karmona, miasto maurytańskie, zbudowane na skale, zkąd oko ogarnia całą Andaluzyą.

Kto chce ucieszyć wzrok najpiękniejszym w świecie widokiem, niechaj z poetą lub malarzem stanie na wierzchołku Puerto santa Marya. W oddaleniu zobaczy morze odbijające w sobie najczystszy błękit nieba, a nad niém poważnie sterczące mury Kadyxu; po jednéj stronie piękną wyspę Leon, po drugiéj zielone wzgórza, piętrzące się coraz wyżéj; na Północ zaś strome pasmo gór Ronda, a ponad niemi odwieczną fortecę, San Christobal, z czołem uwieńczoném chmurami. Ten prześliczny krajobraz Fernan Caballero wziął za bogate tło poetycznych swoich utworów.

Słynny ten powieściopisarz hiszpański, jest przedewszystkiem malarzem natury i obyczajów. Do tego daru łączy on głęboką znajomość serc ludzkich, a mianowicie serca kobiéty. Jego *Elia*, to postać pełna wdzięku, smutny typ miłości dziewiczéj, roztrącający się o wymagania społeczne. W *Klemencyi* widzimy wewnętrzną walkę młodéj kobiéty, młodéj wdowy, która w piérwszém małżeństwie przeszła przez srogie próby życia, i znów widzi się wtrąconą w nowy odmęt. A jednak wśród tych spostrzeżeń psychologicznych, analiza nie przechodzi nigdy właściwéj granicy; a w ciągu opowiadania nie tyle zajmuje rozwinięcie namiętności i anatomiczny rozbiór uczucia, jak raczéj rozmaitość scen, sprzeczność charakterów i niepojęty urok coraz nowych obrazów, w których odbija życie hiszpańskie. Każdy romans Fernana Caballero nazwaćby można galeryą typów, z których jedne naszkicowane są lekko, lecz wprawną ręką; inne zaś wypracowane z upodobaniem i umieszczone w najlepszém świetle jak stare portrety familijne.

Otwórzmy oto *Elią*, czyli *Hiszpanią przed trzydziestą laty*: Podczas gdy Sewilla obchodzi powrót ukochanego króla Ferdynanda VII, widzimy na balkonie starą kobietę, z twarzą pomarszczoną, jakby zasuszony rodzenek, z małemi i żywemi oczami, niby dwa ziarnka angielskiego ziela, w mantyli czarnéj, zarzuconéj niedbale na siwe włosy! Jestto donna Izabella Orrea, siostra zmarłego markiza Val de Jarra, wdowa po słynnym i potężnym dostojniku Sewilli, don Manuelu Farsan y Calatrada, który był synem vicekróla Meksyku. *Assistenta* (tak ją tytułują powszechnie od godności przez męża piastowanéj), jestto Hiszpanka z dawnych czasów, z czasów, gdy Sevilla podobną była do szlachetnéj matrony, która z różańcem w ręku spędzała poranki w kościele, a wieczorami grywała w *tresillo* w gronie kanoników, sędziów i urzędników miejskich. Rozumie się, że sennora *Calatrava* gorliwszą jest rojalistką nad króla samego i ściślejszą katoliczką nad papieża; nienawidzi zwłaszcza obyczajów obcych, zabitą jest nieprzyjaciołką *dobrego tonu* francuzkiego i wszelkich innych nowości.

Kocha swój stary dom, stare sprzęty i stare obrazy Velasqueza i Murylla, rozwieszone po ścianach. Z wielkiém też oburzeniem widzi wszystko do góry nogami przewróco-

ne w domu siostrzenicy swojéj, młodéj hrabiny Palma, przybywającéj właśnie z Paryża i Londynu; w miejsce dawnych familijnych portretów wiszą w około wizerunki słynnych ludzi, z których żaden nie był Hiszpanem, a między któremi odznacza się szczególniéj szpetna twarz starca, podobna do lisa zgłodniałego — jestto portret Woltera! *Assistenta* o mało nie mdleje na ten widok. W gruncie jednak dobra to kobiéta, pełna współczucia dla młodości, miłosierna dla ubóstwa i nadzwyczaj łatwa w pożyciu. Z upodobaniem słucha, gdy intendent jéj don Benigno przeczytawszy ustęp z *Roku chrześciańskiego*, czyta na głos jakiś rozdział z Don Quichotta: żywa w rozmowie i dowcipna, nie zaprawia jednak słów swoich goryczą ani szyderstwem. Jedynie tylko wypowiada wojnę encyklopedystom, ateuszom i republikanom, którzyby chcieli mocą konstytucyi obwarować królewską wolę i którzy nie mają za złe, że w Anglii są biskupi żonaci. Tych wszystkich oddaje djabłu na pastwę, w osobie niejakiego *Narcisso Delgado:* jestto nader śmieszna postać: wysoki, chudy, zawołany zwolennik filantropii i postępu; potyka się co chwila o stare przesądy i zabobony, a głośno ubolewa nad powszechną ciemnotą i nędzą ludu hiszpańskiego. *Assistenta* ma szczerą antypatią do Narcissa Delgado, a namiętnie kocha Elią, młodą dzieweczkę, którą podjęła z miłosierdzia i wychowała jak własne dziecię, w zupełnéj niewiadomości o swojém urodzeniu. Cóż się staje z Elią? Młoda dzieweczka kocha, i nagle jakby widmo stawa przed jéj oczyma ród nieprawy, który na zawsze rozdziela ją z kochankiem; dotknięta boleśnie, z sercem rozdartém, Elia ucieka od świata i zamyka się w murach klasztoru. *Assistenta* tymczasem czuje srogi wyrzut w zacnéj duszy i poznaje, że się pomyliła: „Don Benigno — mówi do intendenta swego — uczyłeś się wiele, powiedz mi zatém, dlaczego osoby powodujące się tylko zimnym rozsądkiem i roztropnością, właściwiéj postępują od tych, które ślepo idą za popędem uczucia?" W tém jest węzeł całéj powieści, ożywionéj mnóstwem ciekawych szczegółów, któréj *Assistenta* główną stanowi postać.

Fernan Caballero kocha te typy staréj Hiszpanii, zacierające się z dniem każdym, i odtwarza je z niezrównaną zręcznością. W Klemencyi widzimy młodą wdowę z szla-

chetną duszą i namiętném sercem, a obok niéj dosadną i oryginalną postać don Martina Ladron de Guevara, prawdziwy typ właściciela ziemskiego, pana ogromnych posiadłości, szlachcica osiadłego na wsi, typ zupełnie odmienny od szlachty hiszpańskiéj, przebywającéj na dworze. Don Martin ma wzrost wysoki, postawę dumną, a rysy pomimo wieku piękne jeszcze i regularne. Ubrany jest zawsze jednakowo: w pończochy błękitne jedwabne, w spodnie czarne kaźmirkowe, ze srebrnemi sprzączkami u kolan, w wielką jedwabną haftowaną kamizelę i kapotę czarną sukienną, bogato uszamerowaną; włosy nigdy nie strzyżone chowa w worek siatkowy i na głowie nosi wielki kapelusz o szerokich skrzydłach, jakich używają pikadory hiszpańskie podczas walki byków. Don Martin nie odebrał wyższego ukształcenia, biegłym był tylko w religii. Jako starszy z rodu miał odziedziczyć majorat, cóż mu więc było po nauce? Posiadał on jednak w wysokim stopniu samodzielność i trafny instynkt, właściwy wszystkim Andaluzyanom. Przywykły do rozkazywania mówi głośno i płynnie, nie brak mu nawet pewnego dowcipu, właściwego tym, którzy mają przywiléj mówić wszystko, co im przejdzie przez głowę; całe życie jego ubiegło w pośród koni, wołów i zatrudnień rolniczych: raz w życiu tylko był w Sewili. Dom jego Villa Marya, wielki gmach gruntownie zbudowany z obszernym dziedzińcem, obejmuje ogromne sale, w którychby można śmiało odbywać konne wyścigi. Przy wnijściu jest wielki ganek, ozdobiony w tarcze herbowe. Tu przyjmowani byli w przejeździe Karol IV, księżna Bragancyi, Ferdynand VII, a skoro kto zapyta don Martina, czemu nie opasał domu łańcuchem, na znak że w nim przebywały głowy koronowane, odpowiada z dumą: „stara gospoda nie potrzebuje choiny".

W téj postaci widzimy osobliwe sprzeczności: jest w nim duch rycerski obok grubiaństwa; samowolność obok dobroduszności; egoizm obok wspaniałomyślnych popędów. Jako dobry chrześcianin ma zawsze rękę otwartą do jałmużny; w czasie powszechnego głodu nie chce sprzedawać zbiorów, albowiem te, jak mówi, są własnością powszechną; gdy skwar letni wypali zboże ubogim mieszkańcom z Villa Marya, oddaje im połowę własnych plonów. Kłóci

się zapamiętale z żebrzącemi włóczęgami, aż w końcu zniecierpliwiony ulega im i przystaje na ich wymagania. Tak żył don Martin Ladron de Guevara aż do dnia, w którym podjęto go nieżywego od stołu w samą wigilią Narodzenia Pańskiego. Wiele innych osób grupuje się w około don Martina: brat rodzony opat, żona, donna Brygida Mendoza, osoba ostra, baczna i obojętna; Klemencya młoda synowa, Latrana typ żebraczki hiszpańskiéj. Wszystkie te postacie narysowane są zręcznie i we właściwém postawione świetle.

Lud andaluzyjski zwłaszcza znalazł w Fernandzie Caballero niewyczerpanego i sympatycznego historyka; wszystkie jego powieści są niejako domową epopeją życia wiejskiego. To pod formą dramatycznéj fikcyi, to znów pod formą prostych obyczajowych zarysów, Fernan Caballero uwydatnia wszystkie odcienia życia ludu, w których strona moralna odpowiada harmonijnie miejscowości. Obrał on jak mówiliśmy, przestrzeń pomiędzy górami a morzem, za główne tło do utworów swoich. W Rota, mieście rybackiém, żyła biedna Doloru, któréj opisał przygody. We wsi Don Hermanus o kilka mil od Sewilli spełniły się losy rodziny *Alvareda*. Jestto opowieść tragiczna i prosta zarazem, ta historya rodziny Alvareda, pełna miejscowéj barwy. Wnijdźmy we drzwi tego domu, kędy lampka płonie przed obrazem Chrystusa. W środku dziedzińca rośnie ogromne drzewo pomarańczowe, które należy niemal do rodziny. Stary Juan Alvareda za życia swego utrzymywał, że posadził go jeden z Alvaredów, żołnierz świetego króla Ferdynanda, w tymże roku gdy Maurowie wygnani zostali z Hiszpanii. To drzewo służy do wszystkiego: z jego liści niewiasty przyprawiają wzmacniający napój, młode dziewczęta stroją się w jego kwiaty, dzieci zjadają owoce, ptastwo śpiewa ukryte wśród gałęzi. Podczas lata troskliwa ręka polewa bezustannie, a gdy nadchodzi zima, obcina zeschłe jego konary, jakby wyrywała włos siwy z głowy ukochanéj, aby nie patrzéć na smutne działanie czasu. W kącie podwórza spoczywa spokojnie zwierzę, z okiem zawsze napół otwartém: to Melampo wielki i poważny pies, nie piękny, ponury i wcale niepieszczotliwy, a jednak czuwający pilnie nad domem panów swoich. Przez całe życie nie skaleczył on nikogo, ale zagryzł sześciu

lisów, trzech wilków i raz nawet ocalił życie panu rzuciwszy się na rozhukanego stadnika. Zowią go Melampo ztąd, że tak się nazywał pies jednego z trzech pasterzy, którzy pobiegli do Betleem witać nowonarodzone Dziecię Jezus. Oprócz drzewa i psa Melampo, pięć czy sześć osób występuje na scenę: Anna, wdowa po Juanie Alvareda należy do kobiet wyższych w sferze, jaką zajmuje, umysł ma przenikliwy i dosyć ukształcony, wychowana była bowiem w domu brata plebana; syn Anny, Periço, nie posiada wprawdzie świetnych zalet, lecz skromny jest, pracowity i uległy; siostra jego, Elwira, młoda dzieweczka, chorowita, ma na obliczu wyraz słodkiéj rezygnacyi i dobroci: obok nich widzimy starego stryja Pedro, który nie skąpi słów, a ciągle mówi przysłowiami. Pedro ma syna Wenturę, wysokiego i dorodnego młodziana, pełnego życia i dumy. Wentura nosi zawsze strzelbę na ramieniu; Peryko nie wypuszcza z rąk rydla albo motyki. Nakoniec ostatnia z rodziny młoda Ryta bratanka Alwaredów, dziewczyna niebezpiecznie piękna, serce ma zimne, a charakter gwałtowny, umysł szyderczy, zuchwały i zaczepiający. Pomiędzy temi osobami zawiązuje się dramat. Piękny Wentura kocha Elwirę i pragnie ją poślubić; przez szczególną sprzeczność, która tak często napotyka się w życiu, dobry Peryko namiętnie kocha Rytę i chce ją także wziąć za żonę. Daremnie matka stara się odciągnąć go od tych związków, naprzód, z powodu charakteru młodéj dziewczyny, a potém przez tradycyjną wiarę, że przekleństwo ciąży na ślubach zawartych między krewnemi: Anna zmuszona jest nakoniec ustąpić. Układy przedwstępne już stanęły i wyznaczono dzień weselnych godów; gdy wtém daje się słyszéć wrzawa nagła i przerażająca: tłum zbiegów ucieka przed Francuzami, jestto bowiem rok 1810. Lud rozbiega się po okolicy. Stary Pedro tylko ufny w siwe włosy, pozostaje w domu sam jeden; Wentura na rozkaz ojca ukrywa się w komorze.

W téj chwili przybywa grenadyer francuzki: wchodzi zwycięzko do domu i żąda, aby mu stary Pedro oddał pieniądze i przyprowadził córki; starzec odmawia i niebawem odgłos policzka rozlega się w izbie: Francuz znieważył Hiszpana. Na to hasło Wentura ukryty dotąd,

wybiega jak lew z komórki, porywa bagnet i przebija nim Francuza, który pada na miejscu, nie zdążywszy zawołać nawet o pomoc. Ci dwaj ludzie ojciec i syn stoją chwilę naprzeciw siebie, a porozumiawszy się wzrokiem, biorą trupa, rzucają go w studnią i zacierają krwawe ślady. Odtąd Wentura widzi, że mu nie pora myśléć o małżeństwie: ucieka z domu i zaciąga się do wojska. Nie ma o nim żadnych wieści i tak kilka lat cicho i jednostajnie ubiegło w Dos Hermanas. Peryko i Ryta pobrali się i mają dwoje dzieci bliźniątek. Wieczorami po całodziennéj pracy matka Anna odmawia różaniec lub opowiada bajki małym dzieciom; Elwira opłakuje w milczeniu kochanka. Stary Pedro trwoży się zawsze na widok studni i nieraz o zmroku zdaje się mu, że widzi wychodzącego z niéj grenadyera; tęskni także za synem, który zginął niechybnie. Melampo strzeże domu, a wiatr potrąca szelestem zielone gałęzie pomarańczy.

Wentura jednak nie zginął: wysłużywszy lata swoje, powraca wreszcie do domu. Czyliż się ożeni z Elwirą? Pragnie tego bez wątpienia i wszyscy tak mniemają; ale Wentura poznał świat i nie jedne przebył miłostki. Widzi się nagle pomiędzy dziewczyną chorowitą, wybladłą od cierpień, a młodą kobietą zalotną i śmiałą; Wentura i Ryta kochają się nawzajem, lecz długo tają wspólną miłość, aż w końcu wydają się z nią podczas uczty wiejskiéj. Peryko ostatni odkrył tajemnicę: wówczasto zemsta zapala spokojne jego serce. Raz porankiem idzie w pole ze strzelbą, a widząc nadchodzącego Wenturę, zabija go na miejscu. Przynoszą Wenturę do wsi: Peryko ucieka i błąka się w ciemnych wąwozach.

Tu nieszczęśliwy rozpoczyna nowe życie pełne trwogi i skreślone z niepospolitą siłą: niczém dla niego nędza obok udręczeń moralnych. Raz popchnięty na tę drogę, Peryko czuje coraz dotkliwiej brzemię pierwszego morderstwa. Jednego wieczora spotyka na drodze człowieka dziwnéj postaci ubranego bogato; człowiek ten ma twarz ponurą, zuchwałą, lecz spokojną, wyraża się cierpko i zwięźle: jestto Dyego naczelnik rozbójników. Peryko zostaje mimowoli żołnierzem tego wodza, tego króla gór i wąwozów. „Jesteś zbiegiem, mówi do niego dowódzca, mierząc

go bystro okiem: Peryko nie odrzekł ani słowa, tylko pochylił głowę. „Nie masz się czego lękać, rzekł Dyego: są w życiu chwile złowrogie, a między niemi jedne czerwone jak krew, drugie czarne jakby kir żałobny. Dość jednéj z nich, aby zgubić człowieka i odmienić mu serce. Człek przepadł, bo tak chciało przeznaczenie! Życie, to wielka bitwa: trzeba zawsze patrzéć naprzód zwycięzko, a nie zostawać w tyle jak nikczemny tchórz".

— Nie mogę— zawołał Peryko— gdybyś wiedział!

Dowódzca podniósł rękę z postawą nakazującą niby na znak milczenia i dodał: —Tu każdy z nas kryje swą tajemnicę sam w sobie, nikt nie ciekawy spraw cudzych. Jeżeli nie wiesz gdzie iść, możesz pozostać z nami: bronimy tu jedynego dobra, jakie nam pozostaje, tojest życia naszego. Co do mnie, nie dlatego bronię go, aby było coś warte, lecz aby nie oddać go katu.

— Ale czyż rozbijacie?—zagadnął Peryko.

— Trzeba przecie coś robić, odparł Bandolero i umilkł.

Peryko nie przyjął wezwania, ani też odmówił; była to istota bez myśli i bez woli, przypadek miotał jego nikczemnym losem jak wiatr tumanem piasku na pustyni.

Takie było nowe przeznaczenie biednego Peryko: został mimowolnie bandytą. Pamięć dawniejszego życia dręczyła mu sumienie; ta wewnętrzna walka wybuchła wreszcie z całą gwałtownością. Stara cyganka oznajmiła bandzie, że był kościół do zrabowania.

„Wspaniałyż to i groźny obraz, mówi autor, przedstawia kościół pusty w nocnéj godzinie! Jakże te ciemne nawy wydają się ogromne i straszne, jak wysokie te arkady, wsparte na barkach kamiennych olbrzymów a niknące w tajemniczéj ciemności nieba bez gwiazd. Tu nic nie rozprasza umysłu. Ta zupełna nieruchomość, to milczenie niczém nie zmącone, zdają się być jakby chwilową przerwą w życiu, trzymającą środek pomiędzy snem a śmiercią. Takim był kościół w Alkala, gdy bandyci go naszli, pchając przed sobą nieszczęśliwego Peryko, przy połysku latarki, którą niosła przed niemi stara, ohydna cyganka.

— Puścić go i zatarasować drzwi— rzekł Dyego.

— Będzie krzyczał i odkryje wszystko—odrzekli drudzy.

— Puścić go, mówię wam— powtórzył dowódzca! Kto go usłyszy i cóż nam się stać może?

— Może krzyczeć— odparł Leon (jeden z bandy, który wraz z cyganką odzierał już z ozdób wielki ołtarz).

— Miejcie go na oku—rzekł dowódzca. I w téj chwili dwaj ludzie najmniéj śmieli z bandy, którzy nie mogli bez wstrętu dotknąć ręką świętości, zbliżyli się do biednego Peryko. Ten równie jak ci wszyscy, którzy umieją długo trzymać się na wodzy, wpadał w gwałtowne uniesienie, ilekroć zewnętrzne przygody wytrąciły go ze zwyczajnéj obojętności.

— Odkryjcie głowy heretycy— zawołał— jesteście w domu Bożym.

— Żywo! dać mi tu knebel—krzyknął dowódzca, wściekły z gniewu. I w téjże chwili zawiązano usta biédnemu Peryko; ale mimo, że chustka zapierała mu oddech, widząc jak cyganka z Leonem odrywa drzwiczki Cymboryum, wyrwał się rozpaczliwie z rąk bandytów i upadł na kolana, wołając:

— Świętokradztwo! Świętokradztwo!

Okropny okrzyk obiegł wkoło kaplicę i jak grzmot rozległ się pod sklepieniem, a poruszywszy wielkie organy, zabrzmiał w jednéj z metalowych trąb jakby jęk boleści. Dreszcz trwogi przeniknął na wskróś nikczemników. Sam Dyego zadrżał, ale wnet przyszedłszy do siebie, przyskoczył jak szalony do biednego Peryko, powalił go na płyty kamienne, zdeptał nogami, przeklął i dał rozkaz podwładnym, aby go zatłukli kolbami od karabinów, jeśli wyrzecze słowo: nieszczęśliwy leżąc na ziemi stratowany i zbity powtarzał niewyraźnie:

— Miłosierdzia, Panie, miłosierdzia!

— Zabić go jak się odezwie— powtórzył Dyego, bo noc już się rozjaśnia i mogą nas dostrzedz. Jakoż w rzeczy saméj obłoki rozsunęły się w téj chwili i promień księżyca wpłynął przez wysokie okno w głąb przybytku i srebrnym strumieniem światła oblał stopy Niepokalanéj Dziewicy.

— Przeklęty księżyc— zawołała cyganka.

I wszyscy spojrzawszy na siebie ze zgrozą przy nagłym blasku księżycowych promieni, z nowym pośpiechem zabrali się do dzieła i co rychléj spełnili świętokradztwo.

Wyszli nakoniec, obładowali konie zdobytemi łupami i odjechali w góry; długo cyganka ścigała ich oczyma, a gdy znikli na zakręcie drogi, powróciła do swéj nory podziemnéj. Wkrótce po téj scenie nocnéj bandyci wpadli w ręce sprawiedliwości; jeden z towarzyszów zdradził ich i okulawił konia dowódzcy, aby nie mógł ratować się ucieczką. Biédny Peryko wraz z drugimi ma na placu w Sewilli krwią swoją zapłacić za zbrodnią, któréj był mimowolnym wspólnikiem.

Stary Pedro, ojciec Wentury umarł tegoż roku w dos Hermanos; Elwira skonała w dniu, w którym się dowiedziała o egzekucyi brata, a matka Anna poszła niebawem za nią: dom Alwareda zamienił się w pustkę. Stare drzewo pomarańczowe uschło na podwórku, a biedny pies Melampo od dnia pogrzebu swéj pani, wył nieustannie i zdechł z głodu, nie ruszywszy się z miejsca. Dziś jeszcze widać w polu sąsiedniém mały czerwony krzyżyk zatknięty w miejscu, gdzie padł Wentura. „Najpiękniejszy młodzian we wsi zabity ręką najuczciwszego człowieka".

— Jakże się to stać mogło?— zapytał podróżny markiz, który mówił do niego te słowa.

— Wino i kobiety mój panie-- odparł przewodnik — oto główna przyczyna nieszczęść naszych.

Fernan Caballero we wszystkich zarysach oddaje najwierniéj charakter ludu hiszpańskiego; znać, że zajrzał głęboko w jego serce i zbadał w niém wszelkie odcienia. Lud hiszpański posiada w najwyższym stopniu uczucie tradycyjne; wspomnienia jego dziejowe zamienione w legendy, krążą przy wszystkich ogniskach: w tém leży źródło owéj jedności moralnéj, która od wieków cechowała społeczeństwo hiszpańskie. Dlatego w tém społeczeństwie mogą być różnice położenia i majątku bez różnicy uczuć i instynktów narodowych. Tak w ubogiéj chacie jak w pałacu, tak u maluczkich jak i u wielkich znajdujemy też same zwyczaje i obyczaje zrodzone z ducha jednolitego, a ów instynkt równości moralnéj cechuje charakter ludu szczególném piętnem swobody. Ten rys wspólny jest niemal wszystkim Hiszpanom, ale w mieszkańcach Andaluzyi staje się tém wydatniejszym, dzięki bujnéj wyobraźni południowéj. Andaluzyjczyk nie wątpi nigdy o sobie, dumny

jest i w szczególny sposób okazuje niekiedy tę dumę. Zobaczmy oto w powieści *Elia* owego oślarza, który przewozi zasoby żywności podczas wycieczki na wieś znanego nam towarzystwa: okłada on niemiłosiernie kijem swego osła, a dobra *Assistenta* lituje się nad biedném zwierzem. — Ba! odrzecze na to oślarz, gdyby się urodził biskupem, dawałby nam błogosławieństwo.

— Ale ja nie chcę, żeby się tak obchodzić z bydlęciem— rzecze *Assistenta* żywo;— rzuć ten kij natychmiast, albo idź sobie precz, obejdziemy się bez ciebie. Oślarz nic nie mówiąc zaczął zdejmować ładunek.

— Sennora— rzecze przewodnik— ten biedak ma sześcioro dzieci; szkoda byłaby pozbawiać go całodziennego zarobku.

— Dobrze, niech więc jedzie — odpowié *Assistenta*, —ale niech porzuci kij.

— Mignelu— rzekł wtedy przewodnik— włóż ładunek na osła; Sennora tego żąda.

—Alboż to ja jeden na świecie,— odrzecze oślarz— niech sobie czeka do sądnego dnia; kiedy mi raz kazała iść precz, to sobie i pójdę: mamże czekać powtórzenia rozkazu? Zarabiam na chléb uczciwie, a nie, to się obchodzę bez niego. To mówiąc, wsiadł na osła, zaciął go i znikł na zakręcie drogi.

— Czy kto widział podobnego szaleńca— rzekła *Assistenta*.

— Duma andaluzyjska — odparł Delgado — biédny jak Hiob, a pyszny jak Tarkwiniusz!

— Pomimo, że nie czytał waszego *społecznego kontraktu* i nie słuchał waszych rozpraw o *godności człowieka*—rzekła hrabina Palma z uśmiechem. Tak jest: to są książęce dusze pod siermięgą.

—Biedny jak Hiob—mówił Delgado — i słusznie. Andaluzyjczyk w rzeczy saméj zazwyczaj jest ubogi; pracuje mało, ale téż wstrzemięźliwy z natury nie wiele ma potrzeb: kawałkiem chleba i pomarańczą może opędzić głód na cały dzień; a gdy ciepły promień słońca przyświeca mu nad głową, czuje się wesół i szczęśliwy i pociesza się w ubóstwie, powtarzając: że *zysk* i *honor* nie dają się schować w jeden worek.

Chłopek hiszpański maleńkim zarobkiem dziennym, opędzić może potrzeby rodziny; żyje czém Bóg da, a jednak z dumą przywdziewa ubior narodowy, który stanowi całe jego bogactwo. Jestto lud materyalnie nędzny, a moralnie arystokratyczny; nie dba on o konieczne potrzeby, a ma upodobanie w zbytkach i uciechach życia: lubi tańce i pieśni. Brak mu nieraz czasu do pracy, a ma go dostatkiem na ulubione rozrywki: biegnie skwapliwie z kościoła na zabawę, z processyi na walkę byków; obojętny na niedostatek, bogaty wyobraźnią i uczuciem, umie zawsze postawić się wyżéj nad położenie swoje.

To téż lud andaluzyjski przesiąkły jest na wskroś poezyą; każde przelotne wrażenie, każdą pamiątkę domową, każde uczucie przechowuje on w pieśni. Niektóre z nich osnute są na pobożnych legendach, inne mają za przedmiot historye słynnych bandytów lub téż ułamki odwiecznych tradycyj miejscowych; najwięcéj z nich jednak opiewa miłość w barwach świetnych i pełnych życia. Według pieśni, Andaluzyanka ma słońce w źrenicach, zorzę w uśmiechu, a raj w miłości.

Wieczorem w pięknéj dolinie, jak naprzykład w *Val de Paz*, tak poetycznie opisanéj przez Fernana Caballero, wsród spokojnéj ciszy wiejskiéj, głos wdzięczny daje się słyszéć nagle i powtarza pieśń, w któréj młodzian tak wysławia wdzięki ukochanéj.

— Twoje czoło, to ogród warowny, gdzie zwycięzka miłość zatknęła swoję chorągiew; twoje oczy podobne do zorzy porannéj, blask ich łagodnieje przy srebrnym promieniu księżyca; twój nos ostry jak koniec szpady, przebija wszystkie serca; twa okrągła broda ma tak wdzięczny dołek w pośrodku, że radbym umrzéć, aby mnie tam pochowano; twa kibić, o dziewczyno, podobna do palmy, przechodzącéj wdziękiem wszystkie drzewa; twe stopy tak dumnie depczą ziemię, że gdziekolwiek stąpisz, róża rozkwita za twym śladem: takie twoje rysy, o dziewczyno, niechże teraz przyjdzie piękny maj i umaluje twe jagody.

Godnym uwagi przedmiotem jest duch katolicki, który przeniknął wskroś charakter ludu i wrosł w życie jego społeczne. Katolicyzm w Hiszpanii, a szczególniéj w Andaluzyi, nie jest samym tylko zbiorem dogmatów religijnych,

ale jest treścią i zasadą życia; leży on w obyczajach, w sposobie widzenia, w uczuciu, objawia się w pieszczotach matki z dzieckiem, w stosunkach ludzi z sobą, w zwyczajach rodzinnych, a nawet i w zabawie: wniknął, że tak powiem, w krew i ciało ludu. Gdy w *rodzinie Alwareda* młody Wentura, powróciwszy ze służby wojskowéj, opowiada, jak jeden z towarzyszów jego jeździł na Północ z Markizem de la Romana do kraju, gdzie lud nie igra wprawdzie z nożem, ale gdzie śnieg zaściela ziemię, gdzie rolnik karmi się czarnym chlebem, mlekiem i kartoflami, gdzie nie ma braci zakonników, gdzie wreszcie w ubogich i nielicznych kościołach brak kaplic, ołtarzy i obrazów świętych; na te słowa wszyscy słuchacze zrazu oniemieli z podziwienia, a potém jęli dziękować Bogu z uczuciem radości najżywszéj, że ich chronił od chłodnego nieba i chłodniejszéj jeszcze herezyi. „O moje złote słonko! mój ty biały chlebie! mój kościele, moja Panienko Przenajświętsza, moja ziemio, moja wiaro i mój Boże!—zawołała stara Marya—jakżem szczęśliwa, że tu mogę żyć i umierać! Dzięki Bogu, żeś nie poszedł synu do téj ziemi bezbożnéj"...

Znana jest powszechnie okazałość w zewnętrznych obrzędach religijnych, zachowywana w Hiszpanii: obrzęd Passyi jest dokładnym dramatem; podczas processyi Bożego Ciała, dotąd jeszcze odbywają się właściwe igrzyska. Bogata wyobraźnia ludu umié wszystko ożywić, i każde wspomnienie religijne otoczyć dziwnie poetycznym urokiem. Dlaczego, naprzykład, lud z pomiędzy wszystkich roślin szczególniéj umiłował rozmaryn, i czemu rozmaryn najbujniéj krzewi się u biédnego ludu? Otóż podanie mówi, że na téj krzewinie Najświętsza Panna rozwiesiła pieluszki Dzieciątka Bożego, i ztądto rozmaryn został uświęcony na wieki. Czemu lud czci i szanuje jaskółkę, i uważa ją jako zwiastunkę szczęścia? Oto dlatego, że ta ptaszyna odłamała kolec cierniowy z korony Ukrzyżowanego Zbawiciela. Sowa należała niegdyś do cudnie śpiewających ptaków, ale była obecną w chwili skonu Pańskiego i odtąd oniemiała z boleści, a raczéj powtarza tylko krzyk żałosny, w którym lud andaluzyjski słyszy wyraźnie: cruz, cruz! krzyż, krzyż! U stóp krzyża wyrastał piękny krzak róży białéj, ale padła nań kropla krwi Jezusowéj, i odtąd róża zamieniła się

w kwiat męki (flos passionis). Takich legend nieskończona jest liczba; lud z upodobaniem powtarza je przy domowém ognisku.

Katolicyzm odbił się niemniéj w wielu zwyczajach narodowych. Z myśli religijnéj, mówi Fernan Caballero, powstała tradycya, która wymaga, aby zegar na wieży pałacu sądowego w Sewilli spóźniał się o dziesiąt minut, i tym sposobem dał skazanym chwilę czasu na serdeczną skruchę za grzechy.

Katolicyzm w sercu Hiszpana nie zaciéra się niczém; bandyta nawet mieni się katolikiem i jest nim po swojemu: przewódzca rabusiów Dyego plądruje kościół w Alkala, a jednak gdy nikt go nie widzi, odkrywa głowę przed krzyżem. Nigdzie te sprzeczności, cechujące charakter hiszpański, nie są tak wybornie oddane, jak w powieści Fernana Caballero p. t. *Ex volo*. Podczas gdy w cichą noc majową słychać zaledwie niewyraźny szmer liści, gdy morze patrzy w szeroką przestrzeń nieba, jakby chciało naśladować jego spokój, w małéj wiosce na uboczu widzimy gospodę, zwyczajny przytułek włóczęgów i zbiegów, słowem, ludzi bez ogniska, dachu, nie związanych żadnym węzłem społecznym. W ciężkiéj atmosferze tego ohydnego miejsca, połyska czerwone światełko; gospodarz, przypominając gościom aby się nie opóźniali, wciąż przyśpiewuje te słowa: „Wchodzimy, pijemy, płacimy i precz odchodzimy". Między innemi są tam dwaj ludzie: galernik i zbieg wojskowy; czekają oni na trzeciego kontrabandzistę, który wkrótce przybywa. Rozmowa ożywia się między niemi. „Kładę w zakład głowę—rzecze ostatni—że żaden z was nie uczyniłby tego, co ja zamierzam.... wyszedłszy ztąd zabiję piérwszego człowieka, który mi się nawinie; nie podstępem, ale w godziwy sposób, oko w oko: niechaj się broni jak może!

— I pocóż kłócić świat nadaremnie – rzecze zbieg wojskowy.

— Alboż on to zrobi?—przerwał galernik—ot tak zwyczajnie gadanina; dzwon głośny a próżny, jak mówi przysłowie.

— Przez duszę mojéj nieboszki matki! — zawołał *baratero* (kontrabandzista) podnosząc rękę z gniewem— zobaczycie, czy to próżna gadanina!

I w chwili gdy podniósł rękę, osunął się z niéj rękaw od koszuli, i obecni ujrzeli po niżéj ramienia krzyż błękitny, wypalony prochem, jaki zwykle noszą marynarze.

— A! znać, że jesteś dobrym chrześcianinem—rzekł szyderczo galernik, patrząc na znak krzyża.

— Nie, ja nie jestem dobrym chrześcianinem—odparł baratero—ale też nie jestem takim jak ty bezbożnikiem. Nie uciekłem z galer maurytańskich, czy rozumiesz? Nie jestem heretykiem ani żydem, szanuję krzyż święty, wyssałem to z mlekiem mojéj matki. Niech Bóg strzeże jéj duszy, a niech djabeł porwie moją, jeśli nie zamknę gęby śmiałkowi, coby mi chciał w tém przeczyć.

To wszystko, cośmy przytoczyli dowodzi, że katolicyzm nie jest tylko religią dla Hiszpana, ale że się wszczepił w jego krew i przesiąknął na wskroś jego ducha; dlatego to ze wszystkich ludów, Hiszpan najmniéj byłby zdolnym zaprzeć się wiary swojéj. Takim jest lud w Andaluzyi: nieudolny do pracy, a pochopny do zabaw; ubogi, a nie łaknący chleba; prosty, a nie prostaczy; dumny i zuchwały, a nie grubiański; mało ważący swobody polityczne, a namiętnie przywiązany do praktycznéj swobody w obyczajach; głęboko przytém religijny i ożywiający wiarę swoją, siłą bogatéj i poetycznéj wyobraźni. Takim jest lud ten w rzeczywistości, takim też przedstawia się w powieściach Fernana Caballero.

Wprawdzie wiele cech charakterystycznych zaciera sie z każdym dniem w społeczeństwie hiszpańskiém, które pomału zmienia także oblicze swoje. Nowe charaktery ukazują się już w lekkich zarysach, a jednak przeszłość z całą potęgą żyje dotąd w duszy każdego Hiszpana.

W obyczajach spostrzegamy tysiączne ślady dawnego życia i dawnych wierzeń, równie jak na téj ziemi historycznéj spotykamy co chwila szczątki dawnych wieżyc maurytańskich, starych klasztorów i pustelni. Gruzy te nie mają życia w sobie; pomniki przybrały nowe kształty, stosownie do nowych przeznaczeń: klasztor stał się więzieniem; wieża donny Maryi z Padilla, stanowiąca niegdyś część katedry sewilskiéj, przeszła dziś w obce ręce i bieli się obrzucona wapnem; zamek Mnesto, przy bramie Panny Maryi, ten olbrzymi szkielet osadzony na stopach fenickich,

z korpusem rzymskim, głową maurytańską i hiszpańskiemi ramiony, zamek Mnesto stał się dziś siedzibą spokojnych mieszkańców, którzy hodują warzywa w miejscu, gdzie Maurowie mieli niegdyś słynną zbrojownię. Te gruzy przecież dotąd istnieją; mają swoje legendy, i podania (które lud zapamiętał), stanowią wydatną część krajobrazu.

Ta właśnie sprzeczność między przeszłością a czasem obecnym, ta żywotność tradycyi w pośród objawów nowego życia, otacza Hiszpanią urokiem prawdziwie poetycznym, który silnie odbija w romansach Fernana Caballero. Powieściopisarz hiszpański wyraża tę walkę w powieści *Gaviota*, stawiając nam przed oczy dwa pomniki: klasztor w Villamar i twierdzę San Christobal; dwa obrazy przeszłości, dwie ruiny uosobnione niejako, wchodzące czynnie do powieści. Klasztor Villamar stoi na wyniesieniu ponad morzem; jestto jeden z tych obszernych i bogatych monasterów, w których niegdyś ukrywały się prawdziwe cuda sztuki. Dziś mury jego puste i nagie. Dzwonnica bez dzwonów wznosi się jak martwy olbrzym z zagasłemi i wydartemi oczyma. Wprost wnijścia jest krzyż biały marmurowy, pochylony na roztrzaskanéj podstawie. Wewnątrz wszystko szczerniałe od ..ochu i pleśni, ołtarze ogołocone z ozdób, lampy srebrne poznikały bez śladu, przez potłuczone szyby wlatują chmary sów i kruków, które ścielą gniazda w załomach starych sklepień. Gdy burzono klasztory, uboga rodzina wieśniaków osiadła w tych zwaliskach, i strzeże jo od ostatecznego upadku. Naprzeciw klasztoru Villamar sterczą poważne mury San Christobal, odwiecznéj twierdzy zbudowanéj na skale, „szkielet zamku, w którym legiony jaszczurek jedyną dziś stanowią załogę".

Dwie postacie w powieści są, że tak powiem, uosobieniem tych zwalisk, i wyrażają odwieczne ich przeznaczenie: klasztor ma brata Gabryela, forteca komendanta don Modesto Guerrero; są to dwie najpiękniejsze postacie, jakie wyszły z pod pióra Fernana Caballero.

W czasach gdy rozpędzono zgromadzenia zakonne, stary braciszek laik usiadł pod marmurowym krzyżem obok drzwi kościelnych i płakał—byłto brat Gabryel.

— Czy nie idziesz z nami?—zapytano.

— A gdzież mam iść—odparł brat Gabryel—nigdy w życiu nie przeszedłem obrębu tych murów, gdzie mnie podjęto dzieckiem i wychowano sierotę. Nie znam nikogo na świecie, umiem tylko uprawiać ogród klasztorny. I gdzieżbym poszedł? cóżbym robił? Ja tylko tu żyć mogę.

Wówczasto rodzina wieśniaków, która miała straż nad klasztorem, powiedziała mu, aby został; od téj chwili, mieszkał z biédnemi ludźmi, uprawiał ogród jak dawniéj i przyrosł do starych murów, jakby gałązka bluszczu.

Brat Gabryel mało zazwyczaj mówił, powtarzał tylko to, co mówiła stara Marya, matka rodziny, która się nim opiekowała. „Należał on, mówi autor, do téj wybornéj klassy ubogich w duchu, którzy zarówno ubodzy są w słowa: skupiał sam w sobie swój cichy żal, swe jednostajne wspomnienia i myśli".

Stara Marya mówiła o nim, że krew nie biegnie w jego żyłach, tylko lezie pomału. Brat Gabryel żył w oczekiwaniu dnia, w którym bracia powrócą w te mury, a dzwony zabrzmią donośnie z téj dzwonnicy.

Don Modesto Guerrero, to także postać z innych czasów. Był on synem rolnika, bił się niegdyś na wojnie i wysłużył sobie wyższy stopień, poczém mianowano go komendantem staréj twierdzy San Christobal, któréj strzegł od lat cztérdziestu. Modesto Guerrero widzi z bolem serca walące się w gruzy mury swéj cytadelli. Pisze nieustannie do rządu, błagając o naprawę szańców, o armaty, o załogę, a rząd od cztérdziestu lat nie odpisuje mu ani słowa. Biédny don Modesto wcale nie pobiera żołdu, ztąd téż i mundur jego rozlata się w kawałki. Oddawna nie widział innego srebra nad to, które błyszczy na rękojeści jego szpady. Zresztą don Modesto żyje w zupełném poddaniu ducha, a bez dumy; wszyscy sąsiedzi witają go ze czcią i po przyjacielsku, zowiąc go komendantem, i zaopatrują go w wszelkie potrzeby życia. Modesto Guerrero przywykł do poufałéj zażyłości ze starą panną, kwaśną, suchą i przesadzenie nabożną, zwaną Rosa. Zowią ich w całéj wsi *Furris dadicari rosa mistica*. Don Modesto niekiedy żartuje sobie niewinnie z brata Gabryela i wyrzuca mu, że nie należy do kościoła wojującego. Słowem, ci dwaj ludzie, brat Gabryel i don Modesto Guerrero, i te dwie ruiny, klasztor

Willamar i forteca San Christobal są wydatném uosobieniem staréj Hiszpanii religijnéj i wojowniczéj, w obec nowych żywiołów napływających z zewnątrz.

Pod cieniem tych ruin Fernan Caballero zawiązał delikatną lecz śmiałą ręką węzeł najoryginalniejszego dramatu *Gaviota*. Sam krajobraz otaczający stary klasztor i starą fortecę, ma postać pełną życia i barwy. Jestto zakąt ziemi, ponad morzem, w hrabstwie Neblia. Stanąwszy u stóp klasztoru, widzimy przed sobą obszar rozległy i jednostajny.

„Na prawo morze bez granic, na lewo łąka niedościgniona okiem; w pośrodku na jasném tle widnokręgu rysują się ciemne zwaliska fortecy San Christobal, niby postać olbrzyma w pośród nieskończoności. Morze nie wzruszone najlżejszym powiewem kołysało się miękko, unosząc pomału swe fale zrumienione słońca odblaskiem, jak królowa w monarszéj purpurze. Klasztor szczątkami surowéj ostrołuczastéj architektury, odpowiadał zgodnie temu poważnemu krajobrazowi. Mury jego przysłaniały jedyny punkt widnokręgu, stanowiący sprzeczność z tym jednostajnym widokiem.

Tam kryła się wieś Willamar, położona ponad maleńką rzeczką bystrą i pełną wody w zimie, a dziwnie ubogą i osuszoną latem. Okolica przedstawiała z daleka obraz szachownicy, a każdy kwadrat inną odbijał zielonością: tu złoto-zielona barwa winnicy jeszcze pokrytéj liściem, tam pole oliwne popielato-zielone; tu szmaragdowy łan oziminy, która bujnie zeszła pod wpływem ciepłych jesiennych deszczów; tu znów ciemno-zielone massy fig: a wszystkie te pola poprzedzielane błękitno-zielonemi żywopłotami z aloesu. Przy ujściu rzeki krążyło kilka rybackich łodzi. Na poblizkiém wzgórzu stała kapliczka, a przed tą kapliczką wielki krzyż wznosił się na podstawie, podobnéj kształtem do piramidy. Daléj ciągnęła się przestrzeń, pokryta czarnemi krzyżykami—byłto cmentarz wiejski. Na krzyżu, przed wizerunkiem Zbawiciela wisiała lampka płonąca nieustannie: i ten krzyż, godło zbawienia, służył niemniéj za latarnię morską żeglarzom".

W owém tu miejscu żyją, grupują się i poruszają osoby, nacechowane szczególną barwą życia i prawdy: brat

Gabryel i Modesto Guerrero, stary Santalo, rybak kataloński, niezmordowany w pracy, człek dobry mimo pozornéj rubaszności; Doloris, żona rolnika, który strzeże klasztoru; Momo, mały szatanek andaluzyjski, dowcipny i nielitościwy szyderca; Niemiec Fryderyk Stejn, młody chirurg, który służył w wojnie nowarskiéj, a potém osiadł w Willamar. Ale z pośród tych wszystkich osób, najbardziéj uderza, tak ze względu psychologicznego jak moralnego, główna bohaterka powieści Marisalada, przezwana Gaviotą (Mewą).

Dnia jednego, książę d'Almansa zraniony na łowach pod Willamar, przechadza się nad brzegiem morza z chirurgiem Stejnem, który pielęgnował go w chorobie; gdy wtém nagle daje się słyszéć głos wdzięczny i czysty, cudownéj piękności i siły: „Są tu jak widzę syreny w morzu albo aniołowie w powietrzu—rzecze książę". Byłato Marisalada, córka rybaka Santalo.

Z głosem cudownym niby zbłąkanym z nieba, Marisalada, jestto dziwna i niepojęta istota, pełna sprzeczności i tajemnicy, zarazem antypatyczna i zachwycająca, jak sfinx w ludzkiéj postaci. Chorobliwa z natury, z trudnością się rozwija. Czy ona piękna? nikt tego nie wié; twarz jéj blada i śniada, wzrok jéj ma wyraz szczególny. Pod względem moralnym jestto zbiór najrozmaitszych żywiołów, a może i sprzeczności. Marisalada jest zarazem zimna a gwałtowna, obojętna a zapalczywa, sroga aż do okrucieństwa, wyniosła a jednak zdolna niewolniczéj uległości, fantastyczna a pospolita, nieudolna a namiętna, dzika i niespokojna, podoba sobie nadewszystko w samotności.

Niekiedy dostrzedz w niéj można jakiś połysk instynktowy, podnoszący ją nad stan; lecz ten niebawem gaśnie, i wtrąca ją znowu w gruby materyalizm. W gruncie jestto jedna z tych kobiét pospolitych, które mogą posiadać dar uprzywilejowany, piękność albo talent, a które jednak nie zdołają się podnieść do moralnéj szlachetności.

Niechże taka istota postawioną będzie w obec dziwnych życia kolei, niech powierzchowna ogłada okrzesze ją z wrodzonego grubiaństwa, niech ją głos czarodziejski poprowadzi na deski teatralne Sewilli i Madrytu, niech jéj da sławę i mienie; nigdy ona nie zdoła się utrzymać na wysokości położenia swego, wrodzone skłonności wyjdą na jaw i wezmą górę nad nią.

Gdy dobry Stein, młody i rozmarzony Niemiec, który pielęgnował Marisaladę w chorobie, który wyuczył ją muzyki, gdy ten młody zapaleniec przywiązuje się mocno do téj dziwacznéj istoty—ona nie pojmuje bynajmniéj jego czystego i poważnego uczucia. W jéj mniemaniu chirurg zastary, ma bowiem lat trzydzieści. Podczas gdy chodząc z nią nad brzegiem morza przy blasku zachodnich promieni, Stejn usiłuje naiwnie wtajemniczyć Gaviotę w piękności poezyi niemieckiéj i pragnie ją zbadać, czyli go zawsze kochać będzie, czy nie zapłaci mu zdradą: Marisalada słucha go ze znużeniem, zamiast odpowiedzi kreśli niedbale na piasku: „zawsze! nigdy!“ a fale morskie zacierają owe słowa, jakby szydzić chciały z potęgi czasu, który niemniéj zaciera w sercach to, co miało być w nich nieśmiertelném. „Tak, on mnie kocha, mówi sama do siebie, wiedziałam o tém, ale kocha mnie jak brat Gabryel kocha ciotkę Maryą, tak, jak kochają się starzy. Chce mnie poślubić jak Don Modesto chce poślubić swoją Rosę”.

Przyrzeka jednak oddać rękę chirurgowi niemieckiemu, nie z miłości, ale skutkiem chorobliwego znużenia, przez które przebija tajemne pragnienie życia i wrażeń.

Pomimo że wybiega za obręb zwykłéj sfery, gdy została żoną Stejna, gdy z Willamar dostaje się do Sewilli i Madrytu, gdzie ją czeka wziętość i sława; gdy świat obsypuje ją złotem i poklaskami, pociągając ją gwałtem na wyższe stanowisko: Marisalada jednak pozostaje zawsze sama z sobą.

Ponieważ ma głos czarodziejski, wydoskonalony jeszcze tajemnicami sztuki, śpiewa cudownie *Casta diva*; ale w pieśni andaluzyjskiéj tylko, z całą swobodą wyraża ową niebezpieczną a gwałtowną namiętność, właściwą krwi południowéj. Gdy wchodzi w świat, na zapytania, jak znajduje Sewillę? „dosyć dobrze“ odpowiada: „Jak się pani wydaje katedra”? „Zawielka”. „A nasze przechadzki? „Za małe”. „I cóż się pani najlepiéj podoba”? „Walki byków”.

I jakiż człowiek opanuje tę zagadkową istotę? Oto pogromca byków Pepe Vera, podobny do niéj usposobieniem i skłonnościami: patrzmy, jak autor opowiada pierwsze ich spotkanie.

„Marya schodziła ze sceny przy grzmocie oklasków, gdy się spotkała oko w oko z Pepe Vera i kilku młodemi ludźmi z Sewilli. „Błogosławione niech będzie, zawołał sławny *Torero*, to gardło kryształowe, na którego cudowne dźwięki, wszystkie słowiki tutejszych gajów oniemieją z zazdrości.“ I to mówiąc, rzucił jéj płaszcz swój pod stopy.

— Błogosławione te oczy—dodał drugi—które więcéj zranią serc chrześciańskich, niż wszystkie sztylety Albaceta.

Marya przeszła śmiała i pogardliwa jak zawsze.

— Nie spojrzała nawet na nas—rzekł Pepe Vera—widzicie ją? Król choć jest królem, patrzy jednak na kota. Zapewne, to piękna dziewczyna; lubo....

— Lubo co?—przerwał jeden z towarzyszów.

— Lubo trochę kulawa—rzekł Pepe Vera.

Słysząc te słowa Marya, wzdrygnęła się mimowoli i spojrzała na młodych ludzi zdumionemi oczyma. Wszyscy rozśmiali się, a Pepe Vera zasłał jéj ręką pocałunek. Marya zrozumiała, że złośliwém słowem Torero chciał zwrócić jéj uwagę. Uśmiechnęła się lekko i odeszła, upuszczając chustkę na ziemię; Pepe Vera podniósł ją i pobiegł za śpiewaczką, chcąc niby oddać jéj zgubę.

— Przyniosę ją dziś wieczorem do kraty balkonu twego—rzekł prędko cichym głosem.

O północy Marya wybiegła potajemnie z sypialni i pospieszyła na balkon.

Odtąd zaczyna się dla Gavioty dziwne życie, zgodne zupełnie z jéj usposobieniem. Nadaremnie Stejn otacza ją tkliwą opieką; książę d'Almansa, który się w niéj pokochał, daremnie skłania ją do podnioślejszych uczuć: Gaviota zna tylko jednego pana nad sobą, skłania się niewolniczo pod jarzmo Pepe Vera, człowieka zupełnie do niéj podobnego, lecz przechodzącego ją prostactwem i siłą. Jeżeli Pepe Vera nie chce, aby śpiewała w teatrze, ona śpiewać nie będzie: mimo że chora, pójdzie na walkę byków, bo tam kochanek naraża własne życie. Cóż się dzieje w końcu? Oto Stejn odkrywa miłość żony i jedzie do Hawanny. Książę d'Almansa przestaje się zajmować tą kapryśną istotą: Pepe Vera pada w pośród walki. Marisalada przejęta rozpaczą, traci głos, i ta gwiazda, ta królowa teatru gaśnie w mgnieniu oka. Ale idźmy w kilka

lat potém do Villamar: tam w sklepie balwierza zobaczymy kobietę bladą i wychudłą, każdy ruch jéj dumny i szorstki, włosy źle wyczesane, głos ostry i chrapliwy: to Marisalada, żona balwierza; wkoło niéj snuje się dwoje dzieci. Rzecz poprowadzona logicznie. Gaviota miała tylko cudny głos, ale brakło jéj duszy: ani dobroć serca Stejna, ani wdzięk arystokratyczny księcia d'Almansa, ani cała potęga sztuki nie mogły przemówić do jéj natury prostaczéj, nie dającéj się nagiąć do przyjęcia wyższych moralnych wpływów. Głos jedyném był jéj bogactwem: gdy go straciła, zeszła z piedestału i została żoną balwierza Ramona Perez. I cóż przez ten czas stało się z innemi osobami romansu? Stary Santalo ojciec Marisalady umarł; stara Marya, która mieszkała w klasztorze umarła także; don Modesto Guerrero bardziéj niż kiedy przyrósł do murów twierdzy San Christobal. A brat Gabryel? „Biedny brat Gabryel, mówi don Modesto, w każdy piątek pielgrzymował do kaplicy Chrystusa Pana, błagając o śmierć szczęśliwą. I spotkałem go jednego piątku porankiem klęczącego przed kratą kaplicy z głową ku ziemi pochyloną. Zawołałem, lecz nic nie odpowiedział; zbliżyłem się i spostrzegłem, że umarł tak, jak żył w samotności i milczeniu. Biedny bracie Gabryelu! dodał komendant, tyś umarł i nie widziałeś podźwigniętych murów klasztoru: Ja także umrę i nie zobaczę odbudowanéj méj fortecy"!

Po nad tym psychologicznym dramatem Fernan Caballero ukazał w przenośni inny dramat ogarniający losy Hiszpanii, które uosobił w dwóch ruinach, rysujących się jeszcze na widnokręgu.

Hiszpania więc w dziwnie wyjątkowém położeniu, w jakiém żyje oddawna, znalazła nakoniec historyka prawdziwego, pełnego wdzięku i uczucia, a nadewszystko samodzielnego, który ją maluje wiernie, umiejąc pochwycić i oddać wszystkie sprzeczne odcienia, tak właściwe w stanie powszechnego przewrotu. Ze wszystkich osób ożywionych piórem Fernana Caballero, te szczególnym odznaczają się wdziękiem i prawdą, które noszą na czole odblask przeszłości. Miłość tradycyj główną stanowi cechę hiszpańskiego powieściopisarza. Życie obecne przeciwnie, maluje najczęściéj humorystycznie i szyderczo. Weźmy oto na

porbę obraz jednego z tak zwanych *znakomitych* ludzi obecnych. „Don Andreas Peralta, mówi autor, usunął się ze służby, kupił dobra ziemskie i poświęcił się rozlicznym przedsiębierstwom, szczególniéj zaś burzeniu klasztorów, z których kosztowne szczątki sprzedawał za bezcen; był alkadem (sędzią), obecnie jest deputowanym z prowincyi: słowem, stał się *znakomitością*, typem dzisiejszego obywatela, hojnym szafarzem brzmiących słów, gorliwym apostołem moralności i filantropii, zaciętym wrogiem zabobonów, arcykapłanem *świętéj rzeczywistości* (du St. Positef), zręcznym budownikiem własnego piedestału. Nic nie brakło temu Salomonowi sądów pojednawczych, temu Demostenesowi towarzystwa nowo zawiązanego w celu kopania kanału, nad którym prace były już daleko posunięte; brakło tylko wody do napełnienia przekopu i pieniędzy do otwarcia żeglugi".

Portret może być wiernym lubo nie pochlebny: a potém Fernan Caballero mówi sam, że maluje człowieka nie epokę. Wreszcie miłość przeszłości, która nadaje twórcze natchnienie autorowi, krępuje może pogląd jego na nieuchronny bieg obecnych wypadków.

Hiszpania jest dziś obszernem polem proby: są tam ludzie zwróceni wyłącznie do przeszłości, którzy mają nienawiść do wszystkiego, co nowe i cudzoziemskie; są inni, którzy okazują pozorną wzgardę ku wszelkiéj tradycyi narodowéj, a którzy tak w wyobrażenia jak i w obyczaje wprowadzają liczne kaprysy mody zagranicznéj; są nakoniec szczerzy miłośnicy dawnych czasów, wolni jednakże od ułudy, którzy pojmują wielkie wypadki spełniające się w świecie obecnym, a nie poddają się jednak niewolniczo obcym wyrażeniom. Ci pragną, aby Hiszpania oświecała się sama przez się, aby zbadała własne siły; czerpała natchnienie do czynów z ducha czysto narodowego i aby nie stawiając zapory niewzruszonym prawom postępu, stosowała mające nastąpić przemiany do miary swego geniuszu i własnych obyczajów. Na tém zapewne opiera się zdrowa polityka jedyna, jaka może przeprowadzić Hiszpanią przez obecne szkopuły. Ta myśl społeczna żywo uwydatnioną jest w romansach Fernana Caballero.

KRONIKA LITERACKA.

Kilka uwag nad wywodem historycznym niektórych artykułów Statutu Wiślickiego.

W jedném z czasopism naszych czytaliśmy niedawno list autora Ksiąg Bibliograficznych, w którym stara się osłabić zarzuty, jakie hypotezom jego o tworzeniu się artykułów statutu Kazimierza W. poczynił p. Helcel w swém dziele pod tytułem: „*Starodawne prawa polskiego pomniki*". Dowody szanownego historyka wydały mi się niezbyt ścisłemi, i to mnie skłania do przesłania redakcyi Biblioteki kilku w tym przedmiocie uwag, które zechce w swém piśmie zamieścić.

Poważny nestor naszych dziejopisarzy, opierając się na podaniu Długosza (VI. 660), który opowiada o zniesionych przez Henryka Brodatego opłatach „*pomocne, virginale* i *viduale*", przypuszczał, iż niektóre artykuły Wiślickiego Statutu, a mianowicie też ów, który mówi o zniesieniu opłaty sądowéj, zwanéj *treszczne* (zwodu Helcla art. XLVI, str. 86), jest zabytkiem prawodawczych zabiegów tego księcia, a co najpóźniéj pochodzić może z czasów Łokietka. Walcząc przeciw téj hypotezie, uczony krakowski słusznie przytoczył, że wzmianki, jakie o istnieniu *treszcznego* posiadamy, są właśnie w nadaniach Henryka z lat 1208 i 1218, jedne z najpierwszych; że opłata owa w połowie XIII wieku była jeszcze w użyciu, a dopiéro z aktu Leszka Czarnego r. 1278 dowiadujemy się o zniesieniu jéj przez tego księcia (patrz Rzyszcz. Cod. dipl. II. 54 i 91). W ogóle p. Helcel nie wierzy w prawodawstwo Henryka Brodatego, i mniema (str. CVIII), że wszystko, co o niém Długosz opowia-

da, jest prostą a zupełnie błędną amplifikacyą kilku wyrażeń, w nadaniach i wyrokach tego księcia przezeń wyczytanych.

Pomimo tych argumentów, Lelewel nie opuszcza swych dawnych przypuszczeń, owszem, na ich poparcie szuka nowych dowodów. „Być może, powiada, mylnie nas Długosz na Brodatego naprowadza; przyznać jednak wypadnie, iż go jakiś wiatr zaleciał o rozporządzeniach zapadłych w czasach owych lub niedalekich, bo przedmioty rozporządzeń tych dobitnie wymienił i poszczególnił, a właśnie w owe czasy: Synod w Sieradziu 1262 roku poparł takowe, dekretując: *statuimus sub anathemate prohibentes nequaquam* dzewycze, wdowycze *et* pasterne *rapiantur*. A godzi się twierdzić, że synod o *dziewiczym* i *wdowim* nie byłby rzekł, gdyby wprzód nie było się odezwało civilne rozporządzenie". Wielka to jeszcze kwestya! Piérwsze uchwały, o jakich wiemy, zapadły na synodzie łęczyckim (1180); znoszą one *angaria*, ograniczają *podwody*, powstają przeciw zaborom puścizn po duchownych. O poprzedniéj jednakże w tym duchu ustawie świeckiéj nie słychać; przeciwnie Mieczysław Stary miał się kochać w zniesionych przez Sprawiedliwego służebnościach. Ani też ustawy łęczyckiéj za postanowienie świeckiéj władzy uważać nie można: obecność Kazimierza na synodzie nie wiele tu znaczy; duchowieństwu należy się zasługa piérwszego kroku (ku zabezpieczeniu się, od nadużyć laików).

Pominąwszy to nawet, nie podobna i tak przypuszczać, aby statut sieradzki 1262 r. był skutkiem zapatrzenia się duchowieństwa na istniejącą już ustawę świecką. Charakter jego nosi wyraźne cechy samoistnego działania księży, a jeśli już koniecznie widzieć w nim naśladownictwo, to pewnie nie żadnéj ustawy świeckiéj, ale raczéj uchwały łęczyckiéj (1180), która mogła stać się wzorem dla § 3 sieradzkiego, w ten sam sposób ograniczającego *podwody*. Owszem, postanowienia synodu jawnie są skierowane przeciwko świeckim książętom, urzędnikom, szlachcie. I tak: § 4 grozi klątwą pozywającemu kleryka przed sędziego świeckiego, równie jak temu ostatniemu, gdyby taką skargę przyjął; § 6 zastrzega uiszczanie dziesięcin *in gonythwam*, bez względu na jakibądź przeciwny temu zwyczaj lub przywiléj szlachty; § 7 nakazuje rzucenie interdyktu, jeżeliby książę zachowywał z klętym stosunki. Nakoniec § 5 zabrania uwalniać nowolokowane osady od dziesięciny *manipulatim in campo*, lub utrzymywać daléj osadzone już wsie na tém prawie, a ich właścicielom poleca układać się w ciągu dwóch miesięcy od ogłosze-

nia statutu z właścicielem dziesięciny. Tegoż przedmiotu dotyczą §§ 1 i 2. Owoż w tych postanowieniach nie widać naśladowania urządzeń władzy świeckiéj; przeciwnie, są one wewnętrzną dla stanu duchownego ustawą (1), zabezpieczającą własne jego interesa, a któréj potrzebę wskazywało gwałtowne wyrywanie się świeckich ludzi z powijaków kościoła. Statut więc jest niejako planem kampanii duchowieństwa, wskazuje cele, do których każdy kleryk winien dążyć dla dobra całego stanu. Zgodnie z tym ogólnym charakterem statutu i § 8 o *dziewiczem* i *wdowiczem* jest przepisem, mającym na widoku korzyść księży, i dlatego ani potrzebował, ani mógł szukać wzoru w zagadkowych rozporządzeniach Henryka Brodacza. Książę ten miał, wedle Długosza, znieść *pomocne dziewicze* i *wdowie;* tymczasem § 8 naszego statutu nie jest wcale zakazem pobierania *dziewiczego* i *wdowiego*, i nie do całego odnosi się kraju. Stosuje się on tylko do dziewek i wdów z dóbr duchownych, idących za mąż do wsi laika; a zamiast kasować, zabezpiecza od zaboru opłaty, jakie od tych kobiét należały się ich panu (t. j. klerykowi), a które to opłaty laicy nieprawnie dla siebie zagarniali. „*Ne quaquam dzewicze, wdowicze.... rapiantur*, niechaj dziewicze i wdowicze nie będzie wydzierane" (rozumie się panu, właścicielowi wsi). Gdyby zaś chodziło o zniesienie, o niepobieranie tych opłat, powiedzianoby pewnie „*ne percipiantur*" (2). Takie rozumienie nabierze zupełnego prawdopodobieństwa, jeśli zamiast nieznanego *pasternego*, czytać będziemy zgodnie z domysłem Helcla (str. 359, nota 11) „*pustcine*", puścizny po duchownych, które aby nie były zabierane, właśnie książa pragnęli (3).

(1) „Districte omnibus Episcopis precipimus", mówi § 7 Statutu. Patrz Helcel, str. 359.

(2) Nasze prawodawstwo kościelne wyraża się: *rapina*, *rapiantur*, o zaborze własności duchownéj przez laika. „*Pro rapinis decimarum ac damnis aliis*", mówi w r. 1358 Kazimierz W. w wyroku polubownym między Ziemowitem mazowieckim a biskupem poznańskim (Raczyń. Cod. dip. 116); *pro raptu decimae praedialis.... raptor.. excommunicetur*, stanowi arcybiskup Jarosław 1361 roku (art. I, Jus Polon. p. 171).—Nigdy zaś *rapina* nie znaczy wymuszania opłat, choćby nawet skasowanych.

(3) Rozumienie *puścizny* zamiast *pasternego*, tem więcéj jest słusznem, że już synod łęczycki powstawał na zabór puścizn po zmarłych księżach; co jednak nie wyszło ze zwyczaju na początku jeszcze XIII wieku, jak widzimy z listu Innocentego III z r. 1208 (patrz Bosquetus, Innoc. III epist. lib. quatuor. p. 201).—I w tym więc punkcie uchwały łęczyckie byłyby wzorem dla sieradzkich.

Żeby zaś *pasterne*, opłata wedle Lelewela, na korzyść duchownych ustanowiona, przez nich samych było znoszone, i to jeszcze pod klątwą, nie sądzę (1). Takiéj abnegacyi duchowieństwo nasze z XIII wieku wcale nie dało dowodów.

Co do prawodawstwa Henryka Brodatego w ogóle, zdaje mi się, że istnienie jego bardzo jest wątpliwe. Do przekonywających w tym względzie dowodów p. Helcla, możnaby jeszcze dołączyć słowa bezimiennego autora księgi fundacyjnéj klasztoru Henrykowskiego: „erant facta eorum (Henryków Brodatego i Pobożnego) tam rata et stabilia, ut raro quisquam curaret de aliquo facto accipere privilegium" (Lib. fund. cl. Hen. p. 44). *A godzi się mniemać*, że książę, który nie wiele wydawał aktów na piśmie, mniejby się troszczył o spisanie swych postanowień, chociażby je wydawał. Zresztą pierwotny ustrój polskiego społeczeństwa trwał jeszcze za panowania Brodacza, a *facta ejus erant tam rata et stabilia*, że mniej koniecznem było wydawanie ustaw. Dopiéro ze śmiercią tego księcia rozpoczyna się zupełny przewrot dawnych stosunków prawnych; występują na scenę nowe pierwiastki, żywioły obce, co się przeciąga aż do końca XIII stulécia. Téj więc może epoce, a raczéj następującym po niéj czasom Łokietka i Kazimierza W. słuszniéj można przypisać reformy prawodawcze, niż spokojnym, pod względem społecznym, czasom Henryka.

„W tych téż czasach, postrzegam, mówi daléj Lelewel, *calumpnia* nie mało umysły zaprzątała.... stała się wyrazem pospolitym.... We wstępach aktów urzędowych, wyroków, przedaży.... oświadczano, że takowe pismem osłaniają od calumpnii, bo ta z czasem unieprawnić, prawu uwłaczać usiłuje". Krańcami jéj panowania, wedle niego, są lata 1250 i 1330; a znajdowanie się téj calumnii w niektórych artykułach Kazimierzowego statutu, służy mu za jeden z dowodów, że owe artykuły są dziełem XIII wieku. Lubo Lelewel sam przyznaje, że to najsłabsza z jego hypotez, nie zawadzi jednak nad nią się zastanowić.

(1) Już samo zagrożenie klątwą wskazuje, że artykuł ten nie ma na widoku duchownych, pobierających nieprawne opłaty; statuta bowiem w razie wykroczenia grożą klerykom usunięciem od obowiązków, utratą beneficyów lub prawa do posiadania onych. Klątwy czyli przymusu moralnego używał kościół względom osób, jak laicy, nad któremi nie miał świeckiéj władzy, których środkami fizycznemi nie był w stanie zmusić do zachowywania ustaw synodalnych.

Nasza średniowieczna łacińska terminologia prawna nie jest krajowego pochodzenia. Znaczna część duchowieństwa, jedynéj w owych czasach piśmiennéj klassy, składała się z cudzoziemców. Z większą jeszcze ścisłością da się to powiedzieć o pisarzach, notaryuszach i wszelkiego stopnia i nazwy skrybach w XIII stuleciu (1). Ci to właśnie redaktorowie dyplomatów przybywali do nas z Zachodu wyćwiczeni już dostatecznie w sztuce notaryalnéj, a we spisywane przez siebie akta wnosili formuły popłacające w rodzinnéj ich ziemi. Tych trzymał się zwykle notaryusz przez całe życie, tak, że czasem pewne wyrażenia, frazesa wyszły już na Zachodzie z mody, kiedy u nas najbardziéj się zagęszczały. Tak też się ma z calumnią. Począwszy od *leges barbarorum* i od *formuł Marculfa*, aż do roku 1192, a zapewne i późniéj spotykamy ją w całéj zachodniéj Europie (2). Znaczyła ona tam skargę, rozpoczęcie processu, pozew; calumniare—actionem intendere, calumniator—actor. Jeżeli przytém zwrócimy uwagę na to, że u nas calumnia wcześniéj niż Lelewel mniema, bo przed rokiem 1250 ukazuje się w aktach, a mianowicie w roku 1237 (3), to różnica czasu pomiędzy jéj panowaniem w krajach zachodnich a w Polsce, nie będzie tak znaczna: wyniesie prawie tyle, ile calumnia potrzebowała, aby do nas przywędrować. Zresztą uważmy, że wyraz *calumnia* nie jest wcale utworem średniowiecznym, tém trudniéj téż dopatrzyć w niéj cechę pewnego szczególnego stulecia. W Polsce duchowni mogli się dowiedzieć z biblii, jak szkodliwą jest calumnia: „Liberate vi oppressum de manu calumniatoris" (Jerem. 22. 42); z kroniki Wincentego Kadłubowicza przekonywano się, że sprawcy calumnii grozi sroga kara, a pierwszy lepszy notaryusz wyczytywał ją w listach Innocentego III (4). Trafiła zaś calumnia na bardzo dobre dla siebie czasy, gdyż zła wiara i pieniactwo

(1) Taki Mikołaj, notaryusz Henryka Brodatego, rodem z dyecezyi krakowskiéj (Lib. fund. claustri in Heinr. p. 2) jest rzadkim nader wyjątkiem.

(2) Ducange, *Glossarium*.

(3) „Ne processu temporis, nostra quam fecimus donatio *ulla possit perturbari calumnia*, adhibitione testium..... et sigilli mei impensione studui roborare," mówi r. 1237 Władysław Odonicz, wprawdzie nie we wstępie, lecz na zakończenie aktu (Raczyń. 19).

(4) Kadłubek, II. 21, wydan. Kownac.— Bosquetus l. c.— Że na listach papiezkich zaprawiali się w stylu notaryusze, że ztamtąd brali swoje wzory, liczne tego znajdujemy ślady. Tak r. 1234 Paweł biskup poznań-

było wtedy zagęszczone niesłychanie. „Z powodu nieświadomości prostaków, albo raczéj dla niegodziwego zuchwalstwa przeszkodników, *które teraz w naszych czasach szczególniéj się rozpowszechniło*, niniejszy akt opatrujemy pieczęcią"; mówi w r. 1256 Przemyśl wielkopolski (1); a brat jego Bolesław Pobożny wyznaje, „iż jest warunkiem ludzkiego istnienia wszystko przewrotnie rozumieć, a gorzéj jeszcze tłumaczyć, i że każdy pożąda bezprawnie rzeczy bliźniego" (2). Obyczaje więc wieku zapewniały calumnii gościnność, i ztąd to w aktach jéj panowanie. Nie można jéj wszakże przyznawać ważniejszego znaczenia; była wprawdzie ulubioném wyrażeniem, wyginała się rozmaicie w różnych frazesach, ale też na tém podobno koniec. Jeżeli notaryuszowi spodobał się jaki frazes lub nawet pojedynczy wyraz, używał go jak najczęściéj, nakręcał doń czasem umyślnie tok wyrażenia, aby go tylko umieścić. Weźmy np. wyraz *caducus*, a przekonamy się o téj skłonności do pewnych wyrazów. W akcie z roku 1236 czytamy: „Cum cuncta bona temporalia transitoria sint et *caduca*, dignum est et salubre etc." (Racz. Cod. p. 17); w akcie zaś 1246 r. czytamy: „Quum mundus *caducus* est et diversis cottidie variatur casibus, idcirco etc." (Racz. ibid. 28). W roku 1247 notaryusz powtarza wyrzeczone przed 11 laty słowa: „cum cuncta bona.... sind *caduca*" (ibid. 32); a w roku 1256 znowu: „quum mundus *caducus* est" (ibid. 42). Powody tego powtarzania zrozumiemy, wiedząc, że wszystkie cztéry powyższe akta zawierają nadania dla Paradyża. Dodajmy wreszcie, że obok calumnii było wiele innych wyrażeń, które równie często spotykamy, jak: *longitudo, longinquitas, processus, evolutio, vicissitudo* i *oblivio—temporis*, należą do najzwyklejszych. Spotykamy także między powodami spisania aktu: *error, dubium, humana* albo *labilis memoria, generatio praeterit et generatio advenit, multis incommodis prudenter occurrimus, mutabilitas, frivolis quaestio, ausus temerarius* i t. p. Wątpliwym byłby przeto wy-

ski mówi: o „palmites vitis fructiferae vineae domini Sabaoth" (Racz. p. 6), które to wyrażenie kilkakroć znajduje się w listach Innocentego, podobnie jak calumnia. U Kadlubka znowu. „verae vitis palmites" (I. 89.)

(1) „Propter ignorantiam inperitorum seu propter frivole obviantium proterviam, quae nunc nostris maxime insolevit temporibus" (Raczyń. p. 43.)

(2) „Cum proch dolor humanae conditionis sit, omnia sinistre intelligere et pejus interpretari et cum unusquisque rem proximi licet illicite concupiscat" (Racz. p. 53 i 55, akta z lat 1259 i 1260.)

wód opierający się na saméj calumnii, a nadto wypadałoby także objąć w nim i art. X statutu warteńskiego (Helcel, str. 314), który „ad praecludendum autem viam calumniis" w razie sprawy o własność dziedziny, dopuszcza do dowodu z przysięgi tego, przy kim jest posiadanie.

Tyle o calumnii w ogóle; przejdźmy teraz za Lelewelem do art. XL statutu piotrkowskiego (Jus Polon. str. 151, u Helcla art. 157 zwodu). Rozpoczyna się od słów „cum ex calumniis malignantium", a znosi sądy kasztelańskie. We wszystkich rękopisach zamieszczony jest pomiędzy artykułami wielkopolskiemi, w tłumaczeniu Świętosława opuszczony, a „naostatek ze zwodu wykurzony". Helcel (str. CLXXII) zalicza go do statutu piérwszego małopolskiego, jużto dla podobieństwa stylu z innemi artykułami, tam przez niego pomieszczonemi (mianowicie z powodu użytéj w nich figury stylu zwanéj Hypallage, czyli prostéj przekładni), już wreszcie dlatego, że w statucie wielkopolskim nie znajduje dlań miejsca: gdy bowiem w tym ostatnim nigdzie nie ma mowy „de calumniis", artykuł ze względu na treść, stać powinien pod rubryką „de judiciis", gdzie właśnie żaden kodex go nie mieści. Dowody to dość wątłe, skoro opierając się tylko na użytéj przekładni, obrotu wcale pospolitego, stają w sprzeczności ze wszystkiemi rękopisami. Lelewel też na wnioski p. Helcla nie zgadza się; owszem, ma ten artykuł za wielkopolski. Z jego samotnego położenia w zwodzie, z opuszczenia go u Świętosława i z ogólnikowego tłumaczenia 1503 roku, wnosi (mając także wzgląd na znalezioną w nim calumnią), że to jest ustawa przestarzała, dla pamiątki jedynie w statucie zapisana, ustawa, „która dla statutu piotrkowskiego 1347 już nieczesną była...., ponieważ czyni szczegółowe dla sądów kasztelańskich rozporządzenie, których Wielkopolska w powszechności mieć nie chciała i już onych nie miała". Przeciw temu ostatniemu mniemaniu walczą słowa Kazimierza W. w jedym z przywilejów wielkopolskich, z roku 1358, a więc późniejszym od wiślickiego wieca: „absolvimus.... ab omnibus judiciis et juridicionibus omnium palatinorum, *castellanorum*, judicium, subjudicum, ministerialium et quorumvis officialium nostri regni, ita quod coram ipsis.... nulli penitus respondebunt..." (Racz. l. c. p. 112—113). Widocznie Wielkopolska jeszcze w 1358 r. sądy kasztelańskie miała, skoro Kazimierz uważał za potrzebne wyłączać z pod nich miasto. Helcel znowu przyjmując art. 157 za małopolski, objaśnia, że on znosi ju-

ryzdykcyą tylko *drobnych* kasztelanów, którzy, wedle niego, wcześniéj w Małopolsce zniknęli, kiedy w Wielkopolsce, gdzie ich do cztérdziestu liczono, po większéj części dopiéro w XV wieku wygaśli. Wykład ten jest dowolny; gdyż art. 157 nie wyszczególnia wyraźnie *drobnych* kasztelanów, lecz w ogóle o kasztelanach mówi. Powtóre, drobne kasztelanie w Małopolsce były nieliczne w porównaniu z wielkopolskiemi, a ztąd wątpić można, aby spowodowały oddzielny artykuł; przeciwnie, do zbyt licznych, a więc zbyt uciążliwych w Wielkopolsce, da się on zastosować z wszelką łatwością, gdy mu jest motywem „destructio plurimorum", jakiéj drobne juryzdykcye stają się powodem. Po trzecie, uwaga, iż sądy kasztelańskie dopiéro w XV wieku w Wielkopolsce wygasły, nie może miéć tu wielkiego znaczenia, bo czemuż nie miały przed wygaśnięciem utracić juryzdykcyi sądowéj, co właśnie wygaśnięcie ich spowodować mogło i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa spowodowało. Nakoniec p. Helcel, gdy skrzętnie oblicza kasztelanie wielkopolskie, o małopolskich, które go przecież w jego wywodzie więcéj obchodzić były powinny, zaledwie ogólnikiem wspomina, i czasu ich wygaśnięcia bliżéj nie oznacza. Jeżeli one wcześniéj od wielkopolskich upadły, coby na początek XIV wieku przypaść mogło, to i art. 157, znoszący ich juryzdykcyą, do panowania Łokietka odnieśćby należało, na co się jednak p. Helcel pewnie nie zgodzi. Cały też ten wywód jego, oparty, jak się wyżéj rzekło, na obrotach stylu w art. 157 użytych, które za cechujące artykuły małopolskie uważa, wątpię aby się utrzymał. Lelewel myli się wprawdzie, mówiąc, że Wielkopolska podczas wiślickiego wieca, sądów kasztelańskich nie miała, ale słusznie powiada, że ich miéć nie chciała. Sądy kasztelańskie, sprawowane przez osoby z ramienia książąt mianowane, nie były miłe Polakom, nie zgadzały się z duchem prawodawstwa narodowego, którego warunkiem była kollegialność sądów, obieralność urzędników. Zdzierstwa tych sądów do reszty je Polakom mierziły, gdy z drugiéj strony, jako popierające powagę książąt, były przez tychże wzajem wspierane (1). Ztąd wywiązały się dwa wprost sobie przeciwne dążenia, a pod

(1) Kasztelanowie w swych okręgach byli organami władzy centralnéj. Książęta zawiadamiali ich okólnikiem o swoich rozporządzeniach: „significamus dilectioni vestrae," wiadomo czynimy waszéj miłości; tak się zwykle wyrażali (Raczyń. Cod. p. 13 i 27, akta z lat 1235 i 1245).

ich kolejnym wpływem to raz wygasły niektóre kasztelanie, to znowu mnożyły się bez liku. Henryk Probus, który starając się o koronę polską, udzielił w r. 1298 duchowieństwu wielkopolskiemu przywilej, w którym zapewnia mu jego dawne prawa i czyni pewne nowe ulgi (Racz. Cod. 89); może też jednocześnie, dla zyskania przychylności szlachty, zniósł powszechnie niecierpiane sądy kasztelańskie. Nasz artykuł 157 mógłby w tém przypuszczeniu być jego dziełem, które w formie zapiski do prawodawców wiślickich doszło.

Z calumnią jest jeszcze w związku artykuł statutu, który woźnemu samowolnie bez zalecenia sędziego pozywającemu, grozi pozbawieniem urzędu, konfiskatą i wypaleniem twarzy, czyli piętnowaniem (zwodu Helcla art. XVII, str. 62).

Długosz mówi o Henryku Brodatym, że „pestiferum genus maleficos et calumniatores exterminavit". „Że Henryk *złodziejów* i *pieniaczów* fałszywych oskarżycieli wyplenił, Lelewel ztąd wniósł, że ten, kto ich wyplenił, musiał przeciw nim ustawy pisać" (1). Taką właśnie ustawą ma być pomieniony dopiéro artykuł, który dla innych znowu powodów autor „Przyczynku" do XIII wiekowego statutu zalicza. P. Helcel na to odpowiada: że artykuł ten wymierzony jest przeciw nierzetelnym woźnym, lud biédny uciskającym, a którym nazwę „*calumniator*" ówczesna terminologia prawna szczególniéj przyznawała. Skoro zaś archidyakon Janko z Czarnkowa, spółczesny Kazimierzowi W., „prawiąc o jego sprawiedliwości, względności na lud biedniejszy, surowości zaś na łotrów i złodziei, tudzież o prawach przez króla tego pisanych, wyraźnie tę okoliczność jakby osobliwą wyszczególnia, iż Kazimierz calumniatores quos reperit, ipsos ferro ignito in facie aduri mandabat; przeto nie trudno będzie Kazimierza W. prawodawstwu przyznać rzeczony artykuł statutów" (str. CXLV). Jakoż zalicza go do statutu małopolskiego, wydanego między 1354 a 1368 r. Wywodowi temu Lelewel zarzuca teraz, że Janko z Czarnkowa nie o samych wyłącznie woźnych mówi; że przed Kazimierzem istniały już w tym przedmiocie ogólniejsze przepisy, i że król „nim o woźnych osobno pomyślał, wedle owych przepisów surowym się okazał. Z tych wielu w statucie jego nie ma, bo przepis wyszarpnięcia nozdrzy w czwartem oszczerzeniu, jest co jinnego od piętna; a przepis

(1) Słowa p. Helcla na str. CIX.

taki, daleko później (1454 przez Kazimierza Jagiellończyka w Czerekwiczy, Jus polon. p. 267) przypominany, pewnie jest przepisem existującym dobrze przed Kazimierzem Wielkim".

W istocie nie podobna nie zgodzić się co do tego z autorem Ksiąg Bibliograficznych. Janko z Czarnkowa nie mówi bynajmniéj o prawach Kazimierza W. przeciw pieniaczom, ale tylko o ich surowém wykonywaniu; nie mówi wyłącznie o przeniewierczych woźnych, lecz o wszelkich oszczercach: calumniatores quos reperit, ferro ignito in facie aduri mandabat. Z brzmienia i ducha tego wyrażenia łatwo wpadamy na myśl, że prawo, które Kazimierz do przestępców stosował, przed nim już było wydane; a na poparcie tego przypuszczenia mamy słowa Kadłubka, w pochwale Kazimierza Sprawiedliwego zamieszczone, które o istnieniu już w owym czasie kary piętnowania i rwania nozdrzy za calumnią stanowczo przekonywają: „nam quod queralantium strepitu nonnunquam offenditur, quod *causidicorum importunitates egre fert?* duo sunt in causa: odium scilicet Calumniae et amor Concordiae: *unde multis ob calumniam sepe impressum est cauterium, multi naso, lingua nonnulli capulati* ad insigne videlicet confusionis perpetuae" (1). Nadto Helcel twierdząc, że nazwę *calumniator* odnoszono wtedy szczególniéj do woźnego, niesłusznie, według mego zdania, powołuje się na ustawy Kazimierza Jagiellończyka, a mianowicie na przywiléj czerekwicki i statuta nieszawskie z r. 1454, oraz na artykuły korczyńskie z r. 1465. Nigdzie tam nie znajduję nazwy *calumniatora*, szczególnie do woźnego zastosowanéj (2). Przeciwnie, z artykułu czerekwickiego „Item ut vitium" i z artykułu XXII nieszawskiego wnosićby raczéj należało, że jeśli w nich mowa nie o kalumniatorach w ogóle, lecz o pewnym ich tylko rodzaju, to tym rodzajem są właśnie samozwańczy prokuratorowie, tojest ludzie wytaczający w cudzém imieniu skargi, bez żadnéj prawnéj podstawy i bez upoważnienia swych mniemanych mocdawców. To właśnie przypomina owe *causidicorum importunitates*, o ja-

(1) Kadłubek II. 21, edyc. Kownac.— Nadto w tomie I, str. 261 (według pomylonéj tam paginacyi) Johannes mówiąc o Alexandrze W. i Antygonie wyraża się; „perfidie cauterio frontibus impresso."

(2) Obacz przywiléj czerekwicki, artykuł „Item ut vitium" (Jus Polon. p. 267). Statutu nieszawskiego art. XXII (wedle innych kodeksów XVII i XVI. Jus Polon. 281) a z nim porównaj tamże artykuł XXI (XX) oraz art. XXIII. Zobacz też art. XI korczyński (ibid. p. 309).

kich mówi Kadłubek (1). Co większa artykuł XI korczyński nakazując karać i mutylować takich fałszerzy, rozróżnia ich na dwie kategorye: „*calumniatores et falsas ac inordinatas citationes offerentes*"; chcąc więc zastosować ten artykuł do woźnych, musimy ich podciągnąć nie pod *calumniatorów*, lecz pod *tych, co doręczają fałszywe i nieformalne pozwy*. Wreszcie mniemanie Lelewela, że te Jagiellońskie ustawy są zabytkiem przedwiślickiego prawodawstwa, może znaleźć poparcie w samych wstępnych wyrażeniach rzeczonych artykułów: „Item cum omnis regula viam praecludat calumniis" (nieszaw.); „ut vitium calumniae contempnatur et calumniatores a iustis separentur" (czerekw.). Wyrażenia to prawie żywcem wyjęte z dyplomatów XIII i XIV wieku, a ostatnie oddaje nawet wybornie ascetyczny duch owych czasów, pełen reminiscencyj biblijnych (ut calumniatores a iustis separentur). Jednakże końcowa uwaga Lelewela, „że przepis wyszarpnięcia nozdrzy w czwartém oszczerzeniu jest co innego od piętna," upada w obec artykułu nieszawskiego, który w jednych rękopisach naznacza za *calumnią* wyszarpnięcie nozdrzy (praecisio naris), w drugich zaś piętnowanie (caracteris rotae impressio).

Nakoniec zauważmy mimochodem, że inne wywody, oparte na wyrażeniach „statuimus, decernimus" albo „statuta, edicta" i t. p., będą zawsze podejrzane, jeśli ich inne dowody nie wesprą. Terminologia ówczesna nie przedstawia nic stałego. Przemyśl wielkopolski w przywileju z r. 1242 (Racz. Cod. p. 23) wzmiankuje „statuta nostra", przez które rozumie tylko owo swe nadanie wolnego jarmarku klasztorowi lubińskiemu, a które to nadanie, trzema wierszami niżéj, zowie „decreta nostra". Otóż przykład chwiejności terminów prawnych.

Cały spór pomiędzy p. Helclem i autorem Ksiąg Bibliograficznych toczy się głównie około tego: czyli zapiski uchwał wiecowych przedwiślickich istniały, w jakich powstawały czasach i czy weszły w skład statutu Kazimierzowego, jakto ostatni stara się udowodnić. Nie przyznając sobie prawa przesądzania

(1) Do przyznania nazwie *calumniator* ogólniejszego znaczenia skłania art XXI (XX) nieszawski *de marca calumniosa alias potwarna*, którą płaci skarżący kogoś o rany, a niemogący tego zarzutu dowieść (Jus Pol. 280). Z drugiéj strony do stosowania art. XXII nieszaw. specyalnie do prokuratorów, powoduje zaraz następujący artykuł XXIII, który poleca wyznaczyć prokuratora z urzędu, temu kto go nie ma i bronić się nie umie.

téj kwestyi w całości, zwrócę tylko uwagę na dyplomata mazowieckie z lat 1297 i 1350.

Bolesław książę czerski r. 1297 wydał biskupowi poznańskiemu dwa przywileje, któremi dobra biskupie od służebności i danin uwalnia, oraz wyjmuje z pod juryzdykcyi wojewodów, kasztelanów i sędziów, a pozostawia pod własną „dumtaxat tamen in gravibus et enormibus causis seu fore factis coram nobis respondere dicti incolae tenebuntur. Ad Prevod vero militale juxta consuetudinem militum Terrae nostrae et ad aedificationem castrorum nostrorum solummodo tenebuntur"... (Racz. Cod. p. 86 i 116). W roku 1350 Kazimierz książę warszawski (ibid. 118—119) i Ziemowit książę czerski (ibid. p. 106, 120—121) przywileje te potwierdzili: piérwszy dnia 4 czerwca w Warszawie, drugi d. 11 czerwca (1) w Łowiczu. Notaryusze spisujący te potwierdzenia widocznie mieli przed oczami pierwotne przywileje Bolesławowskie, i przy redagowaniu trzymali się ich osnowy z bardzo maluczkiemi zmianami, które zresztą w obudwóch brzmią jednakowo. Na początku opuścili oni wstęp, gdzie była mowa o calumnii i o pobożnych pobudkach nadania; idący za tém w piérwotnym dyplomacie ustęp, dotyczący osoby Bolesława, musiał w potwierdzeniach zgodnie z osobistością nadawców uledz pewnéj zmianie. Następnie począwszy od wyliczenia służebności, od których dobra biskupie mają być wolne, a do liczby, których dołączone są teraz „a srzon" i „a bove", notaryusze powtarzają w przywilejach 1350 r. słowa przywilejów Bolesława, aż do przytoczonego wyżéj ustępu „dumtaxat tamen etc.", w miejsce którego zamieszczają obadwa następne słowa: „videlicet solummodo in causa seu causis quae sequuntur, scilicet: „*Si aliqui militem jus militale habentem in via publica seu in domo violenter invasum occiderint*, coram nobis respondere praedicti incolae tenebuntur in casibus jam praemissis. *Praeterea si aliqua virgo vel mulier* per aliquem incolarum praedictorum *violenter oppressa coram nobis proclamaverit* hujusmodi judicium coram ipsorum incolarum dominis vel judicibus dominorum eorundem, praesente tum nostro nuntio *ventilabitur*, et si aliqua poena pecuniaria, exinde influenda eandem poenam ipsorum domini integraliter debebunt percipere, sit inflicta. Ceterum ad Przewod militale juxta consuetudinem terrae nostrae tenebuntur

(1) Druga kopia ma dnia 11 lipca (Julii zamiast Junii).

etc." (1). W dalszym ciągu obowiązek „castri reaedificatio" Kazimierz stosuje tylko do zamku warszawskiego, Ziemowit do zamku czerskiego, od innych uwalniając; dodają biskupowi prawo lokowania wsi na prawie polskiém lub niemieckiém ad libitum; powtarzają w tych samych wyrazach za przywilejami Bolesława nadanie polowania, i nakoniec dołączają obietnicę rozszerzenia tych dobrodziejstw i na wsie biskupa leżące w innych ziemiach, gdyby te pod ich rządy dostały się: obietnica ta u obudwóch brzmi jednakowo. Owoż nawet te zmiany i dodatki tokiem wyrażenia przypominają bardzo przywiléj Bolesława, a wprowadzono je tam z konieczności o tyle, o ile zmiana w samych dobrodziejstwach nastąpiła. Ostatecznie więc najważniejszą, a nawet jedyną, powiedzieć można, różnicą przywilejów z roku 1350 od przywilejów pierwotnych z 1297 r. jest przytoczony ustęp o zabiciu milesa i o zgwałceniu, miejsce, którego zastępuje w nadaniach Bolesława ogólnik: „in gravibus et enormibus causis seu fore factis". Ów też ustęp nie przystaje jakoś do dyplomatów, w które jest wciągnięty: zdawałoby się, że notaryusze znalazłszy go już gotowym, dla przypięcia go, nakręcili doń umyślnie słowa przywileju. Łatanina ta na piérwszy rzut oka uderza. A jednakże notaryusze książęcy w powszechności dobrze władali swoją średniowieczną łaciną: dla przekonania się o tém, dość przeczytać w kilku dyplomatach ustępy, dotyczące nadań sądownictwa (2). Wracając do ustępu o milesie i o zgwałceniu, wyznać trzeba, iż swemi wyrażeniami przypomina formę, w jaką uchwały oblekano. „Cum vero *miles* communis *interfectus fuerit*, qui non est nobilis *sed habet jus militale*,

(1) Tak mówi Ziemowit wełdug kopii na str. 106 u Raczyń.; według zaś kopii na str. 120 i w dokumencie Kazimierza warszawskiego są następujące odmianki: „si aliquis militem..... occiderit;"— „praesente tamen nuntio nostro;"— „et si aliqua poena pecuniaria exinde infligenda fuerit, eandem poenam ipsorum domini integraliter debebunt percipere sic inflictam."

(2) Dla porównania przytaczam tu parę miejsc z dyplomatów dotyczących nadań sądownictwa. „Damus etiam abbati.... libertatem ut si casu interveniente.... homicidium perpetratum fuerit, solutio homicidii in abbatis vel judiciis ipsius totaliter cedat potestatem" (r. 1242 Raczyń. Cod. p. 21); „exceptis eis qui aut in traditione castri convicti fuerint, aut familias nostras eduxerint, vel hostes in terram duxerint" (r. 1252, ibid. 39);— „scultetis villarum,.... fures et malefactores puniendi et majora judicia cum minoribus exercendi potestatem perpetuo conferimus" (r. 1257, ibid. 50.)

pro ejus capite etc."—mówi statut mazowiecki Ziemowita IV roku 1421 (art. XXV, Helcel. str. 286); w statucie zaś Kazimierza W. (art. LXXXVI zwodu Helcla p. 113) czytamy: „si autem illi inferatur [plaga], qui non *habet jus militale*, tunc etc.". Tamże artykuł o zgwałceniu brzmi: „*Quicunque vero alicui virgini seu mulieri* conjugatae aut viduae.... *opprimendo violentiam fecerit*, et virgo aut mulier violatoris oppressionem evadens... ad villanos *clamaverit* etc." (art. CXXVI zwodu Helcla p. 139). Pomimo wszakże tego podobieństwa formy, ustęp w przywilejach r. 1350, nie jest, jak widzimy, dosłownie ze statutów przepisany. Jeżeli tedy przyznamy mu cechy uchwały prawodawczéj, zgodzić się także musimy, że źródłem dlań były jakieś nieznane nam, a świeżo może zapadłe uchwały mazowieckie, na co szczególniéj to naprowadza, że dwaj książęta w dwóch różnych miejscach, a w jednym prawie czasie, wydając przywiléj, w osnowę pierwotnego nadania Bolesława, ustęp o zabójstwie milesa i o zgwałceniu wciągnęli, a w jednych i tych samych słowach go wyrazili. Kto wié, czy świeży przykład Kazimierza W., obradującego przed trzema laty w Wiślicy, nie stał się dla nich pobudką, że i na swém Mazowszu złożyli wieca prawodawcze.

Tu nawiasem zwracam jeszcze uwagę, że osobliwsze wyrażenie rozbieranego ustępu dyplomatów z r. 1350: „judicium *ventilabitur*" jest również użyte w statucie Kazimierza W. „pro qua quaestio agitatur vel *ventilari* speratur" (Helcel, art. XLVII zwodu, str. 88, § 19 statutu III małopol. 1354—1368; Bandtkie, art. XVII stat. wiślic. w Jus Polon. str. 132).

Kończąc te pobieżne uwagi, korzystam ze sposobności, by przedstawić badaczom przeszłości pewną wątpliwość, jakich w pomnikach dawnego prawa polskiego nie mało napotykamy, wątpliwość, któréj rozwiązanie rzuciłoby może trochę światła na teoryą p. Helcla o czterech statutach Kazimierza W. i na datę każdego.

Kazimierz W. w wyroku polubownym między Ziemowitem ks. mazowieckim i biskupem poznańskim w 1358 r. mówi: mandamus ut supra quod Kmethones vel rustici qui liberi non sint tam ducales, quam episcopales et ecclesiae Posnaniensis de villis ducalibus ad villas episcopi et ecclesiae Posnaniensis et econtraverso in festo quolibet nativitatis Domini nostri pro mansione et residencia facienda *secundum consuetudinem regni Poloniae libere transibunt* ullo sine impedimento" (Racz. Cod. p. 115). Rzeczywiście art. CXXXIV statutu Kazimierza W. (w zwodzie

Helcla, str. 149) (1) i statut r. 1421 Ziemowita ks. mazow. (art. IV, Helcel, str. 279) dozwalają kmieciom odchodzić na Boże Narodzenie od swego pana. Ale dlaczegóż tu Kazimierz już w roku 1358 mówi o *consuetudo*, a nie o *statucie?* Czyżby ten artykuł zaliczony przez Helcla (str. 190) i Bandtkiego (str. 151 i 115) do statutu wielkopolskiego (a więc z r. 1347) (2), do niego nie należał i później, tojest po r. 1358 (jako dacie dyplomatu) został wydany? Nie zdaje się, gdyż w ustawach Kazimierza W. znajduje się inny artykuł (zwodu Helcla art. LXIX), który wolność wszystkich kmieci opuszczenia swego pana ogranicza tylko do jednego lub dwóch kmieci na raz, a który, wedle uczonego krakowskiego, należy do statutu IV z r. 1368; nie podobna zaś przypuszczać, aby w tak krótkim przeciągu czasu między 1358 a 1368 r. wydane zostały dwie przeciwne sobie ustawy. Przypuścić raczéj wolno, że ten drugi artykuł (stat. IV) wyduszony przez baronów na *królu chłopków*, jest wcześniejszy od przywileju z r. 1358, a tem samem nie należy do statutu IV; artykuł zaś piérwszy (wielkop.) jest może zabytkiem starodawnego prawodawstwa. Wtedy rozumiećby można, iż król pragnący ulgi dla kmieci, mówiąc o ich wolności przechodzenia, nie mógł się powołać na przeciwny temu przepis prawa, i dlatego wolał wspomnieć o *consuetudo regni*, jaka, pomimo statutu, czas jakiś jeszcze przetrwać musiała. Prawodawca, a do tego piérwszy prawodawca w kraju, nie zaniedbałby nigdy powołać się przy sposobności na swój statut, owoc długich zabiegów, stanowiący największą jego chwałę tak w oczach jego własnych, jak przed sądem potomnych. W przypadkowe, z winy pisarza, zamienienie *statutu* na *consuetudo*, wierzyć tu nie podobna; raczéj pozostawić kwestyą do czasu w wątpliwości, którą, miejmy nadzieję, p. Helcel nam rozwiąże.

Petersburg,
dnia 7 marca 1859 r. *Stosław Łaguna.*

(1) Według textu w rękopisach: D. III, Os. III, B. II i P. I, w dop. W texcie pospolitszym ustęp ten opuszczony jest.

(2) Bandtkie (Jus. Polon. 115) zamiast: „solum in Nativitate Domini," ma mylnie: „solum in necessitate domini."

Franciszek z Assisu, *przez Syrokomlę. Wilno.* 1859.
Szkolne czasy, *przez Syrokomlę. Wilno.* 1859.
Poezye *Antoniego Sowy. Peterbsurg.* 1858.

Wnowszych dopiéro czasach zaczęto badać bliżéj wieki średnie i sądzić je nie podług wzorów dzisiejszego czasu. Badaniom tym między innemi winniśmy oznaczenie istotnéj wartości *Boskiéj Komedyi* i jéj stosunku do innych zabytków literatury. Poemat ten długo był uważany za samotny pomnik pośród średniowiecznego mroku. Obecnie mrok ten się rozjaśnił. Labitte *(O Boskiéj Komedyi przed Dantem) i Ozanam (O zródłach poetycznych Boskiéj Komedyi)* wskazali podobne utwory poetyczne, oraz legendy i tradycye wielowiekowe, służące za zródło dla Dantego. Nie zmniejsza to bynajmniéj jego zasługi; bo żaden geniusz poetyczny nie tworzy z niczego, owszem wielkość jego polega raczéj na tém, że jednoczy i harmonizuje rozpierzchłe żywioły, i natchnieniem nadaje im pieczęć samoistności. Już więc dzisiaj nikt się nie oburzy na domysł, że taki a taki ustęp *Piekła* lub *Raju* jest naśladowany z jakiego dawniejszego poematu: podobne oburzenie spotkało Cancelliérego, gdy ogłosił sławne *Widzenie Alberyka* z początku XII wieku i wskazał miejsce u Dantego przypominające to widzenie.

Pomiędzy źródłami, z których czerpał ten wielki mistrz, znajdują się piękne legendy o św. Franciszku z Assisu, znane pod nazwą *Fioretti di san Francesco.*

Ozanam w życiu tego świętego przytacza następującą tradycyą:

„Franciszek nawróciwszy się do Boga, lubił słuchać echa własnych swych hymnów brzmiących na pustyni. Jednego wieczoru, wzruszony do łez śpiewem słowika, odpowiedział mu w natchnieniu i do późnéj nocy śpiewał z nim naprzemian chwałę bożą. Franciszek pierwszy się zmęczył, i pochwalił ptaszka, który go zwyciężył."

Te kilka słów wziął Syrokomla za temat kantaty, mającéj służyć za libretto do muzyki Moniuszki. Kantata przypomina najszczęśliwsze chwile talentu poety, kiedy jeszcze swobodna, pełna naturalności i dźwięczności wersyfikacya nie wzięła góry nad zapałem i uczuciem. Niezaprzeczenie literatura nasza piękniejszego, a może i równie pięknego libretta nie posiada. Jest-

to jednolity wylew natchnienia. I pomimowolnie musi uwierzyć czytelnik słowom poety, że owa wzmianka Ozanama zapaliła go w jednéj chwili. Syrokomla rozwinął daléj to podanie: do pokonanego Franciszka dolata gwar pieśni rycerzy i minstreli wracających z biesiady. Otóż i jego porwały te pieśni, i sam zaśpiewał światową piosenkę; poczém błaga Boga, aby przebaczył to zapomnienie. Daje się słyszeć niebieska tajemnicza muzyka, która mu nagradza stratę ziemskiéj pieśni. Aniołowie, słowiki i święty, a w końcu chór ogólny odzywają się głosząc cześć Bożą.

Poeta udatnie w ten sposób zespolił dwie legendy o walce ze słowikiem i o muzyce niebieskiéj. Ostatniéj legendy treść jest następująca:

Franciszek uważał muzykę za jednę z rozkoszy niebieskich. Przy schyłku swego istnienia przygnieciony trudami i ostrym żywotem, pozbawiony wszelkiéj ziemskiéj pociechy, pragnął usłyszeć muzykę, dla rozweselenia umysłu. Reguła nie pozwalała na taką rozrywkę; lecz aniołowie ziścili jego życzenie. Następnéj nocy, gdy czuwał śród rozmyślań, usłyszał dźwięk lutni, pełen cudownéj harmonii i słodkiéj melodyi. Święty tak się przejął temi tonami, że w zachwyceniu sądził, iż przeniósł się do innego życia.

Jedyny zarzut, jaki co do pomysłu można uczynić kantacie, jest to, że poeta każe śpiewać Franciszkowi pieśń ziemską. Wprawdzie temat zyskał przez to na rozmaitości, i zarazem posłużyło to za punkt przejścia do ustępu o muzyce niebieskiéj, który chciał poeta wprowadzić; lecz ta pieśń ziemska jest niezgodna, już nie mówię z prawdą historyczną, z życiem świętego, ale, co bardziéj uderzać musi, z prawdą estetyczną: jakimże bowiem sposobem można przypuścić, aby mąż poświęcony służbie bożéj i cały zatopiony w Bogu, za lada oddźwiękiem wesołéj piosenki światowéj zaraz dał się jéj porwać? Gdzie tu jest prawdopodobieństwo? Natomiast poeta uchwycił w świętym właściwy charakter jego miłości dla natury, téj miłości, która nie szuka dla siebie rozkoszy i przyjemności w świecie zewnętrznym, lecz rozważa go ze czcią uroczystą jako harmonijny i stopniowy łańcuch ogniw wcielonéj myśli bożéj. O téj miłości Franciszka dla natury przechowało się kilka zajmujących legend.

Niemałéj w tém poeta dokazał sztuki, że w tak drobnych wymiarów utworze umiał obudzić interes, który ma w sobie pe-

wien stopień dramatyczności. Dykcya prawie wszędzie stoi na równi z treścią; miejscami do prawdziwéj dochodzi wzniosłości, jak np. ten ustęp:

On w chwale majestatu
Założył wszędzie tron;
W słońcach i w pyłku kwiatu
Wszędzie on!
Zawsze on!

Patrzcie na téj góry szczyty!
Stroma, straszna ze wszech stron!
Tam człowiek na krzyż przybity,
To on!

Z pod cierniowéj korony krew z czoła mu tryska;
Ciżba widzi w nim lichy cel urągowiska.
Błaga o kroplę wody przykowan do drzewa;
A z rozdartéj swéj piersi zdroje krwi wylewa,
Zdroje łaski dla ludzi, i w skonania chwili
Modli się za oprawców, co go umęczyli.

Kiedy patrzą nań ciekawi,
Gdy się znęca zgraja sług,
Okiem światu błogosławi:
To on... to Bóg!

Życzyć należy, aby ta kantata po stosownem przerobieniu a raczéj odrzuceniu pieśni świętego o ziemi i pięknych dziewczętach, ukazała się zjednoczona z muzyką Moniuszki.

Szkolne czasy jestto, jak sam poeta przyznaje, paryfraza jednego ustępu z *Dęboroga*, tego może najszczęśliwszego w obszerniejszym wymiarze utworu Syrokomli. Widać ufny w spółczucie, jakie opowiadaniem Dęboroga pozyskał, wziął się poeta do téj paryfrazy. Jestto nic więcéj jak tylko gładkie, łatwo dające się czytać wiersze, nieco ożywione trochą humoru w zarysach księży professorów. Poezya znalazła w téj massie wierszy skromny bardzo przytułek w ostatnim ustępie:

Nie wrócić lat, dziś inszy świat,
Już marzyć dość jak dziecię!
O mgliste sny minionych dni!
Po co wlatujecie?
Czego ci żal? ubiegłych fal,
Chmur przeszłorocznych z nieba?
Rzuć stare sny, oszczędzaj łzy,
Bo ich na jutro trzeba!

Jeszcze świeża jest pamięć rozgłosu, jaki pozyskał pseudonim Antoniego Sowy fantazyą dramatyczną *Jordan*. To pierwsze wystąpienie tak szczęśliwe, z jednéj strony przypisać należy niezaprzeczonym zarodom prawdziwego talentu, często w nieudolną skrępowanego formę, a niemniéj téż i potrąceniu różnych sympatycznych dla ogółu myśli. Po długiém milczeniu obecnie tenże poeta wystąpił ze zbiorem poezyj. Próżno jednak śledziliśmy postępu jego talentu: twórczość ani na krok się nie posunęła, chyba w formie i to nie wszędzie znać wyrobienie. Jużto od dawnego czasu rzadko kiedy w zbiorach poezyj można napotkać prawdziwy wybór: powiększéj części piękności pomieszane z miernemi nader rzeczami, albo co gorsza perły między śmieciami. Zdarza się to i z ludźmi wyższego talentu. Widocznie poeci powodują się własnym wyborem i przez to jest on tak nieszczęśliwym: trudno poecie odróżnić poczucie prawdziwéj wartości w jednych utworach od sympatyi dla innych, które mało co warte, a są dla niego miłemi jedynie ze względu na jakieś drogie wspomnienie.

Rezygnacya i rozpacz, oto dwa tony górujące w mieszaninie, jaką nam ten zbiór przedstawia. Najnieszczęśliwiéj dostała się ta szyduość i jakieś *od niechcenia* trącące czasem niesmakiem lub cynizmem. Niektóre wiersze są wiernym obrazem, uroczyście wyrażającym stan duszy zrezygnowanéj śród boleści, a wzniosłą przejętéj poezyą.

Przepaść w lewo i w prawo, przepaść pod nogami,
A nad głową Bóg wielki, niebo lazurowe;
Lecz ja nie mam sił podnieść umęczoną głowę,
Ni patrzéć popsutemi w ciemności oczami.

Spojrzę jednak, olsnąłem: i w oczach mi ciemno,
Słuch wytężę, by słyszéć moich bliźnich mowę:
Jęki słyszę i czuję wciąż przepaść podemną;
A nad głową Bóg wielki, niebo lazurowe.

Wtych drobnych wierszach wiele jest rozrzuconych pięknych myśli, ale większa część mniéj szczęśliwie oddana. Tłumaczenia nie odznaczają się poprawnością; najlepsze jest z bulgarskiego *do poety ludu*: przytaczamy parę strofek:

Dwa masz wieńce mój lirniku,
Oba piękne chociaż krwawe;
Boś pracował nie na sławę,
Lecz serc braci słuchał krzyku.

Im zamknięto w ustach jęki,
Ach! i jęk im liczon grzechem!
Tyś powtórzył głośném echem
Z okazanych jęków dźwięki.

Smutny wieszczu! patrz cud słowa!
Jako słońca nikt nie schowa,
Gdy dzień wzejdzie, tak nie może
Schować słowa nikt z sułtanów;
Bo i słowo też jest Boże,
I ma wieszczów za kapłanów.

W Oratoryum *człowiek*, piękne są niektóre ustępy. Najwięcéj miejsca zajmują w tym zbiorze ułamki powieści *On*, *Ona* i *Oni*, która pomimo swéj obszerności nie daje jasnego o treści wyobrażenia, może dlatego, że przedstawiona we fragmentach. Mają to być dzieje kobiéty przeciw jéj woli wydanéj za mąż, i z rezygnacyą cios ten przyjmującéj, która po stracie dziecięcia szuka pociechy w modlitwie i naukach religijnych pobożnego kapłana. Dalszy ciąg powieści przedstawiony w ustępie z wieków średnich: dlaczego to przerzucenie się w tak odległe czasy, niewiadomo. Ksiądz ów złożony będąc chorobą, przywołuje do siebie tę cnotliwą kobietę i wybucha przed nią z całym ogniem długo tajonéj namiętności; i zbliżył się do lic jéj bezbronnych. Wtém zaszeleściał cień jakiś przed oknem celi i... lampa zgasła. Na drugi dzień pod oknem znaleziono trupa dawnego kochanka, który przybył z daleka w chwili, gdy *ona* udawała się do celi, a którego zabił raczéj domysł niż widok jéj sromu. Taka drażliwa i gorsząca treść powieści godna jest iść w parze z obrazami rozpasanych namiętności Sanda i Hugona, tego Sanda, który jeszcze dziś niestety znajduje zwolenniczki nietylko wielkiego swego talentu, ale.... czegoby się nikt nie spodział i swéj moralności, jaka wedle ich twierdzenia ma być nader budująca. Ten rozpalony żądzą ksiądz zdaje się być odbiciem ale bardzo słabém owego satanicznego Frolla z Nôtre Dame de Paris.

Bolesław Wiktor.

Nauka języka polskiego z zastosowaniem jéj do najnowszéj grammatyki polskiéj P. Dawida. Lublin 1858 *r.*

Podstawą wychowania i jednym z najskuteczniejszych środków rozwijania umysłu jest dobrze prowadzona nauka języka

własnego, a przecież cała niwa téj najważniejszéj gałęzi pedagogii leży u nas prawie odłogiem. Pojawiają się wprawdzie czasami pisma i w tym rodzaju, ale brak w nich w ogóle metody i systematu, przytem więcéj wyższych poglądów na język, więcéj sporów o formy, o ortografią i terminologią, a mało, rzeczywiście mało dla szkoły i życia. Nie możemy dotąd nabrać dokładnego przekonania, że naukę języka własnego inaczéj, jak naukę obcych traktować należy; zadawniona metoda łacińska wszędzie panuje: dzieci chcemy karmić odrazu abstrakcyą, na czém właśnie kończyć naukę języka własnego należy.

Kiedy dzieci wyuczymy czytać, dajmy im książkę elementarną, którąby w zdaniach naprzód prostych, następnie zwolna rozszerzających się, daléj złożonych, nareszcie w całéj mowie ujętéj w formę powiastki i opisu prowadziła je systematycznie rozszerzającą się drogą do stosownego dla nich ogółowego poznania świata materyalnego i duchownego. Tak ją ułożmy, aby uczyła dobrze używać zmysłów, bogaciła umysł, kształciła serce, urabiała pamięć, zaostrzała w pewnych granicach imaginacyą, a przytém cały materyał językowy wyczerpywała. Przy téj tylko pomocy matki i nauczyciele wiele zrobić mogą i zrobią. Dziecko, obznajmiając się z całym materyałem językowym wzbogaci swój umysł stosownemi do wieku i pojęcia wiadomościami, i rozwinie go, a tu właśnie o to idzie. Termina grammatyczne, jak i sama grammatyka, nie mają tu miejsca; ortografia przy krótko streszczonych prawidłach: pisz, jak słyszysz dobrze mówiących, zważaj na pierwiastkowe i pochodne wyrazy, naśladuj zwyczaj, którego obrazem książka, najłatwiéj w pamięć i nawyknienie się wpoi; interpunkcya w systematycznie prowadzonych zdaniach i ich rozszerzeniach łatwo sama przez się zrozumianą i naśladowaną będzie. Po takiém dopiéro praktycznem wzbogaceniu dziecka w cały materyał językowy i stosownem rozwinięciu władz jego umysłowych, czas przystąpić do właściwéj nauki i tu tąż samą drogą, ale już w połączeniu z teoryą postępujmy. Składnia przedewszystkiém. Bierzmy znowu do rąk tęż samą lub podobnie ułożoną książkę elementarną. Dane przykłady posłużą nam za materyał do wyprowadzania z nich praw języka; prosta empirya zwolna zamieniać się będzie w uznanie teoryi zdań prostych, rozszerzonych i złożonych w całém rozgałęzieniu kategoryj logicznych; formy i odmiany z myśli wypłyną i z niéj się wyświecą: teorya składni jakby sama się stworzy. Poznawszy tym sposobem składnią, wtedy dopiéro przystąpmy do abstrakcyjnych uwag nad literami,

zamianą ich, częściami mowy, odmianą; teraz dopiéro klassyfikujmy i systematyzujmy to, cośmy poznali, bo umysł dziecka do tego już dojrzał i reflexya się zrodziła. Tą drogą postępując, oschłe i nudne abstrakcyjne prawidła grammatyczne zajmującemi się staną, umysł się wzbogaci i rozwinie, zrozumie myśl cudzą i swoją dobrze odda, mechaniczna nauka języków obcych w porządną się zamieni, bo w swoim grunt i podstawę znajdzie; wszystkie inne nauki dla rozwiniętego umysłu łatwemi będą.

Ta metoda nie jest mrzonką, ani czczą nowinką: ugruntowała ją długa i skuteczna praktyka gdzieindziéj; czasby i nam o czémś podobném pomyśléć, pomyślawszy wyrobić. Dzieła Beckera, Wursta, Honacampa, Girarda i tylu innych za wskazówkę posłużyć nam mogą. Nasz własny, świéży rozum i własności języka, tak różnego od germańskich i romańskich, nowe, łatwiejsze drogi może nam odkryją i bogatszy rezultat sprowadzą. Strzeżmy się tylko, abyśmy prób nieobrobionych za dojrzały owoc szkole nie podawali. Nic dziwnego, że przy dzisiejszym przeważnie materyalnym kierunku czasu, formalne nauki, nie wiodąc li do praktycznéj korzyści, popłacać nie mogą. Wyłączmy przynajmniéj z tego grammatykę języka własnego, a ta porządnie poprowadzona, obfite owoce przyniesie. I czas i koszt się opłaci. Tym jedynie sposobem materyalne dążenia nasze z instynktowego popędu do jakiegoś zdrowego uznania dojdą, uszlachetnią się, zrodzą duchowną potrzebę humanistycznych, dobrze pojętych dążności; materya z duchem ściśléj się zespoli.

Z tego punktu widzenia rzeczy zapatrując się na grammatyki nasze, widzimy, że niemal wszystkie podług staréj łacińskiéj metody postępują: wszędzie naprzód części mowy, ich definicye, odmiany, zamiany, potém coś ze składni. Z przyjemnością wszakże bierzemy do ręki grammatykę p. Dawida, bo w niéj nowa myśl, choć częściowo rozbłyska. Króciutki wstęp poświęcony zdaniu i częściom jego; w całéj książce praktyczność przeważa na ortografią szczególniéj zwrócona. Gdyby jeszcze autor, zamiast pojedynczych wyrazów, podał je w całych zdaniach, czyli gdyby źródłosłownią swoją z praktyczną w przykładach składnią, zdania przynajmniéj połączył, naukę języka znacznieby posunął; w praktyce myślby przeważała, materyalną naukę choć w części z formalnąby połączył. Bądź co bądź, przy dzisiejszym stanie nauki, ze względów pedagogicznych oceniając pracę autora, słuszność oddać mu należy i żałować, że druk i papier nie inny, że wiele błędów drukarskich, co wszystko niekorzystnie na powierzchowność książki

oddziaływa. Tytuł: Krótka gramatyka polska dla dzieci polskich, uwodzi nas trochę. Tu krótka grammatyka znaczy treść grammatyki; a te dzieci to już rozwinięte umysłowo, bo i wielu dyfinicyj, wielu przykładów, uwag filozoficznych nad przypadkami, w masie rzeczonych imion i słów, gromad przysłówków, przyimków i spójników, figur grammatycznych, nauki o okresach, harmonii, mniéj rozwinięte nie zrozumieją, choćby nawet uczący ściśle trzymał się uwag autora we wstępie i na końcu książki zamieszczonych.

Po tych ogólnych uwagach, zastanówmy się nad przyjętą przez autora ortografią i metodą przy nauczaniu jéj, nad terminologią i definicyami, daléj nad składnią i nareszcie nad używanemi formami języka.

W ostatnich kilku latach niektórzy grammatycy nasi podnieśli tak silny głos nietylko za poprawą, ale zmianą nawet przyjętéj i upowszechnionéj ortografii, iżbyś sądził, że losy języka i literatury na równi z ortografią kładą. Ważna to wprawdzie część formy językowéj, ależ przecie wiele rzeczy od tego ważniejszych i treści bliżéj dotyczących w zaniedbaniu leży i więcéj do pracy zachęca. Z pomiędzy więcéj upowszechnionych języków żyjących, żaden nie ma tak prostéj i dokładnéj jak u nas ortografii, na którą właśnie tak bardzo powstajemy. Postępujmy tylko podług zdrowych zasad i historyi kształcenia się języka naszego, uznawajmy rozumne nazwyczajenie, nie zmieniajmy lecz ustalajmy, a nie napotkamy tak wiele trudności. Pamiętajmy przytém, że mamy szryft łaciński i że cywilizacyą naszą ściśle do Zachodu należymy. Pan Dawid naukę ortografii w dwóch miejscach traktuje. Po imionach i słowach podaje jéj zasady w tych częściach mowy i przytacza przykłady z umyślnemi do poprawy błędami, co, może i dosyć w praktyce zapewnia korzyści, nie zupełnie przecież ze ścisłemi zasadami pedagogii pogodzić się może. Na końcu swojéj źródłosłówni przechodzi całkowitą naukę ortografii podług liter spokrewnionych z sobą, i znaczną liczbę przykładów przytacza. Niektóre z nich jako zbyt naciągane i rażące zmieniéby należało; w książce dla dzieci ze wszechstronną ścisłością wszystko oceniać należy. Nowości ortograficznych tu nie napotykamy; autor trzyma się w ogóle zasad przyjętych przez Deputacyą b. Tow. Prz. N., dwa tylko ważne zboczenia od nich spostrzegać się dają: co do *ƒ* w wyrazach cudzoziemskich i co do *é* ścieśnionego. Trudność i zabałamucenie co do tego *ƒ* powszechnie u nas panuje, każdy po swojemu chce pisać i pisze. Rzecz dziwna, że zachowując najdelikatniejszą stronę wyrazów obcych w akcencie, nie chcemy

przyznać im prawa obywatelstwa u nas, gwałtem po swojemu je przerabiając, do swojego naciągając wymawiania. P. Dawid np. pisze: obserwatorjum, djament, lilja, Francja i t. p., chociaż w języku, z któregośmy je wzięli, wcale inaczéj i piszą się i wymawiają. Wszelkie naciągania nic nie pomogą, podobno i tu *suum cuique* za zasadę przyjąwszy, najlepiéj zrobimy.

Pomimo całego postępu cywilizacyi, wszędzie prawie język ludu bardzo się różni od języka klassy wykształceńszéj. U nas podobno ta różnica najmniejsza. Element ludowy najwięcéj widać w wymawianiu é (ścieśnionego), które jedni usiłują wyrzucić z wymawiania, zupełnie je roztwierając, inni, do których i P. Dawid należy, do woli pozostawiają, polecając je tam jedynie zachowywać, gdzie *rozróżnić* wypada *dwa wyrazy jednakobrzmiące* (str. 61). Dowolność taka niczém usprawiedliwić się nie da. To é nie jest wcale prowincyonalizmem, ale w ogóle wszędzie lud nasz je zachowuje; to *é*, różne pod względem iloczasu od e, odróżnia nasz dyalekt od innych dyalektów słowiańskich, a przeciwnie do innych nas zbliża; posłuży ono kiedy może za ważną wskazówkę dla przyszłych badaczy; nie usuwajmy téj osobliwości, owszem powróćićby może, zkądeśmy je tak absolutnie wyrugowali.

W panującéj u nas metodzie grammatycznéj, pomiędzy wielą innemi niedogodnościami i na tę natrafiamy, że musimy z góry poczuwać definicye i napełniać je terminami. Definicye im ściśléjsze i dokładniejsze, tém trudniejsze do pojęcia dla dziecka, a termina, choćby i najczystsze swoje, pozostaną martwym znakiem dla nierozwiniętego umysłu. Rozpoczynając od przykładów w usystematyzowanych zdaniach, poznawszy następnie teoryą zdania i wszelkich rozgałęzień jego, definicya sama się stworzy i wszelki termin dokładnie zrozumiany będzie. Nie będziemy potrzebowali silić się na wzbogacanie języka wyrazami szkolnemi; rozwinięty umysł i obce lub też przyswojone zrozumié. Tyle dróg przed nami, a wiele z nich jeszcze nie utartych a nawet nieznanych, na których intelligencya narodu żywotniéj objawić się może: nauka, jako własność ogółu ludzkości, im ogólniejszy ma język, tém więcéj zyskuje, bo silniejszym węzłem pracujących jednoczy. Zdrowéj, choćby najnowszéj i najśmielszéj myśli ta stara, kosmopolityczna, jak i sama nauka, forma wystarczy. Od wysileń nad wyrazami zwróćmy się do myśli, a wiele daremnych sporów ustanie. P. Dawid zostawia przyjęte obce termina, lub też z nich wytłumaczone, niektórych bez różnicy, jak np. ortografia i pisownia używa; podmiot często z przedmiotem za jedno bierze.

Wprowadza też i nowe: etymologią, źródłosłownią nazywa, j półgłoską, przypadkom nazwiska: mianującego, posiadającego, dającego, ulegającego, używającego, narzędziowego, przyimkowego nadaje; słowa nijakie od nijako-biernych odróżnia. Są tu, jak widzimy, chociaż w szczupłéj liczbie nowości. Najwięcéj razić się zdają nazwiska przypadków, bo, obejmując pewne tylko strony znaczeń, nie wyczerpują całkowitego pojęcia, jakie do nich przywiązujemy. To szczególniéj powiedziećby można o przypadkach: posiadającym, ulegającym, narzędziowym, przyimkowym. Na dziś podobno daleko lepsze proste numerowanie zmian, jakim imię ulega; myśl się przynajmniéj tak nie wikła. O definicyach, podanych przez autora, mało mamy do nadmienienia; są one ogólne, mniéj więcéj przyjęte.

P. Dawid, zgodnie z przyjętą przez siebie zasadą: *że składni z oczytania się i wsłuchania w naszą mowę, nie zaś z pisanych prawideł uczymy się*, zamiast składni podaje nam bez dokładnego systematu kilka tylko krótkich uwag bez szczegółowego rozwinięcia przedmiotu. Powiedziałem już, o ile to niezgodne z naszém pojęciem rzeczy. Myśl mało tu ma oporu i zdrowego pokarmu; w uwagach, jak je autor nazywa, filozoficznych o siedmiu przypadkach, słaby tylko odcień kategoryj logicznych. Tuby właśnie wystąpić z całym zapasem spójników przy rozklassyfikowaniu zdań czyto według części zdania, czy też podług kategoryi logicznych. Cały systemat określeń, dopełnień, gatunków zdań stanowi najistotniejszą część grammatyki i najściśléj z logiką związaną. Jestto przedmiot, bez zbadania którego, nie można, nie empirycznie, ale z pełném uznaniem dwóch myśli z sobą powiązać; przedmiot, bez którego w sferze abstrakcyj w błędy i nieporozumienia wpadamy. Bez téj nauki, nauka obcych języków żadną, albo li mechaniczną będzie, bez niéj wszechstronne umysłowe rozwinięcie daleko nie pójdzie. Zewsząd podnoszą się krzyki na każenie czystości języka, inni znowu powstają na braki treści przy dźwięcznych i wcale gładkich frazesach wyrobionego dziś języka. Dajcie nam porządną rozwijającą umysł naukę składni; ta myśl naszą rozjaśni, da rozum, który na straży czystości języka stanie i treściwszemi mowę i pisma nasze uczyni. Jak można nie kazić języka którego się nie zna dokładnie, jest przy powierzchownéj tylko nauce treści się domagać; odmiany i ortografia do tego nas nie doprowadzą.

P. Dawid dwa ważne elementa do książki swojéj, choć częściowo, wprowadza: język ludu i w niektórych razach powołuje

się na pobratymczo dyalekta. Obie te strony nadzwyczaj dziś ważne, a mało u nas obrobione: my tak bogaci przeszłością, środek między ludami słowiańskiemi zajmujący, dobrze obeznani z językiem najliczniejszego ludu pobratymczego, mamy najwięcéj otwarte i najłatwiejsze pole do tych nowych, bogatych w plony badań.

Kończąc krótki nasz pogląd na dziełko p. Dawida, musimy tu jeszcze zwrócić uwagę na zbyt często z pewném nawet upodobaniem używane przez niego formy skrócone, np. tłum męży, z okręty, z panięty i sługi, a co więcéj zbyt rażą wciąż powtarzające się skrócenia, np. mówim, możem mieć, dochodzim, obstawim, widzim i niektóre inne.

C. J.

(*Polska w Pieśni. Ustęp z księgi piérwszéj*). Lech, *przez Deotymę. Warszawa.* 1859 *r.*

Co to jest Lech?

To brat Pelopsa, Romula, Teuta i tylu innych mytów które nie miały nigdy jednostkowego, absolutnego, istnienia; to miano zbiorowéj myśli i pracy którą się naród w pewnéj dobie ograniczył: odpowie na to krytyka, głosem nieburyzmu. Pogląd pokoleń na przeszłość dopatrujący w niéj pewnego loicznego między epokami związku, czyli konieczności rozwijania się, zapełnia sobie historyę, w braku zwłaszcza oczywistych wskazówek, temi fantastycznemi postaciami, dając im za krew i ciało żywioły poruszające życiem epok; i, albo przeistacza byt indywidualny jednostek przewodniczących, albo go nawet z gruntu stwarza, zostawiając w wielkim kłopocie krytykę, która tego co zastała bezwarunkowo przyjąć nie może, odrzucić nie śmie.

Poezya słucha krytyki, ale biegnie za podaniem i z niém się zlewa. Dla niéj Lech jest jednostką żyjącą ciałem równie jak duszą i rozumem: idzie tylko o to, czyli to życie takiém jest istotnie, jakie weń wlało podanie lub historyczna mądrość.

Szczęśliwe te narody które mają obszerne pamiątki gmachów jakie otaczały ich kolebkę, po których biegały z biczykiem w ręku: nam przeszłość i tego poskąpiła dobra, tak, że dziś sami z porozrzucanych tu i owdzie cegiełek musimy je odbudo-

wywać, a kiedy, i jak tam stanie ta budowa, czyja ręka ją wzniesie, i czy zjawi się nam taki budowniczy, coby okiem wieszcza przeszłości odrazu dopatrzył kształtów, to jeszcze wielkie pytanie.

Z tém wszystkiém, pomimo rozpaczliwą trudność zadania, chwalebne i niebezowocne zjawiły się dotąd usilności. Jako historyk, Szajnocha sprowadził nam nieco żywszego światła na ten pomrok przeszłości; toż samo można powiedzieć o Bielowskim, jako o historyku i poecie; nieobojętnym tu jest i Siemieński: słowem że kraj nadkarpacki, jak dał hasło do téj pracy, tak w niéj dotąd najwięcéj dotrwał,

Do tego zbioru utworów to natchnienia, to rozumu badawczego, młoda wieszczka dorzuca dziś najpiękniejszy kwiat swego poetycznego talentu. Autorka wiedziona szczęśliwą myślą zaniechała w swym utworze tego, co byłoby w tym razie albo dowolném, albo bez oka proroczego niepodobném do osiągnięcia; tojest nie ubiegała się za kolorytem miejscowym, ktory powstaje z zewnętrznych więcéj szczegółów życia jako téż przebija się w pewnych formach językowych, a zatém jest do zdobycia tylko w epokach bliższych, których barwy, niezatarte przez czas lub nieoględność, jaśniéj stoją przed oczami potomności. Dlatego téż poemat Deotymy nie jest to jaskrawe epos, coby się wypowiadało szorstkiém i naiwném słowem rozbrzaskującéj cywilizacyi a naśladując pierwotne formy poezyi tak trudne do pochwycenia, przedstawiało nam czas i człowieka w jego obecności: jestto pieśń dzisiejsza o owych dawno ubiegłych czasach, śpiewająca według ich taktu, ale na własną nutę, własną myślą i słowem.

Zamiarem tego poematu jest wcielenie ogólnéj i wiekuistéj duszy narodu w jednę postać oraz wykazanie, że wszystko co naród ukochał i co działał przez ciąg swego istnienia przy większéj lub mniejszéj możności urzeczywistnienia swéj idei, nie było wywołane przypadkową potrzebą i okolicznością, nie było pożyczoném lub naśladowaném, ale spoczywało już jako zasada w téj myśli, która powołała naród do życia i czynu. Tą myślą przewodnią, wystarczającą przez wieki, pochodnią co przyświeca biegowi dziejów przy swobodném działaniu narodu, jest Lech. Zastaje on krainę swą uległą panowaniu obcych, ludność jéj w pokorze i ciszy karmi swym chlebem przychodniów, wykonywa ich rozkazy i innego stanu rzeczy nie pojmuje. Lech, pierwszy pomiędzy swemi poczuł że to jest hańbą i zabolał nad swym

ludem, a dziwna rzecz, iż autorka, jakby umyślnie, w najważniejszych szczegółach prowadzi założyciela Polski śladami najpierwszego i najwyższego bohatera jaki istniał na ziemi. Lech, równie jak Mojżesz, ma naprzód podźwignąć moralnie i politycznie ziomków, następnie zaś nadać im prawa, których treści nie skruszyłaby żadna forma bytu; słowem związać nieruchomą i upadającą gromadę ludzi w całość która zowie się społeczeństwem, narodem, i ukazać jéj przyszłość niknącą w nieskończonéj oddali.

Zobaczmy jak ten ogólny pomysł rozwija się w poetycznych szczegółach.

Najpierwszy ustęp téj pieśni zawiera opis słowiańszczyzny i stosunek jéj do obcych górujących plemion, ujęty w pewne porównania poetyczne. Najezdniczy przechodnie, to burza która pędzi po ziemi, aby na niéj wszystko co rośnie odżywić a wyniszczyć co zwiędło: a kiedy nigdzie nie doznaje oporu, jedno tylko morze staje z nią do walki i na jéj pioruny odpowiada orkanem: to ówczesny świat rzymski, świat znaczenia historycznego, powierzchnia ludzkości która walką daje oznaki ruchu i życia. A dno morza spokojne, zdawałoby się że tam życie nie ma przystępu; tymczasem tam niewidzialnie plemiona nieme krzewią się jak ciche korale, aby kiedyś wyspą wybić się ku powierzchni: plemiona te, to Słowianie— hasło przyszłości.

Śród jednego z tych plemion zapomnianych i bezwładnych, powstał mąż, któremu była dana moc i czucie wielkie, tak że w sercu swém zamknął cały naród. Kiedy myśl dojrzała w jego głowie, poszedł on po nędznych chatach rólników, zwołał całą ludność na równinę otoczoną sześcią wzgórzami i w bolejących słowach przedstawił ziomkom nędzę i upokorzenie którego doznają. Tłum przyjął jego słowa płaczliwém zdumieniem, przyznał, że to boli, ale zaledwie zdobył się na zapytanie:

„Czyż być może inaczéj?"
—„Czy być może?"—Lech woła—
„Nie wiem.... Ale w rozpaczy
To wie serce człowiecze,
Że być musi inaczéj!"

Trzeba oderwać rękę od spokojnych zatrudnień, przejść się po bożym świecie i zobaczyć czy inne ludy takiego samego doznają losu, czy też używają swobody i według jakich warunków. Na wezwanie Lecha do podróży w nieznany świat, stanęło zaledwie dwunastu mężów, tak jak dwunastu apostołów wy-

zwolenia, którzy zdołali pojąć wielkość jego zamiaru i cel posłannictwa.

Minęły długie lata oddalenia, przez ten czas jedni nie doczekali wędrówców, drudzy o nich zapomnieli. Wracają nareszcie, ale jakże odmienni od tych którzy wyszli. Rodzinną ziemię opuszczał każdy młodzieńcem, okryty był ubogą sukmaną: dziś powraca z hełmem na głowie, z mieczem u boku, a szata jego lśni jaskrawemi barwy. Lech szarą sukmanę zmienił na strój karmazynowy o białych przepaskach. A jakże oblicza i postaci ich odmienne:

Jakże ich lata wędrówki zmieniły!
To nie młodzieńcy drżący i znużeni,
Ale olbrzymy ze krwi i z płomieni;
Ich wzrok swobodny, bo pewien swéj siły.
Dłoń tak żylastą, tak potężne ramię
Musieli wprawiać u wielu pól chwały.
Lata na czole im wypiętnowały
Smętne, lecz piękne doświadczenia znamię.

Pomimo całéj piękności przedstawienia, jednak ten cel wyprawy i powrót do kraju nie dość jasno nam się wyobraża; a ponieważ przyznajemy się do pewnéj wątpliwości, więc chcielibyśmy ją wyjawić głównie przed samą autorką. Mówi ona wyżéj o Lechu:

Aż powstał prorok, w czynach prorokiem,
Bo posłannictwo ziomków olbrzymie,
Najpierwszy dojrzał przeczucia wzrokiem.

Owóż namby się zdawało, że kiedy się komuś przyznaje tak wysoki charakter, posunięty aż do messyanizmu, to już mu trzeba przyznać i samoistną siłę spełnienia zadań przyszłości: a zatém zbyt to maleńki a nawet zaprzeczający środek wysyłać go po pomoc i na naukę do drugich. Wszyscy wielcy ludzie, natchnieni, jakim tu wydaje się być Lech, sami przez się są silnemi i z siebie tylko czerpią środki działania, wszelka obca pomoc jest dla nich przeszkodą: takim jest Edyp w Tebach, takim Wilhelm Tell w Uri. Lech jakby niedowierzał swym przeczuciom i sile, skoro chce przypatrzyć się organizacyom społeczeństw i korzystać ze wzorów, mówiąc do zgromadzonéj braci:

Jeśli ujrzę po drodze,
Że tak wszystkie narody
Jak my żyją, zbolały
Wrócę do méj zagrody,

I pożegnam sen chwały.
Lecz jeżeli zobaczę,
Że nie wszystkie narody
Znoszą jarzmo jęk, płacze,
Wrócę; lecz jak zbudzenie!
Zbudzę was i przemienię.

Otóż, człowiek który szuka czegoś, na czém mógłby się oprzeć, nie jest wielkim człowiekiem; bohatera, proroka, rzeczą jest inicyatywa: on nikomu nic zawdzięczać nie może tylko jednemu Bogu i sobie. Tu jedyną naturalną konsekwencyą charakteru Lecha było, uznawszy że to co jest, jest złem, zburzyć stary porządek, o własnych siłach stworzyć nowy bez względu na to co się naokoło dzieje, jak gdyby nic nie było na świecie, i dopiéro samemu być wzorem dla mniejszych od siebie. Autorka zaś uczyniła go zależnym od zewnętrznych okoliczności, czyli gdyby Lech zobaczył wszędzie stan rzeczy ten sam jaki widział u siebie, wtedy *pożegnałby sen chwały*, czyli poprostu byłby niczém. Trudna rada: namaszczeniec nieba w ten sposób nie kończy i tego ani słowem, ani czynem objawiać nie może. Druga rzecz: jeśli już Lech wyprawia się jedynie dlatego, aby drogą porównania dojść do jakiejś pewności w tém czego się ma jąć; tedy dziwną jest ta jego jakaś rycerska aplikacya. Pytamy, nie umiejąc zdać sobie sprawy, przeciw komu bił się Lech i o co? Jeżeli to miało być tylko ćwiczeniem w bojowej praktyce, to dobre na zwyczajnego człowieka, ale nie na twórcę narodu: jeżeli było wywołane potrzebą wyższych powodów, to gdzie one są i czy podobna nawet je wprowadzić? Autorka chciała tu być odbiciem podania, które niesie, że Lech niewiadomo zkąd przyszedł i cały zbrojny rynsztunkiem wojowniczym stanął pośród rolnego ludu; ale też Lech ściśle podaniowy nie jest jeszcze tym jakiego ona w poetyczném marzeniu pojęła, jak to jeszcze zobaczymy później.

Ta, według naszego mniemania, dysharmonia odzywa się kilką pojedyńczemi jeszcze tonami pieśni, której ogół jest tak harmonijnie obmyślany. Jakoż gdy uczestnicy wyprawy wiedzeni przyciągającą, tajemniczą siłą wrócili do rodzinnych stron i stanąwszy na wypoczynek, poznali miejsce o sześciu wzgórzach, z którego wyszli, wtedy w okrzykach radości powiadają między innemi do Lecha:

O wielki Lechu! twój wzrok co przeszywa
Jak strzała, wniknął w ustawy i boje

Tylu narodów!... Widzieliśmy twoje
Cuda odwagi, mądrości i siły,
Którym się obce narody dziwiły.
Tyś nas zapoznał ze wspaniałym światem;
Tyś nam ukazał rozumu zdobycze,
I dał kosztować oświaty słodycze...

To wszystko są uniesienia skierowane do przedmiotu obcego posłannictwu Lecha: nie cudzy rozum i cudza oświata, powinny budzić te uniesienia, gdyż sam Lech powiada w jednym z odleglejszych ustępów:

Szukałem, chciałem w prawach lub w życiu narodów
Znaleźć wzór dla mych ziomków, ale wam żadnego
Za wzór podać nie mogę: niech was nieba strzegą
Od chciwości, srogości, przemocy, swawoli,
Co tak świat ogarnęły, że aż serce boli.

co znowu jest w zupełnéj niezgodzie z poprzedniém. Bardziéj rażącém jest jeszcze to, że gdy Lech za powrotem znowu zwołuje tę ludność, która go przed laty nie pojęła, a staje przed nią strojny i otoczony zbrojnemi towarzyszami, wtedy dopiéro tłum zdumiony zawołał. «Ach! to jeden z bogów!" i wtedy też dopiéro zaczął go pojmować. Prawda, z jednéj strony jest to bardzo naturalném, że umysł leniwy i podupadły potrzebuje materyalnéj, zmysłowéj podniety; ale z drugiéj strony te zmysłowe środki zbyt tu stanowczą nadają przewagę Lechowi, że tak powiem wykształconemu po ludzku, nad Lechem prostaczkiem natchnionym tylko przez Boga.

Przebiwszy się raz przez te ciernia skrupułów nieodłącznych od sumiennego czytania dzieła tyle zasługującego na uwagę, poprzestaniemy odtąd na samém sprawozdaniu z rzeczy i wrażeń jakie ona w nas wywołała. Otóż, Lech wróciwszy do kraju, mocny doświadczeniem i siłą wielkiego uczucia, pragnie natychmiast podźwignąć swe plemie i tchnąć w nie ducha, któryby je postawił w pierwszym rzędzie pośród narodów. Nie widząc zaś potemu środków ani wsobie ani poza sobą, przyzywa bogów, którzy mu też przyrzekają pomoc i poddają rozmaite środki. Ofiarują mu pokolei: potęgę wojenną, geniusz artystyczny, bogactwo, wiedzę tajemnic natury; ale on wszystko to uważa za niedostateczne, za słabe lub zużyte, a Lech chciałby plemię swe uczynić takim narodem, jakiego na ziemi nigdy jeszcze nie było. Ale na tém tylko ograniczyć się mogło władztwo bogów przeszłości: ideał narodu o jakim marzył Lech przechodził

ich sferę; więc rozgniewani za odrzucone ofiary, odeszli od niego. Wtedy dopiéro, po ich ustąpieniu, na rozpaczliwe wołanie Lecha o pomoc do spełnienia tak wielkiego celu, odezwał się w sercu jego głos Boga przyszłości, głos pocieszający, który mu rzekł te słowa.

. . . . . Ja tobie odpowiem!
Miłość moją koroną, cierpienie wezgłowiem;
Jam jest Bogiem przyszłości, ja *Bóg poświęcenia.*
Choć mnie jeszcze nie znacie, już was ukochałem;
Przez serce was wywyższę! znajcie łez rozkosze.
Zbudziłeś mnie wołaniem tak święcie zuchwałem;
Wstań i ryj w sercu prawa, które ci wygłoszę.

Ten zwrot cechuje główną myśl autorki; to natchnienie i proroctwo jakiém z góry namaściła Lecha, tu ona dopiéro właściwie sprawdza, kładąc za kamień węgielny nowéj budowie zasadę Chrystusa tlejącą tylko w przeczuciu bohatera. Spotyka się tu ona z Bohdanem Zaleskim, który w *Duchu od Stepu*, wprowadzając Słowian w chwili jak odbywają tak niewinne, bezkrwawe uroczystości na cześć swych bóstw, już tém niejako zbliża ich do sfery uczuć chrześciańskich i nachyla nad niemi niebo nowéj wiary mówiąc:

A z otchłani duch Wojciecha
Ku swéj dziatwie się uśmiecha.

Dwa te ustępy wyobrażające przelom przeszłości z przyszłością za pośrednictwem Lecha, oprócz zalety pomysłu, odznaczają się nader poetyczném oddaniem.

Tak dopiéro duchem Bożym umocniony Lech gromadzi swą ludność, która uderzona blaskiem jaki odeń bije, uważnie i skwapliwie słucha jego głosu. Scena ta stanowi serce całego poematu, w niéj bowiem ukazują się natchnione przez Lecha żywioły bytu i posłannictwa, któremi naród polski miał odznaczyć się śród innych plemion i cywilizacyi. Żywioły te leżą w trzech prawach: piérwszém prawem jest rozdział ludności na rolną i wojowniczą, z których obie mają się wzajem wspierać ku podtrzymaniu całości wewnątrz i zapewnieniu siły na zewnątrz; drugie prawo nadaje każdéj jednostce udział w rządzie, możność ubiegania się o władzę najwyższą i tworzenia ustaw według zasady *liberum veto*; trzecie nakazuje utrzymywanie stosunków z obcemi tylko na drodze miłości, ztąd wyraźny zakaz prowadzenia wojen zaczepnych; oręż ma się tylko wydobywać w obronie własnéj lub cierpiących krain jako godło poświęcenia dla ludów.

Wtym ustępie autorka staje na ostatnim szczeblu drabiny dziejów i to co widzi na ich przestrzeni rzuca jako zaród w pierwiastki życia; jest to zatém zastosowanie krytyki dziejowéj do pomysłu poetycznego, tendencyjność pewna, nie zaś swobodny, bezpośredni, wybuch natchnienia. Nie jest również w tém zebraniu żywiołów stwarzających fizyonomię historycznéj Polski, własna autorki myśl, ale raczéj objaw przechylenia się do jednego stronnictwa. Wsamej rzeczy poglądający na przeszłość naszą dadzą się podzielić na sceptyków i entuzyastów. Pierwsi zwracają się nieustannie do reszty Europy wciąż porządkującéj się lub porządkowanéj siłą czy prawa czy łańcucha i zdobywającéj sobie przez to mocne stanowiska polityczne; co zgoła przeciwném jest biegowi rzeczy w Polsce, która nie patrzy w przyszłość, nie zażegnywa żadnéj burzy, dozwala samowolności indywiduom i tam gdzie potrzeba siły prawa, podstawia formę obyczaju. Wten to sposób sceptycy powyższe przez Deotymę, zebrane żywioły nazywają słabością lub niedorzecznością w obec politycznego biegu rzeczy. Drudzy, a nadewszystkich Mickiewicz, zapatrując się ze stanowiska więcéj poetycznego dowodzą, że zasada rządząca w Polsce mianowicie wybór naczelnika rządu i *liberum veto*, była wielką sama w sobie, i dlatego samego że wielkością swą przewyższała ducha czasu i usposobienia indywiduów, nie mogła być wykonalną: wymagała ona niezmiernéj czujności osobistéj i ogromnego wykształcenia obywatelskiego, bez czego stawała się szkodliwą w praktyce, nie tracąc bynajmniéj teoretycznéj znakomitości (1).

(1) Majorkiewicz w badaniach historycznych, trapiony filozofią Hegla, powiada, że *liberum veto* było znakomitą instytucyą, gdyż ona dawała pierwszeństwo kategoryi *jakości* nad kategoryą *ilości*. Tymczasem instytucya ta jeśli ma zaletę, to nie dlatego, że trafia w rym niemieckiéj doktryny, tylko że jest jakimś objawem delikatności obywatelskiéj, miłości braterskiéj, więc podług mnie trafniéj tę stronę określa Deotyma, mówiąc: „Lepiéj jest zgodzie poświęcić własne zdanie, niż obrazić brata, choćby jednego brata." Wszak i dziś nawet w systematach reprezentacyjnych, przy obradach wielkiéj wagi, wymagana jest jednomyślność albo większość bardzo do jednomyślności zbliżona, co w dawnéj Polsce łatwiejszem być mogło do osiągnięcia, gdyż tam nie było *de jure* uorganizowanych stronnictw politycznych; wyrodziły się wprawdzie stronnictwa nadużyć, lecz to jest kwestyą innego rzędu, sfery moralnéj, nie zaś politycznéj. P. Julian Bartoszewicz, który znowu, bez pomocy filozofii niemieckiéj, okazał tyle zdrowego rozsądku w ocenianiu faktów, utrzymuje, że Jan Zamojski,

Nic dziwnego, że Deotyma sposobiąc rzecz poetyczną, poszła za tym drugim poglądem i nawet *liberum veto*, ku wielkiemu zapewne zgorszeniu pessymistów, postawiła w rzędzie myśli przez Boga przyszłości natchnionych ojcu narodu. Co pewna, to pomiędzy temi dwiema opiniami trudno jest utrzymać się na średniéj drodze; my więc z całą szczerością przekonania stajemy po stronie, która w żaden sposób nie może się ostać, jeśli widomy rezultat stanie jako najwyższy sędzia, i zniewoleni jesteśmy tém oświadczeniem wyznać, że konstytucya polska ze względów humanitarnych nie zaś czysto politycznych nie musiałaby być jedną z najgorszych, jeśli naród ukształciła tak, że w ciągu kilkonastowiekowego istnienia nie zaszkodził on nikomu, choć miał potemu siłę i środki, tylko samemu sobie; że w pośród niego niewidać ani zdrad dyplomatycznych, ani królobójstw, ani fałszu uprawnionego, ani rzezi i morderstw systematycznych, jakie tyle kart zajmują w równoległych dziejach ucywilizowanéj Europy. Przeciwnie dźwigał on cierpliwie i bezinteresownie ciężar obrony przeciw naciskowi muzułmańskiego barbarzyństwa; po za jego piersiami robotnik Zachodu pewien był, że mu złowrogi przybysz domu nie spali, plonu nie zabierze i nie zniesławi rodziny; jednak to wszystko nie usprawiedliwia mnóstwa błędów psujących zasadę, nie usprawiedliwia opieszałości i braku taktu, a przez to nie idzie w rachubę cywilizowanego Zachodu, który zawsze kładzie Polskę w rzędzie najmniéj wpływowych narodów, i pod tym względem może mieć nawet słuszność. Nie idzie wszakże zatém, aby zawsze i wszędzie za miarę do wartości jakiéjś idei tkwiącéj w narodzie nominalnie miała służyć obszerność wpływu, jaki ta idea wywiera. Wszak Izraelici żywili u siebie ideę prawdziwego Boga, Hellenowie ideę piękna; a któż ze spółczesnych zrozumiał te idee i poszedł za niemi? Życie ich przetrwało byt polityczny ludów, które je wyznawały. U nas, zasada ludowa, zebrana w obecnym poemacie w kilka żywiołów głównych, była niezawodnie wysoką i wielce chrześciańską, ale cóż ztąd? Każda idea z początku jest prosta sama w sobie, niby absolutna, taką przynajmniéj wydaje się ona dziecinnemu wiekowi czy pojedynczych osób czy naro-

hetman przypadkowy, jako wódz wojska wiele korzyści przyniósł narodowi; tenże sam Zamojski, urodzony kanclerz, jako urzędnik przyczynił się do ustalenia najniepomyślniejszych zasad, jako elekcyjność i fakt absolutnéj jednomyślności.

dów; kształcenie się dopiéro i doświadczenie rozjaśnia ją, rozprowadza na szczegóły, jedném słowem rozwija tę prostotę na rozliczność kształtów i barw, stawia ją na rozmaitych punktach widzenia i stara się stosować ją do rozmaitych potrzeb. Absolutyzm czysty dobrym jest jako wiadomość, ale jest on zupełną mrzonką w zastosowaniu do życia, które z wszelkiéj idei wybiera to tylko, co rzeczywiście w danym czasie i daném miejscu potrzebném jest i co zastosowanem, oraz w jaki sposób, być może; i tym tylko sposobem życie powoli a systematycznie tę ideę wyczerpuje. Owóż naród nasz miał przed sobą ideę najpiękniejszą, ale widział ją tylko w absolutném skupieniu, jak dziecko; nie dorósł nigdy do jéj rozwikłania, do zrozumienia dróg jéj rozwoju względnie do rozmaitych potrzeb czasu i przestrzeni; nareszcie odwróciwszy oczy od zasady ku nizkim widokom, rozwiał ją i rozproszył nieudolną lub swawolną ręką, bo Bogiem a prawdą, u nas obok wielu pięknych rzeczy znajdowało się wielu brzydkich ludzi: tym sposobem naród wypuścił żywotny skarb, po który kiedyś kto inny może się schyli, tak jak schylił się po szczątki rozbitéj arki ludów Jordanu lub po odłamki twórczego geniuszu Greków. Uczciwszy zasadę leżącą nominalnie w gruncie narodu, nie możemy stłumić gorzkiego wyrzutu indywidnom, które jéj wykonać w całym obszarze z pożytkiem dla siebie i dla drugich nie umiały, i gorycz tego wyrzutu wzrasta w miarę uznania wysokości zasady, jaką społeczeństwo nasze piastować było powołaném.

Chcieliśmy tedy powiedzieć, że osnowa rzeczy, jaką nam w tym poemacie daje autorka, ma za sobą pewną słuszność i powagę, a choćby i nie miała jéj, to, odnosiłoby się więcéj do krytyki historycznéj: my wszelako tę estetyczną musimy uwagę zrobić, że tu panująca myśl poematu niedość silne ma rozwinięcie. Tu Lech w obec narodu przepisujący mu prawa jest więcéj kaznodzieją lub oratorem niż figurą poetyczną, tu niema obrazu, ruchu, życia, ale jest tylko mowa: ztąd też to, co z prawa założenia winno jak nić złota wić się przez cały poemat, jest tu tylko skupione w jeden ustęp stanowiący li tylko jakieś zwierciadłowe ale nie artystyczne odbicie myśli głównéj. Prosta logika wierzyć każe, iż ci do których on mówi, nie rozumieją go wcale, boć to senni ludzie zaledwie przecierający oczy, i dlatego uderzająco nieprawdopodobnym zdaje się nam wiersz, którym lud odpowiada na ostatnie słowa Lecha,

O Boże poświęcenia! Ty bądź naszym Bogiem!

Ten okrzyk tu jest tylko tryumfem mówcy, nie zaś męża czynu działającego w imię jakiejś zasady, a dla ludzi patrzących jeszcze bezpośrednio, nie zaś przez pośrednictwo zasad, czyn i tylko czyn jest sprężyną zapału. Tymczasem tu czyn następuje później; Lech temi słowy zbudził śpiącego w swojém plemieniu lwa, który wstrząsnął grzywą i tém wstrząśnieniem daleko odrzucił nieprzyjaciela, co mu grzbiet uciskał.

Wojsko Lechitów
Głosem zachwytów
Pod niebo uderza w chóry;
A gnane strachem
Ludy przed Lachem
Pierzchły za rzeki i góry.

Otóż tu właśnie było miejsce do zapału, do uwierzenia w Lecha i w zasady, w imię których działał, bo biorąc rzeczy tak jak one idą w naturalnym porządku, w cóżby się te zasady jego, tak uroczyście przez lud przyjęte obróciły, gdyby Lech nie odniósł zwycięztwa, gdyby za jego poruszeniem lud jeszcze bardziéj ucierpiał, co wszakże było rzeczą ludzką.

Lech księciem przez lud okrzykniony, zakłada stolicę w tém właśnie miejscu obrad otoczoném sześcią wzgórzami i nazywa ją Gnieznem, występuje raz jeszcze do boju za sprawę ludu i tam kładzie głowę w jego obronie, kończy jak przystało na bohatera: z mieczem obrony w ręku, z okiem do nieba wzniesioném i w zupełnym spokoju ducha. Już on missyi swojéj dopełnił, już za jego sprawą lud został narodem. Naród *szlachecki* żałosny i wdzięczny ojcu swemu za podźwignienie, wychowanie i zasady życia przyszłego, z płaczem sypie mu mogiłę, która jest siódmém wzgórzem Gniezna. U téjto mogiły widzimy w epilogu autorkę, ktora uczucia swe na jéj widok kończy temi słowy:

I uklękłam przed mogiłą
I podniosłam w niebo dłonie,
Serce moje jak dzwon biło...
Ja nie śpiewam, ja łzy ronię!

Największą i niezaprzeczoną zaletę tego poematu stanowi pomysł główny, który na tak wysokie stanowisko wprowadzając zakładcę narodu, czyni go nietylko pierwszym mężem w porządku czasu ale zarazem duszą i przyszłością narodu. Dziwném jest sprowadzenie do jego myśli, zasad wydobytych z dokonanego już żywota dziejowego, jakoby związanie w jeden łańcuch wszystkich z kolei wieków, co jeśli poczytaném być

może wprost za dowolność i fantazyę poetyczną, to też z drugiéj strony i cała osoba Lecha jest niczém inném jak fantazyą: skoro więc przypuścimy osobę, to jednakowo przypuścić możemy wszystkie jéj właściwości o ile te wynikają z niezaprzeczonych ogólnych prawd. Prześliśmy za śladem autorki drogę szczegółowego rozwijania tego pomysłu, nieukrywając bynajmniéj tego, co nam wydawało się na niéj zboczeniem: teraz wypadałoby coś nadmienić o samém oddaniu słownem. Formę autorka wybrała sobie najłatwiejszą: nie jest to ciąg nieprzerwany eposu, nie jest tembardziéj dramat, do którego, aby tylko urządzić należyte rusztowanie, już potrzeba niepospolitych sił inwencyjnych; jestto najswobodniejsza forma oderwanych rapsodów, charakteru ponajwiększéj części lirycznego, nader wydatnéj subjektywności i zmiennéj bardzo struktury wiersza, żywszego lub poważniejszego w miarę przedstawianéj w nim myśli. Byłaby ta forma rapsodyczna nader właściwą, gdyby cała treść osnutą była na jakim wianku pieśni ludowéj; ale tu gdzie wszystko ma zakrój *grandioso*, i opiera się na całéj summie nauki dziejowéj, nie wiém czy jest wystarczającą, nie daje przynajmniéj pola do rozwinięcia na taką skalę szczegółów, na jaką pomyślana jest całość. Ale trudno to jest płynąć przeciw wodzie i żądać od autorki co innego nad to, do czego kierowało ją usposobienie. Deotyma czuła się pobudzoną do pieśni, w niéj zamierzyła przeprowadzić rozmaite drgania życia historycznego, czego ten poemat jest tylko początkiem, zapowiedzią dalszych utworów; więc też i bohater jéj jest tylko pieśnią, uczuciem, i pozostawia w umyśle naszym wrażenie muzyki; obraz czynów dla nas nie istnieje, pozostają tylko ostatnie ich rezultaty. Autorka umiała jednak utrzymać w téj formie całą godność odpowiadającą wysokości przedmiotu, słowo jéj posiada wdzięk i powagę. Zapisała tu ona jakby mimochodem kilka faktów kronikarskich, jako to: założenie stolicy, wprowadzenie herbów, z których najpierwszym ma być *topór*, założenie miasta Bremy Lechowi przez Kromera przypisywane, przybranie nazwy Polaków czyli Polechów jakby potomstwa Polechowego. Te i tym podobne rzeczy należą już więcéj do sfery czystego eposu i dlatego tworzą tu pewien rodzaj dygressyi od ogólnego liryzmu, który w całości przedstawienia panuje i zajęty jest tłumaczeniem raczéj znaczenia faktów jak ich opisywaniem.

Słowem poemat ten, tak ze względu na treść przedmiotu jako i na formę, stoi niezaprzeczenie na czele dotychczasowych

utworów Deotymy i widzimy z przyjemnością, że autorka zrzuciła z siebie ten ciężar erudycyi, która nie mogła ukryć swéj lodowatéj prozy pod najświetniejszemi wstęgami poetycznych słów i wyrażeń. Tu już uczucie śmieléj i pełniéj wybiega z jéj piersi i niekiedy odzywa się nawet słowami zapału, który nie wybucha jednak nigdy falami potoku, ale jak cichy i narzekający strumyk, uczucie jéj w chwilach najwyższego nawet podniesienia, donośniejszym tylko rozbrzmiewa szmerem. Zasypała nas téż autorka kaskadą takich perełkowych słów zbijających się w jeden głos delikatny, miękki, nawet zbyt miękki i pieszczotliwy jak na czasy i rzeczy które ma z twardéj przeszłości do życia wywołać. Przydałaby mu się widocznie większa męzkość, którąby, niepsując jednak téj rzewności uczucia jaka już jest, zdołała wszakże zasilić ją żelazem energii nieodłącznéj od wieku, w którym żyli ludzie żelaźni.

3 czerwca 1859 r.

Kazimierz Kaszewski.

CZAS, DODATEK MIESIĘCZNY: Za styczeń 1859 r. (Tom XIII, zeszyt 37).

Na czele czytamy: „O stosunkach dyplomatycznych dworu moskiewskiego z litewskim w drugiéj połowie XI wieku.“ W szacownem piśmie rossyjskiém, Dzienniku ministerstwa oświecenia narodowego z r. 1854, znajdował się artykuł ważny, którego treścią chronologiczny przebieg stosunków dyplomatycznych dworu moskiewskiego z litewskim w drugiéj połowie XV wieku: którego podstawą, są oryginalne dotychczas, niekażdemu dostępne źródła. W rozprawie téj mamy część ich podaną w wiernem tłumaczeniu, a raczéj w streszczeniu.

Gerwinus i historya dziewiętnastego wieku. Jestto trzeci ciąg studyów Michała Słomczewskiego, z zwróceniem uwagi na stan umysłowy w naszym czasie i wpływ rządu na sposb myślenia i charakter nowszych społeczeństw.

Pamiętnik czyli krótki rys czynności wojennych brygady polskiéj 20téj jazdy, w wojnie 1813 r. od epoki przyłączenia jéj do korpusu 1go wielkiéj armii. Pamiętnik ten spisany przez jednego z współtowarzyszów broni, oprócz nadzwyczaj zajmujących nas faktów, odznacza się dosadnością malowidła, w przedstawieniu

tak położenia dwoch obozów nieprzyjacielskich jak i samych bitew. Są ustępy tak poetycznie oddane, że zdumieniem przejmują, pomnąc, że je kreśliła taż sama ręka, co zbrojna w szablę miała w nich nieobojętny udział.

Opowiadanie ostatniego Teorbanisty Żebraka: spisane przez Romana Szkarłupka w VI ustępach, opowiada zgon Rzewuskiego. Nie braknie tu kolorytu prawdziwie ukraińskiego, znać poetę, co czerpał z pieśni i podań ludowych natchnienie. Śliczna jest na czele przygrywka starego teorbanisty.

Po nad Sawraniem,
Po nad chatami,
Sęp przelatywał;
Miotąc skrzydłami,
Tuman rozmiatał,
Płynąc, piersiami
Chmury przeplywał.
I długo latał
Długo kołował,
To po nad chatą
Staréj Tetiany,
To po nad krzyżem
Cerkwi drewnianéj,
To po nad kratą
Furtki cmentarza!
Złowieszcze kruki,
Których nie mało
W Sawrańskiéj włości,
Sępa mijały;
Lecz nie poznały;
Bo takich gości
Tu nie bywało,
Odkąd niestało
Starszyny orla.
A sęp tymczasem,
Coraz to niżéj
Skrzydła naginał,
I coraz słabiéj
Piersią przerzynał
Mgliste powietrze,
I coraz bledsze
Żale zawodził:

„Stepie, oj stepie! rodzony ojcze!
Maé, Ukraino! ja to wasz płód;
Gdzież się podziały stada mołojcze
Braci sokołów? Matko i ojcze!...
Nikt się nie ozwie? wszystkoż jak lód?

Nie masz cię, nie masz orle, hetn anie!
Pusty bez ciebie sokoli gród!
Tylko gdzie spójrzysz, kruków latanie;
Gdzie słuch nawiedziesz, kruków krakanie,
Płoszą trwożliwy gołębi ród!

Nikt cię nie wspomni tu, atamanie!
Każdy się boi otrząsnąć pleśń
Strasznéj przeszłości. Lecz nim skonanie
Głos mi odejmie, na pożegnanie
Wcześć twoją, orle! zaśpiewam pieśń.“

Znajdujemy tu parę strof tłumaczonych z Tomasza Padury wybornie:

„Na dół spisy! na dół spisy!
Bo do tańca Tatar stał!
Przepadniecie podłe biesy;
Kozak nowy kożuch wdział,
Hej, co Kozak, Tatar zna,
Hura ha! hura ha!

Kozak strachu się nie boi,
Bo w nim krew kozacza gra;
Nikt mu w polu nie dostoi
Kiedy huknie: hura, ha!
Hej, co Kozak, Tatar zna,
Hura, ha! Hura, ha!

Przeglądy piśmiennictwa Lucyana Siemieńskiego, jak były tak i są zawsze najcelniejszą ozdobą *Dodatku*; a dla nas mają najżywotniejszy interes, bo dotykają kwestyj już społecznych, już co główniéj literackich. Pogląd wyższy, sąd zdrowy i wytrawny, wielka, uczciwa sumienność w ocenie sprawiedliwéj każdego utworu, wyrobiły tym przeglądom powagę w naszym świecie literackim; dodajmy do tego jasność stylu, i dobitność w wyrażeniu każdéj myśli. W tym zeszycie, poświęca Siemieński przegląd epopei narodowéj, z powodu ogromnego poematu Kajetana Koźmiana p. n. Stefan Czarniecki. Charakteryzuje wybornie znaczenie prawdziwéj epopei narodowéj, przechodzi na niwę ojczystéj literatury. „W nowszych czasach (pisze) prób było wiele, ale choć im talent towarzyszył, prędko zapomniane zostały. Dość gdy wspomnę Kraszewskiego litewskie epos; ileto tam jenialnych i zręcznych środków sztuki, jakie bogactwo szczerego materyału! Plastyki nawet i dramatyczności nie brak, jednakowoż utwory te, spotkała rychła obojętność. Albowiem świat wyobrażeń, uczuć, scen i osób przedstawionych w tym okresie cywilizacyi pogańskiéj Litwy, nie znalazł żadnego u dzisiejszych rozgłosu. Czemu? bo za przeszłością pogańskiéj Litwy, nie zostało w nas odrobiny żalu, bo tamten stan kultury, nie wydaje się nam dość olbrzymim, siły natury nie rozbujały tam do tych rozmiarów, co w owych bohaterach Iliady lub Odyssei. Dlatego niemając potrzebnéj ilości żywotnego interesu zeszły do interesu romansu.“ Co do Stefana Czarnieckiego tak definiuje całość utworu tego: „Nie szukał on (Koźmian) sposobów odtworzenia przeddwuwiekowéj przeszłości naszego narodu z wszelką precyzyą Walterskockiego romansu: koloryt u niego bardzo słaby, więcéj konwencyonalny jak miejscowy, charaktery niedość silne, a raczéj niepewnemi rysami narzucone, plastyka rozwiewa się w rozumowanie

lub morał. Cudowność zanieczyszczona: bo obok pojęć katolickiéj wiary, wystawia głowę jakaś klassyczna wiara w allegoryą, a niekiedy i w mitologiczne bóstwa. Zresztą w opowieści interes rozstrzelony, jak w historyi, kiedy ta wiernie spisuje tylko fakt po fakcie. Słowem, mimo użycia wszystkich tajemnic epoki, mimo pompatyczności wiersza, zostaje właściwie żywot Czarnieckiego rysami spisany.“ Nie możemy się zgodzić na tę ostatnią myśl autora *przeglądu*: właśnie że nie ma w téj ogromnéj księdze spisanego żywota jak należy Czarnieckiego, żadne go dotąd pióro historyka poważnego z należytą ścisłością nie określiło; w poemacie zaś Koźmiana, jak całe tło właściwych czasów fałszywe, tak niedołężnie odmalowany główny bohater. Jeżeli tak piękne próby Kraszewskiego w zapomnienie poszły, to przecież choć czas jakiś zajmował ogół, a prawdziwe w nich piękności nie zaginą w literaturze naszéj. Ogromny poemat co do ilości wierszy przechodzący wszystkie znane u nas, przy samém wyjściu z pod prasy, spotkała obojętność, pomimo tak zachęcającéj treści, i ważności głównéj postaci. Przeczytanie téj ogromnéj księgi, już jest nużącą pracą, bo badacz z niechęcią przerzuca karty bez życia i prawdy dziejowéj, a każdy inny czytelnik, bez znalezienia owéj podniety, którą daje tylko prawdziwy talent i natchnienie. Nie przeczymy, że są tu ustępy nierzadkie, pięknym zawsze opowiedziane językiem, z siłą i prawdziwą wymową, ale gdzież jest poezya, w któréj smakować nauczyli nas nasi wieszczowie?

Kończy L. Sienieński swój przegląd, że poemat ten: „przyjmijmy go jak jest, a na grób szanownego starca, rzućmy kwiat pamięci, téj saméj woni i wspaniałości, jaką uczcił mogiłę bohatera narodu.“ My przecież dodamy, że Stefan Czarniecki zasłużył na kwiat i lepszéj woni i wspaniałości: a szanując usiłowania wątłe czcigodnego starca, imię bohatera jednego z najzasłużeńszych w narodzie, zostawiamy ku uczczeniu prawdziwym wieszczom polskim.

Kronika obejmująca korrespondencye z różnych stolic europejskich, która cechuje tak odrębnie *Dodatek Czasu*. zaleca się jak zawsze zajmującą treścią.

CZAS, DODATEK MIESIĘCZNY: Zeszyt za luty r. b. (Tom XIII, zeszyt 38).

Rozpoczyna ciąg IV ważnéj rozprawy Michała Słomczewskiego: „*Gerwinus i historya XIX wieku*“, którego treścią: zna-

czenie polityczne stanu średniego, i jakie stanowisko zająć powinny klassy wyższe. „Wyprawa Hajdamaków na Czarnobyl za czasów Koliszczyzny.“ jest tak ciekawą, że czyta się jak zajmująca powieść. „W téj chwili kiedy głowy Żeleźniaka i Gonty legły już pod mieczem katowskim (pisze autor we wstępie), inne oddziały bandytów chłopskich pod dowództwem oddzielnych swych atamanów, wałęsające się po różnych okolicach Ukrainy, unikając podobnego losu, jaki spotkał naczelnych wodzów, powoli zrzekały się celu, jaki sobie pierwiastkowo w powstaniu założyły, tojest: oswobodzenia swoich współbraci od mniemanego jarzma panów polskich. Niespodziewając się znaleźć bezpieczeństwa w domach, zmierzali ku lasom, i zamieniali się z bohaterów narodowych, na zwyczajnych zbójców, co unikali tylko zasłużonéj kary, która miała nadejść prędzéj, późniéj. Jeden z podobnych oddziałów przed zupełném jeszcze rozproszeniem się, złożony z kilku tysięcy ludu dobrze uzbrojonego, udał się pod przewództwem atamana *Bondarenka* w leśne strony Polesia, ku Czarnobylowi.“

Wypadek ten dostarczył treści dla nieznanego dotąd autora Jana Dalkiewicza, do napisania poematu, dotąd zachowanego w rękopiśmie tylko, p. n. „Niezdobyty zamek czarnobylski czyli przykładna wierność poddanych, okazana JW. Mikołajowi Chodkiewiczowi staroście żmujdzkiemu w czasie ukraińskiéj hajdamaczyzny.“ Przypisał go Karolowi Chodkiewiczowi, i tu nie pożałował kadzidła. Z tego obszernego poematu i rozwlekłéj gadaniny, ułożono treściwą opowieść, wielce zajmującą. Jestto dokument historyczny, a wiele jeszcze takich potrzeba, aby dzieje koliszczyzny ostatniéj wyświęciły się dla badacza. Przedmiot zawsze godny pióra autora Zamku kaniowskiego. Poświęcenie *Wasyla Semienika*, który dla łatwiejszego zwycięztwa przeszedł pozornie do bandy atamana Bondarenko, z całym oddziałem swoim 150 kozaków nadwornych; jego zręczność, zimna krew w dokonaniu zamierzonego planu: wszystko to nadaje téj postaci wyższe znaczenie w całej téj sprawie, nad samego starostę Chodkiewicza, który w cieniu tylko zostaje. Śmiały ten czyn stawia silny dowód, jak mieli wielkie przywiązanie panowie polscy u ludu ukraińskiego, gdy tak wielkie wywołać mogli poświęcenie, nietylko dzielnego Siemienika, ale i 150 jego towarzyszów. Dla poparcia tak ważnego faktu, który takie rzuca światło, na stosunek panów względem poddanych, należałoby, właśnie jako materyał dziejowy, ogłosić drukiem ów poemat *Jana Dalkiewicza*. Wiemy z doświadczenia, że w tego rodzaju utworach, jakkolwiek nieudatnych

formą, przy zupełnym braku strony artystycznéj, są drogocenne dla historyi ojczystéj zasoby. Nasi przodkowie mieli poczucie do przedmiotów poetycznych, i chwytali każdy godny tego, przyodziewając go formą poetyczną. Ale ten przystroj, wystarczający im na owe czasy, dziś niedziw, że niesmak w potomkach obudza; nie idzie zatém, ażebyśmy nie oceniali należycie tego rodzaju pomników, które nas wtajemniczają, nietylko w nieznane fakta dziejowe, ale nadto odsłaniają tajemnice domowe żywota przodków. *Biblioteka Polska* J. K. Turowskiego jest właśnie tego rodzaju publikacyą, w któréj takie zabytki mieścić się powinny. Przypominamy tu jéj zadanie, które dotąd tak pięknie spełnia. Redaktor, dobry znawca starożytnéj literatury, znajdzie w niéj drogocenne tego rodzaju pomniki, już drukowane a równie rzadkie jak rękopisma, już w samychże rękopismach. Gdzie zasób dziejowych szczegółów widoczny, wierny przedruk konieczny całości, nieoglądając się na brak wartości poetycznéj i artystycznéj. Od czasów Stefana Batorego do ostatnich niemal czasów, walają się drogocenne tego rodzaju zabytki w broszurach, lub po Dyaryuszach domowych i Sylva-rerum niejedném. Zebrać je i ogłosić drukiem, to zasługa obywatelska dla dziejów przeszłości naszéj.

Mowa religijna miana w czasie żałobnego nabożeństwa d. 22 grudnia 1858 r. za duszę ś. p. S. Cyryla Stefanowicza arcy-biskupa, metropolity ormiańskiego, w kościele stanisławowskim ormiańskim przez księdza Isaakowicza, wymownie maluje zasługi zmarłego pasterza, który doczekał rzadkiéj sędziwości, bo przeżył lat 107. Ileż on zmian kraju nie przeżył: urodzony za czasów Augusta III: całe panowanie Stanisława Augusta, a następnie tylu monarchów, tyle wielkości światowych. Wincenty Pol, uczcił pamięć jego wierszem, który w całości przywodzimy.

„Kiedy duch wielki uchodzi z ojczyzny,
Na miłość wieczną i na spokój wieczny,
To srożéj palą stare nasze blizny,
Bo nikt się nie zna w sieroctwie bezpieczny.
Bóg dał go ziemi na ochłodę wieku,
Szeroko władnął duchy pokutnemi,
I wszystko sprawił co jest dane człeku,
I wszystko oddał i Bogu i ziemi.
Książę kościoła, więc jego trumnie,
Jako przy księciu stójcie wierni tłumnie;
Ojciec narodu, więc na jego grobie
Dajcie łzom folgę i serca żałobie.
On jako prorok Starego zakonu.

Jak wołający głos na puszczy wołał,
Aż się lud zwrócił do bożego tronu,
Aż pracy ojca i księcia podołał.
Bóg mu natchnienia i wieku użyczył,
I łaski, jaką tylko świętym daje,
Uczył, naprawiał i dźwigał i ćwiczył,
I dziś, jak winne grono w Panu staje.
Na jego grobie, będą odtąd wierni
Modlić się w ciszy jak pod jego bokiem.
Nie jedno serce obierze on z cierni,
Nie jedną duszę namaści urokiem.
I rość nam będzie na tę chwałę Boga,
Czém bardziéj od nas w czasiech się oddali,
Bo jego droga, to zbawienia droga.
I stał w kościele, jako święci stali.

Dwie Legendy: Polieukt i Nearchus, przez Juniusza, i o św. Kazimierzu Jagiellończyku, Antoniego Niwki: poetycznéj nie mają wartości.

Opowiadanie o Szwedach w *Nowym-Sączu*, z r. 1655, widzimy ze szczegółów, że czerpane ze współczesnych źródeł. Rzecz skreślona przez Szczęsnego Morawskiego wybornie, z zachowaniem ówczasowego kolorytu, pomimo kilku niewłaściwych ustępów, które wykazują dzisiejsze pióro. Dla dania powagi autentyczności, téj zajmującéj opowieści, należałoby wymienić źródła zkąd czerpane. Ważny tu znajdujemy szczegół co do ludu na Podgórzu. „Górale królewskich stołowych dóbr, kmiecie, nie mogli pojąć jak to może być, żeby opuścić króla i dziedzica swego a słuchać Szweda lutra, heretyka, który gdyby Tatarzyn lub Turek dobywa świętéj Częstochowy, łupi kościoły i zabija zakonników. Ile razy spoglądnął który na koronę z czerwonego sukna na swéj gurmance, jako chlubną, królewskiego poddaństwa oznakę, ściskał pięść i zgrzytał zębami. A w dobrach zakonnic Staro-Sądeckich czy inaczéj było? a w dobrach Lubomirskiego? a w onych biskupa krakowskiego? Nawet zbójcy podgórscy nie chodzili na zbój, ale z góralami naradzali się jawnie, jakby się tu wziąć do tego Szweda, a straszny *Nędza Litmanowski* ściskał olbrzymie pięście odgrażając się Szwedom i lutrom.“ Jestto szczegół powtarzamy nadzwyczaj ważny, gdy szlachta opuściła Jana Kazimierza, gdy Karol Gustaw wzywał lud do rzezi szlachty, i nagrodę hojną przyrzekał za głowę każdego trupa. A przecież ten lud się nie ruszył, ale zwrócił się przeciw najezdcom kraju, i przy każdéj sposobności pomagał szlachcie i rycerstwu do ich wytępiania.

W Przeglądzie piśmiennictwa Lucyan Siemieński rozbiera Pamiętniki Kajetana Koźmiana.

Maurycy Mann w artykule *Walka z opinią*, wybornie określa obecne stanowisko Napoleona III.

Z Kroniki dowiadujemy się, że p. Józef Korzeniowski wyznaczył premium za napisanie dramatu historycznego zł. pol. 2,000. Warunki tego konkursu wespół z członkami Redakcyi Biblioteki Warszawskiéj oznaczy, a termin do dnia 1 marca 1860 r. zakreśla; siebie zaś od wszelkiego uczestnictwa tak we współubieganiu się jak i w sądzie wyłącza.

CZAS, DODATEK MIESIĘCZNY: za marzec 1859 r. (Tom XIII, Zeszyt 39).

W Przeglądzie piśmiennictwa Lucyana Siemieńskiego, czytamy wspomnienie o Zygmuncie Krasińskim; przywiedziemy tu dosłownie wstęp cały do tego życiorysu.

„W przeciągu niespełna czterech lat gaśnie drugi wielki wieszcz narodu. Po Adamie, Opatrzność powołała do siebie Zygmunta. Każda inna literatura jak nasza, zniosłaby stoiczniéj podobne ciosy. Gdzieindziéj żal po wieszczu ledwo zastygłym, prędko przeszedłby w rozpamiętywanie, rozkładanie i przymierzanie jego pism, jego wpływów: przetrząśniętoby go do nitki, zważono na drachmy, wyzyskano do ostatniéj kropli esencyą myśli: zgoła usypanoby mu mogiłę z książek, tak samo powstałych z jego ducha, jak z ciała rozkładającego się powstaje robactwo. U nas poeta długo zostaje ze swemi tworami. Gmin wierzy, że po śmierci człowieka przez trzy dni krąży nad ciałem: podobnie i my dla wybranych duchów przeciągamy ten pobyt, dopóki nie przejdziem wszystkich stopni upojenia się ich treścią, dopóki ich ogień, czucie, wiara, aż do marzeń, nie wcielą się w nasze życie. Na nóż anatomiczny dość będzie czasu: pokąd urok i czar żyjącém słowem wprost działa, póty wierzymy, że wieszcz pośród nas czuwa. Bolesna rzeczywistość wydaje się być snem, ale snem obłąkania, jak owego starca w nocy letniéj, co woła: „Sen uparty, długi, przeklęty, ale wkrótce ranek być musi i przebudzę się.“

Żal głęboki ma to do siebie, że milczy: bo wielkość straty nie daje się zmierzyć żadnym znakiem zewnętrznym.

Gdzie literatura jest jedynym żywotnym objawem wewnętrznego życia, co jak kwiat przyjmuje w siebie rosę niebieską i patrzy w słońce, tam każda strata, każdy ubytek podwójnie dotkliwe. Jeżeli wtéj napowietrznéj Jerozolimie, opasanéj murem słów świętych i wielkich zaklęć, runie jedna i druga obronna wieża, jakiż to powstaje wyłom w państwie ducha! Czujna straż trudzi się wprawdzie naprawą muru, ale czyż robota jéj, zastąpi wiązania samorodnéj skały?

„Kto jest poetą—ten nie żyje długo."

Przeczuciowe te słowa napisał Zygmunt Krasiński przed dwudziestą laty, kiedy mu jeszcze młodość uśmiechała się, kiedy trudno wierzyć w utratę zdrowia. I odgadł na nieszczęście, jak wiele innych rzeczy, które umiał wieszczo zgadywać. Żył krótko, bardzo krótko, nie życiem poety, bo tém żył najsilniéj, i przez nie zdobył sobie państwo szerokie: ale życiem rzeczywistém, obywatelskiém, co się zaciąga w służbę twardego obowiązku, prozaicznych konieczności; co się skazuje na codzienną ofiarę z godności, z dumy, z przekonań; co wszystkie siły, nawet fizyczne, wytężać musi, aby się na stanowisku utrzymać. Takiego życia prawie nie zakosztował; nie żeby nie czuł wzniosłości jego, lub nie rozumiał potrzeby: lecz że wcześnie uniesiony skrzydłami anioła poezyi przesiadywał na kopułach i ruinach grodu wiecznego, na szczytach Alp i Apeninu, aby z tych wyżyn orlem spójrzeniem zdobywać szerokie horyzonty dziejów ludzkości, i w wielkich kartach czytać wyroki bliższych przeznaczeń. Nie byłto latawiec oderwany od ziemi: raczéj lutnia, któréj struny uwiązane u rodzinnego zagona, oddawały każde drgnienie w sferze wysokich jego dumań. „Poezyę nosił (że zastosuję jego własne wyrazy) gdyby gwiazdę na czole swojém, a nie oddzielił się od jéj miłości przepaścią słowa. On kochał ludzi! a że nie dopełnił drugiéj części zadania, to nie skutkiem przeniewierstwa bóstwu poezyi, pojmowanemu, jak on go pojmował."

Czytamy w tym zeszycie dokończenie opowiadania Szczęsnego Morawskiego p. n. *Szwedzi w Nowym Sączu 1655 r.* Ważny tu niezmiernie znajdujemy szczegół, o wrażeniu i podniesieniu ducha w całym narodzie obroną Częstochowy. Gdy z jednéj strony ożyli w nadziei mieszczanie sądeccy wieścią, że chorągwie hetmańskie zbliżają się z pomocą, „z drugiéj strony nadbiegały ciągle wieści od Jasnéj Góry częstochowskiéj, że Matka Zbawiciela Marya broni grodu i przybytku swego, że kule odlatują od Jéj

nad klasztorem rozpostartego płaszczyka, a waleczny ksiądz przeor Kordecki łamie zwycięztwa Szweda. Wierny lud górski płakał z radości słysząc takie cuda, i pragnął wybawienia świętéj ojczyzny, jak pragnął zbawienia duszy swéj.“ Przywodzimy go dlatego, że wielu historyków naszych lekko pomija ów wielki fakt obrony świętego grodu, a który głównie i przeważnie wpłynął na podniesienie ducha z upadku i odrętwienia. Cała ta opowieść p. Morawskiego, czyta się z nadzwyczajném zajęciem, obfita w drobne szczegóły, ale wybornie malujące współczesnych ludzi i czasy właściwe.

Z zapisek ornitologicznych Kazimierza hr. Wodzickiego, mamy tu ustęp X. o *Jaskółce okniwce.* — Tłumacz znany tragedyi Eszyla, Z. Węclewski, umieścił rozprawę, o trylogii tegoż tragika: „*Prometeja.*“

List Zygmunta Krasińskiego o Juliusza Słowackim, którego trzy dramata wyszły u nas obecnie w Warszawie, poprzedza wstęp zajmujący.

„W jednym z pierwszych miesięcy 1840 r. zebrało się w Paryżu na wieczór do E. Januszkiewicza liczne grono przyjaciół i wielbicieli Adama Mickiewicza na obchód jego urodzin. Szopen, Fontana i Edmund Lariss urokiem swoich talentów muzycznych przyczynili się do pomnożenia błogich wrażeń, jakie to zebranie wzbudzało; chóry nawet pieśni z zapałem odśpiewane zostały, a między niemi kilka pieśni filareckich. Wszystko to do głębi poruszyło serca zebranych i jedno-dźwiękiem je spoiło. Przy wieczerzy, po spełnieniu zdrowia na cześć solenizanta, które z najżywszém współczuciem było przyjęte, powstał Mickiewicz do żywego i widocznie do głębi wzruszony i natchniony, a napełniwszy puhar, na podziękowanie rozpoczął improwizacyę wierszém usnutą. Tekstem jéj ofiara, symbolem spełniony kielich. Z razu, z natchnionych piersi, zwolna i nieco przytłumionym głosem, wydobywać się poczęły cudne wiersze, które stopniowo coraz większego ognia i dźwięku nabierały: aż nareszcie ze szczytów poetycznego natchnienia, spadać poczęły kaskady najśliczniejszych obrazów, myśli szczytnych i najtkliwszych uczuć, jakie tylko poruszać i owładnąć mogły słuchaczów téj cudnéj improwizacyi. Trwała ona prawie bez przerwy blizko pół godziny, i tak silne było wrażenie i zachwyt, które sprawiła, że gdy Adam napół omglony, usiadł znowu na swojém miejscu, zrobiła się największa cisza, którą nikt z przytomnych nie śmiał lub ra-

czéj nie był w stanie przerwać; pierwszy Szopen porwał się z miejsca i siadłszy przy fortepianie, począł przygrywać akorda i wdziękiem nieporównanéj swojéj gry, pomału ukołysał zachwyt zdumionych słuchaczy, i że tak rzekę do przytomności ich wrócił. Po niejakim czasie, powstał znowu Juliusz Słowacki. On także rozpoczął świetną improwizacyę wierszem, ale głównéj treści, zbyt osobiście ku Mickiewiczowi wymierzoną. Lubo wiersze z ust jego wydobywały się w przerwach, z niejaką trudnością i przyciskiem, wszakże wznosiły się do najwyższéj poezyi, niepospolitą siłą wyrażenia namaszczonéj: rzekłbyś, ciężko wykute w samym żarze najżywszéj namiętności. Oczywiście widać było, że mówiący gwałtownémi namiętnościami był miotany, i to jego wewnętrzne usposobienie, rażącym sposobem odbijało się w całéj jego postaci. Sypnął kilka pochwał, ale obok tego nie szczędził gorzkich przymówek i szeroko się nad niemi rozwodził, skarżąc się mianowicie na dumę Adama, i jak się wyraził na lekceważenie współzawodników. Niedziw, że wśród zapału ogólnego, wrażenie, które Słowacki wywołał, nie wypadło na jego korzyść, i że wśród obecnych w téj chwili nie znalazł uznania, na jakie zkądinąd jenialny jego talent zasługiwał, i któreby niechybnie był uzyskał, gdyby zawiść i namiętność, nie tak jaskrawo się przebijała była z jego zresztą mistrzowskiéj improwizacyi!

Jeden z obecnych, opisał Zygmuntowi Krasińskiemu bawiącemu w Rzymie szczegółowo ten wieczór, a mianowicie ową dramatyczną scenę, jaka zaszła między dwoma wieszczami. W obszernym liście Krasiński, dał swój sąd o Juliuszu. Uważał go na równi z Mickiewiczem. „Czas (pisze) usprawiedliwi lub potępi to zdanie moje, mam go za równego, ale tak za równego, że Mickiewicza siła nie jest jego siłą, ni jego siła nie jest Mickiewicza siłą. Czego jednemu brak, to drugi ma: a co z nich każdy ma, to posiada w najwyższym stopniu.“

Dział poezyi, jak we wszystkich naszych pismach tak i w *Dodatku* najsłabiéj się przedstawia. Jeżeli jaki utwór Pola, Siemieńskiego i Lenartowicza, nie ozdobi kart tego pisma, to wiersze drukowane od czasu do czasu, pokazują przy pięknéj nieraz szacie zewnętrznéj, brak prawdziwego uczucia poetycznego. Nie winujemy w tém Redakcyi, bo sumiennie spełnia zadanie swoje: ale sądzimy, że lepiéj dział ten wypuścić, niż go wypełniać gładkiemi tylko wierszykami.

ROZMAITOŚCI.

Kilka słów o najnowszéj literaturze dramatycznej we Francyi.

Chcąc przedstawić obecny stan dramatu we Francyi, musimy rzucić okiem na trzech dramaturgów, którzy są niejako spójnią pomiędzy niedawno co przebrzmiałemi a nowemi pojęciami, jakie powstały wśród brzęku giełdowego; chcemy mówić o *Ponsardzie, Scribe* i *Delavigne.*

Szał romantyczności z błyszczącemi, lecz nieraz dzikiemi widmami przeminął; zupełna anarchia i letarg owładnęły sceną i dramatem; gdy nagle wróciła publiczność do form klassycznych i przy pierwszéj sposobności najlepiéj dowiodła jak mało nowi dramaturgowie umieli zjednać sobie jéj sympatyą. Zaparcie się wszelkiéj formy sztuki w dramacie, prowadziło do najszkodliwszych następstw.

Zaniedbanie wierszowania i rymu sprawiło, że każdy z piszących, nie mający nawet ani talentu, ani wyższéj myśli, nie mający pojęcia o dramacie i jego warunkach, uchwyciwszy tylko rozmaite to namiętne, to dowcipne, zaostrzające ciekawość lub nawet rozkiełznane sytuacye, łączył je w formę niby dramatyczną i przedstawiał na scenie; przepych wystawy zastępował życie dramatyczne i dyalog, a publiczność olśniona efektami, była na chwilę zadowolnioną. Ale takie chaotyczne powikłanie dramatycznych pierwiastków sprowadziło nareszcie dramat do *melodramatu,* często rzewnego, częściéj bezwstydnie nagiego, a nieokrzesanego zawsze.

Gdy Dumas i Sue w romansach swoich najrozmaitsze cuda i niedorzeczności przedstawiali w ciekawéj formie; gdy felietony, przy takiéj swobodzie dramatyzowania, wiele poddawały tematów do również dziwacznych i szalonych sztuk teatralnych, cóż w tém dziwnego, że i publiczność zaprawiona na takich wzorach, chwaliła i przyklaskiwała tym nowym na scenę przerobionym romansom, które z takiém pożerała pragnieniem. Ale wśród tego tłumu widzów, znaleźli się i ludzie prawdziwie ukształceni, znaleźli się owi potępieni klassycy, którzy nie mogli znieść tak smutnego poniżenia dramatu. Na początku 1840 roku znaleźli sposobność odzyskania utraconego niedawno znaczenia i znowu palma pierwszeństwa przeszła w ich ręce.

Pierwszy krok na drodze téj zmiany uczynił *Teatr francuzki*; przedstawiając z powodzeniem tragedye „wielkiego stulecia" (grand siecle) i powierzając główne role młodéj, nierozgłośnéj jeszcze aktorce, która jednak z czasem miała się wznieść do najwyższéj sławy w zawodzie scenicznym;—powrócił dawną świetność zapomnianéj klassycznéj muzie.

Téjto aktorce, pannie *Rachel*, zawdzięcza Rassyn swoje odmłodnienie, a nawet i stary Kornel w 1842 roku zbierał w *Cydzie* wieńce i niesłychane dotąd oklaski.

Ale te dzieła przeszłości, jakkolwiek z rozkoszą i ze czcią należną przyjęte, nie mogły zagłuszyć w żyjącym narodzie żądania, aby oprócz *Fedry*, *Hermiony* i *Rodryga*, wystąpiły na scenę i inne nowe takież postacie, i coraz głośniéj i natarczywiéj domagano się nowego przedstawiciela klassycznéj poezyi. W téj właśnie pomyślnéj chwili wystąpił skromny, młody prawnik, który poprostu, tylko starannym wierszem oddając wrażenia na klassykach zdobyte, przyjęty był przez roztęsknioną publiczność z bajecznym zachwytem i mimowolnie o europejskiéj sławie zamarzyć musiał.

Publiczność chciała i musiała mieć nowe bożyszcze. Tém bożyszczem został dla niéj *Ponsard*. Ale jak ze wszelkiemi bożkami tak i z nim się stało. Ponieważ nie był tém, za co go poczytano i mimowoli wyniesiono, smutne przechodził koleje w opinii publicznéj. Chociaż został członkiem akademii, doświadczył zmian losu: z bożyszcza został człowiekiem.

Franciszek Ponsard, syn sędziego pokoju urodził się 1 czerwca 1814 roku w Vienne (w Delfinacie). Skończył nauki w Collége Royal w Lyonie, gdzie się zaprzyjaźnił z Ka-

rolem *Reynaud*, który później był pośrednikiem pomiędzy nim a teatrem.

Po chlubném ukończeniu kollegium, udali się dwaj przyjaciele do Paryża na naukę prawa. Głównym jednak ich celem było poznanie ówczesnych *romantycznych* pisarzy.

W tym celu odwiedzali codziennie kawiarnią pod nazwą Moliera, *Café Molière*, niedaleko teatru *Odéon*, gdzie się schodziła cała hierarchia literacka.

Tam poznali *romantycznych* bożków. Tam Hugona czytano z zapałem, studyowano Szekspira i niemieckich poetów. Ponsard tłumaczy i wydaje własnym nakładem, lecz ze stratą, Byrona Manfreda. Pomimo tych zajęć literackich, we trzy lata składa egzamin i powraca do domu, gdzie poświęca się prawu i poezyi *romantycznéj*, i pisze do Przeglądu *Revue de Vienne*, w 1837 założonego. Nagle zjawia się panna Rachel i występuje z powodzeniem w sztukach klassyków. Romantycy ponoszą dotkliwą klęskę, nawet Hugona *Burgraffy* chłodno przyjęto.

Reynaud powraca z Paryża do Vienna i dowiaduje się od przyjaciela, że tenże ma w tece tragedyę *Lukrecyą*, któréj myśl podał mu obraz w domu ojca znajdujący się.

Z przeczuciem przyszłego tryumfu, udaje się Reynaud z rękopismem do Paryża, skłania dyrektora teatru *Odeon* do przyjęcia téj sztuki i zjednywa jéj wielu przyjaciół. Ponsard przybywa do Paryża, a 22 kwietnia 1843 roku, *Lukrecya* z wielkiém powodzeniem, z niepamiętnym zapałem na scenie Odeonu przedstawiona, zamienia Ponsarda w bohatéra Paryża; imię jego przechodzi z ust do ust, z serca do serca. Ponsard jest królem sceny, ojcem nowéj szkoły, która pod nazwą *szkoły zdrowego rozsądku* bije mu czołem, Ponsard rokuje wielkie nadzieje. Publiczność czeka, chce znowu wieńczyć swego ulubieńca, a ten opuszcza starożytną togę, zstępuje do romantycznych średnich wieków, pisze sztukę *Agnieszka z Meranii* i przedstawia ją w 1846 roku. Publiczność nie dowierza, że jéj autorem jest ów wielki Ponsard, którego przed trzema laty podziwiała!

Również źle przyjętą zostaje jego tragedya (1850) *Karolina Kordaj*, bo niedawno jeszcze publiczność z zapałem czytała dzieło Lamartina *Żyrondyści*, które mieści w sobie całą treść téj tragedyi. Na domiar nieszczęścia i panna Rachel nie chce występować w téj roli dla niéj napisanéj. Napróżno powraca Ponsard do starożytnych wieków, napróżno stroi swoją nową

tragedyę *Ulissesa* w chóry muzyczne, publiczność ze śmiechem jéj słucha, 1852 roku w Teatrze Francuzkim.

Widząc, że stare wieki i stary świat już dla niego zamknięte, zwraca się na nową drogę, z powodzeniem pisze wyższe komedye, w których z prawdziwym talentem maluje spółczesne czasy i obyczaje. Tém w części odzyskuje dawne oklaski, dawne znaczenie i otwiera sobie drogę do akademii. Tę szczęśliwą rehabilitacyą zawdzięcza dwom sztukom: *Honor i pieniądze*, znane nam z przekładu Wacława Szymanowskiego (1853) i *Giełda* (1856).

Ponsard, należy do tych ludzi, dla których krytyka bardzo nieprzychylną być zwykła. Ona go pod niebiosa wyniosła; ona téż mści się na nim i mówi już dzisiaj, że potomność takie wyda zdanie o Ponsardzie: „był to człowiek niewielkiego talentu, który w swoim czasie wielkie miał powodzenie, a którego dziś nikt nie pamięta".

Jednak niesprawiedliwém byłoby potępiać Ponsarda, że nie zaspokoił tych wielkich w nim pokładanych nadziei. Bez jego starań przyjaciele i rzesza nowości łaknąca, wynieśli Lukrecyą wyżéj nad rzeczywistą jéj wartość.

Piękność formy i poprawność wiersza oto jego cała zasługa!

Za czasów Rassyna, jako jego współzawodnik lub naśladowca zjednałby sobie przez Lukrecyą trwałe powodzenie; dziś jednak w okresie innych wymagań i innego smaku, utwór jego pokazał się nikłym i bez woni kwiatem. Nic nie napisał on nowego, wielkiego, ani prawdziwie tragicznego. Cała jego zasługa polega na tém, że w ostatnich sztukach obyczajowych stawił reakcyą przeciw nieforemnéj dziwotworności romantycznego dramatu; pod tym względem słusznie, nazwaćby można jego szkołę: szkołą *zdrowego rozsądku*. Ale to, co stawił przeciw tym potworom, było za słabe, i dla tego pomimo jego usiłowań trwa ciągle jeszcze panowanie melodramatów, pełnych okrucieństw i okropności, zwykle przez spółki pisanych. Prawdziwéj reformy ani on, ani jego stronnicy, którzy z nim razem piszą *wyższe komedye*, nie zdziałali.

Dwóch z nich zjednało sobie dość rozgłośne imię: *Ernest Legouvé*, syn autora poematu: *Zalety kobiet*, twórca wybornéj komedyi: *Prawem zasługi* 1855 i tragedyi *Medea* 1854, która zjednała pani Ristori rozgłośne imię, a autorowi krzesło w akademii; *Emil Augier* płodny i nadzwyczaj lubiony pisarz, autor dramatów *Liga* 1844. *Człowiek prawy* 1845. *Dyana* 1852. *Przepaska złota*, Fili-

bert, oraz współpracownik Scribego najznakomitszych utworów, jakoto: *Opowiadań królowéj nawarskiéj*, *Adryany Lecouvreur* i *Wojny kobiet*.

* * *

Augier wprowadza nas na prawdziwą scenę francuzką, która ogołocona z wszelkiéj wyższéj dążności, obrała sobie za godło, *przemysł* w sztuce; jéj przedstawicielem jest *Scribe*, który podobnie jak *Dumas* w romansie należy do prawdziwych przemysłowców czyli raczéj rzemieślników literackich. Z dobrym taktem i z wielkim talentem wybiera on tematа i formy, jakie z pojęciami, duchem i smakiem swego narodu najbardziéj są zgodne; ale wyższego polotu, głębszego poglądu i troskliwéj charakterystyki, napróżno szukamy w tworach tego poligrafa sceny francuzkiéj. We wszystkiém zna on tylko potrzeby i interes chwilowy, pochlebia coraz nowym zachceniom ogółu, goni tylko za efektami i powodzeniem, pisze same wodwile i *intrygowe* sztuki, rzucając na bok komedye obyczajowe i charakterystyczne; jego celem zapełnienie kassy teatralnéj, jego nagrodą, huczne oklaski i bogate honorarya, które najsumienniéj dzieli z swojemi współpracownikami, nie odkupując wszakże od nich jak *Dumas*, ani nazwisk, ani nie odbierając im zasłużonego rozgłosu. Nie wstydzi się on spółki literackiéj. Francya lubi dziś akcye nawet w płodach pióra i sztuki.

August Eugeniusz Scribe, urodził się 25 grudnia 1791 roku przy ulicy ś. Dyonizyusza w bliskości Targu Niewiniątek, a więc w pośrodku wrzawliwego zgiełku życia mieszczańskiego Paryża. Syn majętnego kupca pobierał nauki w liceum Napoleońskiém, gdzie zaprzyjaźnił się z dwoma braćmi Kazimierzem i Hieronimem *Delavigne*, z któremi następnie pierwsze układał wodwile. Po ukończeniu szkół kształcił się na prawnika, a po śmierci matki zupełnie poświęcił się zawodowi dramatycznemu. Po długich staraniach pierwsza jego bufonada *Derwisz* 1811 przedstawioną została na scenie teatru „*Vaudeville*". Ale sztuka ta również jak kilka następnych upadła. Nieustraszony jednak autor porzuciwszy Delavign'a, ściąga nowych współpracowników i przy ich pomocy zyskuje pierwsze oklaski w *Rozbójnikach mimowoli* i *w Nocy w Kordegardzie*.

Od téj chwili napełnia on teatr *Variétés* i *Vaudeville* mnóstwem lekkich, ale dobrze przyjętych sztuczek. Znaczna liczba nowych współpracowników powiększa się wraz z powodzeniem sztuk jego i z nim razem dzieli nietylko słodycze chwały,

ale i bogate zyski, które odbiera od szczęśliwych dyrektorów teatrów.

I tak Scribe w 30 roku życia jest już sławnym, upragnionym pisarzem i zebrał nie mały zasób na przyszłe miliony.

Podnosząc się nietylko w opinii publicznéj i w sympatyi ogółu, przechodzi do znakomitszych teatrów Paryża.

Nigdy, nawet w tworzeniu wyższych komedyj, jak *Walerya*, *Koleżeństwo*, *Ukryta namiętność* i innych, które w ciągu lat dwunastu napisał, aż do najsławniejszego dzieła jego: *Szklanka wody* 1842, nigdy nie porzuca ani swoich współpracowników ani raz przyjętego lekkiego i fabrycznego zakroju. Z Augierem napisał kilka wybornych komedyj, które zjednały imię ich współpracownikowi.

Żałować wypada, że Scribe rozrzuca rzeczywisty talent i marnotrawi go na małych i nic nie znaczących sztuczkach, a szczególniéj na *libretach* do oper; te jednak przyniosły mu przeszło milion franków.

Dziś obliczono rezultat działalności Scribego na 200 do 300 tysięcy wierszy w 345 sztukach z 897 aktami; przyniosły mu kilka milionów franków majątku. Bywały lata, gdzie jego praca przynosiła mu 160 do 200 tysięcy franków rocznego dochodu; za mierny romans jego należący jak nazywają Francuzi, do literatury krwi i *błota*, otrzymał od redaktora *Wieku* sto tysięcy franków!

Na tak wielki majątek zasłużył przez swoją dobroczynność i bezinteresowność, któréj bardzo częste daje dowody; zasłużył także na szacunek kolegów i miłość żony, z którą od 48 roku życia mieszka w pysznéj willi *Séricourt*. Części téj willi noszą nazwiska sztuk jego, które najwięcéj mu dochodu przyniosły. Jest tam *las Piquillo*, są rzeczki *Robert djabeł*, *Hugonoci* i *Żydówka*, imiona znane nam dobrze od lat kilkunastu.

W roku 1836 zajął Scribe miejsce klassyka Arnaulda w akademii, co skłoniło jednego z dawnych jéj członków do złośliwego dowcipu: „dla pana Scribe potrzeba nie *krzesła*, *ale ławki*, aby na niéj 48 jego współpracowników pomieścić".

Akcya miła i lekka: intryga, wszystkie nadzwyczajne zapory nader prędko pokonywająca, ciągle zajmująca i dobrze prowadzona; wiele uszczypliwych, dowcipnych, co chwila nowych a zawsze wesołych sytuacyj: oto tajemnica powodzenia Scribe'go jako dramaturga, oto zalety, któremi podbija rozciekawionych widzów, wywołuje grzmoty oklasków i o miernéj całości zapominać każe!

Ile pięknemi się nam wydają jego utwory po raz pierwszy widziane, o tyle błędy ich są wydatniejsze, im częściéj na nie patrzymy; wiemy już z góry, gdzie będą oklaski, gdzie dowcip, gdzie uderzające wyrazy i do jakiego nieznanego celu intryga prowadzi. Żadnéj treści moralnéj, żadnego głębszego przedstawienia obyczajów, starannéj analizy charakteru społecznego i pojęć wieku; żadnéj z tych zalet nie znajdujemy w jego wesołych i zajmujących sztuczkach. Gdzie ilość zastępuje jakość, tam naturalnie żadnego obrobienia charakterów, ani głębszych studyów obyczajowych, żadnéj troskliwéj charakterystyki, żadnéj psychicznéj prawdy żądać nie można. Gdzie zapełnienie teatralnéj kassy jedyném jest estetyczném dążeniem, tam oczywiście tylko wrażliwe efekty powinny przyciągać tłum widzów: tam próżno szukać artystycznéj samodzielnéj dążności.

Scribe więcéj niż komedyopisarzem, jest nadwornym *krawcem aktorów*, bo nietylko przykrawa swoje role do ich zdolności, ale nawet zmienia je podług żądania pięknéj artystki, któréj prośba staje się dla niego rozkazem. Wprowadził on ten zgubny zwyczaj pisania utworów teatralnych nie z własnego natchnienia, lecz dla téj lub owéj, dlatego lub owego artysty!

Wybaczamy Racheli lub Ristori, że mają swoich dramaturgów, gdyż biorąc od nich ich sztuki do przedstawienia, dają im oprócz sowitego wynagrodzenia rozgłos niemały; wybaczamy tym panom, którzy dla takich namaszczonych artystek robią nie jedno ustępstwo, poświęcając wiele własnych myśli i podług ich żądania modyfikują swe twory. Jestto zobopólne zobowiązanie.

Ale być niewolnikiem jakiéjkolwiek mniéj znakomitéj aktorki, naginać się do jéj małych na efekt obliczonych zachceń i kaprysów, uważamy za niegodne, za poniżające. Sztuka jestto rzecz zbyt święta, aby ją na rzemiosło zamieniać, choćby nawet to rzemiosło przynosiło imię i majątek. Każdy pisarz a szczególniéj dramaturg, powinien być apostołem prawdy, tylko *prawdy*, a czy tę prawdę dobrze lub źle pojmie, to wina jego *talentu* i *zdolności*, ale nie jego *woli*.

Grzeszy ten, co za święty ogień Westy nie uważa *prawdę*, ale *publiczność*; który sztuczkami swemi i chwilowemi efektami stara się utrzymać w słuchaczach płomyk rozbudzonych żądz lub namiętności. Taki pisarz gra sam prawdziwą *komedyą*; jaka szkoda, że nie jeden poświęca jéj swój talent, który mógłby złożyć na ołtarzu wielkiéj myśli lub postępowéj *idei!*

Scribemu nie można odmówić wysokich zdolności, ale je zmarnował w dramatyczno-krawieckim zawodzie.

Wszystkie błędy powyżéj przytoczone można mu przebaczyć tylko w lekkich *wodwilach*, nigdy jednak w *wyższéj komedyi*, do któréj się często porywał.

Wodwil to dziecko francuzkiego dowcipu, to kwiat wyrosły na niwie francuzkiéj, wątły lecz powabny. Wszelkie stałe formy i poważne wymagania odrzuca to miłe stworzonko, poczęte na śniadaniu, wśród wina i dowcipu, wśród wesołych piosneczek, o to nie raz przez całą spółkę dramatyczną.

Na tém polu wodwilowém czynność Scribe'go wielkie ma zasługi. Na europejską sławę jednak *poety dramatycznego*, któréj głównie za granicą *Szklanką wody* się dobił, nie zasłużył; bo czysto *intrygowa* komedya nigdy nie może być *dobrą*, wyższą komedyą, a sztuki takie nawet, jak *Opowiadania królowéj Nowarry*, albo *Wojna kobiet*, czémże są inném, jeżeli nie zabawkami na intrydze opartemi?

Jakże tu pofałszowano charaktery historyczne, cóż zrobiono z prawdziwemi dziejami! Wielkie postacie *Bolingbroka*, *Karola V*, *Franciszka I* i inne dalekiemi są od prawdy podanéj z przeszłości; jak jest fałszywém zadanie, które rozwija na scenie, gdzie wielkie fakta historyczne zależnemi robi od jakiego *coup de théâtre*.

Sam Scribe najlepiéj ocenił giętki swój talent; nigdy bowiem żadnéj wyższéj myśli, cechującéj *Moliera* lub *Beaumarchais'go* nie poważył się rozwijać w swoich utworach.

Równy talent okazuje przyjaciel i kolega szkolny Scribe'go, *Jan Franciszek Kazimierz Delavigne*, urodzony w roku 1794 w Hawrze, z ojca majętnego kupca; również kształcił się w liceum Napoleońskiém i w roku 1811 swój poetycki zawód rozpoczął *dytyrambem na narodziny króla rzymskiego*.

W 18 roku ukończywszy szkoły, otrzymał za staraniem ojca, który do Paryża przeniósł się, miejsce w zarządzie poborowym, i zostawał w tym zarządzie aż do chwili, kiedy książę Ludwik Filip Orleański mianował go swoim bibliotekarzem. Opuścił to miejsce po wejściu w roku 1835 i został inspektorem konserwatoryum i na téj posadzie umarł 1843 roku.

Będąc już znanym z epicznego fragmentu: *Karol XII pod Narwią*, z *dytyrambu na śmierć* poety *Delilla* 1813 i z dwóch prac konkursowych 1815, 1817 w 24 roku życia, wydał w r. 1818 zbiór lirycznych poezyj p. t.: *les Messéniennes*,

w których pod postacią starożytnéj ujarzmionéj *Messyny*, opiewa żale Francyi, upokorzonéj przez koalicyą europejską, boleje nad znikłą jéj sławą i nad cierpiącym jéj bohatérem w dalekiém więzieniu!

Takie samo powodzenie miały podobnież pieśni prędko jedne po drugich wydane: *Joanna d'Arc*; do *lorda Byrona*; na *powitanie Włoch* i *Grecyi*; *na śmierć Napoleona*. Téj ostatniéj pieśni rozeszło się w ciągu roku przeszło 20,000 egzemplarzy, a poeta dorównał w popularności Lamartinowi i Berangerowi.

W tymże niemal czasie w 1819 roku teatr Odeonu przedstawił z ogromném powodzeniem jego tragedyą *Nieszpory sycylijskie*, która również jak liryczne jego poezye, była głosem zwalczonéj Francyi przeciwko jéj nieprzyjaciołom (1).

Po niéj napisał i dał na scenę w 1821 satyryczną komedyą: *Komedyanci*; tragedyą z chórami *Paria* w 1824; komedyą *Szkołę starców i księżnę Aurelia* 1828. Delavinge usiłował zbratać styl klassyczny z romantycznym w tragedyach: *Marino Faliero* 1829; *Ludwik XI* 1832 i *Dzieci Edwarda* 1833 (2).

Ale od chwili wystąpienia na widownię literacką prawdziwych romantyków, zgasła jego wziętość. Siedm nowych *Messeniennes*, które poeta przywiózł z sobą z Włoch, mniéj się podobały niż pierwsze; jego śpiewy przez rewolucyą lipcową natchnione: *La Parisienne*, *Pies Luwru*, również jak *Warszawianka* i *Kościuszko*, tylko chwilowe miały powodzenie, a dwie jednoaktowe komedye: *Rodzina za czasów Lutra* 1836 i *Córka Cyda*, jakotéż komedye: *Don Juan austryacki* 1835 i *Popularność* 1836 przeszły prawie bez rozgłosu.

Zyskał on różne przydomki: zwano go jużto: *Boalem XIX wieku*, to *Romantykiem w klassycznéj todze, to poetą mieszczaństwa*.

Delavigne w poprawnych a pełnych wymowy strofach opiewa uczucie polityczne i liberalne, jakiemi cały naród tętniał, płacze razem z płaczącą Francyą, nosi z nią razem żałobę i z nią razem miota słowa zemsty i gniewu przeciwko nieprzyjaciołom: smutny stan *Restauracyi* na łzawéj lutni maluje, każdy Francuz go czyta, każdy go rozumié, bo w jego wierszach jest cała dusza

(1) Tłumaczenie staranne téj tragedyi mamy przez Dominika Lisieckiego.

(2) Mamy przekład. Dzieci Edwarda przez Wacława Szymanowskiego.

narodu. Żadna polityczna kwestya, jaka się od roku 1820 na Wschodzie, we Włoszech lub Francyi pojawiła aż do panowania *mieszczaństwa*, nie przeminęła bez zostawienia po sobie jakiego śpiewu Delavigne'a, który w najprostszych słowach starał się je uwiecznić.

Gdy jednakże usuniemy na stronę zapał chwili właściwéj, przywiązany do owoczesnych zdarzeń i wywołano przez to współczucie: cóż zostanię? oto wiersz pracowicie obrobiony bez prawdziwéj siły i uczucia, którémi tak góruje niezapomniany nigdy Beranger, rzeczywisty i jedyny śpiewak narodowy Francyi.

Tak i w dramatach kieruje nim i ożywia go pewna dążność.

W *Nieszporach sycylijskich*, maluje powstanie ujarzmionego narodu, chcącego się wyrwać z pod władzy zagranicznych władców.

W *Marino Faliero*, łączy sprawę narodu z zacnym dożą przeciw zuchwałéj oligarchii; w *Ludwiku XI* i *Dzieciach Edwarda*, przedstawia smutne przykłady nadużyć despotyzmu we Francy i Anglii; a wszystko otacza aureolą *liberalności*.

W tragedyi *Paria*, bohatér jest przedstawicielem nieszczęśliwego proletaryatu.

Delavigne piękną formą i językiem, wyrobionym wierszem, ma niepoślednie zasługi; utwory jego szczęśliwie do okoliczności współczesnych zastosowane, dały mu rozgłos nietylko we Francyi, ale w całéj Europie.

Mówiąc o trzech pomienionych dramaturgach posiłkowaliśmy się uwagami p. Büchnera z Valenciennes niepospolitego krytyka.

Wspomnieć tu wypada o znakomitéj pani *Girardin*, któréj *Lady Tartuffe*, oraz *Scény* i *Przysłowia*, wraz z *Scenami* i *Przysłowiami Feuilleta*, należą do najlepszych płodów w nowszéj dramatycznéj literaturze.

A teraz powtórzymy zdanie Juliana Szmidta (1) o najnowszym kierunku dramatycznego rozwoju Francyi.

Dawniéj, powiada Szmidt, różne było zupełnie zadanie komedyi od tragedyi. Pierwsza przedstawiała *rzeczywistość*, druga *ideał*.

(1) J. Schmidt najznakomitszy krytyk niemiecki, którego nowe dzieło o francuzkiéj literaturze od 1789 roku jest wysoko cenione w Niemczech i we Francyi.

Nawet szkoła romantyczna, która starała się połączyć tragedyą z komedyą, ideał z rzeczywistością, tego stanowiska nie zmieniła, bo i nowy ten rodzaj, *dramat historyczny*, miał cel główny, przedstawienie ideału; chciał zarazem średniowieczne hiszpańskie rycerstwo wprowadzić do prozaicznego stulecia, które z niego szydzić zwykło.

Kornel pojął w całéj prawdzie swoje rycerstwo, bohatérowie, których przedstawiał, byli własnemi jego ideałami, ich uczucia i moralne zasady, były jego uczuciami i zasadami. Wiktor Hugo maluje swoich bohatérów w dzikiéj postaci, niby pół bogów i pół szaleńców, ale przez to nie przestają oni być jego ideałami, bo jego ideałem, było właśnie zlanie wzniosłego ze śmiesznem.

Od tego czasu jednak, a szczególniéj od rewolucyi lutowéj w teatrze nastąpiła zupełna zmiana. Poznano smutną prawdę życia i odtąd tragedya i komedya ubiegają się o pierwszeństwo w przedstawieniu *prawdziwego* stanu społeczeństwa.

Dawniéj potrzebowała tragedya bohaterskiego zakroju, dziś wkrada się w obywatelską rzeczywistość.

Różnica pomiędzy tragedyą i komedyą coraz mniéj widoczną staje się, bo czy zakończenie jakiego obyczajowego dramatu jest bolesne, czy téż radosne, zależy to mniéj więcéj od przypadku.

W najnowszym czasie, rodzaj sztuk uczuciowych przeszedł z teatrów przedmieścia do Wielkiego Teatru Francuzkiego, a zwyczaje giełdy, błędy młodych hulaków i temata, jakie dawniéj były zadaniem Scribe'go, teraz bywają tragicznie opracowywane, wierszem opiewane i przez najpierwszych artystów dramatycznych Francyi przedstawiane.

Dwa szczególniéj żywioły biorą górę: środkowa warstwa towarzystwa, któréj nadano zupełnie nową nazwę *Pół-światu* i obecna spekulacya pieniężna.

Są to w rzeczy saméj dwa bieguny obecnego życia we Francyi, które zdaje się utraciło wewnętrzną podstawę. Jeżeli poeci dzisiejsi, tajemnice *Pół-światu* wprowadzają na scenę, czerpią je w części z własnego doświadczenia, a głównie z romansów, które im niegdyś za osnowy służyły.

Zanim ośmielono się wprowadzić na scenę niewiastę sromotnego życia, musiały ją poprzedzić romanse Balzaka, Sue'go Soulie'go, pani Sand, a wielki świat przyzwyczajał się do czytania tego, o czém dawniéj nie było wolno nawet wspomnieć w dobrańszém towarzystwie.

Wprawdzie już Wiktor Hugo przedstawiał przed zdumioną publicznością *Marion de Lorme* i *Thisbe*, ale te sztuki przez historyczną wyłączność, która ją otaczała, przez strój starożytny i rycerskie czyny, wychodziły po za obręb trywialności.

Historyczna nierządnica czasów Richelieu'go była różną od dwuznacznych znajomości z *Cité* lub *Quartier Breda*.

Najnowsze sztuki teatralne, które choćby miały i najlepsze cela, zawsze jednak wzorem Wiktora Hugo, przedstawiając występek jako rzecz bardzo zajmującą mają za przedmiot obecną chwilę, jak np. *Kameliowa dama*, *Pół-świat*, *Dyana*, *Kobiety z marmuru*, *Małżeństwo Olimpu* i t. p.

Wszystkie te dramata tragicznie swoj temat rozwijają, mają niby cel moralny odwodzić od złego, ale mimo to głównie pragną zaspokoić ciekawość Paryżan, odkrywając im świat, który zakryty przed oczami poczciwych ludzi, wydaje się im przyjemniejszym, aniżeli ich życie w kółku rodzinném.

Nie podrzędni to pisarze rozwijają takie temata; im rozwiązanie ich smutniejsze, tém silniéj oddziaływa na wzmocnienie węzłów familijnych.

Właśnie panowanie nierządnicy rozszerzyło większą cześć dla życia rodzinnego. Jakkolwiek z jednéj strony można być zadowolnionym, że wzniesiono granicę rozdzielającą świat moralny od rozpustnego, z drugiéj żałować wypada, że ten ostatni rzuca niepojęty urok na poczciwe klassy społeczności. Życie familijne zdaje się nie mieć już żadnéj namiętności ukrytéj, i dlatego téż wyobraźnia zajmuje się jak najstaranniéj tą granicą, po za którą przedstawia sobie najułudniejsze cuda téj palącéj, namiętnéj sfery.

Nie pomoże, że poeta maluje niebezpieczeństwa tego życia i najgorsze z nich skutki, zatratę wszelkiego ideału i zziębnięcie serca, bo niebezpieczeństwo jeszcze podwaja siły odważnéj duszy!

Wszyscy czują złe rozpustnego życia, a Francuzom nie można zarzucić, że nie widzą jego zgubnych skutków. Ale ciągle jeszcze zostają pod wpływem swojéj sofistycznéj literatury.

W *Damie Kameliowéj* znajdujemy wyrażenie, które nie jest czém innóm, jak powtórzeniem zdania *Marion de Lorme*: „*Trochę miłości wraca kobiecie jéj utraconą czystość*“ a publiczność litując się nad pokutującą Magdaleną XIX wieku, uważa ją za cierpiącą niewinność i potępia prawa i zwyczaje niesprawiedliwe dla tak zajmującego stworzenia! Przytém sposób, w jaki poeta na nowo wprowadza ją do przyzwoitego towarzystwa, bardzo przypomina metodę Rudolfa w Tajemnicach Paryża.

W *Weselu Olympu*, udało się nierządnicy wejść przez małżeństwo do grona szacownéj i znakomitéj familii, w któréj gra rolę poczciwéj kobiety, ale biedaczka się nudzi. Jakiś nieokreślony niepokój, jakaś niepokonana tęsknota owładnęły znowu jéj wyobraźnią, a jéj zmysły cierpią pod wpływem nowych zwyczajów i nowego życia. Cóż tu robić? Łatwa odpowiedź! Nasza niby przyzwoita kobieta bierze znowu tajemny udział w nocnych zabawach jéj dawnego towarzystwa. Mąż nie widzi innego na to środka jak zabić ją, i przed zapadnięciem zasłony oświadcza uroczyście, że przyjmuje na siebie odpowiedzialność za morderstwo.

Drugie ulubione źródło nowoczesnéj sceny: *giełda*, leży (szczególniéj w Paryżu) tuż obok pół światu. Koryfeusze jednéj świątyni przyjmowani są z zadziwiającym zapałem i w drugiej. Wielu szczęśliwych spekulantów znajduje najstosowniejszą sposobność stracenia łatwo nabytego majątku w objęciach małego świata, a bohaterki jego tak są przezorne, że nie składają chwilowego mienia na ołtarzu giełdy. Rodzaj wzburzenia w obu tych sferach ma coś pokrewnego; ciągle tu zwodnicze szczęście, szatańskie połączenie przypadku z rachubą! gorączkowe natężenie szał powodzenia bez prawdziwéj radości. Na nieszczęście, życie paryzkie doszło już do tego, że w bogactwie upatruje największe dobro, że żadnego środka nie potępia, aby dojść do niego i że wszystkie inne cele, do których dawniéj duma albo ambicya wiodły, dziś tylko uważa za ścieżki do wielkiego celu milionów!

W jednéj z nowszych sztuk Augier'a: *Przepaska złota*, bogaty mieszczanin mówi do swego rywala szlachcica:

Pan się nazywasz Mr. *de* Trélan, a ja po prostu Roussel, ale nie żyjemy dzisiaj w czasach feudalnych; dziś jest tylko jeden szlachcic we Francyi, pieniądz! jeden mąż potężny, pieniądz! jeden człowiek poczciwy, pieniądz!

— Masz pan słuszność; świat jest u stóp twoich. Ale tam, tam, w zakącie stoi biedny szlachcic, który nie schyli czoła; szlachcicem tym, jest sumienie publiczne!

Niestety! to ostatnie zdanie jest poezyą, nie rzeczywistością. Głos publiczny w Paryżu nie jest dziś dość silnym, aby oprzéć się powodzeniu, które brzęczącą monetą się mierzy.

W ostatnich latach wszystkie sztuki, które miały niezmierne powodzenie, zajmują się *giełdą*. Oprócz dopiéro co wspomnianego dramatu Augier'a mamy tegoż poety: *Kamień probierczy*;

Ponsarda: Honor i pieniądze, Giełda, o których wyżéj wspomnieliśmy, *Sekreta, Szczęście usprawiedliwia majątek; Dumasa syna: Kwestyą pieniężną.*

Cesarz udarował Ponsarda pochlebnemi słowy z *powodu moralności jego zamiarów* i zachęcił go, żeby daléj walczył przeciwko zgubnym popędom.

Nie wątpimy o szczerości tych pochwał: bo chociaż gra giełdowa nigdzie z takim artyzmem nie jest uprawianą jak właśnie w tém kółku, które w 1852 roku objęło rządy Francyi, wszakże sądzimy, że jedynie konieczność niepokonana skłoniła go do tego i że chce uniewinnić się pochwalając moralną dążność poety.

Wszystkim tym poetom można zarzucić, że nie są wolni od wpływów, czyli raczéj od wrażeń ich przedmiotu, aby mogli wznieść się do prawdziwéj krytyki; mało mają siły w swojéj nienawiści aby mogli zagłębić się w tajnię nadużyć giełdowych XIX wieku. Często im się zdarza, że właśnie w chwili gdy idzie o wypowiedzenie ostatniego słowa zagadki, lękają się i pomijają główne zadanie. Nietylko brak im swobodnego dowcipu, ale zarazem i bogactwa wynalazku: ich postacie tak są podobne do siebie, że łatwo wziąć jednę za drugą, a intryga zawsze prawie do jednego celu prowadzi.

Pochwała skromnego ograniczenia się w wydatkach nigdy nie jest zupełnie szczerą i chociaż zamiast jednego *deus ex machina*, tojest wuja z Indyj, inny wuj z Kalifornii przybywa, to wszakże sama rzecz mało się przez to zmienia.

Augier w *Gabrielli* (1850) doprowadził stosunki małżeńskie do najświetniejszych następstw; jakże złemu zaradzić? Rozsądny człowiek dowodzi wszystkim interesowanym osobom, że małżeństwo jest moralną instytucyą i że leży w obustronnym interesie, aby żona żyła z mężem a nie uciekała z kochankiem.

Przeciwko moralności téj sceny nic powiedzieć nie możemy; ale jest pytanie, czy metoda nowszych dramaturgów przedstawiania szału namiętności, pomimo dobrego zamiaru, pożądany skutek odniesie?

Tylko wtedy, gdy się ma z silną naturą do czynienia, zwycięża poezya powinności. Korzystném, koniecznem nawet jest zwracać uwagę na potrzebę moralnego życia, ale przez to, prawdziwie zbudują się tylko znużeni i zmęczeni ludzie.

* * *

Zakończamy pogląd na dzisiejszą literaturę dramatyczną francuzką, życzeniem, żeby na stosie tylu talentów i talencików znaleźć się mógł nowoczesny Molier, Rassyn, albo wielki Kornel. Wtedy znikłyby tendencye i tendencyjki. Geniusz zbudowałby sobie nową świątynię, w któréjby głosił zdumionéj Francyi zdrowe zdania i nowe myśli, które od lat tylu wrą w jéj łonie i na jéj powierzchni.

Nie obawiamy się, aby materyalizm wysuszył w narodzie tak pełnym życia, wrodzone dążenia duchowe; żaden sofista dotąd nie potrafił pokonać i zniszczyć uczucia wzniosłego i wyższego natchnienia, które jak wybuch krateru wstrząsa powierzchnią, lawą zalewa stare przesądy, stare występki; na ruinach zbudoje z czasem wspaniały kościół, którego cnota kapłanem będzie.

Henryk Merzbach.

WIADOMOŚCI Z NAUK.

O wzajemnéj zależności sił fizycznych, przez Grovego (*).

I.

Siedmnaście lat już ubiega od chwili, kiedy *Grove* w szeregu odczytów mianych w instytucie londyńskim po raz piérwszy objawił głębokie swoje myśli o wzajemnéj zależności sił fizycznych; dzieło, które w tym przedmiocie ogłosił, doczekało się już trzeciego wydania, a na francuzki język przełożył je (z 3 wydania) ksiądz *Moigno*, redaktor pisma francuzkiego „*Cosmos*". Z pism tutejszych żadne nie wspomniało o ile nam wiadomo, o tych ważnych pomysłach, postanowiliśmy przeto zaznajomić czytelników Biblioteki Warszawskiéj z istotą tychże, podając treściwy wyciąg z dzieła *Grove'go*, przyczém pominęliśmy uwagi i dodatki pana Séguin.

1. Grove założył sobie dowieść, że różne zjawiska czyli stany materyi (affection de la matière), stanowiące główny przedmiot fizyki doświadczalnéj, a mianowicie ciepło, światło, elektryczność, magnetyzm, powinowactwo chemiczne i ruch, są współzawisłe (correlatives) czyli wzajemnie od siebie zależne, że żadne z nich nie może być w znaczeniu bezwzględném, nazwane przyczyną innych, ale że każde z nich może przejść we wszystkie inne, czyli zamienić się w nie. Tak więc ciepło może pośrednio lub bezpośrednio wydać elektryczność, elektryczność

(*) Corrélation des forces physiques, par *W. R. Grove*, Esq., 2 C. Ouvrage traduit en français par M. l'Abbé Moigno sur la 3me édition anglaise. Avec des notes par M. Seguin ainé. Paris. 1856.

może wydać ciepło; tak samo i inne siły, z których każda ginąć będzie w miarę rozwijania się siły, którą ona była.

2. W końcu oświadcza autor, że wyrazu *siła* używać będzie w przyjętém znaczeniu pierwiastku czynnego, nierozłącznego od materyi, o którym przypuszcza się, że sprawia różne zjawiska, czyli zmiany (affections), którym materya podlega. Użycie wyrazu tego usprawiedliwia *Grove*, nie żeby takowy miał tłumaczyć lub wyjaśniać sposób działania materyi, ale tylko ponieważ jako wyrażenie ogólne i oderwane jest on dogodny przy badaniu zjawisk jednego rodzaju.

II. RUCH.

1. Ze wszystkich zjawisk materyi najprzystępniejszym i najłatwiejszym do pojęcia jest *ruch;* są jednakże pewne granice, poza któremi, lubo ruch istnieje, dla przekonania się jednakże o istnieniu zjawiska, uciekać się musimy i do innych niż poprzednio środków badania, np. do innego zmysłu. Do tego rzędu zjawisk należy np. *głos:* drgania czyli ruchy materyi, na których on zasadza się, mogą się usunąć przed naszym *wzrokiem*, niemniéj jednak za pomocą *słuchu* przekonać się możemy o ich istnieniu.

2. Również nie ulega wątpliwości, że *światłu* towarzyszy zawsze ruch; tutaj ruch nie da się bezpośrednio zmysłami dostrzedz, ale daje się wyprowadzić przez wniosek odwrotny ze znanych stosunków między ruchem a czasem i przestrzenią zachodzących: ponieważ wszelkie postrzeżenia nauczają nas, że ciała potrzebują czasu dla poruszenia się z jednego punktu przestrzeni na drugi, wnosimy ztąd, że wszędzie, gdzie zjawisko ciągłe objawia się na dwóch różnych punktach przestrzeni w różnych chwilach, tam ruch być musi, lubo ruchu tego zmysłami naszemi bezpośrednio śledzić nie potrafimy. To właśnie ma miejsce ze światłem, a podobnież i z elektrycznością.

3. Gdy mowa jest o zjawiskach ruchu, zazwyczaj odnosimy je do tego coś, któreśmy nazwali siłą, a raczéj, rozebrawszy ściśléj to pojęcie, do jakiegoś ruchu, który poprzedził.

4. *Ruch nie może być zniweczony*, ale może tylko się rozdrobnić lub odmienić co do kierunku lub co do swych znamion.

A. Gdy, poruszając rękę, wprawiamy w ruch pewną massę powietrza, ruch może być niedostępny zmysłom osoby o kilkanaście kroków stojącéj, ponieważ się rozdziela na niezmierzoną

massę powietrza; ale jeżeli tłok téj saméj powierzchni co ręka z tą samą siłą poruszać się będzie w rurze, w drugim jéj końcu czuć się da pęd powietrza, ponieważ ruch skupiony jest w pewnym kierunku.

B. Gdy ruch zostaje wstrzymany, ruch ten nie ginie, ale objawia się pod inną postacią, np. pod postacią ciepła. Im twardsze, większy opór stawiające jest ciało, które się porusza i ciało, które ruch powstrzymuje: tém więcéj ciepła rozwinie się: np. przy uderzeniu lub potarciu kamieni, szkła, metalów, i t. d.; przeciwnie: woda, oléj i t. p. nie rozwiną ciepła, owszem przez ruchliwość swych cząsteczek, ciecze te zmniejszą rozwinięcie się ciepła, gdy będą znajdować się między ciałami twardemi (tak np. nasmarowawszy tłuszczem oś koła, spostrzegamy prędszy ruch koła, ale mniéj ciepła się wywiązuje, i t. p.)

C. Gdy ruch pierwotny materyi powstrzymany jest przez uwięzienie czyli ściśnięcie, jak to ma miejsce gdy rozszerzenie się gazu jest uczynione niemożliwém środkami mechanicznemi, wtedy także rozwija się ciepło: jeśli za pomocą tłoka ściśniemy powietrze w naczyniu zamkniętém, powietrze ściśnięte rozgrzeje się, a od niego ściany naczynia. Odwrotnie, przy rozpuszczaniu się ciała stałego w płynie, cząsteczki ciała stałego oddalają się od siebie: wtych razach powstaje téż oziębienie.

D. To, co dopiéro powiedziano, stosuje się do tarcia ciał jednorodnych; jeżeli zaś spotykające się z sobą ciała będą różnorodne, wtedy ruch widoczny, zniesiony przez uderzenie lub tarcie, zamienia się w zjawiska elektryczności.

III. CIEPŁO.

1. *Ciepło nie jest niczém inném, tylko ruchem.*

A. To, co nazywamy ciepłem, jakże się nam objawia (1)? przez ruch materyi: ciało ogrzane rozszerza się, t. j. cząsteczki jego ulegają ruchowi, w skutek którego się oddalają od siebie. To ciało rozgrzane, zetknięte z drugiém ciałem, może się skur-

(1) Umyślnie wypuszczamy tu z uwagi to pojęcie o cieple, którego się nabywa nie zapomocą zmysłu wzroku: polega ono, między innemi, na zmianach wywołanych w nerwach skóry, i t. d.; wdając się w wyłożenie tych zawiklanych stosunków, wkraczalibyśmy w granice fizyologii, czegośmy sobie nie zamierzali. *St. J.*

czyć udzielając drugiemu tak zwanego ciepła: jestto więc ruch cząsteczek mogący się udzielać kolejno. Różnego rodzaju ciepłomierze mierzą ciepło za pomocą ruchu.

B. Zjawiska znane pod nazwaniem *ciepła utajonego*, uważano powszechnie jako potwierdzenie zdania, według którego ciepło jest materyą albo przynajmniéj istotą rzeczywistą nie zaś ruchem albo zmianą materyi zwyczajnéj. Dana ilość wody ogrzanéj na + 75°, zmieszana z równą wagą wody na 0°, przybierze średnią temperaturę + 37,5; tymczasem gdy woda na + 75°, zmieszana z równą wagą lodu na 0°, wraca do temperatury 0°. Według powszechnie przyjętéj teoryi, w tym ostatnim razie ciepło zostaje utajone. Według p. Grove zjawiska te nie walczą bynajmniéj przeciw jego teoryi; są one tylko dowodem tego, że dla przezwyciężenia wzajemnego przyciągania cząsteczek ciała, większéj potrzeba siły tam, gdzie ciało przytém zmienia stan skupienia (ze stałego na płynny lub z płynnego na gazowy), aniżeli w stanach pośrednich.

C. Poparciem teoryi Grovego jest ta okoliczność, że z każdą różnicą własności fizycznych ciał, *z każdą zmianą w ludowie czyli ułożeniu cząsteczek jednego ciała, widzimy zachodzącą zmianę w zjawiskach termicznych.* *a*) Tak np. złoto łatwiéj przeprowadza ciepło, a raczéj łatwiéj udziela kolejny ruch nazwany ciepłem, niż miedź; miedź łatwiéj niż żelazo, i t. d. *b*) Kryształy rozmaicie przeprowadzają ciepło w rozmaitych kierunkach względem osi symetrycznéj kryształu. *c*) Przewodnictwo ciepła w drzewie jest doskonalsze w kierunku równoległym do włókien, niż w prostopadłym.

D. Wreszcie, ciepło nie daje się odosobnić; nie możemy odjąć ciepła jakiemu ciału i zachować je jako ciepło; możemy tylko udzielić je innemu ciału czyto wpostaci ciepła, czyto w postaci innego rodzaju siły. Znamy tylko pewne zmiany materyi oznaczone ogólném nazwiskiem ciepła; ciepło jako *rzecz* jest nam nieznana.

2. *Stosunek ciepła do innych sił fizycznych, t. j. do innych ruchów materyi.*

A. Ciepło może bezpośrednio sprawić *elektryczność*. Gdy metale różnorodne są z sobą zetknięte lub spojone i gdy punkt zetknięcia lub spojenia ogrzejemy, w metalach powstaje strumień elektryczny.

B. Mówiąc, że ciepło wydaje *światło*, wyrażamy fakt na pozór wszystkim wiadomy; jest jednak pewien powód do po-

wątpiewania, czyli wyrażenie „*wydać światło*» jest w tym szczególnym przypadku poprawne; stosunek między ciepłem i światłem nie jest odpowiedni wzajemnemu stosunkowi tych dwóch czynników z innemi zmianami materyi. Ciepło i światło zdają się raczéj być modyfikacyami jednéj siły, aniżeli oddzielnemi siłami nawzajem od siebie zależnemi. Sposoby działania ciepła i światła promienistego są tak podobne, podlegają one tak dalece jednym prawom odbijania, łamania, podwójnego łamania i polaryzacyi, że różnica między niemi zdaje się raczéj polegać na sposobie, w jaki działają na nasze zmysły, aniżeli na pojęciu umysłowém, które o nich potrafimy sobie wyrobić.

C. Co się tyczy *powinowactwa chemicznego* i

D. Magnetyzmu, to zdaje się, że ściśle mówiąc, ciepło może takowe wywołać, wydać tylko pośrednio, t. j. za pośrednictwem elektryczności. Jednakże ciepło bezpośrednio zmienia ciała namagnetyzowane lub związki chemiczne; ułatwia ono pewne związki chemiczne, utrudnia lub czyni niemożliwemi inne, inne rozkłada, i t. d.

IV. ELEKTRYCZNOŚĆ.

1. Ze znanemi obecnie w fizyce wypadkami daleko zgodniejszém od dotychczasowych teoryj jest to przypuszczenie, według którego *zjawiska elektryczne uważają się jako polaryzacya molekularna (pewnego rodzaju uporządkowanie cząsteczek) w zwyczajnéj materyi*, czyli jako materya zwykła, działająca przez przyciąganie i odpychanie w oznaczonym kierunku.

A. Do takiego tłumaczenia bardzo przypadają *zjawiska* elektryczne tak zwane *indukcyjne*. Gdy dobry przewodnik naelektryzowany zbliżymy do innego dobrego przewodnika nie naelektryzowanego, ten ostatni zostaje naelektryzowany przez wpływ czyli przez tak zwaną indukcyą (najbliższe siebie części tych dwóch ciał okazują stany elektryczne różnoimienne). Dawniéj sądzono, że znaczenie złego przewodnika czyli ciała dielektrycznego położonego między obu dobremi przewodnikami jest czysto bierne, ujemne; z nowszych poszukiwań jednak inaczéj się pokazało. *Matteucci* w doświadczeniu tak zwanéj elektryczności indukcyjnéj rozdzielił dwie blachy metaliczne, (z których jedna pierwotnie naelektryzowana), szeregiem cienkich blaszek miki i przekonał się, że każda z tych blaszek była naelektryzowaną, a mianowicie na jednéj powierzchni dodatnio, na

drugiéj ujemnie: widoczna więc tu jest polaryzacya w całéj masie ciała umieszczonego między ciałem pierwotnie i indukcyjnie naelektryzowanem.

B. Iskra elektryczna i inne odpowiednie zjawiska, które uważano według dawnych teoryj za płyn elektryczny wychodzący z ciała *polegają na rzeczywistém oderwaniu się saméj materyi ciała, z którego wychodzą* i na działaniu molekularném gazu czyli przewodnika, przez który przechodzą.

a) Kolor iskry elektrycznéj albo łuku Wolty (t. j. płomienia zjawiającego się między ostrzami końcowemi biegunów silnego stosu Wolty) zależy od natury metalu; i tak: iskra elektryczna łuku cynkowego jest niebieska; srebra, zielona; żelaza, czerwona i migająca się; a są to właśnie kolory, ktore wydają te metale w zwyczajném paleniu się.

Że to zjawisko świetlne zależy od rzeczywistych cząsteczek materyj odrywających się od bieguna stosu, przekonano się w ten sposób, że robiąc np. to doświadczenie (w celu otrzymania tak zwanego światła elektrycznego) w naczyniu napełnioném azotem, materya biegunów osiadająca na ścianach wewnętrznych naczynia w stanie niezmienionym, daje się zebrać i zważyć.

b) Światło elektryczne zmienia barwę, natężenie i t. d. w miarę zmiany gazu zawartego między końcami biegunów; a mianowicie, co do ostatniego, natężenie światła wzrasta w miarę rozrzedzenia gazu.

Wreszcie sam gaz wskutek wyładowania elektrycznego podlega zmianom swéj materyi, jużto pod względem składu chemicznego (następuje albo rozkład np. amoniaku, wodorodu węglowego, niedokwasu 1 i 2 azotu i t. d., albo związek chemiczny np. wodoród z kwasorodem wydaje wodę, azot z kwasorodem, kwas saletrzany i t. d.), jużto przez prostą zmianę układu cząsteczek ciała (powstaje tak zwany stan allotropowy ciała) np. kwasoród zamienia się na ozon, para fosforu zdolnego do krystalizowania, zamienia się na fosfor bezkształtny, i t. p.

C. Zdolność przeprowadzania elektryczności jest w bezpośrednim związku z budową czyli układem cząsteczek ciała.

a) Tak np. węgiel w postaci kryształu (djament), z łatwością przepuszczający światło, jest niemal najpierwszym między znanemi złemi przewodnikami elektryczności; zaś jako ciało bezkształtne i nieprzezroczyste (grafit albo zwyczajny węgiel), należy do najdoskonalszych przewodników elektryczności.

Współczynnik spężystości drutów metalicznych chwilowo zmniejsza się, gdy w nich krąży strumień elektryczny, a to zmniejszenie niezależne jest od tego, które pochodzi z podniesienia temperatury wywołanego przez strumień. Drut miedziany, przez który przechodził kilka dni słaby strumień elektryczny, traci wiele ze swéj wytrzymałości; przeciwnie w drucie żelaznym, wytrzymałość się zwiększa.

b) Strumień elektryczny, przechodząc przez zły przewodnik, może zerwać związek jego cząstek (np. grom tłucze szyby i t. p.) Zjawisko to trudne, niepodobne nawet do wytłumaczenia przy dawniejszych przypuszczeniach o płynie elektrycznym, jest koniecznym wypadkiem nagłéj zmiany układu cząsteczek albo ruchu drgającego, nagłego i nieregularnego saméj materyi. Widzimy jak podobne skutki wynikają z drgań głosowych: jedno ciało łatwiéj przesyła głos, inne znowu zatrzymuje go czyli znosi według przyjętego wyrażenia, tojest rozprasza jego drganie zamiast je przedłużać w kierunku pierwotnym; ciała stałe mogą być stłuczone przez nagłe uderzenie głosu, tojest drgającego ciała, np. powietrza w razie, jeśli wszystkie cząstki ciała nie są w stanie przeprowadzać w jednorodny sposób ruchu falowego.

2. W obec takiego wytłumaczenia zjawisk elektrycznych słabnie i upada niepowrotnie dawna teorya *płynu* elektrycznego, w któréj nieubłagana *contradictio in adjecto*, w nazwisku „*materyi nieważkiéj*" zawarta była jedna z mniejszych stawiających się rozumowi trudności. Zresztą, jeżeli ten płyn mniemany sam przez się nie da się wykryć żadnym odczynnikiem, jeżeli się objawia tylko przez zmiany, które sprawia w materyi ważkiéj, wtedy wyrazy *płyn* i *siła* stają się tutaj zupełnie jednoznacznemi, i takiém samém prawem możnaby powiedzieć o przyciąganiu stanowiącém ciężkość, że sprawione jest przez płyn, jak to o zjawiskach elektrycznych twierdzono.

Trudności te w niczem nie są zmniejszone w teoryi usiłującéj tłumaczyć elektryczność przez ruch pewnego *eteru*.

«Dzieje postępu filozofii natury (powiada *Grove*) mogą do pewnego stopnia objaśnić nam, dla czego pierwsi fizycy, zajmujący się szczegółowo elektrycznością, przyjęli teoryą płynów elektrycznych».

«Starożytni, ile razy spostrzegali zjawisko natury nie mające sobie odpowiedniego w zjawiskach zwyczajnych i nie dające się wytłumaczyć przez żadne ze znanych działań mechanicznych, odnosili je do jakiego ducha, do potęgi duchowéj czyli nad-

przyrodzonéj. Tak np. Tales przypisywał duszę bursztynowi i magnesowi; w ten sposób Paracelsus czynności trawienia, odżywiania i t. d. przypisywał działaniu jakiegoś ducha».

«Powietrze i gazy z których z początku tworzono istoty duchowe, obleczono powoli w cechy bardziéj materyalne; a wyraz *gaz*, pochodzący od niemieckiego *geist* (duch, dusza) jest przykładem stopniowego przejścia od pojęcia duchowego do pojęcia fizycznego».

„Dowód dany przez Toricellego o ważkości powietrza i gazów wykazał, że materye, które miano za duchowe i w istocie swéj różne od materyi ważkiéj, posiadają jéj przymioty. Wynikł ztąd sposób rozumowania mniéj przesądny, a płyny powietrzne uznane są obecnie za odpowiednie w niejedném ze swych działań płynom, ciekłym znanym. Wiara w istnienie innych płynów różniących się od powietrza, jak powietrze się różni od wody, postępowo wzrasta, i za okazaniem się nowego zjawiska uciekano się zaraz do przypuszczalnego płynu, dla wytłumaczenia go i objaśnienia jego związku z innemi zjawiskami; umysł raz owładnięty ideą płynu, przyoblekał go wnet w potrzebne potęgi i własności, i szczepił nań bujną wegetacyą wymarzonych odrostków.“

3. Stosunek elektryczności do innych sił fizycznych.

A. Elektryczność wydaje bezpośrednio *ruch* pod różnemi postaciami: np. przyciąganie i odpychanie ciał, które czynią widoczném elektrometry ruchome, i t. d.

Grove uważał, że dwie kulki, którym nie dozwalał oddalać się od siebie pod wpływem elektryczności, udzielały elektrometrowi większą ilość elektryczności, aniżeli wtenczas, gdy w czasie ich elektryzowania puszczał je wolno. I tu przeto ruch ginąć nie może, tylko zmienia się sposób jego objawu.

B. Elektryczność wydaje bezpośrednio *ciepło*, jak to widzimy na drucie rozpalonym przez strumień elektryczny czyto w butelce lejdejskiéj, czyto w stosie Wolty; ten ostatni jest źródłem sztucznego ciepła najsilniejszego, jakie tylko znamy, i to tak wysokiego, że nie potrafimy go mierzyć, że topi i ulatnia wszelkie ciała.

C. Równocześnie zaś wydaje elektryczność *światło* najsilniejsze, jakie dotychczas znamy.

D. Elektryczność także wywołuje bezpośrednio *magnetyzm*, jak to pierwszy wykazał *Oerstedt*. Dwie te siły działają na siebie nie w kierunku linii prostéj, jak wszystkie inne znane nam siły,

ale prostopadle do siebie: t j. ciała posiadające elektryczność dynamiczną czyli bieguny strumienia elektrycznego dążą do ułożenia magnesów pod kąt prosty względem siebie, i naodwrót.

E. Wreszcie elektryczność sprawia bezpośrednio *powinowactwo chemiczne*: przez jéj działanie otrzymać możemy zjawiska składu i rozkładu chemicznego, których napróżnobyśmy się domagali od chemii zwyczajnéj (np. świetne odkrycia *Davy'ego* co do metalów alkalicznych, i t. p.)

V. ŚWIATŁO.

1. Stosunek światła do innych zjawisk w materyi.

A. *Grove* jeszcze przy odczytach swoich mianych w Instytucie londyńskim w r. 1843 robił doświadczenie, czyniące widocznem *powstawanie wszystkich innych rodzajów sił ze światła.* Blaszkę daguerotypową stosownie przyrządzoną (t. j. blaszkę srebrną powleczoną cienką warstwą jodku srebra) położył w pudełku napełnionem wodą, z dnem wierzchniém szklaném, dającém się zasłonić ruchomą deszczułką. Między szkłem a blaszką umieścił siatkę z drutu srebrnego; blaszka stykała się z jednym z końców drutu galwanometru, siatka zaś druciana z końcem ślimaka Bréguetowskiego (t. j. subtelnego przyrządu złożonego z cieniutkiéj blaszki dwóch metalów spojonych z sobą, a których nierówne rozszerzanie się wskazuje najlżejszą zmianę ciepła); drugi koniec drutu galwanometru połączył drutem z drugim końcem ślimaka ciepłomierzowego; wreszcie igiełkę galwanometru i termometru nastawił na zero. Skoro tylko promień światła padnie na blaszkę w skutek usunięcia deseczki, natychmiast igiełki zbaczają od zera. Biorąc przeto światło za siłę początkową, mamy na blaszce *działanie chemiczne* (rozkład jodku srebra); w drucie srebrnym: *elektryczność* krążącą w postaci strumieni; w galwanometrze *magnetyzm*; w ślimaku *ciepło*; w igiełkach: *ruch.*

B. Szczegółowiéj wspomina *Grove* o stosunku światła do powinowactwa chemicznego i do ciepła. a) Co do piérwszego, *Grove* objaśnia zjawiska będące podstawą światło-rysów (fotografów), a które dadzą się sprowadzić do téj ogólnéj zasady, że *światło* wywołuje zmiany chemiczne i molekularne w materyi. Opuszczają się tu szczegóły, w których *Grove* zresztą dotknął tylko niektórych gałęzi fotografii. b.) Jako dowód, że światło sprawia *ciepło* a raczéj w ciepło się zamienia, przytacza *Grove*

doświadczenie *Knoblaucha*, który się przekonał, że promień słoneczny polaryzowany (1) padający na blaszkę kwarcu zadymionego lub turmalinu prostopadle do osi symetrycznéj kryształu, mniéj udziela ciepła, niż kiedy tenże promień przechodzi w kierunku równoległym od osi kryształu: wiadomo zaś, że w pierwszym razie światło doskonale przechodzi przez kryształ, a w drugim przypadku zostaje zatrzymane.

2. *Światło jest wypadkiem ruchu czyli drgań cząstek zwykłéj materyi* (2).

A. Raz przyjąwszy, że jedno ze zjawisk, które przypisujemy tak zwanym ciałom nieważkim, jest tylko ruchem materyi, i że jest w stanie sprawić inne; tudzież że może być przez nie sprawione: przyjąwszy to, trudno pojąć, iżby niektóre szeregi tych zjawisk były ruchami cząsteczek materyi, inne zaś miały zależéć od pewnych płynów nieważkich, lub od falowania jakiegoś eteru.

B. Przemawia za tém *analogia między własnościami głosu a światła*; oba odbijają się w ten sam sposób, t. j. że kąt wpadania równy jest kątowi odbicia; wspólne im są zjawiska interferencyi i wreszcie łamanie się przy przejściu z jednego środka do drugiego, mającego inną gęstość. (Łamania się głosu, oddawna w teoryi przypuszczanego, doświadczeniem dowiódł p. *Sondhauss*; uczony ten z cienkich warstw collodium zrobił soczewkę i napełnił ją kwasem węglowym. Mógł on słyszéć bicie zegarka umieszczonego w jedném z ognisk soczewki, gdy ucho było umieszczone w drugiém odpowiedniém ognisku; nie słyszał ich zaś, skoro zegarek ruszono z ogniska, chociaż pozostawał w téj saméj od ucha odległości).

(1) Przypominamy tu pokrótce, co nazywają *polaryzacyą* światła. Światło odbite pod pewnemi kątami od powierzchni niektórych ciał, np. wody, szkła, i t. d. już nie może być odbitém na płaszczyznach prostopadłych do pierwotnéj płaszczyzny odbicia (t. j. do płaszczyzny poprowadzonéj przez dwie linie oznaczające kierunek wpadania i odbicia) Tosamo światło w zupełności odbija się tylko na płaszczyznach równoległych do pierwotnéj płaszczyzny odbicia, na płaszczyznach zaś odpowiadających kierunkom pośrednim, odbija się cząstkowo, mniéj lub więcéj w miarę większego lub mniejszego zbliżenia do płaszczyzny prostopadłéj z pierwotną płaszczyzną odbicia.

(2) Porównaj: II, 2. — Za zdaniem tém przemawiał już Leonard Euler, a nawet po części Newton, który przemianę materyi w światło i światła w materyą, uważał za prawdopodobną i upatrywał jéj analogią w przemianie lodu w wodę, a wody w parę. (30st. Quiery into Optics).

C. *Ze zmianami w zwykłéj materyi ściśle są związane zmiany w świetle objawiającém się w nich*: a) kolory, stopień przezroczystości ciał, zależą od ich ułożenia molekularnego.

Np. roztwór mydła jest przezroczysty, powietrze jest przezroczyste, ale sklóciwszy je z sobą otrzymamy pianę nie przezroczystą. Albo: azot jest gaz zupełnie bezbarwny, kwasoród podobnież, ale chemicznie połączone z sobą w oznaczonych stosunkach, tworzą owy kwas saletrowy, gaz koloru ciemnego, brunatno-pomarańczowego. b) Wiadomo, że niektóre ciała, a mianowicie kryształy podwójnie światło łamiące, przepuszczając światło polaryzowane (w polarymetrze) wywolują świetne zjawiska kolorowe w postaci smug, kręgów, i t. d. Własność ta ściśle zależy od jakości ciała, od wewnętrznego układu jego cząsteczek; posiada ją szkło hartowane (t. j. po rozgrzaniu nagle oziębione), nie posiada jéj zaś szkło zwyczajne; różne kryształy wywołują w tym razie rozmaite postacie będące w stałym i oznaczonym związku ze szczególną budową kryształu i z kierunkami, według których odpowiednio formie kryształu promienie przez niego przechodzą.

D. Ważnym na pozór zarzutem przeciw takiemu zapatrywaniu się jest ta okoliczność, że w takim razie przyjąćby trzeba rodzaj *pełni* powszechnéj; bo jeśli światło, ciepło, elektryczność i t. d., są zmianami zwykłéj materyi, trzeba przypuścić, że materya jest wszędzie, gdzie się te zjawiska pokazują; że przeto nie ma próżni. Na to *Grove* odpowiada, że wszystkie dotychczasowe usiłowania w celu zrobienia zupełnéj próżni, były bezowocne; że przeto stare zdanie „*natura horret vacuum*“ zawiera w sposób jasny chociaż nieco przenośny głęboką prawdę. Zaledwie wątpić można o tém, że słońce i planety posiadają swoje atmosfery; reszta zaś *przestrzeni* zapełniona jest materyą nadzwyczaj rozrzedzoną, służącą do przesyłania rodzajów sił, które nazywamy światłem, ciepłem i t. d.

VI. MAGNETYZM.

1. *Stosunek magnetyzmu do innych sił fizycznych.*

A. *Magnetyzm, jako siła statyczna* (1), *sprawić może skutek dynamiczny dopiéro przy pomocy ruchu.* a) Magnes wprawiony

(1) *Siłą statyczną* (w przeciwieństwie do dynamicznéj) nazywają pospolicie w fizyce ten stan, gdy w skutek równowagi sił przeciwnych, ruch zniknął i jest, jak się wyrażają, *in potentia*: był i może zjawić się znowu,

w ruch w kierunku linii łączącéj jego bieguny (t. j. w kierunku siły magnetycznéj) wywołuje w poblizkim dobrym przewodniku elektryczności, prąd elektryczny, którego kierunek jest prostopadły do linii, według któréj magnes się porusza. b) Również gdy magnes pozostaje w miejscu, dobry przewodnik zaś porusza się według linii siły magnetycznéj, w przewodniku powstaje prąd elektryczny. Pośrednio więc może elektryczność wydać inne siły.

B. Są jednakże pewne warunki, w których nawet *magnetyzm można nazwać siłą dynamiczną*, a mianowicie stan jego w chwilach *gdy jego natężenie wzrasta lub zmniejsza się*. a) *Grove* przekonał się, że ile razy metal zdolny do namagnesowania, magnesuje się lub odmagnesowuje, ciepło jego się podnosi. b) Pewien ruch cząsteczek ciała podczas okresu magnesowania *widocznym* poniekąd uczynił tenże uczony następującém doświadczeniem: rurę napełnioną płynem, w którym pływał kwasorodek żelaza magnetyczny czyli sprzężony ($Feo + Fe_2 O_3$) strącony w postaci nader miałkiego proszku, zamknął w obu końcach blaszkami szklanemi i otoczył wężownicą z drutu miedzianego powleczonego ciałem odosobniającém. Oko patrzącego przez tę rurę spostrzegało wzmocnienie przepuszczanego światła, ile razy przez drut przechodził strumień elektryczny: jako dowód zachodzącéj pod wpływem magnetycznym zmiany w ugrupowaniu cząsteczek kwasorodku żelaza sprzężonego (albowiem prąd elektryczny nie mógł nie wzbudzić zjawisk magnetycznych w ciele tak zdolném do namagnesowania).

C. Wreszcie magnetyzm *bezpośrednio wpływa* na inne siły: a) przepuśćmy promień *światła* spolaryzowanego przez ciało przezroczyste, które nie zmienia płaszczyzny polaryzacyi; ciało to (np. wodę) wystawiwszy na działanie potężnego, magnesu tak ustawionego, aby linia siły magnetycznéj szła równolegle z kierunkiem promienia polaryzowanego: wtedy woda nabierze téj własności, że sprowadzi płaszczyznę polaryzacyi z jéj pierwotnego położenia, i to na prawo lub na lewo sto-

za zniesieniem równowagi przeciwnych sił. Czy w takim razie ruch rzeczywiście ustaje? Bardzo jest wątpliwém, a prawdopodobnie i przez analogią wnosić można, że się w innego rodzaju ruch zamienia, bo zkądinąd uważnie śledząc naturę, nigdzie w niéj nie widzimy spoczynku materyi. W ogóle wszystkie przypadki siły statycznéj przedstawiają rozumowi jednakowe trudności, czy weźmiemy za przykład dwie równéj siły sprężyny cisnące na siebie, czy stan równowagi elektryczności w butelce lejdejskiéj, czy t. p. inne zjawiska.

sownie do położenia pierwotnéj płaszczyny polaryzacyi względem kierunku prądu magnetycznego. Jeżeli ciało, przez które przechodzi promień, ma już własność sprowadzania płaszczyzny polaryzacyi (np. terpentyna), wtedy wpływ magnetyzmu będzie miał ten skutek, że to zboczenie powiększy się lub zmniejszy stosownie do kierunku promienia. b) Podobny skutek postrzegać się daje z *ciepłem* polaryzowaném. Nadto Dr. *Maggi* przekonał się, że przewodnictwo ciepła w sztabie żelaza miękkiego, zmienia się, gdy ta jest namagnesowaną.

Zdaje się, że w powyższych wypadkach zamiast mówić, że magnetyzm wpływa na inne siły fizyczne, lub je urabia (modyfikuje), stosowniejsze jest wyrażenie, że w ten sposób zmienia materyą podległą innym siłom, że ich kierunek i sposób działania zmienia się. Z tém pojęciem wreszcie w ścisłym są jeszcze związku.

2. Niektóre fakta, świadczące o zmianach molekularnych zachodzących w ciałach równocześnie ze zmianami w ich stanie magnetycznym. *Wertheim* przekonał się, że współczynnik sprężystości żelaza zmniejsza się chwilowo, stali zaś na zawsze wskutek namagnesowania. *Page* i *Marrion* uważali, że powstaje głos, gdy stal lub żelazo są szybko magnesowane lub odmagnesowywane; p. *Joule* zaś spostrzegł lekkie przedłużenie sztaby żelaznéj wskutek namagnesowania.

VII. POWINOWACTWO CHEMICZNE (1).

1. *Stosunek powinowactwa chemicznego do elektryczności.*

A. Powinowactwo chemiczne wydaje bezpośrednio elektryczność: na tém polega stos Wolty, którego zasada, krótko wyrażona, do tego da się sprowadzić, że gdy dwa różne metale, będące w zetknięciu zanurzymy w pewnego rodzaju płynie zdolnym do działania chemicznego na jeden z metali, powstaje wtedy to, co nazywamy ogniwem Wolty, a działanie chemiczne wywołuje właściwy rodzaj siły, zwany prądem elektrycznym, który krąży od metalu do metalu, przez płyn i przez punkt zetknięcia metalów.

Nie ma działania chemicznego, którego nie dałoby się doświadczeniem dowieść, że mu towarzyszy działanie elektryczne:

(1) Powinowactwo chemiczne określimy jako tę własność, w skutek której ciała różnorodne dążą do połączenia się i do tworzenia związków o cechach w ogóle różnych od cech, jakie miały części składowe.

ukwasorodnianie metali, gorzenie materyałów palnych, i t. d. i t. d. mogą się stać źródłami elektryczności.

B. Według *Grovego*, stosunek ten właściwiéj w ten sposób da się wyrazić, że *elektryczność jest powinowactwem chemicznem przenoszonem w oznaczonym kierunku przez szereg albo łańcuch cząstek.*

Zanurzmy dwie blachy: cynkową i platynową w kwasie saletrzanym w naczyniu A, i połączmy je z sobą: równocześnie z łączeniem się kwasorodu z cynkiem powstanie w tych metalach prąd elektryczny. Uczyńmy to samo, ale końce metalów zamiast z sobą, połączmy z drutami platynowemi, które zanurzmy w drugiém naczyniu B, z kwasem saletrzanym: około drutu idącego od blachy cynkowéj wywiązywać się będzie kwasoród w téj saméj ilości, jaka w naczyniu A połączyła się z cynkiem. *Działanie chemiczne jest tu więc widocznie przeniesione.*

Drut platynowy idący od blachy platynowéj zastąpmy drutem cynkowym; teraz więc do siły wywiązywania kwasorodu, udzielonéj drutowi platynowemu, od cynku naczynia A, przybędzie jeszcze siła powinowactwa chemicznego drutu cynkowego w naczyniu B, do kwasorodu kwasu saletrzanego: strumień elektryczny tą razą okaże się silniejszy we wszelkich swych skutkach; i t. d. w miarę zwiększania liczby ogniw. *Ścisły przeto zachodzi związek między natężeniem działania chemicznego i elektrycznego.*

2. Pośrednio więc, przez elektryczność powstać mogą inne siły fizyczne z powinowactwa chemicznego. Co się tyczy *bezpośredniego ich związku*, to:

A. Skutki wybuchu prochu strzelniczego i t. p. zjawiska dadzą się przytoczyć jako znany przykład *ruchu* sprawionego przez działanie chemiczne.

B. *Ciepło* jest skutkiem bezpośrednim działania chemicznego: wszystkie ciała, łącząc się chemicznie, wydają ciepło.

C. *Światło* powstaje bezpośrednio z działania chemicznego, jak np. przy błysku prochu strzelniczego, przy paleniu się fosforu w kwasorodzie i w ogóle przy wszelkiém szybkiém paleniu. Nawet w wielu przypadkach powolnego palenia się, w zjawiskach tak zwanéj fosforescencyi, światło na pozór daleko jest silniejsze od ciepła.

D. Powinowactwo chemiczne wydaje *magnetyzm.* Wszędzie gdzie przychodzi do tego, że działa w oznaczonym kierun-

ku, jak to ma miejsce w zjawiskach elektrolizy (t. j. rozkładów chemicznych w stosie galwanicznym).

VIII. INNE RODZAJE SIŁ.

1. *Grove* wyraża domysł, że zjawiska przypisywane tak zwanéj *sile katalitycznéj* t. j. zjawiska łączenia się i rozkładu ciał sprawiane przez prostą obecność ciała obcego, które na pozór nie zmienia się (np. łączenie się kwasorodu z wodorodem w obec gąbki platynowéj, związki i rozkłady zachodzące przy fermentacyi w skutek obecności fermentu, i t. p.), są objawami zwykłego powinowactwa chemicznego. Zdanie to podziela w nowszych czasach wielu chemików (1).

2. Wreszcie *Grove* objawia silne przekonanie, że to, co powiedział o wzajemnym stosunku sił fizycznych, biorąc jedynie przykłady ze świata nieorganicznego, da się w zupełności zastosować do *świata organicznego*, do wzajemnego stosunku *ruchu* muskularnego, *ciepła* zwierzęcego, *elektryczności* nerwów i t. d. Wstrzymuje sie on jednak od bliższych szczegółów, jako nie obeznany z tą gałęzią nauki i wspomina tylko pokrótce o pracach *Matteuccego* w tym przedmiocie. Nie były znane naszemu autorowi klassyczne poszukiwania *Dubois Rejmonda* nad elektrycznością zwierzęcą, wykazujące w tak zadziwiający sposób wzajemny stosunek między działaniami elektrycznemi zachodzącemi w nerwach i mięśniach a ich czynnościami żywotnemi.

IX. ZAKOŃCZENIE.

1. Wyraz *corrélation*, tojest wzajemny stosunek, wzajemna zależność dwóch pojęć nierozłącznych, bardzo obszerne może miéć w fizyce zastosowanie. Bardzo wiele jest wypadków, że

(1) „Mamy głębokie przekonanie, że fermenta są prawie zawsze poprostu *pośrednikami* chemicznego procesu na zasadzie zwyczajnych sił powinowactwa i spodziewamy się, że dalsze badania nad fermentacyą dostarczą nam dowodów na utwierdzenie tego przypuszczenia. Pośrednictwo to rozumiemy tak jak ono ma miejsce przy działaniu kwasu siarczanego na alkohol, dla utworzenia eteru. Proces ten dawniéj również uważano za spowodowany siłą katalityczną, tymczasem tworzy się tu kwas eterosiarczany, rozkładający się następnie dalszém działaniem alkoholu i w skutek zmiany temperatury na eter i kwas siarczany, który tym sposobem na nowo ze związku wydzielony zostaje.“ (Jakóba *Natansona* Krótki rys chemii organicznéj ze szczególnym względem na rolnictwo, technologią i medycynę. Część I. Warszawa. 1857. Str. 24 — 25).

tak powiem nierozłącznych, z których jeden nie może istnieć, nie pociągnąwszy za sobą drugiego: jedno ramię drąga nie może się zniżyć, żeby się drugie nie podniosło; palec nie może cisnąć stołu, żeby stół nie cisnął na palec; jedno ciało nie może być rozgrzane, żeby drugie ciało się nie oziębiło, lub żeby jaka inna siła nie została wyczerpaną wstosunku równoważnym wywiązanemu cieplu, i t. d.

Prawdopodobnie jeśli nie wszystkie, to przynajmniéj większa liczba zjawisk fizycznych są *współzawisłemi* (corrélativs). Tak np. o ruchu, bez pojęcia współzawisłości, nie możemy mieć wyobrażenia; ruch bowiem poznajemy ze względnéj zmiany położenia dwóch ciał: ale zmiana położenia ciała *a* względem ciała *b* jest współzawisła ze zmianą położenia ciała *b* względem ciała *a*; bez tego pojęcia nie moglibyśmy poznać, ani zapewne wyobrazić sobie ruchu. Pytanie, czy istnieje ruch bezwzględny, albo siła całkiem odosobniona, jest pytanie metafizyczne i nie obchodzi badaczów natury, którzy trzymają się zasady. „*De non apparentibus et non existentibus eadem est ratio.*"

2. Takiemi współzawisłemi pojęciami są także pojęcia *siły* i *materyi*: tak np. gdy o istnieniu jakiéj materyi przekonywamy się przez jéj ważenie, dowód dany nam jest przez siłę przyciągania, którą to ciało wywiera; nawzajem dowodem jakiéjkolwiek siły jest zmiana materyi, w któréj ta siła się objawia i t. d.

3. *Ruch (czyli siła) nigdy nie ginie*, tylko się zamienia, urabia, rozprasza; summa jego w świecie zawsze pozostaje równa. Wspomnieliśmy już o tém (II 3), że chcąc wytłumaczyć powstanie jakiego ruchu, zawsze uciekać się musimy do ruchu, który poprzedził. Tak np.: iskra świetlna powstała z elektryczności, elektryczność z ruchu, ruch z jakiéj innéj przyczyny, np. z machiny parowéj, t. j. z ciepła. To ciepło wynikło z powinowactwa chemicznego, t. j, z powinowactwa węgla koksu do kwasorodu powietrza, ten węgiel i ten kwasoród poprzednio się wywiązały w skutek działań, które z trudnością dadzą się wyśledzić, ale o których poprzedzeniu nie można wątpić; w działaniach tych, bliżéj rozebranych okazałyby się skombinowane i wzajemne skutki ciepła, światła, powinowactwa chemicznego, i t. d. Idąc więc w ten sposób w górę, wciąż natrafiamy na ruchy (siły), które poprzedziły; a jeśli wkońcu tracimy całkiem ich ślad, to tylko dlatego, że siła dana rozdrabnia się na taką liczbę sił, które się do jéj powstania przyczyniły, iż zmysły nasze i znane

środki badania nie mogą ich wykryć. Podobnież śledząc idące po sobie skutki pewnéj siły wziętéj za punkt wyjścia, możemy dojść do tego, że się tak porozdziela i rozproszy, że skutki te usuwają się przed naszemi środkami śledzenia; nie przeto jednak, iżby jakakolwiek cząsteczka téj siły została uronioną. (Porównaj II 4. IV 3. A.—V 1. B. b.—IX 1.) Pojęcie to jest wreszcie współzawisłe z pojęciem, że z drugiéj strony, żadna cząsteczka materyi zaginąć nie może.

4. *Grove* zwraca uwagę na pewnego rodzaju zamieszanie, które i w jego dziele powstać musiało z powodu przyjętego dotychczas słownictwa. Wyrazów *światło*, *ciepło*, *elektryczność* i *magnetyzm*, używał na przemiany w dwojakiém znaczeniu: raz w znaczeniu podmiotowém siły *sprawiającéj*; drugi raz w przedmiotowém znaczeniu *sprawionego* skutku, zjawiska; wyraz *ruch* stosuje się tylko do zjawiska, nie do siły, wreszcie wyraz *powinowactwo* używa się zwykle tylko w znaczeniu siły: co wszystko jeszcze powiększa zamęt w pojęciach.

5. W najogólniejszych wyrazach treść téj książki do tego da się sprowadzić, że *ciepło, światło, elektryczność i t. d. nie są niczém innem, tylko* RUCHEM MATERYI, (Porównaj III 1.—IV 1.—V 2. i t. d.)

A. Czyto dlatego, że ruch jest nam tak przystępny, iż do niego sprowadzamy wszystkie inne zmiany materyi dla łatwiejszego rzeczy zrozumienia; czytéż ponieważ ruch jest rzeczywiście jedyny *sposób*, według którego umysł nasz zdolny jest pojąć działania materyalne, dość że od czasu, gdy zaprzestano przyzywać mistycznych pojęć potęg duchowych lub nadprzyrodzonych dla tłumaczenia zjawisk fizycznych, wszystkie przypuszczenia wymyślone dla ich objaśnienia sprowadzają je do *ruchu*. Jakoż weźmy teoryą wypływu lub falowania światła, teorye elektryczności, i t. d., czyliż *ruch* i *materya* nie są w nich jedynemi pojęciami na widownią wyprowadzonemi? Teorya *Grove'go* ma przed niemi wszystkiemi tę zaletę, że je niesłychanie uprościła, usuwając niepotrzebną hypotezę różnych bezważkich płynów i eterów. (Porównaj III 1. B. D.—IV 2.—V 2. A.)

B. Postawienie w ten sposób nowéj teoryi, nie mogącéj zapewne wytrzymać wszystkich zarzutów, *Grove* tak usprawiedliwia, że powiada, iż teorya, aby wytrzymała wszystkie zarzuty, musi być prawem. Otóż gdybyśmy się upierali przy tém, żeby nie tworzyć teoryi, tojest nie zapatrywać się ogólnie na zjawiska przyrody, tylko wtedy, gdy nasze ogólniki byłyby pewne

i wolne od wszelkich zarzutów t. j. skoroby się już stały niejako prawami, wtedy nauka gubiłaby się w massie rozproszonych postrzeżeń, nie mającyeh z sobą związku. Trzeba unikać przesady jak w jednym tak i w drugim kierunku.

C. Takie zapatrywanie się doprowadzi w każdym razie do tego, że postrzegacz zjawisk natury, spodziewać się będzie zmian w ich objawach, ile razy zajdzie zmiana w wewnętrznéj budowie materyi; i naodwrot. (Porównaj III 1. C.—IV 1. C.—V 2. C.—VI 2.)

6. Ważném na przyszłość zadaniem przy wyjaśnieniu współzawisłości sił fizycznych jest oznaczenie *równoważników*, ich mocy, czyli wyrażenie ich miarą i liczbą względnie do danéj jedności. (Porównaj VII 1. B.—IX 1. i 3).

A. Dulong i Petit przekonali się co do niektórych ciał pojedynczych, a *Neumann* i *Avrogado* co do niektórych złożonych, że ich ciepło właściwe, pomnożone przez równoważnik chemiczny, daje stały iloczyn. Według teoryi *Grove'go* możnaby to wyrazić w następujący sposób: każde ciało posiada zdolność udzielania lub przyjmowania siły molekularnéj odpychającéj zupełnie równą, na wagę, jego zdolności łączenia się chemicznie; np. równoważnik ołowiu jest 104, a cynku 33, czyli w okrągłych liczbach 3 i 1, liczby te są odwrotnie proporcyonalne do ich potęgi chemicznéj, tojest potrzeba 3 razy więcéj ołowiu aniżeli cynku dla nasycenia téj saméj ilości kwasu, lub innego ciała mogącego wchodzić w związek z metalami; otóż ich zdolności do udzielania lub odbierania ciepła czyli siły odpychającéj są całkiém w tym samym stosunku, t. j. trzeba 3 razy tyle cynku co ołowiu dla sprawienia téj saméj ilości rozszerzenia lub skurczenia w danéj ilości trzeciego ciała, np. wody.

B. Wiele ciał (jakiemi są gazy) łączy się z sobą chemicznie równemi objętościami czyli w stosunku ciężarów właściwych; że zaś ciężary właściwe wyobrażają siły przyciągające ciał, czyli są wyrażeniem liczebném sił usiłujących wprawić w ruch cząsteczki materyi, tojest zbliżyć je wzajemnie do siebie, a zdrugiéj strony, równoważniki chemiczne są wyrażeniami powinowactwa czyli usiłowań cząsteczek ciał różnorodnych do połączenia się z sobą, mamy więc tu dla pewnéj liczby ciał, równoważny stosunek między temi dwoma rodzajami sił t. j. ciężkością i powinowactwem chemicznem.

Stanisław Janikowski.

KORRESPONDENCYE.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

W czerwcowym numerze Biblioteki Warszawskiéj wyczytałem, że pan J. Kraszewski przekłada na język ojczysty Żywot ś. Stanisława biskupa krakowskiego. Przekład dzieła Ojca historyków naszych dokonany przez tak znamienitego pisarza, jakim jest pan Kraszewski, będzie niezawodnie jedną z najcelniejszych ozdób nowego wydania wszystkich dzieł Długosza. Ale mało komu może jest wiadomém, bo i Jocher o tém nie wiedział, że podobnie jak żywot ś. Kunegundy posiadamy już z XVI wieku żywot ś. Stanisława w przekładzie polskim acz w znacznem skróceniu. Tytuł tego przekładu częścią czarnemi, częścią czerwonemi literami odbity, jest taki: „*Panie Boże w imię Twoje. Historya o ś. Stanisławie biskupie krakowskim, patronie polskim. Przedtém łacińską rzeczą przez uczciwego K. Jana Długosza kanonika kościoła zamkowego krakowskiego etc. szeroko opisana. A teras polskim językiem przez księdza Mikołaja z Wilkowiecka zakonnika Pawła ś. pustelnika pierwszego a profesa klasztoru częstochowskiego krótko zebrana y spisana.* (Pod tym tytułem drzeworyt wyobrażający ś. Stanisława wskrzeszającego Piotrowina). *Cum gratia et privilegio S. R. M. W Krakowie w drukarni Stanisława Szarfenberga roku 1578.* 4to. Sig. J. 3. W całém dziele znajdują się dosyć zgrabne drzeworyty wyrażające rozmaite zdarzenia z życia ś. Stanisława, jak np. jego urodzenie, kupno wsi od Piotrowina, wyjście z grobu Piotrowina na złożenie świadectw, zamordowanie ś. Stanisława i t. p.

Na probę, jak Mikołaj z Wilkowiecka Długosza przełożył, przytoczę tu kawałek textu Długosza obok z przekładem Mikołaja z Wilkowiecka.

„Postea vero quam adolescentiam pertingens gratia altioris capescende doctrine scolas Gneznen. aditurus, quod eo tempore feracius illic studium et eruditio copiosior haberet in villagium Borowno pervenisset: balnea pro militibus ville adaptata ingressus corpus curare

„Stanisław ś. młodzieńcem już będąc, a do Gniezna gdzie naonczas sławniejsze y więtsze ćwiczenie było, dla większey nauki idąc, do wsi Borowna przyszedł, w którey do łaźnie ziemianom nagotowaney, aby się omył wszedł. Ziemianie do łaźnie przyszedłszy a onego tam za-

et abluere pergeret a supervenientibus, militibus et graviter se ab eo, quod iniussu eorum balnea ingredi ausus foret iniuriatos, querentibus, fustibus in corpore nudo cesus et contumeliose electus est, pacienti autem animo et absque omni murmure et querela verberationem huiusmodi et ludibrium perferens, in campo vicino egressus paululum substitit, et in saxo quod etiam in diem hodiernum ostenditur genua ligens, veniam dari his, qui illum tam inhumane ceciderant precabat".

stawszy, iż tam krom ich dozwolenia wszedł, za zelżywość to sobie poczytali i nagiego zbiwszy z łaźnie wygnali, który takowe zbicie, skromnie przez (sic) żadnego szemrania y łaiania cierpiąc, na pola przy oney wsi wyszedłszy, a trochę postawszy na kamieniu poklęknął, Pana Boga prosząc, aby im zbicie odpuścił".

Ktoś z panów w Warszawie wydaje biografią Radziejowskiego. Załączam kopią listu Ludwika XIV do Radziejowskiego; może się biografowi na co przyda.

J. Ł.

Kopie listu króla Ludwika XIV wypisane z manuskryptu Biblioteki Arsenalskiéj w Paryżu (Bibliothèque de l'Arsenal) pod napisem: „Lestret de Louis XIV depuis le 9 mars 1661—le 31, 8bre 1662". *In 4to N.* 299.

„A Monsieur de Radzicouski (Radziejowski). (Przy tym adresie znajduje się na marginesie następująca nota: „*Il a esté autrefois Vice-Chancelier de Pologne, homme d'Esprit et d'intrigue*").

Monsieur de Radzicouski, Votre merite m'est trop bien connu pour ne recevoir pas avec joye les asseurances que Vous me donnez de Votre affection, je Vous en remercie et ne fait nul doute quelles ne soyent suivies des effets en tout ce qu'on peut attendre raisonnablement d'un homme d'honneur, croyez aussy que j'y respondray en sorte que Vous aurez sujet de Vous louer de ma bienveillance, Je prie Dieu qu'il Vous ayt, Monsieur de Radzicouski en sa saincte garde, à Fontainebleau, le 24, 9bre 1661".

(Signé) *Louis.*

Sprawozdanie Zarządu Wystawy Krajowéj Sztuk Pięknych w Warszawie, za czas od d. 3 *lipca* 1858 *do d.* 24 *czerwca* 1859 *r.*

Zarząd Wystawy Krajowéj Sztuk Pięknych w Warszawie, wywięzując się z przyjętego obowiązku, ma zaszczyt przedstawić pp. artystom i miłośnikom Sztuk Pięknych następujące zdanie sprawy z swych czynności,

oraz wpływów i wydatków Wystawy przez czas od 3 lipca 1858 do 24 czerwca 1859 r.

W ciągu tego określonego czasu przyjął Zarząd i umieścił na Wystawie 271 sztuk dzieł artystycznych różnego rodzaju, a mianowicie:

Obrazów historycznych sztuk	34.
Portretów	50.
Obrazów rodzajowych	58.
Batalij	7.
Krajobrazów	38.
Obrazów perspektywicznych	14.
Rzeźb	14.
Medali	7.
Miniatur	5.
Akwarel	21.
Rysunków	2.
Litografij	4.
Projektów architektonicznych	17.
Jak wyżéj, razem sztuk	271.

Z téj liczby wystawiono do sprzedania obrazów sztuk 121 za summę rsr. 14,202.

Sprzedano sztuk 29 za summę rsr. 1,576 k. 50.

W powyżéj określonym przeciągu czasu odwiedziło Wystawę:

Osób dorosłych za biletami po kop. 15	—8,888.
Dzieci za biletami po kop. $7^1/_2$	260.
Wpłynęło więc do kassy Wystawy	
za bilety 15-kop. rsr.	1,333 k. 20;
za bilety $7^1/_2$-kop.	19 „ 50.
Razem wpłynęło za bilety wnijścia rsr.	1,352 k. 70.

Z procentów pobieranych od sprzedanych z Wystawy obrazów, licząc po 5 od sta od summy rsr. 1,576 kop. 50, wpłynęło „ 78 k. $82^1/_2$.

Nakoniec złożyli dobrowolnie pp artyści za bilety wnijścia niepłatne, roczne dla nich rsr. „ 92. „

Zatém było całego wpływu rsr. 1,523 k. $52^1/_2$

Z tego funduszu opłacono:

Lokal roczny dla Wystawy	rsr. 600. k.
Pierwsze urządzenie lokalu	„ 249 „ 47.
Opał, światło i porządki	„ 149 „ $43^1/_2$.
Służba roczna	„ 180 „ 50.
Potrzeby kancellaryjne i druki	„ 21 „ 47.
Tantyema służącemu od biletów wnijścia jeden od sta	„ 13 „ 53.
Trasport obrazów artystów tutejszych, bawiących za granicą jako forszus	„ 80 „ 87.
Razem było wydatków rsr.	1,295 k. $27^1/_2$

Pozostało więc w kassie Wystawy, jako remanent do użycia na wydatki w roku bieżącym i przyszłym rsr. 228 kop. 25.

Ogólny pogląd na powyższe cyfry do następujących zniewala objaśnień: chociaż zasady Wystawy krajowéj dozwalają przyjmować prace artystów zagranicznych, a nawet Zarząd był upoważnionym opłacać z funduszów Wystawy koszta transportu dzieł pp. artystów zapraszanych do przesyłania prac swoich na tutejszą Wystawę, ze względu na zbyt skromne wpływy, tego dotąd nie uczynił; dla téj więc przyczyny liczba nadesłanych dzieł zagranicznych na Wystawę była tak małą. Z tóm większą pociechą i nadzieją wyznać możemy, że prawie sami artyści warszawscy wymienioną liczbę prac artystycznych Wystawie krajowéj dostarczyli; dzieła ich w coraz znaczniejszéj przybywały liczbie, co nie mały stanowi dowód, że sama możność łatwiejszego wystawienia takowych na widok publiczny, jest nie małą pobudką do pracy.

Stosunek liczby sprzedanych dzieł do liczby wystawionych na sprzedaż jest wprawdzie uderzająco małym, mamy jednakowoż nadzieję, dziś już na pewnéj opartą podstawie, że skoro opiekuńczy rząd dozwoli utworzenia Kunstvereinu w Warszawie, do którego Wystawa dzisiejsza jest tylko wstępem, stosunek powyższy znacznie zmienionym zostanie.

Wystawa krajowa Sztuk Pięknych istnieć będzie nadal w tym samym lokalu i na tych samych zasadach, z tą tylko różnicą, że lokal o 3 lub 4 pokoje powiększonym zostanie; a ponieważ, stosownie do tychże zasad, żadne z wystawionych dzieł dłużéj nad rok na Wystawie znajdować się nie może, niebawem do nowego urządzenia Wystawy zarząd przystąpić nie omieszka.

Nakoniec Zarząd Wystawy krajowéj dziękuje pp. artystom, kolegom swoim za zaufanie, jakie w nim położyli; niechajby zawsze służył za węzeł téj bratniéj jedności, która dotąd między tutejszemi artystami tak przykładnie panuje; chciejmy zawsze pamiętać, że głównemi i niezbędnemi środkami, do utrwalenia bytu i nadania wzrostu każdéj instytucyi, są: jedność i wytrwałość jéj członków.

W Warszawie, d. 24 czerwca 1859 r.

Członkowie Zarządu Wystawy Krajowéj Sztuk Pięknych (podpisani): *Kaniewski, Piwarski, Hadziewicz, Konst. Hegel, Alfred Schouppe, Alexander Lesser, J. Simmler, W. Gerson, Wład. Oleszczyński, January Suchodolski.*

Wydawnictwo dzieł Długosza.

Szczegóły dotychczasowych poszukiwań rękopismów Długoszowych dziejów, oraz obraz stanu tego przedsięwzięcia, podano w sprawozdaniu publikowaném w czerwcowym poszycie Biblioteki Warszawskiéj z b. r. O rozkładzie zaś i podziale prac Długosza na pojedyncze tomy, oraz o miejscach gdzie przedpłata na tę publikacyą przyjmowaną będzie:

w Królestwie, Cesarstwie, w Galicyi, Wielkiém Księztwie Poznańskiém i zagranicą; doniesie wkrótce ukazać się mający prospekt.

Po zamknięciu przedpłaty cena prawie o połowę podniesioną zostanie, obecnie bowiem wydanie dzieł Długosza liczy się do najtańszych polskich publikacyj. Całe przedsięwzięcie obejmować ma tomów 20 w formacie wielkiéj ósemki, taki tom prawie 50 arkuszy zawierający wypada w prenumeracie na złp. 10.

Ile egzemplarzy tylko łacińskiego tekstu zażądają Biblioteki zagraniczne, tyle samych polskich rozejść się może w kraju za cenę 15 rs. w przedpłacie. Przecież wcześnie zgłaszający się mają pierwszeństwo.

Do wydawnictwa dzieł Długosza zgłaszać się można w Warszawie, pod adresem hr. A. Przezdzieckiego, w Krakowie do J. Łepkowskiego sekretarza wydawnictwa.

Teraz już przedpłatę w ilości 30 rs. przyjmują w Warszawie;

a) W głównéj expedycyi Towarzystwa Rolniczego, w księgarni p. Gustawa Gebethnera i Spółki na Krakowskiém Przedmieściu N. 415 w pałacu hr. Stanisława Potockiego.

b) W biurze redakcyi Biblioteki Warszawskiéj przy ulicy Senatorskiéj pod N. $46^{8}/_{9}$.

c) U Alexandra hr. Przezdzieckiego zamieszkałego w domu własnym przy ulicy Senatorskiéj N. 471. lita.

d) U WW. panów: A. Chołodeckiego i G. Czarnockiego w hotelu Europejskim.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA

DZIEŁ I PISM WYCHODZĄCYCH W KRÓLESTWIE POLSKIÉM.

Miesiąc maj 1859 roku.

DZIEŁA.

Amszejewicz Michał. Dykcyonarz zawierający wyrazy i wyrażenia z obcych języków polskiemu przyswojone, a mianowicie w umiejętnościach, sztukach, tudzież w stylu prawniczym, administracyjnym, gazeciarskim, naukowo filozoficznym, literackim, i w potocznéj mowie używane; dla użytku powszechnego ułożony. Warszawa, 1859, druk A. Gins. W 8ce, zeszyt VI, str. od 241—288. Zeszyt VII str. od 289—336, okł. druk.

Maciejowski Wacław Alexander. Historya prawodawstw słowiańskich. Z rękopisów i druków zupełnie nowo przerobione i na sześć tomów podzielone, wydanie 2. Tom III obejmuje prawo cywilne i karne, tudzież praw obu postępowanie i organizacyą sądową w przestworze IX—XIV wieku. Warszawa, 1859, nakł. autora, druk S. Orgelbranda. W 8ce, str. IV i 431, okł. druk.

Droga krzyżowa najprzód krwawemi Zbawiciela świata śladami uprzywilejowana, potém w kościołach braci mniejszych Świętego Franciszka Reformatów prowincyi Wniebowzięcia Najśw. Panny Maryi fundowana, dla pożytku dusz ludzkich. Płock, druk C. Pauli, 1859, w 12ce, str. 54, kop. $7^1/_2$.

Karwacki A., lekarz szpitala powiatowego w Kielcach. Torebki albo kapsułki galaretowe, *capsulae gelatinosae*, oraz torebki otwierające się, *envelopes medicamentecises*, sposób robienia i użyteczność tychże. Kielce, 1859, druk E. Kołakowskiego. W 8ce, str. 14, tab. 2, okł. druk.

Arcybiskupi gnieźnieńscy i prymasi. Wizerunki z galeryi łowickiéj objaśnione tekstem historycznym przez *Juliana Bartoszewicza*. Zeszyt 8. Warszawa, 1858, nakł. litogr. A. Pecq et Comp., druk J. Ungra, fol., str. nieliczb. 4, wizer. 4, okł. druk.

Bieg roku całego na cześć i chwałę Boga w Trójcy Św. Jedynego, Niepokalanie Poczętéj Panny Maryi i Wszystkich Świętych. Częstochowa, 1858, w 12ce, str. nieliczb. 20 i liczb. 284, tudzież regestru nieliczb. str. 7.

Oficyum codzienne dla wygody chrześciańskiéj. Częstochowa, 1859, w 12co, str. nieliczb. 22, liczb. 405, tudzież regestru nieliczb. 5.

Wybór pieśni wyobrażający tajemnice Chrystusa Pana, Najświętszéj Matki Jego i niektórych świętych opiekę głoszący. Częstochowa, 1858, w 12ce, str. 164 i regestru nieliczb. 4.

Wybór osobliwych nabożeństw na duchowną pociechę i pożytek ludzi pobożnych z różnych ksiąg zebrany przez pewnego kapłana. Częstochowa, 1858, w 12ce, str. nieliczb. 10, liczb. 306, tudzież regestru niel. 4.

Miesiąc Maryi u stóp krzyża. Rozpamiętywanie boleści N. M. Panny w czasie nabożeństwa majowego. Przekład z francuzkiego *Seweryny z Żochowskich Pruszakowéj*. Warszawa, 1859, nakł. druk J. Ungra. W 12ce. str. 295 i spisu przedmiotów nieliczb. 3. Okładka druk.

Thiers A. Historya Konsulatu i Cesarstwa, dzieło ozdobione 20stu rycinami. Zeszyt XLIV. Warszawa 1859, nakład i druk S. Orgelbranda, w 8ce, str. od 577 do 672, okł. druk.

Katalog Czytelni polskiéj przy księgarni i składzie nut muzycznych Michała Glücksberg. Warszawa, 1859, w 16ce, str. 48, okł. druk.

Królowie polscy, wizerunki zebrane i rysowane przez *Alexandra Lessera*, objaśnione tekstem historycznym przez *Juliana Bartoszewicza*. Zeszyt 4. Warszawa, 1859, nakład. litogr. A. Pecq et Comp., druk J. Ungra, fol., str. 7. (Tekst polski i francuzki).

Feuillet Oktaw. Miłość ubogiego młodzieńca, przekład z francuzkiego przez *R. B. (Rozalii Boczarskiéj)*. Warszawa, 1859, nakł. i druk. J. Glücksberga, w 8ce, str. 202, okł. druk. Rsr. 1.

Estkowski Ewaryst. Zbiorek rzeczy swojskich ku nauce i rozrywce dla młodzieży. Poznań, 1859, nakł. K. Żupańskiego, druk M. Zoerna, w 8co, str. XX, 200, okł. druk. Rsr. 1 kop. 35.

Milewski Leon. Krawiectwo damskie. Warszawa, 1859, druk K. Kowalewskiego, w 8ce, str. 9, tab. 3 i miar 2.

Osiecki J., ingenieur et Membre de l'Académie de Arts et Métiers de Paris. Aperçu général sur les progrès des chemins de fer en Europe et sur la voie communicative entre la mer Noire et la Baltique avec une carte topogr. Varsovie, 1859, l'imprim. de J. Unger, 8vo pag. 43, okł. druk.

(Papłoński Jan). Opowiadania z pism polskich wyjęte, ku pożytkowi i zabawie młodzieży służące, kosztem Okręgu Naukowego wydane. Warszawa, 1859, druk K. Kowalewskiego, w 8ce, str. 393 i nieliczb. Spisu rzeczy 2, kop. 45.

Deotyma (Łuszczewska Jadwiga). Polska w pieśni. Z księgi pierwszéj Lęch. Warszawa, 1859, druk Gazety Codziennéj, w 8ce, str. 84, okł. druk. Kop. 90.

Wolski Włodzimierz. Domek przy ulicy Głębokiéj, powieść. Warszawa, 1859, nakł. Michała Glücksberga, druk J. Jaworskiego. W 12ce. Tom I, str. IV i 238. Tom II, str. 254. Tom III, str. 222, okł. druk. Rsr. 2 k. 25. (Drukowana poprzednio w Gazecie Codziennéj).

Jourdier. Katechizm rolnictwa, przełożył *Stanisław Zdzitowiecki*. Warszawa, 1859, druk braci Hindemith, w 8ce, str. 344 i spisu rzeczy nieliczb. 2, okł. druk. Rsr. 1 kop. 50.

Podręcznik dla gospodyń, zawierający opis środków przedsięwziętych dla usunięcia nadużyć przy sprzedaży mięsa. Warszawa, 1859, druk J. Jaworskiego, w 16ce, str. 29 (z ryciną), kop. 10.

Paweł. Oratorium Mendelssohna Bartholdy, przekład *W. W. (Włodzimierza Wolskiego)*. Warszawa, 1859, druk J. Ungra, w 12ce, str. 12.

Kraszewski J(ózef) I(gnacy). Milda. Kantata mythologiczna (z poematu Witolorauda). Muzyka *Stanisława Moniuszki*. Warszawa, 1859, druk K. Kowalewskiego, w 8ce, str. 16.

DZIEŁA ZBIOROWE.

Księga Świata. Zeszyt IV, okł. druk., zawiera:

Jerzy Bogumił Pusch, p. *Adama Wiślickiego*. Światło elektryczne. Trzęsienie ziemi w okręgu Semipalatyńskim. Polowanie na tygrysy. Wspomnienie Tatrów, z notat podróżnych *Oskara Flatt* (dokończ.). Wynalazek teleskopu. Ida Pfeiffer, znamienita podróżniczka niemiecka. Dzięcioły brazylijskie. Rozmaitości. (Dołączony osobny pół-arkusz str. 4 zawiera: korrespondencye, objaśnienie ryciny mód, mody, objaśnienie deseni i sposób zachowania włosów).

PISMA PERYODYCZNE I GAZETY.

Pamiętnik religijno-moralny. Maj, N. 5, str. od 481—600, okład. druk., zawiera:

Znaczenie ofiary. Wyjątek z przygotowanego do druku dzieła pod napisem: „Wykład praktyczny Mszy świętéj" (dokoń.). Wykład historyi kościelnéj, przez ks. *Lavigerie*, professora Sorbony, o Jansenizmie (ciąg dal.). Ciało św. Cyrylla i kanonizacya kanonika Rossi i Jana Sarkander. Missye: Kochinchinea, Chiny. Monstrancya ofiarowana do kościoła Św. Alexandra w Warszawie przez JWW. Puslowskich. Wiadomości naukowe i Bibliografia duchowna. Kronika kościelna i Rozmaitości. Nekrolog ks. Bartłomieja Józefowicza. Korrespondencya duchowna: Obrazy z życia pasterskiego. W końcu zeszytu dołączono: Przemowa miana na pogrzebie ś. p. Eleonory z Milewskich Michałowskiéj dnia 5 grudnia 1858 roku w kościele parafialnym kijowskim przez W. JK. Dobrzewicza kanonika, S. T. M. i professora Uniwersytetu Cesarskiego Św. Włodzimierza w Kijowie. Str. 8.

Roczniki Gospodarstwa Krajowego. Tom XXXV. Poszyt 2, miesiąc maj, str. II i od 321—572. Tab. 4, okł. druk., zawiera:

Czynności komitetu T. R. w miesiącu kwietniu r. b. Czynności sekcyi ogólnéj T. R. z r. 1859. Ogłoszenia Tow. Rol.: 1) Konkurs na najlepszą w kraju czystéj krwi owczarnię zarodową. 2) Rozwinięcie projektu kształcenia rzemieślników wiejskich i osiedlania majstrów rzemieślniczych po okręgach. 3) O praktykantach gospodarskich i rzemieślniczych. Wyciąg ważniejszych przedmiotów z różnych nowszych czasopismów rolniczych zagranicznych, p *K. W.* Rozmaitości. Przegląd wiadomości przez korrespondentów Towarzystwa Rolniczego w Król. Pols. za m. kwiecień r. b. nadesłanych. Dostrzeżenia meteorologiczne za m. marzec r. b.

Tygodnik Lekarski, N. 15—17, zawierają:

Rott: Uwagi praktyczne. *Warszauer:* Sprawozdanie z chorych leczonych w Szczawnicy podczas pory kąpielnéj r. 1858. *O....:* Homeopatya i medycyna. *Rosicki:* O badaniu śledziony. *S.:* Klarowanie miodu za pomocą mchu karageńskiego. *Zieleniewski:* Zdroje i kąpiele lekarskie w Krynicy w r. 1858. *A. S.:* Wyjątki z klinicznego wykładu Dra Kiwischa. Posiedzenie 6. Towarzystwa lekarskiego warsz. z d. 5 kwietnia r. b. *Hebda:* Leczenie zastarzałych wrzodów na goleni. *Przystański:* Varia. *Sciborowski:* Wyciągi z pism zagranicznych. Spostrzeżenia meteorologiczno-lekarskie. Nowe dzieła.

Ruch Muzyczny. Miesiąc maj 1859. N. 18—21 zawierają:

Ostatni przewrót w muzyce europejskiéj (ciąg dal.). Pieśni pobożne polskie, wydane przez Wojciecha Sowińskiego, p. *J. Doroszenkę.* Przed pół wiekiem i dzisiaj. Spółka smyczka z klawiszem. Krótki rys historyi muzyki powszechnéj (ciąg dal.). Młodość Hajdna. Henryk Hertz. Korrespondencya z Kijowa p. *J. Doroszenkę.* Druga msza K. Studzińskiego. Koncert Henryka Hertza. Korrespondencye. Nowości zagraniczne.

Magazyn Mód. N. 16—18 zawierają:

Faustyna, opowiadanie z dzieł p. *Reybaud* (ciąg dal.). Krynoliny. Mody.

Czytelnia Niedzielna. Maj. N. 18—22 zawierają:

Jan Kochanowski. Opowiadania Gabryela. Ryż. O monetach czyli pieniądzach, ich nazwach i wartości. III (dokończ.). Poniedziałkowanie. Wiliam Preacher. Świętobliwe niewiasty: V. Marya-Klementyna Stuart, VI. Dorota Bazi, VII. Zofia Kostka. Święty Jan z Nepomuk. Dwaj bracia. Górnictwo. Rok kościelny, czyli wyjaśnienie intencyi, jakie przewodniczą obrzędom i uroczystościom kościoła w różnych porach roku. Nabożeństwo majowe. Rozmowa o geografii (p. *Jana Papłońskiego,* ciąg dal.). Zdania. Poezya. Górnictwo.

Gazeta Warszawska. Miesiąc maj 1859. N. 115—144 zawierają:

Listy *J(ózefa) I(gnacego) Kraszewskiego* (dokoń.). Listy potoczne p. *Wikt(oryna) Ziel(ińskiego).* Wody lekarskie Galicyi Zachodniéj. Mała religijność dzisiejszego malarstwa, wyższość dawniejszéj sztuki w Polsce; obrazy pp. Hadziewicza, Simmlera, Phanhauzera i innych

(ciąg dal. i dokoń.). Gawędy naukowe; Wulkany (p. *Józefa B. Wagnera*). Korrespondencya z Paryża. (Dalszy ciąg przeglądu dzisiejszych romansów francuzkich). Słów kilka z powodu zamierzonego pomnika Czechowicza. Literatura dramatyczna hiszpańska (ciąg dal.). Mołdawia i Wołoszczyzna. Przegląd literatury rossyjskiéj z początków bieżącego roku, p. *J(ana) P(apłońskiego)*. Korrespondencye krajowe i zagraniczne. Wiadomości literackie pod znaczkiem:— Rozmaitości.

Kronika Wiadomości Krajowych i Zagranicznych. Miesiąc maj, 1859. N. 115—144 zawierają:

Alchemik, poemat dramatyczny p. *Ilnicką*. Wiadomości z dziedziny nauk przyrodzonych. Listy Cześnikiewicza do Marszałka (p. *J. Miniszewskiego*). Francuzka pośród chińskich rozbójników morskich. Law i jego system. Wyspa Kuba. Jezioro Jednogórskie w W. Księztwie Poznańskiém, p. *Emila Kierskiego*. Niektórzy dawniejsi literaci oraz dzieła ich dotyczące Polski, p. *A. K.* Odpowiedź na przegląd poezyi Edmunda Wasilewskiego umieszczony w Gazecie Warszawskiéj, p. *J. Krasuskiego*. Kwestarz, obrazek wiejski. Alexander Humboldt. Cudowna lekarka w Schleitz P. Graf. Miasto ciemności, Termity. Korrespondencye krajowe i zagraniczne. Korrespondencye z Warszawy. Przegląd tygodniowy. Zbieranina. Rozmaitości. Wiadomości bieżące i literackie pod znaczkami: M, + α.

Gazeta Codzienna. Miesiąc maj, 1859. N. 115—144 zawierają:

Moje wspomnienia, lat temu około czterdziestu (ciąg dal. i dokoń.). Ludzie dowcipni XVIII wieku we Francyi. Listy z nad Wisły. Prośba do filologów czyli przyjaciół mowy od rolnika. Obywatel ziemski i pieniądz w obec społeczeństwa, p. *A. M.* Przegląd literatury zagranicznéj: Charakterystyka talentu Juliusza Michelet, jego dzieła: „Ptak" i „Miłość" p. *Edwarda Sulickiego*. Nadzwyczajne przygody zapoznanego człowieka, ustęp z pamiętników nieznajomego. Słówko o kaleczeniu prawdy, napisał *Wincenty Stempowski*. (Odpowiedź na artykuł W. Korotyńskiego o tłumaczeniu dzieła Michelet'a p. t.: „Ptak"). Alexander Humboldt. Teatr: „Cyganie," dramat w 5 aktach wierszem przez J. Korzeniowskiego (rozbiór) i „Dwie Margrabiny," p. A. Hennel. Pogadanka o muzyce. O rzeczach naszych i nie naszych, p. Władysława Bortkiewicza. Korrespondencye. Wiadomości literackie pod znaczkiem W.

Kuryer Warszawski. Miesiąc maj, 1859. N. 116—144.

Gazeta Rządowa Królestwa Polskiego. Miesiąc maj, 1859. N. 95—119 zawiera:

Konwencya o wzajemne wydawanie dezerterów i zbiegłych zawarta między Rossyą i Prusami. Najwyższe postanowienie o zastosowaniu do Królestwa Polskiego, istniejących w Cesarstwie głównych zasad nabywania godności szlacheckiéj. Postanowienie Rady Administracyjnéj o opłacie przewozowéj na rzece Wieprzu pod miastem Kockiem. Ogłoszenia o konkursie na przedstawienie projektu dla wzniesienia pomnika, mającemu ukończyć się w 1862 roku tysiącleciu państwa rossyjskiego.

Warszawska Gazeta Policyjna. Miesiąc maj, 1859. N. 121—151 zawierają:

Cagliostro. Zwyczaje i obyczaje Japończyków.

Warschauer Zeitung, pod redakcyą Gustawa Wilhelma Müllera, nakładem braci Hindemith. Warszawa, druk braci Hindemith, w 4 większéj, wychodzi codziennie prócz niedziel i świąt. Miesiąc maj, 1859. N. 1—26 zawierają:

Das Salz. Kurzer Ueberblick der Warschauer Opern-Zustände seit Beginn des laufenden Jahres. Eine Ballscene. Aus dem polnischen des *Józef Korzeniowski*. Der gegenwärtige Stand der Baumwollenspinnerei in Polen. Literarisches aus Deutschland von *Fr. von der Zeil*. Die inländische Kunstausstellung. Unser nervoses Zeitalter.

Korrespondent rolniczy, handlowy i przemysłowy. Miesiąc maj, 1859. N. 34—41 zawierają:

Uwagi dotyczące postępowania młodzieży, początkowo się kształcącéj w zawodzie gospodarskim, czyli na praktyce gospodarskiéj. Proszki Kwizdasa na choroby zapalne u bydła, przez *Macieja Ordęgę*. Owocarnie czyli składy na owoce zimowe, przez *Karola Martin*. Stosunek buchalteryi i wybór metody do gospodarstwa rolnego, p. *Jana Dangel*. Żniwiarka z fabryki Evans, Lilpop i Rau. Państwo odosobnione Thünena, przekład Ludwika Bogueckiego, rozbiór *Adama Mieczyńskiego*. Wyciąg ważniejszych przedmiotów z różnych nowszych czasopismów rolniczych zagranicznych (z Roczn. gosp. krajow.). Gawędy starego gospodarza. Korrespondencye. Wiadomości handlowe. Średnie ceny żywności na targach Warszawy i Pragi.

Przegląd rolniczy, przemysłowy i handlowy. Miesiąc maj, 1859. N. 17—20 zawierają:

O wartości, jako pojęciu zasadniczém ekonomii politycznéj, o cenie i pieniądzach (dokoń.). O pożyteczności wynikającéj z przeważania zboża, sprzedawanego na targach i do młynów na miary sypkie korcowe, p. *Alexandra Wołowskiego*. O owadzie niszczącym lasy zwanym borecznik choinowy, p. *Pawła Wietckiego*. Projekt ustawy o kassie pożyczkowéj do ułatwienia handlu bydła, przeznaczonego na konsumpcyą miasta Warszawy. Żywokost lekarski, p. *Stanisława Konst. Pietruskiego*. Stan obecny owczarni szlązkich pod względem liczby i gatunku owiec, p. *J. G. Elsnera*. Jedwabnictwo, p. *Alexandra Wołowskiego*. O powołaniu i usposobieniu leśnika. Metody postępowania przy pogłębianiu. Rozmaitości. Wiadomości handlowe. Ceny średnie produktów rolniczych na ostatnich targach znaczniejszych miast Królestwa Polskiego.

Gazeta Rolnicza, przemysłowa i handlowa. Maj. N. 18—21 zawierają:

O fabrykacyi piwa w Winiarach (dokoń.). O uprawie ziemi i poprawie rzeczy ziemskich, p. *Wojciecha Jastrzembowskiego* (ciąg dal.). Piśmiennictwo rolnicze: Sprawozdanie krytyczne o dziele: Zarysy ekonomii społecznéj W. Elisa, przełożył Stanisław Budzyński, p. *Drapacza Polskiego* (dokoń.). Państwo odosobnione Thünena przełożył Ludwik Bogucki, p. *Adama Mieczyńskiego*. O oficyalistach w dobrach prywatnych na Podolu, Ukrainie, oraz w innych guber-

niach zachodnich Cesarstwa. Listy z zagranicy. Rady dla pszczolarzy (ciąg dal.). Leśnictwo na Podolu (ciąg dalszy). Sprawozdanie rady zarządzającéj Towarzystwa generalnego kredytu ruchomego przedstawione na zwyczajném zgromadzeniu ogólném w d. 30 kwietnia 1859 r. Uprawiaczka, p. *Albina Kohn.* Przemysłowe i techniczne zastosowania w gospodarstwie wiejskiém, p. *Wincentego Stępowskiego.* Meteorologia rolnicza. Wiadomości handlowo-gospodarcze. Ceny średnie produktów rolniczych na ostatnich targach znaczniejszych miast Królestwa Polskiego.

MUZYKALIA.

Stankiewicz M. Le Printemps polka tremblante pour le piano. Varsovie, nakł. M. Glücksberga, litogr. J. Müller, str. 3, kop. 15.

Listowski Andrzéj. Hygiea. Walc skomponowany na fortepian, Warszawa, nakł. R. Friedleina, litogr. W. Otto, str. 7, kop. 45.

Pion Eugène. Le bal d'enfants polka pour le piano. Op. 2, Varsovie, lith. J. Müller, str. 3, kop. 22½.

Voss Ch. Freikugeln quadrille. Op. 250, Warschau, lit. J. Müller, str. 11, kop. 60.

Bauer Ludwig. Eisenbahn-galop-brilante für das Pianoforte componirt. Op. 19, Warschau, lit. J. V. Fleck, str. 11, kop. 60.

Meyerbeer Giacomo. Le pardon de Ploërmel. Odpust w Ploërmel. N. 11, Grand Air, Warszawa, nakł. H. Hirszel, str. 11, kop. 60.

Strauss. Repertoire des bal. de l'opera à Paris. Quadrille sur les motifs de Felicien David Herculanum. Varsovie, chez Hirszel, str. 5, kop. 30.

Leutner Alb. Sylvester Quadrille für das Pianoforte. Warschau, litogr. J. Müller, str. 7, kop. 30.

Rogucki J. Serenada na fortepian. Warszawa, nakł. redakcyi Ruchu Muzycznego, litogr. J. V. Fleck, str. 3. (Dołączona do N. 21 Ruchu Muzycznego z d. 25 maja r. b.).

Braun Edward. Majówka polka composée et transcrite pour piano. Varsovie, chez R. Friedlein, lit. J. V. Fleck, str. 5, kop. 30.

RYCINY, LITOGRAFIE i t. d.

Wizerunek brata *Piotra Ostrowskiego*, kwestarza Ojców Bernardynów Warszawskich, z rysunku Stanisława hr. Kossakowskiego, litogr. M. Fajansa, 8ka. Pod spodem następujące wiersze:

„Niechże pamięć Piotra brata,
W sercu dla biednych kołata;
Daj ubogim, daj dla siebie,
Aby z Piotrem być tam w niebie".

Dwa złote za wizerunek na rzecz ubogich i co tydzień choć kilka groszy dla biédnych na intencyą ś. p. brata Piotra Ostrowskiego, kwestarza OO. Bernardynów, zmarłego w Warszawie, dnia 26 stycznia 1859 roku.

Święty *Wiktor*, litografia w 4ce większ.

Święty *Wiktor*, litogr. Ciemniewski w 16ce.

MAPPY GEOGRAFICZNE.

Mappa specyalna teatru wojny w Górnych Włoszech. Nakł litografii Juliana Müller w Warszawie, fol. podłużne, kop. 30.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Czerwiec 1859. Zapowiedziany Tygodnik illustrowany wychodzić zacznie od 1 października r. b. Wydawca J. Unger po wycieczce za granicę sprowadził już dwóch zdolnych drzeworytników w pomoc miejscowym, maszynę nową i presera umiejętnego. Mieliśmy sposobność widzieć drzeworyty wykonane podług rysunków przez naszych artystów-danych. Tytuł główny stanowi piękny widok Warszawy od strony Pragi, nad nim napis: „Tygodnik illustrowany". Możemy już z pewnością sądzić, że pismo to co do artystycznego wykonania drzeworytów, jako i ich odbicia nie ustąpi żadnym illustracyom zagranicznym: co do treści bogate zasoby zebrane i spodziewane przez pisarzy polskich każą rokować, że będzie mogło odrazu zyskać współczucie czytelników i wielkie upowszechnienie.

— Zbioru Pamiętników Włodzimierza hr. Platera, tom IV i ostatni ukończony w druku został i wkrótce prenumeratorom pisma naszego rozesłanym będzie. Wydawca w celu zebrania nowych zasobów na czas dalszy publikacyą tę zawiesza.

— Wspominaliśmy już w Bibliotece Warszawskiéj o uczonem dziele naszego rodaka p. n. „Etudes sur la Revolution française de 1789 par un étranger". (Trzy tomy w 8-ce drukowane w Paryżu u braci Didot). Po ukazaniu się zaraz tego dzieła równie pisma francuzkie jak angielskie zwróciły nań uwagę swoją. (Le pays. 1857. The Saturday Review. 1857. Londyn. The Gentleman our foreigne Courrier. 1858). Godzą się krytycy francuzcy i angielscy w tém głównie, że wychwalają obrazy, które z wielką prawdą i życiem oddane zostały. Wyliczają szczegółowo takowe: jak obraz zdobycia Bastylii; pamiętnej sessyi 4 sierpnia i kilku członków Zgromadzenia konstytucyjnego; szczególniéj też oddany wizerunek sławnego Mirabeau. Do tego rodzaju wizerunków należy

i postać Woltera. Dowiadujemy się obecnie, że dzieło to już się tłumaczy na język polski i wkrótce przekład ten przez zdolnego literata dokonany zostanie. Wtedy czytelnicy polscy zapoznają się z tém dziełem, które: „nietylko dotyczy dziejów Francyi (jak wyraził krytyk angielski) ale i świata w owém wielkiém przesileniu europejskiéj oświaty".

— Do ważnych i ciekawych zbiorów pamiątek ojczystych w naszem mieście należy niewątpliwie zbiór etnograficzny p. Mikołaja Wisłockiego obywatela gubernii grodzieńskiej. Zebrał on znaczną liczbę dawnych portretów polskich tak mężczyzn jak kobiet, nie tyle odznaczających się wartością pędzla, ile odznaczających się pod względem szczególnych ubiorów i strojów, charakterystyką fizyognomii, przedewszystkiém zaś historyczną wiernością wizerunków ludzi znanych w dziejach, w kościele i piśmiennictwie. Dla ubogacenia tego zbioru, który już dziś dla archeologii krajowéj ma niemałe znaczenie, przedsiębrał po wielekroć podróże tak w kraju jak w dawnych prowincyach polskich i za granicę. Oprócz tych portretów, które już dziś starannie i umiejętnie wyrestaurowane zostały, p. Wisłocki ma zbiór niemały zabytków starożytności w rynsztunkach, pierścieniach, miniaturach i t. p.

— Od czasu przedstawienia „Halki" Moniuszki, pisarze nasi wzięli się ochoczo do librettów. Czeka na nie oprócz Moniuszki utalentowany nasz Ignacy Dobrzyński i inni muzycy. Korzeniowski napisaną Rokiczanę zastosowaną do wymagań sceny oddawna skończył; Moniuszko w r. b. ją przedstawi zapewnie w jesieni lub na początku zimy. Jan Chęciński dla tegoż kompozytora napisał libretto p. n.: „Paria": a operę Buffo kończy Włodzimierz Wolski. Blizkiém jest ukończenia także dla Moniuszki libretto Twardowski. Opera ś. p. Martina p. n.: „Wianki" z librettem Baltazara Gwozdeckiego jest gotową do przedstawienia. Do Wiesława libretta pani S. z Ż. Pruszakowéj, pisze muzykę Oskar Kolberg. Znany muzyk Kania ma pisać operę, do któréj libretto wkrótce będzie gotowe.

— Do znanego mazurka Chopina (dzieło 7. N. 2) Kornel Ujejski napisał poezyą „Prostą, serdeczną, chwilami smętną, chwilami swawolną melodyą mazurka (jak dobrze wyraża Ruch muzyczny) przeobraził poeta w miłosne marzenie młodziutkiéj, niewinnéj, na wpół jeszcze nieświadomej siebie dziewczynki". My dodamy, że dawno nie czytaliśmy nic podobnego, coby nosiło na sobie tyle prostoty, powabu i naiwności. Przytoczymy w całości ten śliczny mazurek Ujejskiego, który tak skąpo, choć tak pożądany zawsze, udziela nam utworów swoich.

ZAKOCHANA.

Jego dotąd nie ma,
A duszyczka roi,
Ciągle przed oczyma
Jak zaklęty stoi.
Na dobrą intencyę
Dwa dni poszczę święcio,
A nuż nie przyjedzie?
Przyjedzie! przyjedzie!

Przyrzekał że w piątek,
A dziś już sobota.
Zawód na początek?
Piękna mi robota!
Nie myje się kotek
I bez sroczki płotek,
Pewnie nie przyjedzie....
Przyjedzie! przyjedzie!

Jakie on do uszka
Szeptał mi pieszczoty!
Ach piękny, ach duszka!
Ach srebrny, ach złoty!
Tańczył tylko ze mną,
I raz kląkł przedemną:
Nuż bałamut skręci?...
Nie skręci! nie skręci!

A potém tak grzecznie
Pochlebiał matusi...
Ach kocham, ach wiecznie,
Ach moim być musi.
Pokłoni się matce
I ma ptaszka w klatce,
A nuż panicz skrewi?
Nie skrewi! nie skrewi!

Nudno czekać, a więc za to
Gdy przyjedzie to ukarzę:
Niech poczeka, przed herbatą
Pewnie mu się nie pokażę.
Lecz on jakiś taki żywy...
W jego sercu pełno burz,
Będzie bardzo nieszczęśliwy...
No, to zresztą wyjdę już.

Ale za to będę nosić
Ciągle przy nim śliczną różę,
A gdy o nią będzie prosić,
Nie dam, tylko się zachmurzę.
Lecz on dziwne ma kochanie,
Że szaleje, mówił sam,
Nuż co złego mu się stanie,
No, to zresztą różę dam.
Ale za to pod krosienką
Nie zapomnę rączki schować...
I to srogo! a więc w rękę
Dam się tylko pocałować.

Jego dotąd nie ma,
A duszyczka roi,

Ciągle przed oczyma
Jak zaklęty stoi,
Ach! jak kocham mamę...
Otwierają bramę...
Kasztanek na przedzie...
Eh! to proboszcz jedzie!

— Ruch Muzyczny pod redakcyą Józefa Sikorskiego ze współdziałaniem artystów i miłośników muzyki, którego wyszło w r. b. dwadzieścia kilka numerów, liczący już rok trzeci bytu, ustalił swoje istnienie i coraz szersze koło znajduje czytelników. W r. b. oprócz dodawania nut daje dodatki tekstu, bo co miesiąc prawie półarkusza nad ogłoszony prospekt. Redakcya staranna i umiejętna nadaje temu pismu powagę i znaczenie naukowe.

— W przeszłym zeszycie pisma naszego umieściliśmy odezwę p. Józefa Kremera prostującą mylną wiadomość o przerwaniu pracy nad katalogiem Wystawy starożytności krakowskiej; do tej odezwy dodamy jeszcze, że fundusz na druk pomienionego katalogu wyznaczył już komitet Towarzystwa naukowego krakowskiego. Kilkanaście drzeworytów zrobionych w wiedeńskiej Statsdrukerey ozdobi to dzieło. Podziały naukowe a nawet zewnętrzność wydania zgodne będą zupełnie z katalogiem Wystawy warszawskiéj, a to dlatego, aby publikacya ta stanowić mogła drugi tom niejako pierwszéj.

— Prócz przeglądu Wystawy krakowskiéj przez Lucyana Siemieńskiego, nieskończonego katalogu podręcznego G. Czernickiego i wielu drobnych relacyj o niéj w krajowych i obcych dziennikach, opisali ją po niemiecku: Miltner i Dr. Eitelberger prof. uniwersytetu wiedeńsk. Wiadomo, że na pomienionéj Wystawie zebrano niemałą liczbę dyplomatów z różnych zbiorów, czego warszawska nie mieściła. Dyplomata te opisał bibliograficznie i podał treść każdego Żegota Pauli, i praca ta w dziale właściwym w katalogu umieszczoną będzie: prócz tego wszystkie wiernie i starannie przepisano. Zbiór ten utworzył tom spory kodeksu, który jest w ręku uczonego Z. A. Helcla i ma być ogłoszony drukiem. Uchronione więc zostaną od zatraty te drogie zabytki, które w prywatnych rękach coraz rzadzieją i nikną.

— Znane uczonemu światu jak i naszym artystom są zbiory obrazów, ksiąg, rękopismów i starożytności ś. p. Tomasza Zielińskiego, których obecnie posiadaczem jest p. Alexander Bronikowski obrońca prokuratoryi w Kielcach. Ocenia on należycie wartość ich i pragnie dopełnić sumiennie myśli pierwszego ich zbieracza. W tym celu katalog obrazów i rycin rezonowany napisał p. Sachowicz malarz: obecnie zaprosił uczonego archeologa Józefa Łepkowskiego, który zbiory starożytności równie jak rękopisma naukowo ma opisać.

— Michał Baliński, który od wielu lat tyle pięknych zasług położył w piśmiennictwie naszem, pomimo wieku i słabego zdrowia nie ustaje w pracy. Przełożywszy do zbioru Dziejopisów krajowych B. M. Wolffa z E. Wassenberga: „Więzienie we Francyi Jana Kazimierza". Wydawszy w r. b. Pamiętniki Obuchowiczów i Cedrowskiego, jako vice-prezes kommissyi archeologicznéj wileńskiej pomaga usilnie téj nowéj instytucyi: obecnie zaś pisze i posuwa coraz daléj Pamiętniki o Janie

Śniadeckim: kończy zaś pod tytułem: „Życia Poczobuta" dwudziestoletnią historyą akademii wileńskiéj. Nadto porządkuje materyały do panowania Stefana Batorego: „Może dziejów jego nie napiszę (mówi w liście swoim ostatnim), ale przynajmniéj zarys czyli szkic panowania tego dzielnego człowieka i króla, bo mam niektóre materyały i korrespondencye jego, których inni nie mają". Zdawszy gospodarstwo na syna zamieszkuje w Jaszunach, zkąd na posiedzenia kommissyi archeologicznéj lub zebrania obywatelskie do Wilna przybywa. Podziękował za urząd kuratora honorowego gimnazyum i instytutu szlacheckiego, a oddał się wyłącznie pracom literackim.

— Zapowiedziany dawniéj „Skarbiec Polski", pod redakcyą J. A. Sulimy Kamieńskiego pisarza i archiwisty Zakładu imienia Ossolińskich zaczyna wychodzić we Lwowie. Pierwszy zeszyt obejmuje: „Żywoty Alexandra hr. Chodkiewicza i Józefa Max. Ossolińskiego. Bibliografia: Opis dzieł dawnych już znanych i opis rzeźb znajdujących się na starożytnéj wieży miejskiéj we Lwowie z 4 tablicami litografowanemi: artykuł zestawiony z notatek znalezionych w archiwum Zakładu Ossolińskich. Redaktor zapowiada, że będzie wydawać przy tym Skarbcu Archiwum familijne z tablicami genealogicznemi rodzin w kraju zasłużonych: wzywa osoby, któreby tu chciały szlachectwem herbowem figurować, ażeby potrzebne mu nadsyłali dokumenta a przedewszystkiém sześć reńskich na poszukiwania heraldyczne. Przypomina to nam czasy St. z Łazów Duńczewskiego, który niemało dukatów nałowił tym samym sposobem, ogłaszając swój herbarz. Życiorysy jak i inne artykuły nieumiejętnie obrobione: spekulacya ta literacka w pomyśle i wykonaniu niezgrabna, nie rokuje długiego życia.

— Erazm Izopolski znany równie jako pisarz niepospolitego talentu i jako zbieracz Dum ukraińskich, którego utwory w piśmie naszém drukowaliśmy, zamieszkały w Połtawie, zamierza po raz pierwszy na rok 1860 wydać kalendarz dla południowéj Rusi. Ma on obejmować równie ważne jak zajmujące materyały, które wyjaśnią nam tak miejscowość jak i charakterystykę Ukrainy, która w dziejach naszych nie jednę kartę zajęła.

— Księgarnia Józefa Zawadzkiego po wydaniu: Listów z zagranicy Tadeusza Padalicy (Zenona Fisz) w 3 tomach ma ogłosić spis dokładny alfabetyczny do obrazu bibliograficznego A. Jochera, na który oddawna oczekujemy. Nakładem téjże księgarni rozpocznie się druk dzieła p. n: „Silva rerum". Staropolskie powieści K. Wł. Wójcickiego w 2 tomach; oraz wyjdą w r. b. z pod prasy J. I. Kraszewskiego powieści: „Metamorfozy i Kołek". J. Korzeniowskiego: „Dramata opowiadane", oraz „Podróż do Włoch" Józefa Kremera trzy pierwsze tomy: dwa następne wyjdą w roku przyszłym. Całe dzieło ozdobione wielką ilością drzeworytów.

— Na Wystawę krajową sztuk pięknych oprócz innych przybyły dwa większe obrazy Januarego Suchodolskiego; przejście przez Sierra Morena w Hiszpanii legionów polskich w r. 1809, oraz rzucenie się w Elsterę księcia Józefa Poniatowskiego podług opowiadania naocznego świadka z miejscowością z natury zdjętą. Przypominamy tutaj, że szczegółowo co do osoby tego bohatera mamy w pamiętnikach generała Re-

dla podane wiadomości właśnie w owéj pamiętnéj walce pod Lipskiem, z których cały ustęp dotyczący księcia Józefa obejmuje dzieło: „Cmentarz Powązkowski pod Warszawą". Udział, jaki legiony polskie miały w wyprawie Napoleona I do Hiszpanii, obecnie przez obecnych świadków wielce wyjaśnionym został; dramatyczne sceny z tych krwawych zapasów są godne równie pędzla jak poetycznego słowa. P. Suchodolski jeden u nas, który potrafi godnie tego rodzaju obrazy nam podać.

— Oddawna Życiorys hetmana Stanisława Żołkiewskiego starannie i pracowicie skreślony przez zbyt wcześnie zmarłego ś. p. Seweryna Gołębiowskiego oczekiwał nakładcy. Monografia ta zbogacona wielu nieznanemi szczegółami, a do tego listami samegoż hetmana, które po raz pierwszy drukiem ogłoszone zostaną; wysoką ma wartość literacką i do dziejów polskich niemało dorzuci światła. Teraz dowiadujemy się, że zasłużona dobrze krajowi firma Józefa Zawadzkiego w Wilnie, pracę tę własnym nakładem wyda w 2 tomach; druk już nawet daleko posunięty został. Nakładca robi obecnie starania w celu wyszukania najpodobniejszego portretu wielkiego wojownika. Też same starania robi i August Bielowski do ozdobnego wydania Historyi wojny moskiewskiej, przez Żołkiewskiego napisanéj. Tak równocześnie będziemy mieli dwa dzieła łączne i nierozdzielne z sobą, które ubogacą naszą gałąź literatury historycznéj.

— Eustachego Marylskiego: „Pomniki Polaków na cmentarzach zagranicznych" wkrótce ukończone zostaną w druku. Ryciny co chwila spodziewane. Widzieliśmy próby bardzo starannie rysowane na kamieniu i odbite. Format i druk autor zastosował do dzieła K. Wł. Wójcickiego: „Cmentarz Powązkowski pod Warszawą".

— Winniśmy sprostować podaną w Kronice literackiéj pisma naszego wiadomość, że p. August Bielowski jest wydawcą pism ś. p. Józefa Dunina Borkowskiego. Wydawcą rzeczywistym i podpisanym na dziele jest Kajetan Jabłoński, który na czele umieścił żywot J. Borkowskiego, skreślony przez A. Bielowskiego i ogłoszony w Album lwowskiém, wydaném na pogorzelców miasta Rzeszowa. Ogłoszenie tego życiorysu nastąpiło bez wiedzy i upoważnienia p. Bielowskiego. To sprostowanie tém spieszniéj umieszczamy, że publiczność smutnego zawodu doznała w ogłoszeniu „Dzieł znakomitych pisarzów krajowych". Wydawca jeden tom wydał pism ś. p. Józefa Borkowskiego należycie nieprzejrzany i na tém publikacyą swoją zakończył.

— Księgarz Alexander Nowolecki, którego nakłady odznaczają się wielce umiarkowaną ceną, wydał drugą edycyą Poezyj Teofila Lenartowicza w 2 częściach po złp. 3 gr. 10 za exemplarz. Zbiór ten obejmuje i pierwiastkowe utwory i późniejsze tego ulubionego poety.

— Alexander Zdanowicz, znany w naszém piśmiennictwie oddawna z prac sumiennych na polu dziejowém, ogłosił w Wilnie (nakład i druk Józefa Zawadzkiego): „Szkic historyi polskiéj dla dzieci w dwóch kursach" z tablicą chromolitografowaną i mapką dawnéj Polski. Jestto jedna z książek podręcznych w domowém wychowaniu wielce użyteczna. Po przemowie objaśniającéj cel dzieła, autor daje słowniczek wyrazów i wyrażeń historycznych z objaśnieniem; następnie chronologią królów polskich, małą geografią dawnéj Polski, do któréj należy mapka, opisuje

rzeki, góry, podział kraju, przeplatając opisy swoje wyjątkami z pieśni Pola. Co do chronologii polskiej używa metody Jażwińskiego i w tym celu dołączoną jest tablica chronograficzna. Po czem od str. 79 do 170 następuje kurs pierwszy historyi polskiej, a od 171 do 277 kurs drugi dla dzieci dojrzalszego wieku. Zamyka swój wykład genealogiami domu Piastów i Jagiellończyków. W nadziei, że dzieło to doczeka się wkrótce nowéj edycyi, winniśmy zwrócić uwagę szanownego autora, że gdy w pierwszym kursie dał Dzieje bajeczne Polski, które w następnym opuścił, przepomniał zupełnie podać w lekkich zarysach odpowiednio zwięzłe obrazki życia domowego, zwyczajów i obyczajów wydatnych, a przytém chociaż wspominku o najznakomitszych pisarzach naszych, czy to w łacińskim czy w ojczystym języku piszących. Wykład cały niemałoby się tém ożywił, uzupełnił, a zaostrzył ciekawość dziatwy do poznania bliższego tak wewnętrznego życia jako i literatury. Objętość przez to książki nie o wieleby powiększoną została: trzy lub cztéry arkusze druku nie mogłyby podnieść o wiele ceny. Mamy tu na myśli w takich obrazkach dania owej prostoty w życiu i obyczajach, wydatnych zmian co do ubiorów, znamienitszych uroczystości, wesel, pogrzebów i t. p.; wreszcie zamiłowania do życia rolniczego i łowów, które prostotę życia podtrzymywało i hartowało do zawodu rycerskiego. Przywiedzenie pod każdém panowaniem znakomitych imion pisarzy naszych oznajmiłoby wcześnie młode umysły z potrzebą poznania bliższego literatury ojczystéj. Praca to nie wielka dla tak umiejętnéj ręki jak autora; wreszcie materyałów pełno na zawołanie do każdego z tych przedmiotów. Powtarzamy, szkic historyi polskiej wielceby się ożywił i nabyłby więcéj jeszcze niż ma wartości.

— Adam Pług (Antoni Pietkiewicz) napisał: „Duch i krew" kilka zarysów z życia towarzyskiego. Ci, którzy bliżéj znają ten utwór, oceniają go wysoko. Wkrótce ujrzymy go z pod prasy drukarskiéj, gdyż wyjdzie nakładem Józefa Zawadzkiego w Wilnie.

— Zmarły w młodym wieku Ewaryst Estkowski, który niemało zasług położył w wydawnictwie dziełek dla wykształcenia młodego pokolenia, pozostawił w rękopiśmie: „Zbiorek rzeczy swojskich ku nauce i rozrywce młodzieży", które po jego śmierci wydał w r. b. w Poznaniu J. K. Żupański. Zbiorek ten odznacza się starannym wyborem tak prozy jak i poezyi. Jakkolwiek nie widzimy w nim stałego planu, rozmaitość doborowa, zajmująca, niemałą stanowi zaletę. Tak obok wspomnienia obszernego Urszulki Jana Kochanowskiego obszerny mamy opis Żmudzi i kraju i ludności: Grzegórz z Sanoka, obok Radziwiłła panie kochanku. Zamiarem było ś. p. Estkowskiego tomikami wydawać ciągle taki zbiorek, który jak sam wyraził w przedmowie: „ma przynieść młodym czytelnikom lubo szczupły, ale pewny zapas pożytecznych lub zajmujących przedmiotów nie podciągniętych pod jeden sznur systematyczny, lecz rozmaitych". To, co nam dał zmarły autor, policzyć możemy za rodzaj małych a pożytecznych Wypisów polskich.

Jak wszystko wokoło nas nagle się zmienia i przeistacza, tak i lud nasz ulega tym zmianom. W pobliżu Warszawy i innych miast większych polskich traci właściwą charakterystykę, zrzuca ubiór dawny, zapomina melodyi i piosnek swoich. To, na co patrzymy u siebie, to

uderza każdego myślącego i w odległych okolicach naszego kraju. Nieocenioną przeto robi usługę Oskar Kolberg przez zbieranie melodyj i tekstów pieśni ludowych. Za tym przykładem pięknym zrobiono projekt zbierania pieśni ludu ukraińskiego i sąsiednich okolic. Ma się tem zająć p. Dołęga (J. Jurkiewicz). Erazm Izopolski znany zbieracz dum i pieśni ukraińskich, nadesłał kilka ztąd piosnek z melodyami Józefowi Sikorskiemu redaktorowi Ruchu Muzycznego, który je w swém piśmie ogłosi.

— Pani Seweryna z Żochowskich Pruszakowa ogłosiła przekład powieści amerykańskiéj panny Cumming. (2 tomy. Warszawa. Nakład F. Blumnenthala księgarza. 1859 r.). W przypisaniu Hannie z Magnuszewskich Wójcickiéj, wyraża:

„Mówiłyśmy z sobą nieraz, jak smutna rzecz, że powieści nasze coraz bardziéj stają się odbiciem saméj prawie ujemnéj strony społecznego życia, jak gdyby życiu zabrakło kiedy barw pięknych i czystych, jak żeby rozrzucone po Bożym świecie tu i owdzie światła nie równoważyły a nawet nie przeważały o wiele barw ciemnych i mrocznych. Wszakże jedna cicha cnota, jedna gorąca modlitwa więcéj dusz pociągnie do nieba, aniżeli jeden występek przysposobi zwolenników szatanowi; ztąd téż jeden obraz cnoty i miłości skreślony z namaszczeniem i wiarą więcéj sprawi dobrego, więcéj uświęci ludzi, niżeliby ukazanie im ohydnych brudów nagromadzonych ze wszystkich śmietników społecznych zraziło ich ku złemu. Dlaczego więc powieściopisarze dzisiejsi zamiast stawiać nam przed oczy ideał piękna i prawdy, zamiast pociągać nas siłą twórczego słowa do ukochania tego boskiego piętna w człowieku, prześcigają się wzajemnie w odmalowaniu złego, które nurtuje i podkopuje społeczeństwo? Dlaczego zamiast orzeźwić spragnione piersi nasze czarą zdrowego i krzepiącego napoju, podają nam czarę trucizny, która ma mieć niby uzdrawiającą siłę, ale która niestety! zanim podźwignie jednę dzielnie uorganizowaną jednostkę, zabije tysiące słabych. Dlaczego zamiast podawać nam prawdę w imię Chrystusa z miłością i namaszczeniem, podają nam ją z szyderstwem i pychą. Ważne to są pytania, na które trudno pobieżnie odpowiedzieć. Łatwiéj zapewne burzyć niż odbudować; łatwiéj obalać niż podnosić, łatwiéj szydzić niż miłować. Łatwiéj przyzwyczaiwszy wzrok do ciemności, ścieśnioną źrenicą anatomizować złe społeczne, rozbierać pojedynczo wszelkie odcienia brudu i kłamstwa ciążącego światu, aniżeli spojrzyć w słoneczne prawdy oblicze, i wskazać ludziom jasność z niebios spływającą harmonijnie na świat Boży. Tak podniosłe zadanie spełniła jednak kobieta amerykańska panna Cumming. Wysnuła ona z wyobraźni czerstwéj, wykarmionéj tchnieniem dziewiczych lasów jéj ojczyzny, piękny obraz zawarty w ramach społecznego życia. Głęboka znajomość ludzi odznacza tę pracę i wielką jéj nadaje wartość, a miłość, z jaką autorka dopatruje wszędzie pięknéj strony człowieka, z jaką odkrywa ciche cnoty kryjące się nawet w głębi serc na pozór skażonych, jednają jéj cześć i szczere współczucie. Umié ona po mistrzowsku kreślić walkę toczącą się w głębi ludzkiéj piersi; umié wskazywać wszelkie stopnie, po których duch ludzki pcha się uporczywie w górę przez bole, cierpienia i krzyże, nęcony blaskiem prawdy: aż uświęcony zwolna,

wsparty łaską, ogarniony jej boską mocą, powstaje nakoniec zwycięzko z prochu ziemi i na skrzydłach ofiary wzlata ku niebu, zkąd mu przyświeca wiekuiste światło prawdy i miłości. Postanowiłam przełożyć tę powieść, chcąc ukazać choć w słabém odbiciu polskiemu czytelnikowi piękne barwy tego zamorskiego kwiatu. Uczyniłam to zwłaszcza, pragnąc przysłużyć się matkom rodzin, które zrażone tylu powieściami szkodliwie działającemi na wiek młodociany przez zbyt wczesne oswajanie myśli z brudami życia, nie śmieją podać w rękę córek, książki lub gazety, z obawy, aby gorzkie a jadowite lekarstwo zawarte w powieści, nie rozwinęło w niewinnych sercach zarodu złego, a zatém nie wpłynęło zgubnie na przyszłość młodego pokolenia. Daj więc to dziełko bez obawy córkom twoim, niech uroczy a poważny obraz miłości rozraduje i ugodzi ich serce, niech obraz walki i cnoty wskaże im całą piękność ofiary i zwycięztwa nad sobą, niech oko ich z mglistego widnokręgu ziemskich marzeń, idąc w kierunku wskazanym zdrowo w powieści, dostrzeże wysoko w górze owo dobroczynne światło, które nigdy nie gaśnie".

— Nakładem księgarni Michała Glücksberga kończy się druk dzieła: „Rys historyczny opery polskiej przez Maurycego Karasowskiego", z pięcią portretami, jak Wojciecha Bogusławskiego, M. Kamińskiego, Elsnera, Kurpińskiego i Stefaniego. Nakładem tejże księgarni wyszła powieść Włodzimierza Wolskiego: „Domek przy ulicy Głębokiej", jestto przedruk z odcinku Gazety Codziennej.

— Wspomnieliśmy już o zamiarze przedruku Voluminów Legum przez p. Jozefata Ohryzkę w Petersburgu. Otrzymujemy właśnie od samego wydawcy ogłoszenie szczegółowe, które pospieszamy czytelnikom naszym podać, ufni, że przedsięwzięcie to mające cel piękny upowszechnienia zbioru dawnych praw polskich znajdzie ogólne współczucie i silne poparcie w prenumeracie nadzwyczaj skromnéj i umiarkowanéj.

„W skutek zamknięcia wydawnictwa czasopisma „Słowo", z przyczyn od redakcyi niezależnych, mamy zaszczyt zawiadomić szanownych prenumeratorów i czytelników naszych, że posiadając w Petersburgu drukarnią i pragnąc wedle sił i możności być pożytecznemi piśmiennictwu, przedsiębierzemy nowe wydanie zbioru praw znanego pod tytułem: „Volumina Legum"; zbiór ten wydany poraz pierwszy w Warszawie staraniem XX. Pijarów, zawiera ustawy i prawa od 1347 do 1780 roku.

Licząc zarazem za świętą powinność zwrócić wzięte przedpłatą na czasopismo *Słowo* pieniądze, lub też nadesłaniem egzemplarza Voluminów Legum uiścić się względem prenumeratorów, którzy sami tego życzyć będą, redakcya oświadcza, że:

1. Wszystkim prenumeratorom lub osobom od nich upoważnionym, będą zwracane pieniądze prenumeracyjne bez żadnego potrącenia w biurze redakcyi, w Petersburgu przy moście Ałarczyna w domu Charłamowa. Wypłata pieniędzy odbywać się będzie codziennie, wyjąwszy dnie niedzielne i świąteczne od godziny 10 z rana do 1 po południu.

2 Prenumeratorowie chcący odebrać pieniądze lub w zamian tychże Volumina Legum przez pocztę, raczą zawiadomić dokąd i komu

mają być wysłane pieniądze lub pomienione Volumina. Przy zwrocie pieniędzy przez pocztę będą potrącone tylko koszta ich przesłania, opłatę zaś na przesłanie Voluminów redakcya bierze na swój rachunek.

Dla ułatwienia porozumienia się, redakcya załącza przy niniejszém blankiet, na którym każdy z szanownych prenumeratorów raczy tylko napisać swój adres i nazwisko, dodając jednocześnie co życzy sobie otrzymać: pieniądze czy Volumina Legum? poczém zechce, zapieczętowawszy blankiet, odesłać go na pocztę. Osoby, które prenumerowały *Słowo* w pocztamcie petersburskim lub u księgarzy Bazunowa i innych w Petersburgu, Gebethnera i Spółki w Warszawie, Zawadzkiego w Wilnie, Idzikowskiego w Kijowie, raczą w tenże sam sposób zawiadomić co życzą sobie odebrać: pieniądze czy też Volumina Legum?

3. Prenumeratorowie półroczni lub kwartalni chcący otrzymać Volumina Legum, raczą dodać kwotę brakującą do summy rs. 17, a mianowicie rs. 8 kop. 50, lub rs. 12 kop. 75. Redakcya nie żąda niezwłocznie dopłaty tych pieniędzy, lecz przystaje na rozłożenie ich na raty po rs. 4 kop. 25 i prosi o nadsyłanie tych rat po wyjściu każdych dwóch tomów. W ten sposób prenumeratorowie kwartalni po odebraniu tomów 1 i 2 otrzymają za nadesłaniem rs. 4 kop. 25 tomy 3 i 4; po odebraniu tomów 3 i 4 półroczni i kwartalni również po nadesłaniu téjże summy otrzymają tomy 5 i 6; a w końcu uiściwszy się z raty ostatniéj, odbiorą tomy: 7, 8, 9 i 10.

4. Redakcya uprasza uprzejmie wszystkich prenumeratorów kwartalnych, półrocznych i rocznych o jak najspieszniejszą odpowiedź a przynajmniej nie późniéj jak w ciągu czterech tygodni, licząc od 19/31 maja r. b.

5. Cenę prenumeracyjną na Volumina Legum dla tych, którzy nie byli prenumeratorami *Słowa* naznaczamy rs. 20.

Dzieło to składające się z dziesięciu tomów in folio bywa dzisiaj sprzedawane po rs. 150 za egzemplarz. Wydanie nasze również składać się będzie z 10 tomów ścisłego druku w 8-ce wiel.; pierwsze ośm odpowiadać będą tyluż tomom wydania ks. Pijarów, tom 9 ty zawierać będzie inwentarz Ostrowskiego, a 10-ty inwentarz Wagi. Dołożymy starań, ażeby druk ukończonym został w ciągu 14 tu miesięcy od dnia niniejszego ogłoszenia.

Petersburg, dnia 15 (27) maja 1859. *J. Ohryzko.*

— Druk „Encyklopedyi Powszechnéj" bez przerwy postępuje: odbito już na czysto arkuszy 45, wydrukowano do litery *Ao*. Najdalej w pierwszych dniach lipca cała litera *A*, która do najobszerniejszych w rozmiarach Encyklopedyi należy, ukończoną zostanie. Wydawca zamierza bez względu na ilość arkuszy tak tomy urządzić dla dogodności czytelników, aby każda z większych liter tom stanowiła, wyjąwszy mniejszych rozmiarów liter, z których po dwie i trzy pomieszczą się w jednym. Do rzędu tych należą: *E, F, G, H, U, Y, Ź, Ż*. Całe dzieło, jakeśmy pisali, nie przeniesie dwudziestu tomów. Pierwsze zeszyty, które regularnie w oznaczonym czasie wychodzić będą, ukażą się w sierpniu r. b.

— Druk „Szkiców historycznych", Leopolda Huberta już się rozpoczął w drukarni J. Jaworskiego i nakładem tegoż typografa. Do na-

stępnych seryj młody nasz pracownik przygotowuje zajmujące materyały i głównie dziejów polskich dotyczące.

Moskwa. Wyszedł tu pierwszy tom dzieła p. n.: „Ukrainiec", wydany przez Maksymowicza, znanego z wielu pism o literaturze małorossyjskiéj. Najwięcéj obchodzącym nas w tém dziele artykułem są: „Listy o Bogdanie Chmielnickim", oraz dobrze opracowany opis historyczny miasta Połtawy. W Saratowie, którymśmy poznali lepiéj z Pamiętników Ewy Felińskiej, wydanym został przez Mordowcowa: „Zbornik Małorossyjski"; tu najciekawszym dla nas jest zbiór 202 pieśni ludowych zebranych w zachodniéj stronie gubernii wołyńskiéj przez Kostomarowa, pomiędzy któremi wiele jest nieznanych dotąd, lub waryantów znacznie różniących się od podobnych pieśni już drukowanych przez rossyjskich i polskich zbieraczy.

Kraków. Kiedy nasze kościoły zniszczone straszliwym pożarem wznoszą się na nowo cudem Bożym i pomocą gorliwéj a pobożnéj rzeszy ubogich, słynny odpustami w całéj Galicyi kościół i klasztor XX. Bernardynów na Kalwaryi Zebrzydowskiéj, w d. 17 maja we wtorek o godzinie 5 po południu od uderzenia piorunu spalił się, pomimo najgorliwszych usiłowań zakonników i pomocy przybyłych obywateli. Uratować zdołano przecież cztéry wielkie obrazy, znakomitéj wartości, pędzla Franciszka Lexyckiego, Bernardyna, niepospolitego malarza naszego z XVII wieku. Ufamy opiece Bożéj i pomocy pobożnych, że z gruzów swoich, w tym prześlicznem miejscu, niedługo powstanie kościół, ażeby na nowo zwabiał tłumy pielgrzymów w uroczystości przywiązane do téj fundacyi Mikołaja Zebrzydowskiego wojewody krakowskiego. Kościół ten przez niego wystawiony od 1603 do 1617 na wyniosłéj górze, naprzeciw Lanckorony, w malowniczem położeniu. Cały z ciosowego kamienia, z dwiema na przedzie wieżami, w kształcie swym najdokładniéj naśladował kaplicę grobu Chrystusa Pana w Jerozolimie; wewnątrz miał liczne i piękne marmury, historyczne obrazy, między temi całą rodzinę Zebrzydowskich i drogie sprzęty kościelne.—Czas Wystawy Sztuk Pięknych skrócono, a zapowiedziana na czerwiec Wystawa przedmiotów gospodarstwa wiejskiego i wystawa bydła, odwołana.—W miejsce zmarłego Józefa Muczkowskiego, mianowanym został bibliotekarzem i zwyczajnym professorem publicznym bibliografii przy Uniwersytecie krakowskim Dr Franciszek Stroński, dotychczasowy bibliotekarz przy Uniwersytecie lwowskim.—Dr. Karol Roman Kremer, brat rodzony znanego autora Listów z Krakowa, dawniéj dyrektora budownictwa *b.* Rzptéj krakowskiéj, mianowany został inspektorem dyrekcyi budowniczéj w Krakowie.—Księgarnia i wydawnictwo dzieł katolickich, naukowych i rolniczych ogłosiła prenumeratę na dzieło ks. biskupa Łętowskiego po złp. 200 za egzemplarz, z zagrożeniem zarazem, że po zamknięciu takowéj, cena do 400 złp. podniesioną zostanie. Nie pojmujemy takiéj niesłychanéj w handlu księgarskim zapowiedzi, i to najwymowniéj dowodzi, że pp. wydawcy w Krakowie nie mają wyobrażenia o tym handlu. Zkąd zasada, ażeby podwajać cenę dzieła już i tak drogiego; czy to ma być zachęta i przymus do pośpiechu w prenumeracie? Jeżeli taki był zamiar, to wielce się na nim zawiodą; u nas bardzo mała liczba takich, którzyby byli w stanie za jedno dzieło 200 złp. zapłacić. Rozumna administracya dzieli na pewne raty tak znaczną summę, z obmyśleniem takiéj rękojmi, aby na stratę narażoną nie została. Podzieliwszy więc całe dzieło na 3 lub 4 zeszyty, wzięłaby zaliczenia $^1/_4$ jako zasiłek prenume-

racyjny, przy pierwszym zeszycie resztę do połowy, przy 2 zeszycie część zaliczenia dalszą, a przy 3 całą wartość dzieła. Podnoszenie zaś ceny prenumeraty dotąd w handlu księgarskim praktykowało się o $^1/_6$, a najwyżej o $^1/_4$ ceny właściwej, nigdy zaś dwa razy nad oznaczoną w prenumeracie. Dzieło to, jako droga pamiątka, powinna być w ręku każdej rodziny obywatelskiej; wydawca więc liczyć nie powinien na 300 lub 500 prenumeratorów, ale najmniej na 1,000 do 1,500 egzemplarzy, jeżeli ułatwi ratami nabycie. Takie zaś absolutne obwieszczenie księgarskie nie upowszechni bynajmniej samego dzieła, utrudni je raczej, i właściwy cel piękny, jaki miał głównie szanowny autor na myśli, osiągniętym nie zostanie wcale. Będzie więc to dzieło dostępne tylko zamożnym, jako osobliwość bibliograficzna pokazywana, ale nie będzie księgą, z której by cały naród czerpał wspomnienia przeszłości z dziejów i pomników katedry krakowskiej!

— Ksiądz E. Janota wydał w drukarni Uniwersytetu „Śpiewnik kościelny" dla młodzieży szkolnej. Są tu pieśni zebrane i z poetów naszych, zacząwszy od Grochowskiego do Karpińskiego.

— Z litografii Czasu wyszedł Medalion Zygmunta Krasińskiego, wykonany na papierze chińskim.—Hr. Jan Załuski, który odczytał na posiedzeniu (21 marca r. b.) oddziału archeologicznego część rozprawy: „O życiu, pomnikach i pismach Andrzeja Chryzostoma Załuskiego, biskupa warmińskiego i kanclerza wielkiego koronnego", po wykończeniu tej obszernej pracy zamierza ogłosić ją oddzielnie drukiem.—Odcinek Czasu umieścił ciekawe szczegóły do życia Adama Mickiewicza, zebrane z ust wielkiego wieszcza. Dorzucają one nie mało światła do życiorysu poety, który w zupełności po wielu dopiero latach będzie mógł być należycie opracowany. Przedmiot to wielki, i dla studyów dający obszerne pole; przedmiot godny każdego pióra. Gdy zbierzem wszystkie zasoby, stanie przed oczyma w całym blasku prawdy posągowa postać wielkiego Adama. Takiego opracowania wymaga i życiorys Zygmunta Krasińskiego, o którym śliczne wspomnienie napisał Lucyan Siemieński. Bo przecież to jak dobrze powiedział nasz poeta o zgasłym:

„Z pomiędzy wybranych, raz jeszcze wybrany,
Twe imie w narodzie, to balsam na rany,
Szermierzu wielkiego zawodu!
Niewielom tak padło,
Na dziejów zwierciadło
Wypłynąć jak łabędź narodu!
Spoczywaj w pokoju, po walce za wielu,
Spoczywaj w pokoju, boś stanął u celu
Jak żołnierz Chrystusów ochotny;
Spoczywaj w pokoju
Po Bożym tym znoju
O wielki! natchniony! samotny!"

— Towarzystwo naukowe krakowskie, wydaniem Roczników swoich, najlepsze daje świadectwo o pracach cichych ale sumiennych; niemi to najwymowniej do spółczucia ogółu przemawia: Skarżyliście się w Królestwie, że nie znacie Roczników, teraz do tego już nie będzie prawa.

Józef Kremer za bytności swojej w Warszawie, zawarł umowę z księgarnią Gustawa Gebethnera i w niéj skład główny będzie nietylko Bocznikow, ale wszystkich dzieł jakie Towarzystwo posiada, jużto z wydań własnych, już z otrzymywanych darów. Budowa domu dla Towarzystwa idzie powoli. Jeżeli u was w Królestwie i w prowincyach zachodnich Cesarstwa silnéj pomocy Towarzystwo nie uzyska, to dom ten będzie tylko pomnikiem zacnych chęci, szlachetnych usiłowań, które się rozbiły o obojętność rodaków. Smutno o tém pisać, patrząc na inne uboższe plemiona słowiańskie, które chętnie pospieszyły z dzielną pomocą, aby wznieść domy na pomieszczenie zbiorów swoich narodowych.

Lwów. Dnia 20 maja r. b. umarł w 43 roku życia w Zdakowie, w obwodzie tarnowskim Galicyi, Michał hr. Wiesiołowski, znany autor Obrazków wiejskich, które podpisywał przybranem nazwiskiem Dezyderego Ruralis. W r. 1841 wydał geografią Galicyi. Po r. 1848 osiadł na wsi, oddał się rolnictwu i napisał dziełko pełne wartości p. n.: „Uwagi gospodarskie, szczególnie dla sąsiadów skreślone". Lwów. 1850 r. Obrazki wiejskie były z wielkiém zajęciem czytane i wysoko cenione.—Alexander Batowski, jak wiadomo, ogłasza spółczesny rękopism, obejmujący życiorys Tomasza Zamojskiego; napis tego pomnika jest: „Nieśmiertelnéj pamięci Tomasza na Zamościu Zamojskiego, hrabi na Tarnowie, wielkiego korony polskiéj kanclerza, jenerała krakowskiego, kryszyńskiego, sokalskiego, kałuskiego, nowotarskiego, rabsztyńskiego i t. d. starosty; Żywot i dzieła Bogu i ojczyźnie miłe, przez Stanisława Żurkowskiego, sługę domowego nieboszczykowskiego wydane, gdzie masz oraz kommissye, wota, mowy i listy nieboszczykowskie, godne, poważne i potrzebne". Dzieło całe wraz z przedmową i notami wydawcy obejmuje przeszło 30 arkuszy druku. Życiorys właściwie się zaczyna od r. 1612, w którym pod wodzą i buławą Stanisława Żółkiewskiego pierwsze do zasług w Rplit. miał pole.—Waleryan Krzeczunowicz wydał: „Tablice obejmujące główne prawidła hodowania drzew morwowych i prowadzenia chowu jedwabników".—Druk ostatnich tomów Słownika Lindego energicznie się posuwa. Po ukończeniu tego przedruku, który powątpiewamy czy pokryje koszta wydawnictwa, zarząd Zakładu imienia Ossolińskich będzie mógł się dopiéro zabrać do wykonania głównéj myśli swego założyciela, ażeby ogłaszał rękopisma do dziejów i literatury ojczystéj, na co daremnie oczekujemy od tak dawna z utęsknieniem.

† Zwłoki ś. p. Zygmunta Krasińskiego d. 3 czerwca r. b. przywiezione w nocy do Warszawy z zagranicy, tegoż dnia po odprawioném żałobném nabożeństwie w dolnym kościele XX. Kapucynów, odwiezione zostały do Opinogóry, ordynacyi zmarłego, dla złożenia ich w grobie rodzinnym

Redakcya Bibliotéki Warszawskiéj.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Maj, 1859.

Maj 1859. **Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiem.**

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza, jego szérokość geogr. 52°13′5″, długość w czasie 1ᵍ·14ᵐ·45ˢ,7 czyli w łuku 18°41′25,″5 na wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. stopn. dziesiątkowych	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
		6 god. rano	10 god. rano	4 godz. w.	10 godz. w.	6 god. rano	10 god. rano	4 godz. w.	10 godz. w.		6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	dé-szczu	śnie-gu
1		747.06	746.12	744.77	744.94	+ 5°.0	+ 8°.3	+ 7°.3	+ 3°.3	82.0	Pochmurny	pochmurny	poch. dész.	pochmurny	PnW.	Pn.	PnW.	Pn.	1.0	
2	♈.	746.17	747.70	749.02	749.41	2.3	4.0	6.5	4.8	71.2	Pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pn.	Pn.	PnZ.	Z.		
3		750.19	750.60	750.55	752.20	3.9	9.3	11.8	7.9	56.0	Pogodny	pochmurny	pochmurny	pr. pochm.	Z.	Z.	Z.	Pn.		
4		753.50	752.07	748.01	744.79	2.6	9.4	15.6	9.9	60.3	Pogodny	pogodny	napół pog.	napół pog.	W.	W.	PdW.	W.		
5		738.18	736.12	738.04	743.10	8.6	9.8	10.8	9.8	93.2	Dészcz	dészcz	dészcz	napół pog.	PnW.	PnW.	PnZ.	PnZ.	20.1	
6		750.35	752.66	754.25	755.33	4.0	8.0	14.9	7.9	68.5	Pogodny	pr. pogodny	napół pog.	pogodny	PnZ.	PnZ.	Z.	Pd.		
7		756.96	757.36	756.90	757.43	7.5	14.0	17.7	9.6	63.3	Pogodny	pr. pogodny	lek. zamgl.	napół pog.	Pd.	PdZ.	Pd.	PdW.		
8		758.65	758.52	756.84	756.54	7.0	16.1	18.5	11.3	57.7	Lek. zamgl.	lek. zamgl.	pr. pogodny	pr. pogodny	PnW.	W.	PdW.	—		
9	♑.	755.97	755.39	754.28	753.98	10.6	16.1	18.8	14.2	52.5	Lek. zamgl.	lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	W.	W.	W.	W.		
10		752.41	752.47	750.80	750.58	13.4	18.1	18.5	15.4	63.8	Pochmurny	lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdZ.	PdZ.		
11		750.45	751.10	751.90	752.91	10.9	10.6	8.1	6.5	82.7	Poch. mży	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pn.	PnZ.	Pn.	PnZ.	1.4	
12		751.33	751.70	751.79	750.97	5.2	5.9	5.9	4.1	79.8	Poch. dész.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	Pn.	Pn.	PnZ.		
13		749.98	751.05	751.71	752.16	4.6	6.1	8.6	7.3	87.5	Poch. dész.	pochmurny	poch. desz.	pochmurny	Z.	W.	PdW.	W.	3.6	
14		752.02	752.55	752.07	752.97	8.1	12.5	16.3	10.5	65.7	Poch dész.	pr. pochm.	pr. pogodny	lek. pochm.	PnW.	W.	Pd.	W.	2.0	
15		752.79	752.97	751.69	751.37	9.9	15.3	20.2	14.4	70.5	Poch. dész.	pr. pochm.	napół pog.	pr. pogodny	W.	PdW.	W.	PdW.	1 0	
16	♋.	750.63	750.63	748.99	749.28	13.3	18.1	24.2	16.1	58.8	Pogodny	pogodny	lek. pochm.	pr. pogodny	W.	PdW.	Pd.	PdW.		
17		748.79	748.59	747.13	748.71	14.0	20.0	26.1	16.2	60.2	Pogodny	pr. pogodny	napół pog.	pochmurny	PdW.	W.	Pd.	Z.		
18		749.04	749.23	748.05	748.08	14.9	18.5	23.6	16.9	57.0	Pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	—		
19		747.70	747.47	746.06	746.57	13.6	21.3	16.1	13.5	73.5	Pochmurny	pr. pochm.	poch. desz.	pr. pogodny	W.	W.	PdZ.	PdW.	7.4	
20		745.76	745.53	744.50	743.71	13 1	17.7	19.8	14.4	77.2	Napół pog.	napół pog.	poch. desz.	pochmurny	PdW.	PdW.	Pd.	Pd.	8.4	
21		742.34	742.49	742.46	744.13	13.3	16.1	18.5	15.5	84.3	Dészcz	poch. dész.	pochmurny	pochmurny	PnW.	PnW.	PnW.	Pn.	4.4	
22		745.95	746.58	746.26	747.94	12.4	16.4	21.8	14.7	66.0	Napół pog.	pogodny	pr. pogodny	napół pog.	Pn.	PnZ.	Pn.	Pn.		
23		748.81	749.17	748.22	748.48	12.9	15.5	23.3	18.5	73.2	Pochmurny	pochmurny	pr. pochm.	pochmurny	PnW.	PnW.	Pn.	PnW.		
24		749.83	749.91	748.38	749.08	16.2	23.9	26.8	17.1	48.3	Pr. pogodny	pogodny	pr. pogodny	pogodny	PnW.	PdW.	PdW.	W.		
25	♌.	749.55	749.65	748.33	754.51	17.1	25.0	27.7	19.6	46.2	Pogodny	pogodny	pr. pogodny	napół pog.	W.	PdW.	PdW.	PdW.		
26		750.21	750.35	749.89	751.20	17.0	23.8	25.8	16.4	49.0	Pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	W.	—		
27		751.51	751.54	749.88	749.59	15.5	22.2	25.7	16.9	47.5	Pogodny	pogodny	pr. pogodny	pogodny	—	W.	PnW.	W.		
28		749.62	748.98	747.71	747.69	13.6	17.5	19.1	13.9	55 3	Pochmurny	napół pog.	pochmurny	pogodny	W.	W.	W.	W.		
29		745.34	745.73	744.79	745.82	11.7	17.6	19.0	12.9	80.7	Dészcz	pr. pochm.	lek. pochm.	pr. pogodny	PnW.	W	Pd.	—	15.8	
30		747 00	747 71	747.39	747.78	14.2	18.7	24.5	17.3	66.5	Pogodny	pr. pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	Pd.	—		
31		748.28	748.79	748.13	749.20	17.5	25.5	29.4	18.8	55.8	Smugi	pogodny	smugi	napół pog.	PdW.	Pd.	W.	—		
Śre.		749.560	749.701	748.993	749.528	+10°.77	+15°.53	+18°.42	+12°.76	66.3									65.1	

	m.		l.	
Średnia wysokość barometru miesięczna	749.445	27	8.226	
Najwyżej barometr dochodził d. 8 o g. 6 r.	758.65	28	0.306	
Najniżej — — d. 5 o g. 10 r.	736.12	27	2.319	
Średnia zmiana dzienna barometru	2.615		1.159	
Największa zmiana dzienna barometru d. 5—6 o g. 6 r.	16.54		7.332	
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 33 lat poprzedzających	0.362		0.161	
	749.083	27	8.065	
Średnia temperatura maja wynosi:	+ 14°.37	C.	+ 11°.50	R.
i ta jest wyższa o	0.90	,,	0.72	,,
od stanu normalnego z 33 lat poprzedzających	+ 13.47	,,	+ 10.78	,,
Największe ciepło było d. 31 o g. 4 w.	29.4	,,	23.52	,,
Najmniejsze — — d. 2 o g. 6 r.	2.3	,,	1.84	,,
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.653	,,	2.122	,,
Największa zmiana dzienna temperatury d. 10—11 o g. 4 w.	10.4	,,	8.32	,,

Termometrograf wskazał:
Maximum: + 24°.2 R. d. 31 po poł.
Minimum: + 0°.6 „ d. 4 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 66.3, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru 8.29 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest o 0.01 mniejsza od normalnéj.

Ilość wody spadłéj z deszczu wynosi co do wysokości: 65.1 mil. czyli 28.86 lin. par.; ilość ta wody jest o 3.73 lin. par. większa od téj jaka średnio u nas w maju spada.

Dni pogodnych było 9, napół pogodnych 5, pochmurnych 17.
Dni deszczu 13 (d. 1, 5, 10, 11, 12, 13, 14, 15, 19, 20, 21, 29, 31).
— śniegu 1 (d. 2).
— gradu 2 (d. 19, 20).
— grzmotów 6 (d. 17, 19, 20, 29, 30, 31).
Wichrów było 1 (1 W.).
Wiatrów mocnych 6 (3 Pn., 2 PdW., 1 W.).

Wiatr panujący Wschodni, częste były także Południowo-Wschodnie. Maj r. b. w pierwszéj połowie był chłodny, wilgotny i słotny; przeciwnie w drugiéj, pogodny i ciepły, w ogóle o 0,72 stop. R cieplejszy niż zwykle; najcieplejsze dni były d. 17, 24, 25, 26, 27, 31; najchłodniejsze d. 1, 2, 3, 12, 13; znaczna zmiana temperatury nastąpiła d. 10 na 11; jakoż średnia temperatura dzienna dnia 10 wynosiła 13,1 stop. R., następnego dnia przy zmianie wiatru Południowo-Zachodniego na Północno-Zachodni zniżyła się do 7.22 stop. R.; d. 12 do 4.22 stop. d. 13 do 5.22 stopni, przeciwnie pięć dni: 24, 25, 26, 27, 31 były tak gorące jak wśród lata, średnia bowiem temperatura każdego z tych dni dochodziła do 16 stop. R. Dnia 12 podczas przejścia księżyca przez równik niebieski, nastąpiła zmiana kierunku wiatru i znaczne zniżenie temperatury. Dnia 25 przy przejściu księżyca przez punkt odziemny, nastąpiła pogoda. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był mniéj pogodny niż zwykle, w stanie bowiem normalnym stosunek dni pogodnych do napółpogodnych i pochmurnych jest jak 5,5:13,4:11,1; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 9:5:17, co pokazuje że w r. b. liczba dni pochmurnych była znacznie większa niż zwykle. Stan elektryczności atmosferycznéj średni miesięczny jest 26 stopni; największe natężenie siły elektrycznéj wynosiło 70 stop. d. 13 o godz. 9½ rano w czasie bardzo drobnego deszczu; najmniejsze 12 stopni d. 10 o godz. 8½ rano.

D. 4, 16, 18 pokazywały się plamy na słońcu.
D. 21 o godz. 4½ wieczór świeciła tęcza.
Największa wysokość wody na Wiśle dochodziła stóp 6 cali 8 d. 28.
Najmniejsza — — — stóp 3 cali 5 d. 26.

W tym miesiącu podobnie jak w poprzednich, przesyłano telegrafem elektrycznym do St. Petersburga, postrzeżenia meteorologiczne czynione w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiém co dzień o godz. 7 rano.

Biblioteka Sejmu Śląskiego

DRAMAT HISZPAŃSKI

I

KALDERON

Z pomiędzy ludów nowoczesnych dwa tylko narody z rodzimych pierwiastków wyprowadziły swój dramat i do wysokiego stopnia doskonałości go podniosły: Anglicy i Hiszpanie. Nie narzucili sobie oni żadnego prawa, opartego na utworach scenicznych ludów dawno zamarłych, i tym sposobem gieniusz ich, niczem nieskrępowany, swobodny rozwinął polot. Głębsze zbadanie tego faktu byłoby wielką w dziejach literatury powszechnéj zasługą. Ale i dziś śmiało można twierdzić, że główną przyczyną tego zjawiska jest to: iż w czasach nowożytnych tylko te dwie narodowości w całéj pełni samodzielność swą rozwinęły, i że tém samém one tylko były zdolne samodzielność tę wyrazić w dramacie, który jest najwyższym utworem nietylko literatury ale i sztuki w ogólności. W dramacie bowiem już nie ta lub inna strona życia, ale życie samo ukazuje się nam opromienione aureolą ideału. Tu ze drżeniem i biciem serca przyglądamy się losom bohatera, którego przyszłość mistrz coraz bardziéj przed nami odsłania. Dramat jest wyrazem wysokiéj dojrzałości cywilizacyi, jako to: wieku Peryklesa, Elżbiety angielskiéj i trzech Filipów w Hiszpanii. Polegając na wzajemném przeniknieniu się i zlaniu liryki i epopei, dramat w kolei czasu zawsze po nich się ukazuje;

i tak, w Grecyi po Homerze i Alceuszu występuje Eschyl i Sofokles; w tragedyach tych ostatnich element epiczny przedstawiają opowiadania posłańców, liryczny zaś, śpiewy chórów. Stawiamy tu dramat grecki obok nowoczesnych, bo wcałéj starożytności jedni tylko Grecy zdobyli się na samodzielne w dramaturgii stanowisko. Wiadomo bowiem, że Rzymianie w komedyi naśladowali tylko Menandra, który dostał się nam w ułamkach; takimi naśladowcami był Plaut i Terencyusz; co zaś do tragedyi rzymskiéj, niefortunnemi były usiłowania Seneki.

Teatr hiszpański i angielski nietylko pod wspomnionym względem przedstawiają między sobą pewne zbliżenie: stopnie ich rozwoju uderzają równoległością i współczesnością, jak to zauważał Schack najznakomitszy dramatu hiszpańskiego badacz, który téż w niniejszéj pracy największą był nam pomocą. Od końca XVI do ostatnich lat XVII wieku ciągnie się w Anglii i Hiszpanii peryod najświetniejszego rozwoju literatury dramatycznéj. Początki narodowéj komedyi wysnute z religijnych i świeckich scenicznych przedstawień ukazują się w pierwszéj ćwierci XVI wieku w utworach John'a Heywood'a w Anglii a Naharra i Gil Vicente (1) w Hiszpanii. Dramat obu narodów w ciągu szeregu dziesięcioleci przechodzi rozmaite fazy, których równoległość jest uderzającą pomimo różnic, z natury i charakteru narodowego wypływających. Niebrak tu usiłowań poddania sceny pod władzę martwego pojecia starożytnéj sztuki, czego dowodem z jednej strony nieszczęśliwe proby, jako to Ferrex i Porrex, Ralph Royster Doyster, Damon i Pytias, a z drugiéj Perez de Oliwa i Malara. Ale uczucie smaku obu ludów odepchnęło pedantyczne reguły, oświadczając się stanowczo za rodzimemi utworami, które téż pozyskały przewagę. Tym sposobem wypadło uprawiać grunt dziewiczy, bez wzorów, bez przewodnictwa, i wiele prób potrzeba było zanim na właściwą natrafiono drogę. Ztąd dramat w obu krajach po różnych błądzić musiał manowcach, zanim na właściwe wszedł stanowisko. Gammer Gurton's Needle i inne angielskie komedye pod

(1) Gil Vicente (Żil Wisente) portugalski dramaturg, który pisał i po hiszpańsku.

względem kopiowania poziomej i płaskiéj rzeczywistości odpowiadają hiszpańskim farsom z połowy XVI wieku. A kiedy już zaczęto dążyć do wyższego dramatu, to nieodrazu udało się doprowadzić treść i formę do harmonijnego zaokrąglenia. Trzeba było naprzód owładnąć ogromnym zasobem materyału, cisnącego się pod pióra romantycznych dramaturgów; a siły poetów w walce téj dopiéro hartować się poczęły. Wsztukach Green'a i La Cuev'y wiele nie uzasadnionych zwrotów w działaniu, brak wewnętrznego związku i prawdziwéj pomysłowości, dowodzą, że pisarze ci niezdołali jeszcze panować nad przedmiotem. Marlowe i Virues odznaczają się za równo upodobaniem w okropnościach i przerażeniu, w nadzwyczajnościach i w nadętości. A jeżeli przyjrzemy się ich współczesnym, jakiemi są: Jerzy Peele, Jan Lily, Tomasz Kyd z jednéj, Argensola, Artieda, Cerwantes z drugiéj strony; to przekonamy się, że ci niemieli jeszcze ani stale oznaczonego kierunku, ani środkowego punktu w swych usiłowaniach, dążących do utworzenia samoistnego systemu sztuki dramatycznéj. Jednocześnie dla Anglii i Hiszpanii otwiera się wielka epoka, w któréj dramat, dotąd zwolna i niepewną posuwający się stopą, poczyna olbrzymim iść krokiem. Szekspir i Lope de Vega, których przemagający wpływ, każdego w swoim kraju, datuje od 1590 r., występują jako dopełniciele pracy poprzedników, jako założyciele nowéj ery, złotego wieku sztuki dramatycznéj: otoczeni kołem niepospolitych pisarzy do tychże samych celów dążących, stanęli na ich czele i mocą swego geniuszu owładli sceną narodową, nadali jéj jedność dążenia, i wznieśli na szczyty poezyi i czystego tworzenia. Dzieła ich wraz z nieprzebranym szeregiem innych, dla których stały się typem i nasieniem, stanowią w obu krajach samodzielną, bogatą i doskonałą dramatyczną literaturę. Żywotnym pierwiastkiem, z którego dramat angielski i hiszpański rozwinął się, podobnie jak w starożytności grecki, są: poetyczne podania ludu i niezakłócony ich rozwój, oraz poetyczne żywioły historyi, ducha i życia narodowego. Porównywając dalszy rozwój obu teatrów, dostrzegamy, że w Anglii po Szekspirze sztuka dramatyczna zaczyna upadać z powodu nietrafnego naśladowania starożytnych, prze-

sady i gonienia ze effektem; tymczasem scena hiszpańska przeszło wiek cały świeci najczystszym blaskiem narodowéj poezyi, w tysiączne wciela ją kształty, i przedstawia w czarodziejskich obrazach wielkie chwile religijnego i świeckiego życia narodu. Jak olbrzymie drzewo z korzenia pieśni ludowéj rozrósł się dramat hiszpański, rozpostarł swe konary ponad cały świat zjawisk, dosięgnął aż do nieba cudowności; i jak zwierciadło pryzmatyczne skupił w sobie wszystkie rozproszone promienie, wszystkie przebrzmiewające dźwięki, aby je w słowie i obrazie żywo przechować. Dramaturgowie hiszpańscy dopóty byli wielkiemi, dopóki pozostali wierni duchowi narodowemu t. j. do początku XVIII wieku, kiedy z wprowadzeniem francuzkiego klassycyzmu sztuka poczyna upadać.

Epoka rozkwitu u obu narodów tę jeszcze przedstawia różnicę: że dramat angielski doszedł w Szekspirze do najwznioślejszéj wyżyny poezyi, jakiéj żaden inny dramat nie dosięgnął; i że inni pisarze, rodacy tego mistrza oddzieleni od niego niezmierną przestrzenią, są tylko gwiazdami drugiéj i trzeciéj wielkości. Inaczéj stało się z dramatem hiszpańskim: tu światło nie skupia się w jedném ognisku, lecz rozlewa się na rozmaitych poetów. Jeżeli w dramacie hiszpańskim niema gieniuszu, któryby mógł się mierzyć z olbrzymem brytańskim, za to posiada on daleko większą pełność, rozmaitość i bogactwo sił poetycznych, które mu piérwsze po Szekspirze zapewniają miejsce.

Dramat hiszpański dojrzewa śród najsroższego ucisku inkwizycyi ściśle, z władzą świecką spojonéj, która, za Filipa II, powodowanego ponurą gorliwością religijną i nienasyconą żądzą panowania, rozwinęła bez granic straszną swą potęgę. Literatura piękna stała się jedynym przytułkiem gieniuszu, który w innych sferach działania był daleko mniéj swobodnym, i tym sposobem poezya zyskała nie jedną potęgę duchową, jaka śród innych okoliczności na wcale odmienne rzuciłaby się pole. Chociaż bowiem i poezya wchodziła w obręb, w który całe życie narodu było wtłoczone, to jednak otwierało się dla niéj nieskończenie więcéj swobody, i poecie wiele myśli jako *licentia poetica* uszło bezkarnie, za któreby inny ciężko pokutować musiał. Dodać

tu jeszcze należy, że straszny nadzór sięgający nawet najskrytszych tajemnic rodziny, dla sceny nader był względnym. Zestawienie wszelkich przeciw władzy duchownéj i świeckiéj wybuchów, jakich sobie dramaturgowie pozwalali, mogłoby najlepiéj przekonać, jak dalece swoboda na scenie nieraz nawet do swawoli dochodziła. Pisarzę dopuszczający się takich gwałtownych napadów na duchowieństwo, zkądinąd w pismach swych dawali dowody prawdziwéj religijności, a nawet po większéj części należeli do stanu duchownego. Widać więc, że Hiszpanie mocniejszy kładli przedział między życiem i sceną jak nowocześni. Inkwizycya uważała za odpowiednie swoim widokom, o ile można nie krępować niczém ulubionéj rozrywki narodu, i niebronić tego w teatrze, czego nie dozwalała w życiu. I widzimy całą nieprzebraność bogactwa treści w dramacie hiszpańskim. Wskrzesił on minione czasy i powołał do życia dawnych bohaterów, czyny i losy zamierzchłéj przeszłości; nowym otoczył blaskiem piękne podania o walkach i przypadkach rycerzy, o miłości i zdradzie, o poświęcaniu dla kochanek i zemście. Przedstawieniem żelaznych, niezłomnych charakterów, strasznych i niesłychanych zbrodni, wielkich cnót, nagłego strącenia ze szczytu władzy i wielkości, wstrząsał i wznosił słuchaczy, ukazując w szybkiéj zmianie szczęścia i boleści sprawiedliwe gromy losu. Z jakiémże uniesieniem Hiszpan śledził postęp twórczéj myśli dramatycznego poety, gdy ten ukazywał jego oczom bohaterów nie w pieśni jak śpiewak romansów, ale już w rzeczywistości, jednocząc przytém męzki dźwięk epicznéj liry ze słodkiemi liryki tonami. Ale nietylko samą przeszłość, lecz i rzeczywistość, ze wszystkiemi jéj objawami w całéj ich rozmaitości, mistrze wyprowadzali na scenę, wcielając życie obecne w obrazy różnobarwne, urokiem poezyi rozjaśnione. I znowu z ciasnych szranków obecności rzucali się w najodleglejsze strefy i czasy, aby pobujać swobodnie w różnych krajach i dziejach, albo w nieskończone obszary cudownego kraju fantazyi, aby powietrznemu *nic* dać nazwę i punkt oparcia. To znowu, przedzierając się po zagranice skończoności, otwierają wrota niebios i piekieł, przywołują aniołów i świętych, samą nawet królowę niebia, wzywają duchy z otchłani, i ukazują walkę człowieka z potęga-

mi ciemności, ponad którą unosi się Opatrzna opieka Ducha bożego. Wszystkie uczucia, poczynając od najszlachetniejszych popędów i najczystszéj miłości aż do zwierzęcéj namiętności i najsroższéj nienawiści, umieli oni w przemawiający sposób malować, a wszelkie charaktery i typy wymownie i prawdziwie skreślać. Tym sposobem dramat hiszpański, przedstawiając wszechstronny obraz najwybitniejszych zjawisk życia, ogarniając wszystkie jego odcienia, stał się przystępnym, nie dla téj lub owéj klassy, lecz dla całego narodu. Odpowiadał on i harmonizował z charakterem, wiarą, sposobem myślenia, kierunkiem fantazyi, obyczajami i smakiem narodu, będąc z jednéj strony dziełem tych wszystkich żywiołów, a z drugiéj ich nowym powtórnym twórcą. „Dawny nasz dramat, powiada Augustyn Duran, był dla nas tém, czém obok swego nieśmiertelnego znaczenia, biblia dla hebrajczyków, czém Iliada i Odyssea dla Greków, t. j. archiwum historycznéj, politycznéj, religijnéj i moralnéj wiedzy narodu, zegarem, którego skazówka zmienne jego losy, jego sławę i niedolę znaczyła. W dramacie tym zjednoczyły się wszystkie tony i odcienia poezyi; w nim zlały się tragedya, komedya mieszczańska, i w rodzaju nowelli, krotofila a nawet farsa; bo tu wszystkie stany znalazły miejsce bez żadnego nadwerężenia harmonii całości.“ Od brzegów Andaluzyi aż do stóp Pireneów, od wybrzeży katalońskich do oceanu zachodniego Hiszpanie zasiadali w teatrach, gdzie patrzeli na własny swój byt, z całą energią w idealnéj doskonałości przedstawiony, na wzniosłe dzieła przodków i świetne wspomnienia przeszłości, przesuwające się w pociągającéj panoramie; i niezmordowanie hołd okazywali poecie, który, to silnie wstrząsał ich fantazyą, jużto słodkiemi snami kołysał, jużto na skrzydłach wiary w nadziemskie krainy przenosił, to znowu igrał z nimi żartem i humorem. Między poetą i słuchaczem żywy istniał związek, swobodny i świeży oddech życia owiewał sztukę; i tym sposobem scena wypełniła swe najwyższe posłannictwo, bo stała się instytucyą narodową, mistrzynią i kształcicielką ludu, zwierciadłem jego i wzorem.

Pomimo niewyczerpanéj rozmaitości, jaką dramat hiszpański przedstawia, najwyraźniéj odznaczają się w nim trzy główne motywa: *wiara* podniesiona do egzaltacyi i fa-

natyzmu, *honor i miłość*, które były zarazem charakterystycznemi cechami narodowości hiszpańskiéj w epoce rozkwitu literatury dramatycznéj.

Wiara Hiszpanów w skutek długiéj walki z niewiernemi doszła do niesłychanéj wyłączności, do fanatyzmu. To uczucie i panująca nienawiść do Maurów i żydów posłużyły za najsilniejszy fundament dla inkwizycyi świętéj. Władza duchowna i świecka rozdmuchiwały ten popęd narodu, dążąc we wspólnym interesie do silnego ugruntowania powagi kościoła; i dopięły swego, bo nawet najniesprawiedliwsze wyroki i egzekucye tajemnego trybunału, zamiast niezadowolenia, tylko przestrach i głębokie poszanowanie obudzały. Hiszpanie nabrali przekonania, że okrucieństwo i wyzucie się z wszelkich uczuć względem różnowierców i kacerzy były obowiązkiem sumienia. Taki gwałt zadany cywilizacyi nie wykluczał przecież w innych razach najszlachetniejszych uczuć i wykonywania pięknych czynów ludzkości. Koło prawowierności, pomimo czujnego strzeżenia jéj granic, nie mogło być tak ściśle zamkniętém, aby gorącej fantazyi Hiszpana nie dawało pola do przyozdobień i zmyśleń. Trudno sobie wyobrazić jak dalece swobodną, ruchliwą i samoistną była imaginacya Hiszpanów owego czasu w malowaniu idei chrześciańskich. Może nigdzieindziej niezmierne pole cudów i tajemnic religijnych nie było z takiém upodobaniem uprawiane, jak w Hiszpanii. Obok historyi Starego i Nowego testamentu i podań pierwotnego kościoła, snuło się pomiędzy ludem niezmierne mnóstwo narodowych tradycyj i legend cudownych, które jeszcze prawie codzień się pomnażały. Do utrzymania w świeżéj pamięci tych wszystkich żywiołów wiary, przyczyniał się nie mało roczny cykl świąt, który oprócz wielu wspólnych całemu katolicyzmowi, obejmował jeszcze mnóstwo uroczystości, hiszpańskiéj liturgii właściwych. Tu znaki boskie, objawienia, cuda zbawienia i wcielenia, żywoty świętych męczenników wkraczały niejako w samo życie rzeczywiste. Kościół téż nie zaniedbywał uciekać się do wszelkich środków, aby przy obchodzie dni świątecznych o ile można świętość ucieleśniać, i w tym celu z oślepiającym przepychem obrzędów łączył uszlachetniający urok muzyki, malarstwa i poezyi co wszystko rozpłomieniało i tak już zapalną fantazyą południowca.

To ciągłe wkraczanie boskości w byt doczesny, to bezpośrednie uzmysłowienie świętości i zespalanie jéj przez służbę bożą z życiem człowieka spowodowały ścisłe zbliżenie się sztuki do religii. Gdy bowiem duchowieństwo pierwsze poczęło zaświatowość sprowadzać na ziemię, to i świeccy mogli się odważyć na przedstawianie tajemnic wiary w kształcie i słowie, bez obawy dopuszczenia się profanacyi. Tak więc otwartém zostało Hiszpanowi rozległe pole do poetycznych i artystycznych zatapiań. Ztąd pochodzi ta zadziwiająca swoboda i śmiałość poezyi hiszpańskiéj w obraniu religijnéj treści; ztąd to wzajemne przeniknienie się tego co jest boskiém i ludzkiém; ztąd to zlanie się przyrodzonéj i nadnaturalnéj dziedziny, które poezyi téj taki cudowny nadały koloryt; ztąd również ta alegoryczność, symboliczność i mistyczność, które jednak są jasnemi i dostępnemi, a które najbardziéj uwydatniły się w dramacie religijnym. Dramat ten mógł rozwinąć się w takich tylko warunkach duchowego życia, jakie miała Hiszpania; i kiedy w innych krajach misterya i *morały* (moralité) pozostają na pierwiastkowym średniowiecznym stopniu swego rozwoju, nieposunąwszy się wcale narówni z wymaganiami sztuki, w jednéj tylko Hiszpanii doszły one do szczytu estetycznego rozwoju w literaturze. Nazywano je *autos* (akty) czyli przedstawienia religijne w dni świąteczne, nadewszystko na *Boże Ciało* (sacramentales) i na *Boże Narodzenie* (al nacimiento) (1). Dramat religijny stanowiły również dramatyzowane Żywoty Świętych t. j. tak nazwane *Comedias de Santos.*

W żadnym kraju stosunki codziennego życia nie były tak przeniknione poezyą, jak wówczas w Hiszpanii; nigdzie pojęcia i sposób życia średnich wieków nie przeciągnęły się tak długo w połączeniu z owocami wyższéj kultury, przedstawiając się w tym związku jeszcze świetniéj i cudowniéj. Duch rycerski, nadzwyczajnemi okolicznościami kraju w ciągu średniowiecza do niezmiernej podniesiony siły, przeżył okoliczności, które go wywołały i przechował

(1) W *Autos*, które były odgrywane na placach publicznych postacie alegoryczne są niezbędne, lecz te nie są wyłącznemi: jako uosobienia pojęć mogą występować i osoby żyjące.

najwybitniejsze swe strony, pomimo, że polityczne znaczenie feudalnéj arystokracyi zupełnie się zmieniło. Noszenie broni i udział w wojennych sprawach narodu nie przestały być oznaką szlachcica. Turnieje i walki wszelkiego rodzaju, które jeszcze w XVII wieku często napotykamy, podały szlachcie sposobność ćwiczenia siły i zręczności nawet i w czasie pokoju; tu należą wyścigi, gonienie na ostre, jakotéż walka byków, w któréj najznakomitsi panowie chętnie składali dowody swego męztwa. Szpada, którą Cavallero każdy nosił u boku, nie była próżną ozdobą; owszem, jako w kraju mało urządzonym pod względem policyjnym, służyła do obrony, a nadto i do bardzo częstych pojedynków: najzwyczajniejszą ich przyczyną była miłość czyli intrygi miłosne i rożne ztąd wynikające wydarzenia. Nie dosyć, że krew południowca od byle czego mogła zakipić namiętnością, bo jeszcze weszła w modę powszechną cześć dla dam i *galanterya*. Dobry ton wymagał, aby każdy obrał sobie królowę swego serca i poświęcił się jéj służbie: nawet i ten, który już dawno przeszedł lata młodości i ten co dla żadnéj kobiety nie miał uczucia; a duch romantyczny ustrajał taki stosunek wszystkiemi kształtami rycerskiéj dworskości i szczeréj lub zmyślonéj fantastyczności. Tam nawet, gdzie podstawą było prawdziwe uczucie, traktowano miłość jako grę przyozdabiającą i rozweselającą życie, która im bardziéj mieniła się barwami romantyki, tém większe dawała zaspokojenie poetycznym marzeniom; najzuchwalsze i najtrudniejsze do przeprowadzenia intrygi były najmilszemi drogami dojścia do celu. W nocy ulice miast roiły się młodemi ludźmi, którzy owinięci w płaszcze (*embozados*) udawali się na wycieczki romansowe, wyprawiając swym pięknościom serenady. W parze z miłością szła zazdrość i żądanie wyłącznego posiadania, i często te nocne sceny kończyły się ranieniem lub zabiciem współzawodnika.

Do pomnożenia tych zajść i pojedynków przyczyniał się niemało system *honoru*, który się w narodzie hiszpańskim w sposób nader skomplikowany rozwinął. System ten, ogarniający wszystkie strony życia, był co do wszelkich stosunków człowieka, co do miłości, małżeństwa

i przyjaźni, co do związków krwi, co do stanowiska względem króla i t. d. najwyraźniéj określony; jego maksymy i nakazy trzymały cały byt w nierozwiązalnych węzłach; a pojęcia, z niego wypływające, tak zrosły się z istotą narodu, że usiłowania kościoła ku wytępieniu ich okazały się bezskutecznemi. Żadne prawodawstwo nie miało tak powszechnéj i tak niewzruszalnéj mocy obowiązującéj jak honor i to we wszystkich objawach hiszpańskiego życia; nakazy jego były ogólnie uznawane, a nigdy ich bezkarnie nie naruszono. Kto chce poznać indywidualność dawnego Hiszpana, musi przedewszystkiém zgłębić zasady honoru hiszpańskiego: i dopiéro ten kto zbada jego najdrobiazgowsze, najdelikatniejsze odcienia do najrozmaitszych przypadków zostosowane będzie mógł zdać sobie sprawę z pobudek postępowaniem Hiszpana powodujących. Na témto, oraz na starciu się rozmaitych praw i obowiązków polega powikłanie wielu nowelli i dramatów, do zrozumienia którego służy za klucz znajomość sposobu myślenia i systemu honoru hiszpańskiego. Jeżeli zaś z jednéj strony charakter tego narodu od samych początków swych dziejów wyrobił w sobie żelazną siłę i wytrwałość, to z drugiéj czerpał z przesądów i doprowadzał je do najostateczniejszych następstw. Tym sposobem ze ściśle spojonego łańcucha wniosków utworzyło się prawo obyczajowe, które biorąc zewnętrzne przypadkowe stosunki za podstawę działania, często z prawdziwą moralnością w najbardziéj rażącéj stawało sprzeczności. Oto są główne przepisy tego kodeksu honoru: względem króla niezachwiana wierność i poświęcenie się aż do ofiary życia, przyjaźni, miłości i wszystkich osobistych uczuć; pomszczenie na osobie zabójcy śmierci poległego w pojedynku przyjaciela; bronienie sprawy przyjaciela lub krewnego, choćby najniesprawiedliwszéj, do ostatniéj kropli krwi. Gościnność nakazuje strzeżenie nietykalności gościa, choćby ten był wrogiem; z obowiązku surowego czuwania nad nieskalanością imienia wynikała konieczność obmycia najmniejszéj zniewagi we krwi obrażającego; niewierność kochanki lub żony, błąd siostry, śmiercią muszą być ukarane. Ale nietylko dokonane złamanie wiary podkopuje honor męża, owszem i najsłabsze

odezwanie się niedozwolonego uczucia; a nawet niewinna musi paść ofiarą, jeśli nieczysta żądza zwróciła na nią oko i pozornie ubliżyła czci męża: tym sposobem zabójstwo stało zawsze w głębi poza miłością. Namiętna natura południowca podniecała jeszcze tę żądzę zemsty, panującemi wyobrażeniami wywołaną, i tym sposobem usprawiedliwiano najsroższe środki i najchytrzejsze drogi dla dojścia do celu. W téj myśli dramaturgowie hiszpańscy przedstawiają przerażające obrazy zemsty, a nawet każą je wykonywać ulubionym swym bohaterom. Jako przeciwwagę téj srogości w sprawach uczucia stanowił obowiązek rycerski opiekowania się damą, ściganą przez swego męża, ojca lub brata; dama w tém położeniu może być pewną, że pierwszy kawaler, którego napotka, na jéj żądanie będzie ją strzedz i bronić z narażeniem własnego życia, a nie podniesie jéj zasłony i nawet o nazwisko jéj się nie zapyta.

Wskazując znaczenie uczucia religijnego i wiary w życiu Hiszpanów, wspomnieliśmy o *Comedias de Santos*. Nie można tu brać wyrazu *comedia* w pojęciu naszém przekazaném nam przez starożytnych, tojest w przeciwstawieniu z tragedyą. W komedyi hiszpańskiéj oba te żywioły wzajem się przenikają i tworzą dramat romantyczny, tojest dramat, w którym albo tragiczność z komicznością zlewa się w jedno, albo téż jeden z tych rodzajów przemaga, jak to ma miejsce w sztukach, które my nazwalibyśmy tragedyą lub komedyą, a które u Hiszpanów zawsze się *komedyą* nazywają. Innemi słowy mówiąc, *komedya* może mieć komiczną lub tragiczną tendencyę; lecz ani ku jednéj ani ku drugiéj stanowczo się nie przechyla: we wszystkich tych *komedyach*, nawet i w tych, które na tragicznem działaniu polegają i mają dążność tragiczną na celu, obok poważnych znajdują się i żartobliwe ustępy. Takie pomieszanie obu żywiołów może wprawdzie, przy niezręcznem i dowolném traktowaniu, psuć jedność utworu; lecz u znakomitszych dramaturgów dokonywa się w sposób tak umiejętny i artystyczny, że nie można im czynić tego zarzutu. U nich żart (którego przedstawicielem po większéj części jest *gracioso*, trefniś) bynajmniej nie jest dowolnie w akcyą główną wtrącony,

lecz przeciwnie jest tak istotną jéj częścią, że mało znalazłoby się sztuk, z których możnaby go wyrzucić bez nadwerężenia całości. Komiczne motywa służą tragicznym za dopełniające przeciwstawienie: dopiéro w zjednoczeniu obojga występuje w całéj pełni prawda, która w poruszeniach uczuć lub namiętności tylko jednostronnie się ukazuje. Nieraz, za pomocą takiéj antytezy powagi i śmieszności zdobywa się ogromny efekt sceniczny, podnoszący wpływ tragiczności: poziomość i płaskość gracyoza i gracyozy stanowią tło, na którém szlachetność i czystość myśli głównych osób jeszcze bardziéj się odznacza. Prócz tego, przesada tych śmiesznych postaci wskazuje na zboczenia w działaniu głównych osób; wreszcie postacie te, przedstawiając się jednostronnie, naprowadzają widza na właściwe stanowisko, z którego na całość patrzéć należy. Bystry rozum gracyosa często odsłania ukryte sprężyny działania; a jakkolwiek jego słowa zwykle są tylko parodyą głównéj akcyi, sięgają przecież znaczeniem swém daleko poza granice najbliższéj chwili w dramacie.

Nietylko tragedya hiszpańska odróżnia się obok innych odcieni tą mieszaniną tonów od starożytnéj; ale i to, co możnaby w naszém rozumieniu nazwać komedyą, całém swojém ukształtowaniem wiele jest odmiennem od tego, co u starożytnych i po większéj części u nowożytnych nosi miano komedyj. W komedyi Hiszpanów satyra, sceny śmieszne i sytuacye są zwykle podrzędnemi częściami, główne zaś działanie jest szlachetnie utrzymane; a chociaż porusza się w obrębie komicznego poglądu, to jednak nie ma nic wspólnego z rubasznością i z karykaturalném oddaniem pojedynczych słabości i występków. Wszystkie komedye hiszpańskie nieraz idealnemi ustępami wznoszą się nad pospolitą rzeczywistość; ztąd możliwość przejścia do patetyczności i wzniosłości. Takim sposobem mógł powstać rodzaj dramatu, który nie jest ani tragedyą, ani komedyą, lecz różnobarwną mieszaniną scen to tragicznych, to komicznych, bez nadwerężenia artystycznéj jedności.

Tę samą swobodę, jak co do tragiczności i komiczności, posiada komedya hiszpańska i pod innemi względami. I tak, bynajmniéj nie jest przeciwném duchowi *komedyi* dowolne połączenie najodleglejszych od siebie okoliczności,

położeń i sprężyn i zestawienie na sposób nowelli. Nie można jednak wyrażenia *dramatyczna nowella* zastosowywać do wszystkich hiszpańskich komedyj: niektóre z nich są raczéj dramatycznem epos; inne znowu, a mianowicie będące dziełem najznakomitszych poetów mają najzupełniejszą jedność w następstwie scen i koniecznością określony pochód działania do wyraźnie wytkniętego celu. Tę samą swobodę znajdujemy również w urzeczywistnieniu poetycznego pomysłu przez skreślenie charakterów, przez sytuacye, albo też przez rozwinięcie poetycznego zmyślenia. Zaledwie potrzeba wspominać, iż co do wyboru osób działających żadnego tu nie ma ograniczenia; że królowie i rycerze, chłopi i służący, allegoryczne i mitologiczne osoby, święci, aniołowie i szatan, a nawet najwyższe przedmioty czci chrześciańskiéj, w téj saméj sztuce obok siebie mogły występować; że nareszcie co do treści sztuk, tę dostarczały dzieje i podania wszystkich krajów, oraz nieskończona dziedzina zmyśleń. Ale najodrębniejszą, nigdzie w takiéj sile nie objawiającą się, właściwość komedyi hiszpańskiéj stanowi to, że ona we wszystkiém cokolwiek maluje, zawsze odbija najbliższą rzeczywistość, pośród któréj żyje; że najodleglejsze i najbardziéj obce wypadki unarodowia i jeśli tak rzec można *hiszpanizuje*. Takie przyjęcie teraźniejszości za osnowę przedstawienia i czerpanie z niéj wszystkich poetycznych żywiołów jest niezbędnym warunkiem do utworzenia sceny narodowéj; albowiem działanie dramatu, którego zadanie przedewszystkiém polega na wywarciu wrażenia na słuchaczach, musi koniecznie się osłabiać, jeżeli tylko w nim będzie coś obcego, niezrozumiałego bezpośrednio. Tak więc tylko w przedmiotach czerpanych z przeszłości ojczystéj, komedya hiszpańska usiłowała przejąć się duchem i tonem minionego czasu, bo ten żył w podaniu i pamięci żyjącego pokolenia; treść zaś czerpana z klassycznéj starożytności lub z historyi innych ludów zawsze jest obrobioną fantastycznie i to w taki sposób, że wszędzie przeglądają narodowość, obyczaje i wyobrażenia hiszpańskie. Uniknęli jednak Hiszpanie śmieszności jaką się okryli francuzcy tragicy, otaczając wzniosłe postacie czasów bohatérskich sferą płaskiego konwencyonalizmu ówczesnéj Francyi i nie-

smacznego dworskiego ceremoniału; bo Hiszpanie pożyczoną zkądinąd treść w samych nawet motywach przerabiali, strzegąc harmonii między osnową i formą, a w teraźniejszości zasobnéj w szczytną poezyę znajdowali dosyć środków do stosownego téj treści otoczenia.

Komedya hiszpańska stanowczo odepchnęła prawa dramatyczne klassycyzmu, przez krótkowidzących krytyków starożytnéj sztuce przypisywane. Odrzuciła ona jedność czasu i miejsca, która i przez Greków o tyle była przestrzeganą, o ile zależała od chóru; odrzuciła mechaniczną jedność działania, i uznała jedyne tylko dla siebie prawo, prawo niewzruszone, z natury rzeczy wynikające, to jest idealną jedność działania, i poddanie szczegółów idei całości. Przeprowadzenie téj zasady najpierwsi dramaturgowie hiszpańscy mieli zawsze na uwadze.

Niemniéj charakterystyczną jest *komedya* w użyciu form poezyi, z których organicznego spojenia dramat powstaje: mianowicie spotykamy tu żywioł liryczny i epiczny bardziéj odosobniony aniżeli w dramatach innych narodów. Wprawdzie liryczne wylanie uczucia, rozciągłe i malownicze opowiadania zgodne są z usposobieniem w danéj chwili mówiącego i z innemi okolicznościami; jednak posiadają one wielką samoistność, chociaż nieodejmującą całości dramatycznego charakteru, a nawet samą formą swoją wyróżniają się od dyalogu.

Komedye są zwykle pisane wierszem, którego najrozmaitsze miary w każdéj komedyi można napotkać (1). Użycie mowy wiązanéj, świetnie rozwiniętéj, niezmiernie po-

(1) Wskażemy tu najważniejsze formy wiersza:

1. *Cztero-stopowy trochej*, mało co od zwykłego dyalogu różniący się, stanowi główny ton komedyi hiszpańskiéj, ku któremu wszelkie inne modulacye powracają. Główne formy tego trocheja są następujące: a) *romanza*, czyli szereg trochaicznych wierszy z ciągłym *assonansem* (t. j. oddźwiękiem samogłoskowym, np. wyrazy duelo, primero, saberlo stanowią assonans) wierszy parzystych 2, 4, 6go i t. d., przez Kalderona i jego szkołę najbardziéj używana w opowiadaniach i innych długich mowach, w zwykłym dyalogu i szybko postępujących częściach działania; b) *redondilla*, czterowierszowa strofa takim porządkiem rymów *a b b a*; u Lope najzwyklejsza forma dyalogu dramatycznego, u Kalderona i późniejszych służy do oddania momentów reflexyi, uczuciowych i pieszczotliwych miejsc oraz do gry antytez; c) *quintilla* (kintilia), t. j. pięciowierszowa

dnosiło dzieła sceniczne, zwłaszcza tam, gdzie treść była wzięta z życia potocznego: tu już sama dykcya poetyczna dawała dziełu polot nad poziomy byt i pobudzała poetę do wyobrażania życia nie w zimnych suchych rysach, lecz w idealniejszém świetle a oraz do opierania się na wyższych poruszeniach i dążeniach tego życia.

Taki był charakter, takie wnętrze i taka fizyonomia dramatu hiszpańskiego w najświetniejszéj jego epoce, w której zwłaszcza od połowy do końca XVII wieku wielki wpływ na inne europejskie sceny, nadewszystko na włoską i francuzką wywierał; słusznie też powiada Riccoboni, że niezliczony ogrom hiszpańskich komedyj intrygi stał się niewyczerpaném źródłem, z którego poeci wszystkich narodów czerpali; a i dziś jeszcze spostrzeżenie to do Niemców można zastosować.

Głównémi przedstawicielami tego złotego wieku literatury dramatycznéj byli *Lope de Vega*; *Guillen de Ca-*

strofa z rozmaitą kombinacyą rymów (*a b a b a, a a b b a* lub a b b a a) i *decima* albo *espinela*, składająca się z dwóch kintilij, mają to samo przeznaczenie co redondila.

2. *Jamb*, w przeciwstawieniu trochejowi, uroczystsza miara, któréj formy są następujące: a) *oktawa* (włoska stanza czyli *ottave rime*) w długich monologowych opisach, pompatycznych i rozciągłych opowiadaniach albo w pełnych godności i wspaniałości dyalogach; b) *sonet*, w antytezach, dowcipnych zapytaniach, trafnych odpowiedziach, lub w wybuchach wrażenia, wywołanych przez porównanie albo pojedyncze spostrzeżenia; c) *terzina*, czyli pięciostopowy jamb w strofach trzywierszowych (splatających się nieustająco w ten sposób, że środkowy wiersz jednéj strofy rymuje się z krańcowemi drugiéj), do wyrażenia poważnego dyalogu, u późniejszych rzadziéj, u Kalderona np. w początku Księcia niezłomnego; d) *lira*, sześciowierszowa strofa złożona naprzemian z trzech—i zpięcio-stopowych jambów; pierwsze cztery wiersze mają rym krzyżujący się, dwa ostatnie rymują się z sobą. Tu męzki rym jest wykluczony, ztąd wiersze muszą mieć po 7 lub po 11 zgłosek. Jestto najważniejsza ze wszystkich miar, jako posługująca do prowadzenia namiętnego dyalogu, do wylewu wezbranego liryzmu, i do szybko zmieniających się obrazów wspaniałéj opisowości. W dramacie późniejszym, mianowicie kalderonowskim, nie często się napotyka, i miejsce jéj zastępuje *silva*, która jest swobodném przeistoczeniem liry; gdyż tu można dowolny przyjmować porządek tak w przekładaniu wierszy jako też i w rymowaniu.

Obok tych głównych form wiersza istnieje jeszcze mnóstwo innych, które mniejszéj doznały wziętości.

stro (1), odznaczający się siłą, kolorytem i wzorowym stylem; *Tirso de Molina*, pisarz komiczny, najpłodniejszy po Lope de Vedze, zadziwiający gienialnością i nieprzebranością poetycznych pomysłów, w mistrzowską dykcyę odzianych; *Alarcon*, samoistny i energiczny duch, który odciskał na wszystkiém piętno swéj indywidualności, i pragnął nie tylko zabawić i zachwycić, lecz przelać w innych potężne swe natchnienie: a pomimo to dzieła jego przedstawiają taką harmonią i doskonałą organiczną jedność, że pod tym względem nie wiele utworów obok nich dałoby się postawić; *Moreto*, którego dwa dzieła dramatyczne należą do najwięcéj cenionych na scenie hiszpańskiéj; *Rojas* hojnie uposażony imaginacyą, wynalazczością, ogniem i polotem słowa, porywającém za serce patos w tragiczności, zasobnością dowcipu i humoru w komice; za pomocą tylu darów stworzył arcydzieła, które obok największych utworów Kalderona możnaby umieścić; lecz nie zdołał zawsze na téj wysokości pozostać, gdyż brakowało mu, jak piękna powiada Schack téj powstrzymującéj siły i poważnéj artystycznéj myśli, która powinna towarzyszyć gieniuszowi i czuwać żeby nie upadł. Pozostaje nam jeszcze wymienić tego, o którym Fryderyk Szlegel wyrzekł, że jest ostatnim i największym z poetów hiszpańskich, którego ocenienie jest głównym przedmiotem niniejszego pisma.

Don Pedro Calderon de la Barca, już w 13 roku życia zaczął tworzyć dramata (urodz. 1601 † 1681). Bliższe poznanie go w nowszych czasach zawdzięczamy braciom Szleglom, a nadewszystko Wilhelmowi, którzy pierwsi zwrócili uwagę Europy na literaturę hiszpańską; lecz nieobeznawszy się z nią bliżéj, uważali Kalderona za jedynego jéj reprezentanta, stającego na takiéj wyniosłości, z któréj zaledwo warto spójrzeć na inne a podrzędne talenta. Kalderon wszakże jest tylko światlejszą gwiazdą wspaniałéj konstellacyi, znaczącém ogniwem jednego wielkiego łańcucha. Wprawdzie dramat hiszpański doszedł w nim do naj-

(1) Można o nim obszerniéj czytać w studyach nad literaturą hiszpańską w Gazecie Warszawskiéj ogłoszonych, a zdradzających samodzielne badanie i niepospolity talent poetyczny w znakomitym pseudonimie *J. Zam.....*

wznioślejszego punktu; jednakże właściwy jego charakter dramatyczny, i rzetelna miara jego zasługi tylko w związku z jego poprzednikami dają się oznaczyć. Kiedy ten, późniéjszy ulubieniec Europy, zaczął poświęcać się dramaturgii, przed nim nie leżał jak przed Lope de Vegą zamęt mniéj więcéj bezkształtnych prób, ani chaotyczny nieład żywiołów sztuki, które oczekiwały aby tworczy gieniusz Vegi nadał im kształt i formę: Kalderon wstąpił na pole, już wszechstronnie uprawione, i znalazł wysoko a świetnie rozwiniętą przez znakomite talenta poezyę dramatyczną; wtedy nietylko, że forma i charakter dramatu były określone, ale nawet granice niektórych ulubionych jego rodzajów już zostały wytknięte. Kalderon kształcił się na arcydziełach poprzedników. Z wrażliwością, poetycznym umysłom właściwą podziwiał wspaniałe dzieła wielkiego Lope de Vegi (1), zachwycał się zaczarowanym poezyi Tirsa de Moliny światem, który się przed nim przesuwał, a nawet znał dzieła i mniéj znakomitych pisarzy. Kiedy więc wziął się do pisania dramatów, unosiły się przed jego wyobraźnią te poetyczne obrazy, które i jego i całą publiczność porywały, co zarazem nie było bez dobroczynnego wpływu na jego fantazyą. Ale duch jego był za nadto samoistny, żeby miał iść za odebranem wrażeniem i z prądem płynąć: to też położył sobie za zadanie nietylko zdobyć oryginalne, odrębne stanowisko w dramaturgii, ale jeszcze o ile można doprowadzić ją do pełności i doskonałości. Niepodobna było myśleć o dokonaniu przewrotu bez uderzenia na najdroższe

(1) Uwielbienie swe wyraził w pięknéj decymie, którą kończy temi słowy:

„A tak ci którzy najwięcéj cię czczą, najbardziéj ci zazdroszczą,"

Pues los, que mas te engrandecen,
Son los que te envidian mas.

Wzajemnie Lope w *Wieńcu Apolina*, w r. 1630 ogłoszonym, tak się odzywa o swym młodym współzawodniku:

„Słodyczą i poetycznością swego stylu
z gór wzniosł się jeszcze do najwyższego szczytu,"

.....En el estilo poetico y dulzura
Sube del monte à la suprema altura.

sympatye narodu: pozostało mu więc dodać szczyt do pięknéj gotowéj już budowli i zawornikiem sklepienia zamknąć całość. Ani Lope de Vegę w bogactwie wynalezienia, ani innych znakomitych dramaturgów w tém, czém każdy z nich w swoim rodzaju górował, przewyższyć było niepodobieństwem: to téż Kalderon o tém nie marzył. Ale bystrym, analizującym rozumem obok piękności, umiał dopatrzeć się i wad w swoich poprzednikach; dostrzegł że najwyższa doskonałość sztuki, przez nich tu i owdzie dosięgnięta, nie zabłysła jako przenikająca wskroś wszystko zasada, że najgienialniejsze pomysły były często zeszpecone brakiem staranności i pośpiechem. Otóż więc głównem zadaniem Kalderona, opartem na głębokiéj krytyce przeszłości, było dążenie do gruntowniejszego obmyślenia i przeprowadzenia planu, staranne wykończenie szczegółów oraz stylu i budowy wiersza. Oparł się on na swoich poprzednikach, i w danym materyale zaprowadził ład i jedność, rozproszonym cząstkom właściwe oznaczył miejsce, a niepewnym i wahającym się pierwiastkom nadał stałość i spokój. Brał z dawniejszych sztuk pomysły, treść, zarysy całości, piękniejsze sceny nawet przenosił, ale tak umiał to wszystko wysokim swym artystycznym zmysłem przeistoczyć i przyswoić, że rezultat swéj pracy zawsze mógł śmiało nazwać swą wyłączną własnością. Najwięcéj korzystał z Tirso de Moliny i z Mira de Mescua. Nie można z tego powodu żadnego robić zarzutu naszemu poecie. Tak samo postępował Szekspir, który nie miał sobie za ujmę brać osnowę nawet z mniéj znakomitych dawniejszych sztuk; Kornel i Molier wiele bardzo korzystali od Hiszpanów. Podobny fakt widzimy i w innych sztukach pięknych: i tak np. wiadomo, że Michał Anioł w Sądzie Ostatecznym nietylko korzystał z pojedyńczych pomysłów, ale nawet całe figury przenosił z wielkiego malowidła Łukasza Signorelli w Orvieto, a Rafael pierwszych rodziców w swych *lożach* skopiował ze sławnego fresku Massaci'a. Sztuka i poezya tworzą nie z niczego, lecz z istniejących już materyałów, które składa nietylko natura ze wszystkiemi jéj zjawiskami, ale i utwory poprzednich mistrzów. Pojęcie dzisiejsze o wyłącznéj oryginalności, niedozwalające korzystania z cudzych myśli i pomysłów, dowodzi tylko niepoetyczności na-

szego czasu; było ono zupełnie obce wielkim epokom sztuki i literatury, które nie mogłyby wydać tylu arcydzieł obudzających nasz podziw, gdyby się trzymano takich fałszywych o tworzeniu wyobrażeń. Przez odosobnienie się od źródeł, z jakich dzieła innych wypływają, poeta oderwanym zostaje od związku z korzeniami, z których obfity i zdrowy może ciągnąć pokarm.

Dla urzeczywistnienia swego zadania, polegającego na możliwém wzniesieniu dramatu do doskonałości, musiał Kalderon przedewszystkiém zwrócić uwagę na troskliwe obmyślenie planu. Tym celem opanowywał daną treść w najdrobniejszych szczegółach, i z każdego zwrotu działania, z każdéj sceny i sytuacyi ścisły zdawał sobie rachunek, wrzącą swoją fantazyę i dar wynalezienia trzymał na wodzy przenikliwego swego rozumu; ztąd wszystkie części znajdowały się nietylko w nierozerwalnym z całością związku, ale nadto w symetrycznym z nią i pomiędzy sobą stosunku; nie pozwalał sobie wtrącać scen choćby najpiękniejszych, jeśli nieharmonizowały z organizmem dramatu: byłoby to nadużyciem, którego się często Lope de Vega, a bardziej jeszcze Tirso de Molina dopuszczali. U niego każda scena silnie wiąże się z pochodem głównego działania; jedno wypływa z drugiego. Pod tym względem, stanowiącym najwyższy stopień doskonałości poezyi dramatycznéj, doszedł Kalderon do prawdziwego mistrzowstwa, którém wszystkich swych rodaków przewyższył. Jak lawina, z wzrastającą objętoscią i coraz szybszym pędem ze szczytów skał spadająca, aż nareszcie z grzmotem stoczy się w dolinę, tak akcya w jego sztukach pędzi niepohamowanym prądem, niezatrzymując się ani na chwilę, dopóki nie dosięgnie swego celu: obala i porywa wszystko, coby ten prąd mogło zakłócić. Tym sposobem Kalderon zdobył tę wielką jedność, to potężne zajęcie, które nas w najlepszych jego utworach nieprzeparcie porywa. Aby pojąć całą rozległość tego mistrzowstwa, trzeba zastanowić się nad temi sztukami, gdzie poeta jakby dla okazania swéj siły, tysiączne rozsnuwa nici, krzyżujące się wzajem i najrozmaiciéj się plączące, które jednak dobiegają wskazanego punktu zjednoczenia. Pomimo takiego powikłania, ogół

sztuki ma przejrzystą jasność, tak, że łatwo można rozpoznać wszystkie części i ich architektoniczne przeznaczenie.

To artystyczne obmyślenie objawiające się w rozkładzie planu, rozciąga się nietylko na poboczne części działania, ale nadewszystko i na budowę wiersza, który nietylko odznacza się najwyższym wdziękiem i pięknością, lecz nadto odpowiada najrozmaitszym odcieniom wszystkich okresów działania. Jeżeli u poprzednich poetów niezawsze jasnym jest powód użycia w danym razie tej lub owéj formy wiersza, to w Kalderonie nigdy żadna co do tego nie nastręcza się wątpliwość. Z tym rozumnym rozkładem formy wiersza cudownie się łączy przepych i poetyczność wysłowienia (1). Świetném bogactwem barw błyszczy szata poetyczna piętrząc porównania na porównaniach; wszystkie zjawiska świata najdrobniejsze i największe, wszystko co żyje i co zamarło, co jest bliskie lub oddalone, święte natchnienie wieszcza w kwiecisty jednoczy wieniec, w którego rosy perłach odbija się odwieczna piękność zaświata, bo poeta święci w naturze tylko odzwierciedlenie najwyższego ducha. Fantastyczném poczuciem natury buja on śród czarów różnobarwnego ogrodu stworzenia, gdzie mu każdy kwiatek, tęsknie roztwierający swój kielich przed światłem, śpiew ptaszka i szmer listka tajemnicę miłości zwiastuje. Ten poetyczny język emalią swą i miękkością a wrzącą siłą obrazów przerzuca nas do południowego krajobrazu, pod palm i cyprysów cienie, nad któremi sklepia się niezgłębiony błękit wiecznie pogodnego nieba; listki róż i jaśminów błyszczą dziewiczym strojem wiosny, śród ciemnych liści migota złoty owoc, a w głębi toczy się niezmierzone morze, wznoszeniem się i opadaniem swych fal ducha do słodkich kołysząc snów.

Z tego, cośmy powiedzieli o sposobie kompozycyi czyli pomysłu Kalderona, można już wnieść, że musiał być wielkim mistrzem w wydobywaniu scenicznych effektów. W tém

(1) Platen uwielbienie swoje nad językiem Kalderona wyraził w czworo-wierszu, który w przekładzie pozwalamy sobie przytoczyć:

Co za czarodziejski świat!
Chwyta oko, słuch przenika;
Każdy obraz—cudny kwiat!
Każde słowo, to muzyka!

przewyższył on swych poprzedników, bo u niego natężenie i owładnięcie uczuciem i myślą widza obliczone jest nietylko na pojedynczą scenę, ale i na ogólne oddziałanie dramatu: każda sprężyna interesu dopiéro wtedy nabiera prawdziwego znaczenia, kiedy w związku z innemi częściami działania do wspólnego zmierza celu. Już sam ten wielki przymiot, wznoszący Kalderona może nad dramaturgów wszystkich literatur, zapewniłby mu w dziejach sztuki wysokie stanowisko. Przymiot ten najbardziéj uderza w sztukach dwojakiego rodzaju: *naprzód* w tych, gdzie skupia mnóstwo pobudek i efektów, a jednak jednością je przenika, tak że każdy effekt sceniczny jest tylko przygotowaniem do ogólnego wrażenia całości; *powtóre* w dramatach, w których interes toczy się głownie około wewnętrznych motywów i na szczegółowém odmalowaniu stanu duszy polega. Tu właśnie, gdzie najmniéj jest sposobności do zewnętrznego wpływu, najwymowniéj przekonywa poeta, z jakim nieporównanym talentem potrafi odpowiedzieć wszystkim wymaganiom sceniczności, tak umié duchowość ucieleśnić, i pomimo rozwinięcia psychologicznéj analizy, we wszystkich przejściach przez najżywsze przeprowadza ją działanie. Jak tego rodzaju dzieła są wyższe nieskończenie od wielu arcydzieł nowoczesnéj poezyi, o tém przekonać się można czytając *Czarnoksiężnika* (El magico prodigioso) i *Więzy dyabła* (Las cadenas del demonio). Do pierwszego z wymienionych dwóch rodzajów należą po większéj części sztuki, w których interes widza przywiązuje się jedynie do zewnętrznego działania, do powikłania i rozwiązania węzła; osoby zaś o tyle zyskują współudział, o ile stają się igraszką obcéj siły, któréj przedstawicielami są bogowie, czarodzieje, los i przypadek: bo ci są głównemi działaczami. Do drugiego rodzaju odnieść należy sztuki, w których faktyczna treść służy tylko do ucieleśnienia zasadniczéj idei utworu, ktore z tego powodu możnaby nazwać *symbolicznemi*: i tu zdarza się powikłanie polegające na tych samych motywach, co i dzieła pierwszego rodzaju, z tą przecież różnicą, że każda chwila zawikłania w tych dramatach o tyle ma znaczenia, o ile pozostaje w związku z tą ideą.

Co do wynalezienia, możnaby sądzić na pierwszy rzut oka, że Kalderon mniéj jest obfitym od Lope de Vegi.

Wprawdzie nie marnotrawił on tak swéj wynalazczości jak jego poprzednicy, zgłębiał bardziéj daną treść, i z każdego działania starał się wydobyć wszystko co było można przy względzie na założenie, i dlatego musiał swą fantazyę trzymać na wodzy; ale pomimo to dzieła jego zawierają skarby pomysłów, które dlatego zrazu mniéj uderzają, że w nich jest więcéj ładu i ekonomii. Odrzucając to co wziął od innych, w każdém dziele napotkasz mnóstwo działań i sytuacyj, z tworczego ducha wysnutych.

Odznaczają budowę dramatów Kalderona kontrasty, za pomocą których rozwija charaktery i przeprowadza działanie, rzucając osoby w sprzeczne z sobą położenia, i zyskując wielki środek wrażenia przeciwstawieniem komiczności i tragiczności; ztąd ciągła przemiana znoszących jedna drugą okoliczności, i ścierających się ze sobą sytuacyj, rozdwojonych dążeń i namiętności. Ta figura poetyczna, niemało przyczyniająca się do podniecenia interesu, daje wszystkim utworom poety dzielne wewnętrzne życie, za którém przez wszystkie gruppy i massy działania z przytłumionym oddechem widz podąża.

Pod względem malowania charakterów czynią Kalderonowi ten sam zarzut co innym dramaturgom hiszpańskim, mianowicie, że umié przedstawiać tylko ogólne typy a nie żyjące indywidualności. Uwaga ta sprawiedliwą jest co do komedyi intrygi, gdzie rządzi traf lub inna zewnętrzna siła; i gdzie wyraziste odsłonięcie charakterów tylkoby osłabiało zamierzone wrażenie całości; ale i tu znajdziemy obok oderwanych lub w cieniu pozostawionych mocno narysowane i pełne życia postacie. Inaczéj się rzecz ma z dramatami, które nazwaliśmy symboliczneml: występują tu wprawdzie charaktery odrębnego rodzaju, będące jakoby ucieleśnieniem duchowych potęg, uosobieniem cnót i zbrodni; gdzie jednak poeta nie ucieka się do allegoryi, a śledzi rozmaite dążenia i chwile życia, tam wyprowadza do działania swobodnie poruszające się indywidualności, nadając każdéj najodpowiedniejsze stanowisko i umieszczając na właściwym planie, tak że poboczne postacie służą zawsze do uwydatnienia głównéj gruppy, i tym celem to wydobywają się na wierzch, to kryją się w półcieniu lub zupełnie nikną. W takich dziełach widzimy równowagę między główną ideą

i charakterystyką. Jako przykład przytaczamy *Alkada Zalamei* i *Trzy sprawiedliwości w jednéj*; w obu tych sztukach wszystkie postacie, niewyłączając nawet podrzędnych, tak są dobitnie odróżnione i taką żywotną obdarzone indywidualnością, że mogą stanowić niezaprzeczalny dowód mistrzowstwa naszego poety w malowaniu charakterów.

Ukazawszy świetne przymioty Kalderona, odznaczające najdoskonalsze jego utwory, nie możemy pominąć ujemnych jego stron. Te mniej świetne rysy ściśle są spojone z przymiotami: wynikają bowiem już z indywidualności poety, jużto ze stosunków i okoliczności owoczesnych, z których nikt prawie wyzwolić się nie może.

Kalderon pisał dla dam i rycerzy, składających dwór Filipa IV, gdzie panowała wytworność i wyszukaność, które téż i w pismach poety się odbiły; z tąd także zamiast wszechstronnego obrazu nieskończonéj rozmaitości życia, daje nam często tylko jedną jego cząstkę, to jest tę, pośród któréj żył i dla któréj pisał. W drugorzędnych dramatach zawiele daje pola reflexyi i obrachowaniu; i tęto zbytnią działalność rozumu można poczytać za przyczynę wielu jego zboczeń: objawia się ona czasem i w dykcyi, którą chłodem owiewa. Ztąd również powstał system ogólnych pojęć, pośród których z upodobaniem krążył, zaczém poszła pewna monotonność i powtarzanie w różnych sztukach tych samych motywów; panującemi tu pojęciami są: wiara, miłość i honor, które jako górujące w życiu narodu występują i u innych autorów, ale nigdzie tak bardzo nie wysuwają się na przedni plan jak u Kalderona. Chociaż śmiałością, niewyczerpanością obrazów i porównań, jakoteż wyrobieniem wiersza przewyższył wszystko, co kiedykolwiek się na scenie hiszpańskiéj pojawiło; to jednak z powodu nie w porę odzywającéj się reflexyi, nie zawsze umié utrzymać tę świeżość, to co bezpośrednio z duszy wytryska i do duszy wpada, a czém język Lope i Tirsa celuje. Niekiedy grzeszy przesadą i wyszukaniem obrazów, tak nazwanym Gongoryzmem (1), to wiecznie powtarzającemi

(1) Gongoryzm nazwany od Gongory, poety hiszpańskiego z końca XVI i początku XVII stólecia, twórcy przesadzonego stylu, tak nazwanego *estilo culto*.

się concetti, hyperbolami i antytezami, to subtelnemi rozprawami, któreby więcéj przystały scholastycznéj dysputcie. Nie zapominajmy jednak, że gieniusz Kalderona i pośród tych wad najwspanialéj się unosi.

Ten ogólny rys dramaturgii Kalderona zakończamy w miejsce ostatecznego wniosku własnemi słowy znakomitego, wspomnionego wyż badacza: „Kalderon wprawdzie doprowadził dramat hiszpański do najwyższego rozwoju, lecz tylko w jednostronnym kierunku; powiódł on go na stromą, sprawiającą zawrot wyżynę, nad którą już wznieść się nie było podobna; lecz nie wynika ztąd bynajmniej, żeby *pod każdym względem* wyprzedził dawniejszych mistrzów, i dokształcił dramat hiszpański we wszystkich kierunkach, przeztych mistrzów już pomyślnie uprawianych.

W szczegółowym przeglądzie dramatów Kalderona przed wszystkiemi innemi należy dać pierwszeństwo *religijnym*, tojest tym, w których panuje motywum religijne. W żadnym innym rodzaju nie uderza nas tyle co tu wyższość Kalderona nad poprzednikami, ani nie okazuje się świetniéj głębokość i wspaniałość jego poezyj. Żeby na téj drodze iść za polotem poety i nie być zrażonym ekscentrycznością jego utworów, trzeba wcielić się w ducha hiszpańskiego katolicyzmu, z którego ta poezya powstała. Inaczéj bowiem będziemy sądzić w téj materyi zgodnie z Sismondim, który do badania jéj przystąpił, wziąwszy za modłę filozoficzno-protestancką analizę. To zagłębienie się w wyobrażenia religijne ubiegłego czasu tém jest konieczniejsze przy studyowaniu Kalderona, że on rozwinął do wysokiego stopnia żywioły religijne, które u poprzedników jego surowe i jeszcze nie obrobione występowały, i przeprowadził jaśniéj zasadnicze motywa, a tym sposobem dusza całość ożywiająca, tojest właściwy Hiszpanom XVII w. pogląd na świętość, wydatniéj na jaw się wynurza. Kalderon w religijném na świat wejrzeniu był w pełni mężem swego czasu i narodu: można go uważać za najdoskonalszego przedstawiciela tego cudownego i oryginalnego kształtu, jaki wiara katolicka przybrała w Hiszpanii. W dziełach jego znajdujemy ten sam świat cudów utwo-

rzony przez wrzącą fantazyą południowca, który się w równie palących barwach w obrazach Murilla objawia. Tu jesteśmy w kraju czarów, pośród widzeń i ekstatycznych uniesień, słowem, śród excentrycznych religijnych objawów, które jeśli z jednéj strony w fanatyzmie *auto de fe* (1) najdziksze wydały owoce; to z drugiéj przecież wyniosły ś. Jana ewangelistę na wyżynę, na którą tylko zapał religijny i natchniona miłość boża doprowadzić mogą, gdzie co do głębokości i polotu stanął obok lutnistów Pańskich Starego testamentu. Te światłe i ciemne strony znajdują się i w Kalderonie. A jeżeli takie utwory, jak *Nabożeństwo do krzyża i Czyściec ś. Patrycego* dały powód Sismondemu do nazwania Kalderona *poetą inkwizycyi;* to za to dramata, jak *Książę niezłomny*, *Kochankowie nieba i Czarnoksiężnik*, dają mu prawo do nazwy człowieka z dziecięcą, czystą myślą, który odzwierciedla w sobie rozkwit najpiękniejszego, najwyższego rozwoju i z nieskalanéj swéj duszy wieczną miłość ducha i religię wylewa. Powiedział ktoś, że religia jest sercem serca Kalderona, bo dla niéj on najbardziéj wstrząsające a przenikające do głębi duszy wywoływał wzruszenia; najznakomitsze jego religijne dramata tchną świętym zapałem i najżywszém dla wieczności uczuciem. Tu widzimy Bogu poświęconego ducha, który, opromieniony odblaskiem najwyższéj mądrości, świętym popędem po za granice skończoności ulata w świat niezmiennego, nieznikomego piękna, gdzie religia i poezya, jak posągi Memnona brzmią swemi tonami na powitanie jutrzenki, co powstający dzień wieczności zwiastuje. I wieszcz z sercem przepełnioném wiarą i z miłością wszechświat ogarniającą rozdziera zasłonę, która królestwo boże przed okiem śmiertelnych ukrywa: i roztwiera się niebo, zasłane świetlistemi obłokami i promiennemi obliczami aniołów, i jasność niebieska spływa na żywot człowieczy aż do mrocznych przepaści skończoności; i wszelka boleść ziemska śród téj światłości bożéj przemija.

(1) *Auto de fe* dosłownie znaczy *akt wiary* (który dopełnia inkwizycya publicznie karząc przekonanego o herezyą).

Żadnemu poecie nie udało się zdobyć na takie głębokie wzruszenia i potężne wstrząśnienia, jak Kalderonowi w tego rodzaju dramatach. Jego bohatérowie nie lekkomyślnie ani obojętnie rzucają się w objęcia śmierci: nie, oni spokojnie i ze świadomością zupełną idą na jéj spotkanie; oni spodziewają się śród trwogi, i z sercem, przejętém najwyższą miłością i ufnością w opatrzność Boską, stąpają śród wrzawy i nieprzerwanego boju ludzkości, dążąc przez wzgórza trupów i bojowe pola ziemskiego żywota; ciężkie i ciemne chmury zawisły nad niemi; i nie bez walki, to, co w nich wieczném jest, odrywa się od znikomego; ale wiara poprzedza ich z płonącą pochodnią; i wzmożeni Boską religii siłą, mężnie a bez szemrania wychylają swój kielich; wzniesieni uczuciem jedności z wiecznym bytem spoglądają na ból i radość ziemi jak na blade rozwiewające się cienie: i śród coraz silniéj spadających promieni niebieskich, zwycięzko z wieńcem białych róż na głowie ciągną do tryumfalnych wrót śmierci, przez których otwarte wrzeciądze błogosławieni zwycięzką podają im palmę.

„W religijnych dramatach Kalderona, mówi Rosenkrantz, panuje wielka rozmaitość; tu wszystko co tylko jest wielkiego w katolicyzmie, przybrane w najświetniejszą formę pełną szlachetnéj godności, w niewyczerpane uroki fantazyi. W tych poezyach świeci wonny blask cudowności, w którą się świat jakby w ową błogosławioną dal przenosi.“

Dramat, wedle Fryderyka Szlegla może być trojakiego rodzaju: poeta przedstawia grę losu i namiętności, którą kończy tragicznem rozwiązaniem: takim jest po większéj części dramat starożytny; innym jest zupełnie dramat Szekspira, gdzie sprzeczności i powikłania bytu, człowiek i samo życie, przedstawione jak niezbadana tajemnica. Gdyby na tém jedynie polegał cel sztuki dramatycznéj, toby można angielskiego poetę nazwać najwyższym z pomiędzy dramaturgów. Ale sztuka ma cel jeszcze szczytniejszy: ona ma nietylko rzucać zagadki, lecz i rozwiązywać je, ona powinna z zamętu teraźniejszości dążyć aż do najwyższego rozwoju i ostatecznego roztrzygnięcia; musi więc sięgać w przyszłość, gdzie ukazuje nam tajniki we wnętrznego człowieka. Taki sposób dramatycznego rozwią-

zania, z najcięższéj boleści prowadzący do duchowego oczyszczenia i wzniesienia, najbardziéj chrześciańskiemu poecie przystoi, i pod tym względem Kalderon niezaprzeczenie jest najpiérwszym i największym.

Pomiędzy dramatami religijnemi Kalderona pierwsze trzymają miejsce następujące:

Książę niezłomny, o którym powiemy niżéj.

Czarnoksiężnik (El magico prodigioso). Jestto jedno z najwspanialszych dzieł Kalderona, należące zarazem do najpierwszych arcydzieł poezyi. W czasie tajemnéj walki chrześciaństwa z bogami Olimpu, których powaga pośród samych pogan coraz bardziéj słabła, żył w Antyochii młodzieniec imieniem Cypryan, który w samotnéj gajów ustroni zatapiał się w badaniu tajemnic, w czém politeizm nie mógł go zaspokoić. Zagłębionego w księdze Pliniusza Starszego i usiłującego pojąć myśl przez niego rzuconą o jednym, najwyższym, wszechmocnym Bogu, djabeł postanawia zwrócić z drogi zbawienia. Przedstawia się mu w postaci zabłąkanego kawalera a miłośnika nauk. Pobity w dyspucie zamierza uwieść go i pokonać namiętnością i żądzą zmysłów. Za środek do tego celu obiera Justynę, córkę chrześciańskiéj męczennicy i tym sposobem przedsiębierze zatratę dwóch dusz nieskalanych. Zaledwie oddalił się, już zaczyna wykonywać swe plany. Znowu cisza Cypryana zakłócona, ale tą razą brzękiem mieczów; w pobliżu Leliusz i Florus, przyjaciele Cypryana, ubiegając się o rękę Justyny, pojedynkiem chcą roztrzygnąć komu należéć się ma pierwszeństwo. Cypryan ofiaruje się za pośrednika i tłumacza ich uczuć przed Justyną, ale zaledwie ujrzał jéj wdzięki, najgwałtowniejszą zapala się ku niéj miłością. Noc, plac przed domem Justyny, w głębi morze; Leliusz i Florus, owinięci w płaszcze, nie widząc jeden drugiego, wyczekują poranku, w którym mają od Cypryana dowiedzieć się o postanowieniu Justyny.

LELIUSZ.

Ledwie ciemna noc złowrogi
Płaszcz nad ziemią rozpościera,
Biegnę patrzeć na jéj progi,
Gdzie myśl moja się przedziera.

FLORUS.

Tu zostanę aż do świtu;
Wszędzie smutek mię uciska:
Tum jak ptak, gdy śród błękitu
Do światłości mknie ogniska.

Wtém ukazuje się djabeł osłonięty szerokim płaszczem na balkonie Justyny i schodzi po drabince; na ten widok biegną tam dwaj zakochani. Djabeł przepada się w ziemi, i młodzieńcy uderzają na siebie, przypisując jeden drugiemu, iż rozkoszną miał z Justyną schadzkę.

Cypryan, odepchnięty przez Justynę, z rozpaczą usuwa się w pustynną okolicę nad brzegiem morza.

Myśli moje rozburzone,
Dokąd, dokąd mię niesiecie?
Zkąd ta śmiałość? czyliż wiecie,
Że wybuchy to szalone,
Gdy zuchwale jak Tytani
Aż ku niebu się piętrzycie,
A stanąwszy na zenicie,
Przepadacie wnet w otchłani?
Ach! przeklinam tę godzinę,
Gdym ten cudny kształt Wenery,
Z wrzokiem jak blask czwartéj sfery,
Ujrzał pierwszy raz Justynę!
Rozjuszone furyi żmije,
Myśl mą szarpią, jad w nią leją;
To rozpaczą to nadzieją,
To zazdrością tylko żyję.
. . . . . .
Niepojęte myśli ciemnie,
Nie zgnębiajcie mię, o mary!
Bom uwierzyć gotów w czary,
Że duch inny wstąpił we mnie.
. . . . . .
Ja Justynę posiąść muszę!
Twéj pomocy, piekło, wzywam!
Twego wsparcia się spodziewam:
Za Justynę oddam duszę.
SZATAN (w głębi)
Ja ją przyjmuję!

I jak namiętności w duszy Cypryana, tak w naturze zawrzały wszystkie żywioły, przejmując Cypryana przerażeniem.

Przebog! co się dzieje!
Niebo w téj chwili świeci i ciemnieje;
Dzień się mrokiem przyodziéwa;
Z łona chmur i piorunów groza się dobywa:
Niebo z górą bój toczy, jéj szczyty roztrąca.
I jak Etna gorejąca
Cały widnokrąg rozlał się w płomieni morze.
Mglą słońce, żrącą parą powietrzne przestworze!
Morze wspina swe bałwany,
I pędzi po nad chmury jak prąd rozhukany,
Miotąc pianę w powietrzu lekkiemi podmuchy,
Co przelata wskróś wiatru jak powiewne puchy;
Okręt wichrami miotany,
Szuka ratunku w fali rozigranéj.
Te wołania o pomoc, te rozpaczne krzyki,
To są śmierci poprzedniki,
Która chce się nasycać swych ofiar konaniem;
Ten orkan rozpasany jéj pysznem ubraniem.
Okręt się śród skał zahacza,
I z nowym już żywiołem zacięty bój stacza;
Ledwie że uszedł cało z morskich wód przestrzeni,
Już piana krwią się ofiar nieszczęsnych rumieni.
Tylko jeden się człowiek z burzy naigrawa!
Dobywa się z odmętu i na brzegu stawa.
A zgubny żywioł okręt coraz bardziéj nęka,
Maszt złamany; i okręt w kawały rozpęka:
Fala go rozpiętrzona w swém łonie pochłania,
Unosząc do miękkiego Trytonów posłania.

Djabeł (wchodząc, do siebie:)

Żeby celów dopiąc nowych,
Trzeba było go uludzić,
I pozornie burzę wzbudzić
Na tych polach szafirowych.

Rozbit ten znajduje schronienie u Cypryana; opowiada mu w przenośniach historyę swego buntu przeciw Bogu i swego upadku, a dla wciągnięcia w swe sieci Cypryana, gorejącego żądzą nasycenia swéj namiętności, maluje mu swą moc nad naturą. Cypryan nie dowierza téj potędze; wówczas djabeł odzywa się do poblizkiéj góry:

Towarzyszu wieków, czasów,
Królu pól i wód i lasów,
Co nad ziemią wgłąb wstrząśnioną,
Czoła wieńczysz chmur koroną,
Jam jest ten co ciebie wzywa!
Grzbiet twój eter niech przepływa!

(góra przenosi się na inne miejsce)
Ptaku, co wiewnemi ruchy,
Mkniesz w powietrznych sfer obszary,
Rozwiewając drzew konary,
Niby skrzydeł lekkie puchy;
Napowietrzny ty okręcie,
Co w przejrzystych chmur odmęcie,
Rozwinąłeś, jak żaglowe
Płótna, skały granitowe:
Powróć już na twe siedlisko,
Ucisz strach i dziwowisko.

I góra wraca na swe posady. Następnie roztwiera się skała, w której wnętrzu widać uśpioną Justynę. Cypryan z przerażeniem i uwielbieniem daje djabłu cyrograf na swą duszę za przyrzeczone posiadanie Justyny. Śród ciemnéj pieczary w gęstwinie lasu Cypryan uczy się u djabła sztuki czarnoksięzkiéj, mocą któréj po roku ma ziścić swe najgorętsze pragnienie. Doszedłszy do poczucia swéj biegłości w magii, pomimo zakazu mistrza, wychodzi na jasność dzienną i w ten sposób stan swéj duszy maluje:

Niebiosa jasne, prześliczne!
Słuchajcie, gdy zaklęcia wyrzeknę magiczne;
Powietrze! lube twe wianie
Wstrzymaj, gdy mój głos straszny poruszy otchłanie;
I ty, skał olbrzymie stromy,
Wzrusz się w posadach na mych dźwięków gromy;
Pnie, w zielone strojne wdzięki,
Omroczcie ich pogodę, słysząc moje jęki;
Krzewy, kwitnące wspaniale,
Zadrzyjcie, gdy was echem dójdą moje żale;
I wy ptaszki, piewcy leśni,
Lękajcie się mych cudów, uciszcie swe pieśni;
Dziki zwierzu, porzuć knieje,
Podziwiaj moje trudy, patrz co się tu dzieje!
I w ślepocie i w obłędzie,
Zmieszane, przelęknione, przestraszone wszędzie,
Niebo, powietrze, zwierzęta i skały,
Rośliny, mą będziecie sztukę podziwiały!

Djabeł wykonywając swój plan unosi się nad domem i ogrodem Justyny i zaklina wszystkie siły natury, wszystkie potęgi piekielne, aby rostęskniły uczuciem i zagrały namiętnością w sercu Justyny. Zaledwie wyrzekł te słowa, niebo staje się jeszcze jaśniejszém, kwiaty rozchylają swe

kielichy, miły a palący powiew oddycha śród drzew, i z pośród krzewów róż i laurów płyną słodkie, zaledwie słyszane tony, zlewając się wdzięcznie z pieniem ptaków. I nagle oko Justyny uderzone zostało poraz piérwszy tą miłością, rozlaną w naturze, szał i niepokój ją ogarnia. Pyta z przerażeniem, co za siła nią wstrząsa i wnet sama sobie odpowiada:

Ach! odpowiedź na to słyszę,
O słowiku! w twojém pieniu,
Co miłością taką dysze
Dla kochanki, gdy w marzeniu
Na gałązce się kołysze.
Ucisz, ucisz twoje pieśni,
Bo co w duszy méj się nie śni,
To w niéj piosnka twa rozbudzi.
Gdy tak czują ptacy leśni,
Jakież czucie jest u ludzi!

Tu winorośl za pniem goni,
W zieleń krasi go ponętnie;
To igrając niby stroni,
Aż obejmie go namiętnie,
Jedno tętno w nich zadzwoni.
Winorośli, niechaj twojéj
Szał miłości się ukoi,
O! bo czuję zakłócona,
Gdy krzew z krzewem tak się spoi,
Jakże ludzie, gdy w ramiona!....

A tam bujne widzę kwiecie,
Zwraca lice swe do słońca,
Z blaskiem łzawy liść swój plecie;
Jaka barwa palająca,
Gdy w światłości płynie świecie!
Strzeż się kwiatku: któż ocali,
Gdy tęsknota ciebie spali,
W proch obróci blask uroczy?
Ach! gdy listek tak się żali,
Jakże tęskne płaczą oczy!

Ptaszku, ucisz pieśń tęsknoty,
Wino! opuść twoje sploty,
Kwiatku! strzeż się niestałości.
Zkąd ta siła, że jak groty
Mnie razicie?

CHÓR DUCHÓW

Ach! z miłości!

Na domiar przerażenia djabeł w téj chwili ukazuje się Justynie i wypowiada jéj myśl, ktora nią tajemnie owładła: że ona kocha Cypryana. Pokusy djabła okazują się daremne, bo on niczego nie może dokonać bez współudziału wolnéj woli. Cypryan ucieka się do czarów i zaklęć magicznych; ale djabeł nie może ziścić przyrzeczenia, i ukazuje mu tylko widziadło Justyny. A kiedy Cypryan zdziera z jéj twarzy mantilię, spostrzega kościotrup, który upomniawszy go, iż wszelka rozkosz ziemska jest znikomą, rozwiewa się w powietrzu. Djabeł zmuszony do wytłumaczenia tego zjawiska, wyznaje ze drżeniem, że to wszystko zrządził Bóg chrześcian w obronie cnoty Justyny, która jest chrześcianką. Wtedy światło duchowe pada na mętne myśli Cypryana, i on poznaje, że ten Bóg jest właśnie tym Bogiem, którego napróżno szukał. Tym sposobem djabeł staje się narzędziem przyspieszenia tego, czemu chciał zapobiedz. Cypryan zrywa umowę; a gdy djabeł chce go porwać na zasadzie cyrografu, oswobadza się z mocy czarta udaniem się pod opiekę tego Boga. Idzie w góry, gdzie przyjmuje chrzest z rąk pustelnika. Poczém spieszy do pałacu rządcy Antyochii, gdzie, po uczynieniu publicznego wyznania wiary, żąda śmierci męczeńskiéj. Wtrącony do więzienia, spotyka się z Justyną schwyconą wraz z innemi w czasie tajemnego dopełniania obrzędów. Justyna pociesza go, zapewniając, że on męczeństwem swém okupi poprzednie winy i zmaże umowę z czartem zawartą, i że łaska Boga nie ma granic; zarazem przypomina mu, iż spełniają się jéj słowa, gdyż w *śmierci kochać go przyrzekła*, a oto rusztowanie ich zjednoczy. Nad ściętemi zwłokami unosi się djabeł na skrzydlatym wężu, a spełniając wyższą wolę, ogłasza swą przegranę i usprawiedliwienie Cypryana i Justyny.

Ażeby mieć wyobrażenie jak genialnie Kalderon obrobił legendę o tych dwojgu męczennikach, należy tu odczytać pięknie skreślony ich żywot przez Skargę. Rosenkrantz w rozprawie swojéj o tym dramacie tak myśl główną określa: „W czarnoksiężniku poeta położył sobie trudne zadanie, przeprowadzić myśl, filozofowaniem w wierze zachwianą, przez wszystkie momenta duchowego przeistoczenia aż do przyjęcia chrześciańskiéj prawdy. Tu

wszędzie drga życie. Złe wybornie jest w djable uosobione, zwłaszcza w stosunku do Cypryana, przed którym djabeł coraz bardziéj się odsłania". Tu panującém motywum jest wiara; miłość i honor są podrzędnemi, a nawet ostatni najmniejszy ma udział. Temat Czarnoksiężnika jestto odwieczne zadanie wszystkich wielkich umysłów i zarazem charakter namiętnych natur, t. j. z ufnością w swą myśl i wolę rzucać się na wszelkie przedsięwzięcia, zbadać tajemnice życia, posiąść rozkosze duszy i ciała. Tematto wspólny całemu prawie chrześciaństwu, krążący w średnich wiekach między ludem w teatrze maryonetek, a w późniejszych czasach obrabiany przez Marlowe i innych pisarzy angielskich, przez Lessinga i Getego: to Faust, a po polsku Twardowski. Tu przedstawia się wiele punktów do porównania między Czarnoksiężnikiem a Manfredem Bajrona i Faustem Getego, nad które oba utwory pomimo pojedynczych ich piękności i bogactwa myśli, Czarnoksiężnik niezaprzeczenie jest wyższym wewnętrzną jednością, wzniosłością idei, organicznym związkiem części i nareszcie scenicznością. Wprawdzie Niemcy wiele dzieł napisali, i dziś jeszcze wykładają prelekcye dla udowodnienia, że Faust Getego stanowi doskonałą artystyczną całość. Lecz jeżeli nie przeczą, że część pierwsza nie stanowi sama jedna całości, to jakże może ją uzupełniać część druga, w któréj wznosząc Fausta do wyższéj sfery, nad wszelką miarę Gete daje pole rozwinięciu się całkiem obcym, zewnętrznym stosunkom? Nic tu nie pomoże usiłowanie utrzymania Fausta na pierwszym planie. Trudno też stworzyć harmonijną całość w utworze, w 20 roku zaczętym, a w 82 skończonym (Zob. list Getego z 4 stycznia 1831). Nie mogąc się rozwodzić nad porównaniem trzech dramatów, powiemy tylko, iż w każdym z nich maluje się dosadnie indywidualność poety; a nie zapominajmy, że wielki poeta jest tylko spotęgowanem uosobieniem swéj narodowości. I tak Manfred jest dumnym i ponurym jak Bajron, jak Anglik; ztąd zadowolony z nabytéj wiedzy, ztąd kryje swą winę, źródło swych męczarni; a kiedy przeczuwa blizki zgon, odpycha pociechę religijną, bo ta istota demoniczna sama sobie chce być wszystko winna. A jakaż przepaść

oddziela Fausta od Czarnoksiężnika? Taka sama, jaka istnieje między protestantyzmem Niemca i katolicyzmem południowca, między zimnem zwątpieniem a gorącą wiarą; tu dźwignią uczucie, tam myśl, żądza wiedzy. Cypryan kocha z całą gwałtownością; Faust wszystko kocha po trochu, i Najwyższą wszystkiego przyczynę, i Małgorzatę i djabła. Jakże więc może być dramatyczność, tam gdzie nie ma silnéj namiętności? Faust zostaje zbawionym z prawdziwym angielskim komfortem, bez kłopotu, bez ofiary, za to tylko, że odwrócił się od złego, gdy go miłość Boża ciągnęła ku sobie. I aniołowie wydzierają jego duszę Mefistofelesowi, chociaż ten wygrał zakład z Faustem zrobiony. Idea Fausta wcale nie jest chrześciańską, da ona się sprowadzić wedle zdania Düntzera, w studyach jego nad Getem, do następnego wyrażenia: człowiek niezmordowany w dążeniu może zbłądzić, ale zawsze wróci na właściwą drogę; to dążenie jest iskrą Boską, która każdemu jest dana; kto ją przechowa, ten choćby i zbłądził, służy zawsze wyższemu porządkowi. Tę samą ideę znajdujemy już u Cycerona: *Omnia, quae secundum naturam fiunt, sunt in bonis* (Cat. maj. 19, 71); Faust bowiem jest apoteozą wrodzonego każdéj indywidualności dążenia, w czém upatrujemy pokrewieństwo z systemem Spinozy, tojest z ubóstwieniem ludzkiego rozumu. Jakże ta myśl, zasadzająca wartość człowieka na nieustającéj działalności bez względu na treść moralną, jakże ona jest małą w porównaniu z ideą Czarnoksiężnika!

Los dos amantes del Cielo (kochankowie nieba). Tu w przeciwstawieniu z potężnemi wstrząśnieniami Czarnoksiężnika panuje łagodne wzruszenie. Niebieski spokój i czystość uczucia, rozlane w tym utworze, przedstawiają nam pobożność Kalderona w najpiękniejszém świetle. Dramat ten należy do najdoskonalszych w tym rodzaju. Tłumaczenie Balińskiego niedawno ogłoszone, odznacza się swobodą i naturalnością dykcyi, nadewszystko w słowach Eskarpina (graciosa); w kilku miejscach prawdziwa wzniosłość i uroczystość szczęśliwie przelane. Szkoda, że zaniedbanie w rymowaniu osłabia nieraz siłę estetycznego działania. Moralna dążność podała tłumaczowi pióro do ręki, jak to okazuje się z pięknéj, religijnością tchnącéj

przedmowy. Czy jednak obok wolnego przekładu udało się tłumaczowi śmiałe zadanie rozwinięcia zacnych i prawdziwych myśli autora? na zapytanie to osobnym szczegółowym rozbiorem odpowiedzieć zamierzamy.

El Josef de las mugeres (Józef pomiędzy kobietami). Wspaniały ten dramat odznacza się nietylko siłą pomysłu i bogactwem myśli, ale i doskonałością zewnętrznego obrobienia. Jestto niejako *pendant* do Czarnoksiężnika, przedstawiające dramatyczne przejścia nawrócenia Eugenii, nauczycielki filozofii w Alexandryi.

La sibila del oriente. Tu przelał Kalderon całą swoją pobożność i przejął się biblijną poezyą; prześlicznie udotykalnił zawiązki Nowego testamentu w Starym; tu działanie do coraz wyższego rośnie znaczenia; poeta staje się prorokiem, poezya objawieniem.

Exaltacion de la Cruz (wzniesienie krzyża). Treścią tego cudownego dramatu jest odebranie krzyża ś. królowi perskiemu Chosroesowi i powrócenia go na dawne miejsce w świątyni jerozolimskiéj; ale poeta to wzniesienie krzyża pojął zarazem symbolicznie jako uczczenie chrystyanizmu.

La devocion de la Cruz (Nabożeństwo do krzyża). Dramat całkiem odmienny od poprzedniego, godzien zastanowienia, raz jako wyrażenie ducha owego czasu, powtóre dla poetycznéj swéj wartości. Fantastyczna idea utworu we wspaniałych oddana rysach, lecz religijność poety, gdzieindziéj taka czysta i prawdziwie chrześciańska, jest w szczególny sposób zamącona przesądem i fanatyzmem: tu znajdujemy najwyraźniéj objawioną fałszywą myśl, jakoby można wszelkiego rodzaju zbrodnie dokonywać, i pomimo to z powodu czci dla dogmatu i jego symbolu być zbawionym. Żona, srodze przez męża znieważona, na puszczy u stóp krzyża doznaje bolów macierzyństwa. Bliźnięta, wydane przez nią na świat, mają na piersiach znak łaski w kształcie czerwonego krzyża. Z dzieci tych Julia wychowuje się przy ojcu, syn zaś wzrasta zdala, nieznany rodzinie. Późniéj zawiązuje on stosunek miłosny z Julią, nie wiedząc, że ona jest jego siostrą. Drugi brat Julii wyzywa uwodziciela i ginie w pojedynku. Ojciec wtrąca Julię do klasztoru, syn zaś (Euzebiusz) przystaje do bandy rozbójników i dokonywa wielu zbrodni. Dawna miłość nie za-

gasła w nim, dlatego postanawia uprowadzić Julię z klasztoru. I kiedy już Julia ma się zupełnie mu oddać, Euzebiusz cofa się z przerażeniem: na jéj łonie godło krzyża zobaczył. Julia, występną namiętnością porwana, ucieka ze świętych murów i ściga ukochanego. Cuda więc, jakie krzyż na tych dwóch swych czcicielach dokonywa, stanowią osnowę sztuki; choć życie groźnie na nich winą i nieszczęściem uderza, zawsze jest ono tylko dla obojga wybranych ciemną ścieżką, wiodącą do blasku wiecznego żywota, który od kolebki im przyświeca. Naprożno moce złego usiłują porwać ich w przepaść upadku; pozostają oni wierni krzyżowi, i godło zbawienia ocala ich z grzechu i śmierci. Poeta odmalował to z potężną fantazyą. Pomimo jednak téj siły przedstawienia, imaginacya dzisiejsza nie może się oswoić z widokiem krzyża, który nietylko jest symbolem wiary, ale jeszcze wybawczém narzędziem łaski nawet wówczas, gdy dusze ocalonych z zupełną świadomością trwają w swych winach. W czasie kiedy syn i córka oddają się rozmaitym namiętnościom i zboczeniom, ojciec wyciąga w pole przeciwko rozbójnikom; syn ginie w téj walce, ale zaledwie zwrócił się ku krzyżowi, zjawia się pobożny kapłan, spowiada go i Euzebiusz kończy oczyszczony z win. Julia zaś, zewsząd osłoczona, widząc już blizką śmierć, chwyta za krzyż na grobie Euzebiusza umieszczony, i unosi się z nim w powietrze. Charakter Julii wycieniowany z głęboką znajomością serca ludzkiego. O stosunku tego dramatu do innych treścią mu pokrewnych wspomnieliśmy, rozbierając dramat Antoniewicza *Anna Oświecimówna* w Bibliotece Warszawskiéj za miesiąc kwiecień r. z.

W dramatach historycznych lub osnutych na tle historycznem, Kalderon nie zagłębiał się w przeszłości jak Lope de Vega, lecz czas miniony przedstawiał w rysach, ze współczesnego zdjętych, i zwykle malował najbliższe stulecia. Dramata jego w tym rodzaju, z historyi i podań czerpane, nietylko że pod względem artystycznym stoją w pierwszym rzędzie między płodami jego pióra, ale nadto odsłaniają nam wnętrze życia narodu hiszpańskiego w XVII wieku daleko wyraźniéj, aniżeli pomniki dziejowe. Wierny malarz obyczajów swego narodu, Kalderon przeprowadza

tu uczucie honoru i prawości przez wszystkie stadya w najczystszym ich blasku i w ponurych, srogiemi przesądami odzywających się stronach, które w uderzający sposób obrażały prawo moralne. System pojęć o honorze, rozwinięty tak potężnie jak i wierzenia tego narodu, musiały śród swéj wyłączności i dosadnéj oryginalności, obok najszczytniejszego rozwinięcia, wpaść w rażące zboczenia: ztąd z jednéj strony wzniosłe czyny rycerskiego poświęcenia, z drugiéj zbrodnie w imię nieubłaganych praw honoru dokonywane.

Może w żadnym innym dramacie naszego poety wyobrażenie o honorze, jako potędze władającéj życiem całém, nie jest tak głęboko pojęte, jak w *Ostatnim pojedynku w Hiszpanii* (El postero duelo de Espana); może nigdzie nie osięga Kalderon tak wstrząsającego wpływu przez starcie się honoru z indywidualném przeświadczeniem. Dramat ten pod każdym względem należy do mistrzowskich dzieł poety, łącząc głęboką sztukę kompozycyi z ogromném scenicznem życiem. Oto krótka treść tego dramatu: Dwaj hiszpańscy rycerze, don Gieronimo i don Pedro, po długiém niewidzeniu spotykają się w Sarogosie, gdzie z powodu przybycia Karola V mają się odbyć uroczystości i igrzyska. Gieronimo zwierza się przyjacielowi, że jedna dama dona Violanta zapaliła serce jego gwałtowną namiętnością, że dręczony jest zazdrością, ponieważ z różnych oznak wnosi, iż ma współzawodnika; prosi więc don Pedra, aby mu dopomógł do wykrycia go. Pedro wypowiada w monologu walkę, jaką sprzeczne uczucia w jego duszy staczają: on bowiem jest tym drugim kochankiem Violanty; a jeżeli z jednéj strony obowiązek względem przyjaciela każe przed tymże wyznać prawdę, to z drugiéj poprzysiągł on Violancie zachować tajemnicę o miłosnym z nią stosunku. Zarazem nie może potłumić w sobie zazdrości, i postanawia śledzić, czy Violanta nie jest wiarołomną. Wkrótce potém, znajdując się wieczorem u Violanty, słyszy pod jéj oknem serenadę, za co czyni jéj ostre wyrzuty, i w oburzeniu gniewu postanawia złamać dotychczasowe względem Gieronima milczenie. Wyznaje przyjacielowi, że przed nim jeszcze został wybrany; namiętne wstrząśnienie obudwu wywołuje zajście i oznaczenie miejsca walki. Przed przybyciem tam, Pedro

spada z konia i tłucze sobie ramię, lecz pomimo przedstawień Gieronima nie chce odkładać chwili pojedynku. Zaledwie poczęli się bić, Pedro znękany bolem upuszcza szpadę; Gieronimo nie chce korzystać z téj okoliczności, i ten szlachetny czyn jego powoduje pojednanie się przyjaciół. Gieronimo uroczyście przyrzeka, nikomu i słowa niepowiedzieć o takim rezultacie pojedynku, hańbiącym wedle pojęć hiszpańskich o honorze. Serafina, dama opuszczona przez Pedra dla Wiolanty, ukryta w zaroślach będąc świadkiem wszystkiego, postanawia z tego korzystać, aby się zemścić na niewiernym kochanku. Jakoż zawiadamia o wszystkiém Wiolantę, która oświadcza Pedrowi, aby się nie pokazywał przed nią, dopóki téj plamy z siebie nie zmaże. Pedro w przekonaniu, że Gieronimo złamał przyrzeczenie, pała żądzą zemsty przeciwko niemu. Wkrótce słyszy, jak chłopi w żartobliwéj piosence wyszydzają jego pojedynek: a więc hańba jego stała się powszechną! Staje on zatém przed cesarzem, prosząc aby nakazał sąd boży, w którym pragnie się oczyścić i ukarać wiarołomcę. Cesarz przyzwala na to, i oznacza czas i miejsce do uroczystego pojedynku. I oto na *plaza major* w Walladolidzie w obec cesarza otoczonego dworem, i wobec tysiącznych tłumów ludu, rozpoczyna się walka: obaj przeciwnicy walczą z takiem bohaterskiem męztwem, iż cesarz każe im przestać bić się, ponieważ oba okazują się zarówno walecznemi. Wtedy występuje Serafina i wyznaje, że Gieronimo nie zdradził zaufania, i że ona hańbę Pedra rozgłosiła. Przyjaciele rzucają się w objęcia, i Pedro podaje rękę Wiolancie; Gieronimo z Serafiną, idąc za zwyczajem przyjętym na sceniе hiszpańskiéj, czynią to samo.

Lekarz swego honoru (El medico de su honor) znany w naszéj literaturze z tłumaczenia J. N. Kamińskiego, jest zupełną antytezą poprzedniéj sztuki: tę straszną tragedyę należy oceniać ze stanowiska obyczajowych zasad ówczesnéj Hiszpanii, wedle któréj drażliwość punktu honoru doszła do fanatyzmu. Drażliwość tę przyrównywa Szlegel do podania o gronostaju, który tyle ma przywiązywać się do białości swéj sierci, że, ścigany przez strzelców, woli raczéj uledz zgonowi aniżeli czystość jéj skalać. Z owego stanowiska patrząc na mord niewinnéj Mencyi, musimy przyznać,

że dramat ten należy do najpiękniejszych zjawisk w dziedzinie poezyi.

Zazdrość największą ohydą (El mayor monstruo los zelos), jest tragedyą fatalistyczną, która stała się wzorem dla sceny niemieckiéj od chwili poznania się Niemców z Kalderonem; t. j. gdy pod wodzą Zacharyasza Wernera rzucili się do ubiegania za nadzwyczajnością i dziwném powikłaniem. Głęboko tu poeta pojął przeznaczenie, tak że ono wydaje się jakoby przeczuciem duszy, z tęsknym niepokojem sięgającéj wzrokiem w przyszłość. Ochoa Hiszpan, wydawca *Teeatru hiszpańskiego*, uczony i znakomity znawca wyrzekł: „gdyby cała nasza literatura dramatyczna złotego wieku miała zaginąć, i gdyby wolno było tylko cztery dzieła uratować, to i jednéj chwili nie wahałby się, żeby wybrać *Zazdrość największą ohydą* Kalderona, *Upór na upór* (El desden con el desden) utwór komiczny Moreta, *Prawdę podejrzaną* (La verdad sospechosa) Alarcon'a i *Garcię de Castenar* Rojas'a. Żałujemy, że dla uniknienia zbytniéj rozciągłości niniejszego pisma, musimy odmówić sobie podania treści *Trzech sprawiedliwości w jednéj* (Las tres justicias en una), dramatu wielkiego scenicznego wpływu, w którym rozlana głęboka powaga. Cudownie pięknemi są w tym dramacie: przedstawienie tajemniczych dróg, jakiemi dąży sprawiedliwość boża, aby pomścić winy, jako też odmalowanie niezbadanéj mocy krwi, która powstrzymuje podniesioną dłoń wyrodnego syna w chwili, kiedy prawdziwy ojciec przed nim stoi, tego samego syna, który mniemanego ojca zbezcześcił.

Niemniéj pięknym jest *Alkad Zalamei*, odznaczający się wyborną charakterystyką i zadziwiającym rosnącym pochodem zajęcia aż do chwili strasznéj katastrofy; również wspaniałą jest sztuka *włosy Absalona* (Los cabellos de Absalon). Bajeczne podania starożytnych o Semiramidzie genialnie świetnemi obrazami oddane w tragiedyi *Córka powietrza* (La hija del Aire): podziwiać należy, jak tu ogromne massy niewyczerpanéj kompozycyi harmonijnie uszykowane, obrobione.

Dramata tak nazwane *romantyczne*, które zdają się być płodem własnego pomysłu poety, stanowią przejście do utworów, zbliżających się do naszéj komedyi, do których

piérwsze z powodu poważniejszéj swéj treści zaliczone być nie mogą. Gdyby kto chciał wątpić o geniuszu naszego Kastylijczyka, to niezawodnie się z nim pojedna przeczytawszy *Malarza własnéj hańby* (El pintor de su deshonra), który niezaprzeczenie do najpierwszych, najwspanialszych jego dzieł należy; w dramacie tym wszystkie uroki ramantycznéj poezyi z przenikającém odmalowaniem głębokich poruszeń duszy umiał zjednoczyć. Sprężyną działania jest miłość, ale górującym żywiołem zemsta obrażonego honoru małżonka. W innych celujących romantycznych dramatach, jakoto: *Białe ręce nie obrażają*, *Dozorca samego siebie*, *Pani i domownica*, *Dosyć już cierpienia*, *Głośna tajemnica* głównym motywem jest *miłość*. To samo motywum w połączeniu z grą trafu przewodniczy utworom komicznym i do tych więc zastosować należy to, co o *miłości* jako dźwigni dramatów Kalderona powiemy.

W dramatach religijnych i historycznych uważaliśmy, że dwie główne sprężyny: *wiara* i *honor*, jak w życiu tak i w sztuce rozwijają się w kierunku dwóch ostateczności, najczystszéj, najszlachetniejszéj poezyi i strasznych przerażających przesądów, które dla nas wydać się muszą obłędem lub zbrodnią. Wprawdzie i miłość w dramatach Kalderona, czyto jako główne, czy nawet jako podrzędne motywum, ma również to pogodne i ponure strony, to wciela się w najpiękniejsze sceny, to prawadzi do mordu. Ale miłość już z saméj natury swojéj nie mogła w najgwałtowniejszych nawet wybuchach, niszczących wszystko, coby jéj tamę stawiało, posłużyć za żywioł wyższego dramatyzmu, podobnie jak wiara i honor: bo jeżeli to dwoje czy w dodatnich czy ujemnych swych zwrotach, zawsze w nierozerwalnym pozostają z wnętrzem duchowém ludu, z narodowością jego, spojeniu, to miłość przeciwnie, jako uczucie indywidualne, nie mogła dobić się do tak podniosłego znaczenia. Dlatego też zabójstwa, zazdrością lub zemstą tego uczucia wywołane, będąc dla Hiszpana nader zwyczajnemi zdarzeniami, nie wywierały wielkiego wrażenia. Z téj téż przyczyny tego rodzaju fakta służą nieraz za sprężynę do komicznéj intrygi, do czego nawet— co prawda— użytą bywa i obowiązek pomszczenia zabitego lub ukrycie pojedynkującego się, który przeciwnika zabił. To tłumaczy się jeszcze tém, że Hiszpanie, jak to już zauważaliśmy, lubią

kontrasty poważnego i śmiesznego, jako południowcy, namiętną i ruchliwą naturą obdarzeni.

Utwory Kalderona, zbliżone do naszéj komedyi, tojest tak nazwane *komedye płaszcza i szpady* (Comedias de capa y espada, ponieważ w takiém ubraniu je grano), godne są wziętości jaką pozyskały, chociaż niezaprzeczoną jest rzeczą, iż poruszają się w daleko ciaśniejszém kole motywów i sytuacyj aniżeli takież komedye Lope i Tirsa. W swoim jednak rodzaju, pomimo pewnéj jednotonności, są najdoskonalszemi utworami literatury hiszpańskiéj. Po większéj części te komedye mogą być nazwane *powikłaniami trafu*, bo ten prawie zawsze tworzy węzeł intrygi. Młody kawaler,— że użyjemy słów wybornego francuzkiego tłumacza Kalderona Dumas-Hinard,— czyli *galant*, szuka w stolicy mieszkania swego przyjaciela, u którego chce się umieścić; wtém zawoalowana dama prosi go o opiekę: wierny rycerskiemu obowiązkowi odprowadza ją do jéj domu. Pokazuje się, że to jest siostra jego przyjaciela; ten znowu kocha inną damę, przyjaciołkę owéj siostry, przeznaczoną na żonę dla przybyłego do stolicy kawalera. Nadto znajduje się znowu wzgardzony kochanek owéj damy, co się pod opiekę kawalera udała. Z tych więc krzyżujących się *sentymentów* powstają wszelkiego rodzaju powikłania: dwie zasłonięte damy wzięte jedna za drugą; jedna z nich podsłuchuje wyrazy, do współzawodniczki przez pomyłkę zwrócone; galant usłyszawszy szmer, ukrywa się, drugi dostrzega go: ztąd pojedynek, przybyciem brata przerwany. I nareszcie po najrozmaitszém pokrzyżowaniu, rozwikłują się węzły zapomocą tych samych nici, które je poplątały, i wszystko kończy się dwoma lub trzema małżeństwami, nielicząc w to zaślubin gracyoza i pokojówki (*criada*). Taką jest ogólna charakterystyka tych komedyj. Temat ich, podług Schacka, wten sposób jaśniéj określić można: Miłość dwóch kobiét dla jednego kawalera; ubieganie się kilku zalotników o rękę jednéj panny, lub dwóch przyjaciół o tę samą piękność; zazdrość kochanków; walka obowiązku względem przyjaciela i kochanki, osłonięcie się kobiét w mantyle, ukrycie się mężczyzn w płaszcze, i ztąd wynikające pomyłki; hołdy przed oknem lubéj pod osłoną nocy, przez kogo innego

w miejscu oczekiwanego kochanka składane; starcie się obowiązku gościnności z zemstą rodzinną, pojedynki, domy z podwójnym wchodem, zmiany nazwiska i mieszkania, tajemne wejścia, podziemne przechody i t. d. Niespodziane wypadki, pociągające i zajmujące sytuacye, które poeta z motywów tych umié wysnuwać, spowodowały nazwę *lances de Calderon*, t. j. powikłań Kalderonowskich. Zarzucano mu, że często się do tych samych sprężyn ucieka. Wiedział o tém dobrze, i dlatego żartem kładzie w usta czyjeś w jednéj komedyi te wyrazy: „Aha! tojest komedya don Pedra Kalderona, w któréj koniecznie musi być ukryty kochanek i zawoalowana dama.” W innéj znowu sztuce: „To jedna z komedyj Kalderona, gdzie zawsze musi ojciec lub brat przyjść nie w porę!” Widać więc, że miał świadomość swéj niezmordowanéj wynalazczości, za pomocą któréj jedną treść najrozmaiciéj przekształcać i ubarwiać umiał. Jeszcze godniejszém podziwu jest to, że nic go nie kosztowało skupiać efekty na efekty i główne działanie i z pobocznemi kilkoma tak przesnuwać, że widz zdołał z natężoną uwagą śledzić krzyżujące się nici intrygi aż do jéj rozwiązania. W komedyach tych znajdujemy wierne odbicie życia stolicy. Romantyczne przypadki, które w tém *mieście serenad* były codziennym i zwyczajnym faktem, dziwne pomieszanie wyszukanéj kultury i średniowiecznéj nieokrzesaności obyczajów, sceny miłosne w *prado*, nocne rozmowy przy kracie okna, krwawe pojedynki, południowy żar uczuć, szukanie intryg i przebiegłość kochanków, wesołość, lekkomyślność, nielękająca się żadnych przedsięwzięć śmiałość kawalerów, wdzięk romansowych kobiét a zarazem ich mściwość i obrażliwość, wyłączność i zazdrość w uczuciu, groźba śmiercią od galanta, gdyby ktoś się przybliżył tam, gdzie z nim dama przez okno rozmawia, podejrzliwość kochanków, bezwarunkowy obowiązek pomocy drugiemu kawalerowi, ściganemu przez sprawiedliwość za zabicie przeciwnika: to wszystko z uderzającą prawdą jest tu oddane.

Pomiędzy temi komedyami odznaczają się: *Przedewszystkiém inném moja dama*, *Dom z dwoma drzwiami trudnym jest do strzeżenia*, *Dama do towarzystwa* (Dama

duende t. j. rodzaj Argusa w postaci staréj baby), *Gorzej jest jak było*, *Cicha woda brzegi rwie* (Guardate del agua mansa), wreszcie *Poranek Kwietniowy i Majowy*.

Pomijając już inne podrzędne rodzaje świeckiego dramatu, przejdźmy do odrębnéj zupełnie grupy, jaką tworzą *Autos*, gdzie jedyném motywum jest wiara i religijne natchnienie. Zdaniem Manuela Guerry, Kalderon w *autos sacramentales* sam siebie przewyższył. Pobożność zapalała jego fantazyą, a słowo jego w bystrym polocie, jak orzeł Ezechiela wznosiło się nad współczesnych i nad niego samego. Pomysły jego tak są boskie, myśli tak piękne, ozdoby tak przepyszne, rozum i wiara tak mile spojone, że myśl podziwem a uczucie ogniem jest porwane. Żeby pojąć te *autos*, trzeba się oderwać od obecności i przenieść w sferę wyobrażeń, otaczających poetę; a wtedy owładnie nami ten kraj cudów, świątynia otworzy się przed nami. U wejścia tchnienie wieczności nas owieje. Wewnątrz jako środkowy punkt wszelkiego bytu wznosi się krzyż, na którym nieskończony duch przez miłość dla skończonego ofiarował się. A u stóp symbolu stoi wieszcz jako hierofant i prorok; wskazuje on obrazy na ścianach, i niemy język palm i kwiatów pnących się po kolumnach, i dźwięki spływające ze sklepienia. I nikną słupy, a ściany świątyni rozszerzają się w nieskończoność; i kolumnada tysiącoleci prowadzi do zamierzchłéj przeszłości, aż tam gdzie słońca i gwiazdy z łona nicości powstały i bieg swój poczęły, gdzie odsłania się tajemnica stworzenia. Z ciemnéj nocy początku ciągną ludy za gwiazdą, co mędrców ze Wschodu wiodła na miejsce obietnic; a daléj rozchyla się przyszłość z niezrodzonemi pokoleniami, blaskiem odkupienia i pojednania opromieniona. I wieszcz wskazuje stosunek wszystkiego, co stworzone i niestworzone, z symbolem łaski, na który z pobożną czcią ludy spoglądają, pieją psalmy na jego chwałę; niebo i ziemia składają mu swe dary; muszą mu hołd oddawać i gwiazdy, te niezwiędłe kwiaty nieba, i kwiaty, te znikome gwiazdy ziemi; dzień i noc, światło i mrok leżą przed nim w prochu, a duch ludzki roztwiera najskrytsze swe głębie,

aby wszystkie myśli i uczucia spojrzeniem w nieskończoność rozświecić.

Z niesłychaną sztuką ogarnia poeta najróżnorodniejsze żywioły, i jeszcze świetniéj przedstawia swe mistrzowstwo w pomysłach, pokonywając tu daleko większe jak w *komedyach* trudności i wyzwalając się z wad, jakiemi one niekiedy grzeszą. Zdaje się, że pobożném natchnieniem skupił swe siły w jedno ognisko, aby w *autos* dać to, co mógł najwyższego utworzyć. Kompozycya dramatyczna tak tu jest dzielną, że działanie mając ścisłą jedność, podnieca interes i ciekawość, pomimo to, że rzecz dzieje się po za ziemią i że wprowadza symboliczne i allegoryczne postacie.

Wyższość Kalderona w *autos* nad Lope de Vegę polega na większém wgłębieniu się w przedmiot, na doskonalszém przeprowadzeniu allegoryi i na przeniknieniu wszystkich odcieni. To, czém wskazaliśmy, że wzniósł się nad poprzedników, ukazuje się tu w wyższym stopniu niżeli w *komedyach*. Powtarzanie w *autos sacramentales* tych samych figur, a nawet kierunków i myśli, wynika ztąd, że ideą każdego takiego *autos* było uczczenie tajemnicy Przemienienia chleba i wina (transsubstancyacyi), w święto Bożego Ciała na cześć tego sakramentu ustanowione. *Autos* Kalderona składają sześć grubych tomów in 4to, których posiadany przez nas egzemplarz rzadkiéj edycyi z początku przeszłego wieku, dedykowany Matce Boskiéj, obecnie znajduje się w bibliotece wilanowskiéj. Celem dokładniejszego wskazania natury tego rodzaju utworów, podamy treść jednego z najpiękniejszych *autos sacramentales* pod tytułem: *Uczta Baltazara*. Pomijamy *loa* (dosłownie znaczy pochwałę) czyli prolog, jako nie pozostający w koniecznym z *auto* związku.

Daniel, przedstawiający sąd Boży, rozmawia z *Myślą*, którą wyobraża trefniś; prorok ubolewa nad pohańbieniem wybranego ludu znoszącego babilońską niewolę. Myśl opowiada mu, jak dziś Baltazar poślubił wielką królowę wschodu *Idolatryę* (pogaństwo). Odgłosy trąb: król Baltazar z małżonką swoją *Próżnością* występuje na spotkanie z drugą żoną, która zjawia się w okazałym orszaku. Próżność i Idolatrya poprzysięgają mu wier-

ność i obiecują mu dopomódz w wyniesieniu się nad wszystkie króle ziemi oraz w ukończeniu wieży babilońskiéj. „I ktoż, wola odurzony swą wielkością, rozerwie węzły tak słodkich objęć, kto tamę położy moim przedsięwzięciom"? Wówczas Daniel zawoła piorunnym głosem: „Ręka Boga"! Baltazar chce zuchwalca przebić mieczem, ale nie może nic przeciw poświęconemu przez Pana, i odchodzi z bezsilną wściekłością. A Daniel zawoła: „Kto, o Stwórco dnia, zemstę Twoją przedsięweźmie"? Wtedy zjawia się *Śmierć* w postaci młodego rycerza w pełném uzbrojeniu z mieczem w dłoni, i przedstawia się jako wykonawca sądu Bożego; ale Daniel przekłada jéj, aby przed wykonaniem wyroku nakłoniła króla do pokuty. Śmierć zwraca się do Myśli, która prowadzi ją do ogrodu, gdzie Baltazar z obiedwiema małżonkami ucztuje. Tu następuje zadziwiająca scena, w któréj śmierć, trzymając myśl za rękę, jak cień wczołguje się za króla i szepce mu przerażające słowa napomnienia: „Prochem jesteś i w proch się obrócisz"! Myśl skacze naokoło Baltazara i stara się go figlami swémi rozerwać: ale nawet i do żartów jéj miesza się straszny głos przestrogi. Dla uwolnienia się od groźnéj postaci, która go udręcza, król ucieka do gaju róż; Idolatrya kołysze go w swych objęciach, a Próżność stara się go słodkiemi pieśniami rozweselić; aż nareszcie zmordowany zasypia: „I tak, mówi Daniel, człowiek oddaje się bez troski spoczynkowi, nie myśląc o tém, że codzień zasypiając i budząc się umiera i znów się odradza, nie zastanawiając się, że śmierć każdym snem ostatni dzień mu przypomina". W czasie snu Idolatrya i Próżność starają się znowu króla odurzyć: na ich żądanie stawiają spiżowy posąg Baltazara w świątyni, gdzie cześć mu jest oddawana. Daniel zmusza posąg do odezwania się głosem gromu: „Bożkowie twoi są dziełem rąk człowieczych, lecz ja ci ogłoszę wyrok jedynego, nieskończonego Boga, jeśli nie poczniesz pokuty"! I kończąc te słowa ginie senne widziadło, i Baltazar budzi się z duszą wzruszoną ku żałowi. Ale wnet wpada w dawne usposobienie, i Idolatrya z Próżnością urządzają świetną ucztę, śród któréj mają pić z poświęconych naczyń świątyni Jehowy. Uczta

ta odmalowana najbogatszemi barwami. Kiedy Baltazar z współbiesiadnikami i biesiadnicami swemi ucztuje śród brzmienia świątecznéj muzyki, Śmierć wciska się pomiędzy służbę, i stara się króla jeszcze raz do upamiętania nakłonić; ale głos jéj ginie śród wrzawy ucztujących. Godzina sądu już wybiła: Śmierć podaje napój Baltazarowi; grzmią pioruny, i olbrzymia ręka rozpościera się i pisze na ścianie ogniste słowa w nieznanym języku. Król żąda, aby mu objaśniono te znaki; lecz języki wszystkich oniemiały. Naonczas występuje Daniel i rzecze: „Ja ci znaczenie tych słów objaśnię; dni twoje policzone, miara win twoich dopełniła się, boś ty naczynia Pańskie, które dla *najświętszego z sakramentów* były zachowane, świętokradzką ręką znieważył; państwo twoje jako i ty upadnie.“ Biesiadnicy uciekają; Baltazar pada trupem na ziemię, a Śmierć temi odzywa się słowy. „Taką śmiercią umiera ten, co *wieczerzę Pańską* z grzesznem sercem pożywa i naczynia święte zbezczeszcza”. Na końcu występuje na jaw stosunek *auto* do sakramentu, ku czemu już dążenie całego przedstawienia było zwrócone. *Idolatrya:* „Budzę się jakby z ciężkiego snu. O, któżby śmiał spojrzéć na owe święte światło prawa łaski”! *Daniel:* „Otóż ja, jako prorok Pański, ukazuję ci ten stół zamieniony na święty ołtarz z chlebem i winem.” I daje się widzieć kielich z Hostyą: Idolatrya klęka przed ołtarzem.

Oznaczywszy główne kierunki, w których rozwinął się geniusz Kalderona, powiemy w końcu kilka słów o dramacie *Książę niezłomny* i jego tłumaczeniu. Powszechném zdaniem krytyków dramat ten należy do najszczytniejszych dzieł scenicznych. „Tu, jak pięknie powiada Immerman, los bohatéra nie rozwija się przez winę i namiętność, lecz przez to, co jest najszczytniejszego, przez wzniesienie czystego charakteru w sferę błogosławionych. Tu widzimy tryumf chrześcianina nad potęgami ziemi, śmiercią męczeńską uczczony”. W dramacie tym, osnutym na fakcie historycznym, nietylko główną postacią jest infant don Fernand, ale nawet właściwiéj mówiąc na roli jego cała sztuka się opiera. Jestto, jak trafnie wyrzekł Damas Hinard, Regulus, ale Regulus

chrześciański, który umiera za niebieską swą ojczyznę, za wiarę. Nie chcąc się zbyt rozszerzać, nie podajemy osnowy, jaką dzieje do dramatu dostarczyły, i tym sposobem pomijamy wyświecenie piękności w pomyśle, będących własnym poety wynalazkiem; to tylko nadmienimy, że w głównych punktach był on wiernym historyi. Scena udarowania Muleja przez Fernanda wolnością, jest wspaniałym rysem rycerskiego ducha; znać tu tchnienie maurytańskiéj romanzy. A nieporównanie piękną jest scena, w któréj infant, posługi niewolnicze w królewskim ogrodzie pełniąc, ofiaruje księżniczce Fenixanie kwiaty: i oboje w pełnym fantastyczności dyalogu, pod symbolem gwiazd i kwiatów, przeciwstawiają nieskończoność przeciw znikomości świata zewnętrznego. Scena ta odrywa nas od ziemi, wkładając, jak powiada Schulze, wieniec śmierci na wszystko co ziemskie, i do nieznikomėj, do wiecznéj ojczyzny dusz nas przenosi. Również należy podziwiać ostatnią z królem rozmowę, gdzie w zamierającym i pognębionym księciu, wybucha duch jak gasnący płomień w całym blasku i wspaniałości; duch ten już napół zerwał więzy ziemskości, i śmierć kładzie mu w usta wyrazy rozdzierającéj siły, które z krain wierności odbrzemiewając, wieczną wygłaszają prawdę. Tym sposobem śród najstraszniejszego pohańbienia i zamierania ciała, duch jego, jak świetna konstellacya śród mroku nocy, jeszcze mocniéj rozbłyska. Scena ta jedna z najwspanialszych, jakie kiedykolwiek utworzono, przedstawia w nieporównany sposób, jak wszelka ziemskość przed duchową i moralną potęgą w prochu upada, bo tu w najświetniejszém wzniesieniu się ducha ludzkiego sama boskość się objawia. Damas-Hinard nadmienia, że dramat ten możnaby porównać z Filoktetem Sofoklesa. Ale jakże dalekim jest bohatér grecki od Fernanda! Ten pod tchnieniem boskości bierze górę nad ciałem; tamten bez wpływu wyższéj idei jedynie energią swéj woli panuje nad cierpieniem fizycznėm. Filoktet nie jest nawet stoikiem, bo choć opuszczony przez Greków na wyspie Lemnos, dziesięć lat znosi męki ciała z powodu ukąszenia przez węża, nie zastygły w nim gniew, nie-

nawiść i żal do Ulissesa i Atrydów. Uszlachetnił Filokteta Sofokles tém, że mimo mąk ciała i duszy kazał mu przed Neoptolemem opłakiwać śmierć Achillesa i Ajaxa. Grek nietylko w poezyi, ale i w rzeźbie umiał idealizować ból fizyczny, zbliżając się przez to do spirytualizmu chrześciańskiego; kiedy przeciwnie w sztuce i poezyi nowożytnéj napotykamy dążenie do materyalizowania cierpień moralnych, jakbyśmy chcieli zwrócić się do pogańskiego materyalizmu.

Chwila, w któréj już błogosławiony książę powstaje z grobu i z pochodnią w ręku prowadzi walczące chrześciaństwo do zwycięztwa, jest pełna cudownego wrażenia: obok tego nic na równi postawić nie można. I to uroczyste zakończenie otacza tę tragedyą aureolą świętości, pośród któréj wznosi się ona na szczyt wszelkiéj chrześciańskiéj poezyi. Poezya ta zlała tu wszystkie swe cuda i wdzięki w niewyczerpaném ich bogactwie i skupiła swe siły, aby niedościgłe stworzyć arcydzieło, gdzie pobożność i wiara przenikają wszystko jak brzmienie uroczyste organów, i dają mu uświęcenie, w którém byt ziemski dochodzi do najdoskonalszego uduchownienia, a boleść i żale, zamieniając się w pobożną radość, zdają się być tylko hymnem konającego męczennika.

Słowacki w tłumaczeniu swém, grzeszącém tu i owdzie przeciw rytmowi, to znowu pozbawioném rymu, jędrnym i wymownym językiem nie jedno piękne miejsce prawie żywcem przeniósł; ale nadewszystko cudownie mu się udała poetyczna walka ogrodu i morza wyśpiewana przez Feniksanę. Czemuż jednak tak znakomitego talentu poeta, tak swobodnie władający formą, nie starał się zachować wszystkich modulacyj wiersza i kombinacyi rymów tak nierozerwalnie spojonych z rzetelnemi pięknościami treści, co tém bardziéj jest do pożałowania, że te nieprzebrane odcienia szaty poetycznéj stanowią nietylko odrębność fizyognomii, ale prócz tego ledwie że nie połowę wartości dramatu hiszpańskiego, bo tu w oddaniu przemaga lira; a możnaż dać przybliżone nawet pojęcie o oryginale, tłumacząc piosenkę nie w formie najwięcéj zbliżonéj do oryginału,

a zgodnéj—ma się rozumieć—z duchem języka, w którym tłumaczenia się dokonywa. Pominął ten ważny wzgląd i Baliński, dlategoto ośmieliliśmy się w treść *Czarnoksiężnika* tu i owdzie wtrącić kilka ułamków naszego przekładu, w którym usiłowaliśmy o ile można przestrzegać téj nieustającéj przemiany form, układających się co chwila do duchowych zwrotów treści. Jeżeli po ogłoszeniu téj pracy, krytyka porównawszy ją z pierwowzorem uzna, że duch stracił to co zyskała szata, lub że forma jest mniéj szczęśliwą; to wówczas cała wina musi iść na karb tłumacza: a choć niezaprzeczenie przedstawiają się tu niemałe trudności, to jednak można je pokonać.

Tłumaczenie Słowackiego jest raczéj swobodném naśladowaniem jak tłumaczeniem. Bo i niepodobna wiernie przekładać samoistnemu poecie; w nim wre własne wewnętrzne życie, myśli i uczucia oryginału przeistaczają się w nim i usamoistniają i tłumem go opadają zbudzone w głębinach jego duszy pomysły i obrazy. I niepodobna im się oprzéć pomimo całéj czujności. Tłumaczenie może bardziéj jest udziałem skromniejszego wymiaru zdolności. To przemaganie indywidualności przekładającego nieraz jest aż nadto widocznem w Księciu niezłomnym. I tak: ponieważ Słowacki ma upodobanie w silnych, nasadzonych, obrazowych zwrotach, ztąd miejsca niektóre, wyrażone u Kalderona z prostotą, po swojemu przyobleka, tak, że w przekładzie czuć przeciążenie ozdobami; kiedy przeciwnie, jeżeli gdzie, to tu należało być wiernym, skoro Kalderon sam czasem grzeszy Gongoryzmem. Tak np., kiedy król wyrzuca Infantowi, że mu nie chce wydać kluczów Ceuty, oświadczając, że przecież pierwszém prawem uległości jest słuchać swego pana, Fernand mu odpowiada:

Zaiste, mówi niebo, iż niewolnik ma być posłusznym swemu panu; lecz jeżeli pan powié niewolnikowi, aby zgrzeszył, ten nie będzie obowiązany do posłuszeństwa, bo kto grzeszy rozkazem, grzesznym jest.

KRÓL.

Dam ci śmierć.

KSIĄŻĘ.

Ona jest życiem!

—

FERNANDO.

En lo justo,
Dice el cielo, que obedezca
El esclavo á su señor;
Porque si el señor dijera
A su esclavo, que pecará,
Obligacion no turierà,
De obedecer; porque
Quien peca mandado, peca.

REY.

Daréte muerte.

FERNANDO.

Esa es vida.

I gdzież ślad w tłumaczeniu tych prostych a tak pięknych słów? Oto przekład Słowackiego:

DON FERNAND.

Nic przeciwko prawom ducha
Ma niewolnik słuchać pana.
To nie pies nęcony strawą,
Ale uchrystusowana
Natura, z woli przymiotem,
Która służy.... grzech ją maże.

KRÓL.

Podły jeńcze, zabić każe,
Damci śmierć....

DON FERNAND.

Śmierć jest żywotem.

Czy w tym Fernandzie można poznać tego wzniosłego chrześcianina pełnego spokojnéj rezygnacyi? Czy nie zdaje się raczéj, że słowa te wyrzeka ów fantastycznie pojęty przez poetę zeszłego wieku kapłan, w którego usta wieszcz ogniste, płomienne kładł wyrazy? Słowacki poddając Fernandowi wyrazy pełne uniesienia i oburzenia, zniósł wybornie pomyślany w oryginale kontrast

między gwałtownemi słowy niewiernego a uroczystą powagą i spokojem chrześcianina. Gdy król każe księciu całować swoje stopy, Fernand odpowiada mu: „Nie nasycisz tém twéj zemsty, bo jeżeli człowiek na jednę dobę wychodzi z ziemi, to na to tylko, żeby po różnych pobłądziwszy drogach, znów do niéj powrócił. Więc raczéj należy mi być ci wdzięcznym, aniżeli obwiniać, skoro najbliższą wskazujesz mi drogę, po któréj do ostatniego trafię spoczynku.

Y poco en eso te vengas;
Que si para una jornada;
Salió el hombre de la tierra,
Al fin de varios caminos,
Es para volver á ella.
Mas tengo que agradecerte,
Que culparte, pues me ensanas
Atajos para llegar
A la posada mas cerca.

Te poważne i wzniosłe myśli Słowacki rozciągnął w peryfrazie i wydatność ich osłabił.

Tak zaprawdę, ale mało,
Mało to ci mocy doda
Panować nad kościami mojemi:
Bo ta ziemia, to gospoda
W ogromnéj naszéj podróży:
I na to wyskoczył z ziemi
Człowiek, by się z losem kłócił,
I na końcu *każdéj* (?) burzy
Znowu do ziemi powrócił.
Więc żeś mi kazał pochyłą
Twarzą paść tu gdzie proch leży,
Za to ci wdzięczność należy
Bo mię oswajasz z mogiłą.

Tłumacz z takim talentem, gdyby zamiast unikać trudności, jakie zachowanie formy oryginału nastręczało, zechciał z niemi walczyć, toby pewno je pokonał; bo przeszkody magnetyzują siłę woli i energię myśli: tylko walka hartuje i potęguje. Bezpośredniém następstwem byłoby to, że ścisłe zachowanie budowy wiersza i po większéj części strofkowego układu powstrzymałoby wylew indywidualnego liryzmu tłumacza, uchroniłoby

go od tych samych błędów, jakie cechują jego własne lirycznéj formy dramatyczne poemata; mianowicie ustrzegłoby go nietylko od rozciągłości peryodów, ale i od niejasności ujmującéj poetycznym pomysłom siły estetycznego działania. Na dowód niejasności przytaczamy parę wierszy. Fernand podarłszy testament swego monarchy, przeznaczający Ceutę na jego okup, widząc jaki los go czeka, mówi między innemi:

Morza! morza! do fal waszych pada,
Jedna łza, co powiększy wam fale!

Przyznajemy, iż nie zrozumieliśmy co to znaczy, bo też dosłownie tłumacząc Kalderona, tak brzmią słowa Fernanda:

„O morze! nieszczęśliwy płaczem swym
Powiększa twoje fale."

Mar, un misero con llanto
Vuestras ondas accrecienta.

Jestto ogromna hyperbola, ale piękna i zrozumiała.

Pomimo tych usterek i wad tłumaczenie Księcia niezłomnego długo jeszcze pozostanie jedną z najpiękniejszych ozdób naszéj literatury, równie jak i niektóre utwory wieszcza, gdzie też same przymioty i błędy co i w tym przekładzie w nierozerwalnéj jedności piętnują potężną indywidualnością poety.

Bolesław Wiktor.

TEHE

CZYLI

ZBURZENIE AUŁU-DUBBY

POWIEŚĆ KAUKAZKA.

PRZEZ

W. Dawida.

Podróżny jadący lewém skrzydłem Kaukazu, minąwszy azyatyckiéj fizyonomii Mozdok, po drodze do Kizlaru, na prawo, za Terekiem, ogląda kraj opustoszały, ziemię stepową, gdzieniegdzie z pasmem gór monotonném, z rzadkim, ubogim aułem, tulącym się u prawego wybrzeża téj rzeki, naprzeciw jakiéj stanicy, lub pod redutą. Dość widzieć tę grobową ciszę pustyni, zapełniającą całą ziemię, rzucone odłogiem żyzne stepy, przestrzenie ogołocone z drzew, aby się domyślić, iż tędy przeszła pustosząca stopa wojny i wymiotła lub wyparła naprzód mieszkańca, ocalającego z sobą jedyny skarb — konia i szaszkę. A rozlegający się w różnych porach roku huk dział, daleko za nagiemi pagórki, w głębi kraju samotnego i bezludnego, każe się domyślać, iż wojna posunęła się naprzód, prawie pod stopy piérwszego czarnego szeregu szczytów kaukazkich i szturmuje do lasów, w których zacięcie broni się cofający mieszkaniec. Ten kraj jestto Czeczeń, siedlisko szczepu staromiejscowego kaukazkiego typu, pochodzenie którego, ile jedynie z ustnych opowiadań można wyśledzić, nie odstępuje od ogólnéj teoryi przesiedlania się pierwiastkowych mie-

szkańców kuli ziemskiéj. Czeczeńcy mówią językiem osobnym od tatarskiego, lubo ogólném nazwiskiem Tatarów są mianowani na Kaukazie. Wyprowadzają pochodzenie swe z głębi gór Dagestanu z kamiennéj Awaryi, gdzie brak pastwisk dokuczać zaczął rozplenionéj massie ludności.

Osiadłszy na żyznych równinach ubogiemi auły, Czeczeniec, zachowując piérwszy charakter górala, wyrobił téż sobie nową fizyonomią mieszkańca stepów i lasów, które najulubieńszym zawsze są jego pobytem. A sąsiadując z nieprzyjaznemi szczepami, za główną rozrywkę i najprzyjemniejsze ćwiczenie przyjął konia i oręż. Dziecięciem, rośnie bawiąc się kindżałem i pistoletem; późniéj młodzieńcem przewiesza szaszkę i gwintówkę. Brudny i obdarty, zarówno bogaty jak ubogi, nie zmienia koszuli, póki sama w szmatach przegniłych nie obleci z ciała. W czerkiesce z wielbłądziego sukna, pełnéj łat różnokolorowych, w basztyku i burce, na swym koniu, dniem i nocą wypatruje zdobyczy od nieprzyjaciół, a niekiedy od swoich. I dziś nad Terekiem można powtórzyć tę piosnkę:

W dolinie potok spieniony,
W górach szumi wicher dziki,
Zadrzymał kozak znużony,
Wsparłszy się na drzewcu piki.
Nie śpij, kozaku, bo nie daleko
Czeczeniec chodzi nad rzeką.

Kozak czajką chyżo płynie,
Wlecze po dnie rzecznem sieci,
Ach potoniesz ty w głębinie,
Jak toną maleńkie dzieci
Sierpniową kąpiąc się spieką—
Czeczeniec chodzi nad rzeką.

Na wybrzeżach sinéj wody,
Gdzie bogate kwitną sioła,
Skaczą wiejskie korowody,
Wracaj gromadko wesoła.
Wracaj nim mgły brzeg obleką—
Czeczeniec chodzi nad rzeką (1).

(1) Jeniec Kaukazu, A. Puszkina.

Namiętnie łakomy na srebro, które tak mężczyznom jak i kobietom służy dla ozdób, piérwszym oręża, drugim ubiorów. Mało zajmuje się rolnictwem, więcéj chowem bydła i owiec, a najwięcéj łupieztwem. Z chróstu lepione ich sakle i budowane auły smutny jakiś nadają pozór całéj Czeczeni, która jak początkiem swéj ludności, tak obyczajami i urządzeniami ma wiele podobieństwa do owéj naszéj kozaczyzny.

Lecz zapał wojenny i fanatyzm wiary od lat dopiéro kilkudziestu ożywił to plemię, od epoki, gdy nowa nauka miurydyzmu opowiadana przez Kazi-Mułłę w Dagestanie przenikła do lasów Czeczeni, i Czeczeńców poddała pod jednę silną władzę władzców gór, naprzód owego Kazi-Mułły, poległego w bitwie z Rossyanami w Gimrach 1832 r., potém Hamzat-Beka, zabitego w półtora roku od swych krewnych prawem zemsty, i nakoniec Szamila, którego dzisiaj słuchają wszystkie prawie pokolenia wschodniéj połowy Kaukazu, nieuśmierzone jeszcze orężem Rossyi. Miurydyzm znaczy wojnę za wiarę przeciw niewiernym. Miurydowie, apostołowie téj nauki, otaczają władzcę gór i poddanych jemu książąt lub rządzców miejscowych, jakiemi w Czeczeni są naibowie. Oni piérwsi występują do bitwy i ostatni giną w zaciętych walkach. Oni noszą i odnoszą rozkazy Szamila, i wszędzie stanowią jego orszak obronny. Wyłączny ten kierunek nadany nauce Mahometa przez miurydyzm, odpowiedni demokratycznym usposobieniom wschodniéj połowy Kaukazu, najsilniéj zda się być wypiętnowany na fizyonomii i charakterze Czeczeńców. Lud ten dziki, niedostępny dla żadnych uczuć rodzinnych, zawsze gotowy rzucić się z kindżałem na rodzonego ojca i brata, nigdy nie śmiejący się, ani płaczący, chyba od złości i gniewu, jedném tchnie uczuciem zemsty i mordu. Dosyć spojrzeć na rysy jego twarzy, a odgadniesz, iż on nigdy się z tobą nie pojedna, nie sprzymierzy krwią i sercem. Szyderski w mowie, pogardliwie uśmiechający się, zbliża się tylko dla zemsty lub zysku z różnowyznawcą. Dziś uległy władzy rządu rossyjskiego, jutro ginie w walce przeciw giaurom. Przejedź środkiem Czeczeni od Tereku do Sundży, od Sundży do Arguna, gdzie przodowa linia

bojowa u wchodów kaukazkich, niedostępnych wąwozów, wyniszcza puszcze ocieniające auły, a ten ujrzysz wszędzie charakter. Lecz fanatyzm rośnie stopniowo w miarę zbliżania się ku górom, i za Argunem w Wielkiéj Czeczeni sąsiedniéj z Dagestanem jest najsilniejszy.

Rzeka Argun z wielkim pędem rzucająca się z wąwozu arguńskiego, jednego z najniedostępniejszych, całą Czeczenię rozdziela na Wielką i Małą. Ziemia po lewéj stronie Argunu, połowa jéj zachodnia, jest Małą Czeczenią; połowa zaś wschodnia na prawéj stronie Argunu, nazywa się Wielką Czeczenią. Treść méj powieści wywiązałem w jednym z aułów Małéj Czeczeni leżącym u wnijścia do wąwozu gojtyńskiego, sąsiadującego z arguńskim i jemu równoległego.

Jeśli strzegłem się wykroczyć przeciw historyczności wydarzeń, to z nierównie większą dokładnością starałem się kreślić rysy charakteru, zwyczajów i obrzędów pokolenia, i najwymowniéj oddać panujące jego uczucie.

Czytelnik raczy wybaczyć, jeśli me ucho, głuszone wojenną wrzawą, często bywa nie czułe na melodyą wiersza, do jakiéj dziś ułożyli naszą mowę znakomici piewcy. Dla mnie głównem była zadaniem prawda estetyczna, dokładność w kreśleniu miejscowości, rzetelność w oddaniu charakterów i wzruszeń najdzikszego z ludów Kaukazu.

Pisałem na Kaukazie 1853 r. *W. D.*

„O ziemio Kaukazu!
Ileż ty w sobie mieścisz tajemniczych cudów;
Jakże lubię te bryły omszonego głazu,
I dzikie męztwo twych ludów!"
Tad. Lada Zabłocki.

TEHE.

O jasna i czysta,
O białopióra piosnko ma ojczysta,
Z pod poziomego żołnierza namiotu
Zabrzmij niekształtna, czasem przerywana

Od huku bębnów i szabel łoskotu,
O dziejach Tehy, o zemście Issana.
Może twe echo do uszu zaleci
Téj, w któréj oku łza pamięci świeci
Po swojej braci, i przypomni lata,
Gdy nas żegnając idących w kraj świata,
Błogosławiła na trud i cierpienia;
Gdy nakształt z niebios świętego widzenia,
Wzmacniała serca wyrazem otuchy.

Już Dubby (1) auł wiosennemi gwary
Napełniał góry, dąbrowy i jary:
Starce wieczorem dążą na gawędy,
Młodzież się zbiera w gromadki i rzędy.
W lezgińskie pląsy (2) dziewcząt hoże pary
Idą milczące. Lecz z bystrego wzroku
Czyta Czeczeniec wyrazy wyroku
Dla swych zapałów. Tylko twoje oczy
O piękna Tehe jakaś troska mroczy.
Oczy co niegdyś wyraźnie mówiły,
Że prócz Issana (3) nikt ci nie był miły!
Czemu jak słońce zatrzymane w biegu
Trzymasz niepewne? Jakiż w czystéj duszy
Mógł powstać wicher, co ich mowę głuszy?
Issana blizkie już swojego brzegu
Nadzieje zmusza do nowego biegu
I do walk nowych! Tak podczas pogody
Już żeglarz w porcie ma kosztować ciszy,
Wtém grzmot przeciągły w obłokach usłyszy;
Ten go na nowe wypędzi przygody
I rzuci w otchłań.

Siadł młody Issan, nogi wkrzyż założył,
I śledząc w tańcu wzniosłéj Tehy ruchy,
Przed któréj wdzięki dziką duszę korzył,
Choć zdał się na nie być niemy i głuchy,
Zrzadka wzrok dziki roziskrzał i srożył.
Dobywszy kindżał, orzecha gałązki
Ścinał i strugał, a góralki hoże

(1) *Już Dubby-Auł.* Dubba, naib ówczesny zarządzający w prowincyi Gojty, sąsiedniéj z fortecą Wozdwiżeńską, leżącą naprzeciw arguńskiego wąwozu. *Auł* wioska, osada. W aułach mieści się cała ludność gór; miast żadnych tam niema.

(2) *Lezginka*, taniec upowszechniony na Kaukazie i za Kaukazem.

(3) *Issan, Issa*, syn uprzedniego naiba, czyli rządzcy w prowincyi Gojty.

Jak stado gąsek po modrém jeziorze
Krążą po darniach, a nad temi gąski
Wzbija się wzrostem, jak w powietrzu kania,
Wyniosła Tehe. Beszmetu rękawem
To wzrok od górnych promieni zasłania,
To wiewa płynąc pod niebem modrawem
Jak czarném skrzydłem. Już gąsek dogania,
Już je ramieniem w polocie owija,
To je porzuca i w kręgi się wzbija.
Oba rękawy w powietrzu rozszerzy
I mierzy wzrokiem dokąd w lot uderzy,
Co choć przyćmiony gdy serc sięgnie głębi,
Zajma się w pożar i w płomieniach klębi.
Napróżno Issan mocno zadumany
Badał przyczyny téj widocznéj zmiany.
Przed ojcem Tehy siadł więc na kobiercu,
Czoło pochylił i dłonie na sercu
Krzyżując rzecze: „Mam kałym (1) gotowy,
Sto sztuk monety, jutro wam go złożę,
A zaś pojutrze, według słów umowy,
Będzie wesele; a małżeńskie łoże
W ozdobnéj sakli z kozich skór ułożę".

Jakby obrażon takowemi słowy
Starzec mu odrzekł: „Napróżno się łudzisz,
Próżno słodkiemi słowami nas nudzisz.
Miałżebym córkę dać za niewieściucha,
Coby wciąż wzdychał i kwilił do ucha.
Ty syn naiba (2) głośnéj w górach sławy,
Czyś jakim czynem uświetnił twe imię?
Nad bój ci milsze niewieście zabawy,
Gadki o łożu miękkiém i kałymie.
Ja od młodzieży innego kałymu
Żądam—nie srebra – z płomieni i dymu,
Co się nad wrogów siedliskami wzbije,
A ich dziedziny pustynią pokryje".

O straszne słowa w złéj rzeczone porze,
Już myślą Issan kindżały i noże
Toczy, i z młodzią czeczeńską w siedliska
Niewiernych idzie. Pożar wkoło błyska,
Sundży, Tereku z krwią zmieszane wały,
Prędzéj to wolniéj w stepy wędrowały.

(1) *Kałym*, summa płacona rodzicom narzeczonéj, za jaką każdy żeniący się kupuje sobie żonę.

(2) *Naib*, rządzca prowincyi, gubernator naznaczany przez Szamila z władzą cywilną i wojskową.

Lecz biada starcze, jeśli twoje chęci
Tak są przemienne jak te błędne dymy,
A słowa tkwiące w Issana pamięci,
Stopnieją wcześniéj jak śnieg w końcu zimy.
Już noc powstała i swój całun bury
Rzuca na stepy i na białe góry;
Księżyc z pod nieba spogląda półtwarzą,
Chmury po lasach to po górach łażą.
Issan nie zasnął, owe starca słowa
W umyśle ważył, po rozumu nici
Różańcem zsuwał, a każde mu świeci
Siół pożarami; żarem płonie głowa,
Czuje moc w sobie Czeczeńca, olbrzyma;
Zda mu się kindżał, który w ręku trzyma,
Takiego hartu nabrał i téj siły,
Iż gdyby wpadł dziś śród niewierne szyki,
Liczneby pod nim padli przeciwniki
Nimby sam zeszedł z życia do mogiły.
Kaukazkie niebo skrzy się i płomieni,
Z gór się staczają chmur brunatnych kłęby,
Wieńcząc czynary i czeczeńskie dęby.
Z głębi wąwozu Gojta rwie się, pieni
Po miękkich piaskach, po grzbietach kamieni,
Lecz rątszym biegiem, niż téj rzeki wały,
Leciały w przyszłość młodzieńca zapały.
Noc mu się zdała tak przeciągła, długa,
Że chyba w grobie będzie taka druga.
Z jakąż radością witał brzaski świtu,
Co już widniały z kaukazkiego szczytu;
Z jaką chciwością wyglądał dnia wschodu,
Co miał być hasłem do sławy zawodu.

Otóż dzień jasny już z niebiosów zstąpił
Na śnieżny Kaukaz i światła nie skąpił,
I tak je hojnie zlewał na padoły,
Że rychło wszystkie wąwozy, pieczary,
Ujrzały światło. Budzą się żywioły,
Witając dzionek wesołemi gwary.
Issana zapał zdał się nie mieć granic:
On całe życie będzie ważył za nic,
Jeżeli dzisiaj jakim czynem śmiałym
Śród gór nie błyśnie; dzisiaj krwawy kałym
U stóp nadobnéj musi Tehy złożyć.
Dzisiaj—lub bodaj jutra mu nie dożyć.
Przysiągł i poszedł, po aule biegał,
A kogo spotkał z walecznych kunaków (1)

(1) *Kunak*, przyjaciel, towarzysz.

I w saklach (1) znalazł z swych młodych wojaków;
Dopóty prosił, zaklinał, nalegał,
Aż każdy szaszkę zawiesił przez ramię,
Gwintówkę nabił i kindżał potoczył,
Osiodłał konia, na strzemię wyskoczył,
I dążył zbrojno pod czerwone znamię,
Co niby płomyk na swém drzewcu płonie,
I dziką wściekłość budzi w młodém łonie.
Bystro ten orszak walecznego szczepu
Do znaku zdążał jak ptastwo do lepu;
Snuł się i kipiał i końmi harcował,
Do krwawéj, strasznéj uczty się gotował.
Nad biały Kaukaz poważnie wypływa
Tarcz złota słońca, prawowiernych wzywa
Z dachu meczetu mułła do modlitwy
Przeciągłym głosem. Lecący do bitwy
Orszak z rumaków ku ziemi się rzuci,
Klęcząc ku Mecce czołem bije ziemię,
Na któréj wzrosło najdziksze gór plemię,
I każdy za nią pieśń z Koranu nuci,
I za nią teraz na bój życie niesie.

Koniec modlitwy: skoczyli na strzemię,
A Issan w przedzie hiknął (2) i ku lesie
Na dzikim koniu jak ptak dziki rznie się.
Kroku zwolniono, kiedy w las wjechano,
Skoczono z siodeł, wzięto lejce w dłonie,
I długim sznurem wkrótce za polaną
Z lasu się ciągną i ludzie i konie.
Gdy na polanie orszak stał w gromadzie,
Issan na ziemi czujne ucho kładzie,
I słyszy z twierdzy poblizkiéj odgłosy
Jadących wozów, chód poważny działa,
Sygnałów wrzawa nawet dolatała
Do uszu jego po kryształach rosy.
Potém na koniu bystrym jako strzała,
W koniec polany sunął i wybieży
Z koniem na kurhan, co pod lasem leży,
Kurhan zielony. Na nim stróż tych lasów,
Krwawych wydarzeń, świadek z dawnych czasów

(1) *Sakla*, chałupa górala, budowana najczęściéj z chróstu i wylepiona gliną, bez okien szklannych, bez pieca, z płaskim dachem ubitym z gliny, na którym górale najprzyjemniéj czas spędzają, siedząc z założonemi nogami, jakby czego wypatrywali naokoło.

(2) *Hiknął*, wyrażenie miejscowe, dobrze malujące przeraźliwy okrzyk, z jakim górale rzucają się na nieprzyjaciela.

Stał dąb stóletni. Na ten dąb się wdziera
Issan, a przed nim cały się roztwiera
Obraz Czeczeni zamglony, daleki,
Z lasami, stepy, z błyszczącemi rzeki;
Z Gojtą, z Martanem, z Gichą w lewéj ręce,
Co biegą w Sundżę, dzieląc lasów wieńce.
W prawo z Argunem, co z arguńskiéj paszczy
Toczy swe wały, rozjaśnia i marszczy
Swe dzikie wody. A nad temi wały
Z baszt powiewały krasne płótna znaku
I nowéj twierdzy domki połyskały.
A od téj twierdzy do lasu po szlaku
Sunęło wojsko leniwemi ruchy;
Krociem nóg swoich przedstawiało zwierza,
Co pełzł po stepie na odgróżki głuchy;
Lecz niechaj wkoło swego wroga zoczy,
Boki tysiącem bagnetów najeża,
Zabójczy ogień z ciała swego toczy,
Z pyska, z ogona grzmią spiżowe paszcze.
Zwierz ten cierpliwy: skoro rozdrażniony,
Nie prędko znowu ściszy się, ugłaszcze.

Tak pełzł po szlaku—gdy był blizki lasu,
W czeczeńską puszczę wdarł się śród hałasu
Skrzypiących wozów i toporów szczęku,
Chrzęstu pił twardych i bagnetów brzęku.
Wnet karagadże. dęby i czynary
Z trzaskiem, łoskotem z pod niebios się walą.
Takich olbrzymów runęły obszary
Nad Gojtą, Gichą, pod niewiernych stalą.
Puszcz pradziadowie! wy napółbajeczne
Czeczeńskich dziejów pomniki odwieczne
I walk nad Gojtą, ponad Walerykiem,
Wy dotąd były zielonym pomnikiem.
Dziś giaur niewierny z piłą was obala,
I stare puszcze dokoła zapala.
O kiedyż moja gwiazdo przeznaczenia
Wyrwiesz mnie z pośród mordu i płomienia,
I przy kominku tylko w dźwięcznym rymie
Pozwolisz nucić o wojnie i dymie.
Toż ja syn dolin, drzew i kwiatów czciciel,
Ja, com leśnemu ptastwu szczędził życie,
Z bagnetem, z żagwią podpalacz, burzyciel,
Dziś kroczę w leśne Czeczeńca ukrycia,
Pod cichą strzechę podkładam zarzewie,
Zwalam i palę dęby i modrzewie.
Dzika Czeczeni w tém morzu płomieni,

Od których niebo twoje się czerwieni
Przez całe zimy, widzisz znikające
Dzieje twych synów, twéj pomniki sławy,
I żywe twierdze siedlisk twych broniące.

Issan z daleka wzrok wytężył krwawy,
Gdzie giaury rąbią las po prawéj stronie,
I taką wściekłość uczuł w swojém łonie,
Że się w téj chwili z wierzchu dębu zsunął;
Z ócz jego potok łez rzęsistych lunął,
Machnął na swoich kosmatym kołpakiem,
Ci doń ruszyli ścieśnionym orszakiem.
Konie puszczają, napólnago sami,
Z obnażonemi piersmi i rękami,
W rękach gwintówki, a w zębach kindżały,
Między burzany i pomiędzy trawy
Ślizną jak węże bez najmniejszéj wrzawy,
Aż kędy gęste bagnety sterczały.
Pod samym bokiem zbrojnego oddziału,
Dech zatrzymując śród zarośli leżą;
Dłużéj nie mogą hamować zapału,
Długie gwintówki ku ofiarom mierzą,
I z sta gwintówek rzęsiście uderzą,
Wrzasną i hikną: już kindżały w dłoni,
Każdy na swego przeciwnika goni.
Giaury się cofną, albo chylą karki
Pod ostrza szaszek. Jeden ty Suchecki,
Ziomku mój drogi, jako dumna skała,
O którą wichrów łamie się nawała,
Aniś unikał, ni na wroga gonił,
Niś w tył, ni naprzód, takeś się osłonił
Jąkąś świętością; a z twojego czoła
Spokój promieniał, jakbyś z rąk anioła
Czekał na wieniec: jakoż strzał z janczarki
W pierś cię ugodził, i kindżał zbójecki
Utkwił ci w serce Czeczeniec zdradziecki,
Zdzierając oręż. Noc cię wieczna mroczy,
Tyś konające w niebo zwrócił oczy,
Po niebieś wzrokiem ku swéj Litwie płynął,
I rychłoś duszą w lubéj Litwie zginął,
Którą w dziecinnem opuściłeś lecie,
Idąc się tułać po dalekim świecie.
Z głośnym okrzykiem nowa odsiecz bieży,
Dziesięć bagnetów w każdą pierś wymierzy.
Bój się wszczął straszny nad martwemi zwłoki,
Trzask, szczęk i jęki wybiegły w obłoki,
Z ległych ciał ludzkich wysoka mogiła,

W chwili twe zwłoki tułaczu pokryła (1).
Nad kilka minut bój nie potrwał dłużéj,
A gęstym trupem ziemia się posiała,
I krew w dymiącéj płynęła kałuży:
I nim zdołano raz wystrzelić działa,
Już ptak Czeczeniec na rumaki siadał,
I wolnym krokiem po polanie jechał,
Jadąc swe czyny dzikie rozpowiadał,
W tył się oglądał, szydersko uśmiechał,
Każdy zdobyczą jakąś obciążony:
Ten ładownicę pełną przez ramiony,
Inny karabin z bagnetem zawieszał,
A ów się inną zdobyczą pocieszał,
Wiózł głowę giaura, kałym dla dziewicy.
Już w las wjechali, od aułu wrzawa
Wesoła leci. Miałażby już sława
Uprzedzić auł o poboju walnym,
I o powrocie Issy tryumfalnym?
Im bliżéj domu nasi wojownicy,
Tém żywsza radość w całéj okolicy.
Słychać z janczarek w aule wystrzały,
Pieśni weselne i z muzyką brzmiały.
Otóż i auł dymi się w parowie:
Na dachach siedzą mieszkańcy ciekawi,
Jednych muzyka i dźwięk pieśni bawi,
Inni ku stronie, zkąd jadą jeźdzcowie,
Wzrok natężają. Ci gdy blizcy byli
Wjazdu, rumakom wodze popuścili
I do aułu pędzą w całym czwale.
Zagrzmi dokoła wystrzał po wystrzale
Z radosném allah! na ulicę wjadą,
I przed aułu stanęli gromadą.
Jedni z gromady zwycięzców witają,
I o szczegóły nabiegu pytają;
Lecz inni miękkie kobierce obsiedli,
Z świeżym czurekiem szaszlyk (2) z rożnów jedli.
Tam wprawną dłonią dzwonią takt Czeczenki,
Bijąc w miednice, weselne piosenki
Naprzemian ciągną. A dorodne pary,
Podług piosenek i brzęczenia miary,
Tańczą lezginkę. A gromada cała
Patrząc gwarzyła i w dłonie klaskała.
Co to za święto, Issan sam nie wiedział;

(1) *Suchecki*, znany z godności charakteru ziomek, zginął w opisanéj tu walce w stopniu kapitana, na wiosnę 1848 roku, w jakim miały miejsce opowiadane zdarzenia.

(2) *Czurek*, placek z przaśnego ciasta; *szaszłyk*, baranina pieczona na rożnie.

Podszedł do starca, co w gromadzie siedział;
Byłto wuj Tehy, więc do niego prawi:
„Niechaj tańczącym Allah błogosławi,
A nas ma w pieczy i młodym wybaczy,
Że płocha pamięć nigdy nie pamięta,
Kiedy i jakie dał nam prorok święta.
Powiédz mi starcze, co ta uczta znaczy?"
Starzec nań skinął, by poczekał chwilę,
Sam słucha piosnek i tańczących zważa;
Gdy ci skończyli uśmiechnął się mile,
Wziął Issę na bok i tak mu powiada:
„Słuchaj młodzieńcze! niech cię nie uraża
Co ja ci powiem, bo cała gromada
Na to przystała i kunacha rada.
Tehę, co twoją miała być w niedzielę,
Oddajem Dubbie — otóż i wesele.
Lecz bądź cierpliwy, dosłuchaj méj mowy,
Jam za cię życie zawsze dać gotowy,
Boś tęgi młodzian, do boju ochoczy,
I młodych dziewcząt umiesz zwrócić oczy;
Ale szczęśliwszą Tehe za nim będzie.
On, wiesz, jak żyje, jak ruscy kniaziowie!
I u Szamila, Allah daj mu zdrowie,
Dobrze położon w naiba urzędzie.
Pierwszym z doradzców on na jego dworze;
A gdy wyjeżdża, za nim w długim rzędzie
Ciągną miurydy w bogatym ubiorze;
A broń ich w srebrze; a raźnie, ochoczo,
Jak za Szamilem do boju wyskoczą,
Niech ręką skinie. Tyś człek dzielny, ale..."

Issan dalszego ciągu już nie słucha.
Skoczył na konia, przygiął się niedbale,
W głębią wąwozu ruszył w całym czwale.
I pędem wiatru, co po stepie dmucha,
Mijał po lesie dymiące kutany (1).
Jakby w tych miejscach nigdy nie widziany,
Strachem napełniał wzrok czeczeńskiéj rzeszy,
Co z cieniów sakiel na stuk kopyt spieszy.
Kosmatą burkę wiatr ponad nim wzdyma,
Biały się basztyk miota za plecyma,
Kutańskie dzieci w sakle z krzykiem biegą,
Tak w jego wzroku było coś strasznego;
I psy góralskie długą wodząc szyją,

(1) *Kutany*, folwarki, czyli futory, zdala od aułów, gdzie mają swe gospodarstwa rolne Górale.

Smutnie, przeciągle, naprzemiany wyją.
A przed nim góry, zdala tak pokorne,
Rosną w postacie dzikie i potworne.
Im bliżéj gór tych, tém donośniéj szumią,
Lasy pod niebem wiatry kołysane;
A z chmur, co u stóp tych się lasów tłumią,
Z łoskotem Gojta śnieżną toczy pianę.
Jeleń się rzucił i potok przeskoczył,
Kaukazki orzeł ledwie jeźdzca zoczył,
Wyleciał pędem piorunu nad skały.
W góry na góry daléj koniu biały!
Wyżéj nad orły i nad chmur gromady,
Tam gdzie na śniegach wsparł się błękit blady,
Po śladach dzikiéj kozy i jelenia,
Przez niezwiedzane starych lasów cienia
Na skrzydłach nóg twych przesadzaj otchłanie,
W których noc wieczna dzierży panowanie.
Nad przepaściami nieś się ptaka lotem,
Aż echa zagrzmią kopyt twych łoskotem.
Już pod nim lasy i chmur białe kłęby,
Wieńczą na dole skał brunatne zręby;
Przed nim rozległe, błękitnawe stepy,
Za nim lód w stertach, aż pod nieba sklepy.
Tu ziemska wrzawa słuchu mu nie głuszy,
Tu to swoboda dla ciała i duszy!
Jak lekko, słodko wiatrem gór oddychać!
Spojrzał na auł, ten tak przed nim ściemniał,
Że ledwie znać go, tak zmalał, znikczemniał.
Brzęku muzyki i piosnek nie słychać.
On i koniowi pozwolił swobody,
Ściągane dotąd z rąk wypuścił wodze;
Ten grzmi kopyty po góry odłodze,
Aż kędy w szklistych słupach sterczą lody,
Znacząc granicę żyjącéj przyrody.
Za temi słupy zagasa jaskrawo
Słońce, na lodach błyszcząc luną krwawą.
I gęsty pomrok wnet zawładnął światem,
Tylko się Kaukaz zakrwawił szkarłatem.
A sklep niebieski od zachodniéj strony,
Z rzędem gór białych różowo-czerwony,
Zdał się w kły zbrojną paszczęką tygrysa,
Kiedy z zdobyczy ciepłą krew wysysa.
W dziki ten obraz długo patrzył Issa,
Aż oto wicher po lodach zadzwonił,
I w jednéj chwili całego oszronił;
I koń i jeździec całkiem stanął w bieli,
Bledliby z strachu, coby go ujrzeli.
I sam on sobie teraz nie dowierzał,

Czyli do żywych lub zmarłych należał.
Śmiertelne drżenie przebiegło po ciele,
I pot mu zimny wystąpił na czoło,
I raz i drugi obejrzał się wkoło.
Koń głowę zwiesił, stąpał w dół nieśmiele;
O prędzéj biały! bo za chwil niewiele,
Ostatnią ścieżkę mokry śnieg zaścielel
Lecz tam na dole siadły chmur gromady,
A hucząc, jęcząc, przychodzą do zwady.
Już błyskawicy grać poczęły ślépie,
Piorun granity po kawałku szczypie,
A grzmotu odgłos po górach się wtórzy,
Jako pieśń wieszcza co bój krwawy wróży.
Łamanych dębów słychać odgłos w lesie,
Jeździec z rumakiem w łono chmur się rzucił,
W piekło, czy w niebo niech go wicher niesie,
On nie dba o to, by na dół nie wrócił!
Straszliwy pomrok w chwili go otoczył
I potok deszczu, co nań z góry lunął,
Konia i jeźdźca zupełnie przemoczył.
Z hukiem, łoskotem piorun się przesunął,
Z chmury do chmury i na skały runął.
Tu wicher z wrzaskiem wyleciał z śród chmury,
Jeźdźca chwyciwszy w lamparcie pazury,
Długo szamotał z nim się i ucierał,
I z głowy basztyk, burkę z pleców zdzierał.
Czasem błyskawic ogniem go obleje,
To znów ciemnością straszną go odzieje.
Mężnie wytrzymał błyskawice, burze,
Śród ryku gromów i ogniów powodzi,
Jak w własnéj sakli przechadzał się w chmurze,
Burza oporu jego zda się zlękła,
Lunęła ogniem i w dolinie jękła;
I z wściekłym pędem wkoło las obchodzi.
A błękit nocny wnet się wypogodzi,
Zaświecą gwiazdy, miesiąc blask rozwinął,
A jeździec tęskni, że tak prędko minął
Ten gór huragan. Dla jego tęsknoty
Słodkim balsamem są wichry i grzmoty;
Bo ledwie w górach ucichły żywioły,
Wnet w jego piersi ciemności anioły
Wstają do walki, i tęsknoty żmija
Palącą piersią serce mu obwija.

Wiosenny ranku, co kaukazkie lody
Już barwisz zorzą, czém twój widok sieje
W sercu Issana trwogi, niepogody,
A płoszy luby pokój i nadzieje!

Ranku, co wkoło niesiesz ciszę błogą,
Czém on cię czeka z zwrastającą trwogą,
Z jakąś rozpaczą? Boi się promienia,
Co ma rozwidnić dziką okolicę,
Kędy nadobną pokochał dziewicę.
Lecz w chwili jednéj jakiś pomysł nowy
Błysnął jaskrawo w cieniach jego głowy;
A pomysł straszny, bo posępne lica,
Niby noc ciemna bez gwiazd, bez księżyca,
Wnet tyle miały dzikiéj jaskrawości,
Że Issan zdał się być szatanem złości.
Chwilę podumał: „Niechaj tak więc będzie.
Dzisiaj stanąłem już w przeklętych rzędzie".
Wyrzekł, a pod nim koń się dębem wspina,
Parska i pianę z nozdrzów toczy białą
I coś wściekłego z oczu mu patrzało,
Jakby mu w boki wpiła się gadzina.
Biédny młodzieńcze! Szatan ci podsunął,
Widać myśl z piekła gdy na ciebie lunął
Z deszczem i gradem i obwinął nocą,
O! ty pod jego jesteś już przemocą.
Ty, co się nigdy wrogowi nie korzysz,
Dziś własnéj myśli lękasz się i trwożysz,
Bo czemu lice tak się twoje mroczy,
I czemu błędne zwracasz wkoło oczy?....

Po górach, lasach błąkał się znękany
Dzień cały Issan, dręczon naprzemiany
Głodem, znużeniem i własném sumieniem.
Lecz się nie cofnął, widać przeznaczeniem
Allaha było, co w duszy uknował.
Gdy zaś dzień złoty za góry się schował,
Wyjechał z kniei i niepewnym ruchem,
Z uważnym wzrokiem, wytężonym słuchem
Jechał ku twierdzy, co leżała blizka,
Zkąd świateł gęstych płomień w oknach błyska.
Rychło u bramy zatrzymał rumaka,
I ten co nigdy wrogom się nie korzył,
Raz piérwszy w życiu broń w ich ręce złożył.
Całe basztykiem zakapturzył lice,
By ukryć miano przyodział na nice,
Czerkieskę, burkę; a dawno sumienie
Wywrócił także tak jak i odzienie (1).

(1) Jestto zwyczaj łazutczyków, czyli szpiegów tamtejszych, jakiego używają przekradając się z gór z doniesieniami, żeby lepiéj mogli się ukryć przed swemi, jako i obcemi.

U naczelnika twierdzy go stawiono.
Tu Issan rzecze z twarzą w dół spuszczoną:
„Czy chcecie w ręku mieć naiba Dubbę?"
—„Chcemy"—odpowiedź—„Dzisiaj więc o świcie,
Gdy chcecie, w więzach waszych go ujrzycie,
A jego auł oddam wam na zgubę".
Wnet był wprowadzon do bogatéj sali,
Tu liczni słudzy z tacami już stali.
Jedni podają wódki i likiery,
Drudzy chleb biały i zamorskie sery,
To konfitury i w jasnych kryształach
Wonną herbatę. W mięsie, ni nabiałach
Nie brak tu było, ni w żadnym napoju;
Wszystko miał Issan, prócz duszy pokoju.
Gdy osłabione długą troską ciało
Do sił swych przyszło, ożyło, szczerstwiało,
Z perskich dywanów usłano mu łoże,
Issan się układł, lecz usnąć nie może.
On uspokoił głód i utrudzenie,
Utulił ciało, ale nie sumienie.

Ledwie z północy słyszy jakiś tajny
Hałas po twierdzy i ruch niezwyczajny,
Półgłośne szepty, stłumione wołanie,
Szybki bieg konia, lub ciężkie stąpanie
Całéj piechoty, to tętent konnicy,
Która w czwał bieży: to znów ciężki, głuchy
Chód dział podziemny w odległéj ulicy.
Czy to się z piekieł wykradają duchy
W północną porę, aby spaść na ludzi,
Kiedy najtwardszy sen ich członki trudzi?
Tak marzył Issan; wtém go po ramieniu
Zlekka ktoś budzi. On oczy otworzył,
Nad nim wartownik przy lampy promieniu.
„Wstawaj kunaku! już się wojsko stroi".
On wstał w téj chwili, a koń jego biały
Z siodłem u słupa pod edrzwiami stoi.
Usiadł nań lekko, wartownicy siedli
I na plac zbioru strażąc go powiedli.
A noc pochmurna, wszelka znikła gwiazda
I ziemia w czarnéj zadrzymała szacie,
Po placu czarne snują się postacie,
Niby piechota, to znów niby jazda.
Issan nie wiedział, takie miał złudzenie.
Czy to są ludzie, czy znikome cienie.
Tak za Argunem gdy nocą na górze
Milczące chmury mające wędrować,
Poczną się wikłać, przesuwać, szykować,

Straż z wałów twierdzy widzi w owéj chmurze
Tłumy Czeczeńców, burki i kołpaki,
A lasy stercząc z ciemnego obłoku,
Zdają się bronią złudzonemu oku.
Za danym znakiem te wojska, czy duchy,
Bo jeszcze Issan sam nie pojął tego,
Wnet rozpoczęły swoje szybkie ruchy;
Zda się, że wiatru pędzą je podmuchy,
Tak szybko piesi jak i jezdni biegą (1).
Wtém zabielały śnieżnych gór gromady,
Wschodnie obłoki lekki połysk zorzy
Nagle zrumienił, niby twarz uśpioną
Młodéj dziewicy, gdy jéj myśl zatrwoży
Sen jaki straszny i jéj wzburzy łono.
Natenczas Issan wkrótce rozpowiedział
Najskrytsze przejścia, o jakowych wiedział
Zaledwie rzadki z czeczeńskich złodziei
I dzik co po nich z swéj wybiegał kniei,
Któremi idąc zmylą bystre ucho
Czujnych strażników po leśnych kurhanach,
I psów czujniejszych od nich po kutanach.

Idą wciąż lasem. Już niebo przeświéca
I wkrótce płyną piesi i konnica
Po czystéj niwie, a potém polaną,
Na któréj Dubby stolicę ujrzano.
Auł w wąwozie nawpół widny oku,
A nawpół w sennym schowany pomroku
Miał postać rankiem śpiącego pastucha,
Co późno wczora do snu się ułożył,
A chociaż oczu jeszcze nie otworzył,
Pół-uchem wrzawy porankowéj słucha;
Lecz nie przeczuwa, że giaur haracz krwawy
Wziąć dziś poprzysiągł, nabiegiem na Dubbę,
Mszcząc Sucheckiego śmierci i swych zgubę.
Gdy się do nocnéj gotował wyprawy,
Stawią przed niego młodego Issana;
Ten mu dopomógł, nieznanemi szlaki,
Wprowadził wojsko, działa i rumaki.
Dziedzina Dubby pod miecz mu oddana,
Issan czuł rozkosz mściciela-szatana.
Gdy jedni z giaurów pilnują odwrotów,
Drudzy tajemnie szerokim łańcuchem

(1) Lekkie oddziały kaukazkie szybkie i wielkie odbywają marsze w każdéj porze roku; prędzéj konie i bydło morduje się i pada, gdy tymczasem ludzie z uzbrojeniem i pakunkiem, z zapasem żywności w torbie, nie zważając na urwiska i strumienie, przebywają po 60 do 70 wiorst dziennie.

Auł otoczą i w milczeniu głuchem
Kradną się zręcznie z rowów i z zapłotów,
I ubocznemi ścieżki i wychody
Cisną się w auł. Tak strumienie wody
Wczas wiosennego wezbrania potoków
Rybaczą chatkę gdy obleją z boków,
Choć drzwi zamknięte przez boczne szczeliny
Sączą się, śmiercią grożąc i ruiny.
A wtém od lasu groźne jękło działo,
Do krwawéj uczty straszny znak podało.
Z sakli mieszkańce na wpółnagie biegą,
Ledwie broń jaką kto pochwycić zdoła,
Odgłos rozpaczy rozległ się dokoła,
W aule pełno już wroga zbrojnego.
Młodzież kindżały, szaszki, pistolety
Pochwyca w dłonie, na ulice bieży,
Las z każdéj strony bagnetów się jeży.
Piérwsi obrońcy padli pod bagnety;
Lecz na ich miejsce znów sakle wyroją
Nowe zastępy. Starce i kobiéty
I małe dzieci we drzwiach sakiel stoją,
Morderczéj śmierci czekając wytrwale,
Miecą na wroga wystrzał po wystrzale.
Byłato walka zemsty i rozpaczy.
Lecz ta obrona, choć wściekła i dzika,
Bezładnéj rzeszy, strwożonéj cóż znaczy?
Tyle zbrojnego wkoło przeciwnika,
Uzbrojonego prócz oręża sztukąl
A z palnéj broni obie strony tłuką,
To bagnet we krwi czeczeńskiéj się broczy,
To szaszka dzwoni, wilcze świecą oczy;
A jeśli bagnet czasem co ocalił,
Morderczy ogień z trzech dział na kurhanie,
Dyszących śmiercią wkoło bezustannie,
W saklach, ulicach, mordował i palił.

Czasem i rozpacz dziwne cuda tworzy:
Zajadły Tatar w giaurów wpadłszy szyki,
Rąbiąc, kalecząc z dzikiemi okrzyki,
Z dziesiątków trupa wielki stos ułoży.
Zgrzyta zębami zmrużywszy powieki,
Póty przelewa krwi przeciwnéj rzeki,
Aż ostry bagnet piersi mu przeszyje,
Konając jeszcze przekleństwami wyje.
Walka z Czeczeńcy mściwego żołdactwa,
Jadowitego ma postać robactwa
Skorpionów, które gdy zamknięte w słoju
Póty się gryzie, morduje, zajada,

Póty się kłębi w zeszczepionym zwoju,
Aż jeden w końcu pozostanie z boju
I ten od jadu własnego upada.
Jeśli najkrwawszéj chcesz miéć widok bitwy,
Przed białą saklę naiba pospieszaj,
Lecz nie zapomnij odmówić modlitwy,
I patrząc zdala w tłum się ten nie mieszaj;
Bo przecie widzisz jak tam szaszki błyszczą
I jak złośliwie kule w górze świszczą,
Gwiżdżą i brzęczą jak owadów roje.
Ach! nie daj Boże, by na czoło twoje
Siadła najmniejsza z tych os ołowianych!
Jużby nie ujrzał wzrok twój malowanych
Kaukazkich szczytów, gdy je świt rumieni,
I jasnych stepów, ni niebios promieni.
A gdyś zdaleka, biédna twa rodzina,
Co cię z tęsknotą i żalem wspomina,
Na wieść twéj śmierci na dalekiéj ziemi,
Jakżeby łzami płakała rzewnemi!

Wnet giaurów zastęp saklę tę otoczył,
Krzycząc do szturmu z bagnetami kroczył;
Kilku miurydów wniścia do niéj bronią,
Z gwintówek palą i szaszkami dzwonią;
Jako lew każdy siłą i postawą
Wyszczerza zęby i źrenicą krwawą
Od stóp do głowy przeciwnika mierzy,
Nim wzniosłszy szaszkę z góry nań uderzy.
Brzęknęło ostrze, głowa w dół się toczy,
Kadłub z bagnetem jeszcze naprzód kroczy,
Bezwładne dłonie czasem się poruszą
Rzucając bagnet, choć się już z swą duszą
Ciało rozstaje. Kadłub pada smutnie
Pod nogi wroga, który tak okrutnie
Przyjmuje gości. Nowy mściciel dąży,
Jeśli mu szaszka bagnetu nie utnie,
W miurydu brzuchu strasznie go pogrąży;
Nim wyrwać zdoła, ten go chwyta w dłonie
I z całą siłą zatrzymując w łonie,
Jeszcze wrogowi ostrzem rąbie skronie.

O bracia moi, kaukazcy żołnierze,
Jeśli sióstr naszych posty i pacierze
Wybawią kogo z pod czeczeńskiéj szaszki,
Wróciwszy kiedyś, kaukazkie ogrody,
Pląsy góralek i miłosne fraszki
Kreślcie im tylko, nie trując swobody
Młodych serc. Niechaj nie znają pożogi

I żadnéj innéj, prócz miłosnéj trwogi.
Może spokojne i szczęśliwe łono
Urodzi przyszłość szczęśliwszą, zieloną,
Dla któréj wojna, rzeź, mord i rabunek
Będzie jak powieść o strachach piastunek.

Pod bagnetami miurydowie padli,
Do sakli Dubby giaurowie zajadli
Wdarli się z krzykiem i bojową wrzawą,
I rozpoczęli dziką ucztę krwawą.
Sakla w téj porze pełna była gości
Z aułu Dubby i sąsiednich włości;
I dniem i nocą nadobne Czeczenki,
Bijąc takt w dłonie, śpiewały piosenki;
A w rogu sakli w około zasłony
Usiadły stare czeczeńskie matrony.
A pod zasłoną Tehe wystrojona
W srebrze, jedwabiu słuchała schylona
Mądrych, zbawiennych rad dla nowożeńców
Z ust starych matron. Zwyczajem Czeczeńców
Szczęściem się Dubba w sakli nie znajdował;
On dniem i nocą zdala gdzieś koczował (1),
Jutro małżonkę miał powitać miłą;
Lecz przeznaczeniem Allaha nie było,
By zastał jeszcze swe weselne gody.
On nie uściśnie swéj małżonki młodéj,
Ani żon starszych, które wprzód poślubił,
Ni kilku synów, których tkliwie lubił,
Bo wszyscy legli — jedna Tehe żyje.
A twarz wstydliwą przed wrogami kryje
Biała zasłona, a przed tą zasłoną
Giaur jakiś stanął, stawiąc mężne łono.
Prośbą i groźbą na innych dokazał,
Że nikt oręża w krwi Tehy nie zmazał.
A w słowach tyle miał dziwnéj odwagi
I tyle w ruchach szlachetnéj powagi,
Że choć w mundurze prostego żołnierza,
Zdał się być wyższym z serca i rozumu,
Każdym swym czynem od żołnierzy tłumu.
W rysach ród widać obcego wybrzeża.

(1) Według starego zwyczaju przyjętego u Górali, mianowicie u Czeczeńców za hańbę się uważa, ażeby pan młody pojawił się na oczy ludzkie w czasie swego wesela: kryje się on przez całe trzy dni; panna młoda zaś pod prześcieradłem, czyli czadrą, przez cały ciąg wesela pozostaje ukryta. Dla rozrywki jéj tylko stare kobiéty koleją siadają przy niéj, prowadząc z nią budujące rozmowy i wykładając prawidła pożycia małżeńskiego.

Nieraz gdy wojna wkoło mord rozszerza,
Z najmężniejszymi on naprzedzie kroczył,
Lecz nie dlatego, by krew ofiar toczył:
On ich ratował śród niebezpieczeństwa,
Od zapalczywości swoich i szaleństwa.
Znan był on w Wielkiéj i Małéj Czeczeni;
A ci co byli przezeń ocaleni,
Klnąc mundur jego, przed szlachetną duszą
Swego obrońcy, serca korzyć muszą.
W oblicze jego Tehe zadziwiona
Utkwiła oczy. Jéj się dziwném zdało,
I nie pojętém, że rzesza szalona
Jak fala morska rankiem uciszona
Hamuje zapęd przed postawą śmiałą.
Nadobna Tehe! dłoń przymierza białą
Podaj wrogowi, co twe dni ocala,
I wiernym stróżem dziewiczéj skromności
Odtąd ci będzie zblizka jak i zdala.
Z powszechnéj rzezi zbawion naib Dubba,
Ale ofiarą, sądził, dzikich gości
W weselnéj sakli padła Tehe luba:
Tehe nadobna, co dziwném spojrzeniem
Męzkie to serce młodzieńczym płomieniem
Dziś zapaliła, maż być niezemszczona?
Piekło zawrzało w głębi jego łona.
Skinął miurydom, a po wszystkich górach
Powszechnéj trwogi wnet podano hasła,
Sygnalnych ogniów czarne po lazurach
Kłębią się dymy. Z pięciu dział wystrzały
Pięciu naibom trwogi znak podały.
Trwogą po lasach cała Czeczeń wrzasła,
Trwoga w wąwozach i górach się szerzy,
Kto żył w aułach albo na kutanach,
Po gęstych puszczach albo na polanach,
Kto broń mógł nosić z starców i młodzieży,
Każdy się zbroi i pod znaki bieży.
Ciągnie od Aczhoj z tłumami Anzorów,
A z Gichów Talhik, Achmet zaś od Szali,
Z aldyńskich leśnych Sadduła tutorów,
Ciągną do Dubby, gdzie od giaurów stali,
Niewielu mężnych przy życiu zostali:
Kędy giaurowie w ciągu pół godziny
Zmienili auł w popiół i ruiny.
Nad pół godziny, nie dłużéj, obszary
Czeczeńskich puszczy gwarem wojny grzmiały.
A powtarzane częste z dział wystrzały,
Lecąc na lasy, dąbrowy i jary,
Przeciągłém echem brzęczały po górach,

Jak grzmot odległy po brunatnych chmurach.
A zimny Kaukaz, jak lutnia leżąca,
Ciągle powtarzał harmonijne dźwięki:
Gdy z dział strzelano, zdało się, że trąca
Po strunach śpiewak i śpiewa piosenki,
A stron i pieśni spokojne odgłosy
Brzmiały pomiędzy ziemią i niebiosy.
Zagrano odwrót—koniec uczty dzikiéj;
W porządku giaurów odstępują szyki,
Prowadząc z sobą liczne niewolniki,
I łup, dobytek Czeczeńca ubogi:
Drewniane sprzęty, kilka sztuk baranów,
Rogate bydło, majątek kutanów;
Kobierce zdarte z naiba podłogi,
W końcu naiba rumak szybkonogi.
Resztę źre pożar, co się klębi górą,
Wzdymając dymu oponę ponurą,
Co na pół nieba rozciągnęła cienie,
Górnego słońca zaćmiwszy spojrzenie.

Trudny był odwrót; już Czeczeniec dziki
Wszystkie osaczył przechody i szlaki,
Głośnemi spotkał strzały i okrzyki
W las wjeżdżających ludzi i rumaki.
Ile na drzewach pęka liścia z wiosną,
Jak bujne kwiecie i jak trawy rosną,
Tyle po puszczach wyrosło Czeczeńców,
Śród pękających drzew zielonych wieńców.
Za dębowemi już siedzą zawały,
Częstując giaurów częstemi wystrzały:
Czasem na boczne albo tylne straże
Rzucą się wściekle z szaszki i kindżały.
Jak gdy na łące pracują kosarze,
Brzęcząc kosami tną trawy i zioła,
Tak w szaszki dzwonią dżygity dokoła,
Rzęsistym ogniem sieją po szeregu,
Gdy ten przechodzi po gojtyńskim brzegu.

Padło więc giaurów w tym odwrocie wiele.
Długo ich kości bieląc się po trawie,
Potomnym czasom naiba wesele
Będą wspominać, i o téj wyprawie
Na Dubbę świadczyć. A nad kośćmi temi
Nie klęknie matka, ni kochanka czuła,
Aby je obmyć łzami gorącemi;
Tylko je szerzéj rozrzuci po ziemi
Mściwy Czeczeniec z blizkiego aułu,
A wilk z szakalem w noc ciemną usiędą,

Z gardzieli sobie wydzierać je będą.
Nie słychać w Gojtach głośnéj bitwy gromów;
Lasem i stepem ciągną naibowie,
Z zbrojnymi tłumy, z okrzyki do domów.
W leśnym u Dubby gojtyńskim parowie
Żałobne jęki i boleści głosy
Smutne niewiasty wznoszą pod niebiosy;
Przed sakle siadłszy drą na sobie chusty
I krwawią piersi, pięścią tłuką lica,
Zmarłego bratu, męża lub rodzica
Spiewając męztwo bolesnemi usty (1).
A odgrzebane w pośród zwalisk ciała
Poległych w boju, wnet opona biała
Od stóp do głowy owija żałośnie.
Zwłoki do grobu spuszczają ukośnie,
Każdy do wschodu w leżącéj postawie
Pomieszczon między cztérema deskami,
Na grobie pomnik z drzewa z napisami;
Zawój każdego sczyt pomnika wieńczy.
A kto z giaurami w częstéj bywał sprawie,
W nabiegach wsławił swój żywot młodzieńczy
I legł jak dżygit—nad takiemi zwłoki
Z chorągwią spisa sterczała w obłoki.
A ledwie pomrok wieczoru osłonił
Doliny, wzgórza, a niebo zapłonił
Rumieniec zorzy, czeczeńska gromada
Tłumnie przechodząc śród pogorzeliska,
Zdrajców, co wrogom służą dziś, nazwiska
Z przekleństwy, z zgrozą głośną wypowiada,
I hańbę wieczną przeklętemi słowy
Rzuca na zdrajców potępione głowy.
Tak długo chodząc szumną, tłumną zgrają (2),
Miotają klątwy, z gwintówek strzelają;
Lecz Issan zdrajca, co skrytemi szlaki
Wprowadził obce na Dubbę orszaki,
Nie poszedł giaurom służyć w ich szeregach,
Został śród swoich na gojtyńskich brzegach.
O jego zdradzie najmniejszego cienia
Nie było pośród Czeczeńców plemienia:
Piérwszy wśród młodzi—któżby to uradził,

(1) Jestto najdawniejszy zwyczaj wschodni; kobiety krewne, lub najęte płaczki siedząc przed saklą szarpią włosy, drą odzież na sobie, krwawiąc twarz i piersi w żałosnéj nucie opiewają zalety, męztwo i domowe cnoty zmarłego.

(2) Wyklinanie zdrajców, lub spodlonych kobiét, co się skalały bezwstydem, zawsze odbywa się obwoływaniem publiczném ich nazwisk i strzelaniem po aule.

By swoje plemię Issan podle zdradził.
Przecież tak było; skrył występne kroki,
Miotał przekleństwa, jak inni, w obłoki.
Każde przekleństwo poruszeniem śmiałem,
Wściekłém, potwierdzał i głośnym wystrzałem.
Czuł dziką rozkosz, bo się zemścił przecie
Choć raz na wrogach, jak żywy na świecie.
Kiedyś on zemstę dla giaurów przysięgał,
Rzucał się wściekle na działa, bagnety.
Krwi wylał rzeki, lecz próżno niestety!
Kindżał potęgi wrogów nie dosięgał.
Dziś ją dla swoich przysiągł i ruiny
Zaległy wkoło z nieprzyjaciół domów,
Tehy i Dubby wycięte rodziny,
A dymy jeszcze sączą się z wyłomów:
Osiągnął celu, ale to utracił,
Za coby chętnie wprzódy krwią zapłacił.

Kędyż jest Tehe? czy jéj piękne ciało
Wściekłych pożarów ofiarą się stało?
Czy zagrzebane w murów rumowisku,
Czyli, co gorsza, w obrzydłém siedlisku
Giaurów marnieje, jak kwiecie więdnieje,
Zabija w więzach młodość i nadzieję?
Niech sobie będzie gdzie chce Tehe miła,
W grobie czy w więzach, byle tu nie była;
Bo jakże Issan to występne czoło
Podniósłby ku niéj i spojrzał wesoło
Na czyste bóstwo, co jéj świeci z oczu,
W twarzy promieni, jak słońce w przezroczu
Gojtyńskich zdrojów? Dziś jéj ciche wdzięki
Najsroższéj źródłem byłyby mu męki.
Wszystkie dziś węzły zerwał z przyjacioły,
Z djabłem, z Allahem i jego anioły;
On im nie dłużny, ani oni jemu,
Ni jemu bliźni, ani on bliźniemu.
Czuł co to wolność szatańska, przeklętal
Miałżeby znowu święte przyjąć pęta,
Pęta miłości, sławy i przyjaźni?
Nie pragnie raju, ni piekielnéj k[illegible]

Tymczasem Tehe u giaurów w niewoli,
W ciemném więzieniu płacze smutnéj doli.
Z nią w gronie innych powiązanych jeńców,
Podczas nabiegu zabranych Czeczeńców,
Których los wojny całą tylko winą,
Kilku zbrodniarzy na jednym barłogu.
Brzęczą kajdany, klnąc ludziom i Bogu,

Straszą spojrzeniem i szatańską miną,
Nikt z nich nie tęskni za lubą rodziną.
W występnych piersiach dawno już nie biło
Serce za matką lub kochanką miłą.
Szyderskim wzrokiem, brzydkiemi wyrazy,
Jak kindżałami po wielokroć razy,
Wstydu jéj róże dziewiczego sieką.
O biédna Tehe! próżno u proroka
Błagasz litości zwilżoną powieką;
On cię nie widzi dzisiaj jasnooka,
Taka cię smutku okryła pomroka!
W cieniach więzienia z okropną tęsknicą
Płyną twe chwile wolnych gór dziewico!
A z każdą chwilą wzrastają katusze
Dręczące wiecznie ciało twe i duszę.
Zgasła pogoda w sercu twém i głowie,
A z nią zagasa w pięknem ciele zdrowie;
Zagasł rumieniec co twe barwił lica,
Czarnego oka zgasła błyskawica.
Wilgotne ściany z każdą chwilą piły
Z ciała twe zdrowie, rumieniec i siły;
Wnet straszna febra wątłe ciało wstrząsa.
Tak córa stepu, nadobna lilija,
Ledwie urocze kształty porozwija,
Po krótkiem cieple, gdy znów śniegi wioną,
Szron ją obsiada, czułą pierś jéj kąsa,
I martwą bladość na jéj rzuci łono.

Ustała febra, w krwi zakipią żary,
Na lice płomień wystąpił jaskrawy,
Zda się na stosie pogrzebnym palono
Osłable ciało. W głowie wstają mary,
Uosabiając strachy i obrazy.
Nie śpi a widzi: Issan w strasznym boju,
W jakimś płomiennym na głowie zawoju,
Z wzniesioną szaszką nieprzyjaciół sieka,
A Dubba z tyłu z gwintówką zdaleka,
Za krzewem siedząc w mężne piersi mierzy.
Strzeż się Issanie! Issan nic nie słyszy.
Dubba wystrzelił, Issan martwy leży,
Krew płynie z rany, a pierś zlekka dyszy.
Trup Issan wstaje, Tehę z Dubbą w dłonie
Zimne obejmie; wkoło ział płonie,
W płomieniu błyszczą kindżały i noże,
Obojga cisnął na małżeńskie łoże—
Na stosy ognia, noże i kindżały.
Już Tehe czuje, jak ją płomień pali,
Jak ostrze nożów w serca głąb sięgały;

Issan to widzi, lecz serce ze stali,
Cierpień się lubéj Tehy nie użali.
Męczeńską śmiercią czuje jak umiera,
Prorok jéj raju podwoje otwiera,
W hurysek gronie Tehe czarnooka,
Najczystsza róża w ogrodzie proroka,
Choć bez zwierciadła wdzięki swe ogląda:
Różane usta, pękająca róża,
Płomienne oczy, które wstyd przymróża,
Brew czerni krucza, serce jéj nie żąda
Innego szczęścia, byle Issan młody
Mógł te oglądać oczy i jagody!
Staje trup Issan, lecz jego postawa
Jakże odmienna od tego młodzieńca
Co go dżygita (1) ozdabiała sława,
Gdy się dobijał dziewiczego wieńca.
Przed krwawym wzrokiem, twarzą potępieńca,
Ona drży jakby przed śmiertelnym grzechem.
Issan tchnął na nią, a przed jego dechem,
Jak w dymie siarki niknie róży krasa,
Twarz jéj sczerniała i oko przygasa,
I krew zaskrzepła, ścichło serca bicie;
Ni to śmierć była, ni wyraźne życie.
Tak między życia i śmierci granicą
Spała snem zimnym trzy dni i trzy nocy.
Czwartego ranku z letargu niemocy
Budzi się umysł, i martwą źrenicą
Spogląda wkoło. Przed nią żołnierz młody,
Co ją z pożarów i rzezi ratował;
A z tym żołnierzem był jakiś człek drugi,
Tkliwe jéj oba robili usługi:
Ów ją podpierał, a tamten częstował
Napojem pełnym zdrowia i ochłody.
Zda się moc życia w napój zamieniono:
Bo wnet ożyło obumarłe łono,
Życie po ciele wnet się rozpłynęło,
Twarz się rumieni i oko błysnęło.

Odtąd co ranek gdy obaj przychodzą,
Cierpienia jeńcom jakże tkliwie słodzą;
Zda się Allaha zstępują anioły:
Jeden z zdrowemi napojmi i zioły,
Drugi z pociechy wyrazy słodkiemi
I z staraniami przyjaźni, miłości.
Tehe oczami pyta zdziwionemi,

(1) *Dżygit*, bohater, to samo co u Arabów faryś.

Zkąd w giaurach tyle czucia i ludzkości,
Że swoim wrogom, jak braci rodzonéj,
Niosą usługi bratniemi ramiony.
Doktor swą ręką leczy jeńców blizny,
A młody żołnierz najczystszéj bielizny,
Najzdrowszych jadeł dostarcza koleją,
Własnéj żołnierskiéj ujmując potrzebie.
Pokarmem ciało, a duszę nadzieją
Zasila codzień, mówiąc im o niebie,
O swym Allahu, który w raju progi
Przyjmuje swoje miłujących wrogi,
A krwi przelewem brzydzi się i broni
Mściwy brać oręż na bracią do dłoni.

Ziomkowie moi, ty żołnierzu młody
I ty doktorze z nad niemeńskiéj wody,
Patroni jeńców, niech wam będą dzięki,
Wasze imiona dziś ze czcią wspomina
Śród gór Czeczeniec, a młode Czeczenki
O was zanucą w aułach piosenki,
Któremi zabrzmi nie jedna dolina.
Niech za to Allach ujrzéć wam dozwoli
Lubą rodzinę i osieść na roli.
A hoża Polka, do któréj zawieje
Może wiatr stepu smutne Teby dzieje,
Czułym uściskiem nagrodzi sowicie,
Co dla cierpiącéj piękności czynicie.
Waszemi wpływy Tehe przeniesiona
Z ciemnego lochu do białéj komnaty,
Z lochu gdzie tłuszcza zbrodniów rozbestwiona
Dziewiczy wstyd jéj szatańskiemi żarty
Śmiała znieważać. Z okien jéj przez kraty
Był wdzięczny widok, daleki, otwarty
Na grzmiący Argun, na puszcze szumiące,
Na łąk zieloność, na stepowe kwiaty,
Na za-arguńskie auły, kutany,
Na śnieżne szczyty w błękicie tonące,
Na wąwóz czarny, z którego tumany
Co ranku wstając, ciepłym deszczem sieją,
I na niebiosa, co się w górze śmieją.

Długie godziny Tehe zadumana
W swém oknie siedzi, a przed nią od rana
Do nocy wiecznie grała okolica
Dziwną harmonją świateł i półcieni,
I barw czarownych, niby młode lica
Hożéj góralki, co w kryształ strumieni
Patrząc jasny, myślą serca dzieje

Przechodzi płacząc, wzdycha, to się śmieje.
Z blizkich kutanów czasem słyszy śpiewy,
Czasem coś błyśnie w górach między krzewy;
Czeczeńców w puszczach rozlega się wrzawa,
Cień się wieczorny od Kaukazu ściele,
Na lasy Tehy tkwi źrenica łzawa.
A wtém mignęło przez kwiatów topiele:
Jeździec pomyka w towarzyszów gronie,
Błysnęły szaszki i parskają konie,
Twarz Tehy dziwnych nabiera rumieńców
Na widok w dali pędzących Czeczeńców,
I mimowolnie z piersi się wyrywa
Z westchnieniem piosnka i dziewica śpiéwa:

Płacze łzą źrenica (1)
Smutna, chmurna okolica.
Rozśmiały się lica,
Koń go niesie—błyskawica.

A na nim rusznica,
W srebrze kindżał się przeświéca,
W srebrze i szablica,
Giaurów rąbie nią prawica.

Oko, by krynica,
A jak tańczy, by dziewica,
A mocny, jak lwica,
Czuły, niby gołębica.

„O! na Allaha, to mi piosnka znana,
Woła Czeczeniec z za-arguńskich brzegów;
Ileżto razy gdym wyjeżdżał z rana
Na koniu bielszym od kaukazkich śniegów
W gronie młodzieży spieszącéj do boju,
Idąc po wodę do jasnego zdroju,
Dzban długo-szyjny nurzając w krysztale,
Tehe mi piosnkę zawsze tę śpiewała.
A koń mój leciał w całym kopyt czwale,
Jakby się lękał, by stal broni biała
W słodkiéj melodyi śpiewu nie zmiękczała.
Koniu mój bysty, spieszaj po równinie

(1) Początek téj piosnki po czeczeńsku brzmi tak:

„Cherdine doch alcze,
Cedilchine szi barik,
Gazen gaur dac elcze
Dietchus kola chelena".

Za rzekę, odkąd dźwięk piosenki płynie.
To piosnka Tehy! O nie! nie dozwolę,
By Tehe piękna znosiła niewolę.
O, tam polecę, jak wicher w głąb puszczy,
Wedrę się z mieczem w środek giaurów tłuszczy.
Mógłbym jéj u nich swobodę wymodlić,
Wszak mnie tam znają, mam u nich zasługi
Wielkie i większe niżeli ktoś drugi,
Który im służy, lecz się nie chcę podlić!
Ta jasna szaszka niech ich za mnie błaga,
A kindżał drogę do Tehy ukaże.
Dzika mnie niesie na skrzydłach odwaga (1)!
Wyłamię mury i wyrąbię straże,
I z więzów Tehę w objęcia pochwycę.
A ty mój koniu, przelęknione wrogi
Tratując nieś nas na wolne rozłogi.
Biegiem ich strzałów wyprzedź błyskawice.
Nuż biały koniu!"—I popuścił wodze,
I ku arguńskiéj potężnił odnodze.
Ach gdyby młode siły wystarczały,
Tam kędy młode niosą nas zapały,
Ileżby dziwnych cudów dokonali
Ci, w których młoda krew się jeszcze pali!

Issan w Arguńskie nabrzmiałe powodzią
Wiosenną wody rzucił się z rumakiem;
Po białych pianach płynął żywą łodzią,
I towarzyszom dawał znak kolpakiem.
A Argun wściekły jakby rozgniewany,
Że ktoś bezkarnie depce jego piany,
Groźnie zaryczał i mnogie ramiona
Rozwinął wkoło: zda się w głębiach łona
Śmiałego jeźdźca już z koniem pogrąży.
A koń kopytem modre wody bije,
Z ramion arguńskich wyrwał się i dąży
Po białym piasku do barwnych wybrzeży.
Lecz Argun baczny wnet ramię rozwije,
Jeźdźcowi drogę w około zabieży,
I wściekle ryczy nim się znów z nim zmierzy.
Jeździec się nie zląkł, śmiało w fale skoczył,
Żegluje koniem, depcąc grzmiące wały,
Co nań z okoła groźnie szturmowały.
Argun go piany białemi przemoczył,

(1) Charakter wcale nie przesadzony. Często na trudne i niepodobne do uwierzenia Czeczeniec odważa się przedsięwzięcia, lubo wie, iż z nich życia nie ocali.

Złamane dęby i skały nań toczył.
Długo się Issan z powodzią mocował:
Olbrzym z olbrzymem swoich sił próbował,
To rumak z jeźdzcem w wnętrzu fal zaginie,
To znów po falach tryumfalnie płynie!
Lecz krótki tryumf, nowe wały luną,
Z wałami drzewa i kamienie runą.
Jeździec nie dostał. Czy mu brakło siły,
Czyli je śpiewu dźwięki osłabiły,
Ustąpił falom. Argun w mokre wieńce
Obu ogarnął i prowadził jeńce,
Kędy się tocząc ramiona szerokie,
Formują zimne otchłanie głębokie,
Witając jeńców straszna otchłań ryczy,
Zdala ich żegna słodki śpiew dziewiczy.
Lecz dźwięki śpiewu i ryk wściekłych wałów
Wkrotce zagłuszył groźny grzmot wystrzałów,
Grzmiących z fortecy na widok młodzieży,
Pędzącéj stepem arguńskich wybrzeży.
Twarz nieruchomą Tehe u krat trzyma,
I długo śledzi łzawemi oczyma,
Jak z falą walczy Issan jéj kochany,
Jak mężna młodzież przebiega burzany,
Jak przed jéj końmi pękają granaty.
Lecz dym niedługo swym płaszczem szerokim
Zakrył ten widok przed dziewicy okiem.
Z westchnieniem Tehe odeszła od kraty;
A dzień żałobnéj wdziewa nocy szaty,
Czoło obłokiem obwił jak turbanem,
Po nim jak brylant rzadka gwiazda błyska,
A ziemia cała niby odaliska,
Milczy pokorna, jakby przed sułtanem.

Ach! smutne, smutne dni w więzieniu płyną,
A każda chwila zda się tam wiecznością,
A tęskne myśli, niby nawałnością
Miotane fale jedne w drugich giną,
Płynąc za swemi i lubą rodziną.
Lecz myśli Tehy od owéj epoki,
Gdy jeźdzca w walce widziała z potoki,
Jakby je mrozy twardym lodem ścięły,
Ni się rodziły, ni w wieczność płynęły.
Kędy w pamiętnéj owéj chwili stały,
Tam się wstrzymały i zlodowaciały,
I przed jéj duszą stoją niewzruszone,
Piękne jak góry zorzą ozłocone.
Twarz jéj milcząca i zimne spojrzenie,
Już się nie śmieje promieniem pogody,

Ni twoje dzielne gorące natchnienie,
Niezdolne stopić skrzepłych uczuć lody
I dać im życie, o żołnierzu młody!
Milczą w niéj władze, jak arfa bez głosu,
Stojąc u mety, kędy się chaosu
Smutne, żałosne zaczyna władanie,
Które się zwykle zowie pomieszanie.
Ach prędzéj, prędzéj kto masz tkliwe serce
Pospieszaj, póki w gasnącéj iskierce
Tli jeszcze życie. Pospieszaj to kwiecie
Zbawić od zguby, nim je burza zmiecie.

Wszedł młody żołnierz, twarz pełna wesela
Dziwną radością naokoło strzela.
„Siostro Czeczenko, dobre niosę wieści;
Nasz wódz się twojéj litując boleści,
Szle mnie do ciebie, abym twéj niewoli
Zwiastował koniec i przyniósł nadzieję
Weselszéj doli, coć się wdzięcznie śmieje.
Lecz gdy ci Allah wolną być pozwoli,
Nie zapominaj tułacza-żołnierza,
Co cię ratował w imię tego krzyża:
Krzyż przyjm odemnie. Ach, on był mi dany
Z błogosławieństwem od matki kochanéj,
Gdym na tułactwo szedł z rodzinnéj ziemi.
Nieraz go łzami zlewałem rzewnemi
W chwili udręczeń. Dziwna jego władza
Broni od przygód i smutki złagadza.
Noś go na sobie, bodaj ci dokoła
Rozlewał szczęście i spokój anioła".
W czeczeńskiéj mowie prawił żołnierz młody;
Lecz dusza Tehy na wszystko zamarła
Odbiła promień szczęścia i pogody,
Jak odbijają blask kaukazkie lody.
Nieme powieki szeroko rozwarła,
Gdy młodzian szyję zdobił jéj krzyżykiem,
Lecz swéj radości ani zadziwienia
Nie objawiła najmniejszym okrzykiem.
Była jak lilja, która bez promienia
Umiera pośród grobowego cienia.

Doroczny bajram giaury świętowali:
Huczna, wesoła w twierdzy pobulanka
Śród wojska grzmiała od samego ranka.
Młodzi na koniach, przy błyszczącéj stali,
Męzkiéj zręczności i sił próbowali,
Udawanemi bawili się bitwy;

Dziewczęta w długie stojąc korowody,
Nucą powaby miłości, urody.
Wódz z twierdzy jedzie i konne gonitwy
Czeczeńskiéj młodzi na stepie ogłasza,
I licznych gości na świadków zaprasza:
Wnet więc z poblizkich aułów młódź rada
Lotnych wierzchowców z okrzykiem dosiada
I pędzi na plac, kędy zgromadzeni
Usiedli widze śród namiotów cieni.
A w dziarskiéj młodzi czeczeńskiéj orszaku
Przybył i Issan na białym rumaku,
Issan, którego sam wódz znał z osoby,
Z posępnym wzrokiem i pełnym żałoby.
Spokojnie zważał młodzieży zapały;
Sława ni miłość, za któremi goni
Serce młodzieńcze, doń nie przemawiały.
Spokojnie słuchał, stojąc na ustroni,
Jak wódz ogłaszał dla zwycięzców dary,
Na które chciwy młody jak i stary;
Błyszczący oręż sieczny jak i palny,
Koń jeden, drugi, bystronogi, walny,
I stada łupem zajętych baranów.
A kresem gonitw było trzy kurhanów;
A ten wygrywa nagrodę z młodzieży,
Kto piérwszy koniem na kurhan wybieży.
Podano hasło—młodzież ogniem gore,
Kopyty ziemię biją konie skore,
Strzygą uszami, i rżą i parskają.
Podano drugie—już kopyta grają
Po czystym stepie harmonijnym grzmotem,
A jeźdzce pędzą błyskawic polotem,
Dając dowody przedziwnéj zręczności,
Na podziw wodza i zebranych gości.
Nieraz dojeżdżacz prześcignion od braci,
Co zda się palmę już zwycięzką traci,
Gwiznął na konia, ten już przodem rwie się,
Na skrzydłach chęci swego jeźdzca niesie.
Zwycięzca jeździec na urągowisko
Kiedy dojeżdża do kurhanów blizko,
Kosmaty kołpak przed siebie wyrzuci,
W tył się obejrzy, szydersko zanuci,
Z siodła się nagnie do samego piasku
Podnosząc kołpak; lub pochwyca w dłonie
Gwintówkę w locie, śród dzikiego wrzasku
Uderza w kołpak rzucony na stronie,
I zawieszony u wierzchowca boku,
Nabija broń swą przyspieszając kroku;
A wylatując na wierzchołek góry,
Na znak zwycięztwa wystrzela pod chmury.

Issan z pogardą patrzał na popisy
Dzikiéj swéj braci przed niewiernych okiem:
Zimne, szydercze twarz przybrała rysy.
Czyż ma cenione dżygita przymioty
Wzorem spodlonéj braci swych hołoty
Tak aż poniżać, aby ich widokiem
Bawił swych wrogów jak pajaczym skokiem!
Lecz stój Issanie, jest na ciebie sposób.

Wódz skinął—w obec zgromadzonych osób
Wnet postawiono dorodną dziewicę.
A ledwie czadrę (1), co jéj kryła lice
Zdjęto z nad oczu, o dziwny widoku!
Jak wschodzi ranek z pod gazy obłoku,
Lecz ranek cichy, najpiérwszych dni kwietnia.
Nie ten, za którym pała spicka letnia,
Tak licem wkoło błysła branka młoda;
A wódz zawoła: „Ostatnia nagroda
Piérwszemu z jeźdźców. Wszak dla téj Tatarki
Warto się puścić na złamane karki.
Nuże dżygity, kto się w sile czuje!"
Wnet szmer przeleciał jak lekkie wietrzyki,
Kiedy je zbudzą poranku promyki.
Wielu z młodzieży na plac występuje,
Za daném hasłem wnet się puszczą w szranki,
Kogóż nie znęcą pięknéj oczy branki?
Gwizną i wrzasną. Już na wiatry grzywy
Rzuciły konie, jak strzały z cięciwy
Razem wylecą, mkną się coraz daléj,
Słychać stuk kopyt i brzęczenie stali.
Czegóż Issanie stoisz jak nieżywy?
Czyliż dozwolisz, by inny zawładał
Skarbem, za którym tak długoś przepadał;
Coś go na wagę swojéj duszy płacił,
I swém sumieniem w końcuś go utracił.
Dziś go kopyty swego kupisz konia:
Śmiało Issanie! Wnet zagrzmiały błonia,
Po ich zieleni mignął rumak biały,
I jakby czując o co idzie panu,
Prędzej błyskawic dążył do kurhanu.
O, rychléj koniu! wszakże kiedyś w chmurze
Niosłeś Issana przez gromy i burze,
Niosłeś go w lasy, w góry i obłoki,
Przez ognie, dymy, przez groźne potoki;

(1) *Czadra*, biała gęsta zasłona, którą się okrywają wschodnie kobiéty wychodząc na ulicę.

Dziś go po równi, po zielonéj błoni,
Po wonnném kwieciu nieś go żywiéj do niéj.
Za to cię zawsze u Gojty napoi,
I będzie karmić z białej dłoni swojéj.
Rychło dopędził tych, co w przodzie byli,
Każdy rumaka przymusza i nagli;
Lecz się naprożno cały orszak sili,
Bo wiatr miłości nie wzdyma ich żagli.
Nie tak łódź szybko morskie kraje piany,
Ni orzeł w niebios wylata obszary
Na widok w górze czerniącéj ofiary,
Jak koniem Issan przeleciał burzany,
Jak bystro wybiegł na kurhan zielony,
Rzuciwszy w tyle orszak zadziwiony.
Dokoła głośne „hurra" mu zagrzmiało,
I nim ucichło on na równią bieży,
Milczącą Tehę smutną, czy niesmiałą,
Pochwyca na koń z przed wzroku młodzieży,
Znikł niby widmo.

Cóżto za radość dla Czeczeńca była
Lecieć po stepie jak po niebios błoniu,
Z szaszką w prawicy na swym białym koniu,
W silném objęciu jego Tehe mila!
Jemu się zdało, iż się znów sprzymierzył
Z ludźmi, z Allahem, w których już nie wierzył;
I to sumienie, co je stłumił w sobie,
Znów przemówiło, lecz w słodkim sposobie.
A gdy swą Tehę do piersi przyciska,
Zda mu się niebo, co po nad nim błyska,
Razem z kochanką do górnego łona
Tuli go w jasne objąwszy ramiona.
I tak mu słodko bujać w tém objęciu,
Jak w lekkiéj chmurze młodemu orlęciu.
Daleko w tyle już zostali wrogi,
O bodaj nigdy w ich nie wstąpił progi!
W prawo i w lewo dwa bez granic stepy
Zdały się dwoma skrzydły sokolemi,
Na których z jeźdzcem biały koń od ziemi
Zdał się wylatać aż pod nieba sklepy.
Na tych się skrzydłach w powietrzu kołysze,
Lekkim eterem pośród niebios dysze.
A w przodzie lasy szumiały Czeczeńców,
Jedwabnych liści wiewając zasłony:
W cieniach jak miękkie łoże nowożeńców
Wonną konwalją kwitł trawnik zielony,
Wysłany lilją, górą obwieszony
Wonnemi wieńcy akacyj, jabłoni,

Co się od wstydu niby miłość płoni.
Bokiem trawnika płynie Gojta cicha,
Tuląc się w liljach narzeka i wzdycha,
Z żalem wychodzi z rodzinnego kraju
Szukać schronienia w nieznajomym gaju.

Na Gojty brzegu wstrzymał jeździec konia,
Z strzemion zeskoczył, drogi ciężar bierze,
Sród czarownego lasów tych ustronia
Składa na darni i całuje szczerze.
I w oczach, które czarne rzęsy cienią,
Dzikiém spojrzeniem wzajemności pyta.
Ach! lecz te oczy już się nie promienią
Dawnym swym blaskiem, ni w licu rozkwita
Róża piękności, którą Issan młody
Myślą przesadzał w proroka ogrody.
Martwe te oczy i te były lica.
Mieliżby giaury serce to za złoto
Kupić, za które on życiem i cnotą
Opłacić nie mógł! Straszna tajemnica!
Złoty wtém krzyżyk na piersi dziewicy
Błysnął i oczy blaskiem błyskawicy
Młodzieńca olśnił. Na to święte hasło
Całe w nim piekło powstało, zawrzasło.
Potożeś młody żołnierzu w to znamię
Boskie ozdobił pięknéj Tehy ramię,
Aby na nowo śpiącego szatana
Obudzić w piersi wściekłego Issana?
Czeczeniec zamilkł, blade usta drżały,
Zęby się ścięły i lica zczerniały,
Jako czernieje chmura, kiedy gromy
Mają z niéj wypaść na spokojne domy.
Nagle się zerwał, groźnym wzrokiem błysnął,
Kindżał pochwycił i w pierś Tehy cisnął,
Zagrzmiał przekleństwy, słów wyzionął grady.
Obłok po burzy—spokojny i blady;
Skoczywszy na koń w burkę się owinął,
Konia uderzył, w głębi stepu zginął.
Na Gojty brzegu, gdzie konwalja biała
I lilja kwitła, dziewica konała.
Kindżał Issana, nigdy krwi nie syty,
Drżał w białéj piersi po rękojeść wbity;
Z pod zimnéj stali ciepła krew się sączy.
Z nią duch do raju ulatuje rączy,
Z duszą zagasa blask ostatni oka,
I lica śmierci obwija pomroka.
Tak kona lilja, stepów tych sułtanka,
Co ledwie ujrzy blask złotego ranka,

Gdy wąż zazdrosny wdziękom i urodzie,
Zjadliwym zębem piersi jéj przebodzie.
A jako pożar, gdy się zakradł w stepy
I groźnie krocząc jasnemi bałwany
Ogarnia pola, pnie się na kurhany,
A w dymach kłębi aż pod jasne sklepy,
Stepową lilję spotkawszy nad rzeką,
Ognia skrzydłami łono jéj owinie,
Odymi lica jéj czystsze nad mleko,
I niszcząc wszystko w bogatéj dolinie,
W sobie się trawi i nareszcie ginie;
Tak miłość wściekła dzikiego górala,
Co spotka w drodze, burzy i obala.
Gdy zniszczy życie dziewiczego łona,
Dopiéro sama ucicha i kona.
Kaukazki ranek błyska pod niebiosy,
Drży księżyc w górach. Ciągną z gór pasterze,
Ciągną stadami na Gojty wybrzeże,
I Tehy zwłoki na kwiatów posłaniu
Znajdują w świetném, weselném ubraniu,
Niegdyś przywdzianém; a jéj krucze włosy
Zdobiło kwiecie spadłe z kroplą rosy.
O losach Tehy gór pasterze czuli,
Różne domysły, długo stojąc, snuli;
I owinąwszy w czadrę długą, białą,
Kladą w mogiłę obumarłe ciało.
Nad tą mogiłą akacyj kędziory
Dotąd wiewają wiodąc rozhowory.

PRZEGLĄD KRYTYCZNY ROZPORZĄDZEŃ TAK ZWANEGO STATUTU WIŚLICKIEGO

PODŁUG PRZEDMIOTÓW UŁOŻONY, Z UWZGLĘDNIENIEM POPRAWNEJ WERSYI W DZIELE PANA Z. A. HELCLA PODANEJ I Z OCENIENIEM ZDOBYCZY NAUKOWYCH PRZEZ JEGO BADANIA OSIĄGNIĘTYCH.

NAPISAŁ

Alexander hr. *Stadnicki.*

(Ciąg dalszy).

Część II. — Prawo polityczne.

ROZDZIAŁ VII.

SZLACHTA, MIESZCZANIE, ŻYDZI, WŁOŚCIANIE.

Gdzie klejnot szlachecki jeden tylko obowiązek i to najchlubniejszy wkładał, t. j. obowiązek stawania w obronie kraju w każdéj jego potrzebie: gdzie w zamian za ten obowiązek dawał ludziom rycerskiego pochodzenia i znacznie wyższy wymiar grzywien za uderzenie, zranienie lub zabicie się należących, i udział przeważny w sprawach krajowych, i takie nakoniec poważanie u monarchy, że zbiegła za granicę lub łotrzykująca po kraju szlachta mogła zupełne przebaczenie króla otrzymać, ale nigdy już więcéj z nieskażoną takiém postępowaniem szlachtą równać się nie mogła; tam, gdzie jedném słowem szlachectwo

w oczach każdego szlachcica najcenniejszą jego stanowiło ozdobę: tam prawowitość pochodzenia rycerskiego wysoko cenić, czystości krwi szlacheckiéj surowo przestrzegać, a przedewszystkiém nad tém czuwać musiano, aby nikt bezprawnie w rzędy szlachty się nie wsuwał.

Nie dziw więc, że art. LXXXVIII (1) Statutu Wislickiego na szlachcica, któryby drugiego bękartem lub synem wszetecznicy nazwał a tego zaraz dowieść nie mógł, taką samą karę nakłada, jak żeby go był zabił, t. j. sześćdziesiąt grzywien, i że do téj kary każdego pociąga, który matkę drugiego, nie mogąc tego zaraz dowieść, nierządnicą nazwał. Taki musi prócz tego odwołać swą obelgę w następujący sposób: „to, co powiedziałem, łgałem jak pies.“

Nie dziw także, że Statut Wiślicki osobném rozporządzeniem przepisuje, w jaki sposób szlachectwo zaprzeczone dowodzić się ma. Rozporządzenie to podług Wulgaty Bandtkiego jest następującéj osnowy:

Art. XXXIII (2): „Rody szlacheckie od przodków się wywodzą i rodowód taki wiarogodnymi świadkami dowodzić się zwykł. Gdy więc kto szlachcicem i wielmożnym się nazywa, i twierdzi się być równym innéj szlachcie to zaprzeczającéj, powinien dla udowodnienia swego rodowodu przystawić sześciu starszych mężów, a między temi dwóch z swego własnego plemienia i ci dwaj pod przysięgą zaświadczą, że on jest ich bratem z domu i rodu ich pochodzącym; a drugą i trzecią genealogią winien także świadkami dowieść:“ (debet inducere *sex* nobiles viros seniores, *duo* de sua stirpe genitos, et hi *duo* jurati dicant, quod sit eorum frater et domo et stirpe eadem paterna procreatur; de secunda et tertia genealogia etiam per duos testes producendo).

Mamy powyższą wersyą za łataninę z różnych kodexów. Niektóre każą każdą genealogią t. j. tak pierwszą jak drugą i trzecią dowodzić dwoma świadkami bez bliższego oznaczenia, czy pod drugą genealogią wywód rodu macierzyńskiego, czy też

(1) Helcel artykuły 84 i 85 Zw. gł., z których pierwszy piérwszéj, drugi drugiéj połowie artykułu odpowiada; obydwa zgodne z Bandtkiem.

(2) Hel. art. 31 Zw. zgodny z Bandt. z tą różnicą, że zamiast *hi duo jurati dicant*, pisze: *qui jurati dicant* i że ostatni ustęp opuszcza *de secunda et tertia genealogia* i t. d. do końca.

wywód od dziada rozumieć się ma. Inną wersyą a może najdokładniejszą tego rozporządzenia podaje artykuł czterdziesty szósty statutu piotrkowskiego, który w przekładzie „Świętosława z Woc. (art. 44 zbyt. stat. wielkopol.) brzmi jak następuje: „Ustawiamy, iż gdyby kto obwinionym był, aby nie miał prawa szlachetnego, ten dwóch starszych swego rodu po ojcu, a drugich dwóch drugiego rodu, a trzecich dwóch trzeciego rodu, pospolicię dobrych ma wieść obyczajem obwykłym ku odzierżeniu swego prawa szlachetnego, co przysięgną, iż brat z ich szczytu, a siostrzeniec jest, a jest szlachcic (1).“ Kodex B. IV nakoniec, za którym poszedł p. Helcel, wymaga w ogólności tylko świadectwa zaprzysiężonego sześciu mężów z tego samego plemienia pochodzących, iż powołujący się do nich jest ich bratem z ojczystego ich rodu pochodzącym.

Z rozmaitych tych textów posklejał Bandtkie zapewne za przykładem kilku kompillatorów ustęp powyżéj dosłownie cytowany, którego już sama nieloiczność stylizacyi potępia. Uchylając go, zastępujemy go wersyą przez p. Helcla przyjętą, zwłaszcza że się z nią zgadzają obydwa texta polskie, które ten artykuł w statutach małopolskich umieszczają (art. 31). Porównawszy ją z przytoczoną osnową czterdziestego szóstego artykułu piotrkowskiego, dostrzeżemy, że artykuł małopolski znacznie udowodnienie uprościł; a gdy weźmiem jeszcze na uwagę dorzucony do artykułu wielkopolskiego, przez Świętosława z Woc. przypisek, że „to kapitulum stoje wyżéj już wszystko zgarnione pod kapitulum *nobilitatis stirpes*, a takoż tu nazbyt stoje,“ wnioskować będziemy, *że artykuł wielkopolski jest dawniejszym, i że z niego przerobiono dla Małopolski a może i dla całego Królestwa artykuł wiślicki dotąd rozbierany.*

Szlachty zapewnie tyczył się głównie także i art VII (2). statutu téj osnowy: że za życia ojca synom tylko pieczęci jego używać i nosić wolno, ponieważ prawo uważa ich za jednę z nim osobę. Umieszczamy dlatego artykuł ten w niniejszym rozdziale, zwłaszcza że w żadnym innnym stosownego dlań miejsca nie mamy.

(1) Hel. art. 163 Zw. gł. z którym powyższy przekład Święt. z Woc. dlatego porównać warto, że słowa *jus militale* w oryginalnym tekscie się powtarzające, zawsze wyrazami: *prawo szlachetne* oddaje.

(2) Hel. art. 6 Zw. gł. zgodny co do treści z Bandtkiem.

* * *

Drugiego z porządku po szlachcie stanu w społeczeństwie polskiém, stanu za Kazimierza W. tak kwitnącego i przez niego tak szczególnie uwzględnionego, stanu *miejskiego* mówimy, dotyka tylko jeden artykuł Statutu Wiślickiego i to w sposób nieco upośledzający. Jestto artykuł XXXII (1) następującéj osnowy: „Chcąc mnogim zatargom tamę położyć, postanawiamy, że gdy mieszczanin albo wierzyciel jakiegobądź rodzaju“ (civis seu creditor) „ziemianinowi dał na borg sukna albo inne rzeczy, t. j. towary, borgujący prócz okazania dokumentu dług dowodzącego, winien dowieść świadkami, iż tego rodzaju umowę zawarł i dopiéro za takim dowodem przyznanie swéj należytości pozyska. Jeżeli zaś tych dowodów dać nie może, a pozwany borg zaprzeczy, będzie się tenże mógł uwolnić przysięgą.“

* * *

Jeżeli artykuł ten nie zdaje się przypisywać wiarogodności rewersom dłużnym, przez mieszczan na dowód swych wierzytelności w sądzie produkowanym, to znowu zabrania artykuł CXXXIX (2) *żydom* wszelkich pożyczek na rewersa i pozwala im tylko pożyczać na zastaw podług zwyczaju dawnego, motywując to rozporządzenie zaraz na wstępie tą uwagą: „iż żydowska przewrotność zawsze tylko ku temu dąży, aby chrześcianom majątki uszczuplali i wydzierali.“ Rozporządzenie to wzięte jest dosłownie z czterdziestego trzeciego artykułu statutu piotrkowskiego i nie umieszczone w małopolskich kodexach B. IV i Os. I. t. j. w kodexie z r. 1400 przechowywanym w Zakładzie Ossolińskich. Z znanych tekstów polskich podaje go tylko tekst Świętosława z Woc. w statutach małopolskich (art. 115), ale to mylnie, jak daléj okażemy.

Jeszcze nieprzyjaźniéj i surowiéj dla *żydów* wyraża się art. LXXXV (3) następującéj osnowy: „Ponieważ paszcza lichwiarzów jest nienasyconéj pożądliwości i w wyduszaniu pieniędzy granicy nie zna, zgromadzeni panowie i rycerzy nasi postanowili, iż żydzi prawdziwi nieprzyjaciele wiary chrześcian-

(1) Hel. art, 30 Zw. gł. zgodny z Bandtkiem.

(2) Hel. art. 135 Zw. gł. zgodny co do treści z Bandtkiem.

(3) Hel. art. 81 Zw. gł. znacznie odmienny. Różnice w rozbiorze wykazane.

skiéj od chrześcianów którym pieniędzy pożyczają, tytułem procentu nie więcéj jak pół grosza od grzywny tygodniowo i to z podziękowaniem brać powinni. A gdyby niektórzy z nich do nowych fortelów się uciekając, wypożyczywszy na skrypt pieniądze przez dwa lata ani o kapitał ani o procenta przyrosłe nie pozywali, tracą prawo do wszelkich dalszych procentów dwuletnią peryodę przechodzących, i będą się musieli kontentować samym kapitałem z przyrosłym już dwuletnim procentem i nie będą mogli żądać *większéj kwoty nawet na mocy skryptu otrzymanego*, ani téż dłużnik nie będzie obowiązanym płacić im jakąbądź większą obiecaną summę."

Odeszliśmy w powyższéj wersyi niniejszego artykułu od tekstu Bandtkiego w dwóch punktach. *Najprzód*, żeśmy procent tygodniowy na półgrosza od grzywny ograniczyli, kiedy Bandtkie ustanawia go na grosz od grzywny (nisi tantam unam quartam, alias unum grossum a marca). *Powtóre*, że wierzycielom żydowskim, którzy się przez dwa lata o procenta nie upominali, prawo do kapitału i zaległych dwuletnich procentów przyznajemy, i tylko od dalszych prowizyi ich odsądzamy, kiedy Bandtkiego wersya im nawet zaległe procenta zaprzeczać się zdaje (ex tunc ipso facto usuram intra duos annos accrescentem amittere debent, in sorteque principali *et summa capitali sola et absque ullis usuris* debent esse contenti). W obydwóch punktach trzymaliśmy się kodexu B. IV, za którym poszedł p. Helcel, i zgodnych z nim tekstów polskich. W prawdzie pisze kodex B. IV tylko *unam quartam* bez bliższego oznaczenia, ale obydwa teksta polskie dorzuczają zaraz, że ta *quarta* półgrosza oznacza; a że w tym względzie z ich strony pomyłka nie zaszła, dowodzi to najlepiéj, że w przekładzie dwudziestego siódmego artykułu statutu piotrkowskiego prowizyę tygodniową w Wielkopolsce dozwoloną wyraźnie na *cały grosz* od grzywny oznaczają. Co się zaś drugiego punktu tyczy, usprawiedliwia przez nas przyjętą wersyę sama już nieloiczność osnowy Wulgaty, a mianowicie wyrażenie *usuram intra duos annos accrescentem*, które żadnym sposobem pogodzić się nie da z dalszymi wyrazami *et absque ullis usuris*, i które tekst kodeksu B. IV słusznie zastępuje wyrazami *et de usura jam aucta infra dictum tempus sint contenti*, wyrazami dosłownie przez Świętosława z Wocieszyna przetłumaczonemi.

Ale jeżeli w powyższych ustępach odeszliśmy od wersyi Bandtkiego, to trzymaliśmy się jéj znowu w ostatnim okresie: neque per eandem literam obligationis obligantem poterint *ad majorem summam compellere*," a odrzuciliśmy wersyę kodexu B. IV i p. Helcla: „neque per eandem literam obligationis poterint obligantem *effectualiter ammonere*" etc. Taka lekcya albowiem mogłaby domniemania spowodować, iż wstęp rzeczony obligom przez żydów produkowanym wszelką moc obowiązującą odmawia, t. j. że art. CXXXIX powtarza, gdy przeciwnie lekcya Bandtkiego unieważnia jak najwyraźniéj rzeczone obligi tylko o tyle, o ile z nich wierzyciele prawo do większéj summy, niż kapitał i dwuletnie procenta wynoszą, wywodzićby mogli. A że taki a nie inny był zamiar prawodawcy, twierdzimy już z tego względu, że w przeciwném przypuszczeniu cały poprzedzający ustęp nie potrzebnymby był. Jeżeli wierzyciele żydowscy z wręczonych im rewersów dłużnych żadnéj akcyi nie mają, to samo z siebie się rozumie, że nie mają takowéj i do kapitału wraz z dwuletniemi procentami. Nie przeczymy bynajmniéj, iż w taki sposób tłumaczona cała druga połowa niniejszego artykułu jest poniekąd w sprzeczności z artykułem CXXXIX i z nim razem w jednym i tym samym statucie mieścić się nie może; ale sprzeczność ta leży już w główném jéj rozporządzeniu a nie dopiéro w ostatniém.

Nie znajdujemy takiéj sprzeczności w statucie piotrkowskim. W nim mieści się obok wyżéj przytoczonego czterdziestego trzeciego artykułu, t. j. obok zakazu, aby żydzi na rewersa pieniędzy nie pożyczali (art. CXXXIX Bandt. jak wyżéj), tylko nostępujący art. dwudziesty siódmy, który lichwę żydowską do jednego grosza od grzywny tygodniowo ogranicza i którego osnowę Świętosław z Woc. w niniejszy sposób przekłada (1): „Lywną przepaść co imienia wyczerpywa, uśmierzyć żądając, ustawiamy téż, aby żydzi w naszych mieściech nie więcéj przez tydzień za liphą brali, niźli po jednemu groszu od każdéj grzywny." (Lel. ustawy Wielkopl art. 25). Artykuł ten przypomina swą stylizacyą pierwszą połowę artykułu LXXXV, ale dozwala pobór znacznie wyższéj stopy procentowéj; widocznie więc i ten artykuł tak dobrze jak art. CXXXIX został przerobionym i zmienionym dla Małopolski. Z tego atoli bynajmniéj

(1) Hel. art. 153 Zw. gł. zgodny z Bandtkiem.

nie wynika, żeby obydwa te artykuły przestały być obowiązującemi dla Wielkopolski: artykułowi owszem CXXXIX przyznaje wyraźnie taką moc obowiązującą art. XIX statutów wartenskich. Artykuł ten powiada, że aczkolwiek „in constitutione ejusdem capituli, quod incipit *porro*.“ ect. to w art. CXXXIX, żydom pożyczanie pieniędzy na obligi i inskrypcye zabronione i tylko za zastawem pozwolonem zostało, oni wbrew prawom kanonicznym i cywilnym nie przestają w udzielaniu takich pożyczek. Chcąc przeto ratować swych poddanych, powtarza król Władysław zakaz powyższy z tym dodatkiem, że gdyby jaki żyd takie obligi albo inskrypcye pokazał, albo na takowe pieniędzy pożyczył, takowe żadnéj ważności nie mają i pożyczających dozwrócenia otrzymanéj pożyczki nie obowiązują. Artykuł ten dowodzi, że jeszcze w r. 1423 poczytywano za obowiązujące rzoporządzenie artykułu CXXXIX. Rozporządzenie to nie mogło obowiązywać Małopolskę, ponieważ ta się rządziła artykułem LXXXV, który jak wykazaliśmy, żadnym sposobem z tamtym pogodzić się nie da. Mogło więc tylko Wielkopolskę obowiązywać. *Pewiemy więc, że art. LXXXV jest wyłącznie małopolski, art. CXXXIX wyłącznie wielkopolski.* Obok ostatniego mógł obowiązywać tylko rzeczony dwudziesty siódmy art. statu piotr., a nie art. LXXXV będący z nim w sprzeczności; powiemy więc że i ten art. piotr. został obowiązujący dla Wielkopolski. Nie zatajamy sobie wprawdzie niezbędnych następstw takiego rozkładu: t. j. ustanowienie innéj procentowéj stopy dla Małopolski a innéj dla Wielkopolski, jak niemniéj odmienność przepisów tyczących się mocy obowiązującéj rewersów dłużnych, przez żydów produkowanych, ale nie znamy inszego sposobu pogodzenia rzeczonych artykułów z przytoczoną osnową rzeczonego artykułu 19 statutów warteńskich.

* * *

Przystępujemy teraz do owego stanu, który największéj protekcyi Kazimierza W. doznawał, który że nie ledwo od niego byt więcéj samoistny poczyna, t. j. do stanu włościan. Szczupłą jest liczba dotykających go rozporządzeń wiślickich (bo Kazimierz W. dla utworzenia stanu kmiecego więcéj przywilejami osadniczemi, niż osobnemi prawami działał) ale i w tych rozporządzeniach zamiar osłonienia go od uciemiężeń jest widocznym. Przytoczyliśmy już w poprzedzającym rozdziale artykuły

opiewające o pochodach wojskowych i wynikających ztąd dla rolników szkodach; przytoczymy w dalszych rozdziałach owe, które uboższych od zdzierstw sędziów i woźnych chronić miały na celu. Tutaj umieścimy tylko te, które bezpośrednio stosunku pana lub dziedzica do poddanych dotykały. Są to następujące:

Art. LV (1): „Wkradło się nadużycie, że gdy kmiecie albo wieśniacy albo mieszczanie bezpotomnie umierają, cały ich majątek ruchomy i nieruchomy przez panów ich pod tytułem puścizny zabierany bywa. Uważając taki zwyczaj za niedorzeczny i prawu przeciwny“ (et juri contrariam) „postanawiamy: aby z majątku po śmierci rzeczonych ludzi pozostałego przedewszystkiém kielich za półtora grzywny do kościoła parafialnego sprawiono, a reszta majątku bez żadnéj trudności najbliższym krewnym lub powinowatym oddana została.“

Rozbieraliśmy to rozporządzenie już w inném pisemku (2), do którego łaskawych czytelników odsyłamy, i wyrzekliśmy już wtenczas nasze przekonanie, że niniejszy artykuł albo wyłącznie o poddanych na prawie niemieckiém osadzonych opiewa, albo jeżeli się także do poddanych na prawie polskiém siedzących stosuje, że zawiera tylko zakaz, aby dziedzice po śmierci takich poddanych prócz nieruchomego majątku, który zawsze do dyspozycyi pana jako właściciela zostawał, nie zabierali także ruchoméj pozostałości. Nie zmieniliśmy tego przekonania.

Art. LXXIII (3): Ponieważ przez uchodzenie poddanych z gruntu bez żadnéj słusznéj przyczyny majątki panów niszczeją, uznali nasi baronowie potrzebę zapobieżenia bezzwłocznego grożącemu ztąd niebezpieczeństwu (huic periculo non segniter obviare). Postanawiamy przeto. że naprzyszłość bez przyzwolenia pana lub dziedzica nie więcéj jak dwóch kmieci albo wieśniaków z jednéj wsi do drugiéj przenieść się może, wyjąwszy w następujących wypadkach:

a) „Gdy pan wsi zgwałci żonę lub córkę swego kmiecia..

(1) Hel. art. 53 Zw. gł. zgodny co do treści z Bandtkiem.

(2) Zob. w Dodatku do Gaz. Lwow. z r. 1856, Historya prawodawstwa o spadkach włościańskich w Galicyi art. I.

(3) Hel. art. 69 Zw. gł. zgodny co do treści z Bandtkiem, tylko że ustęp: *nostris baronibus huic periculo non segniter obviantibus, cum quibus una statuimus*, zastępuje następującym: *non segniter obviare, propter quod nostra voluntate est institutum.*

b) „Gdy z winy jego poddani dóbr na złupienie lub grabienie narażeni bywają.

c) „Gdy klątwa dla jego przewinienia na wieś rzucona trwa przez rok cały. W tych albowiem przypadkach nietylko trzech lub czterech ale wszyscy mieszkańce wsi oddalić się mogą, dokąd im się podoba."

Przy tłumaczeniu powyższego artykułu nawinęły się nam dwie wątpliwości:

Pierwsza, czy w ustępie, „aut si pro excessu, sive culpa haeredis ibidem villani bonis ipsorum depredentur" pod wyrazem *depredentur* rozumieć się ma tylko grabienie poddanych za przewinienie dziedzica, czy też raczéj ich łupienie przez samego dziedzica lub przez obcych z danego przez niego powodu. Za pierwszém tłumaczeniem przemawia tylko druga część artykułu LXXXVIII, która wyliczając powtórnie wypadki, w których poddanym swego pana tłumnie opuścić wolno, w następujący sposób się wyraża: „Idem! liceat ipsis emethonibus facere, cum ob culpam sui domini pignora de iis fuerint recepta, tunc absque quolibet inpedimento possunt fugere ab eodem." Ale powiedzmy to zaraz, że druga ta część artykułu CXXXVIII jest wyłącznie wielkopolskiém rozporządzeniem, do którego wedle wszelkiego prawdopodobieństwa dopiéro późniéj postanowienia małopolskiego artykułu LXXII przybrane zostały, i że z niego pierwotną osnowę tych postanowień już dlatego samego odgadywać nie można, ponieważ być może, że przy zastosowaniu ich do Wielkopolski zmienione zostały. Za drugiém tłumaczeniem przeciwnie przemawia sam wyraz *depredentur*, którym nigdzie w statucie grabież sądowa oznaczona nie bywa; przemawia daléj zakaz artykułu XXV, aby za winę dziedzica kmiecie jego pozywani a tém mniéj fantowani nie byli, zakaz, który poddanym przynajmniéj na przyszłość usunął ten powód do uchodzenia ze wsi; przemawiają nareszcie oba teksta polskie, które rozróżniając sądowe grabienie poddanych od łupienia ich za przewinienia dworu, tak w jednym jak w drugim dostateczny powód dla poddanych do opuszczenia wsi upatrują, (Lel. stat. małop. art. 57). Trzymaliśmy się przeto tego tłumaczenia.

Wątpliwszém jeszcze było, czy same rzucenie klątwy kościelnéj na wieś za przewinienia dziedzica uchodzenie poddanych usprawiedliwia, czy dopiéro wtenczas uchodzić mogą, jeżeli ta klątwa w przeciągu roku zniesioną nie została. Za pierw-

szą wersyą przemawia osnowa drugiéj części artykułu CXXXVIII, przemawiają równie obydwa teksta polskie. Utrzymaliśmy mimo to i w tym względzie zgodną z kodeksem B. IV i p. Helclem wersyą Bandtkiego jako słuszniejszą, przypuszczając jednakowoż, że dla Wielkopolski w sposób w art. CXXXVIII oznaczony, zmienioną zostać mogła.

A teraz przejdźmy, przeskakując kilka mniéj ważnych artykułów do artykułu CXXXVIII zawierającego i główną ustawę o warunkach, pod któremi pojedynczy poddani grunta swe opuszczać mogli, i sankcyą karną na zbieżenie poddanych bez dopełnienia tych warunków. W taki sposób redagowany jak go nam Łaski i Bandtkie podają, składa się ten artykuł widocznie z dwóch części, z których każda jest inną wersyą tego samego rozporządzenia, raczéj odrębném rozporządzeniem. Odróżnimy te części składowe w wolném naszém tłumaczeniu tego artykułu, dołączając zaraz to objaśnienie, że druga wersya jest wyłącznie wielkopolską, którą statut piotrkowski wydania Bandtkiego w trzydziestym ósmym artykule, a Świętosław z Woc. pod l. 36 zbytnich statutów wielkopolskich podaje.

Art. CXXXVIII (1). *Część I, raczéj pierwsza wersya.*

„Postanawiamy tudzież, że gdy kmieć królewski albo jakiegobądź pana królowi podległego bez winy tego pana zbiegnie, zbiegły ten kmieć żadnego prawa potąd nie osiągnie" (nullum jus requirat) „dopóki pan o siedzibie jego pewnéj wiadomości nie poweźmie i że dopiéro po roku od powzięcia téj wiadomości, jeżeli się pan przez ten rok o powrót zbiegłego nie upomniał, prawo do dalszego upominania utraca. Ale jeżeli taki zbiegły kmieć (chociaż w przeciągu roku do powrotu zawezwany i o nieprawe zbieżenie przeświadczony etiam jure convictus) „dla surowości lub zawziętości pana powrócić nie chce; tedy zapłaciwszy trzy grzywny kary i całoroczny czynsz, jaki pierwiéj opłacał, może się od powrotu uwolnić. To je-

(1) Hel. art. 134 Zw. gł. podaje dwie wersye tego artykułu: z których pierwsza pierwszéj, druga drugiéj części artykułu Bandtkiego odpowiada. W pierwszéj połowie odstępuje od Bandtkiego w tém, że zamiast *ex tunc post annum si ipsum repetere voluerit minime sibi hoc facere licebit*, kładzie wręcz przeciwną wersyą *ex tunc post annum repetere voluerit, jure terrestri sibi hoc facere licebit*, którą przyjąć dlatego nie mogliśmy, ponieważ całe rozróżnienie między reklamacyą przed rokiem, a po ubiegu roku uczynioną, niepotrzebném i niedorzecznémby robiła.

dnakowoż rozumieć się ma tylko w prawie ziemskiém, a nie w prawie niemieckiém. Bo gdy kmieć na prawie niemieckiém jest osadzony, odejść nie może, tylko sprzedawszy swe gospodarstwo albo postawiwszy na swém miejscu równie bogatego kmiecia, albo nareszcie odstąpiwszy panu swe grunta poprzednio należycie uprawione i tak jesiennemi jak wiosennemi zasiewami opatrzone".

CZĘŚĆ I WERSYA DRUGA. WERSYA WIELKOPOLSKA.

„Dodajemy, że wszystko co zbiegły nocną porą kmieć w domu zostawi, własnością opuszczonego pana się staje i że każden obcy dziedzic, którenby takiego zbiega przyjąć i zatrzymać chciał, nietylko go dawniejszemu właścicielowi wraz z wszystkiemi ruchomościami przez niego przyniesionemi zwrócić, ale temuż karę pietnadziestą zapłacić ma. Winy zaś, dla których kmieciowi pana swego opuścić jest wolno, są następujące: *po pierwsze*: „Kiedy dziedzic dla przestępstwa jakiego przez kościół wyklęty został i dlatego kmiecie kościelnego pogrzebu są pozbawieni"; *po drugie*: „Jeżeli pan zgwałcił jednę z swych poddanek w jakiémbądź miejscu, bo skoro to dowiedzione zostanie, nietylko krewni zgwałconéj, ale wszyscy wieśniacy téj wsi, w któréj ta zbrodnia popełnioną została, każdéj godziny śmiało odejść mogą i gwałciciel ich zatrzymać, albo w czémbądź im odejście utrudniać nie śmié" (seu in aliquo modo molestare); *po trzecie*: „Wolno kmieciom toż samo uczynić, tojest bez najmniéjszéj przeszkody od dziedzica swego uciec, skoro za przewinienie jego grabieni zostali. Gdzie zaś wyż wyliczone przyczyny nie istnieją, kmieć nie może odejść od swego pana chyba w Boże Narodzenie, zostawiwszy dom w dobrym stanie i porządnie płotem otoczony, podług dotychczasowego zwyczaju. A jeżeli miał pierwiéj lata wolności, tyle lat musi panu odsłużyć, ile miał tych lat wolności, a to jeżeli kmieć na polskiém prawie był osadzony. Bo kiedy osadzony był na prawie niemieckiém, nie może gruntu opuścić, tylko zapłaciwszy czynsz za tyle lat ile miał wolności, i wtenczas nawet tego czynić nie może, chyba osadziwszy równie bogatego kmiecia na swém miejscu, nareszcie uprawiwszy i zasiawszy tak na zimę jak na wiosnę swą rolę".

Porównawszy obiedwie części, tojest wersye niniejszego artykułu, dostrzegamy, że tylko w jednym punkcie się zgadzają, t. j. w orzeczeniu, że kmieć na niemieckiém prawie osiadły gruntu swego opuścić nie może, chyba osadziwszy na swém miejscu drugiego równie bogatego i po uprawieniu i po obsianiu poprzedniém swych gruntów. A i tu nawet opuszcza odpowiedni ustęp wersyi drugiéj wielkopolskiéj umieszczone w pierwszéj nader ważne słowa, *nisi hereditate vendita*, z których słusznie dla kmieciów na niemieckiém prawie siedzących własność użytkową gruntów w ich posiadaniu będących wywodzono.

W każdym innym względzie oba te rozporządzenia jeszcze więcéj się różnią.

Gwoli pierwszéj wersyi czyli części zależało upoważnienie do opuszczenia wsi od pierwotnych warunków osiedlenia, t. j. od różnicy, czy kmieć chcący odchodzić na prawie polskiém lub niemieckiém był osiedlony. Z kmieciów na prawie polskiém siedzących mogło tylko dwóch domagać się w roku przyzwolenia dziedzica do opuszczenia wsi, a tym dwom żądanego przyzwolenia odmówić nie mógł. Jeżeli zaś z takich kmieciów zbiegł który bez przyzwolenia dziedzica, nie mógł się nigdzie osiedlić, dopóki tenże o nowéj jego siedzibie wiadomości nie powziął. Powziąwszy ją mógł zbiegłego w przeciągu roku reklamować, ale zbiegły mógł się od powrotu złożeniem czynszu całorocznego i trzech grzywien wynagrodzenia uwolnić. W ciągu roku zaś nie reklamowany i od tego wykupu był wolny, ponieważ przez zaniechanie reklamacyi w czasie należytym, dawniejszy pan wszystkie prawa do niego tracił. Inaczéj się rzecz miała z kmieciem na niemieckiém prawie osadzonym. Ten odejść nie mógł bez dopełnienia warunków w obydwóch wersyach zgodnie wyliczonych. Przy takich warunkach zbytecznem było ograniczenie liczby kmieciów corocznie odchodzić mogących; zdaje się zatém, że mu poddani na prawie niemieckiém osiedli, nie ulegali.

Inne daleko surowsze rozporządzenie zawiera druga wielkopolska wersya. Podług téj wersyi kmieć osadzony na Woli, oddalić się nie mógł, dopóki tyle lat nie odsłużył, ile już lat wolności używał, albo dopóki za odpowiednią liczbę lat czynszu rocznego nie zapłacił, w miarę jak na polskiém lub niemieckiém prawie był osadzony. Na niemieckiém prawie osiadły musiał prócz tego dopełnić warunków w obydwóch

wersyach zgodnie wyliczonych, nim przyzwolenia do przesiedlenia się domagał. Na polskiém prawie osiadły nawet po odsłużeniu lat wolności mógł odejść tylko na Boże Narodzenie i zostawiwszy dom porządnie ogrodzony i w dobrym stanie. A jeżeli nie dopełniwszy tych warunków zbiegł, nowy dziedzic, który go przyjął, musiał go zwrócić z wszystkiemi ruchomościami, które z sobą przywiózł, i karę piętnadziestą dawniejszemu zapłacić.

Nałożenie takiéj kary nigdyby się pogodzić nie dało z rozporządzeniami w pierwszéj części raczéj wersyi umieszczonemi, ponieważby od niéj nowego dziedzica zbiegły kmieć samém oświadczeniem uwolnić mógł, iż obawiając się zemsty dawnego pana do niego wrócić nie chce i przepisany okup trzech grzywien i czynszu całorocznego złożyć woli. Różnią się więc postanowienia drugiéj wielkopolskiéj części artykułu CXXXVIII tak dalece od owych w pierwszéj części zawartych, że nie mogą być uważane nigdy za dwie wersye tego samego artykułu; tém mniéj może prawnicza krytyka przystać na sklejenie ich w jednę całość. Ale jakże sobie wytłumaczyć ich istnienie i sklejenie? Któreż z nich obrać i uznać za prawdziwą wersyą artykułu CXXXVIII? Najkróciéj, najtrafniéjby było uważać pierwszą wersyą za małopolską, kiedy druga niewątpliwie jest wielkopolską i zostawiając tę w piotrkowskim statucie, umieścić tamtę obok artykułu LXXIII wyłącznie w małopolskich statutach. Rozwiązywałoby to wszystkie trudności; zgadzałoby się z tém, co wiemy o większéj łagodności stosunków poddańczych w Małopolsce jak w Wielkopolsce. Ale do takiego orzeczenia potrzebaby powagi p. Helcla, który prawie wszystkie istniejące kodexa Statutu Wiślickiego przejrzał i porównał. Nas do tego niestety nic nie upoważnia. W najdawniejszych zwodach małopolskich, t. j. w kodexie B. IV i w kodexie Oss. I cały art. CXXXVIII się nie znajduje; tak jak go nie umieszcza w statutach małopolskich tekst polski z r. 1503. Świętosław z Woc. podaje w tych statutach tylko wielkopolską wersyą, a z siedmiu kodexów łacińskich Statutu Wiślickiego, któreśmy to w Zakładzie Ossolińskich, to w archiwum hr. Wik. Baworowskiego przejrzeli, znaleźliśmy w trzech tylko pierwszą wersyą, a w czterech drugą wielkopolską.

Nie pozostałoby nam przeto, jak trzymać się Świętosława z Woc., umieścić z nim wersyą wielkopolską także i w mało-

polskich statutach i uznać ją tém samém za obowiązującą dla całego królestwa, a tłumaczyć przybranie jéj do małopolskich statutów większą jéj surowością, która się panom małopolskim podobać mogła, tak jak znowu z swéj strony przybrali Wielkopolanie z małopolskich rozporządzeń wyliczenie wypadków, w których wszystkim poddanym tłumnie wieś opuścić wolno. Ale tu się znowu nowa trudność nawija: ta, że w wyliczeniu tém odstępuje poniekąd art. CXXXVIII od przepisu artykułu LXXIII, jak to wyżéj wykazaliśmy i że zatém obok niego w jednym i tym samym statucie małopolskim stać nie może. Trzeba więc za przykładem niektórych kodexów wypuścić całe to wyliczenie z artykułu CXXXVIII i powiedzieć, że tylko główne rozporządzenie wielkopolskie o zbieżeniu *pojedynczych* kmieciów do statutu małopolskiego przybraném i za powszechnie obowiązujące uznaném zostało. Takie to kwestye, takie trudności zachodzą co do artykułów powszechnie za wiślickie mianych i uważanych za podwaliny całego późniejszego prawodawstwa polskiego w przedmiocie stosunków poddańczych. Pokażemy niebawem, jak tę trudność p. Helcel ominął, a teraz przejrzyjmy resztę artykułów do stosunku pana z poddanemi odnoszących się. Do téj kategoryi należy:

Art. CLIV (1): „Już prawo Boskie orzekło, iż dla przewrotności jednego drugi cierpieć nie powinien. Postanawiamy przeto, iż za winy na jakiegobądź rycerza nałożone i za rękojemstwo przez niego dane, kmieć onegoż ani grabion, ani jakimbądź sposobem do odpowiedzialności pociągnięty być nie może, ale że tak rycerz jak każden inny swe długi i zobowiązania przez niego przyjęte lub zaręczone z własnego tylko majątku zaspokoić jest winien".

Artykuł ten w powyższéj osnowie, w któréj go podaliśmy podług treściwszéj wersyi p. Helcla, jest wyjętym dosłownie z artykułu czterdziestego pierwszego statutu piotrkowskiego, a Świętosław z Woc. umieszcza go nawet w rzędzie zbytnich statutów wielkopolskich (art. 39), ponieważ jak powiada: „to téż kapitulum już zbytne jest przez kapitulum *Quoniam ex modo*, wyżéj popisane pod rubryką o pozwiech, prokuratorzech, a tam i wina położona." Uwaga ta jest słuszną: pozy-

(1) Hel. art. 158 Zw. gł. zgodny co do treści z Bandtkiem, ale druga część znacznie skrócona.

wanie poddanych dla przewinień dziedzica, jeżeli w tych przewinieniach udziału nie mieli, zabrania nietylko wiślicki art. 17 poczynający się od słów: *Quoniam ex modo*, ale powtarza ten zakaz nawiasowo także i art. XXV, przepisując wyraźnie, aby kiedy sam dziedzic kontumacyi się dopuścił, on tylko, a nie jego poddani grabieni zostali. Obok tak wyraźnych rozporządzeń zbytecznem widocznieby było w statutach wiślickich postanowienie niniejszego artykułu. Inaczéjby się rzecz miała, gdyby prawdziwą wersyą onegoż była owa, którą tekst polski z r. 1503 w następujących słowach podaje: „Ponieważ podług prawa świętego jeden za drugiego cierpieć nie powinien, pan za swą winę albo rękojemstwo kmiecia zastawiać nie ma, ale to co winien, sam ma zapłacić". Tego rodzaju rozporządzenia albowiem nie podaje żaden inny artykuł Statutu Wiślickiego; lecz taka wersya jest zapewne późniejszą, a pierwotną owa, którą powyżéj podaliśmy; *poczytamy przeto i ten artykuł za wyłącznie wielkopolski.*

Zakończymy ten rozdział przytoczeniem znanego powszechnie rozporządzenia artykułu CXI (1), który rycerzom i innym znakomitym osobom zakupywanie wójtowstw w obcych wsiach bez wyraźnego przyzwolenia dziedzica pod karą nieważności kupna zakazuje i za powód tego zakazu podaje, iż urząd sołtysi jest zawsze urzędem podrzędnym, wykonującym tylko *rozkazy dziedzica.*

Artykuł ten podanym jest za małopolski przez Bandtkiego, umieszczonym w statutach przez obydwa teksta małopolskie i znajduje się w głównych zwodach małopolskich B. IV i Os. I. Można go atoli policzyć do powszechnie obowiązujących dla treści jego, do któréj się później tak często w całéj Polsce powoływano.

Zobaczmy teraz, w jaki sposób p. Helcel artykuły w całym tym rozdziale przytoczone rozkłada.

Artykuły 84 i 85 Zw. gł. (2): karcący surowo tak kłamliwe zarzucenie nieprawego pochodzenia szlachcicowi, jak kłamliwe obwinienie jego matki o rozwiozłe życie, przydziela do czwartego powszechnie obowiązującego statutu, co się już

(1) Hel. art. 107 Zw. gł. zgodny z Bandtkiem.
(2) Bandt. artykuł LXXXVIII jak wyżéj.

tém usprawiedliwia, iż art. niniejszy powołuje wyraźnie art. 58 Zw. gł. (Zob. rozdz. 1 o zabójstwie).

Artykuł 31 Zw. gł. (1), *przepisujący dowodzenia szlachectwa zaprzeczonego* umieszcza w trzecim, t. j. drugim małopolskim statucie, przerzucając rozporządzenie wielkopolskie w téj saméj materyi, t. j. czterdziesty szósty artykuł statutu piotrkowskiego (163 Zw. gł.) do pierwszego Starowiślickiego statutu. Przyznaje wprawdzie p. Helcel, iż artykuł ten przystaje swym wstępem do innych statutu piotrkowskiego; lecz wytyka, iż wyrażenie: *more consueto* w tym artykule użyte, nie jest właściwe artykułom piotrkowskim, które w podobnych razach piszą *juxta consuetudinem hactenus observatam*, albo *ex consuetudine antiqua*. Stara się nareszcie dowieść z kombinacyi różnych kodexów i z położenia tego artykułu w każdym z nich, iż ten artykuł nie jest wielkopolskim, a że przynajmniéj stoi w pośrodku artykułów, które on z statutu piotrkowskiego wyłączył i do Starowiślickiego przeniósł.

Nie będziemy się tu wdawać w ocenienie podobnych dowodów i kombinacyj, których trafności i tak nikt osądzić nie zdoła, kto nie ma przed oczyma wszystkich kodexów przez p. Helcla przejrzanych. Nie będziemy się nawet odwoływać do kodexów łacińskich i tekstów polskich, które ten artykuł wyłącznie w statutach wielkopolskich umieszczają; ale wspomnimy w krótkości, iż podobny rozkład artykułów 31 i 163 Zw. gł. pozbawia Wielkopolskę wszelkiego przepisu w tak ważnéj materyi, jak jest dowodzenie szlachectwa zaprzeczonego. A przecież zdaje się nam, potrzebowała takiego rozporządzenia prędzéj Wielkopolska, w któréj drobna szlachta zagęszczona była, niż Małopolska rozdzielona podówczas między szczupłą liczbę możnych po większéj części zagranicznego pochodzenia familij, które swe genealogie prawdopodobnie inaczéj dowodziły. Nie usprawiedliwiałaby wprawdzie ta uwaga wtrącenie podobnego artykułu małopolskiego do statutu piotrkowskiego, ale jest dostatecznym powodem do pozostawienia w tym statucie artykułu 163, skoro ten powszechnie za wielkopolski jest uważanym.

Art. 6 Zw. gł. (2) obowiązujący synów, aby za życia ojca tylko jego pieczęci używali, przydziela p. Helcel do pier-

(1) Bandt. art. XXXIII jak wyżéj. (2) Bandt. art. VII jak wyżéj.

wszego małopolskiego statutu, ponieważ ten artykuł w kodexie B. IV wcale się nie znajduje.

Art. 30 Zw. gł. (1) przepisujący, aby mieszczanie, którzy ziemianom towary swe borgują, wierzytelność swą w razie zaprzeczenia prócz rewersów także i dwoma świadkami udowodnili, przydziela p. Helcel do trzeciego, t. j. drugiego małopolskiego statutu. *Zgadzamy się z tém zupełnie.* Rozporządzenie, o którém mowa, ma tak wybitną cechę wyjątkowego przepisu przez wyjątkowe i przechodnie stosunki wywołanego, że go żadnym sposobem do powszechnie obowiązujących policzyć nie można.

Z artykułów o żydach i lichwie traktujących, przydziela p. Helcel art. 81 Zw. gł. (2) do czwartego powszechnie obowiązującego statutu, a wyłącza artykuły zaś 135 i 153 Zw. gł. (3), t. j. dwudziesty siódmy i czterdziesty trzeci art. statutu piotrkowskiego z tego statutu i przenosi ich do I małopolskiego statutu.

Przyznajemy chętnie, iż rozkład ten i lepiéj od naszego uchyla sprzeczność między artykułem 135 Zw. gł., a drugą połową artykułu 81 Zw. gł. zachodzącą i tak Mało- jak Wielkopolsce jednę i tę samą prawną stopę procentową naznacza. Lecz nie wiemy, jakby pogodzić ten rozkład z powyżéj przytoczonym wstępem 19 artykułu warteńskiego, który powołuje i wznawia art. 135 Zw. gł. a nie przepis znoszącego niby go artykułu 81 Zw. gł. A gdyby p. Helcel i tę trudność nam rozwiązał, tobyśmy jeszcze wytłumaczyć sobie nie zdołali, dlaczego umieszczenie artykułu 81 Zw. gł. w późniejszym powszechnie obowiązującym statucie, miałoby koniecznie wymagać wyłączenia artykułu 135 z statutu piotrkowskiego. Wszakże i pozostawiony w tym statucie straciłby swą moc obowiązującą w skutek rzeczonéj klassyfikacyi artykułu 81, gdyby się takowa usprawiedliwić dała. Przeniesienie tego artykułu wielkopolskiego do piérwszego małopolskiego statutu, zdaje się nam przeto niepotrzebném naruszaniem statutu piotrkowskiego, które argumenta przez p. Helcla przytoczone nie usprawiedliwiają. Jakież są te argumenta? Oto, że w arty-

(1) Bandt. art. XXXII.
(2) Bandt. art. LXXXV, jak wyżéj.
(3) Bandt. artykuły CXXXIX i statutu piotr. art. 27.

kule 135 napotykamy wyrażenie *convenit statuere*, tudzież *constitutus* (używane zamiast *exstans* albo *existens*) przez redaktora pierwszego statutu szczególniéj zamiłowane i znajdujące się mianowicie w artykułach 123 i 165 Zw. gł. przez p. Helcla do rzeczonego pierwszego statutu przydzielonych. Oto daléj uwaga, że wstęp obydwóch tych artykułów nie przystaje do wstępu innych piotrkowskich i że mianowicie wstęp artykułu 135: „*Porro quum Judaicae pravitatis intentio*" z żadnym innym artykułem się nie wiąże jak z artykułem 153. Argumentacye tego rodzaju, których sztuczność i ślizkość sama z siebie coraz więcéj się okaże, mogą w najlepszym razie posłużyć za argumenta pomocnicze, gdzie przeważne względy wymagają przeniesienia pewnych artykułów z wielkopolskich do małopolskich statutów. Same przez siebie dostatecznemi nam się nie zdają, a jeden z nich w naszych oczach już tém samém upada, żeśmy z art. 165 Zw. gł. w piotrkowskim statucie zostawić musieli. (Zobacz rozdział jedenasty).

Artykuły o włościanach traktujące rozdziela p. Helcel w następujący sposób:

Art. 53 Zw. gł. (1) o puściznach włościańskich przydziela p. Helcel do trzeciego małopolskiego statutu, na co zupełnie przystajemy. Art. 69 Zw. gł. (2) wyliczający wypadki, w których poddanym pana i wieś gromadnie opuścić wolno, umieszcza aż w czwartym powszechnie obowiązującym statucie, zostawiając w statucie piotrkowskim art. 134 Zw. gł. (3) podług wersyi wielkopolskiéj. Zgadzamy się zupełnie na ten rozkład. Przekładalibyśmy taki, któryby w małopolskich statutach pierwszą, w piotrkowskim statucie drugą wersyą artykułu 134 umieszczał; ale skoro takiego rozkładu, jak sami wyznaliśmy, dostatecznie poprzéć nie możemy, przyznajemy rozkładowi p. Helcla bez wahania pierwszeństwo nad wszystkiemi innemi. Jest najprostszym, ponieważ wersya wielkopolska artykułu, o którym mowa, najnaturalniéj się w statucie piotrkowskim mieści. Umieszczenie zaś artykułu 69 Zw. gł. (4) w czwartym statucie ma tę zaletę, iż czyni go poprawką owego ustępu

(1) Bandt. art. LV, jak wyżéj.
(2) Bandt. art. LXXIII, jak wyżéj.
(3) Bandt. art. CXXXVIII, jak wyżéj.
(4) Bandt. art. LXXIII, jak wyżéj.

artykułu 134, który w nieco odmienny sposób wypadki wylicza, w których wszystkim poddanym dziedzica swego opuścić wolno; uchyla zatém i wynikającą ztąd sprzeczność. Pozbawia wprawdzie taki rozkład Małopolskę wszelkiego rozporządzenia w tak ważnéj materyi, jak jest zbieżenie pojedynczych włościan, i bardzo wątpimy, by się większa część czytającéj publiczności tak łatwo o tém przekonać dała, że wyłącznie wielkopolskiém rozróżnienie kmieciów na niemieckiém od kmieciów na polskiém prawie osiadłych, któreśmy od wieków do Statutu Wiślickiego odnosili, że wyłącznie jest wielkopolskiém całe rozporządzenie niniejszego artykułu, który zawsze za jeden z najważniejszych i powszechnie obowiązujących ustaw Kazimierzowskich poczytywano. Ale co do naszéj osoby otwarcie przyznajemy, że wolimy, by małopolskie statuta żadnego przepisu w téj mierze nie mieściły, jak żeby i Małopolska miała surowe, niezgodne z duchem Kazimierzowskim rozporządzenie wielkopolskie, które nawet statut warteński (art. 23) w tym względzie złagodził, że kmieciów na polskiém prawie osiadłych już nie do odsłużenia wszystkich lat wolności, ale tylko do wykarczowania przyjętego na Wolę gruntu zobowiązał.

Zgadzamy się także na umieszczenie w czwartym powszechnie obowiązującym statucie artykułu 107 Zw. gł. (1), który możnym osobom wójtowstw w obcych wsiach bez przyzwolenia dziedzica kupować nie pozwala.

Ale żadnym sposobem przystać nie możemy na przerzucenie do pierwszego starowiślickiego artykułu 158 Zw. gł. (2) z tego jedynego powodu, że artykuł ten jest w związku z artykułem 159 Zw., gł. także przez p. Helcla do owego statutu przydzielonego, i że tak wstęp jego: „*ex jure divino tenetur*", jak dalsze wyrażenie: „*statuto hoc debet teneri*", przypominają inne artykuły do Starowiślickiego statutu należące. Nie jest jeszcze tu miejsce powiedzieć, że i art. 159 i wiele innych, które p. Helcel z statutu piotrkowskiego wyrzucił i do starowiślickiego przydzielił, w piotrkowskim statucie zostawiamy. Ale przemilczéć nie możemy, że połowa tych argumentów sama z siebie upada, jeżeli artykuł niniejszy nie podług wersyi p. Helcla, ale podług wersyi Bandtkiego czytać będziemy,

(1) Bandtkie art. CXI, jak wyżéj.
(2) Bandt. art. CLIV, jak wyżéj.

które zamiast *ex jure divino, tenetur*, pisze *ex jure divino debet observari*, a zamiast *hoc statuto debet teneri*, kładzie *hoc statuto igitur ordinamus*. Ważniejszych zaś powodów do wyłączenia tego artykułu z statutu piotrkowskiego wykryć nie zdołaliśmy. Gdyby nawet p. Helcel art. 158 nie w tym sensie tłumaczył, w którym go tłumaczą Bandtkie i Świętosław z Woc., ale w tym sensie, w którym go zrozumiał autor tłumaczenia z r. 1503; gdyby zatém w nim nie zakaz grabienia poddanych dla win i zobowiązań swych dziedziców, ale zakaz zastawiania ich za zobowiązania przez dziedziców przyjęte widział, tobyśmy jeszcze pojąć nie mogli, dlaczegoby ten artykuł w statucie piotrkowskim pozostać nie mógł.

(Ciąg dalszy nastąpi).

TEATR GRECKI.

PRZEZ

Z. Węclewskiego.

Starożytni, budując teatra, więcéj baczyli na praktyczność i wygodę, niż na wykwintość i wspaniałość. Gmachy te bowiem ogromnych rozmiarów nietylko lud na widowiska teatralne lub muzykalne zebrany pomieścić miały wygodnie, ale ogarnąć wszystkich narodu obywateli, na zgromadzeniach ludu czyli sejmach radzących o dobru publiczném (1). Nie pokrywając ich dachem ani nie zabezpieczając przed słońcem i słotą, wyrażono nawet zewnętrznie na oko, w jakim celu je stawiano, jakie ich przeznaczenie. Wszystko, cokolwiek się tam działo, miało być na widoku publicznym, toczyć się przed oczyma ludu, przenieść i odegrać się poniekąd wśród wrzawy, gwaru i wrzątku ulicznego.

Obierano dla nich nadto miejsca jak najkorzystniejsze, na wyniosłych pagórkach lub spadzistości gór, zkąd daleki i przestrony otwierał się widok na okolice sąsiednie lub morze (2). Teatr w Atenach, który był wzorem dla wszystkich później w Europie i Azyi stawianych, wznosił się na południowéj stronie Akropolis pomiędzy

(1) Tak było w Tarencie i Atenach.

(2) W Sikyonie, Tarencie, Tauromenion. Podług Vitruv. 5, 3, żaden teatr nie był zwrócony ku południowi. Zbija to Strack „das altgriechische Theatergebaeude str. 2.

zamkiem tym a starą świątynią Dionyzosa w obwodzie Limne, *ἐν Λίμναις*. Ztąd miał przydomek „teatr Dionyzusowy.” Koło roku 500 przed Chr. drawniane rusztowanie teatru zapadło się z powodu bójki, wszczętéj podczas zawodów Eschylosa z Pratinasem (1). Na tém samém miejscu rząd w krótkim czasie (około 70 Olimpiady czyli r. 498 przez Chr.) dźwignął nowy teatr z kamienia takiego ogromu, że trzydzieści tysięcy widzów mógł pomieścić (2).

Architektura teatralna z czasem coraz więcéj się doskonaliła. Pięknością i symetryą jak największą odznaczały się przed innemi teatra w Megalopolis, Epidauros, Eginie, Syrakuzach, Tauromenion, Sparcie, Messenie, Milecie i po wielu innych miastach Mniejszéj Azyi, po największej części późniejszéj będące daty (3).

Gmachy owe, otoczone gdzieniegdzie portykami, kiedy widzowie w czasie pauz przesiadywali lub przechadzali się, składały się z trzech nierównych pod względem wielkości działów: *z miejsc dla widzów* (*κοῖλον*), ze *sceny dla aktorów* (*σκηνή*) i z *orchestry*, łączącéj scenę z *kojlon* (4).

Orchestrę, będącą powszechnie odcinkiem koła większym, otaczały siedzenia czyli ławy kamienne dla widzów, niby koncentryczne koła wznoszące się po nad sobą tak, iż stopniowo wyższe coraz większym promieniem, z punktu środkowego orchestry wyprowadzonym, onę określały. Punkt ten środkowy zaś rosnącego z wy-

(1) *ἴκρια*. Każdy Ateńczyk miał wstęp bezpłatny; rząd ponosił i opędzał koszta utrzymania teatru. Niezmierny przeto natłok stawał się przyczyną częstych zwad, kłótni i bijatyk.

(2) O załamaniu się drewnianego rusztowania p. Suidas p. w. *Αἰσχύλος*; o nowo zbudowanym teatrze pisze Plato, Symposion. W. Megalopolis według obrachunku Stracka mogło się pomieścić czterdzieści cztery tysiące widzów, licząc na każdego widza $1^1/_4$ stopy.

(3) Pausanias II, 27, VIII, 32; II, 27, 5; II, 29, 7; III, 3, 14; IV, 32. Diodorus Siculus XVI, 83. Cicer. in Verrem IV, 53.

(4) Te trzy działy we wszystkich greckich teatrach mniéj-więcéj do siebie bywały podobne; największa rozmaitość zachodziła w założeniu i połączeniu orchestry ze sceną. Porówn. Strack i Wiesieler. Theaterbauten i t. d.

sokością ław zarówno odcinku zwał się *Thymele* (θυμέλη. Z tego pokazuje się, ile do dźwignienia takiéj budowy założenie na spadzistości góry mogło być przydatne.

Jakkolwiek na ławach najwyższych siedzący widzowie znacznie byli oddaleni od sceny, przecie nietylko dobrze widzieli, co tam się działo, ale i dosłyszeli wszystkiego; a dopięto tych dwóch celów: owego za pomocą odzienia jaskrawego aktorów, tego za pomocą stósownych akustycznych przyrządów; tak że nawet głos śpiewaków chórowych w najzawikłańszych pieśniach czysto i dobitnie dochodził do uszu słuchaczy, nie łamiąc się ani ulatniając.

Piętrzące się ław rzędy przecinały ścieżki wschodowate, niby promienie ze środka niedokończonego orchestry koła aż do ostatnich i najwyższych ław czyli do ściany zewnętrznéj teatru pociągnięte (*κατατομη iter praecinctionis*), tworząc kliny z ław i ułatwiając przystęp do miejsc i odchodzenie. Nadto jeden lub dwa szerokie ganki (*διαζώματα*) pomiędzy ławkami, łukiem od jednego do drugiego końca *koilon* sięgające, rzędy tychże dzieliły na piętra (1).

Siedzenia (1 stop. 2 cale do 1 stop. 5 cali wysokie a dwie stóp 5 cali do 3 stop. 10 cali szerokie) częstokroć w żywéj skale były wykute (2). Przednia ich część służyła do siedzenia; tylna nieco niższa, do oparca nóg wyżéj siedzącym (3). Pokrywano je deskami a następnie poduszkami czyli materacykami (4). Po obudwóch

(1) Ganki pojedyncze albo podwójne bywały; w drugim razie jeden z nich był nieco wyższy od drugiego (Epidauros, Patara). Bywał też podobno ganek taki tuż pomiędzy orchestrą a najniższym ław rzędem, a zatém na murze przedzielającym orchestrę od siedzeń. Nad najwyższym ław rzędem wznosił się mur, otaczający cale *κοῖλον*; albo też portyk okalał całą budowę.

(2) Gdzie teatr na piaskowym pagórku zakładano, w ziemi wyciosano siedzenia i pokrywano płytami marmurowemi. Przy jednym podobno teatrze w Mantinea trzeba było pagórek ten sypać.

(3) W kilku teatrach Tauromenion, Catanea, osobne były podnóżki.

(4) W Sparcie siedzenia były wyżłobione, aby w tém zagłębieniu bezpieczniéj leżały materacyki.

końcach siedzeń mur stosunkowo z góry na dół się pochylający lub odstępami niższy otaczał tę część teatru. Siedzenia wreszcie pojedyncze przedzielone bywały liniami i numerowane; a znalezione bilety teatralne ze spiżu z wypukłém pismem lub ze słoniowéj kości zawierają imię poety, nazwiska dramatów przedstawić się mających i numer miejsca.

Na przednich ławach, t. j. najbliżéj sceny a tuż za orchestrą siadywali urzędnicy wyżsi, kapłani i wszystkie obce i miejscowe osoby, mające prawo do tak zwanych *miejsc honorowych* (*προεδρία*) (1). Tudzież stałe miejsca w klinach pewnych miała *rada* (*βουλευτικόν*) i *efebowie* (*ἐφηβικόν*).

Gdzie najniższa ława najmniejszy łuk zakreślała, zaczynała się *orchestra*, leżąca głębiéj czyli niżéj jeszcze i przedzielona od siedzeń murem dość wysokim. Byłto, jak się rzekło, odcinek koła większy pomiędzy *siedzeniami a przednią sceny* czyli *proskenion*, pierwotnie przeznaczony do tańca. W samym środku orchestry wznosił się ołtarz Dionyzosa czyli tak zwana *Thymele* (2). Tam stawali fletniści, późniéj powszechnie *θυμελικοί* zwani, wtórujący śpiewom i tańcom, lecz żadnéj nie mający styczności z dramatem. Gdy przedstawiać miano dramat, będącą w głębi *orchestrę (l. konistrę)* ze sceną 10 do 12 stóp wyżéj leżącą, mniéj więcéj przynajmniéj wyrównano czyli wyniesiono tym celem, aby chór mógł zostawać w bezpośrednim z aktorami stosunku. Takim sposobem chór stawał na rusztowaniu, kilku tylko wschodami od sceny przedzielonem; a nazwisko tego miejsca czyli stanowiska, jak się zdaje, pomiędzy *Thymelą* a *pro-*

(1) Pollux 4. 121. Miejsce w teatrze zowie się *θέα*; zająć miejsce: *θέαν κατλαμβάνειν*. Zwykłe (niehonorowe) mieć miejsce: *θεωρεῖν ἐν τοῖν δυοῖν ὀβολοῖν*. Pozwolić komu być na przedstawieniu: *θεὰν κατανέμειν*. Dem. p. cor. 28.

(2) Orchestra u Rzymian była zwykle półkolem; późniejszy pisarz grecki zowie ją *Sigma* od znaku téj litery pierwotnego ⊂. Średnica orchestry rozmaitéj była długości, od 50 do 116 stóp. Thymeli dotąd nigdzie nie wykopano.

skenion a zatém bliżéj sceny będącego, jest w ciaśniejszém tego wyrazu znaczeniu *orchestra* (1).

Za cięciwą, granicę orchestry stanowiącą, na płaszczyznie nieco podwyższonéj poczynała się scena: prostokąt dłuższemi równoległemi bokami obrócony ku orchestrze, i acz nie głęboki wcale, sięgający przecie ostatnich końców budowy teatralnéj. Nazywała się *σκηνή*, jakkolwiek to nazwisko służyło właściwie tylko tylnéj ścianie i dekoracyom, zamykającym scenę. Ściany zaś boczne po prawéj i lewéj stronie, równoległe do siebie, w których były drzwi wchodowe dla aktorów, a tuż przy orchestrze dla chóru, nazywały się *paraskenia* (*παρασκήνια*); przestrzeń zaś na samym przodzie będąca i graniczącą z orchestrą, zwała się *proscenium* (*προσκήνιον*) lub *logejon* (*λογεῖον*), kędy szczuplejsze miejsce wywyższone niby rusztowanie, (*ὀκρίβας pulpitum*) przeznaczone było głównie dla akcyi (2).

Wszystkie te miejsca dla tém silniejszego rozniesienia głosu z drzewa były zbudowane; głos téż nie przytłumiał się ani ginął. Nadto dla wzmocnienia i przeniesienia głosu do dalekich siedzeń widzów, jak już wyżéj wspomniano, używano naczyń kruszcowych (3). Ściana sceny z desek (*πίνακες*) lub z obić (*καταβλήματα*, *παραπετάσματα*) malowana przedstawiała budynek dwupiętrowy zwykle (*διῆρες*) i z obszernym frontem, portykami i przestronym dziedzińcem; rzadziéj przedstawiała przedmiejską okolicę, obóz wojenny lub co innego.

Przed owym budynkiem lub udekorowanemi przestrzeniami odbywała się akcya. Tam na dziedzińcu lub na gościńcu publicznym spotykały się dramatyczne oso-

(1) W Delos posadzka była mozajkowa. Na deskach rusztowania bywały linie naznaczone, aby choreutom wskazać ich stanowisko. Nadto wspominano o tém także, że w orchestrze zakładano kanały, aby zbierającą się w niéj wodę deszczową temi uprowadzać lub téż za pomocą wodotrysków widzom wody dostarczać.

(2) Vitruv. 5, 17. Plato Symp. 194 A.

(3) *ἠχεῖα*. Niewiadomo dotąd, jak i gdzie bywały umieszczone; jakkolwiek przy wykopaliskach uważano niże małe, pod siedzeniami znajdujące się gdzieniegdzie, i te poczytano za miejsca dla nich przeznaczone.

by; tam działały czynem i słowem, jak w publiczném życiu na rynku. W samym środku domu (grodu, pałacu) był główny wchód czyli wrota królewskie; drzwi zaś boczne po prawéj stronie widza będące wiodły do pokojów gościnnych, po lewéj do mieszkania czeladzi (1). Niezmiernie to ułatwiało poznanie ról i zastępowało poniekąd dzisiejsze afisze; gdyż członkowie rodziny królewskiéj i sami królowie występowali na scenę średniemi drzwiami, bocznemi cudzoziemcy, mieszczanie, czeladź i t. d.

Dekoracye te wystarczały dla publiczności greckiéj, nie znano tam ani zasłony, ani pauz, ani aktorów dramatu (2). Gdy zmienić było potrzeba tylną część sceny, natenczas za pomocą maszyn trójkątnych (*αἱ περίακτοι* dom, *θύραι*) dokonywano tego, że ściana sceniczna częściowo albo całkowicie po obydwóch stronach się usuwała (*scena ductilis, versilis*) i na wnętrze komnat albo na las, puszczę, brzeg morski i t. p. otwierał się widok. Czynność ta zwała się *ἐκκυκλεῖν*, a scenerya ztąd wynikła *ἐκκύκλημα* i zmieniała obraz lub w głównéj akcyi jakiś zaprowadzała wypoczynek. Zmiany całkowite, jak w Eumenidach Eschylosa, były niezwykłe. Zresztą dekoracye, machiny, garderoba (*σκευη*) były za ścianą sceniczną. Maszyneryi z powodu natury starożytnego dramatu mało używano, najczęściéj jeszcze w sztukach Eschylosa dla fantastycznego ich charakteru. Eschylos bowiem, aby dopiąć celów swoich, przedstawiał na scenie ołtarze, grobowce, wprowadzał bogów i cienie zgasłych, urządzał sceny całe, w których występowały bóstwa, odegrane na zawisłych w powietrzu rusztowaniach, albo spuszczał bóstwa na skrzydlatych rydwanach i potworach; naśladował grzmot i błyskawice: słowem miał na

(1) Niektórzy badacze starożytności przyjmują, że było jeszcze dwoje innych drzwi po obydwóch stronach głównego wchodu, wiodących do miasta lub ku morzu. Może w jednym i drugim teatrze tak rzeczywiście było!

(2) Wiedzieć i to należy, że z prawéj strony wchodzili na scenę przybywający z prowincyi, portu lub miasta (*ἀγρόθεν ἢ ἐκ λιμένος ἢ ἐκ πόλεως*); z lewéj zaś zkądinąd pieszo przybywający (*οἱ ἀλλαχόθεν πεζοί ἀφικνούμενοι*).

swe posługi mnóstwo mechanicznych środków, wynalezionych i użytych jedynie w tym celu, aby rzecz przenieść z obrębu świata rzeczywistego w świat nadludzki, nadprzyrodzony. Następcy jego, ograniczając się w obrębie świata ludzkiego, nie potrzebowali uciekać się do tak nadzwyczajnych środków, aby zrobić wrażenie na zmysły. Jedynie komicy starsi podobnych używali maszyneryj i podobnemi posługiwali się wynalazkami. Maszyneryi głównie używano później jeszcze dla *teofanii* w katastrofie (*θεολογεῖον*); nadto dla spuszczania lub wyprowadzania na scenę niepostrzeżenie cieniów zgasłych po tak zwanych *wschodach Charona* (*χαρώνειοι κλίμακες*) (1). Była podobnych machin i narzędzi innego rodzaju taka ilość, że wzięto z tego pochop dość wcześnie, zbadać ich kształt i użycie (2). Nadto z pojedyńczych szczegółów wnosić wolno, że w tragedyach scena przypominała urządzenie miejskie. Królewski dom miał na froncie dziedziniec, gdzie toczył się dyalog; miał przysionki (*πρόπυλα*), ozdobione obrazami i posągami bóstw; nie brakło tam także ołtarza opiekuńczych bożków, mianowicie Zeusa *ἀγυιεύς* (3).

Na tém kończę, jak mi dobrze wiadomo, wcale niedostateczny opis budowy teatru greckiego. Wolałem jednak niejedno przemilczeć, aby starając się o zupełną dokładność, nie popaść w błąd może gorszy, t. j. nieuzasadnionego domyślania się. Fantazya bowiem uczonych Anglików, Francuzów, Niemców i Włochów, częstokroć za wiele dojrzała i szczątki teatrów greckich wcale nieszczęśliwie uzupełniała na wzór późniejszych za czasów rzymskich stawianych, mącąc tém samém jasne pojęcie o bardzo prostym, jak się zdaje, składzie i kształcie teatrów helleńskich (4).

(1) Wschody charonowe były w orchestrze tuż przy proskenion. (Strack).

(2) Uczone te badania zowią się *Σκευογραφικά* p. Suidas p. w *Τραγικὴ σκηνή*.

(3) Wcześnie tém zajmowało się dekoracyjne malarstwo *σκηνογραφία*.

(4) Ciekawych tego odsyłam do Wieselera i Stracka nadzwyczajnie obfitych w bujną fantazyą rozpraw i rycin teatrów, w ich dziełach umieszczonych.

AKTOROWIE, ICH SZTUKA I GARDEROBA TEATRALNA.

Początkowo poeta sam występował w swoich dramatach i głównym, pierwszym zwykł był bywać aktorem. O drugiego i trzeciego aktora, tudzież o pierwszego, gdy sam nie podejmował ról, winien był starać się on także. Pierwszy Sofokles dla słabości głosu zrzekł się aktorstwa i powołanie poety odłączył od powołania aktora.

Wraz z postępem i rozwojem tragedyi wzmagała się liczba i mistrzostwo aktorów (1). Z biegłością, wytrawną znajomością i wydoskonaleniem się w sztuce swéj zasię szło w parze aktorów znaczenie, a mianowicie tragicznych. *Polos*, *Aristodemos*, *Theodoros*, mężowie nawet stanu, zajmujący się gorliwie sprawami kajowemi, oto mistrze i artyści najprzedniejsi w sztuce akcyi dramatycznéj. Wcześnie téż aktorowie odrębny, poważany powszechnie cech stanowić poczęli. Przez częste i gorliwe ćwiczenie się w osobnych budynkach, mianowicie w Melite, doskonalili głos pod przewodnictwem nauczyciela (2), uzdolniali się do oddania charakterów i wyrażenia namiętności i uczyli się władać ciałem. Tam nabywali owéj giętkości głosu i ciała, że i niewieścim sprostali rolom. Niewiasty bowiem nie występowały na scenie. Jednorazowe zwycięztwo już aktorom zabezpieczało wziętość, nie potrzebowali nadal prób odbywać, a mówcy początkujący do nich się udawali, aby dobitnego i poważnego uczyć się wykładu.

Nadto aktorowie nieustanném ćwiczeniem się zadziwiającéj siły i wierności pamięci nabywszy (suflerów nie znano) stali się poniekąd żywymi depozytaryuszami tragicznéj literatury, a nawet niebezpiecznymi dla utworów poety.

Napoiwszy się mnóstwem wytrawnych i powabnych zdań i myśli, mając na posługi niepoliczoną ilość zwrotów

(1) Dowodzi tego wyrażenie z czasem ustalone: *διδασκειν τραγῳδίαν*, docere fabulam.

(2) Kształcić głos *πλάττειν φωνήν*, a nauczyciel ten zwał się *φωνασκός*.

i władając po mistrzowsku językiem, że nietrudno im było wierszować i temata lekkie, często się powtarzające zmieniać i przekształcać podług upodobania, mimo wiedzy wiele interpolacyi domieszali do dramatów i upstrzyli one reminiscencyami z innych sztuk i tragików. Mianowicie przystępnego i powabnego Eurypidesa dzieła bez dodatków patetycznych ze strony aktorów nam się nie przechowały; atoli trudno udowodnić nieraz, gdzie i ilekroć dramatów jego kształt pierwotny przez aktorów jest przekształcony i ozdobiony nawet przydłuższemi ustępami. Ta władza despotyczna nad textem, który prawie bezkarnie dodatkami i piększydłami było im wolno szpecić lub ubarwiać, nakłoniła też mówcę Likurga do wydania prawa, aby tragedye trzech wielkich mistrzów tylko podług jednego egzemplarza, przejrzanego i zachowanego w archiwum rządowém (Metroon) przez sekretarza stanu, były przedstawiane. Wszakże niekoniecznie i nie długo podobno zważano na to prawo: za czasów Arystotelesa więcej znaczyli aktorowie od poetów; decydowali nawet o losie ich, przenosząc i prym dając dramatom odznaczającym się wysokiém *pathos*. Dlatego na scenie głównie tylko Eurypides i Sofokles się utrzymali.

Od czasów Sofoklesa trzech występowało w tragedyi aktorów; czwartego rzadko kiedy użyto i chyba w podrzędnéj roli w dyalogu. Zwało się to wystąpienie czwartego aktora *parachoregema* lub *paraskenion*, Owi trzéj aktorowie więc podejmowali wszystkie role zachodzące w tragedyi. Sama budowa sceny, małe *logejon i proskenion* i szczuplutkie *okribas* nie były obliczone na wiele osób, nie na tłumną wrzawę, jeno na ruch bardzo umiarkowany.

Główna rola dostawała się *protagoniście πρωταγωνιστής* actor *primarum partium)*, bezpośredniemu organowi poety. On główną myśl dramatu, w przygodach życia i cierpieniach jednéj osoby wyrażoną, w patetycznych rozwijał sytuacyach. Dla wpływu wielkiego na los tragedyi protagonista wielkie miał znaczenie. Często nawet dobrzy tragicy byli zniewoleni, chcąc mu się przypodobać, wplatać ustępy całe (epejzodja) i części dramatu rozszerzać.

Podrzędnym pierwszemu był *deuteragonista* (*δευτεραγωνιστής, actor secundarum*). Ten miał zadania, odsłaniać moralną siłę i ową sprzeczność, cieniującą charakter i istotę idealną głównego bohatera dramatu. Mniéj było w rolach jego zapału, mniéj głębokości i ztąd niższe jego stanowisko. Z tego powodu nawet mistrz czyli artysta, dokładny w sztuce scenicznéj, obejmując role drugie, winien był zdolności swoje poskramiać i przytłumiać na korzyść protagonisty.

Daleko pośledniejsze miejsce zajmował i mało był poważany i ceniony *tritagonista* (*τριταγωνιστής*) płatny. Odegrywał role królów i bogów w teofaniach, daléj wszystkie pomocnicze role aż do heroldów i gońców.

Dramaturgiczne przeto znaczenie trzech aktorów częstokroć w odwrotnym zostawało stosunku do teatralnéj czyli scenicznéj ich godności; a mierność i pośledniość osób, których role podejmował trytagonista, nie rzadko, gdy zła gra nadto aktora nieprzychylne widzów względem niego usposobienie wywoływała, przyczyniała się do tego, że go wygwizdano, a nawet karano.

Na każdego z aktorów przypadały zwykle trzy lub cztery role; zasad jednak, według których one dzielili pomiędzy siebie, trudno dójść i odgadnąć z pozostałych dramatów.

Odzienie ostatecznie i wszelkiego rodzaju przybory teatralne miały przyczynić się ze swéj strony także do uzmysłowienia wspaniałości i wzniosłości tragicznych osób, a nawet wywołać wrażenie nieziemskiego, idealnego świata.

Pompa Bakchancka, nieodłączna od widowisk teatralnych a mająca upodobanie w grze pstrych i fantastycznych barw odzienia, jako téż zasada zaprowadzona przez Eschylosa, że osoby tragedyi, jako wyobraziciele bohaterskiego świata, zmysłowo nawet po nad zwykły poziom ludzki, powinny być wyniesione, pociągnęły za sobą ociężałość i brak prostoty— własności przeciwne i niezgodne z charakterem narodu. To téż aktorowie, ciężarem odzienia i obuwia przygniecieni, więzieni i przykuci, że tak powiem, do ziemi, swobodnie nie zdołali się poruszać. Gra ich przeto była niezmiernie utrudniona

i łatwo pojąć, jak wielkiéj siły ciała było porzeba, aby pomimo ciężaru odzienia wielorakiego, o którém zaraz będzie mowa, jakokolwiek swobodne robić ruchy; oraz jak mało niezgrabnemu aktorowi późniejszych czasów trzeba było uchybić, aby widmem lub strachem się wydawać.

W odzieniu zachowano zwyczaj pierwotny: pełność i buchastość azyatycką. Na suknią szeroką, do stóp w szerokich fałdach spływającą (*χιτὼν ποδήρης, ξύστις*), pstrą, podpiętą bogato tkanym pasem (*μασχαλιστήρ*) zarzucano płaszcz tragiczny (*σύρμα*, palla), purpurowy, obramowany złotogłowem. Oryentalnego zwyczaju przestrzegano w zaczesywaniu włosów (*ὄγκος*) i według wieku i roli piętrzono mniéj-więcéj. Obuwie z kilku grubemi podeszwami, sięgające do kolan, (*κόθορνος, ἐμβάτης*) czyniło krok poważnym ale i hałaśnym, kiedy przeciwnie w komedyi używano lekkiego obuwia *ἐμβάδες* socci, cichochody; a watówka gruba, wysłane piersi i członki, tudzież za pomocą rękawic przedłużone ramiona (*χειρίδες*) nad miarę zwykłą ludzką przedłużały i rozszerzały postacie tragiczne. Tak więc obok godności i wzniosłości, którą tym sposobem chciano osięgnąć, była w stroju tym ociężałość i niesmak sztywnego mechanizmu (1).

Nadto za pomocą rozlicznych i jaskrawych drobnostek (*ποικίλα*) naśladowano pstry i swawolny strój orszaku Dionyzosowego. Koroną wszystkiego była maska tragiczna, wyrażająca godność, wiek i t. d. osoby występującéj w dramacie, a ukrywając znane rysy aktora usuwała i poskramiała tém samém niepoetyczną wcale ciekawość i subjektywność. Uroczystości bakchosowe jéj także dały początek. W czasie winobrania bowiem na cześć Bakchosa swawolnie twarz sobie mazano winnym osadem, późniéj minią; nadto zakrywano twarz liśćmi i pół-maskami z kory drzew wyciętemi. Późniejszemi

(1) Winniśmy tu wspomnieć także o otoczeniu, jakie dawano książęcym osobom. Składało się ono z włóczników (*δορυφορήματα*) i statystów albo niemych ról (*χωφὰ πρόσωπα*). Nadto obok chóru głównego częstokroć scena jaka wymagała jeszcze drugiego, np. przy processyi uroczystéj w Eumenidach.

czasy wynaleziono i malowano płócienne maski (*προσωπεῖα*). Cel był następny: ponieważ rzecz działa się w idealnym świecie, aktor powinien był obcym zostać publiczności, a widzowie mniemać, że nie codziennemu przypatrują się widowisku. Wielka nadto była przestroność teatru greckiego i chodziło tam tylko o to, aby dosłyszéć, a nie o to, aby dokładnie widzieć aktora. Temu zaś zadosyć czynił głos; i mniéj już a raczéj wcale niedbano o wyraz twarzy i o swobodną gestykulacyą. Na tém zresztą zyskał charakterystyczny wykład, daleki od podobania się affektacyą; a równocześnie maska z szeroką rozwartą gębą i ostremi rysami twarzy uniepodobniła przesadę w tonie. Zwykle aktor w odzieniu jedném i tém samém zostawał przez cały przeciąg dramatu i li maskę zmieniał. (*ἔνσκευα* i *ἔκσκευα πρόσωπα*).

O PRZEDSTAWIENIACH TEATRALNYCH I O ZWYCIĘZTWACH POETY.

Chcąc dramat lub trylogią dramatyczną przedstawić w teatrze attyckim, trzeba było na to mieć pozwolenie od archonta. Jemu poeta doręczał utwór, prosząc o chór. Archont wyznaczywszy chorega, tém samém dzieło pochwalił i uznał za godne przedstawienia i publiczności attyckiéj. Poczém dramatyczny poeta, gdy chór był wyćwiczony i aktorowie przygotowani, puszczał się w zawody (*δρᾶμα καθεῖναι*). Obierano tudzież 10 sędziów (1) (*κριταὶ οἱ ἐκ Διονύσου*), niby reprezentantów 10 gmin, którzy zdawali sąd o wartości wchodzących z sobą wzajemnie w zapasy sztuk dramatycznych, a zatém roztrzygali ich los. Nie potrzeba dodawać, że i ci sędziowie zważali bacznie na wrażenie, jakiego doznawała publiczność i niezawodnie własnego bezparcyalnego nie wyrzekli sądu wtenczas, ilekroć stronniczość lub miałkość z niesłusznością czyli krzywdą zbratana w onym się przebija.

(1) Liczba sędziów niepewna; początkowe ustanowienie 10 sędziów było jedynie wynikłością przypadkowych okoliczności. Komicy w Atenach i na wyspie Sycylii mieli 3 sędziów.

Tragicy, jak się to powiedziało już po kilka razy występowali z trylogią, albo z tetralogią doliczając dramat satyryczny. Tetralogia jednak jako organiczna całość dotrwała podobno tylko do wojny peloponezkiéj.

Przedstawienia teatralne dawano w tych dniach, na które przypadały uroczystości Dionyzyjskie. Święta te obchodzono zaś w miesiącach zimowych od grudnia do marca. Było ich więcéj: były *małe Dionyzyjskie święta* (*Διονύσια τὰ κατ' ἀγροὺς* albo *τὰ μικρὰ*) w miesiącu pozejdeon, tojest między 15 listopada a grudnia; *wielkie* czyli *miejskie Dionyzye* (*Διονύσια τὰ κατ' ἄστυ* lub *τὰ μεγάλα*) w miesiącu elafebolion, tojest między 15 lutego a marca; pomiędzy niemi przypadały jeszcze dwa osobne święta: Lenee w miesiącu leneon późniéj gamelion zwanym, tojest od 15 grudnia do 15 stycznia i trzydniowe *Anthesterye* w miesiącu anthesteryon, od 15 stycznia do 15 lutego.

W pireusowym teatrze przedstawiano dramata w małe Dionyzye; w wielkim teatrze miejskim w Dionyzye wielkie i Lenee: w każdém zasię z tych trojga świąt obok tragedyj grywano i komedye. Większe daleko znaczenie miały wielkie Dionyzye od małych i Leneów, na których z powodu zimowéj pory tylko swoi bywali, kiedy tymczasem wielkie dlatego, że morze już bywało przystępne i otwarte dla żeglugi, odwiedzali licznie sprzymierzeńcy i cudzoziemcy. Zaszczycając tedy obecnością swoją tę uroczystość, większego blasku dodawali i roznosili sławę zwycięztw przez poetów tragicznych odniesionych (1). Wielkie Dionyzye nadto dlatego jeszcze pierwsze miejsce pomiędzy Dionyzyjskiemi świętami zabierały, że wtedy tylko nowe przedstawiano utwory (*καινοῖς τραγῳδοῖς*), na które chciwie i z tęsknotą czekało zwykle ciekawe Ateńczyków pospólstwo. Domniemywać się należy, że uroczystość ta kilka dni trwała i że nie w jednym dniu wszystkie przedstawiano dramata.

Poeta, który odniósł zwycięztwo (*πρῶτος*, *πρωτεῖα*), pokazywany był widzom i niby kapłan boga wieńczony

(1) Z tego też powodu w tenczas wieńczono według publicznéj uchwały zasłużonych mężów stanu. (Demosth. pro cor.).

bluszczem oplatającym spływający do ziemi kosmyk wełny (*ταινιοῦσθαι*). Chwalebném było także pozyskać drugie miejsce; zwłaszcza młodsi, początkujący poeci uważali to za znak pomyślny, który ich do pracy dalszéj zachęcał. Trzecie miejsce (*τριτεία*) dostać, znaczyło przegraną.

Ze zwycięztwem łączył się akt wysławiajacy walkę, tojest choreg stawiał trójnog (*χορηγικὸς τρίπους*) w świątyni (1) stojącéj w jednéj z najprzedniejszych ulic miasta (zwanéj *τριπόδες*). Świątynia ta i jéj przyległe budynki były napełnione takiemi trójnogami czyli ofiarami zaniesionemi przez szczęśliwych choregów. Trójnogi zaś z wizerunkami misternie wykonanemi, arcydzieła sztuki spoczywały na podstupcach, na których wyryto nazwisko archonta, uroczystości Dionyzyjskiéj, chorega i jego gminy, poety dramatycznego a czasem i pierwszego aktora.

Z tychto dokumentów wcześnie zebrano kronikę dramatycznéj literatury, mianowicie tablice chronologiczne stoczonych walk i tytuły dramatów rozmaitych, tudzież zwycięztwa i t. p. (2).

O CHOREGII I SKŁADZIE CHÓRU.

Tragedya niezaprzeczenie najpiękniejszą była ozdobą uroczystości Dionyzyjskich; a uświetniając te ludowe pełne zachwytu poetyckiego święta, oraz sama wznioślejsze i poważniejsze z czasem zajmować stanowisko i na lud skutecznie wpływać zaczęła. Totéż wcześnie na nią bacznie oko zwrócily władze krajowe i oświeceńsi

(1) Patrz następny rozdział.

(2) Pierwsi w tém pracowali Arystoteles i Dikearchos, późniéj uczeni alexandryjscy i pergameńscy: Lykofron, Kallimach, Eratosthenes, Aristofanes i Aristarch. Z prac tych niejeden szczegół przechował się w tak zwanych *ὑποθέσεις* do dramatów. Nadmieniamy tu jeszcze pobieżnie, że poeci dramatyczni nieraz stósownie do czasu i miejscowości zmieniali dramata (*δράματα διεσκευασμένα*) np. Eschylos Persów. Tym sposobem stało się, że obiedwie redakcye częstokroć zachowane nie mało utrudniają ustalenie tekstu.

w narodzie; i zaczęto mieć troskliwą pieczę o wszystkiém, co zewnętrznie godność tragedyi podnieść mogło. Nietylko charakter poezyi, ale i przedstawienie czyli widowisko teatralne: odzienie aktorów, ich maski, wykład i śpiew miały odpowiadać godnie wzniosłéj i świetnéj Dionyzosa uroczystości.

To wszystko wymagało wielkiego nakładu. Podejmowały zaś wydatek cały kosztem swoim gminy z kolei. Władza miała tylko ogólny nadzór, przywłaszczywszy sobie prawo wyznaczania téj lub owéj gminy (*φυλή*) do podjęcia tak zwanéj *choregii*, tojest do dostarczenia chóru poetom tragicznym; a gmina czyli raczéj zamożniejsi obywatele dopełniali włożonego na siebie obowiązku starania się o potrzeby i utrzymanie chóru i pokrycia kosztów z przedstawieniem połączonych. Chętnie to zresztą czyniono. Choregia należała do tych liturgij czyli ofiar ponoszonych dla kraju, z których żaden zacny obywatel się nie wymawiał, poczytując za rzecz honorową, w tém być na usługi ojczyznie z majątkiem i mieniém swojém.

W imieniu więc gminy i częstokroć idąc o lepsze z innemi zamożnemi obywatelami, każdorazowy choregos wyposażał dramatyczne i liryczne chóry dorosłych i dzieci, śpiewaków, tancerzy i muzyków, dostarczając wszystkiego, począwszy od odzienia. Wszakże nie trudnił się sam tém wszystkiém; kilku ludzi zdatnych przez niego lub gminę mianowanych dozorcami, zastępowało go we wszystkich obowiązkach połączonych z tém dostojeństwem drogiém (1).

W czasie kiedy chór ćwiczył się, żył kosztem chorega, gdyż zajęcie to nie pozwalało członkom jego szukać innych środków utrzymania się. A że nadto choreg winien był starać się o wszystkie przybory i przyrządy teatralne (*χορήγιον*, choragium), musiał posiadać majątek znaczny, aby bez uszczerbku fortuny narazić się na podobne wydatki. Donosi Lizyasz, że dostarczenie chóru tragicznego kosztowało do 3000 drachmów, naszą monetą mniéj więcéj 4000 złp., licząc w to ekspens

(1) *ὃν αὐτοὶ οἱ φυλεταὶ ἐψηφίσαντο* i t. d.

na biesiadę, po przedstawieniu powszechnie kosztem chorega chórowi dawaną, lub na trójkąt za pieniądze tegoż w ofierze Bogu za otrzymane zwycięztwo kupowany (1).

Dodać należy, iż blask i przepych choregii oczywiście szedł w parze i stosował się do zamożności i potęgi kraju. Pierwszy przykład dał Temistokles; świetna jéj epoka przeminęła z końcem wojny peloponezkiéj; ale podejmowano ją, jak na to okoliczności i zamożność obywateli pozwalały, aż do upadku Grecyi.

Nie potrzeba tu szeroko rozwodzić się nad tém, jak ważne w tragedyi chór miał znaczenie i zabierał miejsce. Dosyć, że nie było podobna przedstawić bez niego tragedyi. Dlatego poeta chcąc, aby utwory jego dramatyczne poznała publiczność attycka, udawał się do archonta z prośbą o chór (*χορόν αἰτεῖν*) (2). Archont odsyłał poetę do chorega i tym sposobem pośrednio czynił zadość jego żądaniu (*χορὸν δοῦναι*).

O składzie chóru mało co wiemy. To tylko pewna, że obywatele doń należeli, aby w dnie uroczyste doskonałości publicznego wychowania pod względem wykształcenia fizycznego i moralnego dać dowody, i że nie przypuszczano żadnego cudzoziemca. Poczytywali oni urząd swój zarówno zaszczytny, jako urząd choregów; a z zapałem i gorliwością jak największą utwór poety przedstawiając, działali na korzyść sztuki dramatycznéj i religii. Na zdatnych do tego ludziach nie zbywało pewnie; atoli, aby dokładniéj się przysposobić mogli, oddawano ich w naukę do wyprobowanego nauczyciela (*χοροδιδάσκαλος*), losem obieranego (*λαχεῖν*), który w lokalach przeznaczonych do tego rodzaju ćwiczeń (*διδασκαλεῖον*) uczył ich wykładu akuratnego, zgodnego i zgrabnego wykonywania ruchów w orchestrze, tańców i śpiewów według przepisów chórowodu (3).

(1) Uważać to należy albo za przesadzone doniesienie, albo za fakt osobliwéj rozrzutności.

(2) Zapewne do Basileusa, według innych do Eponymosa, który miał nadzór nad Dionyzyami. Kiedy tymczasem ów miał pieczę nad Leneami.

(3) Chórowód zowie się: *χορηγός*, *χορου ἡγεμών*, *χοροποιός*, *χορόστατης*.

Zresztą zatrudnienie chóru w rozmaitych wiekach było nierówne. Najtrudniejsze było ich zadanie w czasach Eschylosowych i pierwszych latach po wystąpieniu Sofoklesa. Wtedyto śpiewy chórowe znacznéj objętości i starannie opracowane wymagały wielkiéj biegłości w wykładzie i mimicznéj reprezentacyi. Nadto i gatunek dramatu mniéj lub więcéj utrudniał pracę chóru. Chóry tragiczne z większą trzeba było wykonywać precyzyą niż komosy komedyi. Ostatecznie i według tego, w jakiéj z części ogniwa tetralogicznego chór czyli raczéj część chóru występowała, lżejsze lub trudniejsze jego było zadanie (1).

O WPŁYWIE ATTYCKIEJ PUBLICZNOŚCI NA POETÓW I AKTORÓW TRAGICZNYCH.

Na rozwój dramatu bez wątpienia najdzielniejszy i długo blogi wpływ wywierała publiczność, słuchająca słów poety. Żadna téż inna, ani w starożytności ani w nowszych czasach, nie była życzliwszą i oraz groźniejszą dla dramatyka. Jakkolwiek Ateńczycy nie posiadali książkowéj nauki, jakkolwiek nie nawykli nawet w pożyciu do delikatneego obejścia i praw konwencyjnych, to przecie niedostatek ten zastępowały okwicie zdrowy rozsądek i zmysł zdolny rozeznać i uznać prawdziwą poezyą, bo wykształcony na eposie i lirykach. Na téj drodze wyrośli na sędziów nad mistrzami literatury, nie przestając daléj się oświecać, kiedy dramatycy widok na świat nowych pojęć i myśli im byli otworzyli.

Tragedya bowiem uczyła Ateny ludzkości zasad i wytykała drogę myśleniu. Jéj zawdzięczali oświecenie w sprawach boskich i społeczeńskich; ona zaszczepiła attycyzm na dotychczasowém narzeczu jońskiém i uczyła przyzwoicie się wysłowić. Mogli przeto Ateńczycy po-

(1) Powiedziało się bowiem wyżéj, że pierwotną liczbę chórentów dytyrambicznych (p. historya tragedyi greckiéj) podzielono na cztery części, z których każdy oddział liryczną część jednego z czterech dramatów tetralogii wykonywał; pamięć nawet nie byłaby wystarczyła na wyuczenie się wszystkich czterech.

czytać tragików za nauczycieli młodzieży i dojrzałego wieku męzkiego. Ich też wszyscy wykształceni z wyjątkiem niewiast słuchali; im nawet głęboką znajomość wszystkich sztuk i nauk, doświadczenie i niezachwianą świadomość boskiéj i ludzkiéj mądrości przypisywano.

Już ta opinia, upowszechniona w narodzie, nakłaniała do częstego odwiedzania widowisk; wszakże chęci i ciekawości nie każdy byłby mógł zadosyćuczynić, gdyby rząd nie był z pomocą pospieszył. Każdemu bowiem z uboższych obywateli wypłacano od czasów Peryklesowych począwszy (około 450 r. przed Chr.) dwa obole (a 7 groszy polskich) ze skarbu, aby dawszy je dzierżawcy teatru (θεατρώνης, θεατροπώλης) mógł być obecnym na widowisku. Wzmogła się bardziéj jeszcze chęć owa i prawie na słabość się zamieniła chorobliwą, gdy wszyscy obywatele bez wyjątku owo *theorikon* dostawali a inne summy nadto ze skarbu na uczczenie świetne wielkich tych widowisk przeznaczono. Czy już w tych czasach karmiono i pojono publiczność, jak późniéj, aby na kilku godzinnych przedstawieniach mogła bez przerwy być obecną, niepewna.

W wielkiém więc poważaniu byli w Atenach ich mistrzowie, Eschylos i Sofokles. Naród ich słuchał jakby nauczycieli swoich i hołd im winny oddawał. Wcale inne stanowisko zajęła publiczność od początku wojny peloponezkiéj. Ateńczycy zmienili się zwolna i po zaprowadzeniu szczeréj demokracyi stali się wybrednymi chimerykami. Refleksya i subjektywność przeważać zaczęła, a sofiści inny nadali kierunek mowie. Rozum się zaostrzył, żądano stylu polotnego, łatwości świetnéj w wykładzie. Obok krytycznego, przenikliwego wzroku dowcip w charakteryzowaniu, zmysł praktyczny, takt dyalektyczny w pojmowaniu sprzeczności, skłonność do rozmowy, że nie powiem, do gadatliwości i towarzyskość w pożyciu, oto główne cechy charakteru narodowego. Ztąd poszło, że od tragików więcéj wymagano. Strzegła i pilnowała ich argusowemi oczyma komedya. Zaczęto przeto usilniéj pracować nad formą. Blask i wystawność, dotąd otaczające tragedyą i pokrywające nie jeden niedostatek, nie znajdowały już oczu łatwo olśnie-

wać się dających. Łatwość i jasność wysłowienia, obrotna retoryka cechowała odtąd dramat i zbliżyła dyalog do mowy potocznéj, towarzyskiéj. Wszakże nietylko na formie dramatu, wpływ także na treści się okazał. Trzeba było teraz roztrząsać najgłówniejsze kwestye społeczne, moralne i religijne; żądano zatém krytyki teraźniejszości. Tym wymaganiom odpowiedział Eurypides.

Za czasów ochlokracyi ostatecznie bystremu, rozgarnionemu, przez oświatę i zmiany polityczne dojrzałemu ludowi trudno było dogodzić ze strony tragików. Tragedya, lubo utwór poetyczny, najpopularniejszy, przestała być jedynym, niezbędnym organym attyckiéj intelligencyi. Tragicy nie mogli téż już liczyć na pierwotną cześć i poszanę, która ich utrzymywała przedtém na niedościgłéj wysokości; owszem nieustannie stawać musieli przed sądem krytycznéj refleksyi, zaspakajać jéj skłonności i słabostki i podobać się zmienniczemu, od chwili lub okoliczności zawisłemu humorowi; podczas gdy dawniéj względom trwałym ufać mogli. Tym sposobem zniewolono ich do ubiegania się za pozorem i do miałkości, zwłaszcza że nieustannie żądano nowości i nowych dramatów w dzień wielkich świąt Dionyzyjskich z niesłychaną oczekiwano niecierpliwością. Wielka ta rozkosz i lubowanie w najpiękniejszych tworach poezyi, mogły dźwignąć i wzmódz produktywność, twórczość dramatyków, ale na krótką tylko chwilę; bo chęci i zapał stygły, skoro na podzięki tłumu liczyć już nie było można i naród od poety przychylne chwilowo spojrzenie odwrócił w inną stronę.

Z tego wszystkiego wolno wyprowadzić wniosek, że aktorowie nie mało mieli zachodów i pracy. Jako, będąc prawdziwymi mistrzami, mogli być pewni namiętnego, szalonego podziwu (*ενημερεῖν*); tak odwrotnie lekkie nawet tylko pomyłki, które z pewnością nie uszły delikatnego i wprawnego ucha słuchaczy, nie znajdowały przebaczenia, że obok hucznych poklasków dawała oznaki głośne nieukontentowania publiczność samowładnie w teatrze panująca (*θεατροκρατία*). Mlaskanie językiem (*κλώζειν*), wygwizdanie (*ἐκσυρίζειν*), wypukanie (*πτερνοκοπεῖν*), kamionowanie czyli zarzucenie kamykami (*λιθο-*

βολεῖν): oto kary, jakie czekały nieszczęśliwego aktora od rozhukanego pospólstwa.

Wszakże pomimo wszystkich zachęt i podniet zbywało tragedyi na charakterze i powadze myśli. Dzieła znakomitéj wartości przeplatano bardzo miernemi; a nieraz wybredna swawola i kaprys nierozsądny przyznawały lada partaczowi wygraną.

Z upadkiem hegemonii ateńskiéj wygasł zapał i chciwa ciekawość publiczności. Nie ma później śladu, aby surową krytyką gromiła lub karciła tragików swoich wyższa duchem publiczność, chociaż nigdy zmysłu do wykwintności i poprawnego przedstawienia zupełnie nie straciła.

KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Humboldt.—Córka Tintoretu, dramat p. Dugué.— Wykradzenie z Seraju, opera Mozarta.— Wigilia Marengo, dramat epiczny.—Filozofia Simona.— Życie Poussin'a, przez pana Bouchitté.— Wiadomości literackie.

We trzy dni po przyjściu do Paryża depeszy telegraficznéj, donoszącéj o śmierci Alexandra Humboldta, Monitor ogłosił dekret Napoleona III^go^, nakazujący, ażeby posąg sławnego naturalisty stanął w galeryi wersalskiéj.

Raport, na którym napisano cesarskie potwierdzenie, powiada: „Humboldt znaczną część życia swego przeżył między nami; współpracownikami jego byli nasi najsławniejsi uczeni; najważniejsze dzieła swoje wydał po francuzku; miał dla kraju naszego sympatyą i miłość, które uczyniły go prawie naszym rodakiem.

„Proponujemy przeto Waszéj Cesarskiéj Mości, ażebyś rozkazał uczcić Humboldta hołdem, godnym jego pamięci; ażebyś zadekretował postawienie jego posągu w muzeum wersalskiém. Tym sposobem śmierć nie rozdzieli go od sławnych mężów, którzy byli jego wielbicielami i przyjaciołmi."

Kiedy wypisujemy te słowa z Monitora, powyższy projekt już stał się rzeczywistością. Jeden z najsławniejszych rzeźbiarzy francuzkich, twórca nieśmiertelnego *Spartakusa* i *Joanny d'Arc*, Foyatier, kuje z karraryjskiego marmuru półwiększą niż naturalną statuę Alexandra Humboldta, która jeszcze tego roku galerye wersalskie ozdobi.

Posąg Humboldta bardzo właściwe zajmie miejsce w Wersalu, gdyż część spuścizny umysłowéj, jaką zostawił Niemcom, słusznie należy Francyi. We Francyi rozwinął się geniusz przodownika nauk przyrodzonych; tu przeżył on najpiękniejsze dwadzieścia lat życia; we francuzkim języku wydał główne swe dzieła; w Paryżu wykładał najpierwéj sławny kurs o umiejętności świata, który później powtórzył w Berlinie i wziął za punkt wyjścia do wiekopomnego *Kosmosa*. Przez obyczaje, związki umysłu i serca, Humboldt był napół Francuzem — Francyą sam zowie swą umysłową ojczyzną — a wiadomość o jego skonie niemniejsze w Paryżu jak w Berlinie uczyniła wrażenie.

Jest więc poniekąd obowiązkiem paryzkiego sprawozdawcy, czyli wyraziciela myśli francuzkiéj stolicy, podczas kiedy ta tak żywo czuje stratę Humboldta, jego zasługi wylicza i posągi mu stawia;—rzucić także okiem na prace tego naukowego mocarza, mianowicie na te, których w Paryżu dokonał.

Humboldt stworzył fizykę powszechną globu ziemskiego. Ażeby ukonstytuować tę ogromną, zaledwie nakreśloną przez swoich poprzedników naukę, musiał pierwéj zbadać wszystkie wiedze, którym fizyka globowa praw swoich użycza: musiał być zarazem fizykiem, chemikiem, geologiem, botanikiem, astronomem i zoologiem—i to nietylko posiadać ogólne pojęcie tych nauk, ale być w każdéj z nich doskonałym.

Najgenialniejszy ze wszystkich uczonych nowożytnych, tylko Humboldt był zarazem obserwatorem i wynalazcą w pięciu czy sześciu naukach, z których zazwyczaj jedna na wypełnienie życia ludzkiego wystarczy. Nieśmiertelne odkrycia jego o ziemskim magnetyzmie i obserwacye dotyczące rozdzielenia ciepła na globie, dowodzą, iż był doskonałym fizykiem; o jego wiedzy chemicznéj świadczą mnogie analizy powietrza; że był pierwszego rzędu geologiem, widzimy z mnóstwa obserwacyj, poczynionych na obydwóch półkulach; astronomicznéj jego biegłości dowodzą spostrzeżenia spisane w czasie podróży: jako nakoniec genialny tak pod względem

spostrzeżeń jak opisów naturalista skreślił potężne tomy, dotyczące roślinnego i zwierzęcego królestwa.

Z powodu uniwersalności swojéj wiedzy, Humboldt może być porównanym tylko z Arystotelesem i jeszcze o wiele wyższym jest od tego geniuszu starożytności; bo jeżeli Arystoteles potężną siłą mózgu objął początki wszystkich nauk ludzkich, to te zadziwiające jasnowidzenia posłużyły tylko jego własnéj chwale: zarodki, jakie śmiałą ręką na świat rzucił, pozostały bezpłodne dla jego następców, którzy nie umieli wyciągnąć żadnych korzyści z jego odkryć, ani zastosować jego wzniosłych poglądów. Humboldt przeciwnie, ma tę zasługę, że wszystkie jego prace przyniosły bezpośrednie korzyści społczesnym; z jego pomocą, jego naukowi spadkobiercy poczynili w rozmaitych gałęziach wiedzy ogromne postępy.

Ograniczamy się na tém ogólném ocenieniu scyentyficznego charakteru Humboldta. Nie tu miejsce kreślić z należném staraniem wszystkich szczegółów tak długiego i pełnego życia. Kto je chce poznać dokładnie a treściwie, tego odsyłamy do wybornego artykułu doktora Hoefer, stanowiącego część *Biografii Powszechnéj*, wydanéj w Paryżu przez pana Firmin Didot. O ile nam wiadomo, nie napisano we francuzkim języku wyższego i dokładniejszego życiorysu Humboldta.

Wracając do świetnéj elipsy, jaką geniusz jego w naukowym świecie zakreślił, przejdziemy pobieżnie jéj punkta wytyczne.

Przygotowany wcześnie gruntowną nauką do prac obserwacyjnych, które miały być zajęciem jego życia, Humboldt za młodu zwiedził Hollandyą, Francyą, Anglią i nadreńskie prowincye. We Freibergu zatrzymał się najdłużéj; studyował tam bowiem Florę podziemną, o któréj w roku 1793 wydał książkę pod tytułem: *Specimen Florae subterraneae Fribergensis et aphorismi ex physiologia chemica plantarum.* Pracę tę dedykował nauczycielowi swojemu, sławnemu botanikowi Wildenow.

Mianowany assessorem w Radzie min pruskich, aż do roku 1796 kierował administracyą kopalni Anspach'u i Bayreuth. Urząd ten nie przeszkadzał mu do czynienia rozmaitych doświadczeń: zajmował się wtedy analizą

powietrza; badał oddychanie roślin; prócz tego, wymyślił lampę bezpieczeństwa dla górników. W téj epoce wydał rzecz: *O drażnieniu fibrów muskularnych przez elektryczność*: książka ta zwróciła nań poraz pierwszy uwagę uczonych francuzkich.

Byłyto tylko prace przygotowawcze Humboldta; za cel swój uważał on jak najrychlejsze rozpoczęcie dalekich podróży, a mianowicie zwiedzenie Wielkich Indyj.

Oczekując urzeczywistnienia tego olbrzymiego i kosztownego przedsięwzięcia, udał się z przyjacielem swoim, geologiem Buch, do Włoch, w zamiarze studyowania na miejscu tamecznych wulkanów. Tocząca się atoli wtedy we Włoszech wojna nie dozwoliła im zamierzonéj pracy dokonać.

Posłyszawszy o wyprawie scyentyficznéj, wybierającéj się z Francyi do Egiptu, Humboldt przybył do Paryża, z zamiarem przyłączenia się do niéj. Poznał się z kilkoma uczonymi, z Laplacem i Bertholletem, członkami naukowéj expedycyi, pokupował narzędzia, które chciał wziąć z sobą—wszystko już było gotowe do drogi, kiedy niespodziewanie w wigilią odjazdu władze francuzkie odmówiły mu żądanego upoważnienia należenia do wyprawy egipskiéj. Humboldt zdesperowany, bierze pocztowe konie i pędzi za uczoném gronem do Marsylii, chcąc wyrobić u jenerała dowodzącego zmianę decyzyi rządu. Ale Bonaparte przyśpieszył dzień wyjazdu, i kiedy Humboldt przybył do Marsylii, wojsko francuzkie już odpłynęło ku brzegom Afryki. Nie zniechęcony tą przeciwnością, udał się do Hiszpanii, mając nadzieję, że ztamtąd będzie mógł dopłynąć do brzegów Barbaryi i puściwszy się z karawanami idącemi z Tripoli do Kairu, połączyć się z wojskiem francuzkiém. Ale znowu nieprzełamane trudności kazały mu zaniechać téj niebezpiecznéj podróży.

Ponieważ Humboldt uważał tylko Egipt za stacyą na prowadzącym do Indyj gościńcu, nie mogąc udać się tą drogą do celu życzeń swoich, postanowił jechać przez Amerykę. Tym końcem otrzymał od króla hiszpańskiego pozwolenie zwiedzenia hiszpańskich osad w Ameryce i odpłynął tamże niezwłocznie.

Ciągle zapatrzony w Indye, Humboldt zamierzał tylko przejechać kolonie i wsiąść na okręt na oceanie Spokojnym. Ale stanąwszy na amerykańskiéj ziemi, tak wielkie obaczył koło siebie skarby naukowe, iż się od nich oderwać nie mógł i pięć lat w koloniach pozostał. Przez ten czas zwiedził Kordylliery, oraz główne wyspy zatoki Meksykańskiéj. W r. 1804 udał sie do Havany, gdzie blizko rok spędził i dopiéro w końcu tegoż roku opuściwszy Amerykę, przybył do Bordeaux.

Rezultat téj podróży, spisany po francuzku, mieści się w ogromnéj publikacyi, podzielonéj na siedm części, z któréj każda osobne dzieło stanowi. Pierwsze nosi tytuł: *Voyages aux régions équinoxiales du nouveau continent*: jestto historyczna relacya podróży z atlasem geograficznym, geologicznym i fizycznym; część druga: *Vue des Cordillères et Monuments des peuples indigènes de l'Amerique;* część trzecia: *Recueil d'Observations de zoologie et d'anatomie comparée;* część czwarta: *Essai politique sur le royaume de la Nouvelle-Espagne;* część piąta: *Recueil d'Observations astronomiques, d'Opérations trigonométriques et de Mesures barométriques;* część szósta: *Physique générale de zoologie;* część siódma: *Essai sur la géographie des plantes.* Do téj ostatniéj pracy dodany jest zielnik, zawierający pięć tysięcy gatunków roślin, których połowa nie była znana botanikom. Rozmaite inne prace botaniczne, oraz *Essai politique sur l'île de Cuba*, wiążą się z tą publikacyą, jedną z najobszerniejszych i najgruntowniejszych, jakie wydała nauka.

Cały ten szereg dzieł genialnych Humboldt wydał w Paryżu, w czasie swego dwudziesto-dwuletniego tutaj pobytu.

Mimo tak absorbującéj pracy, niezmordowany badacz wszech świata zajmował się ciągle anatomią, fizyologią i chemią; wolne od pisania chwile przepędzał w gabinecie Cuvier'a, w pracowni pana Gay-Lussac, lub w towarzystwie innych uczonych francuzkich, a mianowicie: Berthollet'a, Jussieu, Arago, Brongniart'a i Thénard'a, z którymi prócz nauki przyjaźń go wiązała.

W roku 1827, ukończywszy i wydawszy swe wielkie dzieła, Humboldt wielokrotnie wzywany do Berlina, prze-

niósł się do pruskiéj stolicy, gdzie wkrótce został poradnikiem i ulubieńcem króla Wilhelma III^go^ i jego następcy Wilhelma IV^go^. Monarsze względy nie wciągnęły go jednak z duszą do rządów państwa; zawsze przekładając naukę nad politykę, wolał być uczonym niż ministrem; zawsze jeden przedmiot mając na myśli, chociaż w podeszłym wieku, nie rozstawał się z młodocianym projektem jechania do Indyj i nad urządzeniem téj podróży pracował. Król Pruski widząc, że urzeczywistnienie tego zamiaru jest najgorętszém pragnieniem Humboldta, wziął na siebie wszystkie koszta expedycyi i wyjednał dlań wolne przejście od wszystkich monarchów, których ziemie przebywać trzeba było. Zdawało się tedy, że już wszystkie przeszkody usunięte; ale zawistna Anglia, nie chcąc wpuścić do swoich posiadłości tak wolnomyślnego i uczonego cudzoziemca, zręcznie pokrzyżowała i zwichnęła zamiar, którego urzeczywistnienia cały świat naukowy z upragnieniem wyglądał.

Dopiéro w 1829 roku Humboldt zdołał choć w części marzenie swoje zrealizować. Dowiedziawszy się, iż Rząd Rossyjski organizuje scyentyficzną wyprawę do Syberyi i Azyi Środkowéj, ofiarował się na jéj dowódzcę. Otoczony sztabem najsławniejszych naturalistów niemieckich, odniósł obfite plony z téj azyatyckiéj wycieczki. Wyprawa doszła aż do zamkniętych naówczas bram chińskich. Wracając ztamtąd, podróżni przebyli stepy Iszymu, Omsk, Miask, jezioro Ilmen, Orenburg, Astrahan, morze Kaspijskie, Saratow, Tułę, i zrobiwszy przeszło 2,300 mil geograficznych w ciągu dziewięciu miesięcy, powrócili do Moskwy. Rezultat téj podróży Humboldt ogłosił pod tytułem: *Azya Środkowa*.

Po kilkudziesiątletniém szperaniu na ziemskim globie, dostojny przodownik nauki europejskiéj postanowił streścić w jedném encyklopedyczném dziele całą naukę wszechświata i zaczął pisać *Kosmos*. Już w kursie swoim „*Obrazy Natury*" zamknął wynik wiedzy ludzkiéj o niebie i ziemi; *Kosmos* był synthezą i rozwinięciem idei wypowiedzianych w tych *Obrazach*. „Rozklassyfikować fenomena, przeniknąć siły, które je tworzą, odmalować przepych w porządku, oddać żywym językiem żywy wizeru-

nek rzeczywistości, połączyć nieskończoną rozmaitość żywiołów, z których obraz natury się składa, nie ubliżając wrażeniu harmonizującego z jednością spokoju" taki był plan tego czterotomowego dzieła, przełożonego na wszystkie żyjące języki.

Piérwszy tom *Kosmosa* przetłumaczył na język francuzki, paryzki astronom Faye; trzy następne mineralog Gałuski, Francuz, polskiego pochodzenia. W początku tego roku wyszło tłumaczenie francuzkie ostatniego tomu *Kosmosa*. Rękopis tego tomu sam dziewięćdziesięcioletni Humboldt przeglądał, i gdzieniegdzie swem nieśmiertelném piórem poprawił.

Podczas kiedy oczy całego Paryża zwrócono ku Włochom, kiedy świetna przeszłość i zakryta przyszłość Italii zajmują bez wyjątku wszystkie umysły, kiedy stare i nowe dzieje téj cudnéj ziemi odczytują jedni a czytają drudzy,—*Córka Tintoreta*, dramat p. Dugué dający obraz Wenecyi, zwabia tłumy ciekawych do Ambigu Comique. Sztuka ta godną jest widzenia tak pod względem stylu jak dekoracyi; szkoda tylko, że autor trzymając się ślepo, a nawet przesadzając wzory szkoły romantycznéj 1830 r, obraz miasta dożów zbyt czarnemi zamazał farbami. *Venezia la bella* w Ambigu wygląda jak trucicielka Lokusta, pędząca życie na zabijaniu, szpiegowaniu i rozpuście.

Tyran Padueński Wiktora Hugo, nie mało się przyczynił do ustalenia tego kirowego pojęcia roszkosznéj stolicy Dandola. Olbrzymia imaginacya autora *Lukrecyi*, w najlepszéj z resztą intencyi, tak spotęgowała zbrodnie i mordy, ucisk i niedolę Wenecyi, że ta „Syrena Dziewica" w wyobraźni gminu z czasem przerodziła się w jakąś ohydną poczwarę morską, o któréj strach wspominać przed nocą.... Wenecya Hugona, Wenecya, którą geniusz jego popularną uczynił, to miasto akustycznie w formie ucha zbudowane, w którém nawet szeptać nie można, bo szept jak grzmot się rozlega i dochodzi do zamaskowanych rozbójników zwanych *Radą Dziesięciu*. „Wenecya, woła Angelo, to inkwizycya państwa, to Rada Dziesięciu! Mówmy o niéj cicho, Tisbo, gdyż może nas kto słu-

cha... może na nas patrzą jacy ludzie nie znani, a znający—ludzie, których nie widać na żadnéj biesiadzie, a którzy są przy każdém rusztowaniu.... ludzie trzymający w swém ręku wszystkie głowy—nawet głowę doży; ludzie nie strojni ani w simary, ani w korony, ani w dyadema, ani w nic, coby ich wskazywało oczom, co by ostrzegło: to szpieg, to kat!" i t. d.

Czytając ten monolog podesty, włos się na głowie jéży... zdaje ci się, że nawet ryby w Adryatyku należą do tajnéj policyi *Rady Dziesięciu*, i po kanałach odgrywają tęż rolę, co nieme rzezańce w serajach; że co noc szereg gondoli wypływa processyonalnie z pod mostu *Westchnień*, i jedzie rzucić w kanał Orfano setki patrycyuszów i illustrissimów; a ilu zamaskowani oprawcy wydusili w podziemiach *Pałacu Duków*; ilu zbir z tyłu ugodził sztyletem i zepchnął z mostu w wodę... to się już obliczyć nie da! Zanim śmierć przyszła oswobodzić te ofiary, inkwizycya męczyła ich w Plombach. Plomby? to tożsamo co owe płaszcze z rozpalonego ołowiu, co gną na dwoje potępieńców Danta. Studnie? to podmorskie groby bez światła, bez powietrza, niektórzy dodają „bez przestrzeni." Nad temi dwoma piekłami, jedném z lodu a drugiém z ognia, Rada Dziesięciu czarna, niema, straszna, fatalna, jak stado sępów siedzi ostrząc dzioby, knując okropne zbrodnie, pisząc śmiertelne pozwy i szpiegując się wzajemnie. Dodajcie do tego obrazu nieustannie padający grad sztyletów i truciźnianych gałek, drżącego dożę, dziesiątkowany senat — cały naród złożony ze szpiegowanych szpiegów,—naród, który nie śmie pokazać twarzy i wychodząc na ulicę bierze maskę, jak dziś bierzemy kapelusz; dodajcie do tego gondole pełne cudzołóztwa, orgii, pochodni, trumien, ślepych latarek, serenad i *de profundis*; słowem, wyobraźcie sobie błazeńsko-grobowy karnawał rządzony przez dziesięciu bandytów, a będziecie mieli Wenecyą taką, jaką przedstawił Hugo i setki jego naśladowców, jaką malowało tysiące romansistów, jaką nakoniec Dugué teraz przedstawił na bulwarze *Zbrodni*.

Takto, z wielkiéj ku niemu miłości, obgadano i przedzierżgnięto w hordę antropofagów najsłodszy i najszczę-

śliwszy naród, jaki kiedy używał życia pomiędzy lazurem wód, a lazurem niebios. Trochę postrachu z góry; wiele szczęścia na dole; spartańska siła złagodzona ateńską gracyą,—oaza drogich kwiatów i słodkich owoców broniona opiekuńczym *strachem* od żarłocznych napaści: oto podobno prawdziwa Wenecya.

Owa okrutna *Rada Dziesięciu*, niema i zagadkowa, jak sfinx egipski, jak on, pilnowała skarbów, czuwała nad mieniem i życiem narodu, broniła go od szlacheckich nadużyć; rzadkie jéj pociski padały tylko na wyniosłe głowy, winne zdrady stanu. Taki labirynt przemożnych intryg musiał mieć swego Minotaura. Jakiéjże sztuki, jakiéj baczności, jakich nie ubłaganych nożyc Parki potrzeba było, żeby naprawiać i utrzymywać w dobrym stanie to kruche arcydzieło potęgi rzeczpospolitą Wenecką zwane. Jakiż to był kraj? Rozpierzchły archipelag cały żłobiony jak arabeska; a na nim osady i miasta inkrustowane sztuczniéj niż mozaika kopuły świętego Marka. Jeden huragan zdmuchnie mamidło z pustyni; jedna godzina anarchii byłaby zatopiła urok téj mórz królowéj. Wszystko było w niéj nadzwyczajne: pochodzenie, stworzenie i byt; hieroglificzne prawa, amfibiczna natura, wolne obyczaje; jedno wstrząśnienie mogło wszystko to zniszczyć.

Taki cudotwór musiał być rządzony despotycznie. Trzej inkwizytorowie i dziesięciu Radców byli czarodziejami tych politycznych czarów. Wenecya powierzając im dyktaturę, dobrze wiedziała co robi, i cóżkolwiek bądź o tém mówią, każdy kto się wczyta w historyą Wenecyi, przyzna, że téj władzy nie nadużyli. Toż przecie otworzono nakoniec owe plomby, zajrzano do owych studni; i cóż znaleziono? Zdrajców i złoczyńców, więzienia jak każde inne, mogące zaledwie pomieścić pięćdziesięciu więźniów.

Ale na co dowodzić rzeczy jasnych. Apologią rządu weneckiego jest jego historya: są dzieje tego narodu jedynego w swoim rodzaju, co bił się jak rycerz, handlował jak żyd, a bawił się swemi bogactwy jak artysta. Te pałace misterne jak brabancka koronka, jestże to archite-

ktura ciemiężonego narodu? Te malatury tęczowe, gdzie pysznią się w słońcu figury w purpurę i jedwab' odziane, jestżeto sztuka poddaństwa? A portrety Tycyana i Tintoreta, uwieczniają rasę niewolniczą? Ten nawet dyalekt wenęcki tak pełen fineryi, tak aksamitny, płynny, łagodny, zarazem do świergotania ptasząt i szczebiotania fali podobny, maż w sobie aby jedną nutę skargi lub żalu?

Za naszych czasów, można było płakać i litować się nad Wenecyą; ale boleć, ale płakać nad Wenecyą dożów, to zaprawdę zbytek czułości nie stosowny wcale, mianowicie ludziom Północy. Jeżeli jak mówi Goethe: Grecy mieli najpiękniejsze marzenie życia na ziemi, to Wenecyanie przędli daléj ten sen złoty. Sam nawet ich upadek był śliczny: omdleli, z niewysłowioną gracyą i anielską niemocą. Wenecya okwitła jak stulistna róża, spokojna, bo pewna że jeszcze zakwitnie. Ów srogi rząd, zamiast stać się sroższym i niesprawiedliwszym, jakto w takich chwilach bywa, zmiękł owszem, i jak łagodna piastunka, pozwolił nacieszyć się, naigrać długo mającemu spać dziecku.

Wtedy, przez blizko wiek cały, świat podziwiał jedyny w swoim rodzaju widok: widok narodu pędzącego życie w dominie, upajającego się kawą, sonetami, muzyką, rozkoszą, lenistwem—realizującego na swéj wyspie fantastyczne marzenie Cyteru, które Watteau lubieżnym pędzlem przedstawił. Stara Wenecya dożów umarła w téj nerwowéj kryzys, jak muszla Adryatyku, ze zbytku pereł poczętych w swém łonie....

Ale gdzież dramat pana Dugué? spytacie może doczytawszy dotąd. Opowiadać go nie warto. Z tego co powiedziałem, już wiecie, że w nim nie ma ani cienia historycznéj prawdy. Bohaterem sztuki jest wenecki Satyr Arecian, który długiém pasmem podłych podstępów, usiłuje oskrzydlić niewinną córkę Tintoreta, i jak jadowity pająk biedną muszkę zjeść nagnawszy w swe fatalne sieci.

Chociaż na historycznym fałszu oparta, chociaż ani Arecian, ani Tintoret wcale niepodobni, sztuka ma wielkie powodzenie, bo napisana z życiem, bo autor wierzy

w Wenecyą Wiktora Hugo, w zasadzki, narkotyki, trucizny, sztylety i wszystkie te stare maszynerye silną ręką porusza. Dekoracye prześliczne; mianowicie kopuła świętego Marka jest arcydziełem teatralnéj architektury.

— Vaudeville przedstawia ciągle z wielkim sukcesem ostatnią sztukę autora *Fiamminy* „*La Seconde Jeunesse.*“ Przedmiot téj sztuki wzięty z obyczajów, obserwowany w naturze, pan Uchard opracował z rzadką na teatrze szczerością; a przedmiot to ślizki, bo drażniący całą starszą połowę ludzkości. Tak dla mężczyzny jak dla kobiety *druga młodość* jest w życiu trudną do przetrwania chwilą. Mężczyzna już zwykle żonaty, stanął u celu życzeń, ma zaszczyty, majątek, dorastające dzieci; i właśnie dlatego, że już wszystko osiągnął, napada go czczość niebezpieczna. Żona choć dobra i jeszcze ładna, już nie ma w jego oczach dawnych powabów; włosy siwieją.... nie długo, trzeba uprzedzając wyrok sąsiadów, samemu starym się uznać. Czując zimno wiejące od mniéj więcéj niedalekiego grobu, człek uczuwa jakby jakąś gorączkową chętkę do życia, jakąś silną potrzebę cofnięcia się w tył i skorzystania z ostatniéj chwili, w któréj jeszcze szkarłatny blask zachodu może ujść za blask wschodzącéj jutrzenki...

Temuto uczuciu desperackiego smutku, który nas ogarnia przy rozstaniu z życiem, a nie fizycznéj rozwiozłości, przypisać należy większą część występków drugiéj młodości, któremi Uchard bohatera swego obarcza. Mając żonę, dzieci i lat blizko pięćdziesiąt, pan Lirmay zakochał się w piętnastoletniej panience. Obłąd to fatalny a tém szkodliwszy że uparty: piąty krzyżyk nadchodzi, serce chce bić koniecznie zanim stanie na zawsze. Waryacya trwa przez trzy akty, w czwartym dopiéro niezachwiana łagodność i wyrozumienie żony leczy z niebezpiecznego anewryzmu męża, młodego już tylko w oczach Flouransa, pocieszającego autora *Długoletności ludzkiéj.*

— W teatrze lirycznym śpiewają *Wykradzenie z Seraju*, śliczną dwu-aktową operkę Mozarta, któréj paryzka krytyka niesłusznie zbytek osób zarzuca. Bogactwo téj czarownéj muzyki pochodzi ztąd, że ją pisał Mozart zakochany, a przedstawiał w Wiedniu, tydzień przed wykra-

dzeniem panny Konstancyi Weber, przyszłéj swéj żony. Po reprezentacyi, cesarz Józef rzekł do kompozytora: Bardzo dobrze, kochany Mozarcie, tylko trochę za wiele nut.“ „Nie więcéj niż trzeba, Najjaśniejszy panie“—odpowiedział maestro. I słusznie. Czy może być za wiele dukatów w skarbie, lub nadto pereł w naszyjniku? Podobne narzekanie na bogactwo artysty zawsze wydaje nam się tylko obroną własnego ubóstwa.

— Jednocześnie teatr francuzki wznowił *Starego Celibatera*, Harlevill'a, Porte-Saint-Martin, *Chauffeurów*, pięcio-aktowy dramat Eugeniusza Sue; Ambigu, *Muskieterów* Dumasa; ale wszystkie te świetne reprezentacye bledną obok sztuk okolicznościowych, wojennych, które teraz cyrk i teatra bulwarowe wzięły szturmem.

La Veille de Marengo przedstawiana w Gaîté, jest awangardą téj bateryi wojennych dramatów, które niebawem strzelać poczną czerwonemi kulami we wszystkich tutejszych teatrach. Od takich sztuk nie można żądać ani stylu, ani logiki: jedyném ich zadaniem budzić w narodzie zapał dla włoskiéj sprawy; muza ich nie jest boginią opiewającą na złotéj lirze chwałę bohaterów, ale dzielną markietanką, która przebiega szeregi i nalewa ludowi palące kubki zapału. Właściwie mówiąc, nie są to dramy, ale wojenne pantominy, w których cienie pierwszego cesarstwa ukazują się w paradnych mundurach i opowiadają bezładnie, dawne boje i dawne zwycięztwa. Słowa ich nikną jak libretto w operze. Artyllerya grzmiąca za Alpami, tłumi głosy aktorów; potężnym swym grzmotem przygłusza powszednią mowę i siłę swą jéj nadaje; nadęte wyrażenia, wypchane komunałami okresy, zapalają się od wystrzałów i zdobywają publiczność jak kartaczowy ogień. *La Veille de Marengo* brzmi na afiszu jak trąbka do ataku; *Wigilia Marengo* przedstawiona nazajutrz po bitwie pod Magentą, została przyjęta jak należało: z jednomyślnym zapałem.

Potoczna intryga téj sztuki nikogo nie zajęła. Kogoż obchodzić mogą w takiéj chwili, miłostki panny Lelii, córki włoskiego wygnańca, z panem Duval, młodym malarzem Francuzem,—albo rywal jego, hrabia Bruckeim, pułkownik Kroatów, wyglądający jak istny strach na wró-

ble w austryackim mundurze. Prawdziwe zajęcie obudza dopiéro w drugim akcie widok wojska francuzkiego obozującego na szczycie góry świętego Bernarda.

Ta napoleońska gigantomachia ma to do siebie, że zawsze zdumiewa; czyto na obrazie, czy na teatrze, nie można widzieć bez głębokiego wruszenia tych dzielnych zastępów, tych dział przebywających lodowe szczyty gór niebotycznych; nie można bez wewnętrznego drżenia oglądać tych ziemskich piorunów wniesionych rękoma olbrzymów w sfery gromów niebieskich, a na czele nich pierwszego Konsula wyciskającego ślad swego buta, tam, gdzie przed nim tylko Annibal zostawił odcisk swego sandała.

W następnym akcie generał Bonaparte odszukawszy pod śniegiem Annibalową drogę, schodzi z Alp do Italii, jako oswobodziciel. Potrzeba mu człowieka pewnego, któryby z narażeniem życia przedarł się przez austryackie straże i oddał depesze oblężonemu w Genui Massenie. Duval, kochanek Lelii, podejmuje się polecenia; jedzie, i wpada w ręce Austryaków. Lelia dowiedziawszy się, że ma być rozstrzelany, chcąc go wybawić od śmierci, oddaje swą rękę pułkownikowi Bruckeim. Austryak przyjmuje ofiarę nieszczęśliwéj kobiety, ale jéj nie przyjmuje Bóg; kiedy już mają iść do ołtarza, wojsko francuzkie napada na weselne gody, siecze, rąbie, kole i zabiera wszystkich Austryaków do niewoli; dzieje się to w wigilią bitwy pod Marengo. Stary ojciec Lelii proroczym duchem owiany, przepowiada przyszłość; mówi, że w dalekiéj zorzy widzi Palestro, Magentę i młode hufce francuzkie oswobadzające Włochy. Zapał dochodzi do najwyższego stopnia, kiedy obraz finalny, rodzaj wizyi, odsłania się i przedstawia huragan Żuawów płatających Kroatów. Co wieczór teatr się trzęsie od oklasków, jakie Paryż sypie tym bohaterom, którzy za regułę sobie wzięli zdanie Suwarowa: „To nie sztuka co puka— to wolę co kole.“

Podczas kiedy powyższy dramat przedstawiają w Gaîté, Porte-Saint-Martin przygotowuje *Kampanią Włoską*, wielką melodramę epiczną, pisaną po dyktowaniu zwycięztw, i doprowadzającą armią francuzką aż do Medyolanu.

Ostatnie dzieło Jules Simona dotąd należy do najpoważniejszych publikacyj paryzkich. Jestto dalszy ciąg wydanego poprzednio przez tegoż autora *Obowiązku*, traktat filozofii praktycznéj. Simon przechodzi historyą ludzkości, od początku świata aż do naszych czasów, i z przeszłości przyszłość jéj wywodzi. Wolność wedle niego jest *specyalnością* człowieka.

Jakoż rzeczywiście, drzewo rośnie pod okiem Opatrzności niemając nic innego do roboty tylko się rozrastać; słońce i deszcz ułatwiają mu tę operacyą, i jakiém wyrosło pierwszy raz, takiém pozostanie aż do końca świata. Tożsamo zwierzę: czy się czołga, czy lata, czy trawą, czy mięsem żyje, czy w futro, czy w pióra, czy tylko w skórę odziane, żyje instynktowo, mechanicznie, życiem naprzód przez naturę określoném, bez możebności i bez chęci przemienienia go w czémkolwiek. Małpa skacze po gałęziach zupełnie tak, jak najpierwsza jéj genealogii fundatorka; głos gęsi zupełnie dziś taki jak jéj kapitolińskich antenatek; każdy twór wyszedł skończony z rąk natury, prócz człowieka. Tego Opatrzność napół tylko stworzyła, poczém, oddała mu swoję różczkę czarodziejską mówiąc: dokończ swoję kreacyą. Tém samém chciała go zmusić żeby miał własną wolę, a nawet w téj miłosiernéj intencyi, surowych użyła środków. Przykryła futrem niedźwiedzia, odziała w kirys hipopotama, koniowi dała mocne buty, pamiętała o potrzebach każdego robaczka; człowiekowi tylko nie dała nic prócz najpiękniejszéj formy, delikatnéj skóry i pełnéj mózgu czaszki. Ziemia dla innych stworzeń spiżarnia—dla niego jednego była pustynią. Trawa sama odrasta pod zębem jagnięcia; wilk ma zawsze gotowe pod łapą jadło; najnędzniejsza poczwarka rodzi się na pożywnym listku; człowiek tylko, ażeby miał obiad, musiał gonić chyżéj od siebie biegające zwierzęta, pływać, nie mając skrzeli, zwalczać drapieżne bestye nie mając ich pazurów i siły: ażeby miał zawsze obudzony umysł, natura otoczyła go niebezpieczeństwy; ażeby wytężał siłę twórczą, przyszedł na świat nagim.

Wszystko to niezmiernie skomplikowało i utrudniło położenie człowieka, ale wiodło go prosto ku wytknięte-

mu celowi: zmuszało do rozwijania w sobie dwóch boskich atrybutów: twórczości i samodzielności.

Nie wiém jak tam było w raju, ale Simon dowodzi, że ludzkość w dzieciństwie srodze była przez Opatrzność chłostaną. Z jego teoryi wypada, że stan natury, który Rousseau stanem wolności zowie, był raczéj stanem najcięższéj niewoli—bo wtedy człowiek na nieuprawnéj ziemi żył pod uciskiem najsroższego tyrana: głodu, nie licząc mnóstwa tyranów podrzędnych, jak deszcz, wiatr, grad, mróz, spiekota, burza, pioruny, i wszystkie tym podobne dolegliwości, które na nienakrytą jego głowę spadały. W tymto wychwalanym stanie natury, znosił wszystkie kaprysy atmosfery, każdą porą swego ciała chłonął cierpienie.

Szczęściem, ażeby wydobyć się z pod tego ucisku, miał niewidzialny podarek Opatrzności schowany w głowie: intelligencyą, a oprócz tego drugą drobnostkę: rękę, wierną służebnicę myśli. Z pomocą tych dwóch rzeczy zapobiegł powoli wszystkiemu: co mu dokuczało, uśmierzył głód, pragnienie, zrobił sobie ciepłe na zimę, a chłodne na lato odzienie, przebył rzekę suchą nogą i zmusił morze, żeby go nosiło. A wszystkiego tego dokonał dlatego tylko, że nie określono jego istoty; postawiono go tak, żeby walczył z naturą i mógł walczyć zwycięzko przeciw żywiołom i gwałtom drapieżnych zwierząt.

Człowiek pierwotny nietylko był ciemiężony przez naturę ale i przez bliźniego. W czasach kiedy prawo mocniejszego było prawem świata, mocniejszy mówił słabszemu: zwyciężyłem cię, mógłbym cię zabić, zjeść nawet, ale przez dobrze zrozumiane miłosierdzie, wolę ci włożyć łańcuch na szyję, naznaczyć cię na czole moją cyfrą, będziesz dla mnie orał, siał i zbierał, będziesz na mnie pracował od piérwszego do ostatniego dnia swego życia.

Tak było w początkach cywilizacyi: z czasem zmieniły się rzeczy. Ze starożytnego prawa niewoli, dziś został już tylko przeciągły jęk historyi; ażeby człowiek teraz, przy świetle Ewangelii śmiał jeszcze uważać za własność człowieka, ten musi być przynajmniéj odmiennego

koloru. Długo wprawdzie służebność zastępowała niewolę, ale służebność to już połowa wolności: od niéj Francya doszła do równouprawnienia.

Tak więc od początku świata cywilizacya coraz to więcéj produkuje wolności, dlatego, że coraz większe wydobywa z ziemi bogactwa i większą naukę z mózgu. Każde uderzenie motyki w ziemię, każde odbicie czcionek na białém papierze wyzwala człowieka z podwójnego ucisku: nędzy i ciemnoty.

Oto czego Simon dowodzi w dziele swojém, przez historyą porównawczą przeszłości z teraźniejszością. Patrząc na tę kwestyą okiem filozofa, opiera wolność na sumieniu. Ażeby odrzucić tak postawioną wolność, trzeba odrzucić cnotę i występek, bo ostatecznie bez wolnéj woli jakże zasłużyć, albo nie zasłużyć, w tém życiu? Komuż kiedy przyszło do głowy czynić jakie wyrzuty lub dawać pochwały automatowi.

Rzadko spotkać można, nawet w oceanie paryzkich publikacyj, książkę przyjemniéj i piękniéj napisaną jak życie Poussin'a, przez pana Bouchitté. Ze wszystkich prac literackich nagrodzonych tego roku przez akademią, ta niezawodnie największe miała prawo do złotego medalu. Autor opowiedział tu raz jeszcze dzieje geniuszu, co zrodzony na najniższym szczeblu drabiny społecznéj, musi walczyć z nędzą, przeciwnościami i wszelkiego rodzaju złością ludzką, która kamieniem kładzie mu się na skrzydłach i na polot nie pozwala, dopóki prześladowany nie urośnie w olbrzyma, i nogi jéj na czole nie postawi.

Nie nowa to więc historya, ale mimo to, zawsze ciekawa i ucząca.

Jak wszyscy prawdziwi artyści, Poussin od dzieciństwa trawiony był gorączką oglądania włoskich arcydzieł. Chęć jechania do Włoch zrodziła się w jego głowie jeszcze, kiedy mając lat dwanaście umywał pędzle w pracowni malarza Quintin-Varin, w Paryżu. Z myślą tą żył nierozłącznie, i ilekroć uzbierał parę franków, natychmiast z tobołkiem pad pachą, ruszał drogą ku Rzymowi,

nie wiedząc, że z tym kapitałem ledwie kilkanaście mil zajdzie i będzie musiał wrócić napowrót o głodzie.

Tak bezowocnie walczył z niepodobieństwem, do lat dwudziestu. Nareszcie los zawistny zmordowany wytrwaniem młodego malarza, dozwolił mu poznać się z niejakim il signor cavaliere Mariani, majętnym Włochem, który oceniwszy pierwsze prace Poussin'a, a mianowicie jego dzielny charakter, wziął go z sobą do Rzymu, i przedstawił kardynałowi Barberini.

„Prezentuję Waszéj świątobliwości, rzekł, malarza francuzkiego, który ma djabła w ciele." Po téj rekomendacyi wydającéj mu się najlepszą, signor Mariani zostawił młodzieńca kardynałowi, a sam powrócił do Francyi. Jego świątobliwość po krótkiéj rozmowie z artystą przekonawszy się, że tak źle nie jest jak mówi jego protektor, wpuścił przyszłego mistrza do malarskiego raju, zwanego Watykanem.

Tam się dostawszy, Poussin długo chodził jak zwaryowany, niewiedząc któremu bogu hołdować; aż nareszcie młoda jego fantazya nad wszystkich przeniosła tęczowego Tycyana i jego dzieła kazała kopiować. Na wzór wybranego mistrza, Poussin jak on utonął w mitologii: zasiewał swe płótna nimfami, bożkami i boginiami. Ale wkrótce nie mogąc dociec tajemnicy weneckiego kolorytu, zdesperowany, porzucił Tycyanowski przedmiot i manierę, a zajął się historyą. Odmalował wtedy *Koriolana*, *Śmierć Germanikusa* i *Zdobycie Jerozolimy*.

Te trzy obrazy zwróciły nań uwagę rzymskich diletantów. Jeden z tamecznych klasztorów zamówił u niego obraz do kościoła i dla umniejszenia kosztów, dał mu gotowe płótno, na którém jakiś bazgracz swój szkic nakreślił. Poussin rozwinąwszy owe płótno wydobyte z lamusa, poznał pędzel mistrza, i odnowił arcydzieło Dominiquina *„Komunią świętego Hieronima."*

Ukończywszy tę pracę, wystawił obraz na widok publiczny i obok niego począł wykładać kurs estetyki, celem nawrócenia Rzymian do poczucia prwdziwego piękna.

Pewnego dnia, kiedy francuzki malarz pełną ognia wymową sławił geniusz twórcy wystawionego obrazu,

kiedy lud porwany jego zapałem, uderzony został jak rewelacyą, odsłonioném przed oczyma swemi arcydziełem— jakiś nędzarz blady jak Piotrowin, przedarł się przez tłum, i konający prawie, padł w objęcia Poussin'a. Był to zapomniany, strúty zapoznaniem rodaków, Dominiquin, który zaszedłszy tu przypadkiem i poznawszy swe dzieło, chciał podziękować młodemu cudzoziemcowi, że w chwili skonu oddał mu sławę.

Daléj opowiada pan Bouchitté wypadek, który o ledwie nie pozbawił Francyi jéj wielkiego malarza. Rzym miewał w owych czasach częste z rządem francuzkim zatargi, a Francuzi nie byli lubieni w stolicy Apostolskiéj. Kiedy więc pewnego ranka Poussin szedł sobie z teką pod pachą szukając przedmiotu do malowania, żołnierz papiezki poznawszy po ubiorze Francuza, rąbnął go w rękę pałaszem.... Gdyby teka nie była osłabiła cięcia, prawa ręka malarza byłaby odpadła, a z nią cały szereg arcydzieł, który miał stworzyć. Takto częstokroć od niezgrabności żołdaka zawisło życie geniuszu.

Kiedy sława Poussina rozeszła się po świecie, Ludwik XIII zawezwał go do Francyi; malarz nie chętnie przyjął te zaprosiny, bo się ożenił i osiedlił w Rzymie: jednakowoż, czyniąc zadość woli monarszéj, przybył do Paryża. Tutaj został obsypany łaskami: król mianował go swoim nadwornym malarzem; wyznaczył dostatnią pensyą; dał dom z ogrodem, piękne meble i zawsze pełną wina piwnicę. Poussin mógł więc żyć wygodnie w ojczyznie—ale jak mówi przysłowie: nikt nie jest prorokiem w swoim kraju. Niedługo, prześladowany, dręczony zazdrością kolegów, rzucił wszystko i wrócił do Włoch, czując, iż tam tylko żyć i malować swobodnie może.

Tam téż tylko rzeczywiście mógł znaleźć natchnienie dla swojego historyczno-pejzażowego talentu. Wszystkie obrazy Poussin'a łączą w sobie te dwa, niby tak sprzeczne, rodzaje: w jednym historya, w drugim natura przeważa, ale zawsze są obie. On piérwszy z malarzy skojarzył małżeństwo dziejów z przyrodą.

Starożytność nie znała pejzażu; cała zajęta człowiekiem, nie widziała nic prócz niego. Wieki średnie przyjęły wprawdzie naturę jako tło obrazu, ale nie przywią-

zywały doń żadnéj wagi. Odrodzenie, pod tym względem naśladowało wieki średnie: zawsze poświęcało scenę dla występujących nań figur. Tycyan piérwszy zrozumiał poezyą natury, i stworzył pejzaż, utrzymując śmiało wbrew powszechnemu zdaniu, że krajobraz ma także swoje powaby. Pod wpływem tego pojęcia, wymalował swój przepyszny obraz do galeryi Camuccini. Szkoła bolońska poszła drogą wskazaną przez Tycyana. Kiedy Poussin przybył do Rzymu, pejzaż już nabył praw obywatelstwa w malarstwie.

Ale Poussin w kampanii włoskiéj, zasianéj ruinami, obaczył cóś więcéj niż naturę,—historyą—a wielbiąc zarówno obie, sprobował przedstawić je w parze. Dlatego zastosował jednę do drugiéj: pomniejszył aktorów, ażeby zwiększyć scenę, zawsze jednak osobom zachowując ważne w obrazach role. Ztąd dwoistość wrażenia, jakiego się doznaje patrząc na pejzaż Poussin'a. Nie ma tam prawdziwéj natury, pięknéj własną pięknością, obojętnéj na wszelkie organiczne stworzenia nie wyłączając człowieka; natura Poussin'a ma swój właściwy wyraz, swój czas zastósowany do czasu greckich lub rzymskich wypadków: każde drzewo, każda skała, każdy strumień nosi jakąś datę—jest że tak powiem, zmuszony do przyjęcia pewnéj narodowości.

Historyą zmuszał znowu Pousin do czynienia koncessyi naturze; przeto małżeńska indywidualność stron obu, na obrazach jego dzieli się sprawiedliwie, na dwie równe połowy.

Poussin malował mądrze i z rozmysłem; był może najlogiczniejszym z malarzy, ale najmniéj z nich namiętnym. Wielki twórca *Potopu* nie umiał malować kobiéty; nie znał wcale owéj piękności płomiennéj, palącéj, żywéj, owego kwiatu stworzenia, który jest w malarstwie idealnym językiem miłości. Kobiéta pod pędzlem jego jest zawsze szlachetna, ale zimna jak posąg. Nawet w scenach rozkosznych artysta odmówił jéj wdzięcznego uśmiechu. Znać, że ten malarz nie był w zażyłości z żadną muzą, nie miał ani swojéj Fornariny, ani Colonny. Historya jego stwierdza to przypuszczenie, nasunięte widokiem jego obrazów. Poussin ożenił się bez miłości, przy-

padkiem, z dziewczyną, która go pilnowała w chorobie: małżeństwo dla niego było tylko aktem wdzięczności.

Za posag żony kupił sobie domek na Pincio, obok Salvatora Rosy, a naprzeciwko pracowni Lorrain'a. Spokojne życie jego płynęło na pracy i nauce. Co dzień wstawał o wschodzie słońca i szedł do willi Medicis, prześlicznego ogrodu, pełnego powagi i ciszy, gdzie każdy krok przechodnia kruszy jakąś uschłą gałązkę i płoszy spacerujące kosy. Z tegoto wzgórza Poussin kontemplował utopioną we mgle kampanią rzymską i srebrny dyadem wieńczący czoło góry świętego Januarego. Napatrzywszy się temu widokowi, odświeżony ożywczym chłodem poranku, wracał do pracowni ciągnąć daléj rozpoczęte dzieło.

Spokojne to i chronometryczne życie, życie bez wrażeń silnych i bez ożywczych wstrząśnień, skończyło się melancholią: Poussin pokochał śmierć jak kochankę. W sile wieku lubił już tylko malować finalne chwile stworzenia. Z czasem, zabójcza atmosfera brzegów Tybru, prawie klasztorne życie skazujące na ciągłe rozmyślanie, oraz osłabienie nerwów, rozwinęły w nim chorobliwą myśl o śmierci. Pod jéj wpływem wykonał cztery ostatnie dzieła, będące najwyższą expressyą swego talentu: *Arkadyą*, *Testament Eudamidas'a*, *Ostatnie Namaszczenie* i *Potop*.

W *Arkadyi* myśl skonu zakryta jak u starożytnych poetów sceną miłosną, mniéj uderza; ale w *Testamencie Eudamidas'a* malarz stawia widza naprzeciw śmierci, i każe jéj patrzéć oko w oko. Ten umierający bohater, zagasłe jego oczy, wpółotwarte usta przepuszczające ostatnie słowo; to serce, które zaledwie już uderza pod ręką lekarza; owa matka, co téż blizka grobu już utraciła zdolność cierpienia; ubogie wnętrze izby, któréj całą ozdobą zawieszony na ścianie puklerz: całe to cmentarne arcydzieło, śpiewa widzowi *de profundis* i szepce do ucha powitanie spotykających się trapistów „bracie, trzeba umrzeć!“

Potop jest ostatniém słowem Poussin'a, jego wzniosłém pożegnaniem świata. Morze już pokryło powierzchnią ziemi; odemknięte śluzy niebios swym wodospadem

zaćmiły słońce; światło, to życie natury, ledwie już sinym brzaskiem oświeca męczarnie świata. Błyskawica, jak błysk od miecza zemsty, przerzyna ponure przestwory. Tu i owdzie zwierz jaki, lub żyjąca grupa pasuje się z powodzią wzrastającą wciąż, straszną, podlizującą już łakomym językiem stopy gór najwyższych. Na szczycie skały wąż, duch złego, ostatni świadek powszechnego zniszczenia, czołga się, jako przypomnienie zbrodni ziemi, i usprawiedliwienie Opatrzności. Obok niego, na wzburzonym odmęcie, człowiek stoi na strzaskanéj łodzi i napróżno wznosi ręce ku niebu, bo go nadbiegająca fala natychmiast pochłonie....

Gdyby Poussin nic więcéj po sobie nie zostawił prócz tego jednego obrazu i łacińskiego nagrobka w kościele świętego Wawrzyńca, który mu napisali współcześni bracia w geniuszu, jużby wraz z niemi przeszedł do nieśmiertelności.

Znakomitéj książce pana Bouchitté ten tylko zarzut uczynić można, iż zbyt wysoko stawia Poussin'a, chociaż autor w tym względzie jest jeszcze rozsądniejszy od Cousin'a, który pewnego razu, zagrzany nadmiarem patryotyzmu, z katedry utrzymywał, że Poussin wyższym jest od Rafaela. Możeście ciekawi wiedzieć dlaczego? „Dlatego że Rafael żył na dworze Leona X i kochał Fornarinę, a Poussin hartował swą duszę w atmosferze świętego bohatyrstwa, czasem nawet dłoń świętego Wincentego à Paulo miał sposobność uścisnąć.“

Nieszczęściem dla teoryi pana Cousin, twórca *Potopu*, jak się pokazuje z jego listów przytoczonych przez pana Bouchitté, nie bardzo wierzył w świętość otaczających go ludzi i nie bardzo jakoś czuł magnetyczny wpływ ich dłoni. W jednym z listów pisanych z Rzymu do p. Chanteloup, Poussin tak się wyraża: „W jakichże bezecnych czasach żyjemy! Ludzie wygnali z pomiędzy siebie cnotę, sumienie, religią; dziś na świecie rządzi tylko zbrodnia, intryga i interes osobisty. Wszystko stracone... wszystko nieszczęściem brzemienne... Zwątpiłem o wszystkiém i nie widzę lekarstwa. Cóż pomoże leczyć palce, kiedy cała ręka zgniła!“

Wyszły dwa nowe tomy *Biblioteki Użytecznéj* wydawanéj dla ludu Zawierają: „*Wojny Religijne we Francyi*," przez Juliusza Bastide, byłego ministra rzeczypospolitéj. Następnie wyjdzie także w dwóch tomach już będąca pod prasą „*Historya formacyi Narodowości Francuzkiéj*" przez Buchez'a.

— Pod napisem: *Essais de moral et de critique*, pan Renau, ex-ksiądz, wydał swe artykuły umieszczane w *Revue des Deux Mondes*. Kolega jego, pan Prevost Paradol pisujący także do *Debatów*, wydał też swe płody, pod tytułem „*Essais de politique et de litterature.*"

— Nader literalnie napisany pierwszy tom *Historyi Reformacyi Francuzkiéj* pana Puaux, zwrócił uwagę powszechną.

— Wyszedł drugi tom: „*Historyi Włochów*," Cezara Cantu, w tłumaczeniu pana Lacombe.

— Littré, członek Instytutu, wydał pod tytułem: „*Paroles de philosophie positive*" system filozoficzny Augusta Comte, którego studyowaniu życie swoje poświęcił.

— Wyszła *Geografia teatru wojny i państw sąsiednich:* obejmuje Włochy, Austryą, Prusy i Szwajcaryą. Tekst wzięto z Malte Brun'a; mappy robił Dufour. Jednocześnie wyszedł piewszy poszyt publikacyi pod tytułem: „*Contemporains populaires en France et en Italie.*" Wydawnictwem trudni się grono literatów-spekulantów. Dzieło składać się będzie z trzydziestu poszytów obejmujących życiorysy wszystkich znakomitszych dyplomatów i wojowników biorących udział w obecnie toczącéj się wojnie.

UWAGI

TYCZĄCE SIĘ JĘZYKA CHEMICZNEGO POLSKIEGO.

Jak z jednéj strony w obecnych okolicznościach z trudnością przychodzi pisać o języku chemicznym, tak z drugiéj, chęci udoskonalania go nikt za złe poczytać nie powinien; podobne bowiem materyały, dziś rozrzucone, mogą kiedyś posłużyć do utworzenia uzasadnionego chemicznego języka, bez którego wydawnictwo dzieł, wykład nauki i jéj pojęcie ciągłe nastręczać będą trudności. Uwagi, które tu podaję nie są wybrykiem imaginacyi, ale uzasadnioném przeprowadzeniem słownictwa Waltera, który końcówki przymiotnikowe do mowy chemicznéj polskiéj wprowadził. Na tych samych zasadach opartego słownictwa użyłem w tłumaczeniu analizy Willa; w niektórych jednak miejscach musiałem się tam stosować do wyrażeń upowszechnionych lub upowszechniających się; ztąd niejaka między temi dwiema nomenklaturami da się spostrzedz różnica. Podstawę jak powiadam, podanéj tu nomenklatury stanowią końcówki przymiotnikowe; one bowiem otworzyły pole jaśniejszego poglądu na związki chemiczne przez jednakowy podział zasad i kwasów, one upraszczają nazwy i dają im krój polski, one wreszcie pozwalają logicznie myśl jednę, przez całą przeprowadzić nomenklaturę; gdy tymczasem nomenklatura rzeczownikowa właściwie na żadnéj zasadzie się nie opiera. Zalety te są tak znakomite, że zdaje się rzeczą niepodobną, aby najzaciętsze nawet usiłowania miały moc dostateczną do

obalenia zasad przez Waltera położonych, propagowanych przez akademią krakowską i przez wszystkich co dbają o postęp u nas wiedzy chemicznéj.

W recenzyi przetłumaczonego przeze mnie dzieła, zamieszczonéj w zeszycie Biblioteki z miesiąca maja r. b., zwróconą mi została uwaga, że nie uznając wyrazu *tlen* za dobry, takowy przyjąłem. Uczyniłem to myśląc; że wyraz tlen już się utrzymał; jakie zaś mam pojęcie o nazwach kwasorodu, będę się starał wypowiedzieć.

Tleń równie jak kwasoród uważam za wyrazy niestosowne, bo jeżeli kwasoród nie sam kwasy rodzi, to tleńn ie sam tli, a nawet wyraz ten jest jeszcze mniéj stosownym od kwasorodu, bo tlić znaczy dogasać, gdy tymczasem kwasoród nie dogasza ale pali. Powiadam tleń nie tlen, gdyż tlen tyle znaczy co tlon (skrócony imiesłów od tlony): tém zaś mianem właściwiéj byłoby oznaczyć wodoród (air inflammable, brennbare Luft) niż kwasoród; a że kwasoród, który pali, możnaby nazwać paleń, dodajmy gasień, którym jest azot, a będziemy mieli nazwy trzech głównych pierwiastków z jednego pochodzące źródła. Wątpię jednak, aby je ktokolwiek uznać zechciał za stosowne. Że kwasoród ma mylne znaczenie, o tém pisano we wszystkich językach, więc już nazwa ta nie myli; o mylności tlenu i pisano i jeszcze więcéj pisaćby wypadało; kiedy więc obie nazwy są złe, myślę, że należałoby dawną zachować, póki kto stosowniejszéj nie poda.

Główną wadą wyrazu kwasoród jest nieudolność w tworzeniu wyrazów pochodnych, bowiem ukwasaradniać, ukwasaradniający, ukwasorodniony, są wyrazy zbyt długie i naciągnięte; tych zatém naprzód pozbyćby się wypadało, a czemu w następujący sposób zaradzić można. Greckie *oxydum* i łacińskie *acidum*, nietylko brzmienie mają podobne, ale i znaczenie etymologicznie wziąwszy toż samo. Acidum oznacza związki kwaśne bez względu na ciała z których się składają, wyrazem zaś oxydum objęte są wszystkie związki kwasorodu z innemi ciałami; ztąd kwasoród nie nazywa się acidogenium tylko oxygenium. U nas nazwę tę bardzo źle przetłumaczono i dlatego tyle dziś nastręcza trudności, tyle

wywołuje rozpraw, których potrzeba w innych mowach czuć się nie daje. W polskim języku kwaśnieć kiśnieć, kwasić kisić, kwas kis, są wyrazy w zupełności odpowiadające sobie, a cała różnica ich znaczenia w tém leży, że co jest kisłe może być kwaśne lub nie, a co jest kwaśne kisłe być musi. Kis więc odpowiada oxydowi, a kisoród oxygenowi; wyrazy te ani z kwasem, ani z oxydem i oxygenem analogią nie grzeszą, toż samo ich pochodne: kiśnik, kisić, ukiszony, ukisły, kiszący i t. d. Ponieważ jednak wyrażenia te zaprowadzone nie zostały, a wiemy dziś, że prędzéj hydrogenium wypadałoby nazwać kwasorodem niż oxygenium, bo żadne ciało nie ma własności kwasu, jeżeli wodoród w skład jego nie wchodzi, i związki kwasorodowe dawniéj uważane za kwasy, np. SO_3, NO_5, CO_2, dziś uważamy za bezwodniki nieposiadające własności kwasu, któréj dopiéro za połączeniem się z wodą nabywają; nowa więc nazwa, już na innéj własności tego pierwiastku oparta, gdyby szczęśliwie została utworzoną, byłaby bardzo pożądanym nabytkiem mowy chemicznéj. Te jednak co dotąd wyszły, wyszły bez nowości, bez uroku oryginalności; ot tak, przypomniano sobie, że Condorcet nazwał kwasoród powietrzem życia, czyli żywiącém (air vital, Lebensluft), a Scheele, który jednocześnie z Pristlejem go odkrył, powietrzem ognia, czyli palącém (air du feu, Feuerluft), gdyż ta tylko własność kwasorodu wtedy mu była znana. Tlen więc nie jest żadną nowością, tylko najdawniejszą nazwą i to bardzo nieszczęśliwie przetłumaczoną—podobnież i żywień, lecz nazwa ta, jak daléj zobaczymy, jest dlań daleko stosowniejszą.

Lavoisier, który wiedział z własnych i Pristleja doświadczeń, że zwierzęta dłużéj żyją w kwasorodzie jak w takiejże ilości powietrza, który wiedział, że kwasoród utrzymuje palenie, bo na téj jego własności utworzył antiflogistyczną teoryę: wiedział bardzo dobrze i o tém, że kwasoród nie same kwasy rodzi, skoro go otrzymał z niedokwasu rtęciowego i rozłożył wodę, a jednak nazwał go oxygine (kiśnik). Jak zaś miał obszerne pojęcie o własnościach tego ciała, wnosić można z jego własnych słów „quand on calcine un metal, il y a absorption d'oxygine,

n'en serait-il pas de même du sang." Dopiéro w czasie kreacyi nowéj nomenklatury nadaną została kwasorodowi nazwa oxigène (kisoród); dlaczegóż więc ani Lavoisier, ani akademia, nie przyjęli nazwy Scheelego; przecie nazwa gazu palącego właściwiéj mu należy, niż gazu tłącego; dlaczegóż starano się wprowadzić nową w miejsce używanego w ówczas powietrza żywotnego; czy nie dlatego tylko, aby dać pojęcie, że kwasy i niedokwasy są jednego pochodzenia, i że sam stosunek ciała ukiszającego do ukiszonego jest przyczyną niejednostajnych ich własności. Jakie to zapatrywanie wydało owoce, widzimy z obecnego rozwoju chemii. Dziś jednak, kiedy wiemy, że nietylko kwasoród daje kwasy i zasady, ale i inne ciała, a wyrazem kwas objęte są wszystkie związki kwasowe, bez względu na ciało ukiszające, wypadałoby wyrazem kis, jako mającym daleko obszerniejsze od kwasu znaczenie, objąć wszystkie związki, które ciała elektroujemne tworzą z innemi ciałami. W takim razie ciało elektroujemne byłoby kiszącém, elektrododatne kiszoném, od wyrazu zaś kwasoród wyprowadzałby się tylko kwasorodnik, a i ten, raz zastąpiony wyrazem kwas, drugi raz wyrazem niedokwas, prawie wcaleby się nie używał. Niedokwas bowiem z mowy chemicznéj usunięty być nie powinien, jako zbyt rozpowszechniony a nawet potrzebny; gdyż kwasorodnik oznaczający tak dobrze kwas jak i niedokwas zastąpić go nie może; jedno zaś z niedokwasem znaczenie mająca zasada, będąc rodzaju żeńskiego jest tu wyrazem niedogodnym. niedokwas zaś ponieważ nie pochodzi od kwasorodu lecz od kwasu, jako wyraz temu ostatniemu odpowiedni może tu być z korzyścią użyty. Przykład: kwas i niedokwas antymonowy oba są kwasorodnikami antymonu; kwas i niedokwas siarkoantymonowy oba są siarnikami antymonu; ciałem bowiem ukiszającém (działającém jako elektroujemne) w piérwszym razie jest kwasoród, w drugim siarka. Sposób ten wyrażania prawie nie różny od języka Śniadeckiego, byłby bardzo prostym i jasnym. Co do kisu, lud nasz wiedziony przeczuciem, ruch wewnętrzny w ciałach organicznych w czasie fermentacyi wzniecony nazywa kiszeniem, chociaż co jest kwaśne kisem nie nazwie, lecz

kwasem; żaden więc wyraz połączeń takich lepiéj jak kis i jego pochodne przedstawiać nie może. Że kiszenie oznacza także fermentacyą kwaśną, to na jasność nowego zastosowania tego wyrazu wcale nie wpływa, gdyż i kwaszenie coś podobnego przedstawia, a jednak wyrazy pochodzące od kwasu dotąd nie myliły. Wyrazy pochodzące od kisu o ile byłyby praktyczne, wnosić można z nazwy dla argent oxidé, srebro okisłe, t. j. powierzchownie ukiszone, które to wyrażenie myślę, że łatwiejby przystało do pojęcia ogółu, niż srebro okwasorodnione, oniedokwaszone lub otlenione.

Jako materyał do nazwy kwasorodu posłużyć tylko może jego siła życiodawcza, i jeżeli żywień pana Radwańskiego nie był tyle szczęśliwy co tlen, to jeszcze nie przyczyna, aby był równie zły. Tlen czerpiący swój ród z cerkiewno-słowiańskiego języka, w którym jak piszą, przedstawia ciało wytlone czyli popiół, jako oznaczający istotę, co już żyć przestała, ma znaczenie wprost przeciwne żywieniowi, przedstawiającemu życie—podobna zaś nazwa kwasorodowi słusznie się należy; bo kwasoród łączy się z istotami organicznemi, w których życie wygasło, aby je przerobić na pokarm dla innych; więc te co już same żyć nie mogą dla życia innych, przysposabia. Przerabia nawet na pokarm ciała nieorganiczne, i tak: z wapem, potasem, sodem, fosforem, krzemem, kwasoród powietrza jako z najpotrzebniejszemi do pożywienia najłatwiéj się łączy; daleko słabiéj z mniéj tu potrzebném żelazem, a złoto i srebro pozostawia w spokoju. Lecz to są, jak widzimy, tylko pokarmy, które istotom żyjącym przysposabia, gdy tym czasem rola jego w utrzymaniu życia bez porównania jest ważniejsza; za każdém bowiem odetchnieniem, łącząc się z palniejszemi pierwiastkami krwi, ogrzewa człowiekowi i zwierzętom ciało, i wywiązuje potrzebną do utrzymania życia elektryczność. Pierwiastki znów, z któremi tu się połączył, ustala w roślinach; niesie więc życie w cały świat uorganizowany. Sztuczne także nasze światło i ciepło komu nie zawdzięczamy, jeżeli nie kwasorodowi powietrza. Nie jestże to pierwiastek, który w pogaństwie słowiańskiém nazywano Żywie?

Z tego, co powiedziano, pokazuje się, że gdyby panu Radwańskiemu udało się szczęśliwiéj przetłumaczyć nazwę podaną przez Condorceta, nazwa ta byłaby doskonałą i byłby się od niewczesnych żartów uchronił: stronnicy bowiem tlenu zarzucali mu, że skoro nazwał wodoród lżeniem, związek kwasorodu z wodorodem powinien nazwać żywieniem lżenia; lecz zarzut ten z prawdą się nie zgadza, bo podobny związek nazywałby się żywieńkiem lub żywnikiem lżenia. Podaję tu te myśli nieoznaczając nazwy dla kwasorodu, o pokusę bowiem nie chciałbym być posądzony: nowy wyraz razi ucho, łatwiéj więc i właściwiej, mając rzecz objaśnioną, któremu z filologów utworzyć i podać stosowną nazwę. Od jakich zaś okoliczności zależy przyjęcie lub odrzucenie wyrazu, widzieć można z tego, że tlen został przyjęty a żywień wyśmiany.

Nazwy innych pierwiastków, które za stosowne uważam, są niemetali: wód, azot, chlor, brom, jod, fluor, siarka, selen, tellur, fosfor, arsen, węgiel, bor, krzem; metali: potas, sód, lit, baryt, stront, wap, magnezyn, glucyn, glin, cyrkon, tor, itr, cer, lantan, dydym, erb, terb, mangan, chrom, tungsten, molibden, wanad, żelazo, kobalt, nikiel, cynk, kadm, miedź, ołów, bizmut, rtęć, cyna, tytan, tantal, niob, antymon, uran, srebro, złoto, platyna, pallad, rod, iryd, ruten, osm.

Nazwy połączeń wraz z postępem nauki zmieniać się muszą, bo mają malować pojęcie ich składu, ale pierwiastek powinien mieć nazwę pierwotną, ponieważ z niéj mają się tworzyć nazwy połączeń; jeżeli więc nazwy dlań w ojczystym języku brakuje, lub nie da się z jego związku wyprowadzić, lepiéj przyjąć obcą nadawszy jéj właściwe językowi zakończenie, jak tworzyć nową; obca bowiem zwykle znaczeniem nie razi, gdy tym czasem nietrafnie pomyślana lub źle przetłumaczona mylne może dać pojęcie. Dlatego nie długo się tułał sinnik i dziś już ustąpił cyanowi, ziemian tellurowi, soliród chlorowi, saletroród azotowi chociaż znaczenie jego jest gorsze jak saletrorodu, a kwasoród i wodoród byłyby temuż samemu losowi uległy, gdyby przyjęte w obcych mowach nazwy także nie były składane.

Skracając nazwy znanego związku pan Czyrniański wyprowadził szczęśliwie od woda wód, pan Belza od gliny glin, od krzemienia krzem, od wapna wap i wiele innych. Pomimo że wyraz wap nie nastręcza żadnych dwuznaczników i najdoskonaléj się od niego wyprowadza wyraz wapno, tak jak od głosu głośno, od grodu Grodno, metal *calcium* jeszcze nie ma stale przyjętéj nazwy, a jednak na pewno nikt lepszéj nie wymyśli; proponowano dotąd w jego miejsce wapień, który oznacza w mineralogji wapienny kamień i wapń, którego nawet wymówić nie można. Nazwę magnezynu także starano się skrócić i w tym celu podawano magn i magnez, dwa wyrazy gorszy jeden od drugiego, Wód pana Czyrniańskiego ma tę niedogodność, że siódmy przypadek liczby pojedynczéj, który się na nieszczęście przy wodzie często powtarza, ma z wodą jednakowy; téj saméj niedogodności podlegają: sód, baryt, glin i wiele wyrazów mowy potocznéj, czemu przez objaśnienie w razie potrzeby zapobiedz można. Za to wód ma zalety, które o powyższéj niedostateczności zapomnieć każą; daje bowiem wyborne wyrazy pochodne i składane, jakoto: wodan, wodowy, siarkowód, siarkowodowy, siarkowodan, w miejsce siarkowodorodowy, siarkowodorodan, lub siarkowodorowy, siarkowodoran. Krótkość tego wyrazu bardzoby także była na rękę w razie nowego nazwania kwasów; Liebig bowiem powiada, że „kwasy są to związki wodu, w których po za rodniem stojący wód da się zastąpić przez metale lub rodnie organiczne"; może więc wkrótce tak zwany kwas siarczany przyjdzie nazwać siarkanowód. Gdyby koniecznie chciano uniknąć niedogodności wyżéj wspomnianéj, możnaby wód nazwać wodzień, wyrazy od niego pochodne również są krótkie jak i wodu np. wodnian, wodniowy.

To jest wszystko, co zamierzyłem powiedzieć o nazwach ciał pojedynczych, które za zgłoski nomenklatury chemicznéj uważane być mogą; teraz dam ogólny zarys jak zgłoski te z sobą łączyć wypada.

Słownictwo, które tu podaję, całe opiera się na trzech zakończeniach przymiotnikowych: z tych jedno ogółowe *ny*, niedające rzeczownika, i dwa systematyczne: *owy* z za-

kończeniem rzeczownem *an* i *isty* z zakończeniem rzeczownem *in*. Zakończenia te we wszystkich związkach powtarzać się będą; słownictwa bowiem, które dla nazwania każdego rodzaju związków nowéj pożycza zasady, za logicznie przeprowadzone nie uważam; zdania także, aby słownictwo nasze zbliżyć do obcych, wcale nie podzielam, naprzód dlatego, że nie wiem do którego słownictwa, potém dlatego, że skoro słownictwo angielskie i francuzkie na innéj opiera się zasadzie jak niemieckie, więc nasze do wszystkich razem zbliżone być nie może. Lepiejby zatém było postarać się przedewszystkiem o jasne i na zasadach polskiéj mowy oparte słownictwo, niż ją kaleczyć wyrażeniami obcego kroju, bo mając słownictwo jasne, każde inne pojąć się da, a kto nauczył się całego obcego języka, ten na pewno w krótkim bardzo czasie pojmie zasady jego nomenklatury chemicznéj.

Gdy dwa ciała z sobą się łączą, tworzą ciało nowe, którego skład wyrażając, ciału elektroujemnemu dajemy zakończenie *ek*, *ik* lub *yk*; dodatnie zaś kładzie się w drugim przypadku, np. kwasorodnik żelaza. Ciało jednak elektrododatnie jako stanowiące gatunek, najstosowniéj byłoby wyrażać przymiotnie, tak jak to się dzieje w innych gałęziach nauk przyrodzonych, np. wielbłąd dwugarbny, dąb szypułkowy, krzemień żelezisty, cieplik utajony. W chemii potrzeba zakończeń przymiotnikowych jeszcze wybitniéj czuć się daje, bo bez nich jakżebyśmy stopnie kwasów rozróżniać mogli; zwyczaj jednak nazywania w podobny sposób zasad jeszcze się nie ustalił, a przecież tak samo powinno się mówić: niedokwas azotowy jak się mówi kwas azotowy. W polskim języku kapelusz ryżowy znaczy kapelusz zrobiony z ryżu, kapelusz ryżu znaczy ryż zajmujący cały kapelusz, ryż kapelusza znaczy ryż z którego zrobiony jest kapelusz: w dwóch ostatnich przypadkach przedmiotem mowy jest sam ryż, gdy w pierwszym tak dobrze kapelusz jak i ryż; taką zaś powinna być nazwa malująca związek. Jeżeli więc sposób wyrażania związków rzeczownikowy przystaje innym językom, nie idzie zatém, aby go stosować do mowy polskiéj; tłumacząc bowiem *oxide de fer*

kwasorodnik żelaza, trzebaby *santé de fer. chemin de fer*, tłumaczyć zdrowie żelaza, droga żelaza; takie przeto niewłaściwe językowi wyrażenia, o ile można z mowy naukowéj usunięte być powinny.

Zakończenie przymiotnikowe, jakie tu najczęściéj natrafiamy, jest *ny*; zakończenie to za systematyczne przyjęte być nie może, ponieważ daje często wyrazy twarde, a prócz tego rzeczowniki pochodzące od kwasów wszelkich zakończeń w liczbie mnogiéj na *ny* się kończą i w takim razie jedno brzmienie mają z kwasami (np. mocno rozcieńczone roztwory wapna nie są strącane przez kwas siarczany i siarczany, co ma znaczyć przez kwas siarkowy i siarkany, czyli kwas i jego sole). Zakończenie to da się jednak użyć w miejsce rzeczownika, czyli jako wyrażenie bezwzględne, które jest potrzebne, gdy się mówi o kilku lub o wszystkich związkach jednego ciała z drugiém, jako też gdy stosunek liczebnie się oznacza; w takich bowiem razach żadne systematyczne nazwy miejsca mieć nie mogą np. siarniki potasu, czterosiarnik potasu, siarnik ośmiożelazny. Przyjmując zakończenie *ny* za bezwzględne czyli ogólowe, unika się zaciemniających mowę dwuznaczników i wyrażenia: woda wapienna, koperwas żelazny, mleko siarczane, cukier ołowiany, plamy arsenne, a nawet kwas siarczany, saletrzany i solny, znajdą swoje usprawiedliwienie.

Za systematyczne, jak wyżéj powiedziałem, przyjmuję dwa zakończenia: dla związków wyższych *owy*, dla niższych *isty*. Zakończenie *owy* jest mile dla ucha i da się wszędzie zastosować, ztąd chociaż rozmaicie przez wszystkich jednak bywa używane. Dla związków niższych stosownie do brzmienia używam *isty* lub *ysty*; że zakończenie to jest bardzo dogodne i że koniecznie ono a nie inne w tem miejscu powinno być użyte, zdaje się aż nadto silnemi poparłem dowodami w przedmowie do analizy. Tu powiem tylko, że zakończenie *awy* podane przez Waltera, jest mdłe, nieróżniące się dostatecznie ani w pismie ani w mowie od *owy*, i że rzecz najniewłaściwiéj przedstawia, gdyż kolorem żółtawym nazywamy kolor nieposiadający w sobie dostatecznéj barwy żółtéj, a tém samém niedokwas rtęciawy Hg_2O powinienby zawierać mniéj

rtęci niż rtęciowy HgO; gdy przeciwnie w stosunku do kwasorodu zawiera jéj dwa razy więcéj.

Nazwy ogółowéj dotąd nie mieliśmy, brak jéj zastępował związek niższy, co nieraz w błąd wprowadzało; przyczyną zaś tego niedostatku były nazwy gatunku rzeczowne, niezgodne z duchem mowy; silono się bowiem nad tworzeniem pojedyńczych wyrazów, a nie pomyślano nad tém, że wyrażenia obce więcéj każą mowę niż wyrazy, i dlatego nie mogliśmy znaleźć trzeciego wyrażenia, by stanąć na równi z innemi. Podług tu przyjętéj zasady mówić będziemy: chlornik żelaza lub żelazny (chlorure de fer, Chloreisen), chlornik żelazowy (deutochlorure de fer, chlorure ferrique, Eisenchlorid), chlornik żelezisty (protochlorure de fer, chlorure ferreux, Eisenchlorür).

Domyśli się zapewne każdy, że wyrażając stosunek ciał pojedynczych za pomocą końcówki nazwy gatunkowéj, nie mam potrzeby zmieniać nazwy rodzajowéj, dla któréj téż stale przyjmuję zakończenie *ik*; bo *ek* jakkolwiek nieraz przyjemniejsze dla ucha, dwóm ważnym podlega zarzutom: naprzód że daje wyrazy zdrobniałe, co wcale powadze naukowego języka nie przystoi i związków należycie nie określa; potém, że wyrazom tak utworzonym często albo w zupełności brakuje liczby mnogiéj np. węglek, albo téż mają takową wspólną z ciałami pojedyńczemi, z których powstały: np. siarek.

Całe słownictwo opieram na końcówkach przymiotnikowych, ponieważ przyjęcie tegoż samego stopniowania dla zasad co i dla kwasów upraszcza niesłychanie nomenklaturę, ułatwia pojęcie związków chemicznych, bo wszystkie ich nazwy na jednéj zasadzie się opierają, skraca wyrazy (np. zamiast: siarkan kwasorodku żelaza, powiem: siarkan żelezisty), ztąd daje możność tworzenia nazw i dla zawikłańszych połączeń; w końcu pozwala unikać wyrażeń zdrobniałych, a zarazem innych niekorzystnych następstw złego słownictwa. I tak: dlaczegoż zasada ma mieć dwa rzeczowniki, a kwas tylko jeden, kiedy kwasoród w więcéj stosunkach się łączy z ciałami na kwasy niż na zasady; wszakże doświadczenie mogło już było nauczyć, że zakończenie zmieniać powinno ciało mające się w połączeniu solném powtórzyć, więc nie

elektroujemne, i dlatego używanie podwójnych końcówek dla wyrazów kwasorodnik, chlornik, czyli wyrazów kwasorodek, chlorek, nietylko uważam za zbyteczne, ale jeszcze i za niepraktyczne, bo mówiąc np.: kwasorodki metaliczne powiększéj części są zasadowe, to tak wygląda, jak gdyby kwasorodniki już nimi nie były.

O ile wyrażenia gatunku przymiotne czynią mowę jasną, na dowód posłużyć mogą następujące przykłady: Jeżeli mówię, przez prażenie można rozłożyć cyanek niklu i potasu, nie objaśniam dostatecznie czy to cyanek niklu i cyanek potasu, czy téż połączenie tych dwóch cyanków, a mówiąc cyanek niklowopotasowy każdy mię zrozumié, że to jest jedno ciało. Jeżeli mówię: sole rtęciowe od rtęcistych tém się różnią, że kwas solny ich (t. j. siarkanów, azotanów, chlorników, jodników rtęciowych) nie strąca, mówię bez błędu; gdy tymczasem mówiąc: kwas solny nie strąca soli kwasorodnika rtęci i tém się różnią od soli kwasorodka, czyż to nie takie daje pojęcie, że albo kwas solny może strącić sublimat, albo téż że sublimat jest solą kwasorodową? Weźmy jeszcze, iż nieraz bez względu na to, że mówimy o kwasie, wyrażamy się tak jak gdyby to była zasada, np. siarek i siarnik arsenu AsS_3 i AsS_5: gdzież tu ślad, że to są związki zupełnie takież same jak kwas arsenisty i arsenowy AsO_3 i AsO_5, określając je: siarnik arsenisty i arsenowy i tego błędu się unika.

Niedokwasy alkaliczne mają odrębne nazwy, np.: potasowy nazywa się potażem; nie jest to bynajmniéj skróceniem, bo chcąc wyrazić, że to potaż chemiczny nie handlowy, który jest węglanem, za każdym razem dodawać trzeba wyrazy objaśniające: potaż gryzący, wodan potażu, a gdy idzie o oznaczenie ilości KO, więc nie wodanu, już i w ten sposób wyrazić się niemożna i trzeba powiedzieć niedokwas potasowy. Odróżnianie zatém alkaliów i ziem od niedokwasów innych metali, kiedy nawet niedokwasy niemetaliczne od nich się nie różnią, do niczego dobrego nie prowadzi; gdzież bowiem jest granica tych wyrażeń: czy mówić erbia, terbia, czy niedokwas erbu terbu? Język także na tém nie zyskuje, bo mamy zasady wszystkich trzech rodzai; i tak: potaż, soda, wapno. Zostawiwszy

więc potażowi kupnemu nazwę potaż, tak jak cały kraj mówi, przynajmniéj tu nie będziemy potrzebowali wyrazów objaśniających.

Nazwa gatunkowa przymiotna jest dobra: 1. dlatego, że przechodzi przez wszystkie związki, i tak: niedokwas, siarnik, chlornik, jodnik, siarkan, chloran, jodan, cytrynian potasowy. 2. Dlatego, że tak jak siarnik wodowy HS, nie różni się od siarniku potasowego KS, jak tylko zamianą wodu na potas, tak samo i siarkan wodowy HSO_4 nie różni się od siarkanu potasowego KSO_4 jak tylko zamianą tych samych pierwiastków; więc jeżeli KS jest siarnikiem potasowym, to KSO_4 jest siarkanem potasowym. 3. Kto nazywa KO,HO wodanem potażu, nazywa także KS,HS siarkowodanem potażu, co naprowadza na myśl, że i w tém drugiém połączeniu mieści się KO, a nawet KO,CO_2; siarkowodan potasowy nie podlega temu zarzutowi. 4. Nie można mówić sole potażowe tylko potasowe, bo chlorniki, jodniki potasu są także solami potasowemi, a nie zawierają potażu tylko potas. 5. Dla skrócenia nazw soli, jak to już wyżéj powiedziałem. 6. Przez oględność na pojawić się mogące teorye, i tak: siarkan potasowy podług jednych jest KO, SO_3 podług drugich KSO_4; wyrażenie potasowy do każdéj z tych teoryi przystaje. 7. Już nie dla ułatwienia ale dla możliwości umieszczenia liczb np. $6PbO,NO_5$ azotan sześcioołowiowy, bo wszakże po polsku nie można powiedzieć jedna szósta azotan ołowiu, jak to czynią niektórzy nomenklaturzyści.

Ponieważ pierwiastki elektroujemne we więcéj jak dwóch stosunkach z ciałami się łączą, więc dwa zakończenia nie wystarczyłyby do ich rozróżnienia; dla oznaczenia tych stosunków we wszystkich mowach dodawane są przyrostki *nad* i *pod*, które razem wzięte z powyższemi końcówkami temu zaradzają. Końcówką rzeczowną pochodzącą od *owy* jest *an*, np.: azotowy, chlorowy, azotan, chloran; pochodzącą od *isty*, *ysty* jest *in*, *yn*, np. azocisty, chlorzysty, azocin, chlorzyn. Wyrazy te rzeczowne zakończone na *an*, *in* oznaczają rodnie kwasowe np.: SO_4 siarkan, ztąd HSO_4 kwas siarkan wodowy, a SO_3 bezwodnik siarkowy, czyli tak zwany kwas siarkowy.

Tak kwasy jak i zasady łączą się z tyloma równoważnikami wody, wiele równoważników zasad lub kwasów do swego zobojętnienia potrzebują; łączeniu temu z wodą, jak i odpowiedniemi ciałami, towarzyszy wydobycie ciepła, więc takie związki są czysto chemiczne i nierożniące się niczém od innych soli, prócz słabością przedstawianego przez wodę kwasu lub zasady. Jeżeli więc woda występuje w roli kwasu wodowego, połączenie to nazwę wodanem, a gdy zasady, solą wodową, np.: KO,HO wodan potasowy, a HO,SO_3 kwas siarkan wodowy. Wodę zastępującą w ten sposób kwasy lub zasady, Niemcy nazywają wodą wodanową (Hydratwasser), a Francuzi wodą uwodnienia l'eau d'hydratation, i ta druga nazwa jest lepsza, ponieważ HO,SO_3 nie jest wodanem, tylko siarkanem. Wodę chemicznie ze solami połączoną Liebig nazywa wodą solowodanową (Halhydratwasser), a Graham wodą konstytucyjną soli, czyli lepiéj po polsku wodą składową, lub ustrojową soli, a jeszcze lepiéj wodą solną. Prócz tych wód mamy jeszcze wodę krystalizacyjną. Ztąd woda raz jest z solami, kwasami lub zasadami połączona chemicznie, a drugi raz występuje pod rozmaitemi postaciami: bo np. w HO,SO_3 wodę uważać możemy jako połączoną chemicznie, w $2HO,SO_3$ drugi jéj równoważnik możemy uważać za wodę krystalizacyjną, ale jakże uważać trzeci równoważnik w związku $3HO, SO_3$ otrzymującym się przez stężenie w próżni rozcieńczonego kwasu. Dlatego bez względu na sposób jéj zachowania, gdy nie odpowiada innemu związkowi chemicznemu, wyraża się ją liczebnie; np. kwas siarkowy dwuwodny, trójwodny.

Równie elektroujemny jak kwasoród fluor, tak samo téż się zachowuje; ztąd mamy:

HO kwasorodnik wodowy (woda),	HF fluornik wodowy (fluowoda),
KO kwasorodnik potasowy,	KF fluornik potasowy,
SiO_3 kwas krzemowy,	SiF_3 kwas fluokrzemowy,
$3KO, 2SiO_3$ krzemian potasowy,	$3KF, 2SiF_3$ fluokrzemian potasowy,
$3HO, 2SiO_3$ kwas krzemian wodowy,	$3HF, 2SiF_3$ kwas fluokrzemian wodowy.

Jak widzimy z powyższego zestawienia, kwasy, niedokwasy i ich sole jasno i przystępnie wypowiedziane

być mogą. Jako przykład téj łatwości przytoczę trudniejsze do wyrażenia połączenie, jakiém jest 8 Cu S + Ph S_5, a które nazywać się będzie siarkofosforanem ośmiomiedziowym. Niesystematyczność, brak końcówki przymiotnéj dla zasad i konieczność umieszczania liczb przy kwasach, jakie rodzą trudności, każdy przekonać się może tłumacząc nazwę niemiecką tego połączenia *achtelschwefelsaures Fünffachschwefelfosfor-Einfachschwefelkupfer*. Istotnie nie ma co naśladować, a jednak z powodu, że u nas najwięcéj jest takich chemików, którzy tylko niemieckie czytają książki, największa téż ich część chemiczne nasze wysłowienia w niemiecką chciałaby odziać sukienkę; gdy tymczasem Niemcy, czując nizką wartość swojéj nomenklatury, zaczynają francuzką naśladować.

Jeżeli nie kwas z zasadą ale dwa kwasy lub dwie zasady się łączą, związek taki określam przez połączenie nazw, np. związek niedokwasu uranowego z potasowym jest niedokwasem uranowo potasowym. Prostą mięszaninę dwóch kwasów bez względu na tworzące się związki także w podobny sposób nazywam np. wodę królewską jako będącą mięszaniną kwasu azotowego i chlorodowego nazwę kwasem azotowo-chlorowodowym. Wyrażenie to przytaczam tylko dla objaśnienia reguły i bynajmniéj niepowiadam aby powyższego połączenia wodą królewską nienazywać, owszem nazwy empiryczne uważam za najlepiéj malujące przedmiot, gdy tylko zgadzają się z mową ogółu.

Jak według tych prawideł sole podwójne nazywać, przykład objaśni:

HgJ, HgCl chlorniko-jodnik rtęciowy
PbO, CO_2 + PbCl chlorniko-węglan olowiowy,
3NaS, AsS_5 + 3 AmS, AsS_5 siarkoarsenian amonowo-sodowy.

We wszystkich związkach składanych, które dotąd przechodziłem, albo ciało ukiszające, albo ukiszone w obu częściach związku się powtarza i taką jest zwykła budowa połączeń składanych; można jednak otrzymać związek, w którymby kwas był ukiszony przez inne ciało, a zasada przez inne. W takim razie nazwy ciała ukiszającego przy zasadzie opuszczać nie można, i jeżeli KO,CrO_3

nazywamy chromianem potasowym, a nie kwasorodo-potasowym, to KCl,CrO_3 nazwać już musimy chromianem chloropotasowym. Bywają też i sole podwójne, złożone ze soli nie mających żadnego wspólnego ze sobą pierwiastku; nazwy ich wypadają trochę za długie, ale wypowiedzieć się dadzą, np. KO,CrO_3+HgCl chlornik rtęciowy chromianu potasowego.

Gdy nowe ciało ruguje część tylko ciała ukiszającego ze związku, reguła ogólna już tu zastosować się nie da. Tu należą z małym wyjątkiem ciała, w których kwasoród w części przez inny pierwiastek ukiszający został zastąpiony; i tak: wystawiwszy na działanie promieni słonecznych mieszaninę równych objętości suchego chloru i niedokwasu węglowego, otrzyma się z połączenia tych gazów nowe ciało CO,Cl. Związek ten uważać można, albo za proste połączenie tych dwóch ciał, albo za połączenie kwasu kwasorodowęglowego z chlorowęglowym CCl_2, CO_2, albo też za kwas węglowy, w którym jeden równoważnik kwasorodu zastąpiony został przez jeden równoważnik chloru. W pierwszych dwóch razach uważamy go za połączenie drugiego rzędu, a w trzecim za połączenie trzeciego rzędu. Ponieważ związki takie, mimo całéj niestałości, łączą się z innemi ciałami, więcby je wypadało krótko wyrazić; a że związek CCl_2, jako odpowiadający kwasowi węglowemu CO_2, nazywamy kwasem chlorowęglowym; więc związku $COCl$ już tak nazwać nie możemy, nazwa zaś kwas kwasorodo-chlorowęglowy jest przydługa i jedno tylko pojęcie tego związku wyraża, ze zmianą którego nowéj nazwy wypadałoby szukać. Z tego powodu znowu zwrócę się do zasad mowy polskiéj i połączenie to nazwę kwas chlornowęglowy; ponieważ kwas chlorowęglowy znaczy, że przez chlor i węgiel jest kwasem, a kwas chlornowęglowy, że jest kwasem węglowym chlor zawierającym. Można tu i liczbę równoważników ciała podstawionego oznaczyć, np. AsO_3 kwas arsenowy, AsO_3S_2 kwas dwusiarnoarsenowy. Sposób takiego wyrażania jeszcze rozleglejsze zastosowanie znaleźć może w chemii organicznéj, gdzie podstawienie (substitutio) jednego ciała w miejsce drugiego tak ważną gra rolę; np. wód kwasu octowego $C_4H_4O_4$ może być

w części zastąpiony chlorem, i w takim razie daje kwas chlornooctowy $C_4HCl_3O_4$.

Na trzy więc okoliczności w łączeniu wyrazów zwracam uwagę. 1. Gdy pierwiastek jest ciałem ukiszającém, nazwę jego nienaruszoną łączę z nazwą ciała ukiszonego, np. kwas chlorowodowy HCl. 2. Gdy jeden lub kilka równoważników jednego pierwiastku, zastępuje podobnąż ilość równoważników, ale nie cały drugi pierwiastek, wyrażam to przez dodanie *n* np. kwas chlornosiarkowy SO_2Cl. 3. Gdy związki pojedyncze ze sobą się łączą, a pod nazwy soli podciągniętemi być nie mogą, całkowite też ich nazwy łączę ze sobą, np. kwas chlorowo-chlorzysty ClO_5,ClO_3.

Prócz powyższych są jeszcze związki tak ścisłe, że przedstawiają się już nie jako związki. ale jako ciała pojedyncze. Połączenia takie niemetaliczne odrębne mają nazwy, metaliczne zaś nazywać możemy łącząc skróconą nazwę przymiotną metalu, z nazwą ciała uzupełniającego związek; w ten sposób z przymiotnika żelazowy utworzyć można żelazocyan (ferrocyan), z żelezisty żelezicyan (ferridcyan). Jakie są najprościejsze nazwy kwasów siarki, ciał pochodzących od amonii i chlorków bledzących, czytelnik znajdzie w przedmowie do analizy.

Ponieważ podaję tu uzasadniony sposób łączenia nazw pierwiastków i rodników z nazwami innych ciał, nie widzę potrzeby wyszczególniania każdego związku, bo ktokolwiek trzymać się będzie podanéj tu reguły, innéj jak ja nazwy związkowi nadać nie może.

K. Lilpop.

KRONIKA LITERACKA.

Wandina, *powieść fantastyczna, przez Henryka z Obsyngi. Wilno.* 1858.—Wioska, *sielanka wierszem, przez J. I. Kraszewskiego. Warszawa.* 1859. — Sobek Skórka *czyli* Chata Grzegorzowa, *powieść, przez Felicyana Łobeskiego. Lwów.* 1858.

Patrzymy na książkę eleganckiego wydania: druk jéj najpiękniejszy, karty w ramki oprawne; sztuka rytownicza ozdobiła ją trzema wyborowemi rycinami, a na chińskiéj okładce pomiędzy zadumanym młodzieńcem opartym o drzewo i cieniem dziewicy, z lirą unoszącéj się w obłoki, położyła napis: *Wandina.* W takiejto wytwornéj szkatułce zamknął klejnot swego natchnienia autor zakwefiony pseudonimem *Henryka z Obsyngi.* Wandina (a gdzieindziéj Ondyna) jestto nazwa wydobyta z wyrazu litewskiego: *vandienios* (unda) czyli po polsku *woda*; sama tedy nazwa uprzedza nas, abyśmy mieli się na ostrożności, bo będziemy mieć do czynienia z jedną z tych wodnych rusalek, które mają brzydki zwyczaj na dnie rzeki chłodzić rozbudzone w zalotniku żary namiętności, i potém odzywają się doń głosem Szyllerowskiéj fali zdradliwego strumyka:

Lieb' Knabe, bist mein!
Ich locke den Schläfer
Ich zieh' ihn herein.

Jednak hrabia *Oskar* nie jest bynajmniéj śpiochem, tylko rozmarzonym, i Wandina nie miłością, ale przyjaźnią umiała go ku sobie pociągnąć, choć zkądinąd i miłość gra tam znakomitą rolę.

Kiedy mowa jest o rusałce, to mógłby kto myśleć, że tym hrabią, co z nią ma stosunki, będzie jakiś *comes* lub *graf* średniowieczny w żelaznéj masce i z dzidą w ręku; ale w tym razie rzecz się ma inaczéj: Oskar, jestto sobie zwyczajny XIX wieku litewski hrabia, w którego piersi uzbrojonéj niczém więcéj jak pikową kamizelką bije serce artystyczne i melancholijne. Nieszczęście chciało, że się zakochał w 17-letniéj córce jednego ze swych dzierżawców, i to za pierwszém na nią spojrzeniem: zaledwie wyszła, ukłoniła się i żywy rumieniec oblał jéj lica; ta, według słów autora, scena, takie na Oskarze zrobiła wrażenie, że stanął jak wryty. I nic dziwnego: *Matylda*, oprócz wdzięków powierzchownych, miała niepospolite zalety umysłu; tylko co wyszła z pensyi, a już pokierowała gustem rodziców w urządzeniu domu i ogrodu, tak, że aż ciekawość zdejmuje wiedzieć, na którejto pensyi wschodzą takie ananasy. Znajomość Oskara z niedawną pensyonarką trwała trzy dni, po których uszczęśliwiony i rozkochany pożegnał przedmiot swéj miłości, nie wiedząc, że go żegna na zawsze: Matylda wkrótce potém w czasie zimowéj przeprawy załamała się na lodzie i utonęła. Oskar miłość swą przeniósł poza grób, a nieutulony w żalu, za namową przyjaciela, jedzie z nim na lato do Druskiennik i tam poznaje się z Wandiną, z którą odbywa rozkoszne *a parte* przy świetle księżyca, wówczas gdy towarzystwo kurhauzowe tańcuje albo gra w karty. Wandina go nauczyła rozumieć języka elfów, roślin, obłoków, których rozmowom przysłuchuje się Oskar stanowiący razem ze zjawiskami natury osobne stronnictwo, wówczas gdy reszta druskiennickich gości chorych i zdrowych przepędza czas zwyczajnym u wód sposobem, co nastręcza autorowi sposobność do bardzo znanych i bardzo nudnych refleksyi. Ponieważ Oskar należał także do liczby chorych, przeto wszystkie zaloty jego przyjaciołki zamierzają do tego, aby mu sprawić wodną kuracyą: jakoż Wandina, zwierzywszy się mu, że była córką Mendoga i z miłości dla krzyżackiego jeńca rzuciła się w rzekę, prowadzi go na brzeg Rotniczanki, z któréj na jéj zaklęcie wychyla się cień utonionéj Matyldy. Oskar rzuca się na łono ukochanéj, i oboje we wzajemnym uścisku giną pod falami rzeki.

Kto chce, może te wszystkie fantastyczne okoliczności wytłumaczyć sobie w sposób zwyczajny, psychologiczny: w melancholii Oskara, w jego nocnych wycieczkach, unikaniu ludzkiego towarzystwa i przestawaniu z samą naturą może zobaczyć zwykły proces samobójstwa; ale nie idzie za tém, iżby tego pro-

cesu nie można okazywać środkami fantastycznemi, do jakich upoważnia albo wiara ludowa, albo pewna naturalna symbolika. Tu wprawdzie pojęcie samo ma prawdę względną, ale subiekt jest zupełnie fałszywy, bo jakże pogodzić urojenie ludowe z XIX wiekiem, hrabią i stopniem cywilizacyi, a odgłos kontredansa z poszeptami elfów: okoliczność tę w technicznym języku estetyki nazywają brakiem jedności. Jest wprawdzie inna jeszcze fantastyczność, dowolna, nie opierająca się na ogólno-ludowym gruncie, ale płynąca z indywidualnych urojeń, tak zwana hoffmanowska, i ta nie ulega żadnym prawidłom, a jedynie zaletami allegoryi i siłą artystycznego effektu wkupuje się do obywatelstwa literackiego; lecz ten przypadek w obecnéj powieści wcale miejsca nie ma. Utwór p. Henryka z Obsyngi jestto ckliwa hallucynacya, troszkę niby powieść, niby pamiętnik, notatka z podróży, czy szkic obyczajowy, a jedno z drugiém nic, na eleganckiéj farfurze. Cały jego wątek podobny jest do przytoczonéj przez autora sceny z ustępu „Bal w jeziorze", na którym tańcowała ryba z rakiem, i wyjąwszy dwa balladowe epizody, jeden o głuchonieméj waryatce, która żebrze, aby kochanka wykupić z wojska, drugi o córce Mendoga, topiącéj się z rozpaczy po zabitym kochanku, nie ma tam nic godnego uwagi, prócz kilku potwornych błędów językowych, np.: „ciastka w dzień urodzin *przynaszane sąsiadami*".

— Może to przytoczenie wydać się komu zbyt jaskrawém, ale szczerą prawdą jest, że poznawszy się z illustrowaną *Wioską* p. Kraszewskiego, mimowolnie powtórzyliśmy z Krasickim: czy rysunek dla wiersza, czy on dla rysunku? a jakkolwiek wyrok byłby tu nie łatwym, to jednak pewna, że w każdym razie wzajemna solidarność dwóch sztuk w tém dziele połączonych o wiele nie dochodzi rezultatów, jakichby po takiém zjednoczeniu sił i nazwisk spodziewać się można. Kompozycya i rysunek drzeworytów p. Kostrzewskiego są wprawdzie godne jego talentu, ale odbicie ich wiele przedstawia do życzenia, mianowicie pod względem zachowania perspektywy i powietrza w szczegółach pejzażowych, pomijając już pojedyńcze niedokładności konturów, jak ręka staruszki na czele XX rozdziału, lub cała postać dziewczyny głaszczącéj psa, któréj rysy w odbiciu przeszły w jakąś karykaturalność, a ubranie nawet więcéj podobne do fotografu z kamienia, niż do drzeworytu. Ale te wszystkie uchybienia dadzą się przynajmniéj wytłumaczyć początkowością zawodu drzeworytniczego u nas, i przysłowiową trudnością

każdego początku (1). Ten wzgląd nie może się jednak bynajmniéj stosować do tekstu, który, może bez zamiaru, poświęcił się dla kompozycyi rysunkowéj. Natura ma to do siebie, że aby nic z wdzięków nie uronić, potrzebuje ogarnioną być jednym rzutem oka w majestatycznéj jedności rozmaitych szczegółów: ciepło słoneczne, jego blaski migocące śród łąk i drzew zieleni, wstęgi ruczajów, pochyłości wzgórzów, szmer ptasząt i owadów, nareszcie woń atmosfery; wszystko to musi razem uderzyć człowieka, aby zrobić na nim wrażenie i myśl jego do źródła najwyższego piękna skierować. Odtworzenie pod pewnym względem tego rodzaju wrażenia pozostaje jedynie tylko w dziedzinie malarstwa, i żadna inna sztuka nie może mu téj prerogatywy odebrać, dlatego, że ono tylko władając w ścieśnionych kształtach szeroką przestrzenią, jedynie zdolne jest przedstawić całość przestrzenną. Inna sztuka, a między innemi poezya, musi pojedyńczo brać szczegóły, które ulegając konieczności czasu wietrzeją i zięhną i zmieniają naturę estetyczną, zanim zdążą ułożyć się w całość; dla poezyi przeto ten tylko przedmiot nadobny jest, który z natury swéj daje się tylko rozwijać w czasie. Ztąd też poezya opisująca zewnętrzne kształty w najlepszym nawet razie jest tylko piękną dekoracyą, i w takiém tylko znaczeniu użytą być może. Otóż w utworze p. Kraszewskiego za wiele jest dekoracyi, za wiele szczegółów czysto-malarskich, aby to dzieło jego mogło stanąć w rzędzie prac poetycznych. Prawda, że autor obok saméj natury opisuje nam wioskę jeszcze pogańską, następnie chrześciańską, szlachecką, możną i zaniedbaną, ale są to opisy ogółowe, brane z zewnętrznéj strony, zostawiające po sobie raczéj w umyśle wiadomość, niż ślady wrażenia w sercu. Poezya poszukuje

(1) Sztuka drzeworytnicza większe niezawodnie czyniłaby u nas postępy, gdybyśmy potrafili lepiéj obliczać własne i ogółu korzyści. Nie można odmówić talentu i zasług młodzieży kształcącéj się w szkole Sztuk Pięknych, to tylko nie koniecznie jest trafném, że każdy z jéj grona ubiega się za pędzlem z pominięciem i jakby lekceważeniem innych mniéj świetnych rodzajów sztuki malarskiéj, a jednak potrzebnych i użytecznych. Tymczasem do pędzla wielu jest wezwanych a mało wybranych, i nie jeden przez to został lub zostanie miernym kolorystą: gdy przeciwnie, po lepszém rozważeniu sił własnych, mógłby zostać wybornym litografem lub drzeworytnikiem, tembardziéj, jeśli zawczasu sposób wykonania jego rysunku jawną był wskazówką drogi, po któréj z właściwą dla siebie i dla kraju korzyścią postępować winien. *P. A.*

przedewszystkiém typu lub indywiduum, na niém ona stoi, ona w nie wciela wszelką ideę ogólną, wszelkie nawet uczucie zbiorowe, a filozofia tylko posiłkuje się abstrakcyą: jeżeli tak jest, to cóż w poezyi znaczyć będą jak tu ogólne wzmianki o kolejach wioski, kiedy nie ma człowieka coby tę koléj wyobrażał w życiu; co znaczyć będzie nawet wprowadzenie człowieka, jeśli ten człowiek stoi przed nami nieruchomie. Jestto stary dydaktyzm, który uchodził jeszcze w czasach Trembeckiego, ale dziś niech lepiéj spoczywa w pokoju. P. Kraszewski nazwał swój utwor sielanką, bardzo przepraszamy, i sielanka ma swój świat myśli i uczucia obrazujący się w życiu, a gdzież on tu jest, możnaż go dostrzedz poza malowidłem lub historycznemi, albo społecznemi ogólnikami? Prawda i to, że p. Kraszewski jako już położył wielkie zasługi, i o mało nie położył większych, to mógł sobie pozwolić rzucić coś przelotnego, bez pretensyi do wyższego znaczenia; z tém wszystkiém i ten utwor jakkolwiek, zdaniem naszém, niefortunny w całéj swéj osnowie, potrafił jednak okrasić i nadać mu znaczenie kilką poetycznemi westchnieniami, rzuconą gdzieniegdzie niepospolitą pojedyńczą myślą lub udatną piosnką, co nadaje dziełu jego pewną wartość, ale opartą tylko na epizodach. Myśl zaś ogólna, zawierająca nic więcéj prócz zamiłowania autora w sielskiém życiu i naturze, jako czysto-osobista, jest zbyt ubogą i drobną, aby mogła wypełnić estetyczne zadanie: jako pieśń liryczna, mogłaby tylko rozrzewnić, aleby trzeba ku temu, iżby nietylko gorącemi usty, lecz i gorącém słowem była wypowiedzianą.

— Gdyby powieść p. t. *Sobek Skórka* czyli *Chata Grzegorzowa* była dziełem którego z głośniejszych poetów lub czterotomowych powieściopisarzy, dopiéro to nastręczyłaby piękną okazyą do panegiryków; ale że ją napisał jakiś nieznajomy autor, z którego nazwiskiem, my przynajmniéj, poraz pierwszy się spotykamy, przeto krytyka albo zamilczała o niéj, albo oświadczyła tylko jakieś heraldyczne niechęci. Powieść ta, z odcinków zamierzchłego *Świtu* przeniesiona obecnie w oddzielne wydanie, godną jest jednakże z wielu względów poważniejszego zastanowienia, nie niby jakieś nadzwyczajne, ale przynajmniéj niezwyczajne zjawisko.

Pierwiastkowo powieści ludowe, jakiemi obdarzyli piśmiennictwo nasze Wójcicki, Berwiński, Barszczewski i inni, były albo parafrazowaniem samejże twórczości ludu, albo ograniczały się do prostych obrazków obyczajowych; p. Gregoro-

wicz postąpił krokiem daléj, nie poprzestał na samych barwach obyczajowych, wejrzał głębiéj w życie rzeczywiste ludu i rysował je na tle obszerniejszém, tylko nie dosyć mu się udało kreacye swe ożywić tchnieniem ideału: do tego właśnie zespolenia ideału z rzeczywistością zmierza p. Łobeski i ta jego praca jest dość wyraźném takiego kierunku znamieniem; kierunku, którego, po częstych a daremnych probach p. Syrokomli, widzieliśmy pojedyńczy a świetny odcień w jego Ułasie. Nie wyrażamy tu zapewne osobistego tylko zdania, możemy owszem powiedzieć z ogółem, że jest serdeczna pociecha patrzéć na tę ciągłą, pomiędzy ludem prostym i klassą wykształconą, fluktuacyę myśli, która raz zbudzona do ruchu nie ustaje, jak może utrzymuje ogniwo wiążące nas z najniższym pokładem życia i coraz to nowy szczegół, nowy obraz dorzuci do historyi ludu; tak, iż da Bóg kiedyś, gdy lud nauczy się czytać i zostanie literatem książkowym, z jakiémto on zadziwieniem i wdzięcznością odrazu dowie się, jakto przecież o nim myślano, zajmowano się jego dolą, jego przyszłością, jego sercem, i jak wdzierano się do jego duszy tajemnic.

Autor obecnéj powieści uwolnił nas niejako od sprawozdania z założenia, jakie sobie w tém utworze sformował, sam się z tego w końcowym dopisku tłumacząc: ale zapomnijmy o tém, i nie słuchając spowiedzi autora, powiedzmy co widzim w jego dziele.

Jeśli nam wolno, bynajmniéj jednak nie ze szkodą autora, wykazać pewne zbliżenie, to przypomnimy, że irlandzki poeta, Tomasz Moore w poemacie p. t. „Peri i Raj" wprowadza człowieka z sumieniem przeciążoném zbrodniami, który ujrzawszy się nagle na samotném polu śród cichéj a rozkosznéj natury, w chwili zachodzącego słońca, widzi na tle tego obrazu modlące się dziecię. Owoż widok tego spokoju natury i niewinności, ta cicha prośba ulatująca do niebios, cały ten kontrast z jego usposobieniem i życiem tak silnie do jego duszy przemówił, że łzy żalu i pokuty puściły się z oczu zbrodniarza. Jednę z tych łez podjęła Peri, wygnanka niebios, i przez nią zamknięte dotąd wrota raju otworzyła sobie. Ten wpływ gwałtowny, doraźny, pewnych sytuacyj na natury dzikie i zepsute, stanowiący o całym dalszym kierunku idei i skłonności, jest właśnie tematem estetycznym i dla obecnéj powieści autora, z tą wszakże jeszcze różnicą od poprzedniego, że tam widzimy tylko wpływ dodatni; p. Łobeski zaś, jeśli nie obrazuje, to przypuszcza i wspomina

nadto wpływy ujemne również bezpośrednio i gwałtownie z całą za przyszłość odpowiedzialnością na organizm moralny człowieka działające. Nie poprzestając na tém ogólném założeniu, autor staje przed człowiekiem niemal z drobnowidzem i obserwuje te lekkie, nic nieznaczące dla zwyczajnego oka, fakta i poruszenia, odnosząc je do pewnego stanu duszy, czyniąc je wynikiem i oznaką pewnych usposobień lub zasad, tak że to, co w oderwaniu postrzegane byłoby czczém, u niego staje się ważnym fenomenem mającym przyczynę i grunt w tajniach duchowych. Dla nadania żywéj formy tym pojęciom, dotychczas jeszcze w sferze moralności zawartym, przenosi on je na tło ludowe, wciela w rozmaite postacie, ubarwia szczegółami obyczajów, wychowania, przesądów, warunków bytu miejscowego, tak, iż pod temi dopiéro środkami cała powyższa psychologia staje się poezyą. Tym sposobem podwójny żywioł poetyczny: myśl i obraz silnie i nierozerwalnie splatają się w tym utworze p. Łobeskiego, a jednak z łatwością dają się oddzielić; ale czy cały ten psychologiczny przebieg jest należycie obrobiony, i czy we wszystkich szczegółach da się usprawiedliwić, to znowu inna kwestya.

Syn wieśniaczy z pod Karpat, Sobek Skórka, jak dowiadujemy się z rękopismu zapewne spisanego za jego opowiadaniem, miał dwie w niemowlęctwie chwile, które go usposobiły do zdrożnego życia. Pierwszy raz, znienacka rzuciwszy okiem, zobaczył głowę wieprza wyjadającego z cebrzyka: w téj chwili cała obrzydliwa ponurość tego zwierza wybiła się na jego duszy w sposób niczém odtąd nie zatarty, w taki sam sposób, w jaki, według opowieści, która jednak w nauce nie znajduje sprawdzenia, na ciele dziecięcia będącego w zawiązku wybijają się znamiona nieprzyjemnych wrażeń doświadczonych przez matkę. Jakkolwiek nie lekceważymy drobnych wskazówek, jednak trudno nam zgodzić się z autorem na taką przyczynę i skutek. Wyraz *wrażenie*, używany przenośnie, w pospolitym języku dokładnie maluje ten bierny udział, jaki przyjmujemy w uczuciu; ale filozof powinien bacznie rozróżnić materyalne działanie przedmiotów na zmysły, a raczéj na nerwy, od fenomenu psychologicznego, który ono za sobą pociąga, i który właściwiéj nazywać się tu będzie nie wrażeniem, ale poczuciem (sensatio). Lecz żeby coś poczuć, czyli od wrażenia zmysłowego zrobić zwrot do fenomenu psychologicznego, potrzeba mieć już duszę dostatecznie wyrobioną; a ten przypadek nie może mieć miejsca

w niemowlęciu, i musi się zatém ograniczyć na działaniu fizyologicznem przestrachu, niepokoju, nawet obłąkania, które to działanie, ale w téj tylko formie, może się i przedłużać. Drugi wypadek, kiedy Sobek także w niemowlęctwie znienacka posłyszał krzyk matki, za którą wpadł ojciec pijany rwąc ją za włosy i okładając kijem, jakkolwiek wyższego moralnego znaczenia, nie mógł jednakże, dla wyżéj przytoczonych powodów, oddziałać na całe jego życie, utrzymując go w poszeptach, że nie ma nic świętego; nie mógł, powiadamy, bo dusza nieurobiona, jest jak karta biała, na któréj czas zwolna zapisuje wrażenia, a te o tyle przechodzą w organizm duszy i stają się niezmazalnemi, o ile pomieścić się w niéj mogły. Gdyby autor zamiast tego i zamiast urywku z pamiętnika przedstawił szereg takich wrażeń całkujący wychowanie Sobka, byłby się nie rozminął z prawdą filozoficzną; działając przeciwnie, postawił rzecz swą w kategoryi niepodobieństw według naturalnego porządku rzeczy.

Ale jestto tylko nawiasowy pogląd autora, którego on nie rozwija, stawia nam owszem w powieści bohatera swego już z gotowém do nieprawości usposobieniem. Sobek Skórka jest parobkiem w poczciwéj chacie Grzegorzowéj, gdzie pomimo dobrego obejścia, jakiego doznawał, okazuje jawną niechęć i opryskliwość z ponurego wypływającą charakteru. Bez żadnéj wyraźnéj przyczyny opuszcza służbę i znika, a łącząc się z bandą rozbójników, zostaje mordercą i podpalaczem. Aż raz tułając się spotkał wejrzenie nieznajomej dziewczyny, którego powab i niewinność przejęły go do głębi duszy i obudziły w niéj uczucie łagodne, zbliżające się do miłości. Wiedziony siłą magnetyczną tego wzroku, szedł śladem dziewczyny i zaszedł za nią do kościoła, a był to dzień świąteczny. Z początku szukał w nim czego innego, ale powoli gromadny głos modłów, urok nabożeństwa, uczucie błogości ogółu, ogarniały go i rozpraszały w nim ten sceptyczny przymus, jaki w siebie wmawiał na progu kościoła. Przypomniał sobie szczęśliwość tego stanu duszy, w którym śmiele głos i oko można wznosić do góry, poddał się temu przypomnieniu, połączył je z uczuciem, jakiego świeżo doznał i które zwabiło go do przybytku Bożego, tęsknem okiem pogonił za utraconą niewinnością, i Sobek wyszedł z kościoła innym już człowiekiem. Zjawił się mu pierwszy dowód miłosierdzia Bożego, tojest zgryzota sumienia, chodzi o to, czy on go odrzuci, czy przyjmie i upożyteczni: zgryzota sumienia albo zabija, albo odradza. Sobek zapragnął drugiego, piękność niewinnego

wzroku dziewczęcia i głos modlitwy dały mu poczuć i przewidzieć wieczność, a poczucie to przyjęte bez wiedzy organizmu, stało się jego żywiołem. Żywiołu tego poszukuje autor w rozmaitych oznakach i fenomenach, tworzących obrazowe szczegóły idei: Sobek pod zmierzch wracając z kościoła, zobaczył na drodze kawał szkła; podjął go i rzucił opodal drugi—niedawny rozbójnik obawiał się, aby o nie bosy wędrowiec jaki nie okaleczył nogi. Srogość ustąpiła w sercu łagodności, więc ręka porzuciła zabójczą broń, a natomiast ujęła skrzypki, z któremi Sobek błąkając się po pustkowiach rzadko napotyka ludzi, ale ich się nie obawia. Cięży mu życie i wspomnienie go pali, ale on odpycha myśl samobójstwa, nie spieszy nawet po ulgę, jaką sprawić mu może wymiar sprawiedliwości ludzkiéj, bo chciałby wprzód sobie przejednać sprawiedliwość Boską. W tułactwie swém spotyka palącą się chatę ubogiéj wdowy, która zdołała uprowadzić kilkoro dzieci, ale najmłodsze w kolébce ma stać się pastwą płomieni. Kiedy już nikt do progu nawet dostąpić nie śmie, Sobek rzuca się do wnętrza i wynosi dziecko, ale w chacie została jeszcze pościel dziecięcia, a matka nie ma dla niego drugiéj i mieć nie będzie. Sobek wraca się po nią wówczas, kiedy dach już runął, porywa zawiniątko, ale ogień walących się belek zapiera mu drogę. Tu przychodzi mu pokusa śmierci, ludzi go jéj powab, ten grzesznik pokutujący czuje jakby to rozkosznie było zginąć śmiercią bohatera, zbawcy; niech przez kilka chwil zawiesi usiłowanie, a z pod zgliszczów téj chaty wyrośnie dlań kwiat podziwu, wdzięczności i pamięci ludu. Nie, Sobek zwycięża siebie, czuje się niegodnym śmierci pod taką mogiłą; podwaja więc sił, aby wrócić do zgryzot, do śmierci haniebnéj, i tą myślą wzmocniony przebija się zwycięzko do życia. Po tym czynie piérwszy raz uśmiech podczas snu Sobka na twarz jego wystąpił, ten czyn był mu wskazówką, że już może oddać się sprawiedliwości ludzkiéj—wkrótce widzim go na rusztowaniu.

Ten obrót rzeczy krytyka lwowska nazwała apoteozą zbrodni, przeciw czemu my znowu najmocniéj zaprotestować musim. Sobek Skórka nie jest bynajmniéj bandytą opery, żadnym Uskokiem lub Hernanim, nie ma on stosunków z hrabiami ani pomiędzy dwoma ciosami sztyletu umizga się do kobiét. To zbrodniarz z całą zgrozą występku i całą okropnością piekła, jakie rozgościło się w jego duszy; a jeśli krytyce téj nie podobało się jego nawrócenie, to widać zapomniała o Dyzmasie,

Wszystko pod słońcem musi mieć swój cień, więc i sztuka podsłoneczna bez cieniu obejść się nie może, bo przestałaby być ziemską, pojętą dla nas; idzie tylko o umiejętne jego użycie.

Wprawdzie tu ta ciemna figura Sobka jest osobą główną, ale obok niéj autor umieszcza inne przedstawiające jasną stronę wieśniaczego społeczeństwa. „O! bo i w ludzie prostym, powiada on, nie zaprzeć uczuć głębokich i tkliwych; o! bo i na dnie tych dusz spoczywa prawdziwa zacność i cząstka bóstwa przydzielona człowieczeństwu; i byle tylko trącić w nią przypadkiem lub umyślnie obmyślanym środkiem, lub byle zdarzył się wypadek wstrząsający duszę całą, zbudzi się i w swéj prawdziwéj jawi się postaci!" Tą prawdziwą postacią jest *Grzegorz* i cała jego rodzina. Nie opierając się na żadnych szczególnych faktach, autor w przedstawieniu téj rodziny kreśli zwyczajne objawy życia wieśniaczego, jego codzienne troski i zajęcia, a przedewszystkiém jego świętą rezygnacyą, uwydatniając wyraźniéj te zarysy, które mogą najłatwiéj dać wyobrażenie o duchu, uczuciach i usposobieniach ludu. Jako, przedstawiając Sobka Skórkę, zamierzył odwzorować pewną wyróżniającą się indywidualność w formie ludowéj, tak w Grzegorzu zachował jedynie typ wieśniaczy ze znamionami ogólnemi rozpostartemi wszelako na tle pojedyńczéj miejscowości. Trzeba było prawdziwie chyba chodzić za chłopem codziennie, aby tak trafnie i wielostronnie wpatrzyć się w niego i wsłuchać i dobrać do ukrytych jego serca zakątków, jakto uczynił p. Łobeski, kiedy, nie przesadziwszy zbytecznie żargonem, potrafił odwzorować jego prosty a malowniczy język, skreślić jego domowe stosunki z rodziną i przyjaciołmi, wtajemniczyć się w jego ciche radości i udręczenia; a trzeba prócz tego mieć samemu niepospolity zasób uczucia i poezyi, aby te wszystkie szczegóły, tak na pozór suche i nieinteresujące, przyoblec w formę estetyczną i przyciągającą. W tém właśnie szczęśliwém pochwyceniu równowagi, pomiędzy realnemi objawy życia a jego idealném pojęciem, upatrujemy zasługę autora i dowód jego niezaprzeczonych zdolności.

Chcąc zapatrywać się na to jego dzieło, jako na utwor bezwzględnie powieściowy, musielibyśmy zrobić mu zarzut niewykończenia, jakie widocznem jest w zbyt wczesném usunięciu ze sceny jednéj z główniejszych postaci. W chacie Grzegorzowéj napotykamy dziewczynę, która kocha Sobka bez wzajemności: z natury będąc porywczą i gwałtowną, témbardziéj cierpi

ona na tym ze strony ukochanego oporze; inna cierpiałaby po cichu i z Bogiem; Katarzyna choruje, rozpacza i udaje się po pomoc do czarownicy, ale i ta okazała się bezskuteczną. Kiedy Sobek znikł z domu, a chata Grzegorzowa spłonęła, co rodzinę całą doprowadziło do upadku, Katarzyna, jako służąca, idzie sobie w świat, ale nigdzie przytułku znaleźć nie może; nawet żyd utrzymujący karczmę odepchnął ją, kiedy chciała u niego przyjąć obowiązek. Od tego czasu znika nam z oczu Katarzyna, i dopiéro ni ztąd ni zowąd widzimy ją na jedném rusztowaniu z Sobkiem. Jakkolwiek utwor p. Łobeskiego w istocie nie ma barwy ściśle powieściowéj, jednakże kiedy kreślenie jakiegoś charakteru poczyna się z intencyą powieściową, to już od niego byle kiedy oderwać się nie można. Tu autor z początku silnie naciskał na charakter Katarzyny, malował go w złém i w dobrém, i raptem urwał tak, że ani sposób odgadnąć, po jakich ona szczeblach dostała się na rusztowanie, i czy tam rzeczywiście miejsce jéj się należało. Ten niczém nieusprawiedliwiony przeskok dziwi nas témbardziéj w autorze, który, jak powiedzieliśmy wyżéj, korzysta z najdrobniejszych nawet szczegółów, aby czynić dedukcye i wnioski.

Jużto prawda, że autor nie obrachował z góry stosunku treści do formy i nie pomyślał, że mając w sobie i zewnątrz siebie wiele do uprzytomnienia, powinien był albo ramy swego utworu rozszerzyć, albo mniéj szczegółami szafować, przez co każdy mógłby być widoczniejszym i więcéj wykończonym. Tu wprawdzie każdy rozdział jest albo myślą, albo wizerunkiem, albo jedném i drugiém tylko w oczywistém ścieśnieniu, tak, iż całość podobną jest do obrazu, na którym widzimy takie mnóstwo figur i szczegółów różnorodnych, że jeden drugiemu przeszkadza dla braku rozdzielającéj je przestrzeni. Jestto zapewne brak wprawy, z którego rodzi się zła ekonomia, będąca w stosunku odwrotnym do téj, o jaką posądzają zbyt wprawnych autorów, którzy rozwlekają lada drobnostkę do rozmiarów przechodzących nieraz cierpliwość czytelnika, obdarzonego najprzykładniejszą rezygnacyą literacką. Nie wątpimy, że p. Łobeski poprawi się z czasem z tego zbyt szkicowego sposobu traktowania, co nada utworom jego więcéj blasku, ciągu i harmonii (*).

Dnia 1 marca 1859 r. *Kazimierz Kaszewski.*

(*) Data artykułu dowodzi, że recenzent pisał go jeszcze za życia Łobeskiego, i dlatego uczynił kilka zwrotów wprost do autora, umyślnie utwór jego traktując szczegółowo dla zachęcenia go uznaniem do dalszych w tym kierunku prac. Niestety, literatura przed chwilą straciła w ś. p. Łobeskim człowieka, który miał przed sobą przyszłość.

Konnotata wypadków w domu i w kraju zaszłych od 1634 *do* 1689 *r., skreślona przez Stanisława Wierzbowskiego starostę łęczyckiego i barwałdzkiego, chorążego łęczyckiego, z rękopismu przechowanego w archiwum rodzinném, do druku podał i objaśnienia dołożył Jan Konrad hr. Załuski. Wydanie Jana Nep. Bobrowicza. W Lipsku. Nakładem księgarni zagranicznéj (Librairie etrangère).* 1858. *W* 8-*ce VII i* 234 *od* 225 *regestra.*

Z rękopismu wcale nieobszernego wydawca zrobił obszerną książkę, kiedy pomieścił w niéj oprócz tekstu konotatek wstęp, rodowód Wierzbowskich, życie autora, rozprawy i objaśnienia, a wreszcie regestra miejscowości wspomnianych w książce i osób.

Ze wstępu dowiadujemy się, że rękopism Wierzbowskiego, z którego wydana ta konotata, dostał się w spadku Załuskim, i że znajduje się w nim naprzód genealogia Wierzbowskich Jastrzębców i informacya o majątkach i dostojeństwach ich, a potém sama konotata, nic więcéj. Rodowodu Wierzbowskich wydawca nie dał, a szkoda, mielibyśmy takim sposobem całą pozostałość literacką po panu Stanisławie i w książce poświęconéj materyałom historycznym, stosowniéj daleko byłoby się nam spotkać z samym materyałem jak z rozprawami, z teoryami historycznemi wydawcy. Bardzo wiele i w konotacie pisze o swoich stosunkach familijnych Wierzbowski; gdyby autor wydrukował genealogią, byłaby całość. Tembardziéj nie mila nam zamiana materyałów na rozprawy, że, co się tyczy saméj rodziny Wierzbowskich, pomiędzy podaniami wyjętemi z genealogii rękopiśmiennéj a Niesieckim są różnice, rozprawy zaś nieciekawe i nauczyć się z nich niczego nie można.

Życiorys autora konotaty Stanisława Wierzbowskiego wcale zbyteczny, bo go czytelnik samby sobie wyjął z konotaty, gdyby okazała się tego jaka potrzeba. Ale gdy Stanisław ten nie grał żadnéj roli w rzeczypospolitéj, gdy zostawał na podrzędnych stanowiskach, był w świecie tylko starostą i chorążym łęczyckim, a w stanie duchownym prałatem w kilku katedrach i łaskim infułatem, gdy jak to widać z konotaty, bylto człowiek cichy i pokornego serca, modlił się ciągle i raz wraz chciał zostawać księdzem, chociaż go stryj biskup poznański żenił co chwila, inną raz wraz nastręczając mu pannę, zaletną z majątku albo

rodu— życiorys jego nie wiele obchodził. Zamiast częstych powtarzań jednéj rzeczy, gdy w księdze naszéj jest wyciąg genealogiczny i tablica genealogiczna i w życiorysie Stanisława w tekście konotaty raz wraz jedne natrafiają się fakta, właśnie żałujemy, że na wydanie pierwszéj połowy oryginalnego rękopismu zabrakło wydawcy miejsca w książce.

W rozprawach i objaśnieniach, które następują za tém, wydawca stara się pojaśnić źródła, z których czerpał Stanisław Wierzbowski; praca to zbyteczna znowu, a dosyć obszerna i nudna, bo jest rozwlekłém filozofowaniem o wypadkach, o rzeczach. Rozprawa o bitwie beresteckiéj ma za cel pokazanie, że relacya o téj bitwie Stanisława może poczerpnięta z opowiadania Hieronima Wierzbowskiego chorążego łęczyckiego (ojca autora), który właśnie stawał pod Beresteczkiem i odniósł w niéj ranę od strzały tatarskiéj. Rozprawa „Szwedzi w Polsce“ ma za cel pokazanie, że autor podań o najściu Karola Gustawa czerpał z opowiadania o téj wojnie dwóch Wierzbowskich, ojca swojego i Łukasza chorążego znowu łęczyckiego, którzy w pospolitém ruszeniu udział brali. Rzecz «o związku Swiderskiego» nic nie pokazuje, ani też nie mówi, zkąd autor brać miał podania o związku. Rzecz ostatnia o rokoszu Lubomirskiego obiorze i panowaniu króla Michała podobnież. Zdaje się, że celem wydawcy w tych objaśnieniach było sprawdzać, zkąd autor mógł brać swoje fakta w konotacie; ale widzimy, że mogło to służyć wydawcy tylko za pokrywkę do napisania dwóch pierwszych rozpraw, bo w dwóch drugich nic już o tém nie ma. Nareszcie ostatnia rozprawa „Peregrynacye" nie potrzebowała nawet tych sprawdzań, gdy traktuje rzecz o pielgrzymce po Europie samego Stanisława Wierzbowskiego, który naturalnie już tutaj nie potrzebował od nikogo zasięgać wiadomości tyczących się podróży, jaką odbył.

Rzecz o rokoszu Lubomirskiego ogłosił wydawca poprzednio w broszurce, któréj tytuł: «Uwagi nad projektem obioru księcia Ludwika Kondeusza na tron polski, tudzież nad elekcyą i panowaniem króla Michała Wiśniowieckiego (wyjątek z okresu dziejów od 1657 do 1673 r.) nakreślił Jan Konrad hr. Załuski członek korrespondujący C. K. Towarzystwa nauk w Krakowie. W Jaśle w wytłoczni Anastazego Rusinowskiego. 1857. W 8-ce, Stronnic 39". Autor tutaj rozwija myśl, że zbawieniem Polski za Jana Kazimierza byłaby elekcya księcia francuzkiego, że Marya Ludwika i Jan Kazimierz wiedzieli dobrze co robili. Być to wszystko może, ale co do pierwszego nikt z nas nie

wić, tylko autor tej rozprawy, czy elekcya Kondeuszowska wyszłaby Polsce na dobre; co do drugiego autor zapomina, że M. Ludwika poruszała rzecz najniepopularniejszą na świecie i że dla dopięcia celów swoich nie miała środków, gdy posiadała tylko upór i namiętność, Jan Kazimierz zaś nie miał żadnego rozumu stanu. Dlatego Zał. dowodzi, że Jan Kazimierz po śmierci żony chciał przez abdykacyą własną przeprowadzić koniecznie wybór francuzki, do czego się Ludwikowi XIV zobowiązał; dowodzi, że nieszczęścia, jakie spadły na Polskę, za króla Michała od Turcyi, były tylko odwetem francuzkim za okropny zawód. Ale nie jestto bronić elekcyi Kondeusza i Francyi. Prawda, że ten niby odwet, jaki bierze Turcya w Polsce, jest tylko w imaginacyi wydawcy, który się zupełnie oplątał w jakichciś zasadach nowo przez siebie odkrytych legitymizmu polskiego. Utrzymuje np., że Polska za Piastów była państwem sukcessyjno elekcyjném, że była w drugim okresie elekcyjno sukcessyjném, w trzecim dopiéro elekcyjném, tojest od roku 1674. Autor wierzy w to, że nie Batory był obrany ale Anna Jagiellonka, dlatego, że Jagiellonka; wierzy, że Zygmunt III był obrany dlatego, że syn Katarzyny Jagiellonki; że synowie jego dlatego byli obrani, że byli synami; że wreszcie nawet elekcya książęcia Wiśniowieckiego, która w oczach autora jest plamą narodową, nierozumem szlacheckim, że nawet ta elekcya dlatego nastąpiła, że Michał Korybut szedł z Jagiellonów. Otóż nie rozumiemy, dla czego autor potępia tę elekcyą: podług niego była najniełegalniejszą i była ostatnim wybłyskiem legitymizmu narodowego. Nie rozumiemy, dla czego życzy sobie Francuza, niechajby go już sobie życzył przynajmniéj w roku 1674 nie zaś 1668. Odróżnienia scholastyczne wydawcy mało nas nauczyły: elekcyjna sukcessya, czy sukcessyjna elekcya jest zabawką dobrą dla tego, kto gwałtem chce tworzyć systemata, ale do czego te rzeczy prowadzą? co objaśniają? Sukcessyą miał rozpocząć na dobre Kondeusz; widać, że tak samo książę ów myślał, jak nasz autor, gdy autorowi konotaty bawiącemu w Paryżu rozpowiadał: «O! gdybym ja był waszym został królem, zrównałbym (ją) z Francyą, żeby żaden z was tu nie postał, mógłby to mieć w ojczyznie swojej». *Vox, vox, praetereaque nihil.* Takie rzeczy nie rozpatrują się, nie oceniają a priori; niechaj autor zrobi wprzódy studya, a mozolne będą, bo materyałów nie brak nad konfederacyą zbrojną Lubomirskiego, a wtedy dopiéro będzie mógł podnieść pewnik naukowy, nie

dzisiaj na zasadzie krajowego legitymizmu. Autor nie pojmuje, zdaje się, dobrze natury tych domowych stosunków. Lubomirskiego wojnę zwie rokoszem; rokosz u nas znaczył co innego jak znaczy dzisiaj. Dzisiaj rokosz pomieszano z buntem, z powstaniem. Trzy to wszelako wyrazy i trzy oddzielne pojęcia. Rokosz był u nas zawsze poprawą rzeczypospolitéj, rodzajem konfederacyi, ale nawet więcéj był prawny od saméj konfederacyi. Lubomirski nie żądał naprawy rzeczypospolitéj, ale poprostu wiązał konfederacyą przeciw dworowi, który nastawał na prawa narodowe. Lubomirskiego nienawidzi autor, że zgubił Kondeusza, a mimo to chwali Prażmowskich, Sobieskich i t. d., że powstawali zbrojnie za Kondeuszem za Michała. Lubomirski winien tedy, że zbrojnie bronił prawa być może najgorszego, ale obowiązującego w kraju; malkontenci za Korybuta niewinni, że buntowali się przeciw królowi i narzucali narodowi nowe prawo, które wymyślili! Sprawy te przesądzone być muszą, Lubomirskiego i malkontentów, na zasadzie akt spółczesnych; ale jeżeli o Lubomirskim dzisiaj jeszcze nic pewnego nie możemy powiedzieć, wielu jest przecie malkontentów i tych sąd historyi potępi niezawodnie; Lubomirskiego wojna była konfederacyą, malkontentów spiski jawnym, najszkaradniejszym buntem przeciwko majestatowi rzeczypospolitéj.

Nie sądzimy, by przedrukowanie téj rozprawy z małemi odmianami w stylu, zdało się na cokolwiek i żeby było potrzebne i pożyteczne dla nauki.

Sama konotata nie jest opowiadaniem, ale składa się z dyaryuszowego notowania zdarzeń, jakie za życia autora miały miejsce. Wydawca, który się tyle nakłopotał, żeby wskazać źródła wiarogodne a prawdopodobne, z jakich czerpał autor, miał zagadkę rozwiązaną w saméj przedmowie do konotaty: «Gdy się reflektuję, od którego roku miałbym to opus konotować; nie rozumiem: tylko a nativitate matki a kochanéj dobrodziejki mojéj, od któréj najwięcéj zasięgnąć mogłem; kiedy rodzic mój odumarł mię w szóstym roku, któryby mógł był dać lepszą informacyą zrodziwszy się dawniejszych lat. Zaczynam tedy ab anno 1634 nim przystąpię do lat życia mego.» Toć rzecz oczywista, że pisarze pamiętników o przeszłości spółczesnéj sobie, czerpią z własnéj pamięci, z pamięci innych, bo gdyby przepisywali, nie mieliby żadnéj wartości; dosyć byłoby nam poznać autorów oryginalnych źródłowych. Konotata zaczyna się tedy od roku 1634 a ciągnie się aż do roku

1689, tojest nie dochodzi i połowy lat wieku autora, który rodził się w roku 1659, umarł zaś proboszczem infułatem w dobrach swoich w Łasku i w kilku kapitułach prałatem i kanonikiem dopiero w roku 1728. Stanisław Wierzbowski był synem Hieronima wojewody sieradzkiego i wielkorządcy krakowskiego z drugiéj żony Katarzyny Ginwillówny Piotrowskiéj kuchmistrzanki litewskiéj, która po śmierci męża tego poszła powtórnie za mąż za Stanisława Skarszewskiego kasztelana wojnickiego. Stanisław Wierzbowski, niech nam będzie wolno użyć tego porównania, był mazgajem i w niczém sobie nie poradził; nie pewny, bez zdania i woli, sam nie wiedział czego chciał, żeniąc się myślał o kapłaństwie, sobie i drugim ciężarem będąc, skończył wreszcie na służbie ołtarza przeżywszy żonę i mnóstwo dzieci.

Konotata jego pisana bez związku, bez ciągu, raz wraz w osobnych ustępach, szkicowana tylko, nic nie rozwija i podobna zupełnie do notat w pugilaresie. Z początku o każdym roku dwa trzy wiersze i dopiero od śmierci Władysława IV autor zaczyna być nieco rozmowniejszym. Głównie zajmuje się rodziną; mamy tutaj albowiem całą jéj historyą społczesną autorowi. Pierwsze też lata konotaty temu wyłącznie przedmiotowi poświęcone: Wierzbowski nie darował nam jednéj daty narodzin i śmierci choćby jednoletniego dziecięcia. W pewnéj mierze musi to być druga redakcya genealogii. Z późniejszych ustępów konotaty dwa najciekawsze: jeden o wojnach kozackich i szwedzkich za Jana Kazimierza, drugi o peregrynacyi autora do Paryża w roku 1678—1681 już poprzednio sam wydawca wydrukował, tamten w Dzienniku literackim lwowskim z roku 1854, ten zaś w Dodatku do Czasu za miesiąc marzec 1858 r. Dla nas więc co znaliśmy już poprzednio z pism publicznych owe ustępy, wydawca nawet illuzyi nie zostawił, że coś nowego znajdziemy w téj konotacie, bo rzeczywiście oprócz tych dwóch ustępów nic w niéj arcyciekawego nie ma albo bardzo mało.

Wartość konotaty pod dwojakim względem rozpatrywać można: co przyniosła w ogóle dla historyi, dla nauki, i w czém zbogaciła nie historyczne ale pamiętnikowe nasze bogactwo?

Wydawca sam nie wiele znalazł w konotacie świeżego historycznego materyału, spostrzegł tylko w niéj jednę nowość, tojest, że Wierzbowski podaje nazwisko niewiadomego dotąd zabójcy marszałka skonfederowanego wojska na Litwie, tojest Żeromskiego, «byłto porucznik Wolk» (stronnica 29) i drugą, że ojciec autora dla miłości ojczyzny musiał ustąpić dwóch

swoich królewszczyzn w Sieradzkiém na rzecz marszałka związkowego Samuela Świderskiego, tojest Brzozy i Bród nad rzeką Wartą; prawda że województwie wyznaczono za to 4,000 dożywocia na żupach wielickich, dopókiby wakans jaki nie trafił się w téj intracie, ale królewszczyzny Wierzbowskiego czyniły wszelako 10,000 dochodu rocznego, więc zawsze z jego strony było to poświęcenie się dla ojczyzny. O tém mógł dobrze wiedzieć autor; ale zkąd się dowiedział o nazwisku zabójcy Żeromskiego, tego nie sprawdza swoim zwyczajem wydawca, któremu wymknęło się, pominąwszy tę nowość, takim sposobem jeszcze jedno objaśnienie. Głównie wydawca nacisk kładzie na zasługę konotaty pod względem obyczajowym i nawet językowym. Wzgląd językowy nie znaczy nic w materyale ściśle historycznym, nawet trudno filologowi brać za dowód konotatę: kto pisać nie umié, wzorem być nie może, tak samo i niektóre osobliwości jego stylu i wyrażenia dziś nieużywane nie będą mogły pójść na karb języka, w niczém nie objaśnią jego historyi, ale zaświadczą tylko, że Wierzbowski pisał jak mu się zdało i dosyć.

My sami znaleźlibyśmy daleko więcéj ciekawych rzeczy w owéj konotacie, jak śmierć Wolka. Jest tutaj historya Łęczyckiego za wojen kozackich i szwedzkich, dosyć szczegółowa i dla nauki zupełnie nowa. Co do wojen kozackich, historya ta jest tylko historyą wypraw i pospolitych ruszeń ziemi łęczyckiéj pod Beresteczko i w inne strony. Szczegółowsza jest druga połowa tych wypraw przeciw Szwedom. Zapisali historycy w dziełach swoich ruchy główne Karola Gustawa i jego wodzów, oraz polskich wojowników po ziemi polskiéj, ale głównie te ruchy objaśniły nam tylko strategię, taktykę wojny; o usposobieniu szlachty w ciągu tych lat trzech wojny szwedzkiéj, zewsząd nas tylko ogółowe zalatywały wiadomości. Dlatego z miłą radością spotykamy się tutaj w opisach Wierzbowskiego ze szlachtą łęczycką, z opisem jéj wypraw. Prawda, że wiele tutaj do zupełności niedostaje; autor nie był nietylko historykiem ale nawet i aplikantem na historyka, a jednak kiedy pomimo niezdolności swéj, pomimo tego, że pisał z opowiadania, bo dopiéro na schyłku téj wojny się urodził, kiedy tyle o niéj napisał, cóż to za ciekawe opowiadania, których się nasłuchał tyle, być musiały! Historya pospolitego ruszenia łęczyckiego cofającego się przed Szwedami już po zdradzie pod Ujściem od Łęczycy aż pod Kraków i później,

ma nowe fakta, które i dla ogólnéj historyi kraju posiadać mogą pewien interes. Szlachta w Łęczyckiém w ciągu lat czterech, pięciu, ciągle fermentowała, raz wraz podnosiła chorągiew powstania przeciwko obcemu najeźdzcy. Rej w téj okolicy wodzili Wierzbowscy, rodzina tutaj starodawna a jak widać potężna, bo już nie mówić o senatorstwach, co rzecz mniejsza pod tym względem, ale na urzędach ziemskich łęczyckich raz wraz sami siedzą Wierzbowscy, krewniaki sobie. Ważny był bardzo stopień w takich zapasach chorążego, do którego zwykle się województwo kupiło, gdy podnosiło chorągiew; otóż chorążemi w ciągu tego okresu w XVII wieku bywali: sam ojciec autora Hieronim, późniéj wojewoda sieradzki, Łukasz i Zygmunt, a późniéj Mikołaj, Ludwik i Stanisław sam autor. Szwedzi mieli téż ich na względzie, ztąd częste napomknienia w konotacie wypraw rycerskich Szwedów po domach i rodzinach łęczyckich, w czém się i Wierzbowskim dostało. Po Szwedach nastali cesarscy, którzy przyszli na pomoc to niby rzeczypospolitéj przeciw Szwedom, a przechodząc pod Toruń i wracając do siebie przez Łęczyckie, dobrze się dali we znaki województwu. Ten właśnie ustęp drukowany w Dzienniku literackim lwowskim.

Otóż cała wartość historyczna konotaty. Autor nawet o wojnie Lubomirskiego nic nowego nie powiedział, a mógłby, gdy już sam te czasy pamiętał, bo sam wspomina, że bywał z siostrą swoją panną Heleną z Szadka w obozie Lubomirskiego, potém zaś u króla Jmci naturalnie dlatego, żeby z jednéj i z drugiéj strony zabezpieczyć swoje dobra nad Wartą. Inny szlachcic nie taki ślamazarny jak autor byłby się zdradził przynajmniéj w opisie za tą lub za inną stroną; po Wierzbowskim tego nie spodziewaliśmy się i tylko ze słów ostatnich, jakie o śmierci Lubomirskiego pisał, wnosilibyśmy, że serce jego było za królem. Pisał zaś tak: «a z swojéj rebelliej mało co pożytku otrzymał (Lubomirski). Tylko co się nawłóczył a ubogich ludzi zrujnował, to mu zostało»! Nie dziwić się, Stanisław Wierzbowski nie miał nic w sobie szlacheckiego; dziecko rodziny, które na dworze wzrosło, nie mógł mieć sądu własnego, nie chciał go mieć i nie miał; ważne zagadnienia życia narodowego mniéj go obchodziły jak wybór stanu. Pod tym względem obojętności jego, apatyi na wszystko i patryotyzm nie zasłonił.

Pod względem pamiętnikowym konotata nierównie jest ważniejszą. Pod tym nawet względem jest skarbem wspomnień

szlacheckich, jest dopełnieniem herbarza Paprockiego, Niesieckiego. Nie mówić już o szczegółach rodowodowych, ale dla biografii i charakterystyki osób historycznych drogie są jéj podania. Wszyscy tu Wierzbowscy namalowani są dosyć żywo. Rodzina ta senatorską została dopiéro za Władysława IV, gdy Mikołaj starosta Szadkowski został kasztelanem inowłodzkim. Najświetniejsza zaś epoka jéj nastała za Jana Kazimierza, gdy dwóch braci z synów Mikołaja zostało wojewodami: Władysław kujawskim, Hieronim zaś wojewodą sieradzkim; gdy trzeci brat Wojciech był jak ojciec kasztelanem inowłodzkim; a czwarty Stefan biskupem poznańskim; gdy wreszcie siostra ich wszystkich poszła za Łaskiego, ostatniego potomka wielkiego bardzo nazwiska. Świetność ta przeciągnęła się aż do czasów Jana III, gdy Stefan został prymasem, gdy syn Władysława Ludwik był jeszcze kasztelanem łęczyckim: tego Ludwika nie ma w Niesieckim. Z konotaty dowiadujemy się, że kasztelanem już będąc był razem Ludwik deputatem na trybunał lubelski w roku 1687 (str. 214). Upadła potém świetność rodziny, która na chwilę tylko widzimy rozbłysła, gdy w linii senatorskiéj Wierzbowskich Stanisław był ostatniém jéj ogniwem i przeżył wszystkie potomstwo. Sam nic nie znaczący człowiek, nie dosłużył się krzesła ani majątku i całą historyą Wierzbowskich przekazał nawet nie dzieciom ale potomstwu jednéj z sióstr Ludwiki, która była wprzódy za Hieronimem Lanckorońskim podkomorzym podolskim, potém za Hieronimem Załuskim kasztelanem rawskim. Przez tego Załuskiego dobra dawniéj dziedziczne Łaskich a potém Wierzbowskich, z gniazdem rodzinném tylu wojewodów sławnych, Łaskiem, dostały się Załuskim a z niemi konotata. Linia ta senatorska Wierzbowskich przez krótki czas swojego świetnienia znakomite z domami pańskiemi pozawierała związki, ale sama się dorabiała znaczenia, co szczególnie widać na prymasie Stefanie. Inne dwie linie z jednego szczepu pochodzące, dźwigały się stosunkami linii senatorskiéj. Z Dalikowskiéj linii jest Łukasz, dzielny chorąży łęczycki za Szwedów, Stanisław podstoli łęczycki syn jego i drugi syn Hieronim sufragan poznański, ostatnia podobno już za czasów saskich znakomitość rodziny, która zgasła, nie wygasła jednak, bo są i do dziśdnia téjże saméj historycznéj rodziny potomkowie: Jastrzębczykowie, Wierzbowscy. Fakt natury czysto polskiéj; gdzieindziéj za granicą rodzina, kiedy zostaje wielką, jest wielką po wsze czasy, bo już i prawo jéj broni i majątek u nas wszystko

urównywało się zawsze do poziomu: na wszystko każdy sobie zapracować musiał, dla zasługi osobistéj było otwarte pole, i ta jedynie zasługa wynosiła. Potomkowie znakomitych przodków ginęli w zapomnieniu, jeżeli także nie pracowali na dobrą sławę. Tak lepiéj.

Pomiędzy galeryą Wierzbowskich, których tutaj oglądamy, najlepiéj są odmalowani: Hieronim wojewoda sieradzki, Stefan arcybiskup gnieźnieński i sam autor. Ale gdy autor nie jest historyczną postacią, bo nic nie znaczył na świecie polskim, konotata ma zasługę ztąd, że nam bliżéj ukazuje na dwie historyczne postaci: Hieronima i Stefana, tojest ojca i stryja autora. Hieronima głównie podniosła Marya Ludwika, dobrze téż jéj się zasługiwał, co i spółczesny Kochowski w kilku miejscach klimakterów swoich przyświadcza. Zacny to był i zasłużony człowiek, bił się z nieprzyjacielem na wojnach, umarł zaś na kommissyi moskiewskiéj, tojest wróciwszy z Litwy, do któréj aż trzy razy jeździł na układy za protekcyą Maryi Ludwiki, gdy pracą nieustanną sił nadwątlił a przeziębił się w drodze. Miał téż wielkorządy krakowskie, z powodu których przyszło nawet do zajścia pomiędzy nim a marszałkiem Lubomirskim, który był starostą krakowskim. Zasługi jego głównie podniosły Stefana, który dźwigał znowu rodzinę ze wszystkich sił, na jakie mu stało. Stefan jest jedną ze znakomitszych postaci swojego czasu, była nawet chwila, że znaczył niezmiernie wiele, że zastępował prawie cały senat duchowny. Działo się to za świetnych czasów konfederacyi pod Gołąbiem; wtedy Wierzbowski i Żegocki biskup chełmski głównie rej wodzili pomiędzy szlachtą i zapalali umysły przeciw malkontentom, a za królem Michałem. Wierzbowski już wtedy kroił na arcybiskupstwo gnieźnieńskie i byłby je dostał niezawodnie, gdyby Prażmowskiego obalić można było, albo gdyby wtedy Praż. umarł. Co się przewlekło, nie odwlekło; ale Wierzbowski musiał aż trzech przeczekać arcybiskupów, zanim mu król Jan zapomniawszy przeszłości na prośbę żony i synów, którzy go kochali (str. 208), ile najstarszemu z biskupów, dał prymasostwo. Poprzednio jednak tylko co Wierzbowskiemu nie dostało się biskupstwo krakowskie po Trzebickim, w roku 1678. Za Jana Kazimierza był już Wierzbowski referendarzem koronnym i opatem paradyskim. Rodziny swéj był opatrznością, kogo tylko mógł, popychał pomiędzy ludzi, i synowców i dalszych krewnych. Chodziło mu głównie o to, żeby rodzinę świeżą

jeszcze w senacie, podniósł do rzędu rodzin historycznych i sławnych. Ale nie poszczęściło się mu; najbliżsi synowcowie wymierali, zostali tylko dwaj z licznéj rodziny wojewodzice sieradzcy; o starszym Zygmuncie głucho, ale młodszemu Stanisławowi, autorowi konotaty, stryj chciał usłać złote gniazdko. Sierotą opiekował się sam długo, kiedy matka go zaniedbała dla nowych związków. Sam raz wraz szukał mu żony, to stręczył mu Szczawińską wojewodzankę inowrocławską, to Leszczyńską wojewodzankę podlaską, wnuczkę Czarnieckiego, to pannę Grzymułtowską wojewodzankę poznańską. Wszystko nie udawało się jakoś. Szczawińskiéj matka ładniejszą była od córki, która znowu była chorowitą; Leszczyńska miała siła dumy i mało obiecywała pożytku; Grzymułtowską ojciec oddawał już, ale nie chciał jéj Stanisław. Matka również go swatała z księżniczką Czartoryską podkomorzanką krakowską, bo była zażyłą wielce w tym domu. Skończyło się na tém, że Stanisław sam sobie wyszukał żony w domu Tarnowskich: była to córka starosty krzepickiego Kazimierza i Firlejówny, wychowywała się zaś u Witowskiéj kasztelanowéj sadomierskiéj. Stryj gniewał się na synowca, że odrzucał jego ofiary, jednakże przywiązanie do rodziny przemogło w nim, i kiedy się dowiedział, że Stanisław w drodze do niego nogę złamał i leżał chory w Warce, odwiedził z Góry synowca, którego na krok nie odstępowała siostra Lanckorońska, podkomorzyna podolska. Biskup ciągle mieszkał w Górze, którą zbudował i ozdobił stacyami Męki Pańskiéj: to było jego ulubione ustronie. Jechał w wielkie mrozy do synowca w styczniu roku 1687; chciał go z sobą zabrać do Góry, ale odradził cyrulik, zjadłszy więc obiad staruszek na noc do siebie powrócił, przemarzł mocno, potém miał w mięsopust processyą po swojéj Kalwaryi z przenajśw. sakramentem, przeziąbł tedy mocniéj, ile że mieszkał w nowych i wilgotnych murach, zapadł na katar i duszność. Dał mu lekarstwo ks. Winnicki biskup, nie powiada Stanisław jaki. Nie kto inny to być może tylko Jan, inaczéj Innocenty (bo biskupi ruscy dwa zwykle mieli imiona: chrzestne i zakonne), Winnicki biskup przemyślski greckiego obrządku, podówczas jeszcze nieunita, gdyż do unii uroczyście dopiéro w roku 1692 przystąpił i od niego dopiéro ciągnie się nieustanny szereg unickich biskupów przemyślskich, lubo i wprzódy na téj stolicy siadywali unici. Winnickich wielu było biskupów w kościele ruskim, ale w owéj chwili był jeden nasz Innocenty, do którego odnieść

można podanie Stanisława. Szczegół to ciekawy, bo dowodzi w jak bliskich byli stosunkach, arcybiskup prymas, naczelnik kościoła rzymskiego w Polsce, z owym władyką ruskim. Stosunki te pokazują, że ks. Winnicki już unią wyznawał sercem jeżeli nie usty, jakoż w istocie w niewydanym dotąd tomie IV pamiętników kommissyi archeologicznéj kijowskiéj (rozbiór trzech pierwszych tomów drukowaliśmy niegdyś w Bibliotece Warszawskiéj 1855 T. 2gi) czytaliśmy, że już w roku 1683, ów Winnicki był tajnym unitą (IV str. 132). Lekarstwo Winnickiego nie pomogło, trzeciego dnia po niém umarł nominat prymas 7 marca 1687, mając lat 67. Bulle dlatego mu nie przyszły w czas, że pozwolił na ślub Hieronimowi Lubomirskiemu, kawalerowi maltańskiemu, o co Rzym się gniewał. Człowiek bardzo pobożny.

Szczegóły familijne gęsto tutaj rozsiane w konotacie nie są bez interesu; pod tym względem ciekawa jest bardzo podróż Stanisława za granicę z opatem oliwskim Wolffem, nominatem biskupem inflanckim, który umarł téj podróży po nad granicą Francyi, w Valenciennes. Wolff był wujem Stanisława, tojest krewnym ze strony matki. Jeżeli Wierzbowscy są na pierwszym planie w konotacie, widzimy jednak tutaj i drugie familijne stosunki, któremi wojewoda sieradzki związał się z Litwą: Ginwiłłowie, Piotrowscy, Wolffowie, których szereg po kądzieli znalazł biskup inflancki w podróży swój aż w głębokich Niemczech, nietylko że wypełniają, że nas interesują, ale materyału dostarczają do obrazów z owéj epoki, byle się kto chciał zająć tworzeniem. Wolffowie a Ludingshausen byli rodziną inflancką i unarodowili się w Polsce, byli generałami artylleryi, biskupami, ostatni z nich u nas Teodor biskup chełmski umarł w roku 1712. Do dziśdnia jeszcze żyją ci Wolffowie w Inflantach, ale już bardzo podupadli. Babka Stanisława Wierzbowskiego, matka Ginwiłłównéj Piotrowskiéj kuchmistrzanki litewskiéj była z domu Wolffówna, umarła w roku 1664 u Bernardynek w Wilnie przy starszéj córze Petronelli zakonnicy. Późniéj już po powrocie Stanisława z zagranicy ciekawe są jego zaloty do panny Urszuli, która miała jakąś chimeryczkę matkę, gdy nie u niéj się chowała, ale u ciotki jak powiedzieliśmy, kasztelanowéj sandomierskiéj. Mieszkała matka w Kożangrodku na Litwie; zaledwie przyjechała i oddała córkę autorowi konotaty, potém jakby się spiesząc, oddała drugą Ustrzyckiemu stolnikowi zakroczymskiemu, ale w tajemnicy przed pierwszym zięciem i umarła

w tymże roku. Interesuje i ta pani matka autora, teraz Skarszewska, postać jakaś surowa i ponura, oddana całkiem nowym związkom i nowemu z nich potomstwu, nawet choćby z pokrzywdzeniem dzieci pierwszego męża. Wszystko to doskonałe typy do powieści.

Wspomnienie o matce autora konotaty i o jéj nie dobrém sercu względem starszych dzieci, przywodzi nam inne z konotaty wspomnienie, bolesne a charakterystyczne. Że król Jan był łakomy i że handlował urzędami, na to wiele w historyi dowodów; rzecz brzydka, ale już nas nie dziwi. Ale co okropne, to odkrycie, że król Jan z łakomstwa popełniał niesprawiedliwość, że krzywdził prawie małoletnie sieroty. Oto historya tém więcéj nas Warszawian interesująca, że toczy się rzecz o jednę z majętności willanowskich. Było to roku 1682. Jan III napierał się Służewa, wsi leżącéj o pół mili od stolicy, którą chciał zaokrąglić dziedziczną swoją posiadłość. Kupić wolno zapewnie, ależ Jan III kupić Służewa nie chciał, pragnął wieś posiąść darmo. Dla tego zajęcia potrzeba było pozoru. Otóż trzeba wiedzieć, że ojciec Stanisława Wierzbowskiego miał wielkorządy krakowskie, tojest zarząd dóbr stołowych królewskich i że Jan Kazimierz, kiedy umarł wojewoda w roku 1665, przez względy jakieś dla jego żony wdowy chciał przy wielkorządach ją utrzymać, oddał je wprawdzie Skarszewskiemu kasztelanowi wojnickiemu, ale jakieś summy wdowy, czy pretensye na nich oparł: dosyć, że nawet jak powiedzieliśmy, do małżeństwa przyszło Skarszewskiego z wojewodziną, wprzódy jednak kasztelan swojéj przyszłéj zapłacił z decyzyi króla 24.000 złp. Wielkorządy potém trzymał z nią razem i ekonomią samborską. Działo się to wszystko i wypłata i wesele w kwietniu 1668, przed samą abdykacyą królewską. Otóż chciwości Jana III, po kilku latach ten się nasunął pozór, że Skarszewski nie dokalkulował się z ekonomii samborskiéj i oczywiście królowi pozostał winien. Za dług chciał Służewa, ależ Służew nie był własnością Skarszewskiego tylko jego pasierba Stanisława. Król kazał się oczywiście z nim rachować, a sam «per vim» wziął Służew. Sprawa jak w Osieku, że dłużny był kasztelan płać wojewodzicu. Bal jeszcze jaka była krzywda sierotyl Służew król nabył tylko w 30,000, a dobra te daleko więcéj warte były, gdy samych wlewków na Służew wojewody sieradzkiego i pani Skarszewskiéj było na 50,000; oczywiście dobra zatém więcéj były warte, kiedy daleko większą dźwigały

hypotekę i długi na sobie, aniżeli wynosiła summa, którą król za nie ofiarował na papierze. Stanisław tak opisuje Służew: «była to majętność albo raczéj wioska mała, ale bardzo wygodna, pod Warszawą blizko. Rodziło się nie źle, siana bywało po ośm brogów. Rybka świeża, młyn, kościół murowany na pięknéj górze; owo zgoła ze wszystkiém wioska do wygodéj». Krok ten samowolny oburzył młodego dziedzica, napisał protestacyą, że przymuszony był od ojczyma i matki do zeznania dziedzictwa na króla i kiedy nawet akt podpisywał, mówił, że z przymusu to czyni, że dziedzicom zostawia prawo upominania się o krzywdę przed prawem. Brzydkie to rzeczy. Król nie wspaniały już, ale sprawiedliwy, byłby tę małą summę 30,000 staremu słudze podarował, ile że może ten dług tylko z niewyrachowania się wypłynął, ale nikt, nawet już krwi cokolwiek zacnéj człowiek, nie używałby powagi swéj do tego, żeby starego uwikłać a skrzywdzić młodego, który czuł się wielce dotkniętym takowym procederem. Dodajmy do tego, że kasztelan wojnicki opłacał się królowi, oto np. inny wyjątek z konotaty zapisany w niéj pod rokiem 1682: «Na święty Jan wiązał Jmć pan wojnicki we Lwowie króla Jmci złotą czarą pełną portugałów (złotych pieniędzy portugalskich). Oddawał to wiązanie Jmć pan Jan syn, a brat mój przyrodni z oracyą. Na co król odpowiedział: «Oracya piękna, orator grzeczny, a wiązanie bogate». Stryj Stefan biskup, dworus nie w ciemię bity, chciał to jakoś załagodzić i dlatego stręczył w tymże roku 1687, w którym handle stanęły o Służew, Stanisława na ochmistrza do królewica Alexandra. «Alem się téj funkcyi nie chciał podjąć, pisze autor; widząc, że mi krzywdę oczywistą w téj wiosce uczyniono a do tego królewicowie bardzo swawolni, radejbym im nie dał, mógłbym się był i onemu (królewiczowi) narazić i samemu majestatowi».

Jedna siostra autora poszła za Marcina Chomętowskiego, który był wczasie wesela łowczym tylko sandomierskim ale potém wyszedł na wojewodę bracławskiego i miał synów: Stanisława, późniéj wojewodę mazowieckiego, marszałka nadwornego i hetmana. Ciekawe tutaj i o nich szczegóły. Pan łowczy réj wodził w familii żony, która mu także widać, odpowiadała charakterem, z przekąsem go też nazywa biedny autor konotaty: „konsyliarzem walnym" (stron. 203). Obiedwie siostry ostro darły się z bratem i miały jakieś plany przeciw niemu, chociaż jednocześnie, kiedy potrzeba było, dawały mu dowody szczerego

serca. Rozżalony Stanisław pisze raz, że pani Żarnowska (Chomętowska) z panią podkomorzyną napisały do niego takie listy, że było co gryźć, (stron. 204). Przyszły hetman, syn łowczego Stanisław rodził się w Łasku, 13 grudnia 1673 roku.

Ciekawy niezmiernie szczegół o weselu Wielopolskiego z d'Arkenówną, siostrą M. Kazimiry. Nie ożenił się wprzód aż wziął kanclerstwo; żona więc była mu tylko stopniem wywyższenia się, to też później cierniową za to cierpiał koronę. Wielopolscy byli wtedy nie wiele jeszcze znaczącą szlachtą, to też charakterystyczne są bardzo owe zwierzania się autora konotaty: „Co ten człowiek za disgusta pojął: (mówi o kanclerzu) trudno wypisać, tylko to dokładam: „Bogdaj równą szlachciankę pojąć, niż się z domami wysokiemi łączyć bo to wielki koszt a mały pożytek, dla spowinowactwa królewskiego, szlachecką kondycyą stracić!" Na tém weselu oddawał pannę JW. JMC. pan Jabłonowski, wojewoda ruski a hetman wielki koronny, stylem wielce obszernym wywodząc: jako idzie z szesnastu królów francuzkich w powinowactwie; wywodząc herby: trzy lilie, trzy jelenie, trzy młotki i t. d. A JMĆ pan Sieniawski, drugi hetman dziękował wielce krótko w ten sposób: „Nie trzeba mi się rozwodzić z genealogią JMciéj pana kanclerza; „bo wiedzą na cały świat sąsiedzi jak kto siedzi." Herbów nie wywodzę; tylko to przyznam: iż herbowny koń Jmciéj (1) będzie się umiał paść na tych liliach i t. d."

Wydawca konotaty myli się, twierdząc, że na wzrost majątku i znaczenia Wierzbowskich wpłynął związek małżeński Anny, siostry wojewodów Władysława, Hieronima i biskupa Stefana, z ostatnim dziedzicem rodziny Łaskich i myli się kiedy utrzymuje, że po bezpotomném zejściu Anny dostał się Łask w dziale Hieronimowi Wierzbowskiemu jéj bratu. Przypadek posłużył, żeśmy czytali papiery urzędowo oblatowane w aktach konsystorza warszawskiego, które na ostatnie dzieje rodziny Łaskich zaniedbane i niepewne w Niesieckim i na przejścia Łasku, rzucą pewne światło. Wiadomości naszych myślimy inaczéj użyć, ale dlatego, żeśmy już potrącili z konotaty o te dzieje, wspomnieć tutaj o ciekawéj treści naszych odkryć nie zawadzi, ile że nawet w konotacie mało bardzo dowiadujemy się o tym ostatnim Łaskim, który miał podnieść niby rodzinę Wierzbowskich.

(1) Alluzya do herbu (Stary koń) Wielopolskich.

Powiedzieliśmy już, że podniosła ją Marya Ludwika, która wynagradzała Wierzbowskich za szczere usługi. Łascy, acz świetną byli rodziną, ale wygaśli zupełnie w początkach XVII wieku; ostatnie zaś ich szczątki nie mogły tak być zaiste potężne wśród ruiny domu, aby temi ruinami jeszcze podnieść kogoś. Za Władysława IV już byli Wierzbowscy w senacie, więc i Marya Ludwika nie przyszła do rzeczy nieprzygotowanej i nagle. Z jéj dworu wziął żonę Hieronim ową kuchmistrzankę litewską, co nie kochała jego dzieci. W Łasku, z pod Chojnic wracając w czasie wojny szwedzkiéj, Marya Ludwika bawiła się przez kilka dni u Anny siostry Hieronima, wtedy już wdowy po Nadolskim (stron. 107). Widocznie była królowa dobrze z całym domem Wierzbowskich a król to samo, kiedy jak widzieliśmy wielkorządy krakowskie przyznawał wdowie po Hieronimie Wierzbowskim; pogrzeby, wesela, chrzty Wierzbowskich nie obyły się bez spółdziału królestwa i często bardzo te obrzędy odbywały się nawet na dworze w Warszawie. Łascy tutaj w niczém do powodzenia Wierzbowskich nie przyczynili się, chyba może na nich ostatni blask świetności swéj kończącéj się rzucili.

Ostatni pan z Łaskich był Olbracht wojewoda sieradzki, którego dotąd nawet daty śmierci wskazać nie jesteśmy w stanie; wojewodą tym już był w listopadzie 1566. (metr. ks. 122) a daty Niesieckiego o nim dochodzą tylko do 1597. Pan na stopę niemiecką, rzucił Polskę za Stefana i bawił się w legitymizm kosmopolityczny na dworze rakuskim. Datę Niesieckiego o dwa jeszcze lata posuniemy, gdy powiemy, że w roku 1599 zapisał swoje wszyskie dobra w Polsce dwom synom z poleceniem, ażeby trzy siostry wyposażyli. Minął już czas, kiedy pan wojewoda hospodarów wołoskich na tronie osadzał; trzeba było skruszyć butę: przeprosił Stefana w roku 1579 i może przez te lat dwadzieścia kilka przesiedział spokojnie, do niczego się niemieszając, co w każdym razie byłoby zjawiskiem psychologicznem wielkiéj wagi, żeby człowiek, który ciągle żył w burzach i niepokojach, tak nagle opadł na siłach. Dosyć, że Olbrachta nie widać wcale przez te lat 20 od roku 1579 do 1599, aż dobra rozdaje synom: umarł widać niedługo potém, bo w r. 1606 już wojewodą sieradzkim jest Alexander Koniecpolski, ojciec hetmana.

Musiała być poprzednio ordynacya jakaś rodzinna Łaskich, gdyż wojewoda zapisywał te dobra synowi według przepisów téj ordynacyi, którą z żoną wespół ułożył. Żoną tą była

francuzka Sabina de Saeve, Sewe, jak piszą nasze akta, pospolicie zaś po herbarzach naszych drukują de Schewe. Rodzina ta francuzka miała indygenat polski; jeden z jéj członków piastował wysokie dostojności w kapitule gnieźnieńskiéj, był to brat rodzony Sabiny. Wystawiła mu pomnik wdowa po Łaskim w roku 1611, w kollegiacie łaskiéj, który przywodzi Niesiecki; jednak z pewnością nie wié czyją była żoną i kończąc rzecz swą o naszym wojewodzie, dodaje o Sabinie „takbym rozumiał, że (to żona) tego Olbrachta." Synów wojewody zna dwóch Niesiecki: Hieronima i Olbrychta; dodaje, że podpisali w roku 1607 protestacyą przeciwko rokoszanom. W aktach naszych, ci dwaj synowie nazywają się starszy Janem Albertem, młodszy Janem Hieronimem; siostry zaś ich, których nie zna nawet z imienia Niesiecki, były: Maryanna, Izabella i Leonora.

Dwaj ci Łascy byli potomkami ostatniemi rodu, ale nietylko nie wiemy kiedy pomarli, ale nawet nie wiemy, za którego z nich poszła Anna Wierzbowska. Wydawca konotaty pisze, że poszła za Jana, aleć obadwaj byli Janowie, jak widzim. Owdowiawszy, Anna poszła za Samuela Stanisława Nadolskiego, starostę tczewskiego, kasztelana rawskiego, który był rycerskim mężem. Szczegóły z resztą o nim w Niesieckim niedokładne. Jest tam np., że Nadolski ów ożenił się z Katarzyną Piotrowską, że ta po śmierci jego poszła za Wierzbowskiego i potém za Skarszewskiego. Fakt ten w dwóch miejscach powtórzony pod Nadolskiemi i Wierzbowskiemi. Panna Katarzyna zaś urodziła się w roku 1634, w roku 1657 prosto z dworu poszła za Wierzbowskiego i jéj to pasierbica, nie zaś ona sama, była za Nadolskim. Nadolski ten miał tylko dwie siostry rodzone: jedna Bogumiła poszła za mąż za Mikołaja Mieczkowskiego, druga Dorota za Remigiana Wągrowskiego. Mieczkowska miała syna Wojciecha, Wągrowska zaś czworo dzieci, tojest: Walentego, który był proboszczem w Prażanie, córki Dorotę i Annę panny, oraz Jadwigę, która poszła za Pawła Kochańskiego i miała z nim dzieci: ale oboje rodzice już w roku 1661 nie żyli. Nie żył też Remigian Wągrowski. Kiedy umarł Nadolski kasztelan raw-ki niewiadomo, wdowa zaś po nim Anna Wierzbowska, jak mówi konotata, zakończyła życie w sam dzień Nowego Roku 1660, w Łasku, pochowana w kollegiacie swéj, któréj zapisała srebra w 4000 złp., ale kanonicy woleli wziąć niepewny zapis na Poddębiach, i oddali srebro; dusza zatém dziedziczki została się bez ratunku, nadczem utyskuje autor konotaty, który nie wiemy dlaczego,

ciągle tę ciotkę swoję kasztelanką zamiast kasztelanową nazywa. Otóż po jéj śmierci, dziedzictwo Łaska wzięli wprawdzie Wierzbowscy, ale w skutek porozumienia się ze spadkobiercami Nadolskiego, który musiał mieć jakieś prawo do klucza łaskiego, jak się to z różnych tranzakcyj pokazuje, gdy Anna wdowa po nim, jedyną dziedziczką z męża piérwszego nie była w tych dobrach. W niedzielę Jubilate albowiem w roku 1661 w konsystorzu Warszawskim Wojciech Mieczkowski zrzekał się wszelkich praw swoich, jakie miał do spadku po matce, ciotce i wuju, a po Zielonych Świątkach tegoż roku zrobił toż samo imieniem dwóch siostr nieletnich, dzieci trzeciéj siostry, Wągrowski proboszcz prużański. Innych zaręczeń prawnych i zastrzeżeń jest wiele w tym akcie, tudzież innych, które za tym głównym nastąpiły. Daléj, nie Hieronim aktów wziął Łask po siostrze swojéj Annie, jak mówi wydawca konotaty, ale Hieronim razem ze Stefanem biskupem, a nawet Hieronim wcale tu podrzędną grał rolę, główną zaś Stefan, co nowy dowód, że biskup głównie chodził około tego. Wągrowski i Mieczkowski własność na biskupa zeznawali; nawet jest w aktach Jagodowicza officyała warszawskiego świadectwo, że Hieronim ze Stefanem razem kupili Łask i razem go trzymali, jeszcze w roku 1662. Nowy dowód, że Stefan pchał się gwałtownie pomiędzy pany, kiedy docierał tak mocno interesu i kiedy chciał być dziedzicem Łaskich, co jednak, jak widzieliśmy, z trudem niemałym mu przyszło. Nie skończyło się albowiem na kupowaniu praw od Nadolskich do Łaska, ale trzeba było nową odbyć kampanią przeciw Radlickim i innym z rodziny Korabitów: ci albowiem pochodząc z tego samego domu co Łascy, nie napierali się wprawdzie dziedzictwa, które już w obce ręce na prawnéj zasadzie przeszło, ale domagali się patronatu do Łaska i tamecznéj kolegiaty do wszystkich beneficyów duchownych jako dziedzice z krwi fundatorów. Były tu potrzebne zeznania i nawet aż komissya umyślna papiezka czynna w roku 1662. Może dlatego właśnie Stefan cały trud na siebie przyjął. Śladu téj sprawy potém nie znaleźliśmy, ale gdy Łask się utrzymał z prawami patronatu przy Wierzbowskich, oczywista rzecz, przeciwnicy ich przepaść musieli. Zdaje się jednak, że na tę sprawę Wierzbowscy się zadłużyli i że Stefan oddał następnie cały majątek Hieronimowi, bo trzymała go pani Skarszewska; Stefan zaś dawał potém Stanisławowi pieniądze na wykupno pojedynczych wiosek. Tak w roku 1685 dał mu 30,000 na wykupno Janowic od Wierzbowskie-

go, stolnika dobrzyńskiego, dalekiego krewniaka, idącego z linii czopowskiéj. Tegoż roku po śmierci drugiego męża zdała Skarszewska na syna majętność Łaską, jakoż w lipcu zaraz od stolnika dobrzyńskiego wykupił Janowice, Krzucz i Poleszyn (str. 200); klucz zaś Łaski, jakto widać z zeznania w konsystorzu, Mieczkowskiego, składał się z miasta Łasku, wsi Brokowa, Krucka (*Krucz?*), Rokitnicy, Wnorowic czy Wronowic, Woli Łskiéj, Polesina (Poleszyn?), Wydrzyna, Wiewiorczyna, Ostrowa, Janowic, Baryczy i Wierzchów: wszystkich w powiecie szadkowskim. Zeznania dziedziców Nadolskich z roku 1661 obejmowały i zrzeczenie się Stanisławic w powiecie tczewskim, na Pomorzu, i powiedziano w akcie: wszystkiego, co się jeszcze do majątku wykryje.

Wydawca wprzódy zrobił wszystko co mógł, aby konotatę zrobić nieinteresującą: w osobném wydaniu drukował osobno naprzód najlepsze jéj ustępy, rozpychał ją rozprawami bez celu, z których także jedną wprzódy drukował osobno. Gdyby odrazu wydał konotatę z genealogią bez żadnych dodatków, byłby więcéj zaciekawił. W żadnym razie nie dał nam nowego autora, bo Wierzbowski nie będzie wciągnięty do listy naszych historycznych pisarzy, jak Pasek, jak Jemiołowski; ale dał raptularze z kategoryi dawnych roczników, kalendarzy przeddługoszowych, nie bez pewnego zajęcia dla uczonych, nie bez korzyści dla nauki, lubo główna wartość konotaty jest w tém, że dostarcza faktów dla człowieka żywéj, poetycznéj wyobraźni. Gdyby Wierzbowski pisać umiał, dałby nam ze swojego życia poetyczne pamiętniki Paskowego pokroju.

Musimy tylko dotknąć jeszcze z jednéj strony pracy p. Załuskiego. Chciał konotatę wydać krytycznie a nie wydał jéj krytycznie; jego albowiem objaśnienia i notki nie wiele należą do rzeczy. Zawsze to np. przytaczanie kilku powszechnie znanych nazwisk i urzędów, zawsze wypis z tabelli statystycznéj, pokazujący gdzie wieś jaka wspominana w tekscie leży, w którym powiecie dzisiaj i t. d. Wypisanie całéj legendy o biskupie magdeburskim Udonie, zajmujące kilka stronnic dla objaśnienia półwiersza notaty, nie jest cechą krytyczności wydania. Wreszcie autor widać wątpi zupełnie o domyślności czytelników swoich, kiedy w dopiskach objaśnia, że w tekscie o tém a o tém mowa, o téj osobie, o tém miejscu, jakby to z tekstu nie było już wiadome. Wydawca każde: *jego, ich, niego, nim* i t. d. objaśnić musiał, a nawet pojedyncze słowa,

np. wyrażenie tekstu: „Ostałem się", tłumaczy w dopisie, że to znaczy: „rozstałem się" (str. 176); wyrażenie tekstu *wiar* tłumaczy w dopisku, że to ma znaczyć się: „wyznań religijnych" (str. 151) i t. d. Czasem w tekst wsadza od siebie *jego, jemu, ich* i t. d., żeby czytelnik się czasem nie osłyszał: raz pana objaśnia przez kasztelana i t. d. Jeżeliby naprawdę wydawca miał przed sobą czytelników uczących się rozumieć rzecz czytaną, objaśnienia te może byłyby na miejscu; ale z tych, co rozumieją już rzecz czytaną, na nieszczęście nikt się nie weźmie do czytania takich książek jak konotata, gdy czytanie takie z urzędu uczonym tylko przynależy: jedni specyalni ludzie, co rzecz zresztą bardzo jasna, do smakowania w takich konotatach nawykli. Imby przynajmniej wydawca powinien wierzyć, że objaśnień takich, jak są jego, nie potrzebują: ledwie ich kilka takich, co ujdą.

Jeszcze jednę osobliwość zanotujemy. Autor konotaty pisze (str. 71, 72) o jednéj ze swoich dalszych krewnych: «Ewa 4 augusta umiera, albo raczéj dnia 15 w sam dzień Wniebowzięcia Matki Boskiéj». Są to dwie daty, pierwsza starego Juliańskiego, druga nowego Gregoryańskiego kalendarza. Czyż w Polsce w r. 1640, z którego ta wiadomość pochodzi, w Polsce sieradzkiéj czysto łacińsko-katolickiéj, utrzymywała się jeszcze nawet wśród panowania Władysława IV rachuba lat stara przed reformą kalendarza i czy była jeszcze w użyciu pomiędzy jakiemi starowiercami przeszłości?

Julian Bartoszewicz.

Kilka uwag z powodu artykułu p. Heylmana „O klassyfikacyi hypotek, jakoteż praw hypotekowanych w ogólności", zamieszczonego w Bibliotece Warszawskiéj.

Artykuł p. Heylmana zamieszczony w Bibliotece Warszawskiéj z roku zeszłego, „O klassyfikacyi hypotek i praw hypotekowanych w ogólności", głównie obejmuje w sobie rozbiór dwóch bardzo ważnych pytań, mianowicie: 1) Jakim porządkiem przy układaniu planu klassyfikacyjnego powinny być zamieszczane wierzytelności zabezpieczone na kilku nieruchomościach, w razie jednoczesnego klassyfikowania szacunku wszystkich tych nieruchomości? 2) Czyli ciężary wieczyste art. 44 Ust. Hyp. z 1818 r.

objęte, mogą być zamienione na kapitał i w klassyfikacyi szacunku zamieszczone?

Piérwsze pytanie p. Heylman pozostawił bez stanowczego rozwiązania, wyznając, iż oba systemata użyte przez niego, są niedostateczne, dają wypadki niejednostajne, nie odpowiadają dobitności prawa stanowionego i pozostawiają obszerne pole zabiegom stron i dowolności sądów, a nawet sędziego kierującego klassyfikacyą. Jakoż w zupełności podzielając to zdanie, pozwolę sobie zrobić uwagę, iż p. Heylman nie objął w swoim wywodzie trzeciego jeszcze systematu klassyfikacyi, usuwającego, jak mniemam, wszelką niejednostajność i dowolność, a również na art. 12 Ust. Hyp. z 1818 r. opierającego się, tojest na *pierwszeństwie wpisu*.

Szanowny autor wzmiankowanego artykułu daje nam następujący przykład trzech oddzielnych nieruchomości *A*, *B*, *C*, obciążonych należytościami siedmiu wierzycieli: Piotra, Pawła, Jana, Stanisława, Kazimierza, Józefa i Antoniego, uszykowanych w następującym porządku:

	A.	B.	C.
Nr. 1.	30,000 Piotra.	40,000 Pawła.	50,000 Jana.
„ 2.	50,000 Jana.	30,000 Piotra.	60,000 Stanisława.
„ 3.	60,000 Stanisława.	50,000 Jana.	40,000 Pawła.
„ 4.	80,000 Kazimierza.	80,000 Józefa.	100,000 Antoniego.

Przypuszcza daléj sz. autor, że dobra te obciążone długiem 440,000, w drodze przymuszonego wywłaszczenia sprzedane zostały: *A* za 90,000, *B* za 100,000, *C* za 120,000; co razem wynosi 310,000, nie zaś 320,000: skutkiem czego na zaspokojenie wierzytelności 130,000 brakuje.

W rozbieranym artykule są podane dwa sposoby klassyfikacyi: jeden oddzielnéj klassyfikacyi każdych dóbr osobno, bezwzględnie na zachodzącą między niemi łączność i wzajemność hypoteczną; zkąd wynika sześć oddzielnych kombinacyj, w miarę tego, w jakim porządku dobra są klassyfikowane: co daje znowu sześć odmiennych wypadków, dostatecznie wykazujących mylność i niepraktyczność tego systematu; drugi sposób wspólnego ułożenia planu klassyfikacyjnego, według którego pierwsi wierzyciele (zapewne względem całkowitego szacunku) byliby w zupełności zaspokojeni, a pozostali Kazimierz, Józef i Antoni, częściowo, rozdzielając na nich, stosunkowo do wysokości ich należytości, pozostałą resztę szacunku. Przeciwko temu drugiemu systematowi walczy ogólny duch naszego prawa hypotecznego, wskazują-

cy wierzycielowi rzeczowemu przedmiot, na jakim jego bezpieczeństwo opiera się: po za obrębem tego przedmiotu wierzytelność rzeczowa staje się osobistą; niemniéj art. 47 Ust. Hyp. z 1818 r., stanowiący, iż hypoteka jest rzeczowe prawo na nieruchomościach, do których przywiązane jest zaspokojenie wpisanych lub uprzywilejowanych zobowiązań, zatém reszta szacunku pozostałego po zaspokojeniu cztérech piérwszych wierzycieli nie może być rozdzielaną stosunkowo między innych wierzycieli nie utrzymujących się w zupełności; ale przeciwnie, każdy z tych ostatnich wierzycieli tyle tylko może otrzymać, ile pozostało z szacunku tych dóbr wyłącznie, na jakich był zabezpieczonym: skutkiem czego wierzyciel mniejszéj summy, nie stosunkowo, ale nawet bezwzględnie może więcéj otrzymać od wierzyciela większéj summy, jeżeli przy klassyfikowaniu szacunku więcéj dla niego z pewnych dóbr przypadnie, niżeli dla drugiego z innéj znowu nieruchomości, z jakiéj li tylko może poszukiwać zaspokojenia swojéj należności jako rzeczowéj. Zresztą, dlaczegóż w danym przykładzie, po zaspokojeniu Piotra, Pawła, Jana i Stanisława, którzy z ogólnego szacunku wyczerpali jedynie 180,000, nie zaspokoić w zupełności z kolei piątego wierzyciela, mającego pierwszeństwo względem całego szacunku przed dwoma innemi? Jeżeli, jak się zdaje, szan. autor przy wykładzie drugiego systematu chciał przeprowadzić pierwszeństwo wpisów względem całego szacunku dóbr obciążonych, to w koniecznem następstwie należało jeszcze dla piątego wierzyciela wydzielić całą należność, resztę dla szóstego, a siódmy niby nie otrzymał. Tym sposobem spadałyby tylko najpóźniejsze hypoteki, jakto właśnie radzi Troplong, i zaczém zdaje się przemawiać p. Dutkiewicz, autor powszechnie cenionego dzieła „O prawie hypotecznem w Królestwie Polskiém. Zasada przyjęta przez sz. autora, co do trzech ostatnich wierzycieli, w takim tylko razie mogłaby się utrzymać, gdyby przypuścił, że pozostali wierzyciele mają jednakowe zupełnie pierwszeństwo.

Z powyższego rozbioru widoczném jest, iż przy klassyfikacyi szacunku, ani jednego, ani drugiego sposobu trzymać się nie można; przypuszczam daléj, iż w praktyce sądowéj nie istnieje w wykonaniu myśl sz. autora, aby wierzyciel głównie zabezpieczał się na jednéj tylko wyłącznie nieruchomości, inne zaś nieruchomości dłużnika, aby tylko pomocniczo służyły do jego zabezpieczenia; powiadam, przypuszczam, bo zwykle tak się dzieje, jak chce tego sz. autor. Wniosek w całéj obszerności wierzyciel spisuje w księ-

dze wieczystéj jednéj nieruchomości, w drugiéj księdze, jednocześnie lub późniéj, czyni tylko krótką wzmiankę, iż bezpieczeństwo wypożyczonéj summy i do téj drugiéj nieruchomości także się rozciąga. Otóż ten drugi wniosek, późniejszy koniecznie, bo powołujący się na główny, jest dodatkowém, pomocniczém zabezpieczeniem się, ale w niczém nie zmieniającém istoty rzeczy, *niepodzielności hypoteki*, możności poszukiwania zaspokojenia z całego majątku dłużnika, na jakiém bezpieczeństwo zostało oparte. Wierzyciel ma prawo poszukiwać swojéj należytości tam, gdzie najłatwiéj i najdogodniéj dla siebie może ją odzyskać. Ograniczenie jego w tym względzie, zobowiązanie go, aby przedewszystkiém starał się o odbiór z majątku *A*, potém dopiéro z *B*, następnie z *C* i tak daléj, jak tego chce sz. autor, byłoby tylko podaniem nowéj broni w ręce niewypłacalnego dłużnika, przeciwko wierzycielowi, i tak już z trudnością należność swoję odzyskującemu; byłoby przedłużeniem procesu, bo nie dozwalałoby jednoczesnéj subhastacyi kilku nieruchomości jednego i tego samego dłużnika; co do każdéj, oddzielny proces trzebaby było przeprowadzić, i tym sposobem byłby właśnie w wykonaniu systemat klassyfikacyi, przez samego sz. autora za niedostateczny uważany, gdyż znowu od wypadku, który z wierzycieli, na jakich dobrach głównie ubezpieczony, rozpocząłby przymuszone wywłaszczenie, i jaką koleją byłyby subhastowane dobra służące za pomocnicze zabezpieczenie, zależałyby owe rozmaite kombinacye, których wady były wykazane.

Według mego zdania, w razie danym naprzykład, klassyfikacya szacunku w następującym porządku odbyć się powinna:

1) Z szacunku za każde dobra oddzielnie postąpionego, najprzód powinna być wydzielona wierzytelność zapisana pod nr. 1 każdych dóbr *respective*, niewątpliwie z tego szacunku przedewszystkiém do zaspokojenia przypadająca, tojest: z 90,000 za dobra *A*, summa 30,000 Piotra; ze 100,000 za dobra *B*, summa 40,000 Pawła; ze 120,000 za dobra *C*, summa 50,000 Jana; poczém dla wierzycieli dóbr *A* pozostanie 60,000; dla dóbr *B* także 60,000, a dla *C* 70,000; następnie:

2) Z kolei przychodzimy do nr. 2, i w jakimkolwiekbądz porządku dobra A, B, C będziemy przechodzić, zawsze jednakowo znajdziemy, że z pod nr. 2 w dobrach *A* Jan zaspokojony został przez spłacenie go poprzednio z dóbr *C*, w dobrach *B* Piotr także zaspokojony przez spłacenie go z dóbr *A*; lecz w dobrach *C* na drugiém miejscu znajduje się pomieszczony Stanisław z summą

60,000: zatém te 60,000 z pozostałych na te dobra 70,000 powinny mu być wydzielone.

3) Daléj przychodzimy do nr. 3, i znowu w jakimkolwiek porządku będziemy przechodzić dobra *A*, *B*, *C*, znajdziemy w dobrach *A* Stanisława, już zaspokojonego z dóbr *C*, Jana także z dóbr *C*, Pawła z dóbr *B*, czyli na ten numer żadne wydzielenia miejsca nie znajdują.

4) W końcu przychodzimy do nr. 4, i dla każdego z wierzycieli pod tym numerem zapisanego, przeznaczamy resztę pozostałego szacunku każdych dóbr, na jakich wierzyciel był zabezpieczony; i tak: dla Kazimierza z dóbr *A* 60,000, dla Józefa z *B* tyleż, a dla Antoniego z *C* 10,000.

W obronie podanego powyżéj sposobu, polegającego na jednoczesném klassyfikowaniu szacunku wszystkich oddzielnych nieruchomości, każdéj osobno, według porządku numerów wykazu hypotecznego, powołuję się na art. 12 Ust. Hyp. z 1818 r. urządzającéj koléj między wierzycielami według pierwszeństwa wpisu. Według téj zasady, w danym przykładzie, Paweł na dobrach *B* będąc zapisanym wyżéj, pod nr. 1, z tych dóbr raczéj niżeli z *C*, gdzie się znajduje pod nr. 3, zaspokojonym być winien; z tegoż samego powodu Jan i Stanisław raczéj z dóbr *C*, niżeli z dóbr *A* lub *B* powinni być zapłaceni.

Że trzymając się téj głównéj zasady prawa hypotecznego, pierwszeństwa wpisu, nie zbłąkamy się, dowiodą jeszcze daty, okoliczność, na jaką sz. autor dając wzmiankowany przykład, nie zwrócił żadnéj uwagi, poczytując je za obojętne i nie mające żadnego wpływu na klassyfikacyą; poprzestał na kolejném wskazaniu numerów hypotecznych, co jest dostateczném tylko przy klassyfikacyi albo jednych wyłącznie dóbr, albo przy uszykowaniu wierzycieli w ten sposób, iż każdy z nich, na każdych dobrach, jeden i tenże sam numer zajmuje. Lecz gdzie ciż sami wierzyciele na jednych dobrach są pomieszczeni wyżéj, na drugich niżéj, tam wiadomość daty, czyli wskazanie porządku, w jakim na jakich dobrach względnie całego szacunku są pomieszczeni, jest konieczną, i dokładniéj jeszcze wykaże niepraktyczność drugiego systematu, przez sz. autora podanego. Z kolei, jaką zajmują wierzyciele w danym przykładzie, widoczną jest rzeczą, iż nie wszyscy mogli jednocześnie zabezpieczyć swoje wierzytelności na kilku nieruchomościach; że na jednych dobrach byli zapisani wcześniéj przed innemi, na drugich późniéj po tychże samych wierzycielach. Przypuśćmy, że właściciel wszystkie długi zaciągnął w przerwach

jednostajnych lat, miesięcy lub minut; wszystko jedno, gdzie stanowi pierwszeństwo numer wniosku, przestrzeń czasu, między sporządzeniem jednego a drugiego wniosku jest nic nieznacząca: jedynie dla łatwiejszego objaśnienia weźmy za przykład różnicę jednego dnia, a otrzymamy, iż względnie całkowitego szacunku wierzyciele mogli się znajdować w następującéj kolei:

1. Jan na *C* np. 4 stycz.	1. Piotr na *A* np. 4 stycz.	1. Paw. na *B* np. 4 stycz.
2. Stan. na C „ 5 „	2. Jan na *A*. *C* 5 „	2. Piotr na *A*, *B* 5 „
3. Paw. na *B* i *C* 6 „	3. Stan. na *A*, *C* 6 „	3. Jan na *A*, *B*, *C* 6 „
4. (Ant. na *C* lub)7 „	4. (Kaz. na *A* lub)7 „	4. (Józef na *B* lub)7 „
(Piotr na *A*, *B*) „	(Paweł na *B*, *C*) „	(Stan. na *C*, *A*) „
5. Jan na *A*, *B* 8 „	5. (Ant. na *C* lub)8 „	5. (Kaz. na *A* lub)8 „
6. (Stan. na *A* lub)9 „	(Piotr na *B*.) „	(Paweł na *C*) „
(Józef na *B*.) „	6. Jan na *B* 9 „	6. Antoni na *C* 9 „
7. Kazim. na *A* 10 „	7. Józef na *B*. 10 „	

(Piotr na *A*) ∞
1. (Paw. na *B*) 7
(Jan na *C*) 9

(Jan na *A*) ∞
2. (Piotr na B) 7
(Stan. na *C*) 9

(Stan. na *A*) ∞
3. (Jan na *B*) 8
(Paw. na *C*) 9

(Kazimierz) ∞
4. (Józef) 8
(Antoni) 9

Z czego pokazuje się, iż nie zawsze można uważać za cztérech piérwszych wierzycieli, Piotra, Pawła, Jana i Stanisława, jakto chce miéć sz. autor, gdyż z powyższych kombinacyj okazuje się, iż po Janie, Stanisławie i Pawle, czwartym z kolei wierzycieli mógł być albo Antoni, albo Piotr, albo mogli być jednocześni; przy drugiéj kombinacyi czwartym wierzycielem mógł być Kazimierz; przy trzeciéj Józef; według więc sz. autora, Antoni powinien w takim razie otrzymać z całego szacunku całą swoję wierzytelność, a Piotr, mimo to, iż był zapisany w dobrach *A* pod nr. 1, szedłby do stosunkowego udziału z Kazimierzem i Józefem, późniejszemi od niego wierzycielami; w drugiéj kombinacyi ten sam los spotkałby Pawła, także pod nr. 1 dóbr *B* zapisanego, a otrzymałby wszystko Kazimierz pod nr. 4 dóbr *A* zapisany; w trzeciéj znowu kombinacyi Józef z pod nr. 4 dóbr *B*, ocaliłby całą swoję wierzytelność, a Stanisław zamieszczony pod nr. 2 na *C*, szedłby do działu z Antonim i Kazimierzem; w czwartéj dopiéro kombinacyi mógłby miéć miejsce wypadek przez sz. autora podany, bo Piotr, Paweł, Jan i Stanisław istotnie względnie całego szacunku byli wcześniejszemi od Antoniego, Józefa i Kazimierza, mających jednakowe względem siebie pierwszeństwo, lecz nie mających prawa do całego szacunku, jako nie posiadający ogólnéj hypoteki, tylko szczegółową. Przy względzie więc na daty, drugi systemat klassyfikacyjny, tak jak i piérwszy, nie jednostajne daje wypadki, co nie powinno miéć miejsca obok stanowczéj zasady pierwszeństwa wpisu.

Wprawdzie, odnosząc się zawsze do danego przykładu, możnaby zarzucić, iż Antoni, najważniejszy wierzyciel, najwięcéj

jest poszkodowanym, gdyż za 100,000 otrzymuje jedynie 10,000, gdy tymczasem Józef i Kazimierz, każdy za swoje 80,000, dostają po 60,000. Ale też Antoni był najmniéj przezornym; ze wszystkich kombinacyj okazuje się, iż albo był jednym z ostatnich wierzycieli, pożyczając na już przeciążone dobra ogółowo, albo też, że mogąc pozyskać korzystniejsze zabezpieczenie na dobrach *A*, *B*, jeszcze zupełnie czystych lub mało co obciążonych, poprzestał na bezpieczeństwie na dobrach *C*. Sprawiedliwie więc i prawnie za swoją niedbałość jest ukaranym. Jawność hypoteczna właśnie najlepiéj zapobiega *złudzeniom* wierzycieli i *podstępnym zabiegom* dłużników. Każdy nieostrożny samemu tylko sobie winę przypisywać może.

Daléj sposób klassyfikacyi, jakiego według mego zdania trzymać się należy, usuwa niejednostajność wypadków, bo otrzymują się zawsze jednakowe, bez względu na koléj, w jakiéj klassyfikacya szacunków oddzielnych nieruchomości następuje, i bez względu na daty, jakie nie powinny wpływać na rozdział szacunku, obok przyjętéj zasady w prawie hypoteczném pierwszeństwa wpisu. Oprócz tego każdy z wierzycieli zabezpieczonych na jednéj tylko nieruchomości, z téj tylko wyłącznie, bez uszczerbku funduszów z innych nieruchomości, do jakowych rzeczowo nie ma żadnego prawa, jest zaspokojonym. Tym sposobem usuwają się wady obu systematów, między jakiemi wybór trudno zrobić, jakto sam autor przyznaje, z powodu ich mylności.

Z powyższego rozbioru okazuje się, iż kombinacya wierzycieli ułożona w danym przekładzie nie przedstawia zbyt wielkich trudności, że można z niéj wyjść na zasadzie wyraźnych przepisów prawa, bo każdy wierzyciel otrzymuje swój udział z tych tylko dóbr, na jakich był zabezpieczony w kolejnym porządku numerów. Lecz może zachodzić daleko prostsza, a mimo to znakomicie trudniejsza do rozwiązania kombinacya wierzycieli, kiedy ci jednakowe mają między sobą pierwszeństwo na wszystkich nieruchomościach. Weźmy za przykład też same dobra, ten sam szacunek, też same wierzytelności, tylko przypuśćmy najkorzystniejsze dla wszystkich wierzycieli, między sobą, pomieszczenie, a mianowicie uszykujmy ich jak następuje:

	A.		*B.*		*C.*	
Nr. 1.	Jan	50,000.	Jan	50,000.	Jan	50,000. 1 stycznia.
„ 2.	Stan.	60,000.	Stan.	60,000.	Stan.	60,000. 2 „
„ 3.	Paweł	40,000.	Paweł	40,000.	Paweł	40,000. 3 „
„ 4.	Piotr	30,000.	Piotr	30,000.	Piotr	30,000. 4 „
„ 5.	Kaz.	80,000.	Józef	80,000.	Antoni	100,000. 5 „

Od której nieruchomości zacząć klassyfikacyą, żeby najniżéj pomieszczeni wierzyciele otrzymali bez wzajemnéj dla siebie krzywdy tyle tylko, ile pozostaje dla nich z tych dóbr, na jakich wyłącznie byli zabezpieczeni? Z których dóbr zaspokoić mieszczących się na szacunku wierzycieli? Jakim sposobem uniknąć obu sposobów klassyfikacyi, których wady wyżéj były wykazane? Tutaj i ostatni, trzeci sposób klassyfikacyi nie wystarcza, bo cztérech piérwszych wierzycieli, względem siebie na wszystkich dobrach, mają jednakowe bezpieczeństwo, jednakowe pierwszeństwo wpisu. Klassyfikacya ogółu szacunku, zaspokojenie z niéj cztérech piérwszych wierzycieli, a podział reszty między pozostałych trzech wierzycieli, mających znowu między sobą równe pierwszeństwo wpisu, bez względu na datę, stosunkowo do wysokości ich wierzytelności, jest złym, bo Kazimierz, Józef i Antoni nie mają prawa do ogółu szacunku, lecz każdy z nich ma prawo tylko do części szacunku ogółowego, postąpionéj za dobra obciążone jego wierzytelnością. Sposób, jakiego radzi się trzymać Troplong, aby najpóźniejsze tylko wierzytelności względem ogółu dóbr spadły, jest tu niewykonalny, bo między Kazimierzem, Józefem i Antonim nie ma żadnego pierwszeństwa względem dłużnika; wszyscy trzej w jednéj chwili, każdy we właściwéj księdze, zeznali swoje wnioski, i zobowiązania się dłużnika względem nich, w jednéj i téj saméj chwili powstały; stosunkowy między niemi rozdział nie ma miejsca, jakto wyżéj było wykazane, bo i wierzytelności ich odnoszą się do jednéj tylko nieruchomości, i wysokość ich nie jednakowa i wartość nieruchomości różna.

Mniemam, iż w danym wypadku klassyfikacya sprawiedliwie i prawnie także tylko jednym sposobem może być uskuteczniona, mianowicie następującym: Jan ma ogólną hypotekę na wszystkich dobrach, *A*, *B*, *C*; ze względu na niepodzielność hypoteki ma prawo być zaspokojonym całkowicie, tak z ogółu szacunku, jak i z częściowego szacunku za każde dobra oddzielnie postąpionego; lecz są inni niżsi wierzyciele, mający bezpieczeństwo na jednéj tylko nieruchomości, z któréj wydzielenie całkowitéj należności dla Jana, nie przynosząc mu żadnéj korzyści, innych wierzycieli na téj tylko nieruchomości zapisanych pozbawiałoby otrzymania nawet jakiejkolwiek części swojéj wierzytelności, gdy tymczasem inni wierzyciele, w tym samym przypadku będący, lecz na innych nieruchomościach pomieszczeni, i nie mający żadnego pierwszeństwa wpisu, względem owego nieutrzymującego się wierzyciela, korzystnie mogliby się pomieścić na szacunku, bez

żadnéj prawnéj i słusznéj przyczyny. Przeto dla uniknienia tego, z szacunku każdych oddzielnych dóbr *A*, *B*, *C*, stosunkowo do ich wartości i do wysokości należytości Jana, odpowiedni mu udział wyznaczyć należy, czyli trzy oddzielne udziały, które razem zebrane równają się wysokości jego wierzytelności. Tym samym sposobem potrzeba postąpić względem następujących wierzycieli: Stanisława, Piotra i Pawła, mających także ogólną hypotekę, skutkiem czego otrzymamy następujące wypadki:

	A.	*B.*	*C.*	
Nr. 1. Jan	14,516 $^{5}/_{31}$.	16,129 $^{1}/_{31}$.	19,354$^{26}/_{31}$.	Razem 50,000.
„ 2. Stan.	17,419$^{11}/_{31}$.	19,354 $^{26}/_{31}$.	23,225$^{25}/_{31}$.	„ 60,000.
„ 3. Paw.	11,610$^{28}/_{31}$.	12,903 $^{5}/_{31}$.	15,483$^{27}/_{31}$.	„ 40,000.
„ 4. Piotr	8,709$^{26}/_{31}$.	9,677 $^{13}/_{31}$.	11,612$^{23}/_{31}$.	„ 30,000.
Ogółem	52,258$^{18}/_{31}$.	58,064$^{14}/_{31}$.	69,577 $^{8}/_{31}$.	Razem 180,000.
Zatém pozostanie na nr. 5 dla Kazimier.	37,741$^{13}/_{31}$.	Jó. 41,935$^{17}/_{31}$.	An. 50,422$^{22}/_{31}$.	„ 130,000.
Razem	90,000.	100,000.	120,000.	Razem 310,000.

Według tego, cztérech piérwszych wierzycieli, mających bezwarunkowe pierwszeństwo wpisu i ogólną hypotekę, otrzymują całkowite zaspokojenie z ogółu szacunku, do jakiego mają prawo; trzech późniejszych, pod nr. 5 zapisanych, z których każdy na jednéj tylko nieruchomości był zabezpieczony, otrzymuje z téj tylko nieruchomości resztę, jaka dla niego pozostała. Ten sposób klassyfikacyi, dający jednostajne wypadki, w niczém nie ubliżając głównéj zasadzie piérwszeństwa wpisu i niepodzielności hypoteki, ma za sobą jeszcze ogólny duch prawa hypotecznego, i znajduje poparcie w źródle swojém, w prawie pruskiém, mianowicie w § 521, 522 Tytułu 50 ordynacyi procesowéj, zostającéj w ścisłym i koniecznym związku z samém prawém hypoteczném pruskiém, wzorem naszéj ustawy hypotecznéj.

Powyższe dwa przykłady są dostateczną wskazówką do postępowania we wszelkich mogących wydarzyć się kombinacyach; gdyby w ostatnim przykładzie, pod nr. 2, Stanisław był zapisany ze swoją wierzytelnością tylko na dobrach *A* i *C*, a na dobrach *B*, pod nr. 2, Paweł; wtedy całkowita należność Stanisława składałaby się ze stosunkowych dwóch udziałów z dóbr *A* i *C*, a Paweł otrzymałby całą wierzytelność z dóbr *B*, jako wyżéj na nich położony, niżeli na dobrach *A* i *C*, jakto wyjaśnioném zostało, przy rozbiorze piérwszego przykładu.

Mógłby się jeszcze wydarzyć taki wypadek, że szacunek jednych z dóbr nie zostałby wyczerpanym, pozostałaby reszta; co

z nią zrobić? jak ją rozdzielić? np. Jan tylko ma ogólną hypotekę na dobrach *A*, *B*, *C*; pozostali, Stanisław, Paweł i Piotr, mają bezpieczeństwo tylko na *B* i *C*, Józef tylko na *B*; Antoni tylko na *C*, a Kazimierza wcale nie ma między wierzycielami.

Według wyżéj przywiedzionych zasad, Jan z *A* powinien otrzymać $14{,}516^{5}/_{31}$, resztę z *B* i *C* stosunkowo; Stanisław z *B* 27,500, z *C* 35,000; Paweł z *B* $18{,}181^{9}/_{11}$, z *C* $21{,}818^{2}/_{11}$; Piotr z *B* 13,750, z *C* 16,250; Józef z *B* resztę $24{,}440^{51}/_{341}$; Antoni z *C* także resztę $30{,}076\ ^{333}/_{341}$; zaś z *A* pozostaje fundusz $75{,}483^{26}/_{31}$, do którego wierzyciele hypoteczni, nie utrzymujący się w zupełności, przychodzą już tylko jako wierzyciele osobiści z mocy art. 2. 3 prawa o hyp. i przyw. z 1825 r., oraz z art. 2,209 K. C. F. i to nie w stosunku pierwotnych swoich wierzytelności, ale w stosunku summ, z jakiemi spadli, mianowicie Józef z kwotą $55{,}559^{290}/_{341}$, a Antoni z kwotą $69{,}923^{8}/_{341}$. I tu więc zostaje przeprowadzona zasada pierwszeństwa wpisu, niepodzielności hypoteki i zaspokojenia wierzycieli, téj tylko nieruchomości, na jakiéj ich bezpieczeństwo było oparte.

Co się tyczy drugiego pytania, czyli ciężary wieczyste, przy klassyfikacyi szacunku, mogą i powinny być zamieniane na kapitał pieniężny, takowe rozpada się na dwie części:— jedna dotyczy użytkowania, zwykle zwanego dożywociem, używania i mieszkania; druga ciężarów objętych art. 44 Ust. Hyp. z. 1818 r.

Według zdania sz. autora, powinienby znajdować się przepis wyraźny w prawie, czy w ogólności, lub w jakich wypadkach, służebności osobom posługujące, zasadom pierwszeństwa hypotecznego i uporządkowania klassyfikacyjnego, ulegać mają; niemniéj według jakich zasad wynalezioną być powinna kapitalna ich wartość, w stosunku do niepewnego kresu ich ustania według zasad kodexowych; i w poparciu swego twierdzenia, sz. autor przytacza, iż nabywcy dóbr mocą adjudykacyi, nie może być poczytana chęć nabycia dóbr, i za najwyżéj postąpiony szacunek, i dodatkowo pod obowiązkiem ponoszenia służebności dożywocia, używania, lub mieszkania, lub też innych ciężarów.

I tutaj wszelką wątpliwość rozstrzyga pierwszeństwo wpisu. Dożywocie zapisane zostało, albo przed wierzytelnościami, albo po wierzytelnościach: w pierwszym razie wierzyciele muszą ustąpić, nie mogą naruszać praw dożywotnika jawnych z wykazu hypotecznego, bezpieczeństwo ich ogranicza się na samym przedmiocie poddanym dożywociu, z jakowego mogą poszukiwać swych należytości dopiero po ustaniu tego prawa. W drugim razie wie-

rzyciele mają pierwszeństwo, a dożywotnik wykonywa swoje prawa na pozostałéj reszcie, albo też prawa jego gasną ze zniknięciem przedmiotu, jeżeli takowy wierzytelności wcześniejsze w zupełności wyczerpały.

Ta sama zasada daje się zastosować do prawa używania i mieszkania, bo właściciel prawa te mógł nadać tylko na nieobciążonéj części swego majątku, z tą jedynie różnicą, iż jeżeli wcześniejsi wierzyciele (gdyż o nich tylko mowa, późniejsi widzieli poprzedzające ich prawo używania lub mieszkania), nieruchomość poddaną tym obowiązkom wystawią na sprzedaż—używający i mający prawo mieszkania, utracają swoje prawa, chociażby pozostała jaka reszta szacunku, w razie wykonywania swych praw tytułem darmym. Przypuśćmy np. że dom, już obciążony długami, został oddany na mieszkanie krewnym, tytułem darmym, na pewien przeciąg czasu; wierzyciele, jako wcześniejsi, mogą wystawić go na sprzedaż w drodze przymuszonego wywłaszczenia; przypuśćmy następnie, że za pozostałą resztę szacunku, właściciel kupuje inny dom mniejszéj wartości; mający prawo mieszkania w pierwszym domu, nie mają tego prawa w drugim, bo dla nich znikł przedmiot, na jakim swoje prawa opierali. Lecz jeżeli prawo używania lub mieszkania, zostało nabyte pod tytułem uciążającym, do pozostałéj reszty szacunku, właściciele tych praw mogą przychodzić jako zwyczajni wierzyciele, i żądać zwrotu wyłożonéj summy, bo nie można zaprzeczyć im prawa poszukiwania swojéj należytości, od jakowéj procenta zastępowało użytkowanie lub mieszkanie.

Tym sposobem klassyfikacya szacunku dotyczy zawsze tylko wierzycieli, zatrzymuje się przy dojściu do dożywotnika, i niżsi od niego wierzyciele, na pozostałéj reszcie szacunku ubezpieczeni, zrealizowania swojéj należytości muszą oczekiwać. Obok takiego zapatrywania się, nie ma żadnéj potrzeby praw dożywotnika, używającego lub mającego prawo mieszkania oceniać pieniężnie, co zresztą jest niemożliwém, ze względu na niepodobieństwo ustalenia jakiéjkolwiek zasady, choć cokolwiek pozoru słuszności mającéj, a zarazem i nowonabywca dóbr, kupuje zawsze dobra tylko za postąpiony szacunek, bez żadnych czasowych dodatkowych ciężarów; bo dobra są sprzedawane albo po ustaniu dożywocia, używania i mieszkania, albo też dożywocie ulega ograniczeniu lub niknie, a używanie i mieszkanie, albo niknie, albo wykonywający te prawa za zwykłych pieniężnych wierzycieli są uważani.

Co się tyczy ciężarów wieczystych, jakoto: opłat, danin lub obowiązków stałych, na szczególnych tytułach polegających, a w księdze hypotecznéj jako długi umieszczonych, te nie ulegają klassyfikacyi, nie ma więc żadnéj potrzeby zamieniać je na kapitały. Przymuszone wywłaszczenie oczyszcza dobra tylko z wierzytelności czasowych przemijających, nie zaś z ciężarów wieczystych i służebności, zawsze do gruntu przywiązanych. Nowonabywca nie może się od nich uwolnić, oprócz najwyżéj postąpionego szacunku, zawsze musi je przejąć. Nie można utrzymywać, aby mu były narzucone po zaobrębem szacunku, gdyż w interesie nowonabywcy leży przekonać się o wysokości tych ciężarów wieczystych, jawnych z wykazu hypotecznego, i stosować do nich szacunek, jaki podać zamyśla. Z saméj natury tych ciężarów wypływa, iż zbyteczną byłoby rzeczą zawiadamiać nabywców w warunkach licytacyjnych o tym obowiązku: jest on wynikłością postanowienia prawa, każdy o nim dostatecznie wiedzieć powinien, tak samo jak o obowiązku opłacania podatków. Mniemam, iż takaż sama myśl przewodniczyła przy redakcyi art. 91 prawa o ustanowieniu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego z dnia 1 (13) Czerwca 1825 r., według którego przy warunkach sprzedaży dóbr ziemskich, ma być włożony na nabywcę obowiązek zaspokojenia należności do gruntu przywiązanych, art. 91 ust. hyp. wyszczególnionych, tudzież ciężarów wieczystych, w myśl art. 44 tegoż prawa, o ile te mają pierwszeństwo przed Towarzystwem i wynoszących summę takąto a taką. Że summa ta nie wyobraża kapitału, od którego procent ma przedstawiać roczna opłata jakiego ciężaru wieczystego, ale właśnie tylko ten ciężar przy gruncie wieczyście pozostający, o tém przekonywa art. 87 tegoż prawa z d. 1 (13) Czerwca 1825 r., w jakim tenże sam obowiązek jest włożony na dzierżawców, którzy przecież nie są i nie mogą być zobowiązywani przy objęciu dzierżawy do oczyszczania dóbr dzierżawionych z wierzytelności, gdyż dochody są przeznaczone na spłacanie tylko procentów, czyli rat zaległych Towarzystwu i ciężarów wieczystych corocznie, lub w pewnych stałych terminach opłacanych, a pierwszeństwo przed Towarzystwem mających. Takie pojmowanie rzeczy wspiera daléj art. 10 i 11 tegoż prawa, gdzie mowa tylko o spłacaniu długów hypotecznych, tak prywatnych jak skarbowych, oraz instytutów świeckich i duchownych, jedynie w dziale IV wykazu hypotecznego zapisanych, nie zaś o spłacaniu ciężarów wieczystych w dziale III wykazu hypotecznego pomieszczonych, a jakie według § 12 Instrukcyi dla Dy-

rekcyi Szczegółowych Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego z dnia 14 marca 1826 r. przez Dyrekcyą tylko: „rozważnie oceniane być powinny, i na dobra ciężarom takowym podległe, Dyrekcye taką tylko pożyczkę udzielać będą, iżby należności Towarzystwu przypadające, w najniepomyślniejszych nawet czasach, z pewnością wpływać mogły.“ I tu więc nie ma mowy o kapitalizowaniu ciężarów wieczystych, jak to sz. autor w artykule swoim utrzymuje. Owszem Instrukcya ta, ma na celu jedynie zapewnienie corocznych rat Towarzystwa, przy uwadze na inne ciężary, przy dobrach stale pozostałe; w przeciwnym razie, Towarzystwo nie zaniedbałoby wyraźnie sobie zastrzedz, aby ciężary te, przez spłacenie ich, usunięte zostały, tak aby raty Towarzystwa przedewszystkiem przypadały do zaspokojenia.

Z tych wszystkich zatém powodów, ceniąc wysoko naukę i pracę sz. autora, poważam się mniemać przeciwnie, i twierdzić, iż według wyobrażeń hypotecznych, do których jako późniejszych należy stosować przepisy kodexu francuzkiego cywilnego i kodexu postępowania, i szukać między niemi łączności, dobra nabyte w drodze przymuszonego wywłaszczenia, nabywają się nietylko za najwyżéj postąpiony szacunek, ale nadto i za inne dodatkowe ciężary stałe, czyli wieczne, jawne z wykazu hypotecznego, jak również i nieobjęte wykazem hypotecznym, ale z samego prawa wypływające.

Dnia 22 sierpnia 1858 r.

W. N.

ROZMAITOŚCI.

Kilka ustępów z życia Kirgizów oddziału Orenburgskiego, przez F. M. Łazarewskiego, przekład z rossyjskiego F. I. N.

Kirgiz pędzi życie jednostajne i bez celu; Główne jego staranie jest tylko o dzisiaj: śmierć przerywając gnuśne jego istnienie, nie wiele mu zabiera. Kirgiz traci tylko rodzinę i stado; lecz i do rodziny nie pałał on silném przywiązaniem: jego religia obiecuje mu za grobem rodzinę liczniejszą, w któréj wszystkie żony nietylko będą Kirgizkami, pięknościami, ale zawsze młodemi, zawsze dziewiczemi! W ostatnich chwilach Kirgizowi najwięcéj idzie o samego siebie, dlatego też i w pozostałych nie wielki żal wzbudza. Jednakże obrzęd opłakiwania u Kirgizów istnieje....

Z ostatnim oddechem Kirgiza ze wszystkich aułów zbiegają się kobiety do namiotu zmarłego, zaczynają szlochać, zmieniając płacz w przeraźliwe ryczenie. Najbliższe krewne umarłego głównie usiłują ukazać swój smutek: rozpuszczając włosy, rwąc je, drapiąc do krwi twarz paznogciami, kułakując się szalenie w piersi i tak sumiennie przejmują się swoją rolą, jakby rzeczywiście były dotknięte niewysłowioną rozpaczą. Nakrzyczawszy się do woli, tyle ile wedle stosunków z umarłym uważały za konieczne, i jakby nigdy nic nie zaszło, z wypogodzoném obliczem wracają do zajęć przerwanych.

Mężczyznie zwyczaj nakazuje przyjąć nieszczęście z mocą i bez szemrania; choćby strata była największa, bolesna, rozpaczliwa, płakać nie powinien: Kirgiz milczy, przynosząc sobie ulgę od czasu do czasu ciężkiém westchnieniem i powtarzając:

„oj-Alla!" W książkach napisano, mówią Kirgizi: „że łzami i żałami człowiek tylko obraża Tego, który każdemu przeznaczył czas śmierci; kobiety—to co innego: ich rzeczą jest płakać."

Mułłowie również ganią zwyczaj płakania, przestrzegając go silnie i upewniając wszystkich, że to wielki grzéch. „Łzy, utrzymują oni, tworzą w przyszłém życiu wielkie morze dla umarłego, i im więcéj ich tu wylewają, tém zmarłemu tam gorzéj."—Czémże, jeśli nie łzami, okażemy nasz żal po stracie— odpowiadają kobiéty? Jeśli nie będziemy płakać, to pomyślą, że nam i nie żal.

Po piérwszych objawach smutku przygotowują umarłego do pogrzebu: zamykają mu oczy, podwiązują brodę, rozbierają, obmywają, prostują ręce i nogi, przenoszą na prawą stronę namiotu i ubierają. Na mężczyznę wkładają trzy białe papierowe lub płócienne, lecz nie jedwabne, śmiertelne koszule bez rękawów (rodzaj worków): piérwszą od szyi do kolan, drugą od szyi poniżéj kolan, a trzecia zakrywa całe ciało z głową. Otwory się zaszywają lub zawiązują. Na umarłą zaś kobiétę wkładają takich koszul aż pięć: jedna dłuższa od drugiéj

Kirgizi zawsze się spieszą z pogrzebaniem ciała. Dlaczego? oni sami nie wiedzą: odpowiedź zawsze jedna: „takie prawo, tak dawniéj bywało." Ubrawszy umarłego wynoszą go podczas lata na odkryte powietrze, a w zimie do oddzielnego namiotu; mułła odczytuje nad nim modlitwę i pogrzeb się zaczyna. Ciało kładą na *kieregę* (1) czyli wojłok duży a cienki, krewni zaś w towarzystwie mułły niosą lub wiozą je do mogiły. Tam już są wykopane dwa doły: jeden zwykły, a drugi na dnie pierwszego wielkości trupa. Zwyczaj wymaga, aby niosących życie było dobre; tenże zwyczaj zabrania kobietom brać udział w ceremonii pogrzebowéj: robi się tu wyjątek dla starych bab, nie rodzących już dzieci, o których Kirgizi naiwnie się wyrażają, że to ni kobiéta, ni mężczyzna. Dawniéj, jak mówią, za smutnym obrzędem wozili używaną odzież zmarłego, a jeżeli był *batyr* (2) to jego broń, i wszystko to zaraz na grobie rozdawali: odzież mułłom, bie-

(1) Są to wygięte kije, ułożone w poprzek, powiązane między sobą rzemieniami, dlatego, aby je można było rozbierać i przenosić. Rozciągnięty kerega tworzy wklęsły czworobok. Kilka takich kereg razem związanych i naokoło ustawionych tworzą ścianę czyli raczéj dolny okrągły wieniec kirgizkiego namiotu, który się okrywa wojłokiem i ma kształt nakrytéj wazy.

(2) Batyr, tojest młodzian, odważny najezdnik. Kto umié strzelać, jest odważny w bitwie, śmiały, ten w stepie zostaje batyrem.

dnym i sierotom, a broń *dosom* (1) zmarłego i ludziom znanym z męztwa, którzyby jéj mogli używać z honorem. Zwyczaj ten obecnie wyszedł z użycia: teraz rzeczy zmarłego rozdają się po pogrzebie jego znajomym, jak to niżéj opowiemy.

Mułła na grobie czyta ostatnią modlitwę; ciało z podściołką kładą w wykopaną na dnie grobu jamę, i zakrywszy ją deskami, wojłokiem albo chrustem (2), spiesznie grób zakopują i nie oglądając się uciekają ku aułowi, gdzie obiad jest już przygotowany na wspomnienie o duszy zmarłego.

Kirgizi wierzą, że po przywaleniu ziemią umarłego przylatują doń z odwiedzinami dusze ludzi dawniéj pomarłych; że nowy mieszkaniec mogił stroni od nieznajomego mu towarzystwa, i w przestrachu rozpaczliwemi krzykami wzywa pomocy pozostałych krewnych i przyjaciół: zabobon ten przeraża swojém dziwactwem. Zapytywałem wielu stepowców chcąc objaśnić jego myśl, lecz ani jeden z najmędrszych nie zdołał mi wytłumaczyć. Można przypuścić, że początek zabobonowi dał jaki Kirgiz nieszczęśliwy, żywcem zakopany, którego jęki w grobie przez kogobądź zostały dosłyszane: przypuszczenie to tém prawdopodobniejsze, że Kirgizi prawie zawsze grzebią zmarłych w dzień śmierci.

Rozmawiając jednakże z siwobrodym, jednym z uczeńszych w stepie mułłów, powiedziałem mu:

— Za prędko chowacie umarłych, może być wypadek, że człowiek umarł pozornie; za dzień lub dwa się ocuci, ale już w grobie.

— Jakto pozornie, kiedy ciało zupełnie ostygnie i człowiek nie oddycha? — Czyż dusza raz opuściwszy ciało może doń wrócić? W naszych księgach o tém nic nie ma—odpowiedział mułła.

(1) Pojęcie „przyjaciela" bardzo niedokładnie określa znaczenie wyrazu *dos*, jakie ono ma u Kirgizów. Dosy, są to dwaj ludzie, którzy poprzysięgli do grobu nie mieć nic oddzielnego: stada, namiot, żona i rodzina jednego należy do drugiego, wszystko mają wspólne, samo życie w razie potrzeby powinno być niesione w ofierze dla drugiego. Ale nie dosyć na tém: śmierć nawet nie rozrywa ich związku: i w przyszłém życiu za grzechy jednego odpowiada drugi.

(2) W czasie zimy kiedy kopanie dołu i wiezienie na cmentarz trupa przychodzi z trudnością, kiedy cmentarz od zimowego koczowiska jest oddalony, Kirgizi kopią dół płytki; żeby zaś wilki lub psy nie dostały się do grobu, przykrywają go sitowiem i chrustem: jak tylko ziemia odtaje, przewożą ciało na cmentarz i tam je grzebią.

— Nie zdarzyło ci się też przecie słyszeć między Kirgizami, ażeby umarli wracali do życia—zapytałem?

— Słyszałem, szatan kręcąc się po ziemi może i wskrzesić; lecz Bożéj duszy na tamtym świecie lepiéj. Mówią, że razu pewnego umarł jakiś Kirgiz z miejsc dalszych Diurtkara; obmyto go, ubrano jak należy i powieziono z zamiarem pogrzebania: cmentarz był bardzo odległy, więc w drodze zanocowano. O pół nocy słychać, że w *arbie* (wozie na wysokich kołach); w któréj leżał zmarły, coś jęczy i powozi.... Kirgizi doń biegną, a umarły podniósł się na wozie i zaczął się szamotać w swoim worku. Naturalnie, był to szatan! Wszyscy się przelękli, na koń i w nogi. Przybywszy do aułu opowiadają, że umarły ożył.

Sądzili wszyscy, że oni żartują: piękny mi żart, bo na drugi dzień umarły sam przywlókł się do aułu... taki wychudły, blady. Oddał szatanowi swą duszę i po śmierci już nie znalazł pokoju.

— Ale żył jednakże?—przerywam.

— Mówią, że długo jeszcze żył; ale jakież tam jego życie: nikt go znać nie chciał, wszyscy odeń uciekali—a jeśli chcesz, to posłuchaj co on o sobie opowiadał.

— I cóż takiego?

— Durzył wszystkich, że dusza jego przebywała na drugim świecie, widziała grzeszników i prawych; widziała Boga....

— A może też istotnie widziała.

— Nie: oto poprostu Bóg go opuścił, dusza sobie została, a ciało zły duch opętał: jego szczęście, że wstał wcześniéj przed zakopaniem go w ziemię.

Namiot, w którym Kirgiz umarł, przenoszą na inne miejsce oddalone od aułu; a następnie w ciągu dwóch dni cały auł zmienia koczowisko. Jeżeli Kirgiz umiera na ospę, cholerę i w ogóle chorobę zaraźliwą, to namiot i wszystkie rzeczy zmarłego porzucają w stepie, a auł ani chwilki nie tracąc spiesznie przechodzi w inne stanowisko.

Godném jest uwagi grzebanie Kirgizów poległych w bójkach z nie-muzułmanami. Zowią ich *szegidami* i czczą jak świętych męczenników za wiarę, chociażby zmarły był ogłoszonym złodziejem, zabitym przy ściganiu przez ruskiego kozaka. Dla tych nie szyją sawana, nie myją ich, odzież tylko zwierzchnią zdejmują i chowają w tych samych spodnich sukniach, w których zostali zabici—dlatego, aby była widoczna na wiecznym sądzie krew rękami niewiernych przelana.

Wedle zapewnienia mułły, z którym zwiedzałem ich cmentarz na uroczysku Sunały, w zachodniéj części okręgu orenburgskiego, szegidy są najprzyjemniejszemi ludźmi dla proroka i w przyszłém życiu postawieni na piérwszém miejscu przed obliczém Boga, poczytani zostaną za najgodniejszych: naród zwie ich świętami (awlia).

Po śmierci Kirgiza, żony, siostry i najbliższe krewne zmarłego czynią ślub opłakiwania go przez ciąg 40, 60, 100 dni a więcéj niepocieszone i przez rok cały. Podczas téj żałoby, matka i żony nikomu się inaczéj nie pokazują jak z twarzami zakrytemi, a siostry i krewne z pół-zakrytemi.

W innych odleglejszych od stepowych linij plemionach, w czasie żałoby robią lalkę wypchaną, naśladującą zmarłego i postawiwszy ją w kącie namiotu codziennie opłakują. W czasie zmiany stanowiska wsadzają lalkę tę na najlepszego konia, prowadzonego przez jednego z rodzeństwa i trzymającego w ręce oznakę żałoby, tojest na kawałku drewna czarny płatek.

Po śmierci Kirgiza, jego znajomi i każdy nawet przypadkowo znajdujący się w aule powinien odwiedzić osierociałą familię, wspomnieć duszę zmarłego i za nią się modlić. Ale na tém nie koniec: na wspominki każdy wedle swéj możności przypędza: wielbląda, konia, krowę i barana. Krewni obdarzają czyniących im powyższego rodzaju prezenta, rzeczami i odzieżą pozostałą po zmarłym. Biédny może przyjść i z pustemi rękami, byle tylko spełnił zwyczaj i udzielił sierotom słowo pociechy i współczucia, lecz żeby nie skłamać, winienem dodać, że Kirgizowi nierównie przyjemniéj odbierać współczucie z niepróżnemi rękami. Nawiedziny te trwają przez rok cały aż do ostatnich wspominek.

Wspominki odbywają się w kilku terminach: piérwsze w trzy dni po śmierci, potém w siedm, czterdzieści i sto dni, a ostateczne w rok. Ostatnie wspominki odróżniają się radością i przepychem i ciągną się czasem, szczególniéj u bogatych, przez dwa lub trzy dni. Zaproszenia na wspominki posyłają się tylko do krewnych i osób dostojnych, resztę spełnia wieść: przechodząc z aułu do aułu w kilka dni zawiadamia o uroczystości całą ludność i każdemu służy prawo zwrócić uwagę krewnych zmarłego na swój przyjazd. Goście udając się sami, wiozą z sobą, rozumie się kogo na to stać, *sabę* napełnioną kumyzem i turkus-ajranem (1). Naby-

(1) Jednego i drugiego używają Kirgizi za napój. Kumyz, jest zakwaszoném kobylém mlékiem, a ajran zakwaszoném krowiem mlékiem; *saba*

cie tych niezbędnych materyałów do przyjęcia tak wielkiéj liczby gości, można uskutecznić tylko za pomocą dobrowolnych ofiar; kupować zwyczaj zabrania, a obrzęd znoszenia wzajemnych darów święcie się przechowuje.

Uroczystość rozpoczyna się gonitwami: najprzód puszczają źrebięta, potém konie a niekiedy i wielbłądy. Po gonitwach następuje zabawa i Kirgizi rozpoczynają igrzyska: w jedném miejscu występują zapaśnicy, w inném siłacze okazują moc swoich czaszek przez żarliwe trącanie się głowami i ciemieniem; gdzieindziéj popisują się tancerze, kuglarze przedstawiają gimnastyczne sztuki i t. d.

Podchmieleni kumyzem, zachęceni obecnością licznego towarzystwa, Kirgizi zmieniają swój flegmatyczny charakter, ożywiają się, wzrastają w pomysłach; tłum widzów pochwałami i śmiechem budzi w nich życie, zapał się zwiększa i wszyscy dokazują, cieszą się, nie skrępowani bynajmniéj celem, dla którego się zgromadzili.

Dziewczęta biorą także czasem udział w igrzyskach mężczyzn; lecz kobiety prawie zawsze gromadzą się w oddzielnych namiotach, sadowią się w kółka, rozmawiają ze sobą osładzając biesiadę stepowemi przysmaczkami: przed niemi znajdują się w drewnianych naczyniach lub na tacach konfekta, pierniki, rodzenki, winorośle bezjądrowe, kawałki suszonego melonu, jądra tykwy, arbuza, słonecznika, różnorodne orzechy i wreszcie w małych kawałkach cebula z czosnkiem. Wszystkie te słodycze przegryzane cebulą i czosnkiem, wybornie zadawalniają niewybredny smak stepowych piękności. Z tém wszystkiém kobiety niedługo pozostają bez mężczyzn; w ich kółko wciąż siłą wdziera się kilku młodzieńców, ale to ukontentowanie dosyć drogo kosztuje.

Zaledwie jaki odważny pokaże się w namiocie, gradem zaczynają sypać się nań uderzenia, z wesołym śmiechem stepowe damy żarliwie śmiałka wypędzają. Lecz młodzian nie rozpaczając i nie martwiąc się niemiłém przyjęciem, wciąż wdziera się naprzód i opanowywa miejsce ciesząc się wygraną, albo też nie zdoławszy zwalczyć przeszkód, ze wstydem wraca napowrót prześladowany głośnemi wyśmiewaniami się. Wypełniwszy o ile się dało, dług wątpliwego wstydu, kobiety już wesoło przyjmują

jest to wielkie skórzane naczynie, gdzie kwasi się i przechowuje kumyz. *Turkus*, jest naczynie z końskiéj skóry, zdjętéj z nogi konia i dziwnym sposobem wyprawianéj.

do siebie mężnego, który potrafił wywalczyć między niemi miejsce, i w obecności mężczyzn stają się przyjemniejszemi, rozmowniejszemi.

Lecz jednocześnie kiedy całe namiotowe towarzystwo nieudanie się bawi i śmieje do rozpuku, można słyszéć w tym samym namiocie rozdzierające duszę łkania i jęki. Kirgizka w którymbądź z kątów namiotu, odwrócona plecami do gości, głośno płacze.... Sądzisz, że to zapewne nieszczęśliwa osierociała matka lub żona opłakuje syna lub męża; oburzasz się na niewłaściwą wesołość otaczających i z współczuciem zwracasz swą uwagę na opłakującą. Szlochanie tymczasem i jęki wciąż się przedłużają; upływa kilka minut, płacząca opuszcza swoje stanowisko i z wypogodzoném czołem zasiada w kółku. Gdzież się podziały jéj smutek i łzy? Zaledwie zdołała usiąść, już się bawi i chichocze jak i wszystkie. Druga zabiera jéj poprzednie miejsce i zaczyna tęż samą komedyą....

— Czyto krewna zmarłego?—zapytasz swojego sąsiada Kirgiza.

— Nie: ona w gościnę przybyła.

— Dlaczegoż tak płakała?

A sąsiad z zadziwieniem patrzy na cię, nie pojmując jak o takich błahych rzeczach wiedzieć nie można.

— Dziś są wspominki: trzeba cały dzień opłakiwać zmarłego. Gdyby krewni płakali, toby im łez zabrakło: gości jest wiele, to im pomagają.

Gospodarz uroczystości wszędzie się krząta częstując kumyzem i herbatą; na uboczu zaś aułu stoi kilka namiotów, w których w ogromnych kotłach warzą na (toję) obiad dziesiątki koni, krów i innych.

Na roczny *as* (właściwe jedzenie, pokarm) po zmarłym sułtanie, rządcy wschodniéj części hordy, Ahmedzie-Dżanturynie zebrało się około siedm tysięcy gości; do 350 namiotów zostało na ich przyjęcie postawionych (1). Zabito na ugoszczenie 90 koni, 30 krów, 260 baranów i użyto 60 pudów (240 funtów) ryżu. Do wyścigów na przestrzeni 20 wiorst puszczono najpórzd źrebce w trzecim roku—*kunany*. Nagrody były następujące: 1. wielbłąd i ośm koni.—2 i 3. koń i ośm rocznych byczków.—4. koń i ośm szlafroków.—5. koń i trzy kawałki *maty* (papierowej materyi licho-

(1) Jeżeli swoich zamało, to namioty biorą się na czas uroczystości z sąsiednich aułów.

go gatunku).—6. szlafrok i dwa kawałki maty.—8. szlafrok i kawałek maty.—9. szlafrok i ośm arszynów manszestru.

Po kunanach puszczono na przestrzeni 45 wiorst 255 koni; nagrody były takie:—1. czterdzieści koni i dziewięć skór wydry,—2 i 3. wielbłąd, ośm koni i dziewięć rsr.,—4 i 5. wielbłąd i ośm koni,—6 i 7. wielbłąd i ośm byków,—8 i 9. wielbłąd i ośm rocznych byków.—10. 11. 12 i 13. koń i ośm rocznych byków,—14 i 15. koń i ośm szlafroków,—16. koń i ośm rsr.—17. dziewięć rsr.,—18 i 19. koń. — Skóry z zarzniętego na uroczystość bydła należą do mułłów odczytujących modlitwy.

Na jednych wspominkach miałem sposobność być obecnym: opowiem jak się to działo.

W lecie 184.... roku razem z p. K...m piłem w stepie kumyz; my Rossyanie pijemy kumyz jako lekarstwo. W tém leczeniu się trzeba pod niezbędnym warunkiem stosować się do życia Kirgiza, tojest nic nie robić, o niczém nie myśléć, jeść, spać i miéć wiele ruchu.

Byłoby przyjemnie próżnować pijąc kumyz do syta, gdyby step dostarczał jakich rozrywek; lecz leżenie wkrótce nam się sprzykrzyło. Na wstępie zajmowało nas dosyć malownicze położenie miejsca wokoł naszego namiotu: daléj przychodzenie Kirgizów podczas picia herbaty i obiadu w nadziei pożywienia się resztkami jedzenia, i brzydkich Kirgizek z dziećmi proszących *tałty*, tojest o słodycze: wszystko to prędko straciło urok nowości. Na dodatek męczył nas nie do zniesienia stepowy upał, niepozwalający używać przechadzki, ani czémbądź się zajmować. Przewracaliśmy się tylko w namiocie z boku na kok i okropnie nudzili; step tak nam się sprzykrzył, że gotowiśmy byli ztąd uciekać... Rozumie się, że z chciwością chwytaliśmy każdy wypadek mogący nas choć cokolwiek rozerwać....

Wtém rozeszła się wieść po aule, że gdzieś blizko będą wspominki.

K.... bardzo się ucieszył tą wiadomością i posłał po Bisembe, który częściéj od innych nas odwiedzał.

Bisembe nie kazał na siebie czekać: bez koszuli, w zarzuconym na głowę szlafroku wszedł powoli do namiotu i siadłszy przy drzwiach rzekł:

— Czego żądacie?

— Gdzieto będą u was wspominki?—zapytał K....

— Mówią, że w aule Dżytybajki.

— Co mi po twoim Dżytybajce; powiedz gdzie, czy ztąd daleko?

— Oto aul, za tym aułem będzie *oba*, za nią jeszcze aul; a ztamtąd już blizko i Dżytybajka.

— Kto ciebie zrozumie z twojemi obami i aułami? Ile jest wiorst?

— A kto zna twoje wiorsty? Pewnie dziesięć, może więcéj, może mniéj; zresztą my wiorst nie znamy: lecz co tobie po wspominkach?

— Chcę zobaczyć. Czyś się tego odrazu nie domyślił?

— Jedź, popatrz się: będzie tam dużo ludzi, będą i dziewczyny: pewnie ich lubisz?

— O tém potém, a naprzód dostarcz mi dobrego konia.... rozumiesz?

— A gdzie twój tabun, beju (bogaczu)—zapytał z filuternym uśmiechem Bisembe?

— No, wiesz przecie, że tabunu nie posiadam. Wybierz ze swego, a ja i na twoim dojadę koniu, i dam ci *akczy* (pieniędzy).

— Pieniędzy nam nie potrzeba!

— Zobaczymy — i rzuciwszy mu pół rubla K.... mówił— bierz pieniądze i marsz z namiotu; jak zawołam, niech będzie koń z siodłem gotowy, by można zaraz jechać.

Bisembe z źle utajoném zadowoleniem podniósł (1) monetę, popatrzył, przewrócił ją w rękach i rzucił napowrót K....

— Pluję na twoje pieniądze: dobremu człowiekowi ja i tak dam.

— Za mało widać dla ciebie, czemu nie powiesz; ot masz drugą monetę i więcéj nie gadaj.

Bisembe znowu wziął w ręce pieniądze, potrzymał przez chwilę, jakby się zastanawiając wziąć czy nie wziąć i znowu rzucił K....

— Więcéj chcesz? a to za co. — Znajdę konia i bez ciebie; potém będziesz się kłaniać: „daj zmiłuj się pieniędzy" — nic nie dam!

Spojrzałem na K.... i zaczęliśmy rozmawiać o czém innem śledząc tymczasem Bisembe. Przez kwadrans rozmawialiśmy nie zwracając widocznie na niego uwagi.

(1) Kirgizi jeszcze się nie obznajmili z naszemi pieniędzmi, nie oznaczając ich wartości, nazywają je zwyczajnie *monetą*.

Inną razą Kirgiz jużby sobie dawno był poszedł; lecz jak się oddalić, nie wziąwszy darowanych pieniędzy. Siedział, kręcił się, spoglądał to na mnie, to na K.... wreszcie już nie mógł wytrzymać.

— Ej!—rzekł on obojętnym tonem, patrząc na K....

K.... zwrócił się ku niemu badawczo.

Bisembe w milczeniu wyciągnął rękę.

— A, przemogły nakoniec pieniądze, czemużeś nie brał, kiedym ci dawał; czyto było mało?

— Żartowałem; lecz mnie nie trzeba pieniędzy, dam ci i tak konia.

— Dziękuję ci. Kiedy tak, to nie ma o czém rozmawiać.

K.... znowu zaczął ze mną prowadzić rozmowę.

Dobrego konia wynajdę—przerwał Bisembe—pewnie będziesz się ścigać, to potrzeba konia przez dwie lub trzy doby paść owsem.

— Rozumiém teraz: ty owsa nie masz, tylko go trzeba kupić za moje pieniądze. Weź, weź—powiedział K.... dając mu rubla — a wpiérw nigdy nie droż się, miéj sumienie! Kiedy wy będziecie podobni do ludzi?

W dzień wspominek, raniutko K.... na wynajętym a ja na swoim koniu byliśmy już w drodze. Słońce dopiéro co wschodziło, a powietrze nasycone nocném zimnem było spokojne i świéże. Jechaliśmy wesoło. Step zawsze monotonny i dziki, teraz niezwykle się ożywił; tłumy Kirgizów w pstrych i różnorodnych ubiorach ciągnęły ze wszystkich stron ku miejscu wspominek. Starsi Kirgizi podzieliwszy się w gromadki jechali wolno; młodzi zaś na lepszych koniach, przybranych w paradne rzędy pędzili po stepie, ścigali jeden drugiego, rozpraszali się, zatrzymywali konie i znowu je puszczali. Tuż zaraz na wielbłądach stare kobiety po kilka na jednym kiwały się równo z powolnym ruchem okrętu pustyni, a rzędami przed oczami matek na pięknych rumakach mężnie jechały wierzchem dziewczęta i *kilinczyk* (1): orszak ten zamykały wielbłądy i wozy najuczone dziećmi, napakowane *sabami* z kumyzem i innemi.

Na uroczystość wszyscy dążyli: starcy obojéj płci, młode mężatki, panny, dzieci aby się napatrzéć, a głównie by pojeść.

(1) *Kilinczyk*, jestto młoda kobiéta niedawno wyszła za mąż, która nie ma jeszcze dzieci. — Z piérwszém dzieckiem, ona traci ten interesujący w stepie przydomek i nazywa się już „*katyn*" tojest kobiétą.

Przyległe auły zostały zupełnie puste.

Zbliżając się do aułu spostrzegliśmy na wzgórku wielki tłum; przewodnik nasz objaśnił, że ludność oczekuje powrotu koni wyścigowych.

Kirgizi oznaczają przestrzeń do wyścigów na długość a nie w okrąg. Jeźdźców prowadzą na miejsce wyznaczone, ustawiają rzędem i uważają, aby konie wszyscy razem do biegu puścili. Na żokei wybierają dzieci, i aby jak najwięcéj ulżyć koniom, nie używają nawet siodła, lecz tylko *arczak* tojest strzemion od siodła.

Na mecie, do któréj konie powinny były dobiedz, stali sędziowie, obowiązani uważać na najpiérwszych jeźdźców i przyznawać nagrody: tu zawsze gromadzi się wielki tłum ciekawych. Dla Kirgiza wyścigi są największą uciechą; patrzą oni na to z febryczną uwagą. Przestrzeń wyścigowa oznaczona była wtedy na wiorst trzydzieści. Nagród było pięć: piérwsza, dwa barany; druga, baran i kozioł; trzecia, szlafrok; czwarta, arszyn czerwonego aksamitu; a piąta arszyn czarnego.

Oczekiwaliśmy z godzinę. Słońce już weszło wysoko i piekło, jak zwykle piecze w stepie, gdzie nie ma ani cieniu, ani wody, ani wiatru.

Odrazu tłum począł się ruszać, krzyczéć i usuwać się na bok. „Jadą, jadą!" rozległy się głosy. W dali ledwie kurz tylko dostrzedz można było, który co chwilę się powiększał łącznie z dolatującemi pomieszanemi krzykami. Zmęczone, znużone konie, opuściwszy łby z trudnością dobiegały do mety. Jeźdźcy nie przestawali zachęcać je wołaniem, bijąc jednocześnie batami i nogami po wychudłych bokach. Kilkanaście łokci brakowało jeszcze do kresu. Niektórzy z Kirgizów, zapewne właściciele wyścigowców, nie mogąc wytrzymać wyskoczyli z rzędów, chociaż to się zabrania, na spotkanie i z pomocą swoim ustającym koniom. Jeden podskoczywszy i schwyciwszy biegun za grzywę ciągnął go przy swoim świeżym koniu jakby na linie; drugi pędził obok krzykami i rázami wzbudzając ostatnie siły w zmęczonym rumaku: każdemu Kirgizowi szło o sławę swego konia. Po kilku minutach cały tłum się zmieszał, wszyscy krzyczeli i był wielki nieład. Lecz kiedy sędziowie przystąpili do rozdania nagród, krzyk wzrósł do tego stopnia, że już trudno było pojąć o co chodzi. Jeden utrzymywał, że jego koń wpiérw dobiegł, inny się temu sprzeciwiał na swoję korzyść; spór rozstrzygła nowa gonitwa, z oznaczoną przestrzenią nie więcéj nad wiorstę lub może mniéj. Nagroda przypadała w tym razie dla najprzód dobiegającego konia.

Dla Kirgiza popisać się swoim biegunem jest rzeczą bardzo ważną; wieść o dobrym koniu rozchodzi się daleko po stepie, co nadewszystko zaspokaja chełpliwość gospodarza i wielką nadaje wartość koniowi; albowiem w stepie, gdzie dobry koń tak często wyswobadza śmiałego jeźdźca z niebezpieczeństwa, ocala mu życie, ceni się bardzo wysoko.

Rozpoczęło się rozdanie nagród. Kirgiz otrzymawszy dwa barany, przyjął je obojętnie, powiódł oczami po tłumie, a spostrzegłszy tam sułtana i powiedziawszy „ałdiar" nizko się kłaniając przywiódł przed sułtana barany: sułtan kiwnął na to głową. Ja i K.... staliśmy obok, a sułtan przez grzeczność nagrodę nam odstąpił; naturalnie, żeśmy przyjęcia odmówili, co sułtana niezmiernie ucieszyło: barany zostały przy nim. Otrzymawszy drugą nagrodę spostrzegł w tłumie miejscowego zwierzchnika (1) i przyprowadził doń barana z koźlęciem: dar został przyjęty. Tym sposobem wszyscy otrzymujący nagrody zaraz porozdawali je dostojniejszym Kirgizom.

Po cóż więc męczyli tak swoje konie? Objaśniono mnie, że każdy Kirgiz wszystko czy to znalezione, czy otrzymane tytułem nagrody—słowem przypadkowo nabyte, powinien zaraz podarować sułtanowi, lub komukolwiek ze starszyzny. Obyczaj nakazuje, aby przyjmujący darowiznę odstąpił ją z koleli niższemu od siebie, ten jeszcze niższemu, i aby tym sposobem darowana rzecz doszła do najbiedniejszego, który jest najpotrzebniejszy. Tak pojmowany obyczaj miałby najpiękniejsze zastosowanie; lecz mocniejsi w stepie wypełniają go o tyle, o ile to przynosi im korzyść. Dar biorą chętnie, lecz daléj zwyczaju nie pojmują. Prostemu jednak Kirgizowi za nicby nie przebaczyli pominięcia przyjętego uszanowania starszyzny...

Po rozdaniu nagród Kirgizi rozproszyli się po stepie i rozpoczęli zabawy.

Tymczasem w rozbitych dla gości namiotach, na wielkie drewniane misy wykładali *płow* (ryż z baraniną) i mięso. Przyszła godzina obiadu i wszyscy zasiedli w namiotach, wziąwszy się do jedzenia z prawdziwym stepowym apetytem tego, co w ręce wpadło. Dla osób dostojniejszych był nastawiony samowar, około którego leżało kilka kawałków cukru. Kirgizi piją z miodem, a najwięcéj z *kiszmyszem* (tojest z drobnémi rodzenkami). Herbatę lubią

(1) Jestto naczelnik kilku aułów, od 40 do 100 i więcéj koczujących w pewnéj przestrzeni.

bardzo; lecz że to przyjemność, bez której się można obejść, więc też niechętnie na nią wydatkują: wolą raczéj wyprosić kawałek cukru i herbaty u jakiego bogatszego Rossyanina.

Kirgiz w ogóle z natury swojéj jest skąpy. Czasami ulegając konieczności pozwoli sobie; lecz zaraz w samym zbytku przebija sknerstwo. Na biesiadę, któréj wartość wynosi kilkaset rubli w niekupionym jednak inwentarzu—często brakuje przyprawy, za którą trzeba było z rubla zapłacić. Na sukni z bardzo kosztownéj materyi można zobaczyć nadstawki z dwudziesto-groszowego perkaliku. Kirgizi pragną się tylko odróżnić, zdziwić przyjaciela, lecz gustu nie posiadają. Rzecz jasna, że to się do wszystkich w stepie stosować nie może, są tu przecież sułtanowie, u których czasami wszystko podają na srebrze, i jeśli się chcą pokazać, wszystko odbywa się przyzwoicie, nawet do wykwintności.

Gospodarz usilnie mnie zapraszał z K.... do jedzenia; lecz przyjąwszy rolę patrzących nie wzięliśmy udziału w obiedzie.

— O, ol jak ty mirzo nic nie żałowałeś dla gości, pewnie zarznąłeś ze sto baranów?—rzekł K.... do gospodarza.

— Nie rachujemy ile zarzynamy—odpowiedział.

— Trzeba tylko żeby wszyscy byli zadowoleni... wszak tak beju?—mówił daléj K.... starając się przypodobać gospodarzowi.

— Tak, zarzynam tyle, ażeby świat był syty, i żeby nikt nie powiedział, że dla mnie bydło droższe od brata (1).

— A ileś wszystkiego zarznął? przyznaj się. Jak pojadę do Orenburga, powiem kommissyi (2), żeś ty taki beju zamożny...

— Nie wypada nam o tém mówić, — odpowiedział Kirgiz, a nachylając się do ucha K... półgłosem rzekł: na obiad zarznięto ośm koni, trzy krowy i ze trzydziestu baranów. Gospodarz nie był z liczby bogatych.

Wypiwszy herbatę razem z K.... opuściliśmy namiot. Dla gości było przygotowanych dwadzieścia namiotów, a do każdego

(1) Wspominki odbywały się za brata gospodarza.

(2) Bardzo jeszcze wielu ze stepowych Kirgizów pograniczną kommissyą uważa nie za władzę, lecz za osobę. Jednego z dostojniejszych stepowców, przez szacunek dla niego, przywieziono do kommissyi, oprowadzono po pokojach i wszystko mu pokazano. Kirgiz hojnie rzucał wyrazy podziwu, lecz jeszcze na coś oczekiwał. Powiedziano mu, że już wszystko widział. „A dlaczegoż kommissyi nie pokazaliście mi" zapytał?—Adresy do pogranicznéj kommissyi także śmiesznie piszą: np. Najdostojniejszemu Panu Kommissyi i dostojnym Panom Radcom i Sekretarzowi i Stołonaczelnikowi.

tyle ludzi się napchało, że gdyby jeszcze jeden człowiek przybył, to powrozy utrzymujące płótno niewątpliwieby popękały. Nie mogący się pomieścić w namiotach, zostawali pod gołém niebem. Obraz patryarchalnego obiadu ludzi, nie skrępowonych żadnemi warunkami etykiety przedstawiał się w całym blasku: wszystko to jadło i piło niczém się nieścieśniając. Naczynia pełne mięsa i kumyzu, roznoszone przez usługujących, piorunem się wypróżniały; kości nawet tak sztucznie poobgryzano, że na nich ani ślad mięsa nie pozostał....

We dwie godziny po południu uczta się skończyła i nasyceni Kirgizi wielkiemi tłumami zaczęli się rozjeżdżać: *dżigity* (młodzież) rozbiegła się po całym stepie; jeden gonił drugiego, niektórzy mocowali się na koniach trzymając się za pasy, lub kładli się na grzbiecie konia, raptem się podnosząc i skacząc na równe nogi; inni nagle schylali się aż pod brzuch konia i w chwili znajdowali się na grzbiecie, ale już siedząc twarzą do ogona; inni nakoniec łapali konia za ogon usiłując zatrzymać go w biegu. Kirgizi takiéj swobody używają na koniu, jakby na ziemi: we wszystkich ich ruchach było tyle śmiałości i godnéj uwagi zręczności! Nie można się było nie zakochać w tym swobodnym tłumie, bawiącym się tak niewymuszenie i z takim zapałem!

Cały horyzont zaludniony był Kirgizami, jadącemi na wielbłądach, koniach lub idących piechotą.

K..., i ja powracaliśmy ostatni do swojéj ojczyzny. Niebawem spostrzegliśmy dwóch Kirgizów razem jadących, i jak z ruchów ich sądzić można było, kłócących się z sobą; do nich poczęli się zbliżać inni i wkrótce otoczyła ich wielka gromada: krzyki się powiększały, kłótnia widocznie stawała się zapalczywszą. Naraz ukazał się w powietrzu bat, za nim drugi i bitwa zawrzała. W mgnieniu oka wszyscy rzucili się na pole walki, a z najbliższego aułu (z którego jeden z rozpoczynających kłótnię pochodził), biegły kobiéty, starcy i dzieci, uzbrojone *bakanami* (1) żerdziami, toporami, kto czém zresztą mógł i wszyscy zmieszali się na pobojowisku.

Spostrzegłszy taką bitwę, bez namysłu, nie zdając sobie z tego sprawy co czynimy, wpadliśmy ostro na koniach w środek tłumu.

Zdziwiona starszyzna i przestraszona naszym czynem, bojąc się o nas, przybiegła ku nam i poczęła rozrywać bijących się.

(1) Wielki gruby drąg, którym na wypadek zawieruchy podpierają namiot.

Chociaż Kirgizi byli podchmieleni i podochoceni kumyzem, lecz spostrzegłszy nas i starszyznę opamiętali się i poczęli się usuwać z tłumu; niektórzy bardziéj zapaleni, zostając na miejscu, przedłużali bitwę coraz rzadziéj wszakże obkładajac się razami. Baby tylko nie mogły się pogodzić: bójka zupełnie się już skończyła, Kirgizi się rozjechali, a kobiety jeszcze się kłóciły, czyniąc sobie wzajemne odgróżki. Na pobojowisku leżał Kirgiz i okropnie jęczał; połowa twarzy była cała we krwi i bardzo napuchnięta: wzięto go do namiotu. Badając o przyczynę bitwy, niezmiernie się zdziwiłem dowiedziawszy się, że sprawcami byli dwaj mułłowie czytający za umarłego modlitwy, którzy nie podzielili się baranią skórą.

Na zakończenie powiem jeszcze kilka słów o kirgizkich cmentarzach.

Pojedyńczy grób nazywa się *obą*—kilka grobów razem „*mazarkami*" (cmentarzem). Grób bogatego i biednego jednakowy, o dwóch pochyłościach, lecz różnią się nagrobkami—*kułputuszami*. Zwyczajnie jest to słup kamienny, wysoki na półtora arszyna. Na słupie wyrzynają: wiersz z koranu, plemię, imię zmarłego, imię jego ojca, wiek, rodzaj rzemiosła lub zatrudnienia.

Na jednym np. nagrobku widziałem taki napis: „Umarł dlatego, bo tak się podobało Najwyższemu; tabyskiego plemienia, oddziału Dżembetiewa; Kuszhumbaj Dżytybajew; żył lat 35 i był *batyrem (tamga)* (1)."

Najbogatsi w miejsce *kułputuszu* wznoszą nagrobki w formie domów lub meczetów, drewnianych lub z cegły, wyrabianéj przez samych Kirgizów. Na grobie pozostawiają niektóre rzeczy zmarłego, świadczące o jego zatrudnieniu lub wieku; np. na grobie batyra, zostawiają dzidę; na mogile strzelca, łuk ze strzałami i wizerunek psa; na grobie mułły, pastorał z turbanem, na grobie dziecka, kolebkę i inne. Biédni nie będąc wstanie kupowania kułputuszu kładą na grobie kamień z wyrytą na nim tamgą pokolenia nieboszczyka.

W ogóle Kirgizi szanują groby; nigdy nie miną ich bez pomodlenia się. Rozrzewniający przedstawia się obraz, kiedy Kirgizi zbliżywszy się do mogił, zsiadają z koni i związawszy cugle klękają dla odmówienia cichéj modlitwy za zmarłych.

Niektóre cmentarze są bardzo obszerne, i zdaleka w gorący dzień lata wyglądają jakby wielkie miasta. Szczególnie odznacza-

(1) Tamga, jestto znak należący do całego plemienia, oddziału, a czasem i do poddziału, dla odróżnienia go od innych.

ją się obszarem cmentarze, na których są pochowane zwłoki ludzi poczytywane przez Kirgizów za świętych (awlia). Kirgiz uważa się za szczęśliwego, jeśli może być pochowanym na jednym cmentarzu ze świętemi. Wielu za życia jeszcze zastrzega sobie to u swych następców, choćby w tym celu trzeba było wieźć zwłoki 200 do 300 wiost a nawet i więcéj. Kirgizi są przekonani, że modlitwy świętego mogą zbawić i otaczających go. Jeżeli na grobie awlia wyrośnie drzewo, to poczytują je za niewątpliwy znak wysokiego zadowolenia proroka ze spoczywającego tam świętego. Drzewa te są strzeżone i czczone przez wszystkich, jako wyrastające niby z kości świętego. Każdy przejeżdżający Kirgiz pomodliwszy się na mogile odrywa kawałek swojéj szaty i wiesza na drzewie w tém przekonaniu, że święty na sądzie ostatecznym przypomni sobie dawcę i będzie jego obrońcą. Na wspomnionych drzewach oprócz niezliczonéj liczby szmat, płatków, włosów kobiecych, końskich, wielbłądzich i innych, leży kilka końskich łbów; wdzięczny gospodarz po śmierci szlachetnego zwierzęcia, zapewne nieraz dzielącego z nim niebezpieczeństwa, kładzie jego łeb na drzewie, aby tym sposobem i konia uczynić współuczestnikiem świętości.

Każdy o co bądź proszący Boga przychodzi się modlić na grób awlia, aby przezeń mógł wybłagać swoją potrzebę; chorzy gromadzą się tutaj prosząc o zdrowie, niepłodne kobiety o dzieci, poróżnieni o zmianę okoliczności i t. p. Przepędzają zwykle na grobie kilka dób dzień i noc, poszcząc i modląc się.

Razu pewnego z sułtanem M. byliśmy na mogile Kazybeka, uważanego w stepie za świętego.

— Powiedz mi sułtanie, przez jakie zasługi wasi święci zniewalają ludność do tak głębokiego szacunku, że ich po śmierci stawiają wyżéj nad ludzi zwyczajnych.

— A otóż jesteśmy na mogile Kazybeka — odpowiedział sułtan. Kirgiz ten przez całe swoje życie nigdy nie skłamał i nic złego nie uczynił. Dożył późnéj starości szanowany i kochany przez wszystkich i umarł dręczony wyrzutem, że przyjął przysięgę w sprawie, o słuszności któréj nie był zupełnie przekonanym. Sprawa była następująca: Isykowiec, Kirgiz z plemienia bajulińskiego, do którego i Kazybek należał, swatał kobiétę u Kityńców alimskiego plemienia. Panna miała kochanka Kityńca i nie z własnéj ochoty wychodziła za Isykowca. Swaty były już w tym peryodzie, że narzeczony zadowolniwszy się przyjemnością nocnych odwiedzin, przyjechał wypełnić obrzęd ślubu i zabrać młodą żonę do

swego aułu. Na nieszczęście w tym samym czasie, kiedy narzeczony gościł u swego teścia, Tabyńcy napadli na auł, zrabowali go i wielu zabili; w liczbie zabitych był narzeczony Isykowiec. Jego krewni utrzymywali, że on nie przez Tabyńców, lecz przez kochanka Kityńca korzystającego z zamieszania zdradziecko został zabity, i domagali się za krew kuny (1). Sam han Karataj sądził sprawę (2). Isykowcy nie mogli swéj skargi wesprzéć dowodami, han więc tak w sprawie orzekł: ażeby ktobądź ze strony żądających wynagrodzenia, skargę przysięgą stwierdził. Wiadomo panu, że w podobnych wypadkach do wykonania przysięgi wybiera się bogobojnego i prawego człowieka i że wybór należy do strony przeciwnéj. Kityńcy wybrali Kazybeka: Kazybek bez wahania się przysięgę wykonał; lecz wątpliwość, czy sprawiedliwie przysiągł i czy nie stał się krzywoprzysięzcą, bardzo go niepokoiła. Modlił się ciągle a dręczony wyrzutami sumienia, wkrótce umarł: ludność cała poczytuje go teraz za świętego.

Opowiadanie to o ile jest prostoduszne, o tyle pocieszające w narodzie, pośród którego znajdowali się ludzie tak wysoko ceniący cnotę i umierający z tą jedyną myślą, że mogli spełnić czyn nieprawy; naród umiejący oceniać podobną cnotę, każe wiele wnioskować o swéj moralnéj i dobréj stronie.

(1) *Kuna, kunnyja diengi*, jestto dawne nazwisko podatku płaconego właścicielowi lub do skarbu przez młodziana za narzeczoną. (przyp. tłum.)

(2) Sultan Karataj Muraliew, po zniesieniu w Małéj Hordzie godności hańskiéj, był pierwszym sultanem, rządcą zachodniéj części Hordy od 1824 do 1826 r. Kirgizi nie nawykli jeszcze wówczas do nowego w stepie urzędu, nazywali go ciągle hanem.

WIADOMOŚCI Z NAUK.

Kilka słów o roślinności i florze Ojcowa, jako dodatek do flory Królestwa Polskiego.

Po tak zaszczytnie i z niezaprzeczonym talentem napisaném sprawozdaniu z podróży naturalistów do Ojcowa (1), wszelki w tym kierunku kreślony opis byłby już niezawodnie zbytecznym, gdyby sobie obrał ten przedmiot, który tak wszechstronnie i wyczerpująco obrobionym został. Należałoby raczéj przypisać tylko szczęśliwemu wypadkowi lub jakiéjś nadzwyczajnéj bystrości, gdyby się udało dopatrzéć czegoś więcéj nad to, co już przez sprawozdawcę podaném zostało. Niniejszy przeto krótki ustęp ma na celu przedstawienie téj okolicy ze strony wyłącznie botanicznéj, a skupiając niejako wszystko, co dotychczasowe spostrzeżenia udzieliły, odnosi znów swe wypadki do flory całego kraju. Ale ponieważ w badaniach tego rodzaju różność pór roku tak ważną odgrywa rolę, nie dziw przeto, że tam nieledwie co parę tygodni coś nowego odkryćby się dało. Wyczerpnięcie zupełne przedmiotu wymaga koniecznie długiego czasu i bardzo sprzyjających okoliczności, dlatego każdy pojmie, że już w najbliższych latach znów coś innego przybyć może i zbogacić skarbnicę wiedzy naszéj. Zresztą okolica Ojcowa, powtarzając słusznie z autorem sprawozdania powyżéj wspomnianego, nie jestto zwykła i w naszym kraju często się powtarzająca; jest ona tak wyjątkową, jak jest wyjątkową jéj fauna

(1) Zob. *Bibliotekę Warszawską*. T. II. 1855 r. Str. 142—172 i tom II. 1857 r, Str. 161—227.

i flora. Témbardziéj przeto zasługuje na pilną uwagę, a wszechstronne nawet zbadanie nader jest ponętném i przedstawia wiele powabu. O ile z uczynionego sobie zadania, wprawdzie w jak najkrótszych słowach, dopełniłem, zapatrując się ogółowo na roślinność i wyliczając przytém pojedyńcze szczegóły, łaskawy czytelnik osądzi.

Północna strona okolic Krakowa, poczynająca się tuż za miastem zupełną płaszczyzną, w odległości jednéj mili podnosi się nieznacznie. Już poza Toniami i Modlnicą wzniesienie to stopniowo wzrasta, tak, że w okolicy Giebułtowa, Szyc i Białego Kościoła (1), do wysokości 1250 stóp par. nad poziom morza dochodząc, tworzy rozległą wyżynę, poprzerzynaną rozmaitéj wielkości parowami i dolinami.

Jedną z takich dolin, największą, jest dolina Prądnika, zdawna słynna swą uroczą pięknością, w któréj zamki Pieskoskalski i Ojcowski, jeszcze w czasach Kazimierza Wiel. wzniesione, nie mało się do jéj romantyczności przyczyniają.

Cała, przeszło dwie mile długa, środkiem bystrym i kamienistym Prądnikiem przerznięta, stanowi jakby głęboką rozpadlinę na wyżynie, która się rozciąga od Giebułtowa, Szyc i Modlnicy na kilkanaście mil kwadratowych daléj ku północy. Gdyby nie lasy, pokrywające wierzch i ściany owéj olbrzymiéj rozpadliny, okolica ta miałaby charakter bardzo zbliżony do podolskiéj, gdzie niekiedy całe wsie bywają ukryte w dolinach, kiedy znów równinę zajmują okiem nieprzejrzane pól ornych obszary.

Główny kierunek téj doliny jest z północo-zachodu ku wschodowi, z kilkoma większemi lub mniejszemi w całéj długości załomami. Wierzch i ściany jéj stanowi wapień koralowy, należący do młodszych grup formacyi juraicznéj, a występujący tutaj w postaci olbrzymich słupów lub stromych, a nawet pionowych ścian, na 100 do 200 stóp wysokich. Wapień ten na płaszczyźnie wyżyny w okolicach Jerzmanowic i Czajowic w pośród pól ornych rozsiany, skupia się znów w kilkunastu miejscach w postaci najczęściéj wałów lub ostrosłupów leżących,

(2) Ostatnie dwie wymienione tu wioski leżą już za linią graniczno-celną Królestwa Polskiego, w powiecie olkuskim.

tworząc 20 do 40 stóp wysokie skałki. Właściwe skamieniałości, tudzież liczne wydrążenia i groty z kośćmi zwierząt przedpotopowych, są cechami wapienia koralowego. Góra Wawel, Krzemionki Podgórze, Bielany, Tyniec, okolice Alexandrowic, Mnikowa, Balic, Zabierzowa, Kobylan, Krzeszowic i t. d., są najlepszym tego dowodem. Wszędzie gdzie nie występuje jako goła skała, pokrywa go w tych okolicach najczęściéj glina, rzadziéj piasek, które stanowią grunt żyzny i sprzyjający roślinności.

Okolice Pieskowéj Skały i Ojcowa już z saméj budowy i kształtu swéj doliny zapowiadają wielkie bogactwo i rozmaitość flory miejscowéj. Jeszcze przed pół wiekiem znakomity botanik Besser, wyrzekł w swéj *Primitiae Florae Galiciae:* „valis pulcherrima et plantis raris ditissima!" I słusznie; jest ona bowiem najpiękniejszą i najdroższą perłą pod każdym względem, w koronie okolic otaczających stary Kraków. Tutaj to piękność przyrody idzie jakby w zawody z hujnością roślinności i rzadkością pojedyńczych gatunków, nadających florze tych miejsc cechę właściwą. Ogólny pogląd na roślinność i uwydatnienie owéj właściwości flory przytoczeniem ważniejszych roślin, zapozna nas najlepiéj z tą okolicą. Streszczamy przeto w krótkich słowach wszystko, cokolwiek dziś o tém powiedzieć można.

Już na piérwszy rzut oka, żywa zieloność, bujny i szybki wzrost roślin, przekonywa nas o żyzności téj doliny. Środkiem łąki, uprawne pola i ogródki wawrzywne, a po bokach gęste lasy, są najlepszym tego dowodem. Że zaś przyroda gruntu powstałego z rozkruszenia się wapienia, przykrytego gliną z piaskiem, przytém ciągle utrzymująca się wilgotność są tu najważniejszemi czynnikami, łatwo odgadnąć.

Drzewa iglaste na poły z liściastemi, stanowią tutejsze lasy. *Jodła*, *sosna*, *brzoza*, *buk*, a nawet *dęby* (Quercus pedunculata Ehrh.), przeważnie panują; ale nie brak chociaż pojedyńczo *lip* (Tilia parvifolia Ehrh.), *osin* (Populus tremula L.), *wierzb* (Salix caprаea L.), *klonów* (Acer platanoides L.), *jaworów* (Acer pseudoplatanus L.), *czeremch* (Prunus padus L.) i *trześni* (Prunus avium L.). Koło Czajowic, Smardzewic i w w. i. jeszcze miejscach siane w lasach *modrzewie* (Pinus larix L.) przedstawiają piękne, smukłe i dobrze rosnące drzewa. U stóp doliny liczne *jałowce* (Juniperus communis L.) i *tarniny* (Pru-

nus spinosa L.), wyrastające niekiedy w krzewy na 12 stóp wysokie lub nawet jakby w drzewka; koło domów zaś drzewa owocowe, a po brzegach Prądnika gaje *olchowe* (Alnus pubescens Tausch et A. glutinosa L.), *topolowe* (Populus nigra L.) i *wiązowe* (Ulmus campestris L. et U. effusa L.): oto ogólny zarys, jakby ramy obrazu, na którym teraz przypatrzmy się bliżéj pojedyńczym szczegółom.

Równo z źródłami Prądnika poczyna się i jego dolina we wsi Sułoczowicach, niedaleko kościoła, milę od zamku w Pieskowéj Skale oddalonego. Zrazu wązka dolina, z obu stron malowniczo najeżonemi skałami zwarta, rozszerza się znacznie tuż pod zamkiem zbudowanym na skale około 100 stóp wysokiéj. Ważniejsze rośliny, opuszczając pospolite, które tu znaleźć można, wymienimy w porządku, jak je wedle rozmaitéj miejscowości napotykać można. I tak, na przyległych skałach i suchych wzgórzach rosną wszędzie: *Erysimum strictum* Gaertn. (pszonak wyprężony), *Geranium sanguineum* L. (bodziszek szkarłatny), *Poterium sanguisorba* L. (żyleniec krwiściąg), *Rhamnus cathartica* L. var. *pumila* (szakłak pospolity, odmiana), *Sempervivum soboliferum* Sims. (3) (rojnik przypłodkowy), *Sedum sexangulare* L. (rozchodnik sześciorzędo-

(3) Sempervivum soboliferum Sims. *Botanical Magazine or Flover-Garden displayed* etc. *an. 1784—1826. tabul. 1457*, zasługuje z podwójnego względu na uwagę: raz, że zamiast Sempervivum tectorum i S. hirtum Bessera przyjąć go należy; powtóre, że przybywa nowy gatunek dla flory królestwa Polskiego. Besser w swéj: *Primitiae Florae Galiciae* etc. *Viennae 1809*, pod n. 573, opisując S. tectorum etc. mówi w końcu: „super scopulas vallis Oyców rarius"; a pod n. 574 S. hirtum etc. „in valle Oyców". Ponieważ tutaj ani pierwsza ani druga roślina się nie znajduje, ale jedynie wszędzie po skałach wzdłuż całéj doliny S. soboliferum Sims, przeto takowe z flory ojcowskiéj wyłączyć należy. Dr. C. F. a Ledebour w swéj: *Flora Rossica sive Enumeratio Plantarum in totius Imperii Rossici observatarum. Stuttgartiae 1844—1853* w Tomie II na str. 189—190 wymienia 7 gatunków z rodzaju Sempervivum: 1. *S. tectorum* L. 2. *S. globiferum* L. 3. *S. flagelliforme* Fisch. 4. *S. montanum* L. 5. *S. Braunii* Koch. 6. *S. pumilum* M. Bieb. i 7. *S. hirtum* L., przy którym jako synonim przywodzi *S. soboliferum* Fleisch. et Lindem (nie Sims) Fl. d. Ostseeprov. p. 171. (*Systematisches Verzeichniss der in den Ostseeprovinzen bis jetzt bekannt gewordenen Phanerogamen* etc. *bearbeitet von Dr. J. G.*

wy), *Saxifraga tridactylites* L. (skalnica palczasta), *Hedera helix* L. (bluszcz zwyczajny), *Libanotis montana* All. (oleśnik górski), *Asperula cynanchica* L. (marzanka różowa), *Valeriana officinalis* L. (kozłek lekarski), *Filago minima* Fries (nicennica mniejsza), *Anthemis tinctoria* L. (rumian barwierski), *Inula conyza* Dl. (oman szlachtawa), *Senecio vernalis* W. et K. (marzymłodek wiosenny), *Campanula sibirica* L. (dzwonek sybirski), *Echinspermum lappula* Leh. (lepnik najeżony), *Verbascum lychnitis* L. (dziewanna mniejsza), *Stachys recta* L. (czyściec prosty), *Calamintha acinos* Clairv. (tymian bazylikowy), *Thesium intermedium* Schrd. (leniec pośredni); *Melica ciliata* L. (perłówka rzęsowata), *Nardus stricta* L. (bliźniczki szarzyna), *Festuca duriuscula* Linnaei Syst. nat. non Spec. plant. (kostrzewa twardawa) i *Botrychium lunaria* Swartz (gronowiec pospolity). Po gajach i lasach: *Hypericum quadrangulum* L. (dziurawiec czteroboczny), *Geranium phaeum* L. et *G. palustre* L. (bodziczek żałobny i błotny), *Rosa pumila* Lin. fil. (róża nizka), *Sambucus racemosa* L. (bez koralowy), *Sanicula europaea* L. (żankiel pospolity), *Astrantia major* L. (jarzmianka większa),

Fleischer. Mitau 1830. Flora der deutschen Ostseeprovinzen, Esth-Liv- und Kurland, herausgegeben von Eduard Lindemann. Mitau u. Leipzig. 1839). S. soboliferum Sims przywodzi znów Wimmer. *Flora von Schlesien. Breslau 1857* na str. 468. Wydanie 3: „auf Felsen im Vorgebirge". Klinggraef zaś: *Flora von Preussen. Marienwerder 1848* na str. 144: „auf trocknen kalkigen u. sandigen Hügeln zwischen Tilsit u. Bagnit auf dem Rombinus; Braunsberg Windmühle b. Rossen; Danzig Dünen b. Neufahr. G. D. Jos. Koch w *Synopsis Florae Germanicae et Helveticae. Lipsiae. 1844* na str. 289 tak charakteryzuje S. hirtum i S. soboliferum: „folia caulina ciliata et simul utrinque pubescentia, S. hirtum. Folia caulina praeter cilias marginales glabra, oblongo-cuneata fere obovata, ultra medium acuta vel acuminata, S. soboliferum. Roślina ojcowska zgadza się prawie zupełnie we wszystkich cechach z diagnozą S. soboliferum Kocha. Diagnoza zrobiona z roślin żywych ojcowskich jest następna: foliis rosularum principiis lato-ovatis acutis posterius oblongo-lanceolatis, caulinis elatiore subcordata basi longe acutis vel oblongis acuminatis omnibus calycibusque supra subtusque glabris margine ciliatis, caulis teres dense pilosus, calyce corolla dimidia breviore, petala et calycis laciniae erectae campanulatae, illa apice recurvata ochroleuca,

Anthriscus silvestris Hoffm. (trybula leśna), *Archangelica officinalis* Hoffm. (arcydzięgiel lekarski), *Asperula odorata* L. (marzanka wonna), *Galium boreale* L. (przytulia północna), *Pirola minor* L. et *P. uniflora* L. (gruszyczka mniejsza i jednokwiatowa), *Veronica spicata* L. (przetacznik kłosowy), *Lamium maculatum* L. (jasnota plamista), *Mercurialis perennis* L. (szczyr trwały), *Platanthera bifolia* Rchb. (podkolan wonny), *Orchis mascula* L. (storczyk tępolistny), *Corallorrhiza innata* R. Br. (żłobik korałowy), *Veratrum lobelianum* Bernh. (ciemierzyca zielonkowata), *Luzula albida* DI. (kosmatka biaława), *Melica nutans* L. (perłówka zwisła), *Brachypodium silvaticum* R. et Sch. (kłosownica leśna), *Polypodium phegopteris* L. et *P. dryopteris* L. (paprotka (4) strzałowa i trójkątna), *Cystopteris fragilis* Bernh. (paprocica krucha) i *Scolopendrium officina-*

Wprawdzie de Candolle w *Prodromus Regni vegetabilis pars III, 1828, p. 413* pod n. 21, opisując S. hirtum L. *S. soboliferum* Sims tylko za synonim przytacza, idąc jednak za Kochem i innemi obecnie, którzy S. sobolif. stanowczo od S. hirtum (to ostatnie koło Franzensbad w Czechach w obfitości rośnie) odłączyli i za osobny gatunek uznali, przyznać musimy, że nasze Sempervivum nie jest *hirtum* L., ale soboliferum Sims. Roślina ta wszędzie i koło Krakowa po wszystkich skałach wapiennych pospolita, napotyka się znów ku południowi, na wapieniach Pienin, Podhala i Tatr. Wyśledzenie rozszerzenia się jéj geograficznego w kierunku północo-wschodnim byłoby bardzo pożądaném, tém bardziéj kiedy Prof. Jakób Waga we *Florze Polskiéj* na str. 719—720. Tom I i 812. T. II przytacza Sempervivum tectorum L.: „po wzgórkach piaszczystych gdzie niegdzie", a S. hirtum L.: „po miejscach suchych w Lubelskiém w lasach koło Zaklikowa, w Augustowskiém zaś koło Łomży na wzgórzach przy wsi Drozdowie". Zważywszy przeto wszystko, co się wyżéj powiedziało, bardzo będzie teraz prawdopodobném, że Sempervivum soboliferum Sims prócz Ojcowa, i daléj na północ w Królestwie Polskiém znaléźćby się powinno.

(4) Niewłaściwéj używano nazwy w niektórych dawniejszych polskich dziełach botanicznych dla rodzaju *Polypodium*—paproć dla *Aspidium* zaś lub *Polystichum*—paprotki. Rodzaj bowiem *Polypodium* L., do którego gatunki: *P. vulgare* L., *P. phegopteris* L., *P. dryopteris* L. i *P. alpestre* Hoppe należą, lepiéj jako małe paprotką nazywać. Należące zaś do rodzaju *Polystichum* Rth. *P. thelypteris* Rth., *P. oreopteris* DI., *P. filix mas* Rth., *P. cristatum* Rth. i *P. spinulosum* DI., jako większe i również jak i przerzeczone paprotki do krajowych należące, paprocią mianować;

rum L. (języczyca lekarska) w lesie od północy zamku. Przy drogach zaś lub koło pól: *Alopecurus pratensis* L. var. *nigricans* Koch (wyczyniec czarniawy), *Centaurea maculosa* Lam. (chaber plamisty) i *Ononis spinosa* L. (wiłżyna iglica).

Postępując daléj doliną od Pieskowéj Skały, dochodzimy do Grodziska, pod którym Prądnik tworzy dwa stawy. Są tu rośliny błotne i wodne, a z ważniejszych: *Juncus glaucus* Ehrh. (sit siny), *Heleocharis palustris* R. Br. (ponikło błotne), *Potamogeton natans* L. et *P. crispus* L. (wrzecznik pływający i pomarszczony), *Iris pseudo-acorus* L. (kosaciec kosacz), *Limosella aquatica* L. (namulnik wodny), *Ranunculus divaricatus* Schrnk. (jaskier rozwarty), *Lemna minor* L. (rzęsa mniejsza), *Equisetum limosum* L. et *E. palustre* L. (skrzyp mułowy i błotny) i *Sium latifolium* L. (marek szerokolistny).

Odtąd z obu brzegów sterczą skały, a szereg ich zaczyna pustelnia Grodzisko z kaplicą Św. Salomei. Gęsty las liściasty aż do zamku Ojcowskiego pokrywa brzegi spadziste doliny, w którym *buki*, *graby*, *klony* i *jawory* przeważają. Jestto miejsce najobfitsze w rozmaite rośliny, między któremi prócz powyżéj wspomnianych, które również i tu się przytrafiają, następne godne są uwagi: *Thalictrum aquilegifolium* L. (rutewka orlikolistna), *Anemone silvestris* L. foliis radicalibus 5 partitis, laciniis subrhombeis, sepalis florum subquinis obovatis, carpellis tomentosis; *A. hepatica* L. et *ranunculoides* L. (zawilec leśny, trojanek i jaskrowaty), *Ranunculus cassubicus* L., *R. auricomus* L. et *R. lanuginosus* L. (jaskier kaszubski, różnolistny i kosmaty), *Isopyrum thalictroides* L. (zdrojówka rutewkowata), *Aconitum septentrionale* Koelle (tojad północny), *Actaea spicata* L. (czerniec gronkowy), *Corydalis cava* Schwg. *C. intermedia* Mer. et *C. solida* Sm. (kokorycz wydrążony z kwiatem białym i szkarłatnym, k. pośredni i pełny), *Arabis hirsuta* Scop. et *A. arenosa* L. (gęsiówka szorstkowłosista i piaskowa), *Cardamine impatiens* L. (rzeżuszka skoczek), *Dentaria glandulosa* W. et Kit. (żywiec gruczołowy),

tém bardziéj, kiedy to jest nazwa ludowa obecna, a nawet i Syreniusz, któregoby niejako za summę swych poprzedników ziołopisarzy uważać wypadało: „*Zielnik Herbarzem z języka łacińskiego zowią, tojest Opisanie* etc.". *W Krakowie, w drukarni Bazylego Skalskiego, roku Pańskiego 1613*, fol., na str. 1522—1524 tego samego miana użył.

Viola mirabilis L., *V. silvestris* Lmk. et *V. hirta* L. (fiołek dwoistokwiatowy, leśny i kosmaty), *Silene nutans* L. (lepnica zwisła), *Lychnis diurna* Sibth. (firletka leśna), *Stellaria nemorum* L. (gwiazdnica gajowa), *Hypericum montanum* L. et *H. hirsutum* L. (dziurawiec górski i kosmaty), *Geranium columbinum* L. (bodziszek wielkokielichowy), *Cytisus capitatus* Jacq. (szczodrzenica główkowata), *Anthyllis vulneraria* L. (przelot wełnica), *Trifolium alpestre* L. et *T. rubens* L. (koniczyna dwugłówkowa i wielka), *Astragalus glycyphyllos* L. (tragant szerokolistny), *Ervum silvaticum* Peterm. (soczewica leśna), *Orobus vernus* L. et *O. niger* L. (drzewigroszek wiosenny i czarny), *Rubus saxatilis* L. (malina kamionka), *Rosa tomentosa* Sm. (róża kutnerowata), *Epilobium montanum* L. (wierzbówka górska), *Circaea lutetiana* L. (czartokwit zwyczajny), *Ribes alpinum* L., *R. rubrum* L. et *R. grossularia* L. var. *uva crispa* L. (porzeczka alpejska, zwyczajna i agrest dziki) brzegi lasów, *Chrysosplenium alternifolium* L. (śledziennica naprzemianlistna), *Heloscladium repens* Koch (pęczyna płożąca się), *Laserpitium latifolium* L. (okrzyn szerokolistny), *Adoxa moschatellina* L. (piżmaczek wonny), *Viburnum opulus* L. (kalina pospolita), *Lonicera xylosteum* L. (wiciokrzew pospolity), *Asperula tinctoria* L. (marzanka barwierska), *Galium vernum* Scop. et *G. silvaticum* L. (przytulia wiosenna i leśna), *Valeriana tripteris* L. (5) (kozłek trójlistny) po skałach i w lesie, *Petasites albus* Gaertn. (lepiężnik biały), *Chrysanthemum corymbosum* L. (jastrun baldaszkogronowy), *Senecio Fuchsii* Gmel. (marzymłodek Fuchsa), *Hieracium boreale* Fries et *H. murorum* L. var. *silvaticum* L. (jastrzębiec północny i leśny), *Campanula cervicaria* L. et *C. sibirica* L. (dzwonek kosmaty i sybirski), *Adenophora lilifolia* Lédebour (dzwonecznik pachnący), *Vaccinium vitis idaea* L. (borówka brusznica), *Pirola secunda* L. et *P. rotundifolia* L. (gruszyczka jednostronna i okrągłolistna), *Asclepias vincetoxicum* R. Br. (ciemiężyk zwyciężyjad), *Gentiana cruciata* L. et *G. ciliata* L. (goryczka krzyżowa i rzęsowata), *Pulmonaria azurea* Bess. et *P. mollis* Wolff. (miodunka błękitna i miękowłosa), *Cerinthe minor* L. (ośmiał mniejszy), *Symphytum tuberosum* L. (żywo-

(5) Gatunek ten nie objęty Florą Dra Lédebourа, dosięga w Ojcowie swéj północno-wschodniéj granicy.

kost bulwkowy), *Myosotis silvatica* Hoffm. (niezapominajka leśna), *Scopolina atropoides* Schult. (lulecznica brunatna), *Atropa belladonna* L. (pokrzyk wilczojagoda), *Scrophularia Ehrhartii* Stev. (trędownik wodny), *Digitalis ambigua* Murr. (naparstnica żółta), *Veronica austriaca* L. var. *dentata* Koch (przetacznik ząbkowany), *Lathraea squamaria* L. (łuskiewnik zwyczajny), *Nepeta nuda* L. (kocimiętka goła), *Melittis melissophyllum* L. (płaszczycznik matecznikolistny), *Stachys alpina* L. et *S. silvatica* L. (czyściec alpejski i leśny), *Primula elatior* Jacq. (pierwiosnka wyniosła), *Trientalis europaea* L. (siódmaczek pospolity), *Arum maculatum* L. (obrazki pospolite) brzegi lasu ku zamkowi Ojcowskiemu, *Cephalanthera grandiflora* Babingt. et *C. xiphophyllum* Rchb. fil. (buławnik wielkokwiatowy i mieczolistny), *Epipactis latifolia* All. et *E. rubiginosa* Gaud. (kruszczyk zielonawy i rdzawo-czerwony), *Neottia nidus avis* Rich. (gnieźnik gniazdocz), *Galanthus nivalis* L. (przebiśnieg pospolity), *Convallaria verticillata* L. (konwalia okręgowa), *Lilium martagon* L. (lilia maśleszka), *Gagea pratensis* Schult. (złoć łąkowa), *Allium fallax* Schult. (6) (czosnek zwodniczy), *Luzula multiflora* Lejeun. (kosmatka wielokwiatowa), *Carex digitata* L., *C. silvatica* Huds. et *C. brizoides* L. (turzyca palczasta, leśna i drżączkowata), *Poa nemoralis* L. (wyklina gajowa), *Festuca glauca* Lam. et *F. gigantea* Vill. (kostrzewa sina i olbrzymia), *Equisetum silvaticum* L. (skrzyp leśny), *Lycopodium clavatum* L. et *L. selago* L. (widłak babimur i wroniec), *Botrychium lunaria* L. (podejrzon pospolity), *Polypodium vulgare* L. (paprotka pospolita), *Polystichum filix mas* Rth. *P. spinulosum* Dl. et *P. oreopteris* Dl. (paproć samcza, ciernista i brzeżnokupkowa), *Asplenium filix femina* Bernh., *A. trichomanes* L. et *A. ruta muraria* L. (zanokcica samicza, skalna i właściwa), wreszcie *Pteris aquilina* L. (zgasiewka orlica).

Zamek Ojcowski leży na wzgórzu poprzecznem zamykającém dolinę od wschodu, a przerwaném jedynie łożyskiem

(6) *Allium fallax* Schult., pospolity wszędzie po skałach koło Krakowa, równie obficie znajduje się w Ojcowie. Allium senescens L. Besser *Flor. Galic.* n. 395; roślinę uralsko-sybirską należy wyłączyć z flory ojcowskiéj, a w miejsce takowéj przyjąć Allium fallax Schultesa.

Prądnika. Jestto grzbiet powstały z opoki pokrywającéj wapień juraiczny. Od zamku roztwiera się malowniczo dolina z obu stron, tysiącem różnokształtnych skał przystrojona. W nichto obszerne groty, na kilkaset stóp długie, a do 60 stóp wysokie, pokryte sopleńcami, naciekami i wypełnione kośćmi zwierząt przedpotopowych. Tak zwana Ciemna, czyli właściwiéj Ojcowska i Królewska, czyli Czajowicka, są największe, ale nie brak i pomniejszych, tak tu, jak i we wsi sąsiedniéj Jerzmanowicach. Brzeg południowy doliny, w którym grota Czajowicka się znajduje, wznosi się najwyżéj, i tworzy wzgórze zwane Chełmem, znacznie podniesione (1265 stóp par. n. p. m.) nad poziom okolicznéj wyżyny. Gęsty las śpilkowy pokrywa zębato poszarpane skały, a z roślin ważniejszych są następujące: *Anemone sil vestris* L. (zawilec leśny), *Aquilegia vulgaris* L. (orlik pospolity), *Aconitum lycoctonum* L. (tojad wilczy) po brzegach lasu od południa, *Cimicifuga foetida* L. (pluskwica śmierdząca) po obu brzegach doliny wszędzie, *Papaver argemone* L. (mak goździsty) Czajowice, *Nasturtium officinale* R. Br. et *N. palustre* Dl. (rzeżucha wodna i błotna), *Hesperis matronalis* L. (wieczernik damski) koło płotów, *Sisymbrium strictissimum* L. et *S. Loeselii* L. (wrzodawiec sztywny i Loesela), *Erysimum strictum* Gaertn. Fl. Wett. (gorczycznik wyprężony), *Diplotaxis muralis* Dl. (wielichota pospolita), *Parnassia palustris* L. (dziewięciornik błotny), łąki, *Dianthus deltoides* L. (goździk kropkowany), *Silene inflata* Sm. (lepnica skrzypka), *Viscaria vulgaris* Roeling (smółka pospolita), *Spergularia rubra* Presl. (muszotrzew czerwony), *Hypericum tetrapterum* Fr. (dziurawiec czteroskrzydły), *Geranium dissectum* L. (bodziszek wązkolistny) pola, *Impatiens noli tangere* L. (niecierpek pospolity), *Oxalis stricta* L. (szczawik żółty) pola, *Sarothamnus scoparius* Koch (żarnowiec miotłowy) po brzegach lasu koło Czajowic i Białego Kościoła, *Cytisus biflorus* L'Hérit. (szczodrzenica dwukwiatowa), *Genista germanica* L. (janowiec kolczysty), *Ononis hircina* Jacq. (wilżyna łąkowa), *Ervum silvaticum* Peterm. (soczewica leśna), *Trifolium rubens* L., *T. medium* L. et *T. agrarium* L. (koniczyna wielka, pogięta i polna), *Spiraca aruncus* L. (tawuła drobnokwiatowa), *Rubus glandulosus* Bellard. (malina gruczołowa), *Alchemilla montana* Willd. (przywrotnik jedwabisty), *Rosa rubigi-*

nosa L. et *R. tomentosa* Smith. (róża rdzawa i kutnerowata), *Potentilla recta* L. (pięciórnik prosty), *Cotoneaster vulgaris* Lindl. (niesplik irga) po skałach, *Circaea alpina* L. et *C. intermedia* Dl. (czartokwit alpejski i pośredni) w lasach i w saméj dolinie, *Sedum sexangulare* L. et *S. maximum* Sut. (rozchodnik sześciorzędowy i wielki), *Ribes alpinum* L. et *R. grossularia* L. var. *uva crispa* L. (porzéczka alpejska i agrest dziki) w lasach i po brzegach lasów. *Pimpinella magna* L. (biedrzeniec wielki), *Seseli coloratum* Ehrh. (żebrzyca ubarwiona) skały, *Libanotis montana* All. (oleśnik górski), skały, *Peucedanum cervaria* Lap. (gorzysz jeleniec), *Heracleum longifolium* Bess. (barszcz długolistny) brzegi lasów, *Chaerophyllum hirsutum* L. et *Ch. aromaticum* L. (świerząbek szorstkowłosisty i korzenny), *Asperula aparine* Besser (marzanka lepczycowata) po brzegach Prądnika, *Galium rotundifolium* L. et *G. silvestre* Poll. (przytulia okrągłolistna i gajowa) po skałach, brzegach lasów, i w lesie, *Valeriana tripteris* L. et *V. dioica* L. (kozłek trójlistny i mały) po murawnikach i łąkach w dolinie, *Scabiosa columbaria* L. (dryakiew górska) po murawnikach i skałach, *Petasites officinalis* Mncl. (lepiężnik pospolity), *Inula hirta* L. (oman kosmaty) po skałach, *Filago germanica* L. (nicennica widlasto-dzielna), *Gnaphalium silvaticum* L. (szarota leśna), *Chrysanthemum leucanthemum* L. var. *montanum* Willd. (jastruń skalny) po skałach i ogrojcach, *Senecio nemorensis* L. (marzymłodek gajowy) *Cirsium rivulare* Lk. (ostrożeń trójgłówkowy), *Carlina acaulis* L. (kąsina bezłodygowa), *Serratula tinctoria* L. (sierpik barwierski), *Centaurea scabiosa* L. (chaber wielkokwiatowy), *Tragopogon orientalis* L. (kozibród wschodni) łąki w saméj dolinie, *Sonchus arvensis* L. var. *glaber* Schult., S. uliginosus M. Bieb. Lédeb Fl. Ross. vol. II, p. 834 (mlecz polny gładki) po łąkach i polach, *Crepis biennis* L. var. *lodomiriensis* Bess. (pąpawa szorstka) brzegi doliny, *Crepis virens* Vill. (pąpawa zielona) Jerzmanowice, *Hieracium umbellatum* L. et *H. praealtum* Vill. var. *Bauhini* Bess. (jastrzębiec baldaszkogronowy i wysoki), *Jasione montana* L. (jasieniec pospolity), *Campanula rotundifolia* L. *C. rotundifolia* L. var. *pusilla* Haenke et *C. persicifolia* L. (dzwonek okrągłolistny, drobny i wielkokwiatowy), *Monotropa hypopitys* L. (korzeniówka pospolita), *Asperugo procumbens* L. (lepczyca leżąca) zamek Ojcowski,

Omphalodes scorpioides Lehm. (ułudka niezapominajkowata), *Cynoglossum montanum* Lmk. (ostrzeń górski) w pobliżu zamku, *Nonnea pulla* DI. (miedzinka brunatna) Jerzmanowice, *Cerinthe minor* L. (ośmiał mniejszy), *Myosotis silvatica* Hoffm. et *M. caespitosa* Schultz. (niezapominajka leśna i darniowa), *Atropa belladonna* L. (wilczojagoda właściwa) w pobliżu Chełmu, *Digitalis ambigua* Murr. (naparstnica żółta), *Veronica latifolia* L. (przetacznik szerokolistny) skały, *Veronica Buxbaumii* Tenor. (przetacznik Buxbauma) po polach wszędzie, *Alectorolophus minor* W. et Grab. (grzebycznik mniejszy), *Euphrasia micrantha* Rchb. (świetnik drobnokwiatowy) brzegi doliny i koło Szyc, *Stachys alpina* L., *S. annua* L. et *S. recta* L. (czyściec alpejski, roczny i prosty) lasy i skały, *Galeopsis pubescens* (posiewnik omszony), *Prunella grandiflora* Jacq. (głowienka wielkokwiatowa), *Teucrium botrys* L. (ożanka groniasta), *Clinopodium vulgare* L. var. *fl. albo* (storzyszek białokwiatowy), *Anagallis caerulea* Schrb. (kurzyślad błękitny) Smardzowice, *Blitum virgatum* L. (iminda rózgowa) podzamcze, *Chenopodium hybridum* L. (mączyniec wielkolistny), *Euphorbia platyphyllos* L. (wilczomlecz szerokolistny), *Arum maculatum* L. foliis semper concoloris sine maculis (obrazki pospolite) podzamcze od Zachodu, *Orchis coriophora* L., *O. militaris* L., *O. milit.* L. var. *fl. albo* et *O. morio* L. (storczyk cuchnący, kukawka i samczy) łąki i brzegi doliny, *Spiranthes autumnalis* Rich. (śrubokwit jesienny) murawniki na skałach, *Corallorrhiza innata* R. Br. (żłobik koralowy) lasy bukowe lub grabowe, *Epipactis palustris* Contz. (kruszczyk błotny) łąki, *Epipogon aphyllus* Sw. (storzan bezlistny) lasy od południa zamku wraz z Aspidium aculeatum, *Anthericum ramosum* L. (pajęcznica gałęzisto), *Scirpus compressus* Pers. (sitowie turzycowate) po łąkach wszędzie, *Carex pallescens* L. (turzyca bladawa), *Stypa pennata* L. (ostnica piórowa) murawniki między skałami, a szczególniéj koło jaskini Ojcowskiéj, *Corynephorus canescens* P. B. (szczotlicha siwa) Czajowice. *Holcus mollis* L. (miątwa miękka), *Arrhenaterum elatius* M. et Koch (wysypka pastewna), *Avena caryophyllea* Web. et *A. pratensis* L. (owies goździkowy i łąkowy), *Glyceria fluitans* R. Br. (manna jadalna), *Cynosurus cristatus* L. (grzebienica pospolita), *Festuca ovina* L. (kostrzewa owcza), wreszcie *Secolo-*

pendrium officinarum L. (języczyca lekarska) na Chełmie od północy i *Aspidium aculeatum* Sw. (paprotnik kolczysty) w lesie od południa Zamku ojcowskiego (7).

Po godzinnéj drodze daléj na wschód od zamku Ojcowskiego, owe urocze skały maleją, brzegi doliny osypują się coraz bardziéj ziemią, lasy rzedną lub całkiem ustają. Wreszcie doszedłszy do miejsca zwanego Hamernią, dolina się znacznie roztwiera i pod Giebułtowem na południe skręcając — w okolicy Januszowic i Trojanowic przechodzi w równinę, otaczającą Kraków od wschodo-północy.

Powyżéj Hamerni na prawo, po parowach od Szyc wbiegających w główną dolinę, z pośród wrzosowiska tu i owdzie wyrasta krzaczek na parę stóp wysoki brzeziny, która na piérwszy rzut oka nie zwraca uwagi, témbardziéj, że w pobliżu liczne i piękne drzewa tworzą mały lasek brzozowy. Owe krzewy brzeziny corocznie kwitnące i owoce zawięzujące (z wyjątkiem roku zaprzeszłego i przeszłego), są odmianą (varietas) tylko brzozy zwyczajnéj, którą Besser jako osobny i szczególny gatunek (species) pod nazwą *brzozy ojcowskiéj*, Betula oycoviensis Besser *Fl. Gal.* n. 1166 p. 289 et 396, opisał. Na to zgadzają się dzisiaj prawie wszyscy botanicy, będąc jeszcze

(7) Nie można tu zamilczéć wiadomości o niektórych roślinach wymienionych przez autorów: „*Wędrówki po okuskim powiecie*" zamieszczonéj w Tygodniku Poznańskim „*Przyroda i Przemysł*" na str. 118—120 r. 1850, które jako niezawodnie przez pomyłkę między innemi rzeczywiście się znajdującemi, wciśnięte do ich opisu okolic Olsztyna i Złotego Potoku wykreślonemi być winny. Następne, jak: *Saxifraga aizoides*, *S. caespitosa*, *S. hieracifolia*, *S. sibirica*, *S. bryoides*. *Epilobium alpinum*, *Veronica alpina*, *V. aphylla*, *V. saxatilis*, są to rośliny wyłącznie alpejskie, które swéj granicy nigdy nie przekraczają. Tylko w Alpach szwajcarskich, tyrolskich, salcburskich, styryjskich, Pyreneach, Apeninach i w naszych Tatrach napotykać je można. Jeszcze *Veronica aphylla* i *V. saxatilis* spuszczają się często do dolin tuż pod górami leżących, jak to np. na Podhalu tatrzańskiém zaraz z wiosny spostrzegać się daje. Ale reszta powyżéj wymienionych zamieszkuje jedynie miejsca skaliste Alp między 5,000 a 8—9,000 stp. n. p. morza wzniesione, w Tatrach zaś między 4,500—7,500 stp. n. p. m. Nadto *Saxifraga sibirica* właściwa jedynie Syberyi i w swéj nieznacznéj odmianie Tatrom, nie spuszcza się nigdy niżéj nad 5,500 stóp, rachując od poziomu morza.

poparci przez prof. Trautvetter (8), który wyjąwszy z zielnika po ś. p. Besserze w uniwersytecie kijowskim pozostałego oryginalne okazy owéj brzozy, przekonał się, że zasługiwałaby tylko na nazwę odmiany i takową téż za *Betula alba* L. var. *verrucosa* Wallr. Schedul. crit. p. 495 oznaczył (9).

Zresztą ogólna cecha flory doliny Ojcowa zgadza się z florą dalszych okolic krakowskich, należących do podgórza karpackiego; a o ile ta dolina przedstawia rozmaitość w swéj budowie wewnętrznéj i powierzchownem ukształtowaniu, o tyle i ilość pojedyńczych gatunków zebranych z wielkich przestrzeni skupia się tu niejako w jedno miejsce. Okolice Białego Kościoła, Czajowic i Jerzmanowic są piasczyste, płonne i suche, Smardzowic i Gorzkwi więcéj gliniaste, w saméj zaś dolinie przeważa glina pokrywająca wapień juraiczny lub opokę należącą już do formacyi kredowéj; przytém pola uprawne, łąki i moczary po brzegach Prądnika, gaje, lasy i tak liczne skały: wszystko to niezmiernie wpływa na florę miejscową, i staje się przyczyną jéj rozmaitości.

Przejrzawszy teraz pilnie rośliny tu podane, trafiające się przeważnie w saméj dolinie, z bardzo małemi wyjątkami okolic przyległych, i porównawszy takowe z florą Królestwa Polskiego (10), przybywa dla niéj: *Ranunculus cassubicus* L. *Aconitum lycoctonum* L., *A. septentrionale* Koelle, *Corydalis*

(8) Patrz: *Bulletin de St. Pétersbourg* Vol. XV. N. 18. p. 287.

(9) Obraz *brzozy Ojcowskiéj* zrobiony przez Reichenbacha i w jego: „*Icones Florae Germanicae*". C. XII, tab. 622, fig. 1181 zamieszczony, podobnym jest raczéj do *Betula fruticosa* Pall. *B. humilis* Schrnk., do któréj téż i sam twórca obrazu Brzozę Ojcowską podciągnął.

(10) *Flora roślin jawnokwiatowych królestwa Polskiego*, p. Jakóba Wagę. *Tom I i II, w Warszawie, 1847—1848* w 8-ce, dzieło, które za pierwsze w swym przedmiocie odnośnie do tego kraju uważać należy, odznaczające się ścisłą nader sumiennością i wielką naukową dokładnością opisów roślin jawnokwiatowych, powszechnie uprawianych i dziko rosnących w Królestwie Polskiém, z wyjątkiem części dawnéj ziemi krakowskiéj. Przytém jako tom III: „*Ukaziciel polskich nazwisk na rodzaje królestwa roślinnego przez* Antoniego Wagę". Za które to dzieło, wymagające tak mozolnéj pracy w wertowaniu tylu starych ksiąg i obrobieniu ich krytyczném, należy się autorowi prawdziwa wdzięczność tak użytecznéj książki.

intermedia Merat., *Nasturtium officinale* R. Br. *Dentaria glandulosa* W. et Kit., *Hesperis matronalis* L., *Sisymbrium strictissimum* L., *Erysimum strictum* Goertn. Fl. Wett., *Diplotaxis muralis* Dl., *Viola hirta* L., *V. silvestris* Lmk., *Hypericum hirsutum* L. *Geranium dissectum* L., *Oxalis stricta* L., *Rhamnus cathartica* L. var. *pumila*, *Cytisus capitatus* Jacq., *Rosa pumila* L. fil., *R. rubiginosa* L., *Poterium sanguisorba* L., *Coloneaster vulgaris* Lindl., *Rubus glandulosus* Bellard., *Sempervivum soboliferum* Sims., *Helosciadium repens* Koch, *Archangelica officinalis* Hoffm., *Asperula aparine* Bess., *Galium rotundifolium* L., *G. silvestre* Poll., *Valeriana tripteris* L., *Petasites albus* Gaertn., *Inula conyza* Dl., *Chrysanthemum leucanthemum* L. var. *montanum* Willd., *Ch. corymbosum* L., *Senecio Fuchsii* Gmel., *Tragopogon orientalis* L., *Prenanthes purpurea* L., *Sonchus arvensis* L. var. *glaber* Schult. (S. uliginosus M. Bieb. Lédeb. Fl. Ross. vol. II p. 834), *Crepis virens* Vill., *C. biennis* L. var. *lodomiriensis* Bess., *Hieracium boreale* Fries (H. sabaudum L. fl. succ., ale nie Hort. Ups., Spec. Plant. i Herb.), *H. murorum* L. var. *silvaticum* L., *Campanula rotundifolia* L. var. *pusilla* Haenke, *Cynoglossum montanum* Lmk. *Omphalodes scorpioides* Schrnk., *Symphytum tuberosum* L., *Pulmonaria mollis* Wolff., *Myosotis caespitosa* Schultz., *M. silvestre* Hoffm., *Scopolina atropoides* Schult., *Veronica austriaca* L. var. *dentata* Koch, *V. Buxbaumii* Ten., *Euphrasia micrantha* Rchb., *Nepeta nuda* L., *Stachys alpina* L., *Betula alba* L. var. *verrucosa* Wallr., *Alnus pubescens* Tausch., *Arum maculatum* L., *Epipogon aphyllus* Sw., *Cephalanthera grandiflora* Babing. *C. xiphophyllum* Rchb. fil., *Epipactis rubiginosa* Gaud., *Corallorrhiza innata* R. Br. *Veratrum lobelianum* Bernh., *Luzula albida* Dl., *L. multiflora* Lejeun., *Melica ciliata* L., *Avena caryophyllea* Web., *A. pratensis* L., *Alopecurus pratensis* L. var. *nigricans* Koch, *Stypa pennata* L., *Equisetum arvense* L., *E. silvaticum* L., *E. palustre* L., *E. limosum* L., *Lycopodium clavatum* L., *L. selago* L., *Botrychium lunaria* Sw., *Polypodium vulgare* L., *P. phegopteris* L., *P. dryopteris* L., *Aspidium aculeatum* Sw., *Polystichum oreopteris* Dl., *P. filix mas* Rth., *P. spinulosum* Dl., *Cystopteris fragilis* Bernh., *Asplenium trichoma-*

nes L., *A. filix femina* Bernh., *A. ruta muraria* L., *Scolopendrium officinarum* Sw., *Pteris aquilina* L.

Z czego wypada, że flora Królestwa Polskiego zyskuje nowych rodzajów 12, gatunków 62, a odmian 8, co czyni razem 70 nowych roślin. Prócz tego znajduje się tu jeszcze: skrzypów gat. 4, widłaków gat. 2 i paproci gat. 14. czyli razem 20 roślin, które jako należące do skrytopłciowych w porównanie nie wchodzą.

Indygienów zaś, czyli roślin jedynie dolinie Ojcowskiéj właściwych, po odjęciu jéj owéj mniemanéj brzozy Ojcowskiéj, żadnych nie ma. Zawsze jednak z przeglądu flory tego miejsca pokazuje się, że obfituje w rzadkie i piękne rośliny, należące w ogólności do flory Podgórza Karpackiego, z małemi wyjątkami kilku gatunków, przekraczających już niejako bramę krainy następnéj, tojest podalpejskiéj.

Kraków, w styczniu 1859 roku. *F. Berdau.*

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA

DZIEŁ I PISM WYCHODZĄCYCH W KRÓLESTWIE POLSKIÉM.

Miesiąc czerwiec 1859 roku.

DZIEŁA.

Sierociński Teodozy. Grammatyka polska, część 2. O składni. Wydanie 3, Warszawa, 1859, nakład. J. Błaszkowskiego, druk J. Psurskiego, w 8ce, str. 78.

Wykład skrócony tego, co każdy chrześcianin wiedzieć, wierzyć i pełnić powinien, oraz sposób, podług którego każdy rozmyślać potrafi, i modlitwy, z francuzkiego przez M. B. C. Warszawa, 1859, druk A. Gins. W 16ce, str. 31, okład. druk., kop. 15.

Amszejewicz Michał. Dykcyonarz zawierający: wyrazy i wyrażenia z obcych języków polskiemu przyswojone, a mianowicie: w umiejętnościach, sztukach, tudzież w stylu prawniczym, administracyjnym, gazeciarskim, naukowo-filozoficznym, literackim i w potocznéj mowie używane; do użytku powszechnego ułożony. Warszawa, 1859, druk A. Gins. W 8ce, zeszyt VIII, str. od 337—384.

Cumming. Latarnik z Bostonu, powieść amerykańska, przełożona przez *Sewerynę z Żochowskich Pruszakową.* Warszawa, 1859, nakł. F. Blumenthala, druk J. Ungra. W 12ce, tom I str. 405. Tom II str. 413, okład. druk. Rsr. 2 k. 50.

Lenartowicz Teofil. Poezye w dwóch częściach. Wydanie 2. Warszawa, 1859, nakł. A. Nowoleckiego, druk J. Jaworskiego. W 8ce, str. 95 (wyd. tyt.), kop. 50.

Żmijewski Eugeniusz. Sceny z życia koczującego. Warszawa, 1859, nakł. A. Lewińskiego, druk Gazety Codziennéj. W 4ce. T. I str. II i 195. T. II str. 160, okł. druk. (Przedruk z Gazety Codziennéj) Rsr. 1 kop. 80.

Twarowska Teresa z S....skich. Gospodyni polska, czyli Poradnik dla niewiast naszych, obejmujący przepisy kuchenne wyprobowane i różne

sekreta gospodarskie, poprzedzone wstępem o porządku domu, z drzeworytami. Warszawa, 1859, nakł. K. Bernsteina, druk J. Jaworskiego. W 4ce, str. 368 i spisu przedmiotów IX, okł. druk. rsr. 1.

Torosiewicz Teodor. O zdroju siarkowym w Swoszowicach. Warszawa, 1859, druk S. Orgelbranda. W 8ce, str. 11. (Odbitka z Pamiętnika Tow. Lekar. Warszawskiego).

Schedling Juliusz. Zasady praktycznego miernictwa i niwellacyi do użytku gospodarzy wiejskich, z 71 drzeworytami. Warszawa, 1859, druk J. Jaworskiego. W 8ce, str. nieliczb. 2, liczb. 66 i III, okład. druk. k. 60.

Szpargały wiosenne humorystyczno-artystyczne, zebrane przez Bocianów Polskich. Warszawa, 1859, druk K. Kowalewskiego. W 4ce, str. 70, okład. druk. rsr. 1 k. 80.

Gwozdecki Baltazar. Wianki, opera romantyczno-komiczna w 4 aktach oryginalnie napisana (w roku 1849). Muzykę do niéj napisał Polak ś. p. Aleksander Martin (w roku 1854). Warszawa, 1859, nakł. autora, druk J. Jaworskiego. W 12ce, str. 59, okł. druk. k. 30.

Zieliński W. Nowy Komeniusz, czyli pierwiastki konwersacyi polskiéj, francuzkiéj i niemieckiéj, obejmujące: 1) Zupełny zbiór wyrazów i wyrażeń najużywańszych w stosunkach towarzyskich. 2) Wzory potocznéj konwersacyi. 3) Grammatyczne początki trzech wymienionych języków. Wydanie 5. Warszawa, 1859, nakł. G. Sennewalda, druk K. Budweisera w Krakowie. W 12ce, str. 358, okł. druk. rsr. 1.

Ganot A. Wykład początków fizyki doświadczalnéj i stosowanéj, oraz meteorologii, przekład z francuzkiego podług siódmego wydania przez studentów C. K. War. Med. Chir. Akademii pod kierunkiem Stanisława Przystańskiego. Warszawa, 1859, nakł. J. Błaszkowskiego, druk K. Kowalewskiego. W 8ce, zeszyt V, str. od 421—548, okład. druk.

Lenartowicz Teofil. Nowa lirenka. Rytmy. Warszawa, 1859, druk K. Kowalewskiego. W 8ce, str. 132 i spisu przedmiotów nielicz. 2, rsr. 1.

Zagórski Apolinary. Gawędy naukowe, obejmujące wiadomości z nauk przyrodzonych. Wydanie pośmiertne z portretem autora i życiorysem napisanym przez *J(ózefa) I(gnacego) Kraszewskiego.* Warszawa, 1859, druk J. Psurskiego. W 8ce. T. I str. XL, 308 i spisu rzeczy nieliczb. 2. T. II, str. 463 i spisu rzeczy tudzież listy prenumeratorów nieliczb. 9, okład. druk. rsr. 2 kop. 40.

Program zakładu wyższego naukowego prywatnego realnego o pięciu klassach dla płci męzkiéj przez Jana Nepomucena Leszczyńskiego magistra prawa i administracyi w Warszawie, przy ulicy Sto Jerskiéj Nr. 1775 utrzymywanego, na popis publiczny w dniach 8 (20) i 9 (21) czerw. 1859 roku. Warszawa, 1859, druk braci Hindemith. W 4ce, str. 24.

Korzeniowski J(ózef). Rokiczana, drama liryczna w trzech aktach do muzyki *Stanisława Moniuszki.* Warszawa, 1859, nakł. G. Gebethnera, druk K. Kowalewskiego. W 8ce mniejszéj, str. II i 118, okł. druk. k. 60.

Guillois Ambroży ks. Katechota na kazalnicy. Układ kazań, konferencyj i nauk o głównych przedmiotach wiary chrześciańskiéj. Dzieło pozgonne wydane przez ks. *Alix,* z francuzkiego tłumaczył *Leon Rogalski.*

Tom I, Dogmata. Warszawa, 1859, nakład i druk J. Glücksberga. W 8ce, str. 530 i spisu przedmiotów nieliczb. 2, okł. druk. (Tom II już się drukuje). Rsr. 5 za trzy tomy.

Burow Julia (Pfannenschmidt). Lekarz w małém miasteczku, z niemieckiego przełożył *W. R.* Warszawa, 1859, druk J. Pszorskiego. W 8ce mniejsz. Tom I str. 180. Tom II str. 169 i listy prenumer. str. 6, nieliczb., okł. druk. rs. 1 kop. 20.

Natanson Ludwik. Przyczynek do fizyologicznéj dyagnostyki kurczów. Warszawa, 1859, nakł. H. Natansona, druk Gazety Codziennéj. W 8ce, str. 38, okł. druk. kop. 30.

Piętka Julian ks. Mowa miana przy uroczystéj benedykcyi na opata ks. ks. Benedyktynów Pułtuskich J. Ks. Ambrożego Prusińskiego przez JW. ks. Tadeusza Pomian hr. Łubieńskiego biskupa rodopolitańskiego w d. 25 października 1857 roku. Warszawa, 1859, druk J. Jaworskiego. W 8ce mniejsz., str. 32, okł. druk.

Abrégé des aventures de Telemaque fils d'Ulysse. Przygody Telemaka syna Ulissesa, podług dzieła Fenelona w skróceniu, z dodaniem uwag objaśniających trudniejsze wyrażenia i galicyzmy, oraz słownika francuzko-rossyjsko-polskiego i mitologicznego, zawierającego opisanie okolic, miast, rzek, gór, pomników, sławnych osób w starożytności, bogów, bohaterów bajecznych, wzmiankowanych w tém dziele, przez *B. L.* (*Bernarda Lessmana*). Wydanie nowe, starannie przejrzane i poprawione. Warszawa, 1859, nakład. B. Lessmana, druk J. Jaworskiego. W 8ce, str. nieliczb. 4, liczb. 160 i 76, kop. 60.

Mieczyński Adam. Gospodarstwo mleczne wedle najlepszych źródeł praktycznych skreślone, 134 drzeworytów w tekscie. Warszawa, 1859, nakł. Zakładu rolniczo-przemysłowo-leśnego Ostrowskiego et Comp., druk Gazety Codziennéj, w 8ce. str. III, 346 i IV, okł. druk. rs. 1 kop. 20.

Złota gwiazdka dla dobrych dziatek. Początki czytania polskiego, zawierające: Naukę zgłoskowania, ułożoną podług najnowszych i najlepszych zasad, gawędki, rozmówki, powiastki, wierszyki różne i powinszowania, z dwudziestoma czterema obrazkami kolorowanemi. Warszawa, 1859, nakł. B. Lessmana, druk J. Jaworskiego. W 8ce, str. 32, okł. druk. kop. 40.

DZIEŁA ZBIOROWE.

Księga Świata etc. Poczet drugi, rok pierwszy. Zeszyt V zawiera:

Wezuwiusz. Kraj północno-uralski. Północne Alki. Lope de Vega, p. *Bolesława Wiktora (Stanisława Budzińskiego)*. Uczta chińska. Odkrycia na Oceanie Południowym. Atlas. Handel karawanowy w Saharze. Sprawozdanie popularne z dziedziny nauk przyrodzonych i przemysłu (p. *Wagnera*). (Do tego zeszytu dołączono półarkusz osobny poświęcony modom, wraz z rycinę mód i wzorami haftu).

PISMA PERYODYCZNE I GAZETY.

Pamiętnik religijno-moralny. Czerwiec. Nr. 6, str. od 601—729, okład. druk., zawiera:

Wykład Pisma Świętego: Przepisy obrzędowe wielkanocne, ofiary pierworodnych, wyjście z Egiptu, p. ks. *W. Serwatowskiego*. Wykład historyi kościelnéj, p. ks. *Lavigerie*, professora Sorbony: O Jansenizmie (dokoń.). Zarys dziejów biblijnych i chrześciańskich, krainy i dyecezyi Tanejskiéj w dolnym Egipcie, p. *A. Muchlińskiego*. Tradycyonalizm. Korrespondencye. Ksiądz Adam Olszewski (życiorys). Wiadomości naukowe i Bibliografia duchowna. Kronika kościelna i Rozmaitości.

Roczniki gospodarstwa krajowego. Tom XXXV, Poszyt 3. Miesiąc czerwiec, str. IV i od 375—796. Mappa 1, tablic 2 i spisu rzeczy V, okład. druk., zawiera:

Czynności komitetu T. R. w miesiącu maju r. b. Czynności sekcyi administracyjnéj T. R. z 1859 r. O urządzeniu płodozmianów na zasadzie ilości paszy, p. *Ludomiła Jastrzębowskiego*. O nawodnieniu łąk na folwarku Rytwiańskim w dobrach Staszowskich dokonaném (z mappą), p. *L. Bieleckiego*. Bieżące kwestye rolnicze, p. *Edmunda Stawiskiego*. Przegląd rolniczy zagraniczny, p. *Franciszka Lutosławskiego*. Odezwy Komitetu T. R.: 1) O probach i doświadczeniach w zakresie gospodarstwa wiejskiego odbywać się winnych. 2) Odezwa do miłośników obserwacyj meteorologicznych. 3) O wystawie zwierząt gospodarskich w Warszawie. 4) Okólnik w przedmiocie zebrania wiadomości dotyczących wychowu zwierząt domowych. Rozmaitości: Choroba winogradu i sposoby skutecznego jéj zwalczenia, p. *M. Kopczyńskiego*. Sprawozdania o pasiece, przez *Wiktora Bylickiego*. Wyrób sera szwajcarskiego w dobrach Włodawskich, przez *Michała Jasińskiego*. Czy kosa, czy sierp? p. *A. S.* Pobieżna instrukcya wychowu jedwabników, w głównych zarysach podana. Proszki Kwizdasa na choroby zapalne u bydła, p. *Macieja Ordęgę*. Objaśnienia i tabelle dotyczące cen zbożowych w Gdańsku, p. *Alexandra Makowskiego*. Przegląd wiadomości przez korrespondentów Tow. Rol. za m. maj r. b. nadesłanych. Dostrzeżenia meteorologiczne za m. kwiecień 1859 r.

Tygodnik lekarski. Nr. 19—21 zawierają:

Dymnicki: Sprawozdanie o chorych leczonych u zdrojowiska w Busku podczas pory kąpielnéj. *Kurowski:* Leucocythemia splenolymphatica. *Przystański:* Varia. *Janikowski:* Wiadomości z medycyny prawnéj i publicznéj. *Żmigrodski:* Łatwy sposób otrzymania najmielszego żelaza. *Kleszczowski:* Powietrze w opłucnéj. *Żmigrodzki:* Morfina z suchych nasienników krajowego maku. *Wilson:* O wodach mineralno-żelaznych w Sławinku pod Lublinem. *Maciejowski:* Leczenie reumatyzmu. *Sciborowski:* Wyciągi z pism zagranicznych. Spostrzeżenia meteorologiczno lekarskie. Nowe dzieła.

Ruch Muzyczny. Miesiąc Czerwiec, 1859. Nr. 22—26, zawierają:

Krótki rys historyi powszechnéj muzyki (ciąg dal.). Kilka słów o tłumaczeniu oper (z pism pozostałych po K. *Kurpińskim*). Tacchinardi. Dopełnienie życiorysu Hajdna. Uwertura do Maryi Malczeskiego L. Grosmana. Tempo i metronom. Kilka głosów o Chopinie. Paczka kompozycyj zagranicznych (przegląd). P. M. Kamiński. Podróż bez celu, p. *Orfeusza Dudaszka*. Koncert Ign. F. Dobrzyńskiego. Koncert religijny. Listy z Kijowa, p. *Józefa Doroszenkę*. Koncert podczas wyborów w Żytomierzu, p. *L'Hivera*. Koncert in partibus Germanorum, p. *Mruczka*. Stowarzyszenie autorów i kompozytorów dramatycznych we Francyi. Nowości krajowe i zagraniczne.

Magazyn Mód. Nr. 19—23, zawierają:

Faustyna, opowiadanie z dzieł p. *Reybaud* (ciąg dal.). Wojna debitorów z kredytorami, Sen mojego pryncypała. Róża, albo zręczne oszukaństwo, opowiadanie, przekład z francuzkiego. Szale indyjskie. Poezye. Myśli. Mody.

Czytelnia Niedzielna. Miesiąc czerwiec, 1859. Nr. 23—26, zawierają:

Sebastyan-Fabian Klonowicz. Skutki zazdrości. Godziny po robocie. Klon cukrowy. Pod Bożą-Męką. Ks. Karol Antoniewicz. O szczupaku. Świątobliwe niewiasty: VII Anna Ostrogska Lirnik na odpuście. Górnictwo. Dwa wozy. Jan Pawelec. Zdania. Poezye.

Gazeta Warszawska. Miesiąc czerwiec, 1859. Nr. 145—168, zawierają:

Przegląd literatury rossyjskiéj peryodycznéj (dokoń.). Literatura dramatyczna hiszpańska (ciąg dalszy). Korrespondencya z Krakowa o tamecznym ruchu umysłowym i literackim. Przegląd literatury zagranicznéj: Pamiętniki Guizota. Mołdawia i Wołoszczyzna (ciąg dal.). Wyścigi konne. Publiczne posiedzenie Towarzystwa Rolniczego w Królestwie Polskiem. Listy z podróży, p. *Tadeusza Padalicę (Zenona Fisza)*. Bordeaux. Sprawozdanie Zarządu Wystawy krajowéj sztuk pięknych w Warszawie. Kraj między Miucio i Adygą położony. Wiadomości literackie pod znaczkiem: —. Wiadomości bieżące pod cyfrą (w. z.).

Kronika Wiadomości krajowych i zagranicznych. Miesiąc czerwiec, 1859. Nr. 145—168, zawierają:

Kwestarz, obrazek wiejski (ciąg dal.). Alexander Humboldt (dok.). *Taillandier*, O filozofii i historyi w Niemczech. Niektórzy dawniejsi literaci, oraz dzieła ich dotyczące Polski, p. *A. K.* Zakłady piwa w New-Yorku. Korrespondencya z Ogrodowéj ulicy. Podsłuchane na włóczędze. Józia i Zosia, poezya i proza, napisał *Władysław Sabowski*. Wyścigi konne, p. *H. P.* Markier bilardowy, szkic. Przechadzki artystyczne po Rzymie: Gibson, Osterwald, p. *M. Chrzanowskiego*. Korrespondencye. Wiadomości literackie i bieżące pod znaczkami: α, ψ. Przegląd tygodniowy.

Gazeta Codzienna. Czerwiec. Nr. 145—167, zawierają:

Pogandka. Korrespondencye Cześnikiewicza (*Miniszewskiego*). Teatr: Dwie Margrabiny. Korrespondencya z Warszawy. O rzeczach naszych i nienaszych. Wyścigi konne. Wystawa zwierząt gospodarskich w r. 1859 w Warszawie. Pamiętniki Prometeusza (p. *Miniszewskiego*). Zjazd gospodarzy w Willanowie pod Warszawą. Korrespondencye krajowe i zagraniczne. Rozmaitości. Wiadomości literackie pod znakiem: W. Przegląd pism czasowych.

Gazeta Rządowa. Czerwiec. Nr. 120—141, zawierają:

Przepisy o utworzeniu delegacyi powiatowych i komitetów gubernialnych do czynszowania włościan w dobrach prywatnych osiedlonych. Instrukcya o porządku przedstawiania we Francyi cech fabrycznych, przy których używaniu poddani rossyjscy zechcą być tamże utrzymani. Ustawa o powinności zaciągowéj w Królestwie Polskiem.

Warszawska Gazeta Policyjna. Czerwiec. Nr. 152—181, zawierają:

Zwyczaje i obyczaje Japończyków.

Warschauer Zeitung. Juni. Nr. 27—48, zawierają:

Briefe aus Südamerika. Das Salz (c. d.). Ein Leben, eine Liebe, original-novelle. Die Stadt Lodź (c. d.). Geistliche Musik. Die Kettenbrücke über den Dniepr bei Kiew. Garibaldi. Ein Morgen in Alexandria. Metternich. Eine Negerjagd.

Korrespondent rolniczy, handlowy i przemysłowy. Miesiąc czerwiec, 1859. Nr. 42—49, zawierają:

Wyciąg ważniejszych przedmiotów z różnych nowszych czasopismów rolniczych zagranicznych. Kilka słów o upadku i potrzebie chowu inwentarza rogatego ze stanowiska ogólnego użytku. Przegląd rozpraw c. k. galicyjskiego Towarzystwa gospodarskiego, przez *Zygmunta Gawareckiego*. Słów kilka o potrzebie opisywania gospodarstw własnych. Korrespondencye. Wiadomości handlowe. Średnie ceny żywności na targach Warszawy i Pragi.

Przegląd rolniczy, przemysłowy i handlowy. Miesiąc czerwiec, 1859. Nr. 21—22, zawierają:

Szczegóły o wyścigach konnych i wystawie zwierząt w Warszawie. Otworzenie szkoły pasieczników w Przemyślanach, p. *Juliana Lubienieckiego*. Metody postępowania przy pogłębianiu (dokończ.). Przedstawienie rezultatów z użycia nawozów sztucznych na rolach i łąkach, p. *Dezyderego Chłapowskiego*. O handlu zbożem i okowitą z poglądu gospodarstwa narodowego. Rzecz o drenowaniu, przez *Franciszka Smołkę*. O polepszeniu bytu rolników przez podwyższenie i utrzymanie cen okowity, p. *Al. Szaniawskiego*. Wiadomości handlowe. Ceny średnie produktów rolniczych na ostatnich targach znaczniejszych miast Królestwa Polskiego.

Gazeta rolnicza, przemysłowa i handlowa. Miesiąc czerwiec, 1859. Nr. 22—25, zawierają:

Notatki mleczarza, p. *Józefa Praktyczyńskiego*. Rady dla pszczolarzy (ciąg dal.). Postępowanie z wełną. Piśmiennictwo rolnicze;

Rzecz o krytyce rolniczéj literatury polskiéj, p. *Drapacza Polskiego*. Kilka słów w kwestyi następstwa zbóż jednych po drugich, przez *Drapacza Polskiego*. Gospodarstwo leśne, p. *K. W.* O uprawie ziemi i poprawie rzeczy ziemskich, p. *Wojciecha Jastrzębowskiego* (ciąg dal.). Dwie żniwiarki polskie. Używanie ziemi zamiast podściołu pod bydło rogate. Kilka słów o tegorocznych egzaminach praktycznych w Marymoncie. Kronika rolnicza za m. maj 1859 r. Wiadomości meteorologiczno-gospodarskie za m. maj r. b. Korrespondencye gospodarskie. Wiadomości handlowo-gospodarcze. Ceny średnie produktów rolniczych na ostatnich targach znaczniejszych miast Królestwa Polskiego.

MUZYKALIA.

Maliszewska Józefa. Tęsknota i nadzieja. Mazurek skomponowany na fortepian. Warszawa, nakł. i litogr. J. Müller, str. 5, kop. 30.

Arban. Quadrille sur le pardon de ploërmel de G. Meyerbeer. Varsovie, litogr. H. Hirszel, str. 5, kop. 30.

Meyerbeer Giacomo. Le pardon de Ploërmel. Odpust w Ploermel. Nr. 2. Warszawa, nakł. i litogr. H. Hirszel, str. 7, kop. 52½.

Jelhowsky V. Marche militaire pour piano. Op. 3. Varsovie, litogr. W. Otto.

Brzezińska Filipina. Pieśń do św. Wiktora ułożona z okazyi przeniesienia Świętych Jego Relikwij z Warszawy do kościoła w Janowie. Warszawa, litogr. J. V. Fleck.

Faust Carl. Famulus Quadrille. Warschau, litogr. J. Müller, str. 7, kop. 30.

Kolberg O(skar). Polka pour le piano. Varsovie, chez R. Friedlein, kop. 15.

Nigdyż? Słowa *Bohdana Zaleskiego*, muzyka *K(azimierza) Lubomirskiego*. Nr. 2.

Do młodéj dziewczyny. Śpiew z towarzyszeniem fortepianu, słowa *Leona Potockiego*, muzyka *Józefa Stefaniego*. Warszawa. Czerwiec, 1859, nakł. redakcyi Ruchu Muzycznego, litogr. J. V. Fleck. (Dołączone do N. 26 Ruchu Muzycznego).

RYCINY, LITOGRAFIE i t. d.

Wiktor Emmanuel, król sardyński, portret, litogr. J. Müller, fol.

Widok gmachu Towarzystwa Kredytowego. Rys z natury *A. Lerue*, litogr. *J. Cegliński*, odbito w litogr. A. Pecq et Comp. w Warszawie, fol.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Lipiec 1859. W handlu księgarskim stagnacya od kilku miesięcy, spowodowana okolicznościami. Gazety nasze zapełniając kolumny swoje wiadomościami politycznemi, które wszystkich zajmowały, nie miały miejsca na część literacką. Nakładcy, zakupione rękopisma zachowali na lepsze czasy i zaczęte w druku kończyli tylko. S. Orgelbrand prowadził bez przerwy druk Encyklopedyi powszechnéj w 4,000 egzemplarzach nakładu i Talmudu w hebrajskim języku w daleko większéj liczbie egzemplarzy. Obok tego drukuje przekład Juliana Korsaka Boskiéj komedyi Dantego i dalszy ciąg tworów Juliusza Słowackiego. Drukarnie, pomimo małego ruchu księgarskiego, są przeciążone robotami; dwie nowe prasy pospieszne sprowadzili dwaj typografi. W ogóle warszawskie drukarnie posiadają już dwadzieścia kilka pras pospiesznych oprócz ręcznych i wszystkie ciągle są zajęte.

— Kramu malowniczego Jana Feliksa Piwarskiego, b. professora szkoły sztuk pięknych w b. uniwersytecie warszawskim, wyszła część IV i obejmuje: 1. Wizerunek Piotra Gabryela Baudoin, założyciela szpitala Dzieciątka Jezus w Warszawie, podług obrazu Orłowskiego, znajdującego się w tymże szpitalu. 2. Pałac Kazimierowski czyli liceum warszawskie w r. 1824. 3. Powrót z miasta po jarmarku, wieśniacy z okolic Warszawy. Z obrazu olejnego wydawcy Kramu. 4. Roznosiciele piasku. 5. Ekspedycya przy rogatkach 1825 r. 6. Pożegnanie obyczajem dawnym. Ostatni, jestto prześliczny polski typ warszawskiego mieszczanina w czamarze, pijącego w ręce przyjaciół. Oblicze jak i całą postać musiał autor z natury rysować: przypomina nam już dziś rzadkie postacie narodowe, w które tak obfitowała Warszawa. Oddzielny tytuł illustrowany ułożony w opasce nakształt ramy z postaci ludowych przedstawia myśl zastosowaną wyłącznie do miasta naszego. Trzy stany, tojest chłop, mieszczanin i szlachcic ją podtrzymują, a czwarty stan żydów naciska. Zajmują też część górną tytułu. Cały ciężar znoju i pracy podejmuje tu chłop, obok niego praca i nędza. Wydawca do ogólnego zbioru Kramu, dodaje osobną tekę z naklejonym na wierzchu rysunkiem. Główna postać jest godłem (wedle myśli wydawcy Kramu) publikacyi każdej przez autora samego podjętéj; przedstawia figurę wyrobniczą, zbiedzoną, niosącą na głowie sposobem Włochów tekę, na któréj napis Kram; w ręku dźwiga stary parawan (czyli okryj-biedę), takiż parasol i podarte zabiegami buty, a idzie po świeżo usypanym ostrym kamieniem gościńcu. Taki też najczęściéj los spotyka autora wydawcę; téj doli doznał i nasz czcigodny artysta ze swoim Kramem i w rysunku ją dla pamięci potomnych utrwalił. Powrót po jarmarku z miasta wyborne daje nam typy naszych Mazurów. Pałac Kazimierowski wydobędzie nie z jednych piersi westchnienie, za ubiegłą nie-

powrotnie młodością i marzeniami tak świetnemi, które młode głowy przepełniały.

— Kronika wiadomości krajowych i zagranicznych po przerwie od 1 do 12 lipca zaczęła na nowo wychodzić pod redakcyą F. S. Dmochowskiego.

— Od 1 października r. b. znany od lat wielu Magazyn Mód w nowéj seryi zacznie wychodzić pod redakcyą J. K. Gregorowicza. Ze zmianą redakcyi nastąpi i zmiana treści tego magazynu zastosowana więcéj do potrzeb czytelników i stanowiska literatury obecnéj.

— Michał Budzyński znany tłumacz Szyllera i Bajrona zajmuje się przekładami arcydzieł literatury angielskiéj, które ma wydawać B. W. Wolff w Petersburgu.

— Koronowicz (pseudonym) autor Słowa dziejów polskich ukończył tom III tego dzieła i wkrótce odda pod prasę drukarską.

— Donosiliśmy o przygotowanym nowym przekładzie pieśni Ossyana z oryginału angielskiego przez p. Maryą Ilnicką, któréj tłumaczenie z Walter-Skota poematu: „Pan dwóchset wysp“ drukowane w naszém piśmie powszechne uwielbienie wzbudziło. Nowy ten przekład wierszem rymowym poprzedza rozprawa wstępna, w któréj tłumacz z przekonaniem rzetelném o prawdziwości tych utworów celtyckiego barda składa dowody na poparcie téj myśli. Równocześnie otrzymujemy ciekawą wiadomość o nowém tłumaczeniu Ossyana na język angielski z oryginałów odkrytych w celtyckim języku. Przekład ich i nowe wydanie przygotowywa John Forbes pastor protestancki na wyspie Skye. Zebrane one z rękopismów dawnych na pargaminie przechowanych w archiwach rodziny Clanranald, a z charakterów swoich mających podobieństwo do wielu takich samych zabytków, należących do VIII stulecia. Tekst tych pism ma zbliżać się bardzo do tekstu manuskryptu irlandzkiego z V stulecia a dochowanego w klasztorze St. Gall w Szwajcaryi. John Forbes robi swój przekład poezyi Ossyana wierniejszy z oryginałem, dołącza on nadto słownik mniéj znanych słów celtyckich, oraz historyczne przypisy, które dają dokładne wyjaśnienia zwyczajów i dziejów ówczesnych, a mianowicie okresu opanowania Brytanii przez Anglo-Sasów. Tak więc autentyczność pieśni Ossyana popartą zostanie niezbitemi dowodami, i zarzuty dotąd czynione same przez się upadną: podobnie jak nienawistne Słowianom występowania Niemców, zaprzeczające wiarogodności w najpiękniejszy ich zabytek poetyczny: „w rękopism królodworski“.

— D. 4 lipca w salach redutowych przy teatrach warszawskich przedstawiono poraz pierwszy Mildę, kantatę z poematu Witoloraudy J. I. Kraszewskiego, do któréj muzykę napisał Stanisław Moniuszko. Znakomity ten utwór powszechne obudził oklaski. W końcu czerwca zasłużony nasz kompozytor Ignacy Dobrzyński w danym koncercie, złożonym po większéj części z jego utworów, wykonał nowy ustęp z Walenroda: w nim dowiódł nietylko wielkiego talentu, który z latami spotężniał, ale cudnie potrafił oddać myśl twórcy tego poematu

— Wkrótce wyjdzie z pod prasy dzieło p. n.: „Monografie historyczno-genealogiczne rodzin polskich i litewskich przez St. K. hr. Korwin Kossakowskiego z przypisami Juliana Bleszczyńskiego. W tych wła-

śnie przypisach spodziewamy się największej zalety dzieła, gdyż opartemi są na źródłach w archiwum głównem krajowem (metryce koronnéj) zachowanych

— W nowéj drukarni Jana Psurskiego wyszły zapowiedziane Gawędy naukowe Apolinarego Zagórskiego, obejmujące wiadomości z nauk przyrodzonych w 2 tomach w staranuéj i ozdobnéj edycyi z popiersiem autora wielce trafnym, przypominającym zmarłego zawcześnie w kwiecie wieku, który krótkie życie odznaczył równie znamienitą nauką jak prawością i szlachetnością charakteru. J. I. Kraszewski skreślił jego życiorys, który mieści się na czele tych gawęd.

— Rokiczana, drama liryczna w 3 aktach J. Korzeniowskiego do muzyki Stanisława Moniuszki, nakładem księgarni Gustawa Gebethnera wyszła. Na czele czytamy do naszego kompozytora następne przypisanie. „Tobie poświęcam kochany panie Stanisławie tę pracę z twojego powodu i natchnienia zaczętą i dokonaną. Tyś powziął myśl, tyś skreślił pierwszy zarys, a tony twojej Halki dodały ochoty i wzmogły zużyte już siły. Jeżelim zmienić musiał twój pierwotny plan, starałem się korzystać z twych wskazówek, aby dać pole twojemu talentowi przez rozmaitość uczuć i tonów, abyś nowy złożył dowód, jak cię bogato uposażyła natura, jaki skarb harmonii serce twe i głowa zamyka. Przyjmij więc ten podarunek od tego, który cię szczerze szacuje i kocha, i słowa te, które ci oddaje, odziej dźwiękami swemi tak, aby to, co w nich dobre i mocne, wyszło na jaw, a to co słabe i niedostateczne, aby pokryły te brzmienia mistrzowskie, którym już cześć należną ziomkowie twoi oddali. Szczęść więc Boże! niech ci się uda dla sławy sceny polskiéj, dla któréj radbym wywołać więcéj zapaśników choć w części takich jak ty, a lepszych i użyteczniejszych odemnie". W ostatniéj scenie aktu III zaszły tu zmiany w zastosowaniu do potrzeb sceny.

— Nakładem Karola Bernsteina księgarza wyszła książka p. n.: „Gospodyni polska, czyli poradnik dla niewiast naszych obejmujący przepisy kuchenne, wypróbowane i różne sekreta gospodarskie, poprzedzone wstępem o porządku domu przez Teressę z S. Twarowską". Dzieło to jak zaleca się treścią doborową, odpowiednią swemu tytułowi, tak zarazem jasnym i czystym językiem.— Podaliśmy już ogłoszenie Józefata Obryzki, właściciela zakładu typograficznego w Petersburgu co do przedruku jednego z najważniejszych pomników dla dziejów naszych Voluminów Legeum. Otrzymaliśmy teraz próbki pierwszych arkuszy tomu I i II. Format okazały w 8-ce wielkiéj, papier biały i piękny, druk nowy i wyraźny, odbicie równe i staranne, wierność przedruku, jak porównywaliśmy najsumienniejsza, a do tego cena nadzwyczaj nizka, zapowiadają, że nowe to wydanie w ręku nietylko prawników i badaczy dziejów znajdzie się, ale w ręku każdego miłośnika rzeczy ojczystych, każdego obywatela, co umie cenić wielką przeszłość narodu swego.

— Za przykładem Serbów i Polski na całéj Słowiańszczyznie wychodzą coraz nowe zbiory pieśni ludowych. U Wendów saskich, w Bautzen, mieście słowiańskiém w 18 zeszycie Czasopisu (Kwartalnik wydawany przez wendyjskie towarzystwo oświaty) czytamy zbiór pieśni ludu tamecznego. Nie wątpimy, że w nich znajdziemy wielkie pobratymstwo z naszemi, jak to mamy wykazane z czeskiemi, serbskiemi, Słowaków

i w. i., gdzie znajdujemy dosłownie naszę pieśni w tamtych narzeczach. Co do polskich ludowych pieśni, lubo zbieracze dawniejsi dużo ich zebrali, i ostatni Oskar Kolberg przez dodanie melodyi i zebranie tekstu, znacznie zbiory te zbogacił, musimy wyznać, że dotąd ani cząstki téj poezyi ludowéj nie potrafiliśmy spisać. Są zakątki w samém królestwie Polskiém zupełnie niezbadane. To tylko gorliwość obywatelska naszych ziemian mogłaby podać skuteczną pomoc, gdyby każdy w swojej okolicy zajął się zbieraniem tak pieśni, jak melodyj do nich, przysłów, podań, zwyczajów i charakterystyki. Do tego uwagę należałoby zwrócić na rozmaitość ubiorów, zabudowań, narzędzi i sprzętów rolniczych i te w rysunku przechować. Zebrane z różnych okolic tego rodzaju drogocenne materyały mogłyby dzielnie posłużyć do wydania najzupełniejszego zbioru pieśni ludowych, na którym nam zbywa dotąd. W księdze téj objąćby należało charakterystykę każdéj wydatniejszej okolicy, dołączyć rys zwyczajów, uroczystości, kostiumów w najwierniejszém oddaniu nietylko właściwych ubiorów, ale fizyonomii i postaci kmiotków naszych. Przy obudzeniu się zamiłowania dla rzeczy ojczystych mamy nadzieję, że myśl ta może niedługo znajdzie szlachetne poparcie.

— Iulian Bartoszewicz przygotowywa do druku „Historyą literatury polskiéj.“ Ułożone to dzieło do podręcznego użycia, stanowić będzie tom wielki. Obejmie rys piśmiennictwa polskiego od początków aż do dni dzisiejszych, i wyjdzie nakładem nowej księgarni Michała Glücksberga. Gazeta Codzienna (Nr. 166) mylnie doniosła, jakoby praca ta była tak wielkich rozmiarów, żeby obejmowała wszystkie nauki: przypominając autorowi i gałąź literatury rolniczej. Bartoszewicz głównie na celu w tém dziele podręcznem ma literaturę właściwą, tojest historyą, poezyą i prozę, mogące głównie zajmować czytelników, dla których przeznaczone. Dzieło to będzie wielkiego użytku, i zastąpi dotychczasowe niedokładne i pobieżne tego rodzaju prace. Przypominamy autorowi, że czas już, ażeby drukowana w piśmie naszém „Nowa epoka literatury polskiéj“ dopełniona i przejrzana mogła być ogłoszoną w oddzielném dziele. Studya te potrzebują przejrzenia starannego, poprawy i zmodyfikowania zbyt ostrych często, a niepotrzebnych wyrażeń, które na karb młodości liczymy. Dziś, wytrawniejszy w sądzie i poglądzie, sam autor uzna, co usunąć, co rozszerzyć i jak dopełnić tak użyteczną pracę należy. Będzie to ważnym przyczynkiem do historyi literatury polskiéj z przedostatniego i obecnego okresu.

— Redaktorowie „Wolnych Żartów,“ H. Lewestam i J. K. Gregorowicz wydali, jako dalszy ich ciąg: „Szpargały wiosenne humorystyczno-artystyczne, zebrane przez Bocianów polskich.“ Plan pisma zachowali pierwotny i zalety jego. Do charakterystycznych drzeworytów i wydatnych należą: filozofy, dziewoja wiejska, stary inwalida między włościanami, prowincyonalista i mieszczuch i kilka wykonanych podług pomysłu Leona Kunickiego.

— Skarbczyka poezyi polskiéj wydania B. M. Wolffa wyszedł tom XI i XII i obejmują poezye: Konstantego Gaszyńskiego, Cypryana Norwida, Antoniego Czajkowskiego, A. E. Odyńca, Juliusza Słowackiego i Teofila Lenartowicza. Zbiór poezyj K. Gaszyńskiego obejmuje

okres długich lat, bo od r. 1829, kiedy był jeszcze redaktorem: „Pamiętnika dla płci pięknéj“ Cypryana Norwida zbiorek bardzo szczupły, ale staranny; z utworów Antoniego Czajkowskiego a głównie wybornych przekładów, mamy wiele dotąd nieznanych, i poemat p. n. Bianka, któryśmy drukowali w naszem piśmie. Czajkowski poemat ten przypisał: „Tłumaczowi Pana dwóchset wysp, bijąc czołem jego talentowi.“ Tłumaczem jest pani Marya Ilnicka, znana z wielu pięknych utworów, nacechowanych prawdziwą poezyą.

— Dzieje nasze coraz nieznanemi dotąd materyałami rozjaśniać się więcéj zaczynają. Czytamy w Czasie (Nr. 152), że zabiegi rodziny Sobieskich o powrót na tron polski, na który naród z upragnieniem ją wzywał, wyświecone zostały pracą historyczną i materyałami zebranemi przez jednego z naszych badaczy, znanego z wielu pism w przedmiocie dziejów ojczystych. Onto podnosi ów epizod dziejów naszych do daleko większego znaczenia, niż mu je dotąd nadawano: widzi w nim jeden z owych ważnych momentów, które decydują o byc'e lub upadku narodów; uważa go za epokę, w któréj instytucye nasze wypowiedziały ostatnie swoje słowo, i z którą się rozpoczęło stuletnie konanie naszego politycznego społeczeństwa: wyjaśniwszy wszystkie tajemne sprężyny, których użyto do wykluczenia od tronu dynastyi Sobieskich, daje nam obraz przygód, przez jakie przechodziły dalsze jéj pokolenia, aż do naszych niemal czasów, obraz przepełniony ustępami niezmiernie zajmującéj treści, a zupełnie nam nieznanemi. Materyały zbierał po całéj Europie, jak okazują następne zabytki, na których opawiadanie swe opiera. 1) Depesze rezydenta weneckiego Alberti do Doży z Warszawy od r. 1696—1698: malujące dzień po dniu zdarzenia w czasie bezkrólewia po Janie III (z archiwów włoskich). 2) Dyaryusz podróży Maryi Kazimiery królowéj w r. 1698—1699, z jednéj z bibliotek niemieckich. 3). Korrespondencya tejże królowej z papieżem Klemensem XI, od r. 1701—1714, blizko sto listów, wyjaśniająca jéj wysoką rolę, jaką odegrywała. (Z londyńskiego Muzeum). 4) Korrespondecya pretendenta angielskiego Jana Stuarta z wnuką Jana III Klementyną i jéj ojcem z r. 1718, tycząca się przyszłych zaślubin, uwięzienia Klementyny w Insbruku i jéj ztamtąd ucieczki. (Z archiwów petersburskich). 5) Listy między pretendentem Stuartem, a partyą Jakóbitów w Anglii, tyczące się jego smutnéj separacyi z żoną (Klementyną Sobieską), jéj ucieczki do klasztoru i malujące wpływ, jaki wywierała ta sprawa domowa na polityczne działania stronników Jakóba w Anglii i stosunek jego do stolicy apostolskiéj. (Z zbiorów angielskich). 6) Depesze Patkula do Cara Piotra W. o sprawach polskich między r. 1702—1704, wyjaśniające polityczne powody uwięzienia Jakóba Sobieskiego w Lipsku i stanowisko stronnictw oraz obcych mocarstw, w obec zaprojektowanéj detronizacyi Augusta, końcem powrócenia berła dynastyi Sobieskich. To jest część materyałów dzieła, którego całość stanowić będzie 3 do 4 tomów; praca ta, w rękopiśmie, oczekuje nakładcy.

— Nakładem księgarni i składu nut muzycznych Michała Glücksberga wyszło obszerne dzieło Maurycego Karasowskiego p. n. Rys historyczny opery polskiéj, poprzedzony szczegółowym poglądem na dzieje muzyki dramatycznéj powszechnéj, z pięcią popiersiami: Wojcie-

cha Bogusławskiego, Macieja Kamińskiego, Jana Stefaniego, Józefa Elsnera i Karola Kurpińskiego; wydanie ozdobne i staranne. Jestto ważny przyczynek nietylko do dziejów teatru polskiego, ale i dla literatury naszéj. Szczegółowy rozbiór téj sumiennéj pracy i nauki, podamy w naszem piśmie we właściwym dziale.

— Gałąź literatury podróżopisarstwa, ubogaca się nie mało od lat kilku. W roku przeszłym w Krakowie wyszedł opis podróży do Australii i pobytu tamże od r. 1852 do 1856, przez Seweryna Korzelińskiego. Rodak nasz Galicyanin w kopalniach złota chciał znaleźć zapewnienie sobie przyszłości chociaż skromnéj; ale nie wiele zdobył za pracę żelazną i trudy niesłychane. Opis jego pełen zajęcia, obejmuje dwa spore tomy. P. Eugeniusz Żmijewski, ogłosił teraz: „Sceny z życia koczującego." we dwóch tomikach poprzednio drukowane przerwami w odcinku Gazety Codziennéj; i on jak Korzeliński w r. 1844 wziął udział w wyprawie mającéj na celu poszukiwanie złota, tylko w innéj części świata, bo na pustyni witimskiéj. Sceny te pełne życia i interesu, potrafią zająć każdego czytelnika. Przez czternaście lat pobytu naszego autora w Syberyi wschodniéj. okoliczności taki nadawały zwykle kierunek jego życiu, że w ciągu całego tego okresu, rzadkim tylko bywał gościem w miejscach zamieszkałych, nic więc dziwnego że był nieraz widzem obrazów i wypadków, których w życiu zwyczajném niepodobnaby napotkać. Sceny te z życia koczującego zyskały wiele wydane w oddzielnéj książce, czytane ciągiem i bez przerwy. Wiele ustępów silne na duszy czytelników wycińska wrażenie.

— Zmarły w r. 1852 znany z zasłużonego rozgłosu kapłan i pisarz Karol Antoniewicz, pozostawił wielką liczbę pism, ktorych większa połowa drukowaną była w ulotnych tylko broszurkach, i jak u nas tak na Litwie, Wołyniu i Podolu mało znane, zasługiwałyby na zebranie w jednę całość i wydanie razem. O ile słyszeliśmy, pozostało prac jego nie mało w rękopiśmie, które powinny znaleźć miejsce w kompletnéj edycyi; byłby to piękny pomnik dla uczczenia pamięci zbyt wcześnie zgasłego męża.

— Książę Roman Sanguszko, posiadacz słynnego stada koni, ma wkrótce ogłosić drukiem historyą tegoż stada.

— W Wilnie nakładem Assa księgarza wyszły: „Piosenki Beraugera" przekład Władysława Syrokomli i Wincentego Korotyńskiego: z portretem i życiorysem autora. Życiorys pisał Syrokomla— w nim ostatni ustęp, stanowiący odpowiedź A. Nowosielskiemu, W. Korotyński. Na siedmdziesiąt kilka pieśni, dwadzieścia tylko jest tłumaczenia Syrokomli reszta W. Korotyńskiego. Na końcu dodany jest wiersz z Kuroczkina p. n. dzień 18 lipca 1857 r., którego treścią żałoba narodu po zgonie wielkiego poety.

— Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego w Wilnie, wyszła broszura o 71 stronnicach p. n. „Cesarz Napoleon III i Włochy przez De la Gueronière." Przekład z francuzkiego.

— Z przekładów W. Korotyńskiego, przywiedziem tu bajkę p. n. „Murzyni i Maryonetki."

Handlarz murzynów wiózł dla sprzedaży,
Była towaru kupa niemała:

Lecz dziesiątkami marło nędzarzy,
A śmierć do licha! płacić nie chciała.
Rzecze więc handlarz: „Jakie wy hetki!
Giniecie z nudy— to głupia sprawa!
Ja wam pokażę maryonetki:
Ot, niewolnicy! pyszna zabawa!“
Dla oszukania zgubnéj tęsknoty,
Wraz na pokładzie budkę rozpięto,
Wraz poliszynel zaczyna psoty:
Czarni, ujrzeli rzecz niepojętą.
W niemém zdziwieniu patrzy gromada,
I własnym oczom wiary nie dawa,
Wreszcie do łkania, śmiech się zakrada:
Ot, niewolnicy, pyszna zabawa!
Wchodzi z powagą pan horodniczy,
Poliszynela z gniewem napadnie;
Lecz ten mu razy na grzbiecie liczy,
I wdół na głowę spycha przykładnie.
Murzyni oków swych zapomnieli;
Powstała wkoło szalona wrzawa;
Zdradziwszy boleść, skaczą weseli:
Ot, niewolnicy pyszna zabawa!
Wejście szatana znów rozwesela,
Bo czarna skóra na nim się mieści,
A kiedy porwał poliszenela,
To uleciała reszta boleści.
Przykład przed oczy stanął wspaniale:
Czarny białemu na karku stawa!
Biedni poczęli marzyć o chwale:
Ot, niewolnicy, pyszna zabawa!
Tak całą drogę aż do Hawany,
Handlarz rozrywał murzynów nudy:
A towar za to dobrze sprzedany,
Sowicie jemu wypłacił trudy.
Choć sens téj bajki zda się na jawie,
Chcą tu wykładu poetyk prawa:
Lecz, retorowie, wam to zostawie:
Ot, niewolnicy, pyszna zabawa!

— Znany już w piśmiennictwie naszém A. Połujański kończy druk dzieła p. n. „Wędrówki po Gubernii Augustowskiéj.“ Część téj szacownéj pracy była drukowana dawniéj w kształcie listów w Kronice Wiadomości Krajowych i Zagranicznych. Teraz ujrzymy całość opisu téj części Królestwa Polskiego, która jest najmniéj ogółowi znaną. Bodajby ten piękny przykład p. Połujańskiego, obudził innych, którym czas i okoliczności dozwalają, do opisania części ziemi naszej, dobrze sobie znajomej. Tym sposobem zebrałyby się zasoby do dokładnego opisu Królestwa, na czém nam dotąd zupełnie zbywa. Od czasu bowiem wydania jeografii księdza Politowskiego (Pijara) w r. 1820

czy wcześniéj, dotąd nikt nie poświęcił pracy, ażeby Królestwo Polskie opisać chociaż w dziełku podręcznem. — P. L. Wolski autor wielce zajmujących wiadomości statystycznych tak dawniéj drukowanych w naszém piśmie, jak następnie w znanym kalendarzu Obserwatoryum Astronomicznego, mógłby najdokładniéj pracę tę wielce pożądaną uskutecznić. Wiemy, że piastuje myśl tę, i zbiera materyały: pragnęlibyśmy co rychléj ujrzeć owoc jego studyów i bogatych zasobów.

— Autor: „Grammatyki polskiéj dla dzieci polskich," drukowanéj w Lublinie, Wincenty Dawid, ogłasza drugie poprawne wydanie.

— Wkrótce wyjdzie z pod prassy drukarskiéj w ozdobnéj edycyi: Frytjof, poemat skandynawski Izajasza Tegnera (czyli Frytjofowa-Saga) z 24 śpiewów złożona: przekładu Józefa Grajnerta. Rysunki do drzeworytów robił Henryk Pillati, drzeworyty wykonał Drążkiewicz. Tłumacz znany już jest z wielu prac literackich.

— Historyi zdobycia Anglii przez Normandów, przekład dzieła Augustyna Thierry, wyszedł tom 2gi. Całość składać się będzie z czterech tomów.

— Otrzymaliśmy najnowszy utwór Władysława Syrokomli p. n. „Marcin Studzieński," karta z kroniki Wilna: zaledwie on wart wspomnienia tylko bibliograficznego.

— W pięknym podręcznym formacie, B. M. Wolff w Petersburgu wydał „Śpiewy historyczne J. U. Niemcewicza." Otrzymujemy wiadomość, że tenże sam nakładzca przygotowywa tych śpiewow przepyszne wydanie, z rycinami i nutami.

— „Obrazków opisowych," przedstawiających historyę świętą, przez księdza Stopinskiego Reformata, wyszedł pierwszy arkusz; ryciny robił młody, znany artysta Władysław Walkiewicz.

— Gazeta Codzienna, która z dniem 15 maja r. b. przeszła pod nową Redakcyę, w większych rozmiarach wydawana, znakomicie ulepszoną została. Dwa artykuły, których treścią było wezwanie do zamiłowania swojszczyzny, oszczędności i pracy, zwróciły powszechną uwagę.

— Dzieło p. n. „Rzeczy gospodarskie p. Adama Mieczyńskiego, ozdobione portretami: Oczapowskiego b. Dyrektora Instytutu gospodarstwa Wiejskiego, którego pamięć każdy jego uczeń z wdzięcznością w sercu przechowuje, i Leszczyńskiego, słynnego gospodarza w Belnie (w Gostyńskiém);— zaleca się równie wyborem, jak i ważnością przedmiotów. Autor przypisał je pełnemu zasług b. professorowi pomienionego Instytutu Wojciechowi Jastrzębowskiemu.

— W miasteczku Mizoczu w pobliżu Dubna, hrabia Karnicki zgromadził nietylko znaczną bibliotekę złożoną z rzadkich druków, którą odziedziczył po kanclerzu Małachowskim, ale posiada bogaty zbiór rękopismów. Są tu akta i korrespondencye Jana Szembeka i Jana Małachowskiego kanclerzów koronnych: kompletny zbiór akt kanclerskich od r. 1713 do 1793; akta dotyczące sprawy toruńskiej w r. 1714 pomiędzy Ewangelikami a Jezuitami; zbiór Dyaryuszów sejmowych z biblioteki Załuskich i króla Stanisława Augusta pochodzących; oraz wielka liczba listów i mów nigdzie nie drukowanych. Wartoby, żeby właściciel tak szacownego zbioru pomyślał o upowszech-

nieniu drukiem tych szacownych zabytków. Sądzimy, że Spółka Żytomierska, mogłaby tu oddać literaturze i dziejom ojczystym wielką przysługę, ogłaszając tego rodzaju pomniki w oddzielnéj publikacyi, którejby można dać napis: „Biblioteki historycznéj“ Byłabyto zasługa prawdziwie obywatelska i właściciela tak bogatych zbiorów, któryby ich udzielił dla kraju i wydawców, ogłaszających je drukiem. Nie mamy też dotąd ciągłéj a stałéj publikacyi, coby obejmowała coraz rzadsze rękopisma dziejowe. „Biblioteka Polska“ J. K. Turowskiego już ma zasługę, że ratuje od zatraty rzadkie i mało znane druki dawnéj literatury, dotyczące zarówno dziejów jak i literatury ojczystéj: „Biblioteka historyczna“ objęłaby zabytki rękopiśmienne. Takiéj publikacyi wyglądamy, bo znamy całą jéj wartość i ważność.

— W obszernéj książce wyszło w Wilnie: „Pismo zbiorowe wileńskie na rok 1859“ złożone z trzech oddziałów, każde z oddzielną paginacyą. Czytamy tu utwory Deotymy, Syrokomli, K. Wł. Wójcickiego, J. Bartoszewicza, J. Jaroszewicza, A. S. Krasińskiego (biskupa), Przyborowskiego i Tyszyńskiego. Całość daje nam zbiór równie zajmujący jak pełen treści i nauki. W końcu z O. Feuilleta, Julian Horain przełożył komedyjkę (proverbe) Domową Zagrodę. Utwór ten pełen wdzięku i prostoty drukowaliśmy przed kilką laty w naszém piśmie w pięknem tłumaczeniu pani S. z Ż. Pruszakowej.

— Antoni Muchliński, professor zwyczajny literatury i języków wschodnich w cesarskim St. petersburskim uniwersytecie, wydał: „Źródłosłownik wyrazów, które przeszły wprost czy pośrednio do naszéj mowy z języków wschodnich, tudzież mających zobopólną analogią co do brzmienia lub znaczenia, z dołączeniem zbiorku wyrazów przeniesionych z Polski do języka tureckiego„. Petersburg. 1858. Czcionkami cesarskiej Akademii Nauk“. W 8-ce. Str. VIII i 158. O ważnéj téj pracy powiemy obszerniéj w kronice literackiéj.

Wilno. Oczekiwanego oddawna dzieła Józefa Kremera, professora Jagiellońskiego uniwersytetu i szkoły sztuk pięknych w Krakowie, Podróży do Włoch, wyszedł nakładem Józefa Zawadzkiego tom I w edycyi ozdobnéj licznemi drzeworytami i staranniéj co do wydania typograficznego. Całe dzieło jak wiadomo, obejmie tomów pięć. Tom wydany obejmuje: drogę z Krakowa do Tryestu i opisanie Wenecyi. Nakładem téjże księgarni, która pomiędzy nakładowemi jedno z pierwszych miejsc zajmuje, wyjdą z pod prasy wkrótce: 1. Józefa Korzeniowskiego: „Dramata opowiadane“; komedya: „Mąż i konkurent“ (drukowane poprzednio w Gazecie Warszawskiéj). 2. J. I. Kraszewskiego: „Metamorfozy“, obrazki w 3 tomach. 3. Teod. Tom. Jeża: „Handzia Zahornicka“. Powieść ta wysoką wartością swoją zwróciła wszystkich uwagę: autor jéj p. Miłkowski tym utworem dowiódł, że może stanąć w rzędzie pierwszych powieściopisarzy naszych. 4. „Araukania i jéj mieszkańcy“ wspomnienia z podróży po południowych prowincyach rzeczypospolitéj chilijskiéj przez Ignacego Domejkę, członka uniwersytetu w Chili, tłumaczone z hiszpańskiego przez Jana Zamostowskiego. 5. „Zasady kaznodziejstwa“ czyli nauka opowiadania słowa Bożego, oparta na podaniach i wzorach Pisma Ś., Ojców kościoła, poważnych pisarzy i najcelniejszych kaznodziejów polskich, przez księdza Aug. Lipnickiego. 6. „Historya

Święta i katechizmu dla dzieci", przez księdza S. Kozłowskiego. 7. „Duch i krew" kilka zarysów z życia towarzyskiego, Adama Pługa. 8. Szósty i siódmy Śpiewnik domowy, złożony z poezyj i ballad Adama Mickiewicza z portretami tego poety i S. Moniuszki. 9. Dalszy ciąg: „Biblioteki podróży" obejmujący: Wychodźcy w Luizyanie i Krzysztof Kolumb p. Lamartina: Szkice obyczajowe i podróże po Ameryce, p. Filareta Chasles.

Kijów. Z dniem 1 lipca r. b. zaczęło wychodzić tu pismo peryodyczne w języku rossyjskim p. n.: Telegraf kijowski, dwa razy na tydzień, poświęcone treści polityczno-literackiéj. Redakcya przyrzeka ogłaszać korrespondencye z Kamieńca Podolskiego, Żytomierza i innych miast, o życiu społecznem, muzyce, literaturze, handlu i przemyśle. Nadto mają się mieścić wiadomości historyczne i opisy tak miast, kościołów jak pomników, kurhanów, horodyszcz tamecznych okolic; część ta będzie dla nas najwięcéj zajmującą. Redakcya dla zachęty ogłosiła, że ci z abonentów, którzy zapiszą się na Telegraf kijowski od 1 lipca, otrzymają w końcu roku jako premium, dzieło p. n.: Zbiór literackich artykułów.

Kraków. Kommissya centralna w Wiedniu do wyszukania i utrzymania pomników budownictwa, na posiedzeniu swojém jeszcze dnia 12 kwietnia r. b. poparła podanie p. Popiela konserwatora w Krakowie, ażeby utworzonéj w naszém mieście kommissyi do odnowienia wielkiego ołtarza w kościele N. Panny Maryi wypłacone były na opędzenie kosztów téj roboty, procenta zaległe od majątku kościelnego zostającego pod administracyą skarbową. Czas to już wielki pomyśleć o uratowaniu od zniszczenia jednego z największych dzieł Wita Stwosza, bo ołtarz ten inaczéj, nadpróchniały i stoczony przez robaki, runąć może. Już niektóre części i tak znikły na zawsze, jak np. wychodzące dokoła promienie z poza grupy zdobiącéj szczyt dyptyku: te się kruszyły i poodpadały.—Po skończeniu nabożeństwa Oktawy Bożego Ciała, równie wspaniałego jak uroczystego, dawny obchód: „Konika Zwierzynieckiego", przypomniał świetne czasy naszego grodu. Tatarzyn wyprawiał dzielne harce i ściągał haracz od zebranych tłumnie Krakowian.—Oddział nauk moralnych w Towarzystwie Naukowém Krakowskiém odbył dnia 1 lipca zwyczajne miesięczne posiedzenie swoje, na którém p. Smoniewski odczytał wyjątki: „Z opisu województwa mazowieckiego i o nadaniu szlachectwa Maciejowi Utratowskiemu r. 1622. Oddział archeologiczny wzbogacony został pięknym darem dyplomatów, uniwersałów (od r. 1416), listów oryginalnych i rękopismów, które p. Franciszek Paszkowski mając sobie oddane do dyspozycyi od p. Ludwiki z Drewnowskich Młockiéj (wnuczki ś. p. Kajetana Kwiatkowskiego, autora panowania Władysława IV) z przeznaczeniem na naukowe cele, zaofiarował obecnie w jéj imieniu do zbiorów Towarzystwa Naukowego Krakowskiego.

— Dzieje i opis katedry krakowskiéj księdza biskupa Łętowskiego już są na ukończeniu. Będzie to dzieło odznaczające się i rzeczą i ozdobném wydaniem, szczególniéj widokami katedry.— Z drukarni uniwersyteckiéj, nakładem Towarzystwa Naukowego Krakowskiego wyszedł: „Elementarny wykład matematyki" p. Jana Kantego Steczkowskiego professora Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jestto część III, obejmująca „Geometryą, Trygonometryą prostokreślną i sferyczną. Towarzystwo

Naukowe wydało także spis imienny swoich członków, oraz darów złożonych Towarzystwu od r. 1858—1859.

— „Biblioteka Polska Turowskiego, kończy w starannym i pięknym przedruku „Herby Rycerstwa Polskiego“ Bartosza Paprockiego; i prowadzi daléj ogłaszanie wielce rzadkich a ważnych broszur z XVI i XVII wieku. Zwracamy uwagę szanownego Redaktora Biblioteki téj, dlaczego ogłaszając nowe wydanie historyi narodu polskiego „Adama Naruszewicza,“ wziął do przedruku pierwsze wydanie, a opuścił tom pierwszy, wydany przez b. Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk. Tom ten już należy do rzadkości, a dla kompletu należało go przedrukować: wiele tam ważnych jest rzeczy. Rzecz nie stracona, można i po wydaniu ostatniego tomu, i ten tom ogłosić w Bibliotece Polskiéj. Przypominamy także z wydania T. Mostowskiego przypisy nieobojętne do Naruszewicza, których w piewszéj edycyi pierwotnéj nie ma. Ma się zacząć w téj publikacyi, nie dosyć jak należy cenionéj, przedruk tworów poetycznych Wespazyana Kochowskiego: między temi mieścić się mają mniéj dotąd znane. Prosimy o kartę tytułową pierwotnéj edycyi. Należałoby bezzwłocznie pomyśléć o przedruku poezyj Grochowskiego, jednego z pierwszych liryków polskich. Cudne jego pieśni nietylko co do ducha, ale zewnętrznéj formy i prześlicznego języka, zasługują na jak największe upowszechnienie. Godziłoby się niezapomnieć o tłumaczeniu psałterza przez Rybińskiego. Ufamy w gorliwość i znawstwo Redaktora Biblioteki Polskiéj, że spełni te życzenia miłośników literatury starożytnéj.

Lwów. Wyszedł pierwszy numer „Dzwonka” pisma dla ludu, pod redakcyą Brunona Bielowskiego i zawiera: Wstęp na dobry początek; Król w Kumach, powiastka z czasów Kazimierza W.; Pieśń o dzwonku, Ludwika Wolskiego; Piękne przykłady; Gromada Krościeniecka; Dobry gospodarz; Różności; Stary Wilgus z Bińczyc; Dawne przysłowia i powieści. „W ogóle (pisze Dodatek Czasu z czerwca r. b.) wybór przedmiotów do pojęcia ludu zastosowany, dążność nauczająca i religijna, język czysty, styl jasny i zrozumiały. Na godło wzięty dwuwiersz Jana Kochanowskiego:

„Boga dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba”.

Pismo to wychodzić będzie trzy razy na miesiąc, w dziesięć dni każdego 1, 11 i 21 dnia w miesiącu: arkusz jeden w formacie dużéj ćwiartki.

— Antoni Sozański wydał: Rejestr do dzieła J. Sołtykowicza „O stanie Akademii krakowskiej”. Na czele umieszczona treść przypisów; następuje rejestr przedmiotów, tudzież imion własnych w tekście dzieła Sołtykowicza zawartych, porządkiem alfabetycznym spisany. Jestto praca wielce użyteczna dla chcących się prędko w dziele Sołtykowicza zoryentować.

— Waleryan Krzeczunowicz wydał: Naukę chowu koni dla ludu wiejskiego. Jankowski doktor medycyny przygotował dzieło do druku: „O cholerze i sposobach jéj leczenia”.

Poznań. Wkrótce zacznie się drukować „Historya Księztwa Warszawskiego” we 2 tomach. Jestto dzieło znakomitego pióra, współ-

czesnego świadka, który z wielkim talentem oddał obraz jednego może z najważniejszych okresów z dziejów ostatnich naszych, a prawie zupełnie ogółowi nieznany.—Zapowiedziane pismo: „Dzieje sądowe", mające zawierać historyczno-chronologiczny zbiór rozporządzeń prawnych, dla braku prenumeratorów wychodzić nie będzie.—Nakładem Żupańskiego wyszły: „Polne kwiaty", poezye liryczne i Dwa błędne ogniki: wszystko napisał Władysław Dienheim Prawdzic Chotomski hrabia Św. Państwa Rzymskiego. Jestto (pisze Dodatek Czasu na czerwiec r b.) zbiór wierszy po większéj części okolicznościowych; niektóre bywają dowcipne i gładkie, inne zaś, jak bukiet Aliny, wydają się aż do ckliwości przesadne: wszakże wiedząc o talencie p. Chotomskiego do parodyi, domyślamy się, że w tych strzelistych wierszach chciał zapewne sparodyować sentymentalizm". Zdanie to uważamy za prostą pomyłkę, gdyż znany z parodyi Ferdynand Chotomski, autor poematów komicznych i nicowanej Enejdy, jest właśnie ojcem autora „Polnych kwiatów".

Praga. Franciszek Palacki, znany historyk, ukończył tom piąty znakomitego dzieła: „Historyi Czech". Tom ten obejmuje dzieje Czechii za panowania króla Podiebrada, a kończy się na chwili owéj smutnéj i zgubnej dla narodowości téj części Słowiańszczyzny, w któréj Czechy ostatecznie przeszły pod panowanie Austryi.

Paryż. Przygotowują tu wydanie nowe zupełnie, wszystkich pism Adama Mickiewicza w 11 tomach: w sześciu tomach poezyj polskich, a w 5 w języku francuzkim prelekcye jego.—Wyszło dzieło p. n.: „Zasady dziejów Polski i innych krajów słowiańskich przez F. H. Duchińskiego. Owoc to ścisłéj nauki historycznéj, odnoszącéj się do badań nad początkami Rossyi, i jakiemi drogami plemiona Uralskie na Północy mieszkające, przyjęły język i cywilizacyą słowiańską.—W Wenecyi dwaj uczeni włoscy: Barozzi i Berchet, zaczęli drukować przechowywane w archiwum państwa relacye ambasadorów dawnéj rzeczypospolitéj weneckiéj w wieku XVII, o stanie rządów i krajów, do których byli wysłani. Dotąd w dwóch seryach objęli Hiszpanią i Francyą; w następnych pomieszczone zostaną relacye o Polsce. Znajdziemy tu niewątpliwie ciekawe i zajmujące szczegóły do naszych dziejów.

† Dnia 19 czerwca r. b. umarł we Lwowie na suchoty w 44 roku Felicyan Łobeski, urodzony w Galicyi, malarz, poeta i prozaik, pisarz i konserwator zbiorów przy Zakładzie Imienia Ossolińskich, redaktor po Szajnosze Dziennika literackiego. Znanym jest z powieści Sobek Skórka, ze zbioru poezyj. W Dodatku do Gazety Lwowskiéj opisał obrazy kościołów tak samego Lwowa, jako i wielu miast w Galicyi. Wiele rozpraw jego mieści Dziennik literacki; wiele prac prozą i wierszem pozostawił w rękopiśmie.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Wolno drukować. — Warszawa, d. 16 (28) Lipca 1859 r.—Cenzor, Radca Kolleg. Stan[illegible]

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIEM.

Czerwiec, 1859.

Czerwiec 1859. **Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obserwatoryum Astronomiczném Warszawskiém.**

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza, jego szérokość geogr. 52°13′5″, długość w czasie $1^{g}\cdot14^{m}\cdot45^{s},7$ czyli w łuku 18°41′25,″5 wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				wilgotność na 10	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
		6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.	6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.	rz. średn. dzienna	6 dz. rano	10 godz. rano	4 godz.wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god.w.	10 god.w.	dé-szczu	śnie-gu
1	☽	749.50	749.58	747.14	747.26	+19°.6	+23°.0	+25°.9	+19 .3	58.	pogodny	smugi	napół pog.	pr. pogodny	PnW.	PnW.	PdZ.	PnZ.		
2		746.30	746.27	744.51	744.26	16.3	21.7	26.6	18.5	70.	pogodny	pogodny	pochmurny	napół pog.	PdW.	PdW.	W.	Pd.		
3		744.19	744.09	742.75	742.89	19.3	24.3	19.9	18.4	75.	pogodny	pr. pogodny	poch. dész.	pr. pogodny	—	PdW.	PdZ.	Pd.	3.6	
4		743.54	752.07	745.96	748.36	17.3	17.4	16.9	13.1	81.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnW.	PnW.	PnW.	PnW		
5		751.18	752.42	752.12	753.30	9.4	11.1	14.8	10.2	52.	pochmurny	pr. pogodny	pogodny	pogodny	PnW.	PnW.	PnW.	PnW.		
6		753.58	753.07	750.24	749.96	9.4	13.0	18.6	13.9	50.	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pn.	Pn.	Pn.	PnZ.		
7		750.09	750.42	749 63	750.45	11.8	17.5	21.2	15.2	50.	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pn.	Pn.	PnW.	Pn.		
8	☽	751.15	750.75	749.54	749.35	12.3	17.2	22.1	16.4	52.	pogodny	pogodny	napół pog.	pogodny	Pn.	Pn.	PnW.	—		
9		748.83	748.05	746 73	746 59	15.8	22.0	24.5	16.1	52.	pogodny	pr. pogodny	pr. pogodny	pogodny	W.	PdW.	PdW.	—		
10		746.60	746.80	745.84	746.35	18.3	21.9	23.5	17.1	52.	pr. pogodny	pogodny	pochmurny	pogodny	Pd.	Pn.	PnW.	—	1.5	
11		746.43	746.65	745.70	747.28	16.8	24.1	27.8	18.3	51.	pogodny	pr. pogodny	napół pog.	pogodny	—	PdW.	PdW.	—		
12		748.41	748.57	747.07	747.75	17.8	24.0	28.4	18.7	50.	pogodny	pogodny	pr. pogodny	napół pog.	PdW.	Pd.	PdW.	—		
13		747.78	747.05	746.02	745.81	16.4	25.5	27.3	18.4	51.	pr. pogodny	pogodny	napół pog.	pochmurny	—	Pd.	Pd.	Z.		
14		745.48	744.91	742.62	742 32	18.2	23.3	22.2	15 7	70.	pr. pogodny	pr. pogodny	pr. poch. d.	lek. pochm.	PdZ.	PdZ.	Z.	PdZ.	1.8	
15	☽	744.20	745.21	745.71	746.05	13.1	14.6	15.4	10.4	83.	pochmurny	poch. dész.	poch. dész.	pr. pogodny	PnZ.	Z.	Z.	Z.	3.2	
16		746.06	745.84	744.68	743.75	11.9	16.6	17.7	14.0	68.	lek. pochm.	lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	Z.	PdZ.	Z.	PdW.		
17		743.09	744 29	745.12	745 13	16.0	16.4	17.1	13.3	68.	poch. desz.	pochmurny	pochmurny	dészcz	PnZ.	Z.	Z.	PnZ.	1.2	
18		744 54	744.13	743.11	744.94	9.6	9.8	10.2	10.4	100.	dészcz	dészcz	deszcz	pochmurny	Pn	PnZ.	Pn.	—	34.6	
19		745 49	746.19	745.21	746.66	14.0	21.2	24.8	16.5	74.	pochm.	pogodny	l. poch. dés	pochmurny	PnZ.	PnW.	PnW.	PnW.	1.6	
20		745.95	745.42	743.75	744.18	17 5	20.6	19.7	17.3	76.	napół pog.	napół pog.	pochmurny	lek. pochm.	PnW.	PnW.	Pn.	—		
21		743 28	743.34	742 16	742.46	16.6	22.7	23.9	16.0	66.	lek. pochm.	lek. pochm	l. poch. dés!	pr. pogodny	Z.	PdW.	PdW.	PnZ.		
22		742 96	743 18	743.38	745.49	15.2	21.0	23.1	16.3	66.	pr. pogodny	pr. pogodny	pogodny	pr. pochm.	PnW.	Z.	PnZ.	PdZ.		
23	☾	747 86	749.24	749.06	749.24	16.0	18.4	21.9	17.2	68.	pochmurny	pr. pogodny	pr. pochm.	pochmurny	PnZ.	PnZ.	Z.	PdZ.		
24		750.42	750.66	750.51	750.98	16.7	21.8	20.5	15.7	65.	pogodny	napół pog.	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	1.0	
25		751.57	752.74	753.48	755.79	13.9	16.3	18.6	13.5	55.	pochmurny	pr. pogodny	pr. pogodny	pr. pogodny	Pn.	Pn.	PnZ.	PnZ.		
26		757.84	758.20	756 88	757.76	12.7	18.0	20.1	16.6	57.	pogodny	lek. pochm	pochmurny	napół pog.	PnZ.	PnZ	PnZ.	Pn.		
27		758.42	759.32	758.40	757.66	15.0	16.7	23.0	18.3	69.	pochmurny	pochmurny	napół pog.	pogodny	Pn.	PnW.	PnW.	Pn.		
28		757.28	756 85	754 39	753.24	15.9	20.6	24.6	19.0	54.	pogodny	pogodny	pogodny	lek. zamgl.	PnW.	PnW.	Pn.	—		
29		751 24	750.62	749.61	749.66	17.1	24.8	26.2	18.8	56.	pr. pogodny	napół pog.	pochmurny	lek. pochm.	—	PdZ.	PdW.	—		
30	☽	749.42	749 54	749.40	750.05	19.6	25.0	28.3	20.0	59.	smugi	pogodny	pr. pogodny	pogodny	Pd.	PdZ.	Pd.	—		
Śre.		748.423	748.630	747.691	748.166	+15°.22	+19°.72	+21°.83	+16°.09	64.									48.5	

	m.	d.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	748.227	27	7.686
Najwyżéj barometr dochodził d. 27 o g. 10 r.	759.32	28	0.604
Najniżéj — — d. 21 o g. 4 w.	742.16	27	4.997
Średnia zmiana dzienna barometru	2.217		0.983
Największa zmiana dzienna barometru d. 4—5 o g. 6 r.	7.64		3.387
Średnia wysokość barometru jest niższa o	0.143		0.063
od stanu normalnego z 33 lat poprzedzających	748.370	28	7.749
Średnia temperatura czerwca wynosi:	+ 18°.21 C.	+	14°.57 R.
i ta jest wyższa o	0.55 „		0.44 „
od stanu normalnego z 33 lat poprzedzających	+ 17.66 „	+	14.13 „
Największe ciepło było d. 12 o g. 4 w.	28.4 „		22.72 „
Najmniejsze — — d. 5 i 6o g. 6 r.	9.4 „		7.52 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.573 „		2.058 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 18—19 o g. 4 w.	14.6 „		11.68 „

Termometrograf wskazał:
Maximum: + 24°.3 R. d. 1 po poł.
Minimum: + 5°.5 „ d. 6 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 64.1, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru 9.95 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest o 0.02 mniejsza od normalnéj.

Ilość wody spadłéj z deszczu wynosi co do wysokości: 48.5 mil. czyli 21.50 lin. par.; ilość ta wody jest o 7.80 lin. par. mniejsza od téj jaka średnio u nas w czerwcu spada.

Dni pogodnych było 9, napół pogodnych 9, pochmurnych 12.
Dni deszczu 11 (d. 1, 3, 10, 14, 15, 17, 18, 19, 21, 23, 24).
— grzmotów 7 (d. 2, 3, 10, 14, 19, 22, 24).
— błyskawic bez grzmotów 3 (d. 14, 22, 30).
Wiatrów mocnych 1 (Pn).

Wiatr panujący Północno-Wschodni, częste były także Północne.

Czerwiec r. b. był pogodny, suchy, blizko o pół stopnia R. cieplejszy niż zwykle; w początku i środku miesiąca co do temperatury zmienny, największa zmiana dzienna dochodziła 11.68 stop. R. d. 18 na 19. Najciepłejsze dni były: d. 1, 2, 3, 10, 11, 12, 13, 28, 29. 30; najchłodniejsze d. 5, 6, 15, 16, 17, 18. Pod względem stanu nieba miesiąc ten zbliżał się do stanu normalnego, albowiem w stanie średnim stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 5,8 : 14,1 : 10,1 w r. b. stosunek tychże dni jest jak 9 : 9 : 12. Dnia 8 w czasie przejścia księżyca przez równik niebieski i razem w pierwszéj kwadrze, barometr zaczął opadać, a temperatura się zwiększać; przeciwnie d. 23 przy drugiém przejściu księżyca przez równik i razem w ostatniéj kwadrze, barometr się podniósł a temperatura zniżyła. Deszcze lubo dość częste były jednak nieobfite, wyjąwszy w dniu 18, w którym począwszy od godziny 9 wieczór d. 17 aż do godziny 7 wieczór d. 18 deszcz ciągle padał; ilość wody z deszczu z tego dnia wynosi 15,34 lin. par. to jest dwie trzecie całéj ilości miesięcznéj wody. Stan elektryczności średni miesięczny jest 20.7 stopni; największe natężenie siły elektryczności dochodziło 36 stopni d. 17 i 29, najmniejsze 2 stopnie d. 25.

D. 22 pokazywały się plamy na słońcu.

Największa wysokość wody na Wiśle dochodziła stóp 9 cali 6 d. 30.
Najmniejsza — — — stóp 2 cali 8 d. 17.

W tym miesiącu podobnie jak w poprzednich, przesyłano telegrafem elektrycznym do St. Petersburga, postrzeżenia meteorologiczne czynione w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiém co dzień o godz. 7 rano.

REFORMY SPOŁECZNE
W WIELKIÉJ BRYTANII.

I.

Wstrząśnienie, któremu uległy zachodnie kraje Europy w roku 1848, wstrząśnienie błędne w dążeniach swoich, wynikłe z rozdrażnienia wzbudzonego pomiędzy niższemi klassami społeczeństwa, ten przynajmniéj dobry skutek zrządziło, że uwaga statystów, ekonomistów i filantropów zwróciła się z podwojoną troskliwością na stan klass uboższych, a mianowicie téż proletaryatu fabrycznego i wiejskiego. Od téjto epoki powstało w Europie mnóstwo stowarzyszeń mających na celu poprawę obyczajów ludu, polepszenie jego pomieszkań, żywności, odzieży, upowszechnienie oświaty na gruncie religijnym opartéj, reformę postępowania z więźniami; w tym nawet zamiarze zebrał się w Bruxelli, trzeci rok temu kongres dobroczynności, złożony z filantropów wszystkich krajów Europy, na którym wykazano wiele dolegliwości, wiele złego i podano nam środki zaradcze. I u nas także na przeszłém i teraźniejszém posiedzeniu naszego Towarzystwa Rolniczego mówiono szczerze i gorliwie o poprawie naszych wyrobników i służących wiejskich, o polepszeniu ich doli.

Pomysły i usiłowania objawiające się w jednym kraju nie mogą być obojętne i nieznane innym. Wiele można korzystać z takich wiadomości i zastosować je

do miejscowych naszych potrzeb. Tą myślą powodowany, przesyłam redakcyi zarys zakładów i prac, zmierzających do polepszenia bytu biednych klass społeczeństwa, a mianowicie do poprawy tych wad i występków, w które one wpadają skutkiem ciemnoty i nędzy. Zebrałem pracę moją z artykułu znajdującego się w Przeglądzie dwóch Światów w zeszycie 1 września r. z.

W liczbie reform przedsiębranych w Anglii od lat kilkunastu, następujące zasługują na szczególną uwagę.

1. Zajęcie się dolą dzieci pozbawionych sposobu do życia.

2. Poprawa zdrowia i obyczajów ludu przez usunięcie rozpalających napojów i zaprowadzenie zdrowszych pomieszkań dla ubóstwa.

3. Ustanowienie systematu karnego i takiego postępowania z więźniami, któreby połączyło karę prawem naznaczoną z podźwignieniem moralności winowajców.

Najznakomitsza i najoświeceńsza część społeczności angielskiéj zajmuje się tém dziełem, nie szczędzi na nie ani osobistéj pracy, ani znacznych nakładów. Sądzę, że też same dążenia ważne są i zbawienne dla kraju naszego. Zobaczmy więc, co w tym względzie czynią mieszkańcy państwa przewyższającego nas wszelkiemi środkami, jakich tylko do celów ludzkości użyć można.

Wartość przedmiotów skradzionych corocznie w królestwie W. Brytanii obliczają średnio na 5,250,000 funtów szterlingów (200,000,000 złp.). Główną przyczyną tak licznych kradzieży jest zaniedbanie wychowania ubogich dzieci. Jest w Anglii przeszło dwa miliony dzieci, które nie otrzymują żadnego wykształcenia, ani elementarnego ani rzemieślniczego. Wszyscy przeto mieszkańcy do jakiegobądź wyznania lub stronnictwa należący, połączyli się dla opieki nad niemi, ażeby przez to ulżyć nędzy i zapobiedz występkom. Anglia musi wszystkich sił używać przeciw nędzarstwu i zepsuciu, które wzmaga się razem z wzrostem bogactwa narodowego.

Szeryf miasta Aberdeen p. Watson założył w r. 1841 nowy dom przytułku dla dzieci od 7 do 14 roku życia, żyjących z żebractwa i kradzieży. Był to razem dom

dla ubogich, szkółka początkowa i warsztat. Tym dzieciom dawają tam pożywienie trzy razy na dzień; odjęcie jadła za niedbalstwo lub włóczęgostwo, okazuje się bardzo skutecznym środkiem poprawy. Oprócz tego wpajają w nich zasady religii i moralności. Prawie każdy z uczniów, po wyjściu z tego zakładu może zarobić na utrzymanie życia. Postrzeżono, iż te dzieci powtarzały rodzicom za powrotem do domu słyszane przestrogi i nauki, i nieraz wpływały na ich poprawę.

W 1843 otworzono taki sam zakład dla dziewcząt. W 1846 założono instytut dla małoletnich złodziejów, stawionych przed sądem przysięgłych. Takież same zakłady powstały w Londynie. Dziś liczba ich wynosi 166, a dzieci do nich uczęszcza 41,803.

Między niemi jest najznaczniejszym szkółka niedzielna dla *dzieci* w *łachmanach*, licząca 937 uczniów; w Anglii bowiem napotkać można więcéj ludzi w łachmanach, aniżeli w innym wykształconym kraju. Przyczyną tego jest, że ani robotnicy, ani ich żony szyć nie umieją; zajęte bowiem pracą w warsztatach od ósmego roku życia, niczego się nie uczyły. Zaprowadzono zatém w takich szkółkach klassy szycia, a dzieci płci obojéj uczą się krawiectwa a czasem szewstwa. Zwrócono także uwagę na kształcenie córek wyrobników fabrycznych, w gotowaniu, praniu i prasowaniu, o których te biedne istoty podobnie jak ich matki nie miały żadnego wyobrażenia. Zadziwią się czytelnicy nasi, że tak późno o tém pomyślano. Lecz zwykle bywa, że umysł ludzki wysila się na marzenia, których uskutecznić nie może, a potrzeba wieków, żeby zastosował do praktycznego użytku najprostsze pomysły.

Chcąc dać wyobrażenie jak wielką wagę przywiązuje społeczność angielska do tego rodzaju szkółek i zakładów, wspomnimy, że oprócz nich utrzymują z prywatnych składek, do których rząd tylko część czwartą dodaje, *szkoły narodowe*, tojest kościoła *anglikańskiego* i szkoły *brytańskie*, czyli innych wyznań dyssydentskich, szkoły *rzemieślnicze*, *szkółki parafialne* i mnóstwo szpitalów i domów przytułku dla każdego rodzaju chorób i nędzy.

Tak więc prawodawstwo angielskie uświęciło tę zbawienną zasadę i wprowadziło we wszystkich miastach Anglii, Irlandyi i Szkocyi, że zpołeczeństwo przyjmuje jakoby własne, te dzieci, które niedola pozostawiła bez wychowania i sposobu do życia. Cywilizacya naprawia złe, idące nieuchronnie za jéj śladem i będące skutkiem niedoskonałości natury człowieka. Rojowisko złoczyńców i wrogów zamienia się w Anglii w szkołę rzemieślników, żeglarzy, żołnierzy, rolników, którzy powiększą środki obrony i produkcyi krajowéj, wzmogą ludność osad dawnych a nowe zakładać będą.

Zadosyć czyniąc najświętszym obowiązkom miłosierdzia chrześciańskiego, zakładaniem szkół rzemieślniczych i poprawczych, zapobiegają najgroźniejszym skutkom, wynikającym z demoralizacyi massy ludu.

II.

Lecz nie sama niedbałość o moralność i oświatę dzieci ubogich ludzi jest jedynym powodem występków i nieładu w społeczności. Anglicy zwrócili usiłowania swoje przeciw innym niemniéj zgubnym wpływom, a najprzód przeciw pijaństwu, téj narodwéj wadzie. Statystyka wykazuje, że na sto czynów występnych, dziewięćdziesiąt jest skutkiem pijaństwa, że w pomyślnych latach dla przemysłu najwięcéj zdarza się występków, gdyż pospólstwo więcéj wtedy pić może. Pijaństwo wtrąca robotnika w nędzę, gdyż mu odbiera siły, odwodzi od pracy, pochłania pieniądze potrzebne na utrzymanie rodziny i rozwija zgubne namiętności. Daleko jest do tego, żeby tysiąc milionów złotych wpływające do skarbu z opłat od wyrobu i szynkowania trunków, wynagrodziło wszelkiego rodzaju straty, które kraj ponosi przez nadużycie rozpalających napojów (1).

(1) O prawdzie tego twierdzenia łatwo możemy przekonać się rzucając okiem np. na cyfry statystyczne kraju naszego a w Kalendarzu Obserwatoryum Astronomicznego na r. b. zamieszczone.

Mamy ludności chrześciańskiéj 4,100,000, (przyjmuję okrągłą liczbę); odjąwszy wykształcone klassy zostaje 3,800,000 pospólstwa: z tych połowa tak mężczyzn jak kobiet pije wódkę, tojest 1,900,000. Gdyby ci

W obec tak zgubnych skutków pan Hill recorder z Birminghamu nie waha się żądać nie od rządu, lecz od całego narodu angielskiego, żeby wydany został zakaz produkowania i sprzedaży wszystkich rozpalających napojów. Szanowny ten urzędnik sądowy twierdzi, że niepodobna będzie wykorzenić nadużycia, dopóki używanie istnieć będzie. Pan Hill jest organem opinii upo-

ludzie zbałamucili z powodu pijaństwa średnio licząc dziewięć dni do roku, wszakże są tacy, co 52 i więcéj jeszcze dni zbałamucą— wyniosłoby to 11,700,000 dni roboczych straty. Dzień w przecięciu trudno taniéj liczyć jak 15 kop, strata więc wyniesie 2,565,000 rs. szkody rocznéj. Jest to strata samychże robotników.

Przynajmniéj drugie tyle wynosi strata bogactwu publicznemu zrządzona, przez zaniedbanie roboty, którąby w tych 11,700,000 dniach uskutecznić można. Razem zatém pijaństwo klass niższych zrządza nam corocznie 5,130,000 rub. sr. straty.

Ale niedosyć na tém. Wiadomości statystyczne z tegoż źródła powzięte, wskazują, że w ciągu lat piętnastu było corocznie w przecięciu 6,805 ludzi zamkniętych w domu badań, każdy mógłby dni 300 pracować; czyni to 2,041,500 dni straconych.

Strata ztąd pochodząca za dzień po kop. 15 wyniesie . . . . . rs.	306,225	
Drugie tyla na bogactwie publiczném, jak wyżéj powiedziano . . . . . rs.	306,225	
W aresztach policyjnych przesiedzieli mniejsi przestępcy dni 41,286. Każdy oderwał się od roboty średnio licząc na dni 3 czyni dni 123,858, ich wartość po kop. 15 wyniesie rs.	18,583	k. 75
Drugie tyle na bogactwie publiczném jak wyżéj .	18,583	k. 75
Spraw wszystkich było 81,372 licząc do każdéj po 2ch świadków, a każdy świadek stracił dni najmniéj 3, na drogę do sądu i stawanie w tymże; czyni dni straconych 732,338; dzień po kop. 15 rs.	109,489	k. 20
Drugie tyle straty na bogactwie publiczném . rs.	109,849	k. 20
Ogólna summa straty zrządzonéj przez sprawy kryminalne wynosi . . . . . rs.	869,316	k. 90
Że zaś z wszelką pewnością przynajmniéj cztery piąte tych spraw jest skutkiem bezpośrednim albo pośrednim pijaństwa, przeto na rachunek strat powyżéj przez pijaństwo zrządzonych trzeba policzyć jeszcze rs.	659,453	k. 52
Ogólna zatém summa strat corocznie w kraju naszym przez pijaństwo zrządzonych, wynosi najumiarkowaniéj obliczona . . . . . rs.	5,789,452	k. 52

Czyli zł. pol. 38,596,313 gr. 20,

wszechnionéj a będącéj powodem tych zgromadzeń i narad, przez które w Anglii odnoszą tryumf wnioski i środki z początku uważane jako niepodobne do uskutecznienia. Od dwóch lat zawiązało się wielkie stowarzyszenie pod nazwiskiem: „*Związku zjednoczonych królestw*" w celu zaprowadzenia trzeźwości. Prezydentem związku jest Sir Walter Trèvelian, jest także 33 vice-prezydentów, komitet z 21 członków, bank związkowy i mnóstwo ajentów we wszystkich częściach kraju. Należą do niego duchowni wszystkich wyznań i dawni członkowie towarzystwa wstrzemięźliwości. Głównem ogniskiem associacyi jest miasto Manchester. Wychodzi tam dziennik tygodniowy, w którym założono sobie ten cel, żeby uchwałą parlamentu wyjednać zupełny i niezwłoczny zakaz handlowania wszelkiemi rozpalającemi napojami.

Środki prawne przeciw pijaństwu, dotąd nie zaprowadzone w żadnym kraju europejskim, już istnieją w wielu krajach Stanów Zjednoczonych Ameryki północnéj. Tam spirytus więcéj jeszcze zrządza klęsk niżeli w Wielkiéj Brytanii, i mało jest rodzin, któreby nie opłakiwały jakiéj ofiary pijaństwa. W roku 1851 w *Stanie Maine* zakazano zupełnie przedaży wszelkich upajających trunków. W styczniu 1857 toż samo uczyniły Stany *Massa-hussett*, *Rhode-Island*, *Vermont*, *Michigan*, *Konnektikut*, *Delavara*, *Jowa*, *New-Hampshire*. Zakaz ten, częstokroć przełamywany w miastach, utrzymuje się w zupełnéj mocy po wsiach, a chociaż nie zupełnie wykonywany, zmniejszył o połowę liczbę nieszczęśliwych przypadków, samobójstw i występków.

Jakiż skutek wyniknie z dążenia, objawiającego się w W. Brytanii? Zmniejszyć się może pijaństwo w klassach niższych, lecz zupełne usunięcie wszystkich trunków, nawet piwa i wina, jest niepodobném. Klimat kraju i rodzaj pracy, którym zajęte jest pospólstwo, nie pozwala na to; wódka tylko, bez któréj zwyczajnego użycia obejść się nie można i która chyba w czasie żeglugi na morzu, albo w kampanii wojennéj jest potrzebna, powinna uledz zakazowi, gdyż w domowém użyciu szkodliwszą jest od trucizny. Anglicy skłonni są do ofiar potrzebnych dla ich dobra, jednakże reformą pijaństwa

dotyka namiętności tak mocno zakorzenionéj, iż długo czekać na nią będą.

Nagromadzanie ubogiéj ludności po wielkich miastach w Anglii i mianowicie téż w miastach fabrycznych zrządza zabójcze febry i inne choroby. Jestto złe, o którém mieszkańcy krajów nie przepełnionych ludnością, jak my np. nie możemy sobie żadnego uczynić wyobrażenia. Zwierzęta domowe stokroć lepiéj są pomieszczone, niżeli biedni robotnicy angielscy, mianowicie téż Irlandczycy przybywający na najem do Londynu i do innych miast Anglii. Tam zjadliwe wyziewy, robactwo, łachmany zamiast odzieży, podniecają do napojów rozpalających, mnożą zepsucie i występki. Dopiéro od lat dwudziestu czterech zaczęto zwracać uwagę na taki stan rzeczy i myśléć o środkach zaradczych. Jednakże Anglicy nie zajęli się tym przedmiotem z takąż mocą i gorliwością jak innemi ulepszeniami, może nie tyle naglącemi. Zaczęto stawiać kosztem funduszów miejskich nowe domy dla klass rzemieślniczych. W wielu gospodach czyli domach, gdzie mieści się ludność przybywająca tymczasowo na robotę, zaprowadzono środki ochędóstwa, przewietrzania powietrza i usunięcia wilgoci. Jednakże jest to jeszcze bardzo niedostateczne lekarstwo przeciw złemu, które psuje i zabija ubogą ludność W. Brytanii.

III.

Kodeks karny angielski, jeszcze przed pięćdziesięcią laty był najsroższym w Europie: kradzież wartości 200 złp. karano śmiercią. Obrońca nie mógł mówić w sprawie oskarżonego, chociaż biedny prosty człowiek sam bronić się nie umiał i tylko adwokat mógł mu rady udzielać. Więzienie było straszliwą męczarnią, nietylko dla skazanych, lecz nawet i dla obwinionych. Razem zamykano mężczyzn, kobiéty, dzieci i w ciasnych izbach na przegniłéj słomie; mnóstwo nieszczęśliwych przypłacało życiem takie obejście. Pomimo takiéj grozy, liczba złoczyńców coraz to bardziéj wzrastała. Reklamacye przyjaciół ludzkości i ich usiłowania zrządziły zupełną zmianę w postępowaniu z więźniami, a teraz w Anglii tak ła-

godnie obchodzą się z niemi, iż w wielu innych krajach uważanoby to postępowanie jako gorszącą zachętę do zbrodni.

W wieku przeszłym, filantrop angielski Howard poświęcił się reformie i poprawie systematu karnego i więziennego. Zwiedził wszystkie więzienia w Europie i utwierdził się w téj myśli, że aby poskromić i zapobiedz występkom, groza nie jest dość silna, że tylko przez odosobnienie każdego więźnia można ten cel osięgnąć. Myśli swoje rozwinął w dziele wydaném w 1775, i wkrótce potém umarł na chorobę, któréj zarody wciągnął w siebie w więzieniach Krymu. Zaczęto doświadczać jego metody, lecz nie powiodła się i zaniechaną została.

Zabójcza epidemia, zwana febrą więzienną, dostarczyła nowych dowodów na poparcie teoryi Howarda. Plaga ta, zrodzona z natłoku, nieochędóstwa i złego pożywienia, rozpostarła się po więzieniach angielskich i zabijała stami i tysiącami nietylko więźniów, lecz i sędziów, świadków, przysięgłych, dozorców, zgoła wszytkich, którzy mieli z niemi jakiekolwiek zetknięcie. Wówczas przypomniano sobie rady Howarda, oczyszczono i przewietrzono więzienia, dano lepszą odzież i żywność, częściéj odnawiano słomę i rozdzielono więźniów podług płci i stopnia winy. Jednakże jeszcze w 1818 na 510 więzień znajdujących się w W. Brytanii dopiéro w 23 więźniowie rozdzieleni byli na kategorye, a w 59 mężczyzni i kobiéty jeszcze byli zamknięci razem. O poprawie ich moralności nikt jeszcze nie pomyślał, w wielu więzieniach nie było kapelana.

Najpierwéj w Stanach Zjednoczonych doświadczono systematu Howarda na wielką skalę i odosobniono więźniów. Zbudowano w tym celu dwa gmachy: w jednym winowajcy zostawali w zupełnéj samotności, w drugim odłączono ich tylko od towarzyszów niewoli, lecz często ich odwiedzali oficyaliści i zwierzchnicy więzienia. W roku 1834 podobne więzienie zbudowano w Anglii. Liczne wypadki samobójstw i obłąkania umysłów przekonały, że zupełne odosobnienie trwać nie może przez długi przeciąg czasu. Więzienia podług drugiego systematu urządzone, tojest połączone z pracą ręczną

i częstemi odwiedzinami przełożonych i duchownych, przyniosły zbawienne skutki. Zakres odosobnienia takiego, ograniczono na dwanaście, a potém na dziewięć miesięcy. Przez ten czas, osadzeni winowajcy uczą się różnych rzemiosł, a nauki moralne i religijne wpajają w nich zasady przyszłego postępowania, gdy będą wypuszczeni na wolność. Ci, których uznano za poprawionych, wysyłani byli do ziemi *Van Diemen*. Tam, jeżeli sprawowali się dobrze, wypuszczano ich na wolność, i podawano środki korzystnego zarobku. Niepoprawnych używano do robót publicznych bez żadnéj zapłaty. Tak więc, zastósowano się do pomysłów Howarda. Zmieniła się dążność kary i rozwinęła się nowa i zbawienna zasada, *iż tak trzeba postępować z więźniami, żeby przez swoją pracę i dobre postępowanie, mogli zasłużyć na skrócenie czasu naznaczonéj kary, a potém nie byli ciężarem społeczności.*

Mimo tych środków zbawiennych, poprawa skazanych winowajców nie wiele postąpiła aż do lat ostatnich, a to głównie z tego powodu, że po takim pobycie w więzieniach poprawczych przepędzają dalszy ciąg naznaczonéj kary w warsztatach okrętowych w Potsdam, w Porthsmouth i Darmouth. Tam przez zetknięcie się jednych z drugiemi, mianowicie z więźniami przysłanemi z tych więzień, gdzie nie ma poprawczego systematu, zapominają o naukach moralnych i powracają do dawnego zepsucia. Oprócz tego, od czasu, jak Australia wzmogłszy się w ludność i bogactwo, oświadczyła, że nie chce przyjmować złoczyńców nadsyłanych z Anglii, rząd zniewolony był skrócić czas więzienia dla pomniejszych przestępców i wypuszczać na wolność takich nawet, o których jest przekonanie, że popełniać będą nowe przestępstwa.

Z licznych postrzeżeń i prób wynikło to przekonanie, że dobre obejście się więcéj wpływu wywiera na winowajców, niżeli surowość i groza. Nie idzie zatém, że potrzeba znieść wszelką karność i obchodzić się z niemi jak z ludźmi, którzyby z własnéj woli zebrali się dla wspólnego pożycia. Osadzeni w więzieniu na czas prawem naznaczony, powinni być stopniowo przysposabiani do

używania wolności; należy przeto zajmować ich pracą, którąby im zapewniała jakiś fundusz, gdy wrócą na łono społeczeństwa. Ich moralność, pracowitość i wysokość uzbieranéj kwoty, powinna wpływać na skrócenie lub przedłużenie pobytu w więzieniu. Oprócz tego, *Towarzystwa opieki nad uwolnionemi więźniami* powinny wyszukiwać dla nich sposobów uczciwego zarobku. Ludzie, chociażby najbardziéj zepsuci, mają w głębi serca uczucie dobrego i złego, które należy rozbudzić i podnieść.

Przyznać potrzeba, że te myśli i zasady tak piękne i zajmujące w teoryi, nie łatwo wykonać się dadzą w rzeczywistości. Brak funduszu, miejsca stosownego, ludzi chcących oddać się z poświęceniem téj pracy, jest główną do tego przeszkodą. Tém bardziéj przeto, zajmować nas powinien zarys prac, w tym celu podejmowanych.

Prezydent dyrektorów więzień w Irlandyi, kapitan *Crofton* uczuł i ocenił prawdę dawną pomysłów Howarda i późniejszych uwag, ogłaszanych przez pana Hill rekondera wielkiego sądu przysięgłych w Birmingham. W miesiącu listopadzie 1855 przedstawił rządowi środki, które obejmowały rozwinięcie i zastosowanie nowego systematu więziennego. „Zasada poprawiania winowajców, (pisze w przedstawieniu swojém) przyjęta została po długiém badaniu przez komitet izby niższéj do tego przedmiotu wyznaczony. W tym celu, tak trzeba urządzić więzienia, żeby połączały środki grozy i środki reformy. Teraźniejszy system zaczyna od grozy a kończy się okresem karności reformowéj. Zaprowadzimy pośrednie postępowanie, w którémby żywioł reformy tak przeważał, jak żywioł grozy i kary przeważa w teraźniejszém. Największa trudność, mówi pan Crofton, z którą walczyć muszą więźniowie wypuszczeni na wolność, jest brak pracy i zarobku. Dopóki ta trudność istnieć będzie, więźniowie, czyto zamknięci, czy wypuszczeni, stanowić muszą oddzielną klassę społeczeństwa: trzeba więc przedewszystkiem zapobiedz temu rozdzieleniu. Żądamy od społeczności, żeby przyjęła do łona swego i użyła do pracy tych wypuszczonych więźniów, którzy będą opatrzeni w świadectwo, iż okazali skruchę i przykład-

nie sprawowali się w więzieniu; lecz publiczność nie uznaje za dostateczny dowód świadectw pozyskanych wtenczas, gdy byli odddaleni od pokus, na które wystawieni są wypuszczeni więźniowie. Nie chcąc więc ich przyjmować, odpychają poprawionych i nie poprawionych winowajców. Nowy pośredni sposób postępowania z więźniami stawi ich w położeniu, w którém oni będą mogli zetknąć się z pokuszeniami do złego, a publiczność będzie mogła ocenić ich moralną poprawę, pracowitość i zdolność. Przekonanie o rzeczywistości tych faktów skłoni naczelnika warsztatu, albo rolnika do przyjęcia takich ludzi. Ten okres proby, posłuży nieomylnie do poznania winowajców rzeczywiście poprawionych, a udzielone im względy i korzyści działać będą na resztę więźniów i wywrą wpływ jak najzbawienniejszy."

Stosownie do tych myśli, pan Crofton podał plan, oparty na *rozpojedyńczeniu*, tojest na oddzielném zamknięciu i na odzielném postępowaniu z każdym więźniem. Radził, żeby czas pobytu w więzieniu był taki sam, na ile lat tenże miał być wytransportowany do Australii.

Naprzykład, człowiek skazany na lat dziesięć transportu, powinien być, jeżeli dobrze się sprawuje, przypuszczonym do pośredniego okresu na lat cztery. Po czterech miesiącach przepędzonych w tym okresie, może otrzymać jakie zatrudnienie, a jeźli postępowanie jego nie podpadało zarzutom, może uzyskać warunkowe uwolnienie, lecz które można odwołać w każdéj chwili, aż do końca naznaczonych lat dziesięciu. Radzi także, żeby w tym pośrednim okresie podnieść zapłatę roboty, tak, aby wyrównywała wartości wykonanéj pracy. Wolne rozrządzenie częścią téj zarobionéj kwoty, byłoby probą moralności więźnia. Umyślił używać majstrów rzemieślniczych za dozorców więzienia, a po pracy, czytania religijne i moralne, odbywane co wieczór, miały ich przygotować do proby uwolnienia.

Rząd zatwierdził te wszystkie wnioski. W ciągu sześciu tygodni przerobiono stare więzienie w Dublinie, zwane *Smith-Field* i nowy systemat wprowadzono w wykonanie. Istnieje on w czterech więzieniach odmiennego rodzaju. W każdym z tych zakładów, liczbę więźniów

ograniczono do stu, żeby rozpojedyńczenie zastosować można do każdego z nich, żeby mieli pewien rodzaj swobody; a jednak nie uchronili się przed okiem zwierzchności; żeby mieli własną wolę, o tyle, ile to może pogodzić się z porządkiem i karnością. Jedno z tych więzień jest w Szmith-Field w Dublinie, przeznaczone dla więźniów trudniących się rzemiosłem sedentaryjném; drugie jest w Luck, wiosce o 15 mil angielskich od Dublina. Winowajcy są tam używani do prac przy drenowaniu, przy drogach bitych, przy niwellacyi i budowli. Dwa ostatnie są w warowniach *Cambden i Carlisle*, po dwóch stronach zatoki *Corf*: tam więźniowie pracują w warsztatach wojny i marynarki.

Skreślimy zwięzły obraz tego systematu reformy. Kara, którą wytrzymują więźniowie irlandzcy, dzieli się na trzy okresy. Pierwszy okres składa się z dwóch peryodów: w pierwszym, trwającym przez miesięcy dziewięć, skazani więźniowie siedzą w osobnych celkach; w drugim, którego przeciąg zależy od ich postępowania, pracują razem przez dzień, a na noc zamykani są w osobnych celkach. Drugi okres, czyli okres pośredni, obejmuje czas przepędzony w jedném z więzień Cambden, Carlisle, Smith-Field i Luck: pracują tam razem i sypiają w izbach spólnych.

W trzecim okresie używają tymczasowéj wolności, którą w każdéj chwili postradać mogą, z powodu złego postępowania, albo podejrzenia o zamiar ucieczki.

Pierwszy okres. W więzieniu Montjoy w Dublinie, przebywają więźniowie pierwszy peryod pierwszego okresu. Czynię uwagę, że gdy rząd francuzki po kosztownych doświadczeniach zaniechał odosobnionych celek jako niepraktycznych, w Anglii zrobiono z nich podstawę karnego systematu. Jednakże więzienie w Montjoy, nie jest zupełném osamotnieniem; oddziela tylko skazanego od towarzystwa, którego unikać powinien, tojest od towarzystwa złoczyńców, a ciągle wystawia go na wpływy, które mogą najskuteczniéj doprowadzić do moralności. Codziennie bywa u niego dyrektor i kapelan, codzień wychodzi na podwórze dla użycia świeżego powietrza,

dwie godziny przepędza w klassie nauk i znajduje się na nabożeństwie.

Po dziewięciu miesiącach przepędzonych w więzieniu Montjoy, więzień wysłany jest, jeżeli pracuje w izbie, do Philipstown, więzienia znajdującego się wewnątrz kraju, o 40 mil od Dublina; jeżeli zaś, nie umiejąc rzemiosła, musi pracować na otwartém polu, przenoszą go do Spike-Island warowni w zatoce Cork. W jednym i drugim zakładzie nocuje w osobnéj celce, w dzień należy do roboczego warsztatu. Już w Montjoy, dawano mu książki nie tylko religijnéj treści, lecz także moralne i zajmujące. W drugim peryodzie pierwszego okresu nauczyciel jest zarazem lektorem i wybiera przedmioty zastosowane do potrzeb i pojęcia słuchaczy. I tak naprzykład: bardzo jest ważną rzeczą dla więźniów, żeby wiedzieli, czém będą mogli zarobić na życie i jakie zasiłki znajdą w osadach, jeżeli do nich się wydalą. Lektor może więc bardzo zająć ich wiadomościami o klimacie, rodzajach pracy i cenie zapłaty w rozmaitych osadach, do których będą mogli odpłynąć. Ostrzega ich o pokusach i niebezpieczeństwach, jakie czekają wychodźców i oddala od nich tę niedorzeczną myśl, że są takie miejsca na kuli ziemskiéj, gdzie można uczciwie zaspokoić potrzeby życia, bezpracy i bez powściągnięcia namiętności.

Więźniów w Spike-Island i w Philipstown, podzielono na klassy. Wstępując w drugi peryod pierwszego okresu, należą do klassy 3ej; mogą przejść do drugiéj po upływie dwóch miesięcy, jeżeli przykładnie sprawowali się w Montjoy; a po trzech lub czterech, jeżeli postępowanie ich było nienaganne. Najkrótszy czas pobytu w klassie drugiéj wynosi sześć miesięcy; najdłuższy jest nieoznaczony i zależy od liczby i rodzaju przestępstw względem karności więziennéj.

Drugi okres. Z pierwszéj klassy pierwszego okresu, nienaganne postępowanie przez rok jeden daje prawo więźniowi do przejścia do pośredniego okresu, i wtenczas przenoszą go do Luck, Smith-Field, albo Cambden-Carlisle, podług rodzaju pracy, do jakiéj jest zdolnym. Tam zostając dzień i noc razem z towarzyszami więzienia,

zajmuje przechodnie stanowisko między uwięzieniem a wolnością, mieszka jakoby w miejscu przymuszonego pobytu, nie zaś w więzieniu, używany jest do rozmaitych prac, a zawsze zostaje pod ścisłym dozorem. Poruczają mu różne czynności za obrębem więzienia, może nawet pracować na wolności i tylko wieczorem powraca do zakładu. Jeżeli nie ulegnie pokusom przy tém pierwszém użyciu wolności, poruczają mu zakup sprawunków i zapłatę za nie. W tych kolejnych probach, stanowiących główną część poprawy systematu karnego, nie zdarzył się dotąd, ani jeden przykład nierzetelności. W tym okresie nie ma klass, lecz za najmniejsze uchybienie, za najmniejszą oznakę lenistwa, więzień zostaje z niego wydalony; tam zaczyna się praktyczna nauka wstrzemięźliwości i gospodarności. W drugim peryodzie pierwszego okresu więzień zarabia przez pracę swoją, drobną zapłatę, którą zapisują mu w książeczkę. Te oszczędzone pieniądze oddają mu do ręki przy wnijściu do drugiego okresu i przydają do niéj wyższą zapłatę, dozwalając mu wydawać z niéj sześć pensów (zł. polski) na tydzień. Te książeczki często przegląda dyrektor zakładu. Jeżeli sześć pensów oszczędzi więzień i przyłączy do uzbieranéj kwoty, otrzymuje pochwałę nietylko za to, że powiększa swój zasób, lecz i za to, że umie się powściągnąć. Jeżeli wyda pieniądze na jaki przedmiot użyteczny, np. na zakupienie odzieży, i za to go także pochwalą. Wydatki na przedmioty, bez których obyć się można, np. na jedzenie lub tytoń, stają się powodem przestrog i uwag; jednakże więzień nie traci przez to prawa do wolnego użycia swoich pieniędzy.

Nauki rozpoczęte w Montjoy rozwijają się w okresie pośrednim. Wykładają tam historyą a głównie nauczają, jak należy żyć i czém można zarobić na życie w osadach; wykładają także stosunki, między robotnikiem a naczelnikiem fabryki, albo majstrem zachodzące; nareszcie wieczorem co sobota, więźniowie zadają sobie nawzajem pytania o przedmiotach, które im wykładał nauczyciel.

Trzeci okres. Dyrektorowie wyszukują zatrudnienia dla tych, którzy przykładnie wytrzymali wszystkie proby

pośredniego okresu. Łatwo im to przychodzi, gdyż naczelnicy warsztatów więcéj żądają ludzi, niżeli znajduje się poprawionych winowajców, zasługujących na umieszczenie. Wtenczas przechodzą oni do trzeciego okresu i otrzymują pismo, które im nadaje tymczasową wolność. W takim stanie, powinni dwa razy na miesiąc stawić się przed dyrektorem więzienia, jeźli są w Dublinie, a przed inspektorem policyi, jeżeli pracują w dalszéj okolicy. Wrazie podejrzanego postępowania, lenistwa i pijaństwa pozwolenie tracą, a odesłani do więzienia celkowego muszą przebywać wszystkie próby, które już wytrzymali. Jeźli zaś przykładnie sprawują się, to po dwóch latach, a czasem i prędzéj, otrzymują od namiestnika Irlandyi zupełne ułaskawienie i większa ich część udaje się do osad, z oszczędzonym zapasem pieniędzy.

Tenże sam systemat zastosowany jest w więzieniach kobiet, z tą różnicą, że tylko przez cztery miesiące zostają w osobnych celkach. Siostry Miłosierdzia opiekują się niemi i po wytrzymaniu kary wynajdują dla nich służbę lub robotę.

Jakie są ważne i bardzo zajmujące doświadczenia, zaprowadzone w więzieniach Irlandyi od 1 stycznia 1856 r., wykazuje się z raportów pana Crofton, że można spodziewać się zupełnéj poprawy przynajmniéj trzech czwartych z liczby winowajców pod taki zarząd poddanych. Jeżeli dalsze lata potwierdzą to ocenianie, będzie to przykładem dla wszystkich oświeconych ludów.

Co zaś do niepoprawnych i winowajców za nowe występki po raz drugi odsyłanych do więzienia, panowie Crofton i Hill sądzą, iż należałoby obostrzyć prawo, skazać ich na wieczne więzienie, jako niebezpiecznych szaleńców. Zdaje nam się, że byłaby to zanadto posunięta surowość. Któż może zaręczyć, że użyto wszelkich środków poprawy podczas pierwszego osadzenia w więzieniu, któż oceni jakie okoliczności wpłynęły na powtórne przestępstwo?

Jeżeli niepoprawni i kilkakrotnie dopuszczający się występku zasługują na obostrzenie kary, to nawzajem winowajcy, którzy wycierpieli karę i okazali dowody

skruchy i poprawy, powinni doznawać szczególnéj opieki, a ta będzie koniecznem dopełnieniem nowego prawodawstwa karnego i nowego systematu obchodzenia się z więźniami. W tym celu utworzyły się *towarzystwa opieki nad więźniami* i domy przytułku, mające na celu poprawę winowajców. W niektórych takich zakładach doznają winowajcy wypuszczeni na wolność takich wygód i dobrego bytu, że aż to zaczęło razić opinią publiczną. Zdrowy rozsądek i doświadczenie narodu angielskiego zapobieży téj przesadzie człeko-lubnéj. Śmieszną bowiem byłoby rzeczą, gdyby stan więźnia uwolnionego był szczęśliwszy od stanu poczciwego robotnika, znoszącego częstokroć brak wszelkich potrzeb życia.

* * *

Skreśliłem zarys usiłowań potężnego i bogatego narodu, mających na celu, żeby zapobiedz występkom przez zakładanie miłosiernych instytucyj, a przez stosowne urządzenie więzień poprawiać najbardziéj zepsutych.

W wieku naszym, człowiek zdołał tak potężnie zawładnąć materyalnemi siłami przyrodzenia; czyliż zdoła także uskromnić stokroć niesforniejsze żywioły, namiętności serc zepsutych? Czas rozwiąże to zagadnienie, lecz można spodziewać się pomyślnego skutku tych usiłowań, jeżeli w nich z silną wolą i wytrwaniem połączy się uczucie religijne i miłosierdzie chrześciańskie

Główną myślą, na któréj opiera się systemat pana Crofton, jest umniejszanie ostrości kary, w miarę dobrego postępowania więźnia i zbliżania się kresu oznaczonego wyrokiem karnym. Ztąd wynika, że więzień po wytrzymaniu kary, nie jest rzucony w społeczeństwo, z którym zerwały się wszelkie jego stostunki, które mu nie ufa, nie chce go użyć do pracy i odrzuca od siebie. W miejscu urodzenia, dokąd go odsyłają, częstokroć nie zastaje nikogo z krewnych. Dawni znajomi unikają od niego. Gospodarze rolni mniejsi czy więksi, chyba w ostatniéj potrzebie, dla braku ludzi, wezmą go chwilowo do roboty. Czeladź rzemieślnicza nie chce z nim pracować. Cóż mu pozostaje? Oto musi dopuszczać się przestępstw i znowu na więzienie zasłużyć. Na taką

drogę wprowadza go, oprócz niedostatku zepsucie, którém przesiąkł w towarzystwie zatwardziałych więźniów i ta nienawiść przeciw społeczności całéj, którą się napoił w więzieniu. I dlatego to wykazy statystyczne, ogłoszone drukiem, wskazują nam, że więcéj jak trzecią część więźniów corocznie osądzoną na ciężkie kary składają winowajcy, po raz drugi, trzeci a może i czwarty dopuszczający się występku.

Zdaje się, że systemat obmyślony przez pana Crofton, umiarkowany i zastosowany do okoliczności miejscowych, nie tyle skomplikowany, a przez to łatwiejszy do wykonania, wywarłby bardzo skuteczny wpływ na poprawę więźniów, zatamowałby źródło zepsucia i pomnożyłby liczbę rąk do pracy, na któréj brak tak się użalają.

F. S. Dmochowski.

BAJKAŁ—SZAMANIZM.

Wyjątek

Z OPISANIA ZABAJKALSKIÉJ KRAINY.

PRZEZ

Agatona Gillera.

I.

W Listwiennicznéj, głównym porcie Bajkału, siadłem na parowiec „Następca", należący do pana N. Miasnikowa. Dano hasło, para zasyczała, kotwice zdjęto i statek ruszył. Oddaliwszy się w prostéj linii od brzegu na dwie wiorsty, sternik zwrócił statek w kierunku północnym. Oparty na burcie spoglądałem na brzeg, pod którym płynęliśmy przeszło wiorst pięćdziesiąt.

Skały i wysokie góry, połamane i potrzaskane w fantastyczne kształty, ubramowały jezioro. W niektórych miejscach usuwają się w głąb pejzażu, a zakreśliwszy łuk koła, tworzą zielone i wesołe zatoki. Stromo stercząc, moczą kamienne stopy, pełne jam i pieczar, w czystych i głębokich falach jeziora; a na brzegu nie zostawiają nawet miejsca na wąziutką ścieżkę.

Widoki brzegów są nieporównanéj piękności, acz cokolwiek za jednostajne. W jednem miejscu podnosi się z wody granitowa ściana; na jéj szarém tle porozpinały się mchy i żółte liszajce, a na wierzchołkach stoją między sosnami, niby gotyckie igły, ostrokręgowe massy kamieni.

W inném miejscu, w żółtawéj skale, zielone żyły wiją się i kręcą jak pasy na jaskrawéj tkaninie. Owdzie, niby zamek z dziedzińcami, basztami, murami i słupami, wykuty z kamienia, niedostępna siedziba duchów i ptaków pochyla się nad wodą, jakby w nią miał wkrótce upaść.

Nic niewdzięczniejszego jak opisywanie kształtów skał, których linie łamane, proste, krzywe, tworzą formy, jakich nam nie przedstawia architektura przez ludzi utworzona. A te zamki, słupy, baszty, ta architektonika natury, jakże jest wspaniale ozdobiona, jaka obfitość i rozmaitość ozdób! Zacząwszy od liszajców, które zdobią skały jak malowidła nasze ściany, od ruchów, które niby makaty i bogate kobierce wyścielają skalne nisze i komory, całe królestwo roślin upiększyło je: modrzewia, brzozy, sosny, wierzby zielenią się na wierzchołkach i na stokach. Mnóstwo drzew powalonych świadczą o gwałtowności wichrów na jeziorze: tam sterczy pień, owdzie korzenie; tam się drzewo nachyliło nad wodą, owdzie rozpostarło baldachim konarów, a pod nim kwitną alpejskie rośliny i świergocze ptaszyna.

Przylądki poszarpane, porysowane są wodą i piorunami. Rzeźba, dziwaczniejsza od arabskiéj i indyjskiéj fantazyi, zdobi boki groźnéj przepaści. Słońce lipcowe wysypało na brzegi snopy promieni, obłoki wędrujące po błękicie rzucają na nie cień szybko przechodzący; woda, roztrącająca się o kamienie, pokrywa je pianą i huczy ponuro: szum zaś, który głębokie na 500 sążni piersi jeziora wydają, nastraja duszę do kontemplacyi.

Szereg gór na brzegu przerwany jest głębokiemi i ciemnemi dolinami, które jezioru niosą w dani wody potoków skaczących między kamieniami i wody strumieni płynących w cieniu drzew. Przy ujściu prawie każdéj takiéj doliny znajduje się mała zatoka. W jednéj z tych dolin czerwienią się dachy kilku budynków: są to kopalnie złota, które się już wyczerpało; w inném miejscu dymi się w ponuréj dolinie huta szklanna; daléj na wązkiém wybrzeżu stoi domek stary, samotny i opustoszały, jestto stacya pocztowa Kadilna: latem nikt w niéj nie mieszka, zimą zaś, gdy podróżni po lodzie Bajkał przejeżdżają, mieszka tu ekspedytor pocztowy i furmani. Kilkanaście

wiorst daléj na północ ożywiają brzeg cztéry domki stacyi Gołoustje, także tylko zimą zamieszkałe.

Brzegi Bajkału nie mogą być zaludnione; strome bowiem góry, wychodzące wprost z wody, a w niewielu tylko miejscach oddalające się od niéj, robią pozycye zdatne do kolonizowania bardzo rzadkiemi. Mieszkańcami brzegów i wysp jeziora są głównie Buryaci. Buryat nie potrzebuje wiele miejsca: jemu wystarcza kawałek łąki i wązki pod górą pas ziemi; jurta i namiot jego wszędzie się pomieści, jezioro karmi go, łódka niesie go na połów, do sąsiada lub do kamienia szamanow. Jest on tutaj wolny, samotny; a urzędnicy, żołnierz, kupiec i podróżni nie płoszą go swoim widokiem. Buryaci nazywają Bajkał morzem świętém; nazwa ta i uczczenie przeszło od nich do Rossyan, którzy w kilku tylko niewielkich osadach nad Bajkałem mieszkają. Broń Boże, jeżeli go kto zamiast morza—jeziora tytułem obdarzy! Jestto obraza, za którą Bajkał méści się burzą, falowaniem, kołysaniem, a czasem zatopieniem statku.

Opowiadają wiele wypadków zemsty jeziora: Pewnego śmiałka, który go w podobny sposób obraził, burza dwa tygodnie rzucała pomiędzy brzegami, i ledwo ubłagane duchy pokorą i odwołaniem obrazy wstrzymały wichry, powściągnęły fale i pozwoliły mu w całości zawinąć do brzegu (1). Jeżeli płynąc po Bajkale podróżny, nie wiedząc o zabobonnéj wierze ludu, nazwie go jeziorem, cała osada statku oczekuje burzy, robi wymówki podróżnemu, które,

(1) Zdaje się, że jest tu mowa o burzy, która przez dwanaście dni miotała „*galiotą*," na któréj płynął z powrotem z Zabajkału Konstanty Czewkin (obecnie Naczelnik Kommunikacyj lądowych i wodnych). Mówią, że płynąc w tamtą stronę, obraził Bajkał nazwą jeziora. Przepłynął szczęśliwie: morze jednak nie zapomniało obrazy i w powrocie zemściło się w powyższy sposób. Wiele podobnych wypadków opowiadają rybacy bajkalscy. Statek porwany burzą, czasami przez cały miesiąc nie mógł przybić do brzegu i błąkał się po rozhukanych falach, które przez jego pokład przewalały się i siały trwogę w sercu załogi, z pobożném drżeniem wyglądającéj śmierci. Wiele też statków rozbija się o skaliste i ostre przylądki, ginie na rafie lub podwodnym progu. Żegluga parowa ułatwiła przeprawę przez Bajkał i zrobiła ją bezpieczniejszą, lecz i teraz, gdy burza zaskoczy, parowiec kilka, czasami trzy i cztery dni walczyć musi z bałwanami, zanim zawinie do brzegu.

w razie rzeczywistéj burzy, mogą się skończyć wyrzuceniem grzesznika ze statku.

W czasie gdy wichry północne podnoszą na jego powierzchni ogromne bałwany i miotają statkiem, podróżni doświadczają morskiéj choroby. Wiatry są bardzo pospolite (1): zrywają się nagle, w mgnieniu oka zmarszczą i zbałwanią jezioro, i biada wówczas łódkom i czółnom, które się oddaliły na pełną wodę. Widok wzburzonego jeziora wzbudza w duszy Buryata uczucie przestrachu i poszanowania: „Bajkał się gniewa" mówi Buryat, a jeżeli jest wówczas na wodzie, cicha *magasz* (modlitwa) do duchów świętego morza wyrywa się mu z piersi.

W jesieni burze są codziennem zjawiskiem i bywają bardzo gwałtowne. Bryły ogromne lodu przewalają się, trą, szumią i jezioro podobne jest do Lodowatego morza, chociaż zamarza dopiéro w piérwszéj połowie, albo w końcu stycznia (nowego stylu), żegluga w jesieni już zupełnie ustaje. Burze nie pozwalają wcześniéj jego powierzchni pokryć się lodem, fale bowiem wysadzają w górę lodowate zwierciadło, a wicher je kruszy i pędzi.

Zimą podróżni po lodzie przejeżdżają; lód bywa cieńszy niż na rzekach: wichry, często jeszcze pod lodem, falują wodę i przeraźliwie huczą. Podróżni słysząc pod nogami grzmot i huk podobny do strzału armatniego, trwożą się i z przerażeniem spoglądają na szeroką szparę, która przed niemi w lodzie się zrobiła. Przejazd jednak po lodzie nie jest niebezpiecznym, jakby się z tego zdawać mogło: doświadczenie i roztropność furmanów ochrania od przygód i nieszczęśliwych wypadków. Lód pęka i rusza się w połowie, a żegluga otwiera się w końcu maja (n. s.).

Dzień, w którym przeprawiałem się przez jezioro, był jasny i pogodny: słońce przeziera się w zielonéj fali,

(1) Wiatr północno zachodni na Bajkale nazywają: „*Kułtuk*" sprzyja żegludze, bo nie sprowadza burzy. Południowy jest wiatrem bokowym, nazywają go: „*Szełon*," południowo zaś wschodni: „*Barguzinem*." od miasta w okolicach jeziora położonego. Najniebezpieczniejsze wiatry są północne, wiejące z ogromną siłą z przepaści debr i dolin nadbrzeżnych gór. Ton to wiatr sprawia, iż w późnéj jesieni bardzo często burze tu panują, i jezioro nie może zamarznąć w czasie, w którym wszystkie inne jeziora i rzeki w Syberyi zamarzają.

a w wodzie spadającéj z kół parowca, tworzy niknące co chwila tęcze; wiatru nie ma, i jezioro spokojne zaledwo się marszczy. Woda jego w massie ma kolor szmaragdowy, jak i w naszém Morskiém Oku; w szklance jest bez koloru i czysta jak łza. Przezroczysta jest do tego stopnia, że kamienie na 8 a nawet na 10 sążni w głębi sterczące i ryby w takiéj głębokości pływające widać na powierzchni; przytém jest tak chłodna, że kąpać się w niéj niepodobna: smak ma słodki. Pan Szczukin, uczony obserwator z Irkutska, temperaturę wody Bajkału w miejscu, w którém z niego Angara wypływa, podaje na + 5° R.; obserwacye robił w lipcu przy temperaturze powietrznéj od + 22° do 26° R. Na dwa arszyny w głąb od powierzchni temperatura wody jeszcze jest niższą. Na drugim brzegu przy posolskim monasterze, jezioro jest płytsze i temperatura wody jest wyższą od + 7° do 10° R. Około „Babiego korczu" temperatura wody z piaskiem zmieszanéj, przy powietrznéj temperaturze + 26° była + 15° i 16° R. Temperatura wody w ujściu Sielengi przy cieple powietrza 24° pokazywała stopni 13 R. Rzeczki mniejsze wpadające do Bajkału, mają ciepła od 7° do 8° R.

Głębokość Bakajłu rozmaicie podają. Pospolita głębia jest sążni 500, są miejsca głębokie na 800 sążni, a nawet mające przeszło 1,000 sążni głębokości. Długość jego dochodzi do 100 mil, szerokość największa 14 mil, a najmniejsza 7 i 5 mil. W miejscu, w którém przeprawialiśmy się, ma szerokości 8 mil. Jużeśmy odpłynęli od brzegu trzy mile, a góry widać było jeszcze jak na dłoni. Na północ i południe zwierciadło jeziora łączy się z horyzontem; na wschodnio-południowym brzegu widnieją góry, pokryte puszczą i śniegiem: należą one do najwyższych nad Bajkałem; ostrokręgowe szczyty, otoczone chmurami, ciągną się długiém pasmem. Widok ich z jeziora wielce jest piękny i wspaniały.

Piękność brzegów sprowadziła nad Bajkał kilku malarzy. Widziałem krajobraz Leopolda Niemirowskiego, robiony olejnemi farbami, przedstawiający miejscowość zwaną: „Wrota bajkalskie". Skała sterczy w jeziorze jak kolumna, i łączy się z brzegiem naturalnym pomostem. Skała ta podobną jest rzeczywiście do wrót, pod któremi przepłynąć

można. Krajobraz Niemirowskiego jest nocny, światło księżyca odbija się w jeziorze i mdłą poświatą okrywa skały; łódka z ludźmi dopływa do wrót (1). Atkinson, akwarelista angielski, który wydał niedawno opis swojéj podróży po Syberyi, zrobił akwarellą Wrota bajkalskie. Wschodzące słońce na jego pejzażu zarumieniło wodę i skały; koloryt jest żywy, a pejzaż wysokiéj wartości. Widziałem prócz tego widok „Kułtuka" nad Bajkałem, robiony przez Atkinsona i widok brzegu bajkalskiego, porosłego drzewami, w chwili zachodu słońca. Oba te pejzaże wszystkim się podobają; my zrobimy tu uwagę, że pejzaże syberyjskie Atkinsona mają koloryt i powietrze wcale nie syberyjskie.... Piękne są one, ale nie są wiernem oddaniem natury tutejszéj. Smirnow, pejzażysta irkutski, zrobił także kilka widoków bajkalskich: między innemi, widziałem jego roboty widok monastéru posolskiego. Pejzaże Smirnowa nie odznaczają się artyzmem, ale za to są rzetelną kopią natury.

Parowiec nasz szybko zbliża się do celu podróży. Już zobaczyliśmy kopuły monastéru, już wschodnie brzegi wyraźniéj kształty swoje rozwinęły, a pasażerowie zaczęli zbierać manatki. Sternik widząc to powszechne krzątanie się, ostrzegł, iż zawcześnie myślimy o opuszczeniu statku, bo chociaż Posolsk wydaje się blizko, dzieli nas jednak od niego z ośmnaście wiorst. Postanowiłem skorzystać z czasu potrzebnego na przebycie tych ośmnastu wiorst i przyjrzeć się lepiéj towarzystwu zebranemu na parowcu, na które, zajęty przypatrywaniem się brzegom i wodzie, uwagi nie zwracałem. Towarzystwo było wcale nie liczne: prócz maszynisty Anglika, czy też Niemca, sternika i załogi parowca, był na statku dymissyonowany pułkownik, a obok niego kobiéta z niemowlęciem, któréj stary z szczególną troskliwością usługiwał. Dowiedziałem się późniéj, że

(1) Leopold Niemirowski rodem jest z Podola. Zwiedził prawie całą wschodnią Syberyą, był i w Kamczatce. Posiada wiele talentu malarskiego. Malował olejno, akwarellą i ołówkiem piękniejsze widoki zwiedzanéj przez siebie krainy. Wspaniałe pejzaże, których 7 D. Bułyczew wydał r. 1856 przy swojéj podróży po wschodniéj Syberyi, robione są z rysunków i obrazów Niemirowskiego, o czém Bułyczew zdaje się że wzmianki nie zrobił; czemu się nie dziwimy, boć i opisy w tém dziele są plagiatem.

młoda kobieta była żoną syna pułkownika, który będąc już kapitanem, za zmarnowanie i kradzież żołnierskich pieniędzy, zdegradowany został na szeregowca. Prócz tych było na statku dziesięciu żołnierzy, dwie wieśniaczki ubrane po *staroobradzku*, dwóch kupców w zabrudzonych paltach i starzec siwy jak gołąb', trzęsący się ze starości, który powracał za Bajkał z pielgrzymki do grobu św. Inocentego w Irkucku.

Obejrzawszy podróżnych, zacząłem rozmowę z konduktorem statku o Bajkale i jego okolicach, o żegludze parowéj i dowiedziałem się od niego następnych rzeczy: Dawniéj przeprawa przez Bajkał odbywała się na *galiotach* i statkach żaglowych, zwanych *karbasami*; kursowały one między Posolskiem i Listwienniczną. Przeprawa była wówczas, jakto już mówiliśmy, trudną i niebezpieczną, a burza nieraz przez znaczny przeciąg czasu utrzymywała podróżnych w strachu na środku jeziora. Założycielem żeglugi parowéj na Bajkale był N. Miasników; wybudował on w r. 1845 dwa parowce, które nazwał „Mikołaj" i „Następca:" Mikołaj spłonął i przez wiele lat do 1858 tylko jeden statek kursował po jeziorze (1).

Opowiedział mi też rozmowny konduktor bijografią pewnego Rossyanina, który przed kilką laty znalazł tragiczną śmierć w nurtach jeziora. Człowiek ten służył w Orenburgskim korpusie w stopniu oficera, i tam za zmarnowanie skarbowych pieniędzy oddany został pod sąd, pozbawiony rangi i wygnany do Irkucka. Imię, jakie nosił i nauka, którą posiadał, otworzyła mu salony arystokracyi irkuckiéj: był wszędzie dobrze przyjęty i widziany; położenie jego zrobiło się dogodném, a los zdawał się mu uśmiechać. Przyjaciele, ażeby wyrwać go z poniżenia i dać mu sposobność wrócenia do praw i stopnia, jaki utracił, wystarali się, iż został przyjęty jako szeregowiec i naznaczony na służbę do batalionów zabajkalskich kozaków. Spodziewa-

(1) D. E. Bernardaki, czynny bardzo przedsiębierca, zaczął w roku 1857 w Listwiennicznéj budować dwa statki parowe, każdy o sile 60 koni pod dyrekcyą inżyniera mechanika Guda Anglika. Statki skończone i 26 października 1858 roku spuszczone na wodę, poświęcone zostały uroczyście. Jednemu dano nazwisko „Murawiew-Amurski" drugiemu „Bernardaki:" teraz więc trzy parowce znajdują się na Bajkale.

li się, iż tam przez swoję gorliwość i znajomość rzeczy, prędko zwróci na siebie uwagę, a mając pole do zasług i odznaczenia się, prędko dosłuży się stopnia oficerskiego. Tymczasem ex-oficer zabezpieczywszy sobie przyszłość, myślał, iż już nie miał potrzeby odegrywać daléj uciężliwéj mu roli przyzwoitego i porządnego człowieka, wrócił do dawnych obyczajów, zaczął pić i ogadywać ludzi. Widziano go w nieprzyzwoitych miejscach, w towarzystwie ludzi nie szczególnego prowadzenia i arystokracya zamknęła mu drzwi przed nosem. Wypchnięty z salonów jeszcze więcéj puścił wodze nałogowi, który zręcznie przez krótki czas umiał w sobie taić. Nadszedł wreszcie czas udania się na służbę. Zdarzyło się, że jednocześnie z ex-oficerem przeprawiała się przez Bajkał Ks.. .a N. N., która zpoczątku protegowała go, a następnie powiedziała mu, iż dom jéj, jest dla niego zamknięty; ex-oficer pił z kozakami pod pokładem. Nieźle podchmielony, wyszedł na pokład, a zobaczywszy Ks....ę, zbliżył się do niéj z zamiarem mówienia. Ks....a odwróciła się od niego i weszła do swojéj kajuty. Ex-oficer, chcąc się koniecznie usprawiedliwić, ze zrobionych mu zarzutów, udał się za nią; lecz Ks....a nie chciała go nawet słuchać, i wyszła powtórnie na pokład. Natrętny i uparty, nawet tu jéj nie dał pokoju i głośno prosił o pozwolenie usprawiedliwienia się, grożąc w przeciwnym razie utopieniem się. Ks....a obrażona jego natręctwem, odpowiedziała, iż nie ma przyjemności znać go, a wszedłszy znowu do kajuty, rozkazała nikogo nie wpuszczać do siebie. Ex-oficer udał się pod pokład i tam nie zagasiwszy alkoholem zmartwienia, wyszedł znowu z pijanym już podoficerem na pokład. Oparty o burtę, wpatrywał się z zamglonym zwrokiem w głębią jeziora, zrzucił wreszcie z siebie płaszcz, przechylił się przez burtę i rzucił się w wodę. Wstrzymano statek, spuszczono łódkę na jezioro, lecz topielca nie mogli odszukać.

Konduktor kończył opowiadanie w chwili spuszczania kotwicy. Statek zatrzymał się o 200 sążni od brzegu i pasażerowie na łódkach popłynęli do Posolska.

Jezioro jest tu dosyć płytkie i statek nie może jak w Listwienniczněj zbliżyć się do samego lądu.

W Posolsku, nie ma domu zajezdnego, a podróżni którzy chcą dłuższy czas w nim zabawić, szukać muszą go-.

ścinności w domach wieśniaków. Ja ją znalazłem w domu Czerkiesa, przysłanego do Syberyi za ucieczkę w góry, do sławnego Kazimuły. Czerkies mieszka tu już lat kilkanaście, zestarzał się, ożenił, porzucił swoją wiarę, a przyjął wiarę żony — prawosławną.

Spędziłem tu cały dzień, czas mi przeszedł na zwiedzeniu monastéru i na przechadzkach nad jeziorem. Posolsk jest osadą z kilkudziesięciu domów złożoną, rozrzuconych na mokréj równinie. Mieszkańcy trudnią się rybołóstwem, a głównie połowem *omuli*; omul świeży, wcale jest smaczną rybą: karmiono mnie niemi na śniadanie, obiad i wieczerzą. Nie wiem, czy z powodu postu, czy z powodu niedostatku w całéj wsi nie mogłem dostać kawałka mięsa; w każdéj chacie odpowiadali mi, że prócz chleba i ryb, nic więcéj w domu niemają: musiałem przestać na tém co było. Nie będę jednak skarżyć się jak angielscy i niemieccy wojażerowie na brak pokarmu, do którego przywykłem; nie będę z tego powodu moich opisów zapełniać dowcipnemi lecz pustemi frazesami, w których wojażer usiłuje dowieść, że poświęcił się dla publiczności, bo myśląc ją obznajmić z nieznaną krainą, udał się w podróż, w któréj doświadczył wielu przygód, przykrości a pomiędzy któremi najważniejszą była ta, iż nie umieli mu ugotować ulubionego puddingu lub kawy. W Syberyi, wojażer przywykły do wygód, doświadczy wielu podobnego rodzaju przykrości: nie ma tutaj hotelów ani domów zajezdnych, i podróżny musi albo wozić z sobą kuchnią, lub też jeść to, co mieszkańcy jedzą. O kilka sążni od brzegu Bajkału wznosi się cerkiew z zielonemi kopułami i kilka drewnianych budynków, otoczonych murem i ogrodem, w których mieszkają zakonnicy i służba monasteru. Szum wód blizkiego jeziora, okolica pełna piękności zachęca i skłania w tém powabném ustroniu do kontemplacyi, któréj jednak zakonnicy wcale się nie oddają. Odmówiwszy przepisane modlitwy, odprawiwszy zwyczajne nabożeństwo, zakonnicy dnie całe spędzają na rozmowie i staraniu o rzeczy doczesne. Życie prowadzą wcale wygodne i dosyć wesołe. Gościnnie przyjęty i poczęstowany fajką, dowiedziałem się od nich, że Posolsk, otrzymał swą nazwę z powodu śmierci rossyjskiego posła Erofeusza Zabołockiego, wysłanego przez Cara Aleksieja do

mongolskiego hana *Cecenia*, którego tutaj Buryaci zdradliwie w r. 1650 wraz z synem i siedmią kozakami zamordowali. Zwłoki posła spoczywają za murem klasztornym; nad jego mogiłą postawiono w naszych czasach żelazny krzyż z napisem, głoszącym okropną śmierć nieszczęśliwego posła. W kilka lat po śmierci Zabołockiego wystawił rząd w tém miejscu kaplicę, którą roku 1660 rozszerzono i zamieniono na cerkiew. Za panowania zaś Cara Teodora Aleksiejewicza przy cerkwi wybudowali monaster pod tytułem: „Przemienienia Pańskiego" (Spaso Preobrażenski). Cerkiew murowana, nizka, ciemna jak i klasztor nie zawiera nic godnego uwagi.

Do wspomnień nadbajkalskich należy także śmierć poczciwego polskiego wieśniaka Jana Duszy: Dusza rodem był z Kaliskiego, służył jako szeregowiec w polskiém wojsku; po 1831 roku wcielony do wojsk rossyjskich wraz z dwoma swemi braćmi, służył w batalionie konsystującym w Irkucku. Tutaj zasłużył sobie na miłość kolegów, bo był uczynny, przyjemny w obejściu, skromny i poczciwy. Wróciwszy z warty lub musztry robił z korzeni brzozowych ładne fajki, sprzedawał je, a groszem ztąd zebranym osładzał swoją żołnierską dolę, a nieraz pocieszył smutnego ziomka-kolegę. Pewnego razu Dusza komenderowany był z oddziałem żołnierzy do konwojowania partyi aresztantów za Bajkał; wracając z komenderówki listwiennicznéj padługodzony śmiertelnie kulą, wypadłą z karabina żołnierza, z którym Duszę żadne stosunki ani pochodzenia ani znajomości nie łączyły: nie wiadomo więc, czy żołnierz ów umyślnie, czy téż przypadkiem Jana zastrzelił. Morderca oddany pod sąd, poszedł do robót w kopalniach nerczyńskich; Duszę zaś pogrzebano na cmentarzu nad Bajkałem. Wypadek ten miał miejsce około 1840 r.

Z monasteru poszedłem nad jezioro. Wody jego wzburzone zachodnim wiatrem, uderzają z wściekłym, ponurym rykiem o brzegi. Tak wyrzucane na ląd, okrywają go na kilka sążni rozpryskującą się pianą, a na jeziorze wysokie jak pagórki bałwany przewalają się i harcują; statek gwałtownie kołysze się na kotwicy. Uroczyste i wspaniałe ma wejrzenie Bajkał podczas burzy. Lubię taki widok! Wpatrując się w burzliwe fale, rozgniewane i pieniące się jak zem-

sta, a hałasujące jak tysiące ludzi, uczucie moje zwykle rzewne, tęskne i łagodne jędrnieje i czuje się silniejszém i śmielszém! Spędziłem kilka godzin nad jeziorem zjednoczony z burzą, a tęsknotą przeniesiony do kraju. Czemuż uczucie moje w téj chwili jędrne i silne, nie skłonne do płaczu, lecz pełne żywiołów czynnych zamieniło się w końcu w rozrzewnienie; czemuż mi łza wytrysła z oczów?!

Idąc brzegiem, zrywałem po drodze irysy i żółte lilie, ktorych tu rośnie bardzo dużo; zielone łąki, gaje brzozowe wesoło stroją okolice. Na polanie brzozowéj, nad wodą, zobaczyłem budę zrobioną z kory sosnowéj; dym wychodził drzwiami i budę jakby obłokiem okrążył. W budzie zastałem kilku rybaków w modrych koszulach, siedzących przy ognisku i kurzących lulki; kobiety także z lulkami w ustach, gotowały ryby dla swoich mężów, a dzieci bawiły się popiołem. W téj porze, podróżny spotyka mnóstwo podobnych bud nad Bajkałem, w których nietylko nadbrzeżni ale i z dalszych okolic trudniących się rybołóstwem mieszkańcy ze swemi rodzinami całe lato spędzają.

Bajkał obfituje w ryby. Najpospolitszą rybą, w jego wodach jest: „*omul*" „(Salmo autumnalis)." Prócz Bajkału poławiają jeszcze omulów w rzekach do oceanu Lodowatego wpadających jako to: w Jenie, Indigirce, Kołymie, przy ujściu Jeniseja i przy ujściu Taza. W Kołymie znajduje się inny gatunek omuli. Rybacy i bajkalskie omule dzielą na kilkanaście gatunków, różniących się wielkością i smakiem mięsa: nazwiska otrzymały od miejscowości, w jakich je poławiają. Najlepszy gatunek omuli łowią w Sielendze i zowią go „sielga", inne gatunki noszą nazwy omuli *barguzińskich*, *korgińskich*, łowione przy ujściu Korgi; *boguldiejskich*, łowione przy ujściu Boguldiejki, *koteowych; czywirkujskich*, i wreszcie gatunek najmniejszych i najtańszych omuli, zwany *kuczurga*. Ogolny połów w całym Bajkale, podają rocznie na 10,000 beczek (1). Omul

(1) Do samego Irkucka, w r. 1850 przywieźli prócz świeżych 5072 beczek solonych omuli; w r. 1851 beczek 2947, w r. 1852 becz. 1809; w r. 1853—2990 becz., w r. 1854—2167 becz., w r. 1855—1822 becz., w r. 1856—2372 becz. Beczka zawiera do 1,000 sztuk. Beczka sielgi r. 1856 kosztowała w Irkucku od 36 do 50 rubli; beczka Kuczurgi od 12 do 16 rubli.

jest ulubioną rybą Syberyjczyków we wschodniéj Syberyi; w poście zastępuje im śledzia, do którego zbliża się smakiem. Solenie ich jest niedokładne i nieumiejętne, prędko się też psują i nie mogą być wywożone w odległe jak śledź okolice. Irpień (Salmo thymallus) zwany tu *harguz*, znajduje się w Bajkale i we wszystkich prawie rzekach Wschodniéj Syberyi. Łowią go bardzo dużo, lecz handel nim jest tylko miejscowy, nie może być bowiem w dalsze okolice wysyłany (1). Prócz tego łowią w Bajkale szumbunge (Jarocki-Salmo lavaretus), po rusku sig (2); szczupaków (Esox lucius); miętusy (Gadus lota, po rusku nalim) pstrągi; jesiotry (Aecipenser sturo) i wiele innych gatunków, pomiędzy któremi *poczwaroryb* (Kluk-Callionymus baikalensis) zwany tu *gołomianka*, właściwy jest tylko Bajkałowi. Jest to ryba mała i bardzo tłusta; prawie nigdy nie pokazuje się na powierzchni jeziora; w czasie burzy fale wyrzucają ją na brzeg: tłustość jéj kupują Buryaci i Chińczycy i używają zamiast masła. W Bajkale żyją także psy morskie (Phoca) zwane tutaj *nerpy*.

Uczeni domyślają się, że Bajkał jest kotliną utworzoną przez trzęsienie ziemi, co kierunek i położenie gór zdaje się potwierdzać. Wulkanicznego początku góry otaczają go zewsząd, i mają wiele śladów uprawdopodobniających hypotezę wielkiéj rewolucyi, wskutek któréj powstał Bajkał. Było powszechném mniemanie, że wulkany i trzęsienia ziemi bywają pospolicie w krainach przymorskich lub nie zbyt odległych od morza. Humboldt dowodzi przeciwnie; powiada on: że środek wielkiego lądu, południowy Ałtaj ulegał podwójnemu trzęsieniu ziemi, których jednym środkiem jest wulkan gór Niebieskich (Thian-schan), a drugim jezioro Bajkał. Istnienie wygasłego wulkanu w pasmie Thianschan, potwierdza najnowsza podróż akwarellisty Atkinsona; w okolicach Bajkału trzęsienia ziemi są zwyczajném zjawiskiem: hypoteza więc o początku wulkanicznym Bajkału, zdaje się nam zgodną z prawdą (3).

(1) Pud irpieni kosztował w Irkucku w r. 1856 do 2 rubli.

(2) Pud szumbangi kosztował od 1 rs. 60 kop., do 3 rs., pud szczupaków od 1 rs. do 1 rs. kop. 80; pud miętusa od 1 rs. 60 kop.do 2 rs.

(3) Trzęsienia ziemi nad Bajkałem są w ogóle bardzo pospolite. Trzęsienia te odzywają się w Irkucku z jednéj, a w Wierchnioudyńsku,

Bajkalskie góry złożone ze skał granitowych, gnejsowych i trachitowych, nie zawierają metalicznych bogactw. Na zachodnim brzegu, wydobyły się skały wapienne i piaskowiec, i tu tylko w dolinach znaleziono złoto. Pokłady bajkalskiego złota są ubogie i źle procentują. W kopalni, którą podróżny widzi z parowca, po trzech latach eksploatacyi złoto wyczerpało się. O odkryciu innych nad jeziorem metalów lub rud nie słyszałem.

Z drogich kamieni nad Bajkałem znajduje się tylko w obfitości: lapis lazuli (kamień lazurowy) (1).

Na południe o 82 wiorsty od Posolska, nad brzegiem jeziora, między rzekami Pieremną i Kurkuszewką są pokłady węgla, eksploatowane przez wspólkę żeglugi parowéj. Niedawno, odkryto węgiel kamienny w dolinie przy ujściu rzeki Murin do Bajkału.

Sielengińsku i Kiachcie z drugiéj strony. W Sielengińsku wstrząśnienia bywają najmocniejsze; pan Kelberg, który od wielu lat robi w tém mieście obserwacye meteorologiczne, naliczył w Sielengińsku w przeciągu 10 lat od 1847 do 1857 r., 21 wstrząśnień; na rok więc wypada po dwa wstrząśnienia. Pan Szwarc astronom powiada, że w Irkucku rzadsze bywają trzęsienia niż w Sielengińsku i z tego wnosi, że Irkuck leży na boku linii głównych wstrząśnień. (Zapiski Sibirskaho otdeła Imperatorskaho Geograficzeskaho Obszczestwa, kniżka IV).

(1) Kopalnie lapis lazuli znajdują się w dolinie Taloju i w dolinie rzeczki Mała-Bystra. Dolina Taloju wązka, ścieśniona stromemi górami, długą jest wiorst 30; koryto strumienia przy ujściu odległém od wsi Kułtuk na dwie wiorsty szerokie jest dwa sążnie, w średnim biegu ma szerokości sążeń. Góry prawego zabrzeża doliny złożone są z wapienia; pięć wiorst od ujścia pokazuje się szpat polowy, a w nim trafiają się: apatity i czarny turmalin. Góry lewego zabrzeża w wierzchowisku doliny złożone są z szaréj waki; o pięć wiorst od ujścia w tém zabrzeżu, widzieć się daje gruby pokład białego i czerwonych kolorów wapienia, do marmuru podobnego; pod nim spoczywają granity i granito sienity. W skruszonym wapieniu i jakby poruszonym z miejsca znajduje się: wapienna mączna materya, zafarbowana niedokwasem żelaza, lub zupełnie biała. W wapieniu także, w kątowych jego warstwach, trafiają się rzadko massy sienitu i szaréj waki. Ciało, łączące mączną materyą z drobną miką, ciągnie się w wapieniu w postaci zrudzialych żył, a w miejscach gdzie żyły te rozszerzają się, znajdują się kawały lapis lazuli, połączone z wapieniem, który ma wielki wpływ na jego wartość. W kopalni tałojskiéj, lazurowy kamień dobywali u spodu góry, w środku jéj i pod wierzchołkiem. Należała do p. Permikina, który, odkrywszy w 1853 pokłady lepszego gatunku, przerwał roboty w Taloju. Druga kopalnia lazurowego kamienia, należą-

Nafta obficie wypływa z gór nadbrzeżnych między ujściem rzeki Barguzin, a ujściem wierzchniéj Angary i na południowo-wschodnich brzegach. Z głębi wydobywa się i unosi się na powierzchni jeziora; niewiadomo mi czy mieszkańcy robią z niéj jaki użytek.

Wód mineralnych także okolica Bajkału nie jest pozbawiona. Wody siarczane gorące w Turce i przy mieście Barguzinie słyną w wschodniéj Syberyi ze swéj skuteczności.

Wysp na Bajkale bardzo jest dużo, pokryte krzakami lub trawą porosłe, latem są zamieszkałe przez wpółkoczujących Buryatów. Znaczniejsze wyspy są: Nerpowa, Stołbowska, Listwianiczna, Pusta, Bakłania, Boguczańska, wyspy Uszkanie (zajęcze), wyspy Cziwerkujskie. Największa z wysp Bajkału jest Olchon: ma 10 mil długości, szerokości 3½ mili; wschodni brzeg Olchonu jest piaszczysty, północno-wschodni górzysty i okryty roślinnością; w téj okolicy wyspy, sterczy szamańska skała, nazywana przez Buryatów *Aechu-ozołan*, tojest straszna skała. Buryaci wyznający szamanizm czczą i ubóstwiają tę skałę. Cześć ich dla niéj jest tak rzeczywistą, iż w obec niéj Buryat nigdy nie skłamie; przysięgają w jéj imię! W środku skały ma być wielka pieczara: duchy, jak mi mówił pewien

ca także do Permikina jest nad rzeczką Małą-Bystrą. Rzeczka ta ma długości 35 wiorst, szerokości koryta od 2 do 6 sążni. Na 10 wiorst przed ujściem do Irkutu, Mała-Bystra, dzieli się na dwa ramiona: nad lewémto, Permikin odkrył wysokiego gatunku lapis lazuli. O siedm wiorst w górę od złączenia się rzeczek tworzących Bystrę, w pasmie prawego zabrzeża doliny na granito-zyenicie, spoczywają warstwy wapienia ziarnistego, białego, podobnego do dolometu; w nim znajduje się lapis lazuli i siarka w kryształach—w szparach i żyłach wypełnionych zmączonym wapieniem z miką, lekko zafarbowaną niedokwasem żelaza. W kopalni téj, wydobywają kawały lapis lazuli ważące 3 pudy; prócz niebieskiego trafia się fioletowy i zielony, połysk najpiękniejszy i większą wpółprzezroczystość niż lazurowy bucharski kamień. Lapis lazuli znajduje się jeszcze nad rzeczką Slindyanką i nad rzeczką Tułuntaj, wpadającą do Małéj Bystréj, Slindyanka wpada do Bajkału o 10 wiorst od Kułtuka; w jéj dolinie, prócz zarzuconéj kopalni lazurowego kamienia, jest kopalnia także zarzucona bajkalitu. Pod wpółprzezroczystą, czarną miką, warstwa wapienia z drobnemi kryształami hornblendy zawiera w szparach wypełnionych skruszonym wapieniem i szpatem, bajkalit (Zobacz: opisanie priisków Łazarewaho kamnja w pri-Bajkalskich górach H. Wersilowa, drukowane w zapiskach Sibirskaho Otdjela Imperat. Ruskaho Geograficzeskaho Obszczestwa, kniżka IV, r. 1858).

Buryat, same sobie zrobiły tę świątynią i w niéj przebywają. Z nad brzegów wielu Buryatów na łodziach pielgrzymuje do niéj, i pod przewodnictwem szamanów odprawiają tu obrządki dziwnéj swéj wiary. Z powodu téj skały, Olchon możnaby nazwać stolicą nadbajkalskiego szamanizmu. Uroczysko zwane Czasza Czingis'hana jest również przedmiotem czci i pielgrzymek na Olchon. Wiele skał i kamieni nad jeziorem są także jak i Aechu-czołan ubóstwione i uświęcone. Kamień znajdujący się w środku Angary przy jéj wypływie z Bajkału, w imię którego także przysięgi się odbywają, i skała szamańska wychylająca się z wód jeziora przy wsi Kułtuku, należą do téj liczby. Buryaci wierzą, iż na tych skałach i w ich łonie mieszkają duchy *Ongony*. Nie umiem wymienić wszystkich miejsc świętych nad Bajkałem, lecz wiadomo mi, że liczba ich jest dosyć znaczna. Może dla tychto miejsc Bajkał nazwany został „świętém morzem".

Szamanie wierzą w mnóstwo złych i dobrych duchów; każda miejscowość ma swego ducha: cała natura jest ich siedliskiem i zasłoną. Ogrom wód jeziora, wysokie pasma gór, dziwnych kształtów skały, wspaniałość i wielkość widoków, wszystko to wyrobiło wiarę w potęgę bajkalskich duchów. Burze groźne, przejmujące duszę trwożliwym dreszczem, przygody nieszczęśliwe żeglarzy, wyrobiły znowuż wiarę w złośliwość tych duchów. Ponieważ tylko do złych duchów modlą się i ofiarami starają się ich przebłagać, zbadać i odsunąć złe względem siebie zamiary, więc téż duchy bajkalskie jako mocniéj okazujące swoją złośliwość w burzy i wichrach, są przedmiotem szczególnéj czci Szamanów. Dla uzupełnienia wiadomości o Bajkale, przytoczę znaczenie jego nazwiska u rozmaitych ludów, które znalazłem w artykule pana N. G. Minina (Newski albom 1839 r.). Otóż, według niego, wyraz *bejgał*, w języku buryackim znaczy „był ogień". Nazwisko więc jeziora wskazuje na ogromną katastrofę wybuchu i trzęsienia, któréj winno jest swój początek. W jakuckim języku *bej* znaczy bogaty, *kel* jezioro; Bajkał więc według Jakutów znaczy „bogate jezioro", czyli jezioro obfitujące w ryby. W chińskim języku Bajkał znaczy „północne morze"; *bej* bowiem jest północ, a *chał* morze. Który zaś z tych narodów nadał

nazwę jezioru, rozstrzygnąć trudno; najprawdopodobniéj jednak przypuścić można, iż nadali mu nazwę Buryaci, i w niéj, jeżeli dobrze tłumaczy Mimis, zawarli historyą jego utworzenia się.

II.

Z Posolska wyjechałem, a raczéj wyszedłem 8 lipca. Na małym, dwukołowym, a trzęsącym wózku, złożywszy rzeczy swoje, sam poszedłem piechotą. Z początku droga wije się nad jeziorem, późniéj skręca na prawo w gęsty brzozowy lasek. Jezioro straciłem z oczów, dochodzi mnie tylko gwar jego wód, który łączy się z przeciągłym szumem boru. Góry, odstąpiwszy na południe od Posolska, pobiegły na wschód, potém północ i półkolem zakreśliły równinę bajkalską, mającą kilka mil kwadratowych przestrzeni. Równinę skrapia wiele rzek; między niemi Sielenga, w północnym jéj krańcu mająca swe ujście, jest największą z rzek do Bajkału wpadających. Od Bajkału równina wznosi się coraz wyżéj aż do gór: przy brzegu mokra, błotna, okryta łąkami, przerywana zatokami i odnogami jeziora; wyżéj jest piaszczystą, a wyżéj jeszcze, już pod górami, składa się z gruntów urodzajnych. Roślinność jest bujna: olchy, brzozy, wierzby tworzą wesołe gaiki i lasy, a między niemi ciągną się łąki, płyną strumienie, widnieją pola orne i kwitną kwiaty, strojniejsze i świetniejsze niż w Syberyi przedbajkalskiéj. Na górach czernieje sosna i modrzew. Widoki miłe i coraz inne. Na drodze spotykasz dzwoniącą pooztową bryczkę i dwukołowe mongolskie wózki, ciężkie i niezgrabne, powszechnie w wierchnioudińskim powiecie używane. Na wózkach tych z ciekawością przypatrujesz się tutejszym Syberyjczykom, dobrze zbudowanym i pełnym męzkiéj siły, oraz śniadym z mongolskiemi rysami średniego wzrostu Buryatom, których widok przedewszystkiém nasuwa porównanie z ich przodkami; z przodkami, którzy zdobyli, złupili, zwyciężyli, ukarali świat i wydali potomków słabych, pokornych i bojaźliwych, i którzy bez boju ulegli obcéj władzy. Wielką jest sprawiedliwość Boża! starzy Mongołowie obalali państwa, ni-

szczyli narody, a Bóg im na tych gruzach nie pozwolił wyrobić w sobie idei żywota narodowego, jaka dopiéro ugodnić może i poświęcić ludy i dać im siły feniksowe! Prócz Mongołów, drzemiących na pąkach ruskich towarów, podróżny spotyka na téj samotnéj drodze oddziały żołnierzy, idących na osiedlenie w nowe i piękne krainy Nadamurza i partye aresztantów w szarych płaszczach z czerwonemi i żółtemi znaczkami na plecach, którzy brzękiem łańcuchów wtorując śpiewom, niemi osładzają przykrą swoją do kopalni podróż.

Nocowałem w Twarogowie, wiosce z cerkwią wśród piasków położonéj; gdy wiatr od jeziora powieje, piaski gęstą kurzawą zasłaniają tu horyzont i zasypują orne pola. Z Twarogowa przez pola okryte wykłoszoném żytem, przez łąki i lasy powoli się wlokąc, wieczorem doszedłem do Kabańska, odległego o 8 mil od Posolska. Kabańsk jest najznaczniejszą osadą na równinie bajkalskiéj, która jest w ogóle dosyć dobrze zaludnioną. Ludność jéj mieści się w kilkunastu wioskach i drobnych a licznych *ułusach* buryackich. Buryaci tutejsi należą do plemienia kudaryńskiego i wyznają szamanizm. Dawniéj szamanizm rozszerzony był między wszystkiemi plemionami kuryackiemi, dzisiaj, prócz małéj liczby wyznawców Chrystusa, większą ich liczba wierzy w naukę Buddy; plemiona zaś kudaryńskie, część choryńskiego za Bajkałem, kudińskie, ałarskie, idińskie, bałagańskie i wiercholińskie przed Bajkałem dotąd wierzą w bóstwa szamanizmu, z którym chcemy czytelników swoich zapoznać.

Szamanizm jest pierwotną wiarą ludów północnéj i środkowéj Azyi. Ludy koczujące między oceanem Spokojnym a morzem Białém i między Lodowatém morzem a murem chińskim są dotąd szamańskie lub były wyznawcami szamanizmu. Mongołowie w średnich a Buryaci w XVI i XVII wiekach przyjęli wiarę Buddy; Rossyanie w naszym wieku w północnéj Azyi rozszerzyli chrześcianizm; szamanizm więc coraz bardziéj upada, liczba jego wyznawców zmniejsza się, a nikt nie mógł i nie umiał nam jeszcze wytłumaczyć jego zasad i dobrze objaśnić jego obrządków. Bez duchownéj centralizacyi i uorganizowanéj hierarchii nie zachował cech jedności; bez kontroli podlegał

w różnych miejscowościach wpływom miejscowym, i z czasem coraz bardziéj wyróżniał się i urozmaicał sam w sobie.

Szamanowie wierzą w Boga-ducha najwyższego i niewyobrażonego; wierzą w duchów dobrych i złych napełniających świat cały; wszystkie żywioły, wszystkie twory poruszone są przez tajemnicze duchy: jest więc duch ognia, ziemi, wody, wiatru, śmierci, szczęścia, polowania i cały szereg nieprzerachowanych demonów rozmaitéj władzy i przymiotów. Duchów nie wyobrażają ani w obrazie, ani też w rzeźbie; nie figuryzują ich i nie stawiają im świątyń: duchy bowiem nie są ujęte, znajdują się wszędzie, a cały świat jest ich kościołem.

Z tego, cośmy powiedzieli, pokazuje się, że zasada i treść szamanizmu podobna jest do pierwotnego ideału każdéj pogańskiéj wiary; jesteśmy bowiem przekonani, że najgrubsze bałwochwalstwo początkowie było czyste i wolne od ohydzających go obrządków i figur. Idealne myśli i wyobrażenia uzewnętrzając się— poganizowały się i doszły do tego, że treść ich pierwotna została zapomnianą, duchy zostały bałwanami, a obrządki zamieniły się w guślarstwo, czarodziejstwo, zabobon i krwawe ofiary.

Niektóre szamańskie ludy do dziśdnia nie mają bałwanów i bałwochwalni. Przypuszczając, iż duchy są wszędzie, nie starali się odgadnąć ich natury i postaci, bo widzieli ich działanie z przyrodzenia, w burzy, nieszczęściu, a słyszeli ich głosy w wichrze, w szumie wód i przenikającém milczeniu lub hałasie swoich puszcz. Szamanizm u tych ludów nie jest bałwochwalstem. Religia ich zasadza się na dociekaniu woli duchów i odwróceniu ich złych względem ludzi zamiarów, na wróżbie, zaklinaniu, zabobonném unikaniu pewnych miejscowości i t. p. obrządkach przywiązanych do pewnego czasu i miejsca, które stałych form nie mają. Guślarstwo i sposoby zbadania woli duchów są wielorakie, i zależą najzupełniéj od umiejętności i woli kapłana. Praktyki guślarskie są tak dziwne, rozmaite a liczne, iż w żaden sposób nie dadzą się pod pewne podciągnąć prawidło. Z tych tajemniczych i kuglarskich praktyk nic zasadniczego niepodobna o saméj wierze wywnioskować, która zresztą, zgubiwszy treść w cudackich formach, stała się nieodgadnioną dla samych nawet szamanów.

Pomiędzy innemi ludami szamanizm przedstawia się nam już jako bałwochwalstwo: tu ideę ujęli w formy i porobili bałwanów struganych lub wypchanych ze skóry zwierzęcéj. Obrządki jak i u piérwszych głównie mają na celu przywoływanie duchów rozlicznemi sposobami w obec zgromadzonego ludu, na rozmowie z niemi i wróżbie. Duchy zaklęte i przywołane zstępują w szamana, dają mu światło i odkrywają tajemnicę przyszłości. Podczas czynności zaklinania lud stoi pogrążony w pobożnéj trwodze i milczeniu, lub też składa ręce i pada na kolana.

O moralności szamańskiéj jeszcze mniéj jest wiadomo, niżeli o jego treści i dogmatach. Niektórzy autorowie zapewniają, że w nauce szamańskiéj jest zakaz krzywdzenia ludzi i kradzieży, że poleca wstrzemięźliwość, szanowanie rodziców, wspieranie biédnych i dziękczynienie Bogu.

Ze znajomości życia i obyczajów szamańskich ludów można raczéj wywnioskować, że moralności szamanizm nie zna i nie posiada; że dobre i złe cechy, jakie w charakterze i w obyczajach tych ludów spostrzegamy, są rezultatem innych przyczyn i nie mogą być uznane za wpływ i polecenie ich wiary, któréj nikt się nie uczy— wiary obowiązującéj tylko do słuchania wieszczb szamana i wykonywania jego rozkazów, a która nie posiada ani hierarhii, ani stałych obrządków, ani świątyń, ani też ksiąg religijnych.

Kapłani u rozmaitych ludów rozmaicie są nazywani: najpospoliciéj nazywają ich szamanami. Szamana obowiązkiem jest wróżyć i przepowiadać przyszłość, badać wolę duchów i opowiadać ją ludom. Sposoby, jakiemi to robią, są wielorakie i dziwne: sztukę czarnoksiężników posiadają w wysokim stopniu, i przez nią wyrobili sobie poważanie. Czynności i wróżby ich uważa lud za objawienie Boże, i ma głębokie poszanowanie dla ich kuglarstw, które w prostoduszności swojéj bierze za cuda. Wierząc w potęgę Bożą szamanów lud się ich zarazem obawia. Żyją kosztem publicznym, a wpływ ich na lud swój jest nieustanny i rozliczny. Szaman obiera sobie następcę, wtajemnicza go w swoją umiejętność i przez wiele lat przysposabia do roli, jaką ma późniéj odegrywać. Nie każdy szaman zna wszystkie sposoby zaklinania i wróżenia: wszystkowiedzących nie jest wielu; ci mają szczególniejszą sławę

i powagę; liczba mniéj wiedzących lub w połowie tylko wtajemniczonych jest dosyć znaczna. Gmin rossyjski nazywa sztuki szamańskie djabelskiemi; wierzy jednak w ich prawdę i potęgę, a w pewnych razach, jak np. gdy kto chce dowiedzieć się o skradzionéj rzeczy lub też o stanie chorego, udaje się do szamanów i odchodzi zadowolniony. Szamanowie obcym nie chcą wróżyć, obawiają się bowiem odpowiedzialności przed władzą; nie wdają się też i w ogóle nie szukają stosunków z Rossyanami. Szaman swobodny jest tylko w puszczy: tam nie obawiając się nikogo jest przystępniejszym. W okolicach zamieszkałych przez Syberyjczyków szaman ukrywa się przed ich wzrokiem, i znany jest tylko pomiędzy swojemi. Szamanowie głównie wstrzymują syberyjskie ludy od przyjęcia chrześciaństwa, oni to strzegą dawnéj wiary i nie pozwalają zlać się swoim ludom w jedną massę z Rossyanami; dlatego też władza stara się ograniczyć ich wpływ. Za Bajkałem lamowie prześladują szamanów, w potrzebie jednak i buddyści do nich chętnie się udają. Liczba ich coraz się zmniejsza, a zupełny upadek szamanizmu nie jest daleki.

Argentow, missyonarz pomiędzy Czukczami, mieszkającemi za Lodowatém morzem, Anadyrem i cieśniną Berynga, tak opisuje (1) nawrócenie szamana *Tniepo* i szamanki czukockiéj (nb. nietylko mężczyźni, lecz i kobiéty mogą być szamanami) na wyspie *Ae-Nutenutie* w Czawańskiéj zatoce dokonane. „W sąsiedztwie mojém, powiada szanowny missyonarz, nocowała szamanka, oddzielona odemnie skórzaną ścianą. Łamania, rzucania się, wejście i bębnienie w izbie mojéj sąsiadki nie ustawały przez całą noc. Zmęczony byłem trudną podróżą, a szczególniéj niebezpieczném w bród przebyciem cieśniny, dzielącéj wyspę od lądu; pragnąłem wypocząć, lecz hałasowanie szamanki nie dało mi zasnąć. Przy piérwszym brzasku dnia szamanka weszła do mojéj izby. Fizyonomią miała męzką i silną, czoło szerokie i wypukłe, ramiona potężne, dłoń ogromną, wzrost wysoki. Weszła do mnie z rozpuszczone-

(1) Putiewyja zapiski świaszczennika Missionera Andreja Argentowa w pri polarnoj miestnosti, drukowane w Zapiskach Sibirskaho Otdiela, K. IV. Petersburg 1858 r.

mi włosami, wybladłą twarzą, i wskazując ręką na siniaki i rany, okrywające jéj ciało, rzekła cichym głosem: „*Epiepiel* (ksiądz), patrz co ze mną zrobiły nieposłuszne duchy! Ochrzcij mnie.!"

Szaman według mniemania Jukagirów, powiada daléj Argentow, jest mędrcem, czyli czarownikiem, natura mu na korzyść ludzi odkryła niektóre swoje tajemnice. Ponieważ natura ludzka jest zepsuta, szaman więc może i źle ludziom robić. Czuwańcy mówią, że siła ich czarodziejska tak jest wielka, iż mogą obdarzyć życiem umarłego, a w mogiłę wpędzić zdrowego. Czukczowie, czcząc potęgę szamanów, nazywają ich: *enenylian* albo *engenkliawol*, co znaczy *boski*. Engenkliawol włada burzą i księżycem, wstrzymuje wiatry, ręką może gwiazdy z nieba zdejmować i może nie oparzywszy się schować za pazuchę; zaćmienie księżyca jego potędze przypisują. Pewnego razu, gdy Argentow przeczył takiéj władzy, obecny szaman, chcąc go o niéj przekonać, napluł na dłoń, potarł ręce, a na dłoni pokazał się jaśniejący niby gwiazda kamień.

Szaman Tniepo, którego Argentow potém nawrócił, w dyspucie z missyonarzem powiedział następną, pełną rozsądku i tolerancyi naukę: „Wy jesteście Rossyanami, a Bóg dał wam wiarę ruską i konie; dlatego téż posiadacie swoją wiarę i jeździcie końmi, a Bóg tylko jeden jest w niebie! My jesteśmy Czukczami, a Bóg dał nam wiarę czukocką i renów; dlatego téż mamy wiarę swoją i jeździmy renami, a Bóg tylko jeden jest w niebie! Zostańcie więc wy Rossyanie przy swoich koniach i wierzcie po rossyjsku, a my Czukczowie będziemy wierzyć po czukocku i zostaniemy przy swoich renach. Bóg zaś, który ma w opiece wszystkie narody i wiary, patrząc z nieba zobaczy, czy wy Rossyanie po rusku żyjecie, a my Czukczowie czy po czukocku żyjemy; i zobaczy, czy każdy na ziemi wykonywa swoją wiarę (1)".

Inny Czukot, nazwiskiem *Ulwiek*, słysząc naukę chrześcianizmu, odpowiedział missyonarzowi: „Gdy byłem młodym, Rossyanie pochlebiając przyjaźnią, proponowali mi

(1) Putiewyja Zapiski świaszczennika Missionera Andreja Argentowa w pri polarnoj miestnosti, drukowane w Zapiskach Sibirskaho Otdiela. K. IV. Petersburg. 1858 r.

swą wiarę; oprzeć się nie mogłem namowom i przyjąłem chrzest: teraz na to wszystko patrzę już wzrokiem starca. I cóż nam chrzest przynosi? Z siebie, z przykładów innych, przekonałem się, że ludzie, którzy zostają chrześcianami, ubożeją, stada ich zmniejszają się, reny im giną i wypadają. I ludzie nawet od czasu jak się chrzcić zaczęli, wymierają i liczba ich coraz zmniejsza się. Starców już prawie nie mamy między sobą; wielu nie po ludzku, jakby opuszczone i do niczego niezdatne reny, poumierało. W dawnych czasach nie tak było. Człowiek zaczyna życie od krwi, boleści i płaczu, i tak samo powinien je kończyć (1)." Dla zrozumienia ostatniego ustępu mowy Ulwieka powiedzieć powinienem, iż Czukczowie umierającego człowieka, przebodłszy mu serce przez żebra lewego boku, dobijają. Zabobonnie wierzą, że człowiek niedobity w taki sposób, wstępuje w dusze krewnych i dzieci i męczy ich. Uwagi powyższe dzikiego filozofa są prawdziwe! Od stu lat, pomimo troskliwości rządu i pomocy w czasie niedostatku i głodu dawanych koczującym ludom Syberyi, liczba ich co rok zmniejsza się i zamożność między niemi znika. Choroby dziesiątkują, a szczególniéj ospa i wenerya wyniszcza całe plemiona. Wódka, którą poją ich kupcy, pomimo zakazu rządu, pochłania cały dobytek dzikiego gospodarstwa. Ten smutny stan rzeczy jest symptomatem zatracania ludowéj indywidualności i naturalném następstem przenarodowienia, co Ulwiek dosyć trafnie przypisuje nowym obyczajom, jakie nowa wiara za sobą prowadzi.

Pomimo przywiązania Czukczów do ojczystéj wiary, lud ten dziki a bitny, który dotąd jesaku nie płaci, coraz bardziéj ulega wpływom Rossyi. Handel i missye szerzą na téj lodowatéj północy jéj władzę. Dwaj missyonarze: Slepcow i Argentow już do 1000 Czukczów koczujących nad rzeką Kołymą, nad którą są i ruskie osady, skłonili do przyjęcia nauki Chrystusa. Ci, którzy mieszkają w odleglejszych, ku cieśninie Berynga posunionych krainach, zachowali wcałéj zupełności szamanizm i niepodległość.

(1) Putiewyja Zapiski świaszczennika Missionera Andreja Argentowa w pri polarnoj miestnosti, drukowane w Zapiskach Sibirskaho Otdieła. K. IV. Petersburg. 1858 r.

Dusze zmarłych przodków i duchów symbolizujących siły natury wyobrażają w formie małych bałwanków i lalek, i noszą je zawsze z sobą na szyi lub do sukni przyczepione. Bałwanki te zowią: *Kiéelień*, albo *Krekamczatkan*, co znaczy; duchy domowe (1). Każda góra, rzeka, jezioro, w ogóle każda miejscowość, jest pod władzą ducha miejscowego, który się zowie *Awynralian*. Duchom miejscowym ofiarują strzały, tytóń, sadło, psów i renów, a w ważnych wypadkach i ludzi. Czukczowie, przybywszy na nowe koczowisko, starają się naprzód zaskarbić łaski Awynraliana i ofiarują mu stosownie do możności jednego lub kilka renów albo psów. Ofiary te odbywają się przed szałasem. Gdy ze stada przyprowadzą rena, gospodyni szałasu uzbrojona włócznią wychodzi na jego spotkanie i przeszywa mu lewy bok w taki sposób, żeby można ręką serca dosięgnąć; zwierzę pada, a z upadku jego i mąk konania wróżą wypadki przyszłości. Jeżeli ren upadł głową w stronę, z której przybyli, Czukot woła: „*mieczińki*" (dobrze); jeżeli zaś padnie głową w stronę przeciwną rodzinnéj okolicy, wróżą ztąd nieszczęście i śmierć (2). Następnie, gospodyni ręką wydobywa z rany ofiary spiekłą krew i rzuca nią wkoło siebie; krwią także ofiary obmazuje męża, dzieci, *jurtę*, a mąż pomazuje nią czoło, piersi i podeszwy swéj żony (3). Kości ofiary nie rąbią. Na łopatce kładą rozżarzony węgiel i z jéj pociemnienia odgadują przyszłość. Podczas tych ofiar, obrządki kapłana spełnia właściciel jurty lub jego żona. Bałwany większe umieszczają w jurtach; w święta wynoszą je na miejsce zgromadzenia i tam częstują sadłem. Nowonarodzone dziecię myją uryną. Trupów rzucają na pożarcie zwierzętom lub palą. Wielożeństwo istnieje między niemi. Gościnność Czukot posuwa do tego stopnia, że gościowi pozwala z żoną swoją obcować. Przysięgę wykonywgją: chwytając ręką język i wyciągając go z ust. Są ogromnie niechlujni, w mieszkaniach swoich wypróżniają się. Głód, sposób życia, zabijanie ludzi niedołężnych jest

(1) Opisanie Nikołajewskaho Czaunskaho Prichoda, A. Argentowa.

(2) Z dziennika kupca Michała Baramygina, drukowany w Zapiskach Sibirskaho otdzieła, kniżka IV.

(3) Opisanie Czaunskaho Prichoda, w Zapiskach Sibirskaho Otdieła.

głównym powodem stopniowego zmniejszania się ich ludności (1).

Ażeby uzupełnić i zrobić o ile można dokładnym obraz szamanizmu, zmuszeni byliśmy wyjść po za granicę przez nas opisywanéj krainy, i wejrzeć do książek rossyjskich podróżników. Myślę, że czytelnicy nie rozgniewają się za to zboczenie i że wiadomości o szamanizmie różnych ludów Syberyi z ciekawością przeczytają.

Brak hierarchii, centralizacyi i kontroli, jak to już mówiliśmy, wyrodził liczne zmiany, odcienia w szamanizmie i sprawił, iż każdy lud nagiął go do swoich potrzeb, zmienił fantazyą i wycisnął na nim piętno swéj indywidualności. Brak ten dozwala dotąd w praktykach religijnych każdemu szamanowi modyfikować je stosownie do stopnia czarnoksięzkiéj swéj umiejętności. Pomimo téj rozmaitości, wspólne cechy świadczące o wspólnym porządku szamanizmu każdy z łatwością dostrzeże.

Jakuci sąsiedzi Czukczów, ze wszystkich pierwotnych ludów Syberyi są najgorliwszemi chrześcianami i najwięcéj zruszczyli się; dotąd jednak w zupełności szamańskich przesądów nie pozbyli się. Szamanizm jakucki utworzył dziewięć niebios. W piérwszych siedmiu umieszczone są: różne zwierzęta, jako to: reny, konie, któremi się karmią dusze nieboszczyków. Widzimy z tego, że idea życia po za grobem i nagrody w przyszłym życiu, nie jest obcą szamanizmowi. Owe dziewięć niebios, jest to Nirwana buddystów, królestwo niebieskie chrześcian, tak materyalnie pojęte i zmysłowo przedstawione jak raj mahometański. W ósmém niebie Jakutów mieszka bóg piorunu i błyskawicy: *Siurdach-Siuga-toën* (straszny-topor-pan); w dziewiątém zaś niebie mieszka bóg: *Ar-toën* (czysty pan), jego żona nazywa się: *Kubej-hatun* (szanowna pani) (2).

U Juraków, po Czukczach najbitniejszego ludu północnéj Syberyi, szamanizm nie wyrobił tak rażących grubém okrucieństwem zwyczajów jak u Czukczów. Juracy, mie-

(1) Opisanie Czaunskaho Prichoda, w Zapiskach Sibirskaho Otdiela.

(2) Oczerki Turuchanskaho kraja kniazia Kostrowa,— w Zapiskach Sibirsk. otdiela, kn. IV.

szkają na wielkim półwyspie, utworzonym przez odnogę Obską, morze Lodowate i odnogę Jenisejską. Jest to lud bitny i bez oporu nie poddał się Rossyanom. Chociaż zgodzili się w większéj liczbie na chrzest, dotąd jednak wyznają szamanizm. Boga nazywają: „*Num*", a prócz niego czczą mnóstwo pomniejszych duchów, których bałwany wyciosują z drzewa, lub z kości mamutowéj, i dają im postać renów, lisów, wiewiórek i innych zwierząt prócz wilka (1). Nabożeństw i świąt żadnych nie mają. Jeżeli rybołóstwo lub polowanie nie powiedzie się, albo jeżeli duchy zagrzmią w niebiosach i zagrożą w burzy, Jurak pada przed bałwanem na kolana i wznosząc ręce do góry błaga miłosierdzia. Gościnni, prawdomówni nie znają złodziejstwa. W domowém pożyciu są przykładni; żony szanują, a chorych aż do śmierci troskliwie pielęgnują i ratują wszelkiemi sposobami. Gdy chory umrze, cała rodzina ucieka z *czumu* (szałas, namiot) i w bliskości stawia drugi czum dla siebie. Potém wkopują w ziemię cztery słupy, na nich zawieszają skórę rena umyślnie na ten cel zabitego i na skórze składają trupa, na któréj nieboszczyk uda się do nieba, a przy nim wszystkie rzeczy, jakich używał za życia i kawał mięsa reniego. Wtrzy dni po pogrzebie, rodzina zmarłego wraca na miejsce wiecznego spoczynku i na trupa każdy z jéj członków puszcza po dwie lub trzy strzały; poczém oddalają się w inną okolicę i nigdy nie zbliżają się do tego miejsca. Niemowlę zaraz po urodzeniu nurzają w wodzie lub w śniegu, a robią to dla wzmocnienia jego sił. Matki karmią dzieci piersiami pięć a nawet sześć lat (2). Juracy należą do samojedzkiego plemienia i mówią dyalektem samojedzkiego języka.

Samojedzi mieszkają w północnych okolicach tobolskiéj i archangielskiéj gubernii. O ich szamanizmie w jednéj z podróży nad morze Lodowate odbytéj znajdują następujące szczegóły: Boga jak i Juracy, nazywają „*Num.*" Num jest istota wyższa, twórca nieba i ziemi, pełen dobroci i miłosierdzia, imię jego z weselem w modlitwach wymawiać trzeba; istoty jego nie symbolizują i nie wyobrażają

(1) Oczerki Turuchanskaho kraja kniazia Kostrowa.
(2) Tamże.

w bałwanach. Na wysokich pagórkach ofiarują Numie białych renów, a mięso ofiar sami surowe zjadają. Wierzą także w „*Tadeptów*", t. j. złych, szkodzących ludziom duchów, których złośliwość usunąć i przebłagać można ofiarami i modlitwą. Bałwanów nazywają *Hegami*: bałwany ich nie odznaczają się wyrobem, ani sztuką; drzewo niezręcznie ociosane przypominające postać człowieka, często kołek z trzema symbolicznemi wrębami, lub kamień dziwacznego kształtu jest wyobrażeniem duchów. Tadepty szkodząc ludziom, robią to wbrew woli dobrego boga, Numy; podczas ofiarnych modlitw, uderzają w *pezer* (rodzaj bębna) i wydają okrzyk: hoj! hoj! hoj! Głównem miejscem szamańskich samojedzkich obrządków był dawniéj przylądek Bałwański, na wyspie Wajgacz, dokąd nawet tobolscy Samojedzi gromadnie udawali się. W pieczarze przylądku stał główny bałwan pośród wielu innych mniejszych bałwanów. Wichry głucho świszczące w pieczarze wzbudzały w obecnych uczucie potęgi Boga, objawiające się w strachu i pokorze. Kapitan angielski Barrow r. 1556 widział w téj pieczarze bałwanów z zakrwawionemi ustami i oczami, albowiem Samojedzi zabijając renów na ofiarę, krwią ich pomazują bałwanów. Szturman Iwanow r. 1824 w téj pieczarze już nie widział bałwanów, zastał tylko poniszczone, pogruchotane metalowe i drewniane narzędzia, sznurki i rozmaite rzeczy przynoszone kiedyś na ofiarę. Innem miejscem gromadnego zbierania się Samojedów na nabożeństwo był las w kanińskiéj ziemi (w mezeńskim powiecie, archang. gubernii). Na drzewach nawieszano téż mnóstwo różnokolorowych gałganków, które Samojedzi jak i Buryaci zwykli wieszać na grobach. Szamanów czyli kapłanów swoich, nazywali *Tadibejami*: dziedzicznie, syn po ojcu, zostawał kapłanem. Tadibejowie trudnili się przywoływaniem duchów, wróżbą i leczeniem. Samojed nie żeni się z dziewczyną tego rodu, z którego sam pochodzi; kobiéta uważaną jest za nieczystą istotę; rodzicom, młodzieniec chcący się żenić daje wykup za żonę. Umarłych wynoszą przez umyślnie na ten cel zrobiony otwór w czumie; grzebią ich w mogiłach lub chowają w lesie, w drewnianych skrzyniach zostających na powierzchni ziemi; na grobie zabijają rena, na którym trupa przywieźli. Przysięgi

Samojedów odbywają się w rozliczny sposób. Wykonywający przysięgę, wziąwszy w rękę garść ziemi lub śniegu, mówi: jeżeli kłamię, niechaj się rozsypię jak ta ziemia, lub zniknę jak ten śnieg; albo położywszy głowę pod skórę niedźwiedzia, woła: jeżeli kłamię, niech mię niedźwiedź pożre.

Ostyacy, wszyscy prawie zostali chrześcianami, lecz chrześciaństwo ich, jak i wszystkich aborygenów Syberyi, jest pozorne. Umieją się żegnać, noszą krzyżyki na piersiach lub w kieszeni, lecz wyobrażenia o Bogu według chrześciańskich zasad nie mają; pacierza nie umieją, a wrzeczy saméj są dotąd jeszcze poganami. Ostyacy mieszkają w tobolskiéj, tomskiéj, jenisejskiéj gubernii; lud niechlujny, leniwy, chytry, chorych i niedołężnych porzuca bez pomocy w puszczy, mężczyzni surowo obchodzą się z żonami i biją je bez litości (1). Ostyak z tomskiéj guberni, którego ufność udało mi się pozyskać, opisywał mi następne wróżby swoich szamanów: nad jedném z jezior w nadobskiéj puszczy stała jurta (to samo co czum, szałas, namiot), a w jurcie bałwan, wokoło którego mnóstwo drogich futer na ofiarę pozawieszano. Przed jurtą gorzało ognisko: szaman, ubrany w skórzaną suknią, na któréj były wyszyte różne symboliczne znaki a kółka do niéj i różne figurki metalowe były przymocowane, przeskakiwał bijąc w bęben przez ognisko; poczém na chuśtawce kołysał się, aż do chwili zemdlenia i zupełnego osłupienia. Gdy upadł na ziemię okryty potem i pianą, wróżył obecnym mając oczy zamknięte. Używają tam jeszcze następnego sposobu wróżenia: w ciemnéj izbie zamyka się szaman i zaraz z wieczora uderza metalową łopatką o kółka żelazne rzędem przymocowane do drążka także metalowego; kółka trącając o siebie wydają iskry, które w ciemności, niby nikłe duchy pokazują się i nikną. Czynność wydobywania iskier z tego narzędzia powtarza się do północy; wtedy zstępują duchy na czarnoksiężnika, napełniają go i odkrywają przed nim wszystkie tajemnice przyszłości, z których szaman późniéj użytek robi dla ludzi.

Tunguzi, lud najgościnniejszy w puszczy, koczuje na ogromnéj przestrzeni między Jenisejem i oceanem Wscho-

(1) Oczer. Turu. kraja kniązia Kostrowa.

dnim. Za Bajkałem pokazują się na północnych brzegach tego jeziora, nad Witimem w północnéj Dauryi i nad Amurem, gdzie ich nazywają Oroczonami. Lud to czynny, wytrwały i rzetelny; kozakom zdobywającym Syberyą, oparł się w kilku miejscach nad Jenisejem i Angarą; przywiązany do koczowniczego życia, umié rachować tylko do 1000, i nie zna podziału czasu na tygodnie i miesiące (1). Choroby syfilistyczne i ospa zmniejszają coraz bardziéj tunguzką ludność; od 1850, ludność ta zmniejszyła się prawie o połowę (2). Czas, w którym ostatni Tunguz nie na placu boju, lecz powalony brzydką chorobą—legnie, jest niedaleki. Mówią oni, że dawniéj, mianowicie w czasach, kiedy nikomu jesaku nie płacili, chorób takich nie znali (3). Ile jest prawdy w tém mniemaniu, trudno dzisiaj zdecydować; rossyjscy jednak podróżni, którzy mieli czas przyjrzeć się temu ludowi, przyznają, że rzeczywiście śmiertelność między niemi zwiększyła się w naszych czasach, a starzec 60-letni jest już między niemi rzadkością. Dobry byt zniknął, reny im powypadały, najbogatszy Tunguz nie tysiące jak dawniéj, ale zaledwo setki renów w swojém stadzie posiada. Szamanowie tunguzcy używają bardzo rozmaitych sposobów wróżenia: zasnąwszy w samotném miejscu, szaman śpi dosyć długo; ciekawi przyszłości zbliżają się zwolna do niego i zadają mu pytania, na które on przez sen odpowiada. Zdaje się, że szamanowie znają skutki magnetyzowania, bo powyższy sposób wróżenia niczem więcéj nie jest, jak magnetyczném jasnowidzeniem. Inne sposoby pobudzania w sobie ducha do wróżby mają już charakter obrządku. Szaman ubrany w płaszcz (tatyło) ze skóry rena, ozdobiony blaszkami i różnemi znakami, bijąc w bęben, który trzyma przed sobą, przeskakuje przez ognisko. Skoki jego są szybkie, nagłe i wysokie; gdy zmęczony padnie na ziemię, zasypia i powiada obecnym: czy polowanie będzie pomyślne i w któréj stronie zwierz znajduje się. Skokom i czynnościom szamana, zupełnie podobnym do wróżby ostyackich szamanów przypatrują się Tunguzi, przejęci czcią i pobożną

(1) Oczerki Turuchanskaho kraja kniazia Kostrowa.
(2) Tamże.
(3) Tamże.

bojaźnią. Wobec także tłumu pobożnego, zebranego nad rzeką lub jeziorem, szaman rzuca sie w wodę i zdaje się w niéj tonąć; lud go ze czcią wydobywa, lecz zupełnie suchego i podziwia moc duchów, ochraniających ich kapłana. Nie wiem, czy to rzucanie się w wodę jest przygotowaniem się do wróżby, czyli też jest prostém bez innego marzenia kuglarstwem?

Pan Kostrow (1) powiada, że jenisejscy szamani chodzą z rogami długiemi na ćwierć arszyna, a na płaszcz swój (tatyło) wkładają żelazne łańcuchy, których waga dochodzi do trzech pudów. Jak tylko szaman pokaże się w koczowisku—Tunguzi robią dla niego osobny czum, zabijają rena i mięso wieszają na około jego mieszkania. Szaman w czumie zapaliwszy ognisko, rozpoczyna obrządek wróżenia: bębni, łamie się, wykręca, krzyczy głosami różnych zwierząt, przeskakuje przez ogień, bierze w usta węgle gorejące, a nareszcie w zachwyceniu rzuca się twarzą na ziemie, wstaje znowu, siada w środku czuma i zakrywszy oczy odpowiada pytającym. Jako zapłatę za wróżby otrzymuje: skóry różnych zwierząt i mięso na pokarm. Tenże sam autor w swoim ciekawym opisie (2) wymienia następnych bogów tunguzkich: *Szewagi-Okszari*, główny bóg; wyobrażają go, jako wysokiego, bez brody, w średnim wieku mężczyznę w złotém ubraniu; *Oziabki* jest bogiem patronem Tunguzów—wystawiają go sobie, jako męża średniego wzrostu i średnich lat, ubranego w *parke* (suknia tunguzka) z białego rena. Oziabka, za zgodą boga Szewagi-Okszara, wybiera szamanów. Obadwaj ci bogowie są bóstwami dobremi i mieszkają w niebie. W odległych i głębokich puszczach mieszka zły bóg, bóg śmierci i zniszczenia: *Harchi* (czarny bóg): głowę ma potworną, oczy ogniste, nos płaski, włosy czarne, ubiera się w czarne tunguzkie odzienie; chcąc zgubić człowieka, bierze na się postać wilka, niedźwiedzia lub łosia. Prócz powyższych, czczą jeszcze Tunguzi wielu pomniejszych bogów: *Ukom* (nur północny Colymbus septentrionalis, po rusku gagara) jest bogiem wody. Tunguz płynąc rzeką, jeżeli trafi na wir, rzuca w nie-

(1) Oczerki Turuchanskaho kraja kniazia Kostrowa.
(2) Tamże.

go na ofiarę bogu wodnemu strzałę, jadło lub jaki gałgan; *Galil'* (łabędź i *Guszy* (orzeł) są bóstwami polowania; *Tierepga* (jastrząb) jest bogiem wróżby; *Kuti* (niedźwiedź) bogiem klątwy—i wiele innych bóstw i duchów, symbolizowanych w postać zwierząt.

W czasie połogu żony, Tunguz zrębuje drzewo i wbija klin w jego pień; poczém przez umyślnie na ten cel zrobiony otwór wyprowadza położnicę, która przez ognisko palące się przed czumem trzy razy dla oczyszczania się przechodzi. Zwracamy uwagę, że oczyszczenie znane jest u wielu pierwotnych ludów; odbywało się w rozliczny sposob, niemniéj przeto ma jedno i wspólne znaczenie. O oczyszczeniu mamy kilkakrotne wzmianki w Starym Testamencie. Niemowlę zaraz po urodzeniu kąpią Tunguzi w wodzie lub w śniegu; imię nadaje dziecku piérwszy gość, który po połogu wejdzie do czumu. Tunguz żeni się w 15 lub 16 roku życia: umówiwszy się o cenę dziewczyny, młodzieniec zabiera z sobą z domu ojca narzeczoną, i na tém się kończy weselny obrządek; czasami pan młody, kupiwszy wódki, wyprawia wesele, którego zabawy składają się z picia wódki, tańców i śpiewów. Z czumu, w którym zmarł Tunguz, zrywają pokrycie, a na ogniu stawiają patelnią z sadłem rena; poczem zabiwszy drugiego rena, trupa obwijają w jego skórę i grzebią w ziemi. W grobie mężczyzny składają ulubione mu za życia: gwintówkę, nóż, topór, łuk i kocioł z przebitém dnem; w grobie zaś kobiety: nóż i laskę, którą renów popędzała. Na mogiłę rzucają kawał mięsa; resztę zjadłszy, pakują swoje majątki na renów i przenoszą się w inne okolice troskliwie zacierając ślady, w obawie, ażeby trup wstawszy z grobu, ich śladem, za niemi się nie powlókł. Zabonna ta obawa dowodzi: że Tunguzi wierzą, iż człowiek całkowicie nie umiera i wierzą w jego nieśmiertelną duszę. Idea nieśmiertelności duszy, napotykana u dzikich i u oświeconych ludów, jest ideą powszechną całéj ludzkości. Przechodziła ona jak i wszystkie inne pojęcia całą drabinę kategoryj. Przeczuta przez ludy stojące na najniższym szczeblu człowieczeństwa, przez ludy, które zastanawiając się już nad naturą, zrobiły ją osłoną tajemniczych duchów, pojęta i przedstawiona bardzo zmysłowie jak to widzimy w szamanizmie—przez ileż to form przechodziła, zanim przeszedłszy

przez panteistyczną teoryą metampsychozy, doszła wreszcie do wzniosłego i pięknego pojęcia chrześcian o nieśmiertelności duszy ludzkiéj.

Tunguzi nie ochrzczeni nie grzebią zmarłych, lecz zaszywszy trupa w skórę rena, wieszają go między czterema drzewami cedrowemi. Na gałęziach drzew zawieszają broń zmarłego i kociół z dnem przebitém. Tunguzi turuchańscy pod trupem rozkładają ogień, a spaliwszy go, uchodzą spiesznie w inne okolice. Tunguzi boguczańscy nie palą trupów, lecz zostawiają ich między drzewami, na których zrebują wszystkie gałęzie, żeby trup po nich nie zszedł na ziemię. *Dołejanie*, plemię Tunguzów w jenisejskiéj gubernii, czum, w którym skończył życie nieboszczyk, okładają chrustem, krewni go podpalają i trupa wraz z czumem puszczają z dymem (1).

Buryaci wreszcie szamani ciała zmarłych albo palili, albo w puszczy na pożarcie zwierzętom rzucali, lub też na drzewach chowali; dzisiaj zaś najpospoliciéj grzebią je w ziemi. Obrządek palenia w następny spososób odbywa się: trupa rozciągniętego na skórze wiozą na koniach lub wózku, w orszaku rodziny i przyjaciół; na kupie chrustu jakby na stosie składają ciało, pewną ilość pieniędzy i rzeczy zmarłego; gdy już stos podpalą i błyśnie pierwszy płomyczek, wszyscy obecni, nie oglądając się, co prędzéj uciekają do swoich jurt. Zdaje się, że powodem téj ucieczki jest wiara w złe duchy, które po śmierci rzucają się na duszę człowieka, odpędzone zaś ogniem, mogłyby rzucić się na obecnych; jestto jednak tylko mój domysł. W lasach chowają swoich zmarłych na sposób tunguzki; przy trupie wieszają na drzewach: siodło, fajkę i różne rzeczy zmarłego, a na sznurkach różnokolorowe gałganki. Rzeczy złożonych przy zmarłych nikt sobie nie przywłaszcza; jest bowiem wiara, że są *zaszamanione*, tojest zaklęte, a przywłaszczanie ich sprowadza nieszczęście. Zwyczaj rzucania trupów na pożarcie dzikim zwierzętom ustał zupełnie między Buryatami, i staje się coraz rzadszym w Syberyi. Nie jeden zwyczaj i nie jedno pojęcie południowych Azyatów znajdujemy na Północy rozszerzone. Palenie ciał na stosach jest zwyczajem Indyanów; porzucanie trupów w puszczy

(1) Oczerki Turuchanskaho kraja kniazia Kostrowa.

było zwyczajem starożytnych Persów; wiele zaś kuglarstw, myśli i wyobrażeń szamańskich, okazując powinowactwo z zabobonną wiarą *Daosów* w Chinach rozszerzoną, ma przytém wiele wspólnego z wiarą Indusów. Przy głębszém zastanowieniu i krytyce, pochodzenie szamanizmu z południowych stron Azyi, stanowczo zostanie udowodnioném. Pas Azyi od 20 do 36 stopnia północnéj szerokości jest ojczyzną wszystkich główniejszych religij świata. W tym pasie: braminizm, buddyzm, judeizm, chrześcianizm, mahometanizm powstał; w krainach tego pasa nauczał Zoroaster i Konfucyusz; tu powstała wiara czcicieli ognia i w. in. Okolice te, które Opatrzność najwyraźniéj przeznaczyła na plac natchnień, wizyj, objawień, na kolebkę wiar, niezawodnie téż wydały i szamanizm, zkąd przez Chiny i stepy Mongolii rozszerzył się w puszczach i równinach lodowatych Syberyi, nie sprzyjających w ogóle podniesieniu ducha rodzącemu natchnienia poetyczne i objawienia religijne!

Wróżby szamanów buryackich, podobnie do wróżb szamanów innych ludów odbywają się rozlicznemi sposobami; wymienię niektóre: szaman otoczony tłumem wpycha nóż w piersi: krew trysnęła, a on zakrwawionym nożem nos sobie podrzyna; lud patrzy na te kuglarstwa z zadziwieniem, a po skończonéj ceremonii spostrzega, że szaman nie skaleczył się wcale. Stoliki wirujące, które niedawno tyle hałasu w Europie narobiły, opowiadają szamanom przyszłość i wskazują ukryte przez złodziei rzeczy. Otoczony ciemnościami nocy, szaman wróży trzymając gorejącą głownię w dłoni, a ogień się jego ręki nie ima, albo wkłada w usta rozpalone do czerwoności żelazo, a ono go nie parzy. Wszystkie te sztuki mają na celu przekonać lud o potędze bożéj szamana, albo téż pobudzić ducha do wróżby; każdy ułus utrzymuje swojego szamana, mówi pan S. Szaszkow (1). Żaden z nich nie pracuje, a przez różne oszukaństwa zyskują wiarę i powagę w ułusie. Zdarza się, że szaman ukradnie jaką rzecz jednemu, podrzuci ją drugiemu, a potém wróży korzystając z obydwóch. Ubiór szamanów codzienny niczém się nie różni od ubioru wszystkich Buryatów: czer-

(1) Buryaty Irkuckiéj gubernii S. Szaszkowa. W Irkutskich gubernskich Wiedomostiach Nr. 3 r. 1858.

wona tasiemka, którą czapki oszywają, jest jedyną oznaką ich godności. Na ścianach swoich mieszkań szamańscy Buryaci wieszają *burchanków* (burchan Bóg) i potworne bałwanki; wieszają też: skóry baranie, krzesiwa itp. rzeczy mające wyobrażać i zastępować *burchanów*. Mówi daléj tenże sam autor (1), że Buryaci, gdy zabijają barana i mięso jego ugotują, przed jedzeniem odrzynają kawałek mięsa i rzucają go w ogień na ofiarę bóstwu. Czasami, zamiast mięsa, ofiarują wódkę; wylewając ją powoli z czary powtarzają wyrazy: *cok, cok, cok!* Bałwanów swoich omazują śmietaną, lub też wtykają im w usta kawał sadła; jeżeli nie spełni się to, o co buryat prosił *burchana*, zrywa go ze ściany i ćwiczy rózgą lub paskiem. Ofiary ich bywają dwojakie: prywatne i publiczne. Ofiary prywatne odbywają się i bez szamanów, z powodu rozmaitych okoliczności; na publicznych zaś szaman zawsze bywa obecny. Ofiary publiczne nazywają *taiłgan*, odbywają się trzy razy do roku. Pierwszy taiłgan bywa na cześć „królów południa"; drugi na cześć „królów (zapewne duchów) wód"; trzeci, niewiadomo na cześć jakich duchów odbywa się w jesieni. Na świętéj górze, przeznaczonéj na miejsce ofiarne, stawiają ołtarz, a o 20 sążni od niego, rzędami stawiają naczynia z mlekiem i *tarasunem* (wódka z mleka); cokolwiek daléj stoją zwierzęta przeznacone na ofiarę (2). Gdy się już publiczność zbierze, szaman bierze *żodo* (3), pali jego koniec i macza go w płynach zawartych w naczyniach. Poświęciwszy takim sposobem naczynia, postępuje ku ołtarzowi i zwróciwszy twarz w stronę południa odmawia głośno modlitwę, krzycząc jak najgłośniéj. Wówczas przystępują do niego jeden po drugim siedmiu pomocników wybranych między publicznością. Każdy z nich w prawem ręku trzyma miskę z *tarasunem* a w lewéj warząchew z mlekiem. Gdy już zbliżą się do szamana, powtarzają za nim: „*cok, cok, cok!*" Szaman umoczywszy *żodo* w misce każdego z nich, pryska płynem w stronę południa. Potém, podnosząc żodo

(1) Buriaty Irkutskoj Gubernii. S. Szaszkowa.

(2) Opis taiłganu według Szaszkowa.

(3) *Żodo*, jestto pałeczka wystrugana z brzozy, na końcu umieszczona jest świerkowa kora, którą szaman pali przed ofiarą.

do góry, wskazuje na niebo, a Buryaci rzucają miski na ziemię, krzycząc: „niechaj się poszczęści.“ Jeżeli miska upadnie do góry dnem, oznacza to nieszczęście, jeżeli zaś dnem na ziemię, oznacza szczęście. Ceromonia rzucania misek trzykroć się powtarza. Następnie szaman zwierzęta ofiarne oblewa tarasunem, rozrzyna im brzuchy i wyrywa grdykę—dotyka ich żodem, a obróciwszy się ku południowi, wymawia te wyrazy: „*ajchon terdi*“; daléj gotują mięso ofiarne i dzielą je na trzy części, przeznaczając pierwszą szamanowi i starcom, drugą rodzinie, która ofiarowała zwierzęta, a trzecią, obecnym na taiłganie; kości ofiarują bogom. Po tych wszystkich obrzędach rozpoczynają się wyścigi konne i zapasy szermierskie. Zwycięzcom podają tarasun, ubierają ich i prowadząc pod ręce, wyrażają im różnemi sposobami swoję atencyą; koniowi, który pierwszy dobiegnie do mety, jadący na nim wylewa na grzywę cokolwiek tarasunu, a resztę podaje starcowi. Po wyścigach i zapasach rozpoczyna się uczta i pijatyka; wreszcie, cały orszak powraca do domu. Na czele jedzie szaman, a jeden z jego orszaku trzyma w ręku palącą się głownię. Za nimi konno i w *arbach* (wózek o dwóch kołach) posuwają się inni Buryaci wyśpiewując różne pieśni i krzycząc głosami podobnemi do wycia wilków lub szczekania psów.

Jeden z moich znajomych opisywał mi ofiary, przy których był obecny, odprawiane w celu ubłagania o zdrowie chorej osoby. Obrządek ten w niewielu szczegółach różni się od wyżéj opisanego. Ciała zwierząt ofiarnych zawieszono na drzewach, pod któremi zgromadzona była publiczność; szaman sam rzucał miskę, która padła dnem na ziemię; lecz przed rzuceniem pobudzał w sobie ducha, przez łamania, wykręcania gimnastyczne, tłuczenia podobne do wielkiéj choroby, oraz krzyki i piski przypominające krakanie kruka, huczenie sowy i wycie wilka. Najbardziéj uderzającym szczegółem tego obrządku, była chmura ptaków, która w chwili padania miski szamana nadleciała i siadła na drzewach, a po skończonym obrządku, na znak zrobiony ręką w powietrzu, odleciała w stronę zachodu. Lud, strwożony takim objawem cudownéj potęgi szamana, pobożnie zwrócony ku południowi, kłaniał się. Obrządki ofiarne różnią się w szczegółach a różnice te są następstwem

umiejętności lub też humoru szamana, nad którym żadna władza nie ma kontrolli. Wiadomo nam już, że Buryaci posiadają wiele miejsc świętych, na które gromadnie zbierają się. Skała olchońska i kamień przy ujściu Angary z Bajkału taką bojaźnią przejmują każdego Buryata, że na pierwszą wiadomość przysięgi w imię groźnego kamienia ze skruchą wyznaje dawne i nikomu nieznane grzechy i występki. Do tych świętych miejsc należą jeszcze: skała w Kutłuku, kamienie szamańskie w dolinie *Sagan Ugun* wpadającéj do Irkutu, gdzie dwa razy w ciągu roku odprawiają szamani nabożeństwo—góra szamańska nad Irkutem przy ujściu do niego rzeki Szamanki niedaleko wsi Moty i inne. *Ongonom* duchom zamieszkującym te miejsca zabijają na ofiarę baranów. Barana ofiarnego uderzają nożem w lewy bok, a przez ranę zapuściwszy rękę we wnętrzności, mną i ściskają serce biednego zwierzęcia, które kończy życie w największych konwulsyach i męczarniach.

Krótki pobyt w okolicach bajkalskich, nie pozwolił mi wejrzeć głębiéj w szamańską wiarę.

Udało się mi zaledwo zebrać kilka o niéj szczegółów, i na nich, dopełniwszy je wiadomościami z różnych autorów wziętemi, skończyć muszę rzecz o szamanizmie, zapraszając czytelnika do dalszéj z sobą podróży.

UWAGI NAD FILOKTETEM,

TRAGEDYĄ SOFOKLESA.

PRZEZ

Karola Mecherzyńskiego.

Φιλοκτήτης, *Filoktet*, jest jedną z najpiękniejszéj tragedyj Sofoklesa, słusznie liczoną do arcydzieł sztuki dramatycznej u starożytnych. Tu nadewszystko podziwiać trzeba tę szczególniejszą płodność wyobraźni poety, który z przedmiotu na pozór oschłego, nie nastręczającego żadnych prawie wydarzeń i osób dramatycznego znaczenia, umiał wyprowadzić zajmujące i najrozmaitsze widoki.

Sofokles do utworzenia téj tragedyi miał tylko szczupłéj treści podanie z czasów wojny trojańskiéj.

Grecy płynąc pod Troję zatrzymali się byli na wyspie Chryza (którą późniéj pochłonęły wody morskie). Tam, według nakazu wyroczni, mieli złożyć ofiarę Minerwie na ołtarzu zbudowanym niegdyś przez Jazona, na którym święcił już był ofiarę Herkules wychodzący na podobnąż wyprawę, a o którym wiedział tylko jeden z pomiędzy Greków, towarzysz jego czynów, Filoktet. Ten gdy opuszczonego z dawna i zapadłego w ziemię szuka po zaroślach dzikich ołtarza, ukąszony został od węża, który był stróżem pilnującym tego miejsca. Grecy osądzili, że to była kara od bogów nań spuszczona; a zrażeni nadto jego krzykiem i cuchnącą z rany zaraźliwéj wonią, postanowili za radą Ulissesa zostawić go na wy-

spie Lemnie. Dziesięć lat przesiedział tam zapomniany od wszystkich Filoktet; dopiéro kiedy Grecy zawiadomieni przez wieszczka Helena, że Troja nie mogła być wziętą bez pomocy strzał Herkulesa, które posiadał Filoktet, posłali po niego Ulissesa, sprawcę jego niedoli.

W téj właśnie okoliczności dostrzegł tragiczny geniusz Sofoklesa wątku do ułożenia wielkiego dramatu. Umiał on ocenić to zajmujące położenie rzeczy, jakie miała przedstawić sama trudność posłannictwa, powierzonego sprawnemu Ulissesowi. Potrzeba wszakże było stworzyć, wynaleźć całkowite drama, gdzie poeta nie miał nic więcéj przed sobą, jak tylko miejsce działania, scenę próżną, puszczę na wyspie Lemnos i dwie osoby historyczne: Ulissesa i Filokteta. W jaki sposób Ulisses, który w takiéj był nienawiści u syna Paeana, mógł obiecywać zwycięztwo nad zagniewanym Filoktetem, i brać na siebie trudną rolę pojednawcy, mającego sprowadzić go między bratnie obozy Greków? Godną uwagi jest rzeczą badać w téj mierze przebiegłą sztukę dzieł mistrza, i śledzić niejako tajemnicze prace jego wyobraźni.

Szło tu przedewszystkiém o wynalezienie trzeciéj roli, bez któréj niepodobna było rozwinąć, a nawet zawiązać czynności dramatycznéj między dwiema osobami, zwłaszcza ujemnego względem siebie znaczenia: Ulissesem i Filoktetem. Według pierwotnego podania, poselstwo od Greków do lemneńskiego wygnańca sprawować miał Dyomedes. W zatraconéj tragedyi Eurypida, obadwaj podobno, Ulisses z Dyomedem, użyci byli za działaczów w téj sprawie. Mógł przezto Eurypides okazać się więcéj homerycznym, bowiem u śpiewaka Iliady ci dwaj bohaterowie rzadko się z sobą rozłączają. Ale pod względem charakteru, Dyomedes nie nastręczał żadnéj prawie dramatycznéj korzyści. Trafniéj więc ku swemu celowi Sofokles za towarzysza Ulissesowi wybrał Neoptolema, który żywił w duszy świeży żal przeciw Grekom, z powodu odmówienia mu zbroi ojca. Młodzieniec bez doświadczenia, prostego i powolnego serca, miał służyć za narzędzie działania mądremu i przebiegłemu Ulissesowi. Ale Neoptolem był synem Achillesa, owego szlachetnego rycerza, który gorzéj piekła nienawidził czło-

wieka z skrytą, albo chytrze barwioną myślą: nie byłby zatém zdolnym żadnego podejścia, żadnéj obłudy, którąby naigrawał się losom nieszczęśliwego, a tém mniéj użyćby się ku temu dał za narzędzie potomkowi Syzyfa. Tu więc poeta, za wskazówką swego geniuszu, doszedł do wynalezienia wątka dramatycznego. Drama zawięzuje się niejako samo przez się: tworzy je przeciwieństwo i zbliżenie do siebie trzech tak odmiennych charakterów. Nie ma tu nic naciągnionego, nic przypadkowego, dowolnego. Wszystko działanie, wszystek ruch dramatyczny, wypadki łączące się ku jednemu celowi, sprzeczne a zajmujące położenia: są to następstwa poczęte szczęśliwie w głównym pomyśle. Sofokles wprowadził tu za najważniejszą sprężynę dramatu, nie już przeznaczenie, wyrok nieodzowny (fatum), ale podobną mu konieczność, siłę charakteru i namiętności.

Teatr przedstawia pobrzeże wyspy Lemnos. Okręt grecki zdąża do przystani; wysiadają bohaterowie, zawięzujący zaraz początek dramatu. Ulisses, przypomniawszy Neoptolemowi cel przedsięwziętéj podróży, każe mu szukać jaskini, w któréj zostawiono niegdyś Filokteta, i która zapewnie służy mu dotąd za schronienie. Opisuje ją, ile po tylu latach zapamiętać może; a za tą wskazówką Neoptolem znajduje wkrótce grotę wygnańca. Weszli, nie zastali w niéj Filokteta; ale po znakach niektórych poznać można było, że tu dotąd zamieszkał. Jak żywe i zajmujące obrazy otwierają scenę! Ta samotna pustynia, mieszkanie nieszczęśliwego, to łoże usłane z liści i przygasłe w świeżém jeszcze zarzewiu ognisko, zbliżanie się do groty tak niespodziewanych przychodniów i ciekawa chwila piérwszego spotkania, ileż razem obudzają w umyśle wrażeń, zaostrzając uwagę widzów! Ulisses z przerażeniem postrzega zakrwawione łachmany, które służyły Filoktetowi do ocierania blizny. A tak na samym wstępie dramatu działa już właściwym sobie sposobem pathos, uprzedzajac główną sprężynę dramatycznéj czynności.

Postawiono na straży żołnierza; nie chce bowiem Ulisses nagłego spotkania z Filoktetem — a tymczasem przysposabia Neoptolema, jak go ma zręcznem użyć podejściem, i wydobyć od niego strzały wyroczne Herku-

lesa. Neoptolem wolałby prostą drogę namowy, a wreszcie środki gwałtowne, niż wymyślone przez chytrego Odysseusza podstępy, którym się chwilowo opiera, ale w końcu ulega przekonywającéj sile jego wymowy. Poeta malując przez podobieństwo wpływ i znaczenie mówców swego czasu, kładzie w usta Ulissesa tę uwagę: że u ludzi potężniejszą jest siłą język, niżeli męztwo i ramię.

Występuje na scenę chór, złożony, jak się zdaje, z starych żołnierzy Achilla, pełnych miłości i poszanowania dla jego syna, Neoptolema, i pokładających ufność w jego wyższym rozumie, który (według ich mniemania) dostał mu się wraz z berłem po przodkach. Dopytują się ciekawie o Filokteta, którego uwielbiają stałość, a razem litują się jego niedoli, obruszają na jego krzywdy.

„Mnie te nieszczęścia nie dziwią wcale (rzecze Neoptolem); widzę w nich spełnienie się woli i wyroku bogów. Nie chciały snadź nieba, aby Filoktet wyrzucił swoje strzały przeciw Troi, pokąd nie przyszedł jéj dzień ostatni". Ta pobożna uwaga w uściech Neoptolema, tak zgodna z religijnym duchem Sofoklesa, rozbraja wcześnie surowość skarg i złorzeczeń, w których ma wybuchnąć słuszny z inąd gniew i rozpacz Filokteta, i przysposabia już z daleka cudowną sprężynę rozwiązania dramatu, spuszczając nań z góry światło tych tajemnych, nadziemskich wpływów, które na scenie greckiéj podwyższały przedmioty i łagodziły okropność tragicznego obrazu. Już Filoktet w oczach widzów przestaje być nieszczęśliwym wygnańcem, porzuconym obojętnie na wyspie Lemnie, a okazuje się raczéj wybawcą, zachowanym od bogów dla spełnienia woli przeznaczeń i uświetnienia oręża Greków.

Ważna to i ciekawa nader scena, kiedy słychać zdala chód i jęki powracającego z za gór Filokteta: gdy się zbliża do groty i zdumiony spostrzega niewidzianych od lat tylu ludzi, podobnych sobie, swych spółrodaków, Greków; gdy ucho jego uderzają dźwięki téj lubéj ojczystéj mowy, któréj nie spodziewał się już nigdy w życiu usłyszéć. Sofokles umiał tu dobrać wzruszających i jakby z serca wydobytych do obudzenia najżywszego współczucia wyrazów.

— Kto wy jesteście (zapyta) cudzoziemcy, przybyli do téj wyspy, nie mającéj portu ani ludzi? Mów, synu mój, co cię sprowadza w to miejsce? jaka potrzeba? jaki zamiar? jaki wiatr dla mnie pomyślny?....

Im liczniéj w natłoku myśli i uczuć mnożą się pytania, tém krótsza i mniéj wystarczająca będzie odpowiedź Neoptolema.

— Ojczyzną moją Scyros; płynę do niéj z powrotem. Mówią, że jestem synem Achillesa... wszak wiesz o wszystkiém?

W trafny nader sposób zawięzuje się dalsza rozmowa, w któréj Filoktet opowiada swoję przygodę:

— Synu tak drogiego mi ojca! ziemi, którą tyle ukochałem! Wychowanku starego Lykomeda, zkądże się tu wziąłeś? z jakich miejsc wracasz? Z pod Troi, mówisz? Jakże, nie byłżeś na początku naszéj wyprawy?

— Alboż ty mogłeś, starcze, znajdować się na téj wyprawie?— odpowie Neoptolem.

— O! mój synu, nie znasz jak widzę tego, którego masz przed sobą.

— I jakżeż mógłbym cię znać? wszak nigdy cię nie widziałem.

— A więc o mych nieszczęściach, o tych mękach, które ponoszę, nic w Grecyi nie słyszałeś?

Jestto prawdziwie patetyczna, pełna wyrazu i rozdzierająca scena. Cios nowy ugadza w serce nieszczęśliwego; Filoktet wzgardzony, zapomniany nawet w Grecyi! Z jakiémże oburzeniem, z jak gorzką żałością a razem dumą daje poznać w sobie przechowawcę dziedzicznych strzał Herkulesa, syna Paeona, Filokteta! Pociechą dla duszy cierpiącéj jest wylanie téj wewnętrznéj trucizny przed spółczującym. Opowiada Filoktet, jak Greey nielitościwie z nim się obeszli; jak śpiącego odbieżeli na wyspie; jaka była rozpacz jego, gdy ockniony ze snu ujrzał się samotnym w ostępie bezludnych skał i pustyń. Wynurza swój żal bolesny, swój słuszny gniew i nienawiść ku sprawcom téj niedoli, a ztąd tlejące w sercu uczucie zemsty.

— Lat dziesięć, mówi, znoszę głód i najdotkliwszą nędzę. Lat dziesięć nie zawarły się moje rany. O mój

synu! Atrydowie i Ulis wskazali mnie na takie męki. Oby im bogowie odpłacili moje cierpienia!

Neoptolem wysłuchawszy skarg Filokteta, tłumaczy mu nawzajem swoje. Choć mniéj raniące, miał jednak ciężkie do Greków urazy syn Achilla. Ta wspólność albo raczéj podobność uczuć zbliżyła z łatwością serca dwóch bohaterów, podbiła zaufanie Filokteta. W to właśnie godził Ulisses. Gdzie szło o walny skutek przedsięwzięcia, każdy środek był dlań dobry, byle prowadzący do celu. Dozwolił zatém Neoptolemowi, aby go nie oszczędzał w rozmowie. Więcéj jednak zwracał młody bohater zarzutów przeciw Atrydom.

Dowiaduje się w ciągu téj rozmowy Filoktet o zgonie Achillesa, Nestora, Patrokla. Z żalem przemierza czas spędzony bezczynnie w swém wygnańczém ustroniu—chwile zgubne dla tylu bohaterów.

— Co? tacy mężowie polegli? a Ulis, zapewnie i Tersyt, żyją! O! jakieżto rządy bogów! i my ich mamy chwalić jeszcze?...

Rozpacz i żal wyrzuciły z ust Filokteta te bluźnierstwa. Niemi kończy się owa długa scena, która sama w sobie stanowi jakby całkowity dramat.

Neoptolem, nie wychodząc z przybranéj pozornie roli, udaje, że chce ruszyć już w dalszą podróż. Filoktet zaklina młodego bohatera, aby go z sobą zabrał. Ta prośba uważana być może za arcydzieło traicznéj wymowy u starożytnych. Nie jestto mowa kształconego w szkole retorów krasomówcy, ale słowa prosto z serca płynące, głos nieszczęśliwego, poruszający wszystkie sprężyny uczuć ludzkich.

Z prośbą Filokteta łączy swoje namowy chór, do których w końcu skłania się Neoptolem; a wyraz okazanéj ztąd radości niemniéj tkliwy jest i rozrzewniający, jak poprzednie skargi wygnańca. Filoktet chce pożegnać jeszcze i uczcić te miejsca, które mu od tak dawna użyczały schronienia, a z któremi związało go i spokrewniło niejako długie przywyknienie. Wybawiony już z nieszczęścia, pragnie naostatek użyć jeszcze przerażającego widoku téj okropności, i z własném sercem poigrać.

Wtém chór oznajmia o przybyciu, z jednym z żołnierzy składających straż okrętową, kupca cudzoziemca. Wchodzi (przebrany) kupiec i oświadcza, że płynie z pod Troi, i że spostrzegłszy przypadkiem okręt przy Lemnos, korzysta z sposobności oznajmienia Neoptolemowi o wyprawieniu za nim gońców, pod wodzą Feniksa i syna Tezeusza, aby go sprowadzili do Grecyi. Dodaje, że i Ulisses z synem Tydeusza wysłany jest także po innego bohatera, nazwiskiem Filokteta; bowiem wieszczek Helenos, syn Pryama, oznajmił, że Troja bez niego nie może być wziętą.

Na te słowa z oburzeniem rzecze Filoktet: „O! wolałbym żądło jadowitéj żmii, która mnie ukąsiła, niżeli język bezbożny jego namowy". Zaczém nagli Neoptolema do rychłego odjazdu. „Nie wiele, mówi, mam do zabrania rzeczy: tylko ziele, które na bliznę przykładam, i strzały przekazane mi spuścizną od Herkulesa". Neoptolem pragnie widzieć, dotykać i ucałować ze czcią ten święty zabytek bohatera. Idą obadwaj do groty, a chór wyśpiewuje w tkliwych wyrazach dzieje i przygody nieszczęśliwego Filokteta, porównywając je z mękami Iksyona. „Wszakże Iksyon zawinił przeciw Jowiszowi, a jakież są winy Filokteta? Ani grabieży, ani gwałtu żadnego się nie dopuścił; trzebaż było na takie potępić go cierpienia! Ale już niedola jego blizka końca: wkrótce do ojczystéj ziemi odniesie go nawa Sperchejа".

Po chwili Neoptolem z Filoktetem wychodzą z pieczary i postępują ku brzegowi, gdzie stał okręt z gotowym do odbicia żaglem. Ale kalectwo opóźnia kroki Filokteta; odezwały się bóle w zajątrzonéj ranie. Cierpiący i osłabły ukrywa zrazu swoję boleść, lecz w końcu zmuszony jéj uledz: „Chwilę, rzecze, pozostać muszę, póki nie minie ten napad gwałtowny, który zwykle kończy się snem głębokim. Tobie, szlachetny młodzieńcze, powierzam tymczasem mój łuk i strzały; nie chcę cię, mój synu, zwięzywać przysięgą". Ten czuły zwrot do szlachetności rycerza, ta wspaniała ufność Filokteta, tém trudniejszą czyni rolę i położenie bohatera.

Filoktet po wytrzymanych srogich męczarniach, które na chwilę mieszają jego rozum, zasypia. Wtedy

chór, wyśpiewawszy dobroczynne dary snu i spoczynku, radzi korzystać z sposobności, i albo strzały Herkulesowe, albo śpiącego porwać na okręt Filokteta. Ale pełen godności syn Achillesa nie słucha takiéj namowy. Jakże mu trudno zdradzać dłużéj swojém podejściem męża, dla którego nieszczęścia same i szlachetna ufność wmawiają cześć i wzajemnéj wierności cnotę. Nie zdołałby już dłużéj swoich myśli ukrywać; brzemieniem na sercu cięży mu użyta kłamliwych słów obłuda. Zaraz więc po przebudzeniu się Filokteta przystępuje do niego i z otwartością mówi: „Wieszże, po co naprawdę tu przybyłem? Trzeba, abyś z nami płynął pod Troję i połączył się z Grekami i Atrydami".

— Cóżeśto wyrzekł, synu! (zawoła przerażony Filoktet). Gdzie mój łuk i moje strzały? On milczy—jestem zdradzony!... O brzegi! o skały dzikie téj wyspy! do was obracam moje skargi, bo nie mam tu więcéj komu się użalić, a wy przywykłyście do moich jęków. Któżto, syn Achilla mnie zdradza? porywa mi święte Herkulesa strzały i chce mnie ciągnąć do obozu Greków?... Oddaj mi tę broń, synu! bądź ojcu twemu podobny.. Milczysz?... A więc stało się! przyjmijcie mnie na powrót smutne ustronia! Wracam do was opuszczony, nagi i nieszczęśliwszy jeszcze niż wprzódy; bym umarł w téj jaskini, nie mając już nawet czém ubić zwierza dla posiłku... Lecz nie—ty nie zdajesz się tak bezbożnym; czyjeś popchnęły cię namowy. Oddaj mi moje strzały i płyń w twą drogę. Ach! nie mogę ci jeszcze złorzeczyć, pokąd nie mam przekonania, żeś został przeniewiercą; jeżeli tak jest, obyżeś zginął!"

Neoptolem wzruszony aż do głębi duszy, chwieje się i ledwo już nie skłoni do jego prośby, gdy niespodzianie przybywa Ulisses. Ciekawa to i ważna scena: położenie tego bohatera pomiędzy gniewnym Filoktetem, a zawstydzonym przy swojéj cnocie i czułym Neoptolemem. Poeta nie myślał tu bynajmniéj przywięzywać do niego widzów równą pięknością charakteru; ale charakter Ulissesa, poświęcającego się w swéj chytrości dla dobra kraju, ma także swoję piękność i wzniosłość.

Poznaje Ulissesa Filoktet; uniesiony gniewem i rozpaczą miota się bezprzytomnie na skały i chce życie zakończyć, ale go obecni wstrzymują przychodnie. Wyrzeka zatém gorzkiemi słowy, rzucając klątwy na zdrajców bezbożnych i gwałcicieli. A Ulisses z szyderską obojętnością: „Zostań więc, rzecze, na twojéj Lemnie, bo twoich tylko strzał a nie ciebie nam potrzeba. Potrafi i kto inny łuk napiąć; a chluba, która ciebie czekała, spłynie na Ulissesa".

— Co? ty śmiałbyś (zawoła Filoktet) moją ozdobiony bronią pokazać się Grekom?

— Nie słucham niczego — odpowie Ulisses i odchodzi

Filoktet pozostaje sam, z obecnym tylko chórem Wszystko, czego się najbardziéj mógł obawiać, stało się. Tu tragiczność dochodzi swéj najwyższéj potęgi; ale stan rzeczy tak zasmucający dozwala przenikać w głębi blizką i pogodniejszą przyszłość. Bo jak zwykle wielki mistrz Sofokles w tych dramatach, które mają tragicznie się kończyć, przed ostateczną katastrofą ukazuje jeszcze promień jeden pociechy i nadziei; tak przeciwnie, kiedy zaspokojenie wszystkich życzeń zdaje się już nader blizkie, wydziera na chwilę wszelką nadzieję, wprowadza rozpacz, aby tak zasępiony obraz cudniéj potém wybłysłém światłém pomyślności rozjaśnił.

Neoptolem wzruszony żąda, aby z odjazdem zatrzymano się jeszcze chwilę dla pocieszenia, a gdyby to być mogło, zabrania z sobą Filokteta. Ale on nieukojony w swoim żalu i gniewie, odrzuca wszelkie przełożenia. Aż kiedy oddalających się do okrętu i już wsiadających spostrzega Greków, zwraca ku nim ostatnią prośbę: „Zlitujcież się przynajmniéj nademną: podajcie mi miecz, abym życie sobie odebrał i przeniósł się coprędzéj w cienie Hadesu, kiedy drogiéj ojczyzny mojéj oglądać już nie mogę!"

Wchodzi nakoniec do groty, a za nim wracają niebawem Neoptolem z Ulissem w żwawéj rozmowie. Tu znowu widzimy Sofoklesa w całéj jego wielkości. Neoptolem okazał się już był człowiekiem czułym i roztropnym, ale bynajmniéj jeszcze synem Achillesa. Stawia się niejako w pośrodku między Filoktetem i Odysseuszem.

Potrzeba mu bowiem silniejszéj rezygnacyi, śmielszego czynu, aby jak bohatér wystąpił. Rodzi się w jego duszy żądza naprawienia wszystkiego, co nadwerężało jego szlachetność. Postanawia, mimo opór Ulissesa, wrócić Filoktetowi łup wydarty mu podstępem, i nieszczęśliwego odwieźć do ojczyzny. Tu wydaje się dopiéro ów ogień młodzieńczy, dusza prawdziwego bohatera, syna Achillesowego. Ulisses grozi mu karą, jaka go czeka za to od Greków; zapowiada, że czyn jego ogłosi w obec wojska. Ale groźb i odkazów sprawiedliwy się nie lęka, bo sroższym dla niego jest zarzut własnéj sromoty. Wtedy Ulis porywa się do oręża—Neoptolem staje nawzajem do walki; lecz gdy piérwszy, chytry i szczwany w każdym kroku, działający zwłaszcza z natchnienia bóstwa, dobrowolnie uchyla się z pola, Neoptolem wchodzi do groty i oddaje Filoktetowi jego strzały. Nie zdążył na czas, aby temu przeszkodzić, Ulisses: zapowiedział tylko w imieniu bogów, że przemocą zabierze Filokteta i odwiezie pod Troję. Oburzony syn Paeana wymierzył grot w serce Itaki; lecz porywczą rękę zatrzymał Neoptolem, tusząc raz jeszcze prośbą i namową sprawić to, czego snadniéj podejściem dokazał już był wprzódy Ulisses.

— Nie—odparł stanowczo Filoktet— ty sam nie powinieneś wracać pod Troję, gdzie ci ojca oręż wydarto; należy ci przytém pamiętać na dane mi przyrzeczenie, że mnie na swym okręcie do domu odprowadzisz.

— Dobrze— rzecze młodzieniec—ale zdołaszli zasłonić mnie i ojczyznę moję od mściwéj ręki Atrydów?

—Pociski Herkulesa— odpowie Filoktet— wstrzymają ich zapędy! Wtém zjawia się przed niemi cudownie sam Herkules, z wysokich podwojów Zeusa niosący wyrok nieodzowny, aby Filoktet wrócił do obozu Greków, gdzie uleczony z swojéj rany, zgładzić ma Parysa Trojańczyka i Ilion w gruzach zagrzebać. Bohater wolą bogów zwyciężony poddaje się jéj bez oporu, i spieszy z Grekami do okrętu. Chór podnosi modły do bóstw morzem władnących, o szczęśliwy powrót rycerzy pod Troję.

A tak wszystko kończy się w sposób zaspakajający. Zamiar użycia przemocy stał się już zbytecznym dla Ulissesa; Filoktetem nie chwieje już żadna wątpliwość, a w tém uspokojeniu jego spoczywa zarazem nadzieja, że i żądza zemsty, jaką pałał ku Ulissesowi i Atrydom, złagodzi się z czasem i ostygnie. Płynąć mu nieodzownie pod Troję, kędy go wielkie woła przeznaczenie i nieśmiertelna czeka sława. Sam Ulisses wychodzi z téj całéj czynności usprawiedliwiony. Nie pokazuje on się już na scenie, ale tém lepiéj uzupełnia się jego rola i położenie tak dramatyczne w obec widzów; obraz w poetyczném oddaleniu zdaje się rozciągać poza ramy; a o ile sztukmistrz oszczędził słów i przedstawień, o tyle przydał siły i idealności poezyi.

Jest w całym układzie téj tragedyi zadziwiające misterstwo. Co innego przedmiot z natury prosty, a co innego tak zręcznie przez sztukę utworzony, że najszczęśliwszą wydaje prostotę i naturalność. Filoktet Sofoklesa ma właśnie tę zaletę. Mimo wielkiego zawikłania i urozmaicenia, rzecz rozwija się w sposób łatwy i prostu. Bez tego jednak zawikłania nie byłby dramat tyle zajmujący.

Gdyby Neoptolem, dla skłonienia Filokteta do podróży, zaraz w początku objawił mu był wolą i wyrocznię bogów, nie mógłby ten ostatni, bez popełnienia występku, niezbędnéj opierać się konieczności; a wreszcie jego opór nie byłby godny tak cudownego w końcu rozwiązania. Ale stało się na korzyść dramatu inaczéj. Słyszy Filoktet o tym wyroku wtedy właśnie, gdy nowéj doznał chytrości z strony Ulissesa: nie ufa przeto jego słowom, i mimowolnie odpycha własną pomyślność. Cóż może być bardziéj wzruszającego, co trafniéj pomyślanego nad taką scenę? Odmiana roli Neoptolema i powzięty przez Ulissesa zamiar użycia gwałtu, podnoszą to położenie do najwyższego stopnia tragiczności. Wtedy zjawienie się tylko bóstwa mogło sprawić żądane zaspokojenie.

Sam wprawdzie podstęp wystarczał do zabrania Filokteta i odwiezienia go pod Troję. Mógł Ulisses ukryć się pod zasłonę innéj roli, albo (jak w tragedyi Eurypidesa) przybrać postać bogini; mógł i Neoptolem

dać się użyć za narzędzie podejścia; ale załatwienie w ten sposób trudności (oszukanie podstępne przez zręczną obłudę z jednéj, a prostotę serca i łatwowierność z drugiéj strony) nie byłoby wcale poetyczném, ani mieściłoby w sobie należnéj godności tragicznéj. Sofokles właściwszą wybrał drogę, i sztuka jego w téj mierze jest prawdziwie podziwienia godna.

Zastanawia w tragedyi téj ta wyborna charakterystyka, to piękne przeciwieństwo, w jakiém występują obok siebie trzy główne czynniki dramatu. Filóktet jest osobą prawdziwie tragiczną. Jakkolwiek cierpienia jego zdają się wyższemi nad siły, przecież bohatér opiera się im z stałością; i w téj szlachetnéj walce spoczywa moralny cel tragedyi. Zarzucano Sofoklesowi, że zbyt wiele przywiązał znaczenia do owéj rany i cielesnych bolów Filokteta. Te cierpienia wszakże nie nadwerężają w niczém strony moralnéj, a nadają Filoktetowi charakter więcéj ludzki i w swéj prawdzie do natury zbliżony. Ta jest bowiem główna cecha Sofoklesa, że nie występując nigdy ze sfery człowieczeństwa, w obrazach litość obudzających idealizuje moc i potęgę duszy, któréj żadna przeciwność losu, żadne nieszczęście nie zdołają pokonać ani osłabić. Podniósł on nie mało i przez to poetyczny charakter swojéj sztuki, że Filokteta umieścił na wyspie od ludzi niezamieszkanéj. Ta wygnańcza samotność ma w sobie urok prawdziwie romantyczny, chociaż go niektórzy nie pojmowali krytycy, którym Filoktét wydawał się jakby starożytnym Robinsonem. Eschyl i Eurypides, jak się z pozostałych ułamków ich tragedyj pokazuje, wprowadzili do nich chór Lemnijczyków, przez co znacznie bez wątpienia urok ten osłabili. Zręczniéj daleko Sofokles złożył swój chór z przybyłych współpodróżników Neoptolema; natrafił w tym pomyśle na źródło obfite poezyi; znalazł nadto ogniwo silniejszego powiązania rzeczy w spółczuciu, jakie chór, nie wiedzący o podstępie Ulissesa, okazał z początku dla Filokteta.

Ulisses w swym charakterze, zupełnie homerycznym, nie jest także bez estetycznéj piękności. Cel wzniosły poświęcenia się dla kraju zasłania dowolność użytych ku niemu środków. Piérwszy polegał na podejściu,

które gdy niedojrzałe w szlachetnym umyśle Neoptolema, użyty w jego miejsce środek przemocy ma za sobą wyższą potęgę moralną, wyrok nieodzowny bogów; Odysseusz wypełnia go *jak wierny sługa Jowiszowy*, tak, iż z całéj sprawy wychodzi w końcu usprawiedliwiony.

Neoptolem przedstawia najpiękniejszy ideał bohatera, pełnego rezygnacyi i wspaniałych uczuć ludzkości; a jako czynnik dramatu tém godniejszy jest uwagi, że rola jego użyta jedynie pomocnicza, stała się najważniejszą i do przeprowadzenia rzeczy prawie konieczną.

Genialnym wreszcie jest pomysł Sofoklesa w rozwiązaniu cudownem tych trudności, jakie z jednéj strony niezłomny charakter Filokteta, z drugiéj czułość i szlachetność Neoptolema, z innéj jeszcze zawiedziona w swoich celach podstępność Ulissesa, w nierozwity uwikłała węzeł. Niezbędném było to zjawienie się bóstwa, którego nie można tu uważać za niewłaściwą i powszednią u wielu tragików, do rozwiązania zawiłości używaną sprężynę *(deus ex machina)*. Herkules nie jest osobą obcą téj sztuce: jestto dawny towarzysz, przyjaciel i spadkodawca Filokteta; ciągle tu mowa o nim i jego strzałach. Nie przynosi z sobą żadnéj nowéj i stanowczéj rady; przekonywa tylko o tém Filokteta, czemu on nie dawał wiary. Ztąd upada zarzut czyniony Sofoklesowi, jakoby rozwiązanie téj tragedyi nie było podobném do prawdy. Wreszcie, wprowadzenie tego rodzaju cudowności podwyższa charakter bohatera, który żadną nie poruszony groźbą ani namową, ulega dopiéro powadze i nakazom pół-boga. Zdaje się, że Horacy miał Filokteta na myśli, kiedy znane owo kreślił prawidło dramatycznym pisarzom: *Nec deus intersit, nisi dignus vindice nodus.*

Châteaubrun u Francuzów napisał téj saméj osnowy tragedyą, którą wielbiciele jego kładli na równi z dziełem Sofoklesa. Sąd ten wydaje słabość ówczesnéj krytyki. Przeistoczył Châteaubrun według wzorów szkoły francuzkiéj treść i układ dramatu. Filoktet jego raniony jest strzałą zatrutą przez jednego z rycerzy trojańskich; co samo przez się odejmuje przygodzie bohatera ten poetyczny urok, jaki nadawała cudowność jego bliznie i odnawiającym się przez lat dziesięć cierpieniom—tu tak na-

turalnym i wielkiego znaczenia, tam obojętnym, a nawet niepodobnym do prawdy. Na wyspie wygnańczéj Filoktet ma obok siebie córkę i mamkę, z których piérwsza obudza miłość w Neoptolemie, tak, iż ten zapominając swojéj roli, przemienia się romansowo w kochanka, nie już sprawie greckiéj, ale własnéj posługującego namiętności. Ulisses więcéj tu mówi niż działa; a ów niezgięty żadną siłą Filoktet ustępuje dorazu jego namowie. La Harpe przerobił Filokteta w swém tłumaczeniu, stosując go także do sceny francuzkiéj, dla któréj wyrzucił chóry i pozmieniał sceny według opisów Fenelona, ale osłabił raczéj i upośledził arcydzieło greckiego mistrza.

KRÓTKA WIADOMOŚĆ

o ostatniéj zmianie w procedurze cywilnéj francuzkiéj, wprowadzonéj we Francyi przez prawo z d. 21 maja 1858 r., modyfikujące artykuły 692, 696, 717, 779 i 838 k. p. s. c. (*).

PRZEZ

Władysława Holewińskiego.

Prawodawstwo cywilne francuzkie składa się jak każde inne podobne prawodawstwo, z dwóch głównych części, tojest: z Kodeksu Napoleona i Kodeksu Procedury Cywilnéj. Kodeks Napoleona obejmuje wykład zasad sprawiedliwości cywilnéj i jest niejako teoryą prawa obowiązującego; procedura zaś czyli Kodeks Postępowania Sądowego Cywilnego jest wprowadzeniem jéj w użycie,

(*) Redakcya otrzymała przed niejakim czasem pismo młodego prawnika, które w znacznéj części poniżéj umieszcza; zmiany niektóre w wysłowieniach pozwoliła sobie w piśmie tém dopełnić, żeby je przystępniejszém uczynić i żeby, obok trafnego poglądu autora na niedostatki praw obowiązujących, oszczędzić mu zarzutów co do formy, któreby może nie były zasłużone obok nieobeznania się jeszcze jego z przyjętą w praktyce terminologią. Pozwoliła sobie także redakcya pominąć dwa ustępy z nadesłanego pisma, dla nas mniéj zajmujące, bo dotyczące stanu rzeczy we Francyi tylko istniejącego, obok doskonalszego u nas porządku hypotecznego nie mogące mieć zastosowania do naszego kraju. Spodziewa się redakcya, że sprawiedliwe ocenienie prawéj dążności i pożytecznéj pracy autora zachęci go do dalszych na téj drodze usiłowań.

jest mechanizmem, za pośrednictwem którego ta teorya zastosowywa się do życia praktycznego.

Pierwszy, jako obejmujący w sobie główne zasady stosunków cywilnych, wypływające z naturalnego porządku rzeczy, ma w sobie coś odwiecznego, stałego i mógłby być uważany niejako za niezmienny, gdyby zarazem nie był odbiciem czasu, w którym został utworzony i tych okoliczności społecznych i politycznych, od których wpływu i najwięcéj niezawisły prawodawca uchronić się nie może.

Drugi, jako obejmujący zbiór form sądowych przy zastosowaniu prawa do życia praktycznego, ulega zmianom jak samo życie, i skutkiem właściwéj swojemu mechanizmowi natury, w któréj zasada ruchu przeważa nad pierwiastkiem stałym, górującym w Kodeksie cywilnym, może się ciągle więcéj wyrabiać, rozwijać i kształcić podług okoliczności czasu i miejsca. Historya prawodawstwa przekonywa o rzeczywistości tak odmiennego charakteru prawa cywilnego i procedury.

Z tego wychodząc stanowiska, żeby zwrócić uwagę na uznaną potrzebę ulepszeń w procedurze cywilnéj francuzkiéj, która dotąd w kraju naszym jest prawem obowiązującém—zamierzyliśmy skreślić niektóre zmiany, jakie we Francyi w ostatnich czasach wprowadzone zostały do téjże procedury.

Nie można zapewne Kodeksowi Procedury Cywilnéj odmówić znakomitéj zasługi, ani zaprzeczać mądrości i udatności wielu jego form, mających na celu zabezpieczenie praw; w porównaniu jednak z Procedurą kryminalną francuzką jest on niższym od téj ostatniéj tak co do treści wewnętrznéj jako i co do pełności. Już przez to, że nie objął w sobie organizacyi sądownictwa cywilnego, do któréj ma się stosować, wyrodziło się wiele wątpliwości. Bo téż trudne było rzeczywiście zadanie pierwszych redaktorów w r. 1806 (1).

Postawieni między nadzwyczaj złożoną maszyneryą przedrewolucyjnéj praktyki sądowéj a utopijną prostotą proceduralnych przepisów konwencyi, mieli oni

(1) Berthereau, Pigeau, Seguier, Treilhard i Try.

wprowadzić do swéj pracy coś z każdego z tych różnorodnych żywiołów. Oczywiście osobiste ich usposobienia musiały przeważnie wpływać na danie jednemu z nich pierwszeństwa.

Jakoż prawnicy praktyczni do dawnego porządku rzeczy nawykli, stworzyli dzieło trochę za stare na wiek XIX, trochę za powolne na przyspieszony bieg życia naszéj epoki.

Zbyt przelotny rozbiór projektu w radzie stanu i trybunacie nie mógł go należycie poprawić; nieme zaś ciało prawodawcze mogąc tylko przyjąć lub odrzucić, głosowało za projektem, chcąc raz wyprowadzić z chaosu postępowanie sądowe.

Wkrótce téż po uskutecznieniu kondyfikacyi podniosło się wiele wymownych głosów wołających o uproszczenie procedury cywilnéj.

Z każdym rokiem wołania te stały się głośniejszemi, a głosy dość energiczne ozwały się nawet z łona magistratury sądowéj (1).

Przed r. 1789 proces był często zajęciem znacznéj części życia, dlań przepędzano całe lato w miastach parlamentowych; wówczas proces był pewnym rodzajem nawyknienia, dziś jest przykrym wypadkiem w życiu człowieka. Epoka kolei żelaznych domaga się we wszystkiém szybkości; wymiar sprawiedliwości karnéj i handlowéj jest prosty i pospieszny; wtenczas kiedy formalności i przewlekłości procedury cywilnéj niecierpliwią obecne pokolenie.

Sprawiedliwe te wołania musiały zwrócić uwagę władzy prawodawczéj i przyspieszyć pewne zmiany, szczególniéj dziś niezbędne, zanim będzie dokonane całkowite przekształcenie Kodeksu postępowania sądowego cywilnego.

Największą może potrzebą dzisiejszego życia jest kredyt: te więc przepisy proceduralne, które takowy zabezpieczają, musiały stanąć na pierwszym planie i pier-

(1) Réformes désirables dans la procédure civile par M. le président Chardon 1837 r.

wsze roztrząśnieniu poddane zostały. Jeszcze w r. 1841 zmieniony został cały tytuł dwunasty i trzynasty cz. I ks. V przymusowéj przedaży nieruchomości dotyczące, kilka innych zmieniono częściowo, w roku zaś 1842 cały tytuł dziesiąty téjże części i księgi. Poprawki te nie były jednak wystarczające, uzupełniło je prawo z dnia 21 maja 1858 r. zmieniające niektóre przepisy o wezwaniu wierzycieli, obwieszczeniach, a głównie o uporządkowaniu czyli klassyfikacyi wierzycieli w celu zapobieżenia niedogodnościom z tajnych hypotek dotąd we Francyi istniejących i przyspieszenia wierzycielom odzyskania ich własności, słowem w widoku podniesienia kredytu nieruchomego.

Prawda, że kredyt rzeczowo-nieruchomy opiera się głównie na prawie hypoteczném, lecz i procedura znakomity nań wpływ wywiera. Hypoteka daje wierzycielowi pewność kapitału; taka jak nasza uświęcając bezwzględnie zasady jawności i specyalności daje zupełną rękojmię każdemu trzeciemu wchodzącemu w czynność z jawnym z hypoteki właścicielem lub wierzycielem, a ztąd jest silną podstawą kredytu nieruchomego. Hypoteka francuzka ważąc interes kredytu z interesem osób, któremi prawo szczególniéj się opiekuje, jak żona i nieletni, i nie mogąc przeciąć kollizyi, w jakiéj się te dwa interesa znajdują, jest mniéj przyjazną kredytowi pod względem pewności kapitału zabezpieczonego na nieruchomości.

Lecz kredyt oprócz pewności kapitału ma inny niemniéj ważny czynnik, zwłaszcza w kraju, gdzie ruch pieniężny jest silnie rozwinięty; tym czynnikiem jest pewność odebrania kapitału w czasie umówionym a przynajmniéj w blizkiéj jego epoce. Z téjto strony procedura przychodzi w pomoc kredytowi i takowy rozwija.

Liczby statystyczne są najwymowniejszém poparciem, ile zależy kredytowi na szybkości postępowania sądowego w przedmiocie *zajęcia nieruchomości*, a następnie rozdzielenia jéj ceny, tojest ułożenia listy porządkowéj wierzytelności hypotecznych czyli tak zwanego uporządkowania (klassyfikacyi) (l'ordre).

Wedle urzędowych obliczeń wykazano, iż na 228,706 sprzedaży sądowych, uskutecznionych w ciągu lat dwu-

nastu (1841—1853) otwarto 118,706 klassyfikacyj, z których jedna czwarta niespełna, nie przedstawiająca żadnych trudności, została ukończona zaledwie w sześć miesięcy od chwili otwarcia klassyfikacyi, jedna trzecia w ciągu roku, jedna czwarta w lat dwa, jedna siódma już po dwu latach, inne zaś trwały pięć, sześć, siedm i nawet dziesięć lat.

To też z końcem 1851 r. liczba kapitałów uwięzionych przez prowadzące się klassyfikacye doszła 162,000,000 franków.

Widoczna zatém, że podobny stan rzeczy, obok nieuniknionych szkód dla stron wprost interesowanych: jak nabywca, sprzedawca i wierzyciel, obok uszczerbku rzeczy publicznéj, któréj tak wiele zależy na swobodném krążeniu kapitałów, naraża także i kredyt nieruchomy. Co więcéj, ta przewlekłość procedury oprócz oddalenia terminu wypłaty zmniejsza także bezpieczeństwo hypoteczne przez nagromadzenie procentów i kosztów sądowych. Same koszta przedaży sądowéj w skutek zajęcia nieruchomości, obliczone w stosunku całéj massy ich zbiorowéj ceny, przedstawiają we Francyi średnią liczbę 6% procentu. Lecz inny jest ich stosunek do ceny szczegółowych nieruchomości. I tak, w przedażach nieruchomości, niewartujących 500 franków, koszta wynoszą niekiedy 112%, tojest przenoszą wartość nieruchomości; tymczasem nieruchomości wartujące więcéj jak 100,000 franków ponoszą kosztów zaledwie 1%.

Niesprawiedliwość ta sama przez się oburzająca, jest prawdziwą klęską dla kraju, w którym własność ziemska jest nadzwyczaj rozdrobniona. Obecnie we Francyi na 53 niespełna milionach hektarów (1) ziemi, stanowiących całkowitą jéj przestrzeń i bez potrącenia znacznéj części będącéj własnością ogółu lub rządu, jest ośm milionów posiadaczy, z których każdy niemal posiada jeszcze kilka oddzielnych majątków, stanowiących same w sobie zupełną całość.

Drobna własność jest tu prawidłem, wielka wyjątkiem.

(1) Hektar = 1,9 morga.

Na 20,000 sprzedaży sądowych dokonanych w r. 1855 było 1,640, których pojedynczo cena nie przenosiła 500 franków, 2,023 wartości od 500 do 1,000, 5,546 od 2,000—5,000 fr. Wziąwszy zatém 5,000 franków jako granicę drobnéj od większéj własności, pierwsza do drugiéj będzie w stosunku 13 do 7. Że zaś koszta każdéj sprzedaży sądowéj w skutek zajęcia nieruchomości najoszczędniéj średnio wzięte wynoszą 478 fr., oczywista więc jak smutny musi być stan kredytu małych nieruchomości, jak urojone jest częstokroć bezpieczeństwo rzeczowe.

Prawodawstwo proceduralne kierując się tak ważnym interesem, jakim jest rozwój gospodarstwa krajowego ziemskiego, chcąc mu ze swéj strony przyjść w pomoc, podnosząc kredyt nieruchomy, nie ma innych do tego środków, jak uproszczenie swego mechanizmu, wprowadzając doń pośpiech, a zatém i wszelkie możebne umniejszenie kosztów.

Pośpiech w zajęciu nieruchomości i spłaceniu jéj wierzycieli ma dwie ogólne korzyści: raz, że ułatwia obieg kapitałów; powtóre, że zapobiega odstręczeniu się takowych od rolnictwa, co jest rzeczą nadzwyczaj ważną w obecnym czasie, gdy kredyt przemysłowo-handlowy powabem wielkich zysków pociąga do siebie i współzawodniczy z kredytem ziemskim. Prawda, że ten ostatni ma właściwe i odrębne źródło w kapitałach małych, zebranych oszczędnością, których właściciele, więcéj oględni szukają raczéj pewności niż wielkiego zysku; aleć trzeba wziąć na uwagę, że już w razie zajęcia nieruchomości, ta pewność zmniejsza się, że zajęcie takie jest niejako stanem niewypłacalności pod względem nieruchomości, jest tém dla kredytu rzeczowego, czém dla przemysłowego upadłość. I jakkolwiek porównanie strat w dwóch tych razach wypada jeszcze we Francyi na korzyść pierwszego, gdyż statystyka świadczy, iż na zajęciach nieruchomości wierzyciele tracą średnio 40%, na upadłościach zaś 62%; różnica wszelakoż 22% może być niedostateczną równoważnią ze znakomitemi zyskami, jakie przedstawia przemysł, ową różnicę często przewyższającemi.

Przejdźmy do przepisów w tym względzie nowego prawa francuzkiego z d. 21 maja 1858 r. Rozpada się ono na dwie główne części tak pod względem treści jak i kodexowego rozkładu: piérwsza obejmuje artykuły 692, 696, 717 i 838 modyfikowane już na dniu 2 czerwca 1841; druga artykuły 749—779 czyli cały tytuł 14 księgi Vtéj części I. Zmiany wprowadzone w artykułach 692, 696 i 838 dotyczą niemal wyłącznie hypoteki prawnéj, tak silnie interesowanéj w chwili zajęcia nieruchomości, na któréj jest opartą: są to kłopoty proceduralne, obce naszemu systematowi hypotecznemu (1).

Za sprzedażą nieruchomości, obciążonéj hypotecznemi należnościami, idzie bezpośrednio rozdzielenie otrzymanéj ceny.

Czynność ta należy wyłącznie do dziedziny procedury i jest jedném z najtrudniejszych oraz najważniejszych jéj zadań; musi ona łączyć oszczędność i pośpiech z dostateczną rękojmią dla praw osób do tego rozdzielenia wchodzących. Trzy te warunki, warunki, pod któremi jedynie mechanizm preceduralny, zwany uporządkowaniem (klassyfikacyą) może znaleźć obywatelstwo w nauce prawa, tak wysoko racyonalnéj—są prostym wypływem, są koniecznem, logicznem następstwem tych uwag, jakieśmy wyżéj w tym przedmiocie po krótce starali się przedstawić.

Zauważymy tu jeszcze, chociażby nam przyszło się powtarzać, że większa lub mniejsza doskonałość prawa hypotecznego nie tyle może wpływa na kredyt nieruchomy, ile dobry lub zły mechanizm postępowania sądowego w rzeczy zajęcia nieruchomości i klassyfikacyi. Żaden kraj nie cieszy się więcéj sprzyjającym kredytowi nieruchomemu systemem hypotecznym, jak królestwo Polskie, tak pod względem zasad jak i części technicznéj, tojest układu i prowadzenia ksiąg hypotecznych. I jeżeliby można zrobić jakie zarzuty naszéj hypotece, to chyba ze strony wprost przeciwnéj: że może zanadto zaniedbuje osoby niezdolne, że uwiecznia wpisy: słowem, że zbyt wy-

(1) Tu autor wyjaśnia pokrótce, na czém polegają te zmiany, które jako dla nas mniéj zajmujące pomijamy.

łącznie ma na widoku kredyt nieruchomy. Mimo to, jakież jest położenie tego kredytu, tak silnie protegowanego? czyliż rozwinął się on do tego stopnia, iż nic dlań nie pozostaje do zrobienia? Odpowiedź na to dość trudna, nie podobna nawet o ile ma być ściśle dokładną, a to dla braku statystycznych danych; można jednak z pewnością twierdzić, że rzczywisty średni procent od pożyczek hypotecznych o wiele przechodzi u nas stopę prawną. Bez wątpienia wysokość procentu zawisła także od stosunku ilości kapitałów do ich potrzeby, lecz większa lub mniejsza rękojmia odebrania ich w terminie wpływa nań przeważnie.

To pewna, że na jednę i tęż samę nieruchomość, na jednę i tęż samę pozycyą hypoteczną dwóch różnych właścicieli zaciągnie pożyczkę z różnym procentem; przyczyną tego jest stopień ufności osobistéj, co wskazuje, że kredyt nieruchomy wiąże się z osobistym.

Kapitalista, przy umieszczeniu swego mienia na nieruchomości, zwraca jeszcze uwagę na osobę posiadającą takową, oblicza środki wypłacalności właściciela, jego działalność, jego rzetelność, słowem jego stronę moralną. Ztąd téż prawdopodobieństwo zmiany właściciela, przed terminem wypłaty, wchodzi także do kombinacyi pożyczającego. Co jest tego przyczyną? Odpowiedź prosta: niesłychana przewlekłość subhastacyi i klassyfikacyi. Wierzyciel wié, że od chwili, gdy rzecz sama niejako pozostanie jego dłużnikiem, będzie musiał ponieść wiele trudności, zmitrężyć wiele czasu, nim z niéj wydobędzie swoję należność.

Dotykalnym dowodem w téj mierze jest ten fakt niewątpliwy, że gdy za pośrednictwem towarzystwa kredytowego ziemskiego, używającego przywileju wyjątkowych a nader pospiesznych środków egzekucyjnych, nieruchomość otrzymuje pożyczkę za 41 6% (biorąc za podstawę kurs średni w ostatnich czasach 96 za sto), jest zupełném niepodobieństwem otrzymać takową pod takiemi warunkami bezpośrednio, chociażby i na piérwszy numer hypoteki.

Widoczna zatém, że i przy całéj doskonałości naszéj instytucyi hypotecznéj, która będąc kamieniem węgiel-

nym towarzystwa kredytowego ziemskiego zajmie zaszczytne miejsce w dziejach naszego kraju i zdobędzie prawo do wdzięczności późniejszych pokoleń, kredyt nieruchomy czeka jeszcze poparcia ze strony procedury. Zmiany więc prawodawstwa francuzkiego w tym przedmiocie nie mogą być obojętne dla nas, tém bardziéj, że kraj nasz cieszy się już półwiekową opieką prawodawstwa cywilnego, najracyonalniejszego może ze wszystkich znanych prawodawstw, a raczéj wzór dla wszystkich innych stanowiącego, które u nas w tych częściach, jakie miały za podstawę polityczne położenie Francyi, już dawno odpowiednim uległo zmianom.

Prawo z dnia 21 maja 1858 r., przekształciło całkowicie postępowanie sądowe w materyi uporządkowania szacunku, co stawia nas w możności dania systematycznego opisu nowego téj materyi urządzenia.

Tu autor przebiega formy, jakie prawo z d. 21 maja 1858 r. oznacza, tak dla uporządkowania zwyczajnego jak dla uporządkowania wyjątkowego, oraz przepisy dodatkowe w témże prawie objęte. Szczegóły, jakie dokładnie opisuje, jako naszemu krajowi obce i z systematem hypotek we Francyi istniejącym powiązane, uznaliśmy za właściwe pominąć, przytaczając jedynie dla wiadomości czytelników główne zmiany, jakie w stosunku prawa dotąd u nas obowiązującego są wprowadzone.

Treść tych przepisów jest następująca:

1. Do klassyfikacyi ma być przeznaczony w każdym trybunale sędzia specyalny.

2. Wyrok stanowczego przysądzenia ma być, pod zagrożeniem relicytacyi, wniesiony do hypoteki w ciągu dni 45 od jego daty, a jeżeli popierający przedaż, w ciągu dni ośmiu po wniesieniu, nie zażąda otwarcia uporządkowania, żądanie o to może wnieść późniejszy wierzyciel.

3. Sędzia wzywa przedewszystkiém wszystkich interesowanych na termin oznaczony, celem probowania zgodnego rozdzielenia szacunku; wezwania za rewersem pocztowym rozsyła—nie stawający w terminie ponosi karę 25 franków.

4. Jeżeli w ciągu miesiąca zgoda nie nastąpi, sędzia wzywa wierzycieli przez woźnych, aby prawa swe w ciągu dni 40 produkowali, pod prekluzyą.

5. Po upływie tego czasu, plan uporządkowania przygotować winien w ciągu dni 20tu.

6. W ciągu dni 10 po sporządzeniu planu wierzyciele mają być o nim zawiadomieni.

7. Spór przeciw planowi w ciągu dni 30tu od zawiadomienia oświadczyć winni.

8. W 15 dni po upływie tego terminu plan ma być zamknięty.

9. W 3 dni po zamknięciu planu nowe zawiadomienia mają być doręczone i wolno w ciągu dni ośmiu oświadczyć oppozycyą przeciw zamknięciu planu.

10. W ciągu dni 10 po upływie terminu od opozycyi, pisarz wydaje popierającemu wyciąg decyzyi delegowanego, w skutku którego wpisy spadłe wykreślają się, a wierzycielom użytecznie umieszczonym, wydają się wyciągi umieszczenia z mocą wykonawczą.

11. Wyrok zapadły co do sporów, jakieby zaszły w drodze uporządkowania, nie ulega opozycyi; termin do appellacyi jest skrócony; appellacya nie służy, jeżeli summa sporna 1500 franków nie przenosi.

12. Uporządkowanie wyjątkowe, które ma miejsce gdy nie ma czterech przynajmniéj wierzycieli hypotecznych, po bezskutecznéj probie pojednania, dopełnia sam trybunał w drodze summarycznego postępowania.

13. Nabywca, złożywszy cenę do depozytu, może po upływie terminu do dobrowolnéj zgody naznaczonego i po upływie dni 8 od terminu do produkcyi wyznaczonego, żądać przeciw wierzycielom uznania ważności składu i wykryślenia wszystkich wpisów. Sędzia po upływie dni 15 może uznać skład za ważny i wykreślenie postanowić, co biegu dalszéj klassyfikacyi nie tamuje.

14. Relicytacya w ciągu uporządkowania nastąpiona nie czyni koniecznem nowego uporządkowania, lecz sędzia modyfikuje uporządkowanie stosownie do wypadku relicytacyi. Pismo swe autor zakończa w sposób następujący.

Taka jest treść nowego prawa francuzkiego o uporządkowaniu.

Na pierwszy zaraz rzut oka daje się widzieć cel, jaki sobie ono założyło: usunięcie téj głównéj wady dotychczasowego systematu, który naznaczając pewne termina oznacza ich bieg od chwili dopełnienia formalności, nie mających ściśle określonéj epoki, który pozostawia niemal wyłącznie bieg postępowania klassyfikacyjnego popierającemu obrońcy, wolnemu od wszelkiego wpływu sędziego kierującego postępowaniem. Dziś niedbały obrońca będzie usunięty od pobierania przez decyzyą sędziego; sam zaś sędzia poddany jest pod kontrollę, któréj skutki mogą być nader zbawienne.

Najważniejszém jednak ulepszeniem jest bezwątpienia przedwstępne usiłowanie zgodnego ułożenia się wierzycieli, nie już niezależnie od władzy sądowéj jak to było dotąd, ale przy pośrednictwie członka trybunału, którego światło i bezinteresowna gorliwość dają wszelką rękojmię osiągnięcia pożądanego skutku. Kodeks postępowania sądowego dawał zawsze miesiąc czasu na porozumienie się wierzycieli między sobą co do rozdzielenia ceny, lecz nie naznaczał im miejsca zebrania, ani wkładał na nich obowiązku zebrania się rzeczywistego; to też każdy wierzyciel siedział cicho, oczekując wyjścia terminu, by zacząć postępowanie sądowe: była to więc istna strata czasu. Obecnie wierzyciele są zawezwani osobiście i poszczególnie do stawienia się w oznaczoném miejscu, a to pod karą 25 franków.

Jeżeli dobrowolne ułożenie się wierzycieli mało jest i dzisiaj możebném, w razie gdy wielkie summy mają być rozdzielane, jest ono pewne niemal, tam, gdzie cała cena nieruchomości jest tak mała, że same koszta postępowania sądowego mogą ją w znacznéj części wyczerpać; gdy bowiem statystyka świadczy, że przy dotychczasowym systemacie proceduralnym spory nie miały miejsca jak w jedném uporządkowaniu na cztery, można się spodziewać, że ten sam powód, który do dziś dnia wstrzymywał od sporów, zachęci do zgody przy wdaniu się sędziego za rzeczywistém zebraniem się wierzycieli.

Prawodawstwo belgijskie i sardyńskie, uprzednio już zreformowane w tym duchu, nader świetne wywołały skutki. Według urzędowych wykazów, w Belgii było na 203 uporządkowań 70 ukończonych polubownie, tojest przeszło jedna trzecia; w Sardynii w r. 1856 na 1039 uporządkowań było 432 ukończonych drogą zgody, a w r. 1857, 396, na 1077. Doświadczenie pokaże o ile francuzki prawodawca będzie szczęśliwy w osiągnięciu rezultatów; jakie sobie założył w reformie nacechowanéj mądrością i umiarkowanym postępem.

PRZEGLĄD KRYTYCZNY ROZPORZĄDZEŃ TAK ZWANEGO

STATUTU WIŚLICKIEGO

PODŁUG PRZEDMIOTÓW UŁOŻONY, Z UWZGLĘDNIENIEM POPRAWNEJ WERSYI W DZIELE PANA Z. A. HELCLA PODANEJ I Z OCENIENIEM ZDOBYCZY NAUKOWYCH PRZEZ JEGO BADANIA OSIĄGNIĘTYCH.

NAPISAŁ

Alexander hr. *Stadnicki.*

(Ciąg dalszy).

CZĘŚĆ III.

Prawodawstwo cywilne.

ROZDZIAŁ VIII.

Nie będzie odrzeczy, powtórzyć czytelnikom naszym następujące objaśnienie udzielone już w wstępnym artykule:

Popierwsze: Cyframi rzymskiemi odznaczone wyłącznie artykuły Wulgaty (t. j. głównego Zwodu tak zwanych uchwał wiślickich): która się w znanem dziele Bandtkiego *Jus polonicum* na str. 24—125 mieści. Po Wulgacie następuje w tém dziele (str. 126—142) tak zwany kodex B. IV, a po nim statut piotrkowski (str. 143—153). Liczby porządkowe tego statutu wypisujemy literami.

Podrugie: Statuta warteńskie często przez nas powoływane zawarte są w str. 201—220 tego samego dzieła Bandtkiego.

Potrzecie: Teksta polskie Statutów wiślickich przez nas przytaczane zawarte są w dziele Lelewela; *Historyczne pomniki języka i uchwał polskich.*

Małopolskie statuta poczynają się od 9, wielkopolskie od 76ej strony. Cytujemy pojedyncze ich artykuły podług liczby porządkowéj tekstu z r. 1449 nawet i wtenczas, kiedy tylko tekst z r. 1503 rozbieramy.

Poczwarte: Cyframi arabskiemi oznaczamy artykuły w Zwodzie głównym p. Helcla umieszczone, nie bacząc bynajmniéj na Nr. porządkowy, które w pojedyńczych przez niego ułożonych czterech statutach zajmują. Zawód ten główny zawarty jest w str. 44—172 dzieła p. Helcla.

Po nim następują rzeczone z niego wydzielone statuta w następującym porządku. Pierwszy, dawny małopolski z r. 1347, którego za przykładem p. Helcla także starowiślickim zwiemy. Drugi piotrkowski czyli wielkopolski, prawie równoczesny. *Trzeci* t. j. drugi małopolski między r. 1354, a 1368 wydany. Czwarty tak Małopolskę jak Wielkopolskę obowiązujący z r. 1368.

SPADKI.

Jedna z najważniejszych, ale bez wątpienia najtrudniejsza z materyi Statutem wiślickim objętych. Nie dość, że artykuły o spadkach traktujące zdają się być tylko rozwojem dawniejszego jakiegoś zwyczajowego lub pomocniczego prawodawstwa, że nie określiwszy znaczenia prawnego posagu, oprawy, paraferny, o nich jako o rzeczach powszechnie wiadomych mówią; nie dość, że rozporządzenia małopolskie od wielkopolskich tu z wielką tylko trudnością rozróżnić się dają, ale nawet pojedyncze artykuły są tak zawiłe, stylizacya ich w rozmaitych kodeksach tak jest odmienna, iż nawet z pomocą późniejszych praw trudno osnowę pojedynczych artykułów odgadnąć. Weźmy zaraz piérwszy z porządku w Wulgacie Bandtkiego.

Art. LXXXIII (1): „Gwoli powszechnego w królestwie zachowywanego zwyczaju, odbierali synowie po śmierci matki od ojca połowę całego majątku, jako część matczyną" (ex communi usu extitit observatum, quod moriente matre, pueri omnium bonorum ipsorum tollunt medietatem proportione et haereditate materna) „co często ten skutek za sobą pociągało,

(1) Hel. art. 79 Zw. gł. zupełnie odmienny tak w drugim, jak ostatnim ustępie. Drugi powyżéj cytowany ustęp zastępuje następującym: *et amodo, propter ingratitudinem factam patri, patrem non succurere filiis ad inopiam vergentibus, et sic ex tali divisione pars utraque sertis incomodum et reportat.* W trzecim ustępie zaś pisze: *filii non petant bonorum obvenientium ex linea paterna*, zamiast *non petant bonorum et haereditatis maternae devolutae portionem et successionem a patre.*

iż synowie w młodocianym wieku nie umiejąc zarządzić swym majątkiem, odebrany spadek roztrwaniali a nietylko ojcu niewdzięcznemi się okazywali, ale w ubóstwo go wpędzali" (patri denique de pietate et beneficiis ingratitudinem exhibentes impellunt plerumque etiam eundem vergere ad inopiam, sicque vicisse sentiunt incommoda et jacturas). Słuszném się dlatego nam i naszym rycerzom wydawało, ażeby odtąd po śmierci matki synowie spadku po niéj, t. j. części jéj majątkowi odpowiedniéj dopiéro wtenczas się domagali, gdy ojciec drugi ślub zawiera, ten jeden przypadek wyjąwszy, że, nie pomny na swą dobrą sławę, wspólny majątek" (illas haereditates communes) „trwoni".

Tak stylizowany artykuł przypuszcza wspólność majątkową między małżonkami. Dowodzą to nietylko w ostatnim ustępie słowa: *haereditates illas communes*, ale i zaraz pierwszy ustęp ów, który o dawniejszém prawie zwyczajowym mówi, bo jakiémże prawem, pytamy, odbieraliby synowie ojcu *z tytułu spadku macierzyńskiego* połowę wszystkich dóbr, gdyby majątek macierzyński nie zlał się był z ojcowskim.

Lecz od téj wersyi Bandtkiego odstępują prawie wszystkie inne. Niektóre z kodeksów przez niego samego przytoczonych piszą zaraz w pierwszym ustępie *portionem* zamiast *haereditatem*, co już do macierzyńskiego *majątku* się ograniczać i wspólność majątkową wykluczać się zdaje. Znowu inaczéj podaje treść tego artykułu kodeks B. IV (Bandt. str. 139), za którym poszedł p. Helcel i który dosłownie przełożył Świętosław z Woc. w art. 66 statutów małopolskich. Zgodny z wersyą Bandtkiego w pierwszym i ostatnim ustępie, t. j. tak w owym, który dawniejszy zwyczaj skreśla jak w ostatnim, który posiadłości ojcowskie i matczyne wspólnym majątkiem zowie, zabrania w głównym ustępie synom domagania się po śmierci matki jakiéjbądź części dóbr z *linii ojcowskiéj* pochodzących. Zdaje się przeto przypuszczać, że im się zawsze sam majątek macierzyński po śmierci matki należy.

Tekst polski z r. 1503 przyznawszy w pierwszéj połowie artykułu, iż podług zwyczajowego prawa synowie połowę majątku *ojczystego* po śmierci matki zabierają, zabrania im w drugiéj połowie domagania się jakiéjbądź części od ojca, „wyjąwszy to, iżby ojciec inszą żonę chciał pojąć, albo też gdyby mamie

imienie (matczyny majątek) utracić chciał, tedy dzieciom z ojcem służy dział uczynić". Odmawia więc ta wersya synom nawet wydania wniosku macierzyńskiego przed nastąpieniem warunków uchwałą wiślicką oznaczonych.

Któraż z tych wersyj jestże prawdziwą? Jestto kwestya nie małéj wagi. Idzie nietylko o to, czy zwyczajowe prawo przed uchwałą wiślicką istniejące uświęcało niejako wspólność majątkową między małżonkami i przyznawało po śmierci matki synom prawo do połowy wszystkich wspólnych posiadłości w ręku ojca pozostałych; ale idzie więcéj o to, czy uchwała wiślicka oznaczyła tylko warunki, od których istnienia wykonanie rzeczonego prawa na przyszłość zależéć ma, czy téż ograniczając rzeczone prawo synów do połowy dóbr *ojczystych* pozwalała im zabierać na każdy przypadek po śmierci matki *własny jéj* majątek. Idzie daléj o to, czy w drugiém tém przypuszczeniu do majątku macierzyńskiego posag i oprawa przez męża jéj dana należéć ma.

Otwarcie przyznajemy, iż pomimo wszelkich badań i kombinacyj nic pewnego w tym względzie czytelnikom naszym powiedzieć, za żadną z przytoczonych wersyj stanowczo oświadczyć się nie możemy. Ograniczymy się przeto do przytoczenia owych późniejszych praw, które za jedném lub drugiém tłumaczeniem przemawiać się zdają.

Statut warteński rozporządza w art. V, jak następuje: „Orzeczono zostało w jednéj konstytucyi naszego poprzednika, t. j. w artykule: „*ex communi usu* e. c. t." (t. j. w art. LXXXIII, o którym mowa) „iż gdy po śmierci matki, ojciec powtórne śluby zawrzéć chce, synowie od niego wydania części macierzyńskiéj (*portionem maternam*) żądać mogą. My zaś zważywszy i wielkość straty majątkowéj, którą ojcu odebranie tak wielkiéj części majątku wyrządza i niewdzięczność, którą mu tém odebraniem synowie okazują; zważywszy nakoniec i to, że synowie późniéj zubożawszy do ojca o pomoc się udawali, którą im ojciec z powyższych względów odmawiał, z czego między obydwoma stronami zawziętość i niesnaski się rodziły; chcąc wszystkie te dolegliwości usunąć, postanawiamy: iż gdy ojciec synów mający po śmierci pierwszéj żony w drugie śluby wstępuje, nie będzie obowiązanym rzeczonym synom część dziedziny" (portionem haereditariam) wyznaczyć, chybaby marnotrawcą się okazał, ale że do śmierci swéj przy

wszystkich dobrach ziemskich" (in bonis haereditariis quibuscunque) pozostać i synom tylko tę część naznaczyć ma, którą od niéj tytułem posagu dostał".

Zdawałoby się, iż pierwsza połowa tego artykułu, która uchwałę wiślicką reassumuje, żadnéj wątpliwości nie pozostawia, iż podług téj uchwały ojciec w drugie śluby wstępujący synom tylko część macierzyńską, t. j. majątek przez żonę wniesiony, a nie część jakąkolwiek dziedzicznych swych posiadłości oddać był winien. Lecz przy bliższém rozpatrzeniu się, rzecz się bynajmniéj tak jasną nam nie wyda. Druga połowa tego artykułu postanawia, iż na przyszłość ojciec w drugie śluby wstępujący synom z pierwszego łoża tylko posag ich matki wydać jest winien, a przy wszystkich innych posiadłościach ziemskich aż do końca swego życia utrzymanym być ma. Rozporządzenie to, które ustawę wiślicką zmienia, dowodzi tylko, iż za jéj istnienia synowie po śmierci matki czegoś więcéj jak samego posagu matczynego domagać się mogli, ale bynajmniéj nie objaśnia czy pod wyrazem *bonis haereditariis quibuscunque* rozumieć wypadało tylko resztę majątku macierzyńskiego, czy téż oprawę posagu, czy téż nakoniec tak, że i część dóbr z ojcowskiéj linii pochodzących. Mogły przeto wyrazy portionem maternam w pierwszéj połowie artykułu znajdujące się oznaczać nietylko majątek macierzyński, ale całą część tytułem spadku po matce synom się należącą.

O téj saméj materyi postanawia pierwszy art. opatowiecki z r. 1474 (Bandt. Str. 113), jak następuje: „Gdy synom matka odumarła, a ojciec w powtórne śluby wstępować zamierza, ma synom połowę wszystkich dóbr wydzielić" (medietatem bonorum omnium assignabit) „z tém jednakże zastrzeżeniem, że ta połowa się przy nim do końca dni jego zostanie i dopiéro po jego śmierci do rzeczonych synów przejdzie, reszta zaś" (t. j. druga połowa majątku) „synom z drugiego łoża się dostanie". Dodaje wprawdzie zaraz ten artykuł, iż „to rozumieć się ma tylko o oprawach przez ojca żonom swym naznaczonych" (hoc tamen sentiendum est de reformatione dotalitiorum per patrem uxoribus assignatorum), ale dodatek ten jest widocznie późniejszym wtrętem, ponieważ połowa oprawy pierwszéj żonie danéj nigdy na synów drugiéj przechodzić nie mogła. Zostaje nam się przeto tylko główne postanowienie, a to znowu dowodzić się zdaje, iż połowa wszystkich posia-

dłości po śmierci matki w ręku ojca będących synom z pierwszego łoża tytułem spadku się należała.

W tym samym sensie postanawia nareszcie art. dwudziesty drugi statutu piotrkowskiego i objaśniający go art. VI statutów warteńskich, że gdy ojciec synom z pierwszego łoża, wstępując w drugie śluby jednę połowę swojego majątku wyznaczył, druga połowa synom z drugiego łoża wyłącznie się należy, prócz majątku macierzyńskiego, który nawet córkom z drugiego łoża zawsze się dostać ma.

Zważywszy to wszystko, pogodzimy może najlepiéj rozmaite wersye niniejszego artykułu, gdy każdą do pewnego gatunku paktów ślubnych odniesiemy, jakie podług zwyczaju w jednéj lub drugiéj prowincyi przeważały. Zreassumujemy więc treść artykułu w następujący sposób: Podług dawniejszego zwyczaju odbierali synowie po śmierci matki od ojca tytułem spadku macierzyńskiego, albo majątek przez matkę wniesiony wraz z oprawą posagu jéj przez ojca wyznaczoną, albo téż połowę wszystkich dóbr ojcowskich i macierzyńskich w miarę, jak podług zwyczaju każdéj prowincyi majątek żony był odrębny albo się z majątkiem męża w ręku tegoż w jednę całość zlewał. Lecz zwyczaj ten zwykle to następstwo sprowadzał, iż niedojrzali wiekiem i rozsądkiem synowie roztrwoniwszy część odebraną, nietylko ojca ale i siebie w niedolę wpędzali i potém do ojca o pomoc się udawali, którą im ojciec dać nie mógł i dać nie chciał. Postanowili przeto prawodawcy wiślicey, iż na przyszłość po śmierci matki od ojca wydzielenia *jakiéjbądź części* majątku rodzicielskiego żądać nie będą mogli, ten jeden wypadek wyjąwszy, że ojciec pozostały w jego rękach majątek trwonił albo w drugie śluby wstępuje. W takim wypadku albowiem ojciec stosownie do zwyczajów małopolskich lub wielkopolskich synom albo cały majątek macierzyński albo połowę całego wspólnego majątku wydać jest obowiązany. Tak tłumacząc niniejszy artykuł będzie najlepiéj przyjąć najogólniejszą wersyą i wszędzie zamiast *medietatem bonorum omnium* albo *ex linea paterna obvenientium* czytać tylko *portionem et hereditatem maternam*.

Kto zaś dobitniejszéj wersyi żąda, może przyjąć bez wahania wersyą p. Helcla, ponieważ i ta do paktów ślubnych różnego gatunku zastosować się da, zwłaszcza gdy ją w następujący sposób tłumaczyć będziemy. Gdzie spółka majątkowa

między małżonkami istniała, odbierali synowie po śmierci matki od ojca połowę wspólnych majętności tytułem spadku macierzyńskiego. Zwyczaj ten w powyższych stosunkach zupełnie słuszny, chciano zastosować i do owych paktów ślubnych, które własny majątek żony zupełnie oddzielały. Gdy się o to sprawa na zjeździe wiślickim (pierwszym lub drugim) wytoczyła, nie mógł Kazimierz W. nie uznać niesprawiedliwości takiego żądania. Ale chcąc wydać rozporządzenie o ile możności ogólne i los synów na wypadek powtórnego ożenienia ojca przynajmniéj zabezpieczyć, orzekł, iż w takim wypadku ojciec synom prócz majątku macierzyńskiego także i połowę swego majątku wydzielić powinien.

Za taki sam ogólnik różne dawne zwyczaje ogarniający poczytujemy także następującą wersyą:

Art. CVI (1): „Postanawiamy, iż po śmierci męża, żona powinna być utrzymana przy zapisie i posagu i wszystkich do paraferny należących pieniądzach, perłach, kosztownych kamieniach i sukniach pozostałych i dopiéro po jéj śmierci wszystkie rzeczone mienie ma przejść na jéj dzieci. Jeżeli zaś wdowa mająca synów chce wstąpić w powtórne śluby, wtedy ma oddać synom cały majątek ojczysty wraz z ową częścią majątku swego macierzyńskiego, która na nich z działu przypada, a dopiéro z resztą tego majątku może pójść za mąż według swego upodobania".

Nim do ocenienia powyższéj wersyi Bandtkiego przystąpimy, zwróćmy uwagę na jedyny usterek, który w jéj tłumaczeniu Świętosław z Woc. popełnił, przekładając w art. 84 statutów małopolskich wstęp: *uxor circa donationem et dotem et quaelibet parafernalia* i t. d. w następujący sposób: „Żona przy *dziedzinie* i przy wienie i przy wszéj wyprawie, a przy prawie w pieniądzach i t. d." co do mniemania spowodowaćby mogło, iż wdowa i przy całym mężowskim majątku ziemskim na mocy niniejszego artykułu utrzymaną być ma, kiedy przecie wątpieniu nie podlega, że pod wyrazem *donationem* tylko zapis, raczéj oprawa posagu żonie przez męża w ruchomościach lub nieruchomościach dana, rozumianą i żona tylko przy téj

(1) Hel. art. 101 Zw. gł. zgodny z tą różnicą, że w pierwszéj części zamiast *liberos* pisze *pueros*, a w drugiéj części zaś wszędzie zamiast *parte* pisze *medietate*.

oprawie utrzymaną być powinna. Wstępując w drugie śluby małżeńskie traci i tę oprawę i to jest prawdziwy sens pierwszego ustępu drugiéj części artykułu: „quod tantummodo ad eosdem pueros omnia bona paternalia integraliter", jeżeli dopuścić nie mamy, że druga ta połowa odsądza wdowę od użytku dóbr mężowskich dopiéro wtedy, gdy powtórne śluby zawiera, coby w najwidoczniejszéj sprzeczności z pierwszą połową artykułu było. A przecież tłumaczono artykuł niniejszy w tym sensie. Dowodem tego następująca osnowa artykułu II statutów warteńskich: „Chcąc znieść szkodliwy a powszechny zwyczaj, mocą którego wbrew wyraźnemu rozporządzeniu naszego poprzednika poczynającemu od słów: *statuimus*" (t. j. niniejszego artykułu CVI) żona po śmierci męża przy wszystkich posiadłościach jego utrzymywaną bywała, w skutek czego część jego majątku przez zły zarząd niszczoną i dla dzieci straconą bywała, postanawiamy, iż po śmierci męża żona tylko przy posagu i oprawie pozostać, a reszta majątku, która ani posag ani oprawę nie stanowi, synom zaraz oddana być ma". (Uxor tantum dotem et dotalitium habeat, alia vero bona, in quibus dotem et dotalitium non habuerit, pueris vel proximioribus tenebitur resignare). Wstęp tego artykułu warteńskiego nietylko usprawiedliwia podane przez nas tłumaczenie wyrazu *donationem*, ale uczy nas, iż tak jak przed uchwałą wiślicką, tak i potém utrzymał się zwyczaj, iż wdowa przy używaniu dóbr mężowskich tak długo, póki w drugie śluby nie wstąpiła, utrzymywaną była. Czémże sobie taki zwyczaj wytłumaczyć? Oto najlepiéj wspólnością majątkową, która w pewnych częściach polskich istniała między małżonkami, i o któréj w rozbiorze artykułu LXXXIII mówiliśmy. Jak w skutek téj wspólności synowie po śmierci matki tytułem jéj spadku połowę wspólnego majątku od ojca odbierali, tak znowu w skutek tych samych paktów ślubnych dzierżyła matka po śmierci męża zapewnie podczas małoletności synów cały majątek wspólny i dopiéro idąc za mąż, nietylko cały majątek ojczysty, ale i połowę swego majątku synom oddać musiała.

Zresztą jeżeli, jak widzieliśmy, art. II statutu warteńskiego objaśnił i potwierdził rozporządzenie drugiéj części niniejszego artykułu, to znowu zmienił znacznie art. III rzeczonych statutów pierwszą część, t. j. ową, która wdowę nietylko przy posagu i oprawie, ale także przy wszystkich do paraferny należących

perłach, drogich kamieniach, pieniądzach i sukniach pozostałych utrzymywała. Rozporządza albowiem ten III artykuł, iż ponieważ z wykonywania uchwały wiślickiéj wielkie szkody dla synów wyrastały, na przyszłość wdowa prócz posagu i wyprawy tylko przy sprzętach domowych do paraferny należących, przy bydle, przy koniach cugowych, któremi za życia męża jeździła, utrzymywaną być ma; cały skarbiec zaś, t. j. srebra i gotowizna, wszelką broń rycerską i rosłe konie synom zaraz oddać ma; a konie małe (equis parvis) i suknie zmarłego w wartości trzech grzywien w równych częściach między wdowę i synów podzielone być mają. Zmiana ta stała się w duchu praw niemieckich, które w podobny sposób prawa wdowy określały, ale posunęła się w ograniczeniu tych praw daléj jeszcze niż prawo prowincyonalne saskie, daléj nawet niż prawo magdeburskie, które klejnoty i pieniądze wdowie zostawiają, tak jak je zostawił był art. CVI statutów wiślickich.

Podawszy późniejsze rozporządzenia, objaśniające lub zmieniające ten artykuł, będziemy lepiéj mogli ocenić wersyą, w któréj go nam podał Bandtkie. Nazwaliśmy tę wersyą ogólnikiem rozmaite zwyczaje obejmującym, ponieważ wersya przez p. Helcla przyjęta daleko dobitniéj się wyraża, mówiąc tak w pierwszéj jak drugiéj połowie wyłącznie tylko o *synach*, a nie o dzieciach w ogólności i obowiązując wyraźnie wdowę w drugie śluby wstępującą do oddania *całéj połowy* swego majątku (a nie części odpowiedniéj w ogólności) synom z pierwszego łoża. Być może, iż wersya Bandtkiego jest o tyle słuszniejsza, o ile po śmierci matki powołuje także i córki do jéj spadku, a mianowicie do udziału w paraferne na nią po mężu przypadającéj; być może, że uwzględnia lepiéj zwyczaje prowincyonalne przed ustawą wiślicką a może i wbrew jéj istniejące; ale wątpieniu nie podlega, że w tym względzie wersya p. Helcla zupełnie jest usprawiedliwioną artykułem III warteńskim, który jak widzieliśmy, w tym samym sensie ustawę wiślicką tłumaczy. Liczniejszą zaś jest ta wersya w drugim punkcie dlatego, że kiedy ojciec wstępujący w drugie śluby, synom z pierwszego łoża gwoli artykułu LXXXIII połowę swojego majątku wyznaczyć jest obowiązany, słusznie także i matka podobny krok czynić, połowę swojego majątku rzeczonym synom oddać jest winna. Przyjmując więc wersyą p. Helcla dla art. LXXXIII, trzeba ją przyjąć i dla art. CVI.

Do najtrudniejszych i najwątpliwszéj osnowy artykułów należą owe, które w Wulgacie Bandtkiego pod l. CVII i CXXVIII się mieszczą:

Art. CVII (1): „Postanawiamy, że gdy dziewczyna idzie za mąż, posag w gotowiznie może jéj być wyznaczony w obecności przyjaciół (amicorum raszéj krewnych) „jeżeli zaś w majątkach ziemskich wyznaczonym jéj być ma, w obecności króla dziać się to powinno. Postanawiamy tudzież, że gdy rycerz lub szlachcic umiera zostawiając synów i córki, córki przez braci za mąż wydane i podług istniejącego zwyczaju wyposażone być mają. Jeżeli zaś tylko córki po ojcu pozostały, należą im się wszystkie ojcowskie posiadłości; a gdyby stryjcowie" (albo bracia stryjeczni) „takowe posiadłości objąć chcieli" (et si fratres patrueles hujusmodi haereditates obtinere voluerint), „wtedy rycerze posiadłości te podług sumienia oszacują, a w przeciągu roku od ukończenia tego oszacowania rzeczeni stryjcowie lub bracia stryjeczni wartość szacunkową tém pewniéj córkom spłacą, ile że gdyby tego nie uczynili, córki na zawsze przy rzeczonych posiadłościach pozostaną".

Powiedzmy zaraz, iż ten artykuł, który w kodeksie B. IV zupełnie się nie mieści, jest zlewkiem rozporządzeń małopolskich i wielkopolskich. Małopolskim jest bez wątpienia pierwszy ustęp pozwalający córkom wyznaczać posag w pieniądzach lub posiadłościach ziemskich, ponieważ największa część kodeksow, jak Bandtkie i p. Helcel sam twierdzą, i oba teksta polskie (zobacz l. 84 tego statutu) tylko ten ustęp w statutach małopolskich umieszczają. Drugą część ową, która tylko w braku synów córki do pozostałych posiadłości ojczystych dopuszcza i nawet w tym wypadku stryjcom posiadłości te w przeciągu roku wykupywać pozwala, musimy uznać za wielkopolską. Mieści się dosłownie w art. czterdziestym siódmym statutu piotrkowskiego; największa część kodexów opuszcza ją w statutach małopolskich; obydwa teksta polskie podają ją wyłącznie w statutach wielkopolskich, a Świętosław z Woc. nawet w zbytnich statutach wielkopolskich twierdząc, iż „to wyżéj już pod inszymi kapituły téjże materyi zgarnęło się i ta-

(1) P. Helcel rozdziela ten artykuł na dwa osobne artykuły: daje w art. 102 pierwszą małopolską, w art. 164 drugą wielkopolską część. Teksta oba zgodne z Bandtkiem,

koż to mało czyni". Uwaga ta nie może mieć na oku pierwszą część artykułu niniejszego; a ponieważ żaden inny artykuł Statutu wiślickiego prócz artykułu CXXVIII o tym samym przedmiocie nie traktuje, odnosić chyba wypada tę uwagę do dopiéro wymienionego artykułu umieszczonego przez Świętosława z Woc. w statutach małopolskich.

Artykułu zaś tego CXXVIII (1) treść jest następująca: *Córki szlacheckie za życia ojca wyposażone, po jego śmierci niczego więcéj się domagać nie mogą. Jeżeli zaś ojciec córki niezamężne lub niewyposażone zostawił, ilość posagu zależy od tego, czy posiadłości jest wiele, a córek mało, lub też przeciwnie posiadłości mało, a córek wiele. W pierwszém przypuszczeniu, córce przez braci lub stryjców ma być dan posag* 100 *grzywien, jeżeli jest córką wojewody, a* 40 *grzywien, jeżeli jest córką prostego rycerza" (czy każdéj córce tyle, gdy ich jest dwie? Gdy zaś jest kilka córek, mają te posiadłości być oszacowane i każdéj córce część należyta" (jaka) „przez braci rodzonych, a w braku takowych przez stryjców" (fratres patrueles), a gdyby i takich nie było, przez najbliższych krewnych tego samego herbu wypłacona. Posiadłości same zaś mają przejść zaraz w ręce rzeczonych braci, a w braku takowych w ręce stryjców lub dalszych krewnych męzkich i pozostać przy nich nietylko aż do wydania i wyposażenia córek pozostałych, ale i nadal, ponieważ córki drogą spadku posiadłości ziemskich nigdy dostąpić nie mogą.*

Podaliśmy powyżéj tylko główną treść niniejszego artykułu podług Wulgaty Bandtkiego i téj wersyi p. Helcla, która się do niéj najwięcéj zbliża, ponieważ sama osnowa artykułu nawet podług téj wersyi jest nader zawiłą i rozwlekłą, a nawet z kodeksów przez Bandtkiego przytoczonych prawie każdy inaczéj ją podaje. Najważniejszą z tych waryant jest owa, któréj odpowiada druga wersya przez p. Helcla podana. Ta rozróżnia między dobrami dziedzicznemi, a dobrami kupnemi lub z kró-

(1) Hel. art. 124 Zw. gł. zgodny z Bandtkiem z następującemi odmianami: w drugim ustępie opuszcza wyrazy *neque per patrem dototam*, w trzecim ustępie opuszcza ostatnie słowa: *et dotem modo praemisso*, w czwartym ustępie opuszcza ważne ustanowienia poczynające się od słów *adiicientes* do końca t. j. właśnie ustanowienie będące w sprzeczności z artykułem 107.

lewskiéj darowizny pochodzącemi, i tylko od posiadania pierwszych córki na każdy wypadek wyklucza, kupne zaś lub z darowizny króla pochodzące im nietylko drogą spadku, ale także w posagu obejmować pozwala, zastrzegając wszelako prawo stryjców do wykupienia takich posiadłości, jak to uczynił był w ogólności art. CVII. Lecz znosi znowu to całe rozróżnienie ostatni ustęp, który córki bezwarunkowo od posiadania dóbr ziemskich wyklucza. Przekonają się o tém nasi czytelnicy z przekładu Świętosława z Woc., w którym tę waryantę udzielamy, i powezmą wyobrażenie, jak zamącone są źródła do nauki Statutu wiślickiego: „Przydawając też, aby gdy bracia zemrą albo nie będą, dziewki w dziedzinach nijakiéj blizkości mieć nie mogą, albo nie mają, ani ich być namiestnikami, ale dość mają mieć w posagu im danym, jako wyżéj się mieni, a bliżsi ich nie dawszy też im posagu w téj dziedzinie wstąpią, wyjąwszy to co rzeczone jest wyżéj o dziedzinach kupnych albo też wysłużonych, iż dziewki w takie wstąpią, t. j. prawa ku nim mieć mogą, ale bliższe bracia im pieniądze za nie dadzą, a sami dziedzinę taką odzierżą. Też zapowiadamy o wszelkiéj, aby dziewki w dziedzinach, co jest puścizna rzeczone, nie wstępowały, ani namiestniczkami były, a gdzieby niektórzy bez płodu zeszli, bliżsi ich odzierżą dziedzinę i w nich będą namiestniki" (art. 105 statutów małopolskich).

Nie znosi przeto i ta wersya artykułu sprzeczności, która między artykułem CXXVIII, a obydwoma rozporządzeniami artykułu CVII zachodzi. Pocóżby wyznaczał ojciec córkom posagu w dobrach ziemskich w obecności króla, gdyby te dobra ziemskie córki sobie zaraz wykupić dać musiały. Jakżeby mogła postanawiać druga wielkopolska część rzeczonego artykułu CVII, że gdy same córki po ojcu pozostały, one wszystkie posiadłości po ojcu objąć i przy nich, jeżeli im takowe stryjce do roku nie wykupią, na zawsze pozostać mają, jeżeli podług artykułu CXXVIII córki nigdy w posiadanie nieruchomości po ojcu pozostałych wejść nie mogły. Nie może więc stać art. CXXVIII obok artykułu CVII w jednym i tym samym statucie wielkopolskim, a tém mniéj wiślickim i jeden z nich koniecznie późniéj do statutu wielkopolskiego wtrąconym zostać musiał. Zobaczmy teraz, który z nich jest wielkopolskim, a przedewszystkiém, który jest wcześniejszém rozporządzeniem. Gwoli powszechnego mniemania wcześniejszém pier-

wotnie wielkopolskiém rozporządzeniem jest artykuł CXXVIII. Przytoczmy argumenta, które za przeciwném zdaniem przemawiają.

Po pierwsze: gdyby art. CXXVIII był wcześniejszy, nie nakazywałaby druga połowa artykułu CVII braciom, aby siostry „*more consueto*" wyposażali, ale odwoływałaby się pewnie w téj mierze do jasnego i dobitnego przepisu w pierwszéj połowie artykułu CXXVIII zawartego. *Po drugie:* waryanty artykułu CXXVIII, jak to wyżéj wspomnieliśmy, przypuszczają wyjątkowo córki do odziedziczenia dóbr ojcowskich z kupna lub darowizny króla pochodzące, pozwalają nawet wyposażać córki takiemi posiadłościami, zachowując stryjcom prawo do wykupienia onychże. Jestto widoczną tranzakcyą między głównem rozporządzeniem artykułu rzeczonego a postanowieniem drugiéj połowy artykułu CVII. Taka tranzakcya atoli nawetby miejsca mieć nie mogła, gdyby art. CVII był późniejszéj daty.

Niemniéj ważne są powody, które do wniosku upoważniają, że druga połowa artykułu CVII jest prawdziwie wielkopolską ustawą. Nie znaleźliśmy nigdzie na to historycznych dowodów, żeby prawo wielkopolskie córki od posiadłości ziemskich zupełnie wykluczało, ale przeciwnie, przewartowawszy Raczyńskiego *Codex diplomaticus Majoris Poloniae* trafiliśmy na parę dokumentów, w których kobiety jako właścicielki dóbr takich występują. (Zobacz dokumenta pod l. IV, XIV, LXXXIX i XC). Widzieliśmy daléj w przytoczonym już wyżéj *dwudziestym drugim* piotrkowskim artykule i objaśniającym go artykule VI statutów warteńskich, iż gdy ojciec wstępując w drugie śluby, synom z pierwszego łoża połowę swego majątku wydzielił, druga połowa wyłącznie dzieciom z drugiego łoża *bez różnicy czy to córki czy synowie* dostać się ma. Wprawdzie dodaje rzeczony art. piotrkowski: de filiabus vero, si quis habuerit vel eas reliquerit fiat, ut alias est constitutum" ale ustęp ten tak dobrze do artykułu CVII, jak do artykułu CXXVIII odnosić się może. Nierównie silniejszy jednakże dowód zaczerpnąć można z statutów warteńskich, którym pewnie każdy, jeżeli nie wyłączny to przynajmniéj przeważny wielkopolski charakter przyzna. Otóż statuta te postanawiają w artykułach VII i VIII, jak następuje:

Art. VII: „Często się trafia, że gdy córki po śmierci ojca braci nie mające w posiadłościach ziemskich ojczystych przesiadują, stryjcowie lub bliżsi krewni tytułem opieki, którą sobie nad niemi przywłaszczają, starają się usunąć różnemi umowami albo warunkami od posiadania rzeczonych posiadłości i zniewolić ich do przyjęcia posagu w gotowiznie, gdy za mąż idą. Chcąc temu tamę położyć, postanawiamy, że gdyby mężowie takich córek odebrawszy posagi w gotowiznie od stryjców, opiekunów lub krewnych swych małżonek wymusili na tych zrzeczenie się prawa do nieruchomego spadku im się należącego, albo przyrzeczenie, że się o te posiadłości spadkowe upominać nie będą, takie ugody lub rzeczenie za nieważne uważane być mają, i córki rzeczone bez względu na takowe do posiadania spadkowych posiadłości przywrócone być mają, które podług upodobania sprzedać mogą".

Art. VIII zaś jeszcze więcéj jest stanowczym, osnowa jego następująca: „Chcąc zapobiedz wykrętom ludzi przewrotnych, którzy wszystko w złych zamiarach przekręcając z tytułu pokrewieństwa sobie nad dziewczynami posiadłości ziemskie mającemi taką opiekę przywłaszczają, iż takowe chociaż już są dorosłe i dojrzałe dlatego wydawać za mąż nie chcą, aby dłużéj ich majątki zatrzymywać, postanawiamy, że takowe dorosłe dziewczyny mogą bez pozwolenia stryja albo opiekuna za poradą inszych krewnych męża wybrać, i to uczyniwszy nie mogą być pozbawione swych majętności pod pozorem, jakoby ustawę naszego poprzednika „quicunque vero virginem etc. przekroczyły". (NB. Ustawa wiślicka w tym artykule wzmiankowana przytoczoną już została przez nas w rozdziale II i stanowi art. CXXIX, który orzeka, że córki, które się przeciwko woli rodziców uwieść dały, tracą prawo do posagu. Trzeba było przeto ogromnego wykrętarstwa, aby na mocy tego artykułu chcieć pozbawić posiadłości spadkowych owéj dziewczyny, która przeciw woli swych krewnych lub opiekunów za mąż idzie).

Cóż te artykuły dowodzą? Oto, że weszło wprawdzie w życie postanowienie artykułu CXXVIII dozwalające bliższym krewnym usuwać od posiadłości ziemskich córki po śmierci ojca bez braci pozostałe; lecz że takie postępowanie przez prawodawców warteńskich za nieprawe uznane zostało i że przywrócono takowe córki znowu do posiadania spadkowych

majętności ziemskich należących im się jako najbliższym po ojcu spadkobierczyniom, słowem, że zniesioném zostało rozporządzenie artykułu CXXVIII a przywrócono rozporządzenie drugiéj części artykułu CVIII. Uczyniłyżby to statuta warteńskie, one, które w porównaniu z wiślickiemi prawa wdów i kobiet wszędzie ścieśniły, gdyby rozporządzenie drugiéj części artykułu CVII nie było w duchu dawniejszych praw i ustaw wielkopolskich?

Z tego stanowiska rzecz biorąc, nie upatrywalibyśmy w artykule CXXVIII dawne zwyczajowe prawo wielkopolskie a w drugiéj połowie artykułu CVII późniejsze reformujące rozporządzenie; ale przeciwnie, trzebaby poczytywać artykuł CXXVIII za innowacyą Kazimierza W., który wykluczeniem zupełném córek od posiadłości ziemskich służbę wojenną bezwarunkowo sobie zapewnić, a może i feudalne instytucye w Polsce zaszczepić chciał. A że innowacya ta do praw i zwyczajów Wielkopolanów nie przystawała, starali się przynajmniéj wymódz tę koncessyą, aby wykluczenie córek od posiadłości ziemskich ograniczało się tylko do dziedzicznych posiadłości, a nie rozciągało się do kupnych lub darowizną od króla otrzymanych. Témto się może najlepiéj tłumaczy, że nietylko teksta polskie, ale nawet niektóre łacińskie rzeczone ograniczenie zawierają. Nie zgadza się wprawdzie takie zapatrywanie na rzeczone postanowienia z przyjętą zasadą, że rodzina wielkopolska była podług wyrażenia Lelewela rodziną męzką, ale odpowiada znanéj dążności Kazimierza W., usuwania o ile możności od posiadania dóbr ziemskich wszystkich, co sami służbę wojenną pełnić nie mogli, dążności, któréj artykuły IX i CVI dostatecznie są dowodem. A niech nikt nie powié, że taką hipotezę potępia już umieszczony w Gosińskiego Zwodzie praw mazowieckich dekret Kr. Zygm. I: „O prawach dziedzicznych niewiast szlacheckiego rodu", który w braku męzkich potomków córki do spadku nieruchomego po ojcu powołuje, który zabrania stryjcom i plemiennikom wszelkiego wykupywania takich córek z odziedziczonych posiadłości i który to rozporządzenie głównie tém usprawiedliwia, że ponieważ Księstwo Mazowieckie z Królestwem naszém połączyliśmy, słusznem być mienimy, abyśmy i ten artykuł o sukcessyi kobiet do jednostajności ustaw koronnych przyprowadzili. Odpowiedzielibyśmy albowiem na taki zarzut, że jeżeli powyższe moty-

wowanie Zygmuntowskiego wyroku do hypotezy przystaje i że już Kaz. W. córki w braku synów do objęcia spadku nieruchomego dopuścił, to równie dobrze a może jeszcze lepiéj się i z twierdzeniem pogodzić da, iż prawo córek do posiadłości oyczystych w braku synów było odwiecznem prawem zwyczajowém wielkopolskiém, które wprawdzie Kazimierzowskim przepisem (artykułu CXXVIII) zmienione, ale statutami warteńskiemi znowu przywrócone zostało i przy wydaniu wyż wspomnionego wyroku Zygmuntowskiego, zatém już od przeszło stu lat tak w Mało- jak w Wielkopolsce z mocą obowiązującą istniało.

Przytaczając rozporządzenia o spadkach traktujące nie możemy pominąć milczeniem artykułu, którego p. Helcel w dopełnieniu Zwodu głównego pod liczbą 150, a Bandtkie pod l. XXII statutów wielkopolskich umieszcza, wykluczywszy go zupełnie z rzędu statutów wiślickich. Osnowa tego artykułu, podług Bandtkiego jest następująca: „Postanawiamy, że gdy ojciec po śmierci swéj żony dział majątkowy uczynił, którego synom odmówić nie mógł, synowie po śmierci ojca takowego działu, choćby przez króla lub starostę potwierdzonym nie był, żadnym sposobem naruszać nie mogą, ale ojczystą część między sobą podzielą. Jeżeli zaś po zrobieniu takiego działu ojciec nowe śluby zawarł i synów w nich spłodził, synowie pierwszego łoża nie mogą sobie do ojczystéj części żadnego prawa rościć i ta część będzie się należała synom z drugiego łoża. Jeżeli dwóch lub trzech braci między sobą dział zrobili, po śmierci jednego ani pozostali bracia, ani bratanki nie mogą takiego działu naruszać, chociażby przez króla albo starostę nie był potwierdzony".

Taki jest tekst Bandtkiego, z którym się tekst Świętosława z Woc. (art. 20 zbytnich statutów wielkopolskich) z tą jedyną różnicą zgadza, że w pierwszym ustępie po słowach *ojcowską część* wtrąca *jako i macierzyną*. Powiedzmy jednakże zaraz, że nietylko waryanty przez Bandtkiego samego powołane, ale i p. Helcel drugą wręcz przeciwną wersyą pierwszego ustępu podają; wersyą mówimy, która dział przez ojca zrobiony, ale przez króla i starostę nie potwierdzony, *przez tychże synów naruszać i pozostałość po ojcu na nowo dzielić pozwala*. P. Helcel powiada, że za pierwszą wersyą wstęp do urzędowego spisku Kazimierza W. r. 1662 wydanego, który tylko działom pisemnie i w przytomności świadków zrobionym wa-

żność przyznaje, za drugą zaś art. CXXXVII przemawia, który darowizny, jeżeli śmierć jednéj z stron interesowanych zaszła, za ważne uznaje. Podług naszego zdania wersya druga jest prawdziwa. Trudno wprawdzie przyrównać darowizny, o których art. CXXVIII mówi, do owych działów majątkowych, których ojciec synom odmówić nie mógł; ale trzeba brać ten artykuł w związku z rozporządzeniem artykułu CXII, który działy familijne *chociaż przez króla nie potwierdzone*, po trzech latach i trzech miesiącach za nienaruszalne uważać nakazuje, i który zatém dowodzi, że pierwéj wszelkie działy podobne potwierdzenia króla potrzebowały. Uchylamy przeto w pierwszym ustępie tego artykułu wersyą Bandtkiego powyżéj podaną i zastępujemy ją wręcz przeciwną, t. j. tą, *która dział przez ojca sporządzony, ale przez króla nie potwierdzony, po jego śmierci synom unieważniać pozwala.*

Ważniejszą się nam daleko atoli ta kwestya wydaje, czy artykuł ten został obowiązującym przynajmniéj dla Wielkopolanów, czy też zniesiony został rozporządzeniami wiślickiemi w niniejszym rozdziale przytoczonemi. Świętosław z Woc. jest ostatniego zdania. Podawszy osnowę tego artykułu w szeregach zbytnich statutów wielkopolskich pod liczbą 20, dodaje następującą uwagę: „to ustawienie o pierwszą sztukę jest już złożoném wyżéj przez kapitułum *de communi usu*, pod rubryką oddzielenia synów z ojcem, a tak już próżno stoi i w inszych sztukach". Uwaga ta jest mylna. Artykuł *de communi usu*, t. j. art. LXXXIII Statutu wiślickiego znosi tylko dawny zwyczaj, mocą którego synowie po śmierci matki połowę majątku ojczystego, jako część macierzyńską zaraz żądać i odbierać mogli, i przyznaje im to prawo tylko w tym jednym wypadku, jeżeli ojciec w drugie śluby wstępuje, albo majątek trwoni. Lecz nie stanowi bynajmniéj o nienaruszalności działu przez ojca *dobrowolnie* po śmierci swéj żony zrobionego, a jeszcze mniéj zawiera jakiebądź postanowienie co do kwestyi, o któréj drugi ustęp niniejszego artykułu wielkopolskiego opiewa, t. j. kwestyi, czy, gdy rodowiec wstępując w drugie śluby synom z pierwszego łoża część im należytą wydzielił, ci synowie po śmierci jego do pozostającego ojcowskiego majątku prawo jakie sobie rościć mogą; czy też cała ta część majątkowa jedynie dzieciom z drugiego łoża przypaść ma. Kwestya ta także i w żadnym innym artykule Statutu wiślickiego rozstrzy-

gniętą nie została; a że ponieważ tak ważna kwestya rozstrzygnięcia koniecznie wymaga, powiemy bez wahania, że rzeczony drugi wstęp niniejszego artykułu wielkopolskiego nadal dla Wielkopolski obowiązującym pozostał i na dowód tego przytaczamy art. VI statutów warteńskich następującéj osnowy: „Postanawiamy i objaśniamy, iż gdy się zdarzy, że ojciec z drugą żoną synów nie spłodził tylko córki, z pierwszą zaś miał synów, po jego śmierci żadna część jego majątku córkom z drugiego łoża się nie należy, ale synowie z pierwszego łoża pozostałą córkę podług zwyczaju ziemskiego w pieniądzach wyposażą, zostawiając im tylko majątek macierzyński, który tym rzeczonym córkom, jeżeli go matka miała, zachowanym być musi. Jeżeli zaś synowie z pierwszego łoża swoją równą część" (portionem suam aequalem, t. j. połowę całego majątku ojcowskiego) „w skutek dobrowolnego działu od ojca już otrzymali, wtedy część drugiéj żony" (portio secundae uxoris) „synom i córkom jéj całkowicie przypaść ma".

Artykuł ten jest, jak już sam wstęp jego dowodzi, prostą deklaratoryą drugiego ustępu XX artykułu wielkopolskiego a 150 artykułu p. Helcla. Pojawiła się była wątpliwość, czy ten ustęp nawet wtenczas swe zastosowanie znajduje, kiedy synowie tylko z pierwszego łoża pozostali, z drugiego zaś tylko córki się rodziły. Otóż statut warteński rozstrzygając tę wątpliwość, rozporządza zupełnie w duchu artykułu dwudziestego wielkopolskiego, że jeżeli ojciec przy wstąpieniu w drugie śluby albo zaraz po śmierci pierwszéj żony połowę swego majątku synom z pierwszego łoża wydzielił, pozostałość jego zawsze już tylko dzieciom drugiego łoża bez różnicy, czy córki lub synowie się należy; że zaś przeciwnie, gdy ojciec rzeczonego działu nie zrobił, a z drugiego małżeństwa tylko córki spłodził, cała pozostałość jego tylko synom z pierwszego łoża przypaść ma, i tylko własny majątek drugiéj żony córkom się jéj należy. Użyliśmy tak w pierwszym jak w drugim ustępie wyrazu *pozostałość jego*, t. j. ojca, dla oznaczenia, że tak jak w pierwszym ustępie słowo *pars aliqua* tak w drugim ustępie wyrazy *portio secundae uxoris* zawsze tylko do majątku ojcowskiego się odnoszą, ponieważ majątek przez drugą żonę wniesiony zawsze córkom jéj przypadał, jak to pierwszy ustęp jak najwyraźniéj powiada.

Nie wykluczymy więc z Świętosławem z Wocieszyna drugi ustęp dwudziestego artykułu statutu wielkopolskiego z liczby owych rozporządzeń, które i nadal Wielkopolanów obowiązywały. Powiemy zaś, że pierwszy i trzeci ustęp tego artykułu nie artykułem LXXXIII, jak mniema Świętosław z Wocieszyna, ale artykułem CXII zniesionym został, jak to w rozdziale: *O zadawnieniu* okażemy.

Zreassumujmy w krótkości wszystkie objaśnienia, któreśmy dali tak w celu wyjednania prawdziwéj osnowy każdego z artykułów o spadkach traktujących, jak dla wykazania zmian, których te rozporządzenia już prawodawstwem warteńskiém doznały.

Co do artykułu LXXXIII. Podług dawniejszego zwyczaju odbierali synowie po śmierci matki, stosownie do paktów ślubnych w każdéj prowincyi zwyczajnych, albo połowę wszystkich wspólnych posiadłości tak macierzyńskich jak ojcowskich w zarządzie ojca będących, albo tylko część macierzyńską, t. j. posag przez matkę wniesiony i oprawę onegoż w miarę, jak podług zwyczaju każdéj prowincyi, majątek żony był odrębny, albo się z majątkiem męża w ręku tegoż w jednę całość zlewał. Statut wiślicki ograniczył to prawo synów do dwóch wypadków, t. j. gdy ojciec posiadłości rzeczone marnotrawi, lub też gdy w drugie śluby wstępował. Statut warteński posunął się daléj w tém ograniczeniu: przypuścił rzeczone prawo synów tylko w tym jednym wypadku, gdy ojciec się marnotrawcą okazał: ojca zaś w drugie śluby wstępującego tylko do wydania posagu matczynego zobowiązał. Zmienił to znowu statut opatowiecki: obierając średnią drogę przyznał synom prawo do żądania od ojca w drugie śluby wstępującego, aby im połowę wszystkich majętności *wydzielił*; ale orzekł oraz, że oddania rzeczywistego téj połowy dopiéro po śmierci ojca, w którego dożywotniém używaniu pozostać miała, domagać się mogą.

Co do artykułu CVI. Statut wiślicki orzekł, że żona po śmierci męża tylko do posagu, do oprawy onegoż lub zapisu i do wszystkich ruchomości do paraferny należących, t. j. do pieniędzy, klejnotów, pereł i sukien pozostałych ma prawo, i że to wszystko po jéj śmierci na synów przechodzi, dodając

wszelakoż, iż gdy taka wdowa w powtórne śluby wstąpić chce, musi nietylko cały ojczysty majątek, t. j. oprawę ale i połowę swego majątku własnego synom z pierwszego łoża oddać, a dopiéro z drugą połową może pójść za mąż podług upodobania. Poczęści wznowił, poczęści zmienił to powszechnie obowiązujące rozporządzenie statut warteński. Wznowił je w tym względzie, iż wdowę bez względu na osnowę paktów ślubnych po drugi raz od dożywotniego posiadania majątku mężowskiego na zawsze usunął i ją do posagu i oprawy ograniczył. Zmienił zaś w tym sensie, iż ograniczył nawet paraferne do sprzętów domowych, do bydła i do koni cugowych, któremi wdowa za życia męża jeździła, wyłączając z niéj jak najwyraźniéj cały skarbiec, t. j. srebra i gotowiznę, broń rycerską, rumaki wojskowe i wszystkie wielkie konie: co wszystko synom zaraz po śmierci ojca przypaść ma.

Co do artykułu CVII i CXXVIII. Statuta małopolskie pozwalały wyposażać córki tak gotowizną jak majątkami ziemskiemi, jeżeli król na wyznaczenie takowych przyzwolił.

Zwyczajowe prawa wielkopolskie wkładały na synów obowiązek wydania i wyposażenia sióstr bezżennych po śmierci ojca pozostałych podług zwyczaju w każdéj ziemi przyjętego, przyznając tym synom wyłączne prawo do całego spadku nieruchomego. Gdzie zaś same tylko córki po śmierci ojca pozostawały, obejmowały podług rzeczonych praw wielkopolskich także i ten spadek nieruchomy. Mogli wprawdzie stryjcowie lub bracia stryjeczni domagać się odstąpienia tego spadku w cenie szacunkowéj przez rycerzy okolicznych oznaczyć się mającéj; ale jeżeli téj ceny w przeciągu roku nie złożyli, pozostawały córki na zawsze przy posiadłościach ojczystych.

Obadwa te prawa zwyczajowe prowincyonalne zostały zmienione przez Kazimierza W. w ten spoób, że córki zawsze tylko w gotowiznie i to podług stałych prawideł wyposażone być mają, i nawet w braku synów nigdy posiadłości ojczystych dostąpić nie mogą, które w takim razie na stryjców albo braci stryjecznych, a w braku takowych na najbliższych krewnych męzkich z tego samego rodu z obowiązkiem wyposażenia gotowizną córek pozostałych przechodzić mają.

Zmieniły to znowu statuta warteńskie. Orzekły wyraźnie, że gdzie po śmierci ojca same tylko córki pozostały, wszelkie umowy z niemi lub z ich małżonkami w tym celu zawierane,

aby ich zobowiązać do zrzeczenia się nieruchomego spadku ojczystego, za nieważne poczytane i córki do posiadłości ojczystych przywrócone być mają. Dodały w osobnym artykule, iż córki, z których wydaniem opiekunowie lub najbliżsi krewni jedynie w tym celu by się ociągali, aby ich majątek zatrzymywać, same sobie małżonka obrać i posiadłości spadkowe objąć mogą. Przywróciły więc te statuta warteńskie z uchyleniem nowego rozporządzenia Kazimierzowskiego dawne ustawy wielkopolskie.

Co do artykułu dwudziestego drugiego piotrkowskiego. Istniało nareszcie rozporządzenie wielkopolskie téj osnowy: że jeżeli wdowiec powtórne małżeństwo zawierający synom swym już poprzednio, t. j. zaraz po śmierci pierwszéj żony taką część ojczystego majątku dobrowolnie wydzielił, jakiéj im odmówić nie mógł, synowie ci do resztującego majątku żadnego prawa sobie rościć nie mogą i cała ta reszta majątku wyłącznie synom z drugiego łoża należéć ma. Potwierdziły to rozporządzenie statuta warteńskie rozszerzając je w tym sensie, że w powyższym wypadku, t. j. kiedy ojciec synom z pierwszego łoża połowę swego majątku poprzednio wydzielił, do drugiéj połowy dzieci z drugiego łoża bez różnicy płci wyłączne prawo mają. Dodały atoli jak najwyraźniéj te późniejsze statuta, że jeżeli ojciec rzeczonego działu przed zawarciem drugich ślubów nie zrobił, a w drugich tych ślubach tylko córki spłodził, wtedy cały majątek ojczysty synowie z pierwszego łoża zabierać a swe siostry przyrodnie wyposażać mają. Majątek matczyn i w tym razie na córki idzie.

Tak się zapatrywaliśmy na prawodawstwo wiślickie i warteńskie o spadkach, rozważywszy tekst Bandtkiego i p. Helcla, kodeks B. IV, statut piotrkowski, oba teksta polskie i sposób, w jaki wszystkie te polskie i łacińskie zwody rozdzielają wielkopolskie i małopolskie rozporządzenia.

Powiedzmy teraz, w jaki sposób rozkłada p. Helcel artykuły wiślickie w niniejszym rozdziale przytoczone.

Nie znalazłszy w kodexie B. IV ani artykułu 101 Zw. gł. (Bandt. CVI), który prawa wdowy po śmierci męża określa, ani artykułu 102 Zw. gł. (t. j. część małopolską artykułu CVII Bandtkiego), który pozwala wyposażać córki także i dobrami ziemskiemi w obecności króla, przerzuca oba te artykuły do pierwszego starowiślickiego statutu. Do tego samego statutu

przenosi ze statutu wielkopolskiego art. 164 Zw. gł., to jest drugą wielkopolską część artykułu CVII, która się zarówno w kodexie B. IV nie znajduje i usprawiedliwia to przeniesienie sprzecznością, która między rzeczonym artykułem a artykułem 124 Zw. gł. (Bandtkie CXXVIII) zachodzi. A ponieważ drugi, twierdzi p. Helcel, jest niewątpliwie wielkopolskim, pierwszy, t. j. art. 164 musi być małopolskim.

W drugim, t. j. piotrkowskim statucie zostawia p. Helcel dopiéro przytoczony art. 124 Zw. gł. (Bandt. CXXVIII) i art. 150 Zw. gł., t. j. dwudziesty drugi art. statutu piotrkowskiego wydania Bandtkiego. Do czwartego powszechnie obowiązującego statutu przydziela nakoniec tylko art. 79 Zw. gł. (Bandt. LXXXIII), który się w drugiéj połowie kodexu B. IV znajduje i który jak dopiéro powiedzieliśmy oznacza wypadki, w jakich synowie po śmierci matki oddania pewnej części majątkowéj domagać się mogą.

Z tym rozkładem o tyle się zupełnie zgadzamy, o ile art. 150 Zw. gł. w piotrkowskim statucie, art. 102 Zw. gł. w pierwszym małopolskim, art. zaś 79 Zw. gł. w czwartym statucie umieszcza. Wątpieniu albowiem nie podlega, że ostatni ten artykuł do powszechnie obowiązujących policzyć wypada. W każdym innym względzie odstępuje tak daleko ten rozkład od naszego widzenia rzeczy, że zarzuty przeciw niemu walczące już dla naszego usprawiedliwienia podać musimy.

Nie możemy przystać na przydzielenie artykułu 101 Zw. gł. (Bandt. CVI) do pierwszego małopolskiego statutu, ponieważ takie przydzielenie pozbawiałoby Wielkopolskę wszelkiego rozporządzenia w tak ważnym przedmiocie jak są prawa wdowy, i ponieważ artykuł ten, jak wyżéj dowiedliśmy, nietylko przytoczonym, ale i wyraźnie zmodyfikowanym został w artykule II i III statutów warteńskich. A gdyby nawet p. Helcel nie dzielił naszego zdania, że statuta warteńskie są przeważnie wielkopolskiemi; gdyby w nich wiele rozporządzeń wyłącznie małopolskich upatrywał, wątpimy przecież, by twierdził, iż rzeczone statuta aż w reformacyą starowiślickich statutów się wdawały, które jak sam powiada, obejmują po największéj części tylko stare prawo zwyczajowe małopolskie, już Kazimierzowskiemi późniejszemi prawami po największéj części uchylone. Wskażmy nareszcie, iż rzeczony artykuł w drugiéj swéj części zastosowuje do wdów zasadę w art. 79 Zw. gł. (Bandt. LXXXIII)

dla wdowców orzeczoną, t. j. zasadę, iż każdy z rodziców pozostałych, gdy w drugie śluby wstępuje, synom z pierwszego łoża połowę swojego majątku wydzielić jest winien. Skoro więc p. Helcel, i to słusznie, art. 79 do powszechnie obowiązujących policza, powinienby podług naszego zdania i art. 101 umieścić, albo przynajmniéj powtórzyć w czwartym wiślickim statucie.

Jeszcze mniéj przystać możemy na przerzucenie artykułu 164 Zw. gł., t. j. drugiéj części artykułu CVII Bandtkiego do statutu starowiślickiego, kiedy przecież nietylko wszystkie kodeksa statutu piotrkowskiego, jak p. Helcel sam nie zaprzecza, w nim go umieszczają, ale także obydwa teksta polskie wyraźnie w statutach wielkopolskich go podają, a w małopolskich go opuszczają. Prawda, że przystaje prędzéj ten artykuł do pierwszéj części artykułu CVII Bandtkiego, t. j. do artykułu 102 Zw. gł. i zatém prędzéj się z nim razem w jednym statucie mieścić może, niż z artykułem 124 Zw. gł. (Bandt. CXXVIII), z którym jest w najwyraźniejszéj sprzeczności, jak to sami przyznaliśmy. Lecz pomijając, że i pomiędzy artykułami 102 i 164 Zw. gł. także poniekąd sprzeczność zachodzi, argumentacya powyższa nic nie dowodzi, jak tylko, że albo art. 164 artykułem 124, albo drugi pierwszym zreformowanym został i że zatém jeden albo drugi w czwartym powszechnie obowiązującym statucie umieścić wypadało. Oświadczyliśmy się za pierwszém zdaniem, t. j. za umieszczeniem artykułu 164 w statucie wielkopolskim, wyłuszczając wszystkie powody, które nas do tego skłoniły; ale nie przeczymy, że i równie silne argumenta za drugiém zdaniem, mianowicie z statutów warteńskich wyprowadzić można. Można twierdzić, że artykuły VI i VII tych statutów nie zmienienie uchwały wiślickiéj, ale owszem jéj dokładne wykonanie miały na celu i właśnie dlatego wydane zostały, ponieważ szlachta wielkopolska lgnąc do artykułu 124 Zw. gł. przepisy artykułu 164 rozmaitemi fortelami omijać chciała. Można powiedzieć, że gdyby art. 124 Zw. gł. był artykułem późniejszym, Wielkopolanom narzuconym, art. 164 zaś dawniejszym, postanowienia warteńskie przywracając dawniejszy zwyczaj, pewnieby wyraźnie artykuł przytoczyły, który znieść zamierzyły, wcale już o tém nie mówiąc, że w takiém przypuszczeniu nie potrzebowałaby szlachta wiel-

kopolska udawać się do fortelów dla wykluczenia córek od spadkowych nieruchomości.

Ale te argumenta walczą jeszcze daleko silniéj przeciwko rozkładowi rzeczonych artykułów przez p. Helcla przyjętemu, przy którymby nawet artykuły VI i VII warteńskie żadnym sposobem sobie wytłumaczyć nie można. Matactwa, którym te artykuły zapobiedz się starają, przypuszczają poprzednie istnienie prawa wykluczającego córki od spadku nieruchomego ojczystego; nie przyszłyby przeto nawet na myśl Małopolanom, gdyby dla nich tylko przepisy artykułów 102 i 164 Zw. gł., t. j. pierwszéj i drugiéj części artykułu CVII Bandtkiego istniały, t. j. przepisy powołujące córki w braku synów do spadków nieruchomych, pozwalające nawet wyposażać ich majątkami ziemskiemi.

Śmiemy zatém upraszać p. Helcla, aby nie bacząc na kodeks B. IV, albo art. 164 w wielkopolskim statucie zostawił, artykuł zaś 124 do powszechnie obowiązujących policzył, albo przeciwnie, zostawiając ten ostatni w statucie piotrkowskim, artykuł 164 do czwartego statutu wcielił.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Rozrywki dla młodocianego wieku. Dzieło zbiorowe w tomach dziesięciu przez Sewerynę z Żochowskich Pruszakową. Warszawa. 1856 i 1857 r.

Jeżeli jakie pismo czasowe dążnościowe zasługuje na współczucie i ma pole do położenia zasług, to niezawodnie takie, którego celem jest kształcenie umysłu i serca młodych pokoleń. Rodzaj ten dzieł zbiorowych, ma tę wyższość nad pojedyńczemi, że rozmaitością przedmiotów pociąga; wiadomo zaś, jak w naturze młodych leży wstręt do wszystkiego, co jest jednostajném. Przytém dzieła pojedyńcze dla młodego wieku pisane w małéj tylko liczbie mogą być przystępne dla większéj części rodzin; dzieła zaś zbiorowe, jeżeli zwłaszcza cena ich nie jest wygórowaną, mogą się łatwiéj rozpowszechniać. Zdolne one są po pewnym przeciągu czasu istnienia utworzyć same przez się niejako małą biblioteczkę, zastępującą mnogie tomy dzieł oddzielnych. Ażeby jednak moralna korzyść takich publikacyj była osiągniętą, trzeba, żeby dobréj kierującéj myśli dobór artykułów odpowiedział; żeby duchowo kształcący wątek podany był w formie ile możności zajmującéj; słowem, żeby wydawca przyjąwszy za godło: *utile dulci*, wiernym takowemu pozostać starał się i umiał.

Nie jestto rzeczą tak łatwą bawić i uczyć zarazem, wpływać bez widocznych o to usiłowań: poważna dydaktyka musi tu zrzucać swoją ciężką togę i lekkie szaty przywdziewać; rozum podawać rękę imaginacyi; uczucie, odkładając na bok powietrzne barwy, przybierać postać więcéj, że tak powiemy, plastyczną. Jeżeli wszakże takt pedagogiczny niezbędnie tu

jest potrzebnym, to niemniéj także jest ważnym pogląd wolny od uprzedzeń i stanowisko wyższe nad pewne koteryjne i osobiste względy, o które się częstokroć najlepsze chęci rozbijają.

Nikt do pogodzenia tych względów więcéj daru nie ma jak kobieta: ona wrodzonym instynktem macierzyńskim zgaduje, co może być stosownem dla tych, których tą drogą wychowywać pragnie; podobna w tém do ptaszki, z natury świadoméj, jaki pokarm przynieść w dzióbku pisklętom. Jakież teorye, jakież wyrozumowane metody mogą dorównać téj świętéj intuicyi? Kiedy płeć męzka kwestye wychowawcze traktuje *ex cathedra*, i systematyzując owoce swych badań tworzy z nich pedagogiczne kodeksa, kobieta w cichym zakątku domowym obmyśla praktyczne środki kształcenia i wprost idąc do celu, przygotowywa karm pożywną dla ducha.

Z piszących dla młodzieży kilka kobiet u nas w ostatnich czasach niepospolite położyło zasługi i zasług tych niemała część przypada na niwie téj właśnie literatury, o któréj mówimy. Przed 30 laty pierwsza panna Tańska powzięła myśl wydawania *Rozrywek dla dzieci* (1). Wiadomo, jak Rozrywki te wydawane przez 5 lat bez przerwy były przez kraj przyjęte. Dziś jeszcze są one poszukiwane tak, że odpowiednio żądaniom ogółu przy wyczerpaniu pierwszéj, nowa ich edycya przedsięwziętą została. W 1843 roku Paulina Kraków, znana z wdzięcznego i popularnego pióra przewodniczka młodzieży, udała się w ślady panny Tańskiéj, podając młodemu pokoleniu pismo zbiorowe p. t. *Żorza*, którego wydawnictwem zajmowała się wespół z panną Walentyną Trojanowską. Jakkolwiek jednak starania zacnéj redaktorki odpowiadały zamierzonemu celowi,

(1) Wiemy z pewnego źródła, że myśl tę poddał pannie Tańskiéj zmarły niedawno przyjaciel dzieci, Stanisław Jachowicz, który też i sam począł wkrótce potém wydawać codzienne pismo pod tytułem: *Dziennik dla dzieci*. Dziennik ten najzupełniéj zastosowany do wieku dziecinnego, rozpoczęty został z początkiem r. 1830 i w tymże roku przestał wychodzić. Kiedy p. Tańska, widząc powodzenie swoich Rozrywek, dziękowała Jachowiczowi, że ją do tego przedsięwzięcia zachęcił, wtedy on napisał jéj w odpowiedzi wierszyk, który tu przytaczamy:

Ja piérwszą myśl podałem, pani ś wykonała;
I komuż z nas obojga należy się chwała?
Trudnoż zgadnąć, kto większe ma prawo do żniwa,
Czyli ten co chciał zasiać, czy ten co zasiewa?

pismo jéj mniéj było szczęśliwe od pisma jéj poprzedniczki, cieszyło się bowiem tylko jednym rokiem istnienia. Nareszcie w 1856 i 1857 roku pojawiły się odrazu aż dwa pisma zbiorowe dla młodzieży: jedno pod redakcyą Seweryny z Żochowskich Pruszakowéj (1), noszące tytuł: *Rozrywki dla młodocianego wieku*; drugie pod redakcyą Józefy Śmigielskiéj oznaczone tytułem: *Zabawy* przyjemne i pożyteczne dla młodzieży. Pierwszego wyszło 10 tomów w dwóch seryach; drugiego 6 tomów.

Zostawiając sobie rozbiór drugiego na późniéj, na teraz tylko o pierwszém mówić będziemy.

Rozrywki pani Pruszakowéj samym już tytułem pociągają, bo przypominają owe dawniejsze, na których się dziećmi będąc kształciły matki pokolenia, dla którego niniejsze są przeznaczone i pociągają także imieniem redaktorki, która się już tylu pięknemi artykułami literaturze krajowéj przysłużyła; wreszcie podpisanemi na artykułach imionami niektórych autorów i autorek, które ogół zawsze z sympatyą wyczytuje. Szanowna redaktorka nie poprzestała na daniu firmy swemu wydawnictwu, w znacznéj części wsparła je własnemi swemi pracami oryginalnemi lub tłumaczonemi. Wprawdzie w drugiéj dopiéro seryi znajdujemy jéj inicyale, ponieważ jednak o niektórych artykułach bez podpisu z pewnością wiemy, że są jéj pióra, a tyle innych jest opatrzonych podpisami innych autorów i autorek, upoważnieni przeto jesteśmy do wniosku, że wszystkie te, na których brak podpisu, są także jéj płodem a nie kogo innego.

Główną barwą, dającą się w niniejszym zbiorze spostrzegać, jest barwa ściśle religijna. P. Pruszakowa czuje głęboko tę prawdę, że jak praca i oszczędność są podstawą zamożności, tak wiara i pobożność są niezbędnym wszelkiéj moralności warunkiem; że o ile drogiemi nam są rodzinne zabytki i pamiątki, o tyle droższym nam być powinien skarb wiary od przodków naszych przekazanéj. To też większa część artykułów, znajdujących się w jéj Rozrywkach, tę cechę nosi na

(1) P. Pruszakową zachęcił do tego wydawnictwa chlubnie znany w naszéj literaturze F. S. Dmochowski, a nawet, o ile wiemy, miał czynny udział przy wydawaniu piérwszéj seryi.

sobie; wszelka inna dążność maleje w obec téj tak szczytnéj, któréj cel absorbuje w sobie wszelkie dobro, ponieważ wszelkie dobro z niego wypływa.

Rozrywki obejmują: poezye, powieści, listy, opisy podróży, życiorysy, wspomnienia, rozprawy religijno-moralne, wiadomości z historyi naturalnéj; wreszcie niemały ich dział stanowią zarysy literatury polskiéj i zagranicznéj. Przejdźmyż każdą z tych kategoryj po szczególe, a naprzód zacznijmy od poezyi, która z porządku naturalnego zawsze idzie przodem: jak kwiat poprzedza liść i owoc, jak młodość poprzedza wiek dojrzały a imaginacya rozum.

Poetyczny żywioł nietylko co do ilości, ale i co do jakości znakomicie jest reprezentowany w Rozrywkach; liryzm wszakże przemaga: w tym rodzaju najwięcéj spotykamy utworów samejże redaktorki. Pamiętając na to, że kto z Bogiem zaczyna, w łasce Bożéj kończy, p. Pruszakowa rozpoczyna pierwszą seryą wierszem p. t.: „Siejba", którym się modli do Boga, aby błogosławił jéj pracy. Zacytujmy pierwszą i ostatnią strofę ślicznego tego wierszyka:

Błysło świtem zaranie,
Pomrok spada powoli,
Idę z wiarą, o Panie,
Ziarno posiać na roli.

Rzucam ziarno... o Boże!
Ty spuść łaski zdrój;
Wzywam Ciebie w pokorze:
Siew błogosław mój!

Podobnież rozpoczyna seryą drugą wierszem p. t.: „Modlitwa" i drugim: „Sieję proso na zagonie", który kończy tym dwuwierszem:

O! Bóg dobry szczerym chęciom siewcy dopomoże:
Ja też proso na zagonie sieję w Imię Boże!

Dotąd dobra otucha i zaufanie charakteryzują te uczuciowe poezye; czemuż, im daléj ku końcowi, tém więcéj zdaje się nam w nich dostrzegać jakoby zniechęcenia, zwątpienia. W wierszu: „Do rodzinnéj strzechy" (Ser. II. Tom III. Część I) znajdujemy np. takie dwie strofy:

Daremne trudy, daremne żale,
Runie, co z ziemi początek wzięło;
Z jękiem rozniosą powietrzne fale
Poczciwych ojców pobożne dzieło.

O, czyż przynajmniéj Bóg mi dozwoli,
Nim ducha zwątlą zimowe słoty,
Uczcić serdeczną pieśnią niedoli
Próg mój domowy i ojców cnoty?

A daléj (Ser. II. Tom III. Część II) w wierszu p. t. „Skowronek":

Zkąd ci, ptaszku, tyle dumy,
Chcieć piosenką budzić tłumy?
Dość nagrody za twą pracę,
Gdy pierś jedna zakołace,
I na dźwięki twe odpowie
W łzawéj pieśni, cichém słowie.

Albo w wierszu p. t.: „Piosenka" (Ser. II. Tom IV. Część III):

Gdy troska ciśnie, gdy życie boli,
Gdy mgła zaćmiła mi zorze,
Spiewam ja sobie w mojéj niedoli,
Cóż łza daremna pomoże?

Z piosenką jakoś raźniéj i miléj,
Wesele wpływa do ucha;
Gdy śpiewak dumkę zcicha zakwili,
Choć jéj nikt nawet nie słucha.

Podobnież w wierszu p. t.: „Jaskółka w wodzie". (Ser. II. Tom V. Część I):

Może nim błysną słońcem niebiosa,
Oczy do reszty wypije rosa;
Może gdy ciepła wiosna znów tchnie,
Nie zbudzi ptaszki w grobowym śnie.

Albo nareszcie w wierszu p. t.: „Noc". (Ser. II. Tom V. Część II):

Witajże mi nocy tajemna i senna,
Milcząca, poważna, gwiazdami promienna,
Co mrokiem roztaczasz twe światło nie śmiałe,
Na dusze zranione, na serca zbolałe;
Co myśli splątane układasz w ład nowy,
Do tęsknéj żywota dalszego osnowy,
I uczysz, jak człeku, bez światła i słońca
Starganych dni pasmo domotać do końca;
Co wdzięcznie kołyszesz po trudzie i znoju,
I koisz spłakanych pieśniami pokoju.

Któż z nas zaprzeczy piękności tych i tym podobnych utworów? i w czyjém sercu, co już piło z czary żywota, nie znajdzie się struna, coby tym smutnym tonom z lutni poetki nie odpowiedziała współdźwiękiem? ale czy one są na dobie dla młodzieży, to pytanie, na które nie odpowiemy potakująco. Już to w ogólności liryzm, zdaniem naszém, jest rodzajem poezyi mniéj młodzieży przypadającym do smaku, bo jéj jeszcze właściwą jest tylko uczuć synteza, a liryzm jest objawem

uczuciowéj analizy. · Cóż dopiéro, kiedy ta poetyczna analiza dotyka stron życia bolesnych, jego trosk i zawodów, stanu duszy sprowadzonego starciem się już ze światem? Dla młodych jestto jeszcze *terra incognita:* i kiedy człowiek kolejami losu dojrzały znajduje w tych płodach duszy zbolałéj wdzięk i upodobanie, bo w nich spotyka własne dzieje, wstępujący dopiéro w świat i życie pozostaje przy nich obojętny. Na cóż mu zresztą wcześnie psuć dobrą wiarę w przyszłość i odbierać złudzenia, które niestety i tak długo nie trwają?

Najpiękniejszemi z drobnych poezyj p. Pruszakowéj wydały nam się trzy na początku wymienione, tudzież wiersze p. t.: „Prządka", „Gołąbka", „Do pieśni", „Wisła", szczególnie też wiersze poświęcone pamięci Komorowskiego, Jachowicza i Zagórskiego.

Prócz poezyj p. Pruszakowéj znajdujemy jeszcze w tym zbiorze kilka utworów p. Ilnickiéj, jakoto: „Grajek", „Do sióstr moich", i „Siostrzyczki"; parę wierszyków p. Prusieckiéj: „Do młodzieży" i „w Imionniku J. W." wdzięcznych, jak wszystko, co wyszło z pod pióra tych poetek i Deotymy wiersz: „Do zimy polskiéj" wyjęty z poematu: „Piast", nacechowany właściwym téj wieszczce artyzmem. Po ogólnéj apostrofie do zimy, poetka tak się następnie odzywa:

Zimo, twa barwa tak cudownie biała,
Ta barwa dziecka, ta barwa dziewicy,
Najstosowniejsza dla polskiéj ziemicy,
Która oddawna w bieli się kochała.

Tu przytoczywszy różne historyczne zastosowania w Polsce epitetu *biały*, do Wisły, którą zwano niegdyś *Białą wodą*, do Baltyku, który zwano *Białém morzem*, do Wielkopolski, która nosiła niegdyś miano *Białéj Lechii*, do Małopolski zwanéj przed wiekami *Białą Chrobacyą*, do godła, którym był *Orzeł Biały*, do bóstwa zwanego *Białym bohem*, poetka kończy swój wywód następującą strofą:

Istotę łzawą istotę liliową,
Która przy męzkiéj dzikości i mocy,
Powinna jaśnieć jako dzień przy nocy,
Kobiétę, Polak nazwał *białogłową*.

Tak to duch postrzegawczy umié wszędzie znaléźć analogią, a natchnienie ogrzać przedmiot najzimniejszy nawet.

Nie możemy tu także pominąć ładnego wierszyka p. t.: „Dwojaczki" przez Władysławę; wierszyków p. t.: „Szczęść Boże" i „Brat i Siostra", o których dość powiedzieć, że je pisał Lenartowicz: „Do M" Wacława Szymanowskiego, tudzież mistycznéj poezyi p. t.: „Róża duchowa" F. Morawskiego.

Z poezyj większych rozmiarów godnie zajmuje miejsce w Rozrywkach kilka legend po większéj części p. Pruszakowéj, jakoto: „P. Izydor", „O ś. Stanisławie" i „Powódź w Krośnie"; Władysławy: „Sześciu braci pustelników" i Adama Pługa: „Potęga modlitwy i jałmużny". Co do legendy p. Chomętowskiego p. t.: „Wieszczka Lora", sądzimy, że utwór ten jakkolwiek nie bez talentu napisany, kwalifikowałby się do każdego rodzaju pisma prędzéj, jak do Rozrywek dla młodzieży. Toż samo się stosuje i do wiersza p. Cieszkowskiego: „Pogrzeb samobójcy", który ani rozerwać zdoła, ani nauczyć.

Pełnym wzniosłych myśli i religijnego namaszczenia jest za to wiersz p. Ilnickiéj p. t.: „Córka Jeftego", który kończy chór ludu następującą modlitwą:

W piersiach nam, Panie, stwórz serca nowe,
Aby z nas każde, mąż, czy niewiasta,
Starzec, co ginie, dziecię, co wzrasta,
O każdéj chwili było gotowe,
Bez żalu, trwogi, łez i zblednienia,
Na tryumf prawdy, śmierć poświęcenia.

Podobneż zalety lubo w odmiennéj formie, ma i ballada Deotymy p. t.: „Krzyż i Wojak".

Z kolei przychodzi nam tu wspomnieć powiastkę wierszem F. S. Dmochowskiego p.: t. „Powrót starca i powieść osnutą na podaniu ludowém Jana Chęcińskiego p. t.: „Jałmużna". Obie te powieści (drugą nazwalibyśmy raczéj legendą) należą do celniejszych ozdób Rozrywek. Poczciwa, moralna dążność przeprowadzoną jest w obudwu w sposób ze wszech miar zajmujący, wierszem dźwięcznym i niewymuszonym. Pierwszéj tematem jest prawość charakteru, drugiéj miłość bliźniego; pierwsza budzi do obywatelskiéj, druga do chrześciańskiéj cnoty. Powieść p. Chęcińskiego świadczy o niepospolitym talencie młodego poety, ukształconego na najnowszych wzorach. P. F. S. Dmochowski należy do znacznie dawniejszéj szkoły, a jednak w utworze niniejszym pokazał, jak biegle umié stąpać po drodze wytkniętéj przez koryfeuszów poezyi nowoczesnéj.

Jeżeli pierwszemu życzyć tylko można, ażeby nie ustał na tém polu, które się przed nim tak obiecująco otwiera, to drugiemu winniśmy powinszować, iż tam, gdzie inni rdzewieją, on nową reprodukcyą sił znajduje i zamiast czuć potrzebę odpoczynku, czuje w sobie nowy bodziec do czynnéj i skutecznéj pracy w winnicy Pańskiéj na równi z młodszemi pracownikami. Przypomina nam się tu przy téj okazyi wiersz naszego nieśmiertelnego wieszcza:

Sługa Boży pracuje do późnego lata,
Grzesznik tylko zawczasu zamyka się w grobie,
Nim go Pan trąbą straszliwą przebudzi.

Rodzaj gawędowy nie został także pominięty w Rozrywkach; spotykamy tu parę lepszych płodów w tym rodzaju, jakoto: „Kwesta" p. Henryka Cieszkowskiego i „Zaraza" p. Kazimierza Lemańskiego. Przedmiot gawędy p. Cieszkowskiego nie jest wprawdzie nowy, a dykcya jest może nieco za bardzo manierowaną, wiersz wszakże łatwy i potoczysty daje się czytać z przyjemnością. W gawędzie drugiéj przeciwnie widać pewne zaniedbanie co do formy, ale zaniedbanie to znika obok piękności przedmiotu. Ten szlachcic, zaczajający się na wiedźmę morową i jedném cięciem korda ucinający jéj rękę z krwawą chustką, którą już wkładała przez okno do komnaty jego domu; ten szlachcic poświęcający tym sposobem siebie i swoich dla zbawienia ogółu, bo sam z dziećmi pada ofiarą zarazy, ale raz na zawsze kraj swój od niéj uwalnia, cóż to za doskonały obraz polskiego Kurcyusza! cóż to za wspaniała poetyczna postać! Wolimy zaiste takie przykłady poświęcenia, niż słowa najwymowniéj zachęcające do poświęceń.

I o sztuce dramatycznéj nie zapomniała szanowna redaktorka Rozrywek: z dziedziny téj dała nam dwie prace własne: jednę wierszem, p. t.: „Olsztyn", drugą prozą p. t.: „Nowy Rok" i komedyjkę p. t.: „Halina z Prądnika", p. Lucynę C. Obadwa utwory swoje nazwała obrazkami dramatycznemi i rzeczywiście pierwszy z nich nie jest czém inném jak obrazkiem, ale obrazkiem mogącym śmiało iść na wystawę, gdyby na taki rodzaj obrazków była wystawa. Treść jego jest historyczna i odnosi się do epoki, w któréj olsztyński zamek jednocześnie z Częstochową bronioną przez Kordeckiego, oblężony został przez Szwedów. Nie szło autorce o efekta, ale o oddanie prawdy

historycznéj, o wyrażenie zapału i uczuć dla wiary, ojczyzny i króla, ożywiających mieszkańców olsztyńskiego zamku, na scenę wprowadzonych w obec groźnego nieprzyjaciela. I wywiązała się z tego z właściwą sobie zdolnością. Niektóre ustępy prawdziwie męzką siłą są nacechowane, jak np. ten, w którym Bylina, towarzysz znaku chorągwi królewskiéj, przybyły do zamku, opisuje krytyczne położenie kraju:

Czas bracia, czas wielki!
Domu naszego zachwiały się belki:
Kraków już w gruzach, Poznań i Warszawa
Drżą pod żelaznem ramieniem Gustawa.
Już Brandeburczyk jak sęp wlepił oczy
W kraj wielkopolski, a Jerzy Rakoczy
Zaostrza zęby na chrobackie wzgórza!
Wnet z Siedmiogrodu spadnie tu, jak burza,
Janusz Radziwiłł, dłoń Szwedom przychylną
Kornie jak żebrak wyciąga po Wilno.
Już resztki naszéj puścizny bogatéj,
Zwycięzką ręką drze Gustaw na szmaty.
Bogdan z kozactwem przewodzi w Lublinie;
Kraj cały zmienion w stepy i pustynie.
Widziałem, bracia, smutne zgorzeliska,
W kościołach płomień biesiadniczy błyska,
Z ust do ust krążą kościelne kielichy,
Szwed świętokradzca, pełen grzecznéj pychy,
Z naszych świętości urąga bluźnierczo!
Rzędem przy drodze szubienice sterczą,
Jak drogoskazy, a wiatr w nocną ciszę
Wyschłemi trupy z szelestem kołysze:
Trupy-to naszych obrońców i braci!

W innym rodzaju jest obrazek p. t. „Nowy Rok,“ któryby komedyjką nazwać można, bo mieści w sobie pewne warunki dramatycznéj całości. Osnuty na tle obyczajowém, krótki ten dramacik dziwny ma wdzięk, i po przeczytaniu niezatarte musi sprawić wrażenie na sercach młodych czytelników. W tym sposobie rzucone ziarna niezawodnie się przyjmują i żałować przychodzi, że p. Pruszakowa tak umiejąc pisać, większą liczbą takich utworów nie przysługuje się młodzieży.

Co do Haliny z Prądnika; przedmiot jéj szczęśliwie był pomyślany, i mógł był ją uczynić nader zajmującą, gdyby był został bardziéj rozwinięty. Szkoda, że autorka, która jak widać z téj próby ma piękne i wprawne pióro, ujęła rzecz wzbyt

ciasne ramy, i w dwóch tylko krótkich aktach zawarła to, co mogło dostarczyć materyału do trzech a nawet i więcéj. Tym sposobem wszystko w jéj komedyjce wydaje się zbyt przyspieszoném, i rozwiązanie, i akcya i niektóre nawet pojedyńcze okresy.

Na zakończenie tego przeglądu części poetycznéj Rozrywek pozostaje nam rzec słowo o jednym jeszcze nie już obrazku, ale obrazie p. Pruszakowéj p. t. „Kacper Miaskowski.“ Autorka zamierzyła sobie, jak widać, pod ogólnym tytułem „Obrazów przeszłości,“ kreślić postacie ludzi jaśniejących w dziejach naszego narodu cnotami i talentami, albo raczéj wydobywać na jaśnię osobistości mniéj ogółowi znane lub przezeń ocenione, i przedstawiać je w poetycznym przyzmacie. Piewszeństwo w téj mierze dała poetom; jakoż dawniéj już odmalowała nam w podobnym obrazie Sebastyana Klonowicza; obraz niniejszy stanowi niejako *pendant* do tamtego. Dalecy jesteśmy od nieuczczenia w tym utworze znakomitego daru i chwalebnego zamiaru naszéj poetki; przyznajemy, że się wtajemniczyła w przeszłość i uchwyciła charakterystyczne rysy piewcy Zygmuntowskich czasów o tyle, o ile w własnych jego dziełach i w historycznych podaniach wątek znalazła ku temu, wiernie, może nawet zbyt wiernie; że niektóre pojedyńcze ustępy tego poematu nie pozostawiają nic do życzenia; ale i to wyznać musimy, że ogół nie sprawia na nas dość silnego wrażenia, a tém mniéj sprawić go zdoła, mniemamy, na młodych umysłach. Przyczynę tego upatrujemy w formie powiększéj części lirycznéj, w jaką poetka wpada, a do jakiéj natura jéj talentu grawituje. Nigdy w takiéj formie, przy największych jéj pięknościach, żadna postać nie odznaczy się wydatnie. Aby ten cel (konieczny w poemacie historycznym) był osiągnięty, postacie występujące powinny być udrapowane, że tak powiemy, w szatę dramatyczną, która im nadaje, jeżeli nie wypukłość płaskorzeźby, to przynajmniéj życie i koloryt właściwy obrazom olejnym. Ogołocony z tych warunków poemat historyczny, że daléj użyjemy porównania, będzie jakoby poetyczną akwarellą, piękną może, ale zawsze przybladą. Taką właśnie akwarellą wydaje nam się obraz p. Pruszakowéj, o którym mówimy: nie dosyć w nim życia, nie dość pełności, nie dość wyrazistości konturów. Nie wynagradza tego braku ani prawda historyczna, ani rozlany w całym poemacie religijny pierwiastek; bo jak wszystkie cnoty, tak i pobożność bardziéj się podoba

i bardziéj zniewala w czynie, niż w najpiękniejszych apostrofach. Jakkolwiek wszakże przeciwni jesteśmy wprowadzaniu liryzmu w poemata historyczne, absolutnie go w nich nie potępiamy: i owszem, dobry on w nich jest wyjątkowo, w pojedynczych, patetycznych miejscach, gdzie śpiewność naturalnym jest wynikiem podniesionego uczucia: dlatego i w poemacie niniejszym miejsca usprawiedliwiające użycie go, prześlicznie się wydają; i tak np. następne: (Ser. I, tom III, część I., str. 6).

Błogosławiona, o lutni złota,
Śpiewaka piersi niebieska tarczo,
Manno w pustyni głuchéj żywota!
Gdy znojne siły w biegu nie starczą,
Ty łzę dobywasz, jak zdrój ze skały,
Z piersi boleścią w lód skamieniałéj.

Albo cały ostatni śpiew Kacpra (Ser. I. Tom III, część III, str. 309, 310 i 311), kończy się tak:

Już gwiazda mi złota
Spłynęła nad wrota
Stajenki ubogiéj;
Skończony kres drogi,
Kres bolu i prób!
Poglądam bez trwogi
W rozwarty już grób. .
Bo za nim w oddali
Stajenka i żłób.
Pragnienie pierś pali,
Wątleje duch mój;
A tam się kryształi
Nieznany mi zdrój,
Zdrój cudów i łask!
Nad żłobkiem, u bram
Méj gwiazdy lśni blask,
Zbawienie, o tam!
Tam światło, tam moc;
Tu boleść, tu chłód,
Tu ciemność i noc,
Tu praca i trud,
Tu gwoździe tu głóg:
Tam prawda i Bóg!

Czytając te piękne ustępy mimowolnie na myśl przychodzi, jak się muszą cienia piewcy radować, że wzbudził po upływie trzech wieków takie natchnienie, do jakiego sam za życia wznieść się podobno nie był zdolny.

Przejdźmy teraz do artykułów prozą. Ze względu na ważność i rozciągłość przedmiotu położyć winniśmy na ich czele: „Literaturę polską," p. Pruszakowéj. Szanowna autorka tego wstępu, podzielonego na czytania, zapowiedziała na wstępie, że w czytaniach tych poda „zwięzły lecz ile możności zupełny zarys naszéj literatury." Nie dziwimy się wcale, że ją urok przedmiotu pociągnął daleko za granicę zwięzłości i nie pozwolił jéj po-

zostać wierną swemu założeniu. Rozmiłowanie się w rzeczy traktowanéj ma siłę extensywną, wielką, a zwięzłość należy w ogólności do zadań najtrudniejszych. Bądź jak bądź rozpoczęty z pierwszym zeszytem i ciągnący się przez wszystkie, prócz kilku, kurs niniejszy doprowadzony został w ostatnim zeszycie zaledwie do początku XVI wieku, tojest do czasu, w którym piérwsza książka polska została wydrukowaną. Z części nie możemy sądzić o całości, boć przy krytycznym rozbiorze synegdochiczna *pars pro toto* nie może mieć zastosowania: nad tą jednakże częścią, jaką mamy przed sobą, następujące pozwolim sobie zrobić uwagi.

Nic słuszniejszego, jak łączyć literaturę narodu z jego historyą; téj metody trzymali się mniéjwięcéj wszyscy o literaturze piszący; trafnie więc autorka mówi we wstępie (Serya I, tom I, część I, str. 141): „Historya narodu ściśle łączy się z historyą literatury, jedna uzupełnia drugą; nie znając jednéj, nie można mieć dokładnego i o drugiéj pojęcia"; a w inném znowu miejscu (Ser. II, tom I, część III, str. 366): „trudno nakreślić obraz literatury, nie biorąc historyi za podstawę;" ale przy takiém łączeniu należy mieć wzgląd na proporcyą i równowagę tych dwóch pierwiastków. Dla piszącego literaturę, historya staje się rzeczą podrzędną, pomocą tylko, kluczem, ku objaśnieniu różnych faz i kolei, jakie piśmiennictwo przechodziło; powinna przeto w dziele stosunkowo mniéj miejsca zajmować, niż przedmiot główny; tak jak nawzajem w historyi wzmianka o literaturze. Tymczasem w kursie p. Pruszakowéj stosunek ten nie został, zdaje nam się, odpowiednio zachowany. I tak, w seryi drugiéj, na czternaście czytań przypada tylko trzy, w których właściwie mowa jest o literaturze, a reszta poświęcona jest opowiadaniu historycznych wypadków, takich nawet, które nietylko żadnego wpływu na literaturę, ale i żadnego związku z nią mieć nie mogły.

Nie potrzebnie także powiększa rzecz o literaturze *polskiéj* obszerna z cytatami wiadomość o poezyi czeskiéj i serbskiéj, o Królodworskim rękopiśmie, o sądzie Libuszy o Carze Lazarze i Królewiczu Marko i t. p. Są to zaprawdę szczegóły bardzo nas obchodzące i bardzo byłyby na swojém miejscu, gdyby autorka pisała o literaturze słowiańskiéj; w polskiéj są one jakoby obcym przymieszkiem. Inaczéj się rzecz ma z Litwą i Rusią, których polityczne dzieje związane były z polskiemi;

ale Czechy i Serbia, choć jednoplemienne, szły swoją drogą i rozwijały się oddzielnie.

Ne możemy się także zgodzić z autorką na podział literatury przez nią we wstępie podany (Ser. I, tom I, część I, str. 139), tojest na tak nazwaną literaturę *swojską i naśladowniczą*; przez literaturę swojską autorka zdaje się rozumieć literaturę wyłącznie ludową, a przez naśladowniczą tę, która powstała z zapatrywania się na obce wzory. Ale czyliż w literaturze narodu to tylko jest swojskiém co jest ludowém? a to, co powstało z zapatrywania się na obce wzory, koniecznież ma być nie swojskiém? Narody późniéj się rozwijające, postępując na drodze oświaty, przejmować muszą wiele rzeczy od innych, które ich na téj drodze wyprzedziły: jeżeli więc odpowiednio duchowi swemu, przyswoją sobie to, co u drugich znajdą dobrego i pięknego, mniéjże te ich nabytki mają być ich własnemi, swojskiemi? Czyliż Szymonowicza sielanki, że weźmiemy przykład z saméj dziedziny poezyi, należy zaliczyć do literatury nie swojskiéj, dlatego, że ów pisarz poszedł śladem Wirgiliusza i Teokryta? Czyliż bajkom Krasickiego odmówić trzeba miana swojskości, dlatego, że pisane nakształt Fedra? Czyliż wreszcie ojca nowoczesnéj poezyi naszéj, można słusznie nazwać naśladowcą, (tak jak to już dawniéj jeden nasz poważny krytyk uczynił) dlatego, że pierwsze jego utwory, zwłaszcza Dziady, przypominają Szyllera i Goethego? A z drugiéj strony nie należałożby do literatury naśladowniczéj zakwalifikować utwory niezaprzeczenie swojskie, ale niemające wsobie nic oryginalnego i samodzielnego? Niemożna więc bezwarunkowo naśladownictwa stawiać jako opozyt swojskości, a warunkowa możność stawiania go w razie, jeżeli jest ślepém i niewolniczém, nie usprawiedliwia takiego podziału.

Jeżeli jednak takie odróżnienie, takie położenie demarkacyjnéj linii pomiędzy swojskiem a nie swojskiem nie da się wyrozumować w literaturze pięknéj, (a tę jedynie, jak się zdaje, autorka miała na względzie), to tém mniéj da się wyrozumować, kiedy weźmiemy na uwagę inne gałęzie piśmiennictwa, jakiemi są np. historya i literatura powszechna, filozofia, ziemiopisarstwo, podróże i t. d. Tu już zupełnie niewiadomo, do którego z dwóch działów przez autorkę podanych zaliczyćby można płody piśmiennicze: boć nie do literatury ściśle swojskiéj, sko-

ro w nich niéma pierwiastku wyłącznie narodowego; ani do naśladowniczéj, jeżeli są pisane oryginalnie i samodzielnie.

Jedna jeszcze uwaga nastręczyła nam się przy czytaniu wstępu, z którego, w braku całości, możemy powziąć ogólne wyobrażenie o planie dzieła. Autorka przyznaje zasługę wpływu na podniesienie literatury i wyrobienie się języka w wieku XVI nowowiercom, którzy dla upowszechnienia swych zasad zaczęli pisać po polsku (str. 142): i sprawiedliwie, bo to fakt historyczny; ale dlaczegoż przy wzmiance o upadku literatury i pomroku oświaty w ciągu czasów elekcyjnych aż do końca panowania Sasów nie przytacza także zgodnie z historyą powodów, które ten upadek i pomrok sprowadziły? Być może, iż pedagogiczne względy wstrzymały ją od tego; ale względy te nie zdają się nam na właściwém miejscu. Może też powiedzieć coś w téj mierze zamierzyła sobie dopiéro w ciągu samegoż kursu; nie będziemy przeto przesądzać jéj intencyi.

Otóż i wszystko, co naszemu sposobowi widzenia rzeczy w literaturze p. Pruszakowéj nie odpowiedziało: to jednak nie uwłacza ogólnéj wartości téj pracy tak szacownéj. Przekonani jesteśmy, że kurs ten z zajęciem i z pożytkiem przez młodzież będzie czytany: z zajęciem, bo żywość stylu, jasność i urozmaicenie wykładu, podnoszą przedmiot sam z siebie budzący ciekawość; z pożytkiem, bo młodzi czytelnicy znajdą w nim niezawodnie wiele szczegółów uzupełniających to, czego się poprzednio zkądinąd nauczyli. Najlepiéj opracowaném podług nas i najmiléj dającém się czytać jest to, co się mieści w piérwszych trzech tomach piérwszéj seryi, gdzie jest mowa o ludowéj poezyi, o podaniach, pieśniach i przysłowiach.

Z porządku rzeczy wypada nam mówić o filozoficzno a raczéj moralno-religijnych artykułach. Z tych w 2éj seryi Rozrywek mamy jeden znakomity i obszerny, bo ciągnący się przez 11 zeszytów, p. t. „O wpływie niewiasty na społeczeństwo." Jest to wyjątek z dzieł ks. Ventury, przekładu p. Pruszakowéj. Imię autora dostatecznie wskazuje, czego się po tym artykule można spodziewać; i rzeczywiście, nie można dość zalecić ku zbudowaniu nietylko młodych, ale i dojrzałych tego traktatu, nacechowanego głęboko-religijną uczonością, a oddanego czystym i jędrnym językiem. Trudno jaśniéj i dowodniéj wykazać ważność posłannictwa niewiasty, zależność prawdziwéj oświaty od równości jéj praw z prawami płci męzkiéj, zasługi od najda-

wniejszych czasów przez nią w sprawie chrześciaństwa położone: a to wszystko na podstawie słów Pisma Św., Ojców Kościoła i historyi. Ks. Ventura zapatruje się na swój przedmiot ze stanowiska wyższego, popierając swój wykład przykładami żywotów niewiast świętych, męczenniczek, wreszcie cesarzowych i królowych, które się pobożnością i świątobliwością odznaczyły; nie szukajmy przeto w tym artykule niższych zadań kobiéty, w sferze domowéj i obywatelskiéj, jako córki, żony i matki. To ks. Ventura pozostawił pióru ludzi światowych; jego założenie było wznioślejsze, odpowiednie świętemu jego powołaniu i na wysokości tego pozostał.

Podobnym z tytułu, ale różnym co do jakości jest „Urywek z dzieła niedrukowanego, kobietom poświęconego" pani Grzegorzewskiéj, p. t. „Niewiasta w całém znaczeniu swéj moralnéj i umysłowéj istoty," zaczynający się od słów:..., „Pierwszą naszą kobiecego typu kategoryą jest dziewica wszechstronna." Dowiadujemy się z tego urywku, że dziewica wszechstronna gorąco kocha Boga, rodziców, rodzeństwo i kraj; ma chód lekki, głos srebrzysty; jest pomocnikiem matki—sposobiąc się nie wiedząc o tém na czekającą missyę biblijnego pomocnika w rodzinie, jest nauczycielką młodszego rodzeństwa; pod zwierzchnim dozorem matki zarządza śpiżarnią, apteczką, kassą ubogich, szpitalem *jeżeli jest*.... przyprawia konfitury; nie ma nauki, nie ma sztuki, któraby jéj była obcą, idzie od nauki języków do szycia bielizny, od chemicznych doświadczeń do szycia grubych koszul dla ubogich; pierwszeństwo daje poezyi szkoły włoskiéj a następnie niemieckiéj i angielskiéj; nie może znosić w Francuzach braku oryginalności, prostoty rodzinnego pierwiastku... unika sławy i rozgłosu jak ognia—nie kocha się... jeżeli Opatrzność *pozwoli jéj spotkać tego, którego jéj przeznaczyła*, bierze go bez koniecznego i a priori powziętego projektu zmiany stanu—i staje się... biblijnym pomocnikem—kobietą wszechstronną." Bardzo-śmy radzi spotykać w pismach przeznaczonych dla młodzieży artykuły z praktyczną dążnością, i nikt bardziéj od nas nie jest większym nieprzyjacielem jednostronności; wątpimy jednak, aby taki ideał wszechstronności, jaki p. Grzegorzewska wymarzyła, mógł być do urzeczywistnienia.

Filozoficzno-moralnéj treści są także listy ś. p. pułkownika Paszkowskiego, do redaktorki pisane. Któż z tych, co znali ś. p.

pułkownika, nie pozna go w tych listach? kto przypomniawszy go sobie nie odczyta z rozrzewnieniem, z łzą w oku, tych kart, z których on tak wymownie, właściwie sobie przemawia? Ten to sam styl zwięzły, dosadny, ta sama forma niezwyczajna, często hiperboliczna, w którą obwiniętych poczciwych myśli w chwilach większego ożywienia tak rado z ust jego słuchaliśmy. Choć więc niniejsze listy dla wszystkich młodych czytelników nie będą może przystępne, ci z nich, co znali ś. p. pułkownika, a znajdzie się ich liczba niemała, przyjmą z słodkiém uczuciem i wdzięcznością ich ogłoszenia.

Dotknąwszy już materyi listów, wyczerpmyż ją ile możności. Za przykładem panny Tańskiéj p. Pruszakowa poświęciła temu działowi nie mało miejsca w swych Rozrywkach. Naprzód idą listy z Warszawy z podpisem Joanny, pięknie napisane i pełne ciekawych szczegółów, nawet dla tych, co stale w Warszawie mieszkają. Opisy miejsc, jakoto: fary, kościoła Reformatów, Święto-Krzyskiego, Czerniakowskiego, i znajdujących się tam zabytków, o których mało kto z odwiedzających te kościoły wié zapewne, ogrodu Saskiego, instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych i t. d. przeplecione są historycznemi wspomnieniami, zajmującemi pogadankami, oraz trafnemi przytoczeniami i uwagami. Listy te więc niezaprzeczenie odpowiadają ze wszech miar swemu przeznaczeniu. Toż samo możemy powiedzieć i o „Listach z podróży (jeden z Częstochowy, a sześć z Krakowa) pisanych, jak się zdaje przez p. Pruszakową, i tém bardziéj, że w tych listach podanych jest nierównie więcéj szczegółów jak w tamtych. Pani Pruszakowa z miłością rzeczy rodzinnych, z bystrością postrzegania, przy pomocy dzieł Ambrożego Grabowskiego, Mączyńskiego i Łepkowskiego, na które się powołuje (Ser. II, tom II, część III, str. 290) przebiegała starożytny gród Piastów i jego okolice, i śmiało można powiedzieć, że co tylko tam jest ważniejszego i godniejszego wspomnienia, to pewnie uwagi jéj nie uszło i w listach jéj pominiętém nie zostało. Czytanie tych rzeczy przyniesie szacowną korzyść młodzieży, zwłaszcza téj, która już była w Krakowie, bo dowiadując się o niejednéj nowości, będzie ją mogła odnieść do rzeczy już wiadomych i z niemi ją powiązać.

Z serdecznem współczuciem powitaliśmy także w seryi pierwszéj Listy p. Hoffmanowéj, pisane do przyjaciołki, pani Katarzyny L... Dosyć wiedzieć, przez kogo były pisane i do kogo,

aby każdy wyraz w nich zawarty tém większéj nabrał ceny. Chociażby jednak pełne uroku imię korrespondentki nie było wymienione na czele, łatwoby je było odgadnąć po przeczytaniu piérwszego zaraz listu; bo jeżeli gdzie to zdanie: *le style c'est l'homme* okazuje się prawdziwém, to niezawodnie w listach, w tém poufném wyrażeniu myśli i uczuć, a w wyrażeniu tego właśnie pióro ś. p. Hoffmanowéj, pod względem prostoty, słodyczy i wdzięku nie znajdzie sobie równego. „Dzięki jéj, (p. Katarzynie L...)" pisze szanowna redaktorka we wstępie do tych listów, „młodzież usłyszy raz jeszcze z po za grobu, uroczе słowo téj, która wypiastowała w duchu całe obecne pokolenie kobiét polskich"; a my dodamy do tego: dzięki jéj (redaktorce), że wpływem swoim wydobyła te listy z teki przyjacielskiéj i podała je, jako drogą po swojéj poprzedniczce pamiątkę i wzór pisania listów młodszemu pokoleniu, które sama w duchu piastuje.

Znaczną rubrykę w dziale, o którym mówimy, stanowią listy panny Bremer, słynnéj autorki szwedzkiéj o Ameryce. Obfity to materyał dla wiedzy nietylko młodych ale i starszych czytelników. Panna Bremer opisując domowe życie w Ameryce, odsłania strony mało jeszcze znane społeczeństwa Nowego Świata, zapatruje się krytycznie na tameczną cywilizacyą, roztrząsa kwestye falansterów, emancypacyi kobiét, niewolnictwa i t. p., podaje ciekawe wiadomości o pierwszych tamecznych osadnikach, jakoto; o ojcach pielgrzymach (angielskich purytanach), o Foksie i Kwakrach, o ojcu Marguette, Ferdynandzie Sotto, Oglethropie; o różnych sektach, jakoto: Swedenborgistów, Mormonów, drżących, nurków; o pokoleniach dzikich Indyan; o szczególnych miejscowych instytucyach; zapoznaje nas z sławnemi literatami i literatkami, pomiędzy któremi przód trzymają, filozofowie: Emerson i Alkolt; poeci: Lovell i Longfellow; panny Sedgewick, Lynch i Fuller; kreśli malownicze obrazy pojedynczych miejscowości, niezapominając o szczegółach ze zwierzęcego i roślinnego świata. Przekład tych listów zapełnia lukę w naszéj literaturze, bo dotąd bardzo mało mamy w polskim języku książek, z którychby o amerykańskiem społeczeństwie, życiu i stosunkach powziąć można było wyobrażenie, (pisząc to mamy na myśli przekłady, niektórych tylko powieści, jakoto: Coopera, Dickensa, Irwinga i Chaty wuja Tom p. Beecher Stove w skróceniu), i bardzo byłoby pożądaném,

gdyby kto te listy, składające się z trzech tomów, w całkowitości naszéj literaturze przyswoił.

Słodki wiązarek przyniosła redaktorka czytelnikom swoim w dwóch „Listach matki do córki o tegoczesnéj poezyi," obejmujących wyimki z „Drobnych poezyi Pola," przeplecione opowiadaniem prozą. Bylibyśmy byli radzi znaleźć w tych listach trochę rozbiorowego ocenienia piękności tego bukietu, wonnego wszystkiemi zapachami pól i łąk naszych, ale wyrozumiewamy brak tego już ze względu na powody, które autorka na początku pierwszego listu przytoczyła, już ze względu na inne, nie mające z jéj osobistością związku. Nie możemy tylko usprawiedliwić takiego np. wyrażenia: „Dla mnie czytanie straciłoby niewątpliwie połowę uroku, gdybym zasiadała do książki ze złą wolą podchwytywania autora na najmniejszym błędzie: gdybym postanowiła, nie przepuścić mu najmniejszego usterku." Czyliż taka ostateczność jest przy krytyczném czytaniu nieuchronną? Dlaczegoż krytyk ma koniecznie siadać z złą wolą do czytania, a nie z miłością prawdy? jeżeli zaś z tą zasiędzie, dlaczegoż czytanie ma dlań stracić urok? Czyliż zresztą w każdym razie niebezpieczeństwo takiéj ostateczności może grozić, mówiąc o poezyach Pola? Zaprawdę sądzimy, że najbardziéj żółciowy Zoil musiałby tu pióro w miodzie umaczać.

Winniśmy w końcu nadmienić o jednéj jeszcze korrespondencyi w Rozrywkach umieszczonéj, to jest o liście F. S. Dmochowskiego do redaktorki. List ten, mający na celu sprostowanie wyobrażenia, jakie młodsza generacya z objawianych po pismach mniéj korzystnych zdań o zasługach dawniejszych pisarzy powziąć może, znalazł już, o ile wiemy, przeciwników utrzymujących, że w Rozrywkach mógł być opuszczony. Co do nas sądzimy, że rzecz traktowana przez p. Dmochowskiego w liście, o którym mówimy, jest właśnie kwalifikującą się bardzo do pisma dla młodzieży przeznaczonego. Kto z blizka miał sposobność przekonać się, jak dzisiejsza młodzież nasza, paląc kadzidła nowym bogom, za wpływem organów kierujących opinią, przywykła lekceważyć prace i zasługi literatów zeszłéj epoki, temu się smutno robi na sercu, że tym sposobem zacne usiłowania przodków i poprzedników, zostają przez wnuków i następców zapomniane a nawet poniewierane. Któż zresztą nie widzi, że lekceważenia takiego, bez wyrobionego samoistnego sądu, tylko *in verba magistrorum*, naturalną konsekwencyą jest zarozumiałość

i lekceważenie w ogólności starszych? I czyliż nic jest ważném pedagogiczném zadaniem przeciw takiemu złemu oddziaływać? Odwołujemy się w tém do zdania światłych rodziców i przewodników młodzieży.

Przechodzimy teraz do najcelniejszego działu, tojest do artykułów w rodzaju powieściowym. Najcelniejszym go nazywamy, bo powieść ma to do siebie, że najchętniéj będąc czytaną, najłatwiéj może zaszczepiać dobre w sercach i wrażać użyteczne w pamięć młodych czytelników: najcelniejszym go téż uczyniła i redaktorka, bo czując wpływową jego ważność, postarała się go szczodrze zapełnić. Jakoż znajdujemy w Rozrywkach oprócz właściwych powieści, wiele obrazów, obrazków i wspomnień, dających się pod tę kategoryą podciągnąć. Szczupłość miejsca nie pozwala nam się zastanawiać nad każdym z tych artykułów w szczególności, weźmiemy tylko na uwagę większe a najprzód dwie powieści obyczajowe: „Pamiętnik rodzinny p. Pruszakowéj i „Dwie dole“ Lucyny Mieroszewskiéj. Powieści te nie mają żadnéj wyłącznéj tendencyi, tylko ogólną: skierowania na drodze życia. Jak jedna tak druga nie jest już, ściśle biorąc, dla młodocianego wieku, pod którym rozumiemy wiek po wyjściu dopiéro co z dzieciństwa, ale dla młodych panien, już skończonych, a nawet młodych mężatek, obie wielce są stosownémi. Piérwsza obejmuje dzieje rodzinnego pożycia młodéj osoby, spisywane przez nią samą w sposobie pamiętnika, od jéj pójścia za mąż aż do czasu, w którym sama córką swoją za mąż wydała. Niema w tém nic nadzwyczajnego, a jednak wszystko nadzwyczaj zajmuje; nie ma uderzających charakterów, ale uderzającą jest naturalność, z jaką skreślone zostały te, które tam spotykamy. Cóż to za przedziwny, nieoszacowany charakter téj staréj ciotki, co przy każdéj sposobności młode małżeństwo praktycznemi uwagami zasila, tego ojca poważnego a tak delikatnego, co przy każdéj ważniejszéj kwestyi z młodemi małżonkami filozofuje o życiu! Ileż tam trafnych przestróg, zdrowych wskazówek co do prowadzenia domu, co do wychowania dzieci, co do wzajemnego znoszenia się! ile poezyi! nie téj odśrodkowéj, co go ni cel jakiś po za obrębem możliwości i utyskuje, nie mogąc go dosiądz, ale téj dośrodkowéj, wnikającéj w życie, co stroi zarówno róże i ciernie, pomyślność i przeciwność. W niczém tam przesady, nawet w cnotach. Uczucia nie przechodzą tam w sen-

tymentalność, pobożność w bigoteryą, rozsądek w pedanteryą a praktyczność w materyalizm: słowem, wszystko w tej powieści układa się harmonijnie, wszystko się wiąże lub prostuje ku doskonałości i tyle w niéj jest wdzięku, tyle ciepła i prawdy, że się oderwać od czytania jéj nie można, a po przeczytaniu długo jeszcze lube pozostaje wrażenie. Druga, tojest: „Dwie dole", zbliża się do niéj, ale jéj bogactwem treści nie dorównywa. Dwie przyjaciołki lat dziecinnych już zamężne, spotkawszy się po długiém rozłączeniu, opowiadają sobie nawzajem przebyte koleje życia: są to więc właściwie dwie powieści, opowiadane przez dwie osoby, które się znajdowały w odmiennych warunkach położenia. Pierwsza rozwijając się pod wpływem przyjaźniejszych okoliczności, mniéj była winna sobie a więcéj losowi, ztąd téż mniéj budzi sympatyi i historya jéj mniéj w sobie mieści wątku nauczającego, niż drugiéj, która od dzieciństwa w walce z przeciwnościami wyrabiała się i moralnie kształciła. Ostatnie zwłaszcza stadium życia téj ostatniéj, po wyjściu za mąż, pasowanie się jéj serca z obowiązkami, aż nareszcie wolą i religią zdobyła rezygnacyą i spokój, ze wszechmiar jest interesujące i budujące.

Powieści p. t.: „Wieczór tańcujący" bez podpisu i „Gwiazdka" p. F. Czerm. moralnym wątkiem jest miłość bliźniego, a bohaterkami w nich są panienki, które z pieniędzy danych im od ojca robią ofiarę na cel dobroczynny, zamiast je użyć na marne uciechy. Przedmiot to powtarzający się dość często, bo nawet w Rozrywkach znajduje się jeszcze w jedném miejscu coś podobnego, tojest w obrazku p. t. „Nowy Rok". To jednakże zarzutu nie stanowi, bo jak z jednéj strony w utworach piśmiennych trudno już teraz o coś zupełnie nowego, tak z drugiéj rzecz najzwyczajniejsza może mieć nawet wysoką wartość, jeżeli jest z talentem przedstawiona. Odmówić tego nie można niniejszym dwom powieściom; czytając je umarzamy reminiscencye; szlachetność przedmiotu i obrobienie pociąga nas i mimowolnie przychodzi na myśl, że nie jedna z młodych panienek, zachęcona pięknym przykładem Mani i Maryni, pospieszy ich śladem. W drugiéj z tych dwóch powieści spotykamy dobrze nam niegdyś znaną postać doktora Kincla, zmarłego przed niedawnym czasem w Dreznie. Zacność charakteru tego lekarza filantropa, który współcześnie z Czekierskim używał był w naszém mieście wielkiéj wziętości, okazaną tu jest w je-

dnym tylko czynie; czynów takich, a sami znamy ich więcéj, dałoby się wymienić niemało. Dobrzeby to było, gdyby kto świadomy zebrał je i w życiorysie podał do wiadomości ogółu.

Talent Jana Kantego Gregorowicza znany jest i uznany; skoro więc powiemy, że w Rozrywkach mieści się jeden z jego „Obrazków Wiejskich" p. t.: „Góry sieroce", to jużeśmy wszystko o tym obrazku powiedzieli. Kiedy uważymy, jak wiele umoralnienie wiejskiego ludu zależy od panów; jak święty jest ich obowiązek naturalnego tego wpływu używać na dobre: tedy musimy przyznać p. Gregorowiczowi wielką zasługę, (co zresztą uczynili już kompetentniejsi sędziowie), iż w takich jak niniejszy obrazkach zwraca na to uwagę, i w tak popularny sposób przeprowadza jedną z najżywotniejszych, kardynalnych kwestyj. Czyj duch egoizmem spaczony, kto w sercu nie ma miłości, tego naturalnie obrazki p. Gregorowicza patryarchalnością nie natchną; ale młode pokolenie, kształcące się dopiéro duchowo i uczuciowo, łatwo w nich może znaléźć szlachetny bodziec do czynu, gdy z czasem do kierowania młodszą swoją bracią będzie powołane.

Do piękniejszych powiastek zaliczamy także następujące: „Wilia Bożego Narodzenia" przez p. Paulinę z L. Wilkońską; „Ostrzeżenie" przez autorkę w Imię Boże!; „Wpływ towarzystwa w młodym wieku" przez W.; „Skarb życia" przez Władysławę i „Czteroszybowe okienko" przez Antoninę M.

Na tle historycznem osnutych powieści właściwie nie ma w Rozrywkach, tylko historyczne obrazy i wspomnienia. Najbardziéj się do powieści zbliżają: „Opowiadania dębów" legenda przez A. B. i „Franciszek Karpiński" obrazek przeszłości p. Pruszakowéj. Przy pierwszéj zadalibyśmy sobie pytanie, dlaczego koniecznie dąb nam tę historyą opowiada, gdybyśmy nie wiedzieli, że w podaniach ludowych, jak i w ogólności w poezyi, przemawiają i drzewa. Ale nawet z poetycznego stanowiska biorąc, sądzilibyśmy, że drzewa mogą opowiadać tylko to, czego były świadkami; dąb zaś w niniejszéj legendzie wezwany na początku, aby mówił o przeszłości miejsca, na którém stoi, opowiada i takie rzeczy, które się działy zdaleka od niego, bo w Krakowie. Nie wiemy, czy tak stoi w podaniu ludowém; cóżkolwiek bądź nie wahamy się przyznać, że ów wiekowy starzec z pustyni ś. Salomei wymownie rzecz swą opowiedział. O Franciszku Karpińskim wiele już dotąd pisano;

ale to były tylko życiorysy; jeden taki przypominamy sobie w Rozrywkach p. Tańskiéj; drugi p. Kazimierza Brodzińskiego pisany we wstępie do dzieł kochanka Justyny, wydanych w roku 1830; trzeci w Życiorysach znakomitych ludzi, wydanych w roku 1850 przez K. Wł. Wójcickiego. Zasługą jest p. Pruszakowéj, iż nam tu rzewnego poetę Stanisławowskich czasów żywo i dramatycznie przedstawiła. Sam on tu mówi i działa, a w mowie i w czynie nie zaprzecza sobie i téj tradycyi, która po nim pozostała. Młodzież lgnie do takich obrazków i lepiéj zaiste uczy się z nich poznawać znakomitych mężów, niż z najobszerniejszych biografij. W podobnym sposobie skreślony mamy w Rozrywkach i drugi obrazek p. t. „Kilka chwil z życia artysty", jak się zdaje także przez p. Pruszakową.

Co do wspomnień historycznych moglibyśmy w sprawozdaniu naszém ograniczyć się na prostém wymienieniu ich tytułów, z tą ogólną wzmianką, że wszystkie pięknie są napisane i z małemi wyjątkami odpowiadają swemu przeznaczeniu; trudno bowiem któremu z nich przyznać wyższość nad drugiemi, tak są do siebie po większéj części nietylko treścią, ale i stylem podobne. Odjąwszy krótkie wspomnienie K. Wł. Wójcickiego p. t. „Helena Krępianka", „Wspomnienia z przeszłości" Pauliny z L. Wilkońskiéj, „Stefan Batory w Rydze" przez A. B. i „Dzieci Maryi Leszczyńskiéj", jak się zdaje p. Pruszakowéj, wszystkie inne prawie zdają się jakby jednego pióra, choć są przez różne osoby pisane i wszystkie odnoszą się do jednéj historycznéj epoki. I tak mamy wspomnienia p. t.: „Jadwiga Jagiellonka" i „Anna Jagiellonka przez Bronisławę; „Katarzyna Jagiellonka" przez A. B.; „Matka królów", „Trzy małżonki Władysława Jagiełły" i „Jadwiga Jagiellonka, księżna bawarska", niewymienionego autora. Wszystko to są bardzo ciekawe i nauczające przedmioty do czytania, a lubo przykłady królowych i osób z krwi królewskiéj, jako będących w położeniu wyjątkowém, dla znacznéj większości trudnemi są do naśladowania, przecież i młodzież niższych sfer społecznych może z nich zawsze coś zaczerpnąć do zastosowania w życiu. Jest wszakże pewna ujemna strona niektórych z tych wspomnień, którycheśmy tu z tytułu nie wymienili, strona, któréj-eśmy dostrzegli tu i owdzie i w innych artykułach, a o któréj z żalem przychodzi nam tu wspomnieć. Chcemy mówić o pewnym wyłącznym prozelitycznym kierunku, jaki się w tych artykułach

objawia. Czyliż historya, chociażby nic więcéj, nie wskazuje, jak zdrożnym jest taki kierunek? i trzebaż, ażebyśmy dzisiaj po doświadczeniu lat i wśród głoszonego postępu wstecz się pod tym względem cofali, i dzieciom naszym podawali żagiew niechęci, zamiast palmy pokoju? Przy kim jest dobra sprawa i prawda, ten ma i siłę, która nie potrzebuje występować orężnie, bo moralna jéj potęga ma w sobie warunki istnienia i panowania. Miłość bliźniego, duch ofiary i pokora, oto najpiękniejsze cnoty, oto broń, która piérwszym chrześcianom tryumf ich wiary wywalczyła: uciekać się do innéj, nie jestżeto jakoby przyznawać im, że w nas już owe cnoty osłabły? Nie będziemy już daléj rozszerzać się w téj materyi; nadmienimy tylko, że coś takiego, jak: „Wspomnienie z r. 1560 i 1639“, zamiast zbudowania, w wysokim stopniu gorycz tylko sprawia.

Do wspomnień nie już historycznych, ale z domowéj sfery należy: „Przypomnienie świąt wielkanocnych“ czyli „Święcone w okolicy Stoki“ przez pułk. Paszkowskiego. Takim wspomnieniom należy się tkliwe nawzajem wspomnienie: „Śmieszy mnie to, moje dzieci“, pisze czcigodny autor (Ser. I, tom I, część I, str. 95), kiedy słyszę chwalącego się pisarza, że on *odtwarza* przeszłość: niby to słowami można nawrócić do dawnego życia“. Téj myśli nie możemy podzielić czytając niniejsze wspomnienie, bo autor, nie wierzący w możność odtwarzania słowami przeszłości, sam niemi tak odtworzył swoją, iż nam się zdaje, jakbyśmy ją razem z nim przebyli. Z rzewném uczuciem podzielamy rzewność jego przypomnień, téj przeszłości drogiéj dla starca, o któréj się tak trafnie (tamże) wyraził: „Opatrzność na dwóch krańcach naszego żywota raj nam wskazała: w *przyszłości* i w *przeszłości*, a temi są dla młodych: *nadzieja*, dla starych *wspomnienie*. Niech się więc święci to święcone! Myśmy je w duchu z wdzięcznością spożyli, a młodzież czytając jego opis, poweźmie w każdym razie przynajmniéj wyobrażenie, jak się to dawniéj obchodziła Wielkanoc.

Winniśmy tu wreszcie wymienić: „Magerówkę i Sobótki“ panny Józefy Prusieckiéj. Jestto wspomnienie pobytu u wód w Solcu i wycieczki do góry zwanéj Magerówka, gdzie autorka artykułu obecną była przy paleniu Sobótek. Wielka łatwość, wdzięk i naturalność wysłowienia znamionują ten artykuł, a na końcu zamieszczony wierszyk tak jest składny i udatny, że mógłby ujść za płód najgłośniejszego pióra.

Pomówmy teraz o Życiorysach, pomiędzy któremi natrafiamy jeszcze raz na wspomnienia. Obszerny ten dział obejmuje artykuły o znakomitych ludziach naszych i obcych, o świętych, błogosławionych lub świątobliwych, wreszcie o profanach, oryginalne i tłumaczone. Na czele winniśmy położyć artykuły tłumaczone z dzieł ks. Ventury: O ś. Genowefie, ś. Katarzynie, Joannie d'Arc i Maryi Stuart. Daléj idą: „Wspomnienia świątobliwego żywota" i „Błogosławiony Andrzej Żurawek" przez A. B. Są to artykuły wielce poważne i zbawienny pokarm duchowy przynieść mogące. Do oddzielnéj kategoryi należą: Wspomnienia o siostrze Klarze i o siostrze Rózalii; życiorys ks. Jakóba Falkowskiego przez p. Pruszakową, tudzież Wspomnienie o starościance Polanowskiéj przez H. z hr. D. R. W czterech tych artykułach miłość bliźniego jasnemi świeci promieniami. Daj Boże, aby wpływ ich nie został bezowocnym i zdołał rozgrzać serca młodych samolubów, jakich niestety, dziś jeszcze spotykamy niemało! Co do życiorysu ks. Falkowskiego ma on jeszcze i tę wartość, że mieści w sobie nauczającą szczegółową wiadomość o powstaniu instytutu głuchoniemych i ociemniałych w Warszawie, w uzupełnieniu téj, jaka poprzednio w listach z Warszawy została podaną. Witamy następnie Wspomnienie o Wicie Stwoszu, wzbogacone pięknemi wyjątkami z Wincentego Pola; „Rys życia kapłana poety (Krasickiego) przez Władysławę i „Jeden ustęp z życia poety (Brodzińskiego) przez p. Sabinę z G. G. Jakżebyśmy byli rądzi ujrzéć tych dwóch poetów naszych w podobnych szatach tym, w jakich się nam ukazał Karpiński! Ale takie szaty skrajać nie każdemu i nie zawsze się udaje. Wreszcie czego można dokazać w powieści, tego w życiorysie nie można. Co do artykułu o Brodzińskim niewłaściwie został on ochrzczony mianem *Jednego ustępu z życia poety*, skoro się w nim mieści nieledwie cała poety biografia. Rozprawa zaś o klassycyzmie i romantyzmie umieszczona na końcu tego tak nazwanego ustępu, w każdym razie jak na taki artykuł wydaje się nam za obszerną i za uczoną.

Jest jeszcze w dziale, o którym mówimy „Słówko o Stanisławie Jachowiczu" przez p. Ziemęcką; wzruszający życiorys ś. p. Karoliny Skibickiéj, téj młodéj dziewicy, nadzwyczajnych przymiotów i nadziei, tak wcześnie śmiercią rodzinie wydartéj, dopełniony listami tejże, w których się ta czysta, anielska dusza,

tak uroczo maluje, i krótkie wspomnienie – poświęcone pamięci ś. p. Ksawery Garbińskiéj.

Zamkniemy to wyszczególnienie wzmianką o dwóch jeszcze ciekawych życiorysach ludzi, mających europejską sławę, tojest Emila Souvestre, którego zarazem trzy ładne powieści w przekładzie udzieliła nam p. Pruszakowa w Rozrywkach, i Fryderyka Ozanama, z którego dzieł wyjątki p. t. „O poezyi włoskiéj w średnich wiekach, jako źródle do Boskiéj komedyi Danta," podaliśmy w piśmie naszém w r. 1857, a którego podróż po Hiszpanii p. t.: „Wycieczka do krainy Cyda," z przyjemnością czytamy w dalszym ciągu Rozrywek.

Wiadomo, jak użytecznem jest dla młodzieży czytanie podróży. Jeżeli samo ich odbywanie uważaném jest, i słusznie, jako dokończające edukacyi, to czytanie tych, które inni odbyli, uważaném być może jako surrogat tamtego dla tych, co nie mają sposobności i środków do podróżowania sami. Jeżeli zaś opisy podróży czynione są przez osoby już wytrawne, a zwłaszcza wysoko ukształcone, jeżeli są owocem głębokich studyów ludzi i rzeczy, to twierdzić można, że czytanie ich większą jeszcze korzyść zapewnić może, niż same podróże odbywane bez wyrobionego już sądu lub bez przewodnika. Rozrywki p. Pruszakowéj czynią zadość i téj potrzebie. Wspomnieliśmy już pod kategoryą listów o umieszczonych w tym zbiorze podróżach po Ameryce panny Bremer, a dopiéro co, przy wzmiance o Ozanamie o podróżach tego znakomitego francuzkiego pisarza po Hiszpanii. Różny jest ich charakter i koloryt, bo też i świat w nich opisywany jest najzupełniéj różny. Tam wszystko młodém tchnie życiem, ale to życie dopiéro wegetacyjne, dążące do zaspokojenia potrzeb materyi; tu wszystko jakoby zastałe, spoczywa na pamiątkach przeszłości. Ale jakże te pamiątki są wspaniałe, jak szczytne i wymowne! jaki z nich duch wieje! duch bohaterstwa i wielkości, którego (odłożywszy na bok Waszyngtona i wojnę o niepodległość) napróżnobyśmy w Ameryce szukali. W wyjątkowém kole, w jakiém się panna Bremer dzięki swojéj sławie znalazła, jaśniejące pojedyńcze wyższości są zjawiskami intelligencyi, ale pod względem ducha nic tam prawdziwie wyższego nie prześwieca. Zresztą panna Bremer zajmuje się głównie opisaniem domowego życia mieszkańców Nowego Świata, podaje to, co widziała i pobieżnie tylko czyni nad tém uwagi. Ozanam zapatruje się na Hiszpanią z historyczne-

go stanowiska, wszystko, co spotyka, odnosi do dawnych czasów wielkości i chwały, i reflektuje nad tém z całą głębokością chrześciańskiego filozofa. Ztąd jego opisy mają niezaprzeczoną wyższość nad tamtemi, bo przemawiają do ducha i humanitarnie kształcić mogą, gdy tymczasem tamte mogą tylko wiedzę zbogacić.

Ale nietylko o Hiszpanii i o Amerycę dowie się nasza młodzież wiele rzeczy z Rozrywek; znajdzie w nich jeszcze opisy Węgier i Turcyi w wyjątkach z listów p. Maryi Westhley Montagu p. Bronisławę; relacye o zwaliskach Niniwy i zamku Kokenhausen p. Stanisława Chomętowskiego, wreszcie szeroko i długo podaną wiadomość o Indyach, w obszernym bo przez 9 zeszytów ciągnącym się artykule p. t. „Indye współczesne.“ Jakkolwiek uznajemy pożytek tego rodzaju opisów, przecież w obec tego, tak znacznych rozmiarów i sucho napisanego, żałować nam przychodzi miejsca, które zajmuje, a które mogło być wypełnioném czémś bliżéj nas obchodzącém i dla młodzieży pożywniejszéj treści.

Z podróży odbytych po kraju, mamy tylko do wymienienia „Wycieczkę w ziemię Sochaczewską“ przez Władysławę, gdzie zajmująco skreślone, acz nie nowe czytamy szczegóły, o Łowiczu, Nieborowie, Arkadyi i Skierniewicach; tudzież podróż do Krakowa, o któréj wspomnieliśmy już wyżéj mówiąc o listach.

Z opisami podróży ściśle się łączą opisy zwyczajów i obyczajów: te ostatnie figurują w Rozrywkach bądźto łącznie z tamtemi, bądź oddzielnie, jak np. w artykule p. t. „Obyczaje Wołochów w Ziemi Siedmiogrodzkiéj z podpisem A. Gerando.

Żałujemy bardzo, że z dziedziny nauk przyrodzonych artykuły w Rozrywkach tylko do liczby trzech dochodzą, a temi są: „Jaskółka,“ „Śpiew ptastwa“ (z Micheleta), i o „Owadch“ także z Micheleta, w pięknym przekładzie Lucyny Cwierciakiewicz. Tego rodzaju czytanie uważamy za najpożyteczniejsze dla młodzieży, unosi bowiem duszę do Boga, więcéj niż jakiebądź innne; rozwija w niéj uczucie piękna, uczy pogardzać próżnością światową i leczy z zarozumiałości, tak zwyczajnéj młodemu wiekowi; jeżeli zaś wiadomości o wielkości stworzenia, w obec którego człowiek tak się czuje małym, o tych cudownych dziełach Stwórcy, tak pięknych i kunsztownych, jakie napotykamy w naturze, podane są w sposób popularny i dla większości

przystępny, to młodzież porzuci nawet nieraz powieści, tę najmilszą dla niéj lekturę, a weźmie się do takiego czytania. Mówimy to z doświadczenia, bo sami byliśmy świadkami, jak dzieci nasze wyrywały sobie Gazetę Warszawską, w któréj były drukowane gawędy naukowe ś. p. Apolinarego Zagórskiego o zmyślności zwierząt, zapominając o powieściach, które miały pod ręką.

Pozostaje nam jeszcze do uczynienia wzmianki o dwóch artykułach p. t. „Wieczorna salonowa pogadanka“ i „Kilka słów o uroczystém otwarciu Towarzystwa Rolniczego“ przez K. z L. L. Szanowna autorka tych artykułów, któréj monogram zawsze mile w oczy nam wpada, na sposób grecki ubrałą w nich swój przedmiot w powabną formę dyalogu; powabną bezwarunkowo, jako najbardziéj do dramatycznéj zbliżoną, i względnie, jako użytą przez osobę, która w pogadance nie ma sobie równéj. Czytając te dyalogi chciałoby się do nich należeć, tak się jest pociągniętym i rzeczą i wysłowieniem. Drugiego z tych dwóch artykułów przedmiot wyrażony jest w tytule; w pierwszym rozmowa toczy się o *opiece ubogich kościołów* i o zaopatrywaniu tychże w potrzebne apparata, o których znowu gdzieindziéj czytamy krótko a uczenie napisany artykuł p. Łepkowskiego p. t. „Kobiece roboty do kościołów.“

Nie wyczerpaliśmy zapewne wszystkiego, coby się o Rozrywkach p. Pruszakowéj dało powiedzieć; sądzimy wszakże, żeśmy mało co przez niedostrzeżenie się zostawili bez wspomnienia. W każdym razie sumienny ten i szczegółowy rozbiór wskazać powinien, jak rzetelną do niniejszéj publikacyi przywiązujemy wartość. Nie siadaliśmy zaprawdę do niego „ze złą wolą podchwytywania autora na najmniéjszym błędzie,“ „z postanowieniem nie przepuszczania mu najmniejszego usterku,“ i owszem, z ręką na piersiach wyznajemy, żeśmy przystępowali do takowego zadania z najkorzystniejszém uprzedzeniem, z ambarasem nawet, że zamiast krytyki będziemy musieli pisać poprostu panegiryk, i teraz jeszcze przeglądając nasz operat, zdumiewamy się sami, żeśmy mogli tu i owdzie co innego pisać jak pochwałę. Ale ryczałtowe pochwały, nawet tam, gdzie przekonanie nasze mówi inaczéj, byłyby złém uczczeniem tak szlachetnego przedsięwzięcia, jakiém było przedsięwzięcie redaktorki Rozrywek. Wypowiedzieć nasze zdanie przychylne

czy nieprzychylne, trafne czy błędne, szczerze, otwarcie, uważaliśmy za obowiązek zarówno względem niéj jak względem siebie; a wypowiedziawszy je, widzimy nieapprobaty naszéj tak mały ułamek, iż prawie znika naprzeciw dodatniéj ilości zalet, któreśmy przyznali. Wiemy zbyt dobrze, jak w zbiorowych pracach obok utworów wysokiéj wartości, muszą być także i pośledniejsze; jak rozliczne względy skłaniają nieraz redakcye do umieszczania takich artykułów, któreby chętnie z pisma swego usunęły, ale i to wiemy, że drobne skazy nie psują pięknéj całości, a drobne chyby nie ubliżają prawdziwéj zasłudze. Ma tę ostatnią niezaprzeczenie p. Pruszakowa: Rozrywki jéj, łączące pożytek moralny i intellektualny z zabawą, czytane są ochoczo przez młodzież i wydadzą zamierzony owoc, który będzie najsłodszą nagrodą jéj talentu i niezmordowanéj pracy.

P. J.

KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Essais sur le Génie de Pindare, Villemain'a. — *Essais de Morale et de Critique*, przez Ernesta Renan.— *Niderlandy*, przez Edwarda Esquiros.— *Le Vieux-Neuf*, przez E. Fournier. — Wiadomości artystyczne i literackie.

Pod napisem *Essais sur le Génie de Pindare*, Villemain wydał piérwszy tom dzieła niepospolitéj wartości. Sam tytuł wskazuje, na jak wysokie stanowisko musiał się wznieść sławny krytyk francuzki, ażeby opracować odpowiednio jeden z najwyższych przedmiotów, jaki historya myśli ludzkiéj poddaje. Że podołał zadaniu, na to zgodzili się już najwybrydniejsi krytycy paryzcy. Takie studyum mogło się tylko pojawić w XIX wieku, którego najważniejszą kreacyą jest krytyka idei i historycznego ich rozwoju.

Porównawszy to, co pisze Villemain o Pindarze, z tém, co wyrzekły o tebańskim liryku najprzenikliwsze i najwszechstronniejsze intelligencye ubiegłego stulecia, jak Boiteau lub Voltaire—przekonać się można najlepiéj, jak wielką wyższość pod względem krytycznym ma wiek XIX nad XVIII, który znów z innych względów wielkością nas swoją przygniata.

Wiek XVIII zajęty sobą i swoją wojującą missyą, mało się zajmował przeszłością. Dziś, dzięki duchowi czasu, najmniéj uczeni mają prawdziwsze pojęcie starożytności niż encyklopedyści zeszłego wieku; im dłużéj bowiem rozpowszechniona nauka wodzi nas po labiryn-

cie historyi nowożytnéj coraz to nowe odmykając kurytarze, tém większą czujemy potrzebę orzeźwienia się w owém źródle wieczystéj młodości, pogodnego piękna i harmonii, które nam stara przechowuje Grecya.

Pan Villemain nie potrzebował powracać do starożytności, bo zajmując się nieustannie najwznioślejszemi jéj dziełami, myślą w niéj zawsze przebywał, nigdy jednak głębiéj nie wtajemniczył się w jéj ducha, jak w tém ostatniém studyum, gdzie badając geniusz Pindara dotknął całéj poezyi i religii starego świata.

„Historya liryzmu jest historyą zapału na świecie." Z tego założenia wyszedłszy Villemain dowodzi, iż żadna rasa ludzka nie była zupełnie pozbawiona lirycznego geniuszu, ale polot téj szczytnéj zdolności był zastosowany do potęgi instynktów moralnych i idealnych każdéj z tych ras: wysoka poezya, w całem znaczeniu tego słowa, jest udziałem dwóch wyższych gałęzi rodzaju ludzkiego: indyjsko-europejskiéj i semitycznéj.

Villemain nie mógł studyować gruntownie pierwotnéj poezyi greckiéj, nie porównawszy jéj z hebrajską, i nie zestawiwszy tym sposobem dwóch najwydatniejszych form starożytnego liryzmu. Nie jest już dziś grzechem porównywać pieśni proroków izraelskich z pieśniami natchnionych wieszczów innych narodów i religij; przeto autor w swém studyum obszerną paralellę ich stawia i, rzecz dziwna, poezya hebrajska nic nie traci na wolniejszym egzaminie, przeciwnie, wiele zyskuje: żadna z dodanych siostrzyc jéj nie wydziedzicza—zostaje ona zawsze najhojniéj uposażoną boskiém światłem, które natchnieniem zowią.

Tak różny, a nawet w rozwoju dwóch społeczeństw tak opozycyjnych dążności, duch Grecyi i Judei mniéj różnił się w początkach. W epoce, kiedy ludzie byli rządzeni poetycznym zapałem, kiedy, jak mówi Villemain, „prawo było poematem, a prawodawcy prorokami", Grecya nie miała jeszcze charakteru, który jéj nadał późniéj rozkwit poganizmu homerycznego, owego ubóstwienia człowieka przez człowieka, czci zmysłów podniesionéj do najwyższéj potęgi. Badania i cytaty Villemaina dowodzą jasno, że w *tajemnicach* Grecyi mieszkał surowy duch

starożytności, który chociaż poddawał się symbolizmowi mitologicznemu, protestował przeciw ubóstwieniu ludzkich namiętności. Uczucie to, które stało się doktryną filozofów, było też zasadą liryzmu, z natury swéj dążącego do jednéj najwyższéj jasności.

Pierwotni prorocy Grecyi mieli przeczucie boskiéj opatrzności, zupełnie różnéj od ślepego fatum; wspominali o przyszłém życiu o kreślając je daleko wyraźniéj niż Homer, który swe cienie gdzieś w mglistym topi chaosie. *Wtajemniczenie*, ów chrzest obrządku Eleuzyny, zapewniał człowiekowi *szczęście po śmierci*.

Oda, początkowo zmieszana z epopeją w prostéj formie epicznego wiersza, w wiekach po-homerowych rozwinęła bogactwa tonów, i stała się zdolną wyrazicielką wszystkich uczuć i namiętności. Villemain maluje szeroko charaktery owych piewców i powtarza wiernie akordy całéj téj świetnéj muzyki greckich lirników, którzy poruszyli kolejno wszystkie struny złotéj lutni, począwszy od twardéj bohatyrskiéj nuty aż do miękkiego pienia rozkoszy, od wściekłego *tutto forza* satyry, aż do pogodnego *maestoso* moralnego wykładu filozofów; przesuwa on przed oczyma czytelnika całą tę wspaniałą girlandę, uwitą z najbogatszych intelligencyj pierwotnéj Grecyi; girlandę, gdzie na mozaice przeróżnych kwiatów błyszczą jak złote nieśmiertelniki Archilochus, Alceusz, Safona, córka Wenery, prawodawca-poeta Solon, Tyrteusz, twórca greckiéj Marseillery, Symonides śpiewak Leonidasa— i inni.

W téj poetycznéj kapeli z tak rozmaitych złożonéj instrumentów, nuta najwyższa, boska, brzmi cicho choć nieustannie. Dopiéro z nadzwyczajną potęgą wybucha nanowo w ważnéj epoce, niedawno podniesionéj przez filozofią historyi. Siedm wieków przed Chrystusem, ogromny ruch uczuć i pojęć, odpowiadający wylewowi ludów, poruszył świat od Indyi aż do Galii: była to, jak się zdaje, reakcya przeciw geniuszowi pogańskiemu, przeciw czci zmysłowéj i fatalistycznéj, oraz przeciw przywilejom kast. Ruch ten objawił się aż na Zachodzie szerokim wybuchem liryzmu; w Grecyi otworzył wielką filozofią religijno-poetyczną i antipogańską, którą uosabia Pitagoras,

twórca poezyi moralnéj, uznanéj za świętą przez Platona; wydał Empedoklesa, piewcę duszy nieśmiertelnéj, który podaje się ludowi za niebiańskiego wygnańca i w cudnym poemacie „*Expiacya*" wskazuje drogę do nieba, do którego powraca; nareszcie ruch ów tytaniczny, jak kończący się fajerwerk, zapalił na greckiém niebie dwie najjaśniejsze gwiazdy: Pindara i Eschylesa.

W dwóch tych mężach łączą się tradycye wieków Orfejskich z nową filozofią.

Pindar, poeta święty, świadomy tajemnic, których światłości, jak powiada „człowiek nie mógłby spostrzedz i nieumrzeć;" Eschyles uczeń szkoły Pitagora, oskarżony o bezbożność za to, iż w imieniu pojęć wyższych powstał przeciw bogom Olimpu.

Tę filiacyą, tak ważną dla filozofii historyi, Villemain kończy następującą definicyą: „Eschyles jest prorokiem wielobóstwa, który zachwiał wielobóstwo homeryczne szczytnym buntem *Prometeusza*. *Pindare, c'est Pythagore epurant Homère.*"

Eschyl i Pindar, wedle niego, to jedno natchnienie w dwóch różnych formach. Tenże sam duch liryczny ożywia tragedye Ateńczyka i ody Tebańczyka; połączenie zasady religijnéj z zasdą bohaterską i patryotyczną stanowi wielkość ich obu. „Tragedya Eschyla jest, powiada Villemain, szkołą heroizmu i geniuszu zarazem, bo powstała z życia wolnego narodu, którego teatr stał obok trybuny."

Rozdział, zawierający porównanie Eschyla z Pindarem, należy do najpiękniejszych kart historyi literatury starożytnéj. Nigdzie prawdziwy cel *atletyki* greckiéj, téj gimnastyki wojennéj, która przysposabiała ojczyznie obywateli-żołnierzy, co za nią walczyli pod Maratonem i Salaminą, nigdzie węzeł wiążący liryzm z tém bohaterskiém wychowaniem, związek tryumfalnéj pieśni z igrzyskiem, którém nagradzano zwycięzców, nie jest wskazany tak jasno, tak dobrze rozwikłany, jak w tém genialném porównaniu.

Wielka poezya liryczna, która równie niebiańskiém światłem jaśniała w odach jak w chórach Eschyla, Sofoklesa, Eurypidesa a nawet Arystofana, znika wraz z igrzy-

skami i wolnością. Pod następcami Aleksandra nauka i sztuczne naśladownictwo zastąpiły geniusz. Błyski prawdziwéj poezyi świecą tam tylko, gdzie był prawdziwy zapał: w kilku surowych filozofach, w kilku duszach, które pozostały wolne na gruzach wolności publicznéj. Panujący, daremnie usiłowali wskrzesić geniusz. „Ani nauka, ani zamiłowanie rzeczy wzniosłych, powiada Villemain, ani hojność królów, ani błogosławiony pokój nie stworzą nic wielkiego, jeżeli niema w panującym i w narodzie zasad cnoty, sprawiedliwości i wolności. Literatura daleko więcéj potrzebuje ducha niż protekcyi; żadne łaski, żadne pomoce nie dadzą jéj tego, co jéj da szczytny ruch swobodnéj epoki."

Opuściwszy helleńskie światłości, wszystko wydaje się blade w sferze sztuki. Villemain ściga jednak i pod inném niebem natchnienia liryczne. Wskazawszy jego błyski w starém Lacium i starym Rzymie, dostojny krytyk zagłębia się w katakumby: bada dzieła Ojców Chrystianizmu, w których się odrodzili poetyczni filozofowie staréj Grecyi; szuka strof wieszczych w pismach uczniów świętego Jana i Platona zarazem — nie tak wielkich artystów jak poeci łacińscy, ani takich jak oni językowych szermierzy, ale więcéj natchnionych, zatém wyższych liryków. Tam pokazuje nam naprzód Grzegorza nazianejskiego, który w rytmy starożytne wprowadził wielkie dogmata i uczucia nowe; Sinesiusza, Pindara owego wzniosłego chrystyanizmu wschodniego, którego Orygenes był Platonem. Obok tego chrześciańskiego koła śpiewa Proklus i cała plejada nie chrześciańskich Platonistów. Zapał greckiego świata ożywiał wtedy świat łaciński; zdaniem Villemaina, niektóre hymny *niewinnych*, śpiewane jeszcze czasami po kościołach francuzkich, dorównywają odom Pindara.

Liryzm rycersko-miłośny wskrzesili trubadurowie francuzcy w językach nowo-łacińskich; późniéj łączy się on z religijném natchnieniem Danta w jego *czyścu* i *raju*, który jest najwyższém wypowiedzeniem ideału chrześciaństwa.

Świat nowoczesny, pozytywny, skomplikowany, silny siłą zbiorową, istny smok o tysiącu głów i miliardzie rąk

służących rozumowi—tak daleki od prostoty greckiego świata, musiał też być mniéj liryczny, jak świat starożytny; jednakowoż, powiada Villemain, wielkie wypadki budzą i teraz serca. Wzniosła nuta liryzmu odzywa się w każdéj ważnéj chwili dziejów ludzkości: słychać ją w utworach hiszpańskich mistyków, w dziełach fundatorów klassycznéj literatury francuzkiéj, w Szekspirze, Miltonie, w Corneillu, Bossuecie i Racinie. Późniéj słyszy ją Villemain w rytmach Andrzeja Chénier, którego synem Homera zowie; nakoniec w śpiewie sławnych tegoczesnych poetów Francyi: Berangera, Lamartina i Wiktora Hugo. Kończąc swoje studyum autor woła:

„Liryzm nie zginie nigdy! Dopóki iskra boża tleć będzie w sercach ludzkich i on w nich pozostanie.“

Powtarzamy, ostatni utwór Villemaina wielką ma wartość. Nie jestto zimna dyssekcya tego, co żyło, ale program przyszłości wedle nieśmiertelnéj przeszłości nakreślony, w końcu gorące wezwanie ludzkości do wspólnego działania w ogromném dziele oswobodzenia Włoch.

Przywiązując się wyłącznie do moralnego znaczenia tego rozległego studyum, nie wspomnieliśmy o jego literackiéj wartości; ale pod tym względem samo nazwisko professora literatury francuzkiéj jest dostateczną rękojmią. Zbyteczna podobno podnosić styl Villemaina; dodamy więc tylko, że tom, o którym mowa, obfituje w znakomite przekłady poetów starożytnych, w któréj to pracy zdaniem naszém, autor wynalazł bardzo szczęśliwy środek pomiędzy niewiernym przekładem dawnych tłumaczów, a używaną dzisiaj dosłowną kalką, w któréj geniusz obu języków znika.

Porównywaliśmy tłumaczony przez Villemaina ustęp ody Pindara *na pochwałę Hierona*, z przekładem tejże Naruszewicza, i wyznajemy, iż francuzki przekład jaśniéj nam myśl Greka oddaje niż następujący wymuszony, choć podobno wierny, przekład naszego historyka:

„Lutni złota, Febowych palców słodka wrzawo!
O ty, muz czarnobrewych najmilsza zabawo!
Na któréj wdzięk przewodni chybka stopa skacze,
I gładki kształtnie łamią głos usta śpiewacze;

Kiedy lekkie przegrawki czyniąc, różnorymny
Wiersz zaczynasz, w ozdobne upleciony hymny,
Ty trójzębnych pęd bełtów, z wiecznego pożaru
Ulanych, tępisz brzękiem wdzięcznych ust nektaru:
Twą słodyczą uśpiony na berle Jowisza,
Król ptaków z bystrych piersi luby sen wydysza,
Opuściwszy leniwych skrzydeł wiosła obie,
A lekka mgła na krzywym zawieszona dziobie
Bierze wzrok w miłe pęta: on zaś pełen twojéj
Rozkoszy karkiem ważąc, cóś wielkiego roi.
Sam wściekły Mars twojemi ujęty pieszczoty,
Skłania ucha, staliste odrzuciwszy groty.
I bogom twój głos luby, kiedy go Latony
Syn mądrością ugładzi, i wierzch zielony
Uczonego Parnasu siostr powiewnoszata
Drużyna, skocznym tańcem do składu zamiata.“ i t. d.

Jakże wonna powietrzność wieje od skrzydeł téj pieśni, choć obciążonych ołowiem północnéj mowy. Łatwo wyobrazić sobie, jak brzmiała wypowiedziana przepysznym językiem Greków, łatwo pojąć, iż ten, co tak śpiewał o wschodzie różannéj jutrzenki świata, musiał być przez swych słuchaczy ubóstwiony..... „Lot ledwo ścigły wybujałéj myśli, powiada Krasicki, wytworność niepospolita, z duchem jakby wieszczym połączona, takową mu zjednały wziętość, iż był Grekom wyrocznią. Alexander burzący Teby, dom, w którym się Pindar urodził, oszczędzić kazał.

„Uwielbiony wśród igrzysk powszechnych Grecyi, jak wieść niesie ze zbytku radości życia dokonał, mając lat siedemdziesiąt.“

Członek Instytutu Ernest Renan, wydał także swoje studya pod napisem *Essais de Morale et de Critique*. Książka ta niemniéj ważnych jak dzieło Villemaina dotyka kwestyj i ze wszech względów na uwagę zasługuje.

Renan, o którym już kilka razy mieliśmy sposobność mówić na tém miejscu, należy niezaprzeczenie do najznakomitszych pisarzy tegoczesnych, tak z powodu ogromnéj swéj nauki, jak głębokości poglądu. Nadto, posiada on do najwyższego stopnia uczucie wspólne duszom

wzniosłym: miłość prawdy. O nią mu chodzi przedewszystkiém; ją ściga w każdym przedmiocie, a schwytawszy, wypowiada bez ogródki, mniemając słusznie, iż zdradza prawdę, kto ją ukrywa, a znieważa ten, kto ją szkodliwą być mieni. Renan, wyższy nad wszelkie koteryjne względy, nie boi się urazić szczerością trwożliwych ani umiarkowaniem swém obruszyć śmiałków. Jako prawdziwy filozof egzaminuje fakta zawsze ze strony ich styczności z jakąś prawdą powszechną. Jestto pisarz wzniosły, czynny i płodny, ale piszący tylko dla światłych czytelników.

Wychowany w seminaryum, Renan z wychowania duchownego zachował to tylko, co się godzi z pięknemi przymiotami duszy i wzniosłemi władzami umysłu: głębokie poczucie rzeczy religijnych, miłość pracy, która wszystko łatwém czyni, zamiłowanie samotności, która oszczędza czas, daje człowiekowi skarb najdroższy – niezależność.

Essais de Morale et Critique, jest zbiorem artykułów już drukowanych poprzednio w dziennikach i przeglądach. Chociaż te rozmaite prace spaja ciągła jedność poglądu i jedność myśli ogólnéj, pan Renan związał je ściśléj jeszcze przedmową, która najznakomitszą część książki stanowi. Jestto wymowna protestacya przeciw poziomym żądzom i abdykacyi moralnéj, wynikającéj z ubóstwienia materyi.

Jak dalece genialna protestacya przeciw czci złotego cielca jest potrzebną, nad tém rozwodzić się rzecz zbyteczna. Dziś więcéj podobno niż kiedykolwiek dwie zasady sprzeczne spierają się z sobą o rządy świata: jedna daje ludziom za przewodnika interes, a za cel dobry byt; druga wskazuje nam jako cel udoskolanie moralne, a za przewodnika daje poświęcenie i zaparcie się siebie dla dobra drugich: po jednéj stronie stoi używanie, po drugiéj obowiązek. W pierwszym systemacie najważniejszą rzeczą być szczęśliwym; w drugim, przedewszystkiém trzeba być uczciwym. Renan, naturalnie jest za tym ostatnim, jak wszyscy, którzy nie sądzą, że *moralność* a *sztuka bycia szczęśliwym*, to jednoznacznik.

Podzielając całkowicie zasadę znakomitego krytyka, sądzimy wszelako, iż w zbyt czarnych kolorach widzi naszą epokę. I tak naprzykład, ubolewając nad dążnością ogólną, usiłującą teraz w każdéj rzeczy czynniki moralne czynnikami materyalnemi zastąpić, Renan powiada: „Maszyna nowoczesna, pozbawiona piękna i proporcyi, nigdy nie stanie się członkiem człowieka. Zamiast być dlań jak kiedyś narzędzie, przyjacielem i środkiem, upokarza i zbydlęca tego, kto jéj służy.“

W tym punkcie Renan nieco przesadza: człowiek nie na to stworzony, ażeby zastąpił naturę, ale żeby nią kierował. Siła jego nie jest w muskułach, ale w intelligencyi—a wszystko, co zmniejsza zmęczenie ciała, powiększa siłę umysłu. Oto, co zdaniem naszém stanowi ważność maszyn nowoczesnych. Dawniéj maszyną był człowiek; dziś człowiek dyryguje maszyną, i w tym sensie przemysł wyzwalając ciało, wyzwala ducha.

Złe mechanicznéj epoki naszéj nie leży w wyręczaniu człowieka przez maszynę, ale w wyższości danéj dziełu materyalnemu maszyny nad dziełem duchowém ludzkiéj intelligencyi. W biegłości mechanicznéj nieskończenie jesteśmy wyżsi od poprzednich pokoleń, ale pod względem godności duszy i charakteru, bodaj nic wcale, albo bardzo małośmy postąpili. Człowiek stał się najzręczniejszém ze zwierząt i stanął na najwyższym szczeblu drabiny materyalnéj: do odpowiedniego szczebla doskonałości duchowéj jakże jeszcze daleko!

Bez przesady powiedzieć można, że ludzie są dziś Tytanami: sypią góry na górach, zasypują przepaście, piętrzą niebotyczne gmachy, przenoszą lasy, robią rzeki gdzie była susza, a suszę gdzie błyszczały jeziora; wedle potrzeby lub zachcenia przetwarzają ziemię, na wszystkich punktach atakują, i zwyciężają naturę. Ale dlatego właśnie, zdaje się jakoby zagniewana natura, mszcząc się za zadane sobie gwałty, oniemiała. Gdzież są poeci, gdzie wieszcze, gdzie myśliciele, którym kiedyś tak szczodrze sypała natchnienia? Są jeszcze tu i owdzie kochankowie prawdziwego piękna, ale ich głos zagłuszył świst lokomotyw i tartas maszyn stojących dziś na pierwszym planie świata. Sprowadźmy je na drugi, a na pierwszym

postawmy człowieka, nieśmiertelne dzieła jego nieśmiertelnego ducha, a wszystko ku dobremu zmierzać zacznie, i zamiast na nie narzekać, będziemy błogosławić maszyny jako posłuszne i pracowite służebnice.

Renan wierzy w postęp, ale nie przypuszcza, żeby postęp materyalny chociażby największy mógł wynagrodzić upadek moralny, upokorzenie umysłu, to wszystko, co nadaje wartość życiu człowieka, co je pożądaném lub znośném czyni: i w tém ma najzupełniejszą słuszność. Zapewne, jestto dobrodziejstwem cywilizacyi dawać ludziom jak największe wygody i ułatwiać ich nabycie; ale nietrzeba, żeby te wygody przywiązując nas zbyt mocno do stanowiska, które nam je daje, zabraniały porzucić ową posadę, czy jak powszechnie zowią, *pozycyą socyalną*, kiedy nam to nakazuje obowiązek. Najsmutniejszą rzeczą, w zasadzie stawiającéj interes w pierwszym rzędzie, jest ów rodzaj rezygnacyi równoważącéj niedogodności walki z niedogodnościami tranzakcyj zmuszających człowieka do zaparcia się siebie na rzecz złego ducha i na upadanie pod krzyżem samolubstwa.

Abdykacya ta nietylko jest hańbą, ale i bardzo złém wyrachowaniem: ci, co rozmiękną w rozkoszach i dostatkach, nie są w stanie ich bronić w razie potrzeby; tym to sposobem postęp materyalny gubiony jest przez sybarytów, których tworzy. Pamiętajmy zawsze, co się stało ze społecznością rzymską, startą na proch przez egoizm, każący przekładać dobry byt nad swobodę, igrzyska nad filozofów: skoro północna burza nań spadła, ów proch stał się błotem.

Słusznie więc Renan nie przywiązuje wielkiéj wagi do ulepszeń materyalnych, które nie przyczyniają się do umysłowego postępu, ale, powtarzamy, często zbyt posępnie patrzy na nasze czasy, często niepotrzebnie rozpacza, zapominając o tém, że najczarniejsza godzina nocy jest najbliżą sąsiadką jutrzenki.

Chwila, w któréj żyjemy, jest ostateczném starciem się dwóch prądów, z których jeden pędzi z dalekiéj przeszłości, a drugi ku nieprzeniknionéj przyszłości bieży: jestto podobno chwila stanowczego rozstrzygnienia odwiecznéj walki pomiędzy duchem dawnego a nowego

świata: jeden drugiemu na przemiany wyrywa berło z ręki, ale duch przeszłości daremnie o panowanie się kusi; potężnie zaatakowany w XVI wieku, niepowrotnie w końcu XVIIIgo zwyciężony został.

Ostatecznie Renan jest tego zdania. Chociaż głębo ko dotknięty pyszną melancholią i częstokroć ze splenu pessymista, mimowolnie szafuje pociechy, zachęty i nadzieje w téj księdze, która jako pisarza i moralistę równie wysoko go stawia. Trzeba ufać w zwycięztwo dobréj sprawy, kiedy tak genialnych jak Renan ma apostołów.

Od czasu, jak można podróżować wygodnie, tanio i szybko, Francuzi bardzo polubili podróże. Przed rozpowszechnieniem dróg żelaznych nie przebywali swych granic chyba zbrojno, idąc na podboje świata. Pojedyńcze indywidua nader rzadko ruszały się z miejsca. Nie tak kochając siebie jak Anglicy, niepoetyzując domowego ogniska jak Niemcy, Francuzi zasklepieni w swym kraju, wielbili siebie w osobie swéj ojczyzny, chełpiąc się z nieznajomości obcych języków i obyczajów. Teraz ten ograniczony patryotyzm zupełnie wyszedł z mody. Dziś Francuz przypuszcza, że można być dobrym obywatelem, a dlatego wyjrzéć za granicę; że choć we Francyi wszystko najlepsze i najrozumniejsze, jeszcze można się czegoś i w innych krajach nauczyć.

Gust ten zupełnie nowy w tym praktycznym i bystrym narodzie stworzył nową literaturę, mogącą zbawiennie wpływać na losy ludzkości dostarczając zdrowych rad narodom, a trafnych sądów historyi. Francuz podróżując roznosi światło, uczy wspaniałomyślności, przezorności i rządności, w któréj celuje. Litościwy z natury, przystępny preokupacyom zwiedzanego narodu, pochopny do badania dotyczących go kwestyj, dbały o losy bliźnich niemal jak o swe własne—czy bawi czy uczy, zawsze nad polepszeniem doli drugich pracuje, tak dobrze żarcikując dowcipnie w satyrycznéj wycieczce, jak ciągnąc poważnie naukowe i socyalne śledztwo.

Książka pana Esquiros pod tytułem: „*Néerlande et la Vie Hollandaise*“ w tym ostatnim napisana jest duchu.

Nie są to wrażenia podróży schwytane w przelocie, szkice ludzi i krajobrazów, oberżowe sądy spisane na karczemnym stole pod wpływem złéj lub dobrej kolacyi, ale gruntowne studyum narodu i wszechstronne jego ocenienie. Pan Esquiros z zapasem potrzebnéj wiedzy zapatrywał się na Niderlandy i badał je jak naukę od początku do końca; nic mu tu nie jest obojętném: gatunek gruntu, topografia, przemysł i nauki, charaktery i zwyczaje, zatrudnienia i zabawy, zakłady miłosierne i literackie, nie pomija nic, co może uwydatnić fizyonomią tego małego narodu, co dwakroć zwycięzki, raz naturze, drugi raz najezdcom ojczyznę swoją wydarł. Ten kawał ziemi zgubiony pomiędzy Renem a morzem Północném, i odszukany niezmordowaną dzielnością swych mieszkańców; wyrwany z paszczy piaskom i bałwanom, ale wciąż zagrożony nową ich napaścią; kraj zmuszony szczupłością i niewdzięcznością swego gruntu do szukania żywności na morzu, Niderlandy, jedném słowem, zasługiwały na tak cierpliwe i szczegółowe badania. Dlatego, że ciche i spokojne, przestały świat obchodzić; ludzie zapomnieli nawet, jakich to wysileń ów spokój jest nagrodą; ile ofiar dobrowolnych potrzeba było, żeby tak się urządzić; ile ich potrzeba ciągle, żeby trwanie téj samoistności okupić.

Niderlandy mają dwojaką historyą: geologiczną i polityczną: obie zarówno są budujące, obie przynoszą zaszczyt człowiekowi i jego dziełom, obie mogą dać wielką pociechę zniechęconym licznemi zawodami i rozczarowanym umysłom. Pan Esquiros równie szczegółowo skreślił te dwulicowe dzieje.

Płaska i bagnista, broniąca się groblami przed ciągle grożącą powodzią Holandya dała odrębne wykształcenie swoim mieszkańcom. W ciągłéj walce z naturą dziwnie ostrzelały się dusze, dziwnie spoważniały głowy. Innym szczęśliwym ludom dość schylić się, ażeby podjąć z ziemi dojrzałe owoce; tu najpierw trzeba było założyć grunt, na którymby co bądź rość mogło. Wśród wiecznych huraganów, w ciągłym huku rozdąsanego morza, *far niente* nie jest możebne, a fraszki nie mają powabu; życie staje się poważne i twarde, nietylko naród się kształci, ale każda jednostka musi wyrabiać hart duszy, wzma-

cniać instynkta konserwacyi, wymyślać wszelkiego rodzaju bronie przeciw nadludzkiemu napastnikowi. To też garstka ludzi, Holendrami zwanych, odznaczyła się mianowicie na świecie obywatelskiém poświęceniem i ofiarami indywidualnemi.

Tę potęgę pojedyńczéj inicyatawy Esquiros przypisuje całkowicie ziemi poprzeżynanéj kanałami, przez co odosabniającéj ludzi i często redukującéj ich liczbę do jednéj rodziny. Człowiek, zdaniem jego, osamotniony w ten sposób, musiał koniecznie na własnych siłach polegać, skutkiem czego każda jednostka potrajała się i dokazywała cudów dzielności.

Opierając się na tym przykładzie autor utrzymuje, że klimat tworzy ludzi, że charakter ich jest tylko wiernem odbiciem wszystkich właściwości klimatu; w końcu powiada bez ogródki z Herderem, że „narody są tém, czém je robi woda, niebo i ziemia."

Można się zgodzić w części na tę zasadę, ale przystać na ścisłą jéj logikę i tym sposobem zupełnie zmateryalizować filozofią historyi, się niegodzi; jeżeli bowiem dusza człowieka jest skutkiem wpływów zewnętrznych, jakaż będzie jéj siła oddziaływania przeciw nim? w co się obróci zasługa? co zaważy praca? Jeżeli ostry klimat i ziemia macocha same jedne wychowują dzielne narody, jakaż nadzieja przyprowadzenia do tęgo stopnia doskonałości ludy, dla których natura matką się okazuje, ludy będące pieszczochami Opatrzności?

Pewną część zalet lub wad ludzkich można zapewne położyć na karb klimatu, można przyznać, że niektóre sprzyjają rozbudzeniu umysłu przez swą surowość, a inne pobłażaniem go usypiają; ale przybijać narody na ich topografii jak na Kalwaryi, czynić z klimatu Madejowe łoże, to wydaje nam się więcéj niż nonsensem, grzechem przeciw najwyższemu objawowi Boga, przeciw człowiekowi na obraz i podobieństwo jego stworzonemu. Człowiek w takim razie nie miałby ani winy ani zasługi, za czynności swoje nie potrzebowałby ani przed Bogiem, ani przed ludźmi odpowiadać. Nie! nie! tak nie jest. Mniéjwięcéj gładka lub pomarszczona ziemna skorupa, mniejsze lub większe jéj ciepło nie może być wyrokiem po-

stępu ludzkości. Nie szukając daleko argumentów, spojrzyjmy tylko na Włochów, na ostatnie czyny tego narodu; tam znajdziemy aż nadto przykładów zwalających materyalną teoryą Esquirosa.

Protestując przeciw absolutnemu przyjęciu powyższéj zasady, przyjmujemy ją do pewnego stopnia: nie przeczymy, że Holandya przez nędzę doszła do wolności, a do potęgi przez walkę, i dla tychto przyczyn historya tego narodu, napisana zdolnie przez człowieka światłego, wydaje nam się bardzo zdrową dla innych nauką.

Samodzielność i bogactwo Niderlandów zrodziło się z torfu i rybołostwa. Piérwszy z tych przemysłów przykry i odstręczający, drugi nie pewny i niebezpieczny; oba na naturze Holendra głęboko się wypiętnowały: gęste i duszne wyziewy torfu, blady i powolny ogień, jakim płonie, nie jestże wiernym obrazem tych ciężkich, grubych, ale pewnych i uczciwych ludzi? Rybołostwo znowu przyczyniło się do ich znaczenia politycznego: niebezpieczny połów wielorybów i stokfiszy wyrobił morską potęgę Niderlandów. Dziś marynarka holenderska upadła, ale kiedyś była najśmielszą i najzręczniejszą na świecie. Czytając opisy Esquirosa, każdy mimowolną cześć czuje dla nieustraszonych żeglarzy, którzy na orzechowéj łupinie puszczali się na rozhukane morze walczyć z lodowiskami, burzą i niedźwiedziami. Każdy z tych rybaków zostawiał na rodzinnéj ziemi drogie sercu istoty, a nie wielu powracało. Śmierć była tak częsta i niezawodna, że wdowa rybaka mogła po dwóch latach iść powtórnie za mąż.

Ileż skromnych poświęceń i nieznanych bohatyrów pochłonął nieubłagany ocean! Dzięki niespożytemu męztwu swych mieszkańców Holandya nietylko istniała, ale nawet przez dwa wieki (XVI i XVII) ważną rolę grała na świecie. Świetnie, uparcie i zwycięzko broniła dwóch zasad świętych: swéj narodowości i wolności sumienia. Za Filipa II oparła się Hiszpanii, za Ludwika XIV nie uległa Francyi. Książę Alby równie jak Ludwik XIV nie zdołali ujarzmić owych *„kupców séra"*, jak ich pogardliwie zwano w Wersalu.

Po tych dwóch zwycięztwach, Niderlandy zdobywszy prawo obywatelstwa pomiędzy narodami, otworzyły drzwi swoje wszystkim prześladowanym różnowiercom.

Żydzi, najwięcéj w ówczas prześladowana rasa ludzi, w Holandyi znaleźli przytułek i sprawiedliwość. Wygnani z Hiszpanii, odarci z mienia, pozbawieni w części dzieci, które im wydzierano, ażeby je nawracać gwałtem; mimo solennych obietnic wypędzeni także z Portugalii, po scenach strasznych, w których widziano ojców zabijających swe syny, żeby ich od przymusowego chrztu uwolnić, żydzi w zamian za gościnność dali Holandyi swój rozum, kapitały i przedsiębierczość. Zbogacając się uczciwemi sposobami, jak uzbrajaniem okrętów i rozległemi stosunkami handlowemi, zbogacili kraj, w którym zamieszkali. Żydzi w Niderlandach znaleźli ojczyznę i pokazali, iż umieją być obywatelami. Tam nie zakazano im uczciwych rzemiosł, ani posiadania ziemi, to téż nie zajmowali się wyłącznie kramarstwem i lichwą; dozwolono im oddychać wolném powietrzem, podano im dłoń bratnią, to téż serca ich nie zastygły dla sprawy publicznéj, a znany hart duszy i bystrość umysłu skierowała się ku służeniu przybranéj ojczyźnie. W tych samych warunkach fakt ten powtarzał się i powtarzać się będzie zawsze.

Pod koniec XVIIIgo wieku Niderlandy dzieliły z Anglią przywiléj wygłaszania wielkich myśli, zrodzonych na francuzkiej ziemi. Encyklopedyści francuzcy zarzucili drukarnie holenderskie swemi rękopisami: tam drukowało się wszystko, co doprowadziło Francyą do olbrzymiéj reformy społecznéj 1789 roku.

Historya Helendrów nie kończy się na tém, iż usypali i użyźnili swą ziemię, że uczcili u siebie wolność sumienia i przyjęli jéj apostołów; naród ten ma jeszcze w dziejach chwile poetycznego szału: podczas największéj swéj potęgi morskiéj Holendrzy panowanie swoje aż na Wschód rozciągnęli. „Wschód, powiada Esquiros, jest stroną idealną tych pozytywnych ludzi. Wiecznie otoczeni mgłą gęstą, marzyli o słońcu, i marzyli tak uporczywie, iż wreszcie sen swój urzeczywistnili. Kapitanowie okrętów zostali Nababami, zagarnęli ogromne państwo indyjskie. Tam znaleźli skarby i potęgę, któréj łaknęli, a prócz niéj przygody godne *tysiąca Nocy*, homeryczne walki, które na nieszczęście nie znalazły swojego

Homera.“ W tych to czasach Holandya ujrzała na swych wybrzeżach pośród śledzi i stokfiszów wszystkie pachnidła i bakalie Wschodu, brylanty zwożono jéj jak węgle okrętami; dotąd jeszcze taki zapas drogich kamieni w tym posępnym kraju, że ich blask jego zmrok rozpędza; a tam, gdzie niegdyś Spinoza szlifował szkła do okularów, potomkowie jego szlifują wciąż największe w świecie dyamenty, rubiny i szmaragdy, przeznaczone na ozdobę głów ukoronowanych.

Przy końcu, znajdujemy cienie w świetnym obrazie, na którym pan Esquiros Niderlandy przedstawił. Handel teraz tam podupadł, marynarka zmalała, nauczanie osłabło, duch przedsiębierczy omdlał: wszystkie prawie wielkości, któreśmy wyżéj wymówili, dziś ledwie są słabém dawnych odbiciem. Ale chociaż wiele ubyło, zostało jeszcze dosyć: dobry byt i oświata są powszechne. Co się zaś tyczy energii w zaprowadzaniu ulepszeń i podnoszeniu zamożności krajowéj, naród, który dopiéro co osuszył jezioro Harlem i który tożsamo zamierza uczynić z odnogą morską Zuyderzee, jeszcze tak bardzo na politowanie nie zasługuje.

Wielką tu mające wziętość dzieło Fourniera pod napisem: *le Vieux Neuf*, którego drugi tom w tych dniach się pojawił, najlepiéj wykazuje przestrzeń, jaka przedziela miły styl i dowcipną wymowę od objawienia myśli lub gruntownego wyłożenia rzeczy; najlepszym jest dowodem, jak łatwo, mianowicie we Francyi, dowcipnym sofizmatem pobić najmędrsze rozumowanie, zwalić najoczywistsze dowody, obrócić w śmieszność najpoważniejsze umysłu ludzkiego zdobycze. „*Multa renascentur quae jam cecidere*“ powiedział jeszcze Horacy; „To tylko nowe co się zestarzało“ pisał w XIV wieku angielski poeta Chaucer; „to tylko nowe, o czém zapomniano“ mawiała panna Bertin, modniarka Maryi-Antoinetty, odmładzając stare robrony; „Nic nowego pod słońcem“ powtarzają nakoniec nieustannie modne filozofy”.

Oklepany ten, a nigdy nie dowiedziony ogólnik, pan Fournier wziął na seryo, i napisawszy dwa grube tomy na

jego poparcie, doszedł w końcu do wprost przeciwnéj konkluzyi, tak dalece, iż na przyszłość, kto będzie chciał wykazać fałszywość powyższego komunału, dowieść, że w przedmiocie wynalazków naukowych starożytni nic ważnego nie zrobili, i że cała z nich chwała należy się nowoczesnym, będzie mógł na świadectwo dzieło Fourniera przytoczyć.

Nic trudno tego dowieść, rozumie się, odsuwając od egzaminu połowę dzieła, zupełnie obcą przedmiotowi wskazanemu tytułem. Rozbierając tę *Historyą wynalazków starożytnych i odkryć nowoczesnych*, pominąć trzeba wszystko, co nie dotyczy odkryć scyentyficznych, jak: omnibusy, zabezpieczenia, gilotyna, banki miłosierne, loterye, romanse feiletonowe, czytelnie, walce i polki, almanach adresów, sztuka wychowywania królików i mienia z nich trzech tysięcy franków dochodu: słowem, wszystkie tym podobne przedmioty, których przegląd stanowi drugi tom dzieła pana Fournier, a jest zupełnie nie właściwy pod tytułem *odkryć i wynalazków*.

Co do starożytnych wynalazków naukowych, o których mowa w pierwszym tomie, nicość ich najlepiéj się pokazuje w skutkach.

Jaką rolę grał w starożytności *druk?*—Żadnéj.

W czém starożytni przyczynili się do odkrycia siły *pary* i jéj niezliczonych zastosowań?—W niczém.

Jakie są odkrycia starożytne w przedmiocie elektryczności i sposobach posługiwania się tym czynnikiem w przyrządach zastosowanych do przemysłu, sztuki, lub bezpieczeństwa publicznego?—Żadne.

W którym roku wynaleziono balony?—W 1783.

W którym po raz pierwszy zapalono gaz?—W 1799.

Kiedy wynaleziono fotografią?—W 1839.

W prawdzie na te wszystkie pytania pan Fournier odpowiada jakimś wypisem ze starożytnéj kroniki, ale kilka wierszy wyjętych z nieznajomego autora i z trudnością naciągniętych do nowego odkrycia, dowodzą tylko pracowitości szperacza, bynajmniéj zaś istnienia tego lub owego wynalazku w téj lub owéj epoce. Wszystkie zresztą te cytaty nie mówią o już rozwiązanym problemacie, ale o idealnym celu, zadaniu ponętném, którego rozwią-

zanie autor proponuje przemyślności swoich spółczesnych—pan Fournier zaś, to proste *pia desideria* bierze za fakt dokonany.

Powtarzam: jestto zapewne sztuka i wielka, wynaleźć w starych rękopisach wszystkie te alluzye do nowych wynalazków, wszystkie przeczucia tego, co spełnić się miało w kilkanaście wieków później, jak proroctwo Izajasza dotyczące suezkiego przekopu; ale żeby dlatego, iż im się o nich śniło, nazwać wynalazcą dagierotypu Tiphaigna, nadmieniającego o słonecznych obrazach w 1670 roku; wynalazcą balononów Lana; wynalazcą maszyny parowéj Herona alexandryjskiego, żyjącego na 120 lat przed Chrystusem; wynalazcą tunelów, Semiramidę—to podobno posuwać żart zadaleko, po prostu drwić sobie z czytelnika i w dziwny obłąd wprowadzać łatwowiernych.

Na szczęście w końcu dzieła autor zadowolony, iż mu się udało tak wybornie swe łamane sztuki przeprowadzić, przyznaje wyraźnie, że udział starożytności w wynalazkach naukowych jest żaden. Ambarasujący ten fakt, z myślą, która mu natchnęła dzieło, Fournier godzi zapewnieniem czytelnika, że jeżeli starożytni nic nie wynaleźli w naukach, to tylko dlatego, że też wynalazki i odkrycia nie były im potrzebne. Oto własne jego słowa:

„Starożytni mieli pod ręką wszystkie prawie dzisiejsze wynalazki, ale ponieważ potrzeba nie nauczyła ich, co może być w nich użytecznego, nie zadali sobie pracy rozwinięcia takowych, albo też robili sobie z nich tylko zabawkę.

Powiedziałem wyżéj, jak mogąc mieć druk, przeszli mimo nie racząc nań spójrzeć. Cóż byliby z nim zrobili ludzie w czasie rodzącéj się cywilizacyi, kiedy większość społeczności składała się z niewolników, a intelligencya była arystokracyą? W owym świecie wojującym, gdzie każdy naród był wrogiem sąsiedzkiego narodu, nacóżby równie był się przydał elektryczny telegraf, którego nici są, że tak powiem, pierwszemi węzłami związującemi z sobą narody? Czyż można było na ciągle szarpanéj ziemi rozpinać ogromną sieć, w któréj cyrkuluje zlane w jedno życie narodów wraz z nadzieją braterstwa i po-

wszechnéj zgody? Koléj żelazna nie była potrzebniejszą od telegrafu. Droga żelazna znosi przestrzeń; otóż w starym świecie, jeżeli go porównamy z dzisiejszym, przestrzeń prawie nie istniała. Jedyne morze znane dobrze było Śródziemne; czyż więc na to tylko, żeby spacerować po tém rzymskiém jeziorze, warto było budować statki parowe? Wynalazki robią się do figury świata, jak suknie do figury człowieka.

„Dlatego też, jak dowiedłem wyżéj, uczeni starożytni robili tylko z pary zabawki a z prochu fajerwerki; nie mogli zrozumieć, co te dwie siły zawierają w sobie, a choćby i zrozumieli, nie byliby ich użyli, bo na co? Jedna, jak druga była przeznaczona na potężną sprężynę nowoczesnéj cywilizacyi, na przetworzenie świata.“

„Ludzie pierwotni żyli w dzień, a skoro noc przyszła, kładli się spać; cóżby więc byli zrobili z gazem? Natura była celem ich czci; chcieli ją mieć w całéj czystości—rozumieli tylko idealną piękność ubóstwioną przez sztukę. Gdyby czarownik jaki był im przyniósł fotografią, czy myślicie, żeby ją byli dobrze przyjęli? Byliby wygnali ze swego miasta tego czarodzieja ludzkiéj brzydoty; potłukli na kawałki przeklęty przyrząd, który nie daruje człowiekowi ani jednéj zmarszczki, ani jednéj brodawki... Nie! nie w czasach to cudownych baśni ten wynalazek mógł urok swój wywierać; przeznaczony był dla epoki, rozczarowanéj ze wszystkiego, dla ludzi, nie mogących już piękna od brzydoty odróżnić.“

Czyż można brać na seryo takie tłumaczenie? Troszczyć się o to, coby byli zrobili starożytni z parą i elektrycznością! Gdyby je byli znali? byliby ich niezawodnie użyli: za to można zaręczyć. Gdyby wiek Peryklesa i Augusta był znał druk, parę i elektryczność, byłby poprostu wiekiem XIX: tym sposobem długa epoka ciemnoty i barbarzyństwa z całym orszakiem nieprzeliczonych bolów byłaby oszczędzoną światu. Ale tak być nie mogło. Przeznaczeniem ludzkości wiekami cierpień zdobywać wiedzę, hekatombą wybranych okupywać każdą iskrę światła, zakrwawionemi rękami karczować ciemniowy las, którym Stwórca przedzielił się od niéj, ażeby człowiek mógł mieć *zasługę*, bez któréj do bram nieba nie trafi.

Donoszą z Rzymu, iż w miejscu, gdzie były niegdyś ogrody Cezara, odkopano prześliczną Venus starożytną. Znawcy kładą ją na równi z Wenerą medycejską. Posąg ten z karraryjskiego wykuty marmuru znaleziono bez głowy, ale tę niedługo odszukano, a że nadaje się wybornie, zlepienia wcale znać nie będzie. Ręce też ułamane, ale naprawić się dadzą, bo prawa jest, a lewéj kierunek oznacza pozostały przy posągu palec. Pozę odkopanéj bogini opiewa wiersz Owidiusza zaczynający się témi słowy:

„Ipsa Venus.... quoties velamina ponit."

Znalazcą téj statui jest rolnik włoski nazwiskiem Guidi. Zachęcony tak drogocennym nabytkiem, Guidi czyni teraz poszukiwania w swoich winnicach rosnących na miejscu, gdzie były niegdyś łaźnie Karakalli. Poszukiwania te wiele obiecują: już znaleziono piękne mozaiki, płaskorzeźby i zajmujące szczątki posągów.

— Daniel Iranyi, Węgier, i Ludwik Chassin, autor znakomitego studyum Quineta, któreśmy przed dwoma miesiącami w kronice naszéj rozbierali, wydali piérwszy tom wspólnie opracowanéj *Historyi Politycznéj Rewolucyi Węgierskiéj*. Drugi jest już w druku. Dzieło to, jak można wnosić z piérwszego tomu, do rzędu najznakomitszych prac tego rodzaju policzone będzie.

— Pod tytułem *Les Mystères de la Main*, Desbarrolles wydał bardzo dowcipną i zabawną książkę z obrazkami, w któréj wedle formy ręki i nakreślonych na niéj linij wyrokuje o charakterze jéj właściciela. Często trafne a zawsze dowcipne sądy zwabiają téj nowéj *chiromancyi* mnóstwo czytelników.

Od dawna zapowiadany piérwszy numer *Rocznika Towarzystwa Paryzkiego Lekarzy Polskich* wyszedł z druku. Zawiera następujące artykuły: Wstęp „O języku lekarskim w Polsce" przez doktora Raciborskiego; „O Źródłach lekarskich w Iwoniczu" przez doktora Moszczańskiego; „O leczeniu złudzeń zmysłowych" przez doktora Lubelelskiego; „O Reumatyzmie ostrym stawów" przez doktora Hamoleckiego; „Historya postępu w diagnozie" przez doktora Raciborskiego; „Obserwacya reumatyzmu ostrego stawów" przez doktora Koralewicza; „Gorączka

nerwowa" przez doktora Stańskiego „Tumory mózgowe" przez doktora Hirszfelda; „Porównanie nowych wag lekarskich ze staremi" przez doktora Odachowskiego; nakoniec „Przegląd wypadków lekarskich."

— Ernest Charriere, któremu za dzieło *Négociation de la France dans le Levant* akademia przyznała nagrodę Goberta (10,000 fr.), przettumaczył na francuzkie „*Dusze Martwe* Gogola. Dziwnie rzecz ta wydaje się we francuzkim przekładzie, ale nie można zaprzeczyć, że tłumaczenie wierne i gładkie. Pan Charriere dość jest biegły w języku rossyjskim; przed kilkoma laty przetłumaczył także „*Zapiski Myśliwego*" Turgeniewa, i wydał je pod napisem „*Memoir d'un Seigneur Russe.*"

— Ludwik Enault, dość lubiony w Paryżu romansopisarz, wydał nową powieść pod tytułem „*Nadeje.*" Czemu użył tego słowiańskiego wyrazu, zamiast napisać poprostu po swojemu „*Esperances*," łatwo zgadnąć: nadzieje słowiańskie więcéj obudzą ciekawości w Paryżu, niż nadzieje francuzkie, które zna każdy. Romans napisany jest w rodzaju *Fanny* i *Daniela*, jako najpokupniejszym.

— Franciszek Liszt pod tytułem *Muzyka Cygańska* wydał coś nakształ studyum muzycznego. Książka ta pełna nie dowarzonych ekscentryczności i mająca niczem nieusprawiedliwione pretensye do wielkości, tylko za pieniądze autora wydaną być mogła i tylko przez jego przyjaciół może być czytaną.

A propos muzyki, zapisać tu należy smutny wypadek. Wielka Opera utraciła najlepszego swego śpiewaka. Pan Rogé, polując niedawno wswych dobrach, przypadkiem postrzelił się w łokiec; wezwano natychmiast najbieglejszych doktorów, ale wszelkie léki na nic się nie przydały, musiano odjąć rękę. To rażące kalectwo pozbawia paryzkie Konserwatoryum muzyczne wybornego aktora i doskonałego śpiewaka.

Biblioteka ordynacyi Myszkowskiéj. Zapis Konstantego Świdzińskiego. Rok 1859. W Krakowie.

Jestto pierwszy zeszyt roczny pisma, które margrabia Wielopolski w wykonaniu woli Konstantego Świdzińskiego, nakładem funduszu zapisowego wydawać zamierza. Treść odpowiada tytułowi. Zeszyt ten in 4-to składa się z dwóch części: pierwsza obejmuje testament Konstantego Świdzińskiego, wyroki Sądu Apellacyjnego i Rządzącego Senatu w sporze o ważność tego testamentu zapadłe, przymówienie się p. margrabiego w Sądzie Appellacyjnym i projekt podobnego głosu w senacie, który nie mógł być przez autora czytanym, bo przy rozprawach w Rządzącym Senacie prawo samym stronom zabierać głosu nie dozwala. Wcielony więc był w obronę sądową, a teraz dla niezatracenia autorstwa wydrukowany. Nakoniec, przypisy stanowiące część polemiczną ze wszystkiemi, którzy ogłosili publicznie inne przekonanie i opinią, o celu i przeznaczeniu zbiorów Świdzińskiego, o znaczeniu i myśli ostatniéj jego woli, o sposobie wprowadzenia jéj w wykonanie, od zdania i przekonania, jakie margrabia w tym względzie sobie utworzył. Część ta zajmuje stronnic 86 ścisłego druku, a więc część trzecią, bo druga nieznpełnie dwa razy tyle stronnic zawiera.

Biblioteka ordynacyi Myszkowskiéj dotąd nieznana, przez wcielenie w nią zbiorów Świdzińskiego nabyła znaczenia. Z czysto prywatnéj własności ordynacyi staje się zakładem, do którego, w moc jawnéj woli Konstantego Świdzińskiego, uczony ogół choć wąziutkiemi drzwiami, jak sądzić należy, tymczasowie urządzonemi, znajdzie przystęp otwarty.

Jak w średnich wiekach, przed częstemi wojnami i zaburzeniami wewnętrznemi, uciekano się pod opiekę świę-

tości kościołów i klasztorów, szukając bezpieczeństwa dla osób i mienia—tak Świdziński trudem całego życia zgromadzone muzeum, wypieszczone dziecko swéj pieczołowitości i pogrobowych nadziei, przytulił pod skrzydła instytucyi, chroniąc je przed zniszczeniem, jakiemu wedle jego mniemania, w tym wieku zmian i niepewności uledzby mogło. Biblioteka więc Myszkowska swém imieniem ma nadać trwałość i bezpieczeństwo zbiorom Swidzińskiego, opatrzonym choć nie w świetne, ale zawsze znakomite na zakład prywatny fundusze. Daje zatém to, co się od niéj w duchu ordynacyi jako krajowéj instytucyi należało, co było jéj obywatelskim obowiązkiem. Zyskuje zaś znakomite znaczenie pod względem naukowym i tę nić połączenia z ogółem, bez której sama instytucya byłaby owym pięknym zamkiem średniowiecznym na wyspie zbudowanym, który zdaleka tylko oko uderza i zajmuje, nieprzystępny dla ogółu, nikomu prócz posiadacza nie przynosi korzyści. Ordynacya więc a raczéj jak dotąd sam ordynat jest depozytaryuszem skarbów Swidzińskiego, które on chciał, aby dla użytku całego kraju wiecznie się zachowały i pomnażały, ma je przeto takim tytułem, jakim w szczuplejszym obrębie względnie do swéj familii majątek ordynacki posiada. Tak ogół zrozumiał myśl testamentu Świdzińskiego, nie bez tytułu przeto objawiał i objawiać jeszcze będzie swoje w tym względzie zdania. Gdy szło o samą formę, o ważność w stosunku do niéj tegoż testamentu (a to tylko było dotąd przedmiotem rozprawy sądowéj), uchyliwszy czoło przed najwyższym i ostatecznym wyrokiem, czekał w milczeniu, co i jak utrwalony w swém stanowisku posiadacz muzeum Świdzińskiego, w wykonaniu jego woli postanowić zamierzy. Postanowienie to uzupełnia część pierwszą wydanego zeszytu, jest węzłem łączącym bibliotekę ordynacką ze zbiorami Świdzińskiego, określeniem stosunku publiczności do niego. Już ono oddzielnie w Bibliotece Warszawskiéj i w innych pismach peryodycznych ogłoszone było. Nie wchodzi w zakres mój jako prostego sprawozdawcy, rozbiór i ocenienie tego ważnego aktu, bo stanowiącego praktyczne zastosowanie woli testatora. Uważam jednakże, że p. margrabia

przez ogłoszenie publiczne przyznał, iż to jest rzecz ogółu; ogół zatém ma prawo wynurzyć o tém postanowieniu swe zdanie, ocenić je, czy odpowiada myśli zapisodawcy i zawyrokować, czy takiemi środkami spełnił p. margrabia święty obowiązek sumienia i honoru jak go Prokurator Senatu nazywa.

Témbardziéj po za moim obrębem leży cała część polemiczna, w któréj nie miałem udziału i ze względu na ton w jakim jest prowadzoną, nie przez obawę owych okropnych środków pognębienia, któremi p. margrabia swoim opponentom zagraża, chciałbym do niéj nie należéć (1). Pisze bowiem: „Nie zaczepiamy nikogo, lecz gdy kto zastąpi nam drogę, lubimy dać się we znaki: nie

(1) Oprócz ogłoszonych rękopiśmiennych pomników, Biblioteka ordynacyi zawiera część wstępną pod tytułem: Zapis Świdzińskiego.

W piérwszym numerze Biblioteki pod tym napisem zamieszczone zostały, oprócz testamentu Świdzińskiego, wyroków sądowych w sprawie o ważność tego testamentu i wniosków Naczelnego prokuratora, dwie mowy margrabiego Wielopolskiego: jednę w Sądzie Appellacyjnym powiedzianą, drugą do powiedzenia w Senacie przygotowaną i obszerne do tych mów przypisy syna jego i następcy na ordynacyę.

„Umyśliliśmy, mówi hrabia Z. W. objaśniając w przypisach do mów ojcowskich powody i przedmiot swego pisma, „publikacyą naszą nad pierwotny zamiar ogłaszania rękopiśmiennych pomników rozprzestrzenić ku temu, aby były razem ciągłą kroniką zbiorów i obroną dzieła Świdzińskiego i obroną naszą, jako wykonawców tego dzieła; albowiem nie przystało żebrać posłuchania tam, gdzie oddawna zaocznie nas potępiono" (str. 81).

Innemi słowy tę samą rzecz oddając, hrabiowie Wielopolscy, ojciec i syn, postanowili, obok M. SS. Świdzińskiego, wydawać raz na rok gazetę, mającą być organem ich ulubionych przekonań, ich dążeń, a nawet ich uprzedzeń i niechęci do różnych osób i kierunków.

Myśl założenia w piśmiennictwie czasowém osobnego familijnego organu, nie jest może w dzisiejszych czasach ze wszystkiém szczęśliwą. Wygląda to nakształt, jak gdyby w wieku dróg żelaznych i statków parowych chciał ktoś koniecznie podróżować własnym powozem albo płynąć czółenkiem. Oczywista, że pozostanie za drugiemi.

Dzienniki stoją dla wszystkich otworem, a ile razy hr. Wielopolski tego środka publikacyi użyć zechce, jesteśmy przekonani, że nie będzie potrzebował „żebrać o posłuchanie."

W założeniu przez hrabiów Wielopolskich oddzielnego rocznika, widzimy tylko mimowolny hołd złożony *opinii*, o któréj lekceważeniu przez siebie hrabiowie Wielopolscy zbyt często zapewniają nas, abyśmy mniemać nie mieli, że to lekceważenie wmówić w siebie usiłują — i *potrzebie jawności*

szczędzimy zwłaszcza tych, co wezwani przez Świdzińskiego do niesienia nam pomocy, miasto chleba jak mówi Pismo Ś., dają nam kamień, a zamiast ryby przynoszą nam węża. Napastowani używamy i używać będziemy wszelkiéj broni, to, jak się wyraża nasz recenzent w Przeglądzie, broni siecznéj, to palnéj, to dział większego kalibru, to tych, które świeża nauka i przemysł wydoskonaliły. Nie mając ani czasu, ani miejsca w żadnym dzienniku do codziennéj polemiki, długi nasze pod tym względem raz tylko do roku, lecz z lichwą płacić będziemy".

Jestto program dalszego wydawnictwa tego pisma usprawiedliwiający jego tytuł. Muzeum Świdzińskiego

uczuwanéj przez największych nawet nieprzyjaciół „gadatliwości niepoprawnego dziennikarstwa".

Wystąpienie hrabiów Wielopolskich na tém wrzekomo wzgardzonem przez nich polu, nie jest zbyt udatne. Dwa pokolenia złożyły się na piérwszy numer gazety, która nie przetrwa ani jednego.

Duch, w jakim hrabiowie Wielopolscy pismo swoje wydawać zamierzają, objaśniają nam następne słowa hrabiego Z. W.:

„Napastowani używamy i nadal używać będziemy *wszelkiéj* broni!... Nie mając ani czasu, ani miejsca w żadném piśmie do codziennéj polemiki, długi nasze pod tym względem raz tylko do roku, lecz z lichwą płacić będziemy" (str. 57).

Taka sumienność w oddawaniu długów jest godna pochwały. Życzylibyśmy tylko, żeby hrabia, nie wdając się w lichwę, poprzestał na uiszczeniu się w kapitale, lecz w monecie poprawniejszego niż dotąd stempla, a nadewszystko rzetelniejszéj wartości. Tym razem hrabia drukując swoje pismo w Krakowie, obliczał się, widać, na kurs papierów austryackich, zapominając, że te nie wszędzie w imiennéj wartości będą przyjęte.

Radzibyśmy także widzieli, żeby hrabia pamiętał, że nie wszelka broń przystoi szlachetnéj ręce i dobrze wprzód swój oręż rozpatrzył, zanim go na przeciwnika użyje.

W obecném swojém wystąpieniu hr. Wielopolski sieje płonne podejrzenia, przypisuje drugim urojone projekta, aby mieć pole do zbijania własnych uwidzeń, broniąc się zaczepia, a nawet napastuje ludzi, którzy mu nic nie zawinili.

Do tych ostatnich ofiar wojowniczego usposobienia hrabiego, liczy się i redakcya Biblioteki Warszawskiéj. Chcąc uczcić pamięć Świdzińskiego i obznajmić czytelników naszych z jego zapisem, uprosiliśmy pana Bartoszewicza o napisanie artykułu w tym przedmiocie dla naszego pisma. Stało się to, jak sam hrabia dla wieczuéj pamięci (str. 66) podaje, w dniu 3 lipca 1856 roku, t. j. w epoce, kiedy jeszcze żadne niesnaski między hrabiami Wielopolskiemi a p. Bartoszewiczem nie wybuchły, a przynajmniéj jawnemi nie były.

schronione pod ordynacyą, ogłaszać będzie rzadkości bibliograficzne; biblioteka Myszkowska jako jego prawnie uznany obrońca prowadzić będzie polemikę. Oddział przecież polemiczny, dla braku materyału, może będzie w przyszłych poszytach zbytecznym. A publiczność zyskując na tém więcéj miejsca dla materyałów z muzeum Świdzińskiego, nie będzie się gniewać, choćby tak straszny arsenał biblioteki Myszkowskiéj rdza pokryła. W części drugiéj zamieszczone naprzód dwie małe rozprawki Konstantego Świdzińskiego, jedna o wykopanych numizmatach w Stebłowie, druga o monetach Hanów w Kopczaku, obie więcéj przez pamięć autora jak dla ważności swéj zasługujące na ogłoszenie.

Po nich następuje curiosum bibliograficzne, tojest: Zbiór praw Zygmunta I przez Macieja Śliwnickiego ułó-

Wybór nasz padł na p. Bartoszewicza z tego mianowicie względu, że jemu jako zaszczyconemu zaufaniem ś. p. Świdzińskiego, jako powołanemu testamentem do uczestnictwa w urządzeniu biblioteki, do zwiedzenia której właśnie podówczas sam margrabia go zaprosił, i uczcić pamięć Świdzińskiego przed innemi przystało, i szczegóły zapisu dotyczące bliżéj mogły być wiadome.

P. Bartoszewicz uczynił zadosyć naszemu wezwaniu dopiéro w roku następnym. Artykuł jego utrzymujący się w granicach umiarkowania i przyzwoitości, nie wahaliśmy się zamieścić w kolumnach pisma naszego, nie przyjmując przezto jeszcze odpowiedzialności za wszystkie twierdzenia w nim zawarte. Reklamacye, twierdzeniom tego uczonego przeciwne, byłyby w piśmie naszém również miejsce znalazły, gdyby z niemi wystąpiono: lecz tak się nie stało.

Hr. Wielopolski milcząc, kiedy mówić była pora, po upływie lat kilku wywołuje przed sąd publiczny rzecz nie będącą już na porządku dziennym i męczając nas do swojéj polemiki z p. Bartoszewiczem, rzuca na nas podejrzenia, których, gdy na niczém nie są oparte, zbijać nawet nie widzimy potrzeby. Wolimy mniemać, że niewprawne pióro zawiodło szlachetnego autora, niż zaliczyć go do zwolenników zasady: *Calumniare audacter, semper aliquid haeret.*

Zawsze z przyjemnością witamy ukazanie się na polu piśmiennictwa krajowego potomków znakomitych imion. Ażeby przecież wystąpienie na tém polu hr. Wielopolskiego przyniosło jemu zaszczyt, a społeczności korzyść, na to potrzeba, iżby hrabia do wysokiego ukształcenia i przymiotów, jakie niezaprzeczenie posiada, przydał więcéj umiarkowania w sądzie o ludziach, i nieco lżejszego dowcipu.

Ufni, że dojrzalszy namysł usunie w niedalekiéj przyszłości spostrzegane dziś w piśmie jego usterki, chętnie puszczamy w niepamięć teraźniejszą jego tak niefortunną zaczepkę. *Przyp. red.*

żony, po raz pierwszy z dawnego jedynego rękopismu wydrukowany. Wiele okoliczności złożyło się na rozbudzenie zaciekawienia do tego rękopismu. Przed trzydziestu kilką laty znalazł go Świdziński w Radomiu poniewierający się z innemi małéj wagi książkami. Nabył go za nizką bardzo cenę, bo ośmiu złotych i dziekanowi wydziału prawnego w byłym uniwersytecie warszawskim Janowi Wincentemu Bandtkie do rozpatrzenia i ocenienia powierzył. Bandtkie wykładający historyą dawnych praw polskich, miał tę słabą stronę, że sobie lekko ważył całe nasze dawne ustawodawstwo, dlatego, iż się tworzyło wiekami; nie ujęte w żaden systemat i porządek, rozrzucone jest po licznych statutach i konstytucyach, a on tylko ustawy skodyfikowane, tojest w jednę systematyczną całość zebrane, za prawo, godne tego nazwiska uważał. Po Statucie też Wiślickim, który już na prawo wedle jego myśli zakrawał, większą część naszych ustaw jako niezupełnie szczegółowe materye wyczerpujące, a często jedne z drugiemi do pogodzenia trudne, za wybryk tylko szlacheckiéj swawoli, złotą wolnością zwanéj, z któréj przez czas jakiś żartować lubił, w kursie swoim przedstawiał.

Każdy przeto kodeks, bez względu na wartość wewnętrzną wyższym był w jego oczach, od naszego całego prawodawstwa. Na szczycie (w czém miał słuszność) stało u niego prawo rzymskie, którego chociaż się uczono u nas i nawet w ogóle często z niego korzystano, jednakże wszelkiego praktycznego zastosowania unikano, uważając je niezgodném z instytucyami naszemi i swobodą. Téj krnąbrności nie mógł pojąć i wytłumaczyć sobie Bandtkie. Uważał ją prawie za dzikość, a nie mogąc jéj pogodzić z wysokiém wykształceniem moralném i postępem naukowym, które uznawał i sprawiedliwość im oddawał, silił się wykazać: iż prawo rzymskie, chociaż nie służyło za wzór naszym prawodawcom, miało przecież wpływ naukowy na jurysprudencyą: uciekano się do niego pomocniczo w praktyczném zastosowaniu, jako do źródła wiedzy prawnéj. Przy niepełności zaś i niedokładności naszych ustaw, dlatego właśnie, iż tak mało, jak mniemał, naśladowały rzymskie, zastosowanie to było częstém. Zdanie to Bandtkiego podzielał i popierał kolega jego Wacław Alexander

Maciejowski: z oppozycyą wystąpił głównie Lelewel. Ztąd wywiązała się polemika jakiś czas w pismach publicznych i w osobnych broszurach prowadzona. Spór stanowczo nie został rozstrzygniętym. Bandtkie przeto i jego stronnicy nie mogli otrąbić zwycięztwa. W tym to czasie otrzymał od Swidzińskiego ów rękopism obejmujący projekt do kodeksu Zygmuntowskiego przez Macieja Śliwnickiego ułożony. Z dwóch względów więc mocno zajął Bandtkiego: raz, że to był kodeks, a zatém miał całość, systemat i porządek, na brak których w naszém prawodawstwie ciągle się użalał, a powtóre dlatego, że był głównie na prawie rzymskiém nie miejscowém osnowany. Z téj osobistéj rzec można strony, rękopism ten w oczach Bandtkiego nabrał niezmiernéj ważności i znaczenia. Napisał go autor z rozkazu króla, w czasie gdy instynkt narodu ciągnął go do zebrania, uporządkowania i ułożenia zbioru praw ziemskich, a popęd ten, którym jak wielu innemi wyprzedziliśmy postronnych, podzielał król Zygmunt i silnie go popierał. To dodawało temu dziełu dotąd nieznanemu także znaczenia, zwłaszcza, że autor w projekcie dekretu królewskiego kodeks ten ogłaszającego, a Bandtkie nie dopatrzywszy się, za rzeczywiste zatwierdzenie królewskie go uznał, wyraźnie zamieścił, iż jakkolwiek ma głównie zastąpić prawo magdeburskie i chełmińskie w miastach, służyć ma przecież za źródło pomocnicze dla prawa szlachty, tojest ziemskiego.

Pod wpływem takiego zapatrywania się napisał Bandtkie rozprawę, czytaną na publicznem posiedzeniu uniwersytetu dnia 1 października 1825 (1) pod tytułem: „O Macieju Śliwnickim i księdze prawa powszechnego z woli Zygmunta I przezeń ułożonéj". W niéj obok zwrócenia uwagi na przedmiot mało dotknięty, tojest usiłowań i prac prawodawczych Zygmunta I, pod wpływem pierwszego wrażenia, podniósł do najwyższego stopnia ważność tego przypadkowego odkrycia Swidzińskiego. Rozprawa ta obudziła ciekawość uczonych, utrzymywaną i podniecaną ciągle tém, iż rękopism był unikatem w zbiorach Swidzińskiego ukrytym, a jednę tylko kopią sporządził Bandtkie, bardzo

(1) Drukowana w Warszawie u Glücksberga 1825.

mało zatém komu był znanym. Nieraz też odzywały się głosy o potrzebie wydrukowania tak ważnego dzieła w historyi naszego prawodawstwa. Ciekawość tę przez tradycyą utrzymywaną zaspokoił obecnie inargrabia, ogłaszając dzieło to w pierwszym zaraz roczniku zbiorów Świdzińskiego. Do wydania tego użył najwłaściwszéj pomocy uczonego Antoniego Helcla, który ze znaną ścisłością i znajomością rzeczy z obowiązku tego wywiązał się. Samo dzieło poprzedził przedmową w języku łacińskim napisaną, chcąc aby nietylko krajowym uczonym znaném było. W niéj obok wiadomości o rękopiśmie, autorze i czasie napisania dzieła, częścią za Bandtkiem powtórzonych, częścią sprostowanych i uzupełnionych, nie wdając się w rozbiór samego dzieła jako pod sąd publiczny poddanego, tę ochładzającą ciekawość publiczną zamieścił wzmiankę, iż Bandtkie zbyt wysoko je stawiał i wygórowaną nadawał mu ważność. Wyjaśnił bowiem, że to jest po prostu projekt prawa w zastępstwie i za uchyleniem praw magdeburskiego i chełmińskiego miasta obowiązywać mającego; lecz już ten zamiar, a tembardziéj, aby prawo to na rzymskiém oparte, za pomocnicze ziemskiemu służyć miało, król snać za przedwczesny uważał i dlatego nigdy mu nie dał swego zatwierdzenia. Złudził się więc Bandtkie projektem dekretu królewskiego zatwierdzenie to zawierającym, który przecież nigdy nie nastąpił, a to całą ważność dziełu odejmuje. Nic też dziwnego, że projekt ten przez króla odrzucony, nie mogący przypaść do smaku ani szlachcie, oburzającéj się na myśl, iżby prawom miejskim ulegać miała, ani samym miastom, zbyt przywykłym do prawa niemieckiego, iżby je chętnie i skwapliwie na prawo nowe wyciągiem tylko z rzymskiego będące zamienić chcieli; a tak przez cały naród odepchnięty, tak mało znalazł sympatyi, że nikt nie pragnął go nietylko drukiem ogłosić, ale nawet skopiować. Oto powód, dlaczego się przypadkiem dochował w unikacie, zapewne tym samym, który autor królowi przedstawił, i dopiéro zbieg okoliczności po 300 latach obudził do niego ciekawość.

Sam też wydawca uważa autora, jako w ułożeniu tego projektu idącego więcéj za swojém upodobaniem i przekonaniem, jak za spełnieniem woli królewskiéj i po-

trzebami współobywateli. Nie nadaje mu też takiéj ważności, jakąby miał, gdyby obraz obyczajów ówczesnych, usposobienia narodu i myśli królewskiéj przedstawiał. Zdaniem przeto p. Helcla dzieło to ma ważność tylko dlatego, że jest świadectwem głębokiéj i rozległéj nauki tak samego autora jak współczesnych, upodobania chociaż nie powszechnego w prawie rzymskiém, wreszcie zdolności nagięcia go w zastosowaniu do potrzeb czasowych. Zawiodła się przeto ciekawość, ale czyniąc jéj zadosyć posiadacz muzeum Świdzińskiego za to nie odpowiada. Owszem winniśmy mu wdzięczność, że w tém spełniając wolą zapisodawcy poszedł za głosem powszechnym i zaczął rozpowszechniać, choć zwolna bardzo, ważne dla historyi i nauki skarby, które zbiory Świdzińskiego obejmują.

Prz.

PRZYCZYNEK

DO HISTORYI KRAJU SPIZKIEGO, CZĘŚĆ MAŁOPOLSKI NIEGDYŚ STANOWIĄCEGO, Z UWAGĄ NA KODEKS DYPLOMATYCZNY WĘGIER.

Źródłem dziejów polskiego narodu dosyć obfitem, a mało u nas upowszechnioném, jest Kodeks Dyplomatyczny, który osobiście mi znany, ksiądz kanonik Fejer, prefekt biblioteki królewskiéj w Peszcie, przez lat piętnaście wydawał (1). Dzieło jest w ósemce, z kilkudziesięciu złożone tomów, z których wyjąwszy pierwszy, drugi i ostatni, rozpada każdy na woluminów kilka. I tak tom trzeci jest w dwóch woluminach, czwarty i piąty ma ich po trzy, szósty jest w dwóch, siódmy w pięciu, ósmy w siedmiu, dziewiąty i dziesiąty ma tyleż każdy, jedenasty się z jednego woluminu składa. Rejestru do dzieła jest woluminów dwa. Całe więc dzieło czterdzieści jeden woluminów wynosi. Przed każdym przemówił do czytelnika wydawca, ogólnie się o dyplomatach i dyplomataryuszach w trzech pierwszych tomach wyraziwszy; od tomu czwartego począwszy zaczął się o szczegółach rozwodzić. Szczegóły te stają się coraz ważniejsze z piątym tomem. Mianowicie zastanowiły mnie wstępy do woluminu czwartego tomu ósmego, tudzież do tegoż woluminu tomu dziewiątego. Między innemi rozprawia w pierwszym o granicach Węgier od

(1) Codex diplomaticus Hungariae ecclesiasticus et civilis. Studio et opera Georgii Fejer Bibliothecarii regii. Budae 1829—1844.

strony Polski leżących, w drugim o prawach do wielkiéj części Małopolski, tudzież do Czerwonéj Rusi i Włodzimierskiego Księztwa, przez monarchią węgierską w XII i następnych wiekach jakoby nabytych, szeroce mówi. Ponieważ dowody, na których twierdzenia swe oparł, zdają się mi być bezzasadne, przeto postanowiłem rozwieść się nad tém, biorąc teraz samą tylko granicę na uwagę: o prawach do Czerwonéj Rusi kiedyindziéj powiem. Uprzedzam czytelnika, że rozprawę swą połączę z artykułami „o latopisie miasta Żywca“ i „o Spiżu“ przez pp. Stanisława Kraussa i profesora Ludwika Zejsznera w Bibliotece warszawskiéj (1) umieszczonenemi, tudzież z opowiadaniem ją o kraju spizkim, w tomie III Historyi Narodu Polskiego Adama Naruszewicza znajdującém się, związę ściśle, a polegając na dowodach w tychże artykułach złożonych, przywodzić będę takie tylko, których tam nie ma.

Wiadomo, że dzieląc się upadłem Świętopełka morawskiém państwem Polacy, Czesi i Niemcy, prowincye państwa tego swoim krajom przyległe zagarnęli. Polska, wziąwszy po większéj części same pustkowia, nie miała z téj grabieży wielkiéj korzyści. Posiadła wprawdzie wielką przestrzeń, od rzeki Cissy do źródeł Wisły rozciągającego się kraju, ale kraj ten, mianowicie téż w okolicach Czorsztynu i Myślenic leżący, tak był jeszcze za czasów Kazimierza Wielkiego ubogi, że nie był w stanie płacić kościołowi téj co inne ziemie polskie dziesięciny (2). Dbali jednakże o posiadłość tych ziem Polacy, albowiem położenie ich górzyste stało im za twierdzę od strony Węgier naturalną. To téż pozwoliwszy je aż po Tatry zająć osiedlonym r. 870 za Karpatami Madziarom, nie dozwolili im przekraczać gór, i osiedlać się w nich na zawsze. Ci atoli czyhali na kraje te ustawicznie, albowiem wiedzieli o tém, że one są kluczem do dalszych zdobyczy, że kto je posiądzie, temu otworem stanie droga do Małopolski i na Ruś Czerwoną, która ułatwi mu zabory dalsze. To też żeniąc syna swego Stefana Koloman król węgierski z Judytą Bolesława Krzywoustego

(1) Porówn. tom III. tejże Bibl. z r. 1852 str. 53, takiż tom z r. 1854 str. 1 tudzież z r. 1855 str. 197.

(2) Rok 1359, w Bandtk. jus pol. 165.

córką, wymówił sobie r. 1108, że ziemia spizka dana mu będzie w posagu. Zgodził się na to król polski, (mówi Boguchwała), ale zgodził na dożywotnie tylko ziemi téj przez Węgrów posiadanie. Przystawszy na to Koloman, upatrywał chwili, w któréjby mógł posiąść ją na zawsze. I doczekał się jéj, czy sam, czy syn jego, niewiadomo. Wezwany o pomoc od przemyskich książąt przeciwko kijowskim książętom, zamienił z Bolesławem Przemyśl, któremu przybył w pomoc, na kasztelanią spizką. Co ztąd wynikło, dziś nas nie obchodzi: dla nas bowiem jest tylko to nateraz ważnem, że mimo twierdzenia Długosza, iż cała ziemia spizka daną była Węgrom w posagu, i że przy nich zostawała aż do r. 1412, w którym ją za wyliczone 40 kop szerokich groszy wziął w zastaw Władysław Jagiełło (1). Atoli mimo twierdzenia Długosza, ziemia jednakże ta nie zostawała po Kolomana i Stefana śmierci pod wyłącznem Węgrów władaniem. Albowiem historya pokazuje, że jeżeli nie całym Spiżem to pewno podoleneckim powiatem władała Polska w wieku XIII, i że władztwo to na książąt oświecimskich przelała. Jakoż wiemy, że Bolesław Wstydliwy nadania czynił w Podoleńcu r. 1244, że darowawszy r. 1278 książętom oświecimskim ziemie po obu brzegach rzeki Skawy rozciągające się, wyjął z pod ich władzy dziedziczne dobra Radwanów, które im z prawem polowania po lasach aż do granicy Węgier idących nadał; że r. 1288 Podoleńcowi miastu Kunegunda Bolesława Wstydliwego małżonka zapisy czyniła. Ponieważ książęta oświecimscy lennikami się króla czeskiego r. 1289 być uznali, więc łatwo pojąć, na zasadzie jakiego prawa król tenże łaskaw był r. 1290 na Podoliniec miasto. Wszystko to dowodzi, że przed Zygmunta czasami (r. 1387) nie miał kraj spizki królów węgierskich panami, i że nawet wtedy, gdy oświecimskim książętom na lenność będąc dany pod bezpośrednim władztwem Polski nie zostawał, liczony był w poczet krajów pol-

(1) Colomanus Ungariae rex filio suo natu majori Stephano Juditham Boleslai Polonorum Ducis desponsat uxorem. Provinciam *Scepusiensem*, quae tunc juris Polonorum fuerat, et pars ejus non modica in terra Cracoviensi consistebat, Boleslaus filiae in dotem consignat. *Ab eo quoque tempore sequestrata a Polonia in proprietatem et ditionem Ungarorum transiit*, mówi Długosz pod r. 1108 (tom I. str. 372, wyd. Huyssena).

skich, albowiem do dyecezyi krakowskich biskupów należał. Sam Fejer dowody na to podaje, przytaczając z roku 1325, 1332 pochodzące dyplomata (1). Wszelako gdy o władzę dyecezalną z rzeczonemi biskupami, lubo daremnie, toczył spory arcybiskup ostrzychomski (Strigonia, Gran), więc to znowu naucza, że Węgrzyni wciąż sobie jakieś prawo do kraju spizkiego, aż do ustąpienia go przez Zygmunta Polsce, może na zasadzie owych o Przemyśl układów, rościli, i że prawu temu, jak Boguchwała mówi, przeczyli polscy królowie. Wreszcie odczepiając się od nich złożył Jagiełło ową summę, czyli prawo do Spiża zakupił od nich. Mimo to uznał ksiądz Fejer być słusznem (2), że królująca Węgrom Marya Teressa odebrała Polsce kraj spizki w r. 1772. Zapomniał wszakże dodać, że przytém monarchini ta Małopolskę też aż po rzekę San na téj może wzięła zasadzie, że według Długosza wchodząc w zakres spizkiéj kasztelanii nie mała część Małopolski nie została Zygmuntowi zapłacona. Nazwę Spiżu chcąc odgadnąć, nie należy jéj z Linde.n od *spiży*, co żywność znaczy, ani od *spiza* czyli mieszanego do lania dzwonów i armat używanego kruszcu wywodzić, ale za skazówką, którą dał Marcin Bielski, pójść potrzeba (3). Kronikarz ten, z podaniem snadź ludowém zgodnie, mówi, że niegdyś miały w Tatrach swe leże, broniące polskich granic straże. Zkądże się tu wzięły?

Pomnąc, że od zrzódeł Popradu aż do ujścia rzeki Koszurawy do Soły, sterczące w Karpatach góry najwyższe miały osobne, dla pewnego snadź celu sobie nadane nazwiska, z których czelniejsze akt urzędowy na rzecz wyżéj wymienionych Radwanitów wydany po szczególe wymieniając wspomina: *Żar*, *Poszuschew*, *Upik* (4); pomnąc

(1) R. 1325, 1332 u Fejera VIII, 2, 4 str. 638 nastpn.

(2) W przedmowie do Dyplomatr. VIII, 4, str. 15.

(3) Linde p. w. *spiża*. Polska pod względem obycz. II, 102.

(4) W dypl. z r. 1278 u Rzysz. I. 106. *Żar*, jest nazwa góry według prof. Zejsznera w Karpatach pospolita. Wymieniona w tymże dyplomacie góra *Poszusew* (dypl. z r. 1356, u Rzysz. III, 120 pisze *Poszuschew*) pod miasteczkiem *Sucha* blizko Babiéj góry położoném, jak mniemam leżała. Na położenie góry *Upik* nie mam śladu. *Cipsensis* terra w dypl. z r. 1348 u Rzysz. III. 254. kraj spiski, a *Zips Zypsa* miasto *Żywiec* (w dypl. pod r. 1327 u Fejera i u Sommersb. porówn. Bibl. Warsz. z r. 1852 III. 74) oznacza.

daléj, że odkąd na scenę dziejów wystąpił kraj spizki, dwojako się, bo *Zepus* i *Spisz* nazywał, i że nazwę tę do twierdzy, która go reprezentowała, przywiązaną mając (1), rozciągnął ją i na ostatnią lesistéj krainy téj kończynę, wnoszę: że od *leż wojskowych*, czyli od hasła, które rozstawieni po tych górach dawali sobie wojacy, wziąwszy nazwę naprzód ta część ziemi, w któréj na górze *Żar* pierwsza straż stała, a następnie ta, co przy dzisiejszém miasteczku Sucha na górze *Posuszą* zwanéj obozem była, nakoniec ta, co na *Upiku*, może około Żywca położonéj górze, za legowisko służyła dla straży, nazwę tę na cały kraj strażniczy tatrański rozciągnęła następnie, *spiszem* od spania, tojest od leżenia straży, nazywając ją. Coś podobnego na Dnieprze się objawiło. Pierwszy z jego progów, który służył za twierdzę, nosił nazwisko swoje z téj saméj przyczyny (2). Według piszącego roku 945—952 Konstantyna Porfirogenety nazywała się owa twierdza *Essupe*, co miało znaczyć *nie spij* (czuwaj). Wzięła zaś jak mniemam, nazwisko swe przeto, że hasłem owém wołali na siebie czuwający tu wojacy, kozakami zaporozkimi nazywani z czasem. Podobném hasłem tojest okrzykiem czy *spisz*? wołała na siebie już może za czasów rzymskich posadzona tu straż wojskowa, która że stała w tych stronach obozem, pilnując tak po dziś zwanéj „drogi greckiéj", są na to w dziejach ślady. Straż ta zapewne i do czasu usadowienia się około r. 870 za Karpatami Madziarów przetrwawszy, uzyskała od przetworzonego przez nich wyrazu *spisz* nazwisko *szepes*, co trwogę, czyli słowo trwogę wzbudzające (*szepeni*, *szepenni*) oznaczając (3), zostało wreszcie od osiedlonych już około roku 1178, w Siedmiogrodzie Niemców, przez przekładnią i zmienioną pisownię na *Zips* przeobrażone. Mniemam, że z wyrazu *spiss* (spisz) powstał *Zips*, gdy *c*, jak w rękopismach polskich XIV wieku (w Pamiętnikach i dodatkach do Piśmiennictwa odemnie wydanych) stoi pisane za *S*, przeszło na *z*, a po spółgłosce *p*.

(1) *Silva Zepus* u Notaryusza króla Beli, *castelania de Spisz* u Boguchwały, patrz Narusz. III. 361.

(2) Mylnie o tém mówi Szafarzyk w Starozitn. str. 559 a dobrze Kunig. w dziele dwutomowém *Die Berufung der Schwedischen Rodsen durch die Finnen und Slaven* St. Petersb. 1845. Porówn. II. 422 ustępu.

(3) Patrz słownik Dankowskiego.

stojące *i* przeniesiono przed toż *p*. Tym, co język słowiański i niemiecki historycznie badali, wiadomo, że oba języki przekładały często zgłoski i sylaby, i że osiedlone wśród Słowian ludy, co mowa Litwinów, Madziarów i Niemców stwierdza, przekładni używali też często. Bądź co bądź, dotąd, jak p. Zejszner świadczy, zamek spizki zowią Madziarowie *szepeshaza*, a Niemcy go *Zipserhaus* mianują. Ci też, tudzież karpaccy Niemcy miasto Żywiec, które na granicy karpackiego tudzież od Bielska zaczynającego się kraju szlązkiego stoi, Zips mianują.

Chociaż kraju spizkiego pierwotny mieszkaniec pochodził ze szczepu polskiego, do którego się w IX—XIII wieku wcisnął Madziar i Niemiec, jednakże Fejer kraj ten za odwiecznie madziarski poczytał. Tenże uczony historyk, aczkolwiek głosił (1), że się zdrady dziejów dopuszcza nietylko ten, co kłamstwu sprzyja, lecz i ten, co mogąc to uczynić, nie chce wypowiedzieć prawdy, jednakże, z miłości snadź ku ojczyznie, nie wahał się hołdować fałszowi, i nie chciał podzielić zdania, które za granicą o urojonem prawie Węgrzynów do Rusi-Czerwonéj wyrzeczono, tudzież co o stosunkach ich do sąsiedzkich krajów powiedziano tamże. Przez co wpadł w tę samą błędów matnią, o któréj drugich przestrzegł, mówiąc: *qui veritatem quaerit confundere, a veritate confunditur*. Z jego więc dzieła, krytycznym nie ożywionego duchem, tylko ten skorzysta, kto krytycznie rozważyć go potrafi, kto, mówiąc z wieszczem, z kłamstwa zdoła wyłamać prawdę.

(1) Koniec przedmowy do IX. 3, 4.

Wacław Alexander Maciejowski.

KRONIKA LITERACKA.

Jadwiga królowa polska *(Jadviga, Königin von Polen), dramat historyczny Dornheima. Stutgart.* 1857 *r.* — Zofia księżniczka słucka, *dramat historyczny z XVII wieku przez Władysława Syrokomlę. Wilno.* 1859 *r.*

Szczególnym trafem znalazły się na naszym sprawozdawczym stoliku dwa dzieła różne od siebie językiem, a nadzwyczaj zbliżone przedmiotem, formą i założeniem estetyczném, jakoto: *Jadwiga królowa polska*, niemieckiego poety Dornheima, i *Zofia księżniczka słucka*, Władysława Syrokomli. Obu tych dramatów bohaterkami są kobiéty, Polki, w obu formą bohaterstwa jest poświęcenie osobiste na korzyść ogółu.

Nie ma podobno w historyi naszéj przedmiotu, za którymby sztuka bardziéj ubiegała się, jak fakt połączenia Litwy z Polską, dokonany przez wnuczkę Kazimierza Wielkiego; to tylko dziwna rzecz, iż go nie dotknął żaden ze znakomitych poetów tak, iż cokolwiek mamy w tym przedmiocie, począwszy od jakiejś dwudziestopieśniowéj epopei, i przechodząc przez powieści, libretto, aż do dramatu, wszystko, z małym wyjątkiem, jest wyrobem mierności i jeśli nie karykaturą sztuki. Przyszedł nam w pomoc obcego rodu poeta; tém większa przeto zdejmuje ciekawość, aby przekonać się, czy ten gość równy jest godom, na które przybywa. Dotąd ilekroć zdarzyło się nam czytać utwor estetyczny literatury obcéj, traktujący o naszych rzeczach, zawsze on obudzał pewien niesmak wywołany ponajwiększéj części nieznajomością obyczajów naszych i dowolném kreśleniem charakterów historycznych; dziwiliśmy się nawet, jak można tak lekkomyślnie przystępować do opisywania uczuć i działań narodu, którego

się wcale nie zna ani z widzenia, ani z wieści, o którym Zachód ma najfałszywsze pojęcia. Ale z drugiéj strony upowszechnione już w Niemczech tłumaczenia naszych estetycznych dzieł, wyobrażających rozmaite odcienia ducha narodu, poważne studya nad dziejami i obyczajami, częstsze wreszcie stosunki towarzyskie mogą obecnie być rękojmią sumienniejszego traktowania przedmiotu. Zkądinąd nowa szkoła poetyczna niemiecka liczy tylu zdolnych ludzi, jak Halm, Hebel, Grabbe, że istotnie z wdzięcznością widzielibyśmy przedmiot nasz opracowany piórem jednego z jéj przedstawców. Jednak co się tyczy Dornheima, to z dziełem jego wprzód poznaliśmy się, jak z jego nazwiskiem, i nie wiemy zgoła, jakie on zajmuje stanowisko w obecnym ruchu literackim w Niemczech: dlatego też nie będzie nas tu zajmować zdanie o poecie, ale raczéj sprawozdanie o tym szczegółowo jego utworze, który przedstawim czytelnikowi w jego głównych zarysach.

Naród polski pragnąc zapobiedz wojnie domowéj, wysyła deputacyą do Ofen do królowéj węgierskiéj Elżbiety, wdowy po Ludwiku W., ofiarując koronę polską córce jéj Jadwidze. Elżbieta przyjmuje ofiarę, ale młodą Jadwigę przeraża ten ogrom zaszczytu i odpowiedzialności, tembardziéj ona ani słuchać o tém nie chce, gdy jéj powiedziano, że musi natychmiast i to sama jedna udać się do Polski, i na czas jakiś rozłączyć się z narzeczonym, Wilhelmem arcyksięciem rakuzkim, z którym cały wiek od dzieciństwa przebyła razem w nierozerwanym związku serdecznéj miłości. Matka rozwija przed nią wspaniałą panoramę królewskiéj władzy, a dziewczynie tylko płakać się chce; majestat nic a nic jéj nie zajmuje i nie może zastąpić cichego wzajemnych uczuć szczęścia. Daremną może byłaby natarczywość matki, gdyby jéj nie wytłumaczono, że ten rozdział jéj z narzeczonym będzie tylko chwilowy, że Wilhelm postara się przypodobać Polakom, że tym sposobem sama będzie miała rozkosz czoło jego otoczyć koroną, skoro się naród dowie, iż ona zdawna już zaprzysięgła Wilhelmowi dozgonną miłość i wiarę. Nareszcie stanowczo na jéj zezwolenie wpłynął sam Wilhelm. Opowiada on ostatnie chwile jéj ojca, kiedy ten nie mógł spokojnie skonać pod wspomnieniem obojętności dla kraju, który mu losy swe powierzył, że zdawało się, jakoby daleki głos przekleństwa zwracał na ten świat już napoły wyzwolonego ducha i mieszał się z odgłosem błogosławieństw węgierskiéj ziemi. „Młodziuchny twój wiek, Jadwigo—powiada do niéj Wilhelm—

nie mógł pojąć téj męczarni; ty uśmiechając się patrzyłaś na ojca i składałaś przed nim rączki błagalnie, jakbyś go chciała z samym sobą pogodzić.... I uspokoiło się oblicze króla, ty byłaś mu aniołem pokoju, co mu spoczynek sprowadził. Z tą bowiem myślą pociechy, że ty będziesz posłanką zbawienia dla schorzałéj Polski, i że on jéj w tobie oddaje swe najwyższe dobro, jakoby zadośćuczynienie osieroconemu państwu, poszedł król Ludwik na spoczynek wieczny". To przypomnienie ostatecznie skłoniło Jadwigę do podróży, a było ono ze strony Wilhelma i loiczne i wspaniałe, i co większa, przytoczone z prawdziwie arcyksiążęcą dyplomacyą.

Przyjęcie pełne uroczystości i zapału, jakie towarzyszyło Jadwidze od granic polskich aż do Krakowa, złagodziło tę boleść rozdziału: ale zaledwie królowa stanęła w swoim zamku, już tam na nią czekał nowy kielich goryczy. Dają jéj znać, że litewski władzca, Jagiełło, na wieść o zbliżaniu się młodéj i pięknéj królowéj, incognito zjechał do Polski i wcisnął się w tłum z mnóstwem Litwinów, a ujrzawszy ją modlącą się przed cudownym obrazem Najświętszéj Panny Częstochowskiéj, zachwycony jéj wdziękami, obecnie wyprawił posłów z prośbą o rękę królowéj, obietnicą przyjęcia wiary chrześciańskiéj i połączenia dzielnic swoich z koroną polską. Ta wieść wprawia Jadwigę w odrętwienie rozpaczy: widzi ona tu jasno przepaść, ponad którą stanęła i nie przewiduje żadnego środka, którymby można skłonić naród do zezwolenia na jéj małżeństwo z nic nieznaczącym Wilhelmem w obec tak świetnych propozycyj litewskiego pana; widzi ona, że na stopniach tronu niknie ten obraz osobistego szczęścia, o jakiém marzyła wkraczając w granice Polski, i czuje, że z téj walki, pomiędzy sercem a powinnością, szczęścia nie wyniesie. Rozum jéj popierany siłą uczucia oburza się na myśl wiarołomstwa sercu i kochankowi, ale jak tu sprowadzić tysiące innych rozumów do tego samego przekonania i do współczucia. Jadwiga nie znajduje na to rady w umyśle własnym, nie ma komu się zwierzyć, oko jéj z miłością i utęsknieniem zwraca się na Południe: tam rada jéj najwierniejsza, tam jéj pociecha najczulsza; on jeden zdoła ją uspokoić i złagodzić rany. W téj myśli Jadwiga wysyła zaufanego sługę po Wilhelma, aby go tajemnie sprowadził, a tymczasem posłom Jagiełły daje odpowiedź grzeczną, ale niestanowczą, i zachowuje ostatnie słowo aż do zebrania sejmu.

Uchwała sejmu, rozumie się, nie wypadła gwoli sercu królowéj, a tymczasem przybywa Wilhelm i wahającą się w obec tylu korzyści, a szczególniéj w obec myśli przyprowadzenia tysięcy ludzi do ołtarza wiary, Jadwigę, sklania do wytrwałości w uczuciu zapewnieniem, że małżeństwo jéj z kim innym byłoby z jéj strony krzywoprzysięztwem, gdyż ona jest zaręczoną jemu i zaręczyny te odbyły się pod błogosławieństwem kościoła, który słyszał wzajemne ich przyrzeczenia wierności. Wreszcie, powiada Wilhelm, jeśli ty się wahasz, ja jednak nie zwracam ci danego mnie słowa, zaślubisz innego, zostaniesz wiarołomną; ja tak łatwo ciebie wydrzéć sobie nie dam. To aż nadto było przekonywającém dla Jadwigi, która czekała tylko, aby być w ten sposób przekonaną. Postanawia więc objawić publicznie uczucia swe i wolę sejmowym mężom i przedstawić, aby naród nie wymagał od niéj, żeby panowanie nad nim rozpoczęła od wiarołomstwa; gdyby zaś to nie pomogło, zaślubić potajemnie Wilhelma i po spełnionym fakcie zdać się na wolę Bożą.

Kiedy stany nie myślą wchodzić w rachubę serca królowéj, Jadwiga chce iść na przebój i przy spółdziałaniu kilku przyjaciół układa potajemny ślub z Wilhelmem, naznaczając na to dzień i godzinę północną w zamku krakowskim. Długa to ekspozycya tych zachodów, przypominająca sceny z Wapowskiego kroniki, którą tak znakomicie wytłumaczył p. Malinowski, a z któréj Dornheim co do słowa przejął tło i szczegóły historyczne; kończy się zaś tém, że projekt ten przez *Dobiesława* kasztelana krakowskiego odkryty nie przyszedł do skutku, i w dodatku, ale to już z winy autora dramatu, śmiesznością okryl konkurenta. Jużto rzeczywista nawet, historyczna rola Wilhelma w całéj téj historyi nie jest wcale zabawną, za cóż jeszcze poezya dobija ją do ostatka. Tu Wilhelm tak jakoś dwuznacznie nakreślony, że trudno odgadnąć czy on powoduje się samém tylko uczuciem, czy używa go za piedestał do interesu; dość, że kiedy wybiera się z zaufanym sługą na ten ślub, wtedy Dobiesław po zamknięciu bram zamkowych nietylko oświadcza halabardnikowi, że on mu odpowiada głową za wszelkie naruszenie rozkazu, ale i sam dla większéj pewności straż odbywa zdaleka. Nadchodzi Wilhelm i nie zważając na słowo halabardnika gwałtem chce wedrzéć się w bramy; wtedy zbliża się Dobiesław i poznawszy arcyksięcia, jak najgrzeczniéj przedstawia mu, że obyczaj i prawo wzbraniają wstępu i wyjścia każdemu z zamku po północy, a Wilhelm porywa się na niego z mie-

czem nie jak arcyksiążę, ale jak Donkiszot. Szczęściem, że trafił na człowieka, który mu się tylko w nos rozśmiał; inny byłby kazał rozsiekać, jeśli nie ochłostać. Krzyk Wilhelma boleśnie odezwał się w piersi Jadwigi, zrozumiała ona o co chodzi, rzuca się ku bramom zamkowym, w rozpaczy chce je wyprzeć, wyłamać, wyrąbać i pobiedz za Wilhelmem, ale wrzeciądze silniejsze jak jéj zgorączkowana dłoń: Jadwiga pada w omdleniu.

Jednak ten dramat jak miał w historyi, tak i na teatrze mieć musi jakieś rozwiązanie: patrzmyż więc jakiemi drogami autor prowadzi bohaterkę do ślubu z Jagiełłą. Nie pomógł nic list matki, w którym Elżbieta suchą i zimną ręką kreśli córce plan postępowania gwoli interesów politycznych; ale naród polski osładzając swój przymus delikatniejszemi formami, naprzód przez samych mężów stanu, a potém w osobie arcybiskupa, spowiednika Jadwigi, przedstawia jéj konieczność zrzeczenia się osobistéj rozkoszy dla celów wyższych i uchyla przed nią cały powab nagrody, jaka dla niéj wyniknie z dokonania tak wielkiego dzieła; ale Jadwiga przeciw temu wszystkiemu zasłania się wykonaną przed obliczem Boga Wilhelmowi przysięgą. Arcybiskup wtedy przynosi jéj list Ojca św., który, z uwagi na to, do czego jest powołaną, zwalnia ją z dawnych zobowiązań: ale Jadwiga jeszcze oczekuje na coś bardziéj stanowczego, na coś, coby nietylko umocniło jéj rozum, rozwiązało ręce, ale zarazem i uczucie z serca wydarło.

Oh! uczucie, ta najsilniejsza, ognista potęga ducha: piorun można zwrócić z drogi, można odeprzeć fale oceanu, ale gdzież jest siła, coby mogła wyrwać uczucie z malutkiéj piersi człowieka? Kiedy shańbionego prowadzą na rusztowanie, kiedy tłum obojętny z radością patrzy na śmierć złoczyńcy, jeszcze i tam gorąca łza spadnie cicho na krew delikwenta i na jego mogile porzuconéj śród rozstajnych dróg wyrośnie tajemniczy kwiatek, zasadzony ręką dawnéj kochanki. Kiedy więc autor obecnego dramatu wyczerpał wszelkie środki ziemskie ku skłonieniu Jadwigi do nienawistnego małżeństwa i to bezskutecznie, a postawił rzecz tak, iż postanowienie jéj już tylko zawisło od uczucia, które przy lada podmuchu wygasnąć nie może; mamy tedy wszelki powód obawiać się, aby autor nie doskoczył do celu przez jakie salto-mortale, lub możemy tylko oczekiwać jakiegoś genialnego zwrotu.

Nie wypada zamilczeć, że pomiędzy rozmaitemi środkami moralnego przymusu, jakiego doznaje Jadwiga, autor umieścił pogróżki arcybiskupa, który pomimo rad z ojcowską udzielanych delikatnością, wspomina jednak, a nawet dwakroć zaprzysięga Jadwidze, że dalsze jéj wahanie zagraża Wilhelmowi niebezpieczeństwem śmierci. Na to my znowu moglibyśmy zaprzysiądz p. Dornheimowi, że to jest fałsz i potwarz: dość powiedzieć, że Wilhelm znajdował się pod strażą gościnności polskiéj i miał do czynienia z rycerską szlachtą, i że żaden wyraz na stronnicach dziejów naszych do podobnego przypuszczenia nie upoważniał. Wreszcie dziwimy się nawet, jak, bez względu nawet na poprzednią uwagę, mógł autor podnosić ten środek tak wyszarzany po wszystkich scenach i romansach szkoły francuzkiéj.

Owoż Jadwiga po rozmowie z biskupem zniepokojona jeszcze bardziéj i czująca zbliżanie się stanowczéj chwili, w któréj ma rozstrzygnąć pomiędzy braterstwem dwóch ludów i nawróceniem tysięcy pogan do prawdziwego Boga, a posłuszeństwem dla własnego uczucia, które także przyszło jéj od tegoż samego Boga; prócz tego powodowana obawą o życie kochanka, pada przed ołtarzem do modlitwy prosząc z głębi serca patronkę swą, aby jéj wskazała drogę, która prowadzi do Boga. Wtedy następuje niema, ale decydująca scena. Obraz św. Jadwigi powoli znika, a na jego miejsce jawi się postać, niby obraz saméj modlącéj się odbity w zwierciadle, w ślubnym stroju: postać podnosi się, podchodzi do ołtarza, całuje krzyż i u stóp jego składa wieniec i zasłonę—godła narzeczonéj—i tak chwilę pozostaje w nieruchomej postawie, trzymając się krzyża. Powoli widzenie znika i obraz św. Jadwigi wraca na dawne miejsce. Królowa zrozumiała wskazówkę, kazała umilknąć sercu, a z duszy jéj popłynęła pieśń rezygnacyi.

Zdaje się, że na tém powinnoby się skończyć, ale nie takto łatwy koniec z sumiennością niemiecką. Po téj scenie jest jeszcze cały piąty akt dodatku, w którym Wilhelm dowiaduje się o postanowieniu królowéj. uznaje wielkość tego kroku, ale z tém wszystkiém czuje, że nic mu nie pozostaje, jak o własnym koszcie zabrać się do podróży. „Biegnę połączyć się, powiada, z temi dzielnemi zastępy, które walczą pod wspaniałą Austryi chorągwią. Twój duch, Jadwigo, niech mnie prowadzi, twoja gwiazda niech mi towarzyszy, gdy ramię moje potykać się będzie

za honor i ojczyznę!" Na jego miejsce przybywa Jagiełło i prowadzi Jadwigę do ołtarza.

Żałujemy szczerze każdego autora, który w dramatycznéj formie zamierza przedstawić ten fakt wysokich następstw historycznych: jeżeli gdzie, to tu nadzwyczaj trudno historyą pogodzić z dramatem, choć rzeczywiście na piérwszy rzut oka zdaje się, że ten fakt to właśnie specyalnie tylko dla dramaturgów stworzony. Ani słowa, kobieta rozkochana, która trzyma w swym ręku losy dwóch książąt i przyszłość dwojga narodów, kobieta wreszcie, do któréj kościół wyciąga rękę po nowe zastępy wiernych; jakiżto bogaty materyał, jeśli do niego dodamy konieczność wywołującą poświęcenie się bohaterki. Tymczasem jakże prędko rozsypuje się to całe bogactwo przy ścisłém rozważeniu szczegółów, stanowiących tak historyczną jako i estetyczną tego faktu naturę.

Ktokolwiek rozpoczął naukę czytania i historyi kraju od *Pielgrzyma w Dobromilu*, ten już z dziecinnych lat wynosi gorące uczucie wdzięczności i zapał dla téj królowéj, która poświęceniem osobistego szczęścia wzbogaciła Polskę i chrześciaństwo; późniéj jednak, kiedy to już krytyczniéj zaczyna się zapatrywać na fakta, z jakążto przykrością człowiek rozstaje się z tém widmem młodzieńczych pojęć i z jakiém odczarowaniem przychodzi do téj pewności, że dzieło to ze względu na osobę Jadwigi było przypadkowém, i jakaż natomiast wstępuje pociecha, gdy przekonywamy się, że cała zasługa tego wielkiego dzieła jest wprost zbiorową własnością ogółu narodu, jego charakteru, obyczajów, a wreszcie siły ówczesnéj i instytucyi, a królowę o tyle tylko dotyczy, o ile ona dała się myśli narodowéj powodować, jak tego dowodzą historyczne fakta.

Ludwik tytułem posagu przeznaczył Polskę dla córki swéj Maryi i męża jéj Zygmunta księcia brandeburskiego; ale kiedy ten nie miał szczęścia podobać się Polakom, naród, aby nie zejść z drogi legalnéj i bez wyraźnego powodu nie wydziedziczać dynastyi węgierskiéj, którą sam do tronu powołał, prosił Elżbiety o drugą córkę. Lecz gdy Elżbieta zaczęła postępować dwuznacznie, już droga do tronu torowała się dla Ziemowita ks. mazowieckiego; ztąd zamieszki domowe, klęski, ale bądź co bądź naród siłą powstrzymał wszystko złe i dał poznać, że sobie króla narzucić nie da. Nareszcie Elżbieta widząc, że to nie miejsce do żartów, po długich zwłokach, już nawet nie bardzo napastowana, bezwarunkowo przysłała Jadwigę i ta została

koronowaną. Jadwidze trzeba było dać męża; pomiędzy konkurentami byli: Ziemowit, Władysław ks. Opolski zupełnie na równi z Wilhelmem, którego nikt w Polsce nie znał i za którym nikt bynajmniéj silniéj nie przemawiał, ani nawet sama Jadwiga, która, o ile wnosić można z kronik, czy zakochana, czy nie, po koronacyi była zupełnie obojętną na to, kto ją poprowadzi do ołtarza. Jagiełło wiedział dobrze, co się dzieje w Polsce, i chciał poprostu obrócić stan rzeczy na korzyść własnego państwa. Otoczony dokoła państwami chrześciańskiemi, czuł, że wiara pogańska jest już nie na dobie, boć to przecie wnuk tego samego Giedymina, który dwa razy wysyłał do Rzymu z propozycyą przyjęcia chrztu i zapisania swych państw dziedzicznych na rzecz stolicy św. Piotra (1), ale dwa razy Krzyżacy skręcili kark jego poselstwu z obawy, aby im się przezto nie wymknęła okazya nawracania po swojemu pogan, tojest ogniem i mieczem, czego właśnie chciał się pozbyć Giedymin. Jagiełło idąc za jego myślą, zamiast czekać na nową krucyatę, wolał przyjąć chrzest raczéj z polskiéj niż krzyżackiéj lub innéj jakiejkolwiek ręki; a widząc, że za jedną drogą może znakomicie poprzeć interesa dziedzicznego kraju, wystąpił również jako kandydat do ręki Jadwigi, w któréj się nie kochał, bo jéj nigdy na oczy nie widział, a przez ciągłe tylko stosunki z Krakowem wiedział, że jest młoda i ładna. Posłowie Jagiełły włóczyli się od Wilna aż gdzieś do Dalmacyi: Jadwiga bowiem, nie oświadczając się ani za, ani przeciw, odesłała ich do matki po rezolucyą, matka pozostawiła tę rzecz do uznania narodu; naród nie widząc oporu ani z jednéj, ani z drugiéj strony, bardzo naturalnie, że się oświadczył za Jagiełłą. W tém rzeczywiście możnaby upatrzyć ze strony Jadwigi bohaterski gwałt zadany własnemu sercu i dobrowolne wyrzeczenie się szczęścia osobistego, ale późniejsze wypadki zgoła temu zaprzeczają. Królowa przyjęła wprawdzie dobrowolnie rękę Jagiełły, lecz gdy naród już się za nią zobowiązał i oczekiwał na przybycie Wielkiego Księcia, wtedy królowa, jak powiadają, cichaczem sprowadza Wilhelma, widuje się z nim codziennie, wprawdzie pod zasłoną murów kościoła i z wiedzą narodu; a gdy z powodu zbliżania się narzeczonego ku granicom polskim, zrobiono jéj uwagę, że czas już zaprzestać tych schadzek, wtedy rozpoczynają się sceny gwałtownéj namiętności i jakiegoś oporu niezgodnego ze

(1) Narbutt, Hist. Litwy.

stanowiskiem królowéj: Jadwiga czepia się Wilhelma i ani widzi przed sobą żadnych wysokich celów. Szczęściem był w Krakowie energiczny człowiek, Dobiesław z Kurozwęk, który widząc, że się zabiera na rzeczy mogące w niekorzystném świetle wystawić i naród i samą nawet Jadwigę, królowéj zabronił wychodzić z zamku aż do przybycia Jagiełły, a kochanka z kraju wyprosił.

Patrząc tedy na rzeczy historycznie, postępowanie Jadwigi jest co najmniéj niezrozumiałe, a poświęcenie bardzo zachwiane: trzeba więc jéj to poświęcenie stworzyć, tak jak naród w fantazyi swéj, a témbardziéj w swéj poczciwości stworzył jéj tę sytuacyę pełną uroku i sympatyi, która należy się Jadwidze późniéj już jako wychowance jego myśli, jako żonie i królowéj. Mamy więc dwie Jadwigi: jednę dziejową, drugą, że tak powiem, mityczną: poeta więc zapatruje się na tę drugą i może ją kształtować podług woli.

Owoż obecny dramat idealizuje w niéj zwycięztwo nad własném uczuciem okupione walką serdeczną, długą i prowadzoną z namysłem; ale jakże się ta walka przedstawia? Oto jako rynek, na którym uczuciem, sercem kobiéty frymarczy naród i kościół. Jestto i nieestetycznie i niezgodnie z ideałem prawdy historycznéj. Nie wiem, gdzie autor wynalazł ten przymus, jaki naród zadawał Jadwidze: aby temu zaprzeczyć, przytoczymy, co powiedział między innemi Jaśko Tęczyński na zjeździe w Sieradzu, kiedy była narada o wydaniu za mąż królowéj: „Wszak nietylko w małżeństwach królewskich — powiada — gdzie im wyższy zaszczyt, tém więcéj ma być swobody, ale i w stadłach ludzi pospolitego stanu widzimy, iż zobopólnéj do małżeństwa potrzeba zgody; zostawić więc należy to prawo Jadwidze, któréj tylu naszemi uchwałami i postanowieniami oddaliśmy koronę. Niech sama sobie męża i rządów spólnika według woli swojéj wskaże".... (1). Czy jest co wyraźniejszego jak te słowa? czy jest coś zacniejszego jak ta bezinteresowność wolnego narodu, którego postępowanie w całéj téj sprawie było téż rzeczywiście odbiciem tych słów senatora. W obec tedy takiego faktu przypisywać narodowi interesowność i przymus w widokach politycznéj korzyści, jestto nieuznać jego godności i zbyt samowolnie obchodzić się z przeszłością, która na tém większy wzgląd

(1) Dzieje Korony i Litwy Bernarda Wapowskiego, tłumaczenie Mikołaja Malinowskiego.

zasługuje, że nie mając środków czynnéj obrony, zostaje cała na dyskrecyi piszącego. Z drugiéj strony, pod względem wiary, trzeba mieć na uwadze to, że jeśli Jadwiga związała się ślubem miłości, pojmowanéj jako uczucie święte, przez Boga natchnione, to nie ma żadnego interesu wyższego, któremuby uczucie to można rzucać pod nogi. Prawda, że nic łatwiejszego jak nastroić rzecz tak, aby przyjęcie wiary prawdziwéj przez cały bałwochwalczy naród miało zależeć od jednéj kobiéty; ale jakiéżbyto biedne było to niebo, któreby nie mogło obejść się bez pomocy środków ludzkich; a któż wreszcie upoważnia dla jednéj świętości poniewierać drugą? Przysięga przed ołtarzem wykonana fałszywie jest zawsze krzywoprzysięztwem; a czyżto jest ten zacny środek przyprowadzenia bałwochwalczego ludu do stóp krzyża, czy Bóg potrzebuje tego rodzaju posiłków? W tym dramacie opór Jadwigi z téj strony stawiany jest bardzo rozumnym, i bardzo mieliśmy za dobre autorowi ilekroć go wykazywał, bo istotnie rzecz taka jest w swéj zasadzie; czekaliśmy jak téż on wyjdzie z tego oporu; bo byłaby to prawdziwa sztuka: otóż użył bardzo łatwego środeczka, sprowadził jakąś hallucynacyę i dał jéj znaczenie świętego widzenia. To już nie wyszedł, ale się wykręcił, boćto zbytek absurdum, żeby sam Bóg miał do takich poświęceń nakłaniać. Wygląda to mniejwięcéj tak, jak bardzo częste w romansach poświęcenia zakochanych panien, co idą zamąż za starych, brzydkich i niekochanych dla uratowania schorzałéj matki, ojca lub innego członka rodziny, stając tém naprzekor dopuszczeniu bożemu: wszystko to są łamane sztuki, jakich żaden prawdziwy artysta nie dokazuje.

To wszystko mając na uwadze, a oprócz tego dość słabą dykcyę poety, nie mogliśmy zbudować się tym jego dramatem; ale téż zkądinąd, jeśli się nie mylimy, to Jadwiga w takiéj postaci i w takiém otoczeniu nie jest dla dramatu przedmiotem; bo albo tu nie ma ofiary, albo jeśli jest, to jéj znowu trzeba przynieść w ofierze zasadę rozumu i religijnego przekonania. Niedawno téż, jak wspomnieliśmy wyżéj, znakomici poeci nie doznali ztamtąd natchnienia, boć to te wszystkie wypadki są tylko napozór tak dramatyczne, ale gruntu dramatycznego w nich nie ma. Tu poeta grunt musiałby gdzieindziéj upatrzyć, a za środki wziąć nie osoby, ale ideje: zrozumieć, co to ciągnęło tak dwa narody, póki piersiami nie przypadły do siebie we wzajemnym uścisku, tak, że aż wiara i interes stały się dla nich wspólnemi. Uderzylibyśmy oklask wieszczowi, coby

nam w poetyczny sposób odkrył tę tajemnicę historyi, dotąd znaną tylko z faktu, tojest z zewnętrznéj strony. Tu dopiéro Jadwiga, Jagiełło i Krzyżak mogliby ślicznie figurować, ale jako wyrazy idei, trzebaby im urobić fizyonomie według niewidzialnéj natury faktu, nie według materyalnych szczegółów. Jadwiga, jako wyraz rządnéj podówczas a sprawiedliwéj Polski; Jagiełło, jako wyraz Litwy dzielnéj a szukającéj prawdy i Boga, byliby właśnie, przyciągając się wzajem, temi kalderonowskiemi kochankami nieba, nauką dla ludów, które jéj nie pojęły, słowem, podbojów na drodze miłości, które głucho przeszły śród obojętnych, a wielce zarozumiałych i dotąd pyszniących się ze swego rozumu, który był przez wieki nieszczęściem milionów. Tak my pojmujemy ten fakt i przyznam się, że gdyby go poeta z téj strony przedstawił, urabiając gwoli temu osoby główne, może mniéj troszczonoby się o to, że musiałby zatrzéć niektóre szczegóły prawdy, że tak powiem, dotykalnéj; że w jego utworze nie byłoby ani wzmianki o tak ważnéj postaci, jak np. *Wilhelm*, albo że musiałby mu nadać zupełnie inną rolę nieco antycypowaną, lub że Jagiełło dziwnie odbijałby od tego, którego widzim w Krewie. Za to zostałaby prawda idei, prawda, jakiéj żadna ręka nie zmaże, żaden głos nie zaprzeczy, prawda, wreszcie, jaka realizuje się w życiu Jadwigi i Jagiełły, tylko że nie przed ślubem, ale po ślubie i idzie przez wieki w narodzie. Ta to prawda jest właśnie wyrazem Jadwigi ludowéj, otoczonej czcią, miłością i błogosławieństwem.

Ktoś mógłby tu nam zarzucić, że jesteśmy w sprzeczności, raz przytaczając nagie fakta historyczne, które Jadwigę pokazują obojętną w téj wielkiéj sprawie; drugi raz zaś nadając jéj taki rozległy w niéj udział. Prawda, ale i to prawda, że Jadwiga sama przez się mało znaczy, a wielką jest tylko w narodzie, jako córa i wcielenie jego myśli: dla nas ma tylko znaczenie Jadwiga-Polska, nie zaś ta, która przychodzi wprost z Pesztu, dziewczę ośmnastoletnie, bezwiednie kierować losami dwojga narodów i dwojga religij; bo przy podobném zapatrywaniu się i układzie, wypadnie zawsze, że ten wielki fakt i może bezprzykładny w dziejach świata, historya zawdzięcza przypadkowi lub szczególnemu zbiegowi okoliczności. Chcieliśmy tedy pokazać, że poeta, co jak na szczudłach chce chodzić na faktach kronikarskich, a duchowo ich nie zgłębi, to do takiéj wysokiéj sfery jak dramat nie zajdzie. Gdybyśmy wreszcie chcieli do dramatu brać łatwiejsze i gotowe postacie z prostém zachowaniem szcze-

gółów, toć wolelibyśmy tę bohaterkę, co nie chciała Niemca, niż tę, co za nim przepadała.

Byłby to bardzo tani koszt otrzymywania bohaterek za pomocą gwałtu zadawanego uczuciom, gdyby środek ten mogło upoważnić jakiekolwiek estetyczne prawo; bez względu na to, goniący za łatwemi effektami, tak tego środka nadużywali, że dziś nie już prawo, ale sam widok niepowodzeń, jakiemi ten środek prace ich uwieńczył, powinienby odstręczyć wszystkich od dalszego użycia. Jednak nie tak się stało: środek ten od niejakiego czasu zaniedbany, znowu wypływa na wierzch w dramacie p. Syrokomli i zjawia się w *Zofii księżniczce słuckiéj*. Przedmiot to wzięty ze znajomego procesu Radziwiłłów z Chodkiewiczami o rękę ostatniéj z rodu Olelkowiczów, który autor w dramacie swym przedstawia nam w sposób następujący: Jerzy Chodkiewicz opiekun Zofii zobowiązanym jest piśmiennie oddać rękę jéj w dniu dojścia do pełnoletności Januszowi Radziwiłłowi synowi Krzysztofa księcia wojewody wileńskiego. Pomimo to zobowiązanie, zachodzą spory majątkowe i inne rozmaite pomiędzy temi dwoma domami, tak, że wojewoda przeczuwając niechęć, groźnie przypomina Chodkiewiczowi, iż bez względu na ich osobiste zajścia, on w dniu oznaczonym przyjdzie upomnieć się o rękę Zofii dla swojego syna. Ze swéj strony Chodkiewicz nie ustraszony zapowiedzią magnata, trzyma się obligu, w którym wyraźnie zastrzeżony jest warunek, że zawarciu związku małżeńskiego przewodniczyć ma dobra wola i wybór saméj narzeczonéj. Chodkiewicz przeto, aby postąpić legalnie, powinien nie wzbraniać ręki jéj Januszowi wtedy tylko, gdy go Zofia sama wybierze; w przeciwnym razie, z obowiązku opiekuna, powinien siłę siłą odeprzéć. Tego też święcie postanawia trzymać się Chodkiewicz i dlatego, jako prawy człowiek, pomimo nienawiści dla Radziwiłłów, nie wzbrania przystępu Januszowi do swego domu, ani działa na umysł Zofii, iżby go jéj obrzydzić; w tejże saméj myśli gotów jest na dzień oznaczony oczekiwać narzeczonego w domu swym z księdzem i świadkami, i przestrzegać, aby ślub odbył się z wolą jego wychowanki, nie zaś pod przemocą wojewódzkich zastępów, przeciw którym fortyfikuje swoją kamienicę. Wojewoda znowu zbyt praktyczny, aby rachować na sympatyę, uzbraja się—wszystko zapowiada wojnę domową.

Zofia rozumie to, co się dzieje naokoło niéj; przewiduje, jakich klęsk stanie się niewinnym powodem: Zofia jest bardzo

nieszczęśliwą, bo nie cierpi Janusza, a musi mu oddać rękę, aby zapobiedz rozlewowi krwi bratniéj; co większa, kocha Karola Chodkiewicza, synowca Jerzego, a Karol ani się tego domyśla, a nawet zdaje się dla niéj obojętnym. Ale Zofia jest w błędzie; Karol kocha ją oddawna, tylko wiedząc o zobowiązaniu ojca nie śmiał zbyt łatwo korzystać z okoliczności i dlatego tłumił swą miłość, aby ojca nie posądzono o interesowność. Teraz dopiéro, w obec postawy, jaką przybiera wojewoda, następuje ściślejsze zbliżenie między kochankami; od słowa do słowa, uczucia wzajemne występują na jaw, kochankowie przysięgają sobie dozgonną wierność i wzajemną pomoc w dniu fatalnym, który się przybliża. Karol ma święty obowiązek bronić kochankę od nienawistnego ślubu, od połączenia z człowiekiem, który szczęścia dać jéj nie może; Zofia powinna wynagrodzić szlachetne poświęcenie człowieka, który tak dawno kochając i cierpiąc, wiedziony uczuciem delikatności, uciekał od tego, co mogło mu zapewnić szczęście. Nadszedł nareszcie oznaczony dzień: stary Chodkiewicz oczekiwał w kaplicy narzeczonego, ale wojewoda pomimo wszelkich ze strony króla nawet przełożeń i deputacyi nie chciał dumy swéj narażać na pewną odmowę, nie chciał jako przyjaciel stanąć w domu Chodkiewiczów, tylko go otoczył tłumami żołnierstwa. Dzień fatalny (6 lut. 1600 r.) upłynął, narzeczony się nie stawił; Chodkiewicz, według brzmienia umowy przed sześcią laty zawartéj, zwolniony jest z obowiązku: odtąd nic nie może stanąć na przeszkodzie szczęściu Zofii i Karola, jeśli twierdza Chodkiewiczów oprze się orężowi Radziwiłła. Wojewoda wileński niedługo dał na się czekać: już jego wystrzały pożar wznieciły w Wilnie, już padają konające ofiary; Karol poskramia na chwilę napastników i wraca do Zofii, z oświadczeniem, że nieprzyjaciel powstrzymany, ale nie pobity, a książę Janusz żąda posłuchania. Tu następuje walka kochanków pomiędzy miłością i obowiązkami obywatelskiemi, podsycana z jednéj strony rozpaczliwym głosem uczucia, a z drugiéj widokiem krwawych scen obecnych i tych, jakie jeszcze zajdą. Zofia w szale miłości dla Karola przypomina sobie wciąż, że jest Polką; na to wchodzi książę Janusz, jako parlamentarz, Zofia oddaje mu rękę.

Tyle jest słów samego autora przerobionych z żywota J. Karola Chodkiewicza, napisanego przez Adama Naruszewicza. Gdyby tu chodziło o poprawki historyczne, moglibyśmy przytoczyć, że w tém wszystkiém jest nieco anachronizmu: Karol

Chodkiewicz, wówczas starosta żmudzki, był już mężczyzną dobrze czterdziestoletnim, a przytém miał żonę i syna; daléj, że nie Jerzy Chodkiewicz, czyli, jak go autor nazywa, Hrehory, prowadził tę rzecz z Radziwiłłami, dla téj prostéj przyczyny, że już wówczas nie żył, ale przed śmiercią cedował ten, przez siebie wprawdzie rozpoczęty, interes bratu swemu Hieronimowi, który też rzeczywiście obligiem względem Radziwiłłów się zobowiązał. Ale mniejsza o to, nie w takich szczegółach leży myśl historyczna: gorzéj jest, że autor całą winę zwala na Radziwiłłów, kiedy i Chodkiewiczowie nie byli bez grzechu; co większa, Radziwiłłowie właśnie w téj sprawie używali tych wszystkich środków pojednania i legalności, jakie autor przypisuje Chodkiewiczowi i nie pierwsi uzbrajać się poczęli, lecz przeciwnie: Chodkiewicze odrzucali niejednokrotnie podawaną im przez króla i przez przyjaciół rękę do zgody. W takim przynajmniéj charakterze przedstawia tę sprawę Krysztof Zenowicz, z którego rękopismu p. t. *Tragedya, albo początek upadku znacznego w Księztwie Litewskiém* Naruszewicz czerpał szczegóły do swéj biografii, jakto sam w przypisku pod r. 1600 oznajmia. Autor rękopismu był świadkiem naocznym i wchodził w ugodę domów poróżnionych, więc należy się mu godna wiara, chyba, że rzeczy podawał stronnie, jako zwolennik partyi Radziwiłłów. Bądź co bądź, nie wypada poecie samowolnie, wbrew istocie rzeczy, jednych wystawiać biało, drugich czarno, w miarę tego, jak mu dogodniéj do rozwiązania swego pomysłu, a jak tu, zwalać na karb jednych grozę wojny domowéj i politycznego zgorszenia, które jednak na szczęście, pomimo zbrojnych przygotowań, nikomu ani z palca nawet krwi nie utoczyło, ale rozstrzygnęło się wcale spokojnie na drodze sądowéj.

Rozważając ten utwor pod względem sztuki, nie możemy zaprzeczyć mu pewnego zajęcia i ruchu scenicznego, chociaż pomimo obrazowości niektóre sceny wcale nie są dramatyczne, a nawet piérwsza połowa trzeciego aktu ma bardzo słaby z całością związek; za to druga połowa przedstawiająca rozmowę posłów królewskich z Radziwiłłami, obfituje w ustępy mające dość siły i godności. Ale gdyby nawet sceniczność była jak najdokładniejszą, to jednak nie zastąpi ona braku kompozycyi. Nie będziemy się powtarzać, występując raz jeszcze przeciw głównemu pomysłowi, który kobiétę stawia w charakterze jakiejś kozy ofiarnéj, tak jak gdyby kobieta nie mogła czy nie umiała inaczéj zasłużyć się pewnéj sprawie jedno przez zabójstwo uczucia, które

jest warunkiem i prawem szczęścia rodzinnego. Pomysł to bardzo łatwy, trywialny; dlatego też nadzwyczajnie już dziś przez wszystkie mierności wyczerpany i zużyty, a przezto nie podnosi bohaterki, z której nie wiem dlaczego autorowie nasi chcą zrobić wielką kobiétę, kiedy tam, wedle historyi, nie ma materyału na żadną wielkość. Z drugiéj strony i charaktery pomysł ten rozegrywające wcale też nie są dramatyczne, ale więcéj powiastkowe. Cóżto za bohater dramatu ten Karol Chodkiewicz, niby rycerz pełen sławy, silny siłą podwójną ramienia i uczucia, a nie umié nic innego zrobić, jeno kapitulować w obec nieprzyjaciela i napoły zwalczywszy go, pozwala wydrzéć sobie najdroższy skarb—piérwszą miłość serca. Nie wiem, czyby Karol Chodkiewicz był bardzo wdzięczen za tak bierną rolę, jaką mu autor w swym dramacie przeznaczył. Żarty to, owa przypuszczalna ofiara dla publicznéj sprawy: słaby tylko mógłby się poddać w ten sposób; silny rozumem a wolą i burzęby zaklął i kochanki nie odstąpił, i to byłby dopiéro istotny bohater dramatu; a jeśliby upadł, to więcéj z wysoka i pod silniejszym ciosem fatalności, niż ta, która płynie z ludzi niby mniejszych od niego sercem i talentem. Obok wielu wiotkich postaci lub zaledwie trąconych, najwydatniejszą tu jest jeszcze figura Hrehorego Chodkiewicza, który rysuje się okazaléj i jego też jednego energia ożywia całe to grono istot słabych lub niedorysowanych.

Musimy powtórzyć i tu to, cośmy już nieraz o utworach p. Syrokomli mówili, że jak inne tak i ten przyciąga żywością dykcyi i wdziękiem pojedyńczych zwrotów, których tu przytaczać nie będziemy. Ale pomimo wszystkie zalety słowa, radzibyśmy, aby nam p. Syrokomla powiedział, według jakiejto teoryi języka polskiego można powiedzieć: „*Kiedy książęcia bezbronnym uwidzę?*" (str. 59), bo dotąd podobny zwrot, że zamilczym o kilku innych, należy u nas do najstraszniejszych plag językowych. Zbyt smutna to rzecz podobne zarzuty czynić autorowi, który z tytułu wpływu i sympatyi, jaką posiada, tém czujniejszym powinien być stróżem nietylko myśli, ale i języka narodu, dla którego pisze.

30 czerwca 1859 r. *Kazimierz Kaszewski.*

Spostrzeżenia nad rozbiorem książki pod tytułem: „Konotata wypadków zaszłych od r. 1634 do r. 1689, przez Stanisława Wierzbowskiego skreślona", w Bibliotece Warszawskiéj za miesiąc sierpień r. b. zamieszczonym.

Oceniając wydawnictwo konotat Wierzbowskiego p. Bartoszewicz przywodzi, że ostatni pan z Łaskich był Olbracht wojewoda sieradzki, którego data śmierci nie jest znaną; nadto przytacza, że dwaj synowie tegoż Olbrachta Jan Albert oraz Jan Hieronim Łascy byli potomkami ostatniemi rodu, i że również nie jest wiadomo, w którym roku pomarli, a nawet za którego z nich poszła Anna Wierzbowska. Posiadając rodowód Łaskich, przez Antoniego Pstrokońskiego b. archiwistę dawnych akt sieradzkich sporządzony, poczytuję sobie za obowiązek udzielić w powyższych względach niejakie wyjaśnienie.

Albert Łaski, pierwiastkowo wojewoda płocki, starosta zakroczymski, późniéj wojewoda sieradzki, w r. 1569 nabył dobra Łask od stryjecznego brata swego Mikołaja, starosty krasnostawskiego i malborskiego, i w r. 1605 zakończył życie. Zawarł on związki małżeńskie z Sabiną de Seve, z których pozostali dwaj synowie: Jan Albert, Jan Hieronim, oraz dwie córki: Marya Izabella, dwóch imion, tudzież Leonora.

Jan Albert zaślubił Barbarę Bykowską kasztelankę.

Jan Hieronim pojął za żonę Jadwigę z Żurowa Danielowiczównę.

Marya Izabella, dwóch imion, w piérwszém małżenstwie Protowi Felixowi Zelskiemu staroście dobrzyńskiemu, w drugiém zaś małżeństwie Stanisławowi Nerskiemu była poślubioną.

Wreszcie Leonora oddała rękę Augustynowi Dobieckiemu.

Niedługo przecież po zawarciu związków ślubnych z Barbarą Bykowską, Jan Albert Łaski w miesiącu czerwcu r. 1607 zakończył życie, pozostawiając nieletniego syna: Jana Łaskiego. Ten właśnie Jan, syn Jana Alberta, a wnuk Olbrachta, nie zaś ojciec lub stryj jego zaślubił Annę Wierzbowską i bezpotomnie zszedł z tego świata.

Nadmienia daléj p. Bartoszewicz, że w sporach z Wierzbowskiemi Radliccy oraz inni Korabici utracili prawo patronatu do kollegiaty w Łasku.

Przedmiot ten również bliższego potrzebuje wyjaśnienia.

Jan Łaski, arcybiskup gnieźnieński, tworząc kollegiatę w mieście Łasku, erekcyą z d. 2 marca 1525 r. postanowił, że prawo prezentowania proboszcza-infułata byłéj kollegiaty łaskiéj należy naprzemian raz do władzy dyecezyalnéj, drugi raz do rodziny Łaskich, a w ich niedostatku do familii Korabitów, która z pomiędzy siebie wybiera seniora, a ten oddaje prezentę jednemu z księży, zawsze jednak z rodziny Korabitów.

Właśnie przed rokiem 1662 kollegiata w Łasku po zgonie proboszcza-infułata osieroconą została.

Zdaje się, że albo wówczas Korabici bez względu na władzę dyecezyalną chcieli utrzymać się przy ciągłém prawie prezentowania proboszcza, albo też przemożny wpływem u dworu Stefan Wierzbowski, lubo jeszcze w r. 1662 nie był biskupem poznańskim, z ubliżeniem praw Korabitom służących, mimo przypadającéj na nich kolei do wybrania proboszcza w Łasku, chciał synowca swego Stanisława uposażyć témże probostwem, do którego znaczne wówczas dochody oraz infuła przywiązaną była.

Z tego nieomylnie źródła wywiązały się wzajemne między Wierzbowskiemi a Korabitami spory.

Nigdy jednak Korabici praw swoich nie utracili.

Jakoż, nie sięgając dalszych czasów, po zgonie ks. Andrzeja Mulzow, infułata-proboszcza b. kollegiaty łaskiéj, w d. 1 maja 1855 r. nastąpionym, któremu ś. p. ksiądz Tomaszewski biskup kujawsko-kaliski udzielił prezentę, Korabici przestrzegając służącéj im kolei, zebrali się pod dniem 10 września tegoż roku w mieście Łasku, celem wyboru seniora.

Rodzina Łaskich nie obstawała przy pierwszeństwie do prezenty wedle osnowy erekcyi; łącznie przeto zebrani Korabici, tojest: Łascy, Ostrowscy, Kobierzyccy, Kołdowscy, Czartkowscy, Bońkowscy i Kokowscy wybrali na seniora Bolesława Kobierzyckiego, a ten udzielił prezentę na proboszcza-infułata w Łasku ks. Józefowi Kołdowskiemu, herbu Korab', obecnie z zatwierdzeniem rządu godność tę piastującemu.

K. Ł.

Kilka rysów społeczeństwa i literatury p. Lucyana Siemieńskiego. 2 tomy. Warszawa. 1859. — *Obraz najnowszego ruchu literackiego w Polsce, p. F. Lewestama. Warsz.* 1858.

Książki te nic właściwie nowego nie zawierają; nie są to dzieła, tojest prace autorskie, ale tylko przedruki artykułów dawniéj w pismach czasowych ogłoszonych. Nie chcę przeto powiedzieć, że są bezużyteczne; i owszem: mało kto u nas ma tyle ciekawości do literackiéj krytyki, żeby jéj po różnych dziennikach szukał; dobrze więc, że mamy zebrane z pewnego przeciągu lat uwagi dwóch pisarzy niezaprzeczenie kompetentnych w materyach bieżącéj literatury krajowéj. Do wyrobienia sobie trafnego sądu o téj ostatniéj, dwa są główne pomocnicze środki: najprzód poznawanie arcydzieł obcych, osobliwie starożytnych; powtore, czytanie dobrych recenzyj. Pierwszym środkiem dochodzimy do pojęcia o możliwéj doskonałości w dziełach imaginacyi; drugi przynęca mniéj wprawnych i mniéj samodzielnych, z jakich się właśnie ogół publiczności składa, do stosowania owego pojęcia w każdym danym razie; wszystkich zaś do głębszego i wszechstronniejszego zastanowienia się pobudza, skoro wskazuje różne punkta zapatrywania się na rzeczy.

Od czasu *Literatury i krytyki* M. Grabowskiego nie mieliśmy książek krytyce literackiéj wyłącznie poświęconych. Obecne wydania różnią się od tamtego głównie brakiem układu, którego pp. S. i L. na myśli nawet nie mieli. Z tego powodu niepodobna napisać tutaj właściwego o tych książkach sprawozdania. Już to w ogóle dosyć niewdzięczną i jałową jest robotą obserwowanie obserwatorów i krytykowanie krytyków; bo musi być albo powtarzaniem albo polemiką; w obecnym zaś razie wypadłoby polemizować o kilkudziesięciu przedmiotach, tojest tyle prawie napisać, ile same książki zawierają. Nie widząc, jakaby mogła być dla czytających korzyść odpowiednia tak mozolnéj pracy, a uznając w ogólności zebranie pism krytycznych pp. S. i L. za pożyteczną i interesującą lekturę, wolę raczéj powiedzieć słów kilka o tém, coby mogło wydania powyższe jeszcze pożyteczniejszemi i bardziéj niż są dziś interesującemi uczynić.

Potrzebaby je było starannie przejrzeć i zrobić z nich pewną całość, wprowadzając podział na materye. Nawet zbiór

powiastek zyskuje na tém, kiedy w pomyśle i przedmiocie niezbyt od siebie odskakują; intencye autora, prawdy, jakie chce głosić, rzeczy, któremi pragnie zainteresować: wszystko to głębiéj przenika czytającego, kiedy miał czas do przypatrzenia się i oswojenia, kiedy go częste i zupełne odmiany przedmiotu nie rozrywały. Dopiéroż w książce wprost naukowéj, do głębszego namysłu wyzywającéj, porządek i ciąg pewien koniecznie jest potrzebny; bez niego znaczna część pożytku ginie. Uderzony ważnością i nowością myśli czytelnik, ledwie sobie zacznie zdawać sprawę z tego, czego się na kilkunastu stronnicach dowiedział, aż przewróciwszy kartkę wprowadzony zostaje na odmienne od poprzedniego pole; a im ciekawiéj zacznie się po niém rozpatrywać, tém prędzéj zapomni o tamtém, i tak następnie. Skutkiem takiego częstego wysilania myśli w różnych kierunkach bywa znużenie téjże; po przeczytaniu książki z trudnością się już pierwsze artykuły pamięta; rzadkiéj trzeba świeżości umysłu, ciekawości i pilności, żeby nie pogubić wszystkiego, co było charakterystyczne, gruntownie rozważone, trafnie powiedziane. Tracą na tém sami autorowie w tym względzie, że ich sposób myślenia, ich zasady i opinie niewyłożone porządnie i dostatecznie w artykułach różnemi czasy i z różnych okazyj pisanych, nie dość wybitnie przedstawiają się, a więc i wpływ nie taki już wywrzéć mogą, jakiby pewno wywarły, gdyby były dowodnie rozwinięte. Spuszczać się w téj mierze na czytelników, rzecz niepewna: mało który potrafi sam uporządkować to, co jest rozrzucone. Krytycy z powołania, oświecający opinią pracami swemi, powinniby właśnie więcéj dbać o prace tych skuteczność; żeby owoce ich nauki i myślenia, nic na swéj pożywności nie traciły, przez sposób, w jaki są publiczności podawane.

Ten brak układu, będący wadą autorską w ogólności, daje się czuć szczególnie w książkach, o których mówię, złożonych z artykułów po większéj części krótkich, przedmiotu całkowicie nie wyczerpujących. To ostatnie nie jest wcale zarzutem odnośnie do każdego pojedynczego artykułu: układając go dla pisma czasowego krytyk niekoniecznie jest obowiązany wyczerpywać przedmiot: mówi o nim to, co mu się zdaje i mówi tyle, ile uważa w danéj chwili za potrzebne. Ale kiedy się przystępuje do drugiego wydania, kiedy to ma być już cała książka literackiéj krytyki, wypadałoby dać dokładne i obszerniejsze studya,

oświecające przedmiot wszechstronnie i długo zatrzymujące na nim uwagę czytelnika. Chociaż p. Siemieński nazwał zbiór swoich artykułów Kilką rysami literatury i społeczeństwa, a p. Lewestam Obrazem jedynie ruchu najnowszego literackiego, to wszakże ta oględność albo skromność tytułów nie zmniejszy oczekiwań i wymagań czytelnika: przystąpi on do czytania z tą myślą, że okazany mu będzie obraz cały i wykończony, i że znajdzie w nim uwydatnione to mianowicie, co się jemu samemu (rozumiem tu ogół) najwydatniejszém, najbardziéj zajmującém wydaje. Żeby się miał bardzo zawieść, tego nie powiem; znajdzie bez wątpienia wiele prawdy, wiele nauki i głębszego wejrzenia na przedmioty; ale z trudnością mu przyjdzie utworzenie sobie pojęcia o całości rzeczy: nie zawsze spotka się też z materyą szczerze i do gruntu wyczerpaną. Ktoby się naprzykład, czyto ze swoich, czy z obcych, nie zdziwił, przekonawszy się, że w dwóch sporych tomach napełnionych uwagami nad literaturą polską współczesną, nie dowié się niczego o najpopularniejszych właśnie powieściopisarzach polskich, jak Kraszewski i Korzeniowski? Tak jest jednakże; żaden z kilku rysów społeczeństwa i literatury nie charakteryzuje pisarzy najwięcéj czytanych i najczęściéj przypominających się publiczności. Książce p. Lewestama nie można zrobić tego zarzutu: największych ulubieńców czytającego ogółu sądzi on śmiało i niejednokrotnie; ale trzeba dodać, że sądy te bywają też pobieżne; nie wiedząc, można się domyślić, że to do gazet pisane. Nie zupełnie to samo, ale coś podobnego da się powiedzieć i o nie jednym artykule p. Siemieńskiego: nowo wyszłe dzieło daje mu powód do rozmyślań i uwag ogólnych, nie zawsze zrozumiałych dla mniéj oczytanego i nie zawsze stanowiących zupełny wykład przedmiotu; potém nie wiele już miejsca pozostaje na właściwy rozbiór dzieła. Nie jestto może traktowanie pobieżne, ale traktowanie z góry. Dla ludzi do myślenia nawykłych i wykształcony gust mających, lepsze to może, niż wchodzenie w szczegóły, niż wytykanie dokładne uchybień i podnoszenie zalet; ale dla wielkiéj większości potrzebniejsze są zdaniem mojém i bardziéj interesujące rozbiory prawdziwe, tojest szczegółowe, takie np. jak o Felicycie p. S. napisał.

Rozważania ogólne w artykułach krytycznych, choćby najtrafniejsze, są pospolicie tylko skazówkami, i nie każdy korzystać z nich może, jeżeli mu się zaraz na przykładzie po

szczególe nie wyłoży, jak się to prawda wyrażać powinna i w czém mianowicie dany fałsz lub błąd od niéj się oddala. W rozbiorach p. Siemieńskiego a po części i p. Lewestama zauważałem wielką surowość zasad i wymagań, co jest bardzo dobre, ale u pierwszego szczególniéj, surowość ta nie zawsze się sprawdza w sądach o szczególnych pisarzach wydawanych; jak u jednego tak i u drugiego z tych krytyków dziwném się nieraz wydaje utyskiwanie na stan literatury w ogólności, obok wielkich pochwał pojedynczych dzieł i pisarzy. Na cóż tu więc utyskują, zapyta się nie jeden. Jabym wolał przedewszystkiém ścisłość i surowość w sądach szczególnych: lepsze to lekarstwo przeciwko złym kierunkom i złemu gustowi, kiedy się jedno lub drugie wytknie palcem, że tak rzekę, na daném miejscu, niż ogłaszanie prawd ogólnych z pobłażliwością połączone. Cóż dopiéro zachwalanie pism i autorów nad wartość, jeszcze mniéj z surowością zasad godzące się? A i to się obu krytykom zdarza. W ogólności, gdzie ganią, to słusznie; ale jeszcze częstokroć nie dość mocno i nie dość gruntownie ganią; na ich pochwały przystałbym bardzo rzadko.

O stanowisku krytyczném obu pisarzy, mówić szczegółowo nie będę z powodów na wstępie wyrażonych. Powiem tylko, że nic tam fałszywego i szkodliwego nie widzę; owszem wszędzie widać znawstwo i naukę w pojmowaniu rzeczy ogólném: rady zdrowe, dążenia dobre, cześć dla wielkich dzieł ludzkiego geniuszu. Dwa atoli muszę uczynić wyjątki. Tak p. Siemiński jak i p. Lewestam mają zwyczaj uskarżania się przy okazyi na materyalizm wieku. Nie wyłuszczają oni nigdzie, co przez materyalizm rozumieją; ale jeżeli to ma być, tak jak się pospolicie pojmuje, przewaga siły nad racyą, egoizm i chciwość zysku w indywiduach i złe obyczaje, to się najzupełniéj różnię od obu pisarzy i od ogółu téż same skargi na materyalizm powtarzającego.

Znajduję ja w epoce naszéj (ma się rozumieć w Europie) daleko rzeczywistsze panowanie wyobrażeń chrześciańskich w instytucyach, prawach, obyczajach i zwyczajach, niż kiedykolwiek przedtém. Co do pierwszéj z wyżéj wskazanych stron materyalizmu, t. j. przewagi siły nad racyą czyli panowania gwałtu, ten został już prawie zupełnie ze stosunków prywatnych usuniętym; dla porównania egoizmu i chciwości dawniejszéj z dzisiejszą brakuje tamtéj dat, a to samo na korzyść naszego a na niekorzyść dawniejszych wieków wypada; zajęcie się kryminalną statystyką jest rezultatem chrześciańskiéj moralności, jakim

wieki poprzednie pochwalić się nie mogą, tak samo jak moc i głośność opinii. Co jest niegodziwego w giełdach i wszelkich pieniężnych lub przemysłowych spekulacyach, nie jest moralnie gorsze od staroświeckiego lichwiarstwa (którego zresztą i dziś niebrak), a lepsze jest od rozbojów i zdzierstw. Wyższość dzisiejszego uobyczajenia nad dawniejsze najlepiéj się udowadnia porównaniem w obliczu prawa wszystkich klass ludności i złagodzeniem tak kar jak i procedury karnéj; a powtóre większą przyzwoitością powierzchowną, która jest właśnie oddaniem hołdu dobremu, a wstydzeniem się złego. Dużo znajdzie się jeszcze, niestety, wszelkiéj szkarady moralnéj, złych nałogów i złych stosunków rodzinnych, ale wszystko to grubsze i bezczelniejsze było dawniéj. Uważam to za wielką zasługę Szajnochy, że w pracach swoich historycznych (pierwszych u nas rzeczywiście dla ogółu pisanych) a mianowicie w Jadwidze i Jagielle, dał nam rzetelny obraz średniowiecznego społeczeństwa; owych czasów, w których przez romantyczne perspektywy upatrywano tylko zamki i katedry, rycerzów i damy szlachetne z giermkami, paziami i trubadurami; skutkiem czego wieki istotnego materyalizmu prezentowały się w nader powabném świetle balladowém. Najwidoczniejszym dowodem moralnéj wyższości tegoczesnéj jest czułość i czujność opinii, t. j. sumienia publicznego i odpowiednie wyrobienie organów tejże; zkąd pochodzi, że złe uczynki wywołują oburzenie powszechne ucywilizowanego świata. Rzadko się to dawniéj wydarzało: to jest rezultat powolnego a ciągłego przenikania chrystyanizmu w europejską ludzkość. Ta to czułość i czujność sumienia publicznego nietylko zdrożności wskazuje, ale ich szuka nawet, oblicza, klassyfikuje i ubolewając nad niemi, przyczyn ich dochodzi, aby je z czasem usunąć; nie dziw przeto, że się o tém więcéj i częściéj gada, niż kiedykolwiek dawniéj. To już zdobycz nowszych i ostatnich czasów; przez długie wieki władze duchowne i świeckie pasowały się głównie z materyalnym nieładem społeczeństw; po usunięciu onego można zwrócić wszystkie siły głębiéj jeszcze, tojest ścigać złe po zakątkach życia rodzinnego, po krętych i krzyżowanych ścieżkach stosunków prywatnych i politycznych. Prosty to postęp chrześciańskiéj cywilizacyi, którego nie godzi się zaprzeczać, boby to znaczyło, że prawda wiekuista swoją czynną moc utraciła. Tak błędne mniemania pochodziłyby zapewne, jak sądzę, z oceniania rozlicznych warunków egzystencyi indywidualnéj i społecznéj według staréj miary, zamiast przymierzania

onych do miary dzisiejszéj, a tą jest nie stan pojedyńczy albo klassa, albo instytucya, ale ogół, ale miliony. Przy ogromném zwiększaniu się liczby ludzi niezależnych osobiście, przy ciągłém skutkiem tego zmniejszaniu się liczby ludzi egzystujących bez pracy własnéj, zmienia się cała ekonomia społeczeństw, i czasu trzebą, aby się do równowagi ułożyła. Ten to wielki i płodny ruch z powodu towarzyszących mu nieporządków i zboczeń, mianuje się materyalnym kierunkiem, czyli materyalnym interesem wieku, a w gruncie jest najmoralniejszym, tak jak każda wielka ewolucya w historyi europejskiéj. Nie wypada zatém, aby ludzie światli, na publiczność wpływ wywierający, powierzchowne zdania powtarzali; zamiast oświecać ogół, utwierdzają go w nierozumieniu wieku, w odosobnieniu szkodliwém względem reszty Europy, i na najzgubniejsze przeto narażają złudzenia. Dlatego się też może nieproporcyonalnie rozszerzyłem nad tym przedmiotem, nawiasowo tylko przez obu autorów dotykanym, że go za ważniejszy niż wszystko inne uważam.

Drugi zarzut co do ogólnego stanowiska krytyki pp. Siemieńskiego i Lewestama jest podług mnie niezupełna jéj współczesność. Brakuje tym pisarzom głębszego przejęcia się okolicznościami miejsca i czasu, żywszego uczucia pewnych prawd, pewnych potrzeb, pewnych dolegliwości naszych. Że je można pominąć w traktowaniu o nadobnéj literaturze, to widzę, ale tego nie pochwalam; tembardziéj, że obaj krytycy dobrze muszą rozumieć związek dzieł imaginacyi z ogółem interesów społecznych. Nie chcę przeto utrzymywać, aby warunki doskonałości tamtych miały być dla nas jakieś szczególne i do obcych niepodobne; ale myślę tylko, iż poważny pisarz zastanawiając się nad literaturą, nad kunsztem, nad umiejętnością szczególną, zawsze powinien dać do zrozumienia, że on też i ogół rzeczy krajowéj obejmuje i ma ją na pamięci.

Język p. Siemieńskiego w jego rozbiorach grzeszy dość często niepotrzebnemi wymysłami, co jest wcale nie do wybaczenia krytykowi tak wpływowemu i to jeszcze w powtórném wydaniu. W jednym i tymże peryodzie używa p. S. wyrazów *piękność* i *piękna*. Co to jest ta piękna i czém się ma od piękności różnić, tego nie objaśnia. To samo co do wyrazu *szczodrota;* toż samo co do nowego słowa *snować*, które nie wiem w czém ma być lepsze od *snuć*. Daléj napotyka się przymiotnik *granitny* zamiast granitowy; daléj słowo *wyniańczyć* zamiast *wypiastować; pokajane* serce, co już nawet trudno zro-

zumieć, tak jak i *zbożonego* ś. Franciszka. Winienby też objaśnić p. S., co znaczy duch *przepojony* prawdą; co znaczą utwory młodszego *miotu*; co znaczy *nieprzemienność* uczuć obok tuż wyrażonego przymiotu trwałości tychże. Wszystko to są usterki na głośną zasługujące naganę: poeci i powieściopisarze mogą się jakotako wymawiać zapędami natchnienia, chęcią oryginalnego obrazowania lub charakteryzowania, trudnością wydania delikatnych odcieni uczuć i t. d.; ale ciekawy jestem, czém się krytyk z językowych usterków usprawiedliwić potrafi. Wyższe stanowisko p. S. w literaturze, zwiększa jeszcze szkodliwość tych jego od polszczyzny zboczeń.

Styl autora *Kilku Rysów* odznacza się powagą; jest przytém jasny i swobodny, miejscami wymowny. Brak mu atoli równości, którą opracowanie przynosi; brak mu czasami i ożywienia, ale nierównie częściéj napotyka się zaniedbanie z pośpiechu jak widać wynikające.

W obrazie Ruchu literackiego znajdujemy język w ogóle poprawny; usterki są rzadkie, jak np. *przypomnąć* zamiast *przypomnieć*; albo *w niektórém odnoszeniu* zamiast w pewnym względzie lub stosunku; albo *dzisczesny* zamiast dzisiejszy lub tegoczesny.

W stylu p. Lewestama widoczna jest ta pisarska staranność, jakiéj dokładać należy we wszystkiém, cokolwiek się publiczności do czytania daje, a jaką dziś wielu literatów wcale się nie zaleca. Życzyłbym mu atoli więcéj prostoty; ten przymiot w pismach rozumowanych i demonstrujących, a takiemi są zawsze pisma krytyczne, uważam za arcy-ważny. W artykułach, z których się *Obraz ruchu literackiego* składa, osobliwie we wstępach i zakończeniach tychże, dostrzegać się daje pewna przysada, pewne, że tak powiem, ewolucye pióra, którebym porównał do zbytecznych grzeczności w obejściu. Jest w tém chęć ozdobności i urozmaicenia, ale prowadzi to niekiedy do zaciemnienia myśli. Tak powiedziano jest w jedném miejscu: *lepiéj do téj formy przylega tło filozoficzne.* Jakim sposobem może tło do formy przylegać? A gdzieindziéj: *Wysiłek, który wydobywa z siebie bogactwo myśli i wyrażeń.* Gdyby p. Lewestam chciał był ze zbioru swoich recenzyj całość jakąś ułożyć, to obrabiając je do drugiego wydania, usunąłby z łatwością wadliwe wysłowienia, a zwłaszcza pozbyłby się nie jednego wstępu i końca, które się tylko w sposobie ramek do pojedynczych artykułów dorabiały.

Kończę moje uwagi powtórném i najszczerszém zaleceniem publiczności obu zbiorów jako istotnie zajmujących i oświecających. Pomimo wady wyżéj wytknięte, należą te książki niezaprzeczenie do dobréj literatury.

A. A. K.

ROZMAITOŚCI.

PIOTR HELIAS.

Do historyi języka łacińskiego w Polsce przyczynek.

Nie wyszło to jeszcze zapewne z pamięci naszych uczonych filologów, że Dr. fil. Karol Mecherzyński wydał w Krakowie 1833, 8vo str. 169 Historyą języka łacińskiego w Polsce, gdzie na str. 9 i 10 mówi o Grammatyce łacińskiéj Piotra *Heliasa*. Ponieważ W. Rusiecki obywatel na Ukrainie (gub. podolskiéj wsi Trojanka pod Humaniem) raczył mi pozwolić na dni kilka egzemplarza ślicznie zachowanego tejże grammatyki, korzystając więc z téj okoliczności umyśliłem podać o niéj obszerniejszą nieco wiadomość, niż Dr Mecherzyński. A naprzód kładę tu wiadomość o niéj z dzieła p. Mecherzyńskiego jak następuje:

„Grammatica Petri Helie (Missell. Nov. Crac. 1 p. 85). Autor ma być z XI wieku (vid. Fabric. Bibl. med. et inf. lat. II 90) Hispanus, magister artium Parusiensis (Bandtkie l. s. c.) Grammatica Petri Heliae utilissima veri Prisciani imitatoris, cum magistri Johannis Sommerfelt brevi quadam commentatione in eundem 4to 497 fol. typ. gothicis, arte et imp. Mart. Flach. civis argentinensis 1499. O wydawcy, czyli kommentatorze, ob. Janozki Nachr. IV. 160. Przedmowę w pięknéj łacinie *podpisał Jo. Esticampianus* (Sommerfeld) Crac. 1497. Grammatyka Piotra *Eliasza* pisana jest wierszem sześciomiarowym (w hexametrach) miejscami w leoninach średnią łaciną, znajdują się jednak w niéj gallicyzmy (hist. druk. pol. i lit. III, p. 215) np. karta 73: *Regula mutorum legi non* subjacet horum k. 320 maneries (maniere) etc. Prawidła są czer-

pane z Prisciana (Fabric. Bibl. Lat. I, III p. 399). Zapewne w częstém była używaniu w Polsce, są bowiem z odmiennemi kommentarzami rękopisma téj grammatyki z XV wieku".

Wiadomość tę uważam w części za mylną, w części za niedostateczną. Za mylną, bo edycya z r. 1499 obejmuje kart nie 497, ale 417; 2re nie znajduję tu podpisu pod przedmową żadnego, ale tak jak następuje:

Prefatio: Johannes Sommerfelt Johanni Haunolt Wratislaviensi et Lauciciensi (Lanciciensi?) Canonico adolescenti patricio atque ingenuo discipulo suo salutem. A więc Haunolt był kanonikiem wrocławskim i łęczyckim. A któż był jego nauczyciel Sommerfelt? to stoi na karcie 1, str. 1. Johannes Sommerfelt artium Liberalium magister et Sacrae Theologie Baccalaureus Collegiatus majoris collegii generalis studii cracoviensis; a więc Sommerfelt był professorem uniwersytetu krakowskiego. Gdzie wydana grammatyka? Niezawodnie w Strasburgu u Marcina Flacha arte et impensis Martini Flach civis Argentinensis.

Grammatyka dzieli się na 14 traktatów: 1) o głoskach; 2) o syllabach i wyrazach; 3) o stopniach porównania; 4) o imionach; 5) o rodzajach; 6) o dekl.; 7) o słowach; 8) o formowaniu czasów; 9) o czasie dokonanym; 10) o imiesłowach; 11) o zaimku; 12) o przyimku; 13) o przysłówku; 14) o spójniku. W każdym z traktatów są nadto insze materye, np. o zdrobniałych i porównania przymiotników w 3. Po prefacyi jest umieszczone Inventarium Vocabulorum, kart nienumer. 12.

Egzemplarz grammatyki Piotra Heliasa, własnością W. Rusieckiego będący, godny jest uwagi. Naprzód pięknie w skórę oprawny z wyzłacanemi kart brzegami. Na grzbiecie prócz złotych ozdób stoi *P. Helie Gram.* Na okładce zwierzchniéj prócz ozdób złocistych po brzegach i narożnikach wytłoczony na środku herb złożony z kilkunastu innych, zdaje się, królewski, wkoło litery: C. G. D. D. M M. A. H. P. P. M. J. G. P. C. L. A.; nad literami w ozdobach napis: F. E. J. Na odwrotnéj okładce na tarczy wiele gwiazd, u dołu rośliny, nad gwiazdami napis: *Revoluta. Faecundant.* Koło tarczy też same litery w liczbie 17 co wyżéj. Pod tytułem drukowanym tegoż dzieła napis przemazany *Delphini*, u góry Guil Godolphin, dodane aliquando nunc Benedicti Martinez Vi. Gayoso. Nareszcie na stronie odwrotnéj tytułu stoi *nota* w języku hiszpańskim, jak następuje:

Nota: Esta Grammatica de Pedro Helias es tan rara en el dia que esto se escribe, como lo son por exemplo los Libros de Ca-

balleria, que desterro el insigne Cervantes con la admirable invencion del Quixote. Nuestro Antonio de Lebrixa, hizo igual servicio à la Nacion luego que empezaron à versus obras la luz publica, y asi lo dice à D. Juan de Estunica Gran Maestre de Alcantara à qnien dirige su Vocabulario por estas palabras: *Et quod ex universa propemodum* Hispania, Alexandros. *Petros Helias, et duriora ad huc nomina, Galteros Ebrardos, Pastranas, et nescio quos indignos, qui nominentur Grammatistas ac literatores funditus erra dicavi.* De que se sigue, que aunque la Grammatica de Pedro *Helias* ne sea buena por su methodo en al opinion de Lebrixa, no por eso deja de ser aprecia bilisimo un exemplar como el presente, asi por la edicion Hermosa del anno 1499, como por circunstancia de haber tenido por duenno entre otros al conde Duque de Olivares, y por la de que acaso sera unico en el Reyno. Le compré en la Almoneda del ya difunto D. Benito Martinez Gayoso, a quien, quando vivia, le vi decir: que aunque le habia costado 60 R. leestimaba en mucho mas por su antiguedad.

Madrid, hoj 15 de abril de 1787.

Francisco Xavier de Santiago Palomares.

Zdaje się, że egzemplarz ten był naprzód własnością Delfina (czy francuzkiego następcy tronu?), potém jakiegoś Guil (Wilhelma) Gondolphina, następnie Benedykta *Martinez* Gayoso, potém Franciszka Xawer. de Santiago Palomares w r. już 1787. Jakim sposobem dostał się ten szacowny jéj egzemplarz do Polski? W. Rusiecki (1) nabył go na licytacyi po Jakubowiczu, autorze Słownika rossyjskiego.

Warszawa, d. 4 lipca 1859 r.

Kucharski Andrzéj.

(1) Pana Rusieckiego zbiory starożytności zdobią między innemi 2 medale, zdaje się greckie, z czasów już chrześciaństwa; 1, z Matką Boską, a drugi z wyobr. Michała Archaniola. Lecz najciekawszy jest rękopis etyopski, z mumii w Egipcie wydobyty.

WIADOMOŚCI Z NAUK.

Systematyczne wyliczenie ciał kopalnych u nas postrzeżonych.

Rozszerzające się coraz bardziéj w kraju naszym zamiłowanie nauk przyrodzonych, nietylko potrzebnych w przemyśle, ale stanowiących dźwignię wykształcenia umysłowego, skłoniło mnie do przedstawienia ogólnego rysu bogactwa kopalnego w kraju naszym.

Jakkolwiek natura nie trzyma się granic politycznych, a mineralna mniéj jeszcze jak organiczna, jednakże i płody kopalne mają swe szczególności miejscowe, że ledwo przez analogią niekiedy z płodami odpowiedniemi innych krajów porównane być mogą.

Pracując od lat wielu nad mineralogią, przez lat kilka przy jednym z najbogatszych zbiorów mineralnych, obecnie przez lat kilkanaście znajdując się w najobfitszéj stronie pod względem ciał kopalnych, wprzódy nim przedstawię poważniejszą pracę, podaję tymczasem, jako probę, krótki rys bogactwa kopalnego miejscowego, tem bardziéj, że mamy dosyć dzieł geognostycznych polskich, a za to ani jednego dostatecznego w oryktognozyi, prócz dawniejszych, dziś niewystarczających. A że oryktognozya podaje niejako litery kopalne, a geognozya, przy pomocy skamieniałości syllaby i wyrazy, któremi wypisana historya kuli ziemskiéj; od piérwszéj więc zacząć należy. W wyliczaniu minerałów trzymałem się układu starego Wernera, jako najpopularniejszego; w skałach mniejwięcéj systematu akademika Eichwalda.

Tu wspomnieć muszę, pomimo upowszechniających się u nas wiadomości i zbiorów mineralogicznych, ileto razy mia-

łem sposobność przekonać się o krzywdzie wyrządzanéj krajowi naszemu, jakoby był ubogi w ciała kopalne, a z drugiéj strony, jakoby zawierał obfitość droższych kruszców. Pomijając błędy wytknięte przez innych, dodam czytane i słyszane przezemnie, popełniane nawet przez ludzi fachowych, z czego nieraz strata czasu i kosztu wynikła. Często np. widziałem brany piryt żelazny, miedziany lub mikę za złoto rodzime; miedź lazurową za kamień lazurowy; wapień za galman; piaskowiec za żelazo czerwone lub brunatne; miedź pstrą za srebro czerwone; kamień litograficzny za żelazo gliniaste; gliuę za ziemię porcelanową; ołówek za ołów; galenę za grynokit (siarczyk kadmu); malachit za marmur; marmur za ciało różne od wapienia; skały Ojcowskie za granit.

Żeby zrozumieć miejscowość, dołączam krótki rys gór, rzek i prowincyj. Kraj w tym opisie zamknięty oddzielony jest od zachodo-południa przez następne góry: A) Olbrzymie (wielikońskie u Staszyca) w Szlązku, oddzielające Czechy, 25 mil długie; B) Sudety do 30 mil dł. między Szlązkiem i Morawią; C) Karpaty przeszło 80 mil długie oddzielają Węgry. Te ostatnie dzielą się na następne części:

a) *Biesławskie* do 5,400 stóp wys. u źródeł Soły i Skawy do górnéj Wisły idących.

b) *Obidowskie* 5 mil dług. 2,500 stóp wys. między czarną Arwą (Orawą) i Dunajcem.

c) *Tatry* u nas $3^1/_4$ mil długie do 8,200 stóp wys. u źródeł Dunajca.

d) *Wysoki las* $2^1/_2$ mil dł. 2,700 stóp wys. między Wagą (Ważec) i Popradem do Dunajca wpadającym.

e) *Królewskie* do 13 mil dł. 2,200 stóp wys. na południe Popradu.

f) *Bieskidy* 3,000 stóp wys. u źródeł Wisłoki.

g) *Bieszczady* u źródeł Sanu.

h) *Magórskie* u źródeł Dniestru, a raczéj Stryja do Dniestru idącego.

i) *Czarne* do 6,400 stóp wys. u źródeł Prutu.

Gałęzie Karpat są:

1) *Sielańskie* (Magóra) oddzielają źródło Wisły od górnéj Odry, przedłużają się na północ w *Tarnowskie* między Przemszą (do Wisły wpadającą) i Odrą; następnie w *Olkuskie* (Krakowskie) do 1,500 stóp wys. między Przemszą a źródłem Warty i Pilicy i *Złote* między Wartą i Pilicą. Od téj gałęzi odnoga gór *Tar-*

nowskich między Pilicą i źródłem Nidy, przedłużona w *Łysogóry* (Sandomierskie) do 2,000 stóp wys. między Pilicą, Kamienną i Opatówką, a Nidą i Wroną z drugiéj strony.

2) *Żywieckie* od Biesławskich między Sołą i Skawą.

3) *Lubnia* i *Mogileńskie* z Obidowskich, 3,000 stóp wys. między Skawą i Rabą (część średnia zowie się *Lanckorońskie).*

4) *Pieniny* 3,000 stóp wys. (z Obidowskich), między Rabą, Paleśnicą (Łososiną) i Dunajcem do N. Sącza z gałązką na północ: *Szczerzeckie.*

5) *Magórczany* 3,500 stóp wys. od Łomnickiéj (Krapak) czyli Tatrów idące między Dunajcem i Popradem.

6) *Grzybowskie* z Bieskidów między dolnym Popradem i Białą do Dunajca idącą.

7) *Żukowskie* 2,200 stóp wys. między Bieszczadami i Magórskiemi wychodzą, ciągną się między Sanem górnym i Dniestrem, przedłużają się w *Podhoreckie* między Dniestrem i źródłem Bugu, giną potém zwracając się na północ, na wschód górnego Bugu, w bagnach Polesia. Gałąź ta razem z SUDETAMI i poprzednią częścią KARPAT, stanowi główny grzbiet Europy od cieśniny Gibraltarskiéj do Uralu idący, oddzielający wody do Atlantyku od wód do morza Śródziemnego spływających. Gałąź ta na wschód, a raczéj na wschodo-południe puszcza odnogi: *Auratyńską* 1,000 stóp wysoką między Prypecią (Horyniem) i Rosią, a Bohem do progów Dniepru, nadto *Miodoborską* między Dniestrem i Bohem.

8) *Pokuckie* między Dniestrem i Prutem.

Niezawiśle od tych pasem z północo-wschodu idzie łańcuch gór ALAUNICKICH, jako dalszy ciąg głównego grzbietu Europy, przerwanego w środku kraju zapadłością bagien Polesia (pińskich), między Dźwiną i Niemnem z piérwszéj, a Dnieprem z drugiéj strony.

Gałęzie ich są:

1) *Inflanckie* na północ Dźwiny (między Dźwiną i Wielką).

2) *Litewskie* między Dźwiną i Wilią, rozdzielone późniéj na *Kurlandzkie* między Dźwiną i Windawą, i *Żmudzkie* między Wilią i Niemnem.

3) *Ponarskie* między Wilią i gór. Niemnem.

Między temi górami i ich odnogami płyną rzeki:

A. Do morza Baltyckiego: 1) *Odra* z Wartą; 2) *Wisła* z Sołą, Rabą, Dunajcem, Sanem, Nidą, Pilicą, Bzurą, Bugiem, Narwią i Drwęcą; 3) *Niemen* z Wilią; 4) *Windawa;* 5) *Dźwina.*

B. Do morza Czarnego: 1) *Dniepr* z Prypecią (do której Styr i Horyń) i Rosią; 2) *Boh*; 3) *Dniestr* ze Stryjem; 4) *Prut* z Czeremosz do Dunaju wpadający.

Ziemie główne, czyli prowincye zajmują następne porzecza: *Szląsk* nad górną Odrą; *Wielkopolska* nad Wartą; *Małopolska* nad górną Wisłą do Pilicy (*Podgórze* przy Biesławskich, *Spiż* nad Poprademi); *Mazowsze* nad średnią Wisłą po Skrwę i dolną Biebrzę; *Podlasie* nad średnim Bugiem, górną Narwią i dolną Nettą; *Kujawy* nad górną Notecią do Brdy i Drwęcy; *Pomorze* nad dolną Wisłą; *Litwa* nad górnym i średnim Niemnem; *Żmudź* nad dolnym Niemnem i górną Windawą; *Kurlandya* nad dolną Windawą i Dźwiną; *Inflanty* nad dolną Dźwiną; *Białoruś* nad górną Dźwiną i Dnieprem do Prypeci, z obu stron gór Alaunickich; *Czarna-Ruś* między górnym Niemnem i średnią Prypecią; *Polesie* nad średnim Bugiem (Krzną i Muchawcem) i górną Prypecią; *Wołyń* nad Styrem i Horyniem; *Ukraina* nad dolnym Dnieprem, Bohem i dolnym Dniestrem (*Pobrzeże* nad dolnym Dniestrem); *Podole* nad średnim Dniestrem (część w Galicyi); *Ruś Czerwona (Ruś)* nad górnemi częściami Dniestru, Bugu i Sanu, z obu stron gór Żukowskich i Podhoreckich; *Pokucie* nad górnym Prutem.

Skrócenia: *pn.* północ, *pd.* południe, *w.* wschód, *z.* zachód, *s.* środkowy.

Autorowie i dzieła niektóre: *A.* Andrzejowski, *B.* Badania w przedmiocie rzeczy przyrodzonych. Lwów. 1845, *D.* Drzewiński (Miner.), *E.* Eichwald (Geognozya i Skizze...), *H.* Hempel inżynier górn., *Jk.* Jakowicki (Mineral. i opis...), *Js.* Jastrzębowski (Mineral. i inne), *K.* zbiór Kielecki, *Ł.* Łabęcki (Górnictwo), *M.* Małecki, *P.* Pusch. *R.* Rost, *S.* Staszyc (Ziemiorodztwo), *T.* Tryplin, *Z.* Zejszner.

A. MINERAŁY (CIAŁA KOPALNE POJEDYNCZE).

Gromada pierwsza: Ziemie i kamienie.

Rząd I. *Klejnoty i krzemienne.*

1. *Hiacynt* Szląsk (Goldberg) *D.*, *Jk.*
2. *Kamień cynamonowy* (Kanelstein) Wilno (rz. Wilia) *Jk.*, *D.*
3. *Chryzolit* pow. koniński *Js.*

4. *Oliwin* w bazalcie w ułamkach skał rumowych szwedzkich w ziem. pn. i w kamieniach meteorycznych *Jk.*, *Js.*

5. *Melanit* (granat czarny) Tęczyn *S.*, *P.*

6. *Granat klejnot* Sawrań (Ukraina), Berdyczów i daléj na pn., pn. ziemie *S.*, *Jk.*, *P.* Tatry *Z.*

7. *Granat pospolity* Łysogóry *K.*, Ukraina *Jk. E.*, Tatry *Z.*, Karpaty w. i ziemie pn. (w rumowych) *Jk.*, *P.*

8. *Pirop* przy ujściu Wieprza *Js.*

9. *Korund* (szafir massowy blaszkowy) Olbrzymie (Szląsk) (ofiarowany do zbioru *K.* przez A. Wagę).

10. *Szmirgiel* (szafir ziarnisty) nad Słuczą (Wołyń) *Jk.*, *E.*

11. *Staurolit* w pn. ziemiach (w rumowych) *Jk.*

12. *Augit* w porfirze pod Krakowem *P.*, *B.*, Ukraina (pod Kijowem) (ob. 43 i skały nr. 14).

13. *Horodecyn* Wilno *Jk.*

14. *Petalit* pn. ziemie (Litwa) *Jk.*, podobny mu? *K.*

15. *Spodumen* Wilno *Jk.*

16. *Peliom (Dichroit)* Rajgrod (Ukraina) *Jk.*

17. *Szerl* Korzec (Wołyń) i pn. ziemie *Jk. E.*

18. *Pistacyt (Epidot)* pn. ziemie *Jk.*, Tatry *Z.*

19. *Egeran* Wilno w rumowych *Jk.*

20. *Kwarc ametyst* Tęczyn, Alwernia, Łysogóry, Podgórze *S.*, *P.*, *Js.*, *K.*, Olkuskie (Strzemieszyce) *K.*, Żytomierz *S.*

21. *Kwarc kryształ górny* Żytomierz *S.*, Bieszczady i Magórskie *S.*, *P.*, *B.*, Tęczyn, Łysogóry *P.*, *Js.*, *K.*, Wiśniowiec (Wołyń) *E.*

22. *Kwarc mleczny* Litwa w ułamkach rumowych *Jk.*

23. *Kwarc pospolity (kwarcyt)* Łysogóry *S.*, *P.*, *K.*, Tatry, Olkuskie (Strzemieszyce) *H.*, Karpaty, Ukraina *S.*, *P.*, nadto gdzie piasek, piaskowiec, granit i t. p. skały (ob. skały).

24. *Rogowiec* Łysogóry, Karpaty *S.*, *P.*, *Js.*, Podole i pn. ziemie *Jk.*

25. *Rogowiec kamień młyński* tamże, Krzemieniec (Wołyń) *Jk.*, ujście Tiaśminy do Dniepru *A.*, *B.*

26. *Rogowiec drzewo skamieniałe* tamże, *S.*, *P.*, *Js.*, Wilno i Pobrzeże *Jk.*

27. *Łupek krzemienny* (rogowcowy) *(kieratyt)* tamże, Olkuskie *P.*, Sawrań (Ukraina) *Jk.*

28. *Łupek krzemienny kamień probierski* tamże, Stopnicki, Lubelskie pd. *P.*, *Js.*

29. *Krzemień* gdzie margiel i jurawapień (ob. skały), częsty pod Krakowem, Krzemieńcem, ujściem Sanu, w Lubelskiem, *S.*, *P.*, *Jk.*, *E.*, *Js.* Podole *E.*

30. *Chalcedon* Tęczyn *S.*, *Js.*, *P.*, Łysogóry *K.*, Wieliczka *S.*, Karpaty w. *B.*

31. *Chalcedon kacholong* Samborski *B.*

32. *Chalcedon krwawnik* (karniol) gdzie 30.

33. *Agat* tamże *S.*, *P.*, *Js.*, *B.*, *K.*

34. *Opal klejnot* Machnówka, Berdyczów, Pohorce, Ułanów *Jk.* (Ukraina).

35. *Opal pospolity* tamże, Wołyń w. *S.*, *Jk.*, *M.*, Miedziana góra *K.* (Radomyśl? *Jk.*).

36. *Opal hydrofan* (oculus mundi) Machnówka (Berdyczów) *S.*, *M*, *Jk.*

37. *Opal półopal*, gdzie 35. Podgórze *Z.*, Szląsk *Jk.*

38. *Jaspis pospolity*, gdzie 30. Raków *S.*, Podlisce i Krzemieniec *Jk.*, Podgórze *S.*, Dukla *B.*

39. *Chryzopraz* Kosemütz i Gläsendorf (Szląsk) *D.*, *Jk.*

40. *Zeolit (mezotyp* i *stilbit)* Alwernia (Poręba-Żegota) *P.*, pn. ziem. rum. *Jk.*

41. *Smołowiec* (Pechstein) ułamki w pn. ziem. rum. *P.*, *B.*

42. *Feldspat adularia? K.* (podobny wielce).

43. *Feldspat labrador*, Kamienny bród (pow. Radomyśl. nad Cietrzew) (Ukraina) (pod Kijowem), ogromny pokład; ułamki Wilno *Jk.*

44. *Feldspat szklisty (ryakolit)* Pieniny *Z.*

45. *Feldspat zbity (kamień biały, leptynit)* Kościenko (Dunajec) *P.*, ułamki w pn. *Js.*

46. *Feldspat pospolity* w granicie, gnejsie (ob. skały) i ułamki w pn. *P.*, *Jk.*, *Js.*, *M.*, *Z.*

47. *Feldspat ospowiec (wariolit)* ułamki. Wilno *Jk.* (raczéj do skał).

48. *Albit* Pieniny *Z.*

(Uwaga: *Allofan* zbioru *K.* z Miedzianogóry, jest raczéj gliną zafarbowaną przez miedź lazurową).

Rząd II. *Gliniane.*

49. *Aluminit (hallit)* Szląsk *Jk.* (dawniéj zwany glinką czystą).

50. *Ziemia porcelanowa (kaolin)* Krupce i nad Słuczą (Wołyń) *P.*, *Jk.*, Humań, Berdyczów, Sawrań (Ukraina) *A.*, *Jk.*, *E.*

51. *Glina cegłowa*, częsta, w skałach napływowych głównie.

52. *Glina garncarska (plastyczna) (il)* w średnich skałach (ob.) (gdzie lignit nr. 120) *P., Jk., B.* (skały 61).

53. *Glina garncarska ogniotrwała* tamże, Olkuskie, Łysogóry, Stryjski *H., B., P.*

54. *Glina malarska* Miedzianagóra *K.*

55. *Glina łupkowa* przy węglu ziemnym (Olkuskie) *P.*, Łysogóry *P.*, Galicya i pd. w. ś. *B.*

56. *Kamień gliniany (argilolit)* Łysogóry (Miedzianagóra) *K.*

57. *Łupek ałunowy* Olkuskie *S.*, Podgórze *S.*, Delatyn, Drohobycz, Mizuń *B.*, Żmudź pn. *P.*

58. *Łupek gliniany* Łysogóry *S., P.*, Karpaty *P.*, Podole, Pobrzeże *Jk.*, Szląsk *Jk.*

59. *Łupek pisarski* (kreda czarna) Uszyca (Podole) *A., Jk.*

60. *Łupek szlifierski* Dukla *B.*

61. *Łupek palny* Olkuskie *P.*, Karpaty *B.* (Lisko)

62. *Mika* w granicie i t. p. (ob skały) największe blachy w Tatrach *S., P.*, w ułamkach skał rumow. ziem. pn. *S., P., Jk.*

63. *Chloryt* koło średniéj Wisły w wapieniu i marglu, Karpaty *S., P.*

64. *Paulit* (hypersten) Chłystynówka, Ślepczyce (pod Kijowem) *E.*

65. *Hornblenda* Tęczyn, Słaboszowice (Opatów), Ukraina, ułamki w pn. ziem. *S., P., Jk.*, Andrychów (Podgórze) *Z.*

66. *Bazalt* ułamki w pn. ziem. *P., Jk.*, Pokucie *B.*, Szląsk *Jk.*

67. *Lawa?* Tęczyn *Js.* (może migdałowiec, ob. skały).

68. *Glina żelazista* (piaskowiec żelazisto-gliniasty, a więc słuszniéj do skał) Olkuskie pn. (wieluński) *S., P.*, ułamki w pn. ziemi *Jk.*

69. *Ziemia zielona* Pińczów, Staszów, Panki *P.*, ułamki w pn. ziem. Owrucz *Jk.*

70. *Wakka* ułamki Wilno *Jk.*

71. *Mydło górne* Olkusz *S.*, Łysogóry *K.*, Podole, Krzemieniec *Jk.*

72. *Glinka żółta* Olkuskie? Łysogóry, ułamki w pn. ziem. *Jk. K.*

73. *Umbra* Miedzianogóra *K.*

74. *Litomarga* Podole (Zbrucz) *Jk.*

Rząd III. *Magnezyowe (talkowe).*

75. *Ziemia suknowalska (folarską)* Staszów, Krzemieniec, Kamieniec Podol. i Zbrucz *E., Jk., Js.*

76. *Bol* Lignica, Strygawa (Szląsk) *Jk.*, Miedzianagóra *P.* (Zimmermann).

77. *Steatyt* Tęczyn *S.*, *P.*, *Js.*, Tatry *S.*, Frankenstein (Szląsk) *(kerolit* Dufrenoy).

78. *Talk* Tatry *S.*, Ukraina gdzie opal *E.*

79. *Serpentyn* Tatry *S.*

80. *Nerkowiec* Tatry i Biesławskie *S.*

81. *Azbest pospolity* Szląsk *D.*, *Jk.*

82. *Azbest amiant* (len górny) Tatry *S.* (miętusia u Górali).

Rząd IV. *Wapienne.*

83. *Mleko górne* (śmietana góralska) Tatry *S.*, Bialski *Js.*, Pińczow *K.*

84. *Wapno pieniste* Opatów *Js.*, Tatry *S.*

85. *Kreda* Małagoszcz? Chełm, Wołyń, Litwa pd. (ob. margiel, skały) *S.*, *Jk.*, *P.*, *E.*, *Js.*

86. *Wapień zbity* (ob. skały) i ułamki w pn. ziem. *Jk.*

87. *Wapień marmur* Łysogóry (Chęciny 120 odmian *S.*) Olkuskie *P.* (Czerna), Karpaty (Tatry) i Pieniny *Z.*, Żmudź pn. *E.*, *Jk.*, Podole *A.*, *P.*, *E.*

88. *Wapień ikrowiec* z obu stron Łysogór, Stopnicki *P.*, *K.*, Dubno, Wiśniowiec *Jk.*, Międzyborz *Jk.*, Jaorlik *Jk.*

89. *Wapień spat wapienny* gdzie 87, *Js.*, *K.*

90. *Wapień kamień litograficzny* Sobków, Włoszczowa, Ojców *P.*, Wołyń, Podole *Jk.*

91. *Wapień grochowcowy* Raków *P.*, Pobrzeże *Jk.* (odmiana ikrowca).

92. *Wapień włóknisty* Olkuskie *Js.*, Łysogóry *K.*

93. *Wapień naciekowy* i *soplowy (stalaktyt)* Ojców, Olsztyn *S.*, *P.*, *Js.*, Podole *A.*, Poczajów *E.*, Birżo (Litwa) *Jk.*

94. *Tuf wapienny* Opatów *P.*, *Js.*, Krzeszowice *S.*, *P.*, Ukraina *Jk.*, Spiż *Z.*, Litwa (Czabiszki, Lukojnie) *Jk.*

95. *Spat brunatny* Jaworzno *K.*, ułamki w pn. ziem. *Jk.*

96. *Dolomit* Olkuskie *P.*, *Js.*, Tatry *Z.*, ułamki w pn. zie. *B.*

97. *Kamień śmierdzący* Zagdańsk? *R.*, Olkuskie? (Czerna?) Podole *E.*, *Jk.*

98. *Margiel* (ob. skały, formac. kredy).

99. *Łupek marglowy* Łysogóry, Olkuskie, Biesławskie *S.*, *P.*, *Js.* Pobrzeże *Jk.*

100. *Fosforyt* Tatry, *S.*, Pobrzeże *E.*

101. *Gips zbity* } Stopnickie do Krakowa *P.*, *Js.*, Podhoreckie *P.*, Samborski *B.*, Podgórze
102. *Gips włóknisty* } *P.*, *S.*, Dobrzyń *P.*, Litwa pn. z. *P. Jk.*, Podole *Jk.*

103. *Gips alabastryt* Podgórze *P.*, *Z.*, Podhoreckie *B.*, Podole (Zbrucz) *Jk.*

104. *Selenit (gips blaszkowy)* gdzie 101, 102 *P.*, *S.*, *Js.*

105. *Muryacyt (anhydryt)* Wieliczka i gdzie gips 101, 103 *Z.*, *K.*

Rząd V. *Barytyczne i stroncyanowe.*

106. *Spat ciężki* Miedzianagóra, Chęciny, Jaworzno, Kunow, Wieliczka *S.*, *P.*, *Z.*, *K.*

107. *Celestyna* Staszów, Kunow, Częstochowa *S.*, *P.*

Gromada druga: Sole.

108. *Saletra rodzima* na murach starych i ziemi (Ukraina) *A.*, *Jk.*, *Js.*

109. *Sól kuchenna* Wieliczka, Bochnia, Szydzina (Biesławskie), Stebnik (pd. Lwowa) *S.*, *P.*, *Ł.*, *Z.*, ślady nad dol. Dźwiną (Dubenau) *Jk.* (niedawno pod Królewcem w Prusach).

(Źródła słone: Ciechocinek, Druskieniki i daléj na pn. nad Niemnem średnim, Solca (Łęczyca), Busk, Solec, Radzanów, Szczerbaków (Stopnicki) i mnóstwo pod Karpatami w., a w z. sól N. sól (nad Solą) Jordanów *S.*, *P.*, *Z.*, *K.*).

110. *Szpak* gdzie poprzed. mianow. w Wieliczce *P.*, *Z.*, *Jk.*

111. *Ałun rodzimy* Grodno *Jk.*, Siewierz *S.*, *Js.*, Filipowice (Kraków) *S.*, Żmudź pn. *P.*

112. *Koperwas żelazny* Dobrzyń *P.*

113. *Sól włóknista* (ałun żelazisty δ°.

114. *Sól angielska* (gorzka) gdzie 109, *S.*

115. *Sól glauberska* Bejsce (Imbramowice) *S.*

(Źródła: alkaliczno-jodowe Iwonice (Sanocki) *B.*, *bromowe* Przeduki δ°. *B.*, *kwaśne* Tatry, np.: Swoszowice, Krościenko do salcerskiéj zbliżone, Drużbaki, Podoleniec, Muszyn *E.*, *Z.*, *T.*; Olbrzymie w Szlązku, np.: Salzbrunn, Warmbrunn, Altwasser etc.) (żelazne ob. żelazo) (siarczane ob. siarka).

Gromada trzecia: Palne.

116. *Siarka rodzima* Czarkowa, Koniusza, Krzeszowice? *S.*, *P.*, *Ł.*, Swoszowice δ° Truskawice nad Stryjem *P.*, Tatry (Kościeliska) *S.*, Szląsk *Jk.*

Wody siarczane: Busko, Solec, Lublin, Krzeszowice, Krosno, Szkło, Niemirów, Grodek, Dunajów, Bolechów, Horodenko, Krzemieniec, Wilno, Widze, Litwa pn. z., Kurlandya *S.*, *P.*, *Jk.*, *B.*

117. *Olej ziemny (malta* i *nafta)* Karpaty w. *S.*, *P.*

118. *Smoła ziemna* tamże, Podgórze *S.*, Sienno (Opatowski) (wiadom. prywat.) Litwa pn. *P.*

119. *Hartyt* (wosk kopalny?) Galicya? (pisma peryod.).

120. *Lignit (węgiel brunatny* i *trapezowy*, czyli *czarno-brunatny)* Olkuskie (Kromołow, Siewierz, Poręba), Kalisz, Warta dolna, ujście Nidy, Stopnickie, Opatowskie, Wieliczka, Krzemieniec (i *papierowy)*, Grodno (Poniemuń i *papierowy)*, Płockie i Augustowskie pd. (Dobrzyń) Mława i na w.) N. Targ. *S.*, *P.*, *Jk.*, *E.*, *Ł.*, *Js.*, Litwa pd. (Oszmiański).

121. *Torf* po bagnach, np.: Wolbrom, Bzura, Garwolin, Litwa, Polesie, Podgórze, Tatry *S.*, *P.*, *B.*

122. *Węgiel ziemny (czarny)* Olkuskie, Łysogóry (z pn. w.), Szląsk pd., Podgórze, Karpaty w., Galicya S? *S.*, *P.*, *Z.*, *Ł.*, *Js.*

123. *Antracyt* Olkuskie *S.*, *P.*, *Ł.*, *Js.*

124. *Ołówek (grafit)* Wołyń (Horodnica, Bielczaki) *Jk.*, *E.*, Ukraina (Kajetanówka) *A.*

125. *Bursztyn* Płockie pn., Augustows. pd., Galicya pd. w., Litwa, Żmudź, Kurlandya (brzegi morza i jezioro Angern), Slonim, Dąbrowica (Wołyń), Ukraina (Dniepr dol.) *S.*, *P.*, *E.*, *Jk.*, *Js.*, *B.* (Najwięcéj w Prusach między ujściem Pregla i Wisły, czyli między kuryjską i fryską odnogą).

126. *Mellichrom (miodowiec)* Tatry i Galicya pd. w. *S.*, *B.*

Gromada czwarta: Kruszce.

Rząd I. *Złote.*

127. *Złoto rodzime* Tatry (Krywań, Kolbach) *S.*, Olbrzymie *S.*, cząstki w Dunajcu białym *Z.*, w rzekach Szląska pn. *D.*

Rząd II. *Merkuryalne.*

128. *Żywe srebro rodzime* Tatry (Krościenko) *P.*

129. *Cynober* Tatry *S.*

Rząd III. *Srebrne.*

130. *Srebro rodzime* Tatry (Kolbah) *S.*, Samborski r. 1844? *B.*

131. *Srebro białe (galena srebronośna)* Olkusz, Tarnowice (Szląsk) *S.*, *Ł.*, z wielkiém podobieństwem do prawdy i w Gu-

mienicach pod Pierzchnicą (Stopnicki), bo leży nad cynkiem jak w Olkuszu, i podania miejscowe potwierdzają ów domysł.

Rząd IV. *Miedziane.*

132. *Miedź rodzima* Miedzianogóra *P.*, *K.*, Sanok *P.*

133. *Miedź szklista* Miedzianogóra, Górne (Kielce), Bzin. *P.*

134. *Miedź biała* (Rudolstadt) Szląsk *D.*

135. *Miedź pstra* Miedzianogóra, Miedzianka, Jaworzno *S.*, *P.*

136. *Piryt miedziany* Chęciny *S.*, *P.*, *K.*, Tatry *S.*, Dźwino dol. *Jk.*

137. *Miedź szara* Łysogóry *S.*, *P.* (z bardzo drobnym procent. srebra) *K.*

138. *Miedź czarna* tamże (gdzie 135, nadto: Bzin, Niewachlów, Czarnów, Kielce, Bolechowice) *P.*

139. *Miedź sadzowa* Miedzianagóra, Chęciny *S.*, *P.*, *Js.*, *K.*, Szląsk *Jk.* (*z czarną*).

140. *Miedź czerwona* tamże.

141. *Miedź lazurowa* gdzie 138, *S.*, *P.*, *Js.*

142. *Malachit* tamże *S.*, *P.*, Sanok *B.*, Szląsk *Jk.*

143. *Zieleń miedziana* tamże *P.*, *B.*

144. *Miedź błyszczącą* Miedzianagóra *K.*

Rząd V. *Żelazne.*

145. *Żelazo rodzime* Tatry (Magóra) *S.*

146. *Żelazo rodzime meteoryczne* Brahin (Mińska pd. w.), Toruń? (pisma peryod.).

147. *Piryt żelazny* Olkuskie, Łysogóry, Lubelskie pd. Rawskie, Włocławek, Galicya w., Krzemieniec, Podole (*A.*). Żmudź pn., Dźwina dol. *S.*, *P.*, *Jk.*, *E.*, *B.*

148. *Piryt żelazny magnetyczny* Szląsk *Jk.*

149. *Żelazo magnetyczne* Tatry. Tęczyn *S.*, Szląsk *Jk.*, pn ziemie w ułamkach *B.*

150. *Żelazo chromiczne* Szląsk *Jk.*

151. *Żelazo czerwone* Łysogóry *S.*, *P.*, *Ł.*, *Js.*, Żmudź pn. *P.*, *Jk.*, Tatry *S.*, Podgórze *S.*, Dźwina dol. *P.*, Krzemieniec *Jk.*

152. *Żelazo brunatne* tamże, Szląsk *Jk.*

153. *Żelazo spatyczne (sferosyderyt)* Olkuskie, Łyse; Tatry, Podgórze *S.*, *P.*, *Ł.* (krzemian w Olkuskich i Łysych, węglan w Tatrach).

154. *Żelazo czarne* Łysogóry *S.*, *K.*, Machnówka (Berdyczów) *E.*, *Jk.*, Podgórze *B.*

155. *Lepidokrokit* Łysogóry *P.*, *K.*

156. *Pyrosiderit* Łysogóry *P.*

157. *Naciek żelazny* (*pittizit*) Szląsk gór. *Jk.*

158. *Żelazo gliniaste* Olkuskie, Łysogóry, Tatry, Podgórze, Galicya w. pd. *S.*, P., *Ł.*, *Js.*, *B.*, Lubelskie pd. w, P., Podole *E.*, Wołyń (między Korcem a Międzyrzeczem) *Jk.*, Wilno *Jk.*

159. *Żelazo darniowe* po miejscach bagnistych, np. nad Bzurą, Garwolin, Litwa, Ukraina pn., Wołyń (Łuck, Ostróg, Cudnów, Korzec, Polesie, Żmudź, nad Drwęcą, Notecią, Galicya w. *S.*, P., *B.*, *Jk*, *E.*, *Js.*, Tatry *S.*

160. *Ruda żelazna błękitna* przy poprzedniéj, np. Łysogóry, Tatry *S.*

(*Wody żelazne* przy 159 zwykle, np. Lublin, Nałęczów, Goździków, Myśliwców, Krzemieniec, Lwów, Turza, Sokolówka, Wilno.

Rząd VI. *Ołowiane.*

161. *Galena* Olkuskie, Łysogóry, Tatry, Szląsk *S.*, P., *Ł.*, *Js.*, *Jk.*, Samborskie *B.*

162. *Ołów biały*, tamże *S.*, *Js.*

163. *Ołów czarny* Łysogóry *S.*, *K.*

164. *Ołów zielony* Łysogóry, Olkuskie, Szląsk *S.*

165. *Minia rodzima* Łysogóry, Olkuskie, Szląsk *S.* (Ołów czerwony *S.*)

166. *Ruda ołowiana* tamże *S.*

Rząd VII. *Cynkowe.*

167. *Blenda* Łysogóry, Olkuskie, Galicya w. (Truskawice nad Stryjem) *S.*, P., *B.*, *Ł.*, *Js.*

168. *Galman* (zwykle krzemian) tamże.

Rząd VIII. *Antymonowe.*

169. *Antymon szary* (z procentem srebra) Tatry (Pyszna) *S.*

170. *Antymon czerwony* Tatry (Krywan) *S.*

Rząd IX. *Manganezowe.*

171. *Manganez szary* (Braunstein) Miedzianagóra, Miedzianka, Galicya *S.*, P., *B.*, *Js.*

172. *Manganez czarny* Miedzianagóra, Pińczów P., Ukraina (Bazylówka) *Jk.*

173. *Manganez gliniasty* tamże *K.*

Rząd X. *Kobaltowe:*

174. *Kobalt błyszczący* Olbrzymie (Szląsk) *Jk.*

Rząd XI. *Arszenikalne.*

175. *Piryt arszenikalny* (z cząstkami złota), Olbrzymie (Szląsk) *D.*

Rząd XII. *Tytanowe.*

176. *Ilmenit* w Dunajcu *Z.*

Uwaga. Słyszałem od fabrykanta nowego srebra o znajdowaniu się *niklu* w Galicyi.

Ogółem gatunków głównych (prócz odmian) **145.**

B. SKAŁY (ciała kopalne z kilku minerałów złożone).

a) Ogniowe (azojskie).

Gromada pierwsza: Dawne (krystaliczne i metamorficzne, inaczéj pierwiastkowe).

1. *Granit* Tatry *S.*, P., *Z.*, Olbrzymie *S.*, *E.*, *Jk.*, Ukraina *S.*, *E.*, P., *M.*, *Jk.* Wołyń, Pobrzeże, Karpaty. W. pd. *S.*, *P.*, ułamki rumowe, szwedzkie pn. ziem. *S.*, *P.*, *E.*, *Ik.*,

2. *Granit porfirowy* progi Dniestru (Jampol) (syenit?) *E.*, *A.*, P.

3. *Granit skała hebrajska* Żytomierz *Jk.*, ułamki rumowe *K.*

4. *Kamień meteoryczny* (zapewne ze stopionego granitu i skał podobnych) w wielu stronach, np. Białystok.

5. *Granatyt (skała granatowa)* Tatry *Z.*, ułamki rumowe *K.*

6. *Euryt* Podole (Zbrucz) *Jk.*, ułamki w pn. ziem. *Jk.*, *Js.*

7. *Gneis* przy granicie, np. Tatry, Ukraina (Niemirów, Hajsyn, Żytomierz). Korzec, ułamki w pn. ziem, *S.*, P., *Jk.*, *Js.*

8. *Łupek mikowy (mikacyt)* Tatry *S.*, P., Podole P., *Jk.*, ułamki w pn. P., *Jk.*

9. *Leptynit (kamień biały, feldspat zbity)* Krościenko P., ułamki w pn. *Js.*

10. *Łupek gliniany* Tatry *S.*, Podole *Jk.*, Pobrzeże *Jk.* Szląsk *Jk.*

11. *Łupek talkowy* Tatry *S.*

12. *Łupek hornblendowy (amfibolit)* Tatry *S.*, ułamki w pn. ziem. P., *Jk.*

Gromada druga: Średnie (plutoniczne).

13. *Porfir zwyczajny* Krzeszowice *S.*, P., *Js.* (Filipowice), Starzynów, Ukraina (Pokorce, Ułanów, Cudnów, Berdyczów) *E.*, *Jk.*, *M.*, Olbrzymie *E.*

14. *Porfir kwarcowy* Strzemieszyce (Olkuskie) *H.*

15. *Waryolit (feldspat ospowiec)* ułamki Wilno *Jk.*

16. *Ofit* (verde antico) Tatry *S.*

17. *Melafir (porfir czarny augitowy)* (ob. feldspat labrador, miner. nr. 43).

18. *Afanit* (grynsztejn zbity) ułamki w pn. ziem. *Jk.*

19. *Dyoryt (kamień zielony, grynsztejn, trap)* Słaboszowice (Opatów) P., Ukraina (pod Kijowem) *Jk.*, Pobrzeże (Ladawa), Andrychów (Podgórze) P., *Z.*

20. *Serpentyn (ofiolit)* Tatry *S.*, ułamki w pn. *B.*

21. *Syenit* Tatry, Ukraina (Bracław, Korsuń, progi Dniestru, ob. nr. 2) *Jk.*, ułamki w pn. ziem. P., *Jk.*, *Js.*

22. *Hyperstenit (Paulitowa skała)* Ukraina pod Kijowem (Kamienny bród) *E.*

23. *Bazalt* Pokucie *B.*, Szląsk *Jk.*, ułamki w pn. ziem. *Jk.*

24. *Bazaltyt* Tęczyn P.

Gromada trzecia: Nowe (wulkaniczne).

25. *Trachit* Pieniny *Z.*

26. *Domit* (trachit ziemisty) Krościenko P. (Pieniny w.).

27. *Migdałowiec* Tęczyn P., Pobrzeże (Ladawa)? *Jk.*, ułamki w pn. ziem.? *Jk.* (Tęczyński ma: ametyst, chalcedon, zeolit, steatyt).

28. *Lawa?* Tęczyn *Js.*

Uwaga. Wulkaniczne ślady u nas: 1) Słaboszowice (Opatów), gdzie dyoryt dziurkowaty do lawy zbliżony; 2) *Tęczyn*, gdzie migdałowiec; 3) *Pieniny*, gdzie trachit i domit; 3) *Spiż*, gdzie są wulkany gazowe (fumarolle), kwas węglowy wydające, przy Podoleńcu i Drużbakach *T.*

(Pod Kamieńcem Podolskim jezioro peryodycznie znikające. Sokołów).

B) SKAŁY WODNE (NEPTUNICZNE) (7 formacyj).

GROMADA PIERWSZA: DAWNE (PALEOZOJSKIE) (3 formacye).

I. *Formacya szarogłaz (tromat, syluryczna, przechodowa) i dewońska.*

29. *Skała kwarcowa*, najwyższe punkta Łysogór *S.*, P., *Js.*, ułamki w pn. *Jk.*

30. *Szarogłaz* (tromat) i *łupek* jego: Łysogóry, spód Olkuskich, Szląsk *S.*, P., Podole *Jk.*, *A.*, Pobrzeże, Auratyńskie *Z.*, *E.* Tatry w., (Magóra) P., *B.*, Żmudź pn. P., *E.*

31. *Wapień ortoceratytowy* Podole *A.*, *Jk.*

32. *Wapień marmur* i *brekcya* Podole *S.*, P., Żmudź pn. w. Kurlandya pd. Dźwina dol. Tatry P., Łysogóry (zapewne dewoński) *S.*, P., *Js.* (z miedzią, ołowiem i żelazem).

33. *Glina*
34. *Łupek gliniany* } Łysogóry P., *Js.*

35. *Piaskowiec*
36. *Konglomerat* } dewoński: Łysogóry P., *Js.*, Żmudź, Kurlandya, Inflanty, Białoruś pn. (Alaunickie); Olbrzymie, Sudety *E.*, P.

II. *Formacya węgla ziemnego.*

37. *Piaskowiec żarnowy* Olkuskie P.

38. *Węgiel ziemny* Olkuskie, Szląsk pd. *S.*, P., *E.*, *Js.*,

39. *Glina łupkowa* tamże.

40. *Wapień górny (marmur czarny)* Czerna, Szklary P.

III. *Formacya łupka margłowego (permska).*

41. *Łupek margłowy* Olkuskie, Łysogóry P., *Js.*

42. *Piaskowiec czerwony* Łysogóry *S.*, P., *Js.*

43. *Piaskowiec konglomeratowy* Olkuskie *H.*

44. *Wapień smolny* (Zechstein) Zagdańsk? (Kielce) *K.*, Olkuskie *H.*, Podole *Jk.*

GROMADA DRUGA: ŚREDNIE (MEZOZOJSKIE) (3 formacye).

IV. *Formacya trias (Keuper)* (muszlowa Orbigny).

45. *Piaskowiec pstry* Opatów do Suchedniowa, Tatry P., *Z.*, *Js.*

46. *Ił czerwony* Siersza (Kraków), Szląsk P.

47. *Wapień muszlowy* (kruszcorodny, *Krech S.*), Olkuskie, Łysogóry *S.*, P. (z cynkiem i ołowiem).

V. *Formacya jura.*

a) *górna: lias.*

48. *Lias wapień* od źródeł Odry przez Cieszyn, Białę do Lanckorony P., Spiż (Magóra) P.

b) *średnia* (Oxford, Callov i koralowa Orbigny).

49. *Piaskowiec biały* na pn. Łysogór (z żelazem i węglem P., *Js.*

50. *Piaskowiec żelazisto-gliniasty* Olkuskie do Wielunia i daléj; Żmudź pn. P , *E.*

51. *Piaskowiec fukoidowy* Tatry *Z.*

52. *Jurawapień gębczasty, dolomitowy, ikrowcowy* (z obu stron Łysogór), *brekcya, koralowy* (Kraków) Olkuskie do Kalisza, Łysogóry, Tatry *S., P., Z., Js.*, Sudety, Olbrzymie *E.*, podnóże Karpat *P.*, Łęczyca, Kujawy, Żmudź pn. P. (z kamieniem litograficznym).

53. *Wapień ammonitowy* Tatry, Pieniny *Z.*

VI. *Formacya kredy.*

54. *Ił niebieski* (neokomska form. Orbig.).

55. *Piaskowiec żelazisty (karpacki)* Karpaty P., *Z.*, Sudety przyległe P., *E.*, Olkuskie P., Hebdow P. (for. Cenoman Orbig.).

56. *Piasek chlorytowy* (zielony) Grodno *Jk.*

57. *Margiel kredowy (opoka)* (form. Cenon. Orbig.) między Olkuskiemi i Łysogórami, przy ostatnich na w i pn. w., w Lubelskie, nad Bugiem, Niemnem gór., na Wołyniu, Ukrainie pn,, Podolu, Galicyi, Białorusi (nad Sożą) i na Pomorzu (Kwidzyn) *S.*, P., *E., Jk., Js.*

GROMADA TRZECIA: NOWE (KAJNOZOJSKIE) (1 formacya).

VII. *Formacya molass.*

a) *Suesson* (nummulitowa) Orbigny.

58. *Dolomit nummulitowy* przy Tatrach P., *Z.*

b) *Trzeciorzędne średnie (Falun* Orbig.).

59. *Sys (piasek gliniasty)* przy soli kuchennéj, Wieliczka, Bochnia, Galicya w. *S.*

60. *Mydlarka (ił solny*, czarny, olejny) *S.*, tamże.

61. *Piaskowiec lignitowy* Kromołów, ujście Nidy, Opoczno, Łęczyca, Kujawy, Płockie, Augustowskie pd, Konin, Kalisz,

dolna Warta, Opatów, Grabki (Stopnickie), Podhoreckie *S.*, P. (z lignitem, bursztynem, gliną garncarską).

62. *Grubowapień cerytowy* na w. Pińczowa, na pn. Sandomierza, Lubelskie pd., Miodoborskie, Ukraina (od Ladawy do Machnówki), Podkoreckie P., *Jk.*, *Js.*

63. *Wapień grochowcowy* Staszów, Raków, pd. z. Stopnicy, pd. w. Opatowa i Buska P.

64. *Konglomerat muszlowy* i *ikrowcowy* na w. Staszowa, z. pd. Chmielnika P.

65. *Piaskowiec marglowy* Pińczów P., *Js.*

66. *Piaskowiec muszlowy* Chmielnik do Staszowa, Bogorya, Sandomierz, Wieliczka, Lwów, Jaworów, Lubelskie pd., Podhoreckie, Wołyń (Krzemieniec), Litwa, Żmudź pn. w. P., *Jk. Js.* (z kamieniem młyńskim).

c) *Napływowe.*

+) *Przedpotopowe (Diluvium)* (apenińska).

67. *Glina* np. między Olkuskiemi i Łysemi, w Lubelskie, Galicyą (zwykle siwa lub czerwonawa; piasczysta zowie się *ciąglica)* P.

68. *Piasek z kamieniami rumowemi* szwedzkiemi (po Łysogóry i bagna pińskie); gliniasty zowie się *kurzawka* np. Olkusz.

++) *Napływy rzeczne i morskie (Alluvium)* (for. nowa Orbig.)

69. *Glina* } po brzegach rzek i morza.
70. *Piasek* }

71. *Mada,* margiel gliniasto-piasczysty po brzegach Wisły.

72. *Torf.* }
73. *Żelazo darniowe* } ob. minerały (nr. 94, 121, 160).
74. *Tuf wapienny* }

75. *Błota* np. Pińskie (Polesie), nad Wartą, Bzurą, Nettą, Bobrą, Kujawy.

76. *Ziemia żyzna.*

Kielce, 1859. *H. S.*

KORRESPONDENCYE.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

Wydawnictwo Biblioteki domowéj w Żytomierzu, spostrzega o tyle częste, o ile błędne sądy i wieści o swych działaniach i zamiarach, ogłaszane przez ludzi nienależących do wydawnictwa, nieobznajmionych dokładnie z jego czynnościami i na posłuchu tylko opierających wiarogodność swoich wyrzeczeń w pismach publicznych. Treść tych doniesień błędna, forma ich odarta najczęściéj ze wszelkiéj godności słowa, ściąga najniewinniéj zapewne na autorów swych przykry i niepochlebny pozór systematycznego zmyślania i nieszlachetnéj napaści, a oburza przeciw nim zacne i ku ogólnemu dobru chętne serca.

Wydawnictwo uprasza znanych i nieznanych przyjaciół swoich, aby nie raczyli w żadnym razie stawać w jego obronie przeciwko tym, z saméj nieświadomości swéj niewinnym napaściom, ani odpowiadać w pismach publicznych na nie. Polemika taka zawsze będzie nosić na sobie cechę osobistości, a téj wydawnictwo zapiera się i z saméj natury swojéj miéć nie powinno i miéć nie będzie.

Nie posądzamy nikogo o złą wolę i o niczém przez wydawnictwo nieusprawiedliwioną nieżyczliwość. Nie mamy nikomu za złe: niepodobna jest, aby wszyscy posiadali zdolność dobrze widziéć, jasno pojmować i gorąco czuć, zwłaszcza gdy nie o własne, ale o powszechne dobro idzie. Z wszelkiém więc wyrozumieniem patrząc na te szczególne objawy zajęcia się wydawnictwem, godzi się nam, w obec niewinnego zmyślenia, postawić prawdę, jakkolwiek skromną i nie zasługującą na hołdy. Chcemy takim sposobem dotychczasowych, nieobowiązanych sprawozdawców uwolnić od niewdzięcznéj, a ich samych upokarzającéj pracy. Ogłoszenia o działaniach wydawnictwa, które za *upowa-*

żnieniem wydawniczego zarządu od czasu do czas zamierzamy podawać, będą miały tę zaletę przynajmniéj, iż płynąc z właściwego źródła, czystą prawdę po sobie utrzymają. Zresztą, ogłoszenia takie są obowiązkiem wydawnictwa. Posiada ono w rozporządzeniu swojém ofiary, dobrą wolę i zaufanie znacznéj części ogółu; winno więc głośno opowiadać, czém jest w jego ręku grosz publiczny i poczciwa ziomków ochota. Tyle nam zdało się powiedzieć. Teraz przystępujemy do ogłoszenia o pracach wydawnictwa Biblioteki domowéj. 1. Nakładem wydawnictwa z drukarni żytomierskiéj wyszły następujące dzieła: *a*) Elementarz, część 1, tomik 1, druku arkuszy 3, cena gr. 6. Tenże sam Elementarz na lepszym papierze, cena gr. 10. *b*) O sztucznem zarybianiu wód, broszura arkuszy druku 2½, cena złp. 1. 2. Wkrótce opuści prassę drukarską: *Chronologia dziejów polskich*, poprzedzona „Treścią praw pospolitych Polski", tom IIgi. 3. Przygotowane rękopisma do druku: *a*) Elementarz, część druga; *b*) Katechizm. *c*) Badania o Słowianach. Okres przedhistoryczny do X wieku po Chrystusie, przez doktora Juliana Kotkowskiego; *d*) Nestora Latopisca kronika, tłumaczenie Dra Juliana Kotkowskiego. *e*) „Dwa duchy", powieść Dra Tripplina. 4. Dzieła nabyte przez wydawnictwo, a w bieżącym roku wyjść mające z druku: *a*) Opowiadania o królu Janie III. Opowiadanie piérwsze, przez Karola Szajnochę. *b*) Pamiętniki kwestarza (ciąg dalszy), Chodźki. *c*) O sztukach, przez Lucyana Siemieńskiego. *d*) Gigantomahia Kordeckiego, tłumaczenie Dra Galli. 5. Wypracowują dla wydawnictwa: Dr Belke dzieło: „O szkodliwych owadach"; Lucyan Siemieński: „Czytania postępowe: *a*) Książeczka elementarna i *b*) Żywot Kazimierza Brodzińskiego w powiastkach." Na dziś tyle. Prace swe wydawnictwo rozpoczęło dnia 10 maja 1859 roku.

Żytomierz, 27 sierpnia 1859 r.

Redaktor sekretarz
Apollo Korzeniowski.

Od księdza biskupa Łętowskiego do hrabiego Wielopolskiego, margrabi pinczowskiego.

(Nadesłano).

Przy wydaniu kodeksu śliwickiego, ze zbiorów ś. p. Konstantego Świdzińskiego, stanowiących dzisiaj część biblioteki i muzeum margrabiów pinczowskich, napotkałem w przypisach

na katalog biskupów krakowskich, z bolesną przytém *cenzurą* dla mnie. Racz p. margrabia posłuchać siedmdziesiąt z górą letniego człowieka i biskupa, i pofolguj żalowi jego, który w życiu nie uchybił ci był bądź słowem, bądź piórem. Pisząc przy biskupach krakowskich o Piotrze Myszkowskim, powtórzyłem słowa Stanisława Łubieńskiego biskupa płockiego; a nie samemu jemu jednemu wytknąłem *lasciviam in suos*, pożyczonym sobie tym wyrazem u Długosza, który dobrodziejowi swemu Zbigniewowi Oleśnickiemu a nie darował tego. Nie jest mi znaną książka *ks. Witteleschi* zgromadzenia Jezusowego, a narada z kardynałami o uposażeniu synowców papiezkich nie była kościołowi listem apostolskim do wiadomości podaną; przeciwnie, sobor trydencki zastrzegł na sessyi XXV dekretem *de Reformatione* w rozdziale 1szym: *Sancta synodus admonet Episcopos Omnes.... ne ex reditibus Ecclesiae Consanguineos, familiaresve suos, augere studeant, ...imo, quam maxime eos monet, ut omnem hunc erga fratres, nepotes, propinguosque carnis affectum, unde multorum malorum in Ecclesia seminarium extat, penitus deponant.* Uprzedziły ten dekret, kanon 24 synodu antyochejskiego, 1y sewilskiego i 15ty soboru laterańskiego III, co też list papieża Grzegorza Wielkiego do biskupa medyolańskiego Deusdedita *(libr: 10 nr. 42)*, w którym czytamy: *non posse clericos testari, neque inter vivos disponere de bonis ex Ecclesia profectis sed solam Ecclesiam in haec succedere.* On też grosz święty wzięty z ołtarza i nie bogacił na długo i przywodził zwykle w końcu do utraty imion własnych, jakto mamy, nie szukając daleko, na domu Myszkowskich, co do drugiego pokolenia po mieczu nie doszedł, a przez dwie kądziele dostało się margrabstwo po nim do rodziny Wielopolskich; a dzięki ma tobie p. margrabio, coś tę fundacyę utrzymał, dobrze już pochyloną ku upadkowi. Pisząc katalog dla duchowieństwa, a nie żadne literackie dzieło, miałaby mi zatém być pochwała a nie nagana, za to com wytykał szafarzów niewiernych chleba kościelnego. Co do drugiego grzechu mego, za wspomnienie na brata babki mojéj, powiem tylko jak rzecz była. P. Ulryk Szaniecki chodził wszędzie za papierami do sprawy margrabstwa pinczowskiego, a posłyszawszy, że miałem niektóre Jordanowskie, pytał się za niemi, ale nie byłyby mu w żadnym razie pomocnemi; gdyż Adam Jordan kasztelan wojnicki gdyby wygrał był nawet margrabstwo, to z śmiercią jego wracało się do Wielopolskich, zeszedłszy bezdzietny, a z całego rodzeństwa on tylko rodził się z Myszkowskiéj. Dajmyż zatém, że byłato próżność one wspomnienie na Jordana, co miał księżniczkę Lu-

bomirską za sobą? To co miało to do rzeczy, przy procesie z pp. Świdzińskiemi! Ale żal mój p. margrabio jest zacniejszéj natury, i nie chodzi mi wcale o zrzucenie na bok pocisku, wymierzonego na mnie. Na wszystko byłaby odpowiedź, przy elastyczności dowcipu ludzkiego, a w takiéj walce kto ostatni, ten bierze wygranę. Nie wyjdę wszelako do takiéj bójki, pomny na miłość i szacunek powinne ludziom godnym. Jeśli mi o co żal, to że stanął pomiędzy memi przeciwnikami, kto? margrabia Wielopolski; człowiek, którego naukę uznaję z całym krajem, wymowy zazdroszczę, a moc charakteru podziwiam, tak rzadką cnotę obecnie w świecie: oto moja próżność, a za tę mi łaj co ci się spodoba, jeśli możesz. Tak nas teraz mało p. margrabio rodem, imieniem, tradycyami, co bylibyśmy braćmi sobie, że nam podawać sobie rękę, wybaczać jeden drugiemu, a nie omazywać się; z czego pożytku żadnego, tylko zgorszenie, a uciecha wiemy komu.

List mój przyjmij p. margrabio, za odezwę chrześciańską. Szanować zacne i historyczne domy, jest swój kraj kochać. Z domem Wielopolskich od lat cztérdziestu spotykam się w Krakowie, statecznie się starając o jego względy. Dzierżyliście wielkie ziemie, a margrabstwo nie przyniosło wam przybytku w pomyślności. Margrabstwo w twoich rękach poczyna zakwitać na nowo i dokopuj, co uronione zostało; a dał ci Pan Bóg do tego za największe błogosławieństwo dwóch synów pięknych kawalerów, ostatnich spadkobierców pamięci, zasług i sławy dwóch znakomitych imion, które zeszły się godnie w twojéj osobie; mnie zaś pozwól złożyć ci wyznanie powinnego uszanowania i prawdziwego poważania.

W Krakowie, d. 18 maja 1859 r.

NB. Korektorów omyłki są bolesne i odpowiadamy za nie niesłusznie. W przywiedzioném *dictum* szlacheckiém w katalogu moim zamiast *malè* wydrukowano *malo*, a w pańskiéj cytacyi wydrukowano *tercius* zamiast *tertius*, bez winy nas obydwóch za to.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA

DZIEŁ I PISM WYCHODZĄCYCH W KRÓLESTWIE POLSKIÉM.

Miesiąc Lipiec 1859 roku.

DZIEŁA.

Królowie polscy. Wizerunki zebrane i rysowane przez *Alexandra Lessera*, objaśnione tekstem historycznym przez *Juliana Bartoszewicza*. Warszawa, 1859, nakł. litografii A. Pecq et Comp. Druk J. Ungra, fol. str. 7, okł. druk.

J. E-g. Erstes Lese-und Sprachbuch für den Schreibleseunterricht. Dritte stark vermehrte Auflage. Warschau, 1859, Buchdruk. Orgelbrand. W 8ce, str. 96, okł. druk.

Hofmanowa z Tańskich Klementyna. Rozrywki dla dzieci przez autorkę Pamiątki po dobréj matce. Tom V. Powieści historyczne porządkiem chronologicznym ułożone. Warszawa, 1859, nakł. S. H. Merzbacha, druk J. Jaworskiego. W 8ce, str. 500, okł. druk. Rs. 1 k. 50.

Karasowski Maurycy. Rys historyczny opery polskiéj poprzedzony szczegółowym poglądem na dzieje muzyki dramatycznéj powszechnéj. Warszawa, 1859. nakł. M. Glücksberga, druk S. Orgelbranda. W 8ce większ., str. 360, okł. druk. Z pięcią portretami i spisem wszystkich oper granych w języku polskim na teatrach warszawskich. Rs. 3.

Kotarski Jan. Praktyczna uprawa buraków cukrowych, napisał z własnych doświadczeń. Warszawa, 1859, nakł. A. Nowoleckiego, druk K. Kowalewskiego. W 8ce mniejsz., str. 58 i spis rzeczy, okł. druk. k. 35.

Biografia i urodzenie w pustyni Mexykańskiéj Miss Julii Pastrany, która w roku 1858 wystąpiła w Warszawie w cyrku Szlezaka, z ryciną. Myśl z niemieckiego. Warszawa, 1859, druk A. Gins, w 8ce mniejsz., str. 24, okł. druk. k. 7½.

Amszejewicz Michał. Dykcyonarz zawierający: wyrazy i wyrażenia z obcych języków polskiemu przyswojone, a mianowicie: w umiejętnościach, sztukach, tudzież w stylu prawniczym, administracyjnym, gazeciarskim,

naukowo-filozoficznym, literackim i w potocznéj mowie używane, do użytku powszechnego ułożony. Warszawa, 1859, druk A. Gins. W 8ce, zeszyt IX, str. od 385—432, okł. druk.

Salvatori Filip-Marya. Zbiór życia św. Weroniki Giuliani panny zakonu św. Klary Kapucynek, kanonizowanéj przez Ojca świętego Grzegorza XVI w dzień Św. Trójcy, dnia 26 maja 1839 roku, zebrany i tłumaczony z obszernego dzieła włoskiego wydanego w Rzymie w roku 1839 z dodaniem litanii, modlitw i pieśni o tejże św. Warszawa, 1859, druk XX Missyonarzy. W 12ce, str. 101, okł. druk. kop. 25.

*Ks. M** Mis. św. Łazarza.* Wiadomość o początku i skutkach nowego medalu wybitego na cześć Niepokalanego Poczęcia Najśw. Maryi P. powszechnie zwanego pod imieniem Medal cudowny, z dołączoną przy końcu nowenną. Warszawa, 1859, druk XX. Missyonarzy. W 12ce, str. XI i 174, okł. druk. kop. 30.

Manuale devotionis ad usum ecclesiasticorum editum. Varsaviae, 1859, typis et sumptibus Congregationis Missionis. W 12ce, str. 503, okład. druk. rs. 1.

Rosenblum B. Niezbędnie potrzebne wiadomości i rady dla rodziców, opiekunów i nauczycieli celem ustrzeżenia młodzieży od okropnych skutków samogwałtu. Trzecie powiększone wydanie. Warszawa, 1859, nakł. autora, druk K. Kowalewskiego. W 12ce, str. 128, k. 50.

Album Lubelskie rysowane z natury p. *A(dama) Lerue.* Oddział II, zeszyt III. Kaplica grobowa Piotrowina, pomnik Jana Tęczyńskiego i królowéj szwedzkiéj w Kraśniku, Kościół w Radecznicy, Szczebrzeszyn, rysowane na kamieniu p. *J. Ceglińskiego*, odbijane w litogr. A. Pecq et Comp. Warszawa, 1859, nakł. autora, druk J. Jaworskiego, fol. okł. druk.

Bocqueil Eugenia de Rochetin. Rozmowy francuzkie, przełożone na język polski przez *J. K. Skibińskiego.* Ósme wydanie przejrzane i poprawione. Warszawa, 1859, nakł. J. Błaszkowskiego, druk K. Kowalewskiego. W 8ce, str. 483 okł. druk. rs. 1. *(Conversations françaises composées par M. Eugenie de Rochetin Bocquel, traduites par J. C. Skibiński).*

Неилисовъ К. Нѣсколко словъ одъ Энейдъ. Варшава, 1859, типогр. І. Унгера. W 8ce, str. 22.

Zdanie sprawy z działań Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności za r. 1858. Warszawa, 1859, druk J. Ungra. W 4ce, str. IX i 104, okł. druk.

Bętkowski Nikodem Dr. Niektóre uwagi nad terapią gruzlicy mianowicie przeciągléj. Warszawa, 1859, druk S. Orgelbranda. W 8ce, str. 56. (Odbitka z Pamiętnika Tow. lekars. warszawskiego).

Świątkiewicz Wojciech ks. proboszcz z Buska. Nauki parafialne na niedziele i znakomitsze uroczystości w roku, zebrane z dzieł *ks. Bonnardel* kanonika honorowego Autuńskiego, plebana w Semur. Tom 1. Warszawa. 1859, druk XX. Missyonarzy. W 8ce, str. 454, okł. druk. rs. 1.

de Broel-Plater hr. Włodzimierz Stanisław. Zbiór Pamiętników do dziejów Polskich. Tom 4. Warszawa. 1859, druk Gazety Codziennéj. W 8ce, str. II, 240 i spisu przedmiotów nieliczb. 2, okład. druk.

Melun vice hrabia. Życie Rozalii Siostry Miłosierdzia, z francuzkiego oryginału przetłumaczył *E. G. (Edward Glass).* Warszawa, 1859, druk J. Jaworskiego. W 8ce, str. VI, 302, tudzież dedykacyi i spisu przedmiotów nieliczb. str. 2, z portretem, okł. druk. rs. 1.

Połujański Alexander. Wędrówki po gubernii augustowskiéj w celu naukowym odbyte. Warszawa, 1859, druk Gazety Codziennéj. W 8ce, str. 450, IV i listy prenumeratorów nieliczb. 6, okł. druk.

Tegner Izajasz. Frytjof Saga skandynawska, przełożył wierszem *Józef Grajnert.* Z rycinami. Warszawa, 1859, nakł. tłumacza, w druk. J. Jaworskiego. W 8ce, str. VII, 194 i spisu rzeczy nieliczb. 2, okład. druk. rs. 2.

DZIEŁA ZBIOROWE.

Księga Świata etc. 1859, poczet drugi, rok piérwszy, zeszyt VI, str. od 203—242, okł. druk., zawiera:

Hannower. O poezyi w stosunku do historyi politycznéj. Bitwa pod Lepanto. Poeta hiszpański Herrera. Chrząszcz afrykański. Wysokie lubelskie, p. *Antoniego Wieniarskiego.* Generał Dufour. Pomniki i zabytki napoleońskie. Benares. Podróż lądem z Nowego Orleanu do Kalifornii. Jaja ptasie. Koncert w Sydnej. (Ustęp z pamiętnika skrzypka węgierskiego *Miszki Hauzera*). (Do tego zeszytu dołączono pół-arkusz w 4ce, str. 4, zawierający: Mody, objaśnienie ryciny mód, objaśnienie deseni i sekreta gospodarskie).

PISMA PERYODYCZNE I GAZETY.

Pamiętnik religijno-moralny. Rok dziewiętnasty, serya druga, tom IV. Nr. 7, lipiec, str. 120, zawiera:

Wykład Pisma Świętego: Piérwsze siedem tygodni po wyjściu Hebrów z Egiptu, p. ks. *W. Serwatowskiego.* Zapiski ś. p. Jana Chodźki: O niektórych kościołach na Litwie. Droga krzyżowa. Missye w Syryi. Korrespondencye. Kronika kościelna i Rozmaitości. Wiadomości naukowe i Bibliografia duchowna.

Roczniki gospodarstwa krajowego wydawane przez Towarzystwo Rolnicze w Królestwie Polskiem. Roczników rok 18, Towarzystwa rok 2. Ogólnego zbioru tom XXXVI. Okresu drugiego tom XII. Lipiec, 1859, str. IV, nieliczb. 2 i liczb. 215, tudzież tablic 2, zawiera:

Czynności komitetu w miesiącu czerwcu r. b. Czynności sekcyi chowu inwentarza. Przegląd dzienników rolniczych zagranicznych, p. *M. Oborskiego.* Ogłoszenia komitetu Towarzystwa Rolniczego w Kr. Pol. Rozmaitości: Drenowanie pól ornych w dobrach Staszowskich folwarku Rytwiańskim, wykonane w roku 1857 i 1858, z planem sy-

tuacyjnym, p. *L. Bieleckiego*. Kilka uwag nad sprawozdaniem o pasiece zaprowadzającéj się na folwarku Parzniew w dobrach Helenow, p. *Alexandra Pawłowskiego*. O marglowaniu. Przegląd wiadomości przez korrespondentów Towarzystwa Rolniczego w Król. Pols. za m. czerwiec r. b. nadesłanych. Doniesienia o otwartych praktykach gospodarczych i rzemieślniczych. Ogłoszenia. Dostrzeżenia meteorologiczne za m. maj 1859.

Pamiętnik Towarzystwa lekarskiego warszawskiego. Serya II, tom XVII, poszyt II, str. od 169—234 i nieliczb. spisu rzeczy 2, zawiera:

O zdroju siarkowym w Swoszowicach, p. *Teodora Torosiewicza*. Niektóre uwagi nad terapią gruźlicy mianowicie przeciągłéj, p. Dra *Nik. Bętkowskiego*. Lekarstwa przeciw soliterowi czyli tasiemcowi, p. *Józefa Orkisza*. Bibliografia. Sprawozdanie komitetu do badania chorób panujących. Cesarskie Towarzystwo lekarskie wileńskie. Towarzystwo fizyczno-lekarskie w Moskwie. Kassa wsparcia w Warszawie. Wiadomości urzędowe.

Tygodnik lekarski. Nr. 22—27 zawierają:

Rompalski: O przeciągłém zatkaniu stolca. *Maciejowski*: Leczenie okrągłego wrzodu żołądka. *Maciejowski:* Leczenie ospy. *Soczołowski:* Nowy sposób oznaczania ilości kwasu pruskiego. *Krz.:* Pogadanka lekarska z Lublina. *Morgenstern:* Dr Anastazy Hirszel, wspomnienie pośmiertne. Konkurs na zadanie o koltunie. *J. Buchner:* O używaniu mleka w puchlinie wodnéj. *Maciejowski*: Rozmaitości farmakologiczne. *Sciborowski:* Przegląd czynności szpitala Św. Alexandra w Wilanowie w r. 1858. *Eborowicz*: Wpływ składu krwi na układ nerwowy. *Sciborowski* i *Eborowicz:* Wyciągi z pism zagranicznych. Posiedzenia 7, 8, 9 i 10 Towarzystwa lekarskiego warszawskiego z dnia 19 kwietnia, 3 i 17 maja i 7 czerwca r. b. Spostrzeżenia meteorologiczno-lekarskie. Nowe dzieła.

Ruch Muzyczny. Lipiec. Nr. 27—30 zawierają:

Milda, kantata mitologiczna (rozbiór). Krótki rys historyi powszechnéj muzyki (ciąg dal.). Listy z Kijowa, p. *Józefa Doroszenkę*. Wspomnienie księdza Biescha i muzyki w Końskowoli, p. *Szymona Urbanowicza*. Historya i charakterystyka instrumentów muzycznych jako materyał do historyi muzyki, p. *Wacława Dunder*. Orkiestra z samych rogów złożona. Jan Bülow. Wacław hrabia Rzewuski jako kompozytor. Kilka myśli o fortepianie porównanym z innemi instrumentami. (Wyjątek z listu ś. p. *A. Z. Wicherskiego)*. Organy w Kamieńcu Podolskim. Paczka kompozycyi zagranicznych. Przegląd kompozycyi. Nowości krajowe i zagraniczne. Nowości muzyczne.

Magazyn Mód. Nr. 24—28 zawierają:

Faustyna, opowiadanie z dzieł p. Reybaud (ciąg dal.). Tomisowa czyli sto tysięcy złotych. Róża albo zręczne oszukaństwo, opowiadanie, przekład z francuzkiego (dokoń.). Co jest życie. Korrespondencye. Poezye. Mody.

Czytelnia Niedzielna. Miesiąc lipiec, 1859. Nr. 27—31, zawierają:

Najtrwalsze bogactwo. Górnictwo. Świątobliwe niewiasty: Katarzyna Białusz, Maryanna Teresa Działyńska. Cmentarz. Żebrak i wieśniacy. Godziny po robocie. Niegościnność. Obrazek z przedmieścia poznańskiego. O węgorzu. Wiadomość o wychodzącym zbiorze muzyki kościelnéj. O dawnéj pobożności w Polsce. Bóg zapłać, powieść z prawdziwego zdarzenia. Wychowaniec. Poezye.

Gazeta Warszawska. Miesiąc lipiec, 1859. Nr. 169—199 zawierają:

Listy z podróży przez *Tadeusza Padalicę (Zenona Fisza)*. Literatura dramatyczna hiszpańska (c. d.). Kilka słów o konkursie Żółkowskiego. Capreä i Roma, obrazy z I wieku, p. *J(ózefa) I(gnacego) Kraszewskiego*. Korrespondencye krajowe i zagraniczne o bieżących rzeczach. Wiadomości literackie pod znaczkami: — (w. z.).

Kronika wiadomości krajowych i zagranicznych. Miesiąc lipiec, 1859. Nr. 1—20 (nr. 1 dwa razy) zawierają:

Postaci bohaterskie i ideały historyczne, p. *F(ranciszka) S(alezego) D(mochowskiego)*. Społeczność nasza. Przegląd literacki. Powrót urlopnika. Ciechocinek. Młode małżeństwo, obrazek towarzyski, p. *Kazimierza Szeniawa*. Społeczność i literatura zagraniczna. Podróż niewiasty na około świata, przez *p. Idę Pfeiffer*. Prace geograficzne uczonych niemieckich. Korrespondencye krajowe. Rozmaitości.

Gazeta Codzienna. Miesiąc lipiec, 1859. Nr. 169—199 zawierają:

Pamiętniki Prometeusza (p. *Miniszewskiego*). Listy z Paryża. Pogadanka o muzyce. Balladyna i Lilla Weneda, dwie tragedye Juljusza Słowackiego (rozbiór *F. H. Lewestama*). O rzeczach naszych i nie naszych. Korrespondencye Cześnikiewicza: Ambicya i znaczenie, Słowo i czyn (p. *Miniszewskiego*). Wiadomości z literatury zagranicznéj. Gawęda artystyczna z Paryża. Listy z podróży *H. Żałoby*. Konkurs Żółkowskiego (p. *Wacława Szymanowskiego*). Badania ekonomiczne, p. *Bogumiła Prawdzickiego*. Drzewo przeklęte, fantasmagorya, p. *Adama Pługa (Pietkiewicza)*. Nauki i sztuki. Korrespondencye: z Warszawy, krajowe i zagraniczne. Rozmaitości. Wiadomości literackie i bieżące pod znaczkami: W, △, ×, ♎, ♂.

Kuryer Warszawski. Miesiąc lipiec, 1859 Nr. 169—199.

Gazeta Rządowa. Miesiąc lipiec, 1859. Nr. 142—166, zawierają:

Ustawa o służbie cywilnéj w Królestwie Polskiém.

Warszawska Gazeta Policyjna. Miesiąc lipiec, 1859. Nr. 182—212 zawierają:

Wenecya.

Warschauer Zeitung. M. Juli, 1859. Nr. 49—74 zawierają:

Bogumil Dawison. Wer war der Vater Louis Philipp's? Original-Korrespondenz aus der Provinz, v. C. P. *Deutsche Wunderkinder. Der Pathe. Der Löwe des Atlas und sein Verfolger Jules Gérard in Algerien. Aus dem Olkuscher Kreise im Juli, v.* C. P.

Korrespondent rolniczy, handlowy i przemysłowy. Lipiec. Nr. 50—53 zawierają:

Przegląd rozpraw o. k. galicyjskiego Towarzystwa gospodarskiego, p. *Zygmunta Gawareckiego*. Zbiór tablic i wzorów obrachunki techniczne ułatwiających do wykładu poprawnéj rachunkowości leśnéj, ułożony przez Ludwika Konkowskiego, rozbiór p. *Aulcitnera*. O ochronkach. Siekacz do warzywa. Wełna. Jeszcze o owadach szkodliwych plantacyom buraków mianowicie na Ukrainie. Korrespondencye. Korrespondencya gospodarsko-handlowa. Wiadomości handlowe. Średnie ceny żywności na targach Warszawy i Pragi.

Gazeta rolnicza, przemysłowa i handlowa. Lipiec. Nr. 26—30 zawierają: Dwie żniwiarki polskie (dokoń.). Wystawa zwierząt gospodarczych na Zielonym placu w Warszawie 1859 roku. Rady dla pszczolarzy p. *Adama Mieczyńskiego* (ciąg dal.). O uprawie ziemi i poprawie rzeczy ziemskich, p. *Wojciecha Jastrzębowskiego*. Rada na wypadek braku paszy. Jak się probować powinna zdolność do obsiewu łąk prochów czyli kwiatów siennych, oraz nasion w plewach, p. *Leona Kąkolewskiego*. Są rzeczy o których nie śniło się śmiertelnym, p. *Albina Kohna*. Wiosna tegoroczna pod względem meteorologiczno-gospodarskim z postrzeżeń Obserwatoryum Astronomicznego w Warszawie. Kronika rolnicza z m. czerwca r. b. Gospodarstwo leśne, p. *K. W.* (dokoń.). Zagajenie tegorocznego aktu uroczystego w Instytucie gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa w Marymoncie, p. dyrektora Instytutu *Seweryna Zdzitowieckiego*. Sztuczne rozmnażanie ryb. Pochodzenie guana i oznaczenie jego wartości. Używanie ziemi zamiast podściołu pod bydło rogate (ciąg dal.). Kilka słów o zarazie płuc bydła rogatego i kolowaciźnie owiec. Trojest syryjska. Kompania cukrownicza w Silniczniczce. Ostatnie wiadomości gospodarskie. Drobnostki gospodarskie, p. *Zygmunta Gawareckiego*. Korrespondencya gospodarska. Kronika rolnicza z miesiąca czerwca r. b. Dostrzeżenia meteorologiczno-gospodarskie za m. czerwiec r. b. Wiadomości handlowo-gospodarcze. Ceny na produkta gospodarskie w główniejszych miastach Królestwa Polskiego.

MUZYKALIA.

Strauss Johann. Bonbon-Polka (cukierek) *für das pianoforte, 213 werk. Warschau, litogr. J. Müller*, str. 5, k. $22^1/_2$.

Prochazka W. Dwie Wołynianki polki, skomponowane na fortepian, nakł. litografii J. Müller. Warszawa, str. 3, k. 15.

Zientarski Romuald. Muzyka kościelna, chóralna i figuralna, używana przy obrządkach kościoła rzymsko-katolickiego. Zeszyt 5. Warszawa, litogr. K. Tytz, W 4co, str. od 49—60.

Dietz Louis. Carnaval Quadrille des Lanciers composée pour le piano. Varsovie, litogr. J. Müller, str. 7, k. 30.

Nowakowski Józef. Łza, pieśń Hölzla przełożona na fortepian. Warszawa, lipiec, 1859, nakł. Redakcyi Ruchu Muzycznego, litogr. J. V. Fleck, str. 3. (Dołączony do nr. 30 Ruchu muzycznego).

RYCINY, LITOGRAFIE i t. d.

Piwarski Jan-Feliks. Kram malowniczy warszawski czyli Obrazy miejscowe z ubiegłych czasów, obejmujące typy ludowe warszawskie i postronne niemniéj charakterystyka miejscowa w ogólności, mianowicie staro-zakonni w dawnych ubiorach różnego czynu i zajęcia, zabawy ludowe, miejskie i zamiejskie, wypadki i wydarzenia nadzwyczajne, obchody uroczyste, pielgrzymki, odpusty, obrazy wiejskie, zagrody malownicze, widoki miejsc ciekawych dawnych, portrety mało znane, rzadkie lub ludzi zasługi, rozmaitości. Oddział pierwszy. Część IV, fol. wielkie. Warszawa, 1859, w cynkografii Banku Polskiego i litografii M. Fajansa, ryciu G. Tytuł i okł. litogr., na końcu dołączony arkusz opisania i pół-arkusza listy prenumeratorów, druk K. Kowalewskiego.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Sierpień 1859. Znalazł się rękopism pierwszéj części „Dziadów“ Adama Mickiewicza, pisany jeszcze w Kownie, gdy był nauczycielem literatury polskiéj. Nieznane są dotąd powody, dla których tej części w pierwszem wydaniu swoich poezyj w Wilnie nie ogłosił. W zupełnym zbiorze pism zmarłego wieszcza, ogłoszonym teraz w Paryżu poemat „Dziady“ w całości wydanym zostanie.

— Z prawdziwą radością donieść możemy, że Instytut muzyczny warszawski, pod dyrekcyą Apolinarego Kątskiego, w roku przyszłym w Domu Zdrowia otwartym zostanie. Fundusz główny stanowić będzie 120 stypendyów, uzbieranych ze składek dobrowolnych, każde po rs. 300 na lat sześć. Młodzież wsparta takowém stypendyum przez lat sześć pobierać tu będzie naukę. Główny cel tego zakładu muzycznego, jest podniesienie w całym kraju muzyki kościelnéj. Rada nadzorcza, złożona z tych, którzy złożyli stypendya, czuwać będzie nad częścią administracyjną, jak zarazem będzie świadkiem nauki i postępu uczniów. Rząd przychodzi w pomoc zasiłkiem 2,000 rs. rocznie i opłaca najem domu, który oddaje pod rozporządzenie tego Instytutu. Egzamina będą publiczne. Ufni w gorliwość i poświęcenie p. Apolinarego Kątskiego, możemy rokować świetny rozwój téj instytucyi i prawdziwą korzyść dla kraju.

— Znakomity nasz kompozytor Ignacy Dobrzyński, którego imię nietylko w kraju, ale i za granicą może lepiéj znajome, wykończa muzykę do poematu Mickiewicza „Walenroda“. Wstęp, jeden z najpiękniejszych utworów, już dał poznać publiczności na danym koncercie; teraz posuwa daléj swą pracę, którą w r. b. zamyśla wykończyć. Troskliwy,

czy plan przez niego ułożony, odpowie wysokości poematu, wezwał literatów, których sądowi jak i szczeréj dla siebie przyjaźni ufał, ażeby takowy przejrzeli i sumienną podali mu radę. W tém gronie plan kompozytora, co do doboru *recitativ* i deklamacyi, małym tylko uległ zmianom: zagrzany gorącém słowem ich zachęty, z młodzieńczym zapałem, zabrał się do wykończenia dzieła, które imię jego piękną pamięcią okryć potrafi.

— Tygodnik illustrowany zacznie wychodzić z d. 1 października r. b. w kroju illustracyi francuzkiéj, na pięknym papierze satynowanym, w objętości 8 kolumn czyli stronnic, po trzy szpalty, z licznemi drzeworytami. Obejmować będzie działy: 1) Historyą ubiegłego tygodnia i charakterystykę życia warszawskiego. 2) Życiorysy znamienitości krajowych i zagranicznych. 3) Powieści i poezye mniejszych rozmiarów. 4) Wyjątki z podróży po kraju i obczyźnie. 5) Opisy ważniejszych wypadków współczesnych i ciekawych miejscowości w kraju i za granicą, objaśnione rysunkami. 6) Archeologią, opisy i widoki kościołów, zamków, pomników historycznych i innych zabytków przeszłości. 7) Kronikę sztuk pięknych. 8) Przeglądy teatralne. 9) Sprawozdanie z postępu nauk przyrodzonych, przemysłu i wynalazków, ze względem szczególnym na rolnictwo. 10) Przeglądy literatury bieżącéj. 11) Kronikę zagraniczną. 12) Szkice obyczajowe i humorystyczne. 13) Rozmaitości, typy ludowe, ubiory, kostiumy i t. p. 14) Rebusy i zadania szachowe. Wydawca, oprócz krajowych artystów, sprowadził do ich pomocy kilku zdolnych ksylografów. Drzeworyty już odbite śmiało się mogą równać z zagranicznemi. Swoim kosztem wysłał nadto presera Polaka, ażeby przypatrzył się odbijaniu drzeworytów zagranicznych. Słowem, niczego nie szczędził, ażeby publikacya ta godnie odpowiedziała swemu zadaniu. Redakcyą objął pan Ludwik Jenike, dotychczasowy redaktor „Księgi Świata“. Kierunek części artystycznéj przyjął na siebie zasłużony i utalentowany nasz professor J. F. Piwarski. Wydawca pod względem literackim zapewnił sobie pomoc najznakomitszych miejscowych i zamiejscowych pisarzy. O świetném powodzeniu tego pisma nie powątpiewamy.

— Karol Beyer, znany archeolog, ukończył fotografowane Album Wystawy starożytności krakowskiéj, urządzonéj przez Towarzystwo naukowe krakowskie w r. 1858 i 1859. Pyszne to album składa się z 75 tablic: każda przedstawia osobny dział systematycznie ułożony, z krótkiém u dołu objaśnieniem w języku polskim (we francuzkim w egzemplarzach dla cudzoziemców) zaczynając od zabytków przedchrześciańskich, z kamienia, gliny, bronzu, srebra, drogich kruszców i żelaza. Następnie idą zbroje, bronie wszelakie, przybory, ozdoby honorowe, rzędy na konie, ubiory, sprzęty kościelne i domowe, godła obrzędowe i inne, naczynia stołowe, nakoniec dawne zabytki z rękopismów, druków i rytownictwa. Wszystko to jest nader gustownie ułożone, w ozdobnych obwódkach i na pięknym papierze. Album to kosztuje złp. 600. Cena umiarkowana, zważając na koszt wydania i małą ilość egzemplarzy, które wydawca rozprzeda.

— Dwa dzieła J. U. Niemcewicza otrzymaliśmy wydane nakładem i drukiem B. M. Wolffa w Petersburgu. Śpiewy historyczne w podręcznéj edycyi w 12ce i Podróże historyczne po ziemiach polskich od

r. 1811 do 1828 w drugiém wydaniu, w pysznéj edycyi ozdobionéj 38 rycinami na stali. O wartości samego dzieła już pismo nasze w dziale Kroniki Literackiéj mówiło, przy wyjściu piérwszego wydania; teraz dodamy tylko, że edycya obecna tak co do druku, papieru, jak i rycin, należy do najozdobniejszych w wydawnictwie książek polskich. Widoki miast i grodów (wyjąwszy Warszawy) nie przedstawiają dzisiejszego ich stanu, ale dawniejszy przed 1655. Wiele widoków wziętych jest z Pufendorfa; znaleźliśmy tu i ów staloryt Stachowicza, przedstawiający wnętrze Wieliczki, a dołączony do piérwszego wydania opisu Krakowa Ambrożego Grabowskiego. Nakładca nie szczędził starań i kosztów, aby wydanie swoje postawił obok najozdobniejszych illustrowanych dzieł francuzkich i angielskich, i musimy wyznać, że dopiął zamierzonego celu, a dla miłośników literatury ojczystéj piękną księgę złożył.

— Zmarły w 1852 r. Adryan Krzyżanowski, wiele lat pracy poświęcił dla napisania historyi zakonu kawalerów maltańskich w Polsce. Wiadomo, że u nas za Piastów było pięć komandoryj, które należały do przeoratu czeskiego: z tych najdawniejsza poznańska, założona w roku 1170, przetrwała do r. 1775. W Litwie istniała komandorya stołowicka, przez Radziwiłłów, 1610 założona, która się aż do ostatnich czasów rzeczypospolitéj utrzymywała. Krzyżanowski ustęp ze swej pracy drukował w Album warszawskiém w r. 1845 przez K. Wł. Wójcickiego wydaném. Czy ukończył te dzieje maltańczyków polskich, nie wiemy; nawet powątpiewamy, bo jakby zniechęcony do nich, rękopismów nadzwyczaj ważnych w tym przedmiocie nie przejrzał, odkładając z dnia na dzień, aż i śmierć zaskoczyła pracowitego badacza. W r. b. jednocześnie w Londynie i Lyonie, wyszły dzieła obejmujące dzieje tego zakonu: 1) *History of the Knights of Malta or the Order of the Hospital of St. John of Jerusalem: by Mayor Whitworth.* Londyn 2 tomy, w 8ce. 2) *Histoire des chevaliers hospitaliers de Saint Jean de Jerusalem, appelés depuis chevaliers de Rhodes et aujourd'hui chevaliers de Malte, par M. l'abbé de Vertot, revue et continuée jusqu'a nos jours, par de Bussy.* Lyon. 1859. 3 tomy, w 12ce. W obu tych dziełach nie mało zasobu znajdzie badacz dziejów kawalerów maltańskich w Polsce, lubo materyały, jakie mamy w rękopismach, z pewnością prawie powiedzieć możemy, że są nieznane obu autorom dzieł wzmiankowanych.

— Michał Glisczyński, znany w piśmiennictwie naszém z wielu prac pięknych, ogłosił prenumeratę na dziesięć tomików dzieła p. n.: „Rozmaitości naukowe i literackie". Tomik piérwszy wydany obejmuje: 1) Co jest historya? 2) Historya Żuawów. 3) Handel herbaty w Rossyi i Polsce. Prenumerata na całe dzieło wynosi rs. 4.

— Mieliśmy dawniéj bardzo zręcznych faksimilistów, którzy zarówno druki gockie jak rękopisma, do złudzenia najwprawniejszego oka umieli naśladować. W zbiorze zamożnym Chyliczkowskiego widzieliśmy nietylko tytuły dzieł, ale całe nawet broszury tak wybornie naśladowane, że je trudno było od oryginałów rozpoznać. W r. b. w Paryżu, w takiéj wybornéj podobiźnie, wyszła broszura nader rzadka Łukasza Górnickiego p. n.: „Roczył". Teraz w jednem z pism naszych czytamy list Augusta Bielowskiego (który przygotowywą do wydania Historyą wojny

moskiewskiéj, napisaną przez Stanisława Żołkiewskiego) do księcia Romana Sanguszki; w nim dziękuje mu za dozwolenie przepisania z bogatego archiwum zasławskiego trzydzieści kilka listów tego bohatera i dokumentów, czego dopełnił Józef Piotrowski bibliotekarz księcia Sanguszki. Gorliwy ten pracownik, zamiast wiernych tylko kopij, przesłał wszystkie tak zręcznie facsimilowane: „że gdyby (jak wyraża Bielowski) nie nowy materyał pisarski, nie wątpiłbym, że mam oryginały przed sobą. Każda kropka, każda makuła lub uszkodzenie oryginału przez czas, naśladowane tu jest piórem od ręki, z podziwienia godną biegłością."

— Zygmunt Komarnicki, którego prac historycznych wiele drukowaliśmy w naszém piśmie, po ukończeniu „Dziejów katedry Kujaw, ukończył przekład kroniki Dytmara, wedle tekstu poprawionego przez Wagnera, i oczekuje tylko na tłumaczenie kronikarza tego przez Ursinusa, ażeby raz jeszcze o dokładności swego przekładu przekonał się we wszystkich szczegółach. P. Komarnicki nie poprzestał tylko na roli tłumacza, ale w dodanym do każdéj księgi komentarzu, krótkim zarysie życia autora i dołączonych w końcu uwagach: „o sposobie traktowania rzeczy polskich przez Dytmara," starał się uczynić to wszystko, co wyrozumiał za istotny obowiązek tłumacza w naszym czasie.

— Edward Kotłubaj rozpoczęte dzieło p. n.: „Galerya nieświeżska portretów Radziwiłłowskich, opisana historycznie z drzeworytami Michała Starkmana" w r. 1857, w r. b. ukończył wydaniem zeszytu siódmego i ostatniego. Zamyka dzieło swoje równie ważne jak zajmujące obszernym życiorysem księcia Karola Radziwiłła Panie Kochanku. Bogaty tu, każdy czytelnik, znajdzie zapas wiadomości historycznych mało lub wcale nieznanych, czerpanych z zasobnego archiwum po Radziwiłłach w Nieświeżu. Wydanie ozdobne, illustrowane drzeworytami starannie wykonanemi przez rodaka naszego artystę M. Starkmana, przedstawiającemi popiersia Radziwiłłów, które przerysował Kotłubaj z galeryi nieświeżskiéj. W niéj obrazy członków téj znakomitéj w dawnéj rzeczypospolitéj rodziny, złożone w sali nieopalanéj, wilgocią i brakiem staranności co dzień więcéj niszczeją—niedługo i śladu nawet z niéj nie zostanie.

— J. F. Piwarski, wydawca „Kramu malowniczego", ogłosił, że publikacyą tę, ukończywszy pierwszy oddział, zawiesza aż do zupełnego wydania „Galeryi królów polskich", zbioru Stanisława Augusta.

— Gazeta Warszawska w ostatnich dniach lipca rozpoczęła druk obrazów z I wieku „Capreä i Roma" w 4 tomach J. I. Kraszewskiego. Praca ta naszego ulubionego pisarza, zaraz po ukończeniu jéj w odcinku gazety, oddzielnie będzie drukowaną.

— Z powodu artykułów w Gazecie Codziennéj drukowanych, o których w przeszłym wspomnieliśmy zeszycie, korrespondent paryzki „Czasu" pisze: „Cieszymy się, że i dzienniki warszawskie przemawiają za pracą, rządnością i swojskością". Taż gazeta, któréj redakcyą główną już objął od 1 sierpnia r. b. I. J. Kraszewski, zamieściła w swym odcinku studyum obyczajowe tegoż pisarza p. n.: „Dziś i lat temu trzysta". Jestto wzięte pod uwagę najważniejsze dzieło Mikołaja Reja z Nagłowic „Zwyercyadło" i w treści obrazy społeczności polskiéj z połowy XVI wieku, odmalowane przez Reja, „pokumał (jak wyraża sam Kraszewski) z teraźniejszością i postawił, co było na naszéj ziemi, z tém co jest, po trosze

przymierzając gdzie się dało". Na czele czytamy krótki życiorys Reja, w którym nowe znajdujemy szczegóły. Myśl to bardzo szczęśliwa i dałoby się zastosować do wielu naszych pisarzy przeszłości. Cóż to za śliczny obrazek dałby się ułożyć z samych pism Jana Kochanowskiego, Wespazyana Kochowskiego, Miaskowskiego, Klonowicza, Grochowskiego i w. i. Sumiennie wystudyowane prace piśmienne tych pisarzy, odtworzyłyby nam ich współczesne doby, odżywiłyby atmosferę tamtych czasów. Wracając do studyum Kraszewskiego, które się z tak wielkiém zajęciem czyta, żałujemy, że nasz autor nie zajrzał jeszcze do Reja Figlików i Zwierzyńca stanów szlacheckich; w nich znalazłby mnóstwo szczegółów, któreby więcéj jeszcze ożywiły cały obraz. W nich bowiem charakteryzuje i dwór królewski i Bonę, i głośniejsze postacie, jak wiele rodów szlacheckich, w których cnoty, namiętności i przywary przechodziły z ojca na synów. Przypominamy sobie „Studya literackie", które I. J. Kraszewski z takim talentem opracował. Szczerze żałujemy, że daléj tej wysokiej wartości pracy nie poprowadził: studya te przecież zastąpić mogły katedrę literatury polskiej. Spodziewamy się, że nasz autor o dalszym ciągu tych studyów nie zapomni.

— Rok już mija, jak bezimienny autor wydał pracowite dzieło: „O zabytkach mowy ludu polskiego w języku angielskim" (Warszawa. 1858. W drukarni J. Jaworskiego. W 8ce, str 464). Żadne z pism naszych nie podjęło rozbioru tej pracy, która zasługuje na bliższy przegląd i ocenienie.

— Zapowiedziane dawniéj dzieło p. n. „Fryljof, saga skandynawska Izajasza Tegnera", przekładu Józefa Grajnerta, wyszło w pięknem i ozdobném wydaniu z drzeworytami Drążkiewicza, podług rysunków Piłatego. Poprzedza przedmowa tłumacza, w któréj objaśnia znaczenie sagi, run, Witingów i Skaldów, i dołącza Życiorys Izajasza Tegnera. O przekładzie tym powiemy obszerniéj w dziale Kroniki Literackiéj pisma naszego, tu tylko powtórzymy słowa Kraszewskiego: „Tłumacz z prawdziwego zamiłowania, jak widać, wziął się do tego przekładu, i ma tę zasługę, że miasto jak wielu młodych poczynać od prób lekkich i łatwych odrazu przysługuje się pracą poważną i sumienną. Jesteśmy pewni, że tego pod żadnym względem żałować nie będzie, a cieszym się z dobrego tłumaczenia, których tak nie wiele mamy. Poezya wreszcie skandynawska, dla prastarych stosunków Słowian z Północą, zapomnianych i zatartych, wielkie powinnaby obudzać zajęcie. Nikt dotąd, zdaje mi się, nie zwrócił na to uwagi, jak wiele w mitologii skandynawskiéj jest śladów związku jéj ze słowiańską. Wszakże naprzykład Kupała nasza (sobótka) dziwnie jedną jest z pamiętnikowym obchodem śmierci Baldera? Wiele innych mythów dadzą się z naszemi porównać. Duch nawet poezyi skandynawskiéj często nam nasze baśnie i podania przypomina. Wiersz p. Grajnerta często szczęśliwy, zawsze jest wiernem oryginału odtworzeniem, co z samego charakteru jego widoczna". My dodamy jeszcze nie małą wartość pod względem języka, czém się tłumacz, tak w przekładach, jak i w oryginalnych pracach wyszczególnia. Język jego zawsze czysty, wiele ma siły i jędrności staropolskiéj. Pismo nasze część téjże samej sagi w przekładzie Romana Zmorskiego dawniéj ogłosiło.

Ustępy z niéj tłumaczyli także Franciszek Morawski (Przegląd poznański) i Wincenty Dawid (Niezabudka, wydanie Jana Barszczewskiego).

— Otrzymujemy wiadomość od autora ważnego dzieła, „Historyi wymowy w Polsce", Karola Mecherzyńskiego, że tom III już jest blizkim ukończenia i w miesiącu najdaléj październiku opuści prassę drukarską. Sumienne te studya, owoc długoletniéj i dojrzałéj pracy, są nieocenionym przyczynkiem do dziejów literatury polskiéj.

— Nakładem księgarni Friedlejna oczekiwana oddawna i zapowiadana wyjdzie „Historya naturalna" Antoniego Wagi, poświęcona popularnemu wykładowi nauki o tworach trzech królestw natury. Że dzieło to znajdzie wprędce upowszechnienie, nie powątpiewamy; imię autora dostatecznem jest jego poleceniem dla polskich czytelników.

— Przekłady z zapomnianego już u nas języka greckiego, zbogacają coraz więcéj ubogą tę gałąź literatury. U nas jeden tylko Kazimierz Kaszewski dał nam poznać dramata Sofoklesa; w Krakowie Szujski przygotował przekład tragedyi Eschyla; w Galicyi ś. p. Józef Borkowski, tłumaczył Herodota ustępy. Wysłużony professor krakowski Kajetan Kowalski przełożył całego tego historyka. Obecnie najwięcéj mamy zdolnych filologów w Wielkiem Księztwie Poznańskiém. Antoni Małecki, Bronikowski i Zygmunt Węclewski, nie małe już położyli zasługi. Ostatniego drukowaliśmy w naszem piśmie dwie rozprawy: „Tragedya grecka" i „Teatr grecki". w których głęboką znajomość przedmiotu rozwinął; teraz w Dodatku do Czasu czytamy ciekawą rozprawę o Babriosie i bajce greckiéj. Tego rodzaju prace są prawdziwą zasługą literacką.

— Druk Encyklopedyi Powszechnéj, nakładem S. Orgelbranda, bez przerwy postępuje. Tom pierwszy skończony, drugi się już zaczął. Liczba współpracowników coraz się mnoży; imiona ich znajdą czytelnicy na karcie tytułowéj każdego tomu. Litera *A*, jak już wiemy, zajmie przeszło tom jeden i drugiego większą połowę. Ale ze wszystkich też liter jest ona najobszerniejszą. Mieszczą się też w niéj najobszerniejsze artykuły historyczno-jeograficzno-literackie, jak Afryka, Ameryka, Anglia, Arabia, Arabska literatura, Austrya, Australia, Azya i w. i., które obszerne działy zajęły, nie licząc w to ogromu ważnych życiorysów i ze wszystkich nauk obszernych artykułów. Druk też téj litery przeciągnął się dłużéj: już ukończono *A r*, *A*-s, *A-l;* w połowie września cała litera *A* zamkniętą zostanie i rozpocznie się druk następnéj litery *B*, do któréj już zebrano znamienite zasoby. W tymże miesiącu zapewnie okaże się prospekt i pierwsze zeszyty tego jednego z najważniejszych dzieł tegoczesnych, które następnie bez przerwy w określonym czasie wychodzić będą.

— Na ogłoszony konkurs komedyi pod imieniem Alojzego Żółkowskiego, już termin określony wyszedł i nadesłane sztuki redaktor Kurjera Warszawskiego złożył Fryderykowi hr. Skarbkowi, który pod swoim przewodnictwem ułożył komitet dla przyznania najlepszemu utworowi przeznaczonéj nagrody. Komitet ten składają: J. Jasiński, dyrektor teatrów warszawskich, I. J. Kraszewski, Kazimierz Kaszewski, K. Wł. Wójcicki i Alojzy Żółkowski. Prócz tego zaproszona została, znana z talentu jak z wysokiego ukształcenia, znakomita artystka nasza pani Leontyna Halpertowa, ażeby po przejrzeniu wszystkich nadesłanych sztuk, udzieliła zdanie swoje na piśmie co do ich wartości. Hr. Skarbek, przeko-

nawszy się, jak szkodliwą jest rzeczą czytanie głośne sztuk nadesłanych, w odezwie swojéj, co do zasad, jakich się ma trzymać komitet, bardzo słusznie czytanie takowe usunął. Każdy przeto z członków pomienionego komitetu obowiązany wszystkie sztuki przeczytać, sąd na piśmie przesłać opieczętowany, czy uznaje którą godną nagrody lub *accesitu*, albo że żadnéj nie znalazł odpowiadającéj warunkom konkursu. Tym sposobem spodziewamy się, że praca komitetu nie spełznie daremnie, jakto miało miejsce przy premium hr. Starzyńskiego, i autorowie nasi równie smutnego nie doznają zawodu.

— Druk tomu II „Historyi literatury polskiéj w zarysach" K. Wł. Wójcickiego już się ukończył w poprawném i powiększonem wydaniu: druk tomu III rozpocznie się niebawnie: całe dzieło w ciągu najdalej sześciu miesięcy wyjdzie z pod prassy.

— Leon Kunicki, znany pisarz z udatnych i wdzięcznych obrazków, którego ostatnie dzieło: „Powieści Nad-Bużne w 3 tomach", księgarz A. Nowolecki wydał, nadesłał do „Tygodnika illustrowanego rysunki, z krótkiemi objaśnieniami, przedstawiające dzieje jedynaka. Wyborny ten pomysł już w drzeworytach ukończonym został.

— W ozdobném i staranném wydaniu wyszedł nowy zbiór poezyj Teofila Lenartowicza p. n.: „Nowa Lirenka" z wizerunkiem fotograficznym i bardzo podobnym ulubionego poety, oraz z drzeworytami. Jestto edycya pierwsza u nas illustrowana. Pomiędzy znanemi utworami mamy nowy poemat p. n.: „Święta praca" kalendarz gospodarski z opowiadań Błogosławionej, ofiarowany J. I. Kraszewskiemu, oraz wiele drobniejszych utworów.

— Obraz literatury słowiańskiéj, o którym pisaliśmy jako o dopełnieniu Historyi Cantu, wydania S. Orgelbranda, napisany przez znanego z tylu prac użytecznych Leona Rogalskiego, już skończony w rękopiśmie, wkrótce zacznie się drukować nakładem pomienionego księgarza i typografa. Nie długo też wyjdzie z pod prassy przekład „Komedyi Boskiéj" Dantego, Juliana Korsaka.

— Otrzymujemy wiadomość z Petersburga, że J. Ohryzko oprócz ogłoszonego wydania Voluminów Legum, które obecnie jest wiernym przedrukiem pierwszego wydania już wyczerpanego oddawna z handlu księgarskiego, a tom VII i VIII z paginacyą ciągłą jest rzadkością bibliograficzną, które wydanie uzupełnić następnie zamierza brakującemi konstytucyami: wyda ze swéj drukarni zbiorowe pismo złożone z wyborowych artykułów. Oczekujemy bliższych wiadomości w tym przedmiocie.

— Znany z wielu prac A. Idźkowski budowniczy przygotował do druku rękopism p. n.: „Nauka i wzory budowania wiejskiego, w którem rozwija potrzebę staranniejszych budowli wiejskich, zastosowanych nietylko do wszelkich potrzeb rolnika, utrzymania zdrowia tak jego, jak i pomocniczego do prac inwentarza, ale nadto co do gustu i smaku z uwagą pilną na oszczędność. Piękna ta praca zasługuje, ażeby ogłoszona drukiem upowszechniła się pomiędzy naszemi ziemianami.

— Otrzymaliśmy od uczonego Adama Jochera dwa dzieła ogłoszone w Wilnie niedawno: I. Harmonia mów, albo zlanie ich w jednę, tojest polską za pośrednictwem fenickiéj, powróconéj do familii mów

słowiańskich. Wykład z komentarzem ciągłym monologu komedyi Plauta, Poenulus. Akt V. Scena I. W. 1—16. (Własność autora. Edycya ograniczonéj liczby odciskow. Wilno. Drukiem Józefa Zawadzkiego. 1859. W 8-ce. Str. XII i 192). Autor we wstępie odwołuje się do dawniej wydanego dzieła p. n.: „Pelazgia“, a które uzupełnia niniejszem. 2. Epilog historyi mowy pierwotnéj, oraz wstęp do jéj odnowienia w mowie słowiano-polskiéj i do „Harmonii mów“. (Wilno. W drukarni A. Syrkina. 1859. W 12-ce. Str. 46). Spodziewamy się, że filolodzy nasi zdadzą obszerne sprawozdanie o tych pracach zasłużonego pisarza.

— Album Lubelskiego seryi drugiéj, wydawanego przez A. Lerue, wyszedł zeszyt III i obejmuje widoki: 1) Kaplicy grobowéj Piotrowina w Piotrowinie. 2) Pomnika grobowego Jana Tenczyńskiego i królewny szwedzkiéj Cecylii w Kraśniku, których pamięć uczcił pięknym wierszem Jan Kochanowski, J. U. Niemcewicz znaną powieścią: „Jan z Tenczyna“, a Franciszek Siarczyński poważnem badaniem historycznem w Czasopiśmie naukowem imienia Ossolińskich. 3) Kościoła w Radecznicy. 4) Kościoła księży Franciszkanów w Szczebrzeszynie i 5) Tamże szczątków wieży ze starego zamku. Tom odpowiedni, obszerny, objaśnia litografie, starannie w litografii A. Pecq'a odbite. Rysunki z natury zdejmował sam wydawca A. Lerue, rysował na kamieniu J. Cegliński. Wydawca nie mogąc wszystkich zajmujących i godnych zachowania widoków z Lubelskiego objąć w pierwszéj seryi, które tak dobrego przyjęcia doznało, postanowił ogłosić drugą, z któréj już mamy trzeci zeszyt. Całość będzie stanowić jednę z ważniejszych publikacyj

Wilno. Towarzystwo archeologiczne przygotowywa materyały do drugiéj części archeograficznego zbioru. Na posiedzeniach swoich miesięcznych odczytano rozprawy Jaroszewicza: o Słowianach nadbałtyckich i Skalkowskiego: Ślady panowania Litwy w południowéj Rossyi. Pierwszego wysłużonego professora akademii wileńskiéj znacie pełne wartości, sumienne studya historyczne: czcigodny ten mąż, jakkolwiek w zaciszy domowéj się ukrył, nie poprzestaje od czasu do czasu pięknie się przypominać rodakom swoim i oddawać znakomite usługi literaturze ojczystéj na polu dziejowém. Oczekujemy niecierpliwie oddawna zapowiedzianéj drugiéj edycyi historyi Litwy, któréj pierwsze wydanie w zupełności wyczerpane zostało. Czytaliśmy w waszém piśmie już ustępy z szacownéj téj pracy. Prof. Jaroszewicz stale i ciągle oddaje się badaniom dziejów litewskich, oddał tu już wielkie zasługi, imię też swoje uwieńczy wdzięczną pamięcią. Czytano rozprawę „O puszczy białowieskiej“. „O żubrze i jego przyswojeniu“. Przedmiot to zajmujący nietylko dla poświęcających się naukom przyrodzonym, ale w ogóle dla wszystkich pragnących swój kraj dokładnie poznać. Puszcza białowieska i żubry mogłyby dać waszemu Tygodnikowi illustrowanemu, nie jeden przedmiot arcyciekawy do artykułów i do drzeworytów.—Prof. Adamowicz przedstawił Towarzystwu osobliwie rzadki egzemplarz ptaka azyatyckiego Pustynnika (Syvhaptes-Pallasa) zabitego w powiecie święciańskim.—Z ważniejszych darów Towarzystwo otrzymało od ks. biskupa Krasińskiego, białego kruka bibliograficznego: „Żywot Jezusa Chrystusa, z oryginału Bonawentury, przekład Opecia. Wydanie krakowskie. 1529“. Nadto szacowną pamiątkę, bo szablę darowaną Kościuszce przez Ame-

rykanów, z jednej strony z napisem łacińskim: „Waszyngton i Ameryka Kościuszce“, z drugiéj z napisem polskim (późniéj dodanym) z Bogiem a gromadką a śmiało“ i wizerunek Najświętszéj Panny. Dar ten do najpiękniejszych pamiątek muzeum naszego należy. Adolf książę Gedrojc ofiarował portret namiestnika generała Zajączka. Tak powoli zbiory Towarzystwa archeologicznego się mnożą; praca gorliwa zacnych członków pod przewodnictwem pełnego zasług dostojnego prezesa nie ustaje; brak tylko dostatecznych funduszów, ażeby wydawnictwo szacownych zabytków rozszerzyć i pokrzepić. Teka Wileńska wiele prac członków ogłaszała: „Zbiorowe pismo wileńskie“ od czasu do czasu mogłoby w téj rzeczy dobrze usłużyć.—A. E. Odyniec wydał zbiór poezyj swoich w 2 tomach w edycyi poprawnéj i powiększonéj. Sąto utwory już znane z wydania 1825, jakoteż i te, które po naszych pismach drukowane były. Wdzięczni jesteśmy autorowi za zebranie w jednę całość tak z pierwszego wydania, które wyczerpaném oddawna zostało pomimo przedruku ich w Poznaniu 1832 r., jakoteż rozrzuconych po pismach peryodycznych.—D. 26 Towarzystwo lekarskie nasze obchodziło jubileusz 50-letniego doktoratu członka swego Dra Józefa Kowalskiego, który Adama Mickiewicza w Kownie jeszcze w czasie choroby pielęgnował. Alexander Groza z tego powodu czytał piękny wiersz; A. E. Odyniec improwizował podziękowanie za współczucie okazane wielkiemu wieszczowi, a jego przyjacielowi; Syrokomla odczytał wiersz odznaczający się równie wdziękiem jak pięknym językiem, którego treścią ważność medycyny i łaska Boża potrzebna do godnego jéj spełniania. Członkowie Towarzystwa czytali poprzednio zajmujące swoje rozprawy.

Żytomierz. Spółka wydawniczą po ogłoszeniu drukiem sprawozdania przez przewodniczącego Karola Kaczkowskiego (Kijów. 1859) zabiera się teraz gorliwie do wydawnictwa, skoro tylko drukarnia urządzoną w zupełności zostanie. Pierwszą książką będzie: „Elementarz“; nabyła już bajki Jachowicza. Dwie te książki wielkiego będą użytku w wychowaniu dziatwy naszéj. Spółka drukować następnie będzie dalszy ciąg „Pamiętników Kwestarza“ Ignacego Chodźki, oraz Szajnochy: „Obrazy z życia Jana III“ we 4 tomach; Szymona Konopackiego: „Chronologią dziejów polskich“; Przekład kroniki Nestora i historyą Słowiańszczyzny Dra Kotkowskiego; Leopolda Jakubowskiego znanego z nauki i wyższego poglądu: „Pierworys prawa i gospodarstwo społeczne“. Chwalibóga Prospera: „Życiorysy Papieżów“ z ich wyłącznym wpływem na Polskę i Polaków. Dr. Galli tłumaczenie: „Gigantomachii“ Kordeckiego. Prócz tego wiele innych ma nadesłanych sobie rękopismów. Jak wielu mamy pracowników, którzy w zaciszy wiejskiéj wolne chwile poświęcają literaturze ojczystéj, zbiór ten rękopismów dowodzi. Jak prędko nasza spółka potrafi choć część ich drukiem ogłosić, dotąd stanowczo trudno wyrzec, bo ma jeszcze do walczenia z wielą trudnościami. Mamy wszelako nadzieję, że dobra wola i czysta chęć poświęcenia zawady wszelkie przełamie i do celu doprowadzi.

Kraków. Na posiedzeniu oddziału archeologii i sztuk pięknych Towarzystwa naukowego krakowskiego (20 czerwca r. b.) przejrzano starannie dary nadesłane dawniéj. Z monet dwie się rzadsze okazały: 1) Grosz srebrny Ludwika I. króla węgierskiego i polskiego z XIV wieku

z herbem andegaweńskim (trzy lilie) i dawnym węgierskim (cztery rzeki). 2) Szeląg srebrny Ładysława III, pogrobowca króla węgierskiego, z XV wieku. Ksiądz Kosicki, pleban ze wsi Kosocic, w obwodzie bocheńskim, ofiarował bałwanka pogańskiego znalezionego we wsi tejże. Jest on z grubo ziarnistego piaskowca, wysoki na dwa łokcie, część od spodu ułamana przy dobywaniu. Oko ma jeden cal, szyja pięć, pierś ośm cali średnicy Jestto właściwie bryła niekształtna, samorodna, sztuka nie wiele do podobizny ludzkiej dodała nieudolną ręką. W ziemi spoczywał obwinięty cały na trzy cale grubości, w zwyczajną trzcinę wodną.—Posiedzenie zamknął hr. Jan Załuski przeczytaniem części swéj rozprawy: „O Arrasach i gobelinach krakowskiéj Wystawy starożytności i zabytków sztuki w r. 1858“.— Od Nowego Roku w obrębie rządowym krakowskim przybyło dziesięć szkółek trywialnych, wzniesionych kosztem i staraniem prywatnych właścicieli wsi i ze składek gmin właściwém. Piękny ten przykład bogdajby znalazł licznych naśladówców.— Rzuconą myśl przez Bibliotekę Warszawską o potrzebie wydania krytycznego zbioru *Volumin6w praw,* nie zaś samego tylko przedruku, poparł *Czas* w odcinku swoim Nr. 167.— Biblioteki polskiéj Turowskiego wyszło pięć zeszytów 14, 15, 16, 17 i 18 seryi na r. 1859. Obejmują pisma wierszem i prozą Wespazyana z Kochowa Kochowskiego wojskiego krakowskiego. Każdy znający choć nieco pisma tego żołnierza, obywatela, historyka i poety, który walcząc na wyprawach i biorąc udział w sprawach rzeczypospolitéj opisywał następnie pamiętnikowo te boje i sprawy publiczne, lub opiewał wierszem to zdarzenia wojenne i ważne w ojczyźnie wypadki, to śmierć dzielnych wojowników lub zacnych obywateli, albo wyśpiewywał lekkim rymem tok owczesnego życia towarzyskiego,— każdy, słowem, kto zna choć nieco pisma Kochowskiego, wie, jak one są ważnemi dla chcącego poznać dzieje narodowe za czasów Władysława IV, a szczególniéj Jana Kazimierza, życie towarzyskie i domowe. Poezye nawet liryczne i epigramata są ważne nietylko pod względem sztuki i języka, lecz ważniejsze prawie przez to, że nam żywo przedstawiają ówczesny świat towarzyski, stosunki domowe życia, obyczaje i zwyczaje narodowe.

D. 1 Sierpnia na posiedzeniu oddziału nauk moralnych w Towarzystwie naukowém krak. członek Konstanty Hoszowski odczytał: „Przypis historyczny do żywota biskupa Andrz. Trzebickiego, o bractwie N. Maryi Panny w Krakowie niegdyś istniejącém a wyprzedzającem przeszło na sto lat ordynacyą wiekopomnego ks. Skargi, założyciela Arcybractwa Miłosierdzia i Banku pobożnego w Krakowie. Rozprawa ta była przyczynkiem do rozprawy autora, odczytanéj dawniéj p. n. „Żywot Andrzeja Trzebickiego biskupa krakowskiego, z krytycznym poglądem na podania dziejopisów.“—D. 30 lipca upłynął rok od zgonu niespodziewanego ś. p. Józefa Muczkowskiego, tyle zasłużonego literaturze naszéj. Przyjaciele zmarłego obchodzili rocznicę smutną, mszą żałobną na zamku w téj saméj kaplicy, gdzie go tak nagle śmierć zaskoczyła — Walery Wielogłowski, znany pisarz obrazków ludowych, ogłosił wydawnictwo zeszytami: „Obrazków dzisiejszego społeczeństwa, obejmujących możnych panów, szlachtę, magnatów giełdowych i kupców. Jeżeli z tą samą prawdą i talentem te postacie od-

maluje, o czém nie wątpimy, wielce ciekawa to będzie galerya, a jak mniemamy, obejmie typy naszego miasta i Galicyi, w której jak wiadomo hrabiów by maku, i arystokracya oryginalna, wyborna do komedyi wyrosła szeroko. Zkąd weźmie magnatów giełdowych nie wiem, bo ich nie znamy: bodajby nie była to pożyczka z obczyzny!— Ważna i piękna publikacya wyjdzie z litografii *Czasu* p. n. *Album krakowskie*: będą to nowe zdjęte widoki Krakowa i jego okolic, z dołączeniem krótkiego opisu. Ryciny litografowane odpowiedzą godnie wymogom teraźniejszym sztuki. Księgarz Friedlein, wydaje również *Album wystawy obrazów*, w którém najpiękniejsze obrazy tegorocznej wystawy krakowskiej w liczbie sztuk ośmiu znajdą się wybornym rysunkiem wykonane, w najlepszym zakładzie litograficznym berlińskim. Do obrazów dołączony będzie tekst objaśniający. Maksymilian Fajans, odstąpił od przewodnictwa i kierunku litografii *Czasu* mając zbyt wiele zajęcia we własnym zakładzie w Warszawie. W drukarni *Czasu*, rozpoczęto druk dziełka p. Ludwiki Leśmiowskiéj, przeznaczonéj dla ludu p. n. *Historya polska*, zebrana w krótkości z małemi objaśnieniami jeografii i żywotów niektórych świętych i bohaterów polskich. Wyszedł rodzaj sielanki p. n. Wiejska rodzina przez Annę L. Krakowiankę (Annę Liberę), autorkę znaną z dwóch tomów poezyj wydanych w Krakowie 1842 i 1846 r. Treść dążności moralnéj, z użyciem ludowego języka.

Poznań. Miasto nasze zdobi już posąg Adama Mickiewicza dłuta Władysława Oleszczyńskiego. Wieszcz opiera się lewą ręką o stos ułożony z dzieł jego, postać nieco wtył przechylona, głowa podniesiona, jak gdyby miał przemówić, improwizować. Artysta pochwycił chwilę natchnienia. Twarz piękna, wyrazista i najpodobniejsza ze wszystkich znanych dotąd popiersi z rzeźby i obrazów. Czy p. Oleszczyński nie pomyśli o upowszechnieniu tego ślicznego posągu w mniejszych rozmiarach? Należałoby się oddać tém hołd pamięci wieszcza, i dać poznać całemu narodowi utwór piękny własnego dłuta.— Żupański, tak bardzo zasłużony wydawca w literaturze naszej, jeszcze w r. b. ma wydać w pysznéj illustrowanéj edycyi poemat Malczeskiego *Maryę* i Lenartowicza *Błogosławioną*. Rysunki wykonał A. Zaleski, znany illustrator Paska w Album Wilczyńskiego: blachy podług nich rytują Cypryan Norwid i Maryan Jaroczyński—pierwszy w Paryżu, drugi w Poznaniu. Wykończył Jaroczyński blachy do Maryi, przyjęcie kuligu u wrót domu miecznika, Wacława z miecznikiem na czele husarskiéj chorągwi i bitwę z Tatarami. Przed parą laty widzieliśmy śliczny sztych sędziwego miecznika, klęczącego na grobie ukochanéj Maryi.— Nakładem Ludwika Merzbacha wyszła powieść znanéj z wielu już prac literackich Pauliny Wilkońskiéj: *Fata-Morgana* w 2 tomach.

— Zakładanie muzeów pamiątek ojczystych stało się dziś potrzebą; Tow. Naukowe Krakowskie oddawna krząta się w tym celu, a teraz występuje na téj drodze Towarzystwo Przyjaciół Nauk Poznańskie, wydając następującą odezwę do obywateli W. Ks. Poznańskiego:

„Kiedy przy rozpoczęciu prac naukowych Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego, dał się uczuć dotkliwie zupełny brak muzeów,

przeto oba z łona Towarzystwa tego wyszłe wydziały postanowiły zająć się ich założeniem: Wydział Nauk historycznych Muzeum Archeologicznego, a Wydział Nauk przyrodzonych Muzeum historyi naturalnéj.

Na samą wieść o tém postanowieniu, gorliwi o szerzenie oświaty obywatele nietylko pojedyńcze dary, ale i część zbiorów swoich wspaniałomyślnie Towarzystwu ofiarowali. Hojności ich zawdzięczamy pierwszy kamień węgielny skarbca nietylko zabytków przeszłości, pamiątek oświaty i dziejow naszych, ale i płodów ziemi naszéj. Nie wątpimy bynajmniéj, że publiczność z zapałem popierać będzie dzieło szczęśliwie rozpoczęte, i że wspólnemi siłami podjęte staranie doprowadzi do ustanowienia w Poznaniu znamienitego Muzeum, które w sobie zamieści zbiory tak z czasów przedchrześciańskich jako chrześciańskich, a mianowicie: urny, rzeźby, sprzęty jakiegokolwiek rodzaju, zbroje, oręże, obrazy dawne, rękopisma, autografy, druki stare, książki i mappy, odnoszące się do wiadomości o rzeczach krajowych; numizmaty, nadto wszelkie przedmioty, odnoszące się do historyi naturalnéj, do flory, fauny i geologii krajowéj.

Ileż takich przedmiotów w ręku prywatnych ulega zniszczeniu! Przechowanym w zakątkach, ogółowi niedostępnych, przyjdzie rychléj czy późniéj ale zawsze przed czasem zniszczeć koniecznie, podczas gdy na jednem zgromadzone miejscu, unikną grożącéj im zbyt rychłéj zagłady. Umiejętnie uporządkowane, nietylko nabiorą całéj swéj wartości, ale staną się źródłem obfitém dla badań naukowych i będą bodźcem nietylko do poznania ziemi naszéj i jéj płodów, ale do czerpania wspomnień szlachetnych.

Zarząd Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego, wzywa przeto wszystkich obywateli, gorliwych o wzrost oświaty i dbałych o własne pamiątki, ażeby zechcieli czy darami, czy wiadomościami swemi przyczynić się do powiększenia i zbogacenia założonego już Muzeum archeologicznego i historyi naturalnéj.

Atoli, jak z jednéj strony zachęcają nas do niniejszéj odezwy przykłady z historyi naszéj czerpane i świadczące o poświęceniach obywateli, którzy całe swe mienie, z zamiłowania do oświaty i rzeczy krajowych składali ku powszechnemu użytkowi, tak z drugiéj, smutny zawód takowych usiłowań spowodował Zarząd, na liczne pytania, co się stanie z tém Muzeum, gdyby kiedyś rozwiązanie Towarzystwa nastąpić miało, do złożenia oświadczenia, iż wszystkie przedmioty do naszego Muzeum nadsyłane, tylko pod tym przyjmujemy warunkiem, że zwrócone będą dawcom lub ich spadkobiercom w razie rozwiązania Towarzystwa. Tak długo zaś, dopóki zwrot z okoliczności nieprzewidzianych nie mógłby nastąpić, złożone będą w Bibliotece Raczyńskich."

† Dnia 11 marca r. b. zmarł w 62 r. życia Jan Waszkiewicz b. professor akademii wileńskiéj. Z dzieł ogłoszonych drukiem oprócz rozpraw w dzienniku wileńskim zostawił: 1) Nauka o handlu. Wilno. 1830. 2) Główniejsze zasady ekonomii przemysłowej. Wilno. 1836. 3) Początki Logiki. Wilno. 1829. W rękopiśmie pozostawił: Historyą ekonomii politycznéj.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Wolno drukować. — Warszawa, d. 14 (26) Sierpnia 1859 r.—Cenzor, Radca Kolleg. *Stanisławski.*

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIEM.

Lipiec, 1859.

Lipiec 1859. **Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obser-**

watoryum Astronomicznem Warszawskiem.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad po-ziom morza, jego szérokość geogr. 52°13′5″, długość w czasie 1ʰ·14ᵐ·45ˢ·,7 czyli w łuku 18°41′25,″5 na wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
		6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.	6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.	czas. średn. dzienna	6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz.wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god.w.	10 god.w.	deszczu	śniegu
1		751.12	751.32	751.48	753.22	+21°.4	+26°.9	+29°.5	+22°.4	52.7	pogodny	pogodny	pr. pogodny	pogodny	Z.	PdW.	PnZ.	PnZ.		
2		754.28	754.67	753.46	754.06	19.1	25.4	29.4	20.6	54.3	pogodny	pr. pogodny	pr. pogodny	pogodny	Z.	PnZ.	Z.	—		
3		754.02	753.84	752.99	752.88	20.4	25.0	27.0	19.7	57.2	lek. pochm.	pr. pogodny	pr. pogodny	pogodny	Z.	Z.	PnZ.	Z.		
4		752.27	751.99	751.24	751.06	18.6	23.8	26.0	20.7	64.3	pogodny	pogodny	pr. pogodny	pogodny	Z.	Z.	PnZ.	—		
5		750.41	750.41	751.27	753.69	18.4	22.0	23.2	15.2	65.7	pogodny	pogodny	pr. pogodny	pogodny	Z.	PnZ.	PnZ.	PnZ.		
6		755.18	755.33	754.25	755.14	13.8	19.2	24.2	16.1	57.3	lek. pochm.	pogodny	pogodny	pogodny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	PnZ.		
7	☽.	755.35	755.67	753.66	753.38	14.1	16.9	25.4	20.2	65.5	lek. zamgl.	pochmurny	pogodny	pogodny	Z.	Pn.	PnZ.	PnZ.		
8		753.18	752.37	750.50	749.21	17.9	21.9	27.0	19.0	57.5	pogodny	pogodny	pr. pogodny	pochmurny	PnZ.	Z.	Z.	Pn.		
9		748.79	749.08	748 43	749 66	16.3	19.9	20.4	14.6	74.5	poch. desz.	napół pog.	lek. pochm	pochmurny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	PnZ.	7.2	
10		751.23	752.02	752.82	754.84	15.5	19.3	22.5	16.1	64.2	pochmurny	pochmurny	lek. pochm	pogodny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	PnZ.		
11		756.31	757.09	756.78	757.49	13.5	17.6	21.7	17.7	67.7	pochmurny	pogodny	pr. pochm	lek. pochm.	Pn.	PnZ	PnZ.	Pn.		
12		757.98	757.86	755.81	755.33	18.3	25.0	27.6	19.2	60.5	pogodny	lek. pochm.	pr. pochm.	pogodny	Z.	PdZ.	PdZ.	PnZ.		
13		754.70	753.85	751.12	751.88	17.0	25.1	30.0	21.0	48.3	pr. pogodny	pogodny	pochmuny	pogodny	PdZ.	Z.	Z.	PnZ.		
14		751.66	750.16	747.63	748.88	17.4	24.4	25.5	17.3	53.7	pogodny	pr. pogodny	pr. pogodny	lek. pochm.	W.	Z.	Pn.	Z.		
15	☉.	749.82	750.03	749.50	750.78	14.8	17.9	20.0	14.4	65.8	pr. pogodny	poch. desz.	napół pg.	pr. pochm.	Z.	PnZ.	PnZ.	PnZ.	1.0	
16		751.27	751.76	751.49	753.35	14.8	18.8	20.5	14.2	56.7	pogodny	pr. pochm.	deszcz	pr. pogodny	Pn.	PnZ.	Pn.	Z.		
17		753.63	753.60	752.64	752.31	15.6	19.8	21.4	16.1	60.0	lek. pochm.	lek. pochm.	pochmuny	lek. pochm.	Z.	Z.	Z.	PdZ.		
18		751.82	751.81	750.14	750.06	17.6	24.7	31.0	21.4	56.5	napół p. d.	napół pog.	pr. pogdny	pogodny	PdZ.	Z.	Pd.	PdZ.		
19		749 46	748.85	747.94	750.88	19.8	29.0	33.6	21.0	53.8	pogodny	pogodny	pr. pogdny	pogodny	Pd.	PdZ.	Z.	PnW.		
20		751.78	752.11	751.15	753.45	16 5	23.0	27.7	17.7	53.7	pr. pogodny	pogodny	pogodn	lek. pochm.	W.	Pn.	PnW.	PnW.		
21		755.06	755.12	753.38	753.36	15.7	21.2	26.5	17.1	48.3	pogodny	pogodny	pogodn	pogodny	PnW.	PdW.	PnW.	W.		
22		752.88	751.86	749.06	748.39	14.7	23.4	28.3	21.2	43.2	pogodny	pogodny	pogodn	pochmurny	PdW.	PdW.	Pd.	Pd.		
23	☾.	747.41	746.61	744.14	744.60	19.6	29.0	35.3	21.0	52.8	pogodny	smugi	napół pg.	deszcz	Pd.	Pd.	Pd.	Z.	2.4	
24		745 57	746.66	746.85	747.13	19.8	24.0	26.3	19.0	69.2	pogodny	pochmurny	pr. pogdny	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.	3.0	
25		748.15	749.03	749.30	749.66	16.4	20.2	22.2	17.6	73.8	pogodny	napoł pog.	napół log.	pr. pogodny	Z.	Z.	PnZ.	Pn.		
26		747.82	747.83	748.57	750.02	14.6	15.8	17.6	16.1	87.7	deszcz	deszcz	deszcz	pochmurny	Pn	PnZ.	Z.	Z.	11.6	
27		751.99	752.45	752.50	752.89	13.5	19.4	23.3	18.1	67.5	pr. pogodny	smugi	pogodny	pogodny	PnZ.	Pn.	PnZ.	PdZ.		
28		751.72	751.40	750.35	750.36	17.3	24.6	23.1	19.2	62.3	pogodny	smugi	pochmurny	lek. pochm.	PdZ.	PdZ.	PnZ.	Z.		
29	☽.	750 17	750.47	749.75	750.31	17.0	21.7	25.0	19.0	65.0	pochmurny	napół pog.	napółpog.	pochmurny	Z.	PdZ.	Z.	Z.		
30		749 30	749 16	748 86	749.56	17.7	19.2	21.2	15.8	76.2	pochmurny	poch. desz.	lek. pchm.	pogodny	PdZ.	Z.	Pn.	Z.	4.0	
31		750.70	751.32	750 48	750 60	14.2	20.2	25.4	17.7	67.0	pr. pogodny	pogodny	pr. pchm.	pogodny	W.	W.	W.	Pd.		
Śre.		751.776	751.798	750.888	751.562	+16°.82	+22°.07	+25°.41	+18°.27	61.4									29.2	

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	751.506	27	9.140
Najwyżej barometr dochodził d. 12 o g. 6 r.	757.98	28	0.009
Najniżej — — d. 23 o g. 4 w.	744.14	27	5.874
Średnia zmiana dzienna barometru	2.295		1.017
Największa zmiana dzienna barometru d. 22—23 o g. 6 r.	5.47		2.425
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 33 lat poprzedzających	2.647		1.174
	748.859	27	7.966
Średnia temperatura lipca wynosi:	+ 20°.64 C.	+	16°.51 R.
i ta jest wyższa o	1.90 „		1.52 „
od stanu normalnego z 33 lat poprzedzających	+ 18.74 „	+	14.99 „
Największe ciepło było d. 23 o g. 4 w.	35.3 „		28.24 „
Najmniejsze — — d. 11 i 27 o g. 6 r.	13.5 „		10.80 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.581 „		2.065 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 17—18 o g. 4 w.	9.6 „		7.68 „

Termometrograf wskazał:
Maximum: + 28°.4 R. d. 23 po poł.
Minimum: + 8°.0 „ d. 9 rano.

Dotąd w peryodzie 33 lat poprzednich nie był tak znacznego ciepła w lipcu jak w d. 23.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jet 61.4, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru 10.99 gramów na jednym metrze sześciennym powitrza; wilgotność ta jest przeszło o 0.09 mniejsza od normalnéj.

Ilość wody spadłéj z deszczu wynosi co do wsokości: 29.2 mil. czyli 12.72 lin. par.; ilość-ta wody jest o 28.77 lin. par. mniejsza od téj jaka zwykle u nas w lipcu spada.

Dni pogodnych było 10, napół pogodnych 13, pochmurnych 8.
Dni deszczu 8 (d. 9, 15, 16, 18, 23, 24, 26, 30).
— mgły 1 (d. 9).
— grzmotów 2 (d. 9, 23).
— błyskawic bez grzmotów 2 (d. 23, 24).

Wiatrów mocnych 4 (3 PnZ, 1 Pd.).

Wiatr panujący Zachodni, częste były także Północno-Zachodnie.

Lipiec r. b. był nadzwyczaj suchy, gorący, pogodny, o półtora stopnia R. cieplejszy niż zwykle. Dwa dni 19 i 23 odznaczły się wielkiém gorącem, średnia temperatura tych dni wynosiła 21 stop. R., wyższa o 6 stop. R. od normalnéj. Najcieplejsze dni były: d. 1, 2, 3, 4, 2, 13, 18, 19, 23, 24; najchłodniejsze: d. 9, 11, 15, 16, 25. Barometr utrzymywał się wysoko. Susze panowały wielkie, średnia wilgotność powietrza jest o 9 setnych mniejsza niż zwykle; deszcze padały rzadko: ilość wody deszczu jest przeszło trzy razy mniejsza niż zwykle. Pod względem stanunieba miesiąc ten należy do nader pogodnych, albowiem w stanie normalnym stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 5.8 : 3.0 : 12.2; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 10 : 13.8. Pomimo panującychlupałów, grzmoty, pioruny i błyskawice które w lipcu bywają u nas często w tym roku były bardzo rzadkie. Stan elektryczności atmosferycznej średi miesięczny jest 15 stopni; największe natężenie siły elektrycznéj dochodziło 30 stopni d. 20; najmniejsze 4 stopnie d. 4, 12, 13, 14.

Największa wysokość wody na Wiśle dochodła stóp 9 cali 5 d. 1.
Najmniejsza — — — stóp 1 cali 11 d. 30.

W tym miesiącu podobnie jak w poprzednie, przesyłano telegrafem elektrycznym do St. Petersburga, postrzeżenia meteorologiczne czynione w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiém o dzień o godz. 7 rano.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM

Z R. 1859.

Materyały historyczne.

Stron.

Przyczynek do historyi kraju Spizkiego, część Małopolski niegdyś stanowiącego, z uwagą na kodeks dyplomatyczny Węgier. Przez *Wacława Alexandra Maciejowskiego*..... 695

Biografia.

Piotr Helias. Do historyi języka łacińskiego w Polsce przyczynek. Przez *Andrzeja Kucharskiego*..... 725

Nauki społeczne.

Reformy społeczne w Wielkiej Brytanii, przez *F. S. Dmochowskiego*. 535

Prawo.

Krótka wiadomość o ostatniéj zmianie w procedurze cywilnéj francuzkiéj, wprowadzonéj we Francyi przez prawo z d. 21 maja 1858 r., modyfikujące artykuły 692, 696, 717, 779 i 838 k. p. s. c., przez *Władysława Holewińskiego*..... 601

Opisy i podróże.

Strona.

Kilka ustępów z życia Kirgizów oddziału Orenburgskiego, przez F. M. Łazarewskiego, przekład z rossyjskiego *F. I. N.* 479
Bajkał—Szamanizm. Wyjątek z opisania zabajkalskiéj krainy, przez *Agatona Gillera*- 552

Literatura.

Historya tragedyi greckiéj, przez *Z. Węclewskiego* 1
Studya nad podaniami ludu naszego, przez *Józefa Grajnerta* (dokończenie) 70
Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Wystawa Ary Scheffera.— Wieczór na tamtym świecie, Gozlan'a.— Literatura.— Teatra.— Akademia 106
Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Humboldt.—Córka Tintoreta, dramat p. Dugué.—Wykradzenie z Seraju, opera Mozarta.— Wigilia Marengo, dramat epiczny.—Filozofia Simona.— Życie Poussin'a przez pana Bouchitté.—Wiadomości literackie. 399
Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. *Essais sur le Génie de Pindare*, Villemain'a. — *Essais de Morale et de Critique*, przez Ernesta Renan. —*Niderlandy*, przez Edwarda Esquiros. — *Le Vieux Neuf*, przez E. Fournier. — Wiadomości artystyczne i literackie 665
Romans obyczajowy w Hiszpanii. Fernan Caballero i jego opowieści. 1. La Gaviota. — 2. Elia czyli Hiszpania przed trzydziestą laty. — 3. Clementia. — 4. Rodzina Alvareda. — 5. Cuadros z Castumbres. — 6. Opowiadania. — Madryt 1857—1858 132
Kilka słów o najnowszéj literaturze dramatycznéj we Francyi. Przez *Henryka Merzbacha* 209
Dramat hiszpański i Kalderon, przez *Bolesława Wiktora* 271
Teatr grecki, przez *Z. Węclewskiego* 379
Uwagi nad Filoktetem, tragedyą Sofoklesa, przez *Karola Mecherzyńskiego* 587

Poezya.

Wspomnienie z Alp i Salzburga. We wrześniu 1857 r. *Eugeniusza Rönne* (Monachium) 130
Tchè czyli Zburzenie Autu-Dubby powieść kaukazka, przez *W. Dawida* 323

Tragedya.

Gladyator Raweński, tragedya w 5 aktach Fryderyka Halma, przełożył *Bolesław Wiktor* (dokończenie) 22

Rozbiory.

Stron.

Kilka uwag nad wywodem historycznym niektórych artykułów Statutu Wiślickiego. Przez *Stosława Łagunę*..... 161

Franciszek z Assisu, przez Syrokomlę. Wilno. 1859.— Szkolne czasy, przez Syrokomlę. Wilno. 1859.— Poezye Antoniego Sowy. Petersburg. 1858. Przez *Bolesława Wiktora*..... 176

Nauka języka polskiego z zastosowaniem jéj do najnowszéj grammatyki polskiéj P. Dawida. Lublin. 1858. Przez *C. I*..... 180

(Polska w Pieśni. Ustęp z księgi piérwszéj). Lech, przez Deotymę. Warszawa. 1859. Przez *Kazimierza Kaszewskiego*..... 186

Czas, dodatek miesięczny za m. styczeń, luty, i marzec 1859..... 198

Przegląd krytyczny rozporządzeń tak zwanego Statutu Wiślickiego, podług przedmiotów ułożony, z uwzględnieniem poprawnéj wersyi w dziele p. Z. A. Helcla podanéj i z ocenieniem zdobyczy naukowych przez jego badania osiągniętych. Napisał *Alexander* hr. *Stadnicki*..... 359, 613

Wandina, powieść fantastyczna, przez Henryka z Obsyngi. Wilno. 1858.— Wioska, sielanka wierszem, przez J. I. Kraszewskiego. Warszawa. 1859. — Sobek Skórka czyli Chata Grzegorzowa, powieść, przez Felicyana Łobeskiego. Lwów. 1858. Przez *Kazimierza Kaszewskiego*..... 437

Konnotata wypadków w domu i w kraju zaszłych od 1634 do 1689 r., skreślona przez Stanisława Wierzbowskiego starostę łęczyckiego i barwałdzkiego, chorążego łęczyckiego, z rękopismu przechowanego w archiwum rodzinném, do druku podał i objaśnienia dołożył Jan Konrad hr. Załuski. Wydanie Jana Nep. Bobrowicza. Lipsk. 1858. Przez *Juliana Bartoszewicza*..... 448

Kilka uwag z powodu artykułu p Heylmana „O klassyfikacyi hypotek, jakoteż praw hypotekowanych w ogólności." Przez *W. N.* 466

Rozrywki dla młodocianego wieku. Dzieło zbiorowe w tomach dziesięciu przez Seweryną z Żochowskich Pruszakową. Warszawa. 1856 i 1857 r. Przez *P. J.*..... 637

Biblioteka ordynacyi Myszkowskiéj. Zapis Konstantego Świdzińskiego. Rok 1859. W Krakowie. Przez *Prz*..... 686

Jadwiga królowa polska (Jadwiga, Königin von Polen), dramat historyczny Dornheima. Stutgart. 1857. — Zofia księżniczka słucka, dramat historyczny z XVII wieku przez Władysława Syrokomlę. Wilno. 1859. Przez *Kazimierza Kaszewskiego*..... 701

Spostrzeżenia nad rozbiorem książki pod tytułem: „Konotata wypadków zaszłych od r. 1634 do 1689", przez Stanisława Wierzbowskiego skreślona. Przez *K. Ł.*..... 716

Kilka rysów społeczeństwa i literatury p. Lucyana Siemieńskiego. 2 tomy. Warszawa. 1859.—Obraz najnowszego ruchu literackiego w Polsce, p. F. Lewestama. Warszawa. 1858. Przez *A. A. K.* 718

Nauki przyrodzone.

Stron.

O wzajemnéj zależności sił fizycznych, przez Grovego. Przez *Stanisława Janikowskiego*..... 224
Uwagi tyczące się języka chemicznego polskiego, przez *K. Lilpopa*. 421
Kilka słów o roślinności i florze Ojcowa, jako dodatek do flory Królestwa Polskiego, przez *F. Berdau*..... 496
Systematyczne wyliczenie ciał kopalnych u nas postrzeżonych. Przez *H. S*..... 726

Korrespondencye.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj od *J. Ł*..... 242
Sprawozdanie Zarządu Wystawy krajowéj Sztuk Pięknych w Warszawie, za czas od d. 3 lipca 1858 do d. 24 czerwca 1859 r..... 243
Wydawnictwo dzieł Długosza..... 245
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj od *Apollona Korzeniowskiego*. 745
Od księdza biskupa Łętowskiego do hrabiego Wielopolskiego, margrabi pinczowskiego..... 746

Kronika bibliograficzna..... 247, 512, 749

Wiadomości literackie..... 254, 519, 755
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astronomicznem warszawskiem:
za miesiąc maj r. b..... 267
— — czerwiec r. b..... 521
— — lipiec r. b..... 767